This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

Slav 6743.15 (3)

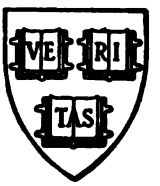

HARVARD
COLLEGE
LIBRARY

RYS
DZIEJÓW LITERATURY POLSKIEJ.

RYS
DZIEJÓW LITERATURY POLSKIEJ

podług notat

ALEKSANDRA ZDANOWICZA

oraz innych źródeł

opracował i do ostatnich czasów doprowadził

Leonard Sowiński.

Tom III.

WILNO.
Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1876.

Slav 6743.15 (3)

Дозволено Цензурою. Кіевъ 30-го Ноября 1875 года.

HARVARD UNIVERSITY LIBRARY DEC 3 1965

ВИЛЬНА. Въ типографіи п. ф. Осипа Завадзкаго.
(Замковый переулокъ, N. 149).

Ważniejsze sprostowania do tomu III-go.

Str. 49, wiersz 25 *zamiast* obecnie przemieszkuje w Galicyi *czytaj:* umarł w lutym 1876 r. we Lwowie.

— 193 — 22 — wydań *czytaj:* edycyj.

— 424 — 16 — brzask — wrzask.

— 605 — 37 — Andersona — Andersena.

Oprócz tego, na str. 74—76 ustęp o *Tymonie Zaborowskim* wyrzucić należy, a przytoczony tamże wyjątek z *Dum Podolskich* przenieść do ustępu o tym pisarzu na str. 439.

Na str. 80 i 194, przed tytułowemi napisami, liczby *2* i *3* wykreślić należy.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie trzecim.

Str.

Okres piąty, od czasów Mickiewicza do dni dzisiejszych (Ciąg dalszy) 1

I. Poeci V okresu ..... —

1. *Epicy i Lirycy* ..... —

Adam Mickiewicz 80

Poeci pomickiewiczowscy 194

OKRES PIĄTY.

Od czasów Mickiewicza do dni dzisiejszych.

(Ciąg dalszy).

I. Poeci V okresu.

1. Epicy i liryey.

Antoni Malczewski urodził się w Warszawie r. 1793 z rodziców Wielkopolan osiadłych na Wołyniu. Miasteczko Radziwiłłów i kilka innych majętności było własnością jego ojca, generała wojsk polskich. W domu obyczajem owczesnym odebrał wychowanie francuzkie — i długo nie umiał prawie po polsku. Nauki odbywał w Dubnie, a potém w Krzemieńcu, gdzie był ulubieńcem Tadeusza Czackiego, który i dom jego rodziców odwiedzał. Celował szczególniéj w matematyce i lubił rysunki. W r. 1811 wstąpił w szeregi wojskowe księztwa Warszawskiego i odznaczył się wkrótce jako zdatny oficer inżynieryi. W 1812 był porucznikiem konnéj artylleryi i adjutantem polowym w sztabie generała Kosseckiego, tém gorliwiéj oddając się służbie wojskowéj, że czuł się zawiedzionym w najdroższych swoich nadziejach, gdy siostra jego cioteczna Anna— pierwsza miłość młodzieńcza — komu innemu rękę oddała. Odbył kampaniję r. 1813 i w skutek poddania się twierdzy Modlina dostał się do niewoli. W r. 1815 przeznaczony został do sztabu kwatermistrzowstwa generalnego. W następnym roku złamawszy nogę, wybrał się za granicę i zwiedzał dość długo Francyę, Włochy i Szwajcaryę. W r. 1818 odbył śmiałą podróż na górę Montblanc i opisał ją w liście do professora Picteta, ogłoszonym w jedném z pism francuzkich. W tym czasie zapoznał się z literaturą angielską, a w Wenecyi zawarł osobistą znajomość z Byronem, szukającym, podobnie jak on, roztargnienia w podróżach, a który nań wywarł

wpływ przeważny. Byronowi opowiadanie Malczewskiego miało podać treść do *Mazepy*. Oddalenie się kilkoletnie od ojczyzny, zawiedzione nadzieje, osobiste przygody serca, zrodziły w umyśle Malczewskiego tę rzewną melancholiję, pod któréj wpływem dojrzewał jego genijusz. Przesycony wrażeniami podróży, około r. 1821 wrócił do Warszawy. W tym czasie napisał kilka powiastek prozą i drobnych wierszy — listy pisane na wzór Krasickiego, satyrę *Karnawał Warszawski* i kilka scen tragedyi p. n. *Helena*. Prace te nie rokowały osobliwych zdolności. Z Warszawy przeniósł się potém na Wołyń, wziął dzierżawą wioskę Hrynów w powiecie włodzimierskim, i oddał się przeważnie literaturze. Rozczytywanie między innemi Pamiętników Niemcewicza zbudziło twórczą jego wyobraźnię— nie jeden pomysł nasunęły mu barwne i poetyczne dziejów dawnych obrazy. Wtenczas to usnuł swoję *Maryę* z krążącéj po całéj Polsce wieści o losie Gertrudy Komorowskiéj *). Wśród tego zatrudnienia miała go spotkać w życiu ostatnia, ale najgorsza przygoda. Wyleczył za pomocą magnetyzmu schorzałą żonę sąsiada, panią Ruczyńską— i z nią razem udał się do Warszawy, gdzie już stale zamieszkał. Tutaj ogłosił poemat swój p. t. »*Marya, powieść ukraińska*« (1825), z dedykacyą I. U. Niemcewiczowi, który jednak razem z krytykami i publicznością owczesną nie umiał ocenić piękności tego utworu. Nikt nie chciał kupować poematu nieznanego autora. Złamany niepowodzeniem, niedostatkiem i chorobą, zmarł Malczewski r. 1826 w Warszawie. Gdy zdobyto się na postawienie mu pomnika, nie znaleziono nawet śladu mogiły.

Malczewski nie miał ani wyobrażenia o tém, co się już zrobiło na polu poezyi ojczystéj, bo nie znał literatury pol-

*) Działo się to na Ukrainie, około r. 1763. Potocki, wojewoda kijowski, pan możny i dumny, wysłał był syna swego za granicę. Ten po drodze wstąpił przypadkowo do domu hrabiostwa Komorowskich, obaczył ich córkę, pokochał i ślubem małżeńskim z nią się połączył. Nie podobały się ojcu jego te związki. Raziła arystokratę wielka rodu i majątku różnica. Przedsięwziął stargać węzeł święty. Lecz gdy syn poślubionéj wiary żonie złamać nie chciał, rozkazał kozakom porwać synowę i utopić w pobliskim stawie. W poemacie Malczewskiego, dla niepoznaki, Gertruda nazywa się Maryą a Szczęsny Potocki, ów późniejszy naczelnik Targowicy, Wacławem.— Kraszewski w *Starościnie Bełzkiéj* i Antoni Muczkowski w dziele p. n. *Tajemnice społeczeństwa* i t. d., zamieścili dokumenta historyczne, dotyczące téj brudnéj sprawy. Oprócz samego wojewody, haniebnie tu występują rodzice zamordowanéj, którzy targują się o okup i biorą pieniądze za krew nieszczęśliwéj ofiary.

skiéj i nic z nią nie miał wspólnego. Obcy wszelkim koteryom i szkołom, sam jak kwiat wyrósł z nasienia na łące i upadł powalony burzą. Czuły, namiętny, boleśnie uczuwający wszelką przeciwność losu, wiecznie się nosił z gorzkim osadem żądz niezaspokojonych w duszy; gonił za rozkoszami życia i spalił serce na popioł. Uczucie zrobiło go poetą. Wychowaniec Ukrainy, uczuciem poetyczném wmarzył się w otaczającą go przyrodę, zbliżył do miejscowych podań i pamiątek, które dostarczyły genijuszowi jego żywiołu, i stworzyły właściwy charakter poety miejscowego, polsko-ukraińskiego. Obeznanie się z literaturą postronnych, osobliwie angielską, rozprzestrzeniło jego wiedzę, podniosło wyobraźnię. Byron zwłaszcza wycisnął na nim piętno swoje: wszelako wpływ ten nie przeistoczył jego ducha i charakteru — naśladowanie widać w saméj formie.

Poemat *Marya*, niewielkiego rozmiaru, treść ma za szczupłą i niedość ważną, aby ją snadno można było podnieść do wzniosłych tonów i kształtów epopei. Nie z dziejów bowiem publicznych, ale z domowéj i osobistéj wzięta jest przygody. Syn jednego z polskich magnatów, hrabia Wacław, zakochał się w córce ubogiego szlachcica i tajemnie pojął ją za żonę. Oburzony tém Wojewoda, ojciec Wacława, chce rozerwać małżeństwo, stara się o rozwód. Z drugiéj strony stary Miecznik ojciec Maryi, szlachcic polski niemniéj dumny jak magnat, z uczuciem obrażonéj godności odpycha zięcia od swego domu. Wojewoda, nie mogąc skłonić syna do złamania wiary zaprzysiężonéj ukochanéj Maryi, chwyta się okrutnego sposobu. Udaje, że się zmiękczył, wylewa się z czułością dla Wacława, szuka pojednania się z Miecznikiem; w chwili napadu Tatarów wyprawuje syna z nadwornemi hufcami, żeby pod dowództwem teścia rycerskim czynem okazał, że godzien jego córki, a tymczasem daje tajemny rozkaz sługom wpaść do domu Miecznika i zgładzić Maryę. Po zwycięztwie nad Tatarami Wacław pierwszy przybiega z pola bitwy uścisnąć żonę, i znajduje ją nieżywą.

Taka jest cała treść poematu. Razi ona poniekąd uczucie moralne. W czynie głównym przedstawia zbrodnię — niewinność i cnotę upadającą bez zemsty. Mimo tego działa tragicznie, tém skuteczniéj, że poeta usuwając starannie z przed oczu widok zbrodni, szanuje w czytelniku uczucie piękna. Przedziwny urok sprawia tu ciemna strona fantazyi, w któréj głębi Malczewski pojął rzecz swego poematu. Właściwém też

godłem z Jana Kochanowskiego zagaił początek pierwszéj pieśni:

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie.
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Rzeczywiście wszystko się w téj powieści splątało w gmatwaninę nieszczęścia, nigdy nie rozwikłaną. Rzecz prosta i zawiła, naturalna i okropna, powszednia i głęboka jak przepaść. Główny zarys obrazu prosty jest, głęboko jednak pomyślany. Przedstawione w nim sceny pełne siły dramatycznéj i życia. Nie tak czyn krwawy, jak przygotowania do niego wzbudzają zgrozę, kiedy morderca, przed dokonaniem swéj roboty, potajemnie, milczkiem, w skrytości myśli układa zabójstwo. Daleki zamach straszniejszy jest nad samo uderzenie. Nie śmierć, ale droga do śmierci, ale kręte do niéj manowce sieją postrach. To czajenie się uprzedzające skutek jest nakształt mroku, budzącego złowieszcze przeczucia w duszy czytelnika. Jest to sposób używany przez wielkich artystów, a zasadzony na głębszéj znajomości natury i serca ludzkiego. Z gwaru uczt wesołych, z łona okazałości i zbytku, poeta wywołał straszliwe przeczucia bojaźni i smutku, w które się cały obraz potém przemienia. Nie ma nic bardziéj przerażającego dla duszy ludzkiéj, jak ten uśmiech złowrogi omylnego szczęścia, ta ironija losu, co w zdradliwych ponętach rozkoszy, ostre do piersi przymierza kolce— to niespodziewane przejście z pomyślności do rozpaczy i przelęknienie śmierci, budzące nagle myśl zajętą sennem szczęścia złudzeniem.

Tajemnica osłania zamiar wojewody. Jego samego prawie nie widać na scenie. Poeta stawia mordercę w głębi. Raz tylko jeden ukazał go w komnacie starego zamku.

Nikt tam niezawołany wnijść się nie poważy—
Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy.

Szczęśliwie tu pochwycony kontrast pomiędzy światłem dziennem i czarnemi myślami Wojewody.

I gdy z gorących oczu sen trwożny odlata,
I gdy mu duszną była wysoka komnata,
Otworzył wązkie okno— patrzał czas niejaki
Na swoje liczne hufce, rozwinięte znaki,

Co się do nakazanéj zbierały wyprawy;
Słuchał budzącéj trąby i wojennéj wrzawy.
Prychają rącze konie, brzęczą w ruchu zbroje,
Szumią skrzydła husarzy, chcą lecieć na boje.
Dla nich wstające słońce w różowéj pościeli
Blaskiem złotych warkoczy widokres weseli,
I wznosząc świetne czoło, najpierwszém spójrzeniem
W lśniącéj stali swe wdzięki postrzega z zdziwieniem;
Dla nich pachnący wietrzyk, co swój oddech świeży
Dmucha na włosy dziewic i pióra rycerzy;
Dla nich gwar małych ptasząt, w żywéj słodkiéj nucie,
Co z mokrych rosą dziobków wyrywa uczucie:—
Nie dla niego— on nie chciał na widoku zostać—
W niknących cieniach zamku zanurzył swą postać,
Jak te straszące mary, które bojaźń nasza
Widzi w bezsennéj nocy— poranek rozprasza.

Tatarzy pustoszyli w ów czas Ukrainę. Wojewoda postanowił korzystać z téj okoliczności. Ale jak podejść syna, kochanka, męża Maryi? Jak jéj ojca oddalić z domu? Wysyła gońca z listem do Miecznika. Uprzejmemi słowy oznajmuje, że dawną urazę zatarł niepamięcią. Żałuje prawie za grzechy; synowę zaprasza do domu. Więcéj jeszcze: — »takiego szczęścia«— pisze Wojewoda— »syn mój nie wart; niechaj w wojennéj potrzebie dobija się pierwéj chwały. Właśnie oto Tatarzy grasują w tych okolicach; niechaj walczy w obronie wdzięków swéj żony.« — Ale ani słowa prawdy nie było w tych cukrowych wyrazach. Owe hufce miały oddalić Miecznika z cichego domku. Albowiem przeczuwał pan Wojewoda, że Miecznik tak ważnéj sprawy nie poruczy niedoświadczonemu młokosowi. Przewidywał, że starzec, uniosłszy się rycerskim zapałem, zostawi Maryę w domu, samę, bez pomocy. Z takiém pismem wyprawiwszy kozaka, tuli syna, z którym dotąd zostawał w niechęci przez pamięć na dawniejszą zwadę, że woli jego nie chciał być posłusznym. Rozmawia z nim teraz łaskawie, pieści się z niezwykłą mu rodzicielską czułością. Daje ucztę na zamku w przeddzień zgonu Maryi. Cudny, prawdziwie narodowy koloryt tego obrazu.

Do późnéj nocy w zamku zgiełk i tentent trwały,
Do późnéj nocy trąby i wiwaty grzmiały.
Dawny wrócił obyczaj, wspaniała ochota,
Długie się stoły lśniły od srebra i złota;

I loch pański jak serce zdawał się otwarty—
A stary węgrzyn płodził nie bez duszy żarty;
I godząc huczne tony z wesołym hałasem,
Muzyka z swą melodyą przebiła się czasem.
Do późnéj nocy twarze— ostre— malowane—
Przodków w długim szeregu zebranych na ścianę,
Zdały się iskrzyć nieraz martwemi oczami
I śmiać się do pijących— i ruszać wąsami.

Odtąd Wojewoda na zawsze znika ze sceny poematu.— Cóż Miecznik?

Pod staremi lipami Miecznik dumał stary,
I dźwigał w zwiędłéj głowie utrapień ciężary.
Chociaż ten czarny żupan, smutny przy siwiźnie,
Nosił i jasne barwy, gdy służył ojczyźnie—
Ojczyźnie! któréj imię śród boju i rady,
I spornego wyboru i hucznéj biesiady,
Czystym gorzało ogniem— a serce jak w wiośnie
Ptak do słońca, do niego skakało radośnie!
Ale czas świetnych uczuć już ściemniał— ej! minął,
I boli tylko życie, a kwiat jego zginął.
Dumał— i przeszłe żale, obecne zgryzoty,
Pokrył kir nieprzebity grożącéj sromoty.
O! póki tchu przynajmniéj, tak łatwo i marnie,
Płomień zawziętéj pychy gniazda nie ogarnie!
O! póki czarny żupan żywe członki ciśnie
Wyschła ręka w potrzebie starą szablą błyśnie! —
Lecz potém?— dumał Miecznik i wzrok wodził hardy,
Pełen niechęci— gniewu— a może i wzgardy.

Przewodzenie butnego pana, niedola i miłość córki, jéj wiek młody, bladość na jéj licu, uczucie własnéj godności, wszystko to boleśnie go dręczy.

»Wolałbym dźwigać więzy u brodacza Turka,
Niż żeby mi tak marnie więdnieć miała córka;
Wolałbym w ciemnéj turmie pewnéj czekać zguby,
Niżli patrzyć spokojnie na te smutne śluby!
Alboż to w naszéj Polsce braknie na młodzieńcach,
Co to pannom umieją wyskoczyć w rumieńcach,
I tak jak dawniéj było— rycerskie kolano
Raz w życiu tylko ugiąć— po wianek, za wiano!

Nie! Maryo! nie trza wzdychać— twego nie obrażam:
Mężny jest i cnotliwy— wiesz że go poważam;
Lecz mnie jego rodzica pycha niecierpliwi —
A kiedy łzami Maryi swoje serce żywi,
Ha! toć i u mnie szabla nie czczym tylko blaskiem,
I mignie mu przed oczy święconym obrazkiem.
Taż to u naszéj szlachty dawne przywileje,
Skrzesać ognia w pałasze, gdy przyjaźń ściemnieje—
Przyjaźń? a nasze hufy nie z sobą na sejmie,
A nasze *veto* krzyczy jeszcze i w rozejmie!
I gdyby kraju napaść, z Hetmanem umowy,
Nie rzuciły mnie wówczas Szwedowi na głowy;
I gdyby twoja matka (daj jéj niebo Panie!)
W swe rańtuchy nie skryła młodych serc kochanie,
A niewieścim w błyskotkach, tajemnicach, smakiem,
Nie zawarła tych związków z swych matron orszakiem:
Nigdyby w moje kopce wróg się nie mógł schować,
Anibym jego złości dozwolił grasować.
Bo cóż to ja zastałem? żonę zmiotła kosa—
A córę— szczep jedyny— z łez polewa rosa.
Dla staréj karabeli zbyt to wielkie dziwy
Znosić tak ciężkie razy, los tak obelżywy.
Alboż choć raz do serca me dziecię przytulił?
Alboż młodością— wdziękiem— choć raz się rozczulił?
Nie— od domu, imienia, ze wzgardą odgania,
I teraz w Rzymie szuka ślubów rozwiązania.
O! co tak to najlepiéj! i mnie to rozwiąże—
Wysunie raźna młodzież, i ja za nią zdążę:
Choć może mniejsi w liczbie, Boga w pomoc wezwą,
To w końcu téj tam waśni— dzwony się odezwą!«
Otarł znużone czoło, czapkę głębiéj wmiesił,
Kiwnął ręką, i głowę czarnym myślom zwiesił.

Jak w Wojewodzie widzimy typ dumnego możnowładcy, skupione wady ówczesnego społeczeństwa — panującéj między stanami różnicy, a ztąd wzajemnéj pogardy i niechęci, przemocy i nierządu, nadużyć i swawoli; tak Miecznik jest ideałem starego szlachcica polskiego. Ten żupan czarny, włos szronem sędziwym pokryty, ten w nachylonéj głowie dźwigany ciężar utrapienia, nie złamały w nim jeszcze rycerskiego ducha. Malczewski idealizuje wszystkie szczegóły, wszystkie zewnętrzne znaki narodowe, strój, wysłowienie, przesądy i wady.

On pierwszy — jak zauważył Michał Grabowski — szatę polskiego szlachcica — żupan, oraz broń jego — kord, karabelę do poetyckiéj wzniósł godności.

Przybycie Kozaka z listem Wojewody smutek Maryi odmieniło w niespodzianą radość. Miecznik czyta i wydziwić się temu nie może. Opatrzność w téj chwili zsyła nań błyskawicę podejrzenia, ale nie znając z własnego doświadczenia podstępów zdrady, zaufał słodkim wyrazom. Znika natychmiast wszelka trwoga, wątpliwość. Serdecznie wita zięcia, który wkrótce zdążył ze zbrojnym hufcem po przybyciu kozaka. Co żywo krząta się, rozdaje oręż ludziom, poleca Maryi przyjęcie gości:

»Marya niech się tymczasem w krzątaniu nie leni:
Suto stoły zastawić — nie szczędzić korzeni —
Pieprze, bobki, imbiry, cykaty, szafrany;
Bo to ten piękny rycerz w bakaljach chowany,
O winie ja pomyślę....«

A tak kilka zwodniczych wyrazów chytrości, jeden uśmiech na twarzy Maryi, obecność Wacława, utuliły rozżalonego starca, poskromiły burzliwość skrzywdzonego ziemianina, natchnęły męztwem rycerza. Nie szczeryż to obraz przodków, kiedy przez tyle set lat na strażnicy Europy, własną piersią odpierali spustoszenie od chrześcijaństwa, a zapalczywość jako charta, zawsze mieli na smyczy, gdy wzywała wspólna potrzeba?

Czyn gwałtowny niewidoma odprawuje ręka. Gdy Wacław ruszył z Miecznikiem i zbrojną drużyną na harc tatarski, sama śliczna Marya bez straży została w opuszczonym domu. Poeta wprowadza tajemnicze jakieś pacholę utyskujące na świat przed wrotami zagrody. Postać ta zdaje się być nakształt światełka zwykle poprzedzającego rozerwanie nawalnéj, gradowéj chmury. Stary sługa zapytuje go:

»Moje młode pacholę! gdzież to ty wędrujesz?
Czy z Ziemi Świętéj wracasz, że tak utyskujesz?«—
»Oh! nie! — ja wszystkim obcy śród mojéj ojczyzny,
I śmierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny,
I świata jadłem gorzkie, zatrute kołacze:
To mnie ciężko na sercu, i ja sobie płaczę.
A kiedy się rozśmieję — to jak za pokutę;
A kiedy będę śpiewał — to na smutną nutę,

Bo w mojéj zwiędłéj twarzy zamieszkała bladość,
Bo w méj zdziczałéj duszy wypleniono radość,
Bo wpływ mego anioła grób w blasku zobaczy.«—
»To czegoż chcesz pacholę?«— »Uciec od rozpaczy.«

W tajemniczéj owéj istocie poeta upostaciował prawdopodobnie duszę własną, szarpaną nieukojoną tęsknotą.

Stary sługa rozmawiał z ową postacią, nic jednak nie rozumiał. Obróciwszy wzrok w inną stronę, postrzega maski, larwy zbliżające się w różnobarwnych strojach z wrzaskiem i śpiewem karnawałowéj, zapustnéj ochoty. Byli to wykonawcy krwawego zlecenia Wojewody. Pieśń ich dziko-liryczna, trwożna i pusta, okropna i wesoła, też same uczucia wzbudza w sercu naszém. Jest to najgenijalniejszy pomysł poematu, cała muzyka duszy przelana w słowa:

1.

»Czy znasz weneckie zapusty?
I w noc, i we dnie,
Wesołe, szalone, przednie.
Maska twarz kryje— a kto się pyta
O sprawy czyje, tego przywita
Wrzawa, śmiech pusty.
Żywo, radośnie,
Skrycie, miłośnie,
Staruszek Doża, arlekin młody,
Dziewczyna hoża, szuka osłody;
Matrony, księża, oszusty,
Swobody.
A kryte łodzie
Czernią na wodzie.
Wrzawa, śmiech pusty!
Czy znasz weneckie zapusty?«

2.

»My sobie jedziem kuligiem,
I w noc, i we dnie,
Wesołe, szalone, przednie.
Maska nas kryje— a kto chce wiedzieć,
Zkąd my i czyje, to odpowiedzieć
Śmiechem i krzykiem.
Szczera ochota
Otwiera wrota:

Bo krakowianki i pielgrzym stary,
Żydzi, cyganki, uderzą w pary,
Wróżki, djabli, nie oszusty,
W puhary.
Lecim saniami,
I jadą z nami
Wrzawa, śmiech pusty!
Czy znasz ty polskie zapusty?«

»Ale tu wejść nie można; teraz nie zapusty:
Pan Miecznik na Tatarach, to i dworzec pusty.«
Tak stary sługa wstrzymał tych przychodniów śmiałość,
I znów rozparł na wrotach niewzruszoną stałość.
Lecz gdy grać, śpiewać, piszczeć, grzechotki potrząsać
Poczęły wszystkie larwy, a nogami pląsać,
I łączyć obce stroje, papierowe czoła,
Wzrok żywy, rysy martwe, w migające koła,
I farby, blaski, cienie, rozwijać w polocie,
I skoczno, zwinno, buczno, rzucać się w obrocie;
Tak mu w szumiącéj głowie myśl wzięła tańcować,
Że patrzał, a nie wiedział, jak się pomiarkować.
Śmiał się z żydów, cyganek, bał wróżek z djabłami,
I chciwie łapał ruchy, i mrużył oczami.
A maski przed nim skacząc mijały się żwawo,
A maski w nim ciekawość syciły obawą.
Aż wykrojone usta zadmuchały w rogi,
Opuściły się ręce, zatrzymały nogi,
I głosy ostre, fletni umilone wtórem,
Wrzasnęły tę piosneczkę niedobranym chórem:

»Ah! na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

A gdy się troski do duszy wkradną,
Hucząc w niéj chmury czarnemi;
A gdy nieszczęścia na kogo spadną,
I postać wzniosłą, szlachetną, ładną,
Smutek nachyli ku ziemi:
O! niech na chwilę złość się już schowa,
Rany sztyletem nie cuci....
Niech choć przy zgonie zabrzmią te słowa:
Wróci spokojność— wróci!

Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

Albo gdy nieba cud nad chorobą,
Gołąb — od przekleństw odleci,
I władzę życia zabierze z sobą,
A wyschłe lica nadmie żałobą,
Wprzód nim gromnica zaświeci:
Niech nikt, by uśpić zgonu boleści,
Tryumfu pieśni nie nuci ...
Chyba te słowa w końcu umieści:
Wróci twój anioł — wróci!

Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

A gdy kto chętny w drugich obronie
I sam się w przepaść zagrzebie;
Krótka ztąd radość w zawiści łonie;
Choć złe i dobre w grubéj zasłonie,
Sąd ostateczny jest w niebie.
Może w kłopocie i silna głowa
Posępnie kiedy się rzuci ...
Niech z ust życzliwych brzmią wtedy słowa:
Wróci wesołość — wróci!

Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

A gdy kto dążąc z dalekiéj drogi,
W mieszkanie przyjaźni zajdzie,
I już w uściskach topić ma trwogi;
Lecz ciche, puste przebiegłszy progi,
Twarzy kochanéj nie znajdzie:
Więc drżąc, czy się co złego nie dowie,
Spuszczone czoło zasmuci ...
Niech choć gościnność kręcąc się powie:
Wróci gospodarz — wróci!

Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie." —

— „Ha! Pan Bóg święty z wami! jeźliście nie duchy,
To wasze pstre maszkarki wesołéj otuchy.
Alboż to nam pierwszyzna? Wszak nieraz kuligi
Po całych tu miesiącach skakały jak frygi.

Prosim, Jegomość wróci, a choć nie jest w domu,
Na winie i pierzynie nie braknie nikomu."
Weszły, nizko kłaniają, w parach się prowadzą,
Obzierają się w koło i kupią i radzą.

Tymczasem Wacław z Miecznikiem ucierają się z dziczą pogańską. Prześliczny jest opis bitwy i porażki Tatarów. Zdaje się że w poecie zagrała dusza dawnego hussarza polskiego. Przytaczamy tu dwa najpiękniejsze ustępy.

Dzielne było natarcie. Tatarskie szwadrony,
Ich księżyce, buńczuki z końskiemi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,
Płeć śniada, wąsy zwisłe a czarne jak kruki,
Ich nasępione rysy, przymrużone oczy,
W których śnie srogość źwierząt z ludzką się jednoczy,
Cały ten widok wreszcie w dzikość okazały,
Pożar, stepy w około, świszczące już strzały,
Żadnego, albo raczéj jak z bodźców odzienie,
Takie na czuciach polskich zrobiły wrażenie.
Pędem burzy lecieli; lecz nim przyszło zblizka
Ludziom ostrza się dotknąć, koniom pyskiem pyska,
Gdy w półobręcz wpadali wsławioném prawidłem,
Skrzydło tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem;
«Ałła hu!» wrzasły hordy, i tysiączne roty
Na opasanych strute wypuściły groty.
«Hura!» krzyknęła wiara, i lotem sokoła
Chmurę strzał przeszywała w środku tego koła.
Dochodzą, już dochodzą zbitym w rzędy tłumem
Lasem dzid najeżonych, z hukiem, z trzaskiem, z szumem,
Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz, a ściana
Przebitych Bisurmanów wali się złamana.
Tratują ludzi konie; koncerze, kopije,
Kolą pod kopytami niewiernych jak żmije;
Zapał głowy ogarnął, stal błyska, krew broczy;
Śmierć trudzi się, zdmuchując wywrócone oczy!
Wszystko to chwilę trwało, bo z boków i w tyle
Barbarzyńcy nastają w niezliczonéj sile.
Czas ginąć hufcom polskim; młody wódz je zbiera,
Zachęca ich, szykuje, obraca, naciera.
Dopiero mieszanina: każdy obskoczony
Wirem męztwa na wszystkie wywija się strony,

Rąbie, sili, morduje z nieprzebraną zgrają
Jeden dziesięciu zwalczył, krocie nań wpadają;
Stek zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski,
Tuman zewsząd a mieczów latające blaski...

Jakież to grały trąby za przyległym lasem?
Jakież to świeże hufy czwałują z hałasem?
Jakiż to nowy rycerz krzyżowym zamachem
Drogę sobie toruje śmiercią i przestrachem?
Koń ledwo ziemi tyka; włosy rzadkie, siwe,
Wiatr z światłem rozwijają jak komety grzywę;
A w pływających ruchach, wydatnéj postawie,
Szparko bieżący pośpiech o szybkość w obawie;
Jak lwica opuściwszy swoje lwiątko skoczy
Zajadłém męztwem, gdy je wpośród ludzi zoczy;
Jak matka, o wygnańcu straciwszy nadzieję,
Gdy ujrzy swoje dziecię, w radości topnieje:
Z takiém zmieszaném czuciem i matki i lwicy,
Z kordem świecącym w ręku, z lotem błyskawicy,
Zdziwionym, zlękłym oczom, gdyby jakie mary,
Obok swojego zięcia Miecznik stanął stary.
Jego hufce tuż za nim; jego przywitanie,
Tobie należy najprzód, napuszony Hanie!
Lecą obces na siebie: Polacy, Tatarzy,
W bezczynném zachwyceniu patrzą, co się zdarzy.
Jakiś czas Miecznik zmudził; uderzy, odskoczy,
I znowu w całym pędzie przeciwnika tłoczy;
Aż wybrawszy swą porę, w odwet silnym razem
W kark niewierny święconém utopił żelazem.
Spada dzielnym zamachem odmieciona głowa,
Drga oczami, bełkoce niepojęte słowa,
Toczy się, ziewa, blednie i gaśnie; z tułupa
Co siedzi niewzruszony, krew do góry chlupa!
Powstał krzyk przeraźliwy — pierzchają — koń Hana
Ucieka między hordy z trupem swego pana.
Strach przejął barbarzyńców; grzmią trąby, rzeź grają,
Nowi rycerze gonią, dawni się zbiegają.
Trzask, iskry, świst z połyskiem, huk, wrzask, jęki, rżenie,
A zapylona sława upięknia zniszczenie.

Zwycięzki Wacław wraca w nocy do domu żony, teść został jeszcze na pobojowisku:

«Ja tu objażdżki dojrzę, a jutro ze świtem
Brzęknę wam na dobrydzień witaném kopytem.»

Powrót Wacława jest jednym z najpiękniejszych ustępów powieści.

Powstał z pośpiechem Wacław, i dawnym zwyczajem
Uściskał starą rękę, co jemu nawzajem
Szorstkie, silne, lecz szczere oddała ściśnienie,
I już bystry koń z jeźdzcem przesadza drzew cienie,
A stary Miecznik wziął się do zwykłych pacierzy.—
O! jak ślicznie przez pole młody Wacław bieży!
Srebrny połysk na włosach, na piórach, a w zbroi
Twarz ogromna księżyca, malutka się dwoi.
O! jak ślicznie, wśród ciszy w naturze rozlanéj,
Lecieć z stęsknioném sercem do swojéj kochanéj!
I każdy przedmiot witać z przychylną pamięcią,
I wszystkie je wyścigać nieścignioną chęcią!
Wtedy to słodkie tony, brzmiące przerywanie,
Śpiew słowika, szmer wody i żab skrzekotanie;
W dzikiéj, tęsknéj i żywéj i tkliwéj muzyce,
Mówią ocknionym czuciom swoje tajemnice;
Wtedy to luby zapach, co z kwiatów ulata
Lekkiém tchnieniem rozkoszy mgłę trosków odmiata,
I dusza rozjaśniona, jakby ujście miała
W niebiosa swego twórcy z kajdan swego ciała;
Wtedy matka natura wszystko z człekiem dzieli,
I wszystko się uśmiecha i wszystko weseli;
Wtedy w schowanéj szabli uraz zapomnienie,
W pyszném spójrzeniu dobroć, w ustach — przebaczenie,

Ta noc, ten księżyc, to zwycięztwo nad Tatarami, to uściśnienie starego miecznika, to dumanie pełne słodkich nadziei, obok pewności czytelnika, że rycerz w domu trumnę i pogrzeb zastanie, — ileż w tém wszystkiém smutku! Co tu żałości, — a najbardziéj ile effektu malarskiego, dramatycznego, poetyckiego!

I tak, to leciał Wacław — błogi, gdyby nagle
Piorun rozdarł w téj chwili jego życia żagle,
Boby nim wicher świata miotać nie był w sile,
Chybaby szumiał wściekły po zimnéj mogile.
I tak to mijał stepy: lecz świetne marzenie,

Co niém ćmi dzieci ziemi szczęścia upojenie,
Oh! zbyt krótkie! — jak widmo staje przypomnienie,
I budzi martwą przeszłość, i w wonne kotary
Szepcą dreszcz i niepokój zgromadzone mary:
„Tak ją mdłą, słabą widział; a wszak bez obrony
Więdnie pieszczotny powój; a wszak bez osłony
Nie trwa tu słodki owoc. I cóż? ledwo wrócił,
Ujrzał swój raj stracony, i zaraz porzucił!
Dla czego? dla czczéj sławy, któréj blask nie waży
Jednego uśmiéchnienia ukochanéj twarzy.
Gdybyż przynajmniéj w los swój wierzyć miał powody,
Lecz ledwo burza przeszła, już pewny pogody,
Niepomny jak to gorzko czas zgryzotą liczyć,
Płochy, — wydarł się szczęściu, co mógł odziedziczyć.“
Ah! daléj, prędzéj! lekko przez chwasty i rowy
Sunie koń wyciągnięty, a brzękiem podkowy,
Hukiem pędu, błyszczącą postacią rycerza,
Ocknionego wieśniaka pierwszą myśl uderza:
„Ha! ha!“ — nim otarł oczy i serca mógł dowieść,
Znikł rycerz i zostawił o upiorach powieść.
I tak to leciał Wacław — szczęśliw, trwożny razem,
Śliczny, straszny — był wiernym śmiertelnych obrazem.

Do wrót wreszcie koń doparł swe piersi spienione,
I zarżał, nozdrza chłodząc, to w tę, to w tę stronę.
Lecz chociaż księżyc jasny, nie widać nikogo,
Ni giermek do strzemienia szybką skoczy nogą.
„Musi być bardzo późno: niech śpią, trosk nie czując.“
Tak myślał młody Wacław....

Naostatek postrzega ruch w sypialnéj komnacie. Przez otwarte okno widzi lekką zasłonę, którą wiatr to wypychał z pokoju, to znowu wciągał. Niecierpliwy skacze przez to okno i znajduje umarłą kobiétę w żałobnéj odzieży. Tajemnicze pochole uwiadamia rycerza o tém co zaszło.

I tak Wacław od razu wszystko w świecie traci,
Szczęście, cnotę, szacunek dla ludzi swych braci;
I nigdy już swéj lubéj ze snu nie obudzi,
Co mu miała zastąpić wszystkie cnoty ludzi,
Któréj blask czysty, słodki, anielskim promieniem
Fałsz przyjaźni, serc próżność, powłóczył złudzeniem.

I tak Wacław pozostał samotny w pustyni:
Jakże zniknienie Maryi ciemną ją uczyni!
Długo on przy jéj zwłokach stał w niemój żałobie,
Jakby z kamienia posąg przy kochanki grobie;
Bo zgroza srogiéj złości i widok jéj skutku
Wygnały nawet z duszy rozczulenie smutku:
Tylko ten gorzki pomysł do żalu go wrócił:
„Ah! czemu ufał ludziom, czemu ją porzucił!“
I gdy w jéj zbrzękłéj twarzy widzieć mu się zdało,
Co tam w walkach ze śmiercią mimo niéj zmartwiało —
Pierwszy, ostatni wyrzut, i to z tym wyrazem:
Że ich szczęście i siebie zagubił z nią razem;
Wtedy dopiero serce odzyskało bicie,
Twarz ukrył w obie ręce — i płakał jak dziécię!
Lecz nie długo: już serce zdradzone, pokłute,
Zepsuło się w truciznie przez jednę minutę;
Już duszy wprzód wyniosłéj zatknięte to godło,
Co wygnańców swych myśli w sromotę zawiodło.
Czyż ten bujny młodzieniec już ziemi ohyda?
Ah! pytaj raczéj — na co dobroć się tu przyda,
Gdzie co czułe, szlachetne, chwilę tylko świeci,
Gdzie zgon starych rodziców korzyścią ich dzieci,
Gdzie chlubna miłość bliźnich w udanéj tkliwości
Cieszy się ich niedolą lub szczęścia zazdrości,
Gdzie rola wzniosłych chęci zawsze się nie uda,
Bo w śliczny welon cnoty stroi się obłuda,
Gdzie tylko jedna słodycz — w wzajemnym zachwycie
Serc wiernych, niezgadnionych zanurzyć swe życie.

Znakomicie pochwycona tu chwila owego zatrucia duszy pod wpływem zbrodni i krzywdy niezmiernéj. Pacholę szepce Wacławowi swą powieść,

. . . . . a w twarzy rycerza
Czarna, czarniejsza chmura coraz się rozszerza;
I znów nagle rozpaczą zaciemnione lica
Zapał gniewu i wzgardy jak piorun oświéca:
Aż w nim powstała wreszcie ta ponurość dzika,
Co patrzy w jeden przedmiot — w trumnę przeciwnika,
Kruszy najświętsze węzły w ognlu swego piekła,
Gdy i w najbliższém sercu trucizny dociekła!
Aż w nim powstała wreszcie ta chciwość szalona
Krwi, krzyków, dzwonów — płomień popsutego łona,

Co domowéj niezgody rozpala pochodnię,
I w własném swojém gnieździe zbrodnią karze zbrodnię.

Wśród tego pasowania się zemsty, żalu, rozpaczy, Wacław jeszcze „w krótkiém zamyśleniu korzy się przed Bogiem,“ nim,

. . . . dobywszy miecza, co świsnął, a w cięciu
Srogim będzie i w trupa zostanie ujęciu,
Wyszedł —
i skoczył na koń.

Mistrzowski obraz sędziwego Miecznika, gasnącego zwolna, bez skargi i szemrania, na grobie córki, zamyka powieść.

Na ukraińskiéj cerkwi błyszczą się trzy wieże,
A ukraińskie baby szepcą swe pacierze;
Biją we dzwony żaki, i zysk sobie krzeszą:
Ludzie dobrzy — czy chrzciny, czy to pogrzeb, spieszą.
Wewnątrz kiry, katafalk i trumna, a w rzędy
Blado się palą świece: czarno, straszno wszędy.
Czyjaż tam wzniosła postać śród ciekawych grona
Leży długim i martwym krzyżem rozścielona?
Czyjaż tam pierś rycerska w kurzawie się wala?
I z tą cichą pokorą, co się nie użala,
Choć i najsroższych kaźni ciężkie dźwiga brzemię,
W swéj niemej pobożności jakby wbita w ziemię?
Blady — jak łysk od gromnic, co mu na twarz wbiega,
Smutny, jak śpiew umarłych, co się tam rozlega,
Z poziomego zniżenia, gdzie go wiara tłoczy,
Jak robak świętojański świecą jego oczy.
Ah! to pana Miecznika siwa, nędzna głowa:
Niedawno żonę stracił, teraz córę chowa;
Na to huśtał kołyskę, by w trumnie uspili,
Na to jéj woził lamę, żeby całun szyli.
I dziwno — tak nieczułym zdał się na pogrzebie,
Jakby już dusza jego była z córką w niebie.
I takim był i potém: ni żalu ni skargi
Nikomu nie zwierzyły wypłowiałe wargi.
Ni łez w hardém spojrzeniu nie było oznaki;
Mniéj z ludźmi, więcéj z Bogiem, a zresztą — jednaki.
Co dzień on w jednéj porze chodził pokryjomu;
Lecz nim wydano hasła, powracał do domu.
Raz — i północ minęła, a Miecznik nie wraca;
I gdy patrząca czujność nadzieję utraca,

Gdy dziko grają trąby, a ze snu, jak z procy,
Rzucili się rycerze k'zemście lub pomocy,
Znaleźli go w cmentarzu. Przy córki i żony
Przyległych dwóch mogiłach klęczał nachylony:
Taż sama w ustach słodycz, a w czole sędziwość,
Ta sama bladość twarzy, ale oczu żywość,
Czapka, wąsy, dla Polski straszydło na wrogi,
I żupan ten sam czarny; tylko że gdy trwogi
Odgłos z trąby wojennéj dochodzi daleki,
Nie porwał się do korda: już spał — spał na wieki!
I cicho, gdzie trzy mogił w posępnéj drużynie;
I pusto, smutno, tęskno — w bujnéj Ukrainie.

Układ poematu przypomina utwory Byrona. Części składające powieść, jakkolwiek przerywane i rozrzucone na pozór, zlewają się nader harmonijnie w jednę całość. Ów pozorny nieład w opowiadaniu, przerywanie osnowy, przenoszenie niespodziane sceny, zasłanianie umyślne celu, tajemniczość charakterów i działań, godła nareszcie umieszczone na czele, przypominają autora Lary i Korsarza. Rzeczywistego nie ma naśladowania — chyba we wprowadzonéj przez poetę tajemniczéj postaci pacholęcia, jestestwa jakby innego świata, jako zwiastuna mającego nastąpić nieszczęścia; jest to wszelako postać symboliczna, zgodna z pojęciami i wyobrażeniami ludu miejscowego.

Główne założenie poety było psychologiczne. Chciał on przedewszystkiém wystawić rozwój namiętności i skażenie ducha zacnego, omdlewającego w żelaznych szponach niedoli. Podobnie jak Byron, jest on przeważnie lirykiem. Poemat jego, jest to karta wydarta z własnego żywota, historya własnych uczuć poety. Wszędzie on wyprowadza na scenę własną osobę już to w postaci dowierzającego ludziom Wacława, już owéj istoty zagadkowéj — pacholęcia zwarzonego rozpaczą przedwczesną, już w cudnéj postaci bladéj i czystéj, jak gołębica, Maryi. Bez wątpienia znać na Malczewskim wpływ demonicznéj natury Byrona; lecz gdy u tego przesyt wyraża się nienawiścią i wzgardą ku ludziom, oraz buntowniczém urąganiem wszelkiéj świętości, u Malczewskiego toż samo odczarowanie przybiera postać trawiącéj duszę tęsknoty bez nadziei i granic, wyraz smętnego, bolejącego utysku, w którym zdajesz się „przez mokre źrenice“ czytać „tajemnicze życia przygody.“ Nie jest to brzask zaranny, ale zmierzch dnia chmurzącego się ku wieczorowi dzikiéj, ponuréj, melancholijnéj fantazyi.

Poeta co chwila odsłania pola nowych wyobrażeń dla duszy, i potrąca wszystkie uczucia tęskne, których stanu nie stara się wyraźnie opowiadać, ale obraz ich tylko wystawia, aby je z nim dzielił czytelnik. Oto np. dwa cudowne ustępy tego rodzaju:

Jest trosków, kolców, bolów nie mało w tém życiu,
I więcéj niż na jawie, płynie łez w ukryciu;
A kto się hucznym śmiechem śród jęków odzywa,
Jak szalony w szpitalu, szczęsnym się nazywa.
Lecz gdy umysł szlachetnéj uległszy ponęcie,
Z gruzów najdroższych uczuć wznosząc przedsięwzięcie,
Brnie w zdradliwéj ufności, a za każdym krokiem
Podkopanych przepaści otoczon widokiem;
Gdy ptak z karmem pisklęcia trzepoce swe skrzydła,
Widzi chłopię z pałeczką, a na szponach sidła;
Gdy sroższéj od najsroższych wpatrując się męce,
Sama nawet odwaga załamuje ręce,
A z tysiąca blizn czarnych, co jéj w sercu cięży,
Gniazdo syczących na świat wylęga się węży;
Gdy złość w swojém szaleństwie zrobiła zabawę.
Wydrzeć życie w kaduku, ale pierwéj sławę,
I nie tylko obecność tarza się w ohydzie,
Przyszłość jeszcze otruta, rozczochrana idzie,
Komu? anielskiéj duszy, co za to przeklęta,
Że cukrem przyjmowała drapieżne źwierzęta.
Gdy każdy dobry przymiot w gorzki żal się zmienia: —
Większe to, niźli ziemskie; piekielne cierpienia!

W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie
Dla jednych czas powoli odrętwienie niesie;
Gubią listek po listku, aż w późnéj jesieni,
Jak mszyste, głuche dęby, stoją obnażeni,
Drugim, skwarem ich słońca zbite nawałnice,
Rzucą z trzaskiem i grzmotem dzikie tajemnice,
I znów błyśnie pogoda, i czasem się zdaje,
Że weselsza zieloność po burzy powstaje;
Lecz kto się bliżéj wpatrzy, choć pozór jednaki,
Dostrzeże — czarne wewnątrz spalenizny znaki;
A gdy w rażoném drzewie wicher rdzeń rozżarzy,
Któż pożar od piorunu gasić się odważy?
I tak bujna krzewina zniszczenie rozniesie
W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie.

Nie dziw więc, że Malczewski uzyskał uznanie i miłość młodego pokolenia oraz sławę pośmiertną. Pośród literatury pedantycznéj zajętéj zimném rozważaniem uczuć i namiętności, przemówił on językiem szczerego aczkolwiek chorobliwego uczucia. Nadto, chociaż odbudowanie przeszłości stanowi podrzędny żywioł w planie jego powieści, ale jako wielki artysta, umiał on odmalować tę przeszłość niewielu wprawdzie, lecz typowemi rysami. Orle oblicze Wojewody przejmuje strachem; olbrzymia postać sędziwego Miecznika zdaje się być wyrzeźbioną z marmuru i prawdziwie godna jest epopei. Najidealniejszym charakterem w poemacie Malczewskiego jest Marya, żona Wacława. Pobożna i pełna wiary pokora podnosi ją niejako nad sferę ziemską i czyni prawdziwą wybranką nieba. W kwiecie wieku i miłości owdowiona przez tyrańską rozłąkę z mężem, którego kocha, tuli ona swą boleść w dziecinném przywiązaniu do ojca, szuka pociechy w Ewangelii, w księdze dającéj duchowi żywot niebieski.

... Przy nim młoda niewiasta — czemuż kiedy młoda,
Tak zamglonym promieniem świeci jéj uroda?
Ni ją ubior udatny, ni ją stroją kwiaty,
Czarne oczy spuszczone i żałobne szaty;
A w twarzy smutek, czoło co schyla w cichości,
Którego całym blaskiem — uśmiech cierpliwości!
Lub jeśli kiedy nagle, w pośród gęstych cieni,
Jaka myśl czy pamiątka jéj lica zrumieni,
To tak mdłém, bladém światłem, jak gdy księżyc w pełni
Niezwykłém życiem rysy posągu napełni.
. . . . . .
Jakaś posępna słodycz w jéj każdém ruszeniu,
Ani łzy, ani żalu, w jéj mglistém spojrzeniu;
O! nie — przeszłych już zgryzot nie widać tam wojny,
Tylko znikłéj nadziei grobowiec spokojny,
Tylko się lampa szczęścia w jéj oczach paliła,
I zgasła — i swym dymem całą twarz zaćmiła.

Przy nim młoda niewiasta nad księgą żywota,
Jak trwożna gołębica, pod jasności wrota
Wzbijała ducha wiary, i skrzydły drżącemi
Szukała swego gniazda daleko od ziemi.
A że nad przepych świata i blasków pozory
Widniejsze pióra białe zniżonéj pokory,

I drży nić, którą serce do nieba związane;
To kropla słodkiéj rosy upadła w jéj ranę.
I wznosząc w górę oczy z tym tkliwym wyrazem,
W którego jednym rzucie wszystkie czucia razem,
Gdzie przyszłość do przeszłości po jasnym promieniu
Biegnie jak czuła siostra łączyć się w spojrzeniu —
I wznosząc w górę oczy — doznała — jak lubo
Rozbłąkanéj w swym żalu swego szczęścia zgubą,
Gdy już z ziemskich i chęci i strachu ochłódła
Tęsknić szlachetnéj duszy do swojego źródła.

Obok tego Marya ma charakter mocny i podniosły. Jest to córka przywiązana do ojca, żona gotowa poświęcić się dla męża, pełna chrześcijańskiéj cnoty niewiasta — przytém szlachetnie myśląca obywatelka. Kiedy po krótkiéj chwili połączenia się, Wacław odjeżdża na bitwę z Tatarami, nie zatrzymuje jego; tłumiąc swoje obawy, powiada:

Nieprawdaż mój Wacławie? ty będziesz odważny,
Stały, wytrwały, dzielny — ale i uważny.

Potém dręczona złowieszczém przeczuciem, chce mu towarzyszyć, dzielić z nim niebezpieczeństwa.

Ach! — z jak okropną trąby zagrały żałobą!
Och! nie rzucaj mnie znowu! och! zabierz mnie z sobą!

Co Malczewskiego odróżnia od Byrona, to jego uczucia religijne. Powieść jego nie grzeszy nigdzie przeciw obyczajom; wszystkie osoby są szlachetne, wspaniałe i nie bezbożne. Jeśli niektóre z nich unosi pycha zapamiętała, widać jednak w nich zgryzotę sumienia. Przypomnijmy sobie koniec Miecznika. Bohaterowie Byrona kończą inaczéj.

Nie wszystkie jednak strony przeszłości objął Malczewski w swym poemacie. Ukraina jego jest czysto polska, magnacka, pańska i rycerska. Z gminem ruskim poeta nic nie ma wspólnego, używając go tylko jako malowniczą ozdobę krajobrazu. W ten sposób wystawia on np. kozaka pędzącego z listem od Wojewody do Miecznika.

Ej! ty na szybkim koniu gdzie pędzisz kozacze?
Czyś zaoczył zająca, co na stepie skacze?
Czy rozigrawszy myśli, chcesz użyć swobody,
I z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody?

Lub może do swéj lubéj, co czeka śród niwy,
Nucąc żałośną dumkę, lecisz niecierpliwy?
Bo i czapkęś nasunął, i rozpuścił wodze,
A długi tuman kurzu ciągnie się na drodze,
Zapał jakiś rozżarzá twojéj twarzy śniadość
I jak światełko w polu błyszczy na niéj radość,
Gdy koń, co jak ty dziki, lecz posłuszny żyje,
Porze szumiący wicher wyciągnąwszy szyję.
Umykaj czarnomorcu, z swą mażą skrzypiącą,
Bo ci synowie stepu twoję sól roztrącą.
A ty czarna} ptaszyno, co każdego witasz,
I krążysz i zaglądasz, i o coś się pytasz,
Spiesz się swą tajemnicę odkryć kozakowi —
Nim skończysz twoje koło, oni ujść gotowi.

. . . . . .

Minął już kozak bezdnię i głębokie jary,
Gdzie się lubią ukrywać wilki i Tatary;
Przyleciał do figury (co jéj wzgórek znany,
Bo pod nią już oddawna upiór pochowany),
Uchylił przed nią czapki, żegnał się trzy razy,
I jak wiatr świsnął stepem z pilnemi rozkazy.
I koń rzeski, żadnym się urokiem nie miesza,
Tylko parsknął i wierzgnął i daléj pospiesza.
Ciemny Boh po granitach srebrne szarfy snuje —
A śmiały, wierny kozak myśl pana zgaduje—
Szumi młyn na odnodze, i wróg w łozie szumi,
A żwawy, wierny ikonik kozaka rozumié —
I przez kwieciste łąki, przez ostre bodiaki,
Lżéj się nie przesuwają pierzchliwe rumaki;
I jak strzała, schylony na wysokiéj kuli,
Czai się zwinny kozak, do konia się tuli,
I przez puste bezdroża król pustyni rusza —
A step — koń — kozak — ciemność — jedna dzika dusza.
O! któż mu tam przynajmniéj pohulać zabroni?
Zginął — w rodzinnym stepie nikt go nie dogoni.

. . . . . .

Za wrotami koń grzebie, a we wsi psów wrzawa:
Zkąd to kozak przypędził, że taka kurzawa?
I zsiada, — i na płocie cugle zarzuciwszy,
Wchodzi w duży dziedziniec, wąsa poprawiwszy,
Na ogorzałéj twarzy ostrych chwil wspomnienie,
Prosty jego był ukłon, krótkie pozdrowienie;

Jednak różnym się zdaje od służalców grona.
Poddany — lecz swobodę z ojca powziął łona.
I gdy dumnie pojrzawszy do pana iść żąda,
Śród wiodącéj go zgrai jak władca wygląda:
Zwinne jego obroty, kroki jego letsze,
Bo swoje członki wędził na stepowym wietrze.
. . . . . .
Aż przed pana Miecznika stawi się z orszakiem,
A koń rży, jak za matką tęskni za kozakiem!

Malczewski zupełnie był obcy z wychowania gminowi ukraińskiemu i nie widział go po za szlachtą; lecz jako artysta, sercem zrozumiał piękność ukraińskiéj przyrody i z nieporównaném mistrzowstwem malował krajobrazy stepowe. Lubi on te smutne pola mogiłami zasiane.

I długo i daleko słychać kopyt brzmienie,
Bo na obszernych polach rozległe milczenie:
Ani wesołéj szlachty ni rycerstwa głosy,
Tylko wiatr szumi smutnie uginając kłosy,
Tylko z mogił westchnienia, i tych jęk z pod trawy,
Co spią na zwiędłych wieńcach swojéj staréj sławy,
Dzika muzyka — dziksze jeszcze do niéj słowa,
Które duch dawnéj Polski potomności chowa —
A gdy cały ich zaszczyt krzaczek polnéj róży,
Ach! czyjeż serce, czyje, w żalu się nie nuży?
. . . . . .
Włóczy się wzrok w przestrzeni, lecz gdzie tylko zajdzie,
Ni ruchu nie napotka, ni spocząć nie znajdzie,
Na rozciągnięte niwy słońce zkosa świeci —
Czasem krocząc i wrona i cień jéj przeleci,
Czasem w blizkich burzanach świerszcz polny zaświerka,
I głucho — tylko jakaś w powietrzu rozterka.
To jakże? Myśl przeszłości w téj całéj krainie
Na żaden pomnik ojców łagodnie nie spłynie,
Gdzieby tęsknych uniesień złożyć mogła brzemię?
Nie — chyba lot zwinąwszy, zanurzy się w ziemię:
Tam znajdzie zbroje dawne co zardzwiałe leżą,
I koście, co nie wiedzieć do kogo należą;
Tam znajdzie pełne ziarno w rodzajnym popiele,
Lub robactwo rozległe w świeżém jeszcze ciele;

Ale po polach błądzi nie sparłszy się na nic,
Jak rozpacz — bez przytułku — bez celu — bez granic.

Nieprzebrane bogactwo uczucia, harmonija układu, świeżość, barwność, wydatna i dotykalna prawie plastyka, wreszcie charakterystyczna trafność i prawdziwość w kreśleniu przesądów i wyobrażeń ludu, a głębokie poczucie natury ukraińskiéj — takie są główne zalety «Maryi.» Przeciwnie, ujemną stronę poematu stanowią, obok wad wypływających z saméj treści przedmiotu, przywary nałogowe dawnéj szkoły francuzkiéj, wytworna powierzchowność, miejscami deklamacya i w rozmowach najbardziéj patetycznych rażąca przesada uczuć. Malczewski bierze z serca dziejów swoje postacie, jak Wojewody lub Miecznika, bierze z dziejów i treść, bo śpiewa o walkach codziennych Rusi z Tatarami i kreśli śmiałą ręką obrazy Ukrainy nad Bohem; ale z resztą cały poemat jego nie wiele ma barwy polskiéj. Poeta usiłował wystawić staroświecką obyczajowość narodową, ale że trafiał tylko przypadkiem, że nie miał siły i wiedzy dostatecznéj, sztukował przeto czułostkowością i patetyzmem, psując pomysły piękne. Malczewski bohaterom i bohaterkom swojego poematu kładzie w usta słowa, które sam pewno powtarzał pięknym kobietom w salonach. Ztąd owe deklamacye, owe sceny powitania i pożegnania Maryi z Wacławem, są głosem najczulszym wzburzonéj gwałtownie namiętności, ale nie wyrażają prawdy. Nigdy się przywiązanie silniéj nie tłómaczyło jak w Malczewskim; ale są to dobre ustępy wzięte same w sobie, poematowi jednak szkodzą i ścierają z niego barwę narodowości. Czy mógłby np. rycerz polski przemawiać do żony w te słowa:

«Gdym w stepowéj i dzikszéj umysłu pustyni
Lubił błądzić, aż pomrok przedmioty zasini;
Nigdy mi żadna gwiazda nie błyszczała w ślady,
A koń bił się do domu przez wicher i grady:
Tyś dla mnie zeszła, Maryo! i w brzasku mych myśli
Świetną drogę twe światło ku niebiosom kryśli,
O! szczęśliw, pyszny, wdzięczny, że w zalotném gronie
Czułość na mnie z ufnością śliczne sparła dłonie!
O! błogi, że w tém sercu przez mokre źrenice,
Życia, czucia aniołów czytał tajemnice!
Lecz czemuż ta łza smutku, któréj ciężkiém tchnieniem
Ja oddychał, i ciebie okryła swym cieniem?

Czemuż we mnie tarń życia kolcami nie wrośnie,
Tobie mdłym pachnąc kwiatem w krótkiéj swojéj wiośnie?....

Wielką także wadą Malczewskiego jest język nienaturalny, naciągany, często nawet niezrozumiały; — widoczna, że nim nie władał swobodnie. Tam tylko więcéj jest naturalny, gdzie uczucie prawdziwsze i silniejsze popłynęło mu z serca. Wzorem Byrona Malczewski grzeszy częstokroć zbyt wyszukanemi effektami i nadużywa allegoryi, upostaciowując pojęcia oderwane, uczucia i namiętności. Weźmy np. czterowiersz wyobrażający stan Maryi po odjeździe Wacława; każde słowo jest tutaj allegoryą:

Już w jego próżném miejscu, zadumana, blada,
Ciszę budząc westchnieniem, samotność osiada;
A na odłogu szczęścia zgryzota korzeni
Swe kolczaste łodygi robaczliwéj rdzeni.

Krytycy szkoły dawnéj przyjęli utwór Malczewskiego zimno i zarzucali mu fałszywe wyobrażenie o poezyi; dopiéro Michał Grabowski i Maurycy Mochnacki wywalczyli «Maryi» wielką wziętość. Stała się ona u czytającéj młodzieży jedną z najulubieńszych książek dla treści, pięknych uczuć i dziwnego uroku wiersza. Słowacki bardzo wysoko cenił Malczewskiego *), i Mickiewicz wielkie mu oddawał pochwały.

Marya doczekała się kilkudziesięciu wydań, od najuboższych do najwykwintniejszych. Wyszła nawet w Londynie w r. 1836 Tłómaczona była na języki: francuzki, niemiecki, angielski i czeski **). Objaśniano ją, pisano żywot autora, zbierano materyały, żeby można było żywot Gertrudy objaśnić.

Pozostałe rękopisma, a między temi powieść czy dramat *Samuel Zborowski*, zaginęły.

Józef Bohdan Zaleski urodził się we wsi Bohaterce na Ukrainie r. 1802. Najpiérwsze lata młodości swojéj spędził pod skromną strzechą ukraińskiego chłopka, a piérwsze wrażenia odebrał błąkając się na wolę puszczony po niezmiernéj, milczą-

*) Słowacki pisze w jednym liście do matki (z Genewy, r. 1833): „Patrząc co dnia na szczyt góry Montblanc, przychodzi mi często na myśl Malczewski, który po śmierci jednym poematem tak wzrósł, że nawet głową przewyższa naszych poetów?

**) Francuzkiego przekładu dokonała panna *Clémence Robert*, razem z tłómaczeniem „Zamku Kaniowskiego“ p. n. „*Les Ukrainiennes*“

céj przestrzeni stepów *Mołocznych* Ukrainy. Piérwsze wrażenia otrzymywał od ludu, wśród którego przechowywały się niezmienione od wieków obyczaje, prostota życia, liczne wspomnienia z dawnych czasów i żywa wiara w świat nadzmysłowy. Ztąd w wierszu p. n. *Żywa pieśń* mówi o sobie:

Z torbanem wyrósł ja, Dniepr, Iwanhora,
Chata gdzieś w gaju starego znachora,
Widzę — och — jakbym pożegnał ją wczora:
Śpiewałoż ptastwo tam — byle dzień biały;
I znów dziewczęta z Majdanu śpiewały;
To znowu męzki głos wojennéj chwały
W cześć Atamanów — mąciły się społem
W pieśń jednę żywą! I pieśń tę połknąłem. *)

Od r. 1815 odbywał nauki w Humaniu razem z Sewerynem Goszczyńskim, z którym go odtąd wiązały węzły serdecznéj przyjaźni. Obydwaj udali się r. 1820 do Warszawy, na dokończenie nauk przy świeżo założonym uniwersytecie. Przez dziesięcioletni pobyt w Warszawie, pod wpływem różnych wrażeń i stosunków rozwinął się w Zaleskim duch poetycki. Tęsknota za Ukrainą, zawiązujące się stosunki z tymi, którzy natenczas w literaturze rozpoczynali reformę, zwłaszcza z Brodziń-

*) Dla lepszego zrozumienia poetyckiéj tworczości Zaleskiego, przytaczamy tu własne jego słowa, które pisał przed r. 1830 jako objaśnienie do urywku z poematu *Damijan książę Wiśniowiecki*. »Niedaleko Rzyszczowa, nad samym Dnieprem, jest wyniosła góra, otwierająca na wsze strony piękne i rozległe widoki, przezwana od pospólstwa *Iwan*, czyli jednym wyrazem *Iwanhora*. U wierzchołka zalegają rozwaliny zamku, wedle powieści, niegdyś Wiśniowieckich a potém Szczeniawskich. Przed kilkunastu laty, kiedy swobodne dziecię, lubiłem przebiegać tę górę w rozmaitych kierunkach, napotykałem nieraz sędziwego bandurzystę, któremu podobnych i dziś jeszcze lubo rzadziéj, nietrudno atoli napotkać na Ukrainie. Starzec ten znał nieskończone mnóstwo podań dawniejszych, i chętnie je opowiadał. Między innemi jedno smutne o Wiśniowieckim, przeplatane dumami, jako będące w harmonii z otaczającemi ruinami zamku i tąż samą miejscowością, bardziéj niż inne utkwiło w mojéj pamięci. Z czasem zapomniałem o nim, ale piérwsze wrażenia tak żywo mieszające się ze wszystkiemi uczuciami późniejszego wieku, długo samopas snuły się i kształtowały; aż mało po mału i cały przedmiot odmalował się przed moją imaginacyą — przy pisaniu jasno i wyraźnie, jak osoba torbanisty i miejsca, przypomniały mi się niektóre wiersze i koloryt całéj powieści...» Na innem miejscu powiada: »Oddawna już ja polubiłem wszelakie bez względu pieśni ludowe. Czuję męzką pogodę, prostotę, spokojność rolniczą i tysiączne ujmujące przymioty w owych kwitnących, pełnych czucia i natury natchnieniach ludów słowiańskich.»

skim, wreszcie życie wśród niedostatków, wywierały przeważny wpływ na młodego poetę. Przez pewien czas był nauczycielem w domu Górskich, później w domu generała Szembeka. Po r. 1830 opuścił kraj i przeniósł się do Francyi, zkąd odbył rozmaite podróże, pomiędzy innemi do Włoch. We Francyi przebywał w rozmaitych miejscach; w końcu zamieszkał w Paryżu. Najściślejsze stosunki przyjaźni łączyły go z Mickiewiczem *). Własne studya i podróże wzbogaciły jego umysł. Zna

*) Oto są wyjątki z listów Adama do Zaleskiego, malujące ich stosunek wzajemny:

Lausanne. Listopad. 1839.

.... Pracę mam wielką. Dni całe nie wstaję od stołu, a często do piérwszéj w nocy rozbieram jaki trudny metr łaciński. O siódméj muszę być na nogach we dni lekcyjne. Żrę tedy łacinę i pluję francuczyzną. Nie prędko będę mógł spotkać się z tobą na lutnię. Śpiewaj tymczasem mój słowiku. Podobno twój ostatni poemat jest ten, gdzie wprowadzasz kozaka opowiadającego wojnę zbaraską. Myśl bardzo szczęśliwa, bo ci da ramy i ograniczy twoje obrazy i zatamuje wybryki liryczne, które twoje opowiadania zawsze rwą....

Styczeń. 1840.

.... Ale, ale, twój ów wiersz senny, dziwna to, dziwna i arcydziwna rzecz. Bo uważ, że ja kiedyś, w auguście, czy septembrze, napisałem, albo rzuciłem na papier kilkadziesiąt wierszy w celu robienia piérwszéj części *Dziadów*. Owoż rzecz taż sama. Chłopiec tuła się między mogiłami. Tylko u mnie fantastyczniéj, bo śpi, a chórem nad nim nucą piołuny siwe i lebioda i ślimaki etc. etc. Inspiracya mnie opuściła i przestałem pisać. Twój ułomek aż mnie nastraszył, tak jest ładny. Kto wie, czy ty teraz nas nie okradasz przez sen z wszelkiéj poezyi? Kto wie, czy mocą teraz silniejszą nie ciągniesz do siebie całego ciepła i światła poetycznego? I widzisz, dla czego my nie piszem....

25 Grudnia 1840. Paryż.

Wczoraj byliśmy na sutéj wieczerzy u Eustachego Januszkiewicza. Wyzwany przez Słowackiego improwizacyą, odpowiedziałem z natchnieniem, jakiego od czasu pisania *Dziadów* nigdym nie czuł.... Duch poezyi był ze mną. Chciałbym wiedzieć coś ty wczora robił i co myślał? bo mnie się zawdy widzi, że my we dwóch tylko jednego mamy ducha, i że w jednym czasie nie możemy być poetami na ziemi. Bo choć duch jest wieczny, ogranicza się czasem, kiedy się w nas wciela....

15 Sierpnią. 1841.

Bohdanie! skoro ten list przeczytasz, upadnij na kolana i dziękuj Panu. Wielkie tu dzieją się rzeczy (mowa tu o zjawieniu się Towiańskiego)....

Słowiczku mój! a leć a piéj
Na pożegnanie piéj
Wylanym łzom, spełnionym snom,
Skończonéj pieśni twéj.

rozmaite języki słowiańskie i kilka europejskich; tłómaczył też pieśni serbskie, oraz kilka utworów Petrarki, Goethego i Schillera.

Zaleski nierównie głębiéj od Malczewskiego zajrzał w serce Ukrainy. Gdy autor «Maryi» przeczuwał tylko skarby ukryte w ziemi rodzinnéj, Zaleski odgrzebał je, rozkopał kurhany odwieczne i z łona ich wydobył stosy najcenniejszych kamieni, które następnie z niedościgniona ogładził i wykończył doskonałością. W tém poetyczném obrobieniu nie dorównał mu żaden z liryków polskich XIX wieku. Światło i harmonija posługiwały mu jako niewolnice pokorne. Zaleski urodził się takim poetą, jakimi od wieków rodzili się prości, ludowi śpiewacy Zaporoża. Przyroda pokrewna rozwinęła w oczach jego swoje powaby, swoje tajemnic pełne obrazy i uroki. Wiatr stepowy podesłał mu swém tchnieniem napowietrznego łoża puchy, kołysał w dzieciństwie, i unosił dźwięcznym szumem na stare mogiły i komysze.

I mnie matka Ukraina,
I mnie matka swego syna,
Upowiła w pieśń u łona;
Czarodziejka — na rozświcie
Napowietrzne, ptasie życie
Przeczuwała na plemiona,
I wołała rozczulona:
«Piastuj dziecię me Rusałko!..
«Mlekiem dum—i mleczem kwiecia,
«Pój do lotu mdłe to ciałko!
«Pięknéj sławy méj stólecia
«Podaj do snu na obrazki!
«Barwą złotą i błękitną,
«Tęczą w okrąg niech rozkwitną
«Wszystkie mego ludu kazki!»

Słowiku mój! twe pióra zzuj,
Sokole skrzydła weź
I w ostrzu szpon, złoto — stron
Dawidzki hymn tu nieś.

Bo wyszedł głos i padł już los,
I tajne brzemię lat
Wydało płód — i stał się cud!
I rozraduje świat.

W lipcu 1840 r. Zaleski z bratem gościł u Mickiewicza przeszło miesiąc w Lausannie, i razem odbyli podróż na Mont-blanc i po okolicach szwajcarskich.

Jak wysokie miał wyobrażenie Mickiewicz o Bohdanie, dowodzą następujące słowa wypowiedziane w odczycie 28 czerwca 1842 r. mianym w Kollegium Francuskiém: «Zaleski niewątpliwie jest największym ze wszystkich poetów słowiańskich. Rzucił on pęk kwiatów na zakończenie igrzyska poetyckiego Słowian, i będzie zawsze wprawiał w rozpacz tych, coby jeszcze chcieli miłować sztukę dla sztuki saméj, wyczerpał bowiem wszystkie sposoby, wszystkie rytmy, wszystko co jest najświetniejszego w kolorycie, najdelikatniejszego w odcieniach.»

Jest to biografija poety i jego charakteru. Ztąd natchnienie Zaleskiego tak jest przyrodzone i swobodne, jak siła wieszcza owych nieznanych piewców, tworców dum ukraińskich, które od pieluch pieściły jego ucho, poiły wyobraźnię. Lotna, swobodna, błyszcząca wyobraźnia nastręcza mu niewyczerpane bogactwo barw i obrazów. Ma on dar szczególny widzenia poetycznego każdéj myśli, każdego uczucia, z któremi igra na podobieństwo dziecięcia, kształci, stroi, przeobraża. Upędzając się za pajęczą siatką pieśni stepowéj, wydaje się jakiémś napowietrznem widzeniem, za to rojenia jego przybierają pozór uludnéj rzeczywistości. Muzę jego powiewną, wdzięczną, niepochwytną, najlepiéj maluje szumka p. n. «*Rusałka*».

Woda Limanu obrzaskiem rana
Orumieniona i zwierciadlana,
Niby aż z jasnych błękitów bieży,
A mruga — mruga do swych wybrzeży.

I rąbek śnieżny, cieniuchny, długi,
Między zielone gaje i smugi,
Zwiesza gdzieś gwiazdka, czy rączka złota —
I w prawo w lewo — po liściach miota.

Héj ptaszki z gniazdek — z gniazdek wy śpiochi!
Czas to się przecię rozruchać trochi:
Strójcie-no głoski! Ranne ja ptaszę,
Ja tu najpierwéj na gody nasze.

Cyt — cyt — słowiku ze smutkiem swoim!
Niech-no się wszyscy zbierzem, nastroim;
Za mną — no razem — jak zakochani,
Nuż na dzień dobry Królowéj Pani!

Cyt — cyt — turkawka ze zwiadów klaska, —
Królowa bieży. Srebrna opaska,
Rąbek ów śnieżny, cieniuchny, długi,
Między zielone wije się smugi.

Natrętnyż rąbek. O! z po za rąbka,
Coś — coś się buja niby gołąbka;
Z piórek mienionych blask czasem strzeli,
Buja się, buja — wprost do kąpieli.

Raz — dwa — trzy — ptaszki, nuże w niebiosa!
Niech się aż z listków poleje rosa!

Niech aż wietrzyki za nami dmuchną!
Może zasłonkę zwiną cieniuchną.

Cyt — cyt — czy woda o ciałko pluska?
Czy też rozbrzmienie na wiatr całuska?
Pewnie to ku nam, rada z piosenki,
Rączką od ustek dzwoni na dzięki.

Żeby to podejść — podleźć z ostrożna?
Żeby co widzieć — coś wiedzieć można?
Świecąż się ślicznie dwie gwiazdki oczu
Lecz z po za rąbka, niby w omroczu.

Bliżéj-no — bliżéj — bliżéj, z ukradka,
Śnieży się szyja krągluchna, — gładka,
Że jak po lodzie oczom ślizgawka —
Znowuż natrętny rąbek rękawka.

Bliżéj-no — bliżéj — Oj — oj — skrzydlata!
Czaruje oto — i w mig odlata —
Czaruje z dala, olśnie źwierciadłem,
Że odtąd żywy w śnienie zapadłem!

Zaczarowanaż Limanu wodo!
Biada mi odtąd. W głowie méj młodo —
Młodo-zielono, jako na łące,
I lśnią motylki wciąż swawolące.

Lata po leciech zawsze ja swoje!
Moję skrzydlatą Rusałkę roję!
Niby na jawie, i niby we śnie
Wiecznie się ku niéj skradam obleśnie.

Sposób pisania jemu tylko właściwy, świetny, barwny, brylantowy, do najwyższego stopnia wykończony, wydaje wszędzie wielkiego i niezrównanego sztukmistrza. Kunszt jego pozostał dla innych pisarzy tajemnicą — słowa jego wyrywają się z pod uwagi krytyka, i nie dozwalają ani się zbadać, ani dostatecznie określić. Powtórzyć tylko możemy za Mickiewiczem, «że Bohdan będzie zawsze wprawiał w rozpacz tych, coby jeszcze chcieli miłować sztukę dla sztuki saméj, wyczerpał bowiem wszystkie sposoby, wszystkie rytmy, wszystko co jest najświetniejszego w kolorycie, najdelikatniejszego w odcieniach.»

Jest to ocean światła w wody kropelce, wszystkie kolory tęczy iskrzące się połyskiem jednego mgnienia. Żywość i stroj-

ność obrazów, szczerota uczuć, zewnętrzny kształt i wysłowienie, połączyły się u Zaleskiego w najpiękniejszą harmoniję. Poezye jego są melodyą wyrazów — i trudno powiedzieć, czy większym jest poetą, czy muzykiem. Dla potwierdzenia słów naszych, przytaczamy dwa tylko drobne arcydzieła.

Rybaczka.

O! Hanko ślicznie z rana,
Co blasku, woni, krasy?
Lśni łączka wyzłacana,
Barwista w kwietne pasy;
Wstań robotnico! wstań-no! wstań-no już!
Héj grzędką — z wędką — nuże prędko — nuż.

Oj! świeci — leci — struga,
Bo stromo z góry spływa;
Oj Hanka — leci — mruga,
Bo sobie czarnobrywa;
Héj lecą — świecą — po murawach wzdłuż,
Héj lecą — świecą — że choć oczy zmruż.

Na strudze tam u ścieżki
Buja się gibka kładka;
Pluskają oba brzeżki,
Pląsa-bo — dziewa gładka;
Héj pląsa — mruga — hałasuje wzdłuż,
«O wędko — prędko — hul na wodę już.»

Co wodny rąbek pierzchnie
Co zadrga pręcik wiotki,
«Héj rybko na powierzchnię!»
I ani — ani — płotki:
Héj rybka — szybka — precz umyka wzdłuż:
Nudzi — bo — zmudzi — robotnica już.

Okuńka to tam psoty!
W czerwone strzyże skrzelki;—
Okuniek sino-złoty,
Oj pustak — pustak wielki,—
Nic nie pomoże — o! nieboże już —
Oj kto wie? złowi — nuż umykaj — nuż!

Okuniek tam— tam— tam— na dnie,
Wiosłuje w lewo — w prawo,
Wywija się — i ładnie
Na haczyk pędź-no żwawo!
Héj prędko — z wędką — tuż okuniek tuż;
Z drżączki — oj z rączki — pręcik poniósł już.

Okuniek tam — tam płynie —
Pustak — bo, pustak wielki,
Wybłyska w koniczynie;
W czerwone strzyże skrzelki;
Wiosłuje żwawo — w lewo — w prawo — wzdłuż,
Okuniek w chłopca przedzierga się już.

Oj Hanko — Góra Łysa
Dzień jakiś — dzień złowrogi!
To upior — co wysysa,
Héj Hanko — w nogiż!— w nogi!
Héj rybko — szybko — pustak tuż a tuż,
Na własną wędkę wpadniesz oto nuż!

Héj Hanko — w lot przez pole!
A trawa śliska — grzązka:
A bodziak z boku kole!
A tam — a sam gałązka!
Héj rybko — szybko — psotnik tuż a tuż —
Héj kto wie? złowi! proś i rączki złóż.

Rojenia wiosenne.

O! widać i słychać — w ogródku skowronek
Z piosenką podleci, upadnie,
I moje kwiateczki z rozpukłych nasionek,
Jak wschodzą zielono i ładnie!
O! milsze krosienka,
I miléj z okienka,
Zadzwoni piosenka,
La, la, la, piosenka!

Po kwietnéj, po świętnéj, z przewodnią niedzielą,
Rozrosną się w słońcu kwiateczki,
I w pączki się zwiną, rozwiną, wystrzelą
W czerwone, w niebieskie listeczki.

O! milsze krosienka,
I miléj z okienka
Zadzwoni piosenka,
La, la, la, piosenka!

Po cichu coś szepcą i młodzi i starzy,
O! łatwo odgadnąć z ich oczu,
Coś o mnie, o kwiatach — co? jakie do twarzy?
Co? jakie w mym upleść warkoczu?
O! milsze krosienka — i t. d.

O wiem ja, wiem kogoś, co wszystko mi powie,
Zwierciadło mi prawdę odsłoni;
Liliję uplotę u wstążek na głowie,
Różyczkę we włosach u skroni.
O! milsze krosienka — i t. d.

Wieczorem za dworem gościniec w kurzawie,
Gość jedzie na wronym koniku!
O! prędzéj — co prędzéj u włosów poprawię,
Przepaskę zacisnę w staniku.
O! milsze krosienka — i t. d.

Gość jedzie, już w bramie; rży konik z podwórka:
Mój Boże! ach! co go przywiodło!
I woła i pyta: «a państwo, a córka?»
I cugle zarzuca na siodło.
O! milsze krosienka — i t. d.

Od brzęku, od dźwięku ostrogi, szabelki,
Aż brzęczą, aż dźwięczą pokoje,
Aż skacze serduszko,— bo wojak to wielki;
Wszelako nie bardzo się boję.
O! milsze krosienka — i t. d.

Groziła mi ciocia — o! gdzie tam, co cioci!
Groziła z uśmiechem, nie szczerze:
«Bałamut!» — o! gdzie tam,— to anioł dobroci!
Bałamut? nie wierzę, nie wierzę.
O! milsze krosienka — i t. d.

On idzie i kłania i zbliża się do mnie,
I mówi tak pięknie i z cicha;
Wstyd oczu mi podnieść, tak chwali nieskromnie:
Pochlebnik!— o biedny! on wzdycha.
O! milsze krosienka — i t. d.

O! dobry i grzeczny i miły chłopczyna,
Lecz będę, o! będę ostrożna!...
Całować chce rękę — dalibóg zaczyna;
O proszę! niemożna! niemożna!
O! milsze krosienka,
I miléj z okienka
Zadzwoni piosenka,
La, la, la, piosenka!

Zaleski jest prawdziwym i z powołania lirykiem. Muzyka w utworach lirycznych, nie jest to dźwięk podrzędny, wtór, przygrywanie, ale główna, istotna część poezyi. Tworzy ją uczucie, rozbudzony w duszy pierwiastek piękna, który staje się źródłem harmonii. Według téj wewnętrznéj toniki poezya liryczna nastraja swoje nuty. Słowo jéj jest wcieleniem uczucia, a śpiew wykończeniem słowa. Zaleski pojął to powołanie liryka. Fantazya i rozmysł artysty, śpiew i kształt, muzyka i rzeźba powierzchowna zlewają się u niego w jednę piękność i harmoniję. Na tém zasadza się różnica i wyższość jego nad innymi poetami. Jeżeli z niego wyrzucisz jedno wyrażenie, jeżeli je nadwerężysz, odmienisz, już pozbawisz poetę jego piękności.

W poezyi Zaleskiego więcéj jest barw jasnych niż ciemnych, więcéj dźwięków radośnych niż smutnych. Za przykładem Jana Kochanowskiego, do którego najwięcéj się zbliża spokojem ducha i melodyą wiersza, unika on wszelkich dyssonansów, odwzorowując jedynie powabną stronę ukraińskiéj poezyi ludowéj;— w tém cały urok jego, w tém też i strona słaba. Siebie to odmalował on w wierszu

Śpiew poety.

Gdy na górach świta dzionek
A w dolinie srebrzy rosa,
I ja śpiewam jak skowronek,
I ja lecę pod niebiosa.
Lecę — gonię wspomnień marę,
Z kwiatów życia wieniec plotę:
Piękność, miłość, czucie, wiarę,
Na ogniwo spajam złote.

Świat odbija moja dusza,
Jak zielony brzeg krynica;
Wszystko piękne tkliwie wzrusza,
Wszystko tkliwe ją zachwyca.
Łza na krótko oko cieni,
Częściéj płoną w niém rozkosze;
Bo co ziemskie, rzucam ziemi,
Co niebieskie, w niebo wznoszę.

Z niewcielonych gdzieś tam światów
Garnę myśli — uczuć skarby;
Z nowych dolin, z nowych kwiatów
Do obrazów zbieram farby.
Oto w słońcu płoną łany,
Tchem wiośnianym pieści ranek;
Czemuś tęsknię zadumany,
Czegoś szukam, jak kochanek.
Wszystko kwitnie, wszystko woni,
Sympatyczne czucia wznieca;
Kwili słowik u jabłoni
Zapłonionéj jak dziewica.
Brzmią śpiewacy polni, leśni,
Pierś podnosi rzewność błoga;
Przyrodzenie wielbię w pieśni,
W przyrodzeniu wielkość Boga!
Brzmią śpiewacy... i na przemian,
To na dole, to na górze;
To dla niebian, to dla ziemian;
Wtórzą dla mnie; dla nich wtórzę.
Tak przebiegam różne tony,
Pierwéj z sercem dźwięk pogodzę;
I czyściejszy, upiękniony
Po samotnéj puszczam drodze.

Myśl méj pieśni nie przekwita,
Jako niebo, serce, wiosna;
Wiecznie świeża, rozmaita,
I dziewicza i miłosna.
Coraz w gaju śpiew ucicha,
Wolnie buja kilka chwilek;
I z wonnego róż kielicha
Piję balsam, jak motylek.
Znowu lecę między ziółka,
Między gaje, łąki, wody;
Biorę miody, a jak pszczółka,
Nie dla siebie biorę miody.
Gdy w polocie mym znienacka
Coś mię draśnie lub ukole,
Widzę w koło piękne cacka,
I jak dziecię koję bole.
Nic wyrzekam nigdy zbytnie,
Błogo w lubym żyję błędzie;
Wiosna kwitła, więc odkwitnie,
Lecz gdzieindziéj kwitnąć będzie.
Czara życia nie wciąż miodna;
Gdy cykutę spełnić trzeba,
Chrześcijanin, spełnię do dna,
I wesoło pójrzę w nieba.
Duch nie zgaśnie przez skonanie...
A dla ziemi — u mogiły
Kilka piórek pozostanie,
Co ku niebu mnie wznosiły.

Najpiękniejsze z utworów Zaleskiego są te, w których poeta, wziąwszy za osnowę jaki bądź motyw gminny, rozwijał go w cudowne, fantastyczne obrazy. Formę tę poezyi sam sobie utworzył Zaleski, i można powiedzieć, że w tym rodzaju jest najgenijalniejszy. Do takich fantazyjnych utworów należą: *Wzgórek pożegnania*, *Kalinowy most*, *Rusałki* i inne. Szczególniéj *Rusałki* są przecudnéj melodyi utworem; słusznie też o nich powiedziano, że je złożył czarnoksiężnik z dźwięków skazanych przez zaklęcie, aby się wydawały przez jakiś czas wyrazami. Poeta osnował tu swoje obrazy na tle zabobonnych wyobrażeń i złudzeń ludu ukraińskiego. Następujące wyjątki dadzą wyobrażenie o całości:

I. *Przesilenie.*

Święć się, święć się wieku młody,
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty,
Ideale wiary, cnoty,
I miłości i swobody!

Świat omamień wcześnie ginie!
Już wyśmiewam czary, dziwy,
Bo nie jestem prosty, tkliwy,
Bo nie jestem przy Zorynie.

Przy Zorynie inny byłem,
Byłem prosty, byłem tkliwy;
Wszędziem widział czary, dziwy,
Ach! kochałem i wierzyłem!

Bo też czysta czarownica,
Pełne zaklęć miała usta,
Jak Rusałka, żywa, pusta,
Jakie oczy, jakie lica!

Jakie oczy! jakie lica!
Oczy jasne, czarne, duże,
To nie lica, ale róże,
Czysta, czysta czarownica.

«Bój się! nieraz mi mówiła,
Gdy był księżyc na młodziku,
Mnie kąpała matka w mléku,
Nauczała czarów siła.

«Błyśnie siedem gwiazd na niebie,
W Dnieprze błysną trzy miesiące,
Zalśnią gwiazdy spadające,
I co zechcę zrobię z ciebie.

«Dość niech mrugnę, ręką skinę,
Będziesz ptaszkiem, rybką w rzece»—
Mnie się zdało że już lecę,
Że już lecę, że już płynę.

I całując rączki obie,
Zaklinałem: «Bój się Boga!
Daj mi pokój, moja droga!»—
«Nie, co zechcę z tobą zrobię.»

Uwikłany sam w powaby
Tajemniczych słów dziewczyny,
Długie chwile i godziny
Przemyślałem, płochy, słaby.

Nuż w latawca mię przemieni!
I jak orzeł albo sokół,
Będę musiał krążyć w okół,
Po niezmiernéj gdzieś przestrzeni.

Jeszczeż lecieć, lecz gdy zdradnie
Albo las na wierzchu góry,
Albo nizko będą chmury,
Albo skrzydło mi opadnie?

Lub też kto wie, co wietrznica
Nie wymyśli: każe może
Koralowe zwiedzić łoże,
Srebrny promyk znieść księżyca? i t. d.

III. *Przepióreczka.* *)

I pobiegły płoche, rade,
Ja patrzyłem, acz od ziemi,
A patrzyłem wciąż za niemi,
A knowałem wielką zdradę.

Coraz prędzéj, jak błysk fali,
Jak obłoczek biały, cienki,
Wieją jeszcze ich sukienki,
Jeszcze wieją... znikły w dali.

*) Nazwisko tańca ukraińskiego.

A więc milczkiem, w dwoje zgięty,
Pędem strzały, ptaka lotem,
Dołem, rowem, po pod płotem,
Trop w trop, śladem za dziewczęty.

Padłem, wstałem raz i drugi,
Gdy szły, szedłem, biegł gdy biegły:
Że też cienia nie postrzegły,
Choć był czarny, choć był długi.

Jaka była wtedy pora,
Jaki kwiat gdzie, jakiéj woni,
Widzę wszystko jak na dłoni,
Wszystko pomnę, jakby wczora.

Był na przodzie bór ponury,
Bliżéj rzeka; po nad rzeką
Kwitła łąka wzdłuż, daleko,
W prawo skały, w lewo góry.

Nazad ścieżka między zboża:
Widać wioskę mało-wiele,
I trzy wieże na kościele,
I trzy krzyże u rozdroża.

A na niebie żadnéj chmurki,
Słońce sieje blask wspaniale,
Po dnieprowych wód kryształe,
Między skały i pagórki.

Cień się czerni, wiatr przez błonie
Jako fala się rozléwa,
Raz utonie, znów wypływa,
Znowu płynie, znowu tonie.

Był na łące, już na drzewie,
Po tle wody marszczy kółka,
Zdmuchnął listki, wyssał ziółka,
Leci, pędzi, sam gdzie nie wie.

Wraz dziewczęta się zwróciły,
A ja w strachu, jak z kopyta
Jeszcze prędzéj między żyta,
I przyległem u mogiły.

I pełzałem niwą żytną,
Rwąc, badając różne kwiatki,
To tymianki, to bławatki,
I jak wonią i jak kwitną.

Alem nie to miał w pamięci,
Lisiém uchem, orlém okiem,
Wszystkom słuchał, śledził bokiem,
O co chodzi, co się święci.

Jako krążą, brzmią żórawie,
Gdy wracają tu na wiosnę,
Tak wesołe i radosne
Brzmią i krążą po murawie.

I jak rybka tuż za rybką,
Jak jaskółka za jaskółką,
Dłonie wdłoniach, raźno, w kółko,
W pląsach, skokach, krążą szybko.

A Zoryna w środku koła,
W tę i ową bieży stronę:
Wszędy wyjście zagrodzone,
Wszędy piosnka brzmi wesoła.

«Fit, fit, fit, fit, przepióreczko,
Przepióreczko piękna, hoża!
Nie ucieczesz nam do zboża,
Nie ucieczesz kochaneczko!»

I wietrznice krążą, nucą,
Taniec, piosnka jedna, druga,
Jak lecąca z dźwiękiem struga,
Nieustannie echa kłócą.

Miałżem siedzieć jak na grzędzie?
Myśl wyborna! napaść na nie,
Napaść znagła, niespodzianie,
Choć wiedziałem, co to będzie.

Jak Zoryna się zachmurzy,
I jak z góry na mnie wpadnie:
«A niegrzecznie, a nieładnie!»
Lecz nie bałem się téj burzy.

Gdy gotowy w przedsięwzięciu,
Oglądałem się po niwie,
Aż w tém widzę: dziwo dziwie!
Pięć, sześć, siedem, do dziesięciu.

Za górami, przy zagięciu
Skał do rzeki, między lasem,
Czasem pierzchnie, mignie czasem,
Pięć, sześć, siedem, do dziesięciu.

Już są, już są za sitowiem,
Po za rzeką, po za krzaki,
Co? i zkąd? i gdzie? kto taki?
Bij i zabij! nie opowiem.

Niemniejszą pięknością zalecają się *Dumki* i *Szumki*, rodzaj, który pierwszy Zaleski wprowadził do piśmiennictwa polskiego. Różnicę pomiędzy niemi stanowi nastrój, tęskny albo wesoły. Z dumkami i szumkami wiążą się *Wiośnianki*, które się niczém prawie nie różnią od tamtych, chyba tém, że są drobniejsze. Największa część dumek Zaleskiego jest treści powszedniéj, pospolitéj. Można je odnieść do dwóch osobnych epok, i ztąd między niemi pewnéj dopatrzyć różnicy. Pogodniejsze są te, które były złożone pod wpływem młodzieńczych wrażeń, miejscowéj przyrody, rodzinnego, ukraińskiego powietrza; posępniejsze, a razem słabsze drugie, wyśpiewane w tęsknotach, w rozczarowaniu ducha poety, kiedy sam z rozrzewnieniem postrzegał, jak świat jego omamień niknął stopniami, chwile zapału bywały coraz rzadsze, i łzy czucia coraz rzadziéj płynęły. *Smutna Krakowianka* i śpiew *U nas inaczéj* znamionują już jakby drugą epokę w życiu poety — wyrażają zwątpienie i tęsknotę. Niektóre z dumek Zaleskiego zamieniły się już w pieśni narodowe.

Nierównie mniejszą wartość mają *Dumy* czyli rapsody rycerskie Zaleskiego. Treść ich i barwę podała mu również Ukraina. Lud ukraiński ma epos dwojakiego rodzaju. Jeden stanowią tak zwane *byliny* ludowe okresu Włodzimierzowskiego, zupełnie prawie przez lud zapomniane, a istniejące tylko w szczątkowych podaniach; drugim, późniejszym są dumy kozackie, świeży, narodowy epos bohaterski, żyjący do dni dzisiejszych. Zaleskiemu znane były najlepiéj dumy kozackie. Kozaczyzna powstała i urosła pod skrzydłem Polski, i dopiero w XVII wieku zwróciła przeciw niéj oręż wojny domowéj. Krwawa ta karta wstrętna była poecie, już to ze względu na przyrodzoną mu łagodność serca i myśli pogodę, już jako Polakowi, z konieczności więc wmarzył się w czasy dawniejsze, w wiek XVI i początek XVII-go, w zdarzenia i ludzi, o których wyczytał w dawnych kronikach polskich, a o których

lud ukraiński zapomniał całkowicie od czasów Chmielnickiego. Zaleski rozkochał się w pamiątkach téj dawnéj kozaczyzny jeszcze nie pokłóconéj z Polską. Polubił nadbrzeża dnieprowe, porohy, życie tułacze watażków i atamanów, malownicze ich wyspy, śmiałe wyprawy na morze Czarne, pod Trebizondę i Synopę, albo Carogród, pokochał ich stosunek do Polski, do króla, do szlachty, która nieraz wodziła hufce ukraińskie na Turka lub Tatara. Za bohaterów swych pieśni brał kolejno wszystkich prawie celniejszych hetmanów kozackich, lub ich rodziny. Eustachy Daszkowicz, Lach Serdeczny (Przecław Lanckoroński), Damijan Wiśniowiecki, Kosiński, Sahajdaczny (Konaszewicz), zmartwychwstali w pieśniach poety. Wyprowadzone przezeń postacie przesuwają się po scenie rzezko, pięknie, szykownie, strojno i malowniczo. W *Dumie o hetmanie Kosińskim* widzimy płynące Dnieprem czajki lotne, słyszymy z brzękiem surm wznoszące się pod niebiosa *hura!*— a zdala miga dwór biały, gdzie widne rycerzowi jego ulubione godła, złota zbroja, sokół, chart i koń. Podobnie *Czajki*, zawierające śpiew Zaporożców w powrocie z wyprawy morskiéj Konaszewicza, przedstawiają nam Synopę płonącą ogniem i natolskie dymiące grody, kiedy lekki wiatr zachodni pędzi z popiołem i dymem czajki kozackie w kraj niżowy. Rycerze, pełni buty kozackiéj, pełni zaufania w swoim wodzu, wesołym śpiewem okrzykują przyszłe zwycięztwa, widzą przed sobą bogate łupy, złote z meczetów księżyce, janczarki, działa błyszczące ze spiżu, które już wcześnie posyłają na ładan i świece do Ławry pieczarskiéj. Słychać tu jakby zdaleka donośny śpiew Zaporożców:

Ura— ho! ura— ho! ura!
Limany! nasze limany!
W ogniach goreją kurhany,
I Czartomelik, i Dura!
Okrzyk bracia! a wesoło,
Aż rozgłośnie na około
Od Chortycy do Tawani
Zagrzmią progi i ostrowy!
Niech nam żyje, niech hetmani,
Konaszewicz nasz Koszowy!

Toż się tu z chmury na wody
Pełnia odbija miesiąca?
Nie— to Synopa płonąca,
Natolskie dymią to grody!
Przy wojennéj téj pochodni,
Kiedy lekko wiatr zachodni
Pędzi z dymem i popiołem
Czajki nasze w kraj niżowy,
Bracia! raźny okrzyk społem:
Niech nam żyje nasz Koszowy!..

W *Dumce Mazepy*, odnoszącéj się do czasów Chmielnickiego, poeta maluje uczucia krzywdy i porywcze uniesienia Kozaków. W innych dumach występują Różyński, Wiśnio-

wiecki, młody Iwonia i t. d. Duma *Lach-Serdeczny na marach* odznacza się rytmem prześlicznym, przypominającym muzykę pogrzebową. Przytaczamy ją tutaj.

Czarnym Szlakiem za swym Lachem Ukraina wzdłuż,
Jako umie, w tęsknéj dumie, krok za krokiem— tuż.
Wielki żal podaje w niebo, wszystkiemi och! dzwony:
Wraca Lach jéj, Lach-Serdeczny, do swéj Lanckorony.

Wóz się toczy zrywa oczy, a nie widno w łzach;
Wóz bogaty, héj makaty! na marach bo Lach!
Za marami pan Bohdanko, a między Kozaczą
Jazłowiecki i Sieniawski i Herburt w głos płaczą.

Wóz się toczy, zrywa oczy, prześwietla się wzwyż;
Héj buława! szabla rdzawa! héj czerwony krzyż!
Héj hetmańska zbroja sławna po świecie szerokim!
Héj hetmański koń sierota! rży smutnie: wie po kim.

Mogił tyle!— Na mogile, co kilkoro staj,
Mary stoją, świecą zbroją i modli się kraj;
A posępni towarzysze i bojów i chwały
Przyhukują na około na pochód wspaniały.

»Cześć na dobie, pokłon tobie, atamanie nasz!
Sojusz stary szczeréj wiary— mołojców swych znasz:
Już ty nie nasz— my nie twoi. Héj sojusz skończony!
Wracasz ojcze na słobodę do swéj Lanckorony.

Lanckorona twa rodzona— nie puści cię w świat:
W Ukrainie och! jedynie chwała inszych lat
W pieśń powieje przez mogiły od rodu do rodu,
Boś hetmanił i serdecznie i sławnie od młodu.

Żywot krwawy— krwawéj sławy— ktoć zapomni z nas!
Lach nasz chrobry i w czas dobry i w najgorszy czas.
Czém Bóg darzył— żył i białym i czarnym on chlebem;
Leżał z nami w cudzych grodach i w stepie pod niebem.

Żal się Boże! step i morze obiegli my z nim;
Grody dawne, kraje sławne, Wołosza i Krym,
Nie zapomną na wiek wieków— jak z pola na pole
Bujał orzeł tam— i wodził swe stada sokole.

Cześć na dobie— chwała tobie— chwała— póki nas!
Héj Serdeczny! pokój wieczny! w niepożyty czas!
Póki świata, słońca, żal nasz, żal nieukojony,
W pieśń niech wieje od Kudaku aż do Lanckorony!«

Czarnym Szlakiem za swym Lachem Ukraina wzdłuż,
Jako umie, w tęsknéj dumie w płacz zawodzi już;
Nabożeństwem się do Boga na niebie przyczynia,
A wtórują głosy w głosach z Podola, z Wołynia.

Treścią dum Zaleskiego nigdy prawie nie bywa dramat lub powieść, ale odgłos liryczny sławy bohaterów, uczucie, niekiedy elegijne westchnienie, albo opis. Największą ich wadą jest lekceważenie prawdy historycznéj. Kozacy Zaleskiego nadto są wymuskani, salonowi, zanadto trącą perfumami nie dziegciem, a z pod bułata ich krew tryska ładniutką amarantową strugą. W tém malowidle minijaturowém niepodobna odróżnić wieszczego Bojana od Wernyhory, bojarów i kniaziów kijowskich od Chmielnickiego i Mazepy.

Najobszerniejsze z utworów Zaleskiego na tle ukraińskiéj przeszłości są: »*Księżna Hanka*«, córka ostatniego z Różyńskich, i »*Damijan Wiśniowiecki*«. Są to jedynie ustępy, bo niepokończone, a pełne wdzięku misternego w szczegółach i miłości ku Ukrainie. *Janusz Bieniawski* jest wyjątkiem z rycerskiego rapsodu, do którego podobnież wziął myśl poeta z dawnych dum i obyczajów ukraińskich. Opiewa zamięszanie i rozruch w kraju, z przyczyny wkroczenia Tatarów na Ukrainę. Głównemi osobami są: Hetman koronny, ciągnący ze swém rycerstwem brzegami Horynia — Wyhowski, hetman Kozaków, obozujący pod Czehrynem — i bohater powieści Bieniawski, na czele pułku swego biegnący w stepy na zwiady. Piękny epizod w końcu, pogrzeb Bieniawskiego, skreślony jest także podług dum i obyczajów miejscowych. Inne dumy, jak *Lubor*, *Ludmiła*, osnute są na przesądnych podaniach i wyobrażeniach ludu.

Pyłki jest to rodzaj apoftegmatów greckich, lub Fraszek Kochanowskiego i Brodzińskiego. Niektóre zastanawiają myślą piękną; inne ciekawe są pod względem historycznym. Przytaczamy tu kilka.

Homer.

Wcielenie Ludu — to — Homer! I po nim
Przez tyle wieków napróżno w gęśl dzwonim;
Nie doczekamy wcielenia się cudu!
Mówim »*Vox Dei*« a od ludu stronim;
Och! mimo uszu puszczamy pieśń ludu!...
Wieszcz, który wznowi z ludem swym przymierze,
W kole wieczności stanie przy Homerze.

Upomnienie.

Kiedy mnie smutek zwali z nóg— ktoś upomina:
»Héj Odysseusz, Dante, twoi towarzysze—
»Spółwędrowce«— To zaraz swobodniéj pierś dysze,
I zrywam się pokornie we łzach jak dziecina.

Trzéj rowiennicy *).

Bohdan, Seweryn, Michał. Między nami trzema,
Odgrywa się osobne niejako poema:
Wszyscy trzéj bo rówieśni, z jednego my gniazda
Porwali się do lotu, i jedna nam gwiazda
Mrugnęła w drogę z góry ku ziemskiéj zamieci.
I odtąd rozesłańce każdy w inszéj sferze,
Żaglujem w krąg, to pierwszy, to wtóry, to trzeci,
I ważym się ku sobie w równéj zawsze mierze;
Choć słuch, ruch, zamach, różne jako różne pierze.
Lecz kto lepszy, kto duższy? który wyżéj wzleci?
Który obydwóch w końcu za sobą zostawi?...
Tego my ani wiedzieć nawet... nie ciekawi!..

Malczewski w Warszawie.

Malczewski coraz to częściéj mi śni się:
Kilka chwil przy nim— tak mi są przytomne,
Że twarzy jego niemal rys po rysie,
Piękne, szlachetne, po dziś dzień je pomnę....
Zwiędły, bo już go dogryzały smutki;
Spółukraiński śpiewak ja młodziutki,
Skaczę, bywało rad, a radziéj płaczę:
On pomrukuje ku mnie w głos przygany:
»Ej tyś tu tabun przypędził— kozacze,—
»I tęsknisz nazad w step zasumowany!«

Gwar słowiański **).

Lubuję bardzo w słowiańskim ja gwarze:
Klaskam od mogił w krąg na rozgraniczu,
Tak Szaffarzyku! tak, tak Kopitarze!
Pieśni héj dawaj Wuku Karadziczu!
Resztę my powiem guślarze - gęślarze.

---

*) Zaleski, Goszczyński i Grabowski, koryfeusze tak zwanéj »szkoły ukraińskiéj«.

**) Spasowicz przytaczając ten wiersz, mówi »iż zdolność jednania przeciwieństw i zacierania dyssonansów robi z Bohdana istnego panslawistę« (Obs. Ист. Слав. Лит. p. 468).

Muzycy i ja.

Niech co chcą i z orkiestrą grzmią muzykotwórce,
Ja *ditto* bez zachodu wygram na bandurce.

Zdolność godzenia sprzecznych żywiołów, uderzająca w dumach kozackich Zaleskiego, najbardziéj uwydatnia się w utworach jego religijno - mitologicznych. Poeta do tego stopnia wmarzył się w świat podań ludowych ukraińskich, że zapomina zupełnie o swojém wyznaniu, a po za obrazami i pojęciami chrześcijańskiemi widnieje u niego tło staro-słowiańskich, bałwochwalczych, przedhistorycznych czasów. Widzimy to np. w »*Podzwonném ku Ojcom*«:

....»Ho, ho, chmury z dalekich odgrzmiewają stron;
Ćma się wyrywa świecących łodzi—
To Michał Archanioł, ziemi naszéj stróż,
Na lewo, na prawo,
Spoziera jaskrawo
I czorty na wichrach mkną jarami już.
Święty archanioł Michał na węzgłowiu chmur,
Świeży swój wieniec kwieci i liści—
Dusze ojców— na Boży oto niesie dwór,
Gdzie obietnice Pan im uiści.
O! rzewniéj sercami czas się ozwać, czas!
Za gęślą od ziemi
Podzwońcież za niemi.
Niech pobłogosławią, o przeczyści, nas.
Boże święty— o Mocny!— Hospodynie nasz!
Kości twych ojców pełne mogiły.
Dusze ojców wysoko, na prawicy masz.
O! hospodynie przedobry, miły,
Błogosław na roli ich siedzącym nam:
Jak starym swym kmieciom
Błogosław, o! dzieciom,
I bądź, bądź pochwalon między nami Sam.
Dusze ojców! latawce siedmiu złotych Nieb!
Na hospodyna wysokim dworze
Świętych jego na wieki pożywacie chleb!
Ku nam— o! ku nam dzieciom w pokorze
Powiońcie słodkością w goryczach!
Przeczyści, weseli,
Jak pańscy anieli,
Śród godów— patrzajcie na pokutny świat!

Albo w fantazyi »*Sam z pieśnią*«:

Pan przytomny w świątyni
Pod gwiaździstą oponą
Tajemnicę swą czyni,
I niebiosa wskróś płoną,
Drzą stołeczne podnoża,
Wielka służba— Cześć Boża....
Lik najświętszych wybrany
Bije czoły, kolany;
Światy— złote naczynia,
Które dzierżą przeczyści...
Na około woń zioną....
Wieczność— księga, od księgi
Czas bujnie się strumieni,
Niezliczonych słońc kręgi
Zwija niby na wstęgi.
Co w krąg cieni— połcieni?
Doby, lata, stólecia,
W niezmierzonéj rozstrzeni,
Jako listki od kwiecia....

Nie ma ani jednego pisarza polskiego, któryby tak mało wniósł do poezyi żywiołu własnéj osobistości, jak Zaleski. Można powiedzieć, że nie panował on nad przedmiotem, lecz był względem niego w takim stosunku zależności, jak zwierciadło lub harfa Eola, z któréj każde tchnienie wietrzyka wydobywa dźwięki cudowne. Tym przedmiotem— duma kozacka, ukraińska piosnka i kazka. Z tego zaklętego koła w żaden sposób wyjść on nie może. Wśród gór Alpejskich wspomina Roś i Taśminę; w Kampanii rzymskiéj wzdycha do stepów rodzinnych; jak istny barbarzyńca przechadza się po Kapitolu, i krew mu wre w żyłach na widok brata Słowianina— Gladyatora umierającego.

Wciąż na piersiach mnie dusi wczorajsza ta zmora.
Bystro w konającego twarz gladyatora
Patrzałem, aż mi żyła w skroń nabiegła sina,
I w całéj krwi zagrało: hura! Słowianina....
I gdziem się potém ruszył, w przeświętych pieczarach,
Zamierzchłych gdzieś stóleci brat ożył w posągu,
Jęknął co czuł i cierpiał w boleśnych dni ciągu.
W krużgankach Kapitolskich— odtąd wciąż na marach

Sunął się gladyator,— a noc straszna taka,
Jakbym w tarcze pogrzmiewał na godach Spartaka.
(»Przechadzki po za Rzymem«).

Nie mniéj czuć Ukrainę w powieści p. n. *Przenajświętsza Rodzina*, poemacie biblijnym, cudnym w szczegółach i obrazach, zalecających się mistrzowskim pędzlem i wykończeniem. Poeta rozwinął w nim ustęp ewangelii św. Łukasza o Jezusie w dwunastym roku życia wsród kościoła jerozolimskiego. W ogóle jednak powieść podobniejsza jest do sielanki, wiejskie, pieszczoną ręką artysty przedstawiającéj malowidła. Więcéj mieszczą w sobie prawdy i czerstwego pobożności ducha religijne rytmy Miaskowskiego lub Grochowskiego, chociaż mniéj poetyczne i piękne. Poemat Zaleskiego jest bez wątpienia z natchnieniem i potężnym odmalowany talentem, lecz trochę po ukraińsku. Nie powiewa w nim właściwe powietrze biblijne; galilejskiego i jordańskiego żywiołu nie widać wcale. Tłumy ludu wracającego z Jeruzalemu ze świątek przaśników przypominają bogomodlców ukraińskich pomiędzy Kijowem a Poczajowem.

....Owoż jak wzrokiem zasięgnąć, gromada
W cieple kwietniowém rozkoszuje rada;
W myślach wesoło, jak na wodach buja.
Starcy poczęli głośniéj: »Alleluja!
»Bądź pochwalony Abrahamów Boże!«
Opodal matki i dziewice hoże
Sercami słowo podają po słowie;
Mimo, że różnym różne myśli w głowie,
Zawsze niewiasta, choć grzesznica w ciele,
Skorsza ku Panu, bo miłuje wiele.
Żonaci— wdowcy— to jest męże średnie,
Uliczne, miejskie powtarzają brednie,
O rzymskim onym drapieżnym staroście,
A klną te swoje nieproszone goście.
Młodź poklaskuje— lecz i sama krewka:
Częściéj na ustach— dziewczyna, to śpiewka.
Dzieci— o! dzieci chichocą wesoło,
Jako jaskółki wiją się w około;
Ku nim samopas tam i sam po niwie
Juczne osiołki skowyczą wrzaskliwie.
Staja za stają— jedna druga milka;
Owoż i wieczór! owoż i mil kilka!

Lasek oliwny— właśnie do noclegu,
I woda— woda bieżąca u brzegu.
. . . . . .
Na stanowisko swe się obóz kładzie,
Zachód około wieczerzy gromadzie:
Resztki ze świątek jagnięcia i chleba,
I sucha ryba— owoż co potrzeba!
Lud niewymyślne chowa obyczaje,
W drodze, jak w domu, na małém przestaje.
Grzędka a wędka, a żona uczciwa,
To i bez miasta wcale się obywa.
Młodź się rozbiega na prawo, na lewo,
Bliżéj, to daléj, po wodę, po drzewo,
Do chatek wiejskich, po sól i naczynia;
A ile niewiast, każda gospodynia.
Kraj też gościnny, trzody niedaleko;
Więc skaczą dzieci, bo będzie i mleko!
Skaczą i gwarzą u ognia miluchnie.
Zmierzcha też. W zmierzchu okolica głuchnie,
Znużone ptaszki padają na gniazdka,
Śnić o swawoli. Tu i ówdzie gwiazdka
Na jasny błękit wysuwa się tonią,
I daléj insze, zewsząd insze gonią.
Rybka za rybką— ćma tam złotołuska
Wskróś zwierciadlanéj otchłani się pluska....

Aby przekroczyć zaklęte wyobrażeń miejscowych koło, Zaleskiemu nie dostawało rozległego ukształcenia filozoficznego. I pod tym jeszcze względem pozostał on blizkim i wiernym ludowi, od którego pożyczał tonów i farb, że nigdy nie wątpił, nie chwiał się, nie mędrkował, lecz od początku do końca był wiernym synem kościoła i wiary Chrystusowéj. Brak filozoficznego żywiołu w Zaleskim tłómaczy nam i to, że nie stworzył on ani jednego dzieła wielkiego i całkowitego, do czego, nakształt cementu, niezbędna jest myśl filozoficzna. Próbował jednakże sił swoich w większém przedsięwzięciu i napisał poemat p. t. *Duch od stepu;* ale pomimo szczegółów znakomitych, nieudatny to utwór jako całość, z powodu ubóstwa treści. Jest to rodzaj lirycznéj epopei, w któréj poeta niby w życiu nadziemskiém unosi się wiekami po nad Ukrainą i całą Słowiańszczyzną, opowiada charakter i powołanie Słowian, i w widzeniu proroczém odsłania przyszłe ich losy. Idealna sfera, do któréj wieszcz podnosi ten dziejowy świat rzeczywisto-

ści, i kędy osadza swój żywot bezcielesny, nawet przedziemski, od pierwotnego wspólnictwa z aniołami, wypielęgnowania swéj duszy przez Rusałkę i jéj wcielenia, aż do chwili obecnéj— czyni poemat cały nieco mistycznym i niezrozumiałym. Obraz czasów, od epoki rajskiéj roztoczony przez wieki starożytne i chrześcijańskie, obejmuje dzieje powszechne w związku z historyą Ukrainy, gdzie się poeta urodził i dokąd ustawicznie wraca pamięcią, bo w cud uwikłana zagadka jego bytu leży na tym szlaku stepowym, kędy waliły się hordy azyatyckie do Europy. Podług Zaleskiego poeta rodzi się na to, aby narodowi swojemu objawiał myśl Bożą, jaka na nim spoczywa. Przyczynę wszelkich nieszczęść poeta widzi w pysznym, buntującym się przeciwko wierze rozumie, oraz w pożądliwościach ludzkich. Niektóre ustępy zakrawają na spowiedź mnicha— ascety średniowiecznego. Gdzie niegdzie tylko opowiadanie ożywia się i roztacza skarby nieporównanéj piękności, a mianowicie tam, gdzie autor wystawia napływ barbarzyńców i Attylę: ale powód tego jest nie inny jak ten, dla jakiego poeta nie mógł obojętnie patrzeć na »Gladyatora umierającego«, to jest, że w »Biczu Bożym« i hordach jego ukazał mu się jakby pierwowzór przyszłéj kozaczyzny.

...»Roma!« Okrzyk głuchy z razu—
Grzmi roznośniéj od Kaukazu;
Lik skrzydlaty, czy tabunny,
Szerzy w stepach tentent, huki?
Coś już wietrzą pańskie kruki!
Barbarzyńcy— o! nieuki—
Ostrogoty, Goty, Hunny:
Z różnych plemion czerń zaciężna
Straszna w sile— a orężna!..
Bliżéj, bliżéj— okrzyk dzwoni:
»Ura ho! na popas koni
»Do Panonji! do Panonji!«

W stal zakuty wódz na przedzie
Przez bezdroża jedzie — wiedzie,—
Konny posąg Al-hun-ryka,
Niedźwiedziemi strzępi kudły;
Suchożyły, w kość zachudły,
Boży Gniew, — twarz groźna, dzika;—
Wzrok co nigdy się nie zmyka,
Bo powieki wrosły w czoło...
Jako rzeka w skałach stroma
Pluszcze za nim gwar w około:
»Roma! Roma! gdzie ta Roma?«

Konny posąg— wódz na przedzie,
Nieprzystępny, głuchy, niemy
Przez bezdroża jedzie, wiedzie;
Nagle staje.
»Tu spoczniemy.
»Strona w stepach ta! czy nie ta?
»W nocy wskaże nam kometa!..
»Roma— Roma— niedaleko!..
(Grzmi ku swoim wieść ponurą:)
»Tam— za siódmą tylko górą...
»Za dziewiątą tylko rzeką!

»Ale słońce mile świeci,
»Poigrajcież w piasku, dzieci!«

Na rozkazy wodza dziatwa
W prawo— w lewo— zdala— zblizka—
Wnet się roi na mrówiska;
I zabawka lekka, łatwa,
Nie mitręży wcale siły!
W ruchu tylko ręce, stopy:
Znoszą skały pod mogiły,
Ryją na sto mil przekopy...
Ślad maluchny ich przechodu,
Pamięć czém był świat za młodu!..

Na rozkazy wodza— Wi—ho!...
Huczy w stepach tętęt koni,
Grzmot za grzmotem w Niebo biją:
»Do Panonji— do Panonji!«
Konny posąg— wódz na przedzie,
Kędy jedzie? kędy wiedzie?
Nikt zapytać się nie waży.

Od Awarskiéj przedniéj straży
Łacinnika pędzą cwałem.
Wódz zatacza okiem śmiałém,
Staje nieco: »Praw języku,
»Mężu rzymski— łżyj bez liku!«

Jeniec jąka drżąc: »O! Królu—
»Pater-patriae, Konsulu!
»Pontski Praetor — Civis natus,
»Cajus— Furius— Dentatus—
»Wiedzie zastęp niezliczony,
»Flos romana, legiony;
»Sypią zasiek przez porzecze,
»Po kohortach ostrzą miecze...
»Sancta verba veritatis!...«

Jak na puste psa szczekanie,
Wódz w płomieniach nagle stanie;
Biedny jeńcu— satis! satis!
»Ścierwo rzymskie — idź do czorta!
»Co tam— legion! czy kohorta!
»Ostrzą miecze? Toż nieszczęście!..
»To precz oręż— i na pięście!..
»A oklaskiem— ziemię wstrzęście!«
I jak rzeka w skałach stroma,
W ślad za wodzem czerń ruchoma
Pomrukuje: »Roma— Roma!«
Któż ogarnie i wypowie,
Choćby promyk w Bożém słowie!

W ogóle jednak poemat ten, czarujący pięknością języka i wzniosłym polotem myśli jest nie łatwo zrozumiałym dla tego, że stanowisko, z którego poeta wysnuwa swoje obrazy i myśli, polega na wyobrażeniu u pogańskich filozofów ulubioném, że każdy człowiek zanim wstąpi na ziemię, już od wieków istnieje, jako żyjący pierwiastek gdzieś w sferach wszechświata. Duch więc poety (Zaleskiego) od wieków unosi się nad życiem Ukrainy i ziem słowiańskich.

Można w ogóle zarzucić Zaleskiemu pewne powtarzanie się myśli, uczuć i wyobrażeń, jednostajność toku i barwy poetycznéj— w wielu miejscach niezgodność języka z przedmiotem. Pochodzi to z wyłącznego przejęcia się poety jednym moty-

wem lirycznym — pieśnią ukraińską. Język jego, pilnujący wszędy praw harmonii, lśniący, gładki, wytworny, często zbytnią przesyca miękkością. Wreszcie do wad stylu należy nazbyt swobodne igranie z formą — istna swawola artysty, niekiedy zaś zbyteczne streszczanie myśli dla ujęcia ich w pewne formy, częste i zbyt śmiałe wyrzutnie, które sprawują, że poeta staje się miejscami trudnym, wstrzymuje i nuży czytelnika.

Ogólny zbiór poezyj Zaleskiego wyszedł w Poznaniu r. 1842 i 1868 we 2-ch tomach i w Petersburgu r. 1854 w 4-ch tomikach.

Seweryn Goszczyński urodził się we wsi Ilińcach, powiecie lipowieckim gubernii kijowskiéj r. 1803. Uczył się początkowo u pijarów w Międzyrzeczu, następnie w Winnicy, nakoniec w Humaniu (1816—19), wraz z Bohdanem Zaleskim. W 1820 przeniósł się do Warszawy w zamiarze wstąpienia na uniwersytet i tu wszedł w bliższe stosunki z kółkiem młodych literatów, a szczególniéj z Maurycym Mochnackim, Ksawerym Bronikowskim i Michałem Grabowskim. Tu w roku 1828 wystąpił z poematem »*Zamek Kaniowski*«, który wywołał entuzyazm romantyków, a oburzenie przeciwnego obozu. Po r. 1831 udał się za granicę, przebywał długo w Galicyi, najwięcéj w Karpatach, gdzie poznał dokładnie życie i obyczaje ludu górskiego; następnie w r. 1834 przeniósł się do Francyi i osiadł w Paryżu. Należał do najgorliwszych zwolenników Towiańskiego. Obecnie przemieszkuje w Galicyi.

Różny swém poetyczném usposobieniem od innych śpiewaków Ukrainy, Goszczyński wybrał dla swego genijuszu posępniejszą stronę jéj dziejów i przyrody. Dzikie uniesienia namiętności, boje, zdrady, morderstwa, są treścią jego obrazów. W fantazyi ludowéj ukochał on przedewszystkiém stronę jéj dziką, ciemną, szatańską: złowieszcze hukanie puszczyków, skrzypienie wisielca kołysanego wichrem na szubienicy, noc czarną, pełną brojeń czartowskich. Posiada on prawdziwie Rembrandtowski pędzel do malowania płomieni na tle mroku nocnego. Oto np. pod lipami zgromadzili się chłopcy i dziewczęta na wieczornicę...

Lecz niech bandurki i piszczałki dzwonią,
Niechaj się płocho rozkochani gonią,
Niech ziemia tętni gdy taniec zakręca
Z lekszéj młodzieży zaplecione koło;
Niech na ustroniu dziewczę skryte połą
Bijącém łonem rozgrzewa młodzieńca.

Tam pod drzewami posiedzenie cichsze,
Tam skłonne serca i kielich godowy
Kupią płci obie na ważne rozmowy;
Tam nieszczęśliwy, znikły we złym wichrze,
Czerwony upior, co północną chwilą
Krew sennych dzieci wydaja z odźwierka,
Wiedźma oczyma wartowana tylą,
Co rosę z kwiatów na śmietanę cerka,
Jęcząca w górze nieochrzczona dusza,
Latawiec— gwiazda co kobiet wysusza,
Litość i trwogę budzą na przemiany....

Krew nie przeraża poety; ręce mu nie drżą krając pierś żywą nożem anatomicznym. Najgłówniejszy poemat jego *Zamek Kaniowski* przedstawia jednę ze scen owéj krwawéj katastrofy, która w końcu zeszłego stulecia jękiem bolesnym napełniła Ukrainę. Zgromadził tu poeta wszystkie niemal okropności téj epoki zwanéj *koliszczyzną*— udramatyzował powieść opisaniem wypadków najrozmaitszych, raz po raz wstrząsających duszę, a nie złagodzonych żadném uczuciem jaśniejszém. Treść poematu jest następująca:

W okolicach Śmiły, na Ukrainie, urodził się i wyrósł kozak *Nebaba*. Była to sztuczka żwawa i śmiała— jak się o nim stary lirnik w téj powieści wyraża. Burzliwe, hajdamackie życie jego zaczyna się od złośliwéj pustoty. Była w téj saméj wsi dziewczyna cierpiąca lekkie obłąkanie umysłu. *Ksenia* wychodziła każdéj nocy nad brzeg pięknego rodzinnego jeziora przeciwko nieziemskiemu kochankowi, rozumiejąc, że na odgłos jéj śpiewu przybędzie w postaci ognistego latawca, niby meteoru, przelatującego po jasném niebie. Wiara w takie duchów z ziemiankami związki była wtenczas dosyć pospolita na Ukrainie. We wsi wiedziano o tém. Lecz Nebaba nie należał do rzędu łatwowiernych. Przyrzekł, i bodaj czy nie założył się, że djabła na schadzce dostrzeże. Dla własnéj więc i rówieńników rozrywki udaje się o tajemniczéj godzinie nad brzeg jeziora i wmawia w Ksenię, jakoby był owym kochankiem, za którym tak długo tęskniła. Ksenia daje temu wiarę, a uwierzywszy, rozkochała się namiętnie w swoim zwodzicielu. Już na pokątnych nie przestaje schadzkach; ale wiedziona instynktem miłości, silniejszéj nad samo obłąkanie, już go i w tłumie rozeznawać i śledzić zaczyna. Ztąd nieznośne dla Nebaby od wiejskiéj młodzieży przymówki; ztąd dotkliwe uczucie wstydu,

ztąd myśl zatarcia śladów występnego czynu, i piérwsza zbrodnia, topi Ksenię. Wszystkie te sprawy na lat kilka rzecz poematu uprzedzają.

Ksenia jednak nie zginęła. Szczęśliwym trafem prędko z wody wyratowana, powraca do życia; ale zwiększone tym wypadkiem obłąkanie, w pospolitém u gminu rozumieniu nie zostawia żadnéj już wątpliwości co do związków téj kobiéty z piekłem. Od téj to chwili można Ksenię uważać jako ofiarę wywołaną do życia dla dręczenia winowajcy najboleśniejszą kaźnią, to jest, przymileniami obrzydłéj kochanki. Tę topielicę pojął i wystawił autor w duchu miejscowych przesądów. Ksenia, jak w początkach swego obłąkania, tak i następnie, to po lasach tułała się, to nad brzegami wód po całych nocach siadała, i goniąc wzrokiem ku niebu obróconym napowietrznego kochanka (wedle wyobrażeń ludu, jakoby spadające gwiazdy były złemi duchami), wzywała go piosenką:

Wypłyń, wypłyń z za obłoku!
Po błękitném przeleć niebie!
Ja kochanka wzywam ciebie!
W lasów ciszy, w nocy mroku,
Ho—hop! ho— hop! wzywam ciebie, i t. d.

Czy to, że Nebaba chciał zatrzeć niemiłe wspomnienia, czyli też, że mu srodze dokuczały przymówki szatańskich miłostek, bądź co bądź, opuszcza rodzinne siedlisko, przypadek zaprowadza go do Kaniowa, gdzie męzka postać i przymioty zjednały mu najprzód względy u starszych, a potém przełożeństwo nad przydworném kozactwem w zamku starosty kaniowskiego. Tam także piękna dziewczyna *Orlika* pociągnęła ku sobie serce młodego atamana. Ale już to tak przypadło Nebabie z przeznaczenia, że miłość same nieszczęścia, nakoniec zgubę przynieść mu miała. Rządca zamku Polak powziął był równą skłonność ku Orlice. W nim miał Nebaba przemożnego, choć mniéj szczęśliwego spółzalotnika. Rządca chce zmusić wiejską dziewczynę do oddania sobie ręki. Tym celem, każe bratu jéj kozakowi pilnować wisielca, którego potém przez nasłane tajemnie sługi odkrada z szubienicy. Kozak ów postawiony na straży, według prawa staje się winnym śmierci. Siostra chcąc go ocalić, przystaje na niemiły sobie związek.— To zawikłanie zdawałoby się mniéj potrzebném, gdy przemoc sama mogła wystarczać do uskutecznienia zamiaru. Ale poeta umyślił, jak widać, przez taką expozycyę zachmurzyć tło swego obrazu.

Zamek kaniowski brzmi przysposobieniami do uczty weselnéj. Stół w kosztowne ustrojono nakrycia i jasném zastawiono srebrem — a na źwierciadłach i w rzniętym krysztale jarzące światła rzęsistym blaskiem płoną. Sam rządca wieczorem przybrany w nową czamarę i pas złotolity, rozkazał, aby strojono teorbany, aby służący świąteczną oblekli odzież, i aby hojną zgotowano ucztę. Była to uczta, którą poprzedził ślub z Orliką. Orlika po długiéj tajemnéj rozmowie z rządcą, gdzie szło o śmierć lub życie, zezwoliła wreszcie, aby została jego żoną. Przez chłopca teorbanistę dowiaduje się o tém Nebaba. Oburzył się ataman. Pozostaje mu tylko pomścić się nad wiarołomną kochanką i szczęśliwszym, jak mniemał, *Lachem*. Ówczesne niepokoje i zawichrzenia wewnętrzne Ukrainy, tudzież blizkość obozu *Szwaczki*, który przodkował kaniowskim powstańcom, nastręczyły mu do téj zemsty łatwą sposobność. Przeto ku wieczorowi opuściwszy zamek, przeprawia się przez Dniepr na drugą stronę. Tu niepojęte dla mieszkańców Kaniowa, dziwne widmo Kseni, uważane od gminu jako znak blizkiéj klęski, ukazaniem się swojém przed Nebabą, wznawia w jego umyśle zapomniane od lat kilku wspomnienia, przydając do obecnych cierpień niepokoje trwożnego sumienia, gorycz i kaźń przeszłości. A jednak ta nieszczęśliwa kobiéta za jednę pieszczotę kochanka dałaby życie swoje. Krzyk i klaskanie opętanéj, a prędzéj myśl uwolnienia się od napaści nienawistnéj Kseni, bodajby gwałtowną jéj śmiercią, zatrzymują Nebabę. Szalona zbliża się, i odbiera od kozaka uderzenie pięścią, co zgruchotawszy jéj twarz, powinno było położyć kres życiu mniéj nadzwyczajnéj istoty. — Ale Ksenia żyje jeszcze. Zadana rana tylko odrazy jéj przyczyniła. Nebaba na drugiéj stronie rzeki łączy się ze Szwaczką; następnéj zaś nocy obóz powstańców znowu przechodzi na ziemię polską, gdzie w nadbrzeżnych Rosi lasach obrąbują sobie stanowiska. Starość Szwaczki czyni go już ociężałym, a nałóg pijaństwa nieczynnym.— Dzbanek zazwyczaj nad marsową przenosił sprawę. Tymczasem położenie powstańców staje się coraz trudniejsze, krytyczniejsze. Zguba ich niedaleka, bo oddział Polaków, ściągnionych przez ostrzeżonego rządcę kaniowskiego zamku, wtargnął już w przyległe lasy, i coraz bliżéj ściska Kozaków. Nebaba, zniecierpliwiony nieczynnością Szwaczki, zgromadza powstańców, staje na ich czele, i porzuciwszy w lesie niewytrzeźwionego starca, posuwa się naprzód ku Kaniowowi. Lecz jeszcze dzień jeden odwleka zgubę zamku. Dla tém pewniejszego osiągnie-

nia zamiarów zemsty, umyślił był Nebaba zakraść się w cieniach następnéj nocy pod mury Kaniowa, i dostać go przemocą, rozumiejąc, że ufność rządcy, położona w żołnierzach polskich, którym zalecił baczność na poruszenia w obozie Szwaczki, wszelką z téj strony bojaźń oddaliła. Niepostrzeżony przemknąwszy się przez polskie czaty, rozsypał swoich kozaków po zaroślach, tuż pod samém miastem, żeby za nadejściem nocy gotowi byli lecieć do szturmu. Przypadek zrządził, że ten zamiar nie doszedł do skutku. Przeciwnie wszystko mściwemu Nebabie niepochybną zgubę niesie. Orlika, rządczyni zamku kaniowskiego, nie mogąc przenieść dłużéj zadanego uczuciom swoim gwałtu, uniesiona srogą dla rodu panów zwierzchnich i gwałciciela nienawiścią, umyśliła zabić męża, i czynu tego dopełniła w nocy, osłoniwszy kłamliwą czułością krwawy swój zamiar. Tymczasem wytrzeźwiony Szwaczka, gdy postrzegł, że go niewierne kozactwo porzuciło, w skok leci do Kaniowa, i uprzedzając Nebabę, nagradza swoje niedbalstwo podburzeniem tamecznych chłopów. Nebaba tymczasem postrzeżony w ukryciu swojém od polskiego szpiega, który pod zmyśloną postacią starca, żebraka, czy lirnika, tajemniczém zjawieniem się i zniknieniem swojém, bardziéj zaś jeszcze niemiłą z minionych lat powieścią, serce jego tak boleśnie zakrwawił, już odtąd zostaje pod ścisłym Polaków dozorem. Ku wieczorowi zbiera swoich. Wyruszają. Dwaj żołnierze polscy, przebrani po kozacku, świadomi języka, łączą się z nimi. Noc coraz bardziéj ciemnieje. Jeden z przebranych szpiegów ofiaruje chęć swoję przewodniczenia po błędnych drogach. Naprowadza ich manowcami na oddział Polaków. Drugi wystrzałem znak daje. W oka mgnieniu hufiec Nebaby otaczają liczniejsi nieprzyjaciele. Zaczyna się bitwa. W tém postrzeżono pożar zamku. To Szwaczka na czele mieszczan już go był zdobył i zapalił, a wdarłszy się do komnat rządcy, znajduje tam trup i obłąkaną, zbroczoną krwią kobiétę. Orlika ścigana ucieka; pogoń szalona trwa długo; ścigający wyłamują drzwi jedne po drugich, prowadzeni śladem krwawéj ręki na ścianach. Ostatnia ucieczka Orliki — główna wieża zamkowa; mordercy są już u wejścia; lecz w tejże chwili runęły przetlałe stropy gmachu i w gruzach swoich zagrzebały i uciekającą i czerń i Szwaczkę samego. Ogromna, czerwona łuna płomieni przyświeca Nababie w ostatniéj walce z Polakami. Nurzający się we własnéj krwi ataman słyszy głos Kseni, która z boku przypatrywała się bitwie. Pozwoliwszy jéj zbliżyć się do siebie, nową zadaje ranę

nienawistnemu widziadłu, poczém sam utraca zmysły i dostaje się w ręce nieprzyjaciół. Gruzy zamku przemieniły się w warsztat katowski. Do sprawiedliwości przydano okrucieństwo wbiciem na pal żywego jeszcze Nebaby. Innych uszykowano w biesiadujące niby grona, żeby na placu łupiezkiéj sprawy swojéj konali śród wolnych płomieni. Wówczasz to nową oszpecona raną wysuwa się z gruzów Ksenia, zbliża się do umierającego w straszliwych męczarniach Nebaby, wspina się na pal i całuje kochanka ostatniem, śmiertelném pocałowaniem, którém mu na wieki usta zamyka. Nebaba kona; wkrótce potém znaleziono w pobliżu i zwłoki Ksenii.

W całéj literaturze polskiéj nie ma poematu więcéj krwią i mordem przesiękłego, jak *Zamek Kaniowski*. Gwałt, morderstwo, zdrada, rzezie i szubienice, wiedźmy, krzywowróżby i złe duchy—są to farby tego przerażającego obrazu. Poeta zamiast złagodzenia smutnego malowidła stawieniem go w oddaleniu znacznéj przestrzeni czasu, i niejako w półświetle rzeczywistości, zbliżył go zanadto do oczu czytelnika, a przez to przykrzejszym i więcéj przerażającym uczynił. Wybór przedmiotu obrażającego uczucie moralne usprawiedliwiać może jedynie stan literatury ówczesnéj, jałowéj, martwéj i bezsilnéj, która po zupełnym przesycie wywołała reakcję, jak zwykle w odwrótny sposób działającą. W miejsce dawnego wyczerpania, braku sił i bezżywotności, wprowadzono na raz zbytek siły i życia. Pod tym względem Goszczyński złożył daninę panującemu duchowi czasu. Wpłynęły niemniéj na obrany przezeń kierunek okoliczności, którym podlegał w pierwszéj epoce życia, a odpowiadało im zgodnie samo usposobienie. Charaktery wreszcie bohaterów „Zamku Kaniowskiego“, jakkolwiek dzikie, nieludzkie, żądzę krwi z miłością i pragnieniem rozkoszy mieszające, nieotaczają się apoteotycznem urokiem występku jak w Byronie, nie mówią jak szatan w Miltonie: „zło niechaj będzie mojém dobrem“: ale unosi je mimowolnie szał namiętny, zaślepienie miłości, porywcze uniesienie zemsty albo rozpaczy. Na ostatek te dzikie, straszne piękności są przecież prawdziwemi pięknościami w obrazie artysty pełnym życia i prawdy, wydającym poetę wzrosłego wśród stepów ukraińskich, owianego dymem tych słobód i kurzeni, które z dzieciństwa uśmiechały się jego wyobraźni. Najbardziéj uderza w tym poemacie talent obrazowania charakterów, i ten śmiały Szekspirowski penzel, który przedmioty powszedniéj natury podnosi do dramatu wyższych i idealnych potęg. Sposo-

by poetyckie Goszczyńskiego nierównie są głębsze, niż u poprzednich poetów; węzły opowiadania zawiązują się umiejętniéj; na scenę występują prawdziwe charaktery nie w kształcie sylwetek lub cieni chińskich, jak u Bohdana i Malczewskiego, lecz w ruchu, walce i potrącaniu się wzajemnem. Można poecie zarzucić pewien stopień przesady, nie zbywa mu jednak na prawdzie i historycznéj podstawie. Styl jego, przy swéj świeżości i przyrodzonéj barwie, szorstki, surowy i nieogładzony, najwłaściwiéj wchodzi w harmoniję z duchem i treścią przedmiotu. Wydatność postaci i charakterów, umiejętność nadania massom ruchu i rozwikłania działania, wydają w Goszczyńskim niepospolite zdolności dramatyczne. Wszystkie niemal postacie są mistrzowskie. Ów bohaterski ataman Nebaba, ideał poetycznéj Ukrainy, a obok niego ów dziki, zwierzęcéj natury gwałtownik Szwaczka, wyobraziciel zuchwałego łotrostwa—toż Orlika, szlachetna w swojéj dumie, ale razem sroga i niesyta zemsty Ukrainka—Są to prawdziwe i doskonałe typy miejscowości, wizerunki wierne i wydatne historyi swojego czasu. Najcelniejszym charakterem i głównym działaczem w téj powieści jest Nebaba, w którym poeta wprowadził w grę najstraszliwszą namiętność, zemstę znieważonéj i srodze pokrzywdzonéj miłości. Dumny i pełen kozaczéj buty ataman, buntownik zuchwały, przywódca hajdamackiéj czerni, dąży do celu swego z niewstrzymaną odwagą, ślepo i zapamiętale.

Kiedy się serce zachmurzy urazą.
Wzrok wtedy błyskiem, piorunem żelazo!
I biada chmurze, co chce być przeszkodą!
Popruta, zbita rozpłynie się wodą.

Cel ten przecież zda się mieć w sobie coś szlachetnego, a nawet wzniosłego—nie podła bowiem unosi go chęć zysku lub łupieztwa, ale miłość ślepa, namiętna, rozpaczająca. Ztąd niezdolne go zastraszyć żadne pociski i groźby, same nawet złowrogie widma, na które miota się w zapomnieniu, jak na zwyczajne przeszkody. Ztąd ta olbrzymia prawie podniosłość, w jakiéj ukazuje się, czy to śmiały bój stacza z wojskiem koronném, czy zdala odgraża rządcy i zamkowi—czy w nocnym mroku, siedząc pod dębem przy płonącym stosie, burką w półopięty, w postaci ułożonéj do boju, spokojnie trzyma lewicę za pasem,, a głownię noża pogłaskuje i z nocnéj rosy ostrza ociera—Czy wreszcie gniewny zamierza się pięścią na nie-

wczesne zjawisko upiora — topielca. Jakże malowniczy jest ów ataman młody.

Jak sam pan polski, przed panem tak hardy;
Prędki jak połysk co biegnie żelazem,
Lecz w swojéj zemście, jak żelazo twardy;
Czczony od swoich zarówno z obrazem:
Duszą jest dziewcząt i wieczornic razem!
Ten czarny wąsik, co w drobnym pierścieniu,
Nad różowemi ustami się zwija;
Ten wzrok, co przy brwiach ciemnych tak odbija,
Jak blask południa przy północy cieniu;
Ten kształt postawy, co burką opięty,
Tak się wydaje w wspaniałym pochodzie,
Jak maszt bajdaku, gdy żagiel rozdęty
Mknie go z wiatrami po dnieprowéj wodzie...

Oto widzimy go czekającego na Orlikę, „gdzie na dnie jaru, ścian zamkowych spodem, cicha krynica drzemie pod osiną.

Już słońce zaszło, zmierzchłe nieba bledną,
Ziemia ciemnieje, a Orliki nie ma.
A zakochany, w oku, w uchu wszystek,
Tak w okrąg strzela okiem i uszyma,
Czy wiatr przeleci, czy upadnie listek.
Kochane widmo marzy jego dusza!
I wiatr przelata, i liść się przerusza,
Orliki jednak jak nie ma tak nie ma.
Już po sto razy wzrokiem wypatrzonym,
Witał wstające nad wzgórzem obłoki;
Już po sto razy rozeznał jéj kroki
W blizkiego zamku zgiełku przytłumionym:
I zawsze błądził; aż błądząc w około,
Nad ciche źródło schylił ciemne czoło.

Lecz jakże strasznym jest, kiedy mu chłopiec teorbanista przynosi wieść o zaślubinach Orliki.

Jeśli są słowa, że jak gromu ciosy
Niosą śmierć nagłą w najczerstwiejsze zdrowie:
Czuł je Nebaba w téj chłopaka mowie.
Jak szatan zgrozy najeża mu włosy!

Jak we mgle żółtéj wzrok jego słupieje!
Niby dłoń śmierci za serce chwyciła,
Taki po ciele zimny pot się leje,
A lodem zda się stygnąć każda żyła.
Usta mu drgają, kolano przyklęka,
Tylko się wierna za nóż chwyta ręka,

Albo gdy niespokojną miotany zawiścią, wiosłując przy świetle księżyca po wałach dnieprowych, najzgubniéjsze, najdziksze snuje marzenia.

O! jak wspaniale, za nocy zasłoną,
Jak rzęsném światłem okna jego płoną!
„Niech sobie płoną, niech i rzęśniéj płoną!
„Jak mnie dziś, jutro przyjdzie ciemno jemu!
„Jutro, pojutrze zaświta inaczéj!
„Biedny kto mojéj zapragnął rozpaczy!“
Aż mu się piekłem krew zajęła cała,
Aż mu się czapka od włosów podniosła,
Od jego dreszczu aż się łódź zachwiała,
Aż się obejrzał rybak co u wiosła,
Kiedy te myśli, jak piekła zarzewie
Przeszły piorunem przez Nebaby głowę,
A to gdy światła obaczył zamkowe.
Już gniew ostyga w kipiącym przelewie:
Ale jak piekieł mieszkańca zjawienie,
Choć zniknie, długo powietrze zaraża,
Tak, choć przelotne, gniewu uniesienie
Gorzkiem jątrzeniem długo myśl rozżarza.
„Lepiéjby było, moja pani miła,
„Sto razy lepiéj, jak'em ci kochankiem!
„Abyś lat tysiąc, czerepianym dzbankiem,
„Tę wodę z rzeki dla siebie nosiła.
„Lepiéjby było dla twéj jasnéj doli,
„W grubéj siermiędze, z nieochajnym chłopem,
„O głodzie, chłodzie, pracując w niewoli,
„Krwią się rozpływać nad nieswoim snopem,
„A potém płakać pod skopconym daszkiem,
„Rano i wieczór, że twe białe ciało,
„Od mrozu, skwaru, do krwi popadało:
„Niż będąc tobą pobracić się z Laszkiem,
„Niż przespać jednę noc pod adamaszkiem!“

Wszędy go można poznać po dumie czoła i krasie oblicza, Obok starego opoja Szwaczki.

Po tym wytwornym atamańskim stroju,
Co drogiém złotem czasami odbłyska
Nagłe, nierówne spójrzenie ogniska,
Po téj postaci złożonéj do boju;
Po wąsie w czarne puszczonym pokręty;
Po dumie czoła, po oblicza krasie;
Mściwy Nebaba zaraz poznać da się.
W milczeniu siedział burką w pół-opięty;
Spokojnie trzymał lewicę za pasem,
I głownię noża pogłaskiwał czasem!
„Nożu mój, nożu! błyskasz do mnie próżno,
„I próżno widzę, naostrzyłem ciebie;
„Inni swój snopek w naszém polu użną,
„Nim pośpieszymy z tobą ku potrzebie,
„I wprzód rdza ciebie, wprzód ja siebie strawię,
„Niżeli w męzkiéj z niewiarą przeprawie,
Ducha radością, ciebie krwią opławię.“
Tak mówił kozak, potrząsając głową;
I z nocnéj rosy otarł noża ostrze:
Ale wejrzenie nagłe, od słów prostsze,
Wydaje komu przyciął tą przemową.

Towarzyszy mu często zaduma właściwa ludowi ukraińskiemu—matka cudownéj pieśni jego. Myśl atamana puszcza się minionych dni potokiem. Zmiennemi falami przesuwają się po niéj przeszłość i przyszłość, szczęście doznane i niedola.

Co to Nebaba tak myśli głęboko,
Między gałęźmi oparty bez ruchu?
Czém tak zasunął rozigrane oko?
Czy dąb, gaduła szepce w jego ucho
Smutne powieści o klęskach téj ziemi,
Gdy pod jéj niebem sęp mordu ponury
Toczył cień trwogi skrzydłami krwawemi,
A z nim Tatarów napływały chmury?
O nieraz, może, na tym jego szczycie
Rozwiewały się przestrogi znamiona;
Nie jedno, może, ta z liści zasłona
Przed srogą śmiercią uchowała życie.

Nie—w zadumaniu cichém i głębokiém,
Puścił się kozak swoich dni potokiem.
Po jego myślach młody wiek przegania
W kwitnących barwach świetnego zarania.
Co za świat w ciszy rodzinnego sioła!
Gdy dusza grała ogniami jutrzenki,
A wabna przyszłość, jak wróżka wesoła,
W koléj nadziei uchylała wdzięki.
Jak wszystko pełne, jak tam wszędzie miło:
Jak dzień skąpany w jeziorze rodzinném,
Cicho, ponętnie, w marzeniach świeciło,
Przeszłość i przyszłość, szczęście i niedole,
Życie,—koń wrzący; świat—kwieciste pole!
Wzburzenia duszy, cierpkie serca bole,
Wszystko się topi w uśmiechu dziecinnym:
Łzę utrapienia, łza rozkoszy strąca;
I struna, w tony rozliczne bijąca,
Leniwiéj smutne wesołemi zmienia,
Jak jego umysł swoje poruszenia.
Albo ten wieczór, ten ogień *kupały*!
Po zwierciadlanéj Białozyrja wodzie,
Mkną się rybackie z kagankami łodzie:
Niebo ciemniało, szyki gwiazd gęstniały,
Błękitna fala sypała kryształy,
Szum sosen mruczał piosenkę żeglugi,
Muzyczną miarą uderzały wiosła:
Cyt! płomieniami rozgorzał brzeg drugi,
I wrzawa dziewic zewsząd się podniosła,
We mgnieniu oka ucichli żeglarze;
Złożyli wiosła: czółna w okrąg płyną;
Już w oczeretach syknęły gadziną.
A brzegi kipią w piosenkach i gwarze;
A tanecznice, migającym cieniem,
Snują się ciągle przed wielkim płomieniem.
Wtém, zaczajona młodź nagle wypada;
Nebaba huknął: „Zdrada, siostry, zdrada!“
Już po bałwanie! Z wianków oberwany,
Złamany leży. Skończyły się tany,
Ucięto śpiewy; a mściwe dziewczęta
Całusem karzą śmiałego natręta.
A też pustoty!.. Gdy wszyscy usnęli,
Widmo kobiety wysnuło się w bieli...

Dziką piosenką serce zaśpiewało,
Blask obłąkania strzelił ze źrenicy;
Kozak na chwilę zniżył skroń sciemniałą,
Jakby chciał przetrwać aż ucichną pieśni,
Aż mu natrętne widziadło się prześni...

Nie opuszcza go również złowrogie przeczucie, owoc utajonéj zgryzoty. Widzimy go, jak senny odpoczywa pod drzewem...

Wpół zwiędły trawnik jest kobiercem łóżka,
Namiot z gałęzi, — ze mchu pnia poduszka,
Przykry świst puszczy piosenkę mu śpiewa;
A kozackiego wartownik posłania,
Koń tylko wrony trzęzlami podzwania.
Po miejscu wspomnień, po męża postawie,
Możnaby myśleć, że duch bohatéra,
O którym marzy ukraińska lira,
Tu w pełni życia, zmartwychwstał na jawie.
Ale śpiącego zajrząc wspaniałości,
Snu atamana niech nikt nie zazdrości.
Wejrzyj na lice: w ich się ruchu kréśli
Cała męczarnia skrępowanych myśli.
Zdawało mu się widzieć ogień z wieży —
Dosiada konia, — zebrać swój szyk bieży;
Ale na miejscu kozaków obozu,
Spotyka stado wilków śród wąwozu!
Wtém głos Orliki jakby gdzieś za górą...
Śpieszy ku niemu światło co błyszczało...
To Ksenia w oczy patrzy mu ponuro;
I kruków kilka w uszy zakrakało.
Zlał go pot rzęsny; — wymknąć się im sili,
Aż on harcuje na żelaznym pręcie...

Z owego hartu duszy, owéj nieukróconéj odwagi, co z żądzą zemsty gra we krwi Atamana, znają go wszystkie drużyny kozackie. To też w obozie Szwaczki młodź otacza go w koło:

Bo się patrzała i słuchała rada;
Jak męztwem dumne rozpromienia czoło,
Jak w szczeréj mowie śmiałém sercem gada.

A kiedy śpiesząc do uczty krwawéj, stanął pośród zbuntowanéj czerni, wrzące kozactwo wita go dzikiemi wrzaski. «Podobny odgłos ziębi krew wędrowca, gdy go wilczyca zwietrzywszy w puszcz głębi, przeciągle wyciem ozwie się ponurém, a za nią wilków zgłodniałych zgraja.» Jest to przerażające hasło poczynającego się okropnego dzieła, po którém już tylko bój, krwawe spustoszenia i mordy.

Obok takiéj postaci, w uderzającém przeciwieństwie występuje inna, pół-bohaterska, pół-łotrowska figura Szwaczki, mieszczanina kaniowskiego, starego i leniwego opoja. Postać to jakoby żywcem wyjęta z flamandzkiego obrazu.

Na pierś obrosłą zwieszał się wąs długi,
Całe pół twarzy ściągał mu szram czarny;
A chociaż czoło starością bielało,
Młody rumieniec zalewał twarz całą;
A choć ogniste, ledwo iskrzy oko,
W zatyłéj twarzy tak siedzi głęboko.
To Szwaczka. Pierwszy śród mieszczan Kaniowa:
Choć często w ucztach kręci mu się głowa,
I ciałem ciężki, i wiek długi liczy,
Ale ma piętno rozbojów na Siczy,
Ale od Lachów z dumy obrzydzony.
I dumy Lachów zwie się wrogiem śmiele;
Więc chętnie stanął na powstańców czele,
I atamanem chętnie okrzykniony.

Powyższym postaciom nie ustępuje charakter Orliki, w któréj Mickiewicz widzi uosobienie Ukrainy. Ksenia jest to upostaciowanie wiary i wyobrażeń gminu. Według przesądnych wyobrażeń ludu, nic się na Ukrainie ważnego nie dzieje, czegoby jakieś nadzwyczajne nie przepowiedziało zjawisko. Bunt ukraińskiéj czerni, a zwłaszcza rzeź Humańska, miała także być poprzednio zwiastowaną przez nadprzyrodzone widziadła — między innemi przez jakąś tajemniczą, obłąkaną kobietę, która z szumem i niezrozumiałą mową przebiegała sioła Ukrainy. W téj tradycyi gminnéj Gosczyński pojął ideał swojéj Kseni, niby Kassandrę ukraińską, prorokinię klęsk i zniszczenia. Nic wreszcie oryginalniejszego nad owego Lirnika, pełnego tajemniczéj ironii, postaci tak pospolitéj na Ukrainie, a mieszczącéj w sobie tyle poetycznéj fantazyi.

Szczegółowych piękności — mnóstwo. Szczęśliwie pomyślana rozmowa puszczyków, z całą sceną prologu, osnuta jest na

wyobrażeniach ludu, który mniema, że czarci wybierają nocy ciemne i burzliwe do wyprawiania rozmaitych psot i igrzysk. Takie pożyczanie mowy ptakom często się natrafia w pieśniach i dumach ukraińskich, a właśnie zamiarem było poety korzystać ze wszystkich skarbów gminnéj poezyi. Toż samo rozumieć należy o *czerwonym upiorze, złowrogim wichrze* i t. p. Poeta odważa się nie na samę wzmiankę i opis przesądnych wyobrażeń ludu ale śmiało obiera je za działaczów swojéj sceny i podnosi do znaczenia najwyższych dramatycznych potęg.

Część opisowa poematu obfituje w nieporównane piękności. Wzniosły i głęboko przejmujący jest obraz trwogi napełniającéj Kaniów, kiedy gruchnęła wieść o hajdamakach. Czytelnik zdaje się widzieć przed sobą straszną i przerażającą scenę ostatecznego sądu.

Już po Kaniowie straszna wieść latała:
Jak się wzburzyła Ukraina cała;
Jak zdradą Gonty dobyto Humania,
Ile tam mordów, ile krwi rozlania;
Jak samych Lachów zda się ścigać piekło,
A nigdzie schrony przed czernią zaciekłą.
Skoro wieczorem powstały tumany
Od nasępionéj strony Zaporoża,
I mglistą bielą osłoniona zorza,
Z rózgą komety, jak lampa złéj doli,
Gasnąć w obłokach zaczęła powoli;
Zdwoił się w mieście przestrach niesłychany;
Głuszéj się zdały bełtać Dniepru szumy,
Jęczeć okropniéj wichry Ukrainy,
I groźniéj ciemnieć sklepienia dębiny.
Jak po cmentarzu, nieme duchów tłumy,
Snują się milczkiem po ulicach miasta,
Tłumy mieszkańców trwogą omroczone,
A wieszczba klęski w którą pojrzysz stronę!
Tam dziecię pyta: zkąd ten tuman wzrasta,
I w takie kształty mięsza się olbrzymie,
Jak Lucyfera wojsko w piekła dymie?
Cytnęła matka; wywróżyć się lęka.
Dwóch się przyjaciół zbiegło, oto ręka,—
I zimno śmierci ich uściski ziębi;
Dwojga kochanków spotkało się oko, —
I męty śmierci widać w spojrzeń głębi,
I jęki śmierci z westchnieniem się wloką.

A topielicy skrwawione widziadło
W skrwawionéj szacie, ze skronią rozpadłą,
Ciągle Kaniowa przelatuje bruki,
W dziwniejszych ruchach, z dziwniejszemi huki:
Jęk co się wyrwał z łona ziemi matki,
Nieprzetoczone unosząc ostatki,
Bo jak nad trupem, krążą nad nią kruki,

Z rękami w niebo płakał lud skruszony,
Śród poświęconych sklepień Wszechmocnego
Ściany świątyni wtórzyły płacz jego.
Księża śpiewali pokutnemi tony;
Kaniowskich dzwonnic jęczały wciąż dzwony;
W każdym ołtarzu światła wciąż pałały;
Nieocenione słano zewsząd wota;
Z drogich kamieni, ze szczerego złota.
Wielkie ofiary, bo i strach niemały!
Płakali wierni, płakali niewierni,
Wprzódy niżeli noc barwy poczerni,
Dzieci Solimy przed arką bożnicy,
Bez płci różnicy, bez wieku różnicy,
Upadli na twarz w pogrzebowéj bieli,
Jakby od gniewu bożego olsnęli.
I w pyle ziemi czoło ponurzywszy,
Podnieśli głucho lament, załośliwszy,
Niźli go słyszał świata wiek daleki,
Na obcych brzegach babilońskiéj rzeki.
I łzy Dawida z ich się ócz polały,
Szczere to płacze, bo i strach niemały!...

Nie mniejszą pięknością uderza obraz obozu Szwaczki.

Nie mylne wieści, nie fałszywe trwogi,
Szwaczki to obóz, nie w dobrym zamiarze —
Pluskał po Dnieprze, tłukł się po czaharze,
Gdzie w ciasnem łożu skręconéj odnogi
Wrzący nurt Rosi i błyska i pluszcze,
A wiatr pobrzeżną oszczekiwa puszczę,
A w niéj gwar dziki klekoce ponuro,
A mgła kłębata, co ciemnieje górą,
Nad jéj sklepieniem w krąg się już rozwlekła,—
Jakby tam anioł śmierci i zagłady
Warzył dla ziemi nad płomieniem piekła
Wszystkie domowych zaburzeń szkarady.

Nie darmo czujne pałają ogniska,
I jacyś zbrojni leżą u płomieni,
Gdy wieńce borów zrywa wiatr jesieni,
A szron sędziwy na darniach połyska.
Choć leżeć oni zdają się spokojnie,
Ach! krwi to dzieci i myślą o wojnie!
Noże u pasów, ich czoła w kołpakach;
Dłonie na nożach, choć oczy uśnięte;
Do pik utkwionych rumaki przypięte,
A dniem i nocą siodła na rumakach.

A jeden kozak, na ustawnéj straży,
Niezgasły ogień czasami rozżarzy,
I na swą pikę wspiera się bezwładnie.
Słucha i patrzy. Nic w tym puszczy mroku
Nie ujdzie jego ni ucha, ni wzroku:
Niech strzępek szronu na uschły liść padnie,
Niechaj ptak klaśnie gałęzią zdaleka,
Niech pies w dalekim futorze zaszczeka,—
Już on to schwycił w gwarnym borów szumie,
I pochwycone, wnet rozróżnić umie.
I znowu oko zwrócił do ogniska,
I znowu piką poprawił płomienia.
Kłębią się dymy, czerwony żar pryska,
Rośnie wał ognia, noc się zarumienia,
Pośród bijącéj, krwawéj łona fali,
Jak mgliste duchy, cienie drzew się kładą.
Daléj noc czarna; tylko w ciemnéj dali,
Jakby zaklętą rozsiany gromadą,
Bezwładny obóz groźnym snem usypia:
Tam się błysk stosu ostrza piki czepia;
Tu w pół-dobyty nóż czasem zabłyska,—
Jak rozdrażnionéj gadziny oczyska.
Gdzieniegdzie znowu z pod burki kosmatéj,
Sen niespokojny wychylił pół twarzy,
I przez sen widać co każda z nich marzy,
To z brwi marszczonych, to z wargi wąsatéj:
Na téj śmiech dziki, klnące słowa na téj.
A tam, przyjaciel i wierny, choć panu,
Koń, ułożony tuż pod pana bokiem,
Strzeli niekiedy przebudzoném okiem,
Niby kochanie śród świata tumanu.

W saméj cichości obraz niespokojny
Nadzieją mordów kołysanéj wojny.

Albo owa noc tajemnicza i igrające w jéj mroku duchy powietrzne, zabójcze narzędzie w ręku Orliki i sen rządzcy trwożony przeczuciami, są to prawdziwie Szekspirowskie obrazy. Wiele jest podobnych ustępów w *Zamku Kaniowskim*, pełnych życia i ruchu dramatycznego. Cóż mówić o owych z upodobaniem kreślonych, świeżością i poezyą tchnących malowidłach Ukrainy? Weźmy np. krajobraz dnieprowy.

Inny Nebaba, bo z inną już duszą,
Pomiędzy borów majaczeje głuszą.
Grom namiętności mgłę spojrzeń rozświéca.
Szyderski uśmiech kazi boże lica;
Wszystko kipiące, od serca począwszy,
Aż do rumaka co go gdzie chce niesie;
Jak w duszy jego, posępno w tym lesie;
Jak żądze jego, kraj tu coraz nowszy.
Z piąter na piątra, z gór na góry drze się;
Za każdym krokiem rosną w nim tęsknice,
Im lasy głuchsze, wyższe okolice.
Aż oto nowa zajaśniała chwila,
I cienie troski ciągle mu umila,
Jak noc wieczności — zorza zmartwychwstania.
Cóż to za dziwna strona się odsłania?
Tu, pod nogami, na równi poziomej,
Moszen, spojrzeniem policzone domy,
Irdyń drzemiący w spleśniałéj głębinie,
Wiecznie z wiatrami sporne oczerety;
Jak rozsypane zielone bukiety,
Drzewa, i sady, i gaje, w dolinie.
Tam błyskający jasnemi zwierciadły,
Tu w gardła jaru, jak w otchłań zapadły
Dniepr tutaj całkiem skrył się w bór ponury,
A tu się znowu wylał z bioder góry.
Daléj piasczyste pozłocone morze;
Daléj bór spływa po spiczastym szczycie,
Podobny strzępnéj narodowca kicie.
A jeszcze daléj, i daléj, i bliżéj,
Góra po górze, bór idzie po borze,
Tysiącem węzłów, tysiącami krzyży,

Plączą się, mącą, rozchodzą, zbiegają,
Niepoliczoną, nieobjętą zgrają,
Wioski i grody, pustynie i laski,
Jary i góry, i łąki, i piaski.
A coraz daléj stepy piasku bledsze,
A coraz daléj lasy błękitnawsze,
A coraz daléj dymniejsze powietrze,
I nieba niższe, — a mgły, a mgły zawsze.
Ileż swobody; uniesień rozwinie
Jeden tu widok, w jednéj tu godzinie!
Gdzie ten wiatr wieje, gdzie ten obłok dąży,
Co tam za strony! gdzie w tumany sinie,
Wiecznie drzemiąca fala Dniepru płynie? —
Orzeł niech powie, co pod niebem krąży.
On wyżéj buja, i jego źrenice
Wyraźniéj widzą tamtę okolicę;
O Zaporożu niechaj on opowie:
Jak tam rozlegle panują koszowi,
Jakie tam wiecznie hulanki i wola;
To samo słońce jak tam rozpromienia
Porozsiewane, gwarne ich kurzenia;
A tabun pędzi ze rżeniem na pola;
A Zaporożec na swobodnym koniu,
Jak jego myśli, ugania po błoniu;
Jak wicher stepu, jego pieśń tak dzika.
A tam, po Dnieprze łódka się przemyka:
Lekka, i chybka, i szybka jak fala,
Leci za nurtem, po szklanéj równinie;
Wpadła na poroh; ze skał się przewala;
Zapadła w głębię — przepadła — aż zdala
Pęka wód kryształ, łódź jak łabędź płynie.
Przeszło co było! i co będzie minie!

Jeden z najpiękniejszych opisów kończy się cudném uniesieniem lirycznem, na chwilę uspakajającém czytelnika.

... Jak tylko zajrzeć, w około tumany,
Snują się jary, wstają w piętrach wzgórza;
Śród nich gdzie niegdzie lasek się zachmurza,
Błyszczy dnia resztą dach zamku blaszany;
Błyszczy na prawo Dniepr, dołem rozlany.
W błędnéj z tysiącznych węzłów plątaninie,
Liczne się drogi na lewo rozbiegły:

To skrętnym wężem pełzną po wyżynie,
To się jak wstęga snują po równinie,
To w puszczach jaru giną niespodzianie, —
Aż razem znikną w dalekim tumanie.
Tak tu wyraźny ten widok rozległy,
Że zliczysz wszystkie przydrożne figury;
A oczy lepsze dostrzedz nawet mogą
Gdzie jaki żebrak ciągnie którą drogą,
Gdzie koło błyska pośród pyłu chmury.
A dnia ostatkiem zachód pozłocony,
Pocieniowany lotnemi obłoki,
Jest jak zwierciadło téj ponętnéj strony,
Z każdym jéj cieniem, z wszystkiemi uroki.

Kogoż ten widok, kogo nie zachwyci?
Kiedy nad otchłań pognębienia wzbici,
Krążymy po niéj spojrzeniem w pół-bożém, —
A bliżsi nieba, czuć wyraźniéj możem,
Żeśmy na samém dwóch sfer pograniczu,
W swojéj kolebki, w ojczyzny obliczu.
Weselsza dusza żywiéj tu promieni,
Jaśniéj tu czyta w literach z płomieni,
Któremi Wieczny w tle chaosu cieni,
Do swéj potęgi dziedzictwa ją wpisał;
Z przed tronu Boga głośniéj tu dolata
Śpiew co ją w łonie wieczności kołysał;
Głuszéj tu jęczy płacz nizkiego świata;
Na dół, do ziemi, smutku kwef ponury,
Na dół westchnienie, co zawichrza duszą,
Łzy, sercu ciężkie, na dół tu ciec muszą; —
Jak nawałnice, i deszcze, i chmury,
Płyną do ziemi od niebieskiéj góry.

Również pięknem jest pożegnanie jesiennego słońca, przypominające podobnąż apostrofę *Dziewicy Jeziora* Walter-Skota.

Gwiazdo świetna, wesoła, jak anioł młodości!
Gdy na złotym promieniu wiedziesz z sobą lato,
Jak jéj nadzieja, wtedy, spoczywasz w ciemności.
Dzisiaj mglistą jesieni osłoniona szatą,
Jakże tęsknie opuszczasz niebo Ukrainy,
Gdzie wszystko jest pięknością niewinnéj dziewczyny,

Gdzie powietrze pogodne, jak blask jéj oblicza,
Czaruje w swych powiewach urokiem jéj tchnienia,
Gdzie wody odbijają światło jéj spojrzenia;
Gdzie pagórki ponętne jak jéj pierś dziewicza;
Gdzie wietrzyk harmoniją jéj pieśni powiewa,
Gdzie kwiaty płeć jéj mają, a jéj świeżość drzewa!
Czemuż o smutna gwiazdo w zachodzie jesieni,
Jak konające oko, twój się okrąg mieni?
Ponury jest twój zachód, i wschód twój ponury,
Kiedy się w chmurę kładziesz, kiedy wstajesz z chmury!
Pod rosą, co się dzisiaj promieni tak świetnie,
Jutro przed ranem jeszcze ten kwiatek zakrzepnie.
Jak, śród zdrajczéj pieszczoty piękność uwiedziona,
Ten listek taki świeży, żalu nie wyszepnie,
Gdy z rodzinnéj gałązki wiater go odetnie,
I na wywiędłéj braci jeszcze dzisiaj skona!
Żegnam cię więc, o gwiazdo, przed smutnym noclegiem:
Jękiem listka, co głuchnie nad ogłuchłym brzegiem;
Wielkim hymnem żórawi co ciągną ku morzu;
Rykiem trzody, co rzuca jałowe pastwiska;
Głuchym szumem, co stęka w zmartwiałych wód łożu;
Konającym promieniem, co z rosy połyska,
Gdy raz ostatni, drżącą, zimny wicher ściska!

Ze wszystkich poetów polsko-ukraińskich Goszczyński najwierniéj odmalował ziemię rodzinną, albowiem treść i barwy do swego poematu czerpał nie w fantazyi szlacheckiéj, lecz w piersi ludu, pognębionéj zmorą niewoli społecznéj i krwawych wspomnień dziejowych. W tym względzie jest to poeta prawdziwie narodowy, choć forma jego utworu wydaje gdzieniegdzie wpływ Byrona, i z formą poezyi gminnéj nic nie ma wspólnego. Pod względem artystycznym, można mu zarzucić niepoprawność i nie zupełnie jasne wyłuszczenie rzeczy, zdradzające pośpiech, szczególniéj ku końcowi powieści.

Ale nie tylko pod względem sztuki *Zamek Kaniowski* jest znakomitym utworem, zastanawia on jeszcze, jako fakt wielkiéj doniosłości w historyi społeczności polskiéj, bezstronnym i dziwnie beznamiętnym poglądem poety na przeszłość. Patrzyć w ten sposób można jedynie na to, co bezpowrotnie minęło. W tym względzie zasługuje na uwagę wspaniały epilog poematu.

Gdy duch mój zwiedzał dnieprowe pobrzeże,
I na Kaniowa odpoczął ruderze,
Jeszcze tam w koło wyszukał on ślady
Dnia okropnego ostatniéj zagłady:
Jeszcze po ścianach krew się czerwieniła,
Gdzie żona, gnana morderców pogonią,
Mytą w krwi męża chwytała się dłonią;
Żadna wywabić nie mogła jéj siła,
Na miejscu startéj inna wystąpiła;
Ale nieszczęsne zabójczyni ciało,
W popiół przetlałe, z wiatrem się rozwiało.
W porosłéj miękką murawą uboczy,
Trafił na kołtun Kseninych warkoczy,
Ale w nim drobny gnieździł się już ptaszek.
Obok leżała z Nebaby ratyszcza
Stal, od płomienia w ciemny żużel zlana.
A błądząc długo śród skośniałych czaszek,
Odgrzebał torban, między gruzem zgliszcza,
I jednę strunę z całego torbana.
Ani lat, ani pogody koleje
Nie mogły przyćmić złotego jéj blasku;
A wiatr, kochanek, z poblizkiego lasku,
Co noc z nią dawne odśpiewywał dzieje,
I jam polubił chrypliwe jéj tony....
. . . . . .
Mijają lata, z latami zdarzenia,
W ostatnim dymie zgasłego płomienia
Wróciły w piekło szatany zniszczenia.
Świetnie przejrzały nieba Ukrainy,
Zabrzmiała śmiało cicha pieśń dziewczyny.
Czas lasem okrył ostatki ruiny;
Gdzie bojowiska czaszkami bielały,
Ulewna burza brózdy tam zorywa,
W skwarny dzień lata złocą się tam żniwa,
Kwiat się tam, z wiosną, wykluwa nieśmiały.
Złomki szubienic świecą próchnem z ziemi,
Nad zwycięzcami, nad zwyciężonemi,
Trawą usłana mogiła zapada:
Tam błędny żebrak do snu pacierz gada.

„Widzimy tu — mówi Mickiewicz — poetę niemal obojętnie już traktującego przeszłość. Istotnie, zdaje się że w duchu

patrzy na tę walkę, którą opowiada bez politowania, bez smutku. Dumę pana polskiego, zajadłość kozaczą, okropne gwałty i rzezie opisuje spokojnie, jak gdyby to zgoła go nie obchodziło, jak gdyby był bezstronnym świadkiem; naostatek wszystko niszczy wielkim pożarem. Zaleski zamknął widowisko poezyi słowiańskiéj świetnym i różnobarwnym fejerwerkiem; można powiedzieć, że Goszczyński podłożył ogień pod starożytną jéj budowę."

Jak w *Zamku Kaniowskim* sceny ukraińskie, tak w „Sobótce" *) Górali tatrzańskich odmalował Goszczyński. Poemacik ten, zalecający się wielką malowniczością i poezyą, stanowi ustęp z niewydanéj powieści p. n. *Kościelisko*. Wszystka treść tego utworu jest echem wiernem podań krążących pod Tatrami. Napisał go poeta po zwiedzeniu Karpat, piękne więc obrazy natury i opisy scen górskiego życia narysowane są na tle osobistych wspomnień odbytéj podróży; farby właściwe są miejscowości; co chwila nasuwają się wyobrażenia, przesądy i pieśni gminu. Goszczyński, w ogóle, nader poważnie zgłębiał przesądy ludowe. Nie widzi on w nich wyłącznie materyału do zmyślań poetyckich, lecz dopatruje głębszego znaczenia, i niemal ubolewa, że wpływ oświaty rozerwał starożytny związek pierwotnego człowieka — dziecięcia z przyrodą — żywicielką.

Ależ bo wówczas, ziemia staroświecka!
Dzisiejsze dziwy dziwami nie były;
Grały widomie niewidome siły
I pilnowały człowieka, jak dziecka.
W powietrzu, w drzewach, w kamieniu, pod wodą,
Krewne spółczucie ludzie znajdowali,
Bo nie gardzili naówczas przyrodą,
Bo ją jak matkę znali i kochali.

Jak umiejętnie poeta korzysta z tego tła mitycznego dla swoich malowideł, pokazuje np. pieśń o „chmurnéj dolinie:"

---

*) *Sobótka*, uroczystość pogańska ludów słowiańskich, utrzymuje się dotąd w zwyczaju u wielu Słowian, mianowicie Polaków i Karpackich górali. Mieszkańcy jednéj lub kilku osad gromadzą się w pewne miejsce, nakładają wielki ogień, tańczą około niego, śpiewają, czynią wróżby, to skacząc przez płomień, to wianki puszczając na wodę. Na Rusi obrządkowi temu odpowiada *Kupała*.

Rozkoszna, jedyna,
Pochmurna dolina;
Dla całych Tatrów poręta:
Lecz lasy i skały
Wkrąg ją opasały,
I bramą z głazów zamknięta.

Rozkoszna, jedyna,
Pochmurna dolina;
Od całych Tatrów kochana:
Lecz na niéj mgły gęste,
I deszcze w niéj częste,
Dolina często spłakana.

Bo w skalnéj siedzibie,
W Dunajca kolebie,
Panuje straszny duch-potwór.
Zgrzybiały zazdrośnik,
Dunajca miłośnik,
Wciąż patrzy za nim przez otwór.

Poczwara złośliwa
Szaleje do dziwa,
Jak tylko weźmiesz mu wody.
Za kroplę ztąd biedną,
Piekielne bezedno
Potopem wre niepogody.

Siedziba szatana,
Skarbami zapchana;
W niéj srebro, złoto, jak śmiecie;—
Nie złota duch patrzy,
Od złota skarb rzadszy
Tam leży — wieczne tam życie.

Kto dosyć wytrwały
Aż w głębią pójść skały,
I na strach mocną ma głowę,
Ten za swoję dzielność
Ma tam nieśmiertelność,
I bierzę skarbów połowę.

Lecz ducha złość wściekła
Zatrzęsie dnem piekła,
Jak tylko drzesz się pod skałę;
Opada ulewa,
Wiatr lasy wyrywa,
Głaz pęka, Tatry drżą całe.

Mniéj ma zalet powieść z życia szlacheckiego p. n. *Anna z Nadbrzeża*, która dopiero r. 1844 ustępami drukowaną była w *Orędowniku*. Autor odniosł rzecz do czasów panowania Jana Kazimierza. Nie obeszło się i tutaj bez wróżb i czarów. Powieść pięknie zaczęta, ale układa się i kończy pospolicie. *W Trzech Strunach* także niedostaje prawdziwego natchnienia. Są to jakby echa trzech chwil dziejowych. Liryczne utwory Goszczyńskiego więcéj mają myśli męzkiéj i siły, niż uczucia. Są to po większéj części improwizacye z całą ich niepoprawnością, ze wszystkiemi wadami ducha i formy improwizowanéj. Jednym z piękniejszych jest wiersz p. n. *Przeznaczenie Genijusza.*

Na toż powstają Genijusze
W wiecznéj bytu zawierusze,
Aby błysnęły kometą
I potém zgasły bez śladu?
Możnaż, aby twórca ładu
Bezcelną zamknął je metą?

Tutaj, gdzie pyłek jest świata ogniwem,
Oneż się tylko marnie zatracą,
Z całych wieków pracą,
Z plemion podziwem?
»Chwała światłości i cnocie!
»Hańba złemu i ciemnocie!«
Zawoła skielet mądrości,
Groźny anioł—stróż przeszłości.
Wielki prorok z doświadczenia,
Który nad wieków prochami,
Liczy chwile kolejami
Bytu i zniszczenia.
»Kto obecność pojąć pragnie,
»Ku przeszłości ducha nagnie,
»Ledwo drobny świat człowieka
Zaczął swój obrot w światów kołowrocie,
»Dumny przy swojéj lichocie,
»Z dróg wytkniętych wnet ucieka,
»I gaśnie w ciemnocie.«
Przecknęła mądrość w twórcy osobie
I tchnęła z boskich piersi, i Genijusz w téj dobie
Zszedł na ziemię otwarcie,
I śmiertelnym przyniósł wsparcie.
I już odtąd wiek po wieku,
Jak tylko bóstwo przygasa w człowieku,
A ciało duszę ugniata,
Wcielony Genijusz zlata,
I zapaśnik ludzkości, ludzkości imieniem,
Walczy z nocą i spodleniem,
Aż wrogów duszy obali,
A świat tymczasem pomyka się daléj.
Chwała wam, męże wyższego natchnienia!
Że dusza żyje przez wasze zjawienia,
Jak biciem krwi ciało żyje,
Że przez was śród tego cienia
Zegar mądrości idzie i bije.

Król Zamczyska, prozą pisany, uderza silną fantazyą, ale widać w nim brak prostoty i ubieganie się za nadzwyczajnością. Ma to być allegorya polityczna. Główną osobą obrazu jest marzyciel, zamieszkujący gruzy zamku Odrzykońskiego.

Ostatnie utwory poetyckie Goszczyńskiego tchną mistycy-

zmem. Do takich należą *Boga Rodzica* (1864) i *Posłanie etc.* (Paryż 1869).

Nadto napisał powieści prozą: „*Oda*“ i „*Straszny strzelec*“; szkic krytyczny: „*Nowa epoka poezyi polskiéj*,“ odznaczający się nowością i oryginalnością poglądów; „*Dziennik podróży do Tatrów*,“ nader zajmujący obraz etnograficzny ludu górskiego; przełożył *Pieśni Ossyana* i dramat Raupacha *Robert Djabeł*.

Wydania zbiorowe, wzajemnie się dopełniające utworów poetyckich Goszczyńskiego są: „*Pisma*“ (3 t.. Lwów 1838); „*Dzieła*“ (3 t., Wrocław 1852); „*Dzieła*“ (2 t., Lipsk 1870, jako t. 60 i 61 „*Biblioteki pisarzy polskich*“ Brockhausa). *Zamek Kaniowski* tłómaczony był na język francuzki.

Malczewski, Zaleski i Goszczyński utworzyli tak zwaną *Szkołę ukraińską*, któréj umiejętnym przewodnikiem był krytyk Michał Grabowski. Poeci należący do tego zastępu podzielali ogólne dążności romantyków, cudowność, fantastyczność, wiarę w duchy i posługiwanie się niemi w poezyi, naśladowanie angielskich poetów i wiele innych właściwości; ale łączyła ich znowu spólność pewnych rysów, do których przedewszystkiém policzyć należy: przejęcie się charakterem, obyczajami, wiarą, wreszcie poezyą ludu ukraińskiego, oraz zamiłowanie i idealizowanie ukraińskiéj miejscowości. Ztąd poszło, że poezye ich mają barwę miejscową, różną od innych. Powtarzają się w nich pewne uderzające dążności, które za wspólne znamiona téj szkoły uważać można; temi są: uwielbienie siły, swoboda wyobraźni, naturalizm i uzmysłowienie miłości. Niektórzy z tych poetów, uniesieni wygórowaną sympatyą do miejsc rodzinnych, zamiłowanie swoje posunęli aż do osłaniania szatą poezyi postaci znanych tylko z brutalnéj siły, dzikości i krwi rozlewu. Wiele w tém czynił przykład Byrona, który najchętniéj za bohaterów swych poematów brał ludzi żyjących tylko namiętnością, szyderstwem i siłą. Inni nadaremnie usiłowali przyswoić formę Zaleskiego, i narażali się tylko na śmieszność. (*)

(*) O takich to naśladowcach wspomina Mickiewicz w liście do Bohdana pisanym w sierpniu 1838 r.: „Czytałem różne wyjątki nowych poetów w *Tygodniku Petersburgskim*; nie zachwycili mnie. Ukraińcy jak wsiedli na Bohdana, tak też jadą, pokrzykując: „hop, hop, cup, cup,“ aż mię nakoniec rozgniewali. Cóż u djabła, żeby im też nic nowego do głowy nie przyszło? Dotąd są to naśladowcy, chyba może wyrobią się z czasem. Przyszła mi na

Michał Grabowski, o którym obszerniéj powiemy w inném miejscu, był, jak wspomnieliśmy, estetykiem i kierownikiem ukraińskich poetów. Oceniał on ich utwory, wskazywał zalety i wady; owiany temiż samemi dumami co tamci, tęsknił za nową poezyą, a więcéj od tamtych wykształcony, sam sobie zdawał sprawę z tego, co być powinno. Ale i Grabowski pisał poezye. Piękne są jego *„Melodye ukraińskie“*, legenda zaś *„Wawrzeniec z Powodu“*, jedna to znajlepszych u nas, według zdania samego wieszcza „Zamku Kaniowskiego“ Grabowski brał żywcem materyał gminnéj pieśni i oddawał go tylko w języku polskim.

Tymon Zuborowski urodził się r. 1799 w Galicyi, w cyrkule czortkowskim, we wsi Liczkowcach, u podnoża gór Miodoborskich. Nauki odbywał w Krzemieńcu razem z Karolem Sienkiewiczem, Józefem Korzeniowskim i Ordyńcem, późniéjszym redaktorem *Dziennika Warszawskiego*. Mieszkając w Warszawie, przez dwa lata należał ze Skomorowskim do wydawania przygotowanych przez Krzemieńczanów *Ćwiczeń naukowych i Pamiętnika naukowego* (1818 i 1819). Późniéj przebywał w domu rodzicielskim. Dobrowolną śmierć znalazł w nurtach strumienia, r. 1828.

Zaborowski posiadał niezaprzeczone zdolności poetyczne, i po omacku trafiał na drogę poezyi narodowéj. Należy on do przéjścia, gdy literatura polska zaczęła się otrząsać z jarzma francuzczyzny, Chociaż nie rozwinął potężnego talentu, młode pokolenie ówczesne ceniło go nader wysoko. Poetycki swój zawód rozpoczął od epopei w 24 pieśniach, w rodzaju klassycznym, p. n. *Bolesław Chrobry, czyli zdobycie Kijowa*. Drukował z niéj tylko wyjątki w *Ćwiczeniach naukowych*, a następnie w *Polihymnii;* jeden znaczny ustęp wyszedł osobno. Najcelniejszym atoli utworem Zaborowskiego są jego *„Dumy Podolskie za czasów panowania tureckiego“*, wydane już po śmierci poety przez Karola Sienkiewicza w Puławach r. 1830. Tu już widzimy postęp odróżniający Zaborowskiego od innych równoczesnych poetów. Autor maluje rozpacz Podola pod jarz-

---

myśl manija ballad niegdyś panująca. Nieboszczyk Kulakowski napisał balladę o szczurze, gdzie były kapitalne wiersze:

I strzyże uszami,
I klapie zębami,
I kręci ogonem—(miarowanel)

Warto żeby ktoś napisał coś o hop, hop, żeby tych pisarków z konia ukraińskiego zsadzić.“

mem tureckiém za Sobieskiego. Są to jakby z mogił westchnienia dawnych ofiar i męczenników.

W rękopiśmie zostawił tragedyę *Bohdan Chmielnicki, Umwid*, poemat dramatyczny z czasów Mieczysława I i wiele drobnych utworów *). Zalecają się one szczerotą i głębokością uczuć, myślą szlachetną, malowniczością opisów i wdziękiem formy. Wszystkie znamionuje smutek głęboki.

Przytaczamy tu wyjątek z *Dum Podolskich*, dla wykazania zalet poety.

...Miotane falą ognistéj powodzi,
Słońce zanurza się i słońce wschodzi;
Czasem się tylko lekkie chmury wzniosą
I spłoną w głębi ciemnego błękitu;
Blask nieba ani w miłych barwach świtu
Ani się krasną tęczą w dzień łagodzi,
Ani się ranną lśni po ziemi rosą.
Czasem gdy jutrznia po nad spiekłe błonie,
Tchnieniem łagodném od wschodu powionie,
Jak skrzydła w locie powstrzymanych wiatrów,
Złote obłoki nad górami wiszą,
Niebo w pogodzie swoją śmierzy ciszą
Szmerliwe lasy, wód burzliwych tonie,
I groźne szczyty chmurnych zawsze Tatrów.
Słońce! ty ziemi donosisz z wysoka
Połysk bystrego Opatrzności oka!
Powszechna cisza poważnego lata,
Które podobnie nam, w milczeniu pała
Jak wielkiéj duszy spokojność wspaniała,
Jak ta mądrości boskiéj myśl głęboka,
Która piastuje cały ogrom świata!
Ty! który mogłeś od naszéj posady
Odwrócić burze i szkodliwe grady,
Oręż bezbożnych twoją wstrzymaj mocą!
Czyż dla nich mnożą się te roje czynne?
Czyż im te pola kwitną miodopłynne?
Imże te bujne kwitną winogrady?
Imże się zbożem plenne kłosy złocą?

*) Wiadomość o nich podał L. Sowiński w *Wieńcu* r. 1872.

Odwieczny Boże! ty którego cienie
I moje wdzięczne uwielbiało pienie!
Czyliż podobnie my do twoich liści,
Mamy igrzyskiem być wojennéj spieki?
Czyliż te zgasłe ojców naszych wieki,
Naszych serc darmo obudziły drżenie?
A sen ich piękny dla nas się nie ziści?

Antoni Gorecki urodził się w Wilnie r. 1787, z ojca mecenasa, jednego z celniejszych przy sądach litewskich. Uczęszczał na uniwersytet wileński między r. 1803 a 1806. Po utworzeniu księztwa Warszawskiego wszedł do wojska polskiego. Po bitwie pod Możajskiem, za odznaczenie się w boju, mianowany został kawalerem legii honorowéj. Po odwrocie Napoleona kilka miesięcy w Krakowie dla wyleczenia ran przebywał. Po r. 1815 przez lat trzy zwiedzał Niemcy, Włochy i Francyę, w podróży szukając więcéj rozrywki, aniżeli nauki. Bawiąc za granicą, nadsyłał utwory swoje Brunonowi Kicińskiemu do *Tygodnika Polskiego* i Bentkowskiemu do *Pamiętnika Warszawskiego*. Obaj redaktorowie ustawicznie domagali się jego wierszy, wiedząc jak publiczność chętnie je przyjmowała. Były to po większej części ucinkowe wierszyki i dowcipne, czasem gorzką satyrą zaprawiane bajeczki, będące wiernym obrazem stosunków spółczesnych. Wiele z nich obiegało po rękach w odpisach. Drukował także utwory swoje w *Dzienniku Wileńskim*. Krótko gościł w Warszawie, jeżdżąc za granicę i wracając, a każdy pobyt swój upamiętnił jakąś bajeczką lub wierszem. Wróciwszy do kraju, osiadł blizko Wilna i był jednym z najczynniejszych członków „Towarzystwa Szubrawców.“ Po r. 1831 osiadł w Paryżu. Tu w blizkich pozostawał stosunkach z Mickiewiczem, Zaleskim, Witwickim, i jakiś czas należał do sekty Towiańskiego. Poezye pisywał ciągle. Usposobienia był częściéj zasępionego, niż wesołego, dowcip miał łatwy, zwykle ostry; skory był również do sympatyi, jak do antypatyi. Choć nigdy nie był mocnego zdrowia, dożył lat 74. Umarł r. 1861 w Paryżu. Syn jego Tadeusz, znany zaszczytnie malarz, był zięciem Adama Mickiewicza.

Gorecki wykształcił się bez wielkiego zachodu, więcéj w życiu, aniżeli na ławie szkolnéj. Do nauk ścisłych i do głębokich studyów nie miał wielkiego pociągu, poetą był z potrzeby wrodzonéj, i dla tego zawsze szedł za własném natchnie-

niem, nie wiążąc się do żadnéj szkoły. *) Pisał już od r. 1812. Drobne jego poezye zasilały wszystkie niemal pisma czasowe, pamiętniki, dzienniki tygodniowe; inne spoczywały w rękopismach. Niektóre z nich wielką zyskały popularność. Całe młode pokolenie deklamowało je w domach, w kółku rodzinném i na egzaminach publicznych. Powtarzano również jego bajeczki i dowcipne ucinki, i przy wtórze fortepianu nucono jego pieśni. Ogłosił osobno w Warszawie: *„Dumę o generale Grabowskim poległym pod Smoleńskiem“* (1814) i *„Krakowiaki ofiarowane Polkom“*, z muzyką Mireckiego (1816). Dopiero od r. 1834 zaczęły poezye Goreckiego wychodzić w oddzielnych zbiorkach. Do takich należą: *„Poezye Litwina“* (Paryż, 1834), najlepsze może ze wszystkich prac jego; *„Bajki i poezye nowe“* (Paryż, 1839); *„Kłosek Polski“* (tamże, 1843); *„Siewba“* (Paryż, 1857); *„Nowy zbiorek wierszy“* (1858); *„Jeszcze tomik pism“* (1859); *„Wiersze różne“* (1860) i t. d. Utwory lat młodszych odznaczają się łatwością, dowcipem, tkliwością uczucia i pięknością myśli; w późniejszych widoczny jest upadek talentu i pewien zamęt w pojęciach religijnych. W ogóle, jakkolwiek nie celował Gorecki wysokim talentem poetycznym, to jednak jego bajki, krakowiaki i niektóre pieśni, piękne zapewniają mu imię w literaturze. Zaleca go nadto język dobitny, męzki i wolny od francuzkich zwrotów. Dla przykładu, przytaczamy wiersz p. n. *Pogrzeb nędzarza.*

Idźmy więc tam! zajęczał głos dzwonka śmiertelny,
Niosą trupa Łazarza na cmentarz kościelny,
Niedługa o nim powieść. Wyszedł z kmiotków stanu,
Utracił pierwsze siły orząc ziemię panu;
Potém domy bogaczów zasłaniał przed wrogiem;
Wrócił ranny i umarł z głodu przed ich progiem!
Patrz! jak skromny jest obchód żebraka pogrzebu:
Kapłan wiejski pobożne wzniósł ręce ku niebu;
Przy nim ubóstwo klęcząc, wierne w przodków wierze,
Za grzechy przyjaciela błaga Boga szczerze;
A tymczasem już drudzy kładą w dół głęboki,
Łachmanami okryte, nędzą wyschłe zwłoki.
Przysypali je ziemią, ogrzali westchnieniem,
Cichą łzą pokropili i poszli z milczeniem!

*) Pisze o sobie:

„Mnie pan Mochnacki uczniem Szlegla witał,
„A ja, dalibóg, anim Szlegla czytał.“

Otoż wszystko skończone! Nie było nacisku,
Dział ryku, stuku karet, tysiąca lamp błysku,
Milczą szumni poeci, milczą kaznodzieje,
Żadna piękność w tyftykach głosnych łez nie leje;
Zamiast słodkiéj muzyki, Bogu pozostałe
Jęczą tylko przy grobie dwie córeczki małe!
„Chodźcie tu miłe dzieci!—woła pleban stary,
„Podzielę z wami chleb mój i naukę wiary".
Idą, wzrok obracając gdzie ojca mogiła,
A tymczasem noc szare skrzydła rozpuściła.

Powiedzieliśmy już gdzieindziéj, iż przełom stanowczy w literaturze polskiéj nastąpił w Wilnie. Wśród młodzieży tamecznéj znalazło się kilka niepospolitych talentów. Zamiłowanie rzeczy własnych, poważniejsze zastanowienie się nad sobą, prawda uczuć i myśli, a nadewszystko natchnienie, stanowiły ich godła. Rzecz zastanawiająca, że ci co najwięcéj dzwignąć mieli narodową sztukę, w szkołach jeszcze rymując, zabitymi byli klassykami, tłómaczyli i naśladowali wzory łacińskie lub francuzkie. Mickiewicz np. w szkołach nowogródzkich przekładał z prozy polskiéj na wiersz „Numę Pompiliusza" Floryana, a następnie w uniwersytecie pisał obszerną arcy-klassyczną recenzyę „Jagiellonidy" Tomaszewskiego. Recenzyi téj nie powstydziłby się Osiński; nie wiele w niéj było myśli i treści, ale nawał prawideł i rozumowań zastosowanych do pojęć szkoły; A. E. Odyniec w szkole w Borunach przekładał także z prozy polskiéj na wiersz poemat Floryana „Gonzalw z Korduby" i tłómaczył Ifigenię Rasyna. Julian Korsak rozpoczynał swój zawód literacki od tłómaczenia liryków Horacyusza. Pierwszy *Tomasz Zan*, wielbiony przez młodzież wileńską za prawość charakteru i życie cnotliwe, zajmując się w wolnych chwilach poezyą, nie radził się żadnych przepisów sztuki. Pisał wiersze jak umiał, o wszystkiem; każde miłe wrażenie chciał z bracią podzielić, i za środek ku temu obierał poezyę. Opisywał tedy wierszem swoje uczucia, przechadzki i zabawy, i puszczał to wszystko pomiędzy przyjaciół. Jeden z takich ulotnych wierszyków, elegija na odjazd pewnéj pensyonarki, z którą w domu wspólnych znajomych przez rok cały widywał się co niedziela, zastanowił Mickiewicza. Zdumiał się przyszły wieszcz narodowy, bo nie sądził, aby w potocznych szczegółach, w rzeczywistości powszedniéj było tyle skarbów poezyi. I powstała u niego—jak mówi Bartoszewicz—

idea o prawdzie w poezyi, a raczéj o poezyi w prawdzie. Nim jeszcze młodzież litewska poznała obce literatury, widzimy, jak sama szukała prawdy i poezyi. W tém wpadła w pośród nią „Świetlana“ ballada rossyjska Żukowskiego i sprawiła niesłychane wrażenie. Zaraz nazajutrz Zan napisał swoję „Neronę“, pierwszą balladę w języku polskim, za którą wkrótce nastąpiły jegoż „Cyganka“, tudzież Mickiewicza „Pani Twardowska“, „Świtezianka“ i „Lilije“. Młodzi poeci zstąpili z wyżyn klassycznych pod strzechy ludu prostego, zaczęli śpiewać o gminnych marzeniach i baśniach, tak samo jak Brodziński, który w Warzawie przetwarzał na język polski ludowe pieśni innych plemion słowiańskich. Natchnienie zstąpiło na tłumy, i wszyscy zaczęli pisać ballady, powołani i niepowołani. Jak wszędzie, tak i tutaj było wiele naśladownictwa, ale przynajmniéj znaleźli się i mistrze. Zresztą sama forma ballady trąciła już naśladownictwem. Sam Mickiewicz poszedł za sentymentalnością, pasterstwem i ckliwém wymuskaniem niemieckich wzorów. W tym okresie twórczości swojéj był on już wielkim poetą romantycznym, ale nie dorósł jeszcze godności wieszcza narodowego. Trafiając natchnieniem na źródła poezyi, trafił i na polskie; ale niepewny jeszcze siebie, bez samowiedzy o potędze własnego genijuszu, o warunkach tworzenia narodowego, uderzał jak czarodziéj wszędzie, i zewsząd pod jego dotknięciem wytryskała poezya obfitemi zdrojami. I on więc należy poniekąd do epoki przejścia, przynajmniéj w początkach swojego poetyckiego zawodu. Umieściliśmy tu również trzech najznakomitszych poetów ukraińskich, poezya ich bowiem, jakkolwiek spoczywa już na swojskim gruncie i objawia nowy kierunek, wszelako nie przedstawia żadnéj wielkiéj w dziejach narodowych chwili, żadnéj ogólnéj idei, ani całości narodowéj. Jest to wreszcie poezya przeszłości, bez charakteru swojego czasu. Od prawdziwego zaś narodowego wieszcza— jak mówi Mecherzyński—wymagamy, aby opracowany przez niego materyał, choć do przeszłości należy, przedstawiał w jakimkolwiek sposobie ducha swoich czasów, i kojarzył niejako przeszłość z obecnością. Bo „poezya jest wiecznie żyjącą i rozwijającą się z duchem czasu sztuką—jako najświetniejszy kwiat ducha narodowego powinna nosić na sobie piętno swego czasu, i objawiać w sobie ducha, który ją wywołał.“ Te warunki niezbędne narodowéj poezyi wypełnił w dojrzalszéj dobie swojego genijuszu śpiewak *Dziadów i Pana Tadeusza.*

2. Adam Mickiewicz. *)

Adam Bernard Mickiewicz, jeden z największych geniuszów poetycznych ludzkości i najznakomitszy z poetów polskich, urodził się w Nowogródku, albo jak inna, mniéj wiarogodna wieść niesie, w Zaosiu pod Nowogródkiem, w wigiliję Bożego Narodzenia r. 1798, z ojca Mikołaja, adwokata nowogródzkiego, i Barbary z Majewskich. Dom Mickiewiczów, rozrodzony w Lidzkiem—a zatém na pograniczu etnograficznem dwóch plemion, białoruskiego i litewskiego—miał pochodzenie książęce (podług Strykowskiego), lecz z biegiem czasu podupadł, a raczéj zszedł do tego stanu uczciwéj mierności szlacheckiéj, w którym łatwiéj było o cnoty domowe i publiczne, niż o ton górny i fortunę. Na Litwie, a szczególniéj w stronach jéj nadniemeńskich i nadwilejskich, nie wiele było w ogólności majątków i rodów magnackich, ale za to niezmierną rojnością odznaczała się klassa szlachty drobniejszéj, posiadającéj lub wcale nie posiadającéj ziemi a święcie przechowującéj tradycye i obyczaje dawne. Potężne spojnie, oparte na tych tradycyach, łączyły właścicieli ziemskich, używających bytu dostatniejszego, z całemi okolicami, czyli tak zwanemi „zaściankami“ szlachty szaraczkowéj, która nie mając poddanych, sama uprawiała swój zagon, i któréj byt niewiele się różnił od włościańskiego. Stosunki obywateli z ludem, aczkolwiek patryarchalne, nie były jednakże zbyt zdrożne, a raczéj o tyle były znośne, o ile być mogły przy istnieniu poddaństwa; przynajmniéj żywioł kozaczyzny i ogólnych powstań ludowych nieznany był jeszcze litewskiéj ludności kmiecéj. Majątki pozostawały od wieków w tych samych rodach; starodawne zwyczaje trzymały na uwięzi pochop do zbytku; obyczaje były gościnne, lecz proste; a przy niewielkiej rzutności przemysłowéj w charakterze szlacheckim, nie było jeszcze owego ekonomicznego wyzyskiwania włościan, które tak silnie rozwinęło się w czasie późniejszym. Taka to była sfera którą następnie wieszcz odmalował w *Panu Tadeuszu*. Stałą siedzibą rodziców Mickiewicza był Nowogródek; w Zaosiu mieszkali przez dwa lata niespełna (1799—1801); mieli pięciu synów, z których dwaj przeżyli Adama. W dziesiątym roku życia oddano go wraz ze starszym bratem Fran-

*) W następnych odsyłaczach przytaczamy ustępy z najwiarogodniejszych autorów, którzy pisali o Mickiewiczu, tudzież wyjątki z własnéj korrespondencyi poety wyjaśniające szczegóły jego życia i rysy charakteru.

ciszkiem do szkół dominikańskich w Nowogródku. Tu zaprzyjaźnił się z Janem Czeczotem, z którym następnie kolegował w uniwersytecie. W szkołach okazywał szczególny pociąg do chemii i w ogóle do nauk przyrodniczych, co się nawet odbiło w niektórych jego poezyach, a mianowicie w wierszu „Do doktora S... przedsiębiorącego podróż naukową do Azyi, w przedmiocie historyi naturalnéj". Obok tego objawiał kierunek poetyczny. Z polskiéj prozy przetwarzał na wiersz „Numę Pompiliusza" Floryana, a smutny wypadek, zaszły w tym czasie, natchnął go oryginalnym utworem. Wśród ciemnéj nocy wybuchnął w Nowogródku pożar. Straszny ten obraz, samą okropnością piękny, przy zgiełku i wrzawie ratujących, rozpaczy i płaczu pogorzelców, silnie uderzył młodą wyobraźnię Mickiewicza, i wtedy napisał wiersz malujący tę smutną scenę. Utwór ten zaginął. Silniejsze jeszcze wrażenie sprawiło nań wkroczenie orłów Napoleońskich do Rossyi na wiosnę 1812 r. O téj to wiośnie wspomina poeta w XI pieśni „Pana Tadeusza":

»O wiosno! Kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju!
O wiosno, kto cię widział jak byłaś kwitnąca
Zbożami i trawami a ludźmi błyszcząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!
Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!..
Ja tylko jednę taką wiosnę miałem w życiu»— i t. d. [1])

Wypadek ten, nakształt promiennego widzenia, olśnił ognistego młodzieńca. Odtąd Mickiewicz wyznawał najgorętszą cześć dla Napoleona, która następnie przetworzyła się w rodzaj mistycznego obłędu. — Wakacyjne miesiące spędzał Adam najczęściéj w Zaosiu u ciotki swojéj [2]). W r. 1812 umarł mu oj-

1) Zdaje się że ze słów powyższych o wiośnie, jaką poeta miał jednę tylko w życiu, urosła niedorzeczna bajka o udziale *trzynastoletniego* Mickiewicza w wyprawie rossyjskiéj Napoleona.

2) »W tym malutkim szlacheckim dworku starożytnéj struktury, dziś pomarszczonym i przyciupłym ku ziemi, wieszcz w pacholęcym i młodzieńczym wieku przepędził prawie wszystkie wakacye u swéj ciotki. W téj salce nad śpichlerzem zawsze najchętniéj przesiadywał, i przyglądał się pięknym okolicom zaścianku, zbierając farby do obrazów, które w przyszłości sympatycznie, jak nikt inny, miał odmalować. Z tych okienek widnieje wspaniale wspominana przezeń Żarnowa Góra, najwyższa w całéj okolicy... Tu ściany i szyby okien były pozapisywane jego ręką młodzieńczą. Lecz dworek przeszedł w inne ręce — rodzina się rozpierzchła po świecie — wiatr porozbijał szyby, a dziury zaklejono papierem — obicia ze ścian poopadały i poszły na mierzwę;

ciec. W r. 1815 ukończył szkoły i obdarzony został patentem [3]). W tymże roku, mając lat 16, poszedł na uniwersytet do Wilna, gdzie z początku poświęcał się nauce fizyki i matematyki, lecz wkrótce przeniósł się na kurs filologii i literatury. W tym oddziale natrafił na wykłady znakomitych profesorów, Lelewela, Grodka, Leona Borowskiego, i z całym zapałem oddał się literaturze starożytnéj, obok któréj starał się poznać i nowoczesną, zwłaszcza poezyę romantyczną, świetnie pod ów czas na Zachodzie rozkwitającą. Na wzorach poezyi starożytnéj nauczył się Mickiewicz wykończenia formy pisarskiéj, a literatura niemiecka (Schiller, Goethe) i angielska (Byron) dostarczała mu nieprzebranych skarbów myśli. Tu rozpoczął swój zawód autorski, witany spółczuciem i zachętą uniwersyteckich spółuczniów. Z kolegów najwięcéj wpływu wywierał nań Tomasz Zan. Ścisła zażyłość łączyła go z ludźmi, z których kilku zjednało sobie później imię w literaturze, jako to: z A. E. Odyńcem, Janem Czeczotem, Aleksandrem Chodźką, Franciszkiem Malewskim i t. d. Piérwszą drukowaną próbką Adama był wiersz «*Zima miejska*», ogłoszony w Tygodniku Wileńskim z 1818 r., utwór dydaktyczno-opisowy, z języka i maniery przypominający Trembeckiego. Znać tu jeszcze wpływ klassycyzmu, z którego otrząsał się stopniowo, poznając poetów niemieckich i angielskich. Recenzya «Jagiellonidy» Toma-

---

prócz robionych farbami na zewnętrznych ścianach salki ręką pachołęcą Adama kościołków, które czas i słota oszczędziły, zresztą nic nie zostało, tylko rzewne wspomnienie w sercach najbliższych.» (*Kilka szczegółów o rodzinie, miejscu urodzenia i młodości Adama Mickiewicza*, przez W. Korotyńskiego. Wilno 1861.)

3) Od czasu wstąpienia Mickiewicza do klassy IV, zaczęły być podawane raporty o uczniach celujących, i odtąd imię Adama, obok imienia Jana Czeczota, zawsze na tych chlubnych kartach figurowało. Zostając w klassie piątéj i szóstéj, Mickiewicz był przez dwa lata dozorcą domowym uczniów, w czém okazywał «dobrą zdatność,» i «pilnie zadość czynił swym obowiązkom,» jak mu to zwierzchność szkolna przyznała. Uwolniony został ze szkół dnia 29 czerwca 1815, i obdarzony patentem. Ostatnie zdania nauczycielów o postępach ucznia wypisujemy dosłownie:

«*Rok 1815, czerwca 20 dnia. Klassa szósta.*

Wiek, lat 16. — Zdrowie, mierne. — Pilność, nadmierna. — W logice, celujący. — W fizyce i historyi naturalnéj, celujący. — W moralnéj i prawie, dobry. — W historyi dziejów, dobry. — W literaturze, dobry. — Obyczaje, dobre.

Summa zdań przy uwolnieniu była następująca: «zdatność do nauk dobra; postępek dobry; obyczaje dobre».

szewskiego (*Tyg. Wil.* r. 1819) świadczy już o zwrocie ku romantyzmowi i poezyi ludowéj, która dostarczyła Mickiewiczowi osnowy do piérwszych ballad: «*Świteź*», «*Lilije*» i innych. Z wielkich poetów spółczesnych najwięcéj wpływu wywarli na Mickiewicza Goethe i Byron, mniéj Szyller, już dla saméj różnicy zachodzącéj pomiędzy charakterami niemieckim a polskim. Zarówno Mickiewicz jak i Szyller byli entuzyastami, lecz nieokreślona, słodka zaduma Szyllera, tudzież porywy jego ku dobru i pięknu, obok zupełnéj świadomości o niepodobieństwie ich urzeczywistnienia (o tém, że *das Dort ist nimmer hier*), nie przypadały do polsko-słowiańskiéj natury Mickiewicza, nie odgraniczającéj w ten sposób słowa od czynu i nie pojmującéj miłości ideału wyłącznie platonicznéj. Piérwszy popęd do samoistnego tworzenia dała poecie miłość nieszczęśliwa. Będąc jeszcze uczniem uniwersytetu, Adam pokochał Maryę Wereszczakównę, siostrę jednego z kolegów. W żadnym razie nie byłaby z nich dobrana para, ani z wieku ani z majątku; kto wie nawet, czy byłby z nią szczęśliwy, albowiem «Maryla» jego była kobiétą spokojną i rozważną; młody poeta mógł w niéj obudzić pewne spółczucie dla siebie, lecz nadziei mu żadnéj nie dawała i chętnie oddała rękę człowiekowi odpowiedniejszego sobie stanowiska, hr. Putkamerowi, zamożnemu obywatelowi z Lidzkiego. Właśnie w tym czasie władza uniwersytecka wysłała Mickiewicza, jako stypendyata, na nauczyciela literatury łacińskiéj do szkoły powiatowéj w Kownie. Wtedy to objawił się główny rys ducha Adamowego, nadmierna czułość męzka, uzdolniająca go do uczuć wesela i smutku, bez porównania potężniejszych niż u ludzi zwyczajnych. Złamany niedolą, poeta wpadał w rozpacz graniczącą z szaleństwem. Odyniec opowiada, że kiedy wkrótce po zamążpójściu Maryi odwiedził go w Kownie, Mickiewicz czytając mu przekład swój pożegnania Child-Harolda z Byrona, przy słowach: «Czegoż mam płakać, za kim i po kim, kiedy nikt po mnie nie płacze?».. doznał takiego wzruszenia, że omdlał. Rozpacz atoli Mickiewicza miała charakter czynny; nie zanurzała się ona w bezwładnéj smętności, lecz wybuchała jękiem rannego, protestem, żądzą zemsty, krzykiem szermierza, nie poddającego się nawet w chwili skonania. U nikogo, może, innego boleść nie była tak płodną, tak produkcyjną, jak u Mickiewicza. W miarę tego jak łagodniały piérwsze konwulsyjne drgnienia zranionego uczucia, serce zbolałe wylewało strugi natchnienia w cudnych świeżością i szczerotą uczuć utworach. Poeta znał siebie w tym wzglę-

dzie i rys ten własnego geniuszu odmalował w jednym z sonetów krymskich p. n. Ajudah.

Lubię poglądać wsparty na Judahu skale,
Jak spienione bałwany, to w czarne szeregi
Ścisnąwszy się buchają, to jak srebrne śniegi
W milionowych tęczach kołują wspaniale.

Trącą się o mieliznę, rozbiją na fale,
Jak wojsko wielorybów zalegając brzegi,
Zdobędą ląd w tryumfie, i napowrót zbiegi,
Miecą za sobą muszle, perły i korale.

Podobnie na twe serce, o poeto młody!
Namiętność często groźne wzburza niepogody:
Lecz gdy podniesiesz bardon, ona bez twéj szkody

Ucieka w zapomnienia pogrążyć się toni,
I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
Z których wieki uplotą ozdobę twych skroni.

Piérwsza miłość Adama była głęboka i trwała. Po dziewięciu latach, po mnóstwie przebytych wrażeń, ścigał go jeszcze obraz ukochanéj. Wiersz *„Na Alpach w Splugen“* zaczyna od skargi:

Nigdy, więc nigdy z tobą rozstać się nie mogę!
Morzem płyniesz, i lądem idziesz za mną w drogę;
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady,
I głos twój słyszę w szumie alpejskiéj kaskady,
I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam,
I postać twoję widzieć lękam się i żądam.

Mickiewicz przepędził w Kownie trzy lata (1820—1823). Początkowo nie udzielał się nikomu i przebywał w najsamotniejszych miejscach cudnéj doliny kowieńskiéj, którą na jego pamiątkę przezwano »Doliną Mickiewicza« Stan zdrowia jego był nader niepokojący; rana serca krwawiła się mocno [4]). Ale

4) Przytaczamy tu niektóre wyjątki z listów przyjaciół i kolegów Adama, pisanych do Fr. Malewskiego, ściągające się do pobytu Adama w Kownie.

Z listu Józefa Jeżowskiego z d. 23 stycznia 1822 r.

...Zobaczysz wkrótce Adama, który się skrzętnie wybiera w podróż. Chorował nieborak mocno, leżał dni kilkanaście, ale już przyszedł do siebie... Postąpił w języku angielskim, czyta Byrona, i nawet wytłómaczył trochę

pod względem poetycznym peryod kowieński w życiu Adama był bardzo szczęśliwy. W tym czasie powstały pierwsze ze znakomitych płodów jego pióra: *Ballady i Romanse*, *Grażyna*, tudzież *Dziadów część II i IV*, które poezyę polską wprowadziły na nowe tory i dały hasło do pamiętnéj walki klassyków

---

fragmentów Giaura, i całe to poema wytłómaczyć zamierza. Przedsięwziął też zrobić kommentarz do Zofijówki Trembeckiego, proszony od drukarza, edytora tutejszego poezyj Trembeckiego, za nagrodę umówioną.

Z listu tegoż J. Jeżowskiego z d. 16 lutego 1823 r.

Adam ciągle dotychczas uczy w Kownie; 20 godzin na tydzień mordują go niesłychanie; ciągle doświadcza bezsenności. W ostatnim do mnie liście mówi, że praca znuża go i osłabia, lecz w dzień wolny i świąteczny, nuda jeszcze bardziéj dojmuje. W tych czasach biorę się do drukowania tomiku drugiego.

Z listu Jana Czeczota z 21 stycznia 1823 r.

Staraj się dłużéj utrzymać za granicą, bo z Adamem niewiadomo co zrobić. Uczyć daléj żadną miarą nie może, do ostatka straci zdrowie; mówi że go lekcye na cały dzień paraliżują. Lubo zdaje się być teraz spokojniejszym, i jest nawet w istocie, jednak zawsze nudny, często bezsenny, ciągle tylko fajką i kawą żyje. Każdy widzi, sam pragnie, doktorowie radzą, że mu potrzebny koniecznie wojaż; ale jakiż ma być jego wojaż? jakiegoż on pragnie? Czy się nie uczyć? broń Boże, chodzić a chodzić. Ze wszystkich twoich opisów *Riesen Gebirge* najbardziéj go zajęły. Może ta manija ustać, jak się ujdzie mil sto, a chodzenie nie będzie nowością, może i posiedzi gdzie przez zimę; lecz czy tak, czy owak, zawsze potrzebny za granicą punkt jakiś bliższy, do któregoby i na zimowe leże powrócił i w każdém zdarzeniu mógł się zgłosić. Dziwna to jego będzie pielgrzymka! ni to jemu razem pieniędzy dać można, ni pewnym być, że gdzieś nie okradną, albo sam odrazu nie straci, a potém zostanie w ciężkiéj potrzebie. A gdzież się wówczas uciekać? Nie wiem też, jak mu w jego humorze przypadnie być między obcymi, a na zyski czyhającymi ludźmi; najczęściéj zapewne będzie samotny, nie pójdzie on bowiem poznawać ludzi; ale *Riesen Gebirge*, doliny, łąki, te go zajmą, a to wszystko wątpię, czy nie będzie miało szkodliwego na jego imaginacyę wpływu. On zdaje się potrzebować ciągle nad nim czuwającego anioła stróża, a tam same tylko będą dla niego głazy... Że go wyprawić trzeba, to rzecz konieczna, bo do reszty zdrowie się jego zrujnuje... Adam na podróż ma 800 leżących podarowanych rubli, tyleż można będzie, a może więcéj, spodziewać się z przedaży dziełka. Drugi tomik wkrótce będzie się drukować, już jest gotowy. Będzie walny, będzie w nim *Grażyna* powieść litewska, malująca sposób myślenia Litwinów o Krzyżakach i wystawująca ich z nimi zatargi. Chociaż Adam skarżył się na *Musem świtam*, i ta mu się robota najmniéj przyjemną w robieniu zdała, jednak wcale piękna, a styl z czasów Zygmuntowskich w miłą przeszłość przenosi, i dziwnie się podoba. Daléj będą umieszczone *Dziady*... Warszawa chrzci Adama *Walter Skottem*, a on powiada: »laicy mię chrzczą, więc chrzest nieważny.«

z romantykami. Zachęcony przez nawiedzających go z Wilna kolegów, ogłosił pierwszy tom swoich »*Poezyj*« (Wilno, 1822), zawierający ballady, romanse, hymn na dzień Zwiastowania N. P., Sonet »*Przypomnienie*« i »*Warcaby.*« Osobno wydrukował wiersz »*Do Lelewela*« W następnym roku (1823) wyszedł tom drugi »*Poezyj,*« mieszczący »*Grażynę*« i »*Dziadów*« część II i IV-tą. Utwory te zjednały szeroki rozgłos młode-

---

Z listu tegoż J. Czeczota, z d. 30 maja 1823 r.

...Wcale nie wiem, co z nim (Adamem) i jego zdrowiem będzie. Już mnie wszystkie nadzieje odpadają, wszystkich resursów zbywa... Uwolnienie (od obowiązków nauczycielskich) przyszło, ale jak daléj, rzeczy zbyt wątpliwe. Nie wiem, nie wiem, chcę oderwać myśl od tego przedmiotu, bo ilekroć pomyślę, nieszczęśliwy jestem i jego nieszczęścia widzę. Co się z nim dzieje? zawsze w stanie nienaturalnym, zdrowie najgorzéj mu służy; fajką, niespaniem i trudami ciężkiemi obowiązków dobija siebie, a nie stara się wyjść z letargu, imaginacyi nie ostudzi, bo z tém mu dobrze, ale za moment boskiego uniesienia, tego to wykradzenia się na chwilkę za ziemską granicę, odbiera potém ciężkie na ziemi męki... Perswazye na nic się nie zdadzą. Pięknie się raz odezwał w liście, że nie potrzebuje teraz przyjaciół, ale pochlebców. Jakkolwiek bądź, na tak nadwerężone zdrowie i tak skrzywiony umysł, podróżby miała zbawienne skutki...

O zajęciach Adama w tym czasie znajdujemy kilka napomknień we własnych listach poety, pisanych do przyjaciół.

Kowno, 1821 (?).

...Co się tycze Kanta czy Kantu (nie umiem go nakłonić, deklinować), przypominam ostrzeżenie Śniadeckiego, że ten Kant wiele głów zawrócił, a chociaż się z téj strony nic nie lękam — według téj maksymy starożytnéj, że pewni ludzie nie boją się rozboju — wszakże Kant zawsze niebezpieczny. Kiedy nawet z Szelingiem licho! Nie czytałem pierwéj jego dodatków: tam sęk, tam ani ugryźć! Jego rozprawa o *absolutum* zdaje mi się nie warta mojéj *Absolutum.*

Wilno, 1822.

Niemczyzna i romantyczność szalenie idzie w górę; dotychczasowy parnas krzyczy na zepsucie smaku. Odyniec balladuje bez końca i osiodłał dziennik, w którym i Zańskie sztuczki wyglądają. Ja uchodzę za patryarchę skażenia.

...Żyję prawdziwie po literacku, dyszę tylko rymami i karmię się, nie wiem, jak się znowu do czytania czegoś porządnego przyzwyczaję. Po germanomanii nastąpiła brytanomanija, cisnąłem się z dykcyonarzem przez Szekspira, jak bogacz ewangeliczny do nieba przez uszko od igielki, za to teraz Byron idzie daleko łatwiéj, i już bardzo znacznie postąpiłem. Giaura zapewne wytłómaczę. Wszakże ten może największy poeta nie wypędzi z kieszeni Szyllera; odkrycie w nowéj edycyjce kilku nieczytanych poezyj długo nie dało mi wrócić się do angielszczyzny.

mu poecie, pokazując potężny talent, zarówno w tworzeniu pełnych prawdy i siły postaci i obrazów, jak w wypowiadaniu uczuć własnego serca. Usiłując dla własnéj narodowéj literatury i właściwy grunt zdobyć, przydał poeta do swych ballad i romansów przedmowę, obejmującą rys rozwijania się poezyi pod względem dziejowym i estetycznym. Ale we wrażeniach sprawionych przez te poezye na umysłach i sercach dokonywała się potężniejsza rewolucya, niżeli w rozprawach i teoryach. Wreszcie w r. 1823 zwolniono Mickiewicza z obowiązkowych pięciu lat nauczycielstwa i pozwolono pozostać w Wilnie, gdzie młodzież ówczesna, z nadzwyczajnym do nauk zapałem, wiązała się w naukowe grona pod nazwą *Filaretów* i *Promienistych*, a ducha ożywiającego czerpała z wykładów historycznych Lelewela. Hasłem tych jawnych i przez rząd tolerowanych związków była cnota, pilność w naukach i pomoc wzajemna [5]). W tych kołach przyjacielskich przepędził Mickiewicz ważne pod wielu względami a najpiękniejsze chwile życia swojego [6]). Gdy następnie związki te młodzieży zwróciły

5) Wedle szczegółów podanych w *Archiwum Ruskiém* (1872, VI, 1746 nast.) przez Cyprynusa, w r. 1818 uczniowie uniwersytetu wileńskiego bardzo gorliwie zajęli się nauką. Niektórzy z nich uczyli swych kolegów godygetyki t. j. sztuki słuchania kursów z korzyścią. W związku z tém lub samoistnie, wybitniejsze głowy z inicyatywy Tomasza Zana utworzyły koło, odznaczające się uczciwością obyczajów i zaniechaniem gorących napojów. Przy spotkaniu z rozpustną młodzieżą lub swawolnemi kobietami zatykali sobie nos, a zamiast pohulanek, chodzili na mléko w okolicę zwaną Rybiszki. Przybrali zaś nazwę *Promienistych*, a rozwijając się w latach 1819 i 1820 doszli do liczby 200 czy 300. Wybrańsi nazywali się *Filaretami* (zwolennikami cnoty), rada 10 najwyższa, dyrygująca całém gronem, przybrała miano *Filomatów* (przyjaciół wiedzy). Według Cyprynusa, chronologiczny zbieg utworzenia się Filaretów w Wilnie a Tugendbundu w Niemczech i Karbonarów we Włoszech, sprowadził rozwiązanie tych związków z polecenia rządu.

6) Pełno jest z tego czasu powieści o rozrywkach i schadzkach koleżeńskich, tudzież o improwizacyach młodego poety. Ulubioną melodyą Mickiewicza, podług któréj układał swoje improwizacye, była nuta do piosnki: »*Już miesiąc zeszedł, psy się uśpiły*«, albo menuet z *Don Juana*; te melodye wygrywał na flecie Frejend, ile razy Mickiewicz w kole przyjaciół improwizował. Do tego odnoszą się niektóre miejsca w *Dziadach* (Cz. III). Zdarzyło się, że pewnego razu koledzy podmówili Frejenda, aby tak szybko grał, żeby Adam za nim zdążyć nie mógł. Lecz omylili się; poeta bowiem wcale nie zbity z toru, zmieniając tylko tok treści, przemówił:

»Czyż mnie koledzy — o nieba!
Chcecie wystrychnąć na głupca?
Przy takiéj nucie potrzeba
Językiem trzepać hołubca.«

na siebie uwagę władzy rządowéj, Mickiewicz z wielu innymi z początku uwięziony (w list. 1823), a następnie (1824) wysłany został do Moskwy. Znalazłszy poparcie, otrzymał na własne życzenie, posadę nauczyciela literatury łacińskiéj w liceum Richelieu'go w Odessie; nie pełnił jednakże tych obowiązków dla różnych przeszkód, a nie mając żadnego zajęcia, czas wolny spędzał wśród najznakomitszych towarzystw, gdzie był przedmiotem ogólnego uwielbienia. Pod ten czas (w list. 1825) odbył podróż do Krymu, która na zawsze zostanie pamiętną w dziejach literatury polskiéj, bo owocem jéj są przecudnéj piękności *Sonety krymskie*, które wyszły w Moskwie r. 1826 i jeszcze więcéj poruszyły umysły, niż pierwsze dwa tomiki *Poezyj*. Recenzenci warszawscy, wyrokujący o pięknościach poetycznych podług francuzkich wyobrażeń, szydzili nielitościwie z autora *Sonetów*[7]); młodsze zaś pokolenie uwielbiało poetę z przekonania lub z przeczucia jego wielkości. Tymczasem nadszedł najwyższy rozkaz z Petersburga, wzywający Mickiewicza do obrania miejsca pobytu w jakiéjkolwiek z gubernij wielkorossyjskich. Adam objawił chęć przyjęcia służby w Moskwie w archiwum ministerstwa spraw zagranicznych, a gdy tam posady nie było, zaliczony został do kancellaryi moskiewskiego generał-gubernatora księcia Golicyna. W Moskwie bawił przez lat trzy, w ciągu których, czynił wycieczki do Petersburga, gdzie zabrał znajomość z kilku sławnymi pisarzami, a zwła-

---

Na innem posiedzeniu improwizował jeden ze znacznych dzisiejszych poetów; z trudnością składały się przy końcu zwrotki i wiersze, a gdy dwa ostatnie wiersze kończyły się na *kapłański* i *certamen*, zakłopotany zaś improwizator nie mógł sobie dać rady, Mickiewicz z wesołą miną, kończąc improwizacyę, domówił wśród powszechnego śmiechu:

Mówcie bracia Anioł Pański,
Bo już widzę będzie *amen*.

7) Pomiędzy innymi Fr. S. Dmochowski twierdził, że poezya polska była dotąd narodową, postępowała ciągle ku doskonałości, a że pierwszy Mickiewicz tę cechę narodowości zdziera i niszczy, zasady smaku wstrząsa, styl kazi i literaturze polskiéj powtórnym grozi upadkiem. Zarzucał mu używanie wyrazów oryentalnych: *Allah*, *drogman*, *minaret*, *namaz*, *iman* i t. d., tudzież prowincyonalizmów. Niektórzy recenzenci podjęli się sami poprawiać wyrazy, wyrażenia, a nawet całkowite wiersze. Jeden w sonecie *Ranek i Wieczor* zamiast: »błysnęła w oknie, ukłąkłem« radził pisać »stanąłem jak wryty.« Dmochowski zamiast »ziemnych krawędzi« życzyłby widzieć »piaszczyste piaszczyzny« (»szkoda— odpowiada Mickiewicz— że w opisanéj przezemnie ziemi nie było piaszczyzn piaszczystych«) i t. d. Wszystkim tym panom poeta dał ostrą odprawę w artykule »O krytykach i recenzentach warszawskich«.

szcza z poetą Puszkinem — znalazł niemniéj przyjaźń i gościnność w wielu znakomitych domach, a mianowicie księżny Zeneidy Wołkońskiéj, odtąd jego wielbicielki i opiekunki. Odwdzięczył się jéj poeta wspaniałym wierszem *Na pokój grecki* w domu jéj w Moskwie (1827), wierszem przypominającym styl i zalety Trembeckiego, do wyższéj tylko podniesione potęgi. [8]) Życie Mickiewicza w Moskwie i Petersburgu było spokojne i przyjemne. Tu się wyrobił jego męzki charakter, ustaliło powołanie i sława [9]). W Petersburgu łączyła go ścisła zaży-

8) Przytaczamy tu jego początek.

Skróś ciemnoty wiedziony jéj gwiaździstym wzrokiem,
Goniąc białą jéj szatę po szybach hebanu,
Wszedłem... Czy to kraina za Lety potokiem,
Czy miast wielka mumija, zwłoki Herkulanu?
Nie! Tu cały świat dawny, na Piękności słowo,
Odbudował się, chociaż nie ożył na nowo!
Z mozaiki świat cały: każdy jego szczątek
Jest odłamem dzieł sztuki, wielkości pamiątek.

Tu kamienia podróżna nie śmie trącić noga:
Z kamienia płaskorzeźbą wygląda twarz boga.
Gniewny, zda się swojego pohańbienia wstydzić,
Depcących dawną wiarę ludzi nienawidzić,
I na powrót w marmuru ukrywa się łonie,
Zkąd przed wieki snycerskie wyzwały go dłonie.

Wkoło pędzlem i dłótem strojne sarkofagi,
Co miały proch królewski bronić od zniewagi,
Dziś same na proch lecąc, potrzebują trumny.
Gdzieniegdzie ścięta głowa nieznanéj kolumny,
Skaleczona, odarta, podeptana w pyle,
Wala się, jako trupia czaszka na mogile.

Tam, od starości ledwie na nogach się trzyma
Obelisek, przychodzień z kraju Mizraima.
Widzisz na nim te rysy dziwacznéj osnowy,
Te pisma zatraconéj dawnych sfinxów mowy?
To hieroglify.. Pod jego zasłoną leżąca
Myśl głęboka w letargu śpi od lat tysiąca:
Jak mumija, zamknięta w balsamiczne łoże,
Cała, nieskazitelna— zmartwychwstać nie może!— i t. d.

9) W liście do Zana, pisanym z Moskwy 1828 r., poeta mówi o sobie: »Życie moje płynie jednostajnie, ledwie nie powiem szczęśliwie... Spokojność, swoboda myśli (przynajmniéj indywidualnie), niekiedy przyjemna zabawa, nigdy gwałtownych wzruszeń namiętnych (ma się rozumieć indywidualnych). Spodziewam się, że z latem obudzi się i większa chęć do pracy; bo teraz leniwy jestem, lubo wiele zawsze czytam i myślę... Charakter mój wyrównał

łość z domem p. Maryi Szymanowskiéj, znakomitéj fortepianistki, z któréj córką Celiną ożenił się w siedm lat potém. Tam utworzył swoję wsławioną »*Odę do młodości*,« z któréj świecił jasny promień proroczego natchnienia, i która wielki wywarła wpływ na umysły. Tam napisał cudną kassydę arabską p. t. »*Farys*;« tam wreszcie wydał poemat swój wielki p. t. »*Konrad Wallenrod*,« (Petersburg, 1828) w którym talent jego wzniósł się na wyżyny genijuszu. Rozgłos utworów

się i uspokoił. Oleś Chodźko bardzo się mnie dziwił, za teraźniejszém widzeniem się; uwielbiał mój jednostajny humor i łatwość w pożyciu z ludźmi, któréj dawniéj nie miałem.« Charakterystyczne są słowa listu z r. 1827: »Ja zacząłem być wesół u Ojców Bazylianów, a spokojny i nieledwie rozumny w Moskwie.«

O dobrym humorze Adama w Petersburgu świadczy list. jego do p. Szymanowskiéj z d. 2 list. 1828 r. z oznajmieniem przybycia na obiad. Żartobliwy ten dokument, zredagowany nakształt listów wierzytelnych, zaczyna się od słów: „My Poeta Romantyczny z łaski prenumeratorów, autor wielu książek drukowanych, przedawanych, tudzież drukować się i przedawać mających, wszystkim i każdemu z osóbna, komu wiedzieć należy, wiadomo czynimy“ — i t. d. („Korresp. A. Mic.“ T. I. str. 25—27).

Ciekawe wreszcie szczegóły w tym względzie zawiera list Mikołaja Malinowskiego pisany do Lelewela z d. 9 stycznia 1828 r. z Petersburga. „... Od trzech przeszło tygodni przybyli tu Adam Mickiewicz i Franciszek Malewski, z Moskwy, w orszaku księcia generał-gubernatora moskiewskiego. Malewski może w Petersburgu zostanie, Mickiewicz za kilka dni nas opuści i nazad do Moskwy wróci. Po tylu latach niewidzenia się, po tylu zobopólnie doznanych nieszczęściach, z braterskiém uczuciem rozrzewnienia, witaliśmy siebie nawzajem. Mickiewicz zewnętrznie cokolwiek odmienił się, zapuścił bakenbardy, to go poważniejszym czyni. Cera zdrowsza, nieco zmężniał, odmienił się na swoję korzyść. W towarzystwie nie jest jak dawniéj excentryczny, i owszem bardzo swobodny i ujmujący. Tych nawet którzy mniéj mają prawa być ze strony jego z uprzedzeniem traktowani, bardzo uprzejmie przyjmuje. Talent jego dojrzał, rozmowa zasilona i tém co widział i co słyszał, nosi nadto piętno jego bogatéj imaginacyi. Lubi teraz mówić dużo, jego głos często sam tylko słychać w zgromadzeniu, i każdy skwapliwie ucisza się aby jego słuchał. Prawdziwie napełnia mię uczucie dumy, że byłem kolegą Mickiewicza, i że jestem jego przyjacielem. Przybycie jego do Petersburga sprawiło niesłychaną sensacyę. Rossyanie i Polacy prześcigają się w okazywaniu mu poszanowania. Prowadzimy życie prawdziwie karnawałowe, jedne obiady, aż za północ przeciągające się, szybko idą po drugich, a i tak zaprosin wszystkich przyjmować nie może. Pozostaje mu tylko trudność wyboru. Mickiewicz talent improwizacyi doprowadził do zadziwiającego stopnia doskonałości. Gdy czuje się w werwie, dosyć jest zagrać na fortepianie znajomą jaką piosnkę, natychmiast improwizuje, i to z taką gwałtownością, tak nagle, że zdaje się, iż duch jakiś go dręczy, aby co prędzéj pozbyć się uczuć serca. Jużem go kilkanaście razy słyszał. Pisać niezmiernie trudno, bo żadne pióro nie poścignie szybkości poety, i przytém nie pozwala on aby pisać, bo mówi że to w nim zapał niszczy, gdy piszących widzi. Przynajmniéj co wieczór pilnie

Mickiewicza wzrastał z dniem każdym; świadczą o tém, mnożące się wydania jego pism, które jednocześnie wydaje Józef Mieczkowski w Poznaniu (3 t. 1828); Leonard Chodźko w Paryżu (3 t. 1828—1829), a sam Mickiewicz w Petersburgu (2 t. 1829) z ową sławną przedmową »O krytykach i recenzentach warszawskich«, która narobiła tyle wrzawy w obozie klassyków. Obszerną i ostrą odpowiedź wraz z tekstem całéj przedmowy ogłosił F. S. Dmochowski p. t. »Odpowiedź na pismo p. Mickiewicza« i t. d. (Warszawa 1829.)[10]). Powszechne uznanie, jakie sobie zjednał poeta nietylko w Polsce ale i śród rossyjskiego społeczeństwa, przy śmiałém wypowiedzeniu myśli w »Wallenrodzie« postawiło Adama w dosyć drażliwém położeniu w obec władzy; dla tego też korzystając z poparcia wpływowych pro-

spisywałem treść każdéj jego improwizacyi; niech te niezgrabne rysy przedziwnych malowideł, przynajmniéj w trwałéj pamięci zostaną. Mickiewicz przyjechał tu, już to dla towarzystwa Franciszka (Malewskiego), już dla osobistego postarania się o pozwolenie wydawania pisma peryodycznego, pod tytułem *Iris* w Moskwie, w języku polskim. Miało to być pismo poświęcone literaturze, filozofii, poezyi.... Przywiózł także z sobą rękopism nowego poematu *Wallenrod*. Czytałem go zupełnie wiele razy; ale, im częściéj wczytuję się, tém coraz obfitsze piękności widzę. Nic jeszcze podobnego w poezyi polskiéj nie ma; śmiem rokować, że uwłaczający sławie Adama będą musieli umilknąć, albo niesforne wrzaski ze wstrętem odrzucone zostaną. Poemat ten ma przeszło 2000 wierszy; autor też próbę uczynił wprowadzając w narracyę hexametr; nie wiem jak tę nowość inni przyjmą; mnie, oswojonemu z miarą dawnych, mile do ucha wpada. Ale tendencya poematu jest górną i zacną. W każdym narodzie i wieku podobać się będzie...“

Co do improwizacyj petersburgskich Adama, pamiętną jest biesiada, którą mu Polacy wyprawili u Adama Rogalskiego, gdzie Mickiewicz improwizował na podany sobie temat sceny z dramatu *Samuel Zborowski* z takiém uniesieniem, że w wytężeniu sił fizycznych omdlał. (Obszerne streszczenie téj improwizacyi ogłosiła Kronika Rodzinna (NN. 23 i 24 r. 1875) w „Ustępie z Pamiętników Mikołaja Malinowskiego“).

10) Z powodu téj odpowiedzi, Mickiewicz pisze do Odyńca (1829): „Co się tycze kłótni literackich, wszystkie przewidziałem i nic się nie dziwię. Nie mogę tylko pojąć, za co się tak gniewasz na Dmochowskiego. Napastowany musi bronić się, w jego odpowiedzi nic nie ma podłego, jak ty nazywasz, trzeba się spodziewać sroższych ataków klassycznych, uderzą oni na moje poezye, szczególniéj na dwie ody, i będą może nawet dowcipnie z wielu rzeczy się naśmiewać, i cóż w tém nadzwyczajnego? I czy mam szczęśliwy charakter, czy nadto miłości własnéj, ale jak cię kocham, nie gniewam się na krytyków, i im dowcipniéj będą mi dogryzać, tém się serdeczniéj uśmieję. Niech się wypiszą. Mam na nich znowu przygotowaną, gorszą jeszcze filipikę, gdzie niektórych w całéj obszerności roztrząsam i oceniam. Dla mnie zapewnie byłoby lepiéj nikogo nie zaczepiać, i wiesz że jestem w pożyciu bardzo tolerujący człowiek i ze wszystkimi w zgodzie, ale mnie znudziła klassyczna wasza hołota, i pokażę, że się ich wszystkich razem nie boję.“

tektorów, którzy mu wyjednali pasport za granicę, postanowił na jakiś czas usunąć się z kraju. Na wiosnę r. 1829 puścił się morzem do Lubeki, zkąd udał się najprzód do Berlina, gdzie zapoznał się ze sławnymi professorami Heglem i Gansem, a potém do Drezna. Następnie zrobił wycieczkę do Pragi, dla poznania tamecznych filologów i rozpatrzenia się w ich dziełach. W Karlsbadzie spotkał się z Edwardem Odyńcem i odtąd podróżowali razem [11]). W Wejmarze trafili na jubileusz największego z poetów niemieckich Goethego, który z wielką uprzejmością przyjmował polskiego wieszcza. Z Wejmaru przez Frankfurt, okolice nadreńskie i Szwajcaryę udali się do Włoch, zwiedzili Medyolan, Wenecyę, Florencyę, wreszcie w listopadzie 1829 r. stanęli w Rzymie. Gród wieczny pochłonął Adama [12]). Wśród ruin wielkiéj przeszłości czytywał Liwijusza w oryginale, a następnie oglądał scenę czytanych zdarzeń. Nie mógł znieść wtenczas uczonego Niebuhra, który obalił pierwotne dzieje Rzymu krytyką swoją, duch bowiem wieszcza kochał się w uroczych bajkach, w które fantazya poetycka spo-

---

11) Oto są główne punkta podróży Mickiewicza z Odyńcem:

Sierpień 1829. — Karlsbad — Wejmar — Iena.

Wrzesień. — Wejmar — Frankfurt — Moguncya — Darmstadt — Heidelberg — Karlsruhe — Strasburg — Szaffuza — Zurich — Como — Medyolan.

Październik. — Medyolan — Werona — Wicenza — Padwa — Wenecya — Ferrara — Bolonija — Florencya.

Listopad. — Rzym.

Maj 1830. — Wyjazd z Rzymu — Neapol — Sycylia.

Czerwiec. — Neapol — Rzym.

Lipiec. — Rzym — Florencya — Piza — Genua — Medyolan.

Sierpień. — Genewa — Schwytz — Rigi — Lucerna.

Wrzesień. — Bern — Lucerna — Genewa.

Październik. — Rozstanie się z Odyńcem. Powrót samego Mickiewicza do Rzymu.

Szczegóły o téj podróży, oraz o pobycie Mickiewicza w Rzymie, który pod wielu względami silnie podziałał na rozwój talentu i pojęć poety, mieszczą *„Listy z podróży,“* które A. E. Odyniec ogłasza od 1870 r. w *Kronice Rodzinnéj*.

12) W jednym z listów rzymskich Mickiewicza czytamy: „Rzym mię zagłuszył. Kopuła św. Piotra nakryła wszystkie pomniki włoskie. Tutejsze muzeum, jest to prawdziwe miasto posągów zawalone sarkofagami i tynkowane inskrypcyami... Liwiusz tu na miejscu ma dziwny urok, bo w wieczór można iść oglądać scenę wypadków czytanych zrana. O Rzymie trudno pisać. Byron, jak Horacyusz Kokles, wielkim krokiem most na Tybrze zajął: *„ingenti gradu occupavit pontem.“*

wijała historyę dawnych władców świata. W Rzymie po raz drugi serce poety gorętszém zabiło uczuciem dla panny Henryki Ankwiczówny. Duma arystokratyczna ojca stanęła na przeszkodzie małżeństwu. Miłość tę unieśmiertelnił poeta ustępem o miłości Jacka Soplicy do Ewy Horeszczanki (w *Panu Tadeuszu*). Grono rodaków zawsze go otaczało. Pomiędzy nimi byli: Stefan Garczyński poeta, pod ów czas zwolennik gorący filozofii niemieckiéj; Adolf Januszkiewicz, pełen cnoty młodzieniec; ks. Parczewski, który prawie na ręku Mickiewicza skonał, wreszcie panna Henryka Ankwiczówna i krewna jéj panna Łępicka, które wedle słów Odyńca »należały niezaprzeczenie do najznakomitszych osób, i »Bóg wie tylko — dodaje Odyniec— o ile towarzystwu ich i modlitwom winniśmy byli, zwłaszcza pod względem religijnym.« Mickiewicz z pół-filozofa został szczerze wierzącym. Spotkał tu także dawną znajomość z arystokratycznego świata moskiewskiego, księżnę Zeneidę Wołkońską, w któréj domu wiele uroczych chwil spędził. Była tu również druga Rossyanka, osiadła w Paryżu, hrabina de Klustine, którą Adam do końca życia liczył do rzędu najserdeczniejszych przyjaciół swoich, któréj dusza pojmowała najwyższe zagadnienia, a serce wznosiło się nad międzynarodowe rozterki. Do grona osób, które w Rzymie stanowiły towarzystwo Adama, należał także Cooper romansopisarz, Thorwaldsen rzeźbiarz i wielu innych artystów. Mickiewicz często powtarzał, że to były ostatnie zupełnie pogodne dni w życiu jego, dodając, że przed każdém wstrząśnieniem wielkiém bywa chwila ogólnego odurzenia. Ciceronem jego była panna Henryetta. Do niéj to mówi poeta:

Mój Ciceronie! dziecinne masz lice,
Lecz mądrość stara nad twém świeci czołem,
Przez Rzymskie bramy, groby i świątnice,
Tyś przewodniczym był dla mnie aniołem.

Ty umiesz przejrzeć nawet w serca z głazu;
Gdy błękitnemi raz rzucisz oczyma,
Odgadniesz przeszłość z jednego wyrazu —
Ach... ty wiesz może i przyszłość pielgrzyma!...

W maju 1830 Mickiewicz wyjechał razem z Odyńcem do Neapolu, gdzie bawił przeszło miesiąc. Tu napisał przecudny swój wiersz *Do H...* »Wezwanie do Neapolu« (naśladowanię

z Goethego)[13]). Po krótkiéj wycieczce do Sycylii, obaj wrócili do Rzymu, a ztamtąd w lipcu przez Florencyę, Pizę i Genuę udali się do Medyolanu, gdzie Adam zapoznał się z najgłośniejszymi pod ów czas poetami włoskimi: Manzonim, Grossim i Tostim. Z Medyolanu ruszyli do Genewy i część drogi przez Simplon odbyli pieszo, wesołe miewając noclegi. Adam wspominał o téj podróży, jako o najprzyjemnieszéj ze wszystkich. W Genewie zabrał przyjaźń z Zygmuntem Krasińskim, i z nim razem zwiedzili wszystkie piękniejsze miejsca w Szwajcaryi, a wróciwszy do Genewy, razem z Ankwiczów rodziną przepędzili resztę czasu aż do Października. Wtedy rozstali się dwaj podróżni: Odyniec pojechał do Paryża, a Mickiewicz powrócił do Rzymu, gdzie znowu znalazł się w licznem gronie znakomitych ziomków i cudzoziemców. Oprócz Garczyńskiego przybył tam jeszcze Zygmunt Krasiński, ks. Chołoniewski, Henryk Rzewuski, z cudzoziemców hr. Montalambert i La Mennais. W obcowaniu z tymi ludźmi umocnił się jeszcze bardziéj poeta w przekonaniach swych religijnych i wiarę swoję wpajał w Garczyńskiego, którego odwiódł od filozofii Heglowskiej. Drugi ten pobyt w Rzymie miał jeszcze inne ważne dla Mickiewicza następstwa. Poeta zbliżył się tu z hr. Henrykiem Rzewuskim, którego dawniéj znał w Petersburgu i Krymie. Rzewuski cudownie opowiadał o niedawno

---

13) Przytaczamy ten wiersz w całości:

Znaszli ten kraj,
Gdzie cytryna dojrzewa;
Pomarańcz blask
Majowe złoci drzewa?
Gdzie wieńcem bluszcz
Ruiny dawne stroi,
Gdzie buja laur
I cyprys cicho stoi?
Znaszli ten kraj?...
Ach, tam, o moja miła!
Tam był mój raj
Pókiś ty ze mną była!

Znaszli ten gmach,
Gdzie wielkich sto podwoi,
Gdzie kolumn rząd
I tłum posągów stoi?
A wszystkie mnie
Witają twarzą białą:
Pielgrzymie nasz!
Ach, co się z tobą stało?
Znaszli ten kraj?...
Ach, tam, o moja miła!
Tam był mi raj,
Pókiś ty ze mną była!

Znaszli ten brzeg,
Gdzie po skalistych górach
Strudzony muł
Swéj drogi szuka w chmurach?
Gdzie w głębi jam
Płomieniem wrą opoki,
A z wierzchu skał
W kaskadach grzmią potoki?
Znaszli ten kraj?...
Ach, tu, o moja miła!
Tu byłby raj,
Gdybyś ty ze mną była!

ubiegłéj przeszłości Stanisławowskiéj i dawniejszéj jeszcze saskiéj, a znał ją wybornie ze stosunków i wspomnień rodzinnych. Mickiewicz podał mu myśl spisania tych opowiadań, zkąd powstały wyborne »Pamiętniki pana Seweryna Soplicy.« Rzewuski sprawił, że Adam spojrzał na przeszłość inném okiem niż pierwéj, i przekonał się, iż nie wszystko tak brudne i tak skalane w przeszłości szlachty, jak to utrzymywali niektórzy zbyt żarliwi chwalcy ustawy 3 maja. Poznał on, że dla poematu historycznego nie koniecznie potrzeba szukać przedmiotu w kronikach starolitewskich, a dość jest spojrzéć przez pryzmat lat ubiegłych na własne młodociane wspomnienia i wziąć za osnowę żywot szlachecki, zdjąwszy zeń powłokę nowoczesnych pojęć i wyobrażeń. Zarys »Pana Tadeusza« gotów już był w umyśle poety. W połowie r. 1831 pojechał Mickiewicz do Paryża, zkąd z Antonim Goreckim udał się do Drezna; późniéj odwiedził wielkie księztwo Poznańskie, a w styczniu 1832 znowu widzimy go w Dreznie, gdzie z Garczyńskim, Klaudyną Potocką, Domejką i Odyńcem kilka miesięcy zabawił. W sierpniu był już we Francyi, a we wrześniu w Paryżu. Od r. 1832 do 1834, najprzód w Dreźnie a potém w Paryżu, wysnuł całe pasmo wiekopomnych utworów i dosięgnął szczytów swego genijuszu; na tych też dwóch latach zamyka się prawie twórczość Adama; co późniéj napisał poetycznego, nosi już na sobie znamię upadku. W Dreznie stworzył »*Dziadów*« część III; w Paryżu ogłosił dziełko w stylu biblijnym p. t. «*Księgi pielgrzymstwa*« i przysłużył się literaturze wyborném tłómaczeniem *Giaura* z Byrona, wreszcie prace swoje uwieńczył największém arcydziełem poezyi polskiéj p. n. »*Pan Tadeusz*« (Paryż 1834), któremu, oprócz greckiéj, żadna literatura podobnego wskazać nie może, o którém godzi się powiedzieć, że nic tak bardzo nie przypomina Homera, w niczém go nie naśladując [14]). Rok 1833 był nader bolesny dla Mickiewicza. Poeta stracił najlepszego przyjaciela, Stefana

---

14) Przytaczamy wyjątki z listów Adama pisanych w latach 1832—1834, zawierające wzmianki o życiu i pracach poety.

Drezno. 28 kwietnia 1832.

...Pisałem tyle, że liczba wierszy skleconych w ciągu tego miesiąca wyrównywa $\frac{1}{4}$ części, a może i połowie wszystkiego, com dotąd ogłosił. Pisanie jest rodzajem cietrzewiéj piosenki, z któréj i wystrzałem trudno przebudzić. Chcę teraz zakopać się w przeszłości...

Garczyńskiego, do którego w Rzymie przywiązał się był mocno, któremu później uplótł wieniec poetyckiéj sławy; oprócz niego i Klaudyny Potockiéj nie miał wtedy jeszcze droższych na świecie osób. Garczyński rozchorował się na nieuleczoną słabość suchot w Szwajcaryi, a umarł we wrześniu r. 1833

Paryż. Listopad 1832.

...Je suis occupé de travaux littéraires, ecrivant et imprimant avec une chaleur fievreuse et des mouvements convulsifs. Cela m'empêche de devenir fou.

Paryż. Grudzień 1832.

...Drukowałem tú broszurkę w stylu biblijnym. Piszę teraz poema szlacheckie w rodzaju *Herman i Dorotea* (Goethego); już ukropiłem tysiąc wierszy. Podoba się bardzo szlachcie tutejszéj. Duch poetycki czuję w sobie.

Paryż. Styczeń 1833.

...Najczęściéj i najściśléj żyję z Domejką. Garczyński choruje w Dreznie, co też wielkiém dla mnie jest nieszczęściem, bo bardzo do niego przywiązałem się i bardzo mi tęskno do niego.

Z listu do Garczyńskiego. Styczeń 1833.

Czytałem cały wieczór *Wacława*... Niezawodnie pokazuje się, że więcéj przez głowę twoję przeszło myśli niż przez moję, choć je wiele lepiéj wyrobiłem. Ileż wierszy w *Wacławie*, nad któremi dumam jak nad drogami w Pompei, myśląc o kołach, które musiały w tył i wprzód wyjechać, nim te koleiny wygryzły. Możesz być pewnym, że to dzieło zupełnie leży w teraźniejszym czasie i dziwnie odbija stan duszy wielu ludzi. Ja niezmiernie cieszę się, że nawet pod względem moralnym zrobi skutek zbawienny, bo od razu przeniesie młodzież przez długą drogę rozumkowań. Nie byłem nigdy zdolny czuć zazdrość poetycką; ale mnie się zdaje, że gdyby *Wacław* był nie twoim utworem, tobym może zazdrościł autorowi; teraz kocham go, jak gdyby wspólne dziecko. Pieśń o pchle jeślibyś mógł odmienić na co narodowego? bo mi przykro, że *Fausta* przypomina. Szczury wyborne, wyborne!

Z listów do Odyńca. Styczeń 1833.

...Ja tu żyję niemile śród żywiołów obcych. Jedni mnie nienawidzą, drudzy krzywo na mnie patrzą; doktrynery mają za waryata i wszyscy głupi solennie, krzykliwi i niedołężni.

Kwiecień 1833.

...Czytam mało, najwięcéj dzieła Saint-Martina, teologiczne Baadera. Jeśli gdzie znajdziesz *Seherin von Prevost*, odczytaj. Mnie bardzo zajęła. Co czasu chwycę, poetyzuję. Wiele bardzo mam różnych zamiarów, ale je odpędzam, nim *Tadeusza* skończę... Piórem dosyć kiwam. Oprócz pomniejszych rzeczy, napisałem kawałki do *Dziadów*. Fatalny *Giaur* przepisywany i poprawiany, strasznie mię nudził i męczył, i przerwał ważniejsze roboty. Przecież skończyłem. Wróciłem teraz do wiejskiego poematu, który jest na dzi-

w Avignonie, na ręku Mickiewicza i pani Potockiéj [15]). Smutek po téj stracie rozwinął w Adamie zarody mizantropii i popchnął w przepaść zaciekań religijnych. Niemniéj zrażały go smutne rozdwojenia w łonie emigracyi w Paryżu, tak że zamyślał nawet opuścić Europę na zawsze. Wtedy to przyjaciele skłonili go do ożenienia się z panną Celiną Szymanow-

---

siaj mojém pieszczoném dzieckiem, i który pisząc zdaje się że w Litwie siedzę.

Maj 1833.

...Oprócz różnych postronnych, mimojazdowych pisań, kropię moje poema, którego pieśń 4-tą dziś kończę. Żyję tedy w Litwie, w lasach, karczmach, ze szlachtą, żydami etc. Rzadko gdzie wychodzę; ciągle chodzimy i gawędzimy z Witwickim, moim bliskim sąsiadem, czasem z Zaleskim.

Awinion. 28 września 1833.

...Wiesz jak ścisła przyjaźń nas łączyła (z Garczyńskim), domyślasz się, ile mię strata jego dotknęła.

Paryż. Luty 1834.

...Nie bywszy nigdy bardzo złym, łatwiéj ci się stać bardzo dobrym. A wierz mi, że to grunt szczęścia, a oprócz win własnych, innego prawdziwego nieszczęścia nie ma. Nie oglądać się na nikogo, tylko na siebie, mało dbać o świat i ludzi, to jest jedyna nauka, którą łatwo powtarzać, ale któréj ważność późno daje się czuć w całéj rozciągłości. Ja tu żyję prawie samotny, z ludźmi coraz mi trudniéj, a im mniéj ich widzę, tém lepiéj mnie. Przekonywam się, że się nadto żyło i pracowało dla świata tylko, dla pustych pochwał i celów drobnych. Zdaje mi się, że nigdy już pióra na fraszki nie użyję. To tylko dzieło warto czegoś, z którego człowiek może poprawić się i mądrości nauczyć. Możebym i *Tadeusza* zaniechał, ale już był blizki końca. Więc skończyłem wczora właśnie, pieśni ogromnych 12! Co tam najlepsze, to obrazki z natury kreślone, naszego kraju i naszych obyczajów domowych. Ledwiem skończył, bo mnie już duch porywał gdzieindziéj, do dalszych części *Dziadów*, których kawałki oderwane mimojazdem pisałem. Z *Dziadów* chcę zrobić jedyne dzieło moje warte czytania, jeśli Bóg dozwoli skończyć. Żyję prawie tylko ze Stefanem (Witwickim) i Antonim (Goreckim). Ze Stefanem Zanem gram w szachy, z Bohdanem czasem dysputuję.

Z listu do Franciszka Mickiewicza. Luty 1834.

...W mojém nowém dziełku, które drukuję, scena toczy się w Litwie; znajdziesz opisy naszego życia domowego, koncepty palestranckie, polowania etc... Pisanie tych rzeczy bawiło mię niezmiernie, przenosząc mnie w nasze miłe strony rodzinne.

15) O stosunkach Mickiewicza z Garczyńskim wypisujemy ustęp z listu Domejki: »Znali się Garczyński i Adam przed 1830 we Włoszech, gdzie Garczyński miał już początki suchot i lekarze zwątpili byli o nim... Na początku 1832 połączyłem się z nim i z Adamem w Dreznie. Odyniec był też na-

ską, córką sławnéj fortepianistki, którą poeta znał w Petersburgu. Ślub odbył się d. 22 lipca 1834 w Paryżu. Świadkami ze strony Adama byli: Ignacy Domejko i S. Zan [16]). Odtąd muza wieszcza zamilkła na zawsze. Niepodobieństwo odświeżania się wrażeniami nowemi w oddaleniu od kraju, tudzież śledzenia zmian zachodzących w duchu społeczności rodzinnéj, spowodowało upadek poetyckiego natchnienia. Paryż ówczesny

---

szym towarzyszem. I tam poznaliśmy Pola. Szczęśliwie i wesoło przepędziliśmy zimę i wiosnę w Dreznie, zrobiliśmy wycieczkę do Szwajcaryi saskiéj, i tylko pod koniec maja i w czerwcu poczynał Garczyński skarżyć się na dawne słabości. W lipcu wygnano mnie i Adama z Drezna. Smutne było nasze rozstanie się z Garczyńskim, który pozostał z Odyńcem w Dreznie i ztamtąd przysyłał nam swoje poezye do druku. Pod koniec tegoż roku już poczynał zapadać i lekarze radzili mu szukać ciepłego klimatu. Adam coraz bardziéj był niespokojniejszy o niego. Z wiosną następnego roku okazała się już nie do uleczenia jego choroba i wyprawiono go nie wiedzieć dla czego do Szwajcaryi, do Bex, dokąd przybył na początku lipca w towarzystwie swego anioła stróża Klaudyny Potockiéj. Zaledwo dowiedział się o tém Adam, poleciał do Bex, chociaż i sam niezdrów i o małym zapasie pieniędzy. Od 8 lipca strzegł i opatrywał chorego i nie odstąpił od niego na krok. Słabość tak się wzmagała, że już nie było nadziei. W parę tygodni trzeba było ruszać na południe i z trudnością przybyli do Genewy, gdzie już zdawał się dogorywać. Ledwie po 4 czy 5 mil ujeżdżali na dzień, a oberżyści z wielką odrazą przyjmowali ich na noc. W Awinionie towarzyszyli mu aż do śmierci pani Potocka, Pągowski i Adam. Na parę dni przed skonaniem chciano go jeszcze dowieźć do Marsylii. W tym celu pojechał był Adam do Marsylii, ale nazajutrz po przybyciu otrzymał list od Pągowskiego, który go uwiadomił o bliskim zgonie Stefana. Wrócił do Awinionu Adam i jeszcze mógł po raz ostatni uścisnąć go i pożegnać. Tymczasem Bohdan Zaleski był ruszył z Paryża do Marsylii, spodziewając się tam znaleźć Garczyńskiego i Adama. Już było po czasie. W kilka dni powrócili Adam i Bohdan do Paryża, pochowawszy swego przyjaciela w Awinionie.«

16) O ożenieniu się swojém pisał Adam do brata: »Żona moja Celina Szymanowska jest córką zmarłéj w Petersburgu artystki. Znałem ją dzieckiem w domu matki. Dorosła straciła rodziców i wezwana ode mnie, przyjechała tu los mój niepewny dzielić. Rok cały przeszły był dla mnie smutnym. Choroba, potém jakaś tęsknota ciągle mię dręczyły. Szukałem pociechy w domowém szczęściu, póki można żyć w domu. O przyszłości wiesz, że mało myślę i wcale mi to nie truje szczęścia, że nie wiem jak długo to szczęście potrwa. Celina jest żoną jakiéj szukałem, śmiała na wszystkie przygody, przestająca na małém, zawsze wesoła.«

Jeden z biografów Mickiewicza opowiada zdarzenie to w ten sposób: »Jeden z dawnych znajomych Mickiewicza przyjechał z Petersburga do Paryża, Mickiewicz zaczął go wypytywać o różne osoby, między innemi o rodzinę sławnéj fortepianistki Szymanowskiéj. Od niego się wtedy dowiedział, że Celinka, którą małą dziewczynką zostawił w Petersburgu, wyrosła na prześliczną pannę. »Gotów bym się z nią ożenić, gdyby tu była« rzekł obojętnie poeta,

wstrętny był Adamowi [17]). W 1838 probował poeta wziąć się do czegoś poważniejszego, i zaczął pisać Historyę polską, ale robota szła twardo i leniwo [18]). Do tęsknoty za krajem i znękania umysłowego dołączyły się kłopoty domowe i troska o chleb powszedni. Mickiewicz coraz bardziéj upadał na duchu [19]). W r. 1839, celem polepszenia losu, postarał się o katedrę literatury starożytnéj w Lozannie. Miejsce było bardzo dobre. Wtém nagła choroba żony, rodzaj obłąkania, zmusiła go wrócić do Paryża i ciężkim legła nań krzyżem [20]). Dopiero w marcu mianowany został professorem zwyczajnym akademii z pensyą 4,800 franków. W następnym roku Rada stanu płacę tę o

---

puszczając kłąb dymu. Słowo to w dobréj powiedziane chwili, odniosło skutek nadspodziewany. Ów przyjaciel wrócił do kraju, całą rzecz ukartował, i panna Celina niebawem znalazła się w Paryżu. Mickiewicz słowa nie cofnął, poślubił ją r. 1834. Powiadają, że śmierć i żona od Boga przeznaczona. — Mickiewicz mogąc tyle świetnych zrobić partyj, ożenił się z osobą, któréj, kiedy jeszcze była dziewczątkiem, napisał był w Petersburgu w r. 1829 do albumu żartobliwy wierszyk:

«Zaczyna się werbunek. Widzę zdala: goni
Ogromna ciżba pieszych, hułanów, huzarów,
Niosąc imiona nakształt rozwitych sztandarów;
Chcąc w albumie założyć obóz różnéj broni,
Stanie się! Będę wtenczas siwym bohaterem,
I z żalem rozmyślając o mych lat poranku,
Opowiem towarzyszom, że na prawym flanku
Jam w téj armii piérwszym był grenadyerem.»

I stało się tak, piérwszy grenadyer utrzymał się przy prawie; lecz to widno, że i w tym drobnym wierszyku przebija się dowód jego jasnowidztwa.»

17) W liście do Wojciecha Stattlera (1836) pisze: «Znasz lepiéj ode mnie lichy stan sztuki w tym kraju, ale nigdy się nie domyślisz, do jakiego stopnia spodlenia moralnego przyszli tu artyści i jak wszystko stało się tandetą i kramką kupiecką».

18) W styczniu 1838 pisze: «Moja historya idzie twardo i leniwo, bo się wdałem podobno nie w swoje. A mam taki umysł, że nie zdołam nigdy napisać tego, czego na pamięć nie umiem.»

19) W liście pisanym w Czerwcu 1838 r. czytamy: «Ja zdaję się być zdrowy, wszakże nie dobrze mam się na umyśle. Czuję się ciągle rozstrojony i drażliwy. Różne smutki, o których byłoby długo pisać, głębiéj wyrdzewiły duszę, niż się sam spodziewałem. Nie wiem, czy to się skończy jaką chorobą, czy się przeważy i jeżeli nie wylazę jak wąż ze staréj skóry. To pewna, że jeślibym mógł znowu wewnątrz całkiem wyzdrowieć, skorzystałbym wiele z dawnych smutków.»

20) W styczniu 1839 r. pisze do Bohdana Zaleskiego: «Byłem w Szwajcaryi, starając się tam o miejsce w akademii w Lausanne. Miejsce otrzymałem, było bardzo dobre. Tymczasem odbieram wiadomość, że żona chora. Bieda wszę-

1,000 franków powiększyła. Czas zamieszkania w Lozannie liczył Mickiewicz do chwil najswobodniejszych w swojém życiu. Zostało z téj epoki kilka pomniejszych utworów, tchnących świeżością i swobodą myśli [21]). Marzył jednak o życiu na wsi i zamianie literatury na muzykę [22]). Rok niespełna zostawał Mickiewicz w cichéj Lozannie, godnie odpowiadając zaufaniu Szwajcarów [23]), gdy rząd francuzki, na przedstawienie ministra oświecenia Cousin'a, przychylił się do otworzenia kursów literatury słowiańskiéj w Kollegium Francuzkiém. Mickiewicz, którego dzieła znała już wtedy Europa i o którego stanowisku w literaturze ogólnéj pisała znakomita pani Dudevant

---

dzie. Dziwię się, że wszystko to przetrwałem dotąd, alem bardzo zestarzał w duszy.»

Z kilku przytoczonych ustępów widzimy, że katastrofa messyanicznego obłędu Mickiewicza przygotowywała się od dawna.

21) W jednym z nich poeta porównywa siebie do wielkich wód szwajcarskiego jeziora.

Nad wodą wielką i czystą
Stały rzędami opoki;
I woda tonią przejrzystą
Odbiła twarze ich czarne.

Nad wodą wielką i czystą
Przebiegły czarne obłoki;
I woda tonią przejrzystą
Odbiła kształty ich marne.

Nad wodą wielką i czystą
Błysnęło wzdłuż, i grom ryknął;
I woda tonią przejrzystą
Odbiła światło, głos zniknął,
A woda jak dawniéj czysta,
Stoi wielka i przejrzysta.

Tę wodę widzę dokoła
I wszystko wiernie odbijam;
I dumne opoki czoła,
I błyskawice pomijam.

Skałom trzeba stać i grozić,
Obłokom deszcze przewozić,
Błyskawicom grzmieć i ginąć:
Mnie płynąć, płynąć i płynąć!

22) W styczniu 1840 pisze do Zaleskiego: «Jak będę miał pieniądze, i literaturę i książki porzucę, na wsi osiądę i będę muzyki komponował. Zamiar dawny, tylko że nikt a nikt w mój talent muzyczny nie wierzy. Obaczymy, kto ma racyę. Mam w tym względzie, jak Słowacki powiada, zapas ironii na całą publiczność».

23) «*Kuryer Szwajcarski*» w następujących słowach ocenił wykład Mickiewicza: «Długo nie wyjdzie nam z pamięci ta nauka tak poważna, a zarazem tak zajmująca, ożywiona tak szlachetną prostotą, ta krytyka natchnienia jasnowidząca niejako, w któréj synteza poprzedza analizę i panuje nad nią samorzutném i najdelikatniejszém uczuciem piękności i sztuki; i ten kurs literatury łacińskiéj, w którym spotykały się wszystkie literatury na głos profesora, któremu wszystkie były znane; ten szereg obfitych postrzeżeń i uwag nowych, tryskających nagle z każdéj części przedmiotu; te lekcye dobrego smaku, które były często lekcyami moralności; to wysłowienie przejrzyste i jędrne, ten styl wytrawny, noszący piętno starożytne; nakoniec ten zdrowy rozsądek tak wzniosły, że mógł uchodzić za najszczytniejszą wyobraźnię, i ta imaginacya tak czysta, że się równała z najszczytniejszym rozumem».

(George Sand), wezwany został na professora nowego przedmiotu. Poeta nie wahał się ani na chwilę. Piérwszą lekcyę miał d. 22 grudnia 1840 r. Odtąd całkiem go pochłonęły obowiązki professorskiego stanowiska; o poezyi już nie myślał [24]). Słynne były wykłady jego, na które liczni słuchacze i najznakomitsi nawet uczeni francuzcy uczęszczali. Prelekcye te, mówione z pamięci, stenografowano, a następnie Feliks Wrotnowski tłómaczył je na język polski. Kurs trwał lat cztéry. Mickiewicz wziął się do rzeczy, któréj jeszcze nie znał; ale że lekcyę miał jednę tylko na tydzień, dosyć zatém wolnego mu zostawało czasu do studyów naukowych, a zresztą, za wszystko odpowiadał tu geniusz. I zaczęły się te świetne improwizacye wieszcza, w których na tle dziejów literatury celniejszych plemion słowiańskich poeta opowiadał Francyi o kolejach historycznego ich życia. Były to właściwie dzieje cywilizacyi wszech Słowian. Trudno wystawić sobie, do jakiego stopnia poglądy na epoki całe i sądy wieszcza o instytucyach, ludziach i wypadkach były sprawiedliwe. Natchnieniem prorokował o tém, co było. Nie rozwijał w szczegółach obrazu, więc i nie błądził, a historyk z rzemiosła — jak mówi Bartoszewicz — rzadko który fakt mógł w nim obalić. W sądach zaś właściwie literackich, słowo Mickiewicza jest powagą nie lada. Była tam w jego wykładzie historya poetyczna, była poezya historyi. Najczystsze uczucie miłości dobra powszechnego ożywiały te lekcye. «Przez piérwsze dwa lata — pisze Lucyan Siemieński — rozwijał z nieporównanym talentem, wszystko to, co bystry wzrok jego ogarniał na polu utworów literatury Słowian, wnikał w ich ducha, porównywał między sobą i odnosił do starszéj cywilizacyi na Zachodzie. Były to rzeczy całkiem

---

24) W marcu 1841 pisze do Zaleskiego: «Kurs mój dość pracowity. Trzeba gadać Francuzom o literaturach naszych, o których oni nic nie wiedzą, i starać się żeby się nie nudzili, bo oni tylko przez ciekawość przychodzą».

We dwa miesiące potém pisze: «O poezyi boję się myśleć. Chybabym gdzieś głęboko na wsi zasiadł, tobym może coś wydumał. Nie masz tedy na ten raz spółubiegaczów prócz Słowackiego. Dobrze i święcie powiedziałem, że nam trzeba tulić się ku miłości i pokorze. Gdyby i nieboszczyk Byron był między nami, pewnieby nas zbudował pokorą. Ale biedne pyszałki, co się im dzieje! Boję się, żeby ich nie spotkał taki los, jakiego doznają dyktatory emigranckie, gryzieni troskami władzy najwyższéj, któréj rozkoszy nigdy nie użyli». Widocznie Adam miał tu na myśli niedawno stoczoną walkę na improwizacye ze Słowackim, oraz nadmierną pychę Juliusza, do którego nigdy nie miał serca.

z nowéj ukazane strony, drgające świeżém życiem. Professor nie przestając być poetą, umiał wszystko ożywić a tém samém wzbudzić interes Francyi. Najbardziéj zaś to uderzało w jego poglądach, że natrafiał na takie miejsca w kronikach lub pieśniach, co podniesione przez niego, wylatywały w górę jak race i rozświecały cały horyzont zamierzchłych wieków, w bliższych zaś, palcem zawsze namacał najsilniéj bijące tętno. Zgoła wcielał zamarłe słowo». Po dwóch latach wykład ten zmienił się, zeszedł z drogi ścisłéj nauki i stał się echem nowéj religijnéj doktryny. Wrodzony poecie mistycyzm rozwinął się i dojrzał w tym czasie do najwyższego stopnia. Od najwcześniejszéj młodości uczucie u Mickiewicza przeważało nad innemi władzami duchowemi; nad głos rozumu przenosił on zawsze popędy serca [25]), którym zwykł był poddawać się z wiarą w ich wszechpotęgę [26]). Nie dziw, że przy takim kierunku poeta w końcu uwielbił najwyżéj natchnienie i oddał pierwszeństwo poetycznéj, bezpośredniéj intuicyi prawdy przed zmudną i metodyczną pracą abstrakcyjnego rozumu. W tym czasie przybył do Paryża Andrzéj Towiański, obywatel z Litwy, właściciel małego ziemskiego majątku, niegdyś uczeń wileńskiego uniwersytetu, późniéj sędzia, następnie regent przy jednym z sądów powiatowych, liczący około 50 lat wieku. Ci co go znali z ławek szkolnych, jednozgodnie poświadczają, że nie odzna-

---

25) W balladzie «*Romantyczność*» poeta śpiewał:

...«Czucie i wiara silniéj mówi do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko,
»Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdéj gwiazd iskierce;
Nie znasz praw żywych, nie obaczysz cudu!
Miéj serce i patrzaj w serce!»

26) W prologu do «*Dziadów cz. III*» Duch mówi:

Człowieku! gdybyś wiedział jaka twoja władza!
Kiedy myśl w twojéj głowie, jako iskra w chmurze,
Zabłyśnie niewidzialna, obłoki zgromadza,
I tworzy deszcz rodzajny, lub gromy i burze;
Gdybyś wiedział, że ledwie jednę myśl rozniecisz,
Już czekają w milczeniu, jak gromu żywioły,
Tak czekają twéj myśli szatan i anioły:
Czy ty w piekło uderzysz, czy w niebie zaświecisz;
A ty, jak obłok, górny ale błędny pałasz,
I sam nie wiesz gdzie lecisz, sam nie wiesz co działasz....
Ludzie! każdy z was mógłby, samotny, więziony,
Myślą i wiarą zwalać i podźwigać trony.

czał się bynajmniéj wyższemi zdolnościami. Zdaje się, że jeszcze przed r. 1840 zwiedził był Francyę i napoił się tam marzeniami saint-simonizmu. Późniéj, z okruchów mądrości gnostyków i słowiańskiéj nauki bogumiłów, ulepił własną doktrynę, opartą na metampsychozie, stopniowém czyszczeniu się dusz w rozmaitych postaciach, peryodycznem zjawianiu się Messyasza (ostatnim miał być sam Towiański) i t. d. Pod względem moralnym, doktryna ta była najgrubszym fatalizmem, obezwładniającym wolę i rozwój samodzielny człowieka [27]). Wszelako nowemu prorokowi udało się pozyskać dla zasad swoich kilku stronników w osobie Ferdynanda Gutta, doktora medycyny, malarza Wańkowicza i kilku innych. Opuściwszy Wilno, podróżował czas jakiś po Niemczech, był w Belgii, obałamucił generała Skrzyneckiego w Brukselli, odwiedził Paryż, gdzie cudownym sposobem natchąć miał zgromadzenie narodowe zamiarem sprowadzenia do Francyi zwłok Napoleona; następnie był w Londynie, wreszcie osiadł w Paryżu, gdzie rozmaitemi sposobami, mistyfikując, łudząc obietnicami i schlebiając próżności, w przeciągu jednego roku zebrał mistyczną liczbę 44 zwolenników i jawnie ogłosił się mistrzem nowéj nauki. [28]) Adam był je-

---

27) Wszelkie cierpienie, podług Towiańskiego, jest buntem przeciwko Bogu, a zatém grzechem. Wszelkie istniejące warunki życia są nieuniknioném następstwem zasług i błędów popełnionych w dawniejszych okresach metampsychozy.

28) Pomiędzy pierwszymi uczniami Towiańskiego, oprócz Mickiewicza, było kilku poetów polskich: Seweryn Goszczyński, Juliusz Słowacki, Lucyan Siemieński, i wielu innych znękanych przeciwnościami rozbitków. Szczegóły obałamucenia Mickiewicza urosły prawie w legendę. Opowiadano, że Towiański uzdrowił cudownym sposobem żonę poety, że z pism własnych Adama wykazywał mu idee messyanizmu, które wieszcz jakoby w duchu proroczym miał wygłaszać, i że powiadał Mickiewiczowi takie rzeczy z jego życia, które tylko Bóg i sam Mickiewicz jeden wiedział (słowa Mickiewicza); pokazało się późniéj, że Towiański wiedział te rzeczy od innych.

W marcu 1842 sam Mickiewicz pisał do Skrzyneckiego: „Publicznie i wyraźnie tu emigrantom Andrzeja przepowiadałem. W roku przeszłym kilkudziesiąt polaków dawało mi ucztę. Czułem się w wielkiém podniesieniu ducha i powiedziałem im, „że wszyscy są na złych drogach, że ich rozumowania, zabiegi, nigdzie nie doprowadzą... Że Bóg przyszle człowieka, który będzie dla nas *prawem żywém*, którego słowa, czyny i *gesta* będą artykułami.“ Nie pamiętam słów poezyi, a ta była ich treść; zaklinałem żeby je pamiętali... Jeszcze żona moja była w domu chorych, a już na słowo Andrzeja (który jéj nie widział był) ogłosiłem krewnym, że będzie zdrowa. Wziąłem ją wbrew zdaniu lekarzy, niewzruszony ich zaklęciami, bo zaręczali, że ją trzeba będzie zaraz z użyciem gwałtu napowrót zamknąć. Wziąłem żonę w zupełném pomię-

dnym z pierwszych. Towiański przybył do niego w Paryżu i zastawszy samego w domu, oświadczył mu że on, Towiański, jest posłannik Boży, i do niego, Mickiewicza, jak i do innych braci ma missyę z nieba. Poeta był właśnie znękany największém nieszczęściem domowém, z powodu choroby żony, którą musiał oddać do domu obłąkanych. Towiański zapowiedział mu przedewszystkiém jéj uzdrowienie. Mickiewicz uwierzył, i wziąwszy chorą ze szpitala wbrew zdaniu lekarzy, odniósł ją na łono rodziny. Tegoż dnia odzyskała przytomność. Odtąd poeta został gorącym zwolennikiem „Mistrza“, i prelekcye jego stały się echem nauki Towiańskiego, czyli tak zwanego

---

szaniu, w kanikułę, w gorąco, w czasie burzy. Tegoż dnia odzyskała przytommość“.

Późniéj poecie zdawało się, że oglądał w widzeniu prorockém Towiańskiego jadącego z Litwy na Zachód. Do niego także stosował ów apokaliptyczny ustęp z *Dziadów*:

Któż ten mąż? To namiestnik na ziemskim padole,
Znałem go,—był dzieckiem—znałem,
Jak urosł duszą i ciałem,
On ślepy, lecz go wiedzie anioł pacholę.
Mąż straszny—ma trzy oblicza,
On ma trzy czoła,
Jak baldakim rozpięta księga tajemnicza
Nad jego głową, osłania lice.
Podnóżkiem jego są trzy stolice.
Trzy końce świata drżą gdy on woła;
I słyszę z nieba głosy jak gromy:
.....
On to na sławie, zbuduje ogromy
Swego kościoła.
.....
.....
A życie jego—trud trudów,
A tytuł jego—lud ludów,
Z matki obcéj, krew jego dawne bohatery,
A imię jego—czterdzieści i cztery.

(„Rzecz o lit. słow.“ Lekcya ostatnia z d. 28 maja 1844 r.) Smutno to widzieć, jak zaślepienie dla Towiańskiego zniszczyło stanowisko Mickiewicza i całe szczęście domowe zatruło. Poeta pozrywał z najlepszymi przyjaciółmi swoimi, pomiędzy innymi z Witwickim. W gospodarstwie domowém taki częstokroć panował niedostatek, że w jednym z listów do żony, która była w domu obłąkanych w Vanvres, pisał: „Posyłam tobie 70 fr., więcéj nie mam: to coś zostawiła, nie starczyło do końca miesiąca. Zastawiłem kopertę od zegarka; więcéj nic już do zastawienia nie mamy. Tego miesiąca dano mi już tylko pół pensyi“.

messyanizmu Obłęd był zupełny. Poeta, zawsze rozmiłowany w Napoleonie, z nową wiarą swoją połączył entuzyazm dla bonapartyzmu; wielkiego człowieka wynosił pod niebiosa, tłómaczył zabory jego i politykę, wywoływał następcę Cezarowi. Głos wieszcza, jak w wielu razach, tak i teraz był proroczy, ale koniec końcem Mickiewicz zgubił swój wykład i siebie. Rząd Ludwika Filipa odebrał mu katedrę, naznaczył zastępcę w osobie nieudolnego Cypryana Roberta i zostawił na połowie pensyi. [29]) Przerwany wykład teoryj messyanicznych prowadził Mickiewicz daléj w ogłaszanych drukiem pismach: „*L'église officielle et le messianisme*“ (1845); „*La religion et la politique*“ (1845) i w dzienniku „*La tribune du peuple*“, którego był redaktorem w r. 1849. Wypadki 1846 r. wstrząsnęły wielce poetę i ochłodziły zapał do towianizmu; ale duch mistyczny nie odstąpił go. W oczekiwaniu jakich wielkich wypadków pojechał do Rzymu, i tam na początku r. 1848 ustanowił zawiązek legii, która w służbie najprzód piemonckiéj, a potém toskańskiéj smutne przechodziła koleje i rozwiązała się przy oblężeniu Rzymu przez Francuzów. Usiłował poeta w czasie bytności w Rzymie przedstawić osobiście na sąd Pijusa IX zasady towianizmu, lecz nie odniósł pożądanego skutku. Obrót spraw we Francyi po rewolucyi 1848 r., umocnił znów w Mickiewiczu wiarę w marzenia Towiańskiego, w których powrót Napoleońskiéj dynastyi ważną grał rolę. W tymże roku otrzymał od rektora uniwersytetu krakowskiego propozycyę katedry literatury polskiéj przy téjże wszechnicy, lecz dobrym chęciom poety stanęły na przeszkodzie okoliczności. Odtąd życie Mickiewicza nie przedstawia żadnych ważnych wypadków i zamyka się w cichém ustroniu domowém. Rozkazem cesarza Napoleona III z d. 12 kwietnia 1852 r. odebrano mu stanowczo katedrę literatury slowiańskiéj w kollegium; natomiast w listopadzie tegoż roku mianowany został bibliotekarzem w arsenale. Ostatnim utworem Mickiewicza był wiersz łaciński: „*Ad Napoleon III Caesarem Augustum Ode in Bomersundum captum*“. Na początku r. 1855 umarła mu żona,

---

29) W liście pisanym do Józefa Grabowskiego z m. stycznia 1847 r. czytamy: „Jestem dotąd w Kollegium Francuzkiém, ale na połowie pensyi. Żyć jednak dotąd mam z czego, żyjąc z dnia na dzień. Mogłem tu był zrobić sobie położenie wygodne a nawet świetne, ale pod warunkiem wyrzeczenia się żywotnéj mojéj zasady. Chciano, żebym się *uspokoił*. Dobry jest pokój umarłym i szczęśliwym...“

zostawiając sześcioro dzieci. Latem tegoż roku rząd francuzki wysłał go na Wschód w celu zbadania ludów słowiańskich pod władzą turecką zostających. Poeta przybył do Konstantynopola w październiku. Stolica Turcyi przypomniała mu rojące się żydowstwem miasta litewskie [30]). Bywał w obozach, zwiedzał doliny Bulgaryi; zdawało się że odżył i że duch dawny weń wraca. Zmiana jednak klimatu, w połączeniu z trudami życia obozowego i przykremi sporami ze stronnictwem Hotelu Lambert, sprowadziły ciężką chorobę (zdaje się cholerę azyatycką), która pozbawiła Polskę największego wieszcza, jakiego miała w przeciągu wieków tylu. Przyjąwszy sakramenta święte, skonał w obec nieodstępnych przyjaciół, Henryka Służalskiego i Armanda Levy, d. 28 listopada 1855 roku. Zgodnie z życzeniem zmarłego, zwłoki jego sprowadzono do Paryża i pochowano na cmentarzu w Montmorency obok żony. W Poznaniu, za staraniem Dra Teofila Mateckiego wystawiono mu r. 1859 pomnik, dłuta Władysława Oleszczyńskiego.

Był to wielki człowiek w pełném znaczeniu tego wyrazu, osobistość posągowa, olbrzymia, górująca nad tłumem podniosłością duszy, sercem szlachetném i proroczém natchnieniem. Dobroć, tkliwość, prostota, cechowały go zarówno w dziełach jak i w stosunkach życia powszedniego. Jak niegdyś w Krymie, tak potem we Włoszech i wszędzie i zawsze, wszystko co widział, czuł, myślał, wszystko ostatecznie odnosił do społeczności rodzinnéj. To było jego „Absolutum“ najwyższe; w téj idei on żył, pracował, służył Bogu i zapominał o sobie, a to zapomnienie o sobie, było jedną z najwybitniejszych cech

30) Ciekawy, choć wcale nie poetyczny opis Stambułu znajdujemy w liście Adama do hrabiny de Circourt: „Il faut avoir des sens bien démocratiques et fort robustes pour supporter les premières impressions d'une cité orientale. Je m'y suis cependant promptement habitué. Je vous avoue même, que ce n'est pas sans un certain plaisir, que je m'arrêtais dans quelques quartiers de la ville, qui me paraissaient parfaitement semblables à ceux de ma petite ville natale de Lithuanie. Imaginez—vous par exemple une place publique couverte d'une couche de fumier et de plumes, où se promenaient tranquillement des poules, des dindons et toutes sortes de bêtes au milieu de groupes de chiens, qui faisaient la sieste; mais pour arriver de cette place chez nous, il fallait suivre des ruelles, que j'ai trouvées si primitives et si pittoresques, que je vous en épargne la description. Décidement je ne vous engagerai plus á faire un voyage en orient. Quant à moi, je m'y suis, comme je vous l'ai dit, parfaitement habitué. D'ailleurs, je n'affronte qu'une fois par jour ces passages á travers des tas de rats crevés et de chats éventrés et d'Anglais ivres—morts, et de portefaix turcs, qui barrent hermétiquement les deux cotés de la ruelle.

jego osobistości, charakteru, serca i ducha. Przez wiele lat znano go tylko jako poetę, później dopiero uznano w nim natchnionego proroczym duchem wieszcza. Klaudyna Potocka pisała o nim, gdy umierającemu Stefanowi Garczyńskiemu towarzyszył w zamierzonéj podróży do Włoch r. 1833; „Z podziwieniem, ze łzami na niego patrzę. Wyższy jest od nas wszystkich sercem, cnotą, duszą, jak jest genijuszem wyższym od wybranych. Duszę jego w genijuszu przeczułam". Po kraju najwięcéj kochał przyjaciół, przyjaźń albowiem pojmował jako sakramentalny związek dusz w imię zasad najświętszych. Wylanie się jego dla bliskich sercu, troskliwość o ich powodzenie, przypominająca zabiegi ewangeliczne Marty, opiekowanie się niezaradnym bratem Franciszkiem i chorym Garczyńskim, czułość względem osób nieznanych mu nawet, lecz bliskich jego ukochanym, np. dla rodziny Odyńca, budzą podziw i rozrzewnienie. Aczkolwiek przebywał wielkie wstrząśnienia duchowe, wrodzone usposobienie jego było spokojne—nie potrzebował nawet unosić się, wielkość albowiem była pospolitym pokarmem uczuć jego i myśli, a cnota i poświęcenie powietrzem dla piersi jego. W życiu powszedniém mało się troszczył o warunki materyalne, a zawsze miał dłoń otwartą dla potrzebujących pomocy [31]). Z rysów drobniejszych biografowie Mickiewicza przytaczają, że do ciągłéj pracy nie był ochotny, więcéj zawsze czytywał i rozmyślał, niż pisał. Lubił grę w szachy i warcaby; ostatniéj nawet poświęcił mały poemat, który w najpierwszym zbiorze swoich poezyi umieścił. Lubił przyjacielską pogawędkę i fajkę; książki przeczytanéj nie szanował. O swojéj łatwości wierszowania, która niemal wszystkie jego dzieła czyniła improwizacyami, Mickiewicz powiedział sam w odpowiedzi zaimprowizowanéj Juliuszowi Słowackiemu na uczcie wyprawionéj sobie w r. 1840 u Eustachego Januszkiewicza w Paryżu:

Ja rymów nie dobieram i wierszów nie składam,
Takem wszystko napisał, jak tu do was gadam.

Na zakończenie téj charakterystyki podajemy opis powierzchowności poety skreślony przez Rettla (*Gazeta Warszawska*

31) W liście pisanym do Czeczota i Zana z Moskwy r. 1827 poeta mówi o sobie: „Jeśliby kto milionowy n. b. rodak i przyjaciel przysłał mi sto rubli, nie wahałbym się przyjąć i z potrzebnymi rozdzielić. Prawda, że czasem źle marnuję pieniądze, ale kiedy mam grosz, każdy z przyjaciół może wziąć z niego trzy czwarte".

1858 r. N. 37).“ Twarz Mickiewicza była nieruchomą, lecz tak wyraźnie odbijającą wszystkie myśli, wszystkie wrażenia i wzruszenia, wszystkie obawy i wątpliwości, gniew i wzgardę, podniesienie duszy i chłopską prostotę, pokorę i zapał, zachwycenie i rozrzewnienie prawdziwe, a niekiedy pewną martwość w chwilach znużenia, w któréj jednak pozostały ślady wszystkich tych uczuć, że na tem milczącém narzędziu zewnętrznem duszy można było policzyć i oznaczyć wszystkie struny i klawisze będące w spoczynku, przebiedz myślą wszystkie tony, które co chwila mogły się odezwać na nowo. Był to ograny instrument posłuszny sztukmistrzowi, jak jego głos, intonacya w mówieniu, jak ten dar wewnętrzny oddania właściwém słowem, jak jego wszędzie dojrzały i pełny styl w prozie i wierszu, rysujący wszystko silnie i trzeźwo. Twarz ta daleka jednak była od tych, jakie powszechnie w życiu nawykliśmy nazywać niepospolitemi. Czoło niewysokie, ze zmarszczeniem ściągające naprzód długie, gęste i w tył zaczesane włosy, które z przesady, czy też z przeczucia niechętnie kazał obcinać, utrzymując iż to mu szkodziło na oczy: nos kształtny, ale pochylony. Części czoła po obu stronach nad brwiami najciekawszą byłyby kartą dla frenologa, i doskonale można się im przypatrzyć na wyborném popiersiu Władysława Oleszczyńskiego. Wejrzenie Mickiewicza było przeciągłe, długie, więcéj rozważne, niż przenikające, kiedy kogo słuchał; raptem dziwną błyskało iskrą, kiedy zabierał się do odpowiedzi; zdawało się, że wszystko wtedy co widział lub słyszał w jedno zbierało się ognisko. Ile razy w rozmowie z kimś obcym myślą jaką był uderzony, czynił nagle zwrót sam do siebie, podnosił głowę, oko się mgłą okrywało i przez czas jakiś nieruchome, okazywało się po chwili, jakby całym ogniem i życiem do własnego wnętrza było zwrócone. Na ustach z młodości jeszcze zostało niemało Byrońskiéj trucizny; dla tego w złych chwilach człowieka, przeciągnięte wargi umiały dziwnie wyrażać niechęć lub obrażające lekceważenie, i podbródek wystający a podniesiony do góry, odkreślał silnie te wargi od dołu, a dwie zmarszczki pochylone, oddzielające je od policzków, czyniły te usta z wiekiem wystającemi. W chwilach zamyślenia się, czoło zdawało się spłaszczać i nachylać ku tyłowi głowy, co całéj twarzy, przy wyciągniętych ustach i wyniesionym podbródku, nadawało fizyognomiję orła. Lecz któż jest w stanie opisać twarz tę, kiedy ją serdeczna rozpromieniła uprzejmość, kiedy pokorna modlitwa w kościele budziła najwyższą

cześć i poszanowanie, lub kiedy wzniosła myśl rozpłomieniała na katedrze te lica, podnosiła brew, dawała rysom jakąś moc i potęgę, brzmiała donośnym i dźwięcznym organem głosu i rozlewała, jak słońce, dobroczynne ciepło!«

Przejdźmy do ocenienia dzieł poety.

»Co mąż ten dokonał w swoim wieszczym zawodzie, mówi o Mickiewiczu Lucyan Siemieński, co mógł dokonać, jak sięgnął daleko wpływem, jakie kierunki stworzył, jaki świat wychował, będzie to zapewne przedmiotem szerokich badań i wywodów. Tego rodzaju bogacze, dostarczają zazwyczaj strawy całemu pokoleniu, które ich przed sąd swój na podziw lub potępienie pozywa.« W tym jednak razie wyrokiem pokoleniowym jest powszechny i zasłużony głos uwielbienia.

Wspominaliśmy już, że pierwszy z drukowanych utworów Mickiewicza p. n. »*Zima miejska*« nosi na sobie cechy klassyczne, i tylko silnym językiem wydaje niepospolite zdolności poety. Do tegoż klassycznego rodzaju należą niektóre z późniejszych utworów Adama, jako to: »*Warcaby*«, wiersze do Lelewela, do doktora S., »*Pan Baron*« i kilka ustępów w »Panu Tadeuszu«, gdzie uroczystość obrazów i porównań wywołuje uśmiech na usta sprzecznością z prostotą najpowszedniejszéj treści. Styl klassyczny był dla Mickiewicza tylko zabawką; na inne drogi unosiło go zgłębianie znakomitych poetów z początku XIX wieku i zbliżająca się fala romantyzmu, porywająca pokolenie młode. Wpływ nowéj szkoły odbił się najprzód w jego *Balladach i Romansach*. Wstęp do ballad p. n. »*Pierwiosnek*«, był zapowiedzią tego zwrotu — prawdziwym pierwiosnkiem poezyi polskiéj, skromnie, nieśmiało, a tém wdzięczniéj wykwitającym. Pierwsza po nim poezya »*Romantyczność*«, wypowiadała kierunek, jaki poeta obierał — wprowadzała czytelników w świat nowy, romantyczny, poezyę fantazyi i uczucia. Zródłem, z którego Mickiewicz czerpał tę poezyę, było życie ludowe, odbijające się w należącéj do niego ludowéj poezyi, pełnéj prostoty, uczucia, fantazyi, cudowności. Wziął jednak sam materyał obejmujący życie ludowe, lecz stosownie do jego natury nadał mu sztuczną, udoskonaloną formę. Ballady jego nie są już poezyami ludowemi, ale w nich wieje duch poezyi ludowéj. Większa ich część powstała z podań i wierzeń gminnych. Tak np. »*Świteziańka*« zasadza się na mitologicznych wyobrażeniach, jeszcze z czasów pogańskich, o boginiach wodnych, zwanych *Świteziankami*, które pokazywać się zwykły nad jeziorem *Świtezią* w powiecie nowogródzkim,

jako mścicielki zawiedzionéj wiary. W balladzie p. n. »*Lilije*« powtórzył poeta znaną powszechnie pieśń ludową o zbrodni i ukaraniu wiarołomnéj żony. Ballada »*To lubię*« przerobiona jest także z pieśni ludowéj. Barwą narodową szczególniéj odznaczają się ballady: »*Pani Twardowska*«, »*Czaty*« i »*Trzech Budrysów*«. Tę ostatnią przytaczamy dla wzoru.

Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam Litwinów,
Na dziedziniec przyzywa i rzecze:
»Wyprowadźcie rumaki, i narządźcie kulbaki,
A wyostrzcie i groty i miecze.

»Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie
Trzy wyprawy na świata trzy strony:
Olgierd ruskie posady, Skirgieł Lachy sąsiady,
A ksiądz Kiejstut napadnie Teutony.

»Wyście krzepcy i zdrowi: jedźcie służyć krajowi,
Niech litewskie prowadzą was Bogi!
Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
Trzéj jesteście, i macie trzy drogi.

»Jeden z waszych biedz musi za Olgierdem ku Rusi,
Po nad Ilmen, pod mur Nowogrodu;
Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony,
I u kupców tam dzięgi jak lodu.

»Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta cugi,
Niechaj tępi Krzyżaki psubraty;
Tam bursztynów jak piasku, sukna cudnego blasku,
I kapłańskie w brylantach ornaty.

»Za Skirgiełłem niech trzeci po za Niemen przeleci;
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe:
Ale za to wybierze dobre szable, puklerze,
I mnie ztamtąd przywiezie synowę.

»Bo nad wszystkich ziem branki, milsze Laszki kochanki,
Wesolutkie jak młode koteczki,
Lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka,
Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki.

»Ztamtąd ja przed półwiekiem, gdym był młodym człowiekiem,
Laszkę sobie przywiozłem za żonę:
A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę.«

Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę;
Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.
Idzie jesień i zima, synów niéma i niéma;
Budrys myślał, że w boju polegli.

Po śnieżystéj zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
»Ej to kubeł, w tym kuble nowogrodzkie są ruble?«
»Nie, mój ojcze, to Laszka synowa!«

Po śnieżystéj zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
»Pewnie z Niemiec, mój synu, wieziesz kubeł bursztynu?«
»Nie, mój ojcze, to Laszka synowa!«

Po śnieżystéj zamieci do wsi jedzie mąż trzeci;
Burka pełna, zdobyczy tam wiele:
Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał
Prosić gości na trzecie wesele.

Romanse, rodzaj pokrewny balladom, wyrażające jednak więcéj uczucia aniżeli poetycznéj fantazyi, w dwóch tylko występują utworach Mickiewicza p. n. »*Dudarz*« i »*Kurhanek Maryli*«. Obadwa wzięte z poezyi ludu. W *Dudarzu* przedstawia poeta uroczystość wiejską obchodzoną zwykle po zasiewach. Romans ten w układzie prosty i dramatyczny, ma swój urok w pewnéj tajemniczości, któréj Mickiewicz lubił używać za środek estetyczny do rozbudzenia większego zajęcia w czytelniku, jak to widzimy w *Dziadach* i innych jego poezyach. W *Kurhanku* podziwiać trzeba plastykę dramatycznego obrazu i uczucie głębokie.

Między poezyami kowieńskiego okresu, na szczególną uwagę zasługuje przecudny »Hymn na dzień Zwiastowania N. P. Maryi«, zaczynający się od słów:

Pokłon przeczystéj Rodzicy!
Nad niebiosa twoje skronie,
Gwiazdami twój wieniec płonie,
Jehowie na prawicy— i t. d.

Te najdawniejsze z utworów Mickiewicza są— jak słusznie uważa Mecherzyński — jak gdyby przejściem do wszystkich innych rodzajów poezyi, jakie kształciło pióro Adama. Z balladami łączą się epopeje, z romansami sonety i niektóre czę-

ści Dziadów, a Hymn jest jakby przegrawką tego religijnego uczucia, które było jednym z głównych pierwiastków w charakterze poety.

Sonety Mickiewicza, do których poeta brał wzór z Petrarki, odznaczają się głęboką tkliwością i słodką melancholiją. Świeżość barw, giętkość i wdzięk wyrażeń, odpowiadających każdemu poruszeniu uczucia, stawiają te utwory na równi z arcydziełami poety włoskiego.

Do prawdziwych klejnotów poezyi liryczno-opisowéj należą »*Sonety Krymskie*«. Zastanawia w nich twórczość genijuszu, umiejącego pojmować obcą sobie przyrodę, i fantazyę z pod nieba obcego akklimatyzować w literaturze ojczystéj. Dziwny tu kontrast tworzy ta nieutulona tęsknica podróżnika z tém morzem grającém jak oczy tygrysa, z tém niebem wschodniém, lejącém (jak mówi Siemieński) potoki żywego złota na wystrzelone w niebo minarety, z tym śpiewem słowików Bajdaru, z temi fontannami, gdzie się pluskały odaliski bakczyserajskich chanów. Fantazyjne krajobrazy, wonie sadów, śpiewy muezinów, stepy i morze, czarne oczy dziewicy— to jakby złoto i lazury, purpura i rubiny, któremi potrząsa po myślach rysujących mu posępne lasy i trzęsawiska Litwy, i tych, co tam zostawił. Nad wspaniałemi obrazami przyrody unosi się olbrzymi duch poety, przemawiając do duszy czytelnika i budząc w niéj cały świat wrażeń, jakie muzyka tylko wyrazić jest zdolna *). Przytaczamy tu trzy sonety dla pokazania, jak cudnie kojarzył poeta treść swą duchową ze światem zewnętrznym.

Cisza morska.

Już wstążkę pawilonu wiatr zaledwie muśnie;
Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda:
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda,
Zbudzi się aby westchnąć, i wnet znowu uśnie.

Żagle, nakształt chorągwi gdy wojnę skończono,
Drzemią na masztach nagich; okręt lekkim ruchem
Kołysa się, jak gdyby przykuty łańcuchem;
Majtek wytchnął, podróżne rozśmiało się grono.

*) Tò też Moniuszko *dośpiewał*, że tak powiemy »Sonety Krymskie« w jednym z nieporównanych utworów swoich.

O morze! pośród twoich wesołych żyjątek
Jest polip, co śpi na dnie gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długiemi wywija ramiony;

O myśli! w twojéj głębi jest hydra pamiątek,
Co śpi wpośród złych losów i namiętnéj burzy,—
A gdy serce spokojne, zatapia w niém szpony.

Żegluga.

Szum większy, gęściéj morskie snują się straszydła;
Majtek wbiegł na drabinę: gotujcie się dzieci!
Wbiegł, rozciągnął się, zawisł w niewidzialnéj sieci,
Jak pająk czatujący na skinienie sidła.

Wiatr! wiatr! Dąsa się okręt, zrywa się z wędzidła,
Przewala się, nurkuje w pienistéj zamieci,
Wznosi kark, zdeptał fale, i skróś niebios leci;
Obłoki czołem sieka, wiatr chwyta pod skrzydła.

I mój duch masztu lotem buja śród odmętu,
Wzdyma się wyobraźnia jak warkocz tych żagli,
Mimowolny krzyk łączę z wesołym orszakiem,

Wyciągam ręce, padam na piersi okrętu,
Zdaje się, że pierś moja do pędu go nagli:
Lekko mi! rzeźwo! lubo! wiém co to być ptakiem...

Burza.

Zdarto żagle, stér prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnéj gromady, pomp złowieszcze jęki,
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki,
Słońce krwawo zachodzi, z niém reszta nadziei.

Wicher z tryumfem zawył; a na mokre góry
Wznoszące się piętrami z morskiego odmętu,
Wstąpił genijusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz szturmujący w połamane mury.

Ci leżą na pół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęcia przyjaciół żegnając się pada,
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnać;

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie
I pomyślił: szczęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma z kim się żegnać.

Farys, kasyda arabska na cześć emira Wacława Rzewuskiego, opowiadająca podróż jeźdźca przez pustynię arabską, a podniesiona lirycznie do najśmielszéj hyperboli, zdumiewa potęgą fantazyi i głębokiem przejęciem się obcym poetycznym żywiołem. Jak w sonetach tak i w *Farysie*, właściwa poecie powaga i uroczystość wybornie się godzą z bogactwem farb, przepychem i hyperbolizmem wschodnim. Niektóre ustępy, pod względem giętkości i siły języka, nie mają nic równego sobie w literaturze polskiéj. Przytaczamy początek i drugą połowę utworu.

Jak łodź wesoła, gdy uciekłszy z ziemi
Znowu po modrym zwija się krysztale,
I pierś morza objąwszy wiosły lubieżnemi,
Szyją łabędzią buja po nad fale:
Tak Arab, kiedy rumaka z opoki
Na obszar pustyni ztrąca,
Gdy kopyta utoną w piasczyste potoki
Z głuchym szumem, jak w nurtach wody stal gorąca.

Już płynie w suchém morzu koń mój, i rozcina
Sypkie bałwany piersiami delfina.
Coraz chyżéj, coraz chyżéj,
Już po wierzchu żwir zamiata;
Coraz wyżéj, coraz wyżéj,
Już nad kłąb kurzu wylata.

Czarny mój rumak jak burzliwa chmura,
Gwiazda na czole jego jak jutrzenka błyska,
Na wolę wiatrów puścił strusiéj grzywy pióra,
A nóg białych polotem błyskawice ciska.

Pędź latawcze białonogi,
Góry z drogi, lasy z drogi!

Daremnie palma zielona
Z cieniem i owocem czeka:
Ja się wydzieram z jéj łona;
Palma ze wstydem ucieka,
Kryje się w głębi oazy,
I szmerem liści z mojéj dumy się uśmiecha.

Ówdzie granic pustyni pilnujące głazy
Dziką na Beduina poglądają twarzą,
Kopyt końskich ostatnie podrzeźniając echa,
Taką za mną groźbą gwarzą:

»O szalony! gdzie on goni!
Tam, od ostrych słońca grotów
Głowy jego nie ochroni
Ni palma zielonowłosa,
Ni białe łono namiotów:
Tam jeden namiot — niebiosa.
Tylko skały tam nocują,
Tylko gwiazdy tam koczują.«

Daremnie grożą, daremnie! Farys prześciga skały, sępy, obłoki — wreszcie zdaje mu się, że jest jedynym, wszechwładnym królem pustyni.

Teraz oczy, kręgiem słońca
Okręciłem koło siebie:
I na ziemi i na niebie
Już nie było za mną gońca...
Tu natura, snem ujęta,
Nigdy ludzkich stóp nie słyszy:
Tu żywioły drzemią w ciszy
Jak niepłoszone zwierzęta,
Których stado nie ucieka
Widząc pierwszą twarz człowieka.

Nic bardziéj przerażającego nad dwa następujące obrazy, nic wznioślejszego nad zakończenie.

Przebóg! ja tu nie pierwszy!.. Śród piasczystéj kępy
Oszańcowane świecą się zastępy;
Czy błądzą, czy z zasadzki czatują na łupy?
Jeźdźce w bieli i konie straszliwéj białości!..
Przybiegam: stoją; wołam: milczą... To są trupy!...
Starożytna karawana,
Wiatrem z piasku wygrzebana!...
Na skieletach wielbłądów siedzą jeźdźców kości;
Przez jamy, gdzie były oczy,
Przez odarte z ciała szczęki,
Piasek strumieniem się toczy
I złowrogie szemrze jęki:
»Beduinie opętany!
Gdzie lecisz? tam huragany!«

Ja pędzę, ja nie znam trwogi.
Pędź latawcze białonogi,
Trupy, huragany z drogi!

Huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzycieli,
Przechadzał się samotny po żwiru topieli,
Obaczył mię zdaleka, wstrzymał się i zdumiał,
I kręcąc się na miejscu tak do siebie szumiał:
»Co tam za jeden z wichrów, moich młodszych braci,
Tak poziomego bytu, nikczemnéj postaci,
Śmie deptać lądy, którem w dziedzictwie osiągnął?«
Ryknął, i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął.
Widząc, żem był śmiertelny i nieustraszony,
Ze złości ląd nogą trącił,
Całą Arabiję zmącił,
I jak gryf ptaka porwał mię w swe szpony.
Oddechem ognistym palił,
Skrzydłami kurzawy walił,
Ciskał w górę, bił o ziemię,
Nasypywał żwiru brzemię...
Ja zrywam się, walczę śmiało,
Targam jego członków kłęby,
Ćwiertuję piasczyste ciało,
Gryzę go wściekłemi zęby,
Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec słupem:
Nie wydarł się! Wpół ciała zerwał się i runął,
Deszczem piasku z góry lunął
I legł u nóg mych długim jak wał miejski trupem!

Odetchnąłem! Ku gwiazdom spoglądałem dumnie;
I wszystkie gwiazdy oczyma złotemi,
Wszystkie poglądały ku mnie:
Bo oprócz mnie nie było nikogo na ziemi.
Jak tu mile oddychać piersiami całemi!
Oddycham pełno! szeroko!
Całe powietrze w Arabistanie
Ledwie mi na oddech stanie.
Jak tu mile poglądać oczyma całemi!
Wytężyło się me oko
Tak daleko, tak szeroko:
Że więcéj świata zasięga,
Niż jest w kole widnokręga.
Jak miło się wyciągnąć ramiony całemi!
Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę.

Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
Wyżéj, wyżéj i wyżéj, aż do niebios szczytu.
Jak pszczoła topiąc żądło i serce z niém grzebie,
Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie!..

Obok niesłychanéj potęgi uczucia, zastanawia w Mickiewiczu dziwny spokój, umiarkowanie, trzeźwość duchowa. Nie masz w nim ani śladu miotania się konwulsyjnego, ani chorobliwéj extazy. Czy to, jak wietrzyk poranny muśnie on duszę cichą, jakby z westchnień złożoną piosenką, czy jak wir huraganu szczytnym wybuchem lirycznym wstrząsa do samych podwalin istotę naszę— nigdy nie widać w nim wysilenia, łamania się z formą, zamiaru sprawienia effektu. Jest to prawdziwy twórca— mistrz, nie kompozytor— olbrzym, nie atleta. Nie sprzeciwia się to bynajmniéj temu cośmy powiedzieli o wielkiéj uczuciowości poety. Owszem, tylko wielkie uczucie mogło nadawać poecie tę pewność siebie i to wszechwładne panowanie nad formą, jakie podziwiamy w jego utworach,— a Mickiewicz czuł za tysiące. Entuzyazm jego dla każdéj idei wielkiéj był potężny, płomieniejący, wstrząsający wszystkie nerwy, wyprężający wszystkie muskuły woli— istny lot orli genijusza, kierowany wiarą w wykonalność rzeczy niemożliwych i niepodobnych do urzeczywistnienia. Wiara ta przechodziła natychmiast w tłumy. Ta właśnie potęga wpływowa— udział prawdziwéj wielkości— stawia Mickiewicza wyżéj nad wszystkich poetów polskich. Godnym hymnem przyszłości, któréj Mickiewicz był prorokiem, jest jego »*Oda do młodości*«, najszczytniejszy utwór liryczny, który z szybkością i mocą iskry elektrycznéj poruszył umysłów tysiące. Oto jéj kilka zwrotek.

Bez serc, bez ducha— to szkieletów ludy;
Młodości! podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy,
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem,
I obleka nadzieję w złote malowidła!...

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy:

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca,
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!

.....
.....

Młodości! tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę:
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota.

Razem młodzi przyjaciele!
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele.
.....
.....

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
Ten młody— zdusi Centaury,
Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba pójdzie po laury!
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie.
Młodości! orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię!

Héj! ramie do ramienia! Spólnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy!..
Daléj z posad bryło świata!
Nowemi cię pchniemy tory,
Aż opleśniałéj zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata— i t. d.

Ze wszystkich poetyckich utworów Mickiewicza najwięcéj trudności tak pod względem treści, jak formy, przedstawia krytyce poemat noszący nazwę, »*Dziady*.« Treść jego różnorodna, zmienna, nie osnuta na tle jednego w przyczynach, w przebiegu, w skutkach rozwiniętego i skończonego wypadku, czynu lub pomysłu; forma liryczno-dramatyczna z opisowemi ustępami, artystyczny układ podzielony na części zewnętrznie tylko z sobą spojone, rozszerzony ustępami całkiem na uboczu stojącemi. Jest to jakby rozbite zwierciadło duszy, o którém

mówi Szekspir, że w każdym kawałku odbija się odłam życia poety. Świat przedmiotowy, t. j. okoliczności, różne stosunki życia i przygody, stanowią rzecz poematu, — cudowność zaś, mistyczność, fantastyczność, są tylko ramami, formą, czyli tłem i oświetleniem ich malarskiém, które wzięły od poety. Te jednak przedmioty zewnętrzne tak są w obrazie swoim naturalne, tak plastycznie przedstawione, że przy ich oglądaniu zapomina się zupełnie o formie. Genijuszem ożywiającym ten świat poetyczny jest sam poeta — jego życiem żyją tu wszystkie twory. Charakter poematu liryczny; dramat przyborem jest tylko, pożyczonym od rzeczywistości.

Rzecz poematu związał autor z obrządkiem sięgającym pogańskich czasów, który pospólstwo wielu okolic Litwy, Prus i Kurlandyi obchodziło potajemnie w dzień zaduszny ku czci zmarłych, w pustkach, kaplicach lub zrujnowanych cerkwiach. Uroczystość ta zależała na przywoływaniu duchów. Guślarz, czyli gęślarz sprawował czarodziejski obrządek. Na jego zaklęcie, po zawarciu drzwi i okien, jawiły się widma kaźnią niepokoju dręczone, obłędne między ziemią i niebem duchy, których cierpieniom za przeszłe winy na świecie, skoro ani modlitwa, ani ofiarowane im jadło i napitek nie pomagały, guślarz odganiał je krzyżem świętym. Cel téj uroczystości poważny i święty, miejsca samotne, czas nocny, obrzędy fantastyczne, przemówiły niegdyś silnie do duszy poety, słuchającego z uwagą bajek, powieści i pieśni o umarłych powracających z za świata z prośbami i przestrogami. W tém wszystkiém umiał wypatrzyć pewne dążenia moralne, nauki gminnym sposobem i zmysłowo przedstawiane, a razem stronę wielce poetyczną. Ztąd wziął pochop do napisania swojego poematu

Część pierwsza *Dziadów* składa się z samych fragmentów, napisanych jeszcze w Kownie r. 1820, lecz ogłoszonych dopiero po śmierci autora. Poeta zaledwie potrąca tu harfę swéj duszy, wydobywając z niéj oderwane dźwięki to wiośnianych rojeń dziewiczych, to posępnéj tęsknoty starca wrastającego częściami do mogiły, to szlachetnych złudzeń młodości. Prześliczne jest określenie pierwszéj miłości, czystéj i niepokalanéj jak kwiat lilii polnéj, włożone w usta młodéj dziewicy:

... Jest i musi być kędyś, choć na krańcach świata,
Ktoś co do mnie myślami wzajemnemi lata!..
O, gdybyśmy dzielące rozerwawszy chmury,
Choć przed zgonem tęsknemi spotkali się pióry,

Lub słowem tylko, wzrokiem! Dosyć jednéj chwili,
Dosyć... by się dowiedzieć tylko — żeśmy żyli!
Wtenczas dusza, co ledwie czucia swe ogarnia,
W któréj rozkosze truje samotna męczarnia,
Z ciemnéj, głuchéj jaskini stałyby się rajem!
Jakby miło poznawać, zwiedzać ją nawzajem;
I cokolwiek pięknego w myślach zajaśnieje,
Co szlachetnego mają tajne serca dzieje,
Rozświecić przed oczyma kochanéj istoty,
Jak wyłamane z piersi kryształów klejnoty!
Wtenczas przeszłość do życia moglibyśmy wcielić
Wspomnieniem; możnaby się z przyszłości weselić
W przeczuciu; a obecném chwil lubych użyciem
Łącząc wszystko, żyć całém i zupełném życiem!...
Bylibyśmy jak lotne tchnienia, co je rosa
Wiosennym zionie rankiem, dążące w niebiosa,
Lekkie i niewidome — lecz kiedy się zlecą:
Spłoną, i nową iskrę pośród gwiazd rozświecą!...

Część druga przedstawia walkę, jaką ma do przebycia namiętna miłość, kiedy się jéj szczęście skończyło. Upadająca ofiara swojéj słabości (podobnie jak Werter Goethego) popełnia samobójstwo. Ale z zagładą życia, nie wszystko, co było w sercu zamarło — pozostała cząstką duchową, zdolną do wyższego rozwoju. Żyje więc, ale byt jego jest w zagrobowym świecie wspomnień. Ztamtąd, niby z pozornéj śmierci, powraca ciągle do życia. To był pomysł do napisania *Upiora*, który stanowi wstęp do téj części. Poeta wystawia w tym wierszu młodzieńca, który nieszczęśliwą miłością do rozpaczy przywiedziony, życie sobie odebrał, a po zgonie skazany został, aby co rocznie w dzień zaduszny powstawał z grobu i odwiedzał miejsca, w których się samobójstwa dopuścił, tudzież osobę, która go do téj zbrodni przywiodła. Obrazy przedstawione w téj części, np. widmo pana okrutnego, który ani razu nie był człowiekiem, duchy poddanych jego, szarpiące nakształt ptastwa drapieżnego swojego prześladowcę, uderzają prawdą i podziwienia godną plastyką. Poeta wystąpił tu zarazem jako obrońca praw ludzkich, zdeptanych w krzywdzie całego stanu społecznego,

Część IV-ta *Dziadów* jest historyą platonicznéj miłości, obrazem obłąkania duszy namiętnéj. Sceną poematu jest domek plebana wiejskiego, osobami — ksiądz, dzieci i pustelnik,

ów potępieniec miłości, który sobie z rozpaczy życie odjął, a któremu z tajemnych wyroków przypadło, żeby rokrocznie wstawał z grobu i wznawiał na sobie wykonaną zbrodnię. Wszystkie stopnie téj namiętności, jéj kształty, jéj odcienia, jéj ogień ziemski, jéj rozkosz niebieska, połączone z nią nadzieje, trwogi, rozmaite uniesienia serca, zazdrość, nienawiść, żal, rozpacz, wszystko to z całą mocą prawdy skreślone. »Nikt, powiada Mochnacki, piękniejszego od czasów *Julii* Szekspira nie skreślił obrazu. Nikt ze spółczesnych Mickiewicza nie przemówił namiętniejszym, ognistszym językiem miłości; nikt mocniejszym urokiem nie zaczarował i nie podbił pod posłuszeństwo poetyckiéj wiary rozumu i imaginacyi swoich czytelników.... Wytrysk ognistego ducha, strumień najczystszego uniesienia, najwyższa liryczna inspiracya, płomień miłości, — to czwarta część Dziadów.« Jest ona, wedle tegoż krytyka, jakby drugą częścią i dokończeniem *Wertera* Goethego. »Bo takim jak ów upior z rozdartą piersią, jak ów obłąkany pustelnik w mieszkaniu księdza, niegdyś swego nauczyciela, z tą rozpaczą na duszy, z tą boleścią na sercu, z tém malancholijném, ponuréem, fantastyczném wejrzeniem na przeszłość i naturę, nie kto inny mógłby być, tylko kochanek *Karoliny* wywołany z grobu, — jeżeli rozciągnąwszy nić cierpień tego zapaleńca wystawić sobie zdołamy, jakby mówił, czuł, rozmyślał i dumał po śmierci.«

Trzecia część *Dziadów*, którą przedziela od innych dziesięć lat życia poety, jest historyą roku najpamiętniejszego w życiu Mickiewicza (1823—1824). Odrodzenie się swoje ówczesne wieszcz odmalował w scenie, gdzie jego bohater pisze węglem na ścianie: „*Gustavus obiit MDCCCXXIII calendis novembris. Hic natus est Conradus MDCCCXXIII calendis novembris.*“ Młodzieniec stał się mężem. Struny miłości porwały się i zamilkły; jedno tylko uczucie głębokie zapanowało w sercu poety — miłość ku społeczności rodzinnéj, która mu dała życie. Bohater téj części poematu, Konrad, podobnie jak Manfred Byrona i Faust Goethego, należy do rodziny owych tytanów, którzy wiodą z Olimpem bój ciągły. Lecz Konrad nie przesycił się życiem jak Manfred, nie zgubił wiary, jak Faust na drodze analizy rozumowéj. Pozostaje on chrześcijaninem; przed okiem jego unosi się postać biblijnego, osobowego Bóstwa, otoczonego miryadami duchów bezcielesnych. Przekonany o rzeczywistym bycie tego niewidzialnego świata, poeta nigdy nie natrząsa się nad nim jak Byron, owszem mówi o nim z powagą; czasem tylko wybucha protestem bluźnierczym prze-

ciwko rzeczywistości w imię uczucia. Taką jest znakomita scena p. n. »*Improwizacya*,« z którą pod względem polotu lirycznego, jedna tylko *Oda do młodości* porównanie wytrzymać może.

W Dziadach zamierzał Mickiewicz wypowiedzieć myśl filozoficzną o człowieku i jego stosunkach ze światem; chciał z tego poematu »zrobić jedyne dzieło swoje warte czytania,« jak pisał do Odyńca już po skończeniu *Pana Tadeusza*. Nieodżałowana szkoda, że utwor w tym sposobie zapowiedziany, nie doczekał się wykończenia i pozostał tylko fragmentem.

Dwa są — powiada Mochnacki — pierwiastki, niejako dwa atomy poezyi: realizm i duch. Tam rzeczy zewnętrzne, natura, społeczność, historya, tu myśl, idea. Albo poeta o własnéj zapomina indywidualności, o swojéj jednostce, o swojém »*ja*,« i odjąwszy się samemu sobie, wszystkę chęć swoję i starania kładzie w to jedynie, ażeby twory jego miały tę rzeczywistość, tę prawdziwość, tę realność niezgruntowaną, to istnienie odrębne i niezależne, jakie mają twory w przyrodzeniu; albo samego siebie z uczuć swoich, z istoty jestestwa swego snuje, wynurza i jest zawsze samym sobą. W pierwszym przypadku poeta jest *realny*, w drugim *idealny*, Częstokroć być może i realny i idealny zarazem. Wszelki realizm zmierza do postaci, do form statecznych, determinowanych, określonych, widomych. Taka jest poezya historyczna. Takim poetą jest Szekspir, Goethe, Bohdan Zaleski. Ich jednostka, ich indywidualność rozprasza się, niknie, ginie w ich utworach. Sztukmistrz kryje się i chowa w swojém dziele tak że nikt nie wie: kto on jest, jakie jego uczucia, jaka myśl, jakie zdanie. Nikt nawet tego zgadnąć nie może.... Przeciwnie poeta filozofujący, rozumujący, idealista, samego siebie zawsze przed oczy nasze stawia, i wszystko tynkuje farbą swojéj indywidualności, wszystko ciągnie do swéj jednostki, do swego „*ja*,“ Takim poetą jest Byron, Szyller, Mickiewicz. Ich poezya *subjektywna;* ich kształty mniéj określone, coraz bardziéj oddalają się od *statui*, od posągu, i rozwiewają w nic przed obliczem naszém, jak duchy na chwilę jawiące się w cielesnéj postaci, jak niknące cienie. Wszystko u nich zmierza do tonu, do muzykalności. Muzyka służy ich fantazyi, tak jak figury marmurowe poetyckiemu służą realizmowi.... Rozpostarł się i mistrzuje pierwiastek indywidualny w pismach Mickiewicza. To »*ja*« samego poety wszędzie się przebija, wszystkiemu swojéj użyczając właściwości. Myśl jego wewnętrzna, samotna, wielka,

melancholijna jest jego ogniskiem i gwiazdą na firmamencie jego poezyi; — jest jego i żywiołem i światem, gdzie duch twórczy zamieszkał, gdzie się bezprzestannie objawia, wszystko z siebie snując, jako pająk wije z siebie pajęczynę. Cokolwiek koło siebie postrzeże w naturze widomej, w społeczności, w historyi, to wszystko ku sobie odnosi i farbą swego genijuszu, swéj jednostki tynkuje. Jest to poeta rozmyślacz, mąż namiętny, liryk z daru i użyczenia nieba, filozof własnego serca. Zawsze duma i marzy, i mieva swoje widzenia. W jednéj tylko *Grażynie* o sobie zapomniał*).

W »*Grażynie*« autor *Dziadów*, poeta — idealista, zmienia się w obrazowego sztukmistrza; liryczny pędzel namiętności przeistacza w dłuto rzeźbiarza. Przedmiot powieści wzięty jest z dziejów téj staréj Litwy, któréj gruzy kamienne sterczą podziśdzień na brzegach Niemna i Wilii, poszczerbione mieczami mnichów — rycerzy. Walka historyczna dwóch sił potężnych a wrogich, znaczenie polityczne téj walki, nadają powieści godność właściwéj epopei. Zadaniem poety było przedstawienie bohaterskiego typu niewiasty litewskiéj, która ofiarą życia własnego ocala kraj swój od Niemców, a męża swojego Litawora, księcia nowogródzkiego. od zdrady względem rodzinnego plemienia, któréj dokonać był gotów, przywołując Krzyżaków przeciwko Witoldowi **). Nie sam jednakże czyn historyczny, ale charakterystyczne odmalowanie miejsca i czasu, tło smętną tchnące powagą, charakterystyka osób działających, tajemniczy zawiązek i pełne dramatycznego effektu rozwiązanie, stanowią zalety tego utworu. Pieśń śpiewaka *Grażyny* zdaje się być podsłuchaną rapsodyą bohaterską dawnych wieków. Snuł ją poeta w duchu rycersko-romantycznym, — ztąd widzimy rozlane po niéj ducha tego barwy. Postać niewiasty bohaterki i opis jéj pogrzebu, tragiczny koniec Litawora, wprowadzenie czarnego rycerza, są to piękności romantyczne. Atoli tajemniczość działania i charakterów, podnosząca ciekawość i zajęcie, jest tu tém właściwszą, że i źródło powieści było podobnież niepewne i mętne. Przed innymi zajmuje charakterem swoim Li-

*) Mochnacki nie przewidywał, że genijusz poety wzniesie się w *Panu Tadeuszu* do szczytu objektywności.

**) W autografie tytuł powieści jest: „Korybut Książe Nowogrodzki," a rzecz dzieje się za czasów Kiejstuta i Grażyna zowie się tu *Karyną*. Wszakże w ciągu rękopisu, epoka zbliżona do czasów Witolda, a w miejscu Korybuta i Karyny, czytamy imiona Litawora i Grażyny.

tawor, jego strona ciemna i tajemnicza, jaką przedstawia na początku w rozmowie z Rymwidem. Naprożno Rymwid, wierny jego radca przekłada mu, jak niebezpieczne jest łączenie się z Krzyżakami przeciw Witoldowi:

. . . . . „O panie!
Bogdajbym nigdy nie dożył téj pory:
Brat przeciw bratu ma podnosić dłonie!
Wczora wyszczerbił na Niemcach topory,
Dziś ma je ostrzyć ku Niemców obronie?
Zła jest niezgod , ale gorszą zgodą
Chcesz nas pojednać: raczéj ogień z wodą!
„Zdarza się wprawdzie, że sąsiad sąsiada,
Z którym nieprzyjaźń toczył od lat wielu,
Uściska wreszcie, gniewne serce składa,
Jeden drugiego zowiąc przyjacielu;
Że bardziéj jeszcze niźli złe sąsiady,
Gniewne na siebie Litwiny i Lachy
Często u wspólnéj pijają biesiady,
Snu używają pod jednemi dachy,
I miecze łączą ku wspólnéj potrzebie;
A jeszcze bardziéj nad litewskie męże,
I nad Polaki, zawziętsi na siebie
Od wieku wieków są ludzie i węże:
A przecież, jeśli do domowych progów
Wąż zaproszony gościem od człowieka,
Jeśli dla chwały nieśmiertelnych bogów,
Litwin mu chleba nie skąpi i mleka;
Wtenczas gad swojski pełznie w jego ręce,
Społem wieczerza, z jednych kubków pija,
I nieraz senne piersi niemowlęce
Mosiężnym wiankiem bez szkody obwija:
„Lecz krzyżackiego gadu nie ugłaszcze
Nikt, ni gościną, ni prośbą, ni dary!...
Małoż Prusaki i Mazowsza cary,
Ziem, ludzi, złota wepchnęli mu w paszcze.
On, wiecznie głodny choć pożarł tak wiele,
Na resztę naszę rozdziera gardziele.
„Spólna moc tylko zdoła nas ocalić!
Darmo hordami ciągniemy co roku
Burzyć ich twierdze i mieściny palić:
Przebrzydły Zakon, podobny do smoku,

Jeden łeb utniesz, drugi rośnie skoro,
I ten ucięty rośnie w dziesięcioro —
Wszystkie utnijmy!... Napróżno się trudzi,
Kto naszych szczerze chce godzić z Krzyżaki,
Bo czy to z kniaziów, czyli z prostych ludzi,
Na Litwie całéj nie znajdzie się taki,
Coby ich nieznał chytrości i dumy,
Nie stronił od nich jak od krymskiéj dżumy;
Coby nie wolał stokroć od ich broni
Raczéj śmierć w polu, niżli pomoc zyskać,
Raczéj żelazo rozpalone w dłoni,
Niżli krzyżacką prawicę uściskać!"

Mowa Litawora maluje w sposób dramatyczny jego sposób myślenia, a zarazem występuje w niéj fizyonomija Witolda, wierny obraz tego, co o nim myśleli wówczas udzielni w Litwie książęta. Godny jest osobliwie uwagi ów ustęp, w którym Litawor urazy swoje i krzywdy, a z drugiéj strony wyniosłość nieprzyjaznego sobie władcy wymównie opowiada:

. . . . . »Dość tego Rymwidzie.
Znane mi dobrze Witolda umowy:
Wczora mu taki wiatr zawiał do głowy,
Dzisiaj nań znowu co innego przyjdzie.
Wczora, ufałem książęcemu słowu,
Że sobie Lidę w dziedzictwo zabiorę,
Dziś, Witold uknuł coś różnego znowu:
Na gwałt swobodną wyśledziwszy porę,
Gdy się do domów rozjechali moi,
A on u Wilna obozami stoi,
Dziś oznajmuje, jakoby Lidzianie
Za swego pana słuchać mię nie chcieli;
Więc Witold Lidę dla siebie wydzieli,
Mnie zaś w nagrodę inny kraj dostanie —
Pewnie Ruś gołą, lub bagna Warega!
Bo tam wskazana jest siedziba nasza,
Tam Witold braci i krewnych wypłasza,
A świętą Litwę sam jeden zalega!
Patrz, jak uradził! A wie, na co radzić:
Bo w jedno bije, chociaż różną drogą;
Chciałby się jeden nad wszystkich posadzić,
I sobie równych cisnąć pod swą nogą.

»Przebóg! Czyż nie dość, że Witolda buta
Na koniu wiecznie trzyma całą Litwę?
Pierś nasza wiecznie do zbroi przykuta,
Szyszaki już nam przyrosły do czoła:
Z łupów po łupy i z bitwy na bitwę,
Świat jako wielki, zbiegliśmy do koła:
To na Krzyżaków, to znowu przez Tatry
Na Polski pięknie zbudowanéj sioła,
Ztamtąd po stepach, żeglujące z wiatry
Goniąc błędnego obozy Mogoła;
A cośmy skarbów z zamków wyłamali,
I co żywego szablica nie dotnie,
Głód nie dogryzie, ogień nie dopali:
Jemu znosimy, spędzamy ochotnie.
Na trudach naszych w potęgę urasta;
Od Fińskich zatok po Chazarów morze
Wszystkie pod siebie zagarnął już miasta;
Sam w jakiém mieście! w jakim siedzi dworze!
Widziałem pysznych Krzyżaków warownie,
Na które Prusak nie spojrzy bez strachu:
A przecież mniejsze od Witolda gmachu,
Co jest na Wilnie, lub Trockiém jeziorze!
Widziałem piękną dolinę przy Kownie,
Kędy rusałek dłoń wiosną i latem
Ściele murawę, kraśnym dzierzga kwiatem:
Jest to dolina najpiękniejsza w świecie....
Lecz któżby wierzył? U syna Kiejstuta,
W pałacu świeższa murawa i kwiecie:
Takim podłoga kobiercem osuta,
Takie po ścianach rozwisłe bisiory,
Z liściem ze srebra i kwieciem ze złota:
Nad dzieło bogiń, nad smug różnowzory
Cudniejsza branek lechickich robota....
W kratach u niego szklanne okienice,
Przywoźne kędyś aż od ziemi końca,
Błyszczą, jak polskich rycerzy zbroice,
Albo jak Niemen, przed oczyma słońca
Z pod śniegu zimne gdy odsłoni lice...
»A ja — com zyskał za rany i znoje?
Com zyskał, że od maleńkiego wieku
Z pieluchów zaraz przewiniony w zbroje,
Książę jak Tatar żył o końskiém mleku?...

Cały dzień konno, w wieczór końska grzywa
Poduszką moją, przy niéj noc wystoję,
A rankiem znowu trąba na koń wzywa...
Że wtenczas, kiedy moi rowiennicy,
Jeżdżąc na kijach, szablami z łuczywa
Bezpiecznie sobie grali po ulicy,
By siwą matkę lub dziecinną siostrę,
Zabawić wojny kłamanéj obrazem;
Wtenczas z Tatary jam gonił na ostre,
Lub wręcz z Polaki ścinał się żelazem!

»Przecież me państwa, od Erdwiłła czasu,
I piędzią szerzéj ziemi nie zaległy!...
Patrz na te mury z dębowego lasu,
I na ten pałac mój z czerwonéj cegły;
Pójdź przez komnaty pradziadów siedliska:
Gdzie szklanne kuple? gdzie kruszcowe łupy?
Miasto blach złotych, mokry kamień błyska;
Miasto kobierców śniade mchu skorupy!
Cożem chciał wynieść z ognia i kurzawy?
Państwa, czy skarby? Nie nic — kromia sławy!

»Ale i sławą wszystkim po nad głowę
Witold przeleciał: Witold wszystkich gasi!
Jego, jakoby drugiego Mindowę,
Na ucztach wielbią wajdeloci nasi;
Jego na strónach i na wieszczym rymie
Do potomnego wysyłają blasku:
Nasze śród gminu kto wypatrzy imie?...
Kto podjąć raczy z niepamięci piasku?...

»Przecież nie zajrzym. Niech walczy, niech gromi,
Niechaj się w imie i skarby bogaci:
Tylko — niech zęba chciwego poskromi,
Od swych ojczyców, od ziemie swéj braci!
Czyż dawno wśrodku pokoju i zgody
Gwałtem litewska wstrząśniona stolica?
Czyż dawno Witold kniaziów wielkich grody
Naszedł, i z tronu zmiótł Olgierdowica
I sam owładał? A jak lubi władać,
By jego poseł, jak Krywejty goniec,
Książąt podwyższał, albo zmuszał spadać!...
O! czas, że temu położymy koniec;

Czas, że po sobie jeździć nie dozwolim!...
Póki młodego w piersiach żywię ducha,
Póki żelazo ręki zdrowéj słucha,
Dopóki koń mój ze skrzydłem sokolém,
Com z łupów krymskich jednego wziął sobie,
Jakiemu równy dany tobie drugi,
A jeszcze dziesięć rże przy moim żłobie,
Któremi wierne poobdzielam sługi...
Dopóki koń mój... póki szabla moja...«
Tu mu gniew słowa i tchnienie zatłoczył.
Umilkł, lecz chrzęstem ozwała się zbroja;
Znać, że sie wzdrygnął i z miejsca wyskoczył.
Jakiż to płomień nad głową mu błysnął?
Jak oderwana gwiazda przez niebiosa
Spada, z długiego żary trzęsąc włosa:
Tak on brzeszczotem koło stropu cisnął,
I siekł w podłogę; od tęgiego razu
Rzęsiste iskry sypnęły się z głazu.

Dawno tłumiony w sercu ogień namiętnym pożarem wybucha. Książę postanawia orężem rozeprzeć się z Witoldem, i objawia stanowczo zamiar wojny. Tu ukazuje się druga postać powieści, piękna Grażyna, żona Litawora. Opis téj bohaterki, jéj urody, jéj wpływu na umysł Litawora, zastosował poeta do krążących w Nowogródzkiém podań pomiędzy ludem, kroki jéj atoli niepewne, myśli i działania na wpół zakryte, rzucają jakiś cień na tę postać, nie dość charakterystyczną i wydatną.

Do piękniejszych miejsc w poemacie należy opis pochodu i bitwy z Krzyżakami;

.... Tam, gdy litewskie wymknęły się roty,
Ujrzą śród góry przy blasku księżyca,
Zbroje, chorągwie, szyszaki i groty,
Błysnęło, zagrzmi na hasło rusznica;
Sypią się męże, ściskają się roty:
Murem krzyżacka stanęła konnica.
Tak w noc miesięczną wyglądają świetnie
Na czole Ponar zasadzone bory,
Gdy z nich oskubie wicher szaty letnie,
A rosa jasne wieszając bisiory,
Nagle się mrozem w śrzon perłowy zetnie:

Błędnym przechodniom zdają się u wniścia
Lasy ze srebra, a z kryształu liścia.
.....
Więc Rymwid, pańską zastępując wolę,
Obiega hufy, szykuje śród drogi;
Wklęsłe ku górze ściskając półkole,
Pancernych w środek, łuczników na rogi:
Tak zawsze Litwa zwykła stawić pole.
Dał hasło: chylą majdany do nogi,
Warknęły strony, świsnęła strzał chmura,
Jezus, Marya! naprzód, hop hop, ura!
Dopieroż, drzewca ułożywszy w toku,
Zerwą się bliżéj, pierś na pierś uderzy...
Za cóż wydarła potomnemu oku
Noc i zwycięztwa i klęski rycerzy?
Swoi i cudzy zmieszani w natłoku:
Zewsząd szczęk razów, wrzask, chrzęsty pancerzy;
Pryskają bronie, lecą hełmy, głowy,
Co miecz oszczędza, druzgocą podkowy.

Czasami jednak omdlewa Muza poety. Utrudzenie to, na które sam Mickiewicz narzekał, znać szczególniéj w rozwlekłych monologach Rymwida i w epilogu wcale niepotrzebnym, a osłabiającym tylko wrażenie.

«Z męzką godnością niech się uśmiecha Polak» — tak pisze Brodziński,— «gdy mieszkaniec Tybru, albo Sekwany, twardym jego język nazywa. Z wewnętrzną przyjemnością, z powagą dojrzałemu mężowi przyzwoitą, niech słucha cudzoziemca, gdy się nad jego wyrazami, jak niewieściuch nad podniesieniem starożytnéj zbroi mocuje, gdy języka jego, jak dziecię, pieściwie wymawiać się uczy.» — A daléj: — «póki męztwo w narodzie nie wygaśnie, póki obyczaje nie znikczemnieją, póty nie zapierajmy się owéj twardości języka. Ma on i w niéj swoję harmoniję, swoję śpiewność, ale jest to szum odwiecznego rozłożystego dębu, nie poświst chwastu, który za każdym powiewem wiatru zgina się lub łamie, i cichym tylko odgłosem jęczenia wydaje.» To postrzeżenie względem języka polskiego, zastosować możemy do *Grażyny*. «Twardy jest styl téj powieści jak żelazna zbroja — mówi Mochnacki, — chrapowaty jak chrzęst téj zbroi, kiedy nią silne potrząsają ramiona, ostry jak na starych obrazach fizyonomije rycerzy, a tak dziki i malarski, jak były dzikie i leśne serca mężów pogańskiéj jeszcze Litwy, i pancernych mnichów, co ich chrzcili i mordowali. Naśla-

dowcza téj mowy harmonija, strojnéj własnym wdziękiem, myśl czytelnika obraca ku owym czasom, kiedy się dziać miała rzecz poematu, stawia nas niejako wśród ludu Litawora i oprowadza po wewnętrznych jego zamku komnatach. Jestże co pierwotworniejszego w systemie poetyckiéj naszéj literatury, albo coby ściśléj spowinowacone było z daleką przeszłością, któréj echo tak donośnie, tak wyraźnie grzmi, brzmi, odbija się w samém wysłowieniu?... Styl *Grażyny* jest nakształt rdzy pokrywającéj sprzęt rycerski starego wieku». Język ten szorstki, twardy, chropawy, wydobyty z kronik i pieśni dawnych, był czémś niesłychaném dla pokolenia wychowanego na literaturze Stanisławowskiéj i Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Cóż miały wspólnego przepisy delikatnego smaku Osińskich i Potockich z takiemi np. wyrażeniami autora *Grażyny:*

Poznali męża Litwini z tych znaków;
Więc cicho jeden do drugiego szepce:
To jakiś urwisz od psiarni Krzyżaków;
Tuczny, bo pruską krew codziennie chłepce.
O gdyby nie był nikt tu więcéj z warty,
Zarazby w bagnie skąpał się ten plucha;
Aż pod most pięścią zgiąłbym łeb zadarty!...
Tak oni mówią; on niby nie słucha:
Lecz musiał słyszeć bo się bardzo zdumiał,
A chociaż Niemiec, głos ludzki rozumiał.

Szymanowski tłómacząc przez siedm lat *Świątynię Wenery w Knidos*, za żadne wieńce i mirty Tebowe nie użyłby wyrażeń: urwisz, chłepce, plucha i t. p.

Konrad Wallenrod, powieść historyczna w sześciu pieśniach, ma za treść walkę Litwinów z zakonem Krzyżackim i złamanie jego potęgi za sprawą Wallenroda, mistrza tegoż zakonu, który był z rodu Litwinem i ukrytym Krzyżaków wrogiem. Moralność utworu nader wątpliwa, równie jak epigraf na czele poematu wzięty z Machiawela: «*Dovete adunque sapere come sono due generazioni da combattere.... bisogna essere volpe e leone*». Podobne założenia są nakształt miecza obosiecznego, który najczęściéj kaleczy najprzód rękę, chwytającą zań w celu rażenia nieprzyjaciela. Poeta opiewa zdradę obraną za środek do wzniosłych celów — poświęcenie się dla kraju, naznaczone piętnem sromoty i hańby. Myśl ta, służąca za podstawę poematu, aczkolwiek przeciwna charakterowi narodu, w obec ówczesnéj jednak walki obu potęg i wzajemnéj

nienawiści, ma za sobą przynajmniéj podobieństwo do prawdy— odpowiada charakterowi ówczesnych wojen, w których uświęcano wszelakie zdrady, przeniewierstwa, mordy i pożogi, byleby sprawie zdobyć zwycięztwo. Ale Wallenrod, jako mistrz krzyżacki, był nadto związany ślubami zakonu — zdrada więc obrażała z drugiéj strony zasadę moralną. Pojmował to poeta, i dla tego, po stanowczém spełnieniu czynu, po głównéj katastrofie wojny, bohaterowi swojemu dał koniec tragiczny.

Do skreślenia charakteru głównéj osoby, Wallenroda, obrał poeta stosowną chwilę, która nastręczała sposobność zbadania go szczegółowo — chwilę obioru mistrza Zakonu, po którą godność sięgało wielu mężów wysokiego rodu i zasług. Głos przemawiający tu o nim na radzie komturów maluje wydatnie jego fizyonomiję.

On cudzoziemiec, w Prusach nieznajomy,
Sławą napełnił zagraniczne domy:
Czy Maurów ścigał na kastylskich górach,
Czy Ottomana przez morskie odmęty,
W bitwach na czele, piérwszy był na murach,
Piérwszy zahaczał pohańców okręty;
I na turniejach, skoro wstąpił w szranki,
Jeżeli raczył przyłbicę odsłonić,
Nikt się nie ważył na ostre z nim gonić,
Piérwsze mu zgodnie ustępując wianki,

Nie tylko między krzyżowemi roty
Wsławił orężem młodociane lata:
Zdobią go wielkie chrześcijańskie cnoty,
Ubóstwo, skromność i pogarda świata.

Konrad nie słynął w przydwornym nacisku
Gładkością mowy, składnością ukłonów;
Ani swéj broni dla podłego zysku
Nie przedał w służbę niezgodnych baronów.
Klasztornym murom wiek poświęcił młody;
Wzgardził oklaski i górne urzędy;
Nawet zacniejsze i słodsze nagrody,
Minstrelów hymny i piękności względy,
Nie przemawiały do zimnego ducha.
Wallenrod pochwał obojętnie słucha,
Na kraśne lica pogląda z daleka,
Od czarującéj rozmowy ucieka.

Czy był nieczułym, dumnym z przyrodzenia,
Czy stał się z wiekiem — bo choć jeszcze młody,
Już włos miał siwy i zwiędłe jagody,
Napiętnowane starością cierpienia —
Trudno odgadnąć. Zdarzały się chwile,
W których zabawy młodzieży podzielał,
Nawet niewieścich gwarów słuchał mile,
Na żarty dworzan żartami odstrzelał,
I sypał damom grzecznych słówek krocie,
Z zimnym uśmiechem, jak dzieciom łakocie:
Były to rzadkie chwile zapomnienia...
I wkrótce, lada słówko obojętne,
Które dla drugich nie miało znaczenia,
W nim obudzało wzruszenia namiętne;
Słowa: ojczyzna, powinność, kochanka,
O krucyatach i o Litwie wzmianka,
Nagle wesołość Wallenroda truły;
Słysząc je, znowu odwracał oblicze,
Znowu na wszystko stawał się nieczuły,
I pogrążał się w dumy tajemnicze.
Może, wspomniawszy świętość powołania,
Sam sobie ziemskich słodyczy zabrania.
Jedne znał tylko przyjaźni słodycze,
Jednego tylko wybrał przyjaciela,
Świętego cnotą i pobożnym stanem:
Był to mnich stary, zwano go Halbanem.
On Wallenroda samotność podziela;
On był i duszy jego spowiednikiem,
On był i serca jego powiernikiem....
Tak naczelnicy zakonnéj obrady
Rozpamiętują Konrada przymioty,
Ale miał wadę — bo któż jest bez wady?
Konrad świątowéj nie lubił pustoty,
Konrad pijanéj nie dzielił biesiady:
Wszakże zamknięty w samotnym pokoju,
Gdy go dręczyły nudy lub zgryzoty,
Szukał pociechy w gorącym napoju;
I wtenczas zdał się wdziewać postać nową,
Wtenczas twarz jego bladą i surową,
Jakiś rumieniec chorowity krasił:
I wielkie, niegdyś błękitne źrenice,
Które czas nieco skaził i przygasił,

Ciskały dawnych ogniów błyskawice.
Z piersi żałośne westchnienie ucieka,
I łzą perłową nabrzmiewa powieka,
Dłoń lutni szuka, usta pieśni leją,
Pieśni nucone cudzoziemską mową,
Lecz je słuchaczów serca rozumieją:
Dosyć usłyszeć muzykę grobową,
Dosyć uważać na śpiewaka postać,
W licach pamięci widać natężenie,
Brwi podniesione, pochyłe wejrzenie,
Chcące z głębiny ziemnéj coś wydostać:
Jakiż być może pieśni jego wątek?
Zapewne myślą w obłędnych pogoniach,
Ściga swą młodość na przeszłości toniach...
Gdzież dusza jego? — w krainie pamiątek.
Lecz nigdy ręka, w muzycznym zapędzie,
Z lutni weselszych tonów nie dobędzie;
I lica jego niewinnych uśmiechów
Zdają się lękać, jak śmiertelnych grzechów.
Wszystkie uderza stróny po kolei,
Prócz jednéj stróny — prócz stróny wesela,
Wszystkie uczucia słuchacz z nim podziela,
Oprócz jednego uczucia — nadziei.
Nieraz go bracia zeszli niespodzianie,
I nadzwyczajnéj dziwili się zmianie:
Konrad, zbudzony, zżymał się i gniewał,
Porzucał lutnię i pieśni nie śpiewał;
Wymawiał głośno bezbożne wyrazy,
Coś Halbanowi szeptał pokryjomu,
Krzyczał na wojska, wydawał rozkazy,
Straszliwie groził, nie wiadomo komu.
Trwożą się bracia ... Stary Halban siada,
I wzrok zatapia w oblicze Konrada,
Wzrok przenikliwy, chłodny i surowy,
Pełen jakowéjś tajemnéj wymowy.
Czy coś wspomina, czyli coś doradza,
Czy trwogę w sercu Wallenroda budzi:
Zaraz mu chmurne czoło wypogadza,
Oczy przygasza i oblicze studzi.
Tak na igrzysku, kiedy lwów dozorca,
Sprosiwszy pany, damy i rycerze,
Rozłamie kratę żelaznego dworca,

Da hasło trąbą; wtém, królewskie zwierze
Grzmi z głębi piersi, strach na widzów pada:
Jeden dozorca kroku nie poruszy,
Spokojnie ręce na piersiach zakłada,
I lwa potężnie uderzy — oczyma;
Tym nieśmiertelnéj talizmanem duszy
Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.

Taka postać utworzona w myśli poety była już sama przez się całością piękną, artystyczną.

Pierwsze światełko na ten ciemny charakter Konrada rzuca poeta w kilku wyrazach pieśni płynącéj z wieży pustelniczéj, które nucone usty jakiejś pokutnicy, bracia zakonni biorą za wieszcze, chociaż ich nie rozumieją. Jaśniéj jeszcze rozświetla się ten obraz wewnętrzny w chwili dokonania wyboru.

Gdy Mistrz praw świętych ucałował księgi,
Skończył modlitwę i wziął od Komtura
Miecz i krzyż wielki, znamiona potęgi:
Wzniósł dumne czoło, chociaż troski chmura
Ciężyła nad niém, w koło okiem strzelił,
W którem się radość na pół z gniewem żarzy,
I, niewidziany gość na jego twarzy,
Uśmiech przeleciał, słaby i znikomy;
Jak blask, co chmurę poranną rozdzielił,
Zwiastując razem wschód słońca i gromy.
Ten zapał Mistrza, to groźne oblicze
Napełnia serca otuchą, nadzieją:
Widzą przed sobą bitwy i zdobycze,
I hojnie w myśli krew pogańską leją.
Takiemu władcy któż dostoi kroku?
Któż się nie zlęknie jego szabli, wzroku?
Drżyjcie Litwini! już się chwila zbliża,
Gdy z murów Wilna błyśnie znamie krzyża.
Nadzieje próżne. Cieką dni, tygodnie,
Upłynął cały długi rok w pokoju,
Litwa zagraża: Wallenrod, niegodnie,
Ani sam walczy, ani śle do boju;
A gdy się zbudzi i coś działać zacznie,
Stary porządek wywraca opacznie.
Woła, że Zakon z świętych wyszedł karbów,
Że bracia gwałcą przysiężone śluby;

Módlmy się, woła, wyrzeczmy się skarbów,
Szukajmy w cnotach i pokoju chluby.
Narzuca posty, pokuty, ciężary,
Uciech, wygody niewinnéj zaprzecza,
Lada grzech ściga najsroższemi kary
Podziemnych lochów, wygnania i miecza.
Tymczasem Litwin, co przed laty zdala
Omijał bramy zakonnéj stolicy,
Teraz dokoła wsi co noc podpala,
I lud bezbronny chwyta z okolicy;
Pod samym Zamkiem dumnie się przechwala,
Że idzie na mszę do mistrza kaplicy...
Pierwszy raz dzieci z rodziców swych progu
Drżały na straszny dźwięk żmudzkiego rogu.

Tu odsłania się druga strona obrazu. Obok Konrada występuje inna postać ściśle z losami jego złączona, tajemnicza pustelnica z wieży, Aldona. Rozmowy tych dwojga osób, przedzielonych murami i kratą wieży, wydają miłość ich wzajemną, sięgającą dawniejszych czasów, żywiącą się wspomnieniami szczęścia dawnego i rozpaczliwą tęsknotą chwili obecnéj. Rozmowy te coraz bardziéj rozniecają czucia namiętne w Konradzie, a osłabiają gorejącą wprzódy żądzę boju i zapał nieukojonéj zemsty.

Przełom walki miotającéj sercem Wallenroda następuje wśród uczty w dzień Patrona Zakonu. Sto białych płaszczów powiewa za stołem. Konrad na czele. Po lewicy tronu wziął miejsce Witold ze swemi hetmany; dawniéj był wrogiem, dziś gościem Zakonu, przeciwko Litwie sojuszem związany. Wśród zgiełku i wrzawy pijanych biesiadników, Wallenrod żąda pieśni.

Zarazem różni śpiewacy powstali,
Tam, Włoch otyły słowiczemi tony
Konrada męztwo i pobożność chwali;
Ówdzie Trubadur od brzegów Garony
Opiewa dzieje miłośnych pasterzy,
Zaklętych dziewic, i błędnych rycerzy.

Wallenrod drzemał. Nagle zbudzony milczeniem, rzuca Włochowi trzos ładowny złotem, trubadura zbywa szyderstwem, i woła o pieśń inną:

„Tu róże zwiędły... Innego chcę barda,
Zakonnik rycerz innéj chce piosenki:
Niechaj mi będzie tak dzika i twarda,
Jak hałas rogów i oręża szczęki,
I tak ponura jak klasztorne ściany,
I tak ognista jak samotnik pijany.
Dla nas, co święcim i mordujem ludzi,
Mordercza piosnka niech świętość ogłasza,
Niechaj rozczula i gniewa i nudzi:
I znowu niechaj znudzonych przestrasza.
Takie jest życie—taka piosnka nasza!
Kto ją zaśpiewa?...“

Powstaje stary wajdelota, Halban przebrany, jak późniejsza wieść niosła, i rozpoczyna powieść o napadzie Krzyżaków na Litwę, odsłaniającą przeszłość Konrada i Aldony, oraz przypominającą Mistrzowi jego przeznaczenie złowieszcze. Powieść tę poprzedza pieśń wajdeloty, zaczynająca się porównaniem widma krzyżackiego do dziewicy morowéj, żyjącéj w fantazyi ludu litewskiego. Przecudna jest apostrofa do pieśni gminnéj i zakończenie owego wstępu powieści.

...O wieści gminna! Ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty;
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę, i swych uczuć kwiaty!
Arko! tyś żadnym niezłamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy;
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła,
Z archanielskiemi skrzydłami i głosem—
Ty czasem dzierżysz i broń archanioła...
Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje:
Pieśń ujdzie cało, tłum ludzi obiega;
A jeśli podłe dusze nie umieją
Karmić ją żalem i poić nadzieją,
Ucieka w góry, do gruzów przylega,
I ztamtąd dawne opowiada czasy...
Tak słowik, z ogniem ziejącego gmachu
Wyleci, chwilę przysiądzie na dachu;
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy,

I brzmiącą piersią nad zgliszcza i groby
Nuci podróżnym piosenkę żałoby.
Słuchałem piosnek. Nieraz kmieć stuletni,
Trącając kości żelazem oraczém,
Stanął, i zagrał na wierzbowéj fletni
Pacierz umarłych; lub rymownym płaczem
Was głosił, wielcy ojcowie—bezdzietni...
Echa mu wtórzą. Ja słuchałem zdala,
Têm mocniéj widok i piosnka rozżala:
Żem był jedynym widzem i słuchaczem.
Jako w dzień sądny z grobowca wywoła
Umarłą przeszłość trąba archanioła:
Tak na dźwięk pieśni, kości z pod méj stopy
W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły,
Z gruzów powstają kolumny i stropy,
Jeziora puste brzmią licznemi wiosły,
I widać zamków otwarte podwoje,
Korony książąt, wojowników zbroje,
Spiewają wieszcze, tańczy dziewic grono...
Marzyłem cudnie—srodze mię zbudzono!
Zniknęły lasy i ojczyste góry!
Myśl, znużonemi ulatując pióry,
Spada, w domową tuli się zaciszę,
Lutnia umilkła w otrętwiałém ręku;
Śród żałosnego spółrodaków jęku
Często przeszłości głosu nie dosłyszę!
Lecz dotąd iskry młodego zapału
Tlą w głębi piersi; nieraz ogień wzniecą,
Duszę ożywią, i pamięć oświecą.
Pamięć naówczas, jak lampa z kryształu,
Ubrana pędzlem w malowne obrazy,
Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,
Jeżeli świecznik postawisz w jéj serce,
Jeszcze świeżością barwy znęci oczy,
Jeszcze na ścianach pałacu roztoczy
Kraśne acz nieco przyćmione kobierce...
Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów, i wskrzesić postaci
Zmarłéj przeszłości; gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy do serca spółbraci:
Możeby jeszcze w téj jedynéj chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,

Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,
I chwilę jedną tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie—niegdyś całe życie.
Lecz po co zbiegłe wywoływać wieki?"
I swoich czasów śpiewak nie obwini:
Bo jest mąż wielki, żywy, niedaleki...
O nim zaśpiewam: uczcie się Litwini!

Następuje powieść wajdeloty o młodości Waltera Alfa (późniejszego Konrada), rodem Litwina, wychowanego w Zakonie. Stary wajdelota, wzięty w niewolę przed laty i służący tłómaczem wojsku, rozbudził w nim poczucie krzywdy plemiennéj i gorące pragnienie zemsty. Nieraz, jak opowiadał Walter:

.....„Na wybrzeżach Połągi,
Gdzie grzmiącemi piersiami białe roztrąca się morze,
I z pienistéj gardzieli piasku strumienie wylewa:
Widzisz, mawiał mi starzec, łąki nadbrzeżnéj kobierce?
Już je piasek obleciał. Widzisz te zioła pachnące?
Czołem silą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie:
Ach daremnie! Bo nowa żwiru nasuwa się hydra,
Białe płetwy roztacza, lądy żyjące podbija
I rozciąga dokoła dzikiéj królestwo pustyni...
Synu, plony wiosenne żywo do grobu wtrącone,
To są ludy podbite, bracia to nasi Litwini;
Synu, piasek z za morza burzą pędzony—to Zakon!..."

To też w pierwszéj potyczce z Litwą, Walter połączył się ze swoimi, i wkrótce męztwem i doświadczeniem wojennem stał się nader pożytecznym dla Litwy. Miłość Aldony, córki Kiejstuta, uwieńczona małżeństwem podniosła szczęście jego do szczytu. Lecz zaledwie śniegi ponikły, znów nadciągnęły szeregi krzyżowe. Runęło w gruzy Kowno, runęły Kiejdany; Litwa po górach i lasach broni się. Niemcy daléj ciągną plądrując i paląc. Wtedy to dojrzał zamiar straszliwy w duszy Alfa Razem z Wajdelotą opuścił Litwę, nie zważając na łzy Aldony.

„Biada, mówił, niewiastom, jeśli kochają szaleńców,
Których oko wybiegać lubi za wioski granice,
Których myśli jak dymy wiecznie nad dach ulatują;
Których sercu nie może szczęście domowe wystarczyć.

Wielkie serca, Aldono, są jak ule zbyt wielkie:
Miód ich zapełnić nie może, stają się gniazdem jaszczurek...“

Straszliwe wrażenie wywarła na Wallenroda powieść starego Wajdeloty. Gdy słuchacze zaciekawieni wołali: „i cóż ów Walter? jakie jego czyny? gdzie? nad kim zemsta?“—uniesiony wściekłością Mistrz chwycił za lutnię i sam dośpiewał zakończenie powieści, w kształcie ballady hiszpańskiéj „*Alpuhara*“—W ogóle cały ten ustęp poematu, noszący nazwę „*Uczta*“ jest jakby węzłem pierscienia, świecącym dyamentami najczystszéj wody.

Nareszcie wojna wybucha. Witold, co wsparcia u Zakonu żebrał dla odzyskania Wileńskiéj stolicy, nagle zmieniwszy swój zamiar, przyjaźń i sojusze zawarte z Krzyżakami zdradził, i w powrocie rzucił się na zamki i załogi krzyżackie. Wstydem i gniewem rozpłomieniony Zakon podnosi wreszcie na pogany wojnę krzyżową. Poszli ku Litwie: i cóż tam sprawili? Minęła jesień. Zimowe zamieci huczą po górach i zawalają drogi.

Z Maryenburga lud patrzy ku drodze.
Już widać zdala: kopie się przez śniegi
Kilku podróżnych... Konrad! Nasi wodze!...
Jakże ich witać? zwycięzce? czy zbiegi?
Gdzie reszta pułków?... Konrad wzniósł prawicę,
Pokazał daléj ciżbę rozproszoną:
Ach, sam ich widok zdradził tajemnicę!...
Biegą bezładnie, w zaspach śniegu toną;
Walą się, depcą jak podłe owady
W ciasném naczyniu ginące pospołu;
Pną się po trupach, nim nowe gromady
Dźwignionych znowu potrącą do dołu,
Ci jeszcze wleką otrętwiałe nogi;
Ci w biegu nagle przystygli do drogi.
Lecz ręce wznoszą, i stojące trupy
Wskazują w miasto jak podróżne słupy.
Lud wybiegł z miasta strwożony, ciekawy,
Lękał się zgadnąć, i o nic nie pytał,
Bo całe dzieje nieszczęsnéj wyprawy
W oczach i twarzach rycerzy wyczytał.
Nad ich oczyma mroźna śmierć wisiała.
Harpija głodu ich lica wyssała.

Tu słychać trąby litewskiéj pogoni,
Tam wicher toczy kłąb śniegu po błoni,
Opodal wyje chuda psów gromada,
A nad głowami krążą kruków stada, *)

Wszystko zginęło, Konrad wszystkich zgubił!... A gdy z tego pogromu prowadził wojsko upiorów,

Ponury smutek czoło jego mroczy,
Robak boleści wywijał się z lica,
I Konrad cierpiał—ale spójrzyj w oczy:
Ta wielka, napół otwarta zrenica,
Jasne z ukosa miotała pociski,
Niby kometa grożący wojnami,
Co chwila zmienna jak nocne połyski,
Któremi szatan podróżnego mami,
Wściekłość i radość połączając razem,
Błyszczała jakimś szatańskim wyrazem.

Poznał wtedy Zakon swojego wroga. W ciemne podziemią schodzi się na radę trybunał tajemny i orzeka nań zasłużoną karę. Konrad po raz ostatni rozmawia i żegna się z Aldoną— i widząc zbliżających się swych sędziów, wychyla truciznę. Przed skonaniem jednak zrzuca maskę obłudy, zrywa płaszcz, znak Mistrza na ziemię miota, depce nogami z uśmiechem pogardy, i woła:

„Oto są grzechy mojego żywota!
Gotowem umrzeć: czegoż chcecie więcéj?
Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy?...
Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierżawy!
Słyszycie wicher? pędzi chmury śniegów:
Tam marzną waszych ostatki szeregów!
Słyszycie? Wyją głodnych psów gromady.“
One się gryzą o szczątki biesiady!
„Ja to sprawiłem! Jakem wielki, dumny:
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem,
Jak Samson jedném wstrząśnieniem kolumny
Zburzyć gmach cały, i runąć pod gmachem,

*) Farby do tego opisu poeta znalazł zapewne we własnych wspomnieniach z 1812 r.

Poemat „*Wallenrod*“, obok uwielbienia dla swoich znakomitych piękności, wywołał liczne i poniekąd uzasadnione zarzuty. Surowo osądził go Mochnacki, przyznając wyższość nad tym utworem *Grażynie i Dziadom*. Podług Mochnackiego „Poema „*Konrad Wallenrod*“ cząstkowo, ułamkami śliczne i czarujące, w rozwinieniu jednak swojém jako twór sztukmistrza, i we względzie artystycznym, całością organiczną, poetycką nie jest... W układzie *Wallenroda* rozciągłym, głębokim, śmiałym, przechodzącym miarę zwykłych przedsięwzięć poetyckich, nie masz wewnętrznéj zgody i harmonii między częściami... Rzecz dobrze pomyślana i w początkach rozpostarta daleko, chromieje, słabnie w dalszym wywodzie. Mickiewicz nie zrealizował wielkiego planu, nie rozwinął i nie wyczerpnął idei swego poematu. Między charakterem Wallenroda, między scenami, gdzie się ten charakter najjawniéj wyraża, a expozycyą głównéj jego sprawy, zachodzi widoczny, uderzający niestosunek,—taki sam jaki częstokroć postrzegamy w niedokończonym gmachu genijalnego architekta, kiedy myśl i staranie swoje w to położywszy, żeby ustroić front całym przepychem swéj sztuki, resztę budowli jak może najskwapliwiéj, naprędce przyrządza, żeby jakotako przypadało do miary z głównym effektem od przodu. Wielka także zachodzi dysproporcya między częścią *genetyczną* poematu, to jest, między tą częścią gdzie się rzecz przed naszemi dzieje oczyma, a częścią opisową, narracyjną. Wojna Zakonu z Litwą, w porównaniu z tém co ją poprzedza, prędzéj, krócéj odprawiona, niżeli plan dzieła wymagał, widocznie skutek osłabia. Czemuż nie widzimy Wallenroda w namiocie z Halbanem? Porozumiewanie się, znoszenie z Witoldem, tak ważne i tak zajmujące, w obręb poematu prawie nie wchodzi. Walter Skot porównywa bieg powieści z rosnącą chyżością kamienia, gdy na dół ze stromego spada pagórka. Z początku wszelkie mija przeszkody, następnie coraz prędzéj się toczy, na wpół drogi i ku końcowi spadku warcząc z łoskotem; a gdy ma już stanąć u kresu, natenczas z niewypowiedzianą leci szybkością. Ale ruch, bieg powieści w *Wallenrodzie* nie zdaje się być tym kształtem uregulowany. Jest to rzeka nie wszędzie spławna, nie wszędzie żeglowną liniję mająca; nurt jéj niestały, zawodny; chyżość strumienia nie jednaka. Tu wielki rozlew, wezbranie z brzegów; gdzieindziéj wązkie, i coraz węższe koryto, tak że je pieszy wędrowiec żartkim przebędzie skokiem. I na mieliznach nie zbywa. Te zarzuty dotyczą ekonomii wewnętrznej poematu. Ale sam bohater powieści daleko

większemu podlega zarzutowi. Któżby dał temu wiarę? Wszakci ten Wallenrod, ten rycerski Krzyżak, pogromca Zakonu, jest przecie zakochanym IV-téj części *Dziadów* upiorem. Ta sama miłość, ten sam koloryt namiętności, ledwo nie też same wyrażenie: „Ja powracam z Litwy—mówi Konrad do pustelnicy.

Ja owe miejsca, twój zamek widziałem,
Kowieński zamek... już tylko ruiny...
Odwracam oczy, przelatuję cwałem,
Biegę do owéj, do naszéj doliny,
Wszystko jak dawniéj... Też laski, te kwiaty;
Wszystko jak było owego wieczora,
Gdyśmy dolinę żegnali przed laty:
Ach mnie się zdało, że to było wczora!...
Kamień pamiętasz, ów kamień wyniosły,
Co niegdyś naszych przechadzek był celem?
Stoi dotychczas: tylko mchem zarosły,
Ledwiem go dostrzegł, osłoniony zielem.
Wyrwałem zielska, obmyłem go łzami;
Siedzenie z darni, gdzie po letnim znoju
Lubiłaś spocząć między jaworami;
Źródło, gdziem szukał dla ciebie napoju;
Jam wszystko znalazł, obejrzał, obchodził.
Nawet twój mały chłodnik zostawiono,
Com go suchemi wierzbami ogrodził...
Te suche wierzby, jaki cud, Aldono!
Dawniéj mą ręką wbite w piasek suchy:
Dziś ich niepoznasz; dzisiaj, piękne drzewa,
I liście na nich wiosenne powiewa,
I młodych kwiatów unoszą się puchy!...
Ach, na ten widok, pociecha nieznana,
Przeczucie szczęścia, serce ożywiło;
Całując wierzby padłem na kolana;
Boże mój, rzekłem, oby się spełniło!
Obyśmy, w strony ojczyste wróceni,
Kiedy litewską zamieszkamy rolę,
Odżyli znowu; niech i naszę dolę
Znowu nadziei listek zazieleni!...“

Wszystko to prześliczne, i ów kamień, i ta wierzba, i te kwiatki i listki, i puchy;—ale jak źle się wydaje u Wallenroda ta pieściwość rozpamiętywań, ta poezya pamiątek! —w owym

wieku tak poetyckim, lecz poezyą życia, poezyą rzeczywistości, a nie poezyą tkliwych, sentymentalnych wspomnień.... Wszystko to jest uderzającym anachronizmem w *Wallenrodzie*. Rzecz jego nie przypada w te czasy, i jego charakter z taką miłością, żadną nie rymuje miarą... Tu, że tak powiem, modernizacya pojęć i kolorytu stawia w fałszywém świetle bohatera poematu, saméj rzeczy przyczyniając nieforemności, bezkształtności. Wreszcie, już to jest *maniera* sentymentalna, z któréj, przy częstszém jeszcze używaniu, i wznawianiu tego co się raz rzekło, łatwo wykształciéby się mogły pewne jeremijady tkliwych westchnień, i pewna rutyna miłości... Krótko mówiąc, cały romans Alfa i Aldony zły skutek czyni w tym poemacie. Aldona nawet ku końcowi stroi zaloty niegodne pustelnicy. Wymawiając się kochankowi, który ją chciał unieść do Litwy, powiada:

»Chcesz wrócić na świat — kogo? nędzną marę!
Pomyśl, ach pomyśl! jeżeli szalona
Dam się namówić, rzucę tę pieczarę,
I z uniesieniem padnę w twe ramiona —
A ty nie poznasz, ty mię nie powitasz,
Odwrócisz oczy i z trwogą zapytasz:
Ten straszny upior, jest-że to Aldona?...
I będziesz szukał w zagasłéj zrenicy
I w twarzy, która — ach, myśl sama razi!
Nie, niechaj nigdy nędza pustelnicy
Pięknéj Aldonie oblicza nie kazi!...

»Ja sama... wyznam... daruj, mój kochany!
Ilekroć księżyc żywszém światłem błyska,
Gdy słyszę głos twój, kryję się za ściany;
Ja cię mój drogi, nie chcę widzieć zbliska!...
Ty może dzisiaj już nie jesteś taki,
Jakim bywałeś, pamiętasz, przed laty,
Gdyś wjechał w zamek z naszemi orszaki:
Lecz dotąd w mojém zachowałeś łonie,
Też same oczy, twarz, postawę, szaty:
Tak motyl piękny gdy w bursztyn utonie,
Na wieki całą zachowuje postać...
Alfie nam lepiéj takiémi pozostać,
Jakiemi dawniéj byliśmy, jakiemi
Złączym się znowu, — ale nie na ziemi!.. «

Aldona nie chce paść z uniesieniem w ramiona Alfa, — czegoż chce? Oto chce go tylko widzieć żywym, co wieczor z nim rozmawiać. »Staraj się» — mówi, — częściéj i raniéj przychodzić.« — Co większa, Aldona chciałaby mieć nie tylko Alfa, ale całą Litwę w miniaturze koło swéj wieży:

»Gdybyś... posłuchaj... około równiny
Chłodnik podobny owemu zasadził,
I twoje wierzby kochane sprowadził,
I kwiaty, nawet ów kamień z doliny...
Niech czasem dziatki z poblizkiego sioła,
Bawią się między ojczystemi drzewy,
Ojczyste w wianek uplatają zioła,
Niechaj litewskie powtarzają śpiewy,« — i t. d.

»Czyż nie wpadło w myśl Mickiewiczowi — mówi daléj Mochnacki — że to wszystko jest drobne, małe, że to affektacya i ledwo nie takie same wydziwarzanie, jakiém mieszkańcy miast tęsknią do pięknéj za miastem natury? — Czegoż żąda Alf, gdy mu się nie udało przełamać uporu Aldony? Oto przynajmnéj na pamiątkę »gałązki z wieży'« a ponieważ na wieży kwiaty nie rosną, to przynajmniéj nitki z odzieży, albo z warkocza zawiązki, albo wreszcie kamyczka z muru!« — W te śmieszności, dziecińśtwa wpadł wielki artysta, myślący sztukmistrz! Jakże to wszystko osłabiło wdzięk tego poematu! Ileż w tém wszystkiém psychologicznéj i poetycznéj nieprawdy! — I tenże to Wallenrod, ten Alf pierwszéj sceny wielki, straszny, — którego włos posiwiał za młodu, który w samotności grób myśli swoich gorącym roztwierał napojem, który jednego razu winem i wieścią barda rozpalony odśpiewał wrogom złowieszczą balladę?... *Konrad Wallenrod,* to mozaikowa robota poety nie umiejącego wyjść myślą i duszą ze swojéj indywidualności, ze swéj jednostki, nie umiejącego odjąć się samemu sobie dla rzeczy, i stworzyć świat oddzielny, odrębny za granicą swego ducha. Jedno z największych dzieł literatury naszéj, choć się tylko z pięknych fragmentów składa, i zarazem przykład jawnie pokazujący, jak trudno sztukmistrzowi indywidualnemu, subjektywnemu, przenieść się ze swéj idealnéj sfery w sferę wielkiego poetyckiego realizmu.«

Sąd Mochnackiego jest za surowy. Romans Konrada i Aldony nie jest żadnym anachronizmem, ani przesadą w pojęciach, ani manierą w kolorycie. Ma on za sobą prawdę histo-

ryczną. Wiek Wallenroda był wiekiem romantyzmu, turniejów, idealnéj czci dla płci pięknéj, wiekiem rycerstwa. Sama tylko liryka poematu jest nieco sentymentalna i za wytworna. Co do błędu w kompozycyi, zależącego na uchyleniu walki stanowczéj na plan podrzędny, na krótkiém oznajmieniu o klęsce Krzyżaków, jakby o prostym wypadku, który nawet nie odbija się zbyt silném wrażeniem na Konradzie — w tym względzie krytyk miał słuszność. Między całością a jéj częściami nie ma należytéj proporcyi, wymiaru i harmonii. Części przedstawiające główną czynność, drobnieją obok epizodów, za wiele stosunkowo zajmujących miejsca, a porywających swoją pięknością uwagę — jak w III pieśni epizod Konrada i Aldony. Demoniczna postać Halbana tajemniczością swoją przypomina bajronizm. Charakter Wallenroda, utworzony przez poetę z wielu na pozór przeciwnych sobie przymiotów, dumy, czułości, wielkości i wad najpoziomszych — typ poganina w postaci Krzyżaka — nie może w zupełności zaspokoić czytelnika. Téj dumy narodowéj, tego ducha powinności obywatelskiéj, jakiéj wymagamy po tak silnym charakterze, nie okazuje bynajmniéj Wallenrod, oddający się tylko wśród pijanéj doby wspomnieniom ojczyzny. Pod względem poezyi jednak rozwinął tu autor całą twórczość, całe bogactwo swego talentu. Zachwyca czytelnika cudowny dramat uczuć, rysy charakterystyczne obrazu wlana weń prawda i życie. Pojedyncze ustępy, jak pieśń o Wilii, śpiew Wajdeloty, *Alpuhara* i inne, pozostaną na zawsze klejnotami poezyi polskiéj.

Konrad Wallenrod sprawił ogromne wstrząśnienie w umysłach. Tą razą klassycy staréj daty oniemieli. Dźwięczność rymów, czar stylu, świeżość obrazów i porównań, jedyne rzeczy, które w kategoryę ich sądów wchodziły, znalazły się tam w przeważnéj sile; zaczęli więc kapitulować. Od tego też głównie utworu rozpoczyna się epoka wyłącznie Mickiewiczowskiego wpływu na cały rozwój poezyi polskiéj. Popularność poety urosła do niesłychanéj potęgi.

Arcydziełem Mickiewicza jest »*Pan Tadeusz czyli ostatni zajazd na Litwie,*« poemat w 12 pieśniach (Paryż, 1834). Przypatrzmy się głównemu wątkowi i budowie téj epopei szlacheckiéj. *)

Żyły na Litwie dwie rodziny w sąsiedztwie: Soplicowie, szlachta dawna krwią, herbem, wierną służbą Rzeczypospolitéj,

*) Porównaj „Uwagi nad *Panem Tadeuszem*“ Z. Hugona. Poznań, 1872.

i Horeszkowie, panowie dumni i możni. Jacek Soplica natury żywéj i gwałtownéj, nieskory do pracy powolnéj i cichéj, odznaczył się wcześnie męztwem, odwagą i wszystkiemi przymiotami zdobiącemi rycerskiego młodzieńca. Nikt mu nie wyrównał ni w zwadzie, ni na łowach, nikt nie dorósł jego dzielnéj, wspaniałéj postaci. To też réj wodził między młodzieżą, a i u starszych miał wielkie zachowanie i względy. Dumny i niedbający o łaskę panów, miał do nich nie tylko wstęp, ale owszem witano go gościem najmilszym, bo był ten »pan brat« i wielce miły w towarzystwie, dobry do wypitki i do wybitki, niewyczerpany w opowiadaniach, niezrównany myśliwy i nader mógł być potrzebnym ambitnym ich celom. Lubili go wszyscy ziemianie. Dobrzyń i cztery zaścianki zawsze były gotowe stanąć po stronie Jacka Soplicy, na sejmiku dać kreskę temu, na którego wskaże, i przelać ostatnią kroplę krwi na jego rozkazy. Z pośród wielu innych możnych panów stolnik Horeszko okazywał mu szczególniejszą przyjaźń. Zdawało się, że go kochał jak brata lub syna; często wśród biesiady wznosił jego zdrowie i głośno wyznawał, że nie miał przyjaciela nad Jacka Soplicę. Dumny młodzieniec tém chętniéj korzystał z gościnności stolnika, że pokochał miłością wielką, milczącą, szlachetną, córkę jego Ewę. — Przychylne, poufałe i braterskie zachowanie się Horeszki dawało mu wiele otuchy; wszyscy myśleli, że duszą się z nim podzieli; nie mógł nawet dopuścić myśli, że nadzieje jego są próżne, bo był młody, odważny, świat stał mu otworem.

W kraju, gdzie... szlachcic urodzony!
Jest zarówno z panami kandydat korony!
Wszakże Tęczyński niegdyś z królewskiego domu
Zażądał córy, a król mu oddał ją bez sromu...

Ale srodze zawiódł się Jacek. Stolnik, chytrze dumny, podejmując go uprzejmie, udawał, że mu nawet nie przyszło do głowy, aby się starać miał o taki związek — miłości jego niby nie dostrzegał i nawet nalegał, żeby częściéj przyjeżdżał. Widząc to Jacek blizkim był rozpaczy. Do prośby zniżyć się nie chciał przed panem, a obawiał się odmowy, któraby ubliżyła imieniowi Sopliców. Umyślił więc kraj opuścić i pojechał na pożegnanie do Stolnika, sądząc, że się rozrzewni i wyjeżdżać mu nie pozwoli, że mu przecież okaże trochę ludzkiéj duszy. Ewa, słysząc o odjeździe, pobladła i padła bez przy-

tomności. Jacek poznawszy, jak jéj był miły, pierwszy raz w życiu łzami się zalał z radości i rozpaczy, zapomniał się, szalał. Już znowu chciał upaść ojcu jéj pod nogi — wtém Stolnik, posępny, zimny a grzeczny, wszczął obojętną rozmowę — o weselu Ewy. »Panie Soplico, rzekł, właśnie przyjechał do mnie swat kasztelanica.

Ty jesteś mój przyjaciel, cóż ty mówisz na to?
Wiesz Wasze, że mam córkę piękną i bogatą:
A kasztelan — witebski wszakże to w senacie
Nizkie, drążkowe krzesło. Cóż mi radzisz bracie?..«

Rozpacz dosięgła szczytu. Jacek nie rzekł nic; wsiadł na konia i uciekł. Różne myśli zaczęły nawiedzać jego strapioną głowę. Mógłby Ewę porwać, wydrzeć z za krat, a zamek w proch rozbić — ale jakże? ona wypieszczona, słaba, robaczek motyli, nie mogła słuchać szczęku broni — zginęłaby. Nie! — Mścić się otwarcie, szturmem zwalić zamek? Wstyd!.. Powiedzianoby że mści się rekuzy. Szatan dumy zaczął mu lepsze plany radzić: nie bywać w zamku, miłość z serca wydrzeć, puścić w niepamięć Ewę, z inną się ożenić, a potém... potém jaką wynaleźć zaczepkę i pomścić się. Łudząc samego siebie, ożenił się z pierwszą lepszą dziewczyną, któréj nie kochał. Cierpiał niezmiernie, daremnie usiłował zająć się gospodarstwem, sprawami domowemi — nie mógł znaleźć już w niczém pociechy, zaczął pić. Z żalu umarła biedna żona, zostawiwszy dziecię — Tadeusza. Tymczasem odbyły się zaręczyny Ewy. Powiadano, że gdy brała obrączkę mdlała, że ma początki suchot, że ustawicznie płacze; zgadywano, że kogoś potajémnie kocha. Ale Stolnik, jak zawsze spokojny, wesoły, dawał na zamku bale, zbierał przyjacioły; jego już nie prosił, bo był mu niepotrzebny; haniebny nałóg podał go na śmiech i wzgardę przed światem. Nieszczęśliwy jeździł koło zamku i rozmyślał posępnie: Stolnik zabija własne dziecię, jego już zabił — nie runieł zamek na nędzną starca głowę? — Pomyśl o zemście, to wnet szatan broń podsunie. W czasie krajowych zamieszek oblężono zamek Stolnika. Znalazł się tam przypadkiem Jacek. Ze zbojecką radością patrzył na szturm, czekając, rychło-li gniazdo nieprzyjaciela zapali się i runie. Ale obrona była dzielna, Stolnik zwyciężył. Złość porwała Soplicę... I tak-że mu na świecie wszystko się powodzi? Wtém wystąpił na ganek, i brylantową spinką ku słońcu migotał, i wąs

pokręcał dumnie, i wzrok dumny miotał... I zdało się Jackowi, że go poznał, że jemu to szczególniéj urągał i ku niemu wyciągał tak rękę, szydząc i grożąc... Chwycił karabin nieprzyjacielskiego żołnierza; ledwie przyłożył, prawie nie mierzył — wypala. Stolnik padł trupem. Klucznik Gerwazy, wierny sługa domu, zmierzył ku Jackowi, którego rozpacz i żal przybiły do ziemi — lecz chybił dwukrotnie. O! łaską byłaby kula dla niego — lecz snać ciężka czekała go pokuta. Odtąd hańba przylgnęła doń jak dżuma Odwracali od niego twarz obywatele, uciekali dawni przyjaciele; kto był lękliwy, zdala witał się i stronił: nawet lada chłop, lada żyd, choć się pokłonił, to go z boku szyderskim przebijał uśmiechem. Dano Soplicom znaczną część dóbr nieboszczyka. Już był możnym i bogatym — a jednak uciekł z kraju — i na długi czas wieść zaginęła o nim. Córka Stolnika umarła młoda, zostawiwszy córkę małą, Zosię, którą Jacek nim kraj opuścił, przekazał troskliwéj opiece brata.

Kiedy Jacek tak nieszczęśliwe przechodzi koleje, brat jego pracą wytrwałą dosługuje się godności w urzędzie, a uczciwością niepośladowaną szacunku u współobywateli. Cnota zwycięża nad wzgardą, którą obudził Jacek dla imienia Soplicow: zostaje sędzią, co już wielkim jest dowodem zaufania, i żyje na wsi skromnie, zamożnie i gospodarnie.

O dwa tysiące kroków za domem Sędziego stał okazały lecz spustoszony zamek Horeszków. Po śmierci Stolnika, dobra zniszczone sekwestrami rządu, bezładnością opieki, wyrokami sądu, spadły w części dalekim krewnym a resztę wzięli wierzyciele. Zamku nikt wziąć nie chciał, bo w szlacheckim stanie trudno było łożyć koszt na utrzymanie. Lecz daleki krewny Horeszków po kądzieli, panicz bogaty, bywały w świecie, wykształcony nowym smakiem, wróciwszy z zagranicy, upodobał sobie mury, ile że gotyckiéj były, jak sądził, architektury; ale właśnie i Sędziemu przyszła nagle taż chętka z przyczyn niewiadomych. Zaczęli proces w ziemstwie, potém w głównym sądzie, w senacie, znowu w ziemstwie i gubernskim rządzie, — aż po wielu kosztach i ukazach licznych, sprawa wróciła znowu do sądów granicznych.

Od dni kilku zbiera się w domu Sędziego liczne towarzystwo na sąd graniczny dla zakończenia długiego z panem Hrabią sporu. — Kiedy pod wieczór wyszli do lasu i w pole — przyjechał Tadeusz, syn Jacka, młodzieniec dwudziestoletni, dorodny. Od dziecka bawił w szkołach, a teraz wracał na we-

zwanie stryja, który kierując się wolą brata, dochodzącą go za pośrednictwem kwestarza bernardyna Robaka, zamyślał go ożenić i osadzić na roli. Z rozkoszą młodzieńczą czerpał Tadeusz powietrze, którém niegdyś jako dziecko tak mile oddychał. Biega po całym domu, szukając pokoju, gdzie mieszkał niegdyś. Jakże się zdziwił, znalazłszy tu mieszkanie kobiece— w domu bezżennego stryja, którego siostra mieszkała, o ile wiedział, w Petersburgu. Nagle wbiegła przez okno młodziutka, ładna dziewczynka w stroju porannym. — Przerażona krzyknęła. Była to Zosia, wnuczka Stolnika, córka Ewy.

Woźny Protazy, życzliwy całém sercem domowi Soplicówy, korzysta z oddalenia się gości, żeby wykonać plan, bardzo głęboko wchodzący w cały spór graniczny. Kazał pokryjomu stoły z wieczerzą powynosić z domu i ustawić co prędzéj w zwaliskach zamku, w sieni dobrze zachowanéj, i gdy goście wrócili a sędzia się bardzo zadziwił, tłómaczył Woźny, że w dworze nie ma żadnéj izby mogącéj pomieścić tylu tak szanownych gości, ale widać było z miny, że miał i taił ważniejsze przyczyny. Goście usiedli rozprawiając wesoło — jeden tylko Tadeusz siedział osowiały, patrząc ciekawie i tęsknie na puste krzesło obok siebie i przeczuwając, że tu zapewne usiądzie owa piękna dziewczynka. Nareszcie weszła — kobieta młoda i przystojna, i szybko biegnąc usiadła obok Tadeusza. Wydała mu się wprawdzie mało podobną do tamtéj, którą widział przedtém, jak senne zjawisko, bo i wzrostem była słuszniejsza i włos miała ciemny, — a nawet słowo »ciocia« zabrzęczała mu jak osa, lecz wkrótce wytłómaczył sobie, że tamtéj włos jasnym był od słońca promieni, że wzrost większym się wydaje w ubraniu i t. p. — i z żywém zajęciem oraz młodzieńczém pomieszaniem przypatrywać się zaczął sąsiadce. Ona, pełna swobody i ruchu, wnet zawiązała rozmowę, obracając ją zręcznie około najrozmaitszych przedmiotów i wnet byli z sobą poufali. Mężczyzni rozmawiali żywo, a dwaj z pośród nich, Assesor i Rejent kłócili się o charty — poczém udano się na spoczynek. Tadeusz wrócił niespokojny i zasnął dopiero przed świtem.

Nazajutrz rano miał się rozstrzygnąć ów spór zacięty o *Kusego* i *Sokoła*. Całe towarzystwo wybrało się w pole. Właśnie kiedy zobaczyli szaraka, nadjechał p. Hrabia z wielkim orszakiem dżokiejów. Choć znacznie się opóźnił, zatrzymał konia, zobaczywszy zamek, który ozłocony promieńmi porannego słońca, wyglądał wspaniale i pięknie, a co więcéj »roman-

tycznie,« t. j. miał własność, co wystarczała, żeby silnie zająć romansową jego głowę. Nadto zobaczył starego klucznika Horeszków, Gerwazego. Był to szlachcic choć w późnym wieku, silny i czerstwy — świadek chwały i upadku domu Horeszków i śmierci ostatniego z nich Stolnika, człowiek; co żył jedynie myślą, aby pomścić śmierć pana swojego. Mogąc żyć u Hrabiego na łaskawym chlebie, wolał zamieszkać jednę izbę zamkową i jak puszczyk czuwał nad ruinami. Widząc, że spór Hrabiego z Sędzią ma się wnet zakończyć sądem granicznym, wywiaduje się o zamiarach Hrabiego, a gdy mu tenże powiedział, że znużony całą sprawą myśli przystać na zgodę, jaką sąd wniesie — rozżalony do najwyższego stopnia, prosi Hrabiego, żeby wstąpił do zamku, i tam, używając całéj swéj wymowy, przedstawia dawne jego dzieje, dawną chwałę i tragiczną śmierć Stolnika z ręki Jacka Soplicy. Hrabia dowiadując się tych szczegółów po raz pierwszy dokładniéj, słucha opowiadania z uwagą, zmienia swój zamiar i postanawia najgoręcéj bronić praw swoich do zamku, ile że przywiązany do niego okropny wypadek, przypominający mu dzieje zamków grafów niemieckich i lordów angielskich, wiele nadaje uroku. Snują mu się najrozmaitsze myśli:

Szkoda, że ten Soplica stary nie ma żony
Lub córki pięknéj, któréj ubóstwiałbym wdzięki!
Kochając i nie mogąc otrzymać jéj ręki,
Nowaby się w powieści zrobiła zawiłość:
Tu serce — tam powinność — tu zemsta — tam miłość!

Ksiądz Robak, który teraz także przybył do Soplicowa, częsty gość u szlachty litewskiéj, był tylko dla pozoru kwestarzem. Jeżdżąc od domu do domu, od wsi do wsi, skromny i cichy, rzekomo tylko sprawami klasztoru się zajmujący, korzystał zręcznie z każdéj sposobności, aby przygotować umysły szlachty do zbliżających się wielkich wypadków (rzecz się dzieje w r. 1811). W téj roli występuje on w karczmie Jankiela, który miał sławę uczciwego żyda i rozległe w kraju stosunki. Szlachta kilku zaścianków zgromadzała się u niego. Bernardyn przychyla ją ku swoim widokom.

Tymczasem nastąpiło zdarzenie małéj na pozór wagi, ale brzemienne w skutki bardzo groźne i zupełnie krzyżujące zamiary Robaka. Oto, gdy goście Sędziego wyruszyli na niedźwiedzia, co nieostrożny wyszedł z bezpiecznego matecznika,

Tadeusz i Hrabia, stojąc razem na odosobnioném stanowisku, ujrzeli zwierza ku nim pomykającego.— Strzelili obaj raz i drugi— bezskutecznie. Niebezpieczeństwo było wielkie, a tylko jeden mieli oszczep.— Nie zatrwożeni, ubiegając się w odwadze, wydzierają sobie nawzajem broń, a tymczasem niedźwiedź podszedł już tak blizko, że śmierć ich niechybna. Ratuje ich z niebezpieczeństwa strzał celny, powalający rozhukane zwierzę. Był to strzał bernardyna Robaka, który nie szukając ztąd dla siebie chluby, znikł co prędzéj. Po łowach wieczerza. Wszyscy podziwiają celność strzału mnicha. Nareszcie rzecz idzie o to, komu ofiarować skórę niedźwiedzia. Tadeusz i Hrabia siedzą niezadowoleni i zawstydzeni. Podkomorzy, którego uproszono, żeby ofiarował zdobycz, komu najsłuszniéj należy, wnosi, że niebezpieczeństwem wśród wszystkich odznaczyli się najbardziéj Tadeusz i Hrabia, że jednak Tadeusz, jako młodszy i krewny gospodarza, ustąpi— i dla tego prosi, żeby zdobycz ozdobiła strzelecką komnatę Hrabiego. Jednak zamiast, jak się spodziewał, ucieszyć, oburzył Podkomorzy Hrabiego ofiarowaniem łupu, który tak dotkliwie przypominając pudło, wydał się mu jawném szyderstwem. Wnet przypomniał sobie dawny spór Horeszków z Soplicami o zamek, w którym go przeciwnik ugaszcza jakby we własnym domu:

Rzekł więc z gorzkim uśmiechem: »Mój domek zbyt mały,
Nie ma godnego miejsca na dar tak wspaniały;
Niech lepiéj niedźwiedź czeka pośród tych rogaczy,
Aż mi go Sędzia razem z zamkiem oddać raczy.«

Podkomorzy, widząc na co się zanosi, usiłuje zręcznym obrotem mowy, umysły zaczynające się naprężać ułagodzić i pochwala Hrabiego, że nie idąc za przykładem dzisiejszéj młodzieży, nawet przy stole o interesach pamięta. Ale jakby na przekór jego zacnéj chęci wysunął się z drzwi w ścianie ukrytych Gerwazy, dawny klucznik Horeszków, i poważnie, jakby nic nie widział i nie słyszał w około siebie, zaczyna nakręcać stary zepsuty zegar ścienny, z wielkim hałasem i zgrzytem. Upomnienia Podkomorzego, zrazu łagodne, nie odnosząc skutku, stały się przyczyną najsmutniejszego wypadku. Wszczęła się kłótnia. Rzucono sobie obelżywe słowa, a nareszcie przyszło do czynnego wybuchu. Śmierć od butelek, pszczałek, organów i nożów groziła wielu osobom. Skończyło się na wyzwaniu Hrabiego przez Podkomorzego i na wycofaniu się tegoż z Kluczníkiem.

Kłótnia ta niespodziewaną i z tak błahéj rzeczy idąca uniemożliwia spokojne zakończenie sporu i nadaje rzeczy zupełnie inny a groźny obrót. Gerwazy, korzystając z oburzenia Hrabiego, namawia go, aby zebrał zastęp szlachty nienawidzącéj rodu Soplicòw »od wieku«, i gardząc wszelkiemi sądami i zgodami najechał Sędziego i przemocą odebrał już nie tylko zamek, ale i część majątku, która należała niegdyś do Horeszków, tudzież cały Sędziego majątek, jako wynagrodzenie kosztów procesu.

Właśnie zgromadziły się zaścianki u Jankiela, żeby się naradzić o sprawie publicznéj; zamiary Robaka blizkie były urzeczywistnienia, kiedy skutkiem owéj kłótni w zamku i postanowienia Hrabiego, Gerwazy ukazuje się śród szlachty— i zręczną agitacyą wyzyskuje jéj zapał na rzecz swoich planów. Panowie bracia skorzy do bitki byle gdzie i byle o co, nie lubiący Soplicòw, zazdrośni, nie wahali się z Hrabią najechać domu Sędziego. Napadają pod wieczór. Zaczęli plądrować. Byli wygłodniali, a spiżarnie, karmniki i piwnice pełne obfitych zapasów. Gospodarzyli więc, jedli i pili, aż zmorzonych sen ujął. Tymczasem nadciągnął oddział żołnierzy rossyjskich, i napastnicy przebudzili się — w dybach. Źle było ze szlachtą: zbrojny najazd rząd mógł ukarać jako bunt i rebelliję. Wtém pojawia się Robak i podstępem uwalnia jeńców. Niewczesny strzał Tadeusza daje hasło do boju. Po dzielnym oporze jegrowie ulegli. Podczas bitwy Robak zasłania Hrabiego i Tadeusza przed śmiercią niechybną, lecz sam ranny w dawną bliznę z pod Lipska i Hohenlinden, czuje się blizkim śmierci. Kazawszy przywołać Klucznika, opowiada jemu i Sędziemu, bratu swemu, dzieje zbrodni swéj i pokuty. Gerwazy dowiedziawszy się, że Robak jest Jackiem Soplicą, gotów jest zemstą wybuchnąć, ale widząc go wyczekującego śmierci z takim spokojem, i rozważając, że i Stolnik ginąc, jakby czuł, ile zawinił, przebaczył mu, i że Bernardyn dwukrotnie uratował życie ostatniemu z Horeszków — podaje mu dłoń pojednawczą.

Szlachta bojąc się kary, ma jedyne schronienie za Niemnem. W kilka miesięcy zjawiają się w Soplicowie pierwsze zastępy Napoleona. Widzimy tam Hrabiego— pułkownika i Tadeusza — porucznika. Na widok ten ustają wszystkie spory i waśnie. Wojna blizka, los walki i ludzi niepewny, więc za wolą ś. p. Jacka Soplicy zaręczyny syna jego z Zosią dochodzą szczęśliwie do skutku dla utwierdzenia i ustalenia zgody

dwóch domów— chociaż długo zagrażało zamiarom Jacka niebezpieczeństwo ze strony Hrabiego i Telimeny. Telimena bałamuciła Tadeusza, a Hrabia zalecając się do niéj, i na Zosię czasem zwracał oko. Rzecz długo była niepewna, ale w końcu musiał się Tadeusz odwrócić od zalotnicy i pokochać Zosię. Hrabia wstąpił do wojska, a Telimena chcąc zakończyć długą panieńską karyerę, bierze Rejenta za męża. Rzecz kończy się ucztą i wesołością powszechną.

Zdarzenie, któreśmy dopiero co opowiedzieli, nie tylko dla tego, że samo w sobie nader jest zajmującém, uczynił poeta wątkiem swéj epopei, lecz głównie z przyczyny, że miało w Polsce częste analogije, a zatém z jednéj strony poruszyć mogło wiele indywidualnych i społecznych stosunków, a z drugiéj otwierało szerokie pole interesującym i pełnym znaczenia epizodom. Zbrodnia Jacka Soplicy, która, jakeśmy widzieli jest podstawą i zawiązkiem całego przebiegu epopei — jeżeli nie tak wiele miała w Polsce podobnych, żeby ją za charakterystyczne znamię narodu poczytać można, to wypłynęła przecież ze zwichnięcia stosunków towarzyskich i familijnych, które uderza w dziejach Rzeczypospolitéj. Większa część takich skompromitowanych, politycznych i prywatnych zbrodniarzy uchodziła z kraju, chroniąc się najczęściéj na kresach kozackich, lub szukając śmierci i spokoju w klasztorze. Spór Sędziego z potomkiem Horeszków o zamek w całym swoim przebiegu przedstawia się nam nie luźnym i przypadkowym, lecz charakterystyczno-narodowym. Takie spory graniczne bardzo często powtarzały się w kraju. Zkądinąd znowu, szlachta poczciwa, serdeczna, ale też często zbyt lekko rzeczy biorąca, zbyt mało kierująca się zimną rozwagą— ulegała nieustannym a najrozmaitszym wpływom w życiu politycznem i domowém. Kto umiał z chwili skorzystać, lepiéj przemówić do serca i przekonania, ten szedł górą. Wszystko śpieszyło za nim— ale tylko tak długo, dopóki kto potężniejszą siłą przeciwdziałać nie począł. Częstokroć posuwano się w tém uleganiu wrażeniom aż do zapominania się, do niekonsekwencyi, do czynu niezgodnego z zasadami rozumu i moralności prawdziwéj. Tak i tu widzimy, z jaką łatwością plany Robaka odnoszą w początku skutek. Ale jak skoro Bernardyn usunął się na chwilę, a tymczasem Klucznik, skutkiem kłótni zamkowéj, zaczyna podbudzać sąsiedzką nienawiść przeciw Soplicom, i wywołując wspomnienia dawnych a słynnych zajazdów, mających dla szlachty już tém samém urok, że dawne, nakłania do zajecha-

nia majątku Sędziego— natychmiast zapominają o zamierzoném przedsięwzięciu— i rwą się do czynu nierozmyślnego, niegodziwego i brzemiennego w skutki bolesne i zgubne. A gdy już oblegli dwór Soplicy— niezdolni do krwawych morderstw własnych braci, miękną na widok kaczek i gęsi, co nęcą z kuchni wonnym zapachem, i wina, które ciągną z piwnicy na pasach. Poucztowawszy, zasypiają; po chwili walczą zaciekle— a potém, w uroczystszych uniesień dobie, nie ma już ani jednego człowieka, któryby pamiętał o waśni. Nawet Gerwazy, ów główny sprawca zatargów, co poprzysiągł krwawo pomścić swojego pana— nawet ów puszczyk zamkowy mięknie pod wrażeniem słów ostatnich Jacka Soplicy i przebacza mu z serca. Czyż nie objawia się nam w całém tém zdarzeniu najwyraźniéj i najprawdziwiéj charakter narodu?

Jeszcze i z drugiego względu uważać musimy to pierwszorzędne zdarzenie w *Panu Tadeuszu* za szczęśliwy pomysł poetycki. Nie tylko bowiem samo w sobie zawiera wiele znamion narodowego charakteru, ale oraz nadaje poematowi zarys architektoniczny, około którego, jakby na wspaniałym gmachu, rzeźby, posągi i stukatury, skupiać się mogą wypadki, nie odstające od niego a zarazem samodzielne, całokształtne, skończone w sobie, charakterystyczne i piękne. Mówimy o cudnych epizodach, w jakie poemat ten obfituje. Istotnie, rozpatrując się uważnie w tém pomnikowém dziele, musimy podziwiać głęboki zmysł architekta, co taki gmach wznieść potrafił, i umiejętną rękę rzeźbiarza, który tak pięknie wykończył każdy jego rys, każdą ozdobę. O ile skomplikowaną, o tyle jasną, pełną ładu i wspaniałéj sztuki jest budowa téj epopei. Potrzeba wielbić genijusz, który wznosząc się na najwyższy szczyt umiejętnéj sztuki i wychodząc obronną ręką z największych jéj tajemnic i trudności, jest zarazem tak prostym, swobodnym, naturalnym i natchnionym w całém opowiadaniu.

Znając już główne rysy budowy i biorąc je za nić przewodnią— przejdźmy się teraz po wszystkich komnatach i obejrzyjmy je porządkiem, jakim nas prowadzi poeta.

W księdze 1-széj jesteśmy na wsi u Sędziego w Soplicowie. Zastajemy liczne towarzystwo, które się zebrało pod przewodnictwem Podkomorzego na sądy graniczne w sprawie o zamek między Hrabią a Sędzią. Sąd ten— to zawiązek akcyi głównéj— a z okazyi jego tyle mieć będziemy sposobności przy-

patrzyć się ziemi, ludziom i wypadkom.— Przed wieczorem goście idą na przechadzkę — pewnym porządkiem według zwyczaju ojców, który szanowano w domu Sędziego. Oglądają lasy, zboża, łany, słowem »gospodarstwo wiejskie«. To epizod jeden. Tymczasem nadjeżdża Tadeusz, syn Jacka Soplicy, wbiega do pokojów, które tak dobrze znał dzieckiem. Razem z nim obejrzeć się można po téj »szlacheckiéj komnacie«; to epizod drugi. Następuje nieprzewidziane spotkanie się Tadeusza z Zosią, malujące wstyd dziewiczy ówczesnéj młodzieży. Szczegół ten byłby zresztą małéj wagi, gdyby młodzieńcem nie był Tadeusz, syn Jacka, chłopak młody, poczciwy i nie zepsuty, ale skory do pustoty i figlów— a dziewczyną Zosia, córka téj, którą kochał jego ojciec, wnuczka zamordowanego Stolnika. Zajął się chłopak dzieweczką, choć jéj nawet dobrze nie widział; rzecz drobnostkowa, gdyby z niéj nie wywiązały się ważniejsze następstwa.— Na folwarku zobaczono, że przybył gość nowy. Nie dowiadując się nawet: kto i zkąd? biorą konie do stajni — rys gościnności staropolskiéj. W zastępstwie gospodarza wita Tadeusza Wojski, rezydent domu, serdecznie jak ojciec. Wychodzą naprzeciw towarzystwu, które przechadzało się pod lasem. Tadeusz oddał wszystkim grzeczny ukłon i z pokorą pocałował rękę stryja swego i opiekuna. Stryj łzę otarł wylotem kontusza, tak się ucieszył widokiem synowca, podał mu wszakże tylko poważnie rękę do pocałowania, zwracając się znowu do gości, którym się zawsze winno pierwszą uwagę i względy.— Taki był w Polsce stosunek do dzieci, do gości, do młodzieży i kobiet—jaki widzimy w pierwszéj części téj księgi.— Czas na wieczerzę. Znowuż sposobność poznania nowych osób i zawiązku dalszych wypadków. Autor wprowadza Telimenę, ciotkę Tadeusza, wytrawną zalotnicę i jeszcze nie brzydką. Pod ów czas wiele było takich zepsutych francuzkim obyczajem kobiet, co jak zarazę rozszerzały cudzoziemczyznę i wolność obyczajów. Tadeusz zajęty rozmową z powabną ciocią, zapomniał obowiązku służenia damom. Podkomorzy zaczyna sam usługiwać córkom, a ztąd bierze gospodarz powód do szerokiéj oracyi o dawnych obyczajach i zachowaniu młodzieży — i o grzeczności należnéj każdemu a dla każdego osobnéj. W odpowiedzi na to występuje w obronie teraźniejszéj młodzieży Podkomorzy i maluje ostatnią epokę, w któréj francuzczyzna poczęła się zagnieżdżać. Epizod zupełnie tu uprawniony, a ciekawy. Jest to rys sytuacyi wieku, świata i kraju; a odezwanie się kapitana Rykowa daje nam wyobra-

żenie o domowym stosunku żołnierza, prostego lecz poczciwego, do szlachty, która go ugaszcza. — Wkrótce Telimena zawiązuje z Tadeuszem rozmowę: bystra, wykształcona i światowa kobieta z młodzieńcem skromnym, poczciwym, lecz mniéj pilnym w naukach. Rys to wyborny i ciekawy. Telimena jaśniała dowcipem francuzkich salonów i całą ich zalotnością i swobodą. Tęskniła do zagranicy, gorszyła się prostotą ojczystego kraju, którą nazywała prostactwem. Tadeusz był to prostak — chłopiec zrosły na ojczystéj ziemi, dzielny do korda i do zabaw szlacheckich, mniéj czuł potrzeby i zdolności wyższego umysłowego wykształcenia. Pochodził ze szlachty, która się jeszcze nie była wynarodowiła, ale też i nie postępowała znacznie w intelligencyi. Wówczas ścierały się te dwa przeciwne prądy. — Równocześnie wszczyna się w drugim końcu stołu kłótnia Assesora z Rejentem o charty, która w epizodycznym charakterze trwa przez kilka ksiąg epopei. Spór ten, na pozór tak drobnéj wagi, ma przecież wielką wartość, bo odsłania nam wiele rysów narodowych, a zarazem ściśle łączy się z tokiem akcyi. Zaraz w pierwszéj księdze nastręcza Wojskiemu sposobność przywołania pamięci obecnych dawnych łowów i myśliwych. W dawnéj Polsce, a mianowicie w lesistéj Litwie ważném zajęciem szlachty było polowanie, bo zaprawiało dzielność rycerską i było nadzwyczaj miłą i odpowiednią usposobieniu narodu rozrywką. — Rozpamiętywanie Woźnego, nim się do snu ułożył o procesach i zwadach szlacheckich, znowu nam otwiera jednę kartę z dziejów obyczajowych narodu. Szlachcic żyć musiał nieustannie, a do życia potrzeba starcia. Jeśli nie kordem, to zwadą processową. Pieniactwo wyrobiło się było w wysokim stopniu, do jurysdykcyi każdy sądził się powołanym. Luźny ten obrazek jest na miejscu tam, gdzie spór jest głównym przedmiotem. — Wreszcie, przy końcu księgi 1-széj poeta odsłania nam współczesne położenie polityczne wspaniałym ustępem:

Takie były zabawy, spory w one lata,
Śród cichéj wsi litewskiéj, kiedy reszta świata
We łzach i krwi tonęła; gdy ów mąż, bóg wojny,
Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych,
Od puszcz Libijskich latał do Alpów podniebnych,
Ciskając grom po gromie, w Piramidy, w Tabor,
W Marengo, w Ulm, w Austerlitz. Zwycięztwo i Zabor

Biegły przed nim i za nim. Sława czynów tylu,
Brzemienna imionami rycerzy, od Nilu
Szła hucząc ku północy...

Takim sposobem poeta, już zaraz w pieśni piérwszéj, nawiązał wszystkie nici, które się snuć mają w ciągu dzieła, otworzył nam wstęp do całéj akcyi, zgromadził wszystkich działających ludzi, rzuciwszy na nich światło mające ich stale oświecać — a zarazem okazał tło i sytuacyę powszechną i oto ważne zadanie mistrza Z takiego punktu wyjścia bierze początek dalszy tok wydarzeń. W księdze II-giéj zgromadzeni u Sędziego goście wybierają się na polowanie celem rozstrzygnięcia sporu o *Kusego* i *Sokoła*. Nadjeżdża Hrabia. Zamek o wschodzie słońca zachwycił go;— opowiadanie Gerwazego rodzi w nim postanowienie bronienia praw swoich. — Zając umknął w zboże chłopskie — wracają wszyscy na „Śniadanie“, które poeta żywo i bardzo poetycznie opisuje. Assesor i Rejent, nieradzi nieudaniu się polowania, narzekają, że Sędzia nie pozwala ścigać źwierza na gruncie wieśniaków — co daje sposobność dwom epizodycznym odezwaniom się Telimeny i ekonoma. Szczególniéj narzekanie ekonoma wybornie charakteryzuje nam tych sług gospodarczych, co, o ile muszą ulegać panom i drżeć przed nimi, o tyle chcieliby się odbić na biednym wieśniaku, który zdaniem ich jest stworzony do ucisku, jarzma i upośledzenia.— Spór Assesora z Rejentem tak się rozsrożył, że już mieli porwać się na siebie z wściekłością, czemu przeszkodził Robak, rozerwawszy ich potężném ramieniem. Wojski zaproponował zakład, który przyjęto — a Telimena, znudzona zbyt długiemi swary, wniosła przechadzkę do lasu „na grzyby.“

W księdze III-ciéj, humorystyczno-romantyczne czołganie się Hrabiego przez trawę i łopuchy, oraz rozmowa z Zosią bawiącą się ptastwem domowém i dziećmi, przedstawia nam znowu dwoje ludzi na jednéj ziemi urodzonych, a jednak tak niepodobnych do siebie. Ona— dziewczynka prosta, skromna, śmiała w swojéj dziewiczości — on bywalec, z głową pełną żądzy zdarzeń niezwykłych, nowych, romantycznych, zmięszany w swojéj śmiałości. W owych czasach poczęły krążyć wyobrażenia o „romantyzmie“, jeszcze nie wyjaśnione, niezrozumiałe i nęcące młodzież nie tém, co w nich było istotne i piękne, lecz tém, co niezwykłe a nawet śmieszne. Był to w literaturze i w życiu czas pewnego przedświtu, gdy stare wyobrażenia już się przeżyły,— a nowéj jutrzenki dopiero oczekiwano. Późniéj

dopiero prostota i naturalna swoboda stały się cechą tak zwanéj romantyczności. Hrabia myślał i wyrażał się jeszcze sztucznie, z affektacyą:

«O ty, rzekł, jakiémkolwiek uczczę cię imieniem,
Bóstwem jesteś czy nimfą, duchem czy widzeniem!
Mów: własna-li cię wola na ziemię sprowadza,
Obca-li więzi ciebie na padole władza?» i t. d.

W słowach jego bardzo wiernie odbił poeta prawdę. — Widzimy następnie Telimenę odpoczywającą na miejscu samotném i cichém, które nazwała «Świątynią dumania». Przybliżają się do niéj prawie równocześnie Tadeusz i Hrabia, który stojąc za drzewami rysował był pejzaż i teraz z grzeczną przemową romantycznego zakroju podał go Telimenie. Ztąd zwróciła się rozmowa na malarstwo i kraje sztuki: mówili z lekceważeniem o ojczyznie, sławiąc niebo włoskie, przeciw czemu z zapałem wystąpił Tadeusz, co choć prostak, umiał czuć wdzięk przyrody. Porównywając brzozę rodzinną ze sztywnym cyprysem, mówi:

«Czyż nie piękniejsza nasza, poczciwa brzezina,
Która, jako wieśniaczka kiedy płacze syna,
Lub wdowa męża, ręce załamie, roztoczy
Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy!
Niema z żalu, postawą jak wymównie szlocha!...»

I daléj:

«Te państwa niebo włoskie, jak o niém słyszałem,
Błękitne, czyste: ,wszak to jak zamarzła woda;
Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda?
U nas, dość głowę podnieść: ileż to widoków!
Ileż scen i obrazów z saméj gry obłoków!
Bo każda chmura inna: naprzykład jesienna
Pełźnie jak żółw leniwa, ulewą brzemienna,
I z nieba aż do ziemi spuszcza długie smugi,
Jak rozwite warkocze, to są deszczu strugi;
Chmura z gradem, jak balon szybko z wiatrem leci,
Krągła, ciemno-błękitna, w środku żółto świeci,
Szum wielki słychać w koło; nawet te codzienne,
Patrzcie państwo, te białe chmurki, jak odmienne!
Zrazu, jak stada dzikich gęsi lub łabędzi,
A z tyłu wiatr; jak sokoł, do kupy je pędzi:

Ściskają się, grubieją, rosną — nowe dziwy!
Dostają krzywych karków, rozpuszczają grzywy,
Wysuwają nóg rzędy, i po niebios sklepie
Przelatują, jak tabun rumaków po stepie:
Wszystkie białe jak srebro, zmięszały się... nagle,
Z ich karków rosną maszty, z grzyw szerokie żagle:
Tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie,
Cicho, zwolna, po niebios błękitnéj równinie!»

Wspaniały obraz puszcz litewskich i łowów, przepyszne granie Wojskiego na rogu bawolim, podwieczorek w lesie, gotowanie bigosu, powieść Wojskiego o Domejce i Dowejce, przerwana bezskuteczném gonieniem Kusego i Sokoła za zającem, który z pod koni «smyknął» — wszystkie te epizody, zapełniające księgę IV poematu, dorzucają niejeden ciekawy rys do charakterystyki szlacheckiéj — a nie można powiedzieć, żeby były zbyteczne, gdyż są już tylko bliższém opisaniem łowów przedsiębranych, jak wiemy, dla tego, że zebrało się u Sędziego liczne towarzystwo dla sądów granicznych.

W księdze V-téj wprowadza Telimena po raz piérwszy Zosię do towarzystwa. Jest to szczegół łączący się żywo z główną akcyą, gdyż Tadeusz poznaje w niéj z radością ową jasnowłosą dziewczynkę — a tém samém piérwszy krok uczyniony ku ziszczeniu się zamiarów Robaka, który połączeniem Soplicy z Horeszkówną chciał przejednać i zagładzić przedział między temi dwoma domami istniejący. — Równocześnie uczuwa Tadeusz wstręt do Telimeny, a gdy ta poczęła wymówki czynić i wyrzuty, porwał się z gniewem i wyszedł. Skutkiem tego rozżalona Telimena szuka go w lasku, i tu znalazł autor zręczność pomieścić humorystyczną scenę z mrówkami, od których broniąc Tadeusz napastowaną ciocię, dowodzi miękkości i przelotności uczuć młodzieńczych. Scenę tę przerywa dzwonek, hasło wieczerzy. Ponieważ wszyscy byli nie w swoim humorze i uparcie milczeli, odezwał się Wojski do młodzieży, ażeby po staremu bawiła się rozmową, a nie milczała i żuła:

. . . . . «Czy my ojce kapucyni?
Kto milczy między szlachtą, to właśnie tak czyni,
Jako myśliwiec, który nabój rdzawi w strzelbie,
Dla tego ja rozmowność naszych przodków wielbię:
Po łowach szli do stołu, nie tylko by jadać,
Ale aby nawzajem mogli się wygadać

Co każdy miał na sercu; nagany, pochwały
Strzelców i obławników, ogary, wystrzały,
Wywoływano na plac; powstawała wrzawa,
Miła uchu myśliwców, jak druga obława...»

«Polskę oniemić, jest to Polskę zniemczyć» — mawiał Wójski. — Z kolei zaczęto mówić o polowaniu: komu nagroda najsłuszniejsza się należy,— a gdy Podkomorzy przysądzeniem jéj Hrabiemu rozjątrzył go zamiast ucieszyć, i gdy pojawił się koło zegara Gerwazy, wszczyna się kłótnia na pozór przedstawiona epizodycznie, ale tak stanowczo wpływająca na główny wątek sprawy.

W księdze VI-téj, Sędzia pisze pozew. Woźny Protazy Brzechalski mający go doręczyć, jest doskonałym typem wszystkich w Polsce «generałów trybunalskich» czyli woźnych i zapoznaje nas wybornie z zabawnym a niebezpiecznym sposobem wręczania pozwów. — Rozgniewanego obrazą dotkliwą Sędziego rozbraja Bernardyn, wykazując mu potrzebę miłości i zgody powszechnéj. Rzadko zdarzy się znaleźć w poezyi ustęp takiéj podniosłéj piękności i takiéj prawdy, jak ów, kiedy Sędzia, na słowa Bernardyna, zwolna okulary składał

I wpatrując się mocno w księdza, nic nie gadał,
Westchnął głęboko, w oczach łzy się zakręciły!...
Wreszcie porwał za szyję księdza z całéj siły, i t. d.

A ówże Dobrzyński zaścianek, owa rada, owi Bartkowie, Brzytewki, Chrzciciele, Kropidła, Kurki na kościele, Maćki nad Maćkami, Buchmany (w drugiéj połowie VI i w VII księdze), ów krzyk nierozmyślny «hejże na Soplicę!» — ileż w tém wszystkiém prawdy, dosadności, dowcipu i barwnéj rozmaitości. W téj to nieupolerowanéj jeszcze szlachcie pozostały wszystkie narodowe zalety i błędy: owa porywczość, krzykliwość, zawadyactwo, zapał rzucający ogień w stronę, w którą silniejszy wiatr powieje— ta pochopność do czynów szlachetnych i do poświęceń tak rychło na złą drogę dających się skierować— owa krótkość czasu, co wiecznie stała na zawadzie, że nie stało się zadość Buchmanowéj radzie, żeby rzecz przedyskutować, rozważyć, porządnie głosować i t. p.: — są to wszystko rzeczy, nad któremi studya robić można, a co więcéj, są to rzeczy najwyższéj epickiéj wartości. Tu już nie jednego bohatera, nie kilku ludzi wyprowadza poeta na scenę, ale całą gwarliwą rzeszę, idącą nie pytając dokąd? i dla czego? Tak jak niegdyś w Grecyi,

skupia się tu w jedności szlachta, nie szukając jakiéjś uzasadnionéj idei, któraby czyn ich mogła usprawiedliwić, nie zdając sobie z niéj sprawy, nie reflektując się. Jakby w domu, w swoim żywiole czuje się epik w pośród mass, które coś jednoczy i łączy w zastęp, idący z prądem, z falą. Wszelki tłumny, gwarny ruch jest ściśle i wyłącznie epicznym. — Jeżeli kiedy potomność zechce utworzyć sobie wyobrażenie o charakterze i usposobieniu szlachty polskiéj, nie znajdzie tyle źródeł ani w historyi, ani w kronice, ani w pamiętnikach, ile w tych tu genijalnych epizodach. Nigdzie prawdziwiéj, nigdzie bardziéj seryo nie poznasz szlachty, jak w tych humorystycznych obrazkach tak w sobie całych i skończonych, a tak koniecznych w téj epopei, nawet ze względu na główne zdarzenie. Tak Homer jest źródłem niewyczerpaném, zkąd głównie czerpią historycy wątku obyczajów i życia Hellenów we wszystkich jego objawach. — Jak w całym poemacie, tak i tu zrósł się poeta ze swoim przedmiotem, przedstawia nam szlachtę ze wszystkiemi jéj cnotami i śmiesznościami naiwnie — zdaje nam się żyć pośród niéj — malując przeszłość, nie zabiera stanowiska badacza, krytyka lub filozofa, a zarazem unosi się z lekką, łagodną ironiją nad przedmiotem, która nie wyłącza miłości i szacunku dla tych wypadków i ludzi i nie oznacza pogardy — ale jest ledwo dającym się dostrzedz, delikatnym uśmiechem męża, co patrzy na świat bez wysokiego o sobie rozumienia, co rad wspomina wszystkie igraszki i chwile swego dzieciństwa, ale wie, że mu nie można do nich powrócić — a co więcéj czuje, że nawet powrócićby nie chciał. W całéj epopei rozlany jest pewien kontemplacyjny spokój i pogoda umysłu, co jak słońce świeci dla sprawiedliwych i dla grzesznych zarazem. Równą miłością otacza wszystko, nie sroży się nawet przeciw złemu i nienawistnemu, bo i to jest czynnikiem dziejowego ruchu — a nie pomija śmieszności i słabostek.

Księga VIII rozpoczyna się epizodem o astronomii Wojskiego i Podkomorzego. Dotknął tu poeta związku człowieka z naturą — i natury ze światem nadzmysłowym ręką, która umiejętnie skorzystała z całéj summy wyobrażeń ludowych, utrzymujących się jeszcze dziś u narodu przeważnie sielskiego, żyjącego w większéj z naturą poufałości. Z jakąż to genijalną a poważną naiwnością każe Wojskiemu tłómaczyć i nazywać znaki niebieskie! Tak tu w głąb wstąpił sztukmistrz, tak się wyrzekł swojéj subjektywności i stał się przedmioto-

wym, że utwór wyobraźni zdaje się nam rzeczywistością, a mniemanie przesądne pewnikiem. Ten Kastor i Pollux, zwani niegdyś u Słowian Lele i Polele, te Wagi, to Sito, ten Wóz, niesłusznie Dawidowym nazwany, a właściwie anielski,

na którym to przed czasy
Jechał Lucyper, Boga gdy wyzwał w zapasy,
Mlecznym gościńcem pędząc w cwał w niebieskie progi,
Aż go Michał zbił z wozu a wóz zrzucił z drogi.
Teraz popsuty między gwiazdami się wala;
Naprawić go Archanioł Michał nie pozwala!

Jakże tu seryo brzmi ten wiersz ostatni! Przysiągłbyś, że to jest wiara poety, tak wiarę ludu postawił fundamentalnie. — Podkomorzy zabiera głos.

Błysnęła przy księżycu wielka tabakiera
(Cała z szczerego złota, z brylantów oprawa,
We środku, za szkłem, portret króla Stanisława)—

i w kilkunastu wierszach mamy wzmiankę i o Wilnie i o księdzu Poczobucie i o Śniadeckim, tak zręcznie wsuniętą — i o komecie, którego ogon uważał lud za wróżbę zdrady.—W odpowiedzi swéj odbiega Wojski często od głównego założenia — ale wybornie to odpowiada charakterowi dyalogu epickiego. Bo jest tu wzmianka i o Sapieże i o Janie III i o księdza Bartochowskiego «*Orientis fulmen*» i o «*Janinie*» — a oraz mamy urywek zapędzającego się oratorstwa dawnych Polaków:

Kometa czasem wojny, czasem wróży kłótnie!
Nie dobrze, iż się zjawił tuż nad Soplicowem:
Może nam grozi jakiém nieszczęściem domowém.

Słowa te wskazują nam, jak żywo łączy się powyższy epizod z całością i z głównym wypadkiem. Nareszcie opowiada Wojski przypadek ciekawy, co trafił się najsławniejszym myśliwym za jego czasów, posłowi Rejtanowi i księciu Denassów (De Nassau, zwykły sposób polszczenia obcych imion)—wszakże nie mógł dokończyć, gdyż zawołano Sędziego do Robaka. Poznanie się braci, scena z Tadeuszem (w sprawie związku z Zosią) i humorystyczne a niemiłe spotkanie się tegoż z Telimeną — są to rzeczy już przeważnie do głównéj akcyi należące i tak naturalnie z sobą powiązane, że jednolitego ich związku dowodzić nie potrzeba. Poeta oprawił w nie prześliczny obraz dwóch stawów.

...Zaiste, okolica była malownicza!
Dwa stawy pochyliły ku sobie oblicza,
Jako para kochanków: prawy staw miał wody
Gładkie i czyste, jako dziewicze jagody;
Lewy, ciemniejszy nieco, jako twarz młodziana
Smagława, i już męzkim puchem osypana;
Prawy złocistym piaskiem połyskał się wkoło,
Jak gdyby włosem jasnym; a lewego czoło
Najeżone łozami, wierzbami czubate;
Oba stawy ubrane w zieloności szatę.

Z nich dwa strugi, jak ręce związane pospołu,
Ściskają się. Strug daléj upada do dołu:
Upada, lecz nie ginie; bo w rowu ciemnotę
Unosi na swych falach księżyca pozłotę;
Woda warstami spada, a na każdéj warście
Połyskają się blasku miesięcznego garście,
Światło w rowie na drobne drzazgi się roztrąca,
Chwyta je i w głąb niesie toń uciekająca,
A z góry znów garściami spada blask miesiąca.
Myślałbyś, że u stawu siedzi Świtezianka;
Jedną ręką zdrój leje z bezdennego dzbanka,
A drugą ręką w wodę, dla zabawki, miota
Brane z fartuszka garście zaklętego złota.

Daléj, z rowu wybiegłszy strumień, na równinie
Rozkręca się, ucisza: lecz widać że płynie;
Bo na jego ruchoméj, drgającéj powłoce
Wzdłuż miesięczne światełko drgające migoce.
Jako piękny wąż żmudzki, zwany *giwojtosem*,
Chociaż zdaje się drzemać, leżąc między wrzosem,
Pełźnie, bo na przemiany srebrzy się i złoci,
Aż nagle zniknie z oczu we mchu lub paproci:
Tak strumień kręcący się chował się w olszynach,
Które na widnokręgu czerniały kończynach,
Wznosząc swe kształty lekkie, niewyraźne oku,
Jak duchy na wpół widne, napoły w obłoku.

Między stawami w rowie młyn ukryty siedzi,
Jako stary opiekun, co kochanków śledzi,
Podsłuchał ich rozmowę, gniewa się, szamoce,
Trzęsie głową, rękami, i groźby bełkoce:
Tak ów młyn nagle zatrząsł mchem obrosłe czoło,
I palczastą swą pięścią wykręcając wkoło,

Ledwo kleknął i szczęki zębowate ruszył,
Zaraz miłośną stawów rozmowę zagłuszył.

Malownicza scena zajazdu zamyka księgę VIII. Szlachta po krwawych tryumfach nad oborą i kotuchem Sędziego zbiera się na nocleg do zamku.

Nakładają sto ognisk, warzą, skwarzą, pieką,
Gną się stoły pod mięsem, trunek płynie rzeką;
Chce szlachta noc tę przepić, przejeść i prześpiewać.
Lecz powoli zaczęli drzemać i poziewać;
Oko gaśnie za okiem, i cała gromada
Kiwa głowami, każdy gdzie siedział tam pada:
Ten z misą, ten nad kotłem, ten przy wołu ćwierci,
Tak zwycięzców zwyciężył w końcu sen, brat śmierci.

Całą księgę IX-tą zajmuje bitwa z wojskiem, skutek zajazdu, a więc główne w téj epopei zdarzenie. Epizody jéj odsłaniają wiele ciekawych indywidualności i sytuacyj. Walka ta przypomina bitwy Homerowskie: każdy walczy swoim odrębnym sposobem, na własną rękę. Nieprzyjaciele rozmawiają śród bitwy. Ryków przyjmując pojedynek z Hrabią, każe ognia zaprzestać. Wojski z Woźnym zwalają na szeregi sernicę. Obie strony z równém spotykają się męztwem.

Obraz burzy, nie mający nic równego w całéj poezyi polskiéj, idzie na czele księgi X-téj.

Owe obłoki ranne, zrazu rozpierzchnione
Jak czarne ptaki, lecąc w wyższą nieba stronę,
Coraz się zgromadzały. Ledwie słońce zbiegło
Z południa, już ich stadó pół niebios obległo
Ogromną chmurą. Wiatr ją pędził coraz chyżéj,
Chmura coraz gęstniała, zwieszała się niżéj:
Aż, jedną stroną nawpół od niebios oddarta,
Ku ziemi wychylona i wszerz rozpostarta,
Jak wielki żagiel, biorąc wszystkie wiatry w siebie,
Od południa na zachód leciała po niebie.
I była chwila ciszy; i powietrze stało
Głuche, milczące, jakby z trwogi oniemiało,
I łany zbóż, co wprzódy kładąc się na ziemi
I znowu w górę trzęsąc kłosami złotemi,
Wrzały jak fale, teraz stoją nieruchome
I poglądają w niebo najeżywszy słomę.

I zielone przy drogach wierzby i topole,
Co pierwéj jako płaczki przy grobowym dole,
Biły czołem, długiemi kręciły ramiony,
Rozpuszczając na wiatry warkocz posrebrzony,
Teraz, jak martwe, z niemėj wyrazem żałoby,
Stoją nakształt posągów Sypilskiéj Nijoby.
Jedna osina drżąca wstrząsa liście siwe.

Bydło, zwykle do domu powracać leniwe,
Teraz zbiega się tłumnie, pasterzy nie czeka,
I opuszczając strawę do domu ucieka.
Buhaj racicą ziemię kopie, orze rogiem,
I całą trzodę straszy ryczeniem złowrogiem;
Krowa coraz ku niebu wznosi wielkie oko,
Usta z dziwu otwiera, i wzdycha głęboko;
A wieprz marudzi wtyle, dąsa się i zgrzyta
I snopy zboża kradnie i na zapas chwyta.
Ptastwo skryło się w lasy, pod strzechy, w głąb' trawy;
Tylko wrony, stadami obstąpiwszy stawy,
Przechadzają się sobie poważnemi kroki,
Czarne oczy kierują na czarne obłoki,
Wytknąwszy język z suchéj szerokiéj gardzieli
I skrzydła roztaczając, czekają kąpieli:
Lecz i te, przewidując nazbyt mocną burzę,
Już w las ciągną, podobne wznoszącéj się chmurze.
Ostatnia z ptaków, lotem nieścigłym zuchwała
Jaskółka, czarny obłok przeszywa jak strzała,
Wreszcie spada jak kula....
.....Na zachód, jeszcze ozłocona
Świeci ziemia ponuro, żółtawo - czerwona:
Już chmura, roztaczając cienie nakształt sieci,
Wyławia resztki światła, a za słońcem leci,
Jak gdyby je pochwycić chciała przed zachodem.
Kilka wichrów raz po raz prześwisnęło spodem,
Jeden za drugim lecą, miecąc krople dżdżyste,
Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.

Nagle wichry zwarły się, porwały się wpoły,
Borykają się, kręcą, świszczącemi koły
Krążą po stawach, mącą do dna wody w stawach,
Wpadły na łąki, świszczą po łozach i trawach.
Pryskają łóz gałęzie; lecą traw przekosy
Na wiatr, jako garściami wyrywane włosy,

Zmięszane z kędziorami snopów. Wiatry wyją,
Upadają na rolę, tarzają się, ryją,
Rwą skiby, robią otwór wichrowi trzeciemu,
Który wydarł się z roli jak słup czarnoziemu,
Wznosi się, jak ruchoma piramida toczy,
Łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom w oczy,
Co krok w szerz wydyma się, roztwiera ku górze,
I ogromną swą trąbą otrębuje burze.
A z całym tym chaosem wody i kurzawy,
Słomy, liścia, gałęzi, wydartéj murawy,
Wichry w las uderzyły, i po głębiach puszczy
Ryknęły jak niedźwiedzie.
A już deszcz wciąż pluszczy
Jak z sita, w gęstych kroplach. Wtém rykły pioruny,
Krople zlały się razem: to jak proste struny
Długim warkoczem wiążą niebiosa do ziemi,
To jak z wiader buchają warstami całemi.
Już zakryły się całkiem niebiosa i ziemia;
Noc je, z burzą od nocy czarniejszą, zaciemia.
Czasem widnokrąg pęka od końca do końca,
I Anioł burzy, nakształt niezmiernego słońca,
Rozświeci twarz, i znowu okryty całunem
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.
Znowu wzmaga się burza, ulewa nawalna,
I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna.
Znowu deszcz ciszéj szumi, grom na chwilę uśnie;
Znowu zbudzi się, ryknie, i znów wodą chluśnie.
Aż się uspokoiło wszystko. Tylko drzewa
Szumią około domu i szemrze ulewa.

Piękna scena, w któréj Tadeusz uprasza stryja, żeby nim zaręczy się z Zosią, wywalczył sobie to szczęście stałością i odrobiną sławy— a Hrabia, idąc w jego ślady, chociaż już blizkim był oświadczenia się Telimenie, chce także zostać bohaterem i odrywa się od ukochanéj, bo tak mu każe romantyczna »jego przeznaczeń władza«— poprzedza pyszną spowiedź Jacka Soplicy. Po mistrzowsku odmalował poeta wrażenie piorunujące, jakiego doznał Gerwazy na słowa umierającego Robaka: »Jam jest Jacek Soplica«...

Klucznik na to słowo
Pobladnął, pochylił się, i ciała połową
Wygięty naprzód, stanął, zwisł na jednéj nodze,
Jak głaz lecący z góry zatrzymany w drodze.

Oczy roztwierał, usta szeroko rozszerzał,
Grożąc białemi zęby, a wąsy najeżał;
Rapier z rąk upuszczony, przy ziemi zatrzymał
Kolanami, i głównię prawą ręką imał,
Cisnąc ją: rapier, ztyłu za nim wyciągniony,
Długim czarnym swym końcem chwiał się w różne strony;
I Klucznik był podobny rysiowi rannemu,
Który z drzewa ma skoczyć w oczy myśliwemu:
Wydyma się kłębuszkiem, mruczy, krwawe ślepie
Wyiskrza, wąsy rusza, i ogonem trzepie.

Opowiadanie Jacka sprawia wrażenie niezmiernie tragiczne—jednakże dalekiém jest od gromów, które w dramacie n. p. padając nagle, przerażają widza. Autor przygotował już nas do téj krwawéj historyi rysami porozrzucanemi luźnie w całéj powieści (a mianowicie opowiadaniem Klucznika), a pomimo to nie osłabił potęgi swego głosu, co nami wstrząsa jak huk lub łoskot niezmierny, choć jużeśmy go oczekiwali. Spokojna, uroczysta śmierć Bernardyna zamyka tę księgę.

Pomiędzy zdarzeniami pierwszych ksiąg dziesięciu a wypadkami dwóch ostatnich zachodzi dłuższa przerwa. Młodzież walczy w szeregach. Na Litwie, w Soplicowie cisza przed burzą, czas oczekiwania, chwila przechodowa. Nareszcie nadchodzi wiosna 1812 r., »wiosna wojny, wiosna urodzaju, kwitnąca zbożami i trawami, a ludźmi błyszcząca«. Wojna! Nie było na Litwie kąta, gdzieby jéj głos nie doszedł.— W Soplicowie staje obóz czterdziestu tysięcy i ze sztabami swemi generał Dąbrowski, Kniaziewicz, Małachowski, Gedrojć i Grabowski. Zastają tu wszystko w dawnym stanie. Wojski, jak dawniéj, jest marszałkiem dworu; Assesor i Rejent zawsze jeszcze patrzą na siebie niechętném okiem, choć spór ich przycichł na odgłos broni. — Nazajutrz na uroczystość N. Panny Kwietnéj ma być uczta. Wojski z pomocą wszystkich kucharzów z sąsiedztwa przygotowuje obiad staropolski. Rano nabożeństwo. Po mszy Podkomorzy rehabilituje urzędownie i publicznie pamięć i cześć ś. p. Jacka Soplicy. Więc już imię Sopliców czyste jest i powód do nienawiści ustał. Klucznik Gerwazy z Woźnym Protazym rozmawiają przyjaźnie przy dzbanie miodu o długim sporze. Zosia rozmawia na uboczu z Tadeuszem, który przekonawszy się o wzajemności, prosi o jéj rękę. Wtém pokazał się w ogrodzie szarak. Charty Rejenta i Assesora w jednéj chwili wpadają na kota i rozszarpują go. — Gdy go-

ście zgromadzeni w wielkiéj zamkowéj sali, czekając uczty w około stołu rozmawiają, przywodzi Sędzia Tadeusza i Zosię; wkrótce przybywa druga para: Assesor z siostrą Wojskiego. Trzecią stanowią Telimena i Rejent— przebrany po francuzku.

Księga XII-ta opiewa ucztę. Poeta poświęca obszerny ustęp opisowi serwisu, którego znaczenie tłómaczy Wojski. Przedstawia on historyę polskiego sejmiku, narady, wotowanie, tryumfy i waśnie— oraz cztery pory roku i łowy. Ustęp ten przypomina pomysłem opis tarczy Achillesowéj w Iliadzie.— Chciał Wojski, żeby ta uczta była wspaniała, staropolska, a nie nowomodna, »żeby była pamiątką owych biesiad sławnych, które dawano w domach starodawnych«. Dawni Polacy jadali dużo i często— lubili gody i uczty bogate i wystawne: był to największy zbytek, ugościć brata największa przyjemność. Dla tego nie mógł poeta i téj strony życia narodowego pominąć, chcąc obraz swój zupełnym uczynić. Ztąd tak często widzimy u niego szlachtę jedzącą śniadania, obiady, wieczerze. A zresztą i ze względu na epiczną budowę, nie lubiącą nagłych przechodów, bardzo się nadają podobne przerwy. Śród najdonioślejszych, a często najsmutniejszych wypadków ludzie tu jedzą, piją, śpią, ubierają się— a tym sposobem tém dokładniéj i wszechstronniéj okazuje się człowiek, jakim jest nie tylko z ducha, ale i z ciała. Jest to ludzka, realna cecha epicznéj poezyi. Można powiedzieć, że posiliwszy się, bohaterowie epiczni nabierają żywszéj cery; głodnym możeby nie stało humoru i fantazyi. Wojski nie może rozumieć życia teraźniejszych czasów. »Niejeden panicz — powiada — krzyczy, że nie cierpi zbytków: je jak żyd, skąpi gościom potraw i napitków, węgrzyna pożałuje a pije fałszywe, modne wino szampańskie; potém w wieczór na karty tyle złota straci, że za nie dałbyś ucztę na stu szlachty braci...« Widzimy, że nawet w tym względzie widoczna jest w *Panu Tadeuszu* różnica dwóch pokoleń i epok.— Na ucztę przybywa Maciéj Rózga, patryarcha Dobrzyńskich— ale nie widać na jego twarzy radości: owszem siedzi milczący i ponury, tak się zgorszył fizylierami, saperami, grenadyerami, kanonierami i wszystkiemi innemi »niemieckiemi« tytułami:

»...Więcéj słychać niemieckich tytułów w tym tłumie
Niżeli narodowych! Kto to już zrozumie!
A muszą też być z wami Turki czy Tatary
Czy Szyzmatyki, co ni Boga ani wiary;

Sam widziałem, kobiety w wioskach napastują,
Przechodniów odzierają, kościoły rabują!
Cesarz idzie do Moskwy... daleka to droga,
Jeśli Cesarz Jegomość wybrał się bez Boga!..
Słyszałem, że już podpadł pod klątwy biskupie;
Wszystko to jest...» Tu Maciéj chleb umoczył w zupie,
I jedząc nie dokończył ostatniego słowa.

Jest to szlachcic— konserwatysta, nie rad wszelkiéj nowości. Wszystko, co stare, było dobre. Szanuje i kocha dawne formy— nowych już nie rozumie. Człowiek z innéj epoki, znajduje się wśród biesiadników zupełnie odosobnionym, a oburzony do reszty przebraniem się Rejenta, co tak lubił gesta, a we fraku ruszyć się nie umiał, wymknąwszy się bez pożegnania, wsiadł na koń i wrócił do Zaścianka.— Wodzowie dopytują się o Klucznika i jego sławny »scyzoryk«. Przychodzi surowy starzec i nie skąpi zaraz na wstępie pochwał dla swego miecza:

»Mopanku! rzadko który pisarz prowentowy
Tak zręcznie temperuje pióra, jak on głowy.
Długo liczyć! A nosów i uszu bez liku!
A nie ma żadnéj szczerby na tym scyzoryku
I żaden go nie splamił zbojecki uczynek:
Tylko otwarta wojna, albo pojedynek...«

Opatrują go wszyscy, probują, ale ledwie który z oficerów mógł podnieść ten rapier do góry. Jeden tylko generał Kniaziewicz, wzrostem najsłuszniejszy,

Ująwszy rapier, lekko jakby szpadę dźwignął
I nad głowami gości błyskawicą mignął.

Rozrzewniony Rębajło ofiaruje go generałowi:

»Teraz umrę spokojny! Jest przecie na świecie
Człowiek, który przytuli moje drogie dziecie;
Bo wszak nad tém oddawna dzień i noc boleję,
Czy po śmierci ten rapier mój nie zerdzewieje!
Otoż nie zerdzewieje! Mój Jaśnie Wielmożny
Jenerale, wybacz mi, porzućcie te rożny,
Niemieckie szpadki; bo wstyd szlacheckiemu dziecku
Nosić ten kijek: weźmij szablę po szlachecku!
Oto ten mój scyzoryk u nóg twoich składam,
To jest co najdroższego na świecie posiadam;

Nie miałem nigdy żony, nie miałem dziecięcia,
On był żoną i dzieckiem; z mojego objęcia
Nigdy on nie wychodził; od rana do mroku
Pieściłem go, on w nocy sypiał przy mym boku;
A kiedym się zestarzał, nad łóżkiem na ścianie
Wisiał, jako nad żydem Boże przykazanie!
Myśliłem zakopać go razem z ręką w grobie,
Lecz znalazłem dziedzica— Niechaj służy tobie!«

Sędzia, pleban i Tadeusz z Zosią, jako nowi dziedzice, częstują włościan na dziedzińcu według starożytnego zwyczaju. Tadeusz proponuje narzeczonéj uwolnienie włościan. Prześlicznym jest ten ustęp, a jeszcze piękniejszą odpowiedź Zosi:

»Jestem kobietą, rządy nie należą do mnie,
Wszakże pan będziesz mężem: ja do rady młoda,
Co pan urządzisz, na to całém sercem zgoda!
Jeśli, włość uwalniając, zostaniesz uboższy,
To Tadeuszu będziesz sercu memu droższy.«

Gerwazy protestuje— ale nareszcie, kiedy i »Jaśnie Wielmożna Pani jego Zofija« zezwala, zgodzić się musi, wnosi więc,

»aby chłopów, starym obyczajem,
Uszlachcić i ogłosić, że im herb nasz dajem.
Pani udzieli jednym wioskom Półkozica,
Drugim niech swą Leliwę nada Pan Soplica.
Natenczas i Rębajło uzna chłopa równym,
Gdy go ujrzy szlachcicem, Wielmożnym, herbownym.«

Przecudne są dwa ostatnie epizody »Pana Tadeusza«: gra Jankiela na cymbałach i polonez prowadzony przez Podkomorzego. Przytaczamy tu drugi tylko:

Poloneza czas zacząć, Podkomorzy rusza,
I zlekka zarzuciwszy wyloty kontusza
I wąsa pokręcając, podał rękę Zosi,
I skłoniwszy się grzecznie, w pierwszą parę prosi.
Za Podkomorzym szereg w pary się gromadzi;
Dano hasło, zaczęto taniec: on prowadzi.
Nad murawą czerwone połyskają buty,
Bije blask z karabeli, świeci się pas suty,
A on stąpa powoli, niby od niechcenia:
Ale z każdego kroku, z każdego ruszenia,
Można tancerza czucia i myśli wyczytać.
Oto stanął, jak gdyby chciał swą damę pytać,

Pochyla ku niéj głowę, chce szepnąć do ucha;
Dama głowę odwraca, wstydzi się, nie słucha;
On zdjął konfederatkę, kłania się pokornie,
Dama raczyła spojrzeć, lecz milczy upornie;
On krok zwalnia, oczyma jéj spojrzenia śledzi,
I zaśmiał się nakoniec; rad z jéj odpowiedzi
Stąpa prędzéj, pogląda na rywalów z góry,
I swą konfederatkę z czaplinemi pióry
To na czole zawiesza, to nad czołem wstrząsa,
Aż włożył ją na bakier i pokręcił wąsa.
Idzie; wszyscy zazdroszczą, biegą w jego ślady,
Onby rad ze swą damą wymknąć się z gromady:
Czasem staje na miejscu, rękę grzecznie wznosi,
I żeby mimo przeszli, pokornie ich prosi;
Czasem zamyśla zręcznie na bok się uchylić,
Odmienia drogę, radby towarzyszów zmylić,
Lecz go szybkiemi kroki ścigają natręty,
I zewsząd obwijają tanecznemi skręty;
Więc gniewa się, prawicę na rękojeść składa,
Jakby rzekł: nie dbam o was, zazdrośnikom biada!
Zwraca się z dumą w czole i z wyzwaniem w oku,
Prosto w tłum; tłum tancerzy nie śmie dostać w kroku,
Ustępują mu z drogi, i zmieniwszy szyki,
Puszczają się znów za nim...
Brzmią zewsząd okrzyki:
»Ach to może ostatni! patrzcie, patrzcie młodzi,
Może ostatni, co tak poloneza wodzi!«
I szły pary po parach hucznie i wesoło;
Rozkręcało się, znowu skręcało się koło,
Jak wąż olbrzymi w tysiąc łamiący się zwojów;
Mieni się centkowata, różna barwa strojów
Damskich, pańskich, żołnierskich, jak łuska błyszcząca,
Wyzłocona promieńmi zachodniego słońca
I odbita o ciemne murawy węzgłowia.
Wre taniec, brzmi muzyka, oklaski i zdrowia!

W prostém a genijalném zakończeniu poematu:

I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem,
A com widział i słyszał w księgi umieściłem.

Poeta szczęśliwie użył ludowego zwrotu, którym każdy bajarz, każda piastunka opowiadanie swoje kończy.

Przed ukazaniem się »*Pana Tadeusza*« literatura polska nie miała epopei. A jednak w życiu domowém i politycznem narodu ukrywał się niewyczerpany skarbiec żywiołów epickich. Polska nie była nigdy państwem politycznie silnie zorganizowaném, lecz żyła i stała indywiduami. Ztąd owa rozmaitość i barwność w jéj dziejach, ztąd częsty ów rozkwit, podnoszenie się na wysokie szczyty i częsty upadek. Żywą, sangwiniczną jest i była natura Polaka. Szlachetne, wzniosłe porywy rozniecają silny ogień w piersi, ale też rychło ogień popieleje. Zapał tworzy cuda, a nie umie i nie może stworzyć warunków trwałego bytu. Miłość kraju daje narodowi wiele świetnych zwycięztw na zewnątrz — ale wewnątrz wkradają się zgubne żywioły waśni, niezgody i kastowości. Mnóstwo rodzi się projektów reformy politycznéj, ale rzadko powiedzie się sejmowi ukończyć spokojnie ważniejszą, organiczną pracę. Wszystko to jest przyczyną i dowodem politycznéj słabości — to prawda; ale natomiast każdéj jednostce daje siłę i zarys indywidualny i sprawuje taką obfitość i rozmaitość epicznych, samodzielnych charakterów i epicznych wydarzeń. Państwo, mające ustalone prawa, organizacyę administracyjną i wojskową, może być silném i groźném dla sąsiednich mocarstw, ale nieodzownie zacierać musi charakter, siłę, fizyonomiję jednostki. Stałe armije np. bywają niebezpieczniejsze dla nieprzyjaciół niż garstka ochotników: więcéj wszakże jest poetycznéj piękności w obrazie bohatera walczącego z własnéj woli i własnym sposobem. Daleko piękniejszym jest Achilles w pojedynku z Hektorem, nierównie więcéj porywają ci bohaterowie, którzy godzą na siebie z zacięciem śmiertelném, a znużeni odpoczywają obok siebie gawędząc, żeby za chwilę nowy bój rozpocząć— niż dwa szeregi, które na komendę mierzą do siebie z oddali. Dla tego też dawna Polska ze wszystkich narodów najbardziéj przypomina Helladę, bo miała wszystkie warunki, żeby stworzyć epos dorównywające wartością Iliadzie i Odyssei. A jednak nie stworzyła go przez cały dziesięciowiekowy bieg swych dziejów aż do upadku. Jan Kochanowski, poeta wielki i wszechstronny, miał podobno zamiar stworzyć epopeję; zaczął nawet pisać »Władysława Warneńczyka«, lecz z tego pozostał tylko nieznaczny fragment. Samuel Twardowski, poeta niższego rzędu, opowiadał wierszem wszystkie wojny współczesne Rzeczypospolitéj: z Kozakami, Moskwą, Szwedami i z Turkiem. Wiele tam znajdziemy prawdy historycznéj i materyału do dziejów, ale brak uroczystego rzutu oka na

swój przedmiot, — wiele miejsc świadczących o talencie opisowym i nawet podniosłych obrazów — ale to wszystko nie zastąpi jeszcze ani tego wielkiego natchnienia i poetyckiego uzdolnienia, które tworzy wiekopomne dzieła sztuki, ani braku tych warunków, które naród mieć musi, ażeby takie dzieło mógł wydać. Toż samo prawie da się powiedzieć i o »Wojnie Chocimskiéj« Wacława Potockiego, jakkolwiek ten wyższym jest od poprzedniego o całe niebo, nierównie lepszym i czystszym włada językiem i wierszem, i silniejsze, poetyczniejsze, więcéj epiczne ma zacięcie. W swoim okresie najwyższy, nie wolny jest wszakże Wacław Potocki od wszystkich właściwości onych wieków;, oryginalny co do treści, nie otrząsł się od naśladownictwa zawsze ogromnie imponującéj formy klassycznéj. Daje nam wprawdzie dość rozległy obraz narodu, wylicza starannie grzechów polskich »katalogi«, nie zapomina o obozowych mowach hetmanów, które, jak np. mowa Chodkiewicza, pięknie niekiedy malują zniszczenia wojny i najazdu »durnego Turczyna«: — jednak we wszystkiém tém nie tyle jest autor »Wojny Chocimskiéj« malarzem, ile gromiącym rymotwórcą, nie jest prostym, naiwnym, spokojnym a natchnionym opowiadaczem. Przywołuje on siebie ciągle do porządku, woła jak Słowacki: gdzie mój zamiar, moje epiczne przedsięwzięcie? a pomimo to, nigdy nie trzyma się w ścisłych karbach, rozpędza się od materyi do materyi, i nie zaniedbuje żadnéj sposobności rezonowania i narzekania, zamiast podawać nam czyny, fakta, obrazy. Wiersz piękny, tok nawet wspaniały— ale jest pewna nużąca jednostajność i jednostronność: widzimy obozy, rycerstwo, wojny, życie publiczne, ale stosunki domowe, rodzinne, prywatne, tak nieobojętne dla epopei, prawie zupełnie pomija.— Mogą to zatém być poemata *bohaterskie*, można je nawet czytać z przyjemnością i zajęciem, lecz ostatecznie nazwy epopei narodowych dać im niepodobna.

Dla czegoż więc naród mający tyle w sobie epicznych żywiołów i chlubiący się znaczną liczbą wielkich poetów, nie zdobył się aż do swego upadku na rzecz oryginalną w rodzaju Iliady albo Odyssei?

Oto naród ten, powtarzamy, był natury żywéj i sangwinicznéj. Żywioły chęci ciągle poruszały massy, ale w ciągłéj były ze sobą waśni i wojnie. Ruchliwa praca i nieustanne krzątanie się dawały pokarm obfity na dziś, a nie dozwalały zebrać zasobów na czas dłuższy. Nawet dar opowiadania Polaków, ich styl obrazowy i lakoniczny zużywał się i rozpry-

skiwał na mnóstwo interesujących szczegółów, a nie starczył na większą artystyczną całość. Prawda, że głównym warunkiem epopei jest pewna naiwność i prostota—lecz i ta prostota nie może być tak zupełnie bezwiedną i dziecięcą. Dziecko opowiada wprawdzie wszystko, co widzi i słyszy—i wiele tu jest analogij z opowiadaniem epopei; lecz jak nikomu nie śniło się szukać w słowach dziecka ładu i zaokrąglenia—bo dopiero mężczyzna może wspomnienia swego dzieciństwa powiązać w pewną całość—tak i naród tworzący w pierwotnéj swéj prostocie luźne pieśni, obrazy i skazki, dopiero wtedy skorzystać z nich może, jak Homer skorzystał z rapsodów z pod Ilionu, kiedy już uczuje w sobie silny głos refleksyi, i stanąwszy u pewnego kresu granicznego, spójrzeć może w epokę poniekąd już skończoną—i ożywić to w pieśni, co zamarło lub zamiera w życiu. Dla narodu polskiego chwila taka nastała dopiero po upadku, dopiero w czasie wojen napoleońskich. Umysły utrzymywał w ciągłém zajęciu i w niepewności, stan nadzwyczaj brzemienny w zarody wielkich wydarzeń, stan przechodni. „Wszystko, co było, jeszcze nie przeszło — wszystko co być miało, jeszcze nie przyszło.“ Do umysłów wciskały się już nowe myśli, choć one silnie lgnęły do nici, która je z przeszłością wiązała. Wojny napoleońskie zapełniały sobą, że tak powiemy, całą ziemię,—wszystkie rządy i narody żyły pod ich ciągłém wrażeniem, jedne pełne obawy, inne pełne nadziei. Toż jeżeli Mickiewicz umiał stworzyć do swego wielkiego obrazu mnóstwo postaci pełnych życia, interesu i rozmaitości—postaci, które w ówczesnéj swéj szacie były już blizkie schyłku i niepowrotnego zginienia, to nie mógł ich umieścić na tle bardziéj pięknem i stosownem. A tło na obrazie nie jest wprawdzie głównem i najważniejszém zadaniem malarza, ale niezmiernie wiele na niém zależy. Idzie bowiem o to, żeby osoby na pierwszym i drugim planie stojące jak najwyraziściéj i najpełniéj się przedstawiły—a to tylko wtedy da się uskutecznić, jeżeli pada na nie należyte światło, pozwalające nam obejrzeć je ze stron wszystkich, i to najwydatniejszych i najciekawszych.

Tak więc epoka dziejowa była bardzo stosowną dla epopei. Bo podczas gdy opowiadaniami i rapsodami epicznemi, o jakich wyżéj była mowa, objawia się po raz pierwszy naiwna jeszcze i dziecięca samowiedza narodu, przypada epopeja właściwa na czas środkowy, w którym już naród ocknął się z głuchego pomrocza i duch jego sam w sobie o tyle już urosł w siły, żeby swój własny świat sobie utworzyć i czuć się w nim swo-

bodnym—ale z drugiéj strony wszystko, co późniéj czy to silnym religijnym dogmatem, czy też obywatelskiém lub moralném prawem się staje, wytwarza się jeszcze w piersi i sercu jednostki, będąc z nią mocno związaném.

Epos okazuje nam naród w całéj jego zupełności, istocie i treści. Zamyka ono w sobie rdzeń i ducha jego. Obejmuje więc bardzo rozległy zakres—nie pomija nic, okrom wydarzeń przypadkowych i luźnych, a zastanawia się starannie, z cierpliwym spokojem i pewném naiwném zadowoleniem nad stosunkami obyczajowego, umysłowego, religijnego i domowego życia—nad węzłem łączącym rodziny, przedstawia naród w pokoju i wojnie, w radzie i w kościele, na roli i w zaciszu domowém, w pracy publicznéj i kiedy powszednie zaspakaja potrzeby,—daje nam całokształtny obraz pojęć, wyobrażeń, uczuć i myśli, oświaty i umiejętności, a nawet przesądów: słowem tego wszystkiego, co zowiemy kulturą narodu.—Poeta epiczny nie śpieszy krokiem dramatyka—nie idzie mu o zawiązanie i zręczne przeprowadzenie zawikłanych intryg; nie przelatuje szybkim, orlim lotem nad swoim przedmiotem, ale—powiedzielibyśmy—siedząc na prostym wózku, objeżdża powolnie całą swoję ziemię; często staje popasem, zagląda do każdéj chaty i karczmy, pomówi słów parę z rolnikiem idącym za pługiem, rad zboczy z drogi, żeby się i w dalszéj stronie zagrzać przy domowym kominku, uścisnąć znajomych, poznać się z nieznajomymi, pogawędzić, pogwarzyć. A mianowicie też wyborne oko mieć musi. Komu jest obojętném, jak rzeczy wyglądają, kto nie troszczy się o kształt ciała, o suknie, sprzęty, a nawet ruchy, gesty i wyraz towarzyszący każdemu słowu człowieka—ten epikiem nigdy nie będzie.—Że zaś dla poezyi to, co jest ogólném i istotném, tylko w żywéj obecności ducha się znajduje, przeto opowiadanie epika ściśle zrasta się z jednostkami, z indywiduami. A ponieważ wielka liczba ludzi bierze tu udział w całéj akcyi, więc zdarzenie główne rozbiega się i łączy z wielu ubocznemi, mającemi swój odrębny powód i skutek. Jest to właśnie to, co epizodycznością nazywamy. Taki świat całokształtny i indywidualnie ujęty musi przesuwać się przed okiem naszém powolnie i spokojnie, tak, żebyśmy się nad wszystkiém zatrzymać mogli. Nie opowiada wszakże poeta epiczny wypadków luźnych i przypadkowych, ale zdarzenie obejmujące całość pewnego czasu i narodowych stosunków, a zatém rozwijające się śród rozległego świata i otoczenia, które także przedstawić musi. Zdarzenie służące za tło, powin-

no mieć dla indywiduów kształt rzeczywistości już istniejącéj, a zarazem łączyć się z nimi najściślejszym związkiem pierwotnéj żywotności; powinno dotykać wszystkich stron narodowéj egzystencyi i skupiać je w sobie. Już Arystoteles wymagał dla epopei, jak i dla dramatu, treści dramatycznéj, co tyle znaczy, żeby jedno skończone i zupełne zdarzenie było punktem środkowym, z którego na wszystkie strony rozchodzą się promienie. Żeby zaś stan ogólny narodu i zdarzenie indywidualne się nie rozminęły, musi ostatnie opierać się na pierwszym, znajdując w nim swoję przyczynę i usprawiedliwienie.—Nadto, w poezyi, każde zdarzenie, czy to czerpane z rzeczywistości, czy też będące utworem fantazyi, obejmuje tylko takie sytuacye i stosunki, które wiodą do starcia, do konfliktu, do czynów nacisku i odporu, reakcyi. Sytuacya więc, w któréj epiczny stan narodu przed nami się odsłania, musi być natury w sobie sprzecznéj, kolizyjnéj—a że najwyższą taką kolizyą jest wojna, przeto stan wojenny najstosowniejszą jest sytuacyą. Wojna bowiem porusza cały naród, który bierze w niéj udział czynny lub bierny, nastraja żywiéj umysły, wyprowadza je z jednostajności powszedniego życia i wpływa znacznie na każdą czynność. Stan wojenny, jako podstawa epicznego działania, otwiera wielką i szeroką rozmaitość zajmujących czynów i zdarzeń, w których wprawdzie waleczność główną rolę odegrywa, ale i wiele innych szczegółów narodowego życia i zewnętrzna władza stosunków i okoliczności mają swoję wagę.

Zastosujmy teraz to wszystko do polskiéj epopei, do „*Pana Tadeusza*“.

Na tle wojen napoleońskich zarysowuje się nam stan ogólny społeczeństwa polskiego. Nie o samę jednak wojnę tu chodzi. Poeta miał jeszcze inne zadanie. Musiał przedstawić antagonizm nie tylko zewnętrzny, lecz i wewnętrzny—musiał nas zaprowadzić do głębi serc, usposobień, zwyczajów i charakterów, gdyż blizką była chwila zatarcia wielu śladów przeszłości. Wskazał więc na wojnę, jako na główną oś wydarzeń—a przedewszystkiem położył sobie za zadanie skreślić obraz kolizyj istniejących w samym narodzie, podnieść wszystkie strony jego życia, które będąc z sobą w sprzeczności, wywoływało niezgody, waśnie i wybujałość wolności, co stało się przyczyną upadku, ale pokierowane mądrze, mogło być źródłem odrodzenia. Ponieważ życie publiczne Polaków w ścisłym było związku z życiem prywatném, rodzinném, przeto musiał poeta na pierwszym planie postawić jakieś indywidualne zdarze-

nie, któreby dotykało wszystkich stron obyczajowych, domowych, prywatnych stosunków, a zarazem głównemi kończynami wyraźnie wiązało się ze stanem politycznym kraju i świata — i w takiéj całości okazało nam ducha narodu w całéj sile, świeżości, wszechstronności i prawdzie. Dla tego opowiadane w epopei główne zdarzenie nie mogło być luźném, przypadkowém, choćby zresztą najdonośniejsze miało znaczenie, lecz owszem powinno było wypływać z całego usposobienia narodu, znajdować niejednokrotnie analogiję w rzeczywistém życiu. Również działającemi osobistościami mogli być jedynie ludzie, którzy łączyliby w sobie rysy i znamiona całego narodu. Nadto przed wszystkiemi musiała mieć pierwszorzędne znaczenie jedna, potężna indywidualność, wpływająca najstanowczéj na całą koléj wypadków, jak np. Achilles w Iliadzie. Takiém zdarzeniem jest w „Panu Tadeuszu“ spór Horeszków z Soplicami, takiemi osobistościami — szlachta występująca w poemacie, a takim bohatérem — Jacek Soplica. Indywidualność epiczna, mająca prawo egzystować, działać i okazać się jaką jest i jak istnieje, skupia w sobie wszystko to, co w charakterze całego narodu leży rozproszone, jest zatém i sama przez się wielkim, wolnym, ludzkim charakterem i daje nam całokształt narodowéj fizyonomii i narodowego serca, w którym dokładnie obejrzeć możemy ducha jego i istotę. Takim jest Robak.— Bohater epiczny nie działa wszakże dramatycznie, nie walczy z losem jak bohater tragiczny, lecz ulega w wielu razach losowi, jako też i powszechnemu rzeczy porządkowi, który i w epopei ma swoje ustalone miejsce i powagę. Dojście do celu, jaki sobie bohater epopei założył i do którego zmierza całą siłą swéj woli i energii, zależy jeszcze od zewnętrznego, otaczającego go duchowego i materyalnego świata, wśród którego jedynie działać może człowiek, ulegając całemu szeregowi przypadków i okoliczności, sprzyjających mu lub stawających oporem, albo też usiłując wszystkie przeszkody zwyciężyć. Płynie on nie przeciw fali, lecz z falą, która go niesie, choć ją pruje silném ramieniem. W epopei świat niesie bohatéra, w dramacie bohatér, jak Atlas, niesie świat na barkach swoich. Tylko wola indywidualna w połączeniu ze światem zewnętrznym — zupełnie równouprawnione, tylko uwzględnienie tak środków, jakiemi się posługują bohatérowie, i celu, do którego zdążają — jak zewnętrznych stosunków, przypadków a nawet zjawisk natury jest epicznéj poezyi zadaniem. Nie tylko więc zmierzanie bohatéra do celu swych zamiarów

i postanowień, ale i wszystko to, co pracy téj jego towarzyszy, wielkie ma w epopei znaczenie. Okoliczności są zarówno a często i bardziéj czynne, niż on. Toż samo widzimy w „Panu Tadeuszu“. Robak jest główną sprężyną wypadków w téj epopei, ale wieczerza, śniadanie, grzybobranie, uczty, zaręczyny i wszystkie inne epizodyczne obrazy znamienitéj piękności, które nam tak wiernie i tak wielostronnie malują naród — nie odbywają się z okazyj zabiegów Bernardyna, lecz on korzysta z tych rozmaitych okazyi, aby swe plany przeprowadzić, a częstokroć stają mu one nawet w poprzek drogi (np. kłótnia w zamku). Okoliczności i przypadki zewnętrzne znaczą tu tyle, co wola osobistości, która nawet od nich bardzo jest zawisłą, gdyż działa nie tylko z siebie, przez siebie i dla siebie, lecz pośród powszechności, która ma także swoje odrębne cele i istnienie. Epos przedstawia nam człowieka więcéj na zewnątrz działającego, niż jego wnętrze. A nawet wszystko, co się wewnątrz odbywa, musi być skierowane na czyn zewnętrzny, rozległy, wielkiego znaczenia i wpływu na massy. Proces wewnętrzny, sam przez się i dla siebie, nie objawiający się skutkiem, nie ma dla epopei wartości. Wręcz przeciwnie ma się rzecz w dramacie, gdzie zewnętrzne stosunki o tyle tylko mają wagę, o ile wpływają na samodzielny charakter, który je zwalczać i pokonywać musi. Charakter dramatyczny sam sobie los gotuje: dla epicznego zaś jest już zgotowany, a raczéj sam się dlań gotuje — bo potęga stosunków, która czynowi indywidualną postać nadaje i człowiekowi skutek jego czynów naznacza, jest tém, co zowiemy zrządzeniem losów — i dla tego z większą słusznością powiedzieć byśmy mogli, że w epopei rządzi i panuje los, a nie w dramacie, jak sobie zwykle wyobrażano. W epopei charakter służy tylko ogółowi, a ponieważ nie jego, lecz narodu lub ludzkości sprawy i dzieje są jéj zawodem, los przeto człowieka jednego gubi się w losie ogółu. Dla tego wielką w epopei odgrywa rolę przypadek, t. j. zdarzenie będące skutkiem niewiadomej nam przyczyny, która atoli w ogólnym rzeczy ludzkich toku znajduje swoje uzasadnienie i usprawiedliwienie. Tak np wieczerza w zamku była niespodzianką—a jeszcze więcéj owo tak nic nie znaczące nakręcanie zepsutego zegara — jednak ten drobny przypadek tak stanowczo wpływa na bieg wypadków. Podobnież przypadkiem jest, że Tadeusz pierwéj niż Zosię poznał Telimenę, która mogła go była uwikłać tak, że zamiary Robaka, co do połączenia syna z wnuczką Stolnika, mogły spełznąć na niczém.—

Nawet tragiczność polega w epopei na tém, że rozmiar rzeczy, w któréj się obraca człowiek, za wielki jest dla indywiduum, działającego nie dla siebie jako jednostka i przez siebie, lecz śród istniejących rzeczy, i że częstokroć ulega losowi. Ztąd niekiedy taki smętny ton, jeśli mija i ginie to, co wielkie i wspaniałe, czy to wielka istota zbiorowa, czy wielki bohatér. Tak umiera Jacek Soplica, który całe życie cierpiał i dług winy spłacał poświęceniem — a całą jego przedsmiertną pociechą jest uścisk brata i podanie dłoni klucznika, bo nawet nie doczekał chwili, w któréj pamięć jego Podkomorzy oczyścił przed światem. To zrządzenie losu wyobraził np. w rozlicznych przypadkach nadzwyczaj plastycznie Homer, wprowadzając cały świat bogów na scenę i dając im samodzielną, niezawisłą i odrębną egzystencyę. To, co tu było pięknym, naturalnym wyrazem fantazyi ludowéj, stało się napuszystém i martwém naśladownictwem u Wirgiliusza, a nie powiodło się wielu nowożytnym poetom, którzy chcąc zastąpić bogów helleńskich duchami lub istotami allegorycznemi, rozminęli się z drogami, jakiemi szła wyobraźnia ludów chrześcijańskich. Dla tychże samych przyczyn i w Polsce tak długo nie udawały się wszelkie kreacye epickie, zapełniające świat polski bóstwami, z któremi naród nigdy nic nie miał wspólnego. Dla tego w téj mierze objawia się wielki poetycki rozum Mickiewicza, że wszystko to zastąpił zawiązaniem silnego łańcucha skutków i przyczyn, oraz przeczuciem ludu o władzach nadziemskich i naiwném wróżeniem ze znaków niebieskich i zjawisk przyrody.

Wszystkie uboczne zdarzenia, czyli tak zwane epizody, łączą się w »Panu Tadeuszu« z głównym wypadkiem, a pomimo to nie straciły całokształtnéj samodzielności, t. j. wykończenia, które nie dozwala uważać ich jako środki jedynie, jakiemi główna akcya się posługuje. Spór o charty, łowy, zaścianek i t. d. opracował poeta równie starannie i bez pośpiechu, a jednak wszystko to związało się ściśle z całością. Miał on już ułożony plan budowy i wątku, który jednoczy wszystkie jéj części. Tak zdarzenie główne jak i tło powszechnodziejowe i obraz ubocznych stosunków — wszystko w sobie jednolite i całokształtne — połączyć się musiało w jednę wielką zaokrągloną całość. Wprawdzie mógłby ktoś zarzucić, że poecie wolno było zkądinąd od dawniejszych zdarzeń rozpocząć, że np. zamknięte w księdze X opowiadanie Jacka mógł wziąć za początek i przedmiot rozleglejszego epicznego opracowania — i że nie potrzebował kończyć utworu zaręczynami i ucztą,

ale mógł rozsnuć przed nami wielki obraz wojen napoleońskich i t. p.: — ale w takim razie rozprzęgłaby się jedność poematu; zamiast jednego głównego zdarzenia mielibyśmy ich kilka; nie byłoby ani jednego tła, ani jednéj doby. Takie docieranie do pierwszego powodu zdarzenia i ostatecznych jego skutków przekroczyłoby zakres poezyi, rozproszyłoby się w niedojrzaną mnogość rysów i wypadków i zginęłoby w prozaicznem jakiémś i pragmatycznem opowiadaniu rzeczy, często od siebie wcale niezawisłych. Od razu więc wprowadził nas poeta we wnętrze całego gmachu, uczynił główny wypadek zawisłym od sytuacyi politycznéj i społecznéj, a znowuż powiązał ją z nim najściśléj — tak że zamiary Robaka, zajazd, bitwa, tylko w połączeniu ze sobą mają uzasadnioną przyczynę i egzystencyę. Na śmierci zaś Jacka nie mógł przerwać epopei, jakby to wolno było tragikowi; bo zadaniem jéj jest, umysł, tak tragicznym wypadkiem poruszony, uspokoić i ku łagodniejszym zwrócić wypadkom.

Mickiewicz odwzorował w »Panu Tadeuszu« wszystkie niemal główmiejsze rysy ducha narodowego. Uczucia religijne, rodzinne, obywatelskie, strona obyczajowa i zwyczajowa życia — wszystko to znajdujemy w tém arcydziele. Polacy słynęli z głębokiéj wiary — i nie utracili jéj zupełnie nawet w czasach, kiedy w całéj europejskiéj społeczności zapanowała niewiara, i kiedy wielu z pośród saméj szlachty, idąc obcym śladem, drwiło z tego, co niegdyś było świętém dla wszystkich. W ogólności powiedzieć można, że religija w Polsce była narodową, a naród religijnym. W niewielu nawiasowych rysach, ale dostatecznie i wiernie podniósł poeta tę stronę narodu. Zaraz z początkiem księgi I-széj zwraca się do N. Panny z rzewném wezwaniem:

Panno święta, co Jasnéj bronisz Częstochowy
I w Ostréj świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłeś cudem
(—Gdy odpłaczącéj matki, pod Twoję opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę;
I zaraz mogłem pieszo, do Twych świątyń progu
Iść za wrócone życie podziękować Bogu—) i t. d.

Ofiary na kościół i klasztory były rzeczą bardzo zwyczajną w Polsce. W »Panu Tadeuszu« szlachta zaściankowa żegna Robaka zaprosinami:

»Niech też do Niechrymowa ksiądz na nocleg zdąży,
Rzekł Ekonom, rad będzie księdzu Pan Chorąży;
Wszakże na Litwie stare powiada przysłowie:
Szczęśliwy człowiek, jako kwestarz w Niechrymowie;
»I do nas, rzekł Zubkowski, wstąp jeżeli łaska;
Znajdzie się tam półsztuczek płótna, masła faska,
Baran lub krówka; wspomnij księże na te słowa:
Szczęśliwy człowiek, trafił jak ksiądz do Zubkowa«.
»I do nas« rzekł Skołuba. »Do nas, Terajewicz,
Żaden Bernardyn głodny nie wyszedł z Pucewicz«.
Tak cała szlachta prośbą i obietnicami
Przeprowadzała księdza...

Najgwałtowniejsze namiętności tłumiono na widok Hostyi, a nawet kapłana, przeciw któremu nikt nie podniósł ręki, nawet w wybuchu największéj złości. Wojski wykładając znaczenie serwisu, wyobrażającego historyę sejmiku, gdy doszedł do zwady przy obiorze marszałka, mówi:

»Lecz tam na korytarzu, Państwo uważacie
Tego starego księdza, co idzie w ornacie:
To Przeor; Sanktissimum z ołtarza wynosi,
A chłopiec w komży dzwoni i na ustęp prosi.
Szlachta wnet szable chowa, żegna się i klęka,
A ksiądz tam się obraca, gdzie jeszcze broń szczęka.
Skoro przyjdzie, wnet wszystkich uciszy i zgodzi«.

A z jakiémże oburzeniem i niechęcią ów Maciéj Rózeczka wyraża się o wojsku napoleońskiém, co nie znało ni Boga ni wiary!

Obok wiary były w narodzie przesądy — ślady mitologii dawnéj, nie zupełnie zatarte przez chrześcijanizm. Z rozmowy o astronomii Wojskiego i Podkomorzego dowiadujemy się, jak sobie świat nadziemski i niebieski wyobrażali nie specyaliści uczeni, lecz cały ogół narodu.

Wielkie były w Polsce domowe i rodzinne cnoty. Związki familijne uważano za świętość nietykalną. Ślubu i wiary umiano dochowywać sobie; słowo dane obowiązywało raz na zawsze; narzeczony zachowywał się, kiedy go losy z ukochaną rozłączyły, jak małżonek. Piękny tego przykład daje nam nasza epopeja. Sędzia do późnego wieku pozostał wierny zmarłéj narzeczonéj, i nie bywszy małżonkiem uważał się za wdo-

wca. Zgoda w pożyciu domowém tém bardziéj zasługuje na uznanie, że małżeństwa kojarzyły się często bez bliższego poznania się nowożeńców — jedynie z woli rodziców. Kobieta miała stanowisko podrzędne gospodyni domu i matki, uznawała wyższość męża, zgadzała się, umiała ustępować, unikać kłótni i sporu. Dopiero w przyszłym wieku zaczęto się emancypować i dobijać ważniejszego stanowiska. I w téj więc mierze epoka »Pana Tadeusza« jest przechodową: — dla tego też, jak się zdaje, przedstawił nam poeta, z pominięciem wszelkiego innego rodzaju kobiet, tylko dwie wyraziściéj — Telimenę i Zosię — nie bez ironii a z dowcipem. Zosia długi czas w głębi — bawi się kurczętami i indykami, późniéj, »za wolą starszych i nieba«, kocha Tadeusza:

»Wiem, iż wszyscy mówili, iż za mąż iść trzeba
Za pana; ja się zawsze zgadzam z wolą nieba
I z wolą starszych...«

Zawczasu więc przygotowana szanować męża i iść za jego wolą bezwarunkowo i chętnie;

»Jestém kobietą, rządy nie należą do mnie,
Wszakże pan będziesz mężem: ja do rady młoda,
Co pan urządzisz, na to całém sercem zgoda.«

Z tém bierném stanowiskiem kobiéty łatwo sobie zresztą poradził Mickiewicz, wprowadzając akcyę do domu bezżennego Sędziego. Zawsze jednak można pocie poczytywać za winę takie zupełne zapomnienie o kobiécie jako gospodyni, żonie i matce: gdyż wiemy wprawdzie, że były tam Podkomorzyna i inne panie, ale ani słowa z ust ich nie słyszymy, tak że wyglądają jakby martwe maryonetki, które w obec tylu męzkich postaci, pełnych krwi i życia, zupełnie nikną. O Telimenie powiada wprawdzie poeta na jedném miejscu, że w istocie dobre serce miała«, ale tego bynajmniéj nie widać. Stara grzesznica, zalotna, zepsuta, ani jest dobrą kobietą, ani obywatelką. Nie kocha rodzinnego kraju, poluje na młodych, barczystych chłopców, i zarazem na smukłego Hrabiego zastawia sieci, a nawet biednego Rejenta trzyma w odwodzie. Udaje czułą, sentymentalną, idealizującą, a przecież woli być kobietą »niż planetą«, woli męża — Rejenta z krwią i kośćmi, niż kochanka — Hrabiego z rycerskim zapałem i fantazyą. Za-

wczasu przewodzi przyszłemu mężowi, warunkiem intercyzy każe wyrzec się kontusza — a gdy Hrabia zbliża się do niéj z wyrzutami, powiada, że jeszcze z Rejentem ślubu nie wzięła i odstąpi go, jeśli weźmie ją za żonę, ale zaraz dziś — i nawet paznogciami grozi, jeśliby jedno »pisnął« słowo. Jeżeli rzeczywiście wiele było w Polsce takich kobiet jak Telimena, jeśli więc w epopei właściwe i konieczne zajęła miejsce, to powinien był poeta przeciwstawić jéj, w téj saméj obszerności i z tąż dokładnością, inną, reprezentującą drugą, może nawet liczniejszą a lepszą część niewiast.

Z młodzieży także dwóch widzimy na pierwszym planie: Hrabiego i Tadeusza. Więcéj tu już sprawiedliwości i równowagi. Tadeusz jest typem polskiego szlacheckiego młodzieńca. Miał on duszę czystą, myśl żywą i serce niewinne, ale zarazem nie małą chętkę do swawoli:

Wiedział, że był przystojny, czuł się rzezki, młody,
A w spadku po rodzicach wziął czerstwość i zdrowie,
Nazywał się Soplica: wszyscy Soplicowie
Są, jak wiadomo, krzepcy, otyli i silni,
Do żołnierki jedyni, w naukach mniéj pilni.
Tadeusz się od przodków swoich nie odrodził:
Dobrze na koniu jeździł, pieszo dzielnie chodził,
Tępy nie był, lecz mało w naukach postąpił,
Choć stryj na wychowanie niczego nie skąpił;
On wolał z flinty strzelać, albo szablą robić.
Wiedział, że go myślano do wojska sposobić,
Że ojciec w testamencie wyrzekł taką wolę;
Ustawicznie do bębna tęsknił, siedząc w szkole.

Dobre serce, instynkta szlachetne, dzielność wrodzona, ale zarazem i pewna miękkość, słabość, niewytrwałość i niestanowczość. W sidła Telimeny wikła się nadzwyczaj łatwo, sam nie wie, dla czego i po co, bo jéj nie kocha — ale ma przecież poczucie dziewiczości, uznając, że jest niewinnéj Zosi niegodnym. Jąka się przed stryjem, nie śmiejąc wyznać prawdy, a skłamać nie umie i słucha z pokorą ostrych słów opiekuna. Wyzywa Hrabiego w obronie starców i ujmuje się za kobietą, chociaż nie szanowaną przez siebie. Zasługą chce zmazać winę i dobić się ręki Zosi. — Innym jest zcudzoziemczały, a jednak sercem nie obcy krajowi Hrabia. Sentymentalny, bo sentymentalność w ówczesnym towarzystwie była w modzie,

wielbiciel płci pięknéj, naraża w jéj obronie życie w Birbante-Rokka, i zapomina o wojowniczych zamiarach, żeby cucić zemdlałe kobiety; pełen elegancyi i dobrego tonu, żyje z Soplicami pomimo sporu; krzywi się na zacofanie szlachty, a jednak nie bawi się w zaściankowego kaznodzieję. Niebo włoskie lepiéj mu się podoba, niż polskie; lecz pomimo to, siedzi w kraju i bierze udział we wszystkich sprawach jego. Jest to reprezentant młodzieży, co szukając za granicą ogłady i oświaty, nie wyrzekła się uczuć obywatelskich i przyswoiwszy sobie wiele mniejszéj wagi obcych nawyknień, wnieść mogła do kraju niejednę myśl pożyteczną.

Surowości obyczajów ojcowie nasi przestrzegali starannie: skrzywdzić kobietę nie wełno było nikomu. I ten rys ukazany tu jest w słowach Sędziego:

O Tadeuszku! jeśli może asan Zosię
Zbałamucił i teraz uciekasz młokosie:
To się waści nie uda! Lubisz czy nie lubisz:
Zapowiadam asanu, że Zośkę poślubisz.
A nie, to bizun — jutro staniesz na kobiercu...

Przywiązanie sług do panów wyobraża nam klucznik Gerwazy. Kiedy nie stało panów, przywiązał się do wszystkiego, co mu ich przypomina, a Zosię i Hrabiego, potomka Horeszków chociaż po kądzieli, czci, kocha i strzeże jakby oka w głowie. Długa i wierna służba uprawnia go do pewnéj poufałości; gdéra, nawet opponuje, a wpływ umie wywrzeć i znaleźć posłuch. Klejnotów familijnych Horeszków strzeże wiernie i oddaje je Zosi. — Wojski znowu, daleki krewny i przyjaciel domu, i woźny Protazy reprezentują patryarchalny u dawnéj szlachty stosunek rezydentów do rodzin, którym zawdzięczając kawałek chleba, odwzajemniają się wiernem przywiązaniem i miłością.

Trafnie wprowadzony został do epopei Niemiec Buchman, reprezentant żywiołów obcych, które zrastały z narodem. Sprzeczność zachodzącą pomiędzy żywém, porywczém i niewytrwałém usposobieniem szlachty, a systematycznością i zamiłowaniem do pewnego stałego porządku we wszystkiém tych cudzoziemców spolszczonych, wybornie zarysował poeta, z wielkiém życiem i prawdą, choć tak niby dorywczo i nawiasowo. Ta krótkość czasu, co wiecznie stała na zawadzie, że nie stało się zadość Buchmanowéj radzie — sprawia wrażenie komiczne, bez wzgardy charakteryzuje szlachtę a bez kaznodziejskiego tonu

wskazuje na zbywający jéj namysł i rozwagę we wszystkich przedsięwzięciach.

Śliczną jest postać Jankiela, najpiękniejszy, jaki być mógł i najszlachetniejszy typ żyda polskiego. Nie szczędził dla niego poeta barw idealnych, chociaż nie odstąpił od prawdy, a przynajmniéj prawdopodobieństwa. Ustęp, w którym Jankiel natchniony gra swoję improwizacyę, należy do najpiękniejszych i najpodnioślejszych.

Stosunku włościan do szlachty również nie pominął poeta. I tu występują dwa skrajne, przeciwne sobie światy i wyobrażenia. Na przepaściśty rozdział, jaki niekiedy istniał między ludem a stanem uprzywilejowanych, rzucił poeta zasłonę, gdyż nie mogło być jego rzeczą opisywać krzywd i nadużyć wyjątkowych. Owszem, widzimy nawet pewien patryarchalny związek, widzimy lud biorący udział w uroczystościach szlachty. Na zaręczynach Zosi zastawiono stoły na podwórzu.

Pan Sędzia, skłoniwszy się opuścił biesiadę.
On na dziedzińcu włościan traktował gromadę;
Zebrawszy ich za stołem na dwa staje długim,
Sam siadł na jednym końcu, a pleban na drugim.
Tadeusz i Zofija do stołu nie siedli;
Zajęci częstowaniem włościan chodząc jedli.
Starożytny był zwyczaj, iż dziedzice nowi
Na pierwszéj uczcie sami służyli ludowi.

Niechęć względem ludu i upośledzenie jego włożył poeta w usta ekonoma, klucznika i zaściankowéj szlachty, co nie mogąc czém innem, bogdaj herbem się przechwala. Ekonom mówi n. p.:

Chłopy i radzi temu, kiedy w ich jarzynę
Wskoczy chart; niech otrząśnie dziesięć kłosów żyta:
To pan mu kopę oddasz i jeszcze nie kwita:
Często chłopi talara w przydatku dostali,
Wierz mi pan, że się chłopstwo bardzo rozzuchwali...

A w karczmie Jankiela:

...»Cham! Skołuba krzyknął,
Głupi, tobieć to lepiéj, tyś chłopie przywyknął,
Jak węgorz do odarcia: lecz nam *urodzonym*,
Nam wielmożnym, do złotych swobód wzwyczajonym!
Ach, bracia! wszak to dawniéj szlachcic na zagrodzie...
(»Tak, tak, — krzyknęli wszyscy — równy wojewodzie!«)

Gerwazy zaś słysząc, że Tadeusz chce dać wolność włościanom, z razu nie mało się tém gorszy:

Boję się, żeby to coś nie było z niemiecka!
Wszak wolność nie jest chłopska rzecz, ale szlachecka!
Prawda, że się wywodzim wszyscy od Adama:
Alem słyszał, że chłopi pochodzą od Chama,
Żydowie od Jafeta, my szlachta od Sema,
A więc panujem jako starsi nad obiema.

Zasady postępowe, które miały wejść w życie zaledwie po latach pięćdziesięciu, pięknie reprezentuje Tadeusz, należący już do nowego, młodego świata.

Opiewając ten gwarny świat, pełny życia i samodzielności, przedstawiając naród we wszystkich jego stosunkach, tak domowych jak publicznych, nie mógł poeta zapomnieć o ziemi, na któréj widzimy bohaterów téj wielkiéj epopei, o związku narodu, przeważnie sielskiego i rolniczego, z przyrodą, tak piękną i bogatą i tak ukochaną. To też niezmiernie wiele miłości, czci i natchnienia włożył poeta w obrazy téj pięknéj ziemi i jéj przyrody. Niebo, słońce i gwiazdy, dzień i noc, burzę i ciszę, roślinę i zwierzę — wszystko zobaczysz w jego obrazie. Nie ma takiego malarza natury jak autor »Pana Tadeusza«; nie znajdziesz w całéj poezyi polskiéj tyle barw słowa, które najpiękniejszym barwom ziemi rodzinnéj wyrównać są w stanie — tyle mocy, ile jest w burzy, tyle spokoju, ile jest w cichéj nocy letniéj, kiedy gwiazdy iskrzą się na niebie, wody mówią do siebie szmerem miłośnym, kwiaty i drzewa napełniają powietrze wonią, rosa lśni się a księżyc ozłaca pochyłe chaty i srebrzyste łany.

Dla przykładu przytaczamy wyjątek z opisu nocy letniéj.

Po wieczerzy, i Sędzia i goście ze dworu
Wychodzą na dziedziniec używać wieczoru;
Zasiadają na przyzbach wysłanych murawą.
Całe grono, z posępną i cichą postawą,
Pogląda w niebo, które zdawało się zniżać,
Ścieśniać i coraz bardziéj ku ziemi przybliżać:
Aż oboje skrywszy się pod zasłonę ciemną
Jak kochankowie, wszczęli rozmowę tajemną,
Tłómacząc swe uczucia w westchnieniach tłumionych,
Szeptach, szmerach i słowach nawpół wymówionych,

Z których składa się dziwna muzyka wieczoru.
Zaczął ją puszczyk, jęcząc na poddaszu dworu:
Szepnęły wiotkiém skrzydłem nietoperze, lecą
Pod dom, gdzie szyby okien, twarze ludzi świecą:
Bliżéj zaś nietoperzów siostrzyczki ćmy, rojem
Wiją się, przywabione białym kobiet strojem:
Mianowicie przykrzą się Zosi, bijąc w lice
I w jasne oczki, które biorą za dwie świéce,
Na powietrzu, owadów wielki krąg się zbiera,
Kręci się, grając jako harmoniki sfera;
Ucho Zosi rozróżnia wśród tysiąca gwarów
Akord muszek i półton fałszywy komarów.
W polu, koncert wieczorny ledwie jest zaczęty;
Właśnie muzycy kończą stroić instrumenty.
Już trzykroć wrzasnął derkacz, pierwszy skrzypek łąki,
Już mu zdala wtorują z bagien basem bąki,
Już bekasy do góry porwawszy się wiją,
I bekając raz po raz, jak w bębenki biją,
Na finał szmerów muszych i ptaszęcéj wrzawy,
Odezwały się chórem podwójnym dwa stawy:
Jako zaklęte w górach kaukazkich jeziora,
Milczące przez dzień cały, grające z wieczora.
Jeden staw, co toń jasną i brzeg miał piaszczysty,
Modrą piersią jęk wydał cichy, uroczysty;
Drugi staw, z dnem błotnistém i gardzielem mętnym,
Odpowiedział mu krzykiem żałośnie namiętnym;
W obu stawach piały żab niezliczone hordy,
Oba chóry zgodzone w dwa wielkie akordy.
Ten fortissimo zabrzmiał, tamten nóci zcicha;
Ten zdaje się wyrzekać, tamten tylko wzdycha:
Tak dwa stawy gadały do siebie przez pola,
Jak grające naprzemian dwie arfy Eola.
Mrok gęstniał. Tylko w gaju i około rzeczki
W łozach błyskały wilcze oczy jako świeczki;
A daléj, u ścieśnionych widnokręgu brzegów,
Tu i owdzie ogniska pastuszych noclegów.
Nareszcie księżyc srebrną pochodnię zanieció,
Wyszedł z boru, i niebo i ziemię oświecił.
One teraz w pomroku odkryte w połowie,
Drzemały obok siebie, jako małżonkowie
Szczęśliwi: niebo w czyste objęło ramiona
Ziemi pierś, co księżycem świeci posrebrzona.

Nie dziw, że zapatrując się na przyrodę z tak wielką miłością, poeta przenosił duszę utęsknioną

Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitém.
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
Zieloną, na niéj zrzadka ciche grusze siedzą.

Jakże znany a miły, jak prosty a piękny obraz ogrodu warzywnego.

Drzewa owocne, zasadzone w rzędy,
Ocieniały szerokie pole; spodem grzędy.
Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;
Tam plącząc stronki w marchwi zielonéj warkoczu,
Wysmukły bób obraca na nią tysiąc oczu;
Owdzie podnosi złotą kitę kukuruza;
Gdzieniegdzie otyłego widać brzuch harbuza,
Który od swéj łodygi aż w daleką stronę
Wtoczył się, jak gość, między buraki czerwone.
Grzędy rozcięte miedzą. Na każdym przykopie
Stoją, jakby na straży, w szeregach konopie,
Cyprysy jarzyn, ciche, proste i zielone;
Ich liście i woń służą grzędom za obronę,
Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się żmija,
A ich woń gąsienice i owad zabija.
Daléj maków białawe górują badyle;
Na nich, myślisz iż rojem usiadły motyle
Trzepiotąc skrzydełkami, na których się mieni
Z rozmaitością tęczy blask drogich kamieni:
Tylą farb żywych, różnych, mak zrzenicę mami.
W środku kwiatów, jak pełnia pomiędzy gwiazdami,
Krągły słonecznik, licem wielkiém, gorejącém,
Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.

Jakże w obec tego maleńkiego obrazka maleje Delil ze swemi «Ogrodami», lub Koźmian ze swojém «Ziemiaństwem»!

Patrzmy na zachód słońca, co całe zaczerwienione jak zdro-

we oblicze gospodarza, powraca na spoczynek i błyszczy nad czerniącym się borem jak pożar na dachu — i nim zapadło do głębi, błysnęło jeszcze raz jak świéca przez okiennic szpary. A oto po cichéj nocy

Nad Soplicowem słońce weszło, i już padło
Na strzechy i przez szpary w stodołę się wkradło;
I po ciemnozieloném, świeżém, wonném sianie,
Z którego młodzież sobie zrobiła posłanie,
Rozpływały się złote, migające pręgi
Z otworu czarnéj strzechy, jak z warkocza wstęgi;
I słońce usta sennych promykiem poranka
Drażni, jak dziewczę kłosem budzące kochanka.

Słyszysz?

Tam derkacz wrzasnął z łąki, szukać go daremnie,
Bo on szybuje w trawie, jako szczupak w Niemnie;
Tam ozwał się nad głową ranny wiosny dzwonek,
Również głęboko w niebie schowany skowronek;
Ówdzie orzeł szerokiém skrzydłem przez obszary
Zaszumiał....
Zaś jastrząb', pod jasnemi wiszący błękity,
Trzepie skrzydłem, jak motyl na szpilce przybity—
Aż ujrzawszy śród łąki ptaka lub zająca,
Runie nań z góry, jako gwiazda spadająca.

A gdy wiszącego śród chmury jastrzębia dostrzeże kogut, co odprawia warty,

Stanie i nieruchomie dzierżąc dziób zadarty,
I głowę grzebieniastą pochyliwszy bokiem,
Aby tém łacniéj w niebo mógł celować okiem
Krzyknie, i zaraz w ogród chowają się kury,
Nawet gęsi i pawie, i w nagłym przestrachu
Gołębie, gdy nie mogą schronić się na dachu..

Nawet muchy słyszysz brzęczące i wrogi much — pająki zwane kosarzami:

Zaledwie która bzyknie, już długiemi nogi
Obejmuje ją w koło i dusi mistrz srogi.

A w lesie:

Czasem wymkną się w górę, przez trawy zielenie,
Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie,
I mignie między drzewa źwierz żółtawym pasem,
Jak promień, kiedy wpadłszy, gaśnie między lasem.

I znowu cichość w dole. Dzięcioł na jedlinie
Stuka zlekka i daléj odlatuje, ginie,
Schował się; ale dziobem nie przestaje pukać,
Jak dziecko gdy schowane, woła by go szukać.
Bliżéj siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma,
Gryzie go; zawiesiła kitkę nad oczyma
Jak pióro nad szyszakiem u kirasyera:
Chociaż tak osłoniona, dokoła spoziera,
Dostrzegłszy gościa, skacze gajów tanecznica
Z drzew na drzewa, miga się jako błyskawica;
Nakoniec w niewidzialny otwór pnia przepada;
Jak wracająca w drzewo rodzime Dryada.

Tu znowu z dachu Macieja spada wróblów krzykliwa hołota — a królików trzodka białopucha

Bieży do starca, liśćmi kapusty znęcona,
Do nóg mu, na kolana skacze, na ramiona.

Ile w tém wszystkiém wdzięku i poezyi: ale jakiejże mocy nabiera słowo poety, gdy opisuje puszcz litewskich przepastne krainy, lub niebezpieczne łowy na niedźwiedzia:

Słychać z głębi ryk, trzask łomu,
A[illegible] gęstwy, jak z chmur, wypadł niedźwiedź nakształt gromu,
Wkoło psy gonią, straszą, rwą; on wstał na nogi
Tylne i spójrzał wkoło, rykiem strasząc wrogi,
I przedniemi łapami, to drzewa korzenie,
To pniaki osmalone, to wrosłe kamienie
Rwał, waląc w psów i w ludzi, aż wyłamał drzewo,
Kręcąc niém jak maczugą, na prawo, na lewo....

albo nareszcie burzę huczącą nad ziemią (zob. wyżéj). A jak znowu łagodnieje dźwięk jego, gdy maluje pogodny ranek:

Wiatr rozwinął dłonie
I mgłę muskał, wygładzał, rozścielał na błonie;
Tymczasem słonko z góry tysiącem promieni
Tło przetyka, posrebrza, wyzłaca, rumieni.
Jak para mistrzów w Słucku lity pas wyrabia:
Dziewica siedząc w dole krośny ujedwabia
I tło ręką wygładza, tymczasem tkacz z góry
Zrzuca jéj nitki srebra, złota i purpury,
Tworząc barwy i kwiaty: tak dziś ziemię całą
Wiatr tumanami osnuł a słońce dzierzgało.

Ze stanowiska estetyki podziwiać jeszcze należy ów epiczny związek ziemi, nieba, zwierząt, roślin i kwiatów, słowem całéj przyrody z człowiekiem. Wiadomo, jak martwy jest każdy krajobraz, jeśli nie ma na nim ludzi, a znowuż jak koniecznem przyroda jest tłem obrazu. Ani słońce, ani księżyc, ani lasy ni góry nie są właściwym przedmiotem poezyi, zajmującéj się przedewszystkiém sprawami ducha — i dla tego poeta maluje nie tyle przyrodę w jéj zewnętrznéj postaci, ile wpływ wywierany przez nią na umysł i uczucie człowieka i o ile jest ona w związku ze stroną jego duchową. Jeżeli n. p. wprowadza nas do ogrodu — to dla tego, że wśród kwiatów i grządek piękniejszą jest jeszcze Zosia; jeśli nam ciszę nocną przedstawia, pełną harmonijnych szmerów i pogody, to dla tego, że od spokoju natury odbija niespokojne krzątanie się ludzi około zakłócenia zgody i spokoju domowego — a burza przerywająca tę ciszę jest jakby zwiastunem burzy, co się wnet podniesie nad głowami ludzi; kometa zapowiada nieszczęście; obraz zaś lasów i kniei jest koniecznym ze względu na zajęcie i zabawy ludu żyjącego śród puszcz.

Słowem we wszystkich względach poeta zaspakaja w zupełności najwybredniejsze wymagania krytyki: bo czy to zechcemy sobie z góry postawić wyrozumowaną teoryę, to wszędzie poemat jéj odpowiada, czy przeciwnie wysnujemy z «Pana Tadeusza» zasady estetyczne (jak n. p. Hegel z Homera), to będą one rozumne i piękne. Przedmiotowość, zaparcie się własnéj osobistości posunął poeta do najwyższego stopnia, a nawet w tych kilku ustępach, gdzie zdaje się przemawiać od siebie i o sobie, wyraża uczucia stanowiące własność całego narodu, a które z nim dzieli każdy czytelnik. Nawet w tém prostém zakończeniu epopei:

I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem,
A com widział i słyszał w księgi umieściłem —

jakże szczęśliwie dał poeta czysto ludowy zwrót, którym każdy bajarz, każda piastunka powieść swą kończy. Nie można być bardziéj narodowym i bardziéj sztukmistrzem. Dając nam dzieło mistrzowskie, poeta nigdy nie zwraca uwagi na siebie, nigdzie nie mówi: «Patrzcie, ja mistrz!» Słyszymy natchnione słowo jego, a nie widzimy jego twarzy; czujemy ciepło, jednostajnie rozlane po całém dziele, a nie widzimy ani piersi ani serca poety, dotykamy się kształtów, które wyrzeźbił, a nie znać ręki rzeźbiarza.

Forma w «Panu Tadeuszu» od piérwszéj do ostatniéj karty jest doskonała. Wiersz zbudowany bez skazy a epickiemu spokojowi opowiadania właściwy, płynie lekko, potoczyście, bez trudu, a zawsze pełen jest naturalnéj powagi. Podział na księgi trafny, rozkład i ugrupowanie wyborne; myśl zawsze w odpowiednią ubrana szatę — raz strojną i świetną, to znowu skromną i prostą. Język jędrny, silny, pełen barwy, bogactwa i porównań znamienitéj piękności, najczystszy, na wskróś polski. Pomysł cały i wykonanie najzupełniéj narodowe, samotwórcze, oryginalne. Nigdzie nie ma naśladownictwa. Nawet epickie przybory, zwroty, epiteta, w których nad wszystkimi epikami zapanował Homer, nie mają żadnego wzoru, są zupełnie odrębne, samodzielne, swojskie. Nie ma tu bohaterów szybkonogich, ani bohaterek sowio-okich: — owi Chrzciciele, Maćki, Scyzoryki, Kurki na kościele, Rózeczki, Saki — to wszystko nasze, to własne; a owe powtarzające się zwroty:

Różnie mówiono o tém,
Lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas ni potém.

albo:

Krótkość czasu stała na zawadzie,
Że nie stało się zadość Buchmanowéj radzie,

będące jakoby przestankami, na których uwaga spoczywa, aby się na następne wypadki przygotować, należą do niemniéj szczęśliwych pomysłów.

W zupełności podzielamy zdanie przytoczonego powyżéj krytyka, że «po Iliadzie i Odyssei nie było i nie ma epopei wyższéj i bardziéj oryginalnéj jak «Pan Tadeusz». — Nie idąc śladem wielkich poematów Homera, równą jest im co do wartości pod każdym względem i możemy być pewni, że bezstronny sąd całego świata postawi «Pana Tadeusza» w jednym szeregu z epopejami Hellenów»... Jakkolwiekbądź podzielone być mogą zdania, dla nas Mickiewicz wyższym jest od wszystkich naszych poetów, nie wyjmując nawet tak genijalnych jak Słowacki lub Krasiński. «Pan Tadeusz» zaś jest szczytem twórczości Mickiewicza, jest najważniejszym i najznakomitszym faktem w historyi polskiéj poezyi — i jeden tylko ma warunki ziszczenia pięknego marzenia poety, wyśpiewanego w przecudownym prologu pośmiertnym:

O, gdybym kiedyś dożył téj pociechy,
Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy;

Żeby wieśniaczki kręcąc kołowrotki,
Gdy odśpiewają ulubione zwrotki
O téj dziewczynie, co tak grać lubiła,
Że przy skrzypeczkach gąski pogubiła,
O téj sierocie, co piękna jak zorze,
Zaganiać ptastwo szła w wieczornéj porze:
Gdyby też wzięły wieśniaczki do ręki
Te księgi, proste jako ich piosenki!..

Tak za dni moich, przy wiejskiéj zabawie,
Czytano nieraz, pod lipą na trawie,
Pieśń o Justynie, powieść o Wiesławie;
A przy stoliku drewnianym pan włodarz,
Albo ekonom, lub nawet gospodarz,
Nie bronił czytać, i sam słuchać raczył,
I młodszym rzeczy trudniejsze tłómaczył,
Chwalił piękności, a błędom wybaczył.

I zazdrościła młodzież wieszczów sławie,
Która tam dotąd brzmi w lasach i w polu,
I którym droższy, niż laur kapitolu,
Wianek rękami wieśniaczki usnuty
Z modrych bławatków i zielonéj ruty...

Z licznych wydań pism Mickiewicza najzupełniejszą jest ostatnia 11-sta, paryzka (1871) opracowana przez syna poety, Władysława. Korrespondencya Adama, na nieszczęście niezupełna, wyszła także staraniem syna poety r. 1872 we 2-ch tomach. Tenże ogłosił drobniejsze pośmiertne utwory Adama p. t. *Mélanges posthumes d'Ad. M.* (Paryż, 1872). Poeta je pisał po francuzku. Ważniejsze z nich są ułamki dwóch dramatów «*Les Confédérés de Bar*» i «*Jacques Jasiński*», świadczące o znakomitéj zdolności autora do charakteryzowania postaci i obrazowania. Przed kilku laty grywano je na teatrze krakowskim i lwowskim w przekładzie polskim. Przekładu prelekcyj Mickiewicza dokonał Feliks Wrotnowski. Pisma poety tłómaczono na wszystkie niemal europejskie języki. Na francuzki przekładali je Krystyn Ostrowski, Feliks Miaskowski, Burgaud de Mazets, Louison i inni; na niemiecki: Spazier, Blankensee, Weiss i t. d.; na angielski: Jabłoński, Catléy, Rive; na czeski: Czelakowski, Stula, Galt; na rossyjski: Puszkin, Kozłow, ks. Wiaziemski, ks. Wołkońska, Szewyrew, Szerszeniewicz, Berg i wielu innych. M. Berg przełożył całego «Pana Ta-

deusza". Wiele szczegółów o życiu domowém Adama zawiera dziełko p. t. „Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu opowiedziane najmłodszemu bratu przez Maryę Gorecką" (Warsz. 1875).

3. Poeci pomickiewiczowscy.

Mickiewicz skupił w natchnieniu swojém najświetniejsze promienie narodowego ducha. Widzimy w nim wszystkie myśli wznioślejsze, wszystkie najszlachetniejsze i najgłębsze uczucia, wszystkie najpiękniejsze marzenia i porywy, właściwe całéj społeczności i wyrażone w najdoskonalszéj, a obok tego najzupełniéj rodziméj formie. Nie można być jednocześnie bardziéj wszechstronnym i bardziéj narodowym. Z niesłychanie bogatą treścią połączywszy formę swojską, plemienną, Mickiewicz pierwszy, można powiedzieć, zdobył dla poezyi polskiéj miejsce w nowoczesnéj literaturze europejskiéj, albowiem takie tylko arcydzieła otwierają młodym szczepom wspaniałe jéj podwoje, które noszą na sobie cechę wszechludzką i narodową zarazem, powszechną i oryginalną. Nadto można powiedzieć, że Mickiewicz utworami swojemi potrącił tysiące strun dotąd śpiących w duszach swych ziomków, i wszystkie one odezwały się pod ręką mistrza głośniejszém lub cichszém drgnieniem; niektóre zaś zabrzmiały przecudną melodyą natchnienia prawdziwie wieszczego. Ztąd uważamy Adama za bezwarunkowo wyższego od wszystkich późniejszych poetów, nie wyłączając najznakomitszych, których możnaby nazwać potomstwem duchowém Mickiewicza, gdyż każdy zapalał światełka swoje w tym wielkim, nigdy dostatecznie nie wysławionym duchu, a żaden mu nie wyrównał jasnością i majestatem.

Trzech następujących poetów możnaby nazwać *wieszczami ducha*, gdyż wszyscy trzéj mało mają przedmiotowości, a natomiast w każdym przeważa jedna z pierwszorzędnych potęg duchowych, panując wyraźnie nad innemi — w jednym myśl, w drugim uczucie, w trzecim wyobraźnia. Mówimy o Garczyńskim, Krasińskim i Słowackim.

Stefan Garczyński urodził się w Kosmowie (w Kaliskiém) r. 1805. Straciwszy rychło ojca, kształcony był w domu stryja swego Fryderyka Skorzewskiego w Lubostroniu. Nauki odbywał w Trzemesznie, w liceum warszawskiem, a ukończył w Berlinie, gdzie namiętnie oddał się filozofii, zgłębiał wszystkich sławnych filozofów niemieckich, a szczególniéj przywiązał się do Hegla. Po kilku leciech pilnéj nauki, zbadawszy

wszystkie teorye filozoficzne, powziął zamiar ufundowania filozofii polskiéj. Był on wtenczas bardzo nieszczęśliwy. Przybywszy do Niemiec z resztkami zabytków religijnych, stracił je wkrótce, stał się niedowiarkiem, w filozofii Hegla upatrywał najwyższy wykład chrystyanizmu, bo jak wiadomo Hegel i zwolennicy jego szkoły, ubóstwiając rozum człowieczy i wierząc we wcielanie się Bóstwa w ludzi, występują mimo to ciągle z formułami chrześcijańskiemi, prawiąc o *Słowie, które było na początku, o grzechu pierworodnym* i t. p., chociaż to u nich co innego znaczy, niż u chrześcijan prawowiernych. Zdaje się że w owym czasie kiedy Garczyński odbywał nauki w Berlinie, nie było nikogo prócz niego coby obejmował całość idei Heglowskiéj. Przeniknął on ją bardzo dobrze, i nawet niektórym professorom niemieckim wytłómaczył. Sławny Ganz oddawał mu tę sprawiedliwość. — W r. 1829 i 1830 podróżował Garczyński po Włoszech, gdzie poznał się w domu państwa Ankwiczów z Adamem Mickiewiczem, z którym odtąd aż do śmierci wiązała go przyjaźń gorąca. Pod wpływem jéj duch jego wyzwolił się z więzów zimnéj filozofii Hegla i ożywił się ciepłem wiary. Wypadki ówczesne powołały go do kraju, lecz po stłumieniu powstania zmuszony był go opuścić i wyjechał do Drezna, gdzie znowu spotkał się z Mickiewiczem. *) Zapadłszy na nieuleczoną chorobę piersiową, wyjechał za radą lekarzy do Szwajcaryi, a następnie do Francyi. W dolęgliwych cierpieniach ulgę mu przynosiła troskliwa opieka Mickiewicza i Klaudyny Potockiéj, którzy oboje z nieograniczoném poświęceniem poetę tak rychło gasnącego pielęgnowali. Na jesień r. 1833 miał Garczyński w towarzystwie nieodstępnego Mickiewicza pojechać do Włoch dla przepędzenia zimy pod łagodniejszém niebem, lecz choroba czyniła tak gwałtowne postępy, że obydwaj musieli zatrzymać się w Avignonie. Tutaj Garczyński umarł we wrześniu r. 1833.

Poezye Garczyńskiego wydane zostały pod okiem i staraniem Mickiewicza w Paryżu przed samą śmiercią poety. W dwóch tych małych tomikach poemat *Wacława dzieje* zajmuje główne i najobszerniejsze miejsce. Unosi się nad nim Mickiewicz w listach do autora a późniéj w prelekcyach swoich jako

*) W tym czasie Adam pisał do Lelewela: «Jest tu Garczyński. Dwa lata znałem go w Rzymie, a nic mi nie czytał i nie wiedziałem że pisze. Talent wielki i daleko pójdzie; już teraz jest na stanowisku, na którém ostatnie dzieła moje spoczęły.»

nad "największego rozmiaru i najfilozoficzniejszym utworem z pomiędzy wszystkich, jakie są w językach słowiańskich." Przedmiotem poematu jest życie pojedyńczego człowieka w różnych zmianach mających wpływ na jego stan moralny. Bohater Garczyńskiego przypomina poniekąd bohaterów Byrona: jest to nieszczęśliwy młodzieniec, dla którego nic już na tym świecie nie ma ponęty, który wśród bogactw i wszelkich przyjemności umierając z rozpaczy, w naukach szuka rozrywki. Widzimy w nim coś nakształt Fausta, coś nakształt Manfreda: ale nie żądza nieograniczona władzy, ani namiętność go pożera: jest on nieszczęśliwym, bo nie widzi moralnéj przyczyny bytu swéj społeczności, bo w filozofii znalazł tylko apoteozę siły *). Myśl ta jednak odkrywa się dopiero przy końcu. Poemat zaczyna się od rozmowy bohatera z księdzem w kościele przy grobie Chrystusa w dzień posępny i uroczysty wielkiego piątku. W imię uczuć szlachetnych i wzniosłych, w imię miłości rodu ludzkiego, młody Wacław potępia suchy, martwy, logiczny wykład nauki Chrystusa, woła o jéj rozwinięcie i zastosowanie.

Miotany zwątpieniem Wacław żyje samotnie, rzadko dając się widzieć; przestrasza tylko swoich włościan kiedy w czarnym ubiorze konno przebiega okolice. Często znowu:

Śpią wszyscy — w całéj wiosce milczenie grobowe,
Jeden jest tylko człowiek który spać nie może.
Oczy jego biegają niby czujne stróże
Dzikich marzeń, które mu zawichrzyły głowę,
Myśli jego na wieki potępione więźnie!
Gdy wioska cała w miękkim spoczynku zagrzęźnie,
I sen, jak chmury niebo, zasuwa powieki,
Podróżny go spotyka u spienionéj rzeki
Leżącego na brzegu; albo też u wzgórza,
Gdzie rozpadłin bez liku, bystréj wody ścieki,
On się w bystrzejszych myślach — w dumaniach zanurza.

Nie mogąc znaleźć uspokojenia ani w religii, ani w filozofii, nieszczęśliwy młodzieniec odzywa się do własnego jestestwa tajemnego, które jako wypływ Boga powinno wiedzieć coś o prze-

*) Rzeczywiście filozofija Hegla ubóstwiając rozum człowieczy i dowód tego rozumu wskazując tylko w robocie ludzkiéj, w robocie zewnętrznéj i widomej, oddawała hołd powodzeniu, i w Niemczech, a mianowicie w Królestwie Pruskiém upatrywała najwznioślejszy wyraz rozumu i siły człowieka, czyli tém samém najwznioślejszy wyraz Bóstwa.

znaczeniu ludzkiém, powiada że to jestestwo, ten człowiek wewnętrzny poruszony, wywołany, nauczy jak rozwiązać zagadkę losów ludzkości i gdzie znaleźć siłę. Ta myśl, podług Mickiewicza, jest zasadą poematu Garczyńskiego, t. j. że w wyzwoleniu ducha możemy znaleźć mądrość i potęgę. W odzie, którą niby bohater poematu do swego genijusza napisał Garczyński powiada, że serca wzniosłego dowodem jest myśl wysoka; że to myśl co ma serce wzniosłe za podstawę, tworzy czyny potężne, że prorocy łącząc wiedzę z przeczuciem, dają świadectwo myśli, a nawzajem czas im przyświadcza. Wszystko więc ma początek w sercu.

Przytaczamy piękną tę odę w całości.

Oda do Genijusza.

Genijuszu! ty jeden nie opuść mnie w życiu!
Skrzydłem twém boskiem obwiewaj mą duszę,
A śpiewać będę, i śpiewem poruszę
Siły tajemne, choć w piekła ukryciu!
Kiedy chmury jak duchy powietrznego gmachu,
W olbrzymich kształtach, odzieniem ciemnoty
Niebo zakryją—zadrzy świat w przestrachu,
Niechaj mnie wzniosą skrzydeł twych poloty,

Tam — w chmury czarne —
Pieśn i tam zadźwięczy;
A okiem tęczy
Chmury w krąg ogarnę.

Genijuszu! gdy burza zeszle wiatry mściwe
I niebo morzem ognia się zapali,
Chcę jak rumaka schwycić fali grzywę,
I twojém skrzydłem popędzić na fali.

Niechaj nadpowietrzne żagle
Serce moje, duszę wzmogą:
Wiatry zdepcę moją nogą
I do jarzma wiatry znaglę.

Genijuszu! gdy ludzie uśpieni bezwiednie
Od burzy legną co zmysły ich głuszy,
Śpiew ty mój natchnij! a z duszy do duszy,
Jak słońce w oko śpiew mój błyszcząc wpadnie.

Wszystkie siły wstrząśnie na dnie,
Wstrząśnie cały świat uśpiony,
Jako lutni mojéj strony
Kiedy ręka niemi władnie.

Genijuszu! ty i pierś natchniesz zemsty pieśnią,
I śpiew mój będzie czuły, jak płacz matki,
Mściwy jak w piekle zemsty sobie nie śnią;
I ludzie— niebo— staną mu na świadki:

Jako sercu, myśl wysoka,
Jako myśli, czynów dzielność,
Jako czas— pieśniom proroka,
Jako prawdzie— nieśmiertelność!

A gdy przyjdzie godzina, wieszcz słaby zaginie,
Genijuszu! ty i w śmierci bądź moim aniołem;
Niech życie skończę, jak życie zacząłem,
Życie i śpiew mój ach w jednéj godzinie!

Niech ostatnie głosy moje,
Jak dźwięk lutni w echa brzmieniu,
We śnie miłym tam dostroję,
Tam dosłyszę w przypomnieniu!

Z tąż samą odwagą z jaką rozdarł zasłonę świątyni, Wacław poczyna zgłębiać tajemnice umiejętności, i spostrzegłszy czczość nauk, nicość systemów filozoficznych, cofa się z przestrachem. Porwany zapędem własnéj głowy, widzi że wpadł w zamęt, w prawdziwe obłąkanie, i nie może powstrzymać rozbujanego rozumu, aż nakoniec poznaje, że rozum nie jest duszą. Podług niego szatan, to rozum potężny, który pożera duszę, a gdy jéj nieśmiertelność zostanie w drobnéj tylko iskierce, wtedy przygasła i nieszczęśliwa, sama napada na wszystko co ma życie i niszczy stworzenie.

Czuł to Wacław— czuł więcéj— bo dumne nauki,
Jako w białość papïeru nasadzone druki,
Splamiły mu niewinność— serce mu wykradły.
Tak mówią, że na ludzką krew upior zajadły,
Gdy ofiarę wybierze, z któréj soki pije,
Ofiara umrzeć musi— lecz zmarła ożyje,
I mordercy swojego postępując torem,
Znów niewinnych krew chłepcąc, staje się upiorem.

Tém jest rozum nabyty, alboli też raczéj,
Tém przez rozum z krwi dusza wyssana człowieka:
Jaka śmierci opieka, taka jéj opieka.
Komu serce gra w piersiach, temu nie przebaczy:
Czujesz świata cudowność, i myśl w świecie Bożą?
Nauki ci świat, Boga, na części rozłożą,
I poznasz błąd twój dawny— Kiedy niebo gromy
Ręką ciska olbrzymią, błysk świeci po błysku,
To chmury trą się z sobą; a co chmury, niebo—
Fizycy wytłómaczą, wiedzą astronomy.
Kochasz się?— patrz czy miłość przyniesie co w zysku.
Gdy nie— miłość jest głupstwem, bo pieniądz potrzebą.
A przecież Wacław nie wziął się do książek lekkomyślnie.
Kiedy blask wiary zciemniał mu w duszy,
Myślił tedy, że z nauk iskrę po iskierce
Zsypując, znowu światłem jasném duch zabłyśnie;
Oszukał się okropnie!— rozumowań słowa
Słyszał ciągle— w nich jakaś treść— ziarno— osnowa,
A duszy ani śladu — Czasem niecierpliwie
Rzucając książkę z ręki, wołał na głos cały:
»Gdzież jest Bóstwo, które ja w piersiach moich żywię?
»Przyjaźni zapał— miłość— wolności zapały,
»I myśl co człeka tworzy i różni od zwierza?
»Gdzie jest Bóg, stwórca świata?«— Książki nie wiedziały.
.....
»Rozbrat więc z niemi wieczny«— pomyślił, wykona.
Wacław czucia i myśli na frymarkę nie ma:
Raz jeszcze w świat ów martwy zatoczył oczyma
Dzisiaj— i nic nie znalazł— dusza przesilona,
Kurzem już żyć nie może głupcom ku podziwie,
Z pogardą więc pchnął stolik ręką niecierpliwie.
.....
»Niechaj mól życie nędzne w starych księgach pędzi,
»Niech się w kartę zbutwiałą z ciekawością wżera,
»Moja ręka naprożno tysiąc ksiąg otwiera,
»I warzy doświadczenia z tysiącznych narzędzi.
»Któż jak ja z potem czoła męczył się i czytał!
»Dziś gdym na równi z wami, gdybym się zapytał
»Czegoście nauczyli i co sami znacie,
»Wstydby wam czoło, serca i rozum wypalił,
»Jeśli wstyd znacie jeszcze— wam gdybym się żalił:
»Zamknijcie księgi dumne, i w nauk warsztacie,

»Na każdéj ścianie, każdéj książkowéj okładce,
»Zapiszcie jednę prawdę— wypadek zagadce:
»I ja z wami zapiszę: *że człowiek zrodzony*
»*By wszystkiego dociekał, sam niedocieczony!*«

Do takiego tedy przyszedłszy wypadku, kiedy w naukach nie znajduje rozwiązania tajemnicy najważniejszéj, jaka obchodzi ludzkość, tajemnicy przyczyny i celu bytu człowieka, odtrąca precz nauki i książki. Ale nie dość na tém, uniesiony gniewem brnie daléj, puszcza się we wszystkie sofizmata, chce rozerwać węzeł rodziny, słowem idzie już prosto do występku, wypowiada wojnę społeczeństwu, staje się ofiarą złego.

I cóż go ocala? — Oto z zimnych i czczych wysokości wpadłszy niespodzianie pomiędzy lud, po raz pierwszy dopiero trafił na prawdę. W charakterze i uczuciach swego narodu postrzegł znak istotnego życia, a życie nie może mieć innego źródła jak prawdę. Scena, w któréj poeta opisuje pierwsze znalezienie się młodego filozofa wśród ludu, jest jedną z najpiękniejszych i najoryginalniejszych w poemacie. Właśnie kiedy pasował się z sobą w swoim gabinecie, doleciał go z pola daleki śpiew włościan wieczorem w święto Wielkiéj Nocy idących do karczmy. Śpiew ten sprawił na nim dziwne wrażenie. Zatrzasnął okno, wybiegł z dworu i uboczną drogą poszedł za wesołą drużyną. W izbie karczemnéj hałas, śmiech, muzyka, tańce, zwady i zabawy: stojąc pod oknem słuchał i najprzód to gniewał się to zazdrościł, potém chciał sobie wytłómaczyć szczęście prostaków: »Oni się bawią — mówił — są szczęśliwi i spokojni, bo świat w ich duszy ciasny jak ich codzienne potrzeby«. Wtém zawołano na skrzypka żeby zagrał ulubionego tańca narodowego. I nagle jedna myśl cały tłum ogarnęła.

Rozmowy i kłótnie
Ustały jak deszcz kiedy zaświeci pogoda,
Albo gdy kur zapieje złych upiorów harce.

Muzyka ta uderzając duszę Wacława jakby laską czarodziejską, obudziła ją z letargu, myślom, uczuciom dała ciało, życie. Ożył na nowo.

Tak słowo w dobréj ludziom powiedziane chwili
Jak trąba archanioła, stworzy ich czém byli.

Tak tedy temu człowiekowi co już nakoniec w nic nie wierzył, prawie zaparł się Boga, odrzucił wszystkie prawdy mo-

ralne, Bóg ukazuje się znowu w największem z dzieł swoich, w narodowości.

Rzecz godna zastanowienia, że Garczyński, jeden z najzdolniejszych i najgorliwszych wyznawców Hegla, ów młodziutki mistrz professorów, po zbadaniu wszystkich labiryntów metafizyki i logiki niemieckiéj, wrócił pod strzechę mądrości rodzimej. Widzieliśmy w poprzednich okresach, że Polacy (równie jak i wszyscy Słowianie) zawsze mieli wstręt do metafizycznych zaciekań i suchych formuł logicznych. Więcéj ich pociągały założenia filozofii moralnéj i praktyczne zastosowanie ich w życiu. Wola, jako pierwiastek czynu psychologiczny, i *wola* w znaczeniu ludowém, jako ideał ustroju społecznego, jednoczący w sobie warunki swobody i ładu, to najwięcéj ich zajmowało. Na polu tém przyświecał im raczéj płomień uczucia lub chwilowe błyski natchnienia, niż trwałe i jednostajne światło rozumu. Garczyński rzucając rękami Wacława cały swój filozoficzny dobytek pod nogi ludu, okazał się przez to poetą narodowym, choć jednostronnym a przeto ułomnym.

Wady poematu, mistycyzm, mglistość naczelnéj myśli, naśladowanie gdzieniegdzie bohaterów Byrona a jeszcze więcéj Konrada Mickiewiczowskiego (z »Dziadów«), nareszcie niedostateczne panowanie nad formą, wszystko to przeważają niepospolite piękności poematu: bogactwo treści filozoficznéj, szczytność polotu, wymowa porywająca i nieudany, szlachetny zapał dla wielkich zagadnień ludzkości *).

Drobniejsze utwory Garczyńskiego, szczególniéj sonety wojenne, tchną wielką siłą i przepełnione są pięknemi obrazami wrzawy i sławy bojowéj. W tym rodzaju poezyi mało który z poetów dorównał Garczyńskiemu.

Poezye Garczyńskiego wyszły w Paryżu ozdobnie wydane r. 1860; następnie w *Bibliotece pisarzy polskich* w Lipsku, całego zbioru tomik I.

Napoleon Zygmunt Krasiński urodził się d. 19 lutego r. 1812 w Paryżu. Był synem Wincentego Krasińskiego podówczas adjutanta Napoleona, następnie generała dywizyi wojsk polskich i senatora wojewody, wnukiem zaś Jana starosty opinogórskiego, jednego z najcelniejszych posłów Sejmu Wiel-

*) Niegdyś Mickiewicz przecenił wartość Garczyńskiego, a w ostatnich znowu czasach hr. Tarnowski, w jednym z krytycznych artykułów swoich, wpadł w ostateczność wbrew przeciwną a mniéj uzasadnioną.

kiego, który za żonę miał Czacką, siostrę Tadeusza. Matką Zygmunta była Marya księżniczka Radziwiłłówna. Kiedy miał 3 lata, ojciec jego po upadku Napoleona w r. 1815 przyprowadził wojska polskie do kraju. Odtąd rodzice Zygmunta zamieszkali w Warszawie, i tu otoczony pieczołowitością rodzicielską przepędził on pierwszą swą młodość aż do r. 1828. Matkę, którą stracił w 10 roku życia, kochał z pewném uczuciem pieszczotliwości, jaka właściwą jest płci niewieściéj, dla ojca miał zawsze najgłębszy szacunek i posłuszeństwo. Kształcił się w domu z początku pod kierunkiem Józefa Korzeniowskiego, znanego powieściopisarza, potém Jana Jakubowskiego, wreszcie Chlebowskiego *). Zdolności okazywał niepospolite. Korzeniowski sam opowiadał, jak nastarczyć nie mógł zadziwiającéj chciwości wiedzy młodego ucznia, którego umysł już wówczas w nieznane rwał się światy. W 14 roku wstąpił Zygmunt Krasiński do liceum warszawskiego, którego rektorem był Linde; celował głównie w historyi, w literaturze i w językach starożytnych, których głęboka znajomość przebija się we wszystkich jego utworach. Powiadają o nim, że wówczas już objawił powołanie pisarskie, przerabiając prozą na łacinę ballady Mickiewicza, co także jest dowodem niepośledniéj zdolności, bo ani natura tych utworów, ani pojęcia ludowe w nich zawarte, nie przystawały do toku mowy łacińskiéj i poeta musiał tu przełamywać niesłychane trudności. Późniéj tłómaczył na francuzkie Lelewela. Rozbudzony duchem powieści Walter-Skotta, na ich wzór napisał powieść, którą ojciec wprawdzie przyjął z zadowolnieniem, lecz natężoną pracę zganił i nauczycielom zlecił czuwanie nad tém, aby Zygmunt po nocach nie pisywał. W r. 1827, po złożeniu egzaminu dojrzałości, przeszedł Zygmunt do uniwersytetu i poświęcił się nauce prawa. Pomiędzy współuczniami miał dużo przyjaźni. Kiedy młodzież zamiłowana w literaturze a duchem już nowéj twórczości owiana, siliła się na obrazowe odmalo-

*) Oprócz nauczycieli kształciło go dobrane towarzystwo, które ojciec w domu swoim gościnnie przyjmował. Tu poznawał młody Zygmunt zasłużonych w literaturze mężów, i z uwagą przysłuchiwał się rozmowom o rzeczach poważnych. Do najczęstszych gości generała Krasińskiego należeli: Niemcewicz, Woronicz, Ludwik Osiński, generał Fr. Morawski, Brodziński, Lelewel, Linde, Odyniec, Gaszyński, Żółkowski komik i wielu innych. Po wystąpieniu Mickiewicza toczyły się w tém kole żywe spory o klassycyzmie i romantyzmie. Przeciw nowemu w poezyi kierunkowi występował Osiński, bronił go zaś najgorliwiéj Odyniec.

wanie przeszłości po walterskotowsku i napisała sławny romans »*Władysław Herman i dwór jego*«, największy udział w téj pracy przypadł Krasińskiemu. Probował i oryginalnych zupełnie utworów i napisał np. wtenczas powiastkę z czasów wojny 30-letniéj p. n. »*Grób rodziny Reichstallów*«, w któréj znać już popęd jego ku dramatycznym obrazom; przedstawił tam sławnego Wallensteina. (Obie powieści były drukowane, pierwsza osobno r. 1829, druga zaś r. 1828 w *Rozmaitościach* przy *Korrespondencie Warszawskim*). Smutne zajście z kolegami, wywołane niewzięciem udziału w pogrzebie senatora Bielińskiego, stało się powodem, że Zygmunt Krasiński udał się r. 1828 do Szwajcaryi. Ztąd zrobił pierwszą wycieczkę do Włoch, resztę zaś czasu poświęcił w Genewie pracy umysłowéj. W tym czasie napisał piękny artykuł o literaturze polskiéj do *Revue encyclopédique*, i wykończył powieść »*Zawisza Czarny*«, która w drodze do Warszawy zaginęła.

Od r. 1829 poczyna się w życiu Krasińskiego nowy peryod, w którym duch jego doświadczony w ogniu cierpienia spotężniał i nabrał téj rezygnacyi i wzniosłości, która cechuje jego poetyczne utwory. Wyobraźnię jego głównie rozbudził i wpływem swoim rozwinął Adam Mickiewicz, z którym się poznał r. 1829 w Genewie, kiedy tenże podróż po Niemczech, Szwajcaryi i Włoszech odbywał. Znajomość przypadkowo zabrana *) zamieniła się w przyjaźń, i obydwaj poeci wraz z Edwardem Odyńcem zwiedzali góry Szwajcaryi. W następnym roku znaleźli się obaj w Rzymie, gdzie natenczas bawiło wielu znakomitszych Polaków i Francuzów. Wkrótce, skutkiem wiadomości nadchodzących z kraju, Zygmunt rozchorował się ciężko, co stało się źródłem nieustających już potém cierpień nerwowych; od tego też czasu, celem odzyskania zdrowia przebywał

*) Jeden z biografów Krasińskiego opowiada to zdarzenie w następujący sposób: «Zdarzyło się jednego razu (w Genewie), że Krasiński siadł do fortepianu i zaczął grać ulubioną nutę swoję: *Ostatnia myśl Webera*. Stanowiła ona cały jego zapas muzyczny, ale umiał go oddać dokładnie i z uczuciem. Owoż muzyką swoją przywabił jednego z gości do sali wspólnéj hotelu, gdzie stał fortepian. Nieznajomy wszedłszy, zaczął się przysłuchiwać. Powstał Zygmunt i skłonił się. Przemówili do siebie i po krótkiéj chwili poznali, że są rodakami. Gość dowiedział się, że mówi z Zygmuntem Krasińskim, Zygmunt, że gościem był Adam Mickiewicz. Tak więc piérwszą znajomość między dwoma znamienitymi wieszczami zawiązała ostatnia nuta Webera, którą obaj szczególniéj lubili, i która była wyrazem smutku i tęsknoty, wielce odpowiedniém ich usposobieniu».

coraz w innych miejscach, tak że tylko we Włoszech potém 4 lata bez przerwy mieszkał.

W r. 1832 na wezwanie stawił się do Warszawy, a następnie do Petersburga, gdzie całą zimę 1832—33 wśród dokuczliwych cierpień cielesnych przepędził. Choroba rzuciła mu się na oczy z taką siłą, że lekarze obawiali się o wzrok jego. (Bolesne wspomnienie téj choroby znajdujemy w «Nieboskiéj Komedyi», gdzie ślepotę małego Orcia poeta skreślił w rozdzierających serce wyrazach). Otrzymawszy pozwolenie wyjazdu za granicę, udał się Zygmunt na wodną kuracyę do Greffenberga. Pokrzepiony na ciele, przeniósł się na mieszkanie do Wiednia (zimą 1833—34), i ztąd podał do druku we Wrocławiu powieść już dawniéj napisaną p. t. *Agaj-Han*, któréj wydania potém żałował. W r. 1834 napisał poeta jeden z największych utworów swoich p. t. *Nieboska Komedya*, która wyszła w r. 1835 i od razu postawiła autora w rzędzie najcelniejszych swojego czasu. Równie jak poprzednie powieści, tak też i *Nieboska Komedya* wyszła bezimiennie, i tylko najbliżsi Krasińskiego znajomi wiedzieli, kto jest jéj autorem. Podobnie i na późniejszych utworach nigdy nie kładł swojego nazwiska.

Przez r. 1836 bawił we Włoszech; w Rzymie zaprzyjaźnił się ściśle z Juliuszem Słowackim. Do końca życia przyjaźń ta między nimi dotrwała, pomimo wstrząśnień późniejszych, które groziły jéj zerwaniem. Zbliżało ich podobieństwo duchów, ta sama wzniosłość uczuć i skłonność do marzeń. Kontrast rzewności w uczuciach Krasińskiego i przyprawa ironii w charakterze Słowackiego, podsycały jeszcze ten związek. Słowacki, o trzy lata starszy, a wybierający się wtedy do Neapolu i na Wschód, znany już był z 3 tomów poezyj swoich. Krasiński ledwie małéj liczbie przyjaciół znanym był jako autor *Agaj-Hana* i *Nieboskiéj Komedyi*. Właśnie wtedy, kiedy się zawiązała przyjaźń z Słowackim, drukował się w Paryżu *Irydion* (1836). Rzecz dziwna, że ani Mickiewicz, ani Słowacki w Rzymie nic nie pisali, Krasińskiego zaś, widok upadku tego potężnego dawniéj miasta natchnął do napisania cudnego poematu, w którym przedstawił obraz zepsucia pogańskiego Rzymu, wysilenia zemsty ujarzmionéj Hellady nad spodlonym panem swoim i wykwitające z pod katakumb starożytnych nowe społeczeństwo chrześcijańskie.

Roku 1838 na pewien czas pojechał Krasiński do Warszawy; ale dla słabości zdrowia, które wiele cierpiało w ostrym

klimacie północnym, wnet musiał kraj opuścić i przenieść się na kilkoletni pobyt do Włoch, zkąd corocznie prawie odbywał wycieczki do wód ciepłych. W okresie tym od r. 1839 do 1843 rozwinął się duch poetyczny w całéj pełni, od tego bowiem czasu zaczął utwory swoje pisywać wierszami, gdy poprzednie ogłaszał prozą. Piérwszy poemat jego wierszowany był *Przedświt*.

W styczniu r. 1843 zaręczył się Zygmunt Krasiński w Rzymie z Elżbietą hr. Branicką, którą znał już dawniéj z czasów swego pobytu w Petersburgu, a ślub nastąpił w lipcu tegoż roku w Dreznie. Z żoną swoją pojechał odwiedzić strony rodzinne, był w wiejskiém mieszkaniu ojca, Opinogórze, i w dziedzicznym po matce Knyszynie. Dwa lata bawił w kraju; czas zimowy przepędzał w Warszawie, ale dla wzmagających się cierpień fizycznych nie mógł udzielać się towarzystwu stołecznemu, małą tylko liczbę przyjaciół przyjmował w swoim domu, i kiedy o późnéj nocy boleści jego się uśmierzały, stawał się ożywiony, i wtedy w rozmowach z przyjaciołmi odsłaniał najbogatsze skarby myśli i czarujący urok wymowy. We wrześniu roku 1844 urodził mu się najstarszy syn Władysław († 1873). Oprócz niego miał potém jeszcze troje dzieci: Zygmunta, dziś również nieżyjącego, Maryę i Elżbietę, zmarłą jeszcze za życia ojca.

Gdy pobyt w ostrym klimacie północnym stawał się coraz dokuczliwszym, przeniósł się poeta r. 1845 na mieszkanie do Nizzy, gdzie powoli przychodził do lepszego zdrowia. Tu napisał (1845) jeden z najpiękniejszych utworów swoich poetycznych «*Psalmy*». Złamany na duszy wypadkami galicyjskiemi r. 1846, które były smutném stwierdzeniem tego co poeta w «Psalmach» przeczuwał, przeniósł się r. 1847 do Rzymu, i tutaj odzyskał siły i pokrzepił strapiony umysł. Zajęła go tu wzniosła postać papieża Piusa IX; na widok jego usiłowań znalazł uspokojenie duszy i zapomniawszy dawnych wątpień, stał się gorliwym wykonawcą wszystkich przepisów kościelnych. W tym też czasie spotkał się z Adamem Mickiewiczem. Obydwaj poeci mieli niezgodne przekonania religijne i polityczne; mimo to Mickiewicz często Krasińskiego odwiedzał i wiele chwil w jego domu przepędzał, gdzie znajdował zawsze szczeropolskie przyjęcie.

Od r. 1848 Krasiński przebywał kolejno w Heidelbergu, w Paryżu, u wód morskich, w Badenie i w Bernie. W Bernie rozchorował się mocno; lecz na wezwanie rządu, z narażeniem

życia wrócił do kraju i zimę r. 1849—50 przepędził w Warszawie. Odwiedzając żonę swoję bawiącą w Wilanowie, zaziębił oczy tak mocno, że znowu obawiano się dlań utraty wzroku. W skutek tego uzyskawszy pasport, pojechał na zimę do Hejdelberga, a lato r. 1851 przepędził w Badenie. W tym czasie napisał mały ustęp poematu o św. Teresie p. t. *Głosa św. Teresy.*

Zimę r. 1851—52 przepędził poeta w Rzymie i dla ulgi w cierpieniach zajmował się starożytnościami wykopywanemi wtedy przy *Via Appia.* Po powrocie z wycieczki do Neapolu, gdy nastąpiła cieplejsza pora, udał się w okolice nadreńskie i tutaj całe lato r. 1852 bawił, kiedy znowu niespodziewanie powołany został do kraju. Pobyt w Warszawie zimą r. 1852 powiększył jego cierpienia: słabość nerwowa i choroba oczu nękały go tak dalece, że ledwie po ścieżce zasłonionéj rozpiętemi płótnami w ogrodzie swoim mógł się przechadzać. Ani środki lekarskie przedsiębrane w Warszawie, ani kuracya wodna w Boppart nad Renem, nie przyniosły ulgi: wodne nawet w Boppart leczenie zaszkodziło mu znacznie. Przeniósł się więc do Heidelberga wraz z żoną i dwiema córeczkami, gdyż najmłodsza Elżbieta właśnie w tym czasie (1853) się urodziła; synów zaś zostawił w Warszawie w domu swoim pod opieką nauczycieli. W r. 1854 stan jego zdrowia pogorszył się do tego stopnia, że ledwie słabym krokiem mógł się przechadzać w cieniu trzech drzew przed mieszkaniem swojém w Heidelbergu rosnących. W takim stanie niepodobna mu było powracać do kraju pomimo rozkazu; gdy zaś po śmierci cesarza Mikołaja uzyskał pozwolenie przebywania za granicą, osiadł w Badenie i przepędził tam zimę r. 1855—56 w szczupłém gronie najbliższych przyjaciół, zwłaszcza młodszego od siebie Włodzimierza Czackiego. Rok 1856 przyniósł mu nieco ulgi; lecz nie długo trwała dla Zygmunta ta swobodniejsza chwila: bawiąc bowiem u ojca swojego w Kissingen (1856) rozchorował się bardzo ciężko: choroba zagnieździła się w otwartéj ranie na nodze, tak że przez rok prawie o kuli chodzić musiał. Od tego czasu losy jego życia coraz smutniejsze i tylko, jakby dla podniesienia cierpień, przerywane były chwilami ułudnego polepszenia. Bawiąc w Paryżu zimą r. 1857, utracił prawie cały osobisty majątek przez bankructwo bankiera Thurneysena; bawiąc zaś r. 1858 u ojca swego w Potoku, stracił najmłodszą córkę Elżbietę. Po tém nieszczęściu, jakkolwiek z wielką rezygnacyą je przebolał, wzmogła się choroba jego i odtąd przybrała chara-

kter nieuleczonéj słabości piersiowéj. Ani kąpiele w Plombieres, ani wody w Ems, nie przyniosły żadnego skutku. Lekarze naglili go do wyjazdu do Algieru, lecz chory łudził się nadzieją polepszenia i pozostał zimą r. 1858—1859 w Paryżu. Wiadomość o śmierci ojca odjęła mu resztę sił żywotnych. Umarł 24 lutego r. 1859 w Paryżu na ręku księcia Jerzego Lubomirskiego. W kilka miesięcy ciało jego przewieziono do Opinogóry.

Krasiński przez 30 lat prowadził życie tułacze, nieprzywiązane do żadnego stałego miejsca, przebywał daleko od kraju, zawsze tam gdzie najwięcéj znajdował ulgi w cierpieniach. Na przemiany gościł, już to we Francyi, już we Włoszech, już w Niemczech lub Szwajcaryi. Za granicą jednak pędził życie prawie samotne, więcéj z naturą niż z ludźmi, ściślejsze stosunki zawiązując tylko ze spółczesnemi sobie znakomitościami poetyckiemi. Do samotności téj zresztą przyczyniła się zapewne długoletnia choroba oczu, która przez czas niejaki zagrażała mu nawet utratą wzroku, i która do końca życia zupełnie go nigdy nie opuściła. W téj samotności atoli nieprzerwaną utrzymywał korrespondencyę z przyjaciółmi; w téj też samotności rozwijał się genijusz jego poetyczny. Do kraju powracał, ale na czas krótki i wtedy z rzewną przychylnością interesował się wszystkiém, co go otaczało. Lubił przebywać z małą liczbą przyjaciół wybranych, dla których był wylany i pełen poświęcenia; szczególniéj ścisła przyjaźń wiązała go z Augustem hr. Cieszkowskim, który był towarzyszem jego lat dziecinnych i z którym łączyła go potém coraz więcéj harmonia duchów i zgoda najgłębszych przekonań. Taka sama przyjaźń łączyła Krasińskiego z Konstantym Danielewiczem, nieodstępnym towarzyszem jego podróży, który silną swą wolą i surowym charakterem dużo wpływu na poetę wywierał. (Uczcił go Krasiński w *Niedokończonym Poemacie* w osobie Aligiera). Niemniéj serdeczna, choć więcéj idealna była przyjaźń Krasińskiego z Słowackim; jednakże późniéj, kiedy Słowacki stał się uczniem Towiańskiego, przyjaźń ta się zachwiała. W obejściu z przyjaciołmi był Krasiński pełen słodyczy i bujnością świetnéj swojéj wymowy roztaczał naokoło siebie urok niewypowiedziany. O każdym przedmiocie, który zajął jego umysł, mógł godzinami bez przerwy mówić w uniesieniu; najchętniéj mówił o dziełach sztuki, o kwestyach filozoficznych i o zadaniach ludzkości. Miał pod tym względem idealne swoje odrębne zapatrywanie i zawsze spodziewał się wielkich prze-

mian w Europie, które miały być podwaliną trwałego ludzkości szczęścia; jeszcze przed samą śmiercią łudził się swojemi marzeniami. — Na otoczenie swoje wpływ wywierał wielki, sam zaś wpływowi innych mało ulegał; choć wielbił Mickiewicza, jednakowoż jego wyobrażeniami się nie kierował. Czytywał wszystko, co tylko miało wartość, najchętniéj i najczęściéj Biblię, poezye Dantego i Szekspira.

Przejdźmy do utworów poety.

Już we »Władysławie Hermanie« (który, oprócz kilku rozdziałów pióra Magnuszewskiego i Gaszyńskiego, cały prawie jest własnością literacką Zygmunta) objawiają się w zarodzie zalety i wady znakomitego w przyszłości poety. Obok niesłychanéj potęgi twórczéj, wydającéj od razu szeregi posągów (nie ludzi), widzimy tu nadmierne idealizowanie bytu, bez względu na warunki prawdy powszedniéj i historycznéj, widzimy chorobliwą egzaltacyę wyobraźni, z odpowiednią jéj kwiecistością słowa — istnię oryentalną.

Pomijamy inne młodzieńcze utwory Zygmunta. Przejdźmy do »Agaj-Hana«, stanowiącego jak gdyby łącznik pomiędzy pierwszemi próbami a późniejszym, samodzielnym zwrotem poety.

Jest to powieść historyczna (?), któréj przedmiotem są przygody Dymitra Samozwańca i Maryny Mniszchówny. Pewien z krytyków wyrzekł, »że straszliwa ponurość panująca w tém dziele, przy wschodnim nieraz kolorycie obrazów, wskazuje jakby chorobliwą fantazyę autora. Inni upatrywali w niém jaskrawą przesadę« i t. d. — Co do nas, jesteśmy zdania, że znakomity wieszcz nasz nie powinien był podejmować się tematów ściśle historycznych — gdyż w nadto idealnéj bujał przestrzeni. Dla tego to świat Dymitrów, Zaruckich, Maryn, wydaje się nam w *Agaj-Hanie* jakiémś marzeniem senném, a nie historycznym obrazem.

Dla przykładu zestawmy kilka słów historyi z natchnionym przez nie fantastycznym obrazem Krasińskiego.

Niemcewicz w »Dziejach panowania Zygmunta III« pisze: »Bawił Samozwaniec w Kałudze z małą liczbą bojarów, lecz znaczniejszą Tatarów i Dońskich Kozaków, przemyśliwając jakby jeszcze utrzymać się przy tronie. Trafunek zdarzył, iż Tatary jego wpadli niespodzianie na rotę Polaków pod rotmistrzem Czaplicem i kilku wzięli w niewolę. — Zwątpiewającemu już o sobie człowiekowi najmniejsze powodzenie zwycięztwem się zdaje. Urado-

wany niém fałszywy Dymitr wspaniałą wydaje ucztę; po téj obwieszcza łowy, winem i miodem potężnie sanie ładować każe, i wyjechawszy w pole, na zamierzonéj między sosnami równinie znów rozpoczyna gody. — W gronie otaczających go Tatarów znajdował się niejaki Urassów, niezbyt dawno z bisurmańskiéj na grecką wiarę przechrzczony. — Ten długo w łasce u Samozwańca, będąc kijem od niego obity i do więzienia wtrącony (przywrócił go wprawdzie Samozwaniec do łaski, lecz nie wymazał tém z pamięci poniesionéj krzywdy), żywił żądzę pomszczenia się. Najsposobniejszą do nasycenia jéj zdała mu się chwila obecna — zniósł się więc z Tatarami obrażonymi również za zabicie ich carzyka Kazimowskiego — a gdy Samozwaniec dużemi roztruchanami spełnia miody i wino, gdy rozchmielony traci wszelką przytomność, z pistoletem z tyłu przypada Urassów, strzela, rani, ucina mu głowę. — Inni Tatarzy ciało na ćwierci sieką, głowę kładą do sakwy i do Moskwy uwożą — Bojarowie widząc mord, uciekają. — Trzech tylko pacholąt polskich słabemi siłami do ostatka broniąc nieszczęśliwego, dowiedli, że Polak odstępować nie umie. — Tak zginął oszust nikczemny i podły, w obyczajach rozpasany na wszystko co niecne. Znaleziono w jego komnacie Talmud, guzy rzemienne do modlitw i biblię.

Krasiński stworzył z tego następujący obraz:

»Wieże Kaługi z daleka pod chmur zimowych nawałą coraz szarzeją, bo wieczór się zbliża. — Ale dosyć dnia jeszcze, by oświecić te wzgórki śniegiem obciążone, które kołem okrążają równinę, z któréj śnieg zmieciony; a nie wietrzysko go zmiotło, ale ręka ludzi, by na gładkiéj ziemi panu lepiéj przy uczcie i winie się działo. Na około gasnące ogniska.

»Teraz już po biesiedzie, na stoły zastawione, na porzucone ostatki, sączy się topniejący szron ze świerków i sosen.

»Przeszła godzina godów, dziwne po sobie zostawując ślady. Płótna namiotów leżą na ziemi, czasem dysząc fałdami, kiedy wiatr pod nie się wkradnie — zagmatwane w ich sznurach i powrózkach siodła, rzędy, kufle, kosze, dzbany, a tu i owdzie na białém tle plama krwi, już sucha — znać że od kilku godzin pije z niéj powietrze —

ale jeszcze nie czarna, dotąd czerwona, połyskująca — znać że dzisiaj wylana.

»Stoły jedne za drugiemi jak potężny wał się ciągną na owéj zmiecionéj dolinie. — Drugie rozrzucone jak wyspy rozpusty pomiędzy saniami, które idąc od wzgórzów, niegęstemi szeregi stąpają, otrząsając śnieg z ramion aż do tego rzędu stołów. Przed niemi co zostało czystego miejsca od boru zachodzącego na przeciw, to zawalone taborem wywróconych sani; a z tych sani sypią się na dół ćwierci mięsa, beczki miodu, beczki wina potrzaskane, zkąd miód i wino już nie płynie strumieniem, ale czołga się skrzepłemi kroplami nad zamarzłemi bryły, z których barwy przebija dotąd barwa miodu i barwa małwazyi.

»A na okół, w prawo i w lewo, jakby na pobojowisku, porzucone kożuchy, kołpaki, oręże, strzały wbite w grudę, tkwią ostrzem, pierzem drgają za podmuchem wiatru. Sajdaki próżne, kubki z drzewa, czary miedziane, rzemienie od chartów i ogarów, sieci i pale, trąbki i torby — a nad tém wszystkiém znowu plamy krwi gdzieniegdzie — i popiół szary i węgle, co konając sypną czasem iskrami.

»Wśród tego zgiełku leżą ciała trzech pacholąt — każdy padł inaczéj, inaczéj też leży — pierwszy z rozpłataną głową, z rozciągniętemi nogi, drugi z przeszytą piersią klęczy, jedną ręką przymarzł do ziemi, a plecy przymarzły mu do sani z tyłu; trzeci opiera się całym bokiem na grudzie, łokieć wparł w grudę, a czoło zwiesił na piersi. Na ich twarzach świeżość i młodość zestarzała się od bolu i od mrozu. Sine pręgi po szyi i licach, krew ścięta od zimna połyskuje, gdyby jakie hafty na sukni — a szaty ich polskie, a uzbrojenie ich lekkie świadczy, że jeszcze nie dorośli wieku do bechtera i szabli. — Roztłuczone klingi, jak szczątki źwierciadła, migają na około nich; złote rękojeście zostały w dłoniach i spoiły się z niemi mocno na zawsze. Ich palce, szronem okryte, kręcą się w około onych rękójeści, gdyby oprawy ze srebra — a musieli jednak potykać się dzielnie, bo ziemia poryta, i trzeba było dzielnego parcia stopy, by ziemię poryć tak twardą. Nie za pierwszą raną polegli, bo każdy z nich kilka ich liczy — ale żadnego wroga nie zabili, bo nie ma trupa, coby leżał naprzeciw i t. d.

W Agaj-Hanie poeta za mało jeszcze panuje nad pomysłem i formą, rażąc w jednym i drugim względzie nienaturalnością, przesadą i napuszystą deklamacyą. Zkąd inąd jednak mnóstwo miejsc pierwszorzędnéj piękności i nowych, rozległych, jakby błyskawicami oświeconych widnokręgów, wydają i w tym już utworze genijalnego mistrza.

Do arcydzieł Zygmunta należą następujące płody:

Nieboska komedya. Jest to rodzaj dramatu przeplatanego ustępami opisowemi, którego przedmiotem jest świat chrześcijański z całą jego społeczną i polityczną budową, ze wszystkiemi prawami, stosunkami, filozofiją, sztuką, poezyą — w walce przeciw nowoczesnym przewrotom i usiłowaniom, dążącym do nowego porządku rzeczy. Czas, miejsce, osoby téj „Komedyi", — dowolnie są przez poetę stworzone. Dramat odegrywa się w przyszłości nieoznaczonéj, spodziewanéj, niedalekiéj ale jeszcze nienadeszłéj. Jest to walka po części wymarzona w wyobraźni poety, tyle jednakże jest tam prawdy i życiem tchnącego kolorytu, że choć osoby zdają się być postaciami idealnemi, maluje się przecież w ich obrazie cała sprzeczność żywiołów społecznych istniejących. Widać że rewolucya francuzka stała autorowi na myśli, i z niéj żywcem prawie powybierał obrazy — uosobione zdrożności pychy, samolubstwa, bezbożności, materyalizmu.

Pośród społeczeństwa tchnącego konwencyonalnością i przesądami, ukazuje się nam człowiek z ducha należący już do przyszłości, człowiek w duchu silny, ognisty, palony żądzą zbadania wyroków Opatrzności, nie mogący oddychać w ciasnym zakresie powszedniego życia. Ten bohater dramatu rzuca na wszystko, co go otacza, jakiś blask płomienia piekielnego; osoby podrzędne wydają się przy nim nakształt widm sinych. Charakter jego zawiera w sobie wszystkie charaktery wystawione przez poetów tegoczesnych, już polskich już obcych. Jest to *Korsarz* Byrona, ale korsarz nawrócony; jest to *Graf Wacław* Malczewskiego, ale który już zeszedł do życia pospolitego, jest to ów drugi *Wacław* Garczyńskiego, Wacław filozof, ale szukający nowéj drogi. Z urodzenia jest on panem, z usposobienia poetą, to jest człowiekiem co w uczuciach i postępkach nie trzyma się ubitych kolei, co powoduje się jakąś wyższą prawdą nad zwykłe pobudki i prawidła codziennego życia pospolitych ludzi.

Prześliczna jest we wstępie poematu antyteza poezyi słowa i poezyi czynu:

„Gwiazdy w około twojéj głowy — pod twojemi nogi fale morza — na falach morza tęcza przed tobą pędzi i rozdziera mgły — co ujrzysz jest twojém — brzegi, miasta i ludzie tobie się przynależą — niebo jest twojém. — Chwale twojéj niby nic nie zrówna“.

„Ty grasz cudzym uszom niepojęte rozkosze. — Splatasz serca i rozwiązujesz gdyby wianek, igraszką palców twoich — łzy wyciskasz — suszysz je uśmiechem, i nanowo uśmiech strącasz z ust na chwilę — na chwil kilka — czasem na wieki. — Ale sam co czujesz? — ale sam co tworzysz? — co myślisz? — Przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością. — Biada ci — biada! — Dziecię co płacze na łonie mamki — kwiat polny co nie wie o woniach swoich, więcéj ma zasługi od ciebie“...

„Zkądżeś powstał marny cieniu, który znać o świetle dajesz, a światła nie znasz, niewidziałeś, nie obaczysz! Kto cię stworzył w gniewie lub w ironii? — kto ci dał życie nikczemne, tak zwodnicze, że potrafisz udać Anioła chwilą nim zagrzązniesz w błoto, nim jak płaz pójdziesz czołgać i zadusić się mułem? — Tobie i niewieście jeden jest początek“.

„Ale i ty cierpisz, choć twoja boleść nic nie utworzy, na nic się nie zda. — Ostatniego nędzarza jęk policzon między tony harf niebieskich. — Twoje rozpacze i westchnienia opadają na dół, i szatan je zbiera, dodaje w radości do swoich kłamstw i złudzeń — a Pan je kiedyś zaprzeczy, jako one zaprzeczyły Pana“.

„Nie przeto narzekam na ciebie Poezyo, matko piękności i zbawienia. — Ten tylko nieszczęśliwy, kto na światach poczętych, na światach mających zginąć, musi wspominać lub przeczuwać ciebie — bo jedno tych gubisz, którzy się poświęcili tobie, którzy się stali żywemi głosami twéj chwały—“

„Błogosławiony ten, w którym zamieszkałaś, jako Bóg zamieszkał w świecie, niewidziany, niesłyszany, w każdéj części jego okazały, wielki; Pan przed którym uniżają się stworzenia i mówią: „On jest tutaj“.—Taki cię będzie nosił gdyby gwiazdę na czole swojém, a nie oddzieli się od twéj miłości przepaścią słowa.— On będzie kochał ludzi i wystąpi mężem pośród braci swoich. — A kto cię nie dochowa, kto zdradzi zawcześnie, i wyda na marną

rozkosz ludziom, temu sypniesz kilka kwiatów na głowę i odwrócisz się, a on zwiędłemi się bawi i grobowy wieniec splata przez całe życie.—Temu i niewieście jeden jest początek.—"

Hrabia Henryk morduje się najprzód nad rozwiązaniem zagadnień religijnych i społecznych, traci nareszcie nadzieję dojścia do czegoś, chce dać pokój wszystkiemu, wrócić na drogę powszedniego życia, zrzec się próżnych dociekań, a zająć się rzeczywistością. W tym celu przedsiębierze nawet wprządz siebie w obowiązki, w karby prawa. Postrzegamy go właśnie, kiedy zamyśla ożenić się. Scenę tę rozpoczyna rozmowa duchów niewidomych, dobrych i złych: jedne chcą go wesprzeć na drodze powinności i zwiastują mu epokę nową, drugie starają się go złudzić poetyckiém wystawieniem przeszłości, żądzą ambicyi, sławy światowéj i zamierzchłemi wspomnieniami czasów szczęśliwszych, któreby chciano odbudować na ziemi. Tak przynajmniej Mickiewicz tłómaczy następującą rozmowę:

Anioł stróż.

„Pokój ludziom dobréj woli — błogosławiony pośród stworzeń kto ma serce — on jeszcze zbawionym być może. — Żono dobra i skromna, zjaw się dla niego—i dziecię niechaj się urodzi w domu waszym".

Chór złych duchów.

„W drogę, w drogę widma, lećcie ku niemu — Ty naprzód, ty na czele, cieniu nałożnicy umarłéj wczoraj, odświeżony w mgle i ubrany w kwiaty, dziewico kochanko poety, naprzód.—

„W drogę i ty sławo, stary orle wypchany w piekle, zdjęty z palu kędy cię strzelec zawiesił w jesieni, leć i roztocz skrzydła wielkie, białe od słońca, nad głową poety.—

„Z naszych sklepów wynidź spróchniały obrazie Edenu, dzieło Belzebuba — dziury zalepim i rozwiedziemy pokostem — a potém płótno czarodziejskie zwiń się w chmurę i leć do poety — wnet się rozwiąż na około niego, opasz go skałami i wodami, naprzemian nocą i dniem — Matko naturo, otocz poetę!"

Poeta pojmuje w małżeństwo kobietę dobrą, cichą, religijną, która go nie może rozumieć. Autor stawia przed swoim bo-

hatérem, po dwóch latach powszedniego życia, owo widmo jego kochanki, ów ideał przybrany we wszystkie wdzięki jego marzeń młodzieńczych, który ocuca go ze snu. Mąż porzuca żonę i goni za ulubioném widmem. Jest już on nad brzegiem otchłani i ma w nią lecieć, kiedy Anioł zwiastuje mu ocalenie, bo w téj chwili odbywa się chrzest jego dziecka. W czasie obrzędu Hrabina wpada w obłąkanie i daje błogosławieństwo synowi z życzeniem, żeby był poetą. Po powrocie z wycieczki, hrabia Henryk, z rozpaczliwą zgryzotą w sercu, bieży do domu obłąkanych. Dom ten w układzie dramatu zajmuje miejsce znaczące. Społeczność stara, jednostajna, ostygła, na pozór szczęśliwa, ma się już rozchwiać, myśl społeczności nowéj burzącą się i zmąconą, podobną do tych źródeł w górach wulkanicznych, co nagle robią się mętne kiedy wybuch ma nastąpić, autor ukazał w téj scénie, gdzie krzyki i słowa zamkniętych przedzierają się jakby dymy ze szczelin skały przed wytryskiem płomienia. Cokolwiek społeczność przyszła może mieć w sobie gwałtownego, okropnego, szatańskiego, to wszystko niby w zarodzie już będące przedstawia tutaj dom waryatów.—Nakoniec chora kona w objęciach męża. Ze smutnego małżeństwa tego pozostało tylko jedno dziecko, przeznaczone także na niedługie życie, trawione ogniem wybujałéj wyobraźni niszczącéj jego siły fizyczne. Podług Mickiewicza jest to latorośl chorowitéj, blizkiéj zgonu społeczności. Tu zamyka się część pierwsza dramatu.

Powiedzieliśmy, że w dramacie są ustępy opisowe, obrazy kreślone przez autora. Do najpiękniejszych z pomiędzy nich należy wizerunek tego dziecka, otwierający właśnie część drugą:

„Czemu, o dziecię, nie hasasz na kijku, nie bawisz się lalką, much nie mordujesz, nie wbijasz na pal motyli, nie tarzasz się po trawnikach, nie kradniesz łakoci, nie oblewasz łzami wszystkich liter od A do Z? — Królu much i motyli, przyjacielu poliszynela, czarcie maleńki, czemuś tak podobny do aniołka? — Co znaczą twoję błękitne oczy, pochylone choć żywe, pełne wspomnień, choć ledwo kilka wiosen przeszło ci nad głową? — Zkąd czoło opierasz na rączkach białych i zdajesz się marzyć, a jako kwiat obarczony rosą, tak skronie twoje obarczone myślami?—

„A kiedy się zarumienisz, płoniesz jak stulistna róża, i pukle odrzucając w tył, wzroczkiem sięgasz do nieba.— Powiedz co słyszysz, co widzisz, z kim rozmawiasz wte-

dy? — bo na twe czoło występują zmarszczki, gdyby cieniutkie nici, płynące z niewidzialnego kłębka—bo w oczach twoich jaśnieje iskra, któréj nikt nie rozumie — a matka twoja płacze i woła na ciebie, i myśli że jéj nie kochasz— a znajomi i krewni wołają na ciebie, i myślą że ich nie poznajesz — twój ojciec jeden milczy, i spogląda ponuro, aż łza mu się zakręci i znowu gdzieś przepadnie.—

. . . . . .

„Tymczasem wzrastasz i piękniejesz — nie ową świeżością dzieciństwa mleczną i poziomkową, ale pięknością dziwnych, niepojętych myśli, które chyba z innego świata płyną ku tobie — bo choć często oczy masz gasnące, śniade lica, zgięte piersi, każdy co spojrzy na ciebie, zatrzyma się i powie: »Jakie śliczne dziecię!«— Gdyby kwiat co więdnie miał duszę z ognia i natchnienie z nieba, gdyby na każdym listku chylącym się ku ziemi anielska myśl leżała miasto kropli rosy, ten kwiat byłby do ciebie podobnym, o dziecię moje — może takie bywały przed upadkiem Adama.

Prześliczną jest także scena, w któréj poeta ukazuje nam Orcia obok ojca na cmentarzu, przy grobie matki.

Mąż.

»Zdejm kapelusik i módl się za duszę matki.—

Orcio.

»Zdrowaś Panno Maryo, łaskiś Bożéj pełna, Królowa niebios, Pani wszystkiego co kwitnie na ziemi, po polach, nad strumieniami....

Mąż.

»Czego odmieniasz słowa modlitwy — módl się jak cię nauczono, za matkę, która temu dziesięć lat właśnie o téj saméj godzinie skonała.—

Orcio.

»Zdrowaś Panno Maryo, łaski Bożéj pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś między Aniołami, i każdy z nich kiedy przechodzisz, tęczę jednę ze skrzydeł swych wydziera i rzuca pod stopy Twoje — Ty na nich jak gdyby na falach....

Mąż.

»Orcio.—

Orcio.

»Kiedy mi się te słowa nawijają i bolą w głowie tak, że proszę Papy, muszę je powiedzieć.—

Mąż.

»Wstań, taka modlitwa nie idzie do Boga.— Matki nie pamiętasz— nie możesz jéj kochać.—

Orcio.

»Widuję bardzo często Mamę.—

Mąż.

»Gdzie? mój maleńki.—

Orcio.

»We śnie, to jest nie zupełnie we śnie, ale tak kiedy zasypiam, naprzykład zawczoraj.—

Mąż.

»Dziecko moje, co ty gadasz?

Orcio.

»Była bardzo biała i wychudła. Zdawało mi się, że się przechadza po wielkiéj i szerokiéj ciemności, sama bardzo biała, i mówiła:

»Błąkam się wszędzie,
Wszędzie się wdzieram,
Gdzie światów krawędzie,
Gdzie aniołów pienie,
I dla ciebie zbieram
Kształtów roje,
O dziecię moje!
Myśli i natchnienie.

»I od duchów wyższych,
I od duchów niższych
Farby i odcienie,
Dźwięki i promienie
Zbieram dla ciebie,
Byś o synku mój!
Był jako są w niebie,
I ojciec twój
Kochał ciebie.«

Mąż.

»Czyż myśli ostatnie przy zgonie towarzyszą duszy choć dostanie się do nieba. — Możeż być duch szczęśliwym, świętym i obłąkanym zarazem?...

»Nic nie masz boleśniejszego nad ten dramat — mówi Mickiewicz... Boleść nie wytacza się tu szumnie w okresach krasomownych, nie rozwodzi się w tkliwych trenach: położenia osób i rzeczy są ledwo narysowane, cały smutny opis pożycia domowego nie zajmuje nad sto wierszy, nad parę kartek; ale każde w nim słowo jest jakby kroplą wyciśniętą z brzemienia cierpień i goryczy. Osoby przesuwają się przed nami jak cienie w latarni czarnoksięzkiéj, widzimy ich twarze tylko z boku, rzadko kiedy z przodu; przemawiają do nas rzucając mimochodem kilka wyrazów; ale jeżeli zechcemy rozważać, rozbierać te wyrazy, możemy z nich wyciągnąć obraz zupełny, możemy ujrzawszy raz osobę, odgadnąć czém była dawniéj i co ma robić daléj. Takiemi są naprzykład goście, rodzice chrzestni i ksiądz na chrzcinach. Wszystko to maluje przedziwnie społeczność rozsypującą się, spróchniałą.... Zimno dopełniając powierzchownych tylko form obrzędu, kapłan sam siebie zniweczył.... Hrabia, osoba główna dramatu, człowiek zdolny do wzruszeń głębszych, stykający się ze światem wyższym, jest tutaj wystawiony jako ostatni reprezentant przeszłości. Sięga on w przyszłość, ale nie może oderwać się od świata, który mu się z pod nóg umyka, bo jak sam o sobie powiedział, łaska Boża spadła mu na rozum, nie na serce; serce jego płonęło niegdyś, ale rozum wziął nad niém przewagę i zgasił: odtąd nie może on myśli i uczuć swoich przywieść do zgody.

Oto są własne słowa jego:

»Pracowałem lat wiele na odkrycie ostatniego końca wszelkich wiadomości, rozkoszy i myśli, i odkryłem— próżnię grobową w sercu mojém.— Znam wszystkie uczucia po imieniu, a żadnéj żądzy, żadnéj wiary, miłości nie ma we mnie — jedno kilka przeczuć krąży w téj pustyni — o synu moim, że oślepnie — o towarzystwie w którém wzrosłem, że rozprzęgnie się— i cierpię tak jak Bóg jest szczęśliwy, sam w sobie, sam dla siebie.«—

Człowiek ten, straciwszy, zniszczywszy wszystko co go przywiązywało do ziemi, rzuca się teraz w walkę, chce zdobyć

dla siebie przyszłość. Poeta ukazuje go nam błąkającego się wśród burzy pomiędzy skałami, gdzie rozmawia z naturą i w jéj zjawiskach szuka wróżby swych losów. Puściwszy się znowu na ścieżki błędu, daje się uwieść szatanowi pychy, który zjawia się mu w postaci orła, ze świstem skrzydeł podobnym do świstu tysiąca kul w boju. »Nie ustępuj, nie ustąp nigdy — woła orzeł — a wrogi twe, podłe wrogi twe, pójdą w pył.« — »Żegnam cię wśród skał, pomiędzy któremi znikasz — odpowiada Hrabia.— Bądź co bądź— fałsz czy prawda, zwycięztwo czy zaguba, — uwierzę tobie posłanniku chwały.— Przeszłości, bądź mi ku pomocy! — a jeśli duch twój wrócił do łona Boga, niechaj się znów oderwie, wstąpi we mnie, stanie się myślą, siłą i czynem.« — W imię przeszłości tedy podnosząc oręż na przyszłość, téjże chwili zrzuca nogą żmiję, w któréj wyobraża ów żywioł ludowy, co już huczy zdaleka. W końcu woła: »Matko naturo, bądź mi zdrowa— idę się na człowieka przetworzyć, walczyć idę z bracią moją.«

Opuszczamy tutaj scenę narady Hrabi i Ojca chrzestnego z lekarzem nad dzieckiem dotkniętém już ślepotą. Scena ta nabiera szczególnéj okropności przez wprowadzenie lekarza, który sądzi cierpienie moralne tylko jako człowiek sztuki. Podczas gdy olśniony chłopiec powiada co się mu snuje przed oczyma duszy, gdy ojciec jego zapytuje Opatrzności, kiedy i czém to dziecię mogło zasłużyć na taką karę, gdy padłszy na kolana woła w rozpaczy: »Przed kim ukląkłem, gdzie mam się upomnieć o krzywdę mojego dziecka?«— lekarz obejrzawszy że białka czyste i wszystkie żyłki w porządku, dodaje spokojnie: »Może Pan ciekawy nazwiska téj choroby: zowie się po grecku: *amaurosis*«. Jedna tylko istota ukazuje się tu jeszcze z uczuciem niezabitém,— mamka chorego, która modląc się do Najświętszéj Panny Częstochowskiéj, mówi: »weź mi oczy i daj jemu.«

Sceną błogosławieństwa i rozstania się Hrabiego z synem, jedną z najtkliwszych i najpiękniejszych, kończy się druga część dramatu. Poeta przenosi nas teraz na inny świat. Między drugim a trzecim aktem upłynął czas niewiadomo jak długi; zaszły wypadki, których tylko domyślać się możemy, Społeczność stara ze swemi zwyczajami, ze swemi prawami i przesądami, już zniszczona; znajdujemy się wśród społeczności nowéj, mamy patrzeć na ostateczne rozstrzygnienie walki, tryumf zwycięzców, zagubę zwyciężonych. Autor swoim zwyczajem zaczyna od wstępu:

»Do pieśni!— Do pieśni!—

»Kto ją zacznie, kto ją dokończy?— Dajcie mi przeszłość zbrojną w stal, powiewną rycerskiemi pióry.— Gotyckie wieże wywołam przed oczy wasze— rzucę cień katedr świętych na głowy wam.— Ale to nie to— tego już nigdy nie będzie.—

»Ktokolwiek jesteś, powiedz mi w co wierzysz?— łatwiéjbyś życia się pozbył, niż wiarę jaką wynalazł, wzbudził wiarę w sobie.— Wstydźcie się, wstydźcie wszyscy, mali i wielcy— a mimo was, mimo żeście marni i nędzni, bez serca i mózgu, świat dąży ku swoim celom, rwie za sobą, pędzi przed się, bawi się z wami, przerzuca, odrzuca— walcem świat się toczy, pary znikają, wnet zapadają, bo ślizko, bo krwi dużo— krew wszędzie— krwi dużo, powiadam wam.—

»Czy widzisz owe tłumy, stojące u bram miasta, wśród wzgórzów i sadzonych topoli — namioty rozbite — zastawione deski, długie, okryte mięsiwem i napojami, podparte pniami, drągami.— Kubek lata z rąk do rąk— a gdzie się ust dotknie, tam głos się wydobędzie, groźba, przysięga, lub przekleństwo— on lata, zawraca, krąży, tańcuje, zawsze pełny, brzęcząc, błyszcząc wśród tysiąców.— Niechaj żyje kielich pijaństwa i pociechy!

»Czy widzicie, jak oni czekają niecierpliwie — szemrzą między sobą, do wrzasków się gotują— wszyscy nędzni, ze znojem na czole, z rozczochranemi włosy, w łachmanach, ze spiekłemi twarzami, z dłoniami pomarszczonemi od trudu — ci trzymają kosy, owi potrząsają młotami, heblami,— patrz— ten wysoki trzyma topor spuszczony— a tamten stęplem żelaznym nad głową powija; daléj w bok pod wierzbą chłopię małe wiśnię do ust kładzie, a długie szydło w prawéj ręce ściska.—

»Teraz szum wielki powstał w zgromadzeniu — czy to radość, czy rozpacz?— kto rozpozna jakie uczucia w głosach tysiąców?— Ten który nadszedł, wstąpił na stół, wskoczył na krzesło, i panuje nad nimi, mówi do nich— Głos jego przeciągły, ostry, wyraźny, — każde słowo rozeznasz, zrozumiesz— ruchy jego powolne, łatwe, wtórują słowom, jak muzyka pieśni — czoło wysokie, przestronne, włosa jednego na czaszce nie masz, wszystkie wypadły strącone myślami — skóra przyschła do czaszki, do liców, żółtawo się wcina pomiędzy kości i muszkuły—

a od skroni broda czarna wieńcem twarz opasuje— nigdy krwi, nigdy zmiennéj barwy na licach— oczy niewzruszone, wlepione w słuchaczy — chwili jednéj zwątpienia, pomięszania nie dojrzeć; a kiedy ramię wzniesie, wyciągnie, wytęży po nad nimi, schylają głowy, zda się że wnet uklękną przed tém błogosławieństwem wielkiego rozumu — nie serca — precz z sercem, z przesądami, a niech żyje słowo pociechy i mordu! —

»To ich wściekłość, ich kochanie, to władzca ich dusz i zapału — on obiecuje im chleb i zarobek — krzyki się wzbiły, rozciągnęły, pękły po wszystkich stronach: Niech żyje Pankracy!«

Jest to naczelnik nowo zawiązującego się społeczeństwa. Poeta zlał w niego wszystkie cechy dążności negacyjnych w rewolucyach europejskich, w reformach wylęgłych z mózgu filozofów. Jest to niszczyciel, nie posiada nic więcéj tylko rozum, przychodzi do władzy za pomocą rozumu, nie zna żadnych uczuć ludzkich. Dla braci i podwładnych swoich ma wzgardę tylko. »Pięćdziesięciu hulało tu przed chwilą — mówi do siebie — i za każdém słowem mojém krzyczało: *vivat!* — Czy choć jeden zrozumiał myśli moje? — pojął koniec drogi, w początku któréj hałasuje? — ach! *fervide imitatorum pecus!*« I sam on jednak nie ma téj nadziei i wiary, jaką narzuca innym, a w chwilach samotności pasuje się z własném zwątpieniem. Mówi on sam do siebie: »Myśli moja, czyż nie zdołasz łudzić siebie jako drugich łudzisz? Wstydź się, przecię ty znasz twój cel, ty jesteś myślą— panią ludu— w tobie zeszła się wola i potęga wszystkich — i co zbrodnią dla innych, to chwałą dla ciebie — Ludziom podłym, nieznanym, nadałaś imiona — ludziom bez czucia wiarę nadałaś — świat na podobieństwo swoje — świat nowy utworzyłaś naokoło siebie— a sama błąkasz się i nie wiesz czém jesteś — Nie, nie, nie,— ty jesteś wielką.«—

Monolog ten jest prześliczny, najpiękniejszy może po monologu Hamleta, a nadewszystko pełen prawdy. Charakter Pankracego obejmuje wszystkie charaktery ludzi, co przedsiębrali wielkie zmiany na świecie pchnięci do tego ślepą koniecznością, przywodzi na pamięć Kromwela, Dantona, Robespierra; jest tylko przesadzonym i fałszywym z tego względu, że autor obdarzył go jedynie siłą rozumu: rozum sam jeden nie wystarcza do podbicia ludzi, nie porywa ciżb. Na szczeblach

człowieczeństwa najniżéj stoją ludzie rozsądni, wyżéj rozumni, wyżéj jeszcze poeci, najwyżéj mędrcy prawdziwi.

Przeciw temu władzcy motłochu (bo niepodobna wojska Pankracego nazwać ludem) stawi jeszcze czoło jeden współzawodnik z łona społeczeństwa dawnego, bohatér poematu, hrabia Henryk. Otoczony resztkami swojéj kasty, z garstką wiernych mu chłopów, broni on ostatniego siedliska przeszłości w zamku warownym Świętéj Trójcy. Pankracy pragnie widzieć się ze swoim przeciwnikiem i wysyła doń jednego z zaufanych z prośbą o tajemną rozmowę. Wspaniała to rozmowa dwóch tytanów gotujących się do walki śmiertelnéj. Przytaczamy z niéj kilka ustępów.

Pankracy (oglądając herb wiszący na kolumnie).

Jeśli się nie mylę, te godła czerwone i błękitne, zowią się herbem w języku umarłych. — Coraz mniéj takich znaczków na powierzchni ziemi.

Mąż.

Za pomocą Bożą, wkrótce tysiące ich ujrzysz.

Pankracy.

Otoż mi stara szlachta — zawsze pewna swego — dumna, uporczywa, kwitnąca nadzieją, a bez grosza, oręża, bez żołnierzy. — Odgrażająca się, jak umarły w bajce powoźnikowi u furtki smętarza — wierząca lub udająca że wierzy w Boga — bo w siebie trudno wierzyć. — Ale pokażcie mi pioruny na waszę obronę zesłane i pułki aniołów spuszczone z niebios.

Mąż.

Śmiéj się z własnych słów. — Ateizm to stara formuła — a spodziewałem się czegoś nowego po tobie.

Pankracy.

Śmiéj się z własnych słów. — Ja mam wiarę silniejszą, ogromniejszą od twojéj. — Jęk przez rozpacz i boleść wydarty tysiącom tysiąców — głód rzemieślników — nędza włościan — hańba ich żon i córek — poniżenie ludzkości ujarzmionéj przesądem i wahaniem się i bydlęcém przyzwyczajeniem — oto wiara moja — a Bóg mój na dzisiaj — to myśl moja — to potęga moja — która chleb i cześć im rozda na wieki.

Mąż.

Ja położyłem siłę moję w Bogu, który ojcom moim panowanie nadał.

Pankracy.

A całe życie byłeś djabła igrzyskiem.

Następnie proponuje Hrabiemu, aby rozpuścił hufiec i nie szedł na odsiecz Świętéj Trójcy, a za to będzie mógł zostać przy imieniu swojém i dobrach. Hrabia oburza się.

Mąż.

Obrażasz mnie każdém słowem, zda się probujesz czy zdołasz w niewolnika obrócić na dzień tryumfu swego. — Przestań, bo ja ci się odwdzięczyć nie mogę. — Opatrzność mojego słowa cię strzeże.

Pankracy.

Honor święty, honor rycerski wystąpił na scenę — zwiędły to łachman w sztandarze ludzkości. — O! znam ciebie, przenikam ciebie — pełnyś życia a łączysz się z umierającemi, bo chcesz wierzyć jeszcze w kasty, w kości prababek, w słowo o j c z y z n a i tam daléj — ale w głębi duszy sam wiesz, że braci twojéj należy się kara, a po karze niepamięć.

Mąż.

Tobie zaś i twoim cóż inszego?

Pankracy.

Zwycięztwo i życie — jedno tylko prawo uznaję i przed niém kark schylam, — tém prawem świat bieży w coraz wyższe kręgi — ono jest zgubą waszą i woła teraz przez moje usta: »Zgrzybiali, robaczliwi, pełni napoju i jadła, ustąpcie młodym, zgłodniałym i silnym.« — Ale ja pragnę cię wyratować — ciebie jednego.

Mąż.

Bodajbyś zginął marnie za tę litość twoję. — Ja także znam świat twój i ciebie — patrzałem wśród cieniów nocy na piąsy motłochu, po karkach którego wspinasz się do góry — widziałem wszystkie stare zbrodnie świata ubrane w szaty świeże, nowym kołujące tańcem — ale

ich koniec ten sam co przed tysiącami lat — porubstwo, złoto i krew. — A ciebie tam nie było — nie raczyłeś zstąpić pomiędzy dzieci twoje, bo w głębi ducha ty pogardzasz niemi — kilka chwil jeszcze, a jeśli rozum cię nie odbieży, ty będziesz pogardzał sam sobą. — nie dręcz mnie więcéj. —

(Siada pod herbem swoim).

Pankracy.

Świat mój jeszcze nie rozparł się w polu — zgoda — nie wyrósł na olbrzyma — łaknie dotąd chleba i wygód — ale przyjdą czasy — przyjdą czasy, w których on zrozumie siebie i powie o sobie »Jestem«, a nie będzie drugiego głosu na świecie, coby mógł także odpowiedzieć: »Jestem.« —

Mąż.

Cóż daléj?

Pankracy.

Z pokolenia, które piastuję w sile woli mojéj, narodzi się plemię ostatnie, najwyższe, najdzielniejsze. — Ziemia jeszcze takich nie widziała mężów. — Oni są ludźmi wolnymi, panami jéj od bieguna. — Ona cała jedném miastem kwitnącém, jedném domem szczęśliwym, jedném warsztatem bogactw i przemysłu.

Mąż.

Słowa twoje kłamią — ale twarz twoja niewzruszona, blada, udać nie umie natchnienia.

Pankracy.

Nie przerywaj, bo są ludzie, którzy na klęczkach mnie o takie słowa prosili, a ja im tych słów skąpiłem. — Tam spoczywa Bóg, któremu już śmierci nie będzie. — Bóg pracą i męką czasów odarty z zasłon — zdobyty na niebie przez własne dzieci, które niegdyś porozrzucał na ziemi, a one teraz przejrzały i dostały prawdy. — Bóg ludzkości objawił się im.

Mąż.

A nam przed wiekami — ludzkość przezeń już zbawiona.

Pankracy.

Niechże się cieszy takiém zbawieniem — nędzą dwóch tysięcy lat upływających od Jego śmierci na krzyżu.

Mąż.

Widziałem ten krzyż, bluźnierco, w starym, starym Rzymie — u stóp Jego leżały gruzy potężniejszych sił niż twoje — sto bogów, twemu podobnych, walało się w pyle, głowy skaleczonéj nie śmiało podnieść ku Niemu — a On stał na wysokościach, święte ramiona wyciągał na wschód i na zachód, czoło święte maczał w promieniach słońca— znać było, że jest Panem świata.

Napróżno Pankracy przypomina mu jego własne marzenia o szczęściu rodu ludzkiego; — po chwilowéj zadumie Hrabia odpowiada słowem niewiary. Nie poruszają go również pogróżki ani odwoływanie się przeciwnika do uczuć ojcowskich. W całéj rozmowie téj ani jednego słowa nie ma do wyrzucenia.

Pankracy.

Biada zwyciężonym — nie wahaj się — powtórz raz tylko »biada« i zwyciężaj z nami. —

Mąż.

Czyś zbadał wszystkie manowce przeznaczenia — czy pod kształtem widomym stanęło ono u wejścia namiotu twojego w nocy i olbrzymią dłonią błogosławiło tobie, lub w dzień czyś słyszał głos jego o południu, kiedy wszyscy spali w skwarze, a tyś jeden rozmyślał — że mi tak pewno grozisz zwycięztwem, człowiecze z gliny jako ja, niewolniku pierwszéj lepszéj kuli, pierwszego lepszego cięcia?

Pankracy.

Nie łudź się marną nadzieją — bo nie draśnie mnie ołów, nie tknie się żelazo, dopóki jeden z was opiera się mojemu dziełu, a co późniéj nastąpi, to już wam nic z tego. —

(Zegar bije.)

Czas szydzi z nas obu. — Jesteś znudzony życiem — przynajmniéj ocal syna swego.

Mąż.

Dusza jego czysta, już ocalona w niebie — a na ziemi los ojca go czeka.

Pankracy.

Odrzuciłeś więc?... Milczysz — dumasz — dobrze — niechaj ten duma, co stoi nad grobem.

Mąż.

Zdala od tajemnic, które za krańcami twoich myśli odbywają się teraz w głębi ducha mojego. — Świat cielska do ciebie należy — tucz go jadłem, oblewaj posoką i winem — ale daléj nie zachodź i precz, precz odemnie! —

Pankracy.

Sługo jednéj myśli i kształtów jéj, pedańcie rycerzu, poeto, hańba tobie — patrz na mnie: — Myśli i kształty są woskiem palców moich.

Mąż.

Darmo, ty mnie nie zrozumiesz nigdy — bo każden z ojców twoich pogrzeban z motłochem pospołu, jako rzecz martwa, nie jako człowiek z siłą i duchem. —

(Wyciąga rękę ku obrazom.)

Spojrzyj na te postacie — myśl ojczyzny, domu, rodziny, myśl nieprzyjaciółka twoja na ich czołach wypisana zmarszczkami — a co w nich było i przeszło, dzisiaj we mnie żyje. — Ale ty człowiecze, powiedz mi, gdzie jest ziemia twoja — wieczorem namiot twój rozbijasz na gruzach cudzego domu, o wschodzie go zwijasz i koczujesz daléj — dotąd nie znalazłeś ogniska twego i nie znajdziesz, dopóki stu ludzi zechce powtórzyć za mną: «Chwała ojcom naszym». —

Pankracy, rzuciwszy szyderczym wzrokiem na portrety, poczyna opowiadać w sposób naigrawający się żywoty i sprośne dzieje każdego z odmalowanych, kreśli czarną kronikę kilkunastu osób, w końcu dodaje: «Głupstwo i niedola kraju całego — oto rozum i moc wasza. — Ale dzień sądu blizki, i w tym dniu obiecuję wam, że nie zapomnę o żadnym z was, o żadnym z ojców waszych, o żadnéj chwale waszéj».

Mąż.

Mylisz się mieszczański synu. — Ani ty, ani żaden z twoichby nie żył, gdyby ich nie wykarmiła łaska, nie obroniła potęga ojców moich. — Oni wam wśród głodu rozdawali zboże, wśród zarazy stawiali szpitale — a kiedyście z trzody źwierząt wyrośli na niemowlęta, oni wam postawili świątynie i szkoły — podczas wojny tylko zostawiali doma, bo wiedzieli, żeście nie do pola bitwy.

Słowa twoje łamią się na ich chwale, jak dawniéj strzały pohańców na ich świętych pancerzach — one ich popiołów nie wzruszą nawet — one zaginą jak skowyczenia psa wściekłego, co bieży i pieni się aż skona gdzie na drodze. — A teraz, czas już tobie wyniść z domu mojego. — Gościu, wolno puszczam ciebie.

Pankracy.

Do widzenia na okopach Świętéj Trójcy. — A kiedy wam kul zabraknie i prochu....

Mąż.

To się zbliżym na długość szabel naszych. — Do widzenia.

Pankracy.

Dwa orły z nas — ale gniazdo twoje strzaskane piorunem.

(Bierze płaszcz i czapkę wolności).

Przechodząc próg ten, rzucam nań przekleństwo należne starości. — I ciebie i syna twego poświęcam zniszczeniu.

Mąż (zawoławszy służącego).

Odprowadzić tego człowieka aż do ostatnich czat moich na wzgórzu.

Głębokie są i prawdziwe uwagi Mickiewicza o téj rozmowie. «Gdyby można było wiedzieć, co Sylla i Maryusz mówili z sobą, kiedy dziwny przypadek pod jeden dach ich sprowadził, możeby w ich rozmowie znalazła się nie jedna myśl powtórzona w powyższéj scenie, bo ten sam spór toczy się od początku społeczeństwa ludzkiego, a tylko strony walczące zmieniają kształt i godła.... Postawić naprzeciw siebie dwa te systema wcielone w dwie osoby, jest to wielki i głęboki pomysł. Istotnie dzieje się zawsze nie inaczéj: pierwéj rozstrzyga się wszy-

stko w duchu, nim zwycięztwo urzeczywistni się na ziemi. Przeciwnicy, przed spotkaniem się na oręże, starli się tutaj, że tak powiemy, na duchy, i widać już na czém się skończy rozprawa w polu. Hrabia zawzięcie będzie bronił swego sztandaru; ale Pankracy postawił nogę w jego dom, odchodząc rzucił nań przekleństwo, przy nim jest moc, on weźmie górę. Prawdy wszakże nie masz w żadnym obozie, unosi się ona wyżéj nad obudwoma, i przeto też zwycięztwo żadnéj stronie nie pójdzie na korzyść».

Ostatnią część poematu otwiera wstęp opisowy. Autor skreśla nam pole zdarzeń, maluje widok okolicy, posępny i groźny, jakiego nie mógłby oddać pędzel najgenijalniejszego malarza. Przed tym zalewem społecznym, co ma ogarnąć ostatnie schronienie przeszłości, przychodzi na myśl poecie zalew wód niegdyś obejmujących ziemię, obudza się w nim wspomnienie potopu.

«Od baszt Ś. Trójcy do wszystkich szczytów skał, po prawéj, po lewéj, z tyłu i na przodzie leży mgła śnieżysta, blada, niewzruszona, milcząca; mara oceanu który niegdyś miał brzegi swoje gdzie te wierzchołki czarne, ostre, szarpane, i głębokości swoje gdzie dolina, któréj nie widać....

«Na wyspie granitowéj, nagiéj, stoją wieże zamku, wbite w skałę pracą dawnych ludzi, i zrosłe ze skałą jak pierś ludzka z grzbietem u Centaura. — Po nad niemi sztandar się wznosi, najwyższy i sam jeden wśród szarych błękitów.

«Powoli śpiące obszary budzić się zaczynają — w górze słychać szumy wiatrów — z dołu promienie się cisną — i kra z chmur pędzi po tém morzu z wyziewów.

«Wtedy inne głosy, głosy ludzkie przymięszają się do téj znikomej burzy, i niesione na mglistych bałwanach roztrącą się o stopy zamku.

«Widna przepaść wśród obszarów, co pękły nad nią.

«Czarno tam w jéj głębi, od głów ludzkich czarno — dolina cała zarzucona głowami ludzkiemi, jako dno morza głazami.

«Słońce ze wzgórzów na skały wstępuje — w złocie unoszą się, w złocie roztapiają się chmury, a im bardziéj nikną, tém lepiéj słychać wrzaski, tém lepiéj dojrzeć można tłumy płynące u dołu.

«Z gór podniosły się mgły—i konają teraz po nicościach błękitu.—Dolina Świętéj Trójcy obsypana światłem migającéj broni—i lud ciągnie zewsząd do niéj, jak do równiny ostatniego sądu».

Tymczasem w zamku panowie, senatorowie, duchowieństwo i szlachta okrzykują hrabię Henryka swoim naczelnym wodzem. Arcybiskup poświęca go znakiem krzyża i daje mu miecz błogosławiony niegdyś ręką Ś. Floryana. Nowo mianowany wódz, mocą charakteru i zapału zniewala wszystkich do posłuszeństwa, i każe wykonać przysięgę, że wszelkiemi siłami będą bronili wiary i czci przodków swoich, że chociażby mieli pomrzeć z głodu i pragnienia, nie zmażą się hańbą, nie wejdą w żadne układy z nieprzyjacielem, nie ustąpią żadnego z praw Boga i swoich własnych. Ale kiedy się to dzieje, widzimy już wychodzącą na jaw całą zgniliznę ukrytą w łonie starego społeczeństwa. Duma, zawiść, samolubstwo sieją rozterki i zwątpienie. Najprzód przy wyborze Hrabi na wodza, jedni mu zazdroszczą, drudzy go obmawiają, słychać głos «Nie pozwalam»; potém najznakomitsi z panów biorą go na stronę, dopytują się jakie ma nadzieje, wyznają swoje obawy; zaprzysiągłszy zginąć w boju, powiadają, że to wszystko dobre dla gminu, ale między sobą powinni jasno oceniać rzeczy, podają myśl układów. Hrabia, niezachwiany, niczém przestrzega tak radzącego księcia, że już na śmierć zasłużył, i obwołuje, że kto wspomni o poddaniu się, ten śmiercią karanym będzie, wydaje rozkazy różnym oddziałom siły zbrojnéj, a sam idzie zobaczyć swojego syna.

Tu poeta znów przenosi nas w świat nadnaturalny. Orcio prowadzi ojca do lochów podziemnych, gdzie walają się na ziemi kajdany, połamane narzędzia tortur i spróchniałe kości dawnych ofiar. Orcio widzi postacie ich blade, poważne, kupiące się na sąd straszny. Nadchodzi oskarżony. Odzywają się chóry złowrogie: «Siłą nam daną, za męki nasze, my niegdyś przykuci, smagani, dręczeni, żelazem rwani, trucizną pojeni, przywaleni cegłami i żwirem, dręczmy i sądźmy, i potępiajmy—a kary szatan się podejmie.... Na tobie się kończy ród przeklęty—w tobie ostatnim zebrał wszystkie siły swoje, i wszystkie namiętności swe, i całą dumę swoję, by skonać.... Za to żeś nic nie kochał, nic nie czcił, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś, potępion na wieki... Dni kilka jeszcze chwały ziemskiéj, znikomej, któréj mnie i braci moich pozbawili naddziady

twoje — a potém zaginiesz ty i bracia twoi — i pogrzeb wasz jest bez dzwonów żałoby — bez łkania przyjaciół i krewnych — jako nasz był kiedyś, na téj saméj skale boleści». W widmie oskarżonego, Orcio z największém przerażeniem, poznaje ojca. Hrabia jednak przemaga samego siebie i porwawszy na ręce omdlałe dziecko, bieży na swoje stanowisko. Ale już w zamku zwątpienie wzięło górę; zewsząd wołają: chleba — ocalenia — układów; a pośród upadłego na duchu tłumu, stoi poseł od nieprzyjaciela, dawny znajomy Hrabiego, ojciec chrzestny jego syna, przybyły teraz z obietnicą przebaczenia dla tych, którzyby się zdali na łaskę Pankracego. Mężny wódz z godnością odpowiada wszystkim, gorzko wyrzuca nikczemność, a przywoławszy oddział zbrojny, odzywa się wskazując mu posła: «Na cel mi wziąć to czoło zorane zmarszczkami marnéj nauki — na cel tę czapkę wolności drżącą od tchnienia słów moich na téj głowie bez mózgu». — Poseł przestraszony zmyka, Hrabia chodząc od jednego do drugiego żołnierza stara się czém może wzruszyć ich i zachęcić, przypomina wyświadczone dobrodziejstwa, ujmuje hojnością, i tym sposobem poskromiwszy jeszcze bunt w twierdzy, każe wiernemu słudze pędzić wszystkich do murów, wszystkich kogo spotka, bankierów, hrabiów, książąt — żeby bronili zamku, albo przynajmniéj polegli z chwałą.

W ciągu tego bitwa toczy się coraz gwałtowniejsza. Oblężonym zabrakło nabojów, szturmujący ze wszech stron wdzierają się na wały. Hrabia widząc nieuchronną zgubę, każe przyprowadzić do siebie syna, żeby jeszcze raz go uściskał. W jego objęciach dziecko to zostaje ugodzone kulą. Przyłożył mu do ust klingę szabli i postrzegł, że oddech z życiem uleciał razem. O kilka kroków daléj padł raniony śmiertelnie wierny sługa i skonał klnąc pana za jego upor. Nie mając już niczego bronić ni spodziewać się na ziemi, nieszczęśliwy bohater cisnął precz od siebie nieużyteczną szablę, i także z przekleństwem na ustach rzucił się w przepaść.

Ludzie nowi, jak ich autor nazywa, wwalili się tłumem do zamku, opanowali ostatni punkt na ziemi. Pankracy znowu wchodzi na scenę. Otoczony orszakiem przyjaciół i zwolenników, wydaje wyroki śmierci na jeńców przechodzących przed nim szeregiem. Autor naśladuje tu styl trybunałów rewolucyjnych za czasów terroryzmu. Skoro jaki książę lub hrabia nadejdzie z kolei, Pankracy zapytuje: «Twoje imię?» potém dodaje: «Ostatni raz je wymówiłeś» albo «Wymazane z pośród żyjących». — Zwycięzca ten jednak, w chwili zupełnego tryumfu,

niepokoi się jeszcze o swego przeciwnika: «Gdzie Henryk?» powtarza ciągle. Nareszcie naczelnik jednego oddziału żołnierzy przynosi mu wiadomość o losie Hrabiego. Wtedy zwracając się do niewolników Pankracy oddaje hołd wrogowi swemu: «On jeden z pośród was dotrzymał słowa. — Za to chwała jemu, gilotyna wam».

Przepyszne jest zakończenie dramatu, uwydatniające jego myśl zasadniczą. Skoro wszyscy rozeszli się pełnić odebrane polecenia, Pankracy wstępuje na basztę z zaufanym swoim Leonardem.

Leonard.

Po tylu nocach bezsennych powinienbyś odpocząć Mistrzu — znać strudzenie na rysach twoich.

Pankracy.

Nie czas mi jeszcze zasnąć, dziecię, bo dopiero połowa pracy dojdzie końca swojego z ich ostatniém westchnieniem. — Patrz na te obszary, na te ogromy, które stoją w poprzek między mną a myślą moją — trza zaludnić te puszcze — przedrążyć te skały — połączyć te jeziora — wydzielić grunt każdemu, by we dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży. — Inaczéj dzieło zniszczenia odkupioném nie jest.

Leonard.

Bóg wolności sił nam doda.

Pankracy.

Co mówisz o Bogu — ślisko tu od krwi ludzkiéj. — Czyjaż to krew? — za nami dziedziñce zamkowe — sami jesteśmy, a zda mi się jakoby tu był ktoś trzeci.

Leonard.

Chyba to ciało przebite.

Pankracy.

Ciało jego powiernika — ciało martwe — ale tu duch czyjś panuje — a ta czapka — ten sam herb na niéj — daléj, patrz, kamień wystający nad przepaścią — na tém miejscu serce jego pękło.

Leonard.

Bledniejesz Mistrzu.

Pankracy.

Czy widzisz tam — wysoko — wysoko?—

Leonard.

Nad ostrym szczytem widzę chmurę pochyłą, na któréj dogasają promienie słońca.

Pankracy.

Znak straszny pali się na niéj.

Leonard.

Chyba cię myli wzrok.

Pankracy.

Milion ludu słuchało mnie przed chwilą — gdzie jest lud mój?

Leonard.

Słyszysz ich okrzyki— wołają ciebie— czekają na ciebie.

Pankracy.

Plotły kobiéty i dzieci, że się tak zjawić ma, lecz dopiero w ostatni dzień.

Leonard.

Kto?

Pankracy.

Jak słup śnieżnéj jasności stoi po nad przepaściami— oburącz wsparty na krzyżu, jak na szabli Mściciel. — Ze splecionych piorunów korona cierniowa.

Leonard.

Co się z tobą dzieje? co tobie jest?

Pankracy.

Od błyskawicy tego wzroku, chyba mrze kto żyw.

Leonard.

Coraz to bardziéj rumieniec zbiega ci z twarzy — chodźmy ztąd — chodźmy — czy słyszysz mnie?

Pankracy.

Połóż mi dłonie na oczach — zadław mi pięściami źrenice — oddziel mnie od tego spojrzenia, co mnie rozkłada w proch.

Leonard.

Czy dobrze tak?

Pankracy.

Nędzne ręce twe — jak u ducha bez kości i mięsa — przejrzyste jak woda — przejrzyste jak szkło — przejrzyste jak powietrze. — Widzę wciąż!

Leonard.

Oprzyj się na mnie.

Pankracy.

Daj mi choć odrobinę ciemności.

Leonard.

O Mistrzu mój!

Pankracy.

Ciemności — ciemności!

Leonard.

Hej! obywatele — hej! bracia Demokraty na pomoc. — Hej! ratunku — pomocy — ratunku!

Pankracy.

Galilee vicisti!

(Stacza się w objęcia Leonarda i kona.)

Tak więc tryumf Galilejczyka, tryumf chrześcijańskiéj idei jest istotnym celem tego dramatu. Prawda nie była ani przy Hrabi ani przy Pankracym, unosiła się nad nimi i zstąpiła teraz potępić obu. Zwyciężony padł przeklinając siebie, zwycięzca w pierwszéj chwili tryumfu uczuł że był tylko narzędziem zniszczenia. Ukazał mu się znak na niebie, jemu tylko widomy, a w chwili kiedy ten znak zrozumiał, pada trupem, powtarzając słowa cesarza rzymskiego, który po daremnych usiłowaniach obalenia chrystyanizmu, skonał wołając: *Galilejczyku, zwyciężyłeś.*

Streściliśmy wspaniały ten poemat podług wykładu Mickiewicza, który piérwszy ocenił wysoką doniosłość jego w prelekcyach swoich. Głęboka i słuszna jest uwaga Adama, że «Nieboska Komedya» jest niczém więcéj tylko «jękiem człowieka genijalnego, który widzi cały ogrom, całą trudność zadań społeczeńskich, a nie wzniósł się jeszcze dość wysoko, aby mógł dojrzeć

mógł ich rozwiązanie.“ Niesłusznie jednak Mickiewicz zapatrywał się na dramat Krasińskiego jako na dzieło zupełnie narodowe. Narodowość jego można uważać tylko w pewném zastosowaniu, duchem albowiem i formą wydaje charakter powszechny, europejski. Krasiński dziwnie pochwycił ów prąd pojęć burzących, jaki przeleciał Europę w lat kilkanaście późniéj, a w którym znalazły się wszystkie postacie i fazy nakreślone nieśmiertelnym pędzlem w jego dramacie społecznym. Tak więc upada zarzut czyniony autorowi ze zbyt jednostronnego stanowiska, że skrzywił charaktery i typy narodowe i upada tém bardziéj, że straszliwe obrazy *Komedyi*, to przepowiednie i widzenia wydarzeń z r. 1846, 1848 i lat późniejszych. Nie mają również słuszności i ci, którzy zarzucali poecie, że dramat swój napełnił paradoksami, że nie wierzył w poprawę społeczeństwa przez oświatę, moralność i obywatelstwo. Ostatnie słowa poematu „*Galilee vicisti*“ dostatecznie zbijają to oskarżenie, świadcząc o głębokiém przekonaniu poety, że świat odrodzi się tylko miłością. Zarzucano wreszcie poecie, że chciał wylać zawziętą nienawiść ku wszelkim wyobrażeniom postępu, że aż do przesady przedrzeźniał język reformatorów nowoczesnych, a wywyższył i upiększył charakter stawionego im oporu. Bezzasadność tego zarzutu okazuje się z ujemnych cech samego bohatera, który „czcił tylko siebie i myśli swoje“, tudzież ze scen takich, jak widzenie Orcia w lochach podziemnych, jak nikczemny upadek ducha pomiędzy obrońcami przeszłości, i wielu innych, gdzie autor naznaczył piętnem ohydy wszystkie rozkładowe pierwiastki szlacheckiego obozu. W poemacie Krasińskiego można upatrzyć jedynie wady artystyczne. Najważniejszą jest brak przedmiotowości, nadmiar liryzmu nieodpowiedni treści dramatu. Wszystkie postacie jego są duchami, nie ludźmi; wszystkie przemawiają jednakowym biblijno — proroczym językiem. Są to myśli autora przyodziane w kształty mające podobieństwo do ludzkich. Zresztą wada, o któréj mówimy, i wiele innych wspólne są wszystkim utworom Krasińskiego. Wrócimy jeszcze do tego przedmiotu.

Z „Nieboską Komedyą“ w ścisłym zostaje związku *Niedokończony poemat*, ogłoszony już po śmierci autora (w Paryżu r. 1860). Utwor ten miał stanowić pierwszą część trylogii, któréj jedynie druga część, t. j. *Nieboska Komedya* została wykończoną. Składa się on z sześciu ułamków pisanych prawdopodobnie w znacznych odstępach czasu, ostatni bowiem wybitnie różni się od poprzedzających pod względem religijnym

i filozoficznym. Zdaje się że pierwsze pięć ustępów powstały przed napisaniem „Nie—Boskiéj Komedyi“, gdyż panuje w nich większa pogoda umysłu i mniej jednostronny pogląd na zadania społeczne i pochód myśli wszech ludzkiéj, niż w ułamku ostatnim, napisanym widocznie lub przerobionym po starciu się autora ze Słowackim w r. 1845. Poemat w głównéj myśli wyobraża dążenie powszechne do prawdy i doskonałości, i natrafiane na téj drodze ciągłe do zwalczania przeszkody. Myśl tę przyodział poeta w kształty zupełnie fantastyczne, naśladując w téj mierze nieśmiertelny poemat Dantego. Widzimy tu podobnie jak w „Boskiéj Komedyi“ *Młodzieńca* (późniejszego *Męża* drugiéj części trylogii) zwiedzającego piekło i czyściec dziejowy dni teraźniejszych i przeszłych, pod przewodnictwem Aligiera, t. j. samego Dantego pod postacią żyjącego człowieka, któremu Bóg powierzył duszę młodzieńca. Poemat pełen jest świetnych obrazów, szczytnych myśli, i jaśnieje niezrównaną barwnością stylu.

We wstępie poeta ukazuje nam *Młodzieńca z Aligierem* na szczytach gór w okolicach Wenecyi, o wschodzie słońca. Młodzieniec namiętnie oddaje się łowom, Aligier przepędza czas na modlitwie. Przecudowną poezyą młodości i siły tchną słowa Młodzieńca zachwycającego się naturą i życiem.

„Patrz przyjacielu! w jakiéj purpurze Bóg dnia się zrywa. Bodajby tak się rodzić człowiekowi, i kiedyś tak ziemi panować! Patrz! jak ta biedna ostatnia gwiazdeczka umiera — mówią że tkliwe serca tak zwykły konać przed światłem genijuszu. O! słońce bywaj, bywaj! zajrzyj w te jary, kędy dotąd lęgną się ciemności, i mostami tęcz połącz brzegi tych bladych potoków. Tak mi świeżo, tak mi dobrze — tak bystro — ostro — tak daleko widzę — czuję, że dzisiaj nie chybię ni razu. Giemza co na tamtym wierzchołku mech gryzie, nie dożyje południa — Ot! trąbki naszych od góry jodeł się odezwały — chodźmy!“

Aligier jednak zostaje i cały dzień modli się do Boga za powierzonego sobie młodzieńca.

„Za tym Cię proszę Panie, któregoś duszę mi powierzył — wysłuchaj o niéj świadectwa mego. Ona bezustannie, sama o tém nie wiedząc, ku niebu Twemu się wydziera. Zaród wszelkiéj piękności, iskra Twoja pali się w jéj głębiach, tylko że ciało, jako mgła wielka obeszło ją zewsząd — przez mgłę, duch, którego strzegę, szuka ciebie! — I nie przejrzał dotąd, że Ty nie tylko wysoko nad nim, nie tylko głęboko pod nim, ale też i wewnątrz

niego samego przebywasz. Daruj mu więc Panie, że tęskni za Tobą!

Błaga aby zbawił go od wiecznéj nocy Ducha i aby pozwolił ostrzedz go snem, w którym będzie prawda wiekuista Boża i prawda doczesna téj ziemi. — Po powrocie Młodzieńca z łowów zawiązuje się pomiędzy nim i Aligierem rozmowa, w któréj znajdujemy wspomnienie katastrofy zaszłéj w życiu samego poety w uniwersytecie warszawskim...

Młodzieniec.

„Widzę ten stary budynek, w którego salach tysiąc rowienników moich siedzi a nauczyciele z katedr mówią do nas. Widzę te w węża załamane wschody — i zakręt ten — i wschód ten sam kamienny, na którym mi się objawiłeś — nie prawdaż harde było ze mnie chłopię, choć niedorosłe i wątłe na siłach; — szedłem właśnie z domu, przechodziłem wśród nich wszystkich z dumą na czole, świadom, że mnie nienawidzą — lecz czemu, nieświadom! Ścisnęli się kołem i coraz mi ciaśniéj i krzyczą „panicz, panicz,“ jakby hańbą być miało, że wskazać mogę, gdzie za ojczyznę gardło dał niejeden z ojców moich i w jakim leży pochowan kościele. Boże! w piersiach dziecinnych pierwszy raz wtedy piekło się urodziło — poręczy żelaznych się uchwyciłem — oni ciągną mnie na dół, za ręce za nogi, za płaszcza zwoje. Byłbym może pod ich stopy runął, ale tyś się ukazał — schodziłeś z góry taki sam blady, taki sam wysmukły jak dzisiaj, tylko że z okiem w płomieniach. Nikt cię nie znał — widywali cię tylko czasem i pamiętali wyraz twego czoła — krzyknąłeś — oni odpadli odemnie — jak liście suche odpadli odemnie. Daj rękę Aligier, ja nigdy téj chwili, nigdy nie zapomnę.

Aligier.

O niéj możesz Henryku, ale słów którem wtedy wyrzekł, pierwszych słów moich do ciebie nigdy nie zapomnij!

Młodzieniec.

Tak — czuję jeszcze twój uścisk — słyszę jeszcze głos twój: „Oni niesprawiedliwi. Ty bądź więcéj niż sprawiedliwy — przebacz im w duchu i kochaj ich w czynach,“

potém zeszliśmy razem a tyś przechodząc wśród nich, spokojnym czasami powtarzał głosem: „hańba wam“.

Wprowadzony przez Aligiera do staréj kaplicy. Młodzieniec zasypia. Sen jego stanowi treść ułamku drugiego. *) Tu poeta przesuwa przed nami w straszliwych obrazach wszystkie nędze i cierpienia ludzkości: rozpacz proletaryatu, wyzyskiwania jego przez demagogów nikczemnych, wszechwładztwo giełdy, powszechną żądzę złota, poniewierkę kobiety i. t. d. Okropną i rozrzewniającą jest historya jednej z najszlachetniejszych niewiast, zmuszonéj do pożycia z człowiekiem bez czci i wiary. **) Sama ją opowiedziała przychodniom w słowach rozdzierających.

„I z wielkiego smutku padła na kolana wołając: — Ty „który wiesz, powiedz czy z nami tak na wieki będzie?“— I pierwszy raz wtedy zapłakała.

„A wieszcz (Dante) rękę położywszy jéj na czole:— „Wyście dotąd były jak lilije boże, co rosną nic nie wiedząc o własnych barwach i woniach. Oto idzie dzień, w którym się każda z was na myślącą różę przemieni. Wymkną się struny natchnienia z rąk mężczyzn i przejdą w dłonie wasze. Oni do stóp wam pochyleni błagać was będą o jednę pieśń osłody — o jedno proroctwo nadziei, o jeden obraz piękności — bo ich dola, trudów nieznośnych i twardych czynów wtedy dolą będzie. Lecz wy zapatrzone w Boga, nie spójrzycie na nich, nie usłuchacie ich płaczu. Wtedy im serca pękną, jako wam od wieków!“—

„—„Wyrzecz jeszcze jedno słowo do mnie,“—rzekła czarna pani modląc się do wieszcza wzrokiem. A oni— „Tak będzie aż przyjdzie na was wtóréj przemiany godzina — i znów podacie im ręce — i serca ich konające zbawicie miłością — i na zawsze staniecie się jako siostry ich, równe im na ziemi i w niebie. — A gdy czarna pani coraz rzewniéj płakała, dodał: „...nie lękaj się — bo gdy co zaginąć mogło, prędzéjby w sądach Pana olsnęła męzka gwiazda chwały, niż wyschła napróżno łza nieszczęśliwéj.

---

*) Ułamek ten był drukowany jeszcze za życia Autora w Lesznie r. 1852 p. t. *Sen*, pieśń z niedokończonego poematu.

**) Historya prawdziwa, odegrywająca ważną rolę w życiu poety.

Ustęp ten kończą szczytne słowa Aligiera: „Dotąd na waszym świecie piekło tylko i czyściec — ale duch Pana zamieszkał wam w piersiach — wyście jak przepaści — a w głębiach waszych tajnie ukryte błękitu. Wiarą wzbudźcie je w jaśń — skrzydłem woli świętéj wznieście je w górę, wynieście na zewnątrz — przed sobą, nad sobą, w okół siebie—rozwidnokrężcie je miłości czynem! Wtedy ono trzecie (niebo) zacznie widomieć na ziemi.“

W trzecim ustępie przenosi nas poeta na plac ś. Marka w Wenecyi w czasie karnawału. Jedyny to może wyjątek w poezyach Krasińskiego, nacechowany realizmem pełnym dowcipu i przedziwnego humoru. Występuje tu znowu Młodzieniec, lecz już w towarzystwie Bankiera — Księcia, który mając go sobie zaleconego przez Rothmana, króla giełd europejskich, służy mu za przewodnika śród uroczystości karnawałowéj, i z uprzejmością włoskiego cicerone wtajemnicza go w karłowate życie miejscowe. Sprzeczność pomiędzy dumnym Młodzieńcem, godnym spadkobiercą imienia sławnego, i pospolitą figurą syna giełdy, wybornie uwydatniona w ich dyalogu. Bankier co chwila nazywa Hrabiego egzaltowanym, dodając łaskawie: „taki sam zupełnie byłem, gdym miał lat osiemnaście“— Na placu ś. Marka młodzieniec spotyka nieznajomą Polkę żonę niecnego magnata włoskiego, i oblicze jéj smutne, pełne niewypowiedzianego uroku, wstrząsa całą istotę jego i głęboko zapada w serce.

W czwartym ustępie młody Hrabia zwierza się Aligierowi z miłością swoją. Napróżno wieszcz zaklina go w imię najświętszych ideałów, aby oderwał serce od ziemskich powabów. »Jakżeż więc o Panie!«— woła ze łzami w oczach— »nigdy synowi człowieka nie wystarczy piękno, tak jak w łonie twojém spoczywa! Nieskończoność nie zagasi pragnienia jego — musi zejść do skończoności i szyderską pomyłką, ziemię za niebo mieć, nieba właśnie szukając! To z czego wszystko jest, ideał, to w imieniu czego sam zakochuje się we wszystkiém, niczém mu! I porzuci ciebie niestworzonego Stwórcę, dla stworzenia, co nie tworzy nic! Dopiero w dwojgu ócz śmiertelnych będzie wyczytywał, żeś Ty jest.— Ty coś w każdéj z tych gwiazd wypiaskorzeźbion na niebie, Ty coś w każdém dziejów powieniu szumiący po ziemi! Jeden tylko śród milionów inaczéj Cię poznał! Ach! prawda Panie, on Tobą samym był! Lecz cóż z nami wszystkiemi, jeśli niedobratnim się jemu? o Panie! o Panie!«— Na uniesienia namiętne mło-

dzieńca, idealizującego ukochaną kobietę, Aligier odpowiada: »Pochlebiaj, przebaczaj, kłam sobie samemu, dziecię śmiertelne! Zwołuj namiętności i zachcianki swe... i niech ci radzą— aż pierś własną uczynisz sobie przedpokojem pełnym dworzan podłych — i wmówią w ciebie, żeś wielki, gdyś mały — żeś waleczny, gdy mdlejesz — żeś wolny, gdy zstępujesz w opętanie«.— Oto jest jeszcze wyjątek z téj prześlicznéj rozmowy:

Młodzieniec.

Czegoż że ty myślisz, że ja pragnę? Oto niech mi przyjaźni świętéj da z serca swego trochę— a na toć jedynie, bym mógł nieco ulgi jéj przynieść— nie żądam nic innego. Ah! bo Aligier, powtarzam, przysięgam ci, nigdym takiego wyrazu boleści nie oglądał w stworzonéj ziemiance. Wystaw sobie marmur najniepokalańszy, paryjski, blaskosiejny marmur— napisu żadnego— spojrzysz i powiesz:— posąg medycejskiéj być z niego ma— a wtem znowu spojrzysz i patrzysz, aż to kamień grobowy już, i pod tą bryłą światła, śmierć. Więc klękaj i módl się i płacz!— to Ona!

Aligier.

Nie dotykajże się grobów, kiedy wiesz, że obowiązkiem twoim żyć na to, by rozdawać życie twe braciom twym.

Młodzieniec.

A cóż poczną, kiedy mi się śmierć kochać każe? Nie pycha, nie tryumf, nie pobłysk, ale ból czy tu czy tam, czy w braciach, czy w téj jednéj z sióstr moich— zawsze smutek i ból mnie woła, mnie nęci! Takie przeznaczenie me! Z tymi co przegrali, grając w losy, wieczniem ja— bo beznadziejni być muszą, bo im potrzeba mnie!

W ogólności nigdzie lepszego wizerunku własnego nie dał poeta, nigdzie szczerzéj nie wyspowiadał się z uczuć, myśli i całéj duszy swojéj, jak w »Niedokończonym Poemacie«.

Aligier postanawia wprowadzić Młodzieńca w świat wspomnień i przeczuć, w świat ludzkości, aby ujrzał sam na oczy wszystkie dzieje ziemskie, porównał je z jedną ziemianką i osądził, czy się godzi przy nich jeszcze marzyć o niéj.

Tajemniczy ten akt, powtórzenie i uwidomienie pracy dziejowéj, wytwarzającéj przyszłość, odbywa się w podziemiach

weneckich i stanowi treść piątego ustępu, najwspanialszego ze wszystkich. Aligier prowadzi Młodzieńca pośród ciemności ku migającéj kropli światła w oddali. Wtém odzywa się chór daleki, streszczający filozoficzną myśl poematu.

»Wy co chcecie przeczuwać, wspominajcie! Wy co stawiać teraźniejszość i odkryć przyszłość z jéj szczytów, weźcie wprzód w głąb duszy wszystkie dni zbiegłe przeszłości. Bo choć odmienne dzieje i różnych zdarzeń moc, pomysł wieczny jeden i prawda jedyna! Ona duszą a świat piersią duszy coraz szerszą, większą!— i jako człowiek jeden wolno się rozbudza ze snu; tak ludzkość cała przez wieki — i jako rozbudzający się rankiem coraz jawniéj się widzi i czuje siebie aż powie:— to ja— tak i téj ziemi duch!...

»Każda myśl poczęta w Bogu, z Wieczności w czas i przestrzeń zesłana, jako cząstka prawdy, jako córka Boża, to samo cierpieć musi co Bóg — Syn przecierpiał wcielony! Objawi się śród ludzi — opowie nieba część— i męczy się i krzyż swój nosi i grób swój ma!

»Jedne zginęły przed czasem jak święte dziewice— inne w saméj pełni sił padły jak bohatery— inne późniéj doczekały trumny w poniżeniu, w nędzy, z wierzchołków zeszłe do katakomb życia— żadna nie skonała w białéj szacie, w któréj zstąpiła na ziemię — żółcią i octem pojone, krwią zbryzgane, zniknęły.

»Ale każda zmartwychwstała w następnéj! — każda z grobu się podniosła w inném, wyższem ciele! Wy co chcecie przeczuwać, wspominajcie! Wy co stawiać teraźniejszość i odkryć przyszłość z jéj szczytów, weźcie wprzód w głąb duszy wszystkie myśli zbiegłe przeszłości — bo dopiero tak z tych co przeminęły jak z tych co przyjdą kiedyś, całość prawdy jest.

I oto wieki, jak sny, przelatywać zaczynają przed oczami Młodzieńca. Rozmaite formy cywilizacyi z odpowiedniemi krajobrazami uwidomiają mu się z całą złudą rzeczywistości. Każdą z faz nowych zapowiada chór nadpowietrznych duchów. Z kolei chóry Chaldejczyków, kapłanów egipskich, chór eleuzyjski, chór Essèńczyków— tych pierwszych zakonników Karmelu, wygłaszają tajemnice przedchrześciańskiego świata. Chaldejczycy, synowie światła, pragnęli wyzwolić się, wypłonąć ku Bogu, i niższe ludzie porwać z ciemności ku słońcu, ku Ormuzda błoniom. Kapłani egipscy pierwsi poznali tego,

któremu na imię: »Był, Jest i Będzie«, i zachowywali trupy, by lud przywykał do nieśmiertelności. Grecy wprowadzili cześć ideału, Essenczycy byli ojcami chrystyanizmu.

Przytaczamy tu cudny ustęp ściągający się do Grecyi.

Chór nadpowietrznych głosów.

Z Egipskich ciemnic, o myśli ludzka, poniesiem cię w róż, mirtów i błękitów kraj! Tam gdzie Zeus pokonał Tyfona! gdzie wąż potwór legł pod strzałami słońca— gdzie na pianie morskiéj Afrodyty kołysana postać— tam gdzie na wzgórzach Pallady posągi. — Zwiń się płowa pustynio! uciekajcie piramidy, schylcie się obeliski przed pierwszą prawdziwą pięknością! Tu mądrość— tu harmonija— tu wdzięczna Psyche odszuka Erosa!

Młodzieniec.

O jakże ślicznie, ślicznie przemienia się wszystko!— brzeg taki zielony — takie lazurowe morze— skały w tunikach z winnic.— Upoję się rozlaną wonią w powietrzu!

Aligier.

Widzisz, wprost przed nami, coś się śnieży, coś kształci — światło pracuje i buduje gmach — już na greckiém wzgórzu wybłyska świątynia — z marmuru paryjskiego, niepokalana Eleuzis!

Młodzieniec.

Brzęk lir i cytar z niéj słychać— a teraz hymny wzniosły się... Z pod kolumn, z za gajów, z za posągów wychodzą przecudne postacie...

Aligier.

Oto Hierofant tajemnic, ten w białych szatach, z sierpem złotym w ręku!

Młodzieniec.

A ten... ten najpiękniejszy z nich wszystkich, ten szerokopierśny, wyniosły, podobny nieco do Chrystusa!

Aligier.

Boski Platon.

Młodzieniec.

Tak mówiło mi serce!

Chór Eleuzyjski.

Duszo zabłąkana w cielesności matniach, dziewico opuszczona na dalekich brzegach, oczyszczaj się, oczyszczaj i wzdychaj i tęsknij, a wrócisz do świata pierwowzorów, do Ojca twego i do matki Eimarmeny! — Patrz, z za epony zmysłów, w którąś się oblokła, patrz, jak niebo to błękitne a ziemia ta kwiecista — z każdéj fali odbłysków tysiąc — z każdego promienia barw mnóstwo— z jednego Boga, bogów miriady rodzą się co chwila!

Hierofant.

I te wszystkie bogi ziemskie, to siły tylko niebieskiego Boga!

Chór Eleuzyjski.

I ziemia i niebo i gwiazdy pełne sił, piękne, rytmiczne, żyjące, czemże?

Hierofant.

Cieniem tylko — odbiciem tylko ideału!

Chór Eleuzyjski.

Kochaj więc, o duszo, ideał nad miarę!

Głos Platona.

Kochaj niezrównaną miłością i spłoń w téj miłości. Tam u niepoczętego nigdy, tam dopiero pięknie, nieśmiertelnie, miarowo! Znaj się — i znając, wznieś motyle skrzydła, poniosą cię one do domu! — a dom twój, rodzimy dom, to pierś Boża, ludna wielkim ludem, ideami wieczności.

Chór Eleuzyjski.

Choć wiarę nam przynosisz i dajesz nadzieję, czemuż nam tak smętno?

Głos Platona.

Bo dotąd nie macie miłości!

Chór Eleuzyjski.

Czemuż nam zaczyna się marzyć o końcu bliskim? Jak posąg Fidiaszowy z kości słoniowéj i złota, pryśnie Grecya nasza— i odłamki jéj leżeć będą w popiele i prochu!

Hierofant.

Cel wasz, o dusze, nie na ziemi téj!

Chór Eleuzyjski.

Szkoda nam jednak, o szkoda helleńskiéj ojczyzny!— i widomych świątyń— i śpiewnych igrzysk— i marzonych bogów— marzonych tak cudnie!

Głos Platona.

Ujrzeć i kochać i rozłączyć się— znów pokochać i rozłączyć się znowu— to doczesna próba dusz, aż wieczne ukochają wiecznie!

Chór Eleuzyjski.

Nie zjawiż się taki, co poratuje nas? Śmiertelnemi oczyma, miłości, któréj brak nam dotąd, nie ujrzemyż nigdy? Czyż z nią dopiero na Eteru spotkamy się błoniach!

Głos daleki.

Bądźcie dobréj myśli, o biedni!— na falach czasu Pożądaniec wieków już zbliża się do was!

Promienna, boska postać Chrystusa odgranicza dwa światy, starożytny i chrześcijański. Poeta przechodzi do innych prób ludzkości. »Jak z tysiąca rozkołysanych myśli opatrzna rada, jak z mnóstwa żądz młodzieńczych wielki, męzki czyn— tak z zamętu wieków i prześladowań, ze zgiełku marzeń i wątpień i kacerstw, wzniosła się Piotra moc. On pierwszym, najstarszym sługą sług Chrystusowych na ziemi! Pod jego stopami królów korony i czoła— w kolebce, jego prawicą kołysanéj, narody— dzieciątka!— I rośnie sam ciałem deptając po ciele!— I stało się! — obloki się w szkarłat— zwielmożniał— zrzymianił się! I oto już teraz zacznie się jęk ludzki skarżyć nań«.

Najprzód szeregiem widm krwawych przesuwają się Albigensi — wyschłe, ponure twarze — kaptury — habity — każdy z mieczem i puginałem— straszni!

Głos Rycerza.

Lecę od wielkiéj rzezi— koń mój pada już i z nim padnę też— okrążyli was rzymscy — nim dzień się skończy, koniec wam! Bracia, do widzenia gdzieś!

Głos niewieści.

Dziecię u piersi i pierś katolicką przeszyto mi strzałą! — nie dowlokę się już do was. Bracia, do widzenia gdzieś!

Głos starca.

Czterech synów mi wczoraj spłonęło na stosie — duch z nimi, duch z wami — noc całą szedłem — usiądę by umrzeć. Do widzenia gdzieś!

Kilka głosów.

Kiedyż Paraklet obiecany przyjdzie!

Chór Albigensów.

Dla nas dziś, bo umrzem dziś! a światu kiedy? Jeden Ojciec w niebiesiech i Syn tylko wiedzą!

Kilka głosów.

Więc już nam nie mieć jutra żadnego na ziemi!

Chór Albigensów.

Po lochach, kajdany! na rusztowaniu topór, oto jutro nasze! Odchodząc, przekrzywione słowo Chrystusa zostawiamy Rzymowi! Połączył się Rzym z przemocą okrutnych i świeckich i będzie gnębił po świecku, aż sam zgnębion będzie!

Kilka głosów.

Chrystus porównał sługi i pany, męże i niewiasty, a kościół ukamienował nas, bośmy chcieli być wolni i równi.

Chór Albigensów.

Puhar niedopity życia wysuwa się z rąk naszych— inne usta ku niemu się nachylą. O Templaryusze, w ręce wasze składamy go — przyjmijcie go od nas — wy obalicie niesprawiedliwość i gwałt — wy doczekacie się Ducha!

Kilka głosów.

Czemuż opuściłeś nas Panie? Wszak my prawe syny Twe, a dajesz zwycięztwo pasierbom!

Chór daleki.

Na ziemi sierotą a nie synem Pana, kto żąda zawcześnie, bo ten nie zna przedwiecznéj mądrości! Lecz zaprawdę pasierbem Pana, kto rzezią zawczesne morduje westchnienia, bo ten nie zna przedwiecznéj miłości!

Młodzieniec.

Jakież jęki, jęków tysiące!— zewsząd następują jeźdcy z kopijami — tratują i żną ludzi jak kłosy— czemu mnie trzymasz Aligier?— na obronę im — na obronę! Po hełmach książęce, hrabiowskie korony — i krzyż — miły Jezu! krzyż twój! Jezus Marya! krzyż wszędzie i pod nim wszędzie ludzka krew! Ztamtąd wieniec pożarów już równinę opłomienił— przysuwa się— ścieśnia— dym zamglewa mi oczy — dym już, tylko dym jak kurtyna przedemną — a za nią zgrzytanie — płacz — psalmów kilka i ot! ten jeszcze krzyk!

Aligier.

To było a nie jest!

Po Albigensach następują Templaryusze, Różokrzyżowce, Mularze i Odrodzeni. Daléj potop klęski, morze krwi i łez — wszędzie rzeź — ulice z gilotyn— wszystkie w ruch się wprawiają — tu, tam i znów tu i znów tam i ówdzie noże łyskają, spadają. Z pod każdéj błyskawicy głowa leci jedna. »Co za ohydne larwy! — woła Młodzieniec — co za katów posępny rząd! i każden przy swojéj pracowni! i te kosze zbroczone, pełne, i te sine kadłuby— i ludu bałwany pstre, huczące z boków, — co siekier, dzid, pałaszy!« — W imieniu człowieka lud zarzyna wszelką władzę ludzką— ciała oderwane od własnych dusz wściekają się i mordują — para z krwi ludzkiéj mgłą posępną powstaje na około. W końcu nie ma już kogo zabijać! Od pracy rumianéj ręce opadły robotnikom, i każden z nich położył się na rusztowaniu swojém.— Lecz oto już znikły gilotyny, znikły czerwone kałuże — wszystko w górę wyparowało jak w dzień letni po burzy — a w górze, niby iskry przewiewne, niby perzyny, wyziewy, orkany, niby elektryczne

wężujące nurty. Z żywiołów tych jedna siła, jeden kształt promienisty się tworzy— to Napoleon.

Krasiński, podobnie jak i Mickiewicz, idealizuje Napoleona, patrząc nań przez pryzmat poezyi i własnéj, prawdziwie wielkiéj duszy.

Młodzieniec.

Na tle odmętu, on jeden, on jeden — taki całki — taki jasny — z orłów złotych, rozskrzydlonych żywy namiot po nad głową! — uśmiech jakoby dobroci na ustach a grom, zda się, wyskoczy ze skroni — to cesarz, to Napoleon!

Aligier.

To dusza Napoleona w świecie dziejów ludzkich — jedna, a wieki zawierająca — jedna a wszystka — idea z milionów myśli, drgająca, wcielona — a teraz Pan jéj powie: — Idź naprzód — i nic i nikt jéj nie wstrzyma — i pójdzie — i drogę dalszą znajdzie śród ciemności!

Chór nadpowietrznych głosów.

Kto mu równy z tych, co przemijali dotąd? Wszystko co kiedykolwiek istniało w rozdziele, daném mu w przedziwnéj spojni! — i ciało półbogów dawnych, niestrudzone, bezsenne, urodziwe! — i dusza chrześcijańska bezdenna a tęskna i rzewna, i duch twórczy, czasu i przestrzeni magnetyczny pan. — Wszystkie losy ludzkie w nim jednym się zbiegną! wszystkie trudy i tryumfy — potęgi i klęski — wesela i nieszczęścia — Jak świat z niczego, prosto z Boga stworzon, tak i on śród ludzi, z niczego zjawi się i wzniesie! Bohaterem będzie jak grecki Aleksander — imperatorem tak jak rzymski Cezar — męczennikiem jak święty z pierwszych Chrystusowych wiosen! I umrze jak Mojżesz, sam jeden w obliczu Pana! umrze prorokując o woli Pańskiéj nad dniami przyszłemi człowieczego rodu!

Młodzieniec.

W słup ognisty, skrzącemi skrzydły związały się orły— otoczyły go — palą się i kręcą. On z wiru tego wyciągnął rękę i porwany leci; — miecz w ręce téj jak płomień; — nicość się rozświetla — przestrzeń błękitnieje — znów w dole, postacie ludzkie kształcą się, wyrastają, kupią! Widnokręg coraz nieskończeńszy przed nim!

Aligier.

Nie przed nim — bo on musi się rozwiać — ale przed temi tłumami, których on na chwilę pasterzem.

Młodzieniec.

Co za organów olbrzymich śpiew?

Aligier.

Słyszysz grzmoty bitew jego, przemienione w harmoniję wspomnień.

Lecz oto kończy się przeszłość — teraźniejszość się wszczyna i zgromadzenie żywych duchów marzy o tém co stać się ma, bo stać się powinno. Przyjęcie młodzieńca do tego zgromadzenia stanowi treść ustępu VI-go. Ostatni ten ustęp nie dorównywa poprzednim ani obrazowaniem, ani potęgą wyrażeń, lecz ważny jest dla tego, że najjaśniéj i najdokładniéj przedstawia filozoficzne i historyozoficzne zasady Krasińskiego. Dają się one streścić w następujących słowach. Duch ludzki jest bez początku i końca, bo z Pana wyszedł i ku Panu dąży napowrót, a nigdy nie stopi się z Panem. Na pielgrzymkę nieskończoności duszę i ciało mu dano; — on ciągle jeden, ten sam, niezatracalny — one tylko umierające i odżywające na przemian. Kiedyś, kiedyś on zrzuci ludzki strój i inny wyższy przybierze w dzień ostatni przypomnienia i sądu. Lecz wprzód losy planety wspólne nam wszystkim rozwiązane być muszą. W czasach przedchrystusowych ciało pogańskie tęskniło do chrześcijańskiéj duszy, aż dostąpiło objawu niebianki. W świecie pochrystusowym rój myśli świętych rozwieszon nad światem — lecz nie spuszczają się na dół by osypać ziemię, — niebieskie kwitną tylko w niebiesiech. — Na podobieństwo i obraz Trójcy przedwiecznéj, wszechświat i każda cząstka jego i każden z nas i wszelki drobiazg i wszelka arcy-potęga — kamyk czy seraf — dostały w dziale Byt, dostały w dziale Myśl, dostały i Życie. Jest to Ojciec, Słowo i Duch. Za dni Jehowy proroki Ojca oglądały już Syna przed sobą — a Syn w chwili gdy umiera, widzi już Ducha świętego! Człowiek zwierciadłem wieczności — więc i w dziejach człowieka odbić się musi następnie ta Trójca, co wiecznie sobie spółczesna na niebie. — Ten tylko uwielbi Pana, kto przepis Jego we wszelkiéj rzeczywistości uwidomi i udotykalni — a wtedy chwała świata

takiego, że z Boga jest, sama świadczyć będzie. Wykonanie będzie zstąpieniem Ducha, czyn sam pocieszycielem. Ani osobnikowi, ani narodom, ani ludzkości Łaska wiekuista nie zdała się na nic, jeśli aż pod same niebiosa rąk nie podniosą ku niéj — bo połową stworzenia wola stworzonych. Czyn — pocieszyciel kryje się w piersi każdego człowieka. — Choć minęło co minąć miało, choć dopełniają się czasy, choć Duch obiecany już przewiewa po nad ziemskim padołem, — jeśli go sami nie wysłużym, nie wypragniem, nie wyczynim, jeśli siebie samych nie przeołtarzym Jemu, on nie zaświeci nam — i niepocieszeni zostaniemy. — Póki ciało z duszą nie zlane w jednego Ducha, póty czynu powszechnego nie masz, póty bitwą i zamętem dzieje ludzkości. Wszędzie rozłam i rozpad i rozstrój — cząstki tylko — a każda nienawistna drugiéj we wszystkość zesamolubić się chce, wytępiając inne. Naród, państwo, stan, zasada, ustawa, prawo każde, nie o postęp ale o coraz starszą starość, o przedawnialość się stara... Inném prawo wszechżycia — ani umierać, by zaginąć i potępionym być — ani nawet umierać, by późniéj z grobu wstać — ale z siebie samego zmartwychwstawać wciąż a bez omdlenia śmierci — oto rozwój duchów — toć żywot ich wieczny. Narody go na ziemi dostąpić powinny, nim każden osobnik go w zaświatach dostąpi — bo człowieczeństwo czémże, jeśli nie szkołą, próbą aniołów? Alboż ołtarze Boga tylko pod katedr sklepieniem? Wszędzie — i w izbie poselskiéj i na trybunale i w kole wyborców i w kole wybranych — i na stolicy władnéj i na rynku pospolitym i w rękodzielni i na giełdzie i w sztuce każdéj i w każdéj umiejętności Pan dojrzan, poznan, uczczon i wykonan być musi — być musi i będzie! Każden trud w posłannictwo, każden urząd w kapłaństwo się zmieni — i czcią Tego który jest, będzie być i żyć, — Ten tylko wolność prawdziwą osiągnął, kto tak ducha swego wyarcydzielował, że już nie walczy ni z sobą ni z drugimi, ale w sobie spokój ma a z drugimi miłość — więc samoistny jest — więc z siebie samego wystąpić może, zdwoić się, ztroić, zesetnić we własnych utworach!.. Bez miłości nic postawić i zbudować niesposób — bez któréj Bóg choć wszechpotęgą odzian, nie mógłby był stworzyć nic. Każden powinien się podnosić, jak z głazu posąg, pod wewnętrznem woli swojéj dłutem. Nie to co niewzruszone i zbite jak skała, mądrością na ziemi — ni też co wściekłe i wysadzające skałę, natchnieniem i czynem. Ale istną świętością i wybornem pięknem, to co płynie wciąż a wstępujące coraz w górę

wyżéj, to co szersze co chwila a jednak toż samo jak światła wschód nieskończony.

W ułamku tym występują chóry narodowości z Prezesem na czele, który wygłasza streszczone powyżéj myśli. Widzimy tu również *Pankracego*, jako jednego z koryfeuszów. Protestuje on przeciwko słowom miłosierdzia, hasłem zniszczenia i gwałtu. Zimne i ostre, jak cięcia topora, słowa jego przystraja w poetyczne barwy *Julinicz*, bard niszczycieli. *) Na rozkaz Prezesa przed Pankracym i stronnikami jego stawiają trumny — skazani są na śmierć ducha, gdyż «wiednym ducha, grzech przeciwko Duchowi darowanym nie jest».

Prezes.

Pankracy! naznaczonyś piętnem potępieńców! Po wieki wszystkie bywali na ziemi — kusicielką ich pycha — czynem ich niszczenie! Każdą ideę nieborodną, przez Pana zesłaną w świat, odpychają od świata w niebo nazad, niecnie służąc jéj; — bo nie jéj, ale sobie, w jéj imieniu służą. I Bóg od nich przyjmowany jak szatan, oddala się precz, blednący z gniewu, że takie sługi ma. Jesteś jednym z nich! Ty się zprzeniewierzysz świętościom ogłaszanym tu! Ty zdradzisz Chrystusa! Ty zdradzisz Ducha świętego!.. Albo marnie przepadniesz, albo też wstrzymasz rozwój ludzkości — odwrócisz ją z toru wstępnego, na boczne manowce, — każesz jéj po kałużach brudzić stopy białe — wieki przerazisz i cofną się w tył!... Więc w imieniu Ludzkości, więc w imieniu Ducha świętego, przeklęstwo na tobie kładę o duchu zgubiony; bo kto przeciwko miłości wiekuistéj, ten — wiedz o tem — choćby zwyciężył — ten zginie!

Pankracy.

Do widzenia w wieczności!

Prezes.

Te trumny, to pogrzeb wasz — na wiele, wiele wieków cofnięciście o kacerze! — i umieracie w téj chwili, a śmiercią gorszą, niż gdybym was kazał stracić — bo-

*) Widocznie poeta miał tu na myśli Julijusza Słowackiego. Potwierdza to nasze przypuszczenie, że ostatni ustęp „Niedokończonego poematu“ napisany lub przerobiony został nie wcześniéj jak po ogłoszeniu Psalmów, t. j. w r. 1845.

bym ducha wam nie mógł kazać odebrać — samiście sobie odebrali go! Idźcie więc z ciałami waszemi, w tych trumnach wasze zacności i cnoty pozostają — w tych trumnach myśli Boże o was, które wami być miały samymi, a w któreście wżyć się nie podołali — w tych trumnach, to co w was ludzkiego było na ziemi!

Chór niewidzialny.

Idei fałszerze! idei najzaciętsze wrogi! Wy co ją krzyżować będziecie, a szydersko, bo mianując się jéj synami! Wy umierający — wy skoro za ten próg przejdziecie, umarli! Idźcie, idźcie precz!... Śpiewajcie im, śpiewajcie pogrzebową pieśń. Przeszłość rozdeptali — nie pojęli przyszłości — teraźniejszość potwornieje przez nich! Więc w czasie ich nie ma, bo obrazili, okaleczyli, rozćwiertowali czas! Gdzież oni są! w nicestwie ducha są! Śpiewajcie im, śpiewajcie pogrzebową pieśń!

Niedokończony poemat, a szczególniéj ostatni ustęp jego, jest najlepszym kluczem do zrozumienia późniejszych utworów Krasińskiego.

Irydion jest dramatem, którego akcya odnosi się do trzeciego wieku ery chrześcijańskiéj, epoki prześladowania chrześcijan. Stan państwa rzymskiego w tych latach był stanem konania — rozwiązywania się — dezorganizacyi. Wszystko co niegdyś było życiem jego, co sprawiało ruch jego postępowy i byt, teraz wracało w nicość, słowem umierało, przetwarzało się. — Trzy systemata stały obok siebie. Pogaństwo już bez życia, ale uzupełnione w Rzymie wszystkiemi religijami przybyłemi ze wschodu — jakby ciało we wszystkich częściach swoich, pysznie ubrane, leżące na marach. Chrześcijaństwo dotąd bez ciała prawie, bez kształtu, prześladowane, rosnące między ludem, wyzywające wszystkie wiary symboliczne przeszłości do walki z filozoficznemi — podobne do ducha potężnego w pracy wcielenia się swego — i barbarzyństwo rozmaite, dzikie, ruchome jak morze wśród burzy, żyjące od dnia do dnia w legiach rzymskich, buntujące się przeciwko Rzymianom w północnych prowincyach, gwałtem jednak zewsząd cisnące się ku Włochom, czy zbrojną ręką, czy jako zaciężne żołnierstwo, pełne jakiejś niespokojności na wzór atomów, kiedy się zrosnąć i skupić mają, ale bez poczucia się, bez wiedzy żadnéj; ślepe, straszne jak siły natury. Była to materya już wrząca,

już gotowa stać się kształtem, przylgnąć jako ciało do ducha przechadzającego się w katakombach — do chrześcijaństwa. Milczenie ducha i indywiduów, które poprzedzało tę wielką burzę, w któréj Rzym zniknął i przetworzył się na Europę chrześcijańską, były to ostatnie orgije Cezarów — była to nędza nieopisana ludu i niewolników we wszystkich częściach państwa. Życie moralne odpoczywało tymczasem, by powstać i zagrzmieć — zresztą świat starożytny był raczéj światem liczb i kształtów, niż wolnych ruchów ducha — dla tego musiał konając konwulsyjnie. ogromnie się tarzać w materyi swojéj.

Przepysznie maluje poeta obraz ten na pierwszych kartach poematu swojego:

«Już się ma pod koniec starożytnemu światu — wszystko co w nim żyło, psuje się, rozprzęga i szaleje — Bogi i ludzie szaleją.

«A jako Jowisz pan na niebie, tak Rzym pan na ziemi kona i szaleje. — Fatum jedno, spokojne, niewzruszone, rozum nieubłagany świata, patrzy z wysoka na wiry ziemi i nieba....

«Gdzie postacie, które tak dumnie i wzniośle kroczyły dawniéj po twoich siedmiu wzgórzach, o Rzymie? — Gdzie patrycyusze twoi z nożem ofiarnym i włócznią w ręku, z sercem pełném tajemnic, z chmurą zgrozy na czole, ojcowie rodzin, ciemiężcy plebejanów, ukrócicielе Włoch i Kartagi? Gdzie Westalka wstępująca w milczeniu z ogniem świętym na schody Kapitolu?

«Gdzie mówce twoi, panowie dusz tysiąców, stojący po nad falami ludu, gwarem poszeptów obwiani i burzą poklasków? — Gdzie żołnierze legionów bezsenni, ogromni, z twarzą spiekłą od słońca, ochładzaną znojem, rozjaśnianą połyskami mieczów? — Wszyscy zniknęli jedni po drugich — przeszłość ich zagarnęła i jak matka tuli do łona — Nikt ich nie wydrze przezsłości.

«Miasto nich podnoszą się nieznane dotąd kształty, ni piękne jak półbogi, ni silne jak olbrzymy tytańskich czasów; ale dziwaczne, migające złotem, z wiankami na czole, z puharami w dłoni, a wśród kwiecia sztylety, a wśród biesiad trucizny, a w ich tańcach konwulsyjne podrzuty— niby to życie bez granic wśród pieśni i jęków, ryku hyen i nawoływań gladyatorów. — Śmiech z takiéj wiosny umajonéj krwią i woniami spiekłych kadzideł! — Śmiech z ta-

kiego życia! — Ono przejściem tylko, ono nic nie utworzy, nic nie zostawi po sobie, prócz krzyków kilku i sławy marnego skonania!

«Motłoch i Cezar — oto jest Rzym cały! —»

Irydion, syn Amfilocha Greka i Grimhildy kapłanki Odyna, z rodu królów północnych, jest wyobrazicielem starożytnéj Hellady i ludów barbarzyńskich; Rzym występuje w postaci Heliogabala, chrześcijaństwo stoi jeszcze w głębi. Irydion będąc uosobioną tylko zemstą, i dążąc jedynie do zewnętrznego potargania więzów, do cielesnéj wolności, która nie może być podstawą nowego porządku świata — z konieczności upada w walce, gdyż cielesna wolność powinna się stać duchową, i wyjawić nie po pogańsku w zemście, ale po chrześcijańsku w duchu miłości bliźniego. Celem najbliższym w téj tragedyi świata jest obalenie samowładztwa Rzymu, zniszczenie jego potęgi. Dla celu tego Irydion depce własne swe szczęście, otacza się barbarzyńcami i niewolnikami, których przywiązuje do siebie hojnością i miłosierdziem, nie waha się nawet rzucić w objęcia Heliogabela niewinną siostrę swą, piękną Elsinoe, żegnając ją słowami: «Nie daj nigdy Cezarowi zasnąć na piersi twojéj — niechaj wszędzie słyszy pretorianów wołających do broni, patrycyuszów knujących spiski, lud cały walący do bram pałacowych, a to czynić będziesz powoli, dniem po dniu, kroplą po kropli, aż go szałem otoczysz i wyssiesz całe życie z serca jego». Szuka wreszcie sprzymierzeńców i narzędzi dla myśli swojéj w katakombach, burzy spokój dziewiczy świętéj za życia Kornelii chrześcijanki, i przez nią zasiewa rozdwojenie pomiędzy wyznawcami Chrystusa. Zły Duch wcielony w starca Masynissę prowadzi go po téj straszliwéj drodze. W katakombach ma się rozstrzygnąć los Rzymu. Prawda, że w starych, w tych którzy odbyli męczeństwo, i niebo roztwarte nad sobą widzieli, napróżno rozniecać iskrę zapału — odpowiadają na to zawsze te same słowa — przebaczenie — zapomnienie — miłość zabójcom: ale młodzi, świeżo namaszczeni żołnierze, niewolniki, barbarzyńcy, pielgrzymy, co odwiedzili pustynie Egiptu, coś dzielniejszego czują. Ich wzrok się płomieni na wzmiankę obelg i męczarni, ich serca przynajmniéj czegoś pragną na świecie. Na nich można działać w imieniu ukrzyżowanego a nie pomszczonego dotąd Boga. Przedstawicielem tego młodszego stronnictwa jest Symeon z Koryntu, w którego marzeniu odzywa się już głos późniejszéj

światowładnéj potęgi kościoła: «W dniu jednym świat posiąść, nie ten nędzny kędy błyszczy złoto i stęka żelazo, ale ten ogromny, ten świat dusz wszystkich i panować im w imieniu twojém o Boże! Ah! gdyby morze jasności, ta myśl przedemną rozciągnięta — ku niéj płynę w potokach cierpienia i poniżenia coraz olbrzymiéj rozpychając zasępione fale. — O Chrystusie! podbiję ci wszystko, co zowie się ciałem. — Tam w dole będą pustynie, skały, miasta, ztamtąd szumią wołania królów i kupców, a duch mój, odbicie twego na ziemi, zawieszony w górze, jednością potęgi ich ściska. — Każę im milczeć lub modlić się, drżeć lub radować się — myśleć lub zasnąć!» —

Prześliczny jest obraz walki pomiędzy starém i młodém pokoleniem katakombowem, walki zakończonéj chwilowym tryumfem Symeona i Irydiona.

Chór młodzieńców.

Nieszczęśliwy ten co urodzon z niewiasty. — Dni jego błahe i znikome — od krzyża ramion odwiązać, od cierniów skroni odchylić nie zdoła. — Ciemności siostrami jego i grobem.

Chór starców.

Święty, Święty, Święty, słuszne sądy twoje! Ty przez męki ojców wynosisz przyszłe pokolenia. — Na stosach kości naszych zieloność wiosny i szkarłat potęgi rozwiedziesz synom naszym.

Chór młodzieńców.

Zeszlij nam pocieszyciela — niech on stanie na wysokościach, niech karki wyniosłych stopom swoim podściele w równiny. — (*Wchodzą Symeon i Irydion.*) Witajcie!

Symeon.

W imieniu Ojca, Syna i Ducha, nadzieja niechaj będzie z wami.

Chór starców.

Symeonie, Symeonie! dla czego ten co idzie za tobą, co niedawno jeszcze nosił szatę Katechumena, dziś przywdział zbroję? — Naucz go i oświeć, by puklerzem była mu skrucha, a szczera modlitwa jedynym orężem.

Symeon (do Irydiona).

Wstąp na mogiłę — odpowiadaj za siebie. — Ja tymczasem wezmę jeszcze ducha — chwil kilka jeszcze, a stanę się w duchu.

Irydion.

Kto się pyta, niechaj własnéj mądrości nie ufa, ale niech spojrzy w około i przypomni sobie przepowiedziane dni klęski mające zawisnąć nad ziemią!

Czasy milczenia kończą się dzisiaj, bo przebrały się męki sprawiedliwych — w grobach już miejsca nie znaleźć. — Kości umarłych gwałtem nas wypychają ku słodkim błękitom.

Kto leżał w prochu niechaj powstaje, kto się weselił nad naszemi głowy niechaj zadrży — bo przepaści wejdą w górę, a wzgórza zapadną w otchłanie!

Chór młodzieńców.

Synu obietnicy, pokój Pana niechaj będzie z tobą.

Irydion.

Pioruny gorejące Pana niechaj będą ze mną i z wami. — Z krzywd waszych stało się moje natchnienie — w łasce Jedynego, potrójnego, wszczęła się otucha moja — a waszą wolą moja posetniona siła niechaj wre i woła o pomstę do Boga.

Słuchajcie mnie! — Miasto rozdzieliło się téj nocy. Syn wszeteczeństwa zachwiał się na tronie. Lud, jak morze niepewne któremu wiatr się podda, dotąd kołysze się i milczy — ale wnet nań spadną ciężkie wichrów skrzydła, runą weń grady pomieszanych chęci. — Patrzcie! widome ciemności gromadzą się nad stolicą, która morduje proroków i świętych. W całéj Azyi powstają legiony. Nad Renem burzą się Allemany. Cezar i Aleksander zabierają się do ostatniéj rozprawy. Ten wzywa Mitrę, tamten Statora — a któren zwycięży, zwycięży z przekleństwem Chrystusowi na ustach!

Oto znak wam dany, hasło obiecane — patrzcie a ujrzycie. Chciejcie, a będziecie wolnymi.

Chór starców.

Kto ci dał władzę i na czole twojem wyrył słowo Bo-

że? Gdzie Wiktor, ojciec wiernych, pasterz namaszczony? Czy on powie o tobie: — On jest ten, którego Pan wzbudził?

Symeon (wstępując na drugą mogiłę).

Ja mu świadczę! (*wznosi krzyż*) Płyńcie łzy moje, roztwórzcie się rany piersi moich. — Oto Pan nad wszystkie pychy, Bóg, i zwycięzca przybity do progów śmiertelnych. — Wy, którzy nie macie serca, stójcie na miejscu jak głazy porzucone na ścieżce. — Ja dla was mówię. Wy, co nie pragniecie by Hierozolima wyszła z toni czasów, starzejcie się i milczcie. — Ja nie do was mówię!

Tych tylko wzywam, dla których on hańbę znosił, pośmiewisko wytrzymał, aż słońce od mąk jego przesłoniło się nocą! Od nocy téj straszliwéj kto się upominał o obelgi syna człowieka? Nikt go nie odział, nikt nie napoił. — Wszystkie narody ziemi jedne po drugich ukrzyżowały go na nowo!

Chór młodzieńców.

Przekleństwo czcicielom Molocha!

Irydion.

Nie wypuszczajcie chwili, która nadlatuje. — Nie patrzcie na nią jak na skrzydła co mijają i giną w oddali, jak na błyskawicę, co błyśnie i zamrze w błyśnięciu! Ale wszyscy razem, zgodnie, wyciągnijcie ramiona — objąć ją — przycisnąć do serc waszych, o bracia, — z niéj drobnéj dzisiaj, z niéj co nie powróci nigdy wydobyć iskrę życia — bo zaprawdę wam ogłaszam, że w niéj długie wieki drzemią. — Jeśli ją obudzicie, staną się waszemi!

Chór starców.

Ogień modlitwy gaśnie w łonie naszém — mgła tajemnicza zsuwa się nad nami. — Panie, od pokus zwodziciela wybaw nas Panie!

Irydion.

To słabość — przez kajdany ojców waszych odrzućcie ją — przez stosy Nerona odrzućcie ją — przez ofiary Cyrku zaklinam was, bądźcie silnymi!

Chór młodzieńców.

Głos twój jak dźwięk trąby grzmiącéj pędzi nas ku

płaszczyznom ziemi—ale drżą nam piersi, włosy powstają na głowie! O Symeonie z Koryntu odezwij się — mów czy nie widzisz czego?

Symeon.

Widzę wzrokiem Jana, który przed laty patrzał na Hierozolimę wybranych. — On w grobie śpi wśród nachylonych Aniołów i powstanie dzisiaj lub jutro — wtedy się usunę — a teraz ja prorokuję, ja wołam!

Chór.

Ścisnęły się marszczki czoła jego.— Krzyż czarny drży mu w dłoniach jak gałąź wśród wichrów.

Symeon.

Duch mnie ogarnął, unosi. — Stąpam na zwaliskach miasta.— Bożyszcza przewrócone jak kawały darni— orły złote bez dziobów, bez skrzydeł na garściach potrzaskanéj broni — purpury jak płótno na łące, obwite niciami pajęczyn — łuny igrają po trupach. — Rozpuszczone warkocze dziewic, długie szaty Konsulów, Cezarów, porwane wozy znikają w oddali (*pada na kolana*). O Boże umęczony, natchnij ich duszę jakeś moją natchnął i ogień pożerający bitew roznieć w ich dłoniach! (*Wstaje*).

Modlitw waszych spienione fale dopłynęły Niebios. — Dusze zabitych złością synów ludzkich stanęły u ołtarza, co wiekuiście pali się na podnożach tronu. — I ujrzałem tego który panuje na tronie — przeliczył je wszystkie, a liczba ich dopełniona i zawarta księga świadectwa i śmierci. — Głos zagrzmiał: — Odkąd mi świadczyć będziecie życiem i zwycięztwem!

Chór. (przyklękają wszyscy).

Chrystusie, Chrystusie, wrą nam serca, bo zmartwychwstać chcemy! Nie opuszczaj nas w chwili niepewności.— Daj nam objawienie sądów Twoich!

Irydion.

Czy się jeszcze pytacie ludzie małéj wiary? Wznieście oczy. — Oto Pan wasz kona — oto jeszcze roztwarte usta i ostatnie wołanie:— Czemu opuściłeś mnie Ojcze!— Bracia, czy wy go jeszcze i dzisiaj opuścicie?

Chór.

Nie. — Nie.

Irydion.

Ha!

(Odwraca się).

Symeon.

Blednieiesz?

Irydion.

Tam — gdzie zakręcają się sklepienia — tam na saméj granicy świateł i ciemności....

Jeden z chóru.

Kto nas podchodzi lekkiemi stopy?

(Wbiega Kornelia).

Symeon.

Witaj dziewico poślubiona wiekuistéj miłości!

Chór.

Zkąd do nas idziesz tak późno, sama, z rozpuszczonym włosem?

(Kornelia zatrzymuje się przy mogile Irydiona).

Symeon (do Irydiona).

Przemawiaj daléj!

Irydion (obracając się do Kornelii).

Czy mnie poznajesz, czy moje słowa pamiętasz?

Jeden z tłumu.

Słyszeliście ten krzyk świętéj?

Drudzy.

Straszno, strasżno stało się o téj godzinie sercom naszym.

Irydion.

Milczcie, teraz ona mówić zaczyna!

Kornelia.

Objawiłeś się i wyrzekłeś straszne słowo.— Odtąd biegnę i wołam — dnie i noce mijają, ja biegnę i wołam — (*odwracając się do ludu*). Do broni, do broni!

Irydion.

..... Dusza niewiasty prędzéj od was wszystkich zrozumiała tajemnicę niebios.— Zmyjcie hańbę waszę w krwi

bałwochwalców! (*kładzie dłonie na włosach Kornelii*). Stań się żywym głosem chwały przyobiecanéj— Rozedrzyj zasłonę czasu przed oczyma ludu!

Kornelia.

W gromy zbrojnego widziałam — szedł zdobywając by zdobywać daléj—i nieśmiertelną stałam się w obliczu jego!

Chór starców.

Czyś miała widzenie i dotąd spoglądasz na jego mdlejące ostatki? Odpowiedz nam, odpowiedz!

Kornelia.

W gromy zbrojnego widzę— idzie i zdobywa. — Nic mu się nie oprze. — Strzała jego cięciwy ziemię odmierzy w przelocie. — Strachem otoczył się jak zwojami królewskiego płaszcza, i śmierć blada posuwa się za nim.

(Ucieka).

Jeden z chóru.

Wśród głów i pochodni, jéj włosy podskakują i toną jak fale.—

Chór.

Gdzie lecisz?

Kornelia.

Gdzie światło nie dojdzie, niech mój głos doleci; do broni!

Wszyscy.

Do broni, do broni!

Nieuchronna, blizka zagłada wisi nad Rzymem. Zbuntowani pretoryanie z Aleksandrem Sewerem na czele stoją za murami i gotują się wkroczyć do miasta. Heliogabal, oszalały ze strachu, mianuje Irydiona dowódzcą pretorium i wręcza mu pierścień cesarski z genijuszem Romy. Barbarzyńcy i gladyatorowie, rozrzuceni po różnych częściach miasta, czekają tylko na hasło wodza, ażeby Gród Wieczny zamienić w perzyny. Nazarenów tylko nie widać, a na nich oparta cała nadzieja powodzenia zamachu. Bohater nasz biegnie do katakomb — lecz tam już stronnicy jego ulegli powadze biskupa Wiktora i pozostają nieczuli na wymówki i nalegania zrospaczonego Greka. Kornelia uwolniona od opętania umiera przebaczywszy temu, który ją na chwilę oderwał od Chrystusa. Z przekleństwem na ustach Irydion wybiega z katakomb i łączy się ze swoimi.

Tymczasem Sewer wkracza do Rzymu na czele pretoryanów i Heliogabal ginie pod mieczami żołnierzy; Elsinoe przebija się. Lecz pomimo najoczywistszą zgubę, Irydion nie wyrzeka się walki, i zająwszy ze stronnikami swoimi dwa wzgórza, pali świątynię Faustyny i bazylikę Emiliusza. Sewer odsyła mu zwłoki siostry i ofiaruje przez posła swego Ulpiana przebaczenie z warunkiem wykonania przysięgi i wydania wspólników. Irydion z pogardą odrzuca łaskę Cezara. Niepospolicie piękną rozmowa pomiędzy Ulpijanem i Irydionem. Rzymianin zrazu myśli, że Irydion walczy za pamięć i sławę Heliogabala, i przypomina mu siostrę zhańbioną. Irydion mu na to odpowiada, że robak co wił się po ziemi, proch co z koturnów jego zlatywał, dłużéj mu się ostał w pamięci, niż wspomnienie Cezara; siostra zaś jego czystszą była pod tchnieniem Syryjczyka, niż wszystkie matki i córy Rzymian.

Ulpianus.

Za kogo więc się bijesz i przeciwko komu?

Irydion.

Długie to dzieje starcze!

Ulpianus.

Aleksander Severus łaskawym był zawsze na ciebie.

Irydion.

On też drobną cząstką tylko nienawiści mojéj.

Ulpianus.

Mów więc kto wrogiem twoim?

Irydion (do swoich).

Powiedzcie głuchemu i ślepemu, powiedzcie o bracia, kto was odpędził od bitéj drogi człowieczego rodu i przymusił stąpać ścieżkami ciemności — kto od kolebki wycisnął wam na czołach znamię pragnienia i głodu — kto w latach późniejszych nie dał wam ukochać niewiasty i zasiąść w świetle domowego ogniska?

Chór.

Roma!

Irydion.

Kto sam śmiertelny, w nędzy i poniżeniu śmiertelnych położył najsłodsze nadzieje — kto pochwalił syna Mi-

trydata, który rękę podnosił na starego ojca — kto zdrajców południa i zdrajców północy zaprosił na festyny swoje — kto czarę niedoli świata wychylił aż do dna?

Chór.

Roma!

Irydion.

I nektarem z łez i nektarem z krwi upił się jako Bóg piekieł?

Chór.

Roma — Roma!

Irydion.

Słyszałeś? wiesz teraz czém jestem?

Ulpianus.

Szaleńcem! To miasto od piérwszych dni swoich żyło uśmiechami Bogów. Ono było drugiém Fatum świata. Czy nie wiesz, że Fortuna jak niewolnica niosąc ostatki strzaskanego koła, szła za wozem jego tryumfalnym? Czy nie wiesz, że słabi padli twarzą na ziemię, że co było upartych i wściekłych zniknęło z powierzchni ziemi? A ty się porwałeś szczupły siłą, mierny zasobami, niedojrzały wiekiem, by zniszczyć Boga, którego pioruny grzmią nad urną Hannibala i nad mogiłami Cymbrów! Ztąd widzę miejsce, na którém głowa twoja padnie pod cięciem Liktora.

Irydion.

Wprzódy jeszcze pocisk Cymbra utknie w sercu twojém, topór Cheruska rozetnie pancerz Arystomacha, wprzódy jeszcze Lucyuszowi Tubero niezłomnéj obietnicy dotrzymam!

Chór.

Wprzódy jeszcze za każdą krzywdę naszę czaszkę krwi wychylim — a potém, potém, przyjdą nasi dziedzice i z podziemnych dolin zagrzewać ich będziem!

Ulpianus.

Bezpotomni jesteście, ostatni z rodu waszego. — Tylko szał i kara wasza jeden kamień węgielny przyrzuci tym wzgórzom.

Irydion.

I na nim napis pogrzebowy Romy!

Ulpianus.

Słaby śmiertelniku! ty nie przemienisz tego co mądrze i święcie opatrzyły nieśmiertelne wyroki! I komuż berło oddać miały jeśli nie miastu wytrwałości i czynów? Może przedajnéj Afryce, może rozwiązłéj Seleucyi, lub igrającéj, śpiewającéj Helladzie? Nie — tam potęga się urodziła gdzie lutnia nie brzmiała nigdy, gdzie na czole zamiast wianka mirtu sprzęgały się twardéj miedzi blachy, a w duszach mężów nie było rytmu ni swawoli — jedno była wola jako otchłań wrzącéj siły i nad nią rozsądku powaga, niezachwianego opieka rozumu.

Irydion.

Słyszeli męczennicy narodów o rozsądku waszym. — Genijusz Romy z tém słowem na czole, stanął u progów Attala i skrzydlaty usiadł przy stopach starca, pochlebiał i łudził, aż z pod zgrzybiałéj ręki wyrwał zapisy Pergamu! Z tém słowem na czole podniósł się wśród Istmijskich igrzysk, prosił o posłuchanie i chwalił synów Grecyi! Z tém słowem on po wszystkie czasy uwodził słabych i dusze ludzkie zabijał! — A kiedy kto uwierzył jemu, kiedy nieszczęśliwy przystał na pęta i wyrzekł się domu, ojczyzny, sławy za życia i chwały po zgonie, on wtedy śmiejąc się wołał: — Rozsądny jesteś — i nogą spychał go z Tarpejskiéj skały!

Prawdęś wyrzekł — nie — nigdy Hellada takim nie spodliła się rozumem. — Jéj życie nie było rachubą, Jéj nadzieje nie spoczęły na kłamstwach. — Syn Latony zamieszkał w niéj i opromienił ją do koła. — Na piersiach Zeusa, w cieniu puklerza Pallady leżało Jéj czoło upojone myślami, a morze, a lądy wiosenne, stóp Jéj były zakochaném podnóżem! Zemsta, zemsta za nią!

Ulpianus.

Pojrzyj na ramiona naszéj potęgi, wśród gromów ich pędu sława Aten, imię Sparty i Koryntu, jak brzęki pszczół giną w oddali. — One coraz sięgać będą daléj — od wschodu na zachód — one spocząć nie mogą aż światu całemu stanie się na imię — Roma!

Irydion.

Ah! ty myślisz tę starą otchłań na nowo bluszczem uzielenić po brzegach, by kości ofiar i łupy kościołów i miecze wydarte zdradą, niewidziane spoczywały na dnie! Ty sądzisz że ród bez czci i ducha, przyuczysz do sił straconych i rozeszlesz po wieńce laurowe! Ty i Cezar twój błogo marzycie jak starcy czekający na dzień odmłodnienia, a dzień ten będzie śmiercią waszą,

Ulpianus,

Wodzu pożarników, tchnienie twoje kala powietrze cnotliwym! Zbrodnia goreje na czole twojém, opuszczoném od Bogów! na jego widok stare lata moje się wzdrygnęły!

Irydion.

Ojcze, Ojcze! patrz! Rzymianin usłyszał mowę wolnych i oburzył się cały! Konsulu! odpowiedz mi jeszcze! Cóżeście uczynili ze światem, od kiedy Bogi złego oddały go w wasze ręce? Stoją łuki tryumfalne i bite drogi Edylów, na głazach zapisaliście się krwią i potem umierających!— Ach! kiedy ziemia staczała się w wasze objęcia, jak ułudzona niewiasta, kołysały się nad nią dumania Platona i skrzydła Kartagi lśniły się od Gadesu po ultima Thule! A teraz co? odpowiedz mi Konsulu! w lochach Nazarenów słabowite westchnienia — tu i owdzie stoików obłąkane cienie i kilka słów Aureliusa wśród żałobnego jęku boleści! Gdzie bujniéj od dnia klęski naszéj porosły oliwne gałązki! Gdzie pieszczoną pleśnią, gdzie nauką mądrości ukołysali przodki twoje żale podbitych?... O, wiem! August zawarł podwoje Janusa.— O zmierzchu życia grały mu lutnie przedajnemi strony — wtedy milczące pustynie, grodów na piasek rozemlone gruzy, on nazwał ciszą swoją, i na mogiłach plemion rzekliście wszyscy: — Pokój synom ludzkim!

Ulpianus.

Jako Ojciec rodziny dzieci, jako Patrycyusz Plebejów, jako pan niewolników, tak my kwiryty prowincye dostali w podziele. — Żelazem zdobyliśmy ziemię i prawo żelaza nad nią zawieszone trzymamy!

Irydion.

Bogdajbyście łatwowiernych nigdy nie byli zwodzili tém słowem — odwróć się ku bitnym legiom Rzeczypospolitéj — czy widzisz jak pierzchają przed słoniami Pirrusa, jak korzą się pod widłami Samnitów, jak żniwem kładą się na brzegach Trazymenu, jak w Hiszpańskich wąwozach wołają miłosierdzia i wody, jak w lasach Hercyńskich zbladłe klękają pod nożem ofiary. — Nie lotnym gromem Aleksandra, nie krótkim mieczem waszym, ale czarą trucizny, ale garścią złota, ale krzywemi przysięgi, ale obłudną radą, ale pobratymstwem zdrajców dopełzaliście się potęgi! — I orzeł Romy wylągł się na bagnach, nie na szczytach gór!

Ulpianus.

Darmo wołasz bluźnierco! — Niewzruszona opoka, na któréj zgrzytasz, nie słyszy ciebie!

Irydion rzuca w ogień pierścień cesarki — znak opiekuńczy państwa od senatu powierzony Cezarowi. Ulpianius wyjmuje go z pod opieki prawa i oddala się. Zawiązuje się ostatni, śmiertelny bój garstki barbarzyńców z wojskami Sewera. Najmężniejsi ze stronników Irydiona giną, inni poddają się by umrzeć pod siekierami liktorów. Irydion walczy do ostatka — lecz gdy między swoimi nawet postrzegł upadek ducha, gdy posłyszał głosy złorzeczeń i głuche pogróżki zdrady; bluzgnąwszy im wzgardą w oczy a nie widząc przed sobą żadnéj nadziei, wyniosły i spokojny wstępuje na stos Elsinoi.

Nie ginie jednak Irydion w płomieniach stosu, gdyż postać jego jest tylko zaklętą myślą poety. Porywa go zły Duch w postaci Masynissy i jeszcze raz obiecuje śmierć Romy za cenę żywota wiecznego. W zamian za wyparcie się Boga przyrzeka zachować jego ciało, przyrzeka ducha jego uśpić i wskrzesić dopiero wtedy, „kiedy na Forum będą prochy tylko! kiedy na Cyrku będą kości tylko! kiedy na Kapitolu będzie hańba tylko!“ I oto mijają dla Syna zemsty wieki letargu — zbliża się godzina złowroga. Runęła Roma pogańska — z kolei, zatraciwszy Ducha, upada Rzym chrześcijański. Masynissa budzi Irydiona, sprowadza go po gruzach potęgi i wiary i żąda spełnienia obietnicy. W tém pośród ruin Koloseum, nad głową zagrożoną zabielał przejrzystą jasnością duch Kornelii. Pod

hymnem anioła szatan opuścił śniade skronie i wrócił od bram cyrku. Zgrzytał i rwał ręce swéj postwie i wołał: „potępiony, kto mi wydrze jego!“ — Tu u stóp męki Pańskiéj, zaczął się spór ostatni, wyroczny w około głowy Irydiona. Masynissa wparłszy stopy w kipiący piasek, głowę schyliwszy na spalone piersi, dopomina się o prawa swoje. — „Wrogu nieśmiertelny! on moim, on żył w zemście, on nienawidził Romy.“ — Lecz Anioł rozwiązując tęczę skrzydeł, potrząsając złocistemi puklami — „o Panie! on jest moim, bo on kochał Grecyę.“ — Wróg dłoniami zakrył lica i gmach starożytnych ludzi wstrząsł się od próżnych jego wysileń — w mgle zarannéj coraz posępniéj mdleją kształty jego. — On kona, głowę oparłszy o bramy cyrku — głos jego już teraz jak szum wód dalekich. — Świadectwem Kornelii, modlitwą Kornelii Irydion zbawiony został, bo kochał Grecyę, a dla odkupienia przeszłości bierze w imieniu Chrystusa nowe posłannictwo ofiary i trudu.

Genijalny ten dramat świata nie tylko myślą, ale i pod względem piękności artystycznéj stoi na niedościgłéj wysokości. Natchnienie ani na chwilę nie opuszcza poety. Akcya pędzi z piorunową szybkością, ale wszędzie jest pełna i zaokrąglona. Charaktery schwycone i odmalowane po mistrzowsku. Irydion i Elsinoe, to najpiękniejsze posągi duchów. Aleksander Sewer, Mammea, Ulpianus, męczennicza ludność katakomb, a z drugiéj strony Heliogabal, Eutychian, Rupilius, słowem wszystkie postacie dramatu, i zacne i nieszlachetne, przypominają rzeźby na sarkofagach greckich. Język przecudny, styl utrzymany do końca w tonie szczytnego, swobodnie szybującego nad ziemią pathosu.

Pierwszym utworem Zygmunta wierszowanym o większych rozmiarach był *Przedświt* poemat liryczny, w którym forma odegrywa niezwykle ważną, ledwie że nie naczelną rolę. Olśniewający pięknością język zniewala niejako tracić co chwila z oczu myśl poety, tak że potrzeba pewnego wysilenia woli, ażeby ją śledzić bez przerwy. Nikt, nie wyłączając Zaleskiego, nie oblekał pojęć abstrakcyjnych i powiewnych mar wyobraźni w tak cudną formę, jak Krasiński. Po raz pierwszy w literaturze polskiéj, dźwiękiem harfy Eolskiéj zabrzmiały takie np. wiersze:

Czy pamiętasz nad Alp śniegiem
Rozwieszone Włoch błękity?
Nad jeziora włoskim brzegiem
Czy pamiętasz Alp granity?

Tam — z daleka — w niebo — przodem,
Pną się ostrza kryte lodem,
A tu bliżéj, a tu niżéj
Po za wzgórzem spływa wzgórze,
Z winnic kapią bluszcz i róże!
Jednym rajem gór podnóże!
W wieczor, z rana — zwierciadlana
Fala pije niebios smug!
Na wód dole — na skał czole —
Jedna piękność — jeden Bóg!

Widzę jeszcze, widzę Ciebie!
Z harfą stoisz na méj łodzi,
Gwiazd już kilka drży na niebie,
Z nad Alp szczytu księżyc wschodzi!
Widzę jeszcze, widzę ciebie;
Na twych strunach twoje dłonie,
Iskra natchnień skrzy ci z lica.
Światłokręgiem twoje skronie
Rozanielił blask księżyca!
W fal przezrocza, w sieć z promieni
Zewsząd postać twa ujęta,
Na błękitném tle przestrzeni
Całaś srebrna — wniebowzięta!

Nabijaną światłem drogą
Łódka moja zwolna płynie;
Jakże lubo, jakże błogo
Na szafirów tych głębinie!
Za jeziora przezroczami
Majaczeją wzgórza, skały,
I ty ze mną i my sami
I tak piękny świat ten cały!

Nabijaną światłem drogą
Coraz daléj łódź ma płynie;
O! Anieli czuć nie mogą
Co ja czuję w téj godzinie!
.....
Coraz daléj twarz miesiąca
Nas prowadzi smugiem fal,
Płyńmy, płyńmy tak bez końca
W ciszę — w jasność — w błękit — w dal!

Wód zwierciadła, gór widziadła,
Ziemia, niebo, jeden kraj!
Rzeczywistość się pomału
W świat przemienia ideału,
W sen ze srebra i kryształu:
Daj mi teraz marzyć, daj!

Zasadniczą myślą poematu jest przebóstwienie dziejów, wprowadzenie idei chrześcijańskiéj w sferę politycznych stosunków. „Za dni Cezara poprzedzających wielki dzień Chrystusa (mówi autor w przedmowie), świat starożytny był doszedł do ostatnich wyników historyi swojéj — w religii do zupełnego zwątpienia — w filozofii do zupełnego obalenia zasad polyteizmu. Augur śmiał się z augura — a grecki sofista z samego siebie. Krytyka rozumu zniszczyła wszelką wiarę dawną, wszelkie życie żywiące śród ludów, a nic równie żywotnego lub żywotniejszego na to miejsce nie postawiła. Gdzie tylko spojrzeć w świecie ducha, ruiny, swawola, rozstrój—quot capita tot sensus. — Epikureizm, Stoicyzm, Platonizm, przechadzały się jak mary po owdowiałych piersiach ludzkości... Lat dwa tysiące upływa, a te same znaki rozciągnęły się po falach czasu... W okręgach religijnych wszędzie rozbrat... W okręgach filozoficznéj wiedzy pewność — ale *braku* tylko — dowód, ale krytyczny tylko, przeszłość niezdolna potrzebom ludzkości zadosyć uczynić... Wszystkich wieków co przeszły nad ludzkością marzenia, nadzieje, czlachetne wiary i straszne bluźnierstwa, herezye chrześcijańskie wszystkie, panteizm indyjski cały, dualizm perski, monoteizm hebrajski, idealność wyłączna i zmysłowość wyłączna, wskrzeszone razem i w téj mięszaninie wykształcone, ogładzone, jedne na drugie się zasuwające tak, iż trudne do rozpoznania — a wszystkie wołające do nieba o dzień sądu, o chwilę roztrzygnienia, same prosząc się o śmierć, by się prędzéj przemieniły, i nową iskrą życia pojednane zmartwychwstały młodemi na powrót! — Oto obraz umysłowéj sfery czasów naszych! — Anarchija to taka okropna, że koniecznie dąży do przesilenia — żądza taka wielka a dotąd daremna, że wzywa koniecznie pomocy Ojca, który jest w niebiesiech! — Kiedyż ta pomoc odmówioną była? Kiedyż Bóg opuścił historyę, kiedy historya wzniosła ku niemu ręce i językiem wszystkich ludów ziemi krzyknęła: „Pokaż się nam Panie!“... Objawienie Syna Bożego musi przechodzić wiekami ze stanu idealnego do stanu uwidomienia i rzeczywistości; na takim ruchu

postęp zasługi ludzkiéj, postęp człowieczeństwa zależy. — Słowo Chrystusowe nie mogło od razu przetwarzać polityki pogańskiego świata; bo skład polityczny i byt społeczny epoki jakiéj zależy oczywiście od stanu moralnego indywiduów w niéj żyjących: musiało zatem schrześcijanić dusze przed chrześcijanieniem stosunków między narodami i państwami. Ale za dni naszych, osobnik każden chrześcijaninem jest i wszystkie stosunki między niemi chrześcijańskiemi są. Gdzież daléj iść idei chrześcijańskiéj? Oczywiście w sferę niedotkniętą, nieprzerobioną dotąd, a to jest sfera polityki.“ Zanim jednak idea w całéj prawdzie swojéj wystąpi jako rzeczywistość, nim świat z obecnego stanu swojego przejdzie do ostatecznego według téj idei przeobrażenia, musi sam jeszcze wyczerpywać się i sobie samemu przeczyć, jak się wyczerpywał i przeczył świat starożytny. Potrzebna to wiedza narodowi. Wszczepić ją i utwierdzić poetycznym obrazem w jego pojęciu, jako wskazówkę i posłannictwo Boże, jest celem a zarazem treścią *Przedświtu*. Poeta czyni się tu wieszczem — przewiduje przyszłość odległą — ale nie jest to jeszcze jasnowidzenie, światło dnia jasnego, dopiero przedświt. Ztąd ta niepewność farb, które myśl poety lotną, eteryczną ukazują jakby w półcieniu.

Oto są dwa ustępy rzucające światło na przyszłość jak ją marzy poeta.

I ujrzałem — wszechświat cały
Jak myśl jednę, która płonie
Skier miljonem w jednem łonie!
Ach! widziałem — Bożéj chwały
Wszechprzytomny kształt — bez końca!
Komet, planet, wiry, kręgi,
Nad wstęgami gwiazd — gwiazd wstęgi—
Nad słońcami jeszcze słońca!
Wszędzie światów, tak jak kwiatów
W lazurowym tym ogrojcu;
I przez światła oceany
Jeden życia dźwięk rozlany,
Pieśń wszechgrzmiąca, wszechjedyna,
Niebieskiego świata Syna
O niebieskim Bogu Ojcu!
I przez wszechświat ten do Boga
Szła narodów ziemskich droga...
.....
.....

Na tę ziemię ukochaną,
Na tę naszę — naszę ziemię
Przyjdzie nowych ludzi plemię,
Jakich jeszcze nie widziano!

By pogodzić świata dzieje
Z wolą Pana po nad Pany,
Duch im prawdy z nieba dany
I z ich starą krwią się zleje!

Gdzie nam dotąd śni się mnóstwo
Cząstek, rozdział lub rozbicie,
Tam już dla nich jedno Bóstwo,
Jedna miłość i wszechżycie;

Krwią się brzydzą, choćby winną!
Duch już przez nich tylko stwarza,
I gdy stworzy ziemię inną,
Nie ma na niéj już zbrodniarza.

Nie ma także podrzędnicy;
Bo niewieście w końcu serce
Po lat długich poniewierce,
Błysło z pączka tajemnicy!

Dawne pany biorą sami
Swe, za dłonie, niewolnice,
By jak duchy iść z duchami,
I wstępować na stolicę!
Przemieniony ten planeta
Już zapomniał co kobieta—
Wie, co bracia i siostrzyce!

I świat nowy ten radośnie
Jak świątynia Panu rośnie.
.....
Na wiekowych nieszczęść niwie
Już nie pusto, ni żałośnie;
Nigdzie, nigdzie już nie ciemne,
Ani ze mną, ni przedemną!
Wszędzie jasno, sprawiedliwie!
.....
.....

Wiekuisty ojców Boże,
Ty co górny i daleki
Coraz jaśniéj w nas przez wieki
Tu zstępujesz — i jak zorze
Z bram wieczności, w czasu tonie
Skry twe sypiesz, aż czas spłonie!
Teraz idzie znów zaranie,
Które dajesz nam z miłości;
I po grobach zadrżą kości
W szelest hymnu, Tobie Panie!

Poeta tak kończy:

...Lecz słowo tylko — to marna połowa
Arcydzieł życia: modlitwa jedyna,
Co godna Stwórcy, od hymnu się wszczyna,
Lecz nie zna myśli i czynów rozdziału;
Co głosem śpiewa, to wciela pomału
W świat dotykalny— aż tak jak Duch Boży,
Świat rzeczywisty w okół siebie stworzy,
Równy pięknością światom Ideału!
Taką nam odtąd modlić się potrzeba;
Bo póki łódka na marzeń jeziorze,
Falę natchnienia w samotności porze,
Myśl tylko weszła, nie człowiek, do nieba!

Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie,
Jakkolwiek pieśni me pojmą szyderce,
My już w niéj całe wyśpiewali serce,
I to jest nasze ze Słowem rozstanie!
Niech nucą jeszcze dzieciątka niewinne,
Harfy już nigdy, nigdy nie nastroję,
Drogi przed nami otwarte są inne:
Zginście me pieśni— wstańcie czyny moje!

Lecz ty piękności, którą ukochałem,
Siostro jedyna w mojém życiu całém,
Ducha męzkiego niewieści Aniele!
Czuwaj nademną— i zostań się przy mnie,
Aż zginę, cząstką, w trudów arcydziele,
Aż skonam, zwrotką w poświęcenia hymnie!

Trzy myśli, pozostałe po ś. p. Henryku Ligenzie ukazały się jeszcze w r. 1840. Poprzedza je wyborna przedmowa,

aczkolwiek ton jéj humorystyczny nie przypada do treści samego utworu. Jedna tylko z tych *Myśli*, mianowicie pierwsza p. n. »*Syn cieniów*«, jest wierszowana. Poeta wystawia w niéj trojaki stosunek człowieka: do natury, narodu i całéj w ogóle ludzkości, tłómacząc, jak z więzów natury wyswobodził się najprzód przez Objawienie, jak w narodzie zyskuje wiedzę i znamię boskie społeczeństwa, i jak wreszcie przez naród wchodzi w społeczeństwo całéj ludzkości, w któréj Opatrzność spełnia i urzeczywistnia wielkie swoje cele. Jak w poprzednich poematach, tak i tu przyszłość wychodzi zwycięzko. *Myśl* druga p. t. »*Sen Cezary*« jest opisem widzenia, jakie rzeczywiście miał autor. Nadaje to utworowi cechę prawdziwości, stawiającą go wyżéj nad płody saméj tylko wyobraźni, pomimo niestosowności tak w stylu jak w formie opowiadania. W *Myśli* trzeciéj p. n. »*Legenda*«, idea miłości wstępuje w świat i wypełnia się królestwo Boże na ziemi.

W *Psalmach* poeta snuje piękne choć ułudne marzenia o losach narodu i wielbi heroizm dobrowolnego cierpienia. Ukazanie się pierwszych trzech psalmów (*Psalm Wiary*, *Psalm Nadziei* i *Psalm Miłości*) wywołało różne wrażenia i sądy. Szczególniéj trzeciemu, idealizującemu szlachtę a potępiającemu dążności radykalne, zarzucano rodzaj lirycznego tchórzostwa. Julijusz Słowacki, przyjaciel poety, odpowiedział na utwor Krasińskiego wierszem w podobnym kształtowi »Psalmów« kształcie, lecz wbrew przeciwnéj myśli. Pieśń owa, jedna z przedziwności języka polskiego — jak nazwał ją sam Krasiński — w uroczych a ironicznych strofach zaczyna od zarzucenia Psalmowi Miłości przeczuć zupełnie fałszywych i bojaźni niczém nie usprawiedliwionéj przed pewnemi wypaść mogącemi klęskami — i zapowiada, że nigdy nic podobnego się nie zdarzy. Daléj szydząc utrzymuje, że chyba upiory snuły się wieczorem po drodze zadumanego szlachcica, lub też zasypiającemu padł na oczy pobłysk od czerwonych kotary firanek — ztąd krwi widzenie, ztąd strach złowieszczy. Po takowym wstępie pieśń przechodzi do ocenienia stanowiska szlachty polskiéj, i przyznając że jéj niegdyś było ze sto tysięcy, oświadcza że teraz wcale i nigdzie jéj nie ma. Następnie zapytuje wieszcza psalmów: »a czy wiesz, co on, ten Duch wybierze?— Po tém zapytaniu, pieśń Słowackiego Jehowiczném wzbierając natchnieniem — głosi, że zapewne Duch on młody wybierze za środek wcielenia się swego ludów zatracenie, a nad w pył i popiół rozsypanym światem zabłyśnie wiek absolutnie nowy.—

Wiersz ten Słowackiego spowodował napisanie dwóch jeszcze psalmów: *Psalmu Żalu* i *Psalmu Dobréj Woli*. Wypadki w Galicyi r. 1846 były smutném stwierdzeniem tego, co poeta w Psalmach przeczuwał.

Do wierszowanych utworów należą:

Dzień dzisiejszy (Paryż, 1847), fantastyczny obraz społeczeństwa zbłąkanego z drogi prawdy i oświeconego słowami Anioła zstępującego z niebios.

Ostatni (Paryż, 1847).

Resurrecturis (Paryż, 1852), wiersz pełen wzniosłéj pociechy.

Ułamek naśladowany z *Głosy Świętéj Teressy*. Ten ustęp, ze stu kilkudziesięciu wierszy złożony, pod względem gorących uniesień i poetycznych piękności, nie ma nic równego sobie w nowożytnéj literaturze europejskiéj. Dusze mistyczne uważają go za najznakomitszy utwór Krasińskiego. Przytaczamy drugą jego połowę.

...Lepiéj od Świętych widziałam Cię Panie!
Bo silniéj kocham, goręcéj niż oni!
— Już w domu wiecznym Tyś dał im mieszkanie —
A ja gdzie mieszkam?— co mnie strzeże, broni?
Gdy mnie porzucasz, zostaję w rozpaczy —
Lecz ból i rozpacz, cóż to dla mnie znaczy?
Im bardziéj tęsknię, tém kocham goręcéj,
Im więcéj męki, tém miłości więcéj,
W tém piekle bożem Bożego kochania,
Gdzie Twa obecność mnie nawet rozrania —
Bo chwilą późniéj Tyś znowu daleki,
I nim powracasz, upływają wieki!
Bez Boga mego— a z Boga wspomnieniem,
Leżę na ziemi grobowym kamieniem —
A pod tym głazem méj niewzruszoności
Smutek przejada do szpiku me kości!
Żądam bez miary— miłuję bez granic —
Miłość i żądza nie zdały się na nic—
Zmienionam cała w jedno upragnienie,
Lecz Twojéj woli w tych chwilach nie zmienię!
Pan nieśmiertelny nie zstąpi do sługi,
Aż kiedyś— kiedyś— znowu po raz drugi!

I mimo Twoję, o Ty mój, przestrogę
Ja tém umieram, że umrzeć nie mogę! —

Albo Ty myślisz, o Ty wiecznie żywy,
Że ciebie kocham za przyszłe nagrody,
Za obiecane w królestwie Twém gody —
Za palmy — harfy — i cuda — i dziwy —
Za jakąkolwiek bądź w niebie zapłatę,
Którąbyś spłacił mi dni mych utratę?
Ja kocham Ciebie — żeś był nieszczęśliwy!
Że przebolałeś tu wszystko co boli,
Że zniosłeś wszystko co tylko poniża,
Ty Bóg, w kajdanach cielesnéj niewoli,
Ty Bóg, przez katów prowadzon do Krzyża!
Ja Ciebie kocham — że Cię o téj chwili
Niebo odbiegło — i ludzie zdradzili!
Ja Ciebie kocham — żeś był przymuszony
Wołać do Ojca: »O jam opuszczony!«—
Ja Ciebie kocham za Twoje konanie
I za śmierć więcéj niż za Zmartwychwstanie!—
Bo mi się zdaje, że Ty Zmartwychwstały
Nie tyle biednéj potrzebujesz sługi;—
Już wtedy służy Ci twój wszechświat cały—
Stopą powietrzne przelatujesz smugi! —
Lecz kiedy konasz, mnie się wiecznie zdaje,
Że wracam duchem w widziane już kraje,
Że oglądałam gdzieś wprzódy to wzgórze
I krzyż ten zbroczon w krwi Twojéj purpurze!
Że Magdalena, ta święta, ta miła,
Co tam tak jęczy — to ja chyba była!
Bo w sercu mojém, jéj serce mi płacze,
Bo drżą mi w oczach wszystkie łzy jéj oka,
I rozpacz moja, tak straszna — głęboka —
Że być nie mogą dwie takie rozpacze!
Nie — ona Ciebie więcéj nie kochała —
Ja wiem, że Ona wielka, a ja mała,
Bom mniéj czynami Tobie zasłużona —
Lecz więcéj Ciebie nie kochała ona!
Jakżeż to będzie, mój Panie, mój Boże?
Jakżeż rozdzielić sądem Salomona
Tę jednę miłość, między te dwa łona?
— Bo dwóch miłości być takich nie może!

— Nie — Ciebie więcéj nie kochała ona!
Raz tylko w życiu na Golgockim pyle
Leżała w płaczu, krwią Twoją zroszona —
Raz jeden tylko— a ja razy tyle! —
Bo co noc prawie dla mnie się odtwarza
Kalwaryjskiego przytomność smętarza,
I z po za wieków upłynionych tyla
Wraca ta do mnie zobecniona chwila,
W któréj śród niebios i ziemi zaćmienia
Zmarł Wszechstworzyciel w obec wszechstworzenia!
Aż padnie z zorzą pierwszy promień dzienny,
Widuję w celi téj krzyż Twój męczenny
I na tém drzewie oglądam Twe ciało,
Ostatkiem światła jeszcze tlące biało,
Gdy wszystko w okół, jak w grobie, zczerniało!

Ty i ja Panie — nikt więcéj — my sami—
Tak blizcy siebie — a tak rozdzieleni —
Bo ja tu w dole pod Twemi stopami,
A Ty nademną, w téj strasznéj przestrzeni;
Do kłód tych z cedru przybity gwoździami!
Z razu ja klęczę w milczeniu — a cała
Drgająca ciałem od mąk Twego ciała —
Kolcują w skroniach mi kolce Twych skroni,
Rwą mnie w mych dłoniach żelezca Twych dłoni—
W boku mnie szarpie boku Twego rana—
I choć tum w dole, takem z Tobą zlana,
Żem z Tobą w górze tam ukrzyżowaną!
— — — — — — — — —

Do arcydzieł Krasińskiego należy także zaliczyć listy jego pisywane do przyjaciół i synów. Konstanty Gaszyński, który miał je pod ręką, mówi na czele ogłoszonych wyjątków: »Nikt może w swém życiu nie napisał tyle i tak pięknych listów, co Zygmunt Krasiński. Ileż to wiedzy, natchnień i uczuć wylał on w tych codziennych z nieobecnymi przyjaciołmi rozmowach! Zaprawdę! w niejednym jego liście znajdziesz więcéj wzniosłych idei, nowych pomysłów, lub wprost z serca tryskających słów, — niż w jakim grubym tomie tegoczesnéj literatury! A wszędzie styl jasny, potoczysty i taką ogładą strojny, iżby się zdawało, że to długim trudem wypracowany utwór, doszły do doskonałości po kilkodniowym namyśle i licznych poprawkach;— a to po prostu genijalna improwizacya, skreślona *currente*

calamo, co płynie jak wrzący metal w formę posągu!« W listach pisywanych do synów, poeta zstępuje na poziom praktyczności i w prostych słowach podnosi młodociane ich dusze do pojęcia ideału, piękna i dobra.

Dla przykładu przytaczamy wyjątek z listu pisanego z Paryża r. 1841. Rzuca on światło i na socyalne przekonania autora.

»Ponure to miasto, wielkie, błotniste, kwiatami z kartonu obwisłe! Tam głód żre robotników wnętrzności, a chciwość zbytku ich wyobraźnie krwawe. Tam nuda żre mózgi i serca bogaczy, a strach przeszłości ich wyobraźnie blade. Tam wszystko co podłe, brudne i ostatecznie zepsute, wydobywa z siebie jeszcze koncept komiczny, — do zębów fałszywych przypina śmiech chwilowy i bufonadą się obleka, by umrzeć nibyto w o d w i l o w o. Tam gdzie cywilizacya ogromna ale egoistyczna, gdzie administracya sprężysta ale despotyczna, zapomniawszy o reszcie kraju, wszystko skupiła, ścisnęła, pochłonęła w środek jeden i serce Francyi urobiła z tego milionowego steku ulic, kamienic, rynsztoków, szpitalów, więzień, sal policyjnych, świątyń mody, gmachów rozpusty i teatrzyków lekkomyślności. Serce to choruje na napływ krwi zepsutéj, spiekłéj, nie arteryalnéj, sinéj — krwi co nie *życie*, ale *raki* gryzące tworzyć umie. A gdyby to serce w wielkim jakim anewryzmie pękło, co będzie z Francyą, która przystała na nie, która w nie wszystką siłę swoję ześrodkowała? Amerykańskie przypomina wulkany, co błoto, wodę i zdechłe ryby miasto ognia pod gwiazdy wyrzucają.

»Czytając uważnie historyę Cezarów rzymskich, zdaje się, iż opis się czyta jaki statystyczny chwili teraźniejszéj — z tą różnicą tylko, że w Rzymie motłoch, demokracya zgniła materyalnie, była się cała w jednę osobę jakby w jednego boga pogańskiego, w Cezara wcieliła— i Cezar był zły za miliony, szalony szaleństwem milionowém, rozpustny milionowo. Dziś w Paryżu, dawna monarchia, dawne cesarstwo, dawna jedność, zamieniły się w demokracyę — i kształtem demokratycznym dzieje się taż sama zguba, odnawia się toż samo przekleństwo— podobnemi konwulsyami epileptycznemi, w podobną otchłań materyi gnijącéj, zapada lud. Lecz różnica formy zwierzchniéj niech cię nie łudzi. W Romie epoka Cezarów by-

ła także epoką demokracyi doszłéj do najwyższego stopnia przewagi i rozwiązłości; — Cezar był tylko pierwszym jéj urzędnikiem....

»Arystokracya bez demokracyi, tak jak demokracya bez arystokracyi, są tylko rzeczami umierającemi. Pierwsze konają w zgłupieniu, w otrętwiałości, w letargowym kretynizmie, z podejrzliwością wenecką łoże śmierci sobie otaczając; — drugie w anarchii, w błocie i krwi, z rykiem hyeny na ustach, z kleszczami kata w ręku, z czarą pełną wódki, z wieńcem tulipanów na głowie; bo taki ich smak estetyczny!

»To jedno tylko żyje, trwa i wzrasta, co przez lud odżywia się w indywidua znakomite— ą przez indywidua te prowadzi lud. Lud jest materyałem, łodygą — arystokracya kwiatem; — owocem zaś jest państwo całe, jest narodowość cała. A z tego owocu nasienie, to znowu lud— a z tego ludu kwiat, to znowu arystokracya. I tak ciągle, coraz wznoszącym się i postępowym kręgiem!...«

A oto list do synów z r. 1856.

»Drodzy moi wy dwaj. Dziękuję wam za listy wasze. Dziękuję Adziowi za opis posągów widzianych i za powieść o rzeźbiarzu, który się zabił z rozpaczy, gdy Włoch mu oświadczył, że posąg jego mniéj piękny od posągu jego współzawodnika.

»Cóż to za słabiuchna dusza tlała w piersiach tego nieszczęśliwego artysty, kiedy znieść nie zdołała obrazy zadanéj jéj miłości własnéj i zaraz od téj rany oszalała — wpadła w obłęd i najszkaradniejszą popełniła zbrodnię, samobójstwa się dopuszczając! Biedny, lichy, nędzny, nieszczęśliwy duch — taki bezmocny — taki czczy i próżny— taki lekki i nie poważny— bez wiary i godności! Ledwo troszeczkę mu się nie powiodło w życiu, zaraz tył podał i uciekł z pola bitwy;— a odbierając sobie życie, którego sobie nie był dał (bo to własność wiekuista Boga), — okradł Boga, Pana wszechżycia, stał się złodziejem bożéj świętéj własności — stał się złodziejem, tchórzem i świętokradzcą — a wszystko za to, że próżność jego doznała szwanku.

»Patrzcie do czego próżność doprowadzić może— i walczcie z nią, bo ona jak robak skryty siedzi w każdym człowieku. Nie mieć jéj nie można — ale mając ją, mo-

żna i trzeba co chwila z nią się mordować na zabój, aż się ją zdusi — prosząc się Boga, by w téj walce, świętą łaską swą dopomógł! Każdy bowiem człowiek próżny, marnie żyje i licho kończy!

»Rad też byłem, drodzy moi, żeście uczuli co piękno, patrząc na rysy marmurowe tego anioła. A wiecie wy co to piękno? Uważajcie! Wszak kiedy myślicie o Aniele, nasuwa się wam na myśl, że to duch nadziemski, posłannik Boży, łączący w sobie zarazem moc i łagodność, słodycz i potęgę; — niby lilija biała, śliczna, smukła a opleciona piorunem! Otoż te myśli wasze o Aniele, są prawdą istotną tego Anioła;— lecz dopóki tę prawdę myślicie, to jest pojmujecie wewnątrz głowek waszych, nie widzicie jéj jeszcze przed oczyma. Dopiero kiedy np. w Nancy, staniecie przed rzeźbą marmurową i twarz anielską ujrzycie, któréj wszystkie rysy odpowiedzą waszym wyobrażeniom o anielskiéj naturze; — kiedy wzwyż wzmiankowane przymioty anielskie (czy uważacie drogie chłopcy moje?) to jest moc i dobroć, słodycz i potęga, posłannictwo Boże i nadziemska duchowość — na zewnątrz wypłyną ku wam w tychże rysach, tak, że rys każden dłutem wyrobiony staje się od razu jakby słowem skaczącém wam nie do uszu ale do oczu i mówiącém: »Ja łagodny a silny, łaskawy a potężny, ja niebieski a Boży.« To wy wtedy wołacie: »piękny posąg!«

»A więc cóż to jest piękność? czyż ona nie wyrazem prawdy? Czyż nie oddaniem na zewnątrz najnadobniejszém i najdokładniejszém prawdy myślanéj wewnątrz? Tak drodzy moi! Istotna piękność, czy na płótnie, czy w marmurze, czy w poezyi, niczém inném, jedno kształtem zewnętrznym prawdy. Jeśli zaś nie tém jest, to nie jest pięknością!

»Ale może to wszystko na wasze główki jeszcze jest za ciężkiém i zawiłém? Odpowiedzcie mi otwarcie i szczerze, czyście mnie zrozumieli. Jeśli nie, to schowajcie ten list, a gdy go odczytacie kiedyś później, to obaczycie, że go rozumieć będziecie. Na teraz zaś, jeśli go nie rozumiecie, to szczerze mi, a każdy z osobna napiszcie, co wam ciemném w nim jest i jakie miejsce szczególnie dla każdego z was niezrozumiałe.

Przytém pamiętajcie o wschodach i baczcie na powozy najeżdżające po ulicach. Dziadzio dość dobrze się ma.

Jak skoro mi zdrowie dozwoli, przyjadę was uściskać. Pocałujcie odemnie siostrzyczki i słuchajcie mamy we wszystkiém.

»Błogosławię was i kocham, powierzając was łasce Chrystusa Pana i Pani Przenajświętszéj.

Krasiński, jest to jedna z najpiękniejszych postaci naszego wieku. Głęboki myśliciel, idealista, rad gościć nieustannie w niedościgłych sferach ducha, porywającą siłą natchnienia podnosi się aż do proroczych widzeń, zkąd wypowiada swoje wieszczby, odsłaniając tajemnic pełne łono przyszłości, i objawiając w sobie posłannictwo prawdziwego wieszcza narodu. Spowodowało ten kierunek w Krasińskim głębokie uczucie religijne, główna podstawa jego charakteru — wrodzone nadto melancholijne usposobienie, tęsknoty trzydziestoletniéj wędrówki, gorycze i cierpienia całego życia. Poeta-filozof cierpienia te uogólniał, podnosił niejako do teoryi, wskazując boleść jako drogę do odrodzenia. Z tego tematu snuł po największéj części swoje poetyczne utwory. Duch jego ogarnął w sobie wszystkie cierpienia, przebolał wszystkie nieszczęścia społeczne i polityczne XIX stulecia, których doznała ludzkość przez oddalenie się od swéj najwyższéj zasady moralnéj. Na tę boleść wynalazł on jakby osobny język, i ma własną, nie mniéj na uczuciu jak na rozumie opartą dyalektykę. — To, co dla innych poetów jest punktem dążenia — śpiewność, prostota, historyczna wiara, nabytek całowiecznéj poezyi narodu, miłość ludzkości i poświęcenie — to wszystko jest punktem wyjścia u Krasińskiego. Dla tego jest on tak niepowszedniém zjawiskiem nie tylko u nas, ale w dziejach powszechnych ducha; ma on bowiem własności, jakich Bóg rzadko użycza poetom. Ze starożytnego świata wziął to, co miał duch Platona wielkiego; ze starego zakonu wziął harfę Dawida, z nowego zakonu apokaliptyczne widzenia przyszłości. Z tak dziwnemi pierwiastkami ducha, żyjąc wśród Europy, wśród narodu swojego i w połowie XIX wieku, przerobił to wszystko w utworach poetycznych, najzupełniéj oryginalnych. Krasiński, drugi po Mickiewiczu, wskrzesił wysoki i poważny typ poetycznego kapłaństwa w literaturze, gdzie tak często (jak słusznie twierdzi Siemieński) znachodzą się lekkomyślni przywódzcy, prowadzący za sobą społeczność zwątpiałą i gorączkową w kraje chimer, powabnych zgorszeń i proroctw zdradliwych. On to lgnących do egoizmu, nurzających się z rozkoszą w realizmie,

porwał ku ideałom i wiecznemu pięknu ofiary i miłości. Krasiński wydaje się nam wzniosłą, eteryczną postacią pustelnika, pokutującego za grzechy przodków swoich z różańcem i krzyżem w ręku, błogosławiącego ludzkość i dającego jéj nauki na przyszłość. Zatopiony w modlitwie, zapatrzony w gwiazdy, spoglądał on na ziemię okiem już nadludzkiém prawie. Przyjemności, rozkosze świata tego nie miały dlań żadnego uroku... Zapomniawszy dawnych przesądów swojego rodu, przeszedłszy przez czyściec za życia, był on wolny już prawie od wszelkiéj ziemskiéj skazy — i tylko po cierpieniu cichém a głębokiém, rozlaném na bladéj, marmurowéj twarzy, z dumy odbijającéj się we wzniosłéj postawie, a każącéj mu osłaniać się przed okiem ludzkiém mgłą tajemnicy, poznać w nim brata—śmiertelnika, co się palił wciąż ofiarą na ołtarzu ludzkości i natchnioną piersią objął wszystkie jéj bole i wszystkie nadzieje.

«Za życia Krasiński był postacią dla wielu tajemniczą (mówi jeden z krytyków), nieledwie mityczną; po jego śmierci jeszcze się naród nie miał czasu opatrzeć w próżni przez nią powstałéj, a do rzeczywiście krytycznéj oceny jego utworów, do naznaczenia im właściwego stanowiska w literaturze narodowéj i powszechnéj, do wykazania wzajemnego oddziaływania, zachodzącego pomiędzy niemi a rozwijającém się wraz silniéj poczuciem ogółu, słowem do wyrobienia w nas sądu orzekającego stanowczo podstawę i warunki ich nieśmiertelności, jakże jeszcze daleko! Poetą popularnym, poetą rozumianym przez massy, pomimo wstrząsających niemi częstokroć do głębi porywów, Zygmunt Krasiński nigdy nie będzie. Zespala go z temi massami współczucie, którego nikt od niego rzewniéj oddać nie zdoła, a które pełnym zdrójem tryska z każdego wyrazu wieszcza; ale unoszące się nad tą jednością pojednanie, ale ów przedświt jaśniejszego słońca, ów przedsmak lepszéj doli, którym wielka mistrzyni, poezya, barwiła dla swego ulubieńca straszliwe ciemności nocne w uroczą igraszkę tęczową, zgoła to wszystko, co poetę u powierzchownych czytelników podawało nieraz w podejrzenie o zachcianki mistycyzmu i możnowładztwa, w całéj możności indywidualnéj i narodowéj, w pełném znaczeniu chwili i wieku, pojętém zostanie jedynie przez wybrańców».

We wszystkich utworach Krasińskiego dokładność kompozycyi, harmonia wewnętrzna, świetność i zadziwiające bogactwo

stylu, wydają prawdziwego mistrza. Trudno się oprzeć potędze i uroczym wdziękom jego słowa — ta harfa cudowna brzmi wszystkiemi dźwiękami i akordami duszy. Abstrakcya jednak pomysłów i powietrzna perspektywa poety, mieszkającego ciągle w mglistych i niedostępnych sferach ducha, a podnoszącego do téj wysokości najważniejsze zadania filozoficzne, polityczne, socyalne, odejmują mu popularność, i dla większéj liczby czytelników czynią go nawet niezrozumiałym.

Przyganiała krytyka proroctwom poety, zwracającego się za kierunkiem rozmaitych dążności czasowych, i z prądem opinii publicznéj zmieniającego swoje poglądy. Stawiono zwłaszcza obok «*Nieboskiéj Komedyi*» jego «*Noc letnią*» i «*Sen Cezary*» — posłannictwo «*Irydiona*» na północ, przymierzono do idei wszechsłowiańskiéj w «*Nocy letniéj*» i śpiewu *bez nadziei* w widzeniu proroczém p. n. «*Sen Cezary*». Cóżkolwiek bądź, od wyjścia *Nieboskiéj Komedyi* nie postąpiły nigdzie daléj systemata polityczne, filozoficzne i religijne. Wyżéj owszem nad nie podnosi się poeta, skupiając w jednym widoku wszystkie pomysły, i do jednego choć różnemi drogami prowadząc celu — a ku przestrodze narodowi wypowiadając wielorakie nieszczęścia społeczne i polityczne, których doznała ludzkość przez brak umiarkowania i rozumu, a nadewszystko owéj najwyższéj i ubłogosławionéj cnoty, miłości chrześcijańskiéj. *)

Z większą słusznością możnaby zarzucić Krasińskiemu zbytni optymizm ducha. Zapominając o warunkach rzeczywistych tego świata, odziewał on ludzi w szaty aniołów, nie pomnąc na ich położenie i obowiązki. W duchu i treści poezyi jego jest pewna jednostronność, bo w ogóle przeważnie jego poezye cechują; elegijna rzewność, oderwanie się od rzeczywistości i marzenia niedoścignione w sferach ducha, a piękność poezyi jego zasadza się więcéj na muzyczności i harmonii, niż na malowniczości obrazów.

Aż do najnowszych czasów poezye Krasińskiego drukowane były zawsze w bardzo małéj liczbie egzemplarzy i albo bezimiennie, albo pod przybraném nazwiskiem (najczęściéj Konstantego Gaszyńskiego). Zupełne wydanie dzieł jego wyszło w *Bibliotece Pisarzów Polskich* u Brockhausa w Lipsku w 3 tomach (1863). Staranniejsze wydanie z pięknym wstępem St.

*) K. Mecher, Hist. Lit. Pol. str. 340.

hr. Tarnowskiego wyszło we Lwowie r. 1875. W rękopismach zostało jeszcze bardzo wiele jego poezyi. O ile wiemy, pozostawił Krasiński wiele i to niepospolitéj wartości utworów. Pominąwszy bowiem napisane w Rzymie 1830 powieści, jak «*Gasztold*», «*Adam Szalony*» i «*Przeor*», istnieją podobno dwie części «*Nieboskiéj Komedyi*» i zbiór prześlicznych lirycznych poezyi dla Delfiny Potockiéj pisywanych, z którego pojedyńcze urywki drukował *Tygodnik Illustrowany i Kronika Rodzinna.*

O Krasińskim pisał Julian Klaczko («*Poezya polska i poeta bezimienny XIX wieku*». Paryż, 1862. Przekład artykułu w *Revue des deux Mondes* umieszczonego), Lucyan Siemieński w *Portretach Literackich* (Poznań, 1865) i St. hr. Tarnowski. Dotąd jednak ani koleje życia, ani działalność poetycka Krasińskiego nie zostały należycie jeszcze poznane i objaśnione. Listy od 1835 — 44, pisane przez Krasińskiego do Ed. Jaroszyńskiego, wyszły r. 1871 w Krakowie, ale zostały wykupione przez ordzinę poety. —

Trzeci z *wieszczów ducha*, olbrzym wyobraźni, cudotwórca języka polskiego, *Juliusz Słowacki* urodził się r. 1809 w Krzemieńcu gdzie ojciec jego, Euzebiusz Słowacki, znany uczony i tłómacz poetów rzymskich, był professorem języka polskiego. *) Matka Juliusza, Salomea z Januszewskich, niewiasta obdarzona niepospolitemi przymiotami duszy, najwięcéj usposobieniem swojém wpłynęła na ów wyższy i ekscentryczny nastrój ducha poety, który był dla niéj jedynym celem życia, jéj dumą, jéj nadzieją, jéj wszystkiém co na ziemi. Ze strony syna także niemniejsze było przywiązanie do matki. Od pierwszego dziecięctwa swego aż do zgonu — przez wszystkie życia koleje, zawsze on ją z głębi serca, rzewnie, wyłącznie i niemal religijnie czcił i miłował. Już same listy jego do niéj pisywane przekonywają, że nie miał on nigdy przed nią nic skrytego, że z ufnością dziecięcia i ze swobodą przyjaciela zwierzał on jéj się zawsze z każdéj pociechy i nadziei, z każdéj boleści i troski, ze wszystkich uczuć, rojeń, a nawet często kierował się jéj zdaniem w poezyi. — Przez 3 lata (1811 — 1814) rodzice Juliusza mieszkali w Wilnie, gdyż ojciec jego został tamże

*) Porównaj znakomite dzieło Antoniego Małeckiego p. t. „Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnéj epoki". Lwów, tomów 2, 1866 — 1867.

professorem historyi literatury, czyli jak to naówczas nazywano — wymowy i poezyi; po śmierci zaś ojca matka z pięcioletnim Juliuszem przeniosła się na mieszkanie do Krzemieńca do rodziców swoich. W r. 1817 po raz drugi wyszła za mąż za doktora Bécu, który był professorem przy uniwersytecie wileńskim, i z tego powodu z synem swoim wróciła do Wilna, gdzie młody Juliusz zaczął teraz nauki swoje odbywać. Charakterystyczną jest ta okoliczność, że z tłómaczenia Iliady Dmóchowskiego uczył się czytania polskiego. Pięknym obrazem pierwszéj młodości Słowackiego jest wiersz jego p. t. *Godzina myśli;* sam o nim powiada w jednym z listów do matki: «Jest to poemat serca, w którym jest całe moje dzieciństwo». Z wiersza tego widzimy, że już w dziecku rozwijały się przedwcześnie niezwykłe skłonności do marzeń i zaciekań, a w słabém i delikatném ciele przebywała dusza z wygórowaną imaginacyą. Wiersz pomieniony stanowi najważniejsze źródło do skreślenia wewnętrznego wizerunku Juliusza w téj życia jego epoce:

«Wśród litewskiego grodu, w ciemnéj szkolnéj sali
Siedziało dwoje dzieci — niezmieszani w tłumie.
Oba we współzawodnéj wykarmieni dumie,
Oba wątłéj postaci, marmurowo biali.
Młodszy wiekiem nadzieje mniejsze zapowiadał,
Pierś mu się podnosiła ciężkiém odetchnieniem —
Włos na czole dzielony na ramiona spadał
I po nich czarnym, gęstym sypał się pierścieniem.
Widać, że włos ten co dnia ręką dziewic gładką
Utrefiony, brał blaski dziewiczych warkoczy. —
Ludzie nieraz «on umrze» mówili przed matką:
Wtenczas matka patrzała długo w dziecka oczy:
I przeczyła z uśmiechem. Lecz w smutku godzinie,
Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,
Lękała się nieszczęścia, i myśląc o synie,
Nie śmiała wyrzec: niech się dzieje wola Boga!
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie....

«Młodszy wiekiem» o którym mowa w tym wierszu, to właśnie nasz poeta. «Godzina Myśli» poświęcona jest wspomnieniom lat szkolnych, wspomnieniom pierwszych marzeń, pierwszych rozczarowań, pierwszéj przyjaźni i pierwszéj miłości. Przyjacielem Juliusza «większym nauką i laty» był Ludwik

Szpitznagel, który «nigdy od krain myśli nie odłamał życia, sprzągł razem i powiązał dwa niezgodne światy». Z czego atoli takie tylko wynikły następstwa, że

Jako posągom nieraz braknie w rysach duszy,
Posągom jego myśli brakowało ciała,
Więc nieraz go śmiech ludzi, śmiech co czucia głuszy,
Budził — i rzeczywistość zimna roztrącała».

To też później, skoro mu przyszło stawić pierwszy krok w zakresie rzeczywistego świata i praktycznego zawodu, zląkł się i skończył samobójstwem. — Poeta wspomina także w «Godzinie myśli» o téj, któréj pierwsze poświęcił uczucia. *)

»Dziecko z czarnemi oczyma
Poznało miłość. — Pierwszą i ostatnią była,
I najsilniéjsza z uczuć, uczucia przeżyła».

Skończyły się jednak te sny urocze młodości rozejściem się obojga, każdego w inną stronę. Juliusz poszedł w swoję z uczuciem zranionéj duszy, cały zgorzkniały, z bajroniczném rozczarowaniem i zwątpieniem o wszystkiém. Po rozmowie stanowczéj, która koniec położyła wszystkiemu pomiędzy nimi, »upadł bladą twarzą do ziemi, wstydem drżący:

«Bo dziecko miało dumę wielkiego człowieka,
Przeczuciem nakarmioną. Wtenczas lat tysiące,
Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,
Świetna okrzykiem ludzi — a z temi obrazy
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem —
Serce jak kryształ w setne poryło się skazy.
I tak wiecznie zostało...»

Jak wiadomo, lata 1818—1824 w obrębie wszechnicy wileńskiéj — stanowić będą na zawsze, czasy opromienione urokiem najpiękniejszych wspomnień. Był to brzask nowéj ery w myślach i pieśniach — świtanie nowego życia. Co tylko z młodzieży żyło duchowo, podzielało ten prąd powszechny. Poezya

*) Była nią panna Ludwika Śniadecka, córka Jędrzeja, starsza od siedmnastoletniego poety.

była jakby symbolem tych wszystkich uczuć, które młodzież łączyły. Świeża sława Mickiewicza i jego rowienników silnie działała i na najmłodszych wychowańców szkolnych zakładów litewskich. A jeżeli na kim wywierało to wszystko potężne, wstrząsające wrażenie, to na Juliuszu. Oddźwiękła w sercu jego ta struna poetyczna, która i bez tego już w duszy jego była napięta. Żądza wielkiéj autorskiéj sławy zaczęła go już nawiedzać w dzieciństwie. Niejednokrotnie on sam o tém wspomina w listach swoich do matki. — «Droga moja — mówi do niéj np. w liście z r. 1845 — ja ośm lat mając przysiągłem Bogu w kościele katedralnym, że nie będę przed grobem moim niczego żądał — a za to za grobem o wszystko się upomnę». Albo w innym liście: — «W dzieciństwie, kiedy byłem egzaltowanie nabożny, modliłem się do Boga często i gorąco, żeby mi dał życie poetyczne, choćby zresztą najnędzniejsze, — żebym był pogardzony przez cały wiek mój — i tylko żeby mi za to dał nieśmiertelną sławę po śmierci...» A w owym poemacie, z którego ustępy daliśmy powyżéj, wręcz mówi o sobie:

«Więc przeczuł, że marzeniom da kiedyś wyrazy,
Że się zapozna myślą z myślnym ludzi tłumem,
Ma przed sobą krainę duchów do zdobycia...»

W r. 1824 ojczym Juliusza, professor Bécu, uderzony piorunem zakończył życie. Smutny ten wypadek nie wywarł jednak zbyt niekorzystnych następstw na dalszą dolę 15 letniego już natenczas jego pasierba. Po skończeniu gimnazyum rozpoczął Juliusz studya uniwersyteckie, a w domu u matki, która dla jego wychowania została w Wilnie, uczył się rysunków, muzyki i języka angielskiego; w swoich późniejszych podróżach dalekich korzystał też szczególniéj z nauki rysunków i rysował z natury dość piękne krajobrazy.

W r. 1826 przerwał Słowacki na czas jakiś kursa uniwersyteckie i odbył kilkomiesięczną podróż nad morze Czarne, do Odessy. Odbył ją już to dla rozrywki i wytchnienia, już ażeby użyć kąpieli morskich, poleconych mu przez lekarzy z powodu jakichś dolegliwości piersiowych. Nieznane są bliższe szczegóły téj wycieczki, lecz zdaje się, że na tle wspomnień téj podróży osnuwał późniéj poeta piękne obrazy naddnieprzańskich, ukraińskich i nadmorskich okolic w niektórych poezyach swoich. Jeszcze w *Beniowskim*, napisanym r. 1841 widać, jakie silne wrażenie zostawiła w nim Ukraina.

«Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionéj przez Tatarów gliny!
W popiołach złote słońce zawieruszy,
Zamgli, zczerwieni i w niebie zatrzyma,
Jak czarną tarczę z krwawemi oczyma!

«Kto Cię nie widział nigdy, wielki Boże!
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywém,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym —
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze:
Mogiły głosem wołają straszliwym;
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie, i ginie...»

Pokrzepiony na siłach, powrócił potém jeszcze do Wilna, ażeby dokończyć nauk; chociaż nie zdaje się, żeby był wtedy zamierzał poświęcić się jakiemu zawodowi, któryby wymagał studjów akademickich uwieńczonych egzaminami albo patentem doktorskim. Dopiero rok 1828 rozstrzygnął ową niepewność, jakby się pokierować daléj na świecie; stanęło bowiem na tém, że się Słowacki zdecydował oddać służbie rządowéj i to w zakresie administracyjnym. Z tego powodu i syn i matka pożegnali się teraz z Wilnem, zkąd Juliusz odprowadziwszy matkę do Krzemieńca, po kilku tygodniach wesołego życia wśród grona całéj rodziny, udał się do Warszawy, i tamże wszedł w poczet bezpłatnych pracowników w ministeryum skarbu, będącém naówczas pod sterem księcia Lubeckiego. Bezpośrednim naczelnikiem biura, do którego przydzielono Juliusza, był Dominik Lisiecki, pisarz znany w literaturze z nieźle dokonanych tłómaczeń niektórych autorów francuzkich. Był to zwolennik klasycyzmu, mianowicie wielbiciel Kornela i Woltera, którychto właśnie w latach młodszych przekładał; ale miał on zmysł i dla nowszych pojawów literatury; zaczém poszło że spolszczył i Lamartina utwory niektóre, a wreszcie i inne utwory, np. Nieszpory Sycylijskie Delavigne'a. Ta żyłka poetyczna dyrektora wydziału ułatwiła Juliuszowi serdeczniejsze zbliżenie się do niego. Za jedną znajomością poszły i drugie. Odszukał Odyńca, z którym lubo młodszy, miał zapewne jakąś znajomość już z Wilna.

Musiało i ze Stefanem Witwickim zajść poznajomienie już w owych czasach warszawskich. Ale nie przypadli sobie jakoś do serca, przynajmniéj Słowacki zawsze o nim wspominał z lekceważeniem i w sposób, który przekonywa, że go nie lubił. Czy znalazł sposobność zbliżenia się do Brodzińskiego, tego na pewno twierdzić nie można. Najwięcéj wrażenia sprawił na nim Niemcewicz, sędziwy patryarcha pomiędzy całą ówczesną intelligencyą warszawską. Słowacki czytał mu trzeci akt tragedyi swojéj *Mindowe*, któréj autor «Jana z Tęczyna» nie skąpił pochwał. Jednak w ogóle stolica nie podobała się naszemu poecie, Zrażała go do Warszawy szczególniéj ta okoliczność, iż przywykły do pięknych okolic Wilna i Krzemieńca, tutaj już nie znajdował nic podobnego. Prócz tego nie mógł też Słowacki zasmakować w téj robocie suchéj biurowéj, która z obowiązku miała stanowić pierwszorzędne jego zajęcie; ile że go zaprzątano samemi prawie pracami mechanicznemi, to jest kazano po prostu przepisywać. Nie tamowało to jednak poetyckiéj twórczości Juliusza. Po pierwszych próbach (*Duma Ukraińska*, cztery *Sonety* i poemat *Szanfary*) pisanych jeszcze w Wilnie w r. 1826, 1827 i 1828, kiedy autor miał lat 17, 18 i 19, przyszła koléj na większe rzeczy. W r. 1829 napisane były: powieść *Hugo* i tragedya *Mindowe;* w następnym roku poemat: *Mnich*, *Jan Bielecki*, tragedya *Marya Sztuart* i powieść poetycka *Arab*; w lutym 1831 r. poeta napisał pierwszą część *Żmii*. Żaden atoli z tych utworów nie był jeszcze ogłoszony drukiem, i tylko ulotne okolicznościowe wiersze jak Hymn *Boga Rodzica*, *Kulik* i kilka innych, rozpowszechniając się w narodzie, jednały Juliuszowi coraz głośniejsze imię. Wkrótce jednak owe pełne ognia popędy u niego stygnąć i ustępować miejsca innym uczuciom zaczęły. Zwątpienie, niesmak, niemożność jakaś dłuższego wytrwania wśród stosunków, w jakich się widział, brały coraz więcéj górę nad ekscentryczném usposobieniem poety. Przyszło nareszcie do tego, że powziął zamiar porzucenia Warszawy — i zaopatrzywszy się w pasport, rzeczywiście wyjechał za granicę d. 8 marca 1831 roku. Był to krok, który jak się okazało późniéj, miał być w życiu jego stanowczym. Wyjazdem swoim z Warszawy Słowacki w 22 roku życia zamknął pierwszą połowę zawodu swojego na ziemi. Pierwsza ta życia jego epoka upłynęła mu między swymi, pośród stosunków normalnych i pod wielu względami nader pomyślnych. Od owéj chwili poczęła się epoka druga: ustawiczna tęsknota, nieustająca świadomość

czczości życia bez celu, gorzkie zawody przy każdym kroku, ciągła walka z przeciwnościami, niekiedy z niedostatkiem i cały szereg cierpień dotkliwych a bezowocnych. Takie to życia koleje otwarły się teraz dla naszego poety — na zawsze, aż do samego zgonu!

Po czteromiesięcznym pobycie w Dreznie, gdzie znalazł Odyńca i kilku innych rodaków, Słowacki wyjechał przy końcu lipca do Paryża, a ztamtąd w kilka dni do Londynu, gdzie bawił cały miesiąc. Londyn i jego mieszkańcy sprawili na nim bardzo korzystne wrażenie. Uczył się języka angielskiego, którego początki były mu już udzielane w Wilnie. Bywał też często na teatrze i zachwycał się grą sławnego naówczas artysty dramatycznego, niezrównanego w rolach zwłaszcza szekspirowskich, Kean'a. W ogóle podobał mu się bardzo sposób, w jaki Anglicy przedstawiają tragedye. O teatrach paryzkich zdania tego późniéj nie wyrzekł, kiedy je poznał.

We wrześniu przybył Słowacki do Paryża w zamiarze stałego na czas jakis zamieszkania. Stolica Francyi nie zrobiła na nim przyjemnego wrażenia; równie i Francuzi wcale nie odpowiedzieli jego oczekiwaniom. Widać to i z listów jego do matki i z prześlicznego wiersza *Paryż*, w którym, z prawdziwie proroczém natchnieniem poeta sięgnął wzrokiem w odległą jeszcze przyszłość:

«Nowa Sodomo! pośród twych kamieni
Mnoży się zbrodnia bezwstydna widomie!
I kiedyś na cię spadnie deszcz płomieni,
Lecz nie deszcz Boży, nie zamknięty w gromie —
Sto dział go poszle. — A na każdym domie
Kula wyryje straszny wyrok Boga;
Kula te mury przepali, przełamie,
I wielka na cię spadnie kiedyś trwoga,
I większa jeszcze rozpacz — bo to kula wroga.—»

W piérwszych miesiącach pobytu swego w Paryżu, Słowacki pozawiązywał lub poodnawiał różne znajomości. Leonard Chodźko, Antoni Gorecki, Lelewel, Platerowie, Michał Podczaszyński, Oleszczyński rytownik, Michał Skibicki,— oto kilka nazwisk więcéj znanych z pomiędzy większéj liczby rodaków, których znał, widywał i o których wspomina w listach swoich do matki. Co się tyczy Lelewela, poeta nasz go nie lubił. Wyrażał się w listach o nim zawsze z wielką goryczą. O Bohdanie Zaleskim wzmiankuje obojętnie, o Stefanie Wi-

twickim nieżyczliwie, o pani Hofmanowéj sucho, jeżeli nie uszczypliwie. Bywały chwile, gdy go ziębiło i nudziło śmiertelnie całe otoczenie jego paryzkie.—«Wiele mam teraz znajomych (pisał np. w grudniu 1831), ale żadnego miłego, żadnego, z którymby mi było żyć przyjemnie... Trzyma mię w Paryżu jedynie nadzieja, że będę mógł drukować.»— Z pomiędzy małéj liczby osób, które wtedy w bliższych zostawały stosunkach z poetą naszym, był może jeden tylko, o którym powiedzieć można, że go łączyła ze Słowackim prawdziwa przyjaźń. Był to człowiek cierpiący, schorzały, nierokujący długiego życia; nazywał się Zienkowicz. Drugim towarzyszem, z którym się codziennie widywał był Michał Skibicki.

Przedewszystkiém poeta troszczył się o to, jakim sposobem «dziecięta duszy swojéj», jak był zwykł płody swoje nazywać, potrafi wyprawić pomiędzy ludzi. Nareszcie, dzięki zasiłkowi nadesłanemu od matki, mógł przystąpić do drukowania. Uwaga rodaków zwracała się coraz więcéj na młodego poetę i zdarzały się różne okoliczności, które go zachęcały w jego zawodzie, ośmielały w rozumieniu o sobie, a częstokroć też niestety bałamuciły i psuły. Pomiędzy innemi odurzały go dochodzące ze wszech stron wieści o recenzentach, o tłómaczach i t. d. już gotowych do rozsławienia imienia jego na wszystkie końce świata i tylko oczekujących z natężoną niecierpliwością wyjścia drukujących się poezyj.

Nareszcie nadeszła chwila (było to w kwietniu 1832 r.), kiedy leżały już przed nim gotowe obydwa tomy «*Poezyj Juliusza Słowackiego*», obejmujące wymienione powyżéj utwory wraz z dokończeniem *Żmii* (pisaném w Dreznie i w Paryżu r. 1831). Poeta był w siódmém niebie.—«Mam poezyc mojel pisał do matki). I piérwszy dzień ich wyjścia był dla mnie źródłem niewysłowionych przyjemności. Matko moja, cóż Ty, cóż wy wszyscy o waszym Julku powiecie?... Dziś obaczyłem u Pinnard (wydawcy swego) regestr ludzi sławnych, zawarty w biografii Contemporains, a pod literą S. taki porządek: Słowacki Euzebiusz, Słowacki Juliusz, Smuglewicz Franciszek, Śniadecki Jan, Śniadecki Jędrzéj i t. d. Widzicie, że w dobrém jestem towarzystwie. Ucieszyło mnie bardzo. Jest to najsławniejsza biografia...»

Przez cały ciąg czasu, kiedy to wszystko się działo, Mickiewicza nie było w Paryżu. Zjechał on tam dopiéro z końcem lipca. W liście z d. 30 lipca Juliusz tyle tylko o tém matce sucho i nawiasowo donosił: «Mickiewicz dziś przyjechał do Pa-

ryża. Ale nie pójdę piérwszy do niego. Jeżeli się zechce poznać ze mną, to dobrze». — W tydzień potém zapisywał sobie w dzienniku, co następuje: «Od kilku dni przyjechał Mickiewicz. Żaden z nas nie chciał zrobić piérwszego kroku do poznania się; a było kilka osób, którym mówił, że mnie chciałby widzieć. Starano się więc sprowadzić nas gdzie razem i poznać. Dziś zeszliśmy się na wielkim obiedzie. Mickiewicz improwizował — ale dosyć słabo. Po obiedzie, kiedy chodziło towarzystwo po ogrodzie, Mickiewicz przystąpił do mnie i zaczęliśmy sobie nawzajem mówić komplementa. Mówił mi, że mnie znał dzieckiem... Kiedyśmy zabrnęli w komplementa, kiedy mu mówiłem, że go uważam za piérwszego poetę, jeden z Polaków stojący za mną i podchmielony zapewne, powtarzał jak echo: nadto jesteś skromny — i temi słowami pomieszał zupełnie naszę rozmowę...» Przy podobnych sposobnościach widywali się zatém obydwaj poeci. Znajomość ich byłaby się może powoli zamieniła w zażyłość coraz ściślejszą, gdyby nie pogłoska przyniesiona przez kogoś Słowackiemu, jakoby Mickiewicz w gronie swoich przyjaciół miał był zganić poezye jego. Pisał o tém Juliusz do matki (we wrześniu 1832) jak następuje: — «Jeden z Polaków mówił mi zdanie, jakie dał Mickiewicz o moich dwu tomikach... powiedział, że moja poezya jest śliczna... że jest to gmach piękną architekturą stawiany—jak wzniosły kościoł... ale w kościele Boga nie ma!... prawda że śliczne i poetyczne zdanie?» — Od tego czasu już się Juliuszowi nic w Mickiewiczu nie podobało. Raziły go wszystkie właściwości jego indywidualizmu, tak te, które dotyczyły powierzchowności, jak i wewnętrzne (*). I nie dziw! Zanadto wielkie przeciwieństwo zachodziło pomiędzy obydwoma wieszczami. Słowacki nie miał wtedy jeszcze tak jasno wytkniętych kierunków przed sobą. I wiek jego nie był jeszcze po temu, i cała natura jego więcéj była jakaś nie-

---

(*) Z powodu pewnego wieczoru donosił np. takie szczegóły: «Na wieczorze był i Mickiewicz. Nie możecie sobie wystawić, jak po liderlichosku wygląda — z pomiętym od koszuli kołnierzem i we fraku zasmolonym!.. Strasznie mnie zaczynają nudzić moi ziomkowie...»

Niemniéj ciekawa jest wzmianka w liście późniejszym (z d. 9 listopada): «W tych dniach wychodzi z pod pras panien Pinnard tom 4-ty Mickiewicza, zawierający trzecią część *Dziadów*. Jeszcze jéj nie znam, ale Mickiewicz bardzo już ostygł w poezyi...» Że zdanie o tém ostygnięciu Mickiewicza w poezyi było fałszywe, przekonywa o tém uwaga, że były to czasy, gdy Adam pracował nad największém swém dziełem, nad «Panem Tadeuszem!» —

rzeczywista, irracyonalna. Mickiewicz przy całéj swéj podniosłości nieskończenie przewyższał go realizmem. Mickiewicz szukał wszędzie żywiołów pozytywnych, dodatnich, szukał pewnika, dogmatu: — Słowacki marzył, poetyzował... Piérwszy wiedział zawsze, do czego dążył i co zamierzał: — drugi łatwiéj byłby podobno z tego zdał sprawę, czego nie chciał; sformułować zaś dobitnie żądań i pragnień swych dodatnio: — tego w żadnéj porze życia swójego, a tém mniéj wtedy nie byłby pono potrafił.

Ogłoszone poezye stanowiły przez kilka miesięcy po ich wydaniu główny przedmiot, na który była zwrócona uwaga autora. Miał on już wtedy w tece materyału nowego dosyć na zapełnienie trzeciego tomu. Poemat *Lambro* już był ukończony w r. 1832. Chodziło tylko o fundusze na pokrycie dalszych kosztów nakładu, a miała ich dostarczyć dopiero sprzedaż dwóch tomów wydanych, z którą jednak nie wiodło się tak pomyślnie księgarzom, jak się autor zrazu spodziewał. Wśród drobiazgowych wydawniczych zachodów, nagle Słowacki opuszcza Paryż (w grudniu 1832) i udaje się do Genewy. Krok ten spowodowało zjawienie się trzeciéj części *Dziadów*, w któréj Mickiewicz boleśnie (a może i bezzasadnie) zranił rodzinne uczucia Juliusza. — «Więc wiecie o Adamie (pisał do matki)! Och! teraz dopiero powiem, ile mię kosztowało przełamanie piérwszego popędu dumy! Skorom przeczytał, chciałem się koniecznie strzelać z nim i natychmiast posłałem list do Michała (Skibickiego) przyjaciela mego, aby mi pomocy swojéj użyczył. Przyszedł Michał wieczorem i różnemi radami odwiódł mnie od zamiaru. Była to jedna z przyczyn, dla czego do Genewy wyjechałem — i teraz nie uwierzycie, ile męki cierpię, ilekroć ludzie chcą zdanie moje o Adamie usłyszeć. Nienawidzę go!... Nic mi nie pozostaje, jak okryć Ciebie Matko moja, promieniami takiéj sławy, aby Cię inne ludzi pociski dojść nie mogły. I muszę tego dokonać...» Charakterystyczną jest okoliczność, że pośród najrozmaitszych wrażeń i zajęć, jak to bywa na wyjezdném, przyszła do głowy myśl Słowackiemu odwiedzić jeszcze sławną naówczas wróżkę paryzką, pannę Lenormand. Wróżby jéj, jak sam mówi, były zupełnie pospolite.

W Genewie ujrzał się Słowacki pośród nader ożywionych stosunków towarzyskich, na brak których często w Paryżu narzekał. Umieścił się w przyjemnym domu w pobliżu Genewskiego jeziora, wśród ulubionych jodeł i świerków, mając widok na Mont-blanc, «który na horyzoncie wznosił się lekko jak

chmurka skreślony — czasem wiankiem białéj chmury okryty». Dom ten napełniał się latem mnóstwem podróżników, i ta rozmaitość znajomości, równie jak towarzystwo domowe i zabawy w mieście, bardzo pomyślnie wpłynęły na jego humor; stał się rozmownym, a często bardzo wesołym. W jednym z listów do matki pisze: «Widzieliście mnie dzieckiem nudném, teraz zaś umiem czasem grać rolę wesołego chłopca, i tylko domowi widzą mnie smutnym i posępnym». Powodzenie autorskie nie przestało go obchodzić ani na chwilę. *)

W maju 1833 wyszedł w Paryżu 3-ci tomik Poezyj Słowackiego, zawierający pomiędzy innemi poemat w dwóch pieśniach p. t. *Lambro, Dumę o Wacławie Rzewuskim, Paryż* i przytoczoną wyżéj *Godzinę Myśli*. Na czele tego tomu położył autor przedmowę, w któréj się skarży na obojętność, z jaką przyjęto dawniejsze jego publikacye. Między innemi mówi: «Minął ów czas błogi, chociaż mało korzystny dla literatury naszéj, kiedy umieszczona w dzienniku Warszawskim oda, duma lub ballada, nadawała imię poecie. Trzydziestu prenumeratorów dziennika (albowiem tylu ich było) rzucało nazwisko nowe na woskowane posadzki salonów, i romantyczny poeta brał chrzest, znajome nadający imię; nadto pisma czasowe dzienne zamglonemi niemczyzną okresami rzucały z paszcz sfinxowych zagadkę sławy autorskiéj — szczęśliwy kto ją zrozumiał, szczęśliwszy, kto w pokorze ducha niezrozumianéj wie-

*) „Pani Morin (pisze w liście z dnia 10 lutego 1833) przyszła do nas wieczorem i wśród konwersacyi powiedziała mi z uśmiechem: „Młody N. N. mówił mi dziś, że w jednym z dzienników francuzkich czytał długi i pochlebny artykuł o poezyach Juliusza Słowackiego. Czy Pan znasz tego poetę? Udałem, że mnie ten artykuł mało obchodzi; ale nazajutrz z bijącém sercem pobiegłem do *Société de lecture*, gdzie znajdują się wszystkie dzienniki, i wynalazłem krytykę moich poezyi w *Revue Européenne*. Bardzo pochlebnie mówią. Zaczynają od wyjścia na świat „Bogarodzicy“ — dają tłómaczenie tego hymnu — potém mówią o „Żmii“ z pochwałami — potém przytoczony jest, w tłómaczeniu wyjątek z wiersza do Skibickiego — rozbiór dość obszerny tragedyi, z cytacyami — pochwała śmierci biasna i charakteru jego w „Maryi Stuart“. Nakoniec tłómaczenie całego „Araba“ wcale niezłe. Jest wszędzie trochę ocukrowanéj krytyki — ale jest i to, że mam lat 22 i że rzuciłem podstawy wielkiéj literackiéj sławy. — Widziałem potém w *Société de lecture* czytających artykuł o mnie. — Widziałem, jak jeden dobywszy pugilaresu, imię moje zapisywał, nie wiedząc, że tak blizko niego stałem — a to mnie nadzwyczaj bawiło. Wczoraj znalazłem w gabinecie czytających pana Morin, który zapewne przez żonę wysłany, nad rozbiorem moich poezyi siedział. Wszystkie damy moje znajome starają się, aby tego żurnalu dostać — i wiedzieć, co ja za jeden?“

rzył. Dziś dziennikarze owi, tworzyciele literackich królów, milczą...»

Pośród zajęć, rozrywek i melancholijnych rozpamiętywań upłynęła poecie naszemu pierwsza zima w Szwajcaryi. Na wiosnę (1833) donosił matce, że ranki poświęca pracy nad jakimś nowym utworem. Za nadejściem jednak lata rzucił pióro, i dopiero w jesieni, z gorączkowym pośpiechem kończył poemat, który z początkiem następnego roku pojawił się w Paryżu bez żadnéj przedmowy i bez wyrażenia imienia autora p. t. «*Kordyan*, Część pierwsza Trylogii». Autor dziełem tém zamierzał rzucić rękawicę Mickiewiczowi, pójść w zapasy ze sławą jego, dla tego też wydał je bezimiennie. «Będzie tak równiejsza walka z Adamem», pisał do matki. Stawiał Kordyana wyżéj nad wszystkie swoje aż potąd ogłoszone utwory. Obiecywał mu wielkie powodzenie: «Wyjście na świat tego poematu będzie dla mnie bardzo ważną epoką», — pisał mając przed sobą pierwsze arkusze druku, i miał przekonanie, że «osądził to dzieło swoje po napisaniu z obcego człowieka rozwagą».

Przez całą jesień 1833 i przez ciąg zimy, która po niéj nadeszła, poeta nasz był bardzo smutny. Dręczyła go jednostajna samotność życia i niczém niezapełniona próżnia, spowodowana niemocą wzbudzenia w sobie silniejszych uczuć. Sposępniał, zgorzkniał, zobojętniał dla otaczającego go świata. Nie zajmował się żywiéj niczém, i nikim, nie bywał prawie u nikogo. Był już innym człowiekiem, jak dawniéj. — »Tak się już teraz ograniczyłem w moich żądaniach (pisze do matki w czerwcu 1834), że żadne błyszczące marzenia nie śmieją kłócić mojéj spokojności». — Dawniéj — w pierwszych latach młodości i nawet jeszcze w Paryżu, kiedy to wydawał pierwsze tomy swoich poezyi — zapalała go nadewszystko myśl sławy. Nadzieje jego, na téj podstawie oparte, nie miały granic! Zdawało mu się, że warto wszystko, co człowiek nazywa szczęściem na ziemi, poświęcić temu jednemu ideałowi; albowiem sława wszystkie rodzaje szczęścia w sobie zamyka i jest już sama przez się szczęściem najwyższém. Zwolna w latach dalszych, zaczęły się przed oczyma poety rozpływać coraz bardziéj w nicość ułudy tego marzenia. W miarę im się więcéj zbliżał do sławy, tém się bardziéj przekonywał, że w niéj nie znaleźć tego wszystkiego, czego się dawniéj od niéj spodziewał. Nęciła go ona wprawdzie i teraz jeszcze. Kiedy patrzał, jak w r. 1835, na małéj jednéj wysepce genewskiego jeziora, stawiano pomnik dla Russa, w obec całéj ludności miasta za-

legającéj brzegi jeziora, przy nieustających wystrzałach z armat, wtedy w chwili, gdy wkładano złoty wieniec na głowę posągu, łzy mu się polały z oczu. Właśnie tego samego dnia z rana był on otrzymał wiadomość, że ostatni jego poemat z powszechnym zapałem został przyjęty w Krakowie. Ta okoliczność tém bardziéj go nastrajała do rzewnego udziału w całéj owéj uroczystości ludowéj. Nie mogła się nie zrodzić myśl w jego duszy, że kiedyś i jemu może oddawane będą w podobny sposób dowody czci przynależnéj... Uznania tego był Juliusz pewien. Wiedział jednak, że to nastąpi dopiero późno, kiedyś— kiedyś długo po jego śmierci! Wiedział, przeczuwał, że życie jego będzie już do końca takie smutne, jak dotąd, i że on pozostanie na zawsze taki samotny pomiędzy ludźmi.

Oddawał się przedewszystkiém Słowacki w tym czasie studyom filozofii, i to głównie filozofii niemieckiéj. Wpływu jéj w pismach jego wprawdzie nie widać, był jednak czas, kiedy się nią dosyć zajmował. Pomiędzy doręcznemi dziełami, które szczególniéj rozczytywał, stawiał na pierwszém miejscu i »niewyczerpaném dla siebie źródłem pociechy» nazywał pisma obydwóch Kochanowskich, i Biblię. Z obcych poetów przenosił nadewszystko Szekspira i Danta. Od czasu jak wyjechał z Paryża, zastąpili oni u niego miejsce dawniéj zajmowane prawie wyłącznie przez Byrona. Z francuzkich nowoczesnych pisarzów najwięcéj uderzała go zaczynająca się właśnie w owych latach dopiero wsławiać Georges Sand.

W tymże czasie (1834) pracował Słowacki nad tragedyą, któréj bohaterem był szkocki *Wallas*, a która na nieszczęście nie została wydana i nawet w pozostałych papierach doszukać się po śmierci poety nie można było ani śladu tego utworu. Był to pierwszy płód zrodzony r. 1834, owoc miesięcy wiosennych. Przez całe lato fantazya poety potém, jak zwykle, wypoczywała. Z jesienią — znalazło się znowu natchnienie i zrodziło w ciągu miesiąca października jeden z celniejszych utworów Słowackiego, znowu dramat — *Mazepę*. Tymczasem jednostajność i bezbarwność życia więcéj się Juliuszowi dawała we znaki, niż kiedykolwiek. «Nigdy jeszcze tak smutno nie przepędzałem zimy — pisał w grudniu 1834. Nie wiem, dla czego, ale głębsza niż kiedykolwiek melancholia i obojętność napadły na mnie... Gdybym się nie lękał nadto romantycznego porównania, powiedziałbym, że z myślami mojemi podobny jestem do psa, co się sam za ogon chce złapać i kręci się długo na jedném miejscu — nakoniec znużony wywraca się i usypia

pod kominem». Na taką słabość nie było lepszego lekarstwa, jak rzucić się w nową pracę. Tak się też stało. W przeciągu listopada Słowacki napisał nową tragedyę p. t. *Balladyna*. «Ze wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mozgownica urodziła (pisał daléj w tymże liście), ta tragedya jest najlepszą, zwłaszcza że otworzyła mi nową drogę, nowy kraj poetyczny, nietknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy, niż ta biedna ziemia, bo idealny... Tragedya cała podobna do staréj ballady — ułożona tak, jakby ją gmin układał, — przeciwna zupełnie prawdzie historycznéj — czasem przeciwna podobieństwu do prawdy; ludzie jednak starałem się aby byli prawdziwymi i aby w piersiach mieli nasze serca... Nie mogę Ci tu dać kochana Mamo wyobrażenia dokładnego rodzaju dramatyczności mojéj tragedyi. Jeżeli ma ona rodzinne podobieństwo z którą znajomą sztuką, to chyba z Królem Lirem Szekspira. O! gdyby stanęła kiedyś przy Królu Lirze! —» Z powodu, że *Mazepa* i *Balladyna* powstały prawie w jednym ciągu i czasie, nastręczyło się autorowi mimowolnie porównanie tych dwóch utworów ze sobą. Wypadek porównania tak dalece był niepomyślny dla rychlejszego dramatu, że autor postanowił go zniszczyć. Donosił nawet matce o spaleniu *Mazepy*, jako o rzeczy dokonanéj, skończyło się jednak na zamiarze, inaczéj bowiem utwor ten nie byłby późniéj wydanym.

Tak więc rok 1834, smutny zkądinąd w życiu Juliusza, nie był pod każdym względem niewdzięczny. Owszem, w zawodzie autorskim — było to jedno z jego lat najświetniejszych; w każdym razie był to rok urodzaju, rok trzech żniw, jak powiada Małecki.

W ciągu wiosny 1835 widzimy poetę zajętego jeszcze jedną nową, większych rozmiarów pracą, i znowu dramatyczną. Była to jedna ze sztuk nigdy za życia jego nie drukowanych i niewiadomo jaki był tytuł tego utworu. Małecki ogłosił go w «Pismach Pośmiertnych» Juliusza p. n. «*Horsztyński*».

Jeszcze w sierpniu 1834 zawiązał Słowacki bliższą znajomość z rodziną pani W., która zamierzyła odbyć z dziećmi podróż po najpiękniejszych okolicach Szwajcaryi i zaproponowała Juliuszowi, ażeby im towarzyszył. Wiele obrazów i wiele wspomnień z téj podróży weszło późniéj, przepuszczone przez idealny pryzmat poezyi i oddalenia — w skład jednego z najpiękniejszych poematów, jakie tylko stworzył Słowacki. Ozłocił go poeta kolorytem miłości; ktorą czuł (a może tylko wymarzył) ku jednéj z towarzyszek podróży, pannie Maryi W. W listach je-

go wspomniana już jest «owa w szwajcarskich górach cudowna kaskada, gdzie Aar wody błękitnemi spada». Ale w poemacie «*W Szwajcaryi*» dodaje do tego:

«Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;
Tak jasną była od promieni słońca!
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!
Tak rozwidniona źrenicą z błękitu!
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niéj moje oczy! —
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza,
I tak się zaczął prędko romans kleić,
Że chciałem do niéj przez kaskadę lecieć....»
.....
«Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami —
I nie wiem, czy tam była łodź pod nami,
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać.
A ona tak mię prowadziła wszędzie» i t. d.

W marcu 1835 Juliusz napisał następujące wiersze w sztambuchu «swojéj towarzyszki po alpejskich górach».—

«Byli tam, kędy śnieżnych gór błyszczą korony,
Gdzie w łąkach smutnie biją trzód zbłąkanych dzwony,
Gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali...
Tam byli kiedyś razem — i tam się rozstali.
A po latach wróconych ojczyźnie pielgrzymom
Bławatkami gwiaździste kłaniały się żyta —
Jechali błogosławiąc chat wieśniaczych dymom,
Wszyscy pod jeden ganek. Matka, siostra wita
Synów, braci, przyjaciół. Są wszyscy — są wszyscy —
Przy jednym siedzą stole — przy czarach nalanych —
A wczoraj tak dalecy — a dzisiaj tak blizcy!
I nikogo nie braknie oprócz zapomnianych...
Młoda Marya do tańca każe stroić lutnię
I usiadła — spoczywa... Nagle do sąsiada
Rzekła: «ach! kogoś braknie?... Tu podkówka utnie
W takt mazurka. «On umarł» sąsiad odpowiada.

—» Cichoż na jego grobie!«— »Słowików gromada
Śpiewa na srebrnéj brzozie cmentarza tak smutnie,
Że brzoza płacze«—

Wkrótce stosunek ten stał się jeszcze bliższym, gdy pani W. zamieszkała w tym samym domu, w którym mieszkał Słowacki. Przelotny to jednak epizod w życiu poety, jak krótki sen! Miłość ta wzrosła tajemnie— żyła eterycznie, niewyznana, bez nadziei, choć może nie bez niejakiéj wzajemności— i rychło pogrzebana została. Z mogiły, w któréj zamknął jéj wspomnienia poeta, wytrysnął kwiat — czysty jak lilia wodna, a smętny jak płacz. Tym kwiatem był poemat napisany niedługo potém: »W Szwajcaryi«. Na tę chwilę życia poety przypada również pięć prześlicznych poezyj lirycznych, znalezionych w pozostałych papierach Słowackiego. Mają tytuły: ***Przekleństwo, Rozłączenie, Stokrotki, Chmury, Ostatnie wspomnienie do Laury.*** Obaczmy jakiemi słowy przemawia poeta do Maryi:

Rozłączeni— lecz jedno o drugiém pamięta!
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągle wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichéj komnacie zamknięta.

Wiem, o jakiéj godzinie wraca bolu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska,
Tyś mi widna jak gwiazda, co się tam zapala
I łzą różową leje, i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać:
Znając twój dom— i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakiemi drzewy szukać białéj szaty.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem— i promienić świtem,
Nie wiesz, że trzeba niebo zwalić i położyć
Pod oknami, i nazwać jeziora błękitem;

Potém jezioro z niebem dzielić na połowę,
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;
Nie wiesz, jak włosem deszczu skałom wieńczyć głowę,
Jak je widzieć w księżycu odkreślone kirem.

Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
Którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę— stróża,
Nie wiesz, że gdzieś daleko, aż u gór podnóża,
Za jeziorem— dojrzałem dwa z okien światełka.

Przywykłem do nich— kocham te gwiazdy jeziora
Ciemne mgłą oddalenia— od gwiazd nieba krwawsze,
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora,
Zawsze mi świecą— smutno i blado— lecz zawsze...

A ty— wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem;
Lecz choć się nigdy— nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią— płaczem.

Słowacki wyjechał z Genewy jeszcze w pierwszéj połowie lipca, nie doczekawszy nawet wyjazdu pani W. Osiadł w wiosce Veytoux. Jedyną pociechą w samotnych rozpamiętywaniach i cierpieniach poety, była przepyszna natura, która go otaczała. Pobyt jego na téj uroczéj pustyni trwał 3 miesiące. W początkach października powrócił do Genewy, gdzie całą następującą zimę przepędził. Wstrząśnienia moralne, jakich doznał zeszłego lata, miłość— może pierwsza rzeczywista, a nie fantastyczna tylko w życiu Juliusza, odosobnienie od zewnętrznego świata, który go zawsze więcéj drażnił, aniżeli myślą głębszą podsycał, wreszcie dzika, a jednak pełna uroku natura: — wszystko to sprawiło, że ten trzymiesięczny pobyt nad brzegami jeziora miał stanowić w zawodzie jego porę pewnego przesilenia. Czy weźmiemy pod rozwagę dzieła jego, które wtedy powstały, czy stan duszy poety, w jakim siebie wtedy malował, dostrzeżemy, że był to dla niego przełom, ale przełom zbawienny. »Wyznam ci Mamo (pisał w październiku 1835), że znienawidziłem moje pierwsze utwory. Czuję potrzebę większéj doskonałości; rozwinęło się we mnie jakieś nowe piękności uczucie. Nie wiem jeszcze, jak się ono przyobiecze w słowa, ale starać się będę, aby coś jasnego napełniało moje karty, aby więcéj łez było w słowach. Mam lat 25, trzeba abym już był tém, czém być mam; i dla tego może nienawidzę moich pierwszych dziełek. Lubię jednak więcéj nad inne »Godzinę Myśli«. Coś w niéj jest, co mię samego kołysze przeszłości dźwiękiem — jakąś cichą, dawną piosenką.— Trzy miesiące przepędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrodzenia były wielką dla mnie nauką. Uważałem harmo-

nię, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną wszystkiego jedność. Zastanawiałem się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem i dźwiękami natury — widziałem ją z blizka, błękitną — albo chmurną. Raz wyszedłem na wielką górę — pod nogami miałem wielki parów, zarosły sosnami, bardzo ciemny, przerznięty potokiem. Było to w niedzielę rano — dzwon kościoła wiejskiego, nadzwyczaj głośny i ponury, napełniał całe powietrze — cały ten obraz ożywiony był duszą dzwonu, jak ciemny poemat, w którym grzmi imię Boga. Nie wiem dla czego opisałem tę godzinę, ale zdaje mi się, że Ty sobie Mamo droga lepiéj mię wystawisz w takim obrazie. Jest to niby wizerunek symboliczny tego, co czuję teraz.« — Nie mniéj okazują coś odmiennego — w porównaniu z dawniejszemi dziełami — i pisma jego z owego czasu. Należą tu najprzód owe wyżéj już wspomniane liryczne rzeczy; daléj powstał niewątpliwie w owymże czasie poemat »W Szwajcaryi«; nakoniec doliczyć należy do prac ówczesnych i *Anhellego*.

Jeszcze w maju r. 1835 otrzymał był Juliusz od matki wiadomość, że się wujostwo jego (Teofil Januszewski z żoną) wybierają w podróż do Rzymu. Na towarzysza téj podróży wzywano i jego. Wycieczka do Włoch należała oddawna do najżywszych życzeń Słowackiego. Chwycił się tedy oburącz myśli, jaką mu teraz poddano; ale trudności pasportowe powstrzymały wyjazd jego z Genewy aż do lutego r. 1836. Dopiero z początkiem marca stanął w Rzymie, gdzie bawił z Januszewskimi przez trzy miesiące. W pozostałych po nim papierach znalazło się kilka tercynów, wtedy zapewne pisanych, które dają odgadnąć uczucia, z jakiemi oglądał Juliusz ostatnie szczątki wielkości starożytnego Rzymu.

Rzym.

Nagle mię trącił płacz na pustém błoniu:
»Rzymie! nie jesteś ty już dawnym Rzymem«...
Tak śpiewał pasterz trzód, siedząc na koniu.

Przedemną mroczne błękitnawym dymem
Sznury pałaców pod Apeninami,
Nad niemi kościół ten... co jest olbrzymem.

Za mną był morski brzeg i nad falami
Okrętów tłum, jako łabędzie stado,
Które ogarnął sen pod ruinami.

I zdjął mię wielki płacz, gdy tą gromadą
Poranny zachwiał wiatr, i pędził daléj
Jakby girlandę dusz w błękitność bladą.

I zdjął mię wielki strach, gdy poznikali
Ci aniołowie fal— a ja zostałem
W pustyni sam— z Rzymem, co już się wali.

I nigdy w życiu takich łez nie lałem,
Jak wtenczas, gdy mnie spytało w pustyni
Słońce, szydzący Bóg, czy Rzym widziałem?

Było zatém w pierwszych wrażeniach rzymskich coś przygniatającego do ziemi smutkiem naszego wędrowca. Usposobienie to jednak potém minęło. I dla tego też pisał na odjezdném z Rzymu: »Jak dziwnie powietrze włoskie działa na moje zmysły, tego opisać nie mogę. Mam tysiąc zachceń, tysiąc wielkich podlotów do nieba, chciałbym tu był przepędzić moję przeszłość.« W Rzymie spotkał się Słowacki po raz pierwszy z Zygmuntem Krasińskim. Zrozumieli się oni od razu i tak sobie wzajemnie do serc przylgnęli, że ten związek ich duchów pozostał dozgonnym, pomimo wstrząśnień przelotnych, które w ostatnich latach życia Juliusza zagrażały zerwaniem téj idealnéj przyjaźni. »Chodziliśmy razem na spacery— pisze poeta — i najczęściéj przepędzaliśmy wieczory w willi Milla. Jest to ogród pełny róż i cyprysów, zasadzony na ruinach dawnego pałacu cesarzów rzymskich. Przy świetle księżyca, kiedy kwiaty wydawały dziwne zapachy, kiedy ruiny otaczające tę willę przybierały kształt duchów, a Rzym daleki w sinéj mgle tonął, z dziwném rozemdleniem serca myślałem o przeszłości...«

W pierwszych dniach czerwca (1836) rozstał się Juliusz z Krasińskim, i razem z krewnymi wyjechał z Rzymu do Neapolu. »Zachwycony jestem Neapolem — pisał do matki — a jednak za dwa dni myślę wyjechać na cichsze mieszkanie do Sorrento. Dla czego? wyznam ci moja droga, że już mię przejażdżkowe życie dosyć zmęczyło. Myśl moja, która przez trzyletnią spokojność przywykła do wewnętrznego i ciągłego życia, tutaj gniewa się na mnie, że ją widokiem różnokolorowym ciągle zatrudniam i męczę... Dla tego w Neapolu nie chce mi się długo siedzieć, a w Sorrento przywołaniem mocnych myśli będę się starał zapełnić tę czczość, która mię teraz nadto lekkim czyni i nosi po wierzchu wszystkich marzeń.

Raz tylko na Wezuwiuszu, patrząc na słońce wschodzące, odwróciłem się i modliłem się i łzy miałem w oczach. Raz tylko od kilku miesięcy coś czułem wiejącego na mnie z tamtego świata... Kiedy patrzę na Wezuwiusz i na białe domki u stóp jego nad morzem, myślę że możnaby w jednym z tych domków szczęśliwe pędzić życie; trzebaby tylko z trzykroć majątku...« Owoż dobitny przykład — mówi Małecki — co to jest człowiek z wrodzoném usposobieniem do ciągłych marzeń i przyzwyczajony samemi okolicznościami do życia w napowietrznéj sferze samych tylko ideałów fantazyi. Potrzeba pragnień jakichś nigdy nie zaspokojonych zamienia się u ludzi takich w drugą naturę. Dopóki żył samotny w Szwajcaryi, tęsknił do rodziny, skarżył się gorzko, że nie widzi nikogo ze swoich około siebie. Po wielkich z trudnościami przebojach i po długiém czekaniu, ma ich teraz przy sobie... i cóż poczyna? Oto zamyśla o wyjeździe do Sorrento... marzy o własnym domku nad morzem. Gdyby posiadł co tu wyraził, szukałby znowu czego innego na świecie! Prawdziwy poeta w życiu, jak w pismach...«

Myśl wycofania się ze zgiełku miejskiego w zacisze wiejskie w saméj rzeczy doprowadził do skutku. Pojechał do Sorrento i przesiedział tam cały czerwiec. »Pisałem trochę, myślałem, czasem się modliłem, kiedy w blizkim kościołku grający organ dochodził do mojéj cichéj celi«— pisał do matki o tym pustelniczym miesiącu. Zdaje się że poemat »*Wacław*« był utworem tego to czásu. Była to kreacya osnuta na tle tego wszystkiego, czego się o ostatkach życia tego bohatera powieści Malczewskiego nasłuchać mógł Słowacki w Rzymie od niektórych rodaków tamże bawiących a dobrze obeznanych z domu tulczyńskiego dziejami. Powodu do rozmów o tém dostarczała już sama bytność pomiędzy nimi Alexandra Potockiego, najstarszego z synów Szczęsnego z żony jego Zofii Greczynki.

Powróciwszy do Neapolu, miał tutaj kilka miesięcy pozostać, lecz nagle zmieniły się rzeczy. Z namowy przyjaciół (Hołyńskich i Zenona Brzozowskiego), po chwilowém wahaniu się, postanowił odbyć podróż na Wschód *). Ta podróż wscho-

*) «Teofilowie (Januszewscy) odradzali mi wojaż — pisał do matki — ale kiedy się wahałem, czy go mam przedsięwziąć czy nie, otworzona losem Biblia zdecydowała mię następującym wierszem: «Kościoły azyjskie pozdrawiają was.» Może to, droga moja, weźmiesz za przesąd, ale wierszowi temu zawierzyłem i on mię prowadzi w daleką drogę.»

dnia stanowi najwięcéj zajmujący, najtreściwszy i zarazem najpoetyczniejszy okres w życiu Słowackiego. »Sześć miesięcy włóczę się jak waryat po świecie (pisał z Bajrutu w lutym 1837); widziałem tyle rzeczy, że nie pojmuję, jak oczy moje mogły wydołać zmysłowi wzroku; czułem wiele, byłem wesoł, zachwycony, płakałem. Miałem całe dni pełne dumań, całe miesiące pełne roztargnienia...« Zwiedził Grecyę, Egipt, Syryę, Palestynę. O Grecyi mówi w jednym z późniejszych listów: »Grecya pełna ruin przecudownych podobała mi się bardzo, i bardziéj niż Rzym mnie zachwyciła«. Lecz zaraz dodaje: »Egipt zatarł Grecyę w mojéj pamięci. Nic cudowniejszego nad ruiny nad Nilem będące...« Na kilka dni przed wylądowaniem w Aleksandryi, napisał Słowacki prześliczny ów »Hymn o zachodzie słońca na morzu«, który tu przytaczamy:

Smutno mi Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazurowéj wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi Boże!

Jak puste kłosy z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.
Ale przed tobą głąb serca otworzę,
Smutno mi Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu blizki
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski,
Choć wiem, że jutro błyśnie nowe zorze,
Smutno mi Boże!

Dzisiaj na wielkiém morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi Boże!

Zem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nieoddane kolumnowym czołom,
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogił... popiołom.
Więc że nieznane gotujesz mi łoże,
Smutno mi Boże!

Kazano w kraju niewinnéj dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie.
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie,
Patrzący, marli...
Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi Boże!

Nic piękniejszego nad ten wiersz poezya stworzyć nie może!

W gospodzie aleksandryjskiéj wypoczywając po niewczasach podróży, złożył drugi wiersz *„Do Teofila Januszewskiego“*. Następnie zwiedził Kair, Piramidy, Denderę, Teby. „Piramidy — pisze — były to dla mnie jak najwyższe gałązki na drzewie, na których ja, biedny ptaszek wędrujący, siadałem na chwilę, aby odetchąć.“ W papierach pozostałych autora znalazło się kilka rzeczy napisanych pod wpływem wrażeń doznanych na miejscu. Do nich należą: *Odwiedziny Piramid*, *Rozmowa z Piramidami*, *Na Nilu* i znany już dawniéj *List do Aleksandra Hołyńskiego pisany na łodce nilowéj*. — Odsiadując w El — Arish 12 dni kwarantany razem z towarzyszem swoim Brzozowskim, doznał Słowacki w tém miejscu pustém, położoném na samém pograniczu Egiptu a Syryi, rozlicznych

przygód i wrażeń, które odnajdujemy w pięknym jego poemacie: *Ojciec zadżumionych w El — Arish.*

Kiedy minęły dni kwarantany, uklękły znowu wielbłądy przed wędrowcami naszymi i podniosły się z nimi, „wyciągając długie, wężom podobne szyje, ku grobowcowi Chrystusowemu.“ Wjechali na ziemię klassyczną Palestyny. Bez wytchnienia dążąc ku Jeruzalem, stanęli wreszcie u bram miasta w połowie stycznia r. 1837. Drugą zaraz noc przepędził poeta u grobu Chrystusa. Potém jeszcze na wspomnienie téj nocy łzy mu się rzucały z oczu. O trzeciéj z rana wrócił do klasztoru i usnął „snem dziecka, które się zmęczy łzami.“ Zwiedzał potém wszystkie ważniejsze punkta Palestyny, wspominane w piśmie św. Był u morza Martwego, w Betleem, w wioseczce Jerycho, na Józafata dolinie, w Nazaret i w Tyberyadzie. Oglądał jezioro genezaretańskie i rozpamiętywał sceny biblijne, przywiązane do tego miejsca. Cała ta ziemia palestyńska wydawała mu się dziwnie urocza, pełna najpiękniéjszych kwiatów, podobna do różnobarwnego kobierca. „Góry tylko, na których stoi Jerozolima, dzikie, niepłodne, nadają temu miastu straszliwą fizyonomiję, i okropna jest dolina Józafata.“

Wyjechawszy z Tyberyady, w pięć dni stanął w Damaszku, który mało go zajął. Potém przebył śnieżny Antylibanon i znalazł się między ruinami Balbeku. Niewypowiedzianie ruiny te go zachwyciły. Znał je ze sztychów już w dniach dzieciństwa i na to wspomnienie serce jego smutkiem się napełniło. Ztamtąd przejechał konno Libanon, równie zasypany śniegiem, jak Antylibanon, i zjechał do krainy, w któréj zastał najpiękniejszą wiosnę. W kilka dni potém, w Bajrucie nastąpiło rozłączenie się obydwóch towarzyszów podróży. Brzozowski puścił się lądem do Europy, poeta pozostał w Syryi. Wrócił sam jeden w góry libańskie i zamknął się tam na półtora miesiąca w jednym klasztorze zwanym w języku syryjskim „Spoczynek umarłych“ (Belcheshban). Miejsce to odpowiadało położeniem swojém i samotnością usposobieniom poety, który znużony wrażeniami podróży, potrzebował wypoczynku. Tu całe dni przepędzał na dumaniu, upajając się widokiem na morze Śródziemne; dni wielkanocne przepędził również wśród zakonników i odbył spowiedź pełną skruchy i wzruszenia. Daleki od zgiełku świata, tutaj zapewne napisał poemat „Ojciec zadżumionych,“ prawdziwą perłę literatury polskiéj.

W początkach kwietnia pożegnał się Juljusz z zakonnika-

mi Libanu i powrócił do portowego miasta Bajrutu. Nie znalazłszy w porcie żadnego okrętu mającego odpłynąć do Europy, musiał tutaj przepędzić około 40 dni w hotelu. Przyjmowano go wszędzie z wielkiem uznaniem. *)

Nareszcie w połowie czerwca Słowacki szczęśliwie dopływał do włoskiéj Liwurny. Czuł się bardziej towarzyskim i zdrowszym, niż przedtém. Nadto w pamięci wiózł skarbiec nowych barw i obrazów. W ostatnim liście z podróży pisze:... „Mam ufność, że ta podróż zupełnie bezużyteczną nie będzie. Tyle nowych obrazów tkwi teraz w mojéj pamięci. Przyszłość będzie się dziwnie w mojéj głowie na takiém tle odbijać. Choćby tylko promień takich pięknych wspomnień miał upaść na starość moję, jeżeli dożyję starości... Kiedyś usiadłszy z Tobą na cmentarzyku krzemienieckiem, będę Ci opowiadał o grobach dawnych wielkich ludzi, i o pomnikach starych wieków. A słuchając moich wspomnień, będziesz się tak uśmiechać, jak niegdyś słuchając marzeń moich o przyszłości“...

W połowie lipca poeta nasz porzucił Liworno i pojechał do stolicy Toskanii, gdzie bawił blizko 18 miesięcy. Życie Słowackiego we Florencyi, o ile z listów jego wnosić można, nie było połączone z tym pożytkiem i z temi przyjemnościami, z jakiemiby niezawodnie było połączone nie tylko dla innych. lecz nawet i dla niego samego — wśród innych okoliczności, Serce jego było stęsknione. Piękności natury, skarby sztuki już mu nie wystarczały. Raczéj przesycony on już był wrażeniami tego właśnie rodzaju, przeżywszy pod ich wyłącznym wpływem tyle już czasu samotnie. Potrzebował on teraz raczéj towarzystwa ludzi, ludzi znajomych, blizkich, kochających, kochanych. Przenosząc się myślą daleko, patrzał na to wszystko, co go otaczało, obojętnie. Wśród przepychu rzeczy, które drugich zachwycają często się nudził.

Tymczasem myśl Słowackiego zaczął zajmować zamiar wystąpienia na nowo po tak długiém milczeniu w szrankach publicznych i odezwania się jako narodowy poeta. Już odsiadując kwarantanę w Liworno, rozmyślał on nad szeregiem publikacyj, które zamierzał niebawem przyprowadzić do sku-

*) „W wigilię mego wyjazdu — pisze do matki — razem (z Hołyńskim) byliśmy na balu u mojego konsula... Muszę Ci tu także napisać, że mi rodacy moi zrobili reputacyę poety; więc wszyscy ubiegali się, abym z nimi gadał, i od czasu Lamartina naznaczyli mój pobyt pierwszą kreską. Dosyć było mi to miło“ i t. d.

tku. Wiersz żartobliwy *Do Księgarza*, zaczynający się od téj strofy:

Jeszcze chodzą przed oczyma
Róże, palmy, wieże gmachy,
Kair, Teby, Tyr, Solima —
Mój Eustachy!

Wiersz ten, mówimy, właśnie wtedy był napisany. Zamawiał sobie w nim Juliusz względy wydawcy pism swoich, Eustachego Januszkiewicza. Chciał atoli pierwéj poeta nasz napisać koniecznie cóś o podróży swojéj po Wschodzie. Miał to być dług oddany najbliższéj przeszłości, którą przebył. Podobnéj daniny domagała się od niego także i miejscowość, w któréj żył. Wszystko we Florencyi przemawiało do niego wspomnieniami wielkiego wieszcza, który się w tém mieście narodził, spędził w niém znaczną część życia, a potém ujrzał się w konieczności pójść na wygnanie i tułać się daleko od niewdzięcznéj ojczyzny — do saméj śmierci. „Czasem idę do kościoła Santa-Croce (pisał w sierpiu 1827) i stoję przed pomnikiem Danta, a posąg jego ponury, patrzący z wysoka na mnie, zdaje mi się mówić jakieś wyrazy natchnienia. Czasem idę do Galeryi i wpatruję się w Wenus Medycejską, chcąc aby piękność jéj przeszła do mojéj duszy... Ulubionym moim księżycowym spacerem jest jeden bok katedralnego kościoła. Nieraz marzę sobie, że tak chodził po tych kamieniach zamyślony Dante. Wyznam Ci jednak, droga Mamo, że mi często dystrakcyę sprawiają zgrabne i ładne Florentynki“... Pod wpływem takich więc wrażeń doznając z powodu samego miejsca to inspiracyi, to roztargnienia — pracował Słowacki we Florencyi nad dwoma utworami. Jeden z nich był mniéj rozległego zakresu i został wykonany w całości: *Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa, o Piekle*. Pomysł do niego zawdzięczał autor niewątpliwie miejscu, gdzie bawił, i wspomnieniom do niego przywiązanym. Drugi poemat był zamierzony w daleko rozleglejszych rozmiarach. Miał on objąć w sobie celniejsze wrażenia i przygody zaszłe w ciągu podróży autora po Grecyi, Egipcie i Palestynie, opowiedziane nakształt Childe-Harolda Byrona. Całość poematu, o którym mowa, miała się składać najmniéj z kilkunastu pieśni. Na nieszczęście skończyło się na sześciopieśniowym urywku, ogłoszonym dopiero w zbiorze pism Słowackiego pośmiertnych p. n. *Podróż na Wschód*.

W pierwszych czasach pobytu Słowackiego we Florencyi

było jego zamiarem wyjechać do Paryża już z wiosną r. 1838. Do tego nie przyszło. Cały ten rok 1838 przesiedział poeta nasz ciągle jeszcze we Florencyi. Jednym z głównych powodów tego odraczania wyjazdu był właśnie ten o „Podróży“ poemat, a raczéj pewien brak natchnienia i zapału, który ukończenie jego opóźniał i utrudniał. „Doznaję prawie wyrzutów sumienia (pisał w kwietniu 1838), żem dotąd nic ani o Piramidach ani o grobowcu Chrystusa nie napisał. Ale jak mówi dawna piosneczka: „serce nie sługa — nie zna co to pany“; i t. d., tak i ja o mojéj imaginacyi powiedzieć mogę. Zrobiłem spostrzeżenie, że dla nas, ludzi z pod północnéj gwiazdy Niedźwiedzia, Włochy są antyimaginacyjną krainą.“ To niekorzystne pod poetycznym a raczéj kreacyjnym względem mniemanie o Włoszech wypowiadał Słowacki już i przed wyjazdem swoim do Grecyi; musiało to zatém być u niego spostrzeżenie przydłuższém doświadczeniem stwierdzone. I teraz, we Florencyi, często w tenże sposób określał swoje usposobienie. „Cokolwiek bądź (pisał w maju 1838), muszę się wyrwać z téj dżdżystéj Florencyi, chociaż tu raj prawdziwy dla ludzi ze szczupłym dochodem, ale raj materyalny — prowadzący za sobą dziwne uśpienie władz umysłowych.“ Sam się dziwił oziębłości swojéj dla wszystkiego i dla wszystkich. „Czy to już starość? (pisał w tymże liście) — Lecz ja tak mało używałem serca mojego, że jeszcze młode być musi. Chciałbym się znów odhartować w jakiéj nauce suchéj i dającéj mi codzień nowe zagadki, jak matematyka. Ten kto doznał przesycenia idealnych marzeń, zrozumie i pojmie tę żądzę. Tęskno mi prawie za najsuchszemi godzinami życia, za moją niegdyś biurową pracą. Zdawaćby się prawie mogło, że władza moich zachceń zwaryowała. Lecz dosyć tego, boję się bowiem, abym pisząc tak, nie zasłużył na te smutne: „a dobrze ci tak!“ „a na co...?“ Skończ sama, droga moja, tę wymówkę, na co poleciałem jak pliszka nad szerokie morze, kiedy dosyć szerokie były dla mnie stawy trzciną obrosłe, i na co się zakochałem w Wenerze Medycejskiéj? na co się zapatrzyłem na posąg Danta stojący w Santa Croce? dla czego pokochałem orły gubiące się w szczelinach lawin szwajcarskich — na co strząsałem owoce Hesperyd na pomarańczach wschodnich rosnące, kiedy mogłem tylko spokojnie iść do Żołobów, albo pod Łysą Górę, i strząsać sobie przezroczyste wiśnie w naszych rodzinnych ogrodach? Wyszedłem był na szeroki gościniec, i ten mię odprowadził daleko, nie wiedzącego gdzie idę: a teraz wędruję przy blasku słońca

umarłych...“ Tak pisywał w napadach melancholii i zniechęcenia. W innych atoli chwilach inaczéj on sądził o kolejach swego żywota... „Jak mię też Bóg wysłuchał! Ja go zawsze dzieckiem prosiłem, aby mi dał poetyczne życie. To też on wszystko tak klei, żeby serce moje napełnił najpoetyczniejszemi wrażeniami. Prowadzi mię po błękitnych morzach, nad brzegami wód spokojnych i na góry chmurami okryte i na szczyty piramid... O! wiele ja miałem cudownych chwil w życiu! Na co więc ta gorycz, z jaką czasem piszę o stanie mojéj duszy? Gwiazda, co mi świeci, piękniejszą jest od wielu innych“...

Otaczało go we Florencyi dość liczne towarzystwo rodaków. Oprócz Zenona Brzozowskiego, który na czas krótki pojawił się tu znowu, zastał on tu znajomą sobie jeszcze z czasów rzymskich rodzinę hr. Hęrmanostwa Potockich. Do tego przybyło jeszcze poznajomienie się z hr. Zdzisławem Zamojskim, z którym miewał rozmowy — jak się wyraża — podobne do platońskich. Oprócz tego bywał też czasem w domu księżnéj Surviliers i u pani Komarowéj. „Tytuł mój wojażera egipskiego (pisał żartobliwie), pielgrzyma do Ziemi świętéj, bardzo mi teraz pomaga w towarzystwie. Mogę czasem poprawiać Lamartina — czasem nadawać sobie trochę kolorytu i postawy rycerzy Tassa — czasem robić się mistyczną anegdotą, rodzajem Giaura — czasem karykaturuję siebie, włażąc na kark wielbłąda — słowem że wyciągam różnemi sposobami korzyść z odbytych wędrówek, które i w samotnych moich godzinach bawią mię, jak sen piękny“... Chociaż mu jednak na znajomych domach nie brakło, w których i często bywał i mile był widziany, rodzaj ten życia wcale mu nie wystarczał. Wogóle Słowacki miał niekorzystne mniemanie o rodakach, którzy z nim mieli znajomość, co w tém zdaje się miało głównie przyczynę, że mierzył ich wszystkich podług skali najmilszego sobie ze wszystkich swoich przyjaciół, podług skali genijalnego Zygmunta. Stosunki między nimi były utrzymywane tylko listownie.

Wkrótce potém ocknęły się znowu w Słowackim nadzieje i uczucia, na brak których w sercu swojém tyle się skarżył. W ciągu lata r. 1838 przybyła do Florencyi zamożna pewna rodzina z Podola czy Ukrainy, złożona z kilku osób, w których liczbie było panna Aniela M. Znajomość z państwém M. zrobił Słowacki w czasie, kiedy się już na dobre zabierał do wyjazdu z Florencyi. Wyjazd właśnie w skutek tego znowu się odwlókł. Panna Aniela, była to panienka zajmująca, nie tyle piękna, ile miła i kształtna, bardzo starannie wykształcona,

ale... że użyjemy słów Juliusza „strasznie popsuta“, albowiem była to pani w domu, samowładnie rządząca ojcem i matką. Poecie naszemu okazywało całe jéj postępowanie, że musiała nim być zajęta. Widząc przychylność całego domu ku sobie i tak życzliwe usposobienie w osobie, która i na nim korzystne od pierwszéj chwili sprawiła wrażenie, zaczął się Juliusz panną Anielą coraz żywiéj zajmować. Że jednak miała ona różne też swoje słabostki, trzymał więc uczucia i kroki swoje na wodzy, namyślał się, doświadczał, tak iż postępowanie jego mogło się wydawać chłodném i chwiejném. Zdaje się, że intrygi jakieś, a przedewszystkiém owo zbyt wyczekujące zachowanie się konkurenta w obec panny pozwoliło przeminąć chwili najsposobniejszéj i ostatecznie wszystko pomiędzy nimi skończyło się na niczém. Słowacki wyjechał potém do Paryża; ona z rodzicami pozostała jeszcze na rok następny pod niebem włoskiém i — rzecz dziwna, umarła we Florencyi w kilka miesięcy po wyjeździe Juliusza. „Może z mojéj strony było nadto dumy (pisał już w następnym roku z Paryża), która się téj panience mogła opieszałością wydawać; gdyby jednak miała szlachetniejsze uczucia, zrozumiałaby dla czego tak nienaturalnie starałem się o nią. Ona miała miliony, jam nie mógł jéj nic dać nawzajem. Ale to już przeszło. Ona mię teraz widzi z nieba — bo już nie żyje!... Śmierć ją upiększyła w moich oczach!!. Widocznie więc miłość poety i w tym razie była więcéj wymarzoną niż rzeczywistą. Pamiątką tego poetycznego uczucia są dwa prześliczne, acz cierpkie sonety „Do Anieli M*,“ drukowane dopiero pomiędzy pośmiertnemi pismami. Jeden z nich przytaczamy.

O tak, zaprawdę, że wybrałeś świetne
Oczy, ażeby je łzami zaprószyć!
O tak, zaprawdę, że chcąc serce skruszyć,
Wybrałaś dzikie, smutne i szlachetne.
Lecz go łzy dotąd nie otruły setne,
Bo serce moje jest losu i Boga,
A wprzód, niż miałaby je zdeptać noga,
Prędzéj je zimném żelazem rozetnę.
I próżno powiesz, bo nikt nie uwierzy,
Abym twój nosił znak u lewéj strony:
Bo moje serce jest w płaszczu rycerzy,
Którzy na bieli mają krzyż czerwony,
A nad niém jeszcze jest pancerz stalowy,
A ono jeszcze głębiéj — w trumnie leży.

Ileż tu pychy bezwiednéj i takiegoż okrucieństwa względem serca kobiety!

Właśnie w czasie pierwszéj znajomości swojéj z rodziną M. przystąpił był Słowacki do urzeczywistnienia wspomnianego już powyżéj zamiaru autorskiego. Chodziło mu o to, ażeby złożyć przed publicznością cały snop plonu usiłowań czteroletnich, i zająć jako pisarz miejsce należne. Wysłał więc najprzód do Paryża poemat *Anhelli* (1838), nad którym sam się pono unosił więcéj od innych. W parę miesięcy potém wyprawiony został do Paryża „Poemat o Piekle“ (wyszedł w r. 1839). W tym czasie smutne wiadomości od rodziny przywiózł mu Zygmunt Krasiński. Przybył on do Florencyi w miesiącu październiku (1838) i pocieszał przyjaciela swojego, dopóki tenże bawił jeszcze we Włoszech. Ile mu wdzięczny był Juliusz za tę jego serdeczną przyjaźń, o tém najlepiéj przekonywa wiersz wtedy napisany do niego, w chwili kiedy wyjeżdżał już z Florencyi.

Do Zygmunta.

Żegnaj, o! żegnaj, archaniele wiary,
Coś przyszedł robić z mojém sercem czary,
Coś w łzy zamienił jego krew czerwoną,
Wyrwał je z piersi, wziął we własne łono,
Ogrzał, oświetlił — by nie poszło w trumnę,
Ani spokojne mniéj, ani mniéj dumne.
Więc gdzieś daleko, u boskiego celu,
Chwała dla ciebie, o serc wskrzesicielu!
A dla mnie pokój dla ducha i kości,
Bo tym obojgu trzeba — spokojności“...

Niedługo po napisaniu przytoczonego powyżéj wiersza (oznaczonego datą d. 4 grudnia 1838 r., opuścił Słowacki Florencyę i przeniósł się do Paryża. Stanąwszy na miejscu, Słowacki zajął się zaraz wydawnictwem dzieł swoich. Trzy poematy w różnych czasach i miejscach powstałe, t. j. *Ojca zadżumionych*, *W Szwajcaryi* i *Wacława*, pomieścił w jednym tomiku i wydał go p. t. *Trzy Poemata*) (Paryż, 1839). Niezwłócznie potém wyszła „*Balladyna*, tragedya w 5 aktach.“ Od wydania Anhellego minęło już było kilka miesięcy, tymczasem obojętność ogólna powitała to najulubieńsze dzieło poety. Bliżsi znajomi skarżyli się, że Anhellego niepodobna rozumieć; w dalszych kołach zalegało o nim, jak o wszystkiem, co przedtem wydał, — milczenie głuche. Z tego to powodu dołączył autor do Balla-

dyny przedmowę ułożoną w kształcie listu do jedynego między ludźmi, o którym wiedział, że słyszy i rozumie głos jego. Cudny ten list zaczyna się od przypowieści, którą miano mu opowiadać w Grecyi nad Salaminy zatoką. „Stary i ślepy harfiarz z wyspy Scio przyszedł nad brzegi morza Egejskiego, a usłyszawszy z wielkim hukiem łamiące się fale, myślał że szum ów pochodził od zgiełku ludzi, którzy się zbiegli pieśni rycerskich posłuchać. Oparł się więc na harfie i śpiewał pustemu morza brzegowi, a kiedy skończył, zadziwił się, że żadnego ludzkiego głosu, żadnego westchnienia, żadnego pieśń nie zyskała oklasku. Rzucił więc harfę precz daleko od siebie, a te fale, które śpiewak mniemał tłumem ludzkim, odniosły złote pieśni narzędzie i położyły mu je przy stopach. I odszedł od harfy swojéj smutny Greczyn, nie wiedząc że najpiękniejszy rapsod nie w sercach ludzi, ale w głębi fal Egejskiego morza utonął“...

W ciągu r. 1839 znajdujemy Juliusza w tym samym stanie moralnym, w jakimeśmy go widzieli w latach poprzedzających. Nie mogąc przylgnąć do ludzi, którzy go otaczali, żył jak mnich, pracował jednak wiele. Na samym początku 1840 wyszedł dramat niegdyś przez autora na spalenie skazany, a teraz zapewne częściowo przerobiony, „*Mazepa*, tragedya w 5 aktach.“ Niezwłócznie potém opuściła prasę praca zupełnie nowa, świeżo napisana: „*Lilla Weneda*, tragedya w 5 aktach,“ przypisana, podobnie jak Balladyna, Krasińskiemu. W ogóle cały ten szereg lat od 1839 — 1842 stanowił w życiu naszego wieszcza okres kulminacyi jego talentu, energii i dzielności. Wszystko prawie, co tylko było owocem owéj epoki, bez różnicy czy było ogłoszoném już przez samego autora, czy w wydaniu dzieł jego pośmiertném, okazuje w nim łatwość tworzenia, samodzielność, trzeźwość duchową, takt artystyczny i w ogóle dojrzałość, do jakiéj nigdy przedtém zbliżyć się nie potrafił. Tak więc w 30 roku życia stanął Słowacki na téj wyżynie artyzmu, jaką w ogóle zająć było mu przeznaczoném w ciągu jego zawodu.

Podług Małeckiego, pomiędzy ogłoszeniem „Balladyny“ (1839) a „Beniowskim“ (1841) powstały następujące dzieła nowe: Nasamprzód w tym szeregu widzimy wspomnianą już wyżéj „Lillę Wenedę“ (1840), niejako kontynuacyę pomysłu, na tle którego „Balladyna“ była osnuta. Autor zamierzył „z Polski dawnéj utworzyć fantastyczną legendę“... „Uśmiechnij się teraz Irydionie — pisał do Krasińskiego w przedmowie do „Bal-

ladyny" — bo oto naśladując francuzkich poetów, powiem ci, że Balladyna jest tylko epizodem wielkiego poematu w rodzaju Aryosta, który ma się uwiązać z sześciu tragedyj, czyli kronik dramatycznych." — Otoż drugą taką kronikę dramatyczną, drugą taką przedwiekowéj Polski legendę miała stanowić właśnie „Lilla Weneda". Trzecią była tragedya „*Krakus*." Na nieszczęście z dramatu tego nie pozostało więcéj, jak tylko początek. Miejsce czwarte i piąte musi pozostać na zawsze niezapełnioném, braknie tu bowiem nawet dla domysłów wszelkiego punktu oparcia. Ostatniém ogniwem tego fantastycznego łańcucha pieśni, z sześciu złożonego dramatów, mógł być utwór osnuty na dziejach dogorywającéj Litwy pogańskiéj, który także dochował się tylko w urywku i ogłoszony został przez Małeckiego w wydaniu lwowskiém pod nazwiskiem „*Wallenrod*." Po Lilli Wenedzie, Krakusie i Wallenrodzie, Małecki wymienia jako czwartą pracę Słowackiego na te lata przypadającą, dramat p. t. „*Jan Kazimierz*." Daje o nim wiadomość p. Reitzenheim w broszurze swojéj francuzkiéj o Juliuszu Słowackim (Paryż, 1861). Autor broszury, jeden z bliższych niegdyś znajomych poety, mówi o dramacie niniejszym w sposób, który dowodnie przekonywa, że był mu on znany, jako całość skończona i zupełna. Przytém robi uwagę, że w żadnym innym Słowackiego utworze nie dochodziła dosadność i dokładność artystyczna do tego stopnia, co tutaj. Mianowicie charaktery Jana Kazimierza, Czarneckiego, tudzież obojga Radziejowskich miały być oddane w sposób prawdziwie godny Szekspira. Te pochwały p. Reitzenheima wzbudzają tém więcéj żalu, że i ten utwór tak znakomity przepadł prócz kilku scen obojętnych, w trzecim tomie pism pośmiertnych. Piątą pracą dramatyczną, powstałą w tymże ustępie życia była tragedya „*Beatrice Cenci*." Utwor ten z porozrzucanych kart pośmiertnych odbudował w całości Małecki. Na ostatek do téjże pory należą owe dwa urywki, które pod nazwą *Fragmentów z dramatu o Beniowskim*" umieszczone są w 3-im tomie pism pośmiertnych Słowackiego. Czy utwór ten stanowił kiedy całość osobną — niewiadomo. Oprócz tych prac w dramatycznym zakresie poezyi, na owe także lata przypadają niektóre poezye krótsze, częstokroć niemałéj artystycznéj wartości. Mianowicie: „*Wiersz na sprowadzenie zwłok Napoleona*", „*Do Matki*" i „*Pogrzeb Kapitana M.*" zaliczyć można do najpiękniejszych rzeczy, jakie liryka polska wydała. Nakoniec wspomnieć tu jeszcze należy o dwóch urywkach napisa-

nych prozą, które były drukowane w poznańskim Tygodniku Literackim roku 1840 i 1841. Jeden z nich był zatytułowany «*Święcone u J. O. Ks. Radziwiłła Sierotki*», drugi «*Preliminarya peregrynacyi do ziemi św. J. O. Ks. Radziwiłła Sierotki*». Małecki złączył je oba w jedno i zamieścił w I-szym tomie Pism pośmiertnych. Jest to tylko rzut jakiś urywkowy, pisany sposobem i stylem autora «Pamiątek Soplicy», może parodya tego utworu, komentarz o etycznéj wartości tego wszystkiego, co się tak bardzo w osobie Radziwiłła «Panie kochanku» i otaczającéj go hałastry podobało naszéj publiczności. Ubolewać nad tém jedynie należy, że Słowacki w zamiarze wydrwienia rogatéj dumy schowanéj pod płaszczykiem dobroduszności, obrał sobie za bohatéra świątobliwą postać księcia Sierotki. Atoli ówczesna publiczność odczytała te urywki w Tygodniku Literackim, nie domyślając się wcale, w jakiéj dążności one były pisane. Przyjęła rzecz za dobrą monetę.

Na samym schyłku r. 1840 zaszło zdarzenie, które przeważnie wpłynęło na rodzaj i na dążność niektórych robót Słowackiego w roku następnym. Mówimy o nowém zajściu, które nastąpiło pomiędzy nim a Mickiewiczem. Znane już nam są nieporozumienia pomiędzy dwoma poetami, kiedy to jeszcze Słowacki mieszkał w Paryżu po raz piérwszy. Wrodzona drażliwość, będąca zawsze słabą stroną Juliusza — współzawodnictwo — różność kierunków — zausznictwo nierozsądnych przyjaciół — nakoniec rzeczy niektóre w Dziadach: oto okoliczności, które wtedy napełniały serce naszego wieszcza coraz większą przeciwko Adamowi goryczą, aż go wreszcie taką ku niemu nienawiścią uniosły, że obrzydziwszy sobie całe otoczenie swego antagonisty, ujechał z Francyi nad jezioro genewskie. Dopiero w końcu 1834 złamało się ostrze tego gniewu i uprzedzenia. Był już wtedy w stanie pisać o Adamie Słowacki nie tylko nienamiętnie, ale nawet z uwielbieniem. Tego cudu dokazały czary prawdziwéj poezyi. Dokazało go mistrzowskie, pogodnym i miłościwym duchem owiane dzieło Adama — «Pan Tadeusz». Przeczytał go autor Kordyana, wszedł w siebie, schylił czoło przed genijuszem: i zapomniawszy wszelkich uprzedzeń, w duchu i sercu — myślą — podał rękę wieszczowi, który mu dawniéj tyle dokuczył... Był to tryumf dla tego poematu — największy może tryumf ze wszystkich, jakie mu się kiedykolwiek odnieść zdarzyło. Było to zarazem niemniéj chlubne świadectwo i o szlachetnych, wyższych instynktach natury Słowackiego. Za przybyciem swojém powtórném do Francyi,

poeta nasz nie zastał Mickiewicza w Paryżu. Mało co przedtém tenże przeniósł się do Szwajcaryi. Powrót jego do stolicy Francyi nastąpił dopiero w r. 1840 w miesiącach jesiennych celem objęcia katedry historyi literatur słowiańskich w Collège de France: Piérwsza prelekcya odbyła się d. 22 grudnia 1840. Z powodu otrzymanéj katedry i z okazyi urodzin i imienin Adama, przypadających jak wiadomo na dzień 24 grudnia, wyprawiona mu była uczta, na któréj nastąpił rodzaj walki na improwizacye pomiędzy obydwoma wieszczami. Niedorzeczne relacye o tym wypadku niezręcznych wielbicieli Adama, nanowo napoiły goryczą serce Słowackiego *). Postanowił przeto bezlitośnie wychłostać wszystkich, na których z jakiegokolwiek powodu był zażalony. Przypomniał sobie wtedy ustęp z listu, którym Krasiński dziękował mu za Balladynę: «Przymięszaj

*) Małecki, z porównania rozmaitych świadectw, następujące wysnuwa opowiadanie o samym wypadku i o najbliższych jego następstwach:

«W sam dzień Bożego Narodzenia p. Eustachy Januszkiewicz, ziomek i przyjaciel poety z czasów jeszcze uniwersyteckich, zaprosił na wieczór do siebie solenizanta i oprócz niego około 40 innych osób. Byli to sami prawie rodacy i przyjaciele, wielbiciele, koledzy szkolni albo towarzysze Adama w jakimkolwiek zawodzie sztuki. Oprócz muzyków: Szopena, Szczepanowskiego, Fontany i Edmunda Larissa, znaleźli się tam prawie wszyscy znaczniejsi pisarze polscy i wiele innych znakomitości, już to stałe, już chwilowo w Paryżu wówczas przebywających... Rozmawiano, grano, śpiewano, słowem bawiono się wybornie, wreszcie zasiedli do stołu i napełniły się kielichy. Niebawem zaczęto wnosić zdrowia—improwizowano... Pośród różnych improwizacyj, któremi przeplatano biesiadę, zdaje się że najprzód się ze swoją odezwał właśnie Słowacki. Głównym celem jego przemówienia było oddanie należnego hołdu piérwszemu ze wszystkich wieszczów słowiańskich. Do tego jednakże uznania jego pierwszeństwa przymięszało się mimowolnie i cokolwiek goryczy. Zaczął bowiem Słowacki zwyczajem swoim mówić też nieco i o samym sobie, o swojém piérwszém wystąpieniu i o zimném przyjęciu, jakiego i wtedy i ciągle jeszcze doznaje. To go rozgrzało, wzburzyło. Jękła struna w jego sercu, w którą uderzyć w piérwszéj chwili właściwie nie zamierzał. Z uwielbienia wywiązała się skarga... Nie obeszło się też przytém i bez przymówki zwróconéj wprost do samego Adama, któremu wytykał, że zbyt jest dumny i zanadto zwykł lekceważyć swoich towarzyszów w zawodzie. «Lubo wiersze z ust Słowackiego— mówi jeden ze świadków owego zdarzenia—wydobywały się w przerwach, z niejaką trudnością i przyciskiem, wszakże wznosiły się do najwyższéj poezyi. Były wprost i od razu z duszy jego wylane, wyrzeczone z wielkim zapałem. Że się jednak zbyt wyraźnie w nich przebijała duma i zarozumiałość: wrażenie jakie sprawił w ogóle, nie wypadło na jego korzyść. Nie znalazł wśród obecnych w téj chwili tego uznania, na jakie zkądinąd genijalny jego talent zasługiwał i któreby nieochybnie był pozyskał, gdyby namiętność mniéj była jaskrawo odzywała się z jego mistrzowskiéj improwizacyi. — Ze słów samegoż Słowackiego, wyrzeczonych w «Beniowskim», można wyprowadzić wniosek, który potwier-

trochę żółci do twoich lazurów. Obaczysz jak ten ziemski pierwiastek chemiczny ziemię przynęci do Ciebie. Więcéj jest wątrób na ziemi, niż serc. Ach! jakże Cię wtenczas będą rozu-

---

dza, że w takim to duchu rzeczywiście wypowiedziana być musiała owa miana natenczas przezeń do Mickiewicza improwizacya.

«Jam ci powiedział, że jak bóg litewski,
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska;
A w ręku twém krzyż jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co jak piorun błyska.
Tak mówiąc — ja syn pieśni, syn królewski
Padłem»....

W dalszéj jednak strofie uderza zaraz w inne tony, w tony twarde i wyzywające. Powiada:

«Jam zwolna serca mego rwał kawały,
Zamieniał w piorun i w twarz jemu ciskał,
A wszystkie tak grzmią jeszcze, jako skały,
Jakbym ja w niebie na sztuki rozpryskał
Boga, a teraz kawałki spadały (co za duma szalona!).
Jam zbił — lecz cóżem dziś u ludzi zyskał?
Za błękitami był bój i zwycięztwo —
Ludzie nie widzą we mnie, tylko męztwo.

Zaprawdę! Gdybyś mię widział, narodzie,
Jak ja samotny byłem i ponury,
Wiedząc że jeśli mój grom nie przebodzie,
Litwin z Litwinem mię chwycą w pazury!
Już przypomniawszy gniazdo me na wschodzie,
Wołałem ręką krzemienieckiéj góry,
Ażeby weszła rozpędzić tę ciemną
Zgraję i stanąć za mną — lub podemną.

Bo się kruszyło we mnie serce smętne,
Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych
I próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych,
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne» — i t. d.

Owoż na takie mniéj więcéj przemówienie Juliusza powstał z miejsca swego Mickiewicz. «Twarz jego przybrała anielską postać, bo dusza z głębi tajników na wierzch wystąpiła. Zdało się nam — słowa artykułu w «Tygodniku» poznańskim — iż jakaś dziwna, niepojęta światłość skronie jego otoczyła. Niebawem wychodzi z ust jego potok słów, najpiękniejszych myśli i rymów, z taką siłą, gwałtownością i mocą, jak wody Wisły lub Dunajca, kiedy przerwawszy zapory, z przepełnionego wylewają się koryta. Był to pęd niewstrzymany, który nam oddech tamował»... Improwizacya Adama trwała bez przerwy blisko pół godziny. Z nalanym puharem w ręku, zaczął od podziękowania obecnym za ich życzliwe uczucia. Potém przeszedł do ogólniejszego przedmiotu. Biorąc asumpt ze spełnionego kielicha, jako symbolu ofiary, bez któréj nie ma ani

mieć wątroby. Daléj, niezawodnie żółć jest w poemacie tym klejem, co spaja rozerwane cząstki jego bytu, co świat cały przeistacza w jego osobę. Sprobuj, oni o to się domagają. Do-

---

wiary, ani miłości, wskazywał, na czém zawisła siła poezyi, gdzie jéj źródło prawdziwe i co powołaniem poety. Wytłómaczył przytomnym, dla czego to błogosławił mu Bóg w jego zawodzie. Między innemi zapamiętano następujące wiersze, które miał wtedy powiedzieć:

«Ja rymów nie dobieram i wierszy nie składam:
Takem wszystko napisał, jak tu do was gadam».

«Oto jeszcze niedawno (miał ciągnąć daléj), kiedym się zabierał mówić o literaturze słowiańskiéj przed obcymi, żaden nawet z moich przyjaciół w słowa moje nie wierzył. Wszyscy mię odbiegli, odstąpili — rozumiejąc, żem się porwał na rzecz, któréj nie podołam. Jednym się zdawało zuchwalstwem gadać w obcym języku, inni o zbytek miłości własnéj mię obwiniali, a nie wiedzieli, że oto tu (pokazując na serce), tu Bóg złożył słowa prawdy, które ja mocen jestem na wszelkie języki tłómaczyć»... W ciągu téj improwizacyi zwrócił mowę i z osobna do Słowackiego. Wyrzucał mu podobno jego grzechy poetyckie, wskazywał, czego duchowi jego braknie i dla czego to on doznaje od narodu ciągle tak zimnego przyjęcia. Trzeba — mówił mu — pozbyć się zbytecznéj dumy, trzeba koniecznie wzbudzić w sobie miłość i wiarę, te jedyne źródła poezyi, i puścić się oną drogą, która jest naszą...

«Wiedzcie, że dla poety jedna tylko droga:
W sercu szukać natchnienia i dążyć — do Boga!»

Z drugiéj jednakże strony przyznał mu także i to, co mu się należało. Nie przepomniał nawet owéj okoliczności, że kiedyś, dawno, dawno, bo w Wilnie jeszcze, kiedy matka Juliusza pokazywała mu piérwsze skromne próby jego poetyckiego talentu, że on (Adam) już jéj wtenczas był przepowiedział, że wielka i świetna przyszłość czeka jéj syna... «Tém wziął mię za serce» — są własne słowa Juliusza w liście jego z d. 10 listopada 1841 pisanym do pani Becu, w ustępie gdzie dotyka szczegółów owego zajścia. «I tego wieczora byliśmy z sobą jako dwaj bracia. Ściskaliśmy się, chodziliśmy opowiadając sobie nasze przeszłe zatargi... Gdyby nie ludzie, którzy to wszystko popsuli, byłoby dotychczas między nami zupełnie dobrze» i t. d. Na pamiątkę dnia tego i improwizacyi, która wszystkich najżywszém napełniła uwielbieniem dla Mickiewicza, ofiarowano mu w kilka dni potém puhar srebrny... Otoż ten to puhar srebrny miał stać się znowu powodem, że owa zgoda pomiędzy poetami co tylko zawiązana, rozerwała się wkrótce. Zapaliła się na nowo w Słowackim niechęć najprzód do wszystkich wielbicieli Adama, a pośrednio i do niego samego. Żądano bowiem od Juliusza, ażeby on właśnie za tę improwizacyę wręczył ów puhar Mickiewiczowi. Słowacki się tém obraził, propozycyę odtrącił. Tłómaczył sobie żądanie w taki sposób, że chodziło — jak się sam w liście wyżéj już nadmienionym wyraził — «przyjaciołom jego antagonisty o to, aby go zbić i strącić z pozycyi, i ukonstatować owym krokiem uznanie jego wasalstwa». Odrzucenie propozycyi — nie bez cierpkich zapewne uwag z jednéj jak i dru-

piero uczują twoję rękę, gdy z gruba na nich uderzysz, gdy im spadnie ciężka — koścista na skronie. Dopóki wzniesiona w powietrze — i ku gwiazdom — ku przybytkowi Boga, dopóty oni myślą, że to była lilia rosnąca niewinnie na łąk błękitnych przestrzeni. Do korda i na sejmik — rąbać mi i siekać — a zostawiwszy trupy na placu, znów porość w skrzydła i zawisnąć na niebie». Rozpoczął był Słowacki niedawno temu dramat fantastyczny, osnuty na przygodach Maurycego Beniowskiego. Zaniechał teraz dalszéj pracy nad tym utworem i podjął ten sam przedmiot na nowo, ale już w innym tonie i w innéj formie, w formie poematu. Połączył tradycye sztuki Aryosta i Byrona. Co tylko było polotu i rozbujałéj fantazyi w Orlandzie, co miękkiéj melancholii i głębokości w Childe-Haroldzie, co żółci i wzgardy szydnéj w Don Juanie: to wszystko zlał on po swojemu w jakiś epizodyczny, dziwny, ale genijalny i sobie tylko właściwy sposób i zamknął w swoich oktawach. Tak powstał ów szczególny poemat, którego piérwsze pięć pieśni ukazały się wkrótce p. t. «*Beniowski*» (Lipsk, właściwie Paryż, 1841). Autor dopiął swojego celu. «Przed malutkim moim — pisze do matki — uchylili czoła ci, którzy nigdy przedtém nie oddali mi pokłonu. A mnie smutno, żem zejść musiał z mojéj podstawy, aby właśnie wtenczas przyznano mi, żem jest na niéj». Wrzawa w przeciwnym obozie była niesłychana. Jeden z obrażonych w Beniowskim wyzwał poetę na pojedynek; lecz

---

giéj strony — powiększyło kwasy... Wielcy ludzie do małych interesów pochwycili rzecz w swoje ręce. Nowiniarze i obnosiciele plotek ujrzeli się na płodném polu działania. Wreszcie ażeby dokuczyć do żywego i bez tego już zbyt drażliwemu poecie, napisał któryś z nich dla «Tygodnika» poznańskiego artykuł, w którym wieczór ów, wyprawiony przez Januszkiewicza, opowiedziany był nie tylko stronniczo, ale i z różnemi przydatkami, opromienić niby to mającemi poezyi i cudowności urokiem owę północną godzinę. Wiarogodność tych przydatków nie zdaje się być wielką, i wyśmiał je też później Słowacki, kiedy w jedném z pisemek czasowych parodyującym tonem przypominał czytelnikom, co w Tygodniku czytali, «o jednéj sławnéj nocy zimowéj, o improwizujących dwóch poetach, o łzach słuchaczy, o słabości nerwów i mdleniu krytyków, o uzdrowieniu chorych, i że miała nawet rozlać się w sali woń konwalij i różane światło jutrzenki...» Owoż takim to poetycznym niby mytyzmem ubarwiony był ów artykuł Tygodnika. A wreszcie ze zbytecznéj poetyczności wkradło się do niego i coś jeszcze, czego nie można inaczéj nazwać jak pozytywnym fałszem. «Oto miał Adam w swojéj improwizacyi oświadczyć wręcz Juliuszowi, że on wcale nie jest poetą». Na mocy listu Słowackiego do matki, w którym on punkt ten «wielkiém kłamstwem» nazywa i w obec porównanych z tém różnych innych okoliczności, śmiało twierdzić można, że tego Mickiewicz nie powiedział.

z całéj téj sprawy Słowacki wyszedł czysto, antagoniści zaś jego z upokorzeniem.

Na kilka tygodni przed ukazaniem się Beniowskiego pojawiła się w Tygodniku Literackim poznańskim bezimienna ale znakomicie napisana rozprawa p. t. «Kilka słów o Juliuszu Słowackim». Artykuł ten tak się dziwnie nadawał do danéj chwili, że prawdziwie mógłby być uważany za komentarz do owych słów na samym końcu I-széj części Beniowskiego wyrzeczonych do Mickiewicza:

«Bądź zdrów!— A tak się żegnają nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi!»

Główna osnowa bowiem owych «Słów o Juliuszu Słowackim» obraca się właśnie około porównania ze sobą sprzecznych stanowisk tych dwóch poetów. Autor rozprawy (niewątpliwie Krasiński) wychodzi od założenia, że oddzielnie pojąć nie można nikogo i niczego na świecie; albowiem «każdy szczegół choćby wyglądał na całość, jest tylko płynącą częścią wyższéj całości». Zatém też i Słowackiego wtedy tylko spodziewa się ocenić należycie, jeżeli w nim okaże krok, że tak powiemy, dalszy w rozwoju poezyi po Mickiewiczu. Charakterystyki Mickiewicza ostatecznym wynikiem jest wedle niego to, że «czém Alp ogromy, czém piramidy pustyni, czém wszystko, co nieporuszone i wieczne, tém dzieła tego poety. Przemaga w nich siła dośrodkowa, siła wcielań i twierdzeń — wola i czucie i wiara. One są granitowém jądrem naszéj literatury».— Lecz świat nie na jednéj tylko sile stoi, nie jedném tylko twierdzeniem i wcieleniem żyje. «Gdyby przestał na tym jednym wyłącznie kierunku, stałby się nierozdzielnością, skupiłby się w punkt jeden». Trzeba mu tedy drugiéj jeszcze siły, siły przeciwnéj, odśrodkowéj, która mu przypomina, że z nieskończoności jest i w nieskończoność wrócić ma. Ta siła druga rozdziela w świecie fizycznym to co płynne i lotne, od tego co zsiadłe i twarde; przemienia go po połowie w atmosferę i na jéj wysokościach coraz go lotniéj grą światła, pędem elektryczności rwie i rozbiera. Tak czyniąc, «z republikańską ironiją pisze światłem błyskawic na wierzchołkach granitu, na planety skroniach: *morituros*». — Ponieważ w każdéj sferze istnienia te dwa kierunki razem istnieć muszą: znajdujemy je zatém i w królestwie sztuki, poezyi. Piérwszą siłę, dośrodkową, wyobraża w poezyi polskiéj przedewszystkiém Mickiewicz: siły odśrodkowéj wyobrazicielem piérwszorzędnym jest Słowacki. I mając

już teraz widocznie te dwie tylko osobistości poetyczne na względzie, tak mówi daléj Krasiński o antagonizmie sił owych przeczących sobie w każdym obrębie istnienia: «Ich harmonija zowie się życiem, ich sprzeczności są tylko złudzeniem; mogą wprawdzie w danym czasie na daném miejscu przybrać pozór walki; ale to zawsze doczesném, nie wieczném; cząstkowém, nie powszechném zjawiskiem. Całość albowiem jest zgodą, nie bójką; pojednaniem, nie rozdziałem; dobrem i prawdą, nie złem i fałszem. I to co walczy z sobą na tym padole, tam — po nad wszystkiemi padoły, w górze i niebie ducha, wiąże się i zlewa razem w wielkie światło i w pokój serdeczny». — Mickiewicz, zdaniem autora, wyobraża w literaturze naszéj głównie pierwiastek rzeźbiarski; podczas gdy Słowacki urodził się w niéj muzykiem, w którego muzyce płyną farby Correggia i Rafaela, niesione Beethowena tonami. «Jeśli wam Michała Anioła potrzeba, czemuż go żądacie, czemuż go wyglądacie — wy, wśród których on już się objawił? Nie patrzcie naprzód, nie zazierajcie w przyszłość, ale owszem odwróćcie się ku dniom, co ubiegły, a wasz Michał Anioł ukaże się wam. Jedna z rąk jego spoczywa na posągu Litawora, a druga zawieszona w górze nad ciągiem postaci umarłych, narodowych, przekutych już także w posągi wiecznego wspomnienia. Tym uwiecznionym na imię: Pan Tadeusz! Na równie ogromną epopeję żaden z nowożytnych narodów dotąd się nie zdobył».... Słowacki w logiczném rozwijaniu się sztuki polskiéj jest drugim momentem. Objawiła się w nim odśrodkowa siła, siła odwcielań i zaprzeczeń, któréj pęd poczęty z dołu a bijący ku górze, stara się jak muzyka ciągłém drganiem cząstek i roztapianiem kształtów wyrazić westchnienia wszystkich ciał natury i rwania się wszystkich myśli ducha ku niewidzialnemu światu nieskończoności. Zaprawdę w kierunku téj siły coś panteistycznego przebija. Onaby chciała, gdyby przemódz mogła i jedyną stać się panią, wszystko we wszystkiém stopić i porównać; samaby się rozwiała własnemi skrzydłami — utonęłaby i zaginęła w tém, ku czemu dąży; wszelkie stworzenie zatraciłaby w Bogu, jak w otchłani. To co ona ukochała, nigdy przy niéj, nigdy z nią nie przebywa, ale coraz wyżéj i błędniéj i daléj ciągnie ją za sobą. Każde stanowisko ona musi przekroczyć, każdą formę podnurtować i do pryśnięcia przymusić — i jéj saméj ostateczną formą jest jéj treść własna, jest to co stanowi formę oceanu, to co rozprężliwość światła, to co falistość elektryczności — żądza wieczna, ruch nieskończony. — Czém więc w na-

turze płynność i rozmdlewanie się, czém chmury co chwila zmienne, płynące na to, by przepaść i znieznacznieć, ale nie w nicości, jedno w niebie; czém przewrotność barw na tle opalowéj białości, czém szmery rozmarzonych strumieni i szum daleki morza, czém owe melodye śpiewu, które gasną oddalając się coraz wyżéj i szerzéj: — tém jest poezya Słowackiego w literaturze naszéj. Każda jéj cząsteczka misternéj, filigranowéj roboty, jak drobny kwiateczek. Jéj ogół zaś przez to właśnie, że siły odwcielań jest formą, ma za formę ciągłe pojedynczych cząstek stawianie i znoszenie, tworzenie i niszczenie — i utrzymuje się następstwem tych znoszeń; raczéj ruchem niż postacią — tak jak muzyka. Ztąd ciągły pozór ironii i kaprysu, ztąd pęd niewstrzymany, ale lekki, przejrzysty na wskróś, idealny». — W końcu przechodzi autor do ocenienia stylu Juliusza i w nim właśnie upatruje najgłówniejszy objaw jego potęgi. «Styl jest najogólniejszą formą każdego utworu sztuki; nim jak przędzą, i z niego jak z materyału, snuje pasmo swoje całe poeta. Siła odwcielań, panująca i przemagająca w Słowackim, w tę tylko najpowszechniejszą, ostateczną formę dokładnie wcielić się może. Styl Słowackiego, to on sam, to ducha jego kierunek, roztapianie się nieustanne na wszystkie strony. Nikt też tak smukle, gibko, fantastycko po polsku nie pisał. Chyba tak Liszt gra, jak on wiersze pisze. Biegną kniemu tłumem miary, rymy, obrazy, a on je despotycznym kaprysem posyła, gdzie chce — każe im płynąć, a płyną — wić się powoli, a pełzną — wzlecieć, a wzlatują i lecą, jak orły. Język pod jego twórczém tchnieniem musi rozrabiać się i przerabiać bez końca, musi wszystkie kształty przybierać...« i t. d. Słowem, konkluduje autor: »W czarnoksięztwie stylu Słowacki stanął tak wysoko, że nikt wyższym nad niego, a równym — rzadko kto.«

A więc na mocy tego sądu dwaj poeci stanęli niejako przeciw sobie, jako sprzeczne a jednak uprawnione potęgi, »jak dwa na słońcach swych przeciwnych bogi«. Publiczne owo odezwanie się o Słowackim, choć było bezimienne i nie zupełnie dokładne (dotyka bowiem więcéj formy, niż wewnętrznéj istoty — dążności i ideałów jego poetyckich utworów) zaważyło jednak na szali. Było to pierwsze rozumne i bezstronne słowo o naturze jego poezyi, wyrzeczone przez ówczesną krytykę. To musiało pokrzepić energiję ducha poety. Autor Beniowskiego przestał być nawet dla ogółu zwyczajnych odczytywaczy nowości literackich obojętną i odosobnio-

ną od reszty literatury figurą. Zaczęto teraz więcéj niż kiedy przypominać sobie i o dawniejszych jego pracach. — »Po dziesięciu dopiero latach — pisał poeta do jednego z dalszych krewnych — książki moje zaczęły, tak jak twoje łany, ziarno mi posiewane oddawać«. To też począwszy od owéj chwili, czerstwiejszy już jakiś stan duszy przebija w korrespondencyi poety. Domyślać się godzi, że i czynność jego autorska szczególniéj być musiała ożywioną w ciągu owego czasu. Na nieszczęście pisma, po zgonie poety znalezione w jego papierach, nie stanowią ani połowy tego wszystkiego, co być niewątpliwie musiało. Jedną z prac takich, niezawodnie na owe lata przypadających, był dalszy ciąg »Beniowskiego«. Poemat ten całkowity miał się składać z 44 pieśni. Tyle ich przynajmniéj autor zapowiedział w jednéj ze zwrótek pieśni trzeciéj. Ocalały tylko w zupełności pieśni od VII—X. Małecki z kartek luźnych znalezionego po śmierci Juliusza bruljonu, odbudował pieśń VI, XI, XIII i XIV. Pieśni XII braknie początku. Czy całe dzieło było dokonane? czy stanowiło całość wymierną?— rozstrzygnąć niepodobna. Zdaje się, że poeta zbyt często odrywał się od pracy nad niém; porzucał je, żeby przedsiębrać i wykonywać tymczasem inne rzeczy. W ogóle praca nad tym utworem przeciągnęła się daleko aż w czasy towianizmu. Z takiego zaś traktowania przedmiotu w różnych chwilach i w coraz innych usposobieniach ducha wynikło, że autor zmieniał co do niektórych części dawniejsze swoje zamiary. To też nie dziw, że przedstawia się dzisiaj cały ten utwór w bardzo chaotycznéj postaci.— Na drugiém miejscu, jako pracę niewątpliwie napisaną także w r. 1841, wymienić należy dramat napisany wierszem rymowym, w 5 aktach, który wydawca ogłosił w III tomie Pism pośmiertnych p. t. »*Niepoprawni*«. Utwór ten zachował się w całości, pomimo że się znalazł tylko w bruljonie. Obiegające po różnych rękach odpisy rzeczonego dramatu, w kilka lat dopiero po śmierci autora z tego bruljonu zrobione, nosiły napis nie wiedzieć zkąd narzucony »*Nowa Dejanira*«. Napis ten nie tylko nie wyraża rzeczy, o którą chodzi, ale nawet utrudnia zrozumienie dążności dramatu, przeważnie satyrycznéj. Głównemi figurami w nim są cztery typy ujemne, wzięte z wyższéj warstwy naszego społeczeństwa. Zawikłanie kończy się wprawdzie z zadowoleniem wszystkich osób działających w dramacie; ale to rozwiązanie jest okupione życiem człowieka, który przy całéj swojéj półdzikiéj nieogładzie zawstydza wyobrazicieli rzekoméj cywi-

lizacyi.— Trzecią kreacyą, którą odnieść należy do tegoż czasu, jest dramat ocalony zaledwie w mniejszéj swojéj połowie, niewiadomego tytułu, na domysł tylko przezwany przez Małeckiego »*Złotą Czaszką*« i pod tym napisem ogłoszony w wydaniu lwowskiém. Prozę przeplatają tu ustępy pisane wierszem krótszym, ośmiozgłoskowym. Jeżeli się godzi wnosić o całości z ocalonego téjże początku, zdaje się że »Złota Czaszka« byłaby należała do najlepszych dzieł Słowackiego. Pozostałe z niéj sceny są pełne życia i ruchu, a co najważniejsza, nawskróś narodowéj fantazyi. Poeta przenosi nas w czasy owe pamiętne z różnych i klęsk narodowych i wysileń bohaterskich za panowania Jana Kazimierza. Miejscem zdarzeń jest rodzinny jego Krzemieniec. Tu więc wprowadza nas do jednego z dworków szlacheckich, gdzieś w zaciszu na przedmieściu leżących, i zawiązuje sprawę na tle domowego życia i obyczaju ówczesnéj szlachty. Ale dworek ten prywatny domorosłego szlachcica przypiera do wielkiego gmachu sprawy powszechnéj. Składają się tedy i zdarzenia publiczne i zajścia familijne, na zadzierzgnięcie w téj sztuce węzła dramatycznego. Duszą wszystkiego, co się dzieje, jest Strażnik krzemieniecki, szlachcic niezamożny, ale dzielnéj fantazyi. To też nie tylko od równych sobie jest on powszechnie szanowanym, ale nawet i panowie trafić do niego umieją, kiedy chodzi o posłużenie rzeczy pospolitéj. Stawał on za młodu już w niejednych terminach. Bywał, jak to mówią, i na wozie i pod wozem i już z niejednym nieprzyjacielem miał do czynienia. Dał on im się wprawdzie wszystkim dobrze w znaki, ale i oni oddali mu dobre za nadobne! Z jednéj jakiejś bardzo gorącéj przeprawy uniósł pan Strażnik z placu czerep tak pokiereszowany szablami, że okazała się potrzeba nadłożyć chyba już złotą blachą te dziury w głowie, na których połatanie już się skorupek czaszki nie było można doszukać. Nosi tedy od tego czasu na głowie czaszkę złotą... i właśnie przeto sąsiedzi go też z estymy pod tym już tylko przydomkiem znają. — Małecki, którego własnemi słowy posługujemy się przeważnie w niniejszym ustępie o Słowackim, robi z powodu rzeczonéj sztuki następującą trafną uwagę: »Dramata Słowackiego w ogóle nie grzeszą nigdy przesadą realizmu. Przeciwnie, właściwą im jest jakaś poetyczność czy idealność, posunięta czasem o wiele daléj, niżby sobie można życzyć. Są to nieraz — powiedziećby można — więcéj zajścia między ludźmi wyjątkowymi, którzy i gadają i myślą jakoś jak Sło-

wacki— po poetycku: aniżeli przeprawy między ludźmi, jakimi ich Pan Bóg stworzył.... Otoż warto zauważyć, że zgoła inaczéj rzecz się ma ze »Złotą Czaszką«. Tu wyjątkowo realizmowi otworzono wrota na oścież: i weszło go do dramatu, ile go się tylko dało pomieścić. Okazuje się zatém, że i w ten ton nie trudno było uderzyć Słowackiemu, jeżeli tylko uważał to za stosowne. Że zaś do tego przyszło właśnie tym razem, to zdaniem mojém ztąd pochodziło, że wprowadził tu autor same figury wzięte z życia i niezawodnie osobiście sobie znajome. Chodziło tu widocznie o oddanie choć raz w życiu swemu rodzinnemu miasteczku tego honoru i hołdu, jaki zazwyczaj odbierają od poetów ich kąciki ojczyste. Miał spożytkowany tu być artystycznie Krzemieniec i te wszystkie reminiscencye poety, które się wiązały z krzemieniecką jego przeszłością. Ani zatém wątpię, że ten pan Milewicz, ten Gwardyan ze Zakrystyanem, ten Strażnik z całą swoją rodziną, nawet ten Skopen i Jankiel— byli to wszystko sami dobrzy niegdyś znajomi autora. Wszakże nawet ów tylko po imieniu tam wspomniany organista franciszkański Fok musiał sobie tego imienia pożyczyć od człowieka, który żył rzeczywiście i był... Słowackiego metrem muzyki! I tak się rzecz miała zapewne ze wszystkiemi nie tylko charakterami działającemi w téj sztuce, ale i miejscami, rzeczami, zwyczajami do niéj wprowadzonemi. Był więc tym razem Słowacki podobny do malarza, który komponując jaki karton historyczny, przedstawiający sceny z dawno ubiegłych wieków, umieszcza na nim same tylko twarze znajome, same portrety rodziny swojéj, przyjaciół, znajomych, słowem osób najbliższych swego serca«.—

Nakoniec wypada już do lat owych odnieść przekład jednéj z najcelniejszych sztuk Kalderona, »*El Principe constante*« »Książę Niezłomny«, chociaż utwór ten dopiero we dwa lata późniéj wyszedł z druku. Słowacki oddawna czuł w sobie pewien pociąg ku Kalderonowi. Jeszcze za pierwszego swego pobytu w Paryżu w r. 1831 uczył się po hiszpańsku jedynie dla Kalderona tragedyj. W późniejszych latach, kiedy przebywał we Florencyi, czytywał już tego poetę w oryginale i »usypiał się jego brylantową i świętości pełną imaginacyą«. Zapewne jednak zajmował się nim w owych czasach tylko dorywczo, gdyż wpływu Kalderona w ówczesnych utworach Słowackiego nie widać; przeświecały się w nich raczéj studya nad innemi wzorami: zrazu nad Byronem, późniéj przeważnie nad Szekspirem. Dopiero utwory z lat najpóźniejszych, »Ksiądz

Marek« i »Sen srebrny Salomei« okazuje przejęcie się zupełne duchem dramaturgii hiszpańskiéj. W tym to więc czasie musiał Słowacki zaznajomić się bliżéj z najpotężniejszym w téj dramaturgii mistrzem i wtedy też dokonany być musiał i przekład sztuki *El Principe constante*. Zbliżenie się do oryginału czy to pod względem dosłowności w szczegółach, czy artystycznego odtworzenia fizyonomii téj hiszpańskiéj kreacyi, nie pozostawia nic do życzenia. A pomimo téj wierności przekładu, taka tam wydatność każdéj myśli, takie zaokrąglenie każdego zwrotu, taka w każdym pociągu pióra doraźność i wyrazistość, że utwór ten śmiało można postawić wyżéj nad wszystkie tłómaczenia tegoż dramatu na inne języki. Dla tych to zalet Małecki słusznie odnosi »Księcia Niezłomnego« do czasu przed opętaniem się Słowackiego mrzonkami towianizmu: bo potém nie potrafiłby poeta utrzymać w karbach tych przedmiotowych warunków, które stanowią zadanie i obowiązek tłómaczącego autora. W przeciwnym razie byłby choć od czasu do czasu ów duch nowy i niespokojny, co w nim od owéj pory zamieszkał, targał gwałtownie osnowę pierwotworu i przekształcał ją po swojemu.

Po zjawieniu się Towiańskiego, przez czas dość długi nie widać w listach Słowackiego ani śladu, żeby miał przywiązywać jakie wyższe znaczenie do cudów i proroctw pseudo-messyasza. Przeciwnie, usposobienie jego było wówczas więcéj towarzyskie i światowe, niż kiedykolwiek. Może niesnaski z Mickiewiczem broniły go od zgubnéj zarazy. W lipcu 1842 następuje w poecie stanowcza zmiana... «Co do mnie — pisze do matki d. 2 sierpnia — wiele nadziei zwiędłych boża miłość i łaska ożywiła we mnie. Już nie wyrzekam, ale ufam. Otoczył mię krąg ludzi kochających, kosztuję nowego stanu duszy — zdaje się, że błogosławieństwo boże jest nademną. Wszystko to podobném jest do snu i do marzenia, i wytłómaczoném być nie może...» Juliusz został Towiańczykiem!.. W następnych listach coraz więcéj znajdowało się już takich zwierzeń mistycznych. Przerażały one matkę poety. Zapytywała go z boleścią, z niedowierzaniem, z nieśmiałością, czyby i on miał także należeć «do tych jasnowidzących?» Przypuszczenia podobne drażniły Juliusza. «Zasmuciłaś mię bardzo — odpowiadał matce — pisząc mi z trwogą i z pewném niedowierzaniem, myśląc żem ja się jasnowidzącym oddał i w sny ich uwierzył. Nigdy nie byłem tak nizko, żeby mię lada kto mógł wziąć za głowę. Ale drgnięciu wewnętrznemu ducha bożego uwierzy-

łem, i słowom prostym a bożym dałem się przekonać» — — — «Wszyscy, którzy niezdolni są wskrzesić siebie i oddać się nowéj, wielkiéj pracy, są przeciwko nam z wielkim gniewem i oskarżają nas wynajdując różne fałsze, i stawią nam różne przeszkody. Wiele więc może próżnych ech dojdzie do Ciebie. Więc jeżeli mi nie uwierzysz, będziesz się smuciła, myśląc, żem się zaparł rozumu mego i zszedł z drogi, na któréj mię witano. Albowiem teraz mi przyznają rozum dawny i prawość dawną, a na teraźniéjszego i prostego człowieka utyskują. Ale ja wiem, że mię Bóg nie opuści; bom ja także nie opuścił żadnéj pracy około świata (?), ale poznałem tylko drogę prowadzącą do niéj, i już nie tylko głową, ale całym sobą wojuję, a najwięcéj wnętrzem najczystszego czucia. A tak czyniąc, nie tylko za siebie, ale i za tego, który leży w grobie na Rossie *) i wszystkiego jeszcze nie spełnił, ja odrabiam pracę i wiem, że go to raduje.

Pod wpływem nowéj wiary nastąpiło powtórne zbliżenie się z Mickiewiczem. «Dokompletowałem siebie czynem. To jest, spotkawszy mego przeciwnika na wyższém stanowisku, podniesionego ku prawdzie prawdziwie bożéj, już nie w jezuityzmie— podałem mu rękę i teraz jesteśmy razem». Korrespondencya Słowackiego od tego czasu nad wszelki wyraz ubogą jest w szczegóły o życiu jego potocznem i zewnętrznem. Człowiek ten odtąd przestał prawie już żyć dla otaczającego go świata. Wszystkie myśli jego krążyły jedynie około pojęcia Boga — przyszłości rodu ludzkiego, słowem około zagadnień doktryny; i nie było nic ważniejszego dla niego, jak ten ciągły rozbiór tych niewielu mistycznych pojęć, około których się cały Towianizm kręci.

W tym samym czasie korrespondował też Słowacki, jako już Towiańskiego zwolennik, i z Krasińskim. Widocznie gorącém było jego życzeniem, ażeby dla sprawy nowéj doktryny pozyskać tę potęgę duchową. Zygmunt odpowiadał mu jakoś dyplomatycznie, ani przecząc, ani potakując. To zniecierpliwiło Słowackiego. Pod wpływem tego wrażenia napisany i ogłoszony został «Ksiądz Marek», który na zawsze położył koniec serdecznym stosunkom pomiędzy obydwoma wieszczami. Zerwały się one od owego już czasu, a nie dopiero w skutek wiersza «Do Autora trzech Psalmów». W późniejszych latach

*) Mówi tu o ojcu swoim Euzebiuszu Słowackim, pochowanym na cmentarzu zwanym „Rossa“ w Wilnie.

podali sobie wprawdzie rękę do zgody; ale była to już tylko przyjaźń łatana.

Nie należy sobie jednak wystawiać, że Słowacki był biernym tylko i potulnym wykonawcą zleceń mistrza swojego, albo powolnym potakiwaczem słowom lub też uchwałom drugich. Owa sprężysta samodzielność, owa «odśrodkowa siła negacyi», którą mu przyznał był już Krasiński w rozprawie swojéj z r. 1841, podsycana wrodzoną a teraz okolicznościami spotęgowaną drażliwością umysłu, dawała się i w téj życia jego epoce czuć wszystkim z jego strony przy lada sposobności. Mianowicie zgoda z Mickiewiczem żadną miarą nie była bezwarunkową i długotrwałą. Co do Towiańskiego, w pierwszéj chwili uwielbienie poety dla Mistrza nie miało granic, ale już po wyjeździe nowego messyasza z Paryża, Słowacki znalazł się w konieczności wystąpienia z powszechnego i jedynego jeszcze podówczas koła Towiańczyków i założenia frakcyi własnéj, osobnéj. Była ona więcéj jeszcze mistyczną, niż frakcya Towiańskiego.

Przystąpienie Słowackiego do koła Towiańczyków wywarło wpływ przeważny na charakter jego jako poety. Cały zawód jego autorski otrzymał odtąd inny kierunek. Pierwsze następstwo tego przewrotu wszelkich pojęć dawniejszych, okazało się w tém, że autor prace swoje dotychczasowe od téj chwil bardzo mało już cenił. Dla tego to owe powyżéj wymienione szczątki utworów jego skazane zostały na niszczenie. Nowe przedsięwzięcia zwróciły na się całą jego usilność. Jedyny z utworów dokonanych już dawniéj, który został ogłoszony po przystąpieniu poety do Towiańszczyzny, był to: *«Książe Niezłomny Calderona»*. Dawniejszy zamiar stworzenia cyklu z sześciu fantastycznych dramatów, osnutych na tle legend z przedhistorycznéj narodowéj przeszłości, poszedł obecnie w zapomnienie. Dalsza praca nad «Beniowskim» postępowała dorywczo, targana coraz innym duchem, jaki wrzał wtedy w piersi poety. Wreszcie w r. 1843, a najpóźniéj 1844 została praca ta zupełnie zarzucona. Natomiast pojedyńcze pomysły, które podług pierwotnego planu miały wnijść w skład téj rozległéj kreacyi, zostały teraz podjęte na nowo i wykonane z innego wcale punktu widzenia. Tak powstały dwa dramata oddzielne: *«Ksiądz Marek»* i *«Sen srebny Salomei»*. Odpowiednie pieśni «Beniowskiego» uległy w skutek tego umyślnemu może teraz zniszczeniu. O «Księdzu Marku» sam poeta w kilka lat późniéj z żalem i wstrętem wspominał. Jeżeli nie rozciągnął wtedy téj gorzkiéj krytyki i do «Snu Salomei», to tylko dla tego, że

nie miał żadnego powodu do mówienia o tym utworze. Gdyby go jednakże był kto wtedy zagadnął w téj mierze, toby i tutaj przyznał był poeta «wątłość ducha i nędzę zewnętrzną w wykonaniu». Rzeczywiście obydwa te dzieła jak niebo od ziemi różnią się od wszystkiego, co dawniéj pod piórem Słowackiego powstało. Sam już ich styl i forma zewnętrzna okazuje coś szczególnego. Są to rzeczy niby dramatyczne, a ileż jednak zdarzeń najistotniejszą część osnowy tworzących, jest zbytych tylko w luźnéj formie opowiadania. A jakie też nieraz dziwne jest ono opowiadanie! W ogóle dykcya tu przypomina rozbujałość poezyi wschodniéj. Nieujęta jak powódź, leje się dyalogiem wezbranym nad wszelkie karby prawdopodobieństwa i miary. Po półtora sta, po półtrzecia sta, czasem po cztérysta wierszy z górą jest włożonych w usta jakiéj osoby perorującéj jednym tchem — bez przerwy ze strony ludzi, do których mówi. Szczególna ta gadatliwość osób dramatu nie daje się spostrzegać w żadnym z dawniejszych utworów Słowackiego. Ta bujność wyobraźni w wysłowieniu, ta przewaga opowiadawczych i lirycznych żywiołów nad ścisłą akcyą, żadną miarą nie mogą być wytłómaczone wpływem Kalderona. Słowacki w owych latach nie mógł być naśladowcą na oślep obcych zalet i obcych błędów. Zresztą jest u niego tych rzeczy co zadziwiają daleko więcéj, aniżeli o Kalderona; — a raczéj w téj ostateczności i przesadzie u Kalderona nie ma ich wcale. Byłżeby Kalderon lub sam autor «Lilli Wenedy» dawniéj darował sobie, gdyby mu kto w jego utworze pokazał taki oto np. ustęp:

«Wtém, o Panie, na ohydne
Cmentarze i uroczyska,
Pod ciemnę lip wężowiska,
Od kurhanów na kurhany —
Wiodąc świateł złotych roje,
Przez miesiąca ołowiany
Blask — sunąc chorągwi tęcze;
Na wieczności gdzieś pokoje
Snujący złote obręcze
Wąż — pogrzeb wioszczany lichy,
Pachnący czarnym jałowcem,
Wszedł i rzucił nad grobowcem
Trumienkę, bez żadnéj pychy
Ale ubrana w kielichy

Narcysowe i w konwalie;
Jasna bo w niéj anielica
Ubrana jak na batalie
Z piekłem, w słoneczności lica
I w niewinności ubiory
I w te ostatnie kolory
Śmiertelnéj podobne zorzy.
W ostatni rumieniec przedboży,
Leżała.» (z aktu IV «Snu Salomei»).

To wszystko jest jedno zdanie! jeden obraz pogrzebu ciągnącego zwolna przez stepy. I mówi to najrozumniejszy człowiek w dramacie, jedyna w nim prawdziwie bohaterska natura, rycerz nie gadulstwem wsławiony, ale dzielnością—słowem: Sawa to mówi! Peroruje zaś tak przed samą bitwą, wśród półtrzecia sta dalszéj gawędy, ujętéj w zdania mniéj więcéj tegoż rodzaju. Żeby rzeczy takie pojąć u Słowackiego, nie można się zaspakajać odwoływaniem do studyów nad Kalderonem. Był to raczéj skutek przewrotu, jakiemu podległo całe stanowisko poety od pierwszéj chwili, kiedy do koła Towiańczyków przystąpił. Był to owoc jego nowéj wiary. Od téj pory albowiem wyrobił on w sobie to przekonanie, że wszystko piękne i prawdziwe i wielkie, czego człowiek dokonywa, nie dzieje się jego rozumem, ale się staje jedynie za sprawą jego ducha. Duch zaś wedle niego— to istota najzupełniéj odrębna, będąca w ciągłym prądzie działania w wytkniętym ściśle kierunku. Ciało i cała osobistość człowieka, ze wszystkiemi nawet władzami umysłowemi — to tylko doczesny pobyt onego ducha, jakby naczynie, które on zapełnia, ażeby je po zużyciu rzucić i zamieniać po kolei na coraz inne. Ponieważ duch mieszkający w człowieku nie może w ciągu krótkiego życia dopełnić całéj missyi, dla tego po zgonie albo się rodzi na powrót w nowém jakiém ciele i ciągnie daléj pracę poprzednich żywotów, albo też jako duch niezrodzony i niewidzialny okrąża głowy ludzi mających w sobie pokrewne duchy i wpływa swoją potęgą na nich, ażeby im do ostatecznego spełnienia swojego posłannictwa dopomódz. Im więcéj tedy człowiek się poddaje tajemniczemu pchnięciu czy to tego ducha, który przez niego działa, czy też owych duchów, które go okrążają: tém pewniejszym być może, że to co działa, jest jego obowiązkiem istotnym. Przeciwnie, im więcéj polega na sobie samym i na własném swojém zastanowieniu, im więcéj ufa swéj wiedzy i bierze rzeczy, jak to mówią na

rozum, tém więcéj właśnie przez to stawia oporu owym wyższym nieśmiertelnym natchnieniom, a tém samém tém więcéj błądzi i grzeszy. — Przyjąwszy powyższe założenie za dogmat, miał Słowacki to przekonanie, że kiedy chodzi o skuteczne przelanie w ludzi tego co im potrzeba wiedzieć, czy to za pomocą mowy czy pisma: starać się trzeba o jak najzupełniejsze poddanie całego swego jestestwa téj bezpośredniéj mocy ducha, co działa przez nas. Będąc tedy autorem, im się bardziéj pisze na oślep, jednym tchem— tém lepiéj. Dla tego to znajdujemy w jego korrespondencyi takie oto ustępy: »Jak szalony piszę prędko, chcąc aby jak najwięcéj ducha wylało się ze mnie i poszło utwierdzić, żywić Ciebie i rozmiłowywać w Bogu, i przywiodło do celu, nie katując mię cieleśnie, ale łagodnie prowadząc (?)... Pisałem tak, żem się aż zmęczył, i lękam, się odczytać słów napisanych, bez ładu bowiem i z przeładowaniem być muszą.« W inném miejscu wyznaje, »że sobie żadnego ze swoich utworów teraźniejszych wytłómaczyć nie może.« I rzeczywiście pisał on wszystko w téj porze, nie zastanawiając się wcale nad tém, co pisał i jak pisał. Nawał pomysłów i obrazów, cisnących mu się w gorączkowéj wyobraźni pod pióro, uważał za przysłane sobie z ręki wyższéj i nie przebierając robił użytek ze wszystkiego. A napisawszy— nie śmiał już nic wykreślić ani odmienić, ponieważ poczytywał to sobie za podyktowane niejako z góry. Nie był Słowacki tedy już względem utworów swoich artystą, sędzią, twórcą odpowiedzialnym; ale widzimy w nim jedynie ślepe narzędzie w dłoniach jakiejś obcéj potęgi. W najdosłowniejszém zatém znaczeniu uważać można obydwa ostatnie dramata jego—*Ksiądz Marek* i *Sen srebrny Salomei*, za prawdziwe improwizacye, tak ze względu na dykcyę, na wiersz, na całe wykonanie zewnętrzne, jak ze względu nawet na pomysł.

Po ogłoszeniu dwóch pomienionych utworów Słowacki nie ustawał w ciągłéj pracy to nad tym to nad owym przedmiotem. Najczęściéj jednak kończyło się na zamiarach, na planach, na samém tylko wreszcie zaczęciu dzieła. Jest pomiędzy temi pismami znaczna ilość wierszy ulotnych i lirycznych, po większéj części teozoficznéj treści. Niektóre z nich świadczą wymownie o dawnéj sile tego genijalnego poety, niektóre znowu giną zupełnie w mgle mistycyzmu. Małecki wspomina między innemi o znacznéj części dramatu osnutego na tle starodawnych dziejów Nowogrodu, oraz o fragmentach utworów, z których jednego bohaterem miał być Zawisza Czarny, dru-

giego zaś Samuel Zborowski, wydawca atoli nie ogłosił tych rzeczy, albowiem ani poecie sławy ani czytelnikom pożytku nie zdawały się obiecywać. Do tegoż czasu należy dziełko prozą pisane p. t. »Genezis z Ducha, Modlitwa«, które Słowacki uważał za najcenniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek napisał. Jest to fantastyczny, w kształcie dziejowéj opowieści, obraz kolejnego przeobrażania się i doskonalenia planety naszéj z tém wszystkiém, co na niéj żyje i żyło.

Wymienione powyżéj prace, prócz jednéj chyba »Genezy z Ducha« przypadają na pierwsze lata owéj mistycznéj doby w żywocie Słowackiego. Przechodziły mu wówczas przez myśl zagadnienia olbrzymie, myśli ogniste, które nie tylko dla tego nie dawały się z powodzeniem zużytkować artystycznie, że sobie z nich sam poeta nie umiał jasnéj zdać sprawy, ale że i zbyt rozległe to były pomysły. Po upływie pewnego czasu Słowacki choć trwał i nadal przy powziętym kierunku i bynajmniéj nie opuszczał sztandaru nowéj doktryny, jednakże przetrawił już do pewnego stopnia swoje wyobrażenia i zaczął, że tak powiemy, czuć grunt jakiś pod stopami. Utwory jego od tego czasu zaczynają w nim znowu okazywać artystę pierwszego rzędu i mistrza słowa, jakim był przed rokiem 1842. Otacza je wprawdzie pewna mgła mistycyzmu jeszcze i potem, ale pomimo tę excentryczność, nie można im zaprzeczyć niepospolitéj nieraz głębokości w pomyśle, a niezrównanéj z niczém siły w wysłowieniu i rzucie. Do liczby rzeczy tego właśnie rodzaju zaliczyć wypada najprzód »*Rozmowę z Matką M.*«, utwór zbliżający się do poematu o Ojcu Zadżumionych, jako podobny obraz strasznéj boleści i grozy. Drugiém dziełem téj kategoryi jest »*Król-Duch*«, którego jedynie część początkowa, nazwana »Rapsodem pierwszym« została ogłoszona za życia jeszcze poety (1847). Fragmenta czterech następujących rapsodów ogłosił dopiero prof. Małecki w wydaniu lwowskiém. Zamiarem autora było przeprowadzić w swym poemacie cały wątek dziejów polskich, przedstawiony jako działanie jednego głównie czynnika, stawionego w tym narodzie na pierwszém zawsze miejscu, albo na tronie, albo na inném zkądinąd tak podniosłém w sferze duchowéj stanowisku, że czyny, błędy, grzechy, zbrodnie, zasługi i poświęcenia jego oddziaływały na losy całego społeczeństwa narodowego. Czynnik ten nosi u Słowackiego nazwę Króla-Ducha, wcielającego się w rozmaite postacie historyczne. Zaleca się ten utwór znakomitém obrobieniem niektórych chwil przeszłości, a nadto zmusza do po-

dziwu językiem nieporównanéj dzielności. — Do tegoż czasu należy mistrzowski »Przekład kilku ustępów Iliady«. Wprawdzie Słowacki parafrazował raczéj Homera, aniżeli przekładał; atoli pod względem wiersza wspaniałego, pełnego wagi i kolorytu, obfitego w zwroty potoczne, a jednak wiejącego bohaterską potęgą, jest to prawdziwe arcydzieło. Prawdopodobnie Słowackiemu nie chodziło wcale o Homera. Nie tłómaczył go też z oryginału i niewątpliwie ani nawet nie przełożył nic więcéj, jak tylko tyle, ile się na kilkunastu kartkach po śmierci jego znalazło. Małecki domyśla się, że to tylko jedno z przygotowawczych studyów do poematu o Królu-Duchu. Chodziło poecie o dobranie sobie najwłaściwszego toku i tonu językowego, a więcéj jeszcze o dobór odpowiedniego przedsięwziętemu dziełu rodzaju wiersza i rytmu.

Wyjątkowe miejsce pomiędzy utworami Słowackiego z lat owych zajmuje »*Wiersz do autora Trzech Psalmów*«, bijący przeważnie tętnem chwili, co go wydała. Obok najszczytniejszych zalet artyzmu, wiersz ten zawiera tyle rzeczy jaskrawych i niesprawiedliwych, a w każdym razie wypowiedzianych nie w porę i zaprzeczonych następnie przez wypadki (1846), że choć nigdy nie miał być ogłoszony, a wydrukowany został dopiero w 1848 w Lipsku, pomimo woli autora, zakompromitował jednak Słowackiego w opinii publicznéj i pogorszył stosunki jego z Krasińskim, i bez tego dość oziębione. Wprawdzie Słowacki naprawił po części swą winę listem serdecznym do przyjaciela dawnego, na który Zygmunt odpowiedział uprzejmie, lecz nie zatarło to urazy doszczętnie w sercu autora Trzech Psalmów. Do któregoś z przyjaciół swoich tak się wtedy o tym kroku Słowackiego i o nim samym wyraził: »Od Juliusza list miałem bardzo długi. Chciałby się ze mną spotkać. Dziwny stan jego umysłu. Najwyższe tam prawdy dziki stan przyoblekły. Zresztą wiek nasz jest wiekiem olbrzymich zapasów. W téj bójce między życiem a śmiercią świata, nie dziw, że dziwy się rodzą...«

Słowacki w latach owych nie miał prawie potocznéj strony żywota. Żył głównie myślą, mniéj ciałem — i więcéj z Bogiem niż z ludźmi. Rozmyślał, rozpamiętywał, czytał bardzo wiele i w najrozmaitszych przedmiotach. Rzeczywistego pożytku ten pracowity tryb życia jednak nie sprawiał. Cała praca bowiem odbywała się w zaklętém kole doktryny, która wszystko, czego się tylko tknął, przemieniała w mistykę. W ogóle Towianizm dla Słowackiego nie był bez pewnéj ko-

rzyści. Wprawdzie sławie jego autorskiéj zaszkodził on nieskończenie. Mimo jednakże téj zgubności pod względem umysłowym, mimo szkód jakich doznał pisarz, poeta: człowiek pod owym wpływem mistycznego wzniesienia ducha niewątpliwie skorzystał. Moralnie Słowacki w latach owych spoważniał i uszlachetniał stanowczo. Za dowód posłużyć mogą następujące wyjątki z listów poety do matki: »O spokojność i miłość proś dla mnie Boga, abym w ofierze i pracy wytrwał, a nie dał się skusić temu rozpaczliwemu, wszystko burzącemu pasyi duchowi, który mnie nieraz do walki ze światem podmawiał... Właśnie ta część sentymentalno-dumna natury mojéj, która mnie względem rzeczy świata pogardliwym czyniła, opadła ze mnie; a ja teraz bliższy jestem poczciwych ludzi, niż ludzi blichtrem świecących... Wstyd mi wielce melancholij bajrońskich— strach, aby one nie zaraziły innych...«

Jednostajność życia urozmaicały mu tylko coroczne wyjazdy do wód morskich, które weszły w stały zwyczaj u Słowackiego począwszy od r. 1843. W sierpniu opuszczał zwykle Paryż i wyruszał do Porniku, małéj mieściny położonéj nad Atlantykiem. Ocean był szczególniéj sympatyczny dla niego. Drugą rzeczą, która umilała poecie życie, były to stosunki jego już to utrzymywane listownie, już osobiste z przyjaciółmi. Jak zawsze, tak i pod koniec życia nie wielu on ich liczył. Do rzędu ich należeli: Wojciech Stattler malarz i professor niegdyś krakowski, Kornel Ujejski poeta, Ludwik Norwid rzeźbiarz, a szczególniéj Szczęsny Feliński (od 1847 roku).

Rok 1848 ożywił nieco poetę. W kwietniu zrobił wycieczkę do Poznania, a po całomiesięcznym pobycie w stolicy Księztwa przeniósł się do Wrocławia. Tutaj nareszcie w miesiącu czerwcu dożył Juliusz chwili, któréj pragnął tak gorąco i od tak dawna. Mógł się rzucić do nóg kochającéj stroskanéj matce. Mógł się przed nią wyspowiadać ze wszystkich zawodów smutnego życia, które spędził opodal od niéj. Ale to wzajemne ich szczęście niedługo trwało — najwięcéj jeżeli jeden tydzień. Rozstanie było tém boleśniejsze, że go nie osładzała nadzieja, żeby się kiedykolwiek jeszcze w życiu znowu mieli zobaczyć. Zdrowie Juliusza widocznie dogorywało. Po powrocie do Paryża piersiowa słabość wzmagała się coraz bardziéj. Już w końcu lutego 1849 uznał za potrzebne spisać wolę swoję ostatnią. Umarł d. 3 kwietnia tegoż roku na ręku Szczęsnego. Liczył poeta wtedy lat cztérdzieści niespełna. Zwłoki jego spoczywają na cmentarzu Montmartre. W ko-

ściele akademickim św. Anny w Krakowie wzniesiony jest skromny nagrobek Juliusza. Wystawiła go w żalu nieutulona matka pamięci syna, »który walkę poezyi ku odrodzeniu się ducha i uczucia ludzkości po chrześcijańsku zakończył.« Lepiéj jednak aniżeli te słowa, określają cały charakter życia i działania Słowackiego strofy przez niego samego krótko napisane przed zgonem p. n. »*Testament mój.*« Przytaczamy z nich kilka.

Żyłem z wami — cierpiałem i płakałem z wami;
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny:
Dziś was rzucam i daléj idę w cień — z duchami—
A jak gdyby tu szczęście było— idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica
Ani dla mojéj lutni, ani dla imienia:
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

.....

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w aloesie,
I téj, która mi dała to serce, oddadzą —
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie.

Niech przyjaciele moi siędą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb— oraz własną biédę...
Jeżeli będę duchem, to im się pokażę;
Jeśli Bóg nie uwolni od męki— nie przyjdę...

.....

Co do mnie— ja zostawiam maleńką tu drużbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem, twardą Bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć— niepłakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść?.. taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionéj łodzi,
I tak cicho odlecieć— jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi,
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba— w aniołów przerobi.—

Przechodząc do oceny ważniejszych pism Słowackiego, trzymać się zamierzamy porządku lat, w jakich ogłaszał je poeta.

Pierwsze tomy Słowackiego poezyj nie sprawiły wielkiego wrażenia. W ogóle przeszły one pośród głębokiego milczenia. Musiał więc być między jego poezyą a tém wszystkiem, co literatura polska wydała poprzednio, jakiś rozstęp, jakiś brak związku a raczéj ciągu, dla którego się to nowe jéj zbogacenie nie wydawało zbyt ważném. Poprzedziło go owo dziesięciolecie (1820—1830), które tak świetnie rozpoczęło epokę nowéj, narodowéj poezyi polskiéj. *) Jedném z głównych następstw wystąpienia Mickiewicza i innych jemu współczesnych było podniesienie poetyckiéj literatury polskiéj na wysokość europejskiego znaczenia. Poeci młodzi, dostrajając lutni swoich do tonu, jakim brzmiała wtedy prawdziwa poezya w krajach postronnych, zaczęli czerpać natchnienia z własnéj krynicy narodu. Po raz pierwszy w mowie polskiéj odżyły wtedy postacie dawno minionych wieków, wskrzeszone z całą świeżością narodowéj prawdy i siły; pieśń gminna, wiążąca dzień dzisiejszy z epoką pierwszych pokładów rodziméj cywilizacyi, rozwinęła się w poemat. Po raz pierwszy od czasu Kochanowskiego stała się poezya polska znowu prawdziwém zwierciadłem doli społecznéj, i dyktowały ją idee w narodzie samym wykołysane. Nie tylko istotną dzieł osnową, braną zawsze z obrębu rzeczy swojskich, ale nawet tonem, barwą i dążnością odpowiadała ona jak najwierniéj powszechnemu nastrojowi ducha narodowego. Prace ówczesnych poetów polskich są to prawie zawsze dzieła tchnące jakąś błogą, serdeczną pogodą ducha. Ton pieśni polskich wprawdzie jest przeważnie smętny i łzawy; mimo to jednak widać tu wszędzie silną wiarę w opiekę Opatrzności nad światem — w grunt natury ludzkiéj ostatecznie szlachetny. To też zwątpienie, rozpacz, przekleństwa odtrącające, równie były obce poezye polskiéj, jak metafizyczna

*) W r. 1820 pojawił się „Wiesław". W 1821 odegrano w Warszawie pierwszą komedyę Fredry, „Geldhaba". W 1822 wyszły „Ballady" Mickiewicza. „Dumy" Zaleskiego także przypadają na owe lata, choć w całym zbiorze pojawiły się znacznie później. W 1823 ukazała się „Grażyna" i pierwsze części „Dziadów." W 1825 „Sonety" Mickiewicza, „Marya" Malczewskiego, Odyńca zbiorek poezyj, wreszcie pierwszy nasz romans historyczny, „Jan z Tęczyna" przez Niemcewicza. W 1826 pierwsze dramatyczne utwory Korzeniowskiego, „Pojata" Bernatowicza; pierwsze dwa tomy komedyj Fredry. W 1826 „Zamek Kaniowski"; w 1828 „Konrad Wallenrod" i t. d.

mglistość, lub skłonność do gubienia się w nieznurtowanéj zadumie.

Na takie to czasy przypadło wystąpienie Słowackiego, jako autora dwutomowéj jego publikacyi z r. 1832. Znamieniem jego pierwszorzędnéj zdolności, choć nierozwiniętéj jeszcze zupełnie, jest w tych dziełach przedewszystkiém zewnętrzna forma. Język, styl, koloryt, obrazowanie, dosięgły już tutaj takiego wydoskonalenia, że pod tym względem nie ustępował początkujący ten pisarz żadnemu z ówczesnych poetów polskich. Najwięcéj jednakże to w pracach Słowackiego podnieść należy, iż owiewa je jakiś czar kolorytu dziwnie poetycznego, jakiś wdzięk nieopisany, jakiś dziwnie melancholijny urok poetycznego na świat spójrzenia. Jest to właśnie strona talentu Słowackiego, która go najwybitniéj odróżnia od wszystkich innych poetów polskich, która stanowi najistotniejszą cechę jego oryginalności, która mu zapewnia nawet w obec większych od niego mistrzów stanowisko wyjątkowe w literaturze.. Przed jego okiem widne są wszystkie barwy tęczowe poezyi rozlanéj po rozłogach życia ziemskiego. Za dotknięciem jego ręki przemienia mu się wszystko w jakiś eter powiewny. Na czém tylko spocznie okiem, co tylko wedle sposobu swego opowie, wszystko to przyobleka się w barwy, w kształty, w tony, o jakich drugim, na to samo codzień patrzącym, ani się marzy. Lecz właśnie ten dar oglądania wszystkiego jedynie w cudownem świetle poezyi przyprawił poetę naszego o stratę zdolności pojmowania rzetelnych świata tego warunków. Słowacki nie miał zmysłu dla niczego, co się tylko zowie rzeczywistością; zrażała go ona, bo dlań nie była piękną; oburzała go, bo nie była mu zrozumiałą. Stanowisko jego względem powszednich warunków życia było najzupełniéj przeczącém. Uważając je za bezwarunkową negacyę tego, co ma być, upatrywał we wszystkiém, co ten moralny porządek świata naszego wstrząsa, zaburza i targa, piękność, poezyę, słowem przedmiot godny współczucia poety. Dla tego też poświęcał pióro swoje najczęściéj i najchętniéj walkom rozpacznym, bez względu czy je wszczynają siły do tego upoważnione, czy też raczéj grzeszna, zbłąkana tylko niemoc duchowa, przyodziana w pozory bohaterstwa i poświęcenia. I oto właśnie, w czém się rozminął nie tylko, z duchem poprzedniéj poezyi polskiéj, ale i z sumieniem lepszéj części społeczeństwa narodowego. A nie tylko w téj młodzieńczéj życia jego epoce, ale i późniéj dążność ta, choć potém nieco złagodzona, nieraz się przebija w jego pismach. Nawet

kiedy pracował nad Królem — Duchem, ostatniém swojém dziełem, widzimy go stojącego twardo przy takiém przekonaniu. Oto je w tym poemacie wręcz wypowiada w następujących wierszach:

„Ujrzałem w tenczas straszną tajemnicę,
Że duchy wszystkie, lecą tam, gdzie boje,
Gdzie się trzaskają serca i przyłbice;
A z miejsc, gdzie ducha sen ma łoże swoje,
Uchodzą; dziwna w pośmiertnych różnica
Z tymi, co wieczne tu marzą pokoje
I chcieliby mieć świat opasły, zdrowy—
Piekielni, z których drwi anioł globowy!“

Ale to nie wszystko. U Słowackiego w młodzieńczych jego latach daje się widzieć jeszcze jedna doktryna, a dzieła jego z r. 1832 są prawie wszystkie wyrazem onéj. Słowacki przypuszczał dwie niejako natury ludzkie. Zwyczajny ogół — to gawiedź, to tłum. Po za tym tłumem zdarzają się olbrzymi, całém niebem różni od pospolitych ludzi. Czy to są istoty dobroczynne dla rodzaju ludzkiego? Czy oni wytykają swym bliźnim lepsze drogi żywota? Czy zostawiają po sobie w czynach lepszą pamięć na ziemi! — Bynajmniej! są to duchy, które i same są najnieszczęśliwsze i dla drugich złowrogie. Między warunkami ich szczęścia, a tém co świat zwyczajny poczytuje za szczęście, nie ma żadnéj wspólności. Co ludzi cieszy, dla nich jest niczém: co ludzi zaprząta, ich nudzi: a czego oni pragną, to wcale nie może być osiągniętém na ziemi. Życie ich między resztą rodu ludzkiego — jest to, zdaniem autora, jedno pasmo cierpień, zawodów, burz, zbrodni, przekleństw i wszelkiego rodzaju rozdźwięków. Jest jakby jakiś wiszący nad ich głowami fatalizm, który wszelkiéj ich styczności z ludźmi taki zawsze nadaje obrót, że oni sami celu swojego nie osiągając, niweczą spokój i szczęście drugich. To też marzą oni ciągle o samobójstwie, narzekają na przesyt życia, celu żadnego przed oczyma nie mają, gardzą ludźmi, nienawidzą świat, i narobiwszy zamętu i klęsk na całéj drodze swojego żywota, przeklinani, przeklinając, kończą marnie, jako niby ofiary przewrotności świata i zwyczajnéj natury ludzkiéj. Do tego typu odnieść należy i Araba, i Mnicha, i Mindowę, i Bieleckiego, i Żmiję, i Botwela w Maryi Stuart. Tak rozmiłowany był poeta w ideałach tego rodzaju, że ciągle jednego człowieka w dziełach swoich wprowadza, pod zmienionem tylko za-

wsze nazwiskiem. — Oczywista rzecz, że tego rodzaju doktryna nie mogła trafić do przekonania powszechnego. Kiedy się ukazały te pierwsze tomy poezyj Słowackiego, ogół wcale nie mógł zrozumieć, o co autorowi chodzi. Dzieła poprzednich poetów polskich były mu zrozumiałe, bo tchnęły miłością ku ludziom. Poezya, która pragnęła podnieść ludzi, ale ich wzgardą nie odtrącała, z usposobieniem społeczności polskiéj spotykała się na jednéj drodze. Słowacki znowu stawiał jako ideały takie natury, które dowodzić miały, jakie to życie jest nędzne, a my sami jacy maluczcy i podli! Wszyscyśmy przekonani, że bywają pomiędzy ludźmi natury wyjątkowe, duchy potęgi i zdolności większéj, aniżeli zwyczajna. Ale wystawiamy sobie stosunek onych do reszty ludzi zupełnie inaczéj. Prawdziwie wielki człowiek — to chluba wieku, to największy dar boży, jakiego dostępują narody, to dobroczyńca społeczności, która go posiada.

Przejdźmy do samych utworów.

Hugo, powieść krzyżacka, jest tylko próbą młodzieńczą, nader słabą pod każdym względem. Brak prawdopodobieństwa razi na każdym kroku, a charakter bohatera tak dorywczo tylko naszkicowany, że ani sądu o nim, ani współczucia dla niego mieć nie możemy.

O tragedyi *Mindowe* sam autor wyraził się w liście do matki, że „bardzo słaba, oprócz kilku scen, i że powinna była w tece dziecinnéj pozostać.“ Sam pomysł dramatu wielce wadliwy. Zdawałoby się, że Słowacki obmyślając układ dzieła, chciał mieć mniéj więcéj następujący przebieg wydarzeń: Mindowe porzucił wiarę ojców. Z pobudek politycznych, dla zaspokojenia dumy swojéj, dla powiększenia granic państwa, wdał się w związki z Krzyżakami, przyjął koronę królewską, a z nią (wprawdzie obłudnie i tylko na pozór) i chrześcijaństwo. Naród oburzył się na taką wzgardę bogów ojczystych. Stanął przeciw wiarołomcy. Własna matka rzuciła na głowę jego przekleństwo. Na nic się nie przydało, że potém Mindowe odrzucił maskę przybraną, do pogaństwa powrócił i Krzyżaków zdradził. Przekleństwo matki musiało się dopełnić. Zerwany węzeł wierności narodowéj nie mógł być powetowany. Mindowe ginie, a z nim i całe potomstwo jego. Na jego tronie zasiada Trojnat, wierny religii narodu. — Rzeczywisty jednak tok zdarzeń w tragedyi Słowackiego nie zawiera w sobie żadnéj idei tragicznéj. Najprzód bowiem bezpośredni cios, spadający na głowę króla, nie pochodzi ze strony zbuntowanego ludu,

ale od Dowmunta, który mści się za krzywdę osobistą, a nie z religijnych powodów. Następnie Trojnat, ów przedstawiciel roli przeciwnéj działaniu swojego stryja, osięga tron książęcy także nie inaczéj, jak tylko przy pomocy Krzyżaków, jest z nimi sprzymierzony, przyrzeka, że „usługę Krzyżaków w wiecznéj zachowa pamięci.“ Nic się zatém przez jego wstąpienie na tron na Litwie nie zmieniło. — Co do charakterów, posągową postać Rognedy autor postawił na drugim planie. Wybornym typem starolitewskiéj siły jest Lutuwer. Mistrzowska scena jego skonania nic nie pozostawia do życzenia. Ale i z Lutuwerem spotykamy się zaledwie trzy razy w całym przebiegu sztuki. W dzięczna postać Aldony zrazu obiecuje wiele, lecz następnie schodzi na poziom prostéj kopii szekspirowskiéj Ofelii. Przerasta ich wszystkich Mindowe, w którego ręku zbiegają się wszystkie nici rozbieglych zdarzeń. On niemi kieruje, on je wszystkie porusza. Jego wola, jego czyny, jego cierpienia — oto punkt, około którego się wszystko gromadzi. Tragiczność roli Mindowy nie jest wynikiem jego położenia, jego stosunku do świata, śród którego żyje. Tkwi ona w nim i tylko w nim samym. Jest to człowiek, jakby na to zrodzony, ażeby nie poszanować niczyjego prawa na świecie, ażeby zdeptać wszystko, co dla drugich święte i drogie, ażeby piętrzyć zbrodnie na zbrodniach — i wiedzieć że to źle — i boleć nad tem — a jednak nie módz czy też nie chcieć zejść z téj drogi fatalnéj. Ależ bohatér ten nie jest niczém więcéj, jak demonem upadłym. Otoż właśnie w tém cały obłęd poety, że tego nie widział, że owszem rozumiał, iż w nim przeciwstawia zwyczajnéj naturze ludzkiéj osobistość doskonalszéj organizacyi, właśnie przez to upoważnioną do zakłócania szczęścia wszystkich i każdego na ziemi. Zresztą abstrakcyjną tę wielkość autor przeprowadził z konsekwencyą Miejsc pojedyńczych, wyższym nacechowanych talentem, nie brak téj sztuce, wrażenia odpowiednego jednakże całość nie sprawia.

Marya Stuart, w któréj Słowacki śmiało wszedł w zawód z Szyllerem, autorem wsławionéj pod tym samym tytułem tragedyi, o wiele jest wyższa od poprzedniego utworu. Już sam początek wzbudza wielkie oczekiwanie. Zawiązanie intrygi zręczne. Nakreślenie charakterów zdaje się być szczęśliwe, wykonane ręką pewną i wprawną. Wstępne sceny przemawiają doraźnie do wyobraźni i coraz więcéj obudzają zajęcia. Cały akt pierwszy, równie jak drugi, prowadzone są w sposób chlubnie świadczący że talent poety dojrzał i spotężniał. Co

krok miejsca silne, porywające, prześlicznie pomyślane, wyrażone najcudniejszym wierszem, jakim kiedykolwiek pisano po polsku. Wtém rozpoczyna się akt III — i akcya zaczyna się wikłać — tok zdarzeń przerywa się — charaktery owiewa jakby mgła jakaś, która nie dopuszcza zajrzeć aż w samo ich wnętrzo, coś się w nich paczy; zdaje się, jakby się ich role poprzemieniały — współczucie widza chwieje się... Słowacki nie podniósł jak Szyller swéj bohaterki na wysokość prawdziwie historycznéj postaci. Występuje ona w jego tragedyi wyłącznie w roli kobiety — pięknéj, namiętnéj, zalotnéj, jaką była w swojéj młodości. Z tego mu zarzutu robić nie można. Kto wie nawet, czy Marya Stuart Słowackiego nie jest więcéj dramatyczną niż heroina Szyllera, tu bowiem wcale nie przyczynia się osobą swoją do gorzkiéj doli, któréj doznaje. Cierpi jako słaba ofiara obcéj przemocy; upada — niewinnie. Tylko jako katoliczka, jako prawa dziedziczka tronu Tudorów, któréj się lękać osobiście musi Elżbieta; jako przedstawicielka pewnych zasad, występuje ona w tragedyi Szyllera niejako zaczepnie i odzyskuje poniekąd znaczenie dramatyczne, na którém jéj zbywa jako kobiecie, na tle posępném angielskiego więzienia. Słowacki wybrał sobie inną chwilę życia Maryi Stuart. Ukazał jéj wizerunek z całym urokiem niewieścim, z ową dumą monarszą, która późniéj dopiero miała doznać upokorzenia, z pędem temperamentu niezłamanego jeszcze ciosami losu, pod wrzącym skwarem namiętności, jakie się właśnie dopiero rozbudzały w jéj sercu. Rola tak pomyślana łączy w sobie wszelkie warunki dramatyczności. Postępki, walki i koleje, jakie bohaterka jego popełnia, stacza, przechodzi — są tu wypływem jéj własnéj inicyatywy. Odpowiedzialność za wszystko spada jedynie na nią. Zródło wszystkiego, co czyni, i wszystkiego, co cierpi, jest w niéj saméj. Ale czy z materyału takich czynów i takich cierpień daje się stworzyć dzieło, któreby zadość czyniło moralnemu zadaniu sztuki? Czy przygody królowéj w owéj życia epoce, są zdolne przyjąć tę idealną barwę prawéj poezyi, do znajdywania któréj dążą wszyscy wielcy mistrzowie na tém polu literatury? — Słowacki omylił się w tym względzie. W ogóle uwaga jego nierównie mniéj była zwrócona na etyczne wymagania dramatu, niż na osiąganie silnych poetyckich effektów. I pod względem praktycznego przeprowadzenia dramatu rażą tu niedostatki, które są nie tyle skutkiem jakiegoś niedopatrzenia, jakiejś niezdolności technicznéj, ile raczéj wynikiem odrębnego sposobu artystycznego, pewnéj ma-

niery właściwéj Słowackiemu w pierwszych latach jego zawodu. Cała bowiem sztuka jego polegała na tém, ażeby rzucać garściami światło na stanowcze tylko momenta, a resztę zostawiać w cieniu, albo całkiem po za ramami obrazu, sprawiać wielkie wrażenia sporadyczne — oto główny cel jego tworzenia. Czegoby zaś całości niedostawało, sam już czytelnik w myśli swojéj dopełnić był winien. Niedbałość epizodyczna, o któréj mowa, dotyczy u Słowackiego nie formy zewnętrznéj— gdyż wiersz i język jego wszędzie połyskują brylantami najczystszéj wody — lecz saméj kompozycyi, wiązań budowy, częstokroć samych fundamentów. I cóż z tego, że stanowcze chwile i wydatniejsze ustępy oddane są z całą potęgą genijuszu? Jeżeli tych chwil walnych powody, jeżeli tych ustępów potężnych wiązanie polega na kruchych podstawach, w takim razie i to wszystko, co na tém oparte, zawisło jakby w powietrzu i nie może wywierać prawdziwie głębokiego wrażenia. Ztąd tyle niekonsekwencyi i sprzeczności w stosunkach Maryi z Darnlejem i Botwelem; ztąd rażąca częstokroć w słowach i postępkach bohaterki nieprawda psychiczna. Co do charakterów, najszczęśliwiéj narysowane są postacie chwiejnego i niedołężnego Darnleja i błazna Nika. Szczególniéj ta ostatnia jest może najwdzięczniejszą rolą w całym dramacie i najgłębszą naturą ze wszystkich figur w nim działających. — W ogóle, w tragedyi, o któréj mowa, uderza ten rys, właściwy Słowackiemu w początkowych latach jego zawodu, że bez porównania więcéj usiłuje porwać, zadziwić i zapalić wyobraźnię czytelnika, aniżeli zająć myśl jego i prowadzić ją krok za krokiem, jak służebnicę woli swojéj — do celu o który chodzi. Akcyę osłabia zbytek liryzmu i zwykłe zatrzymywanie się poety przy malarskiém obrazowaniu uczuć i przedmiotów zewnętrznych.

Reszta ówczesnych utworów Słowackiego, «Jan Bielecki», «Mnich», «Arab», «Żmija» — wszystko to ujęte jest w formę tak zwanéj powieści poetyckiéj. W układ téj nowéj, romantycznéj formy epizmu wchodzić może cały zasób artystycznych potęg liryki. Uczucia osobiste poety, jego smutek, nienawiść, zwątpienie i zapał ożywczy, miłość i rozpacz, słowem — co tylko wre na dnie własnego jego serca — wszystko to znajduje tu wyraz bezpośredni i wplata się, jak idealny duchowy wątek, w materyalną osnowę przedmiotu pieśni. To zespolenie dwóch odrębnych żywiołów poezyi tém więcéj jest wdzięczne i dla poety dogodne, że dozwala jego natchnieniu najzupełniejszéj swobody. Talentowi Słowackiego odpowiadał najwłaściwiéj ten ro-

dzaj pracy. W poematach, o których rzecz obecnie, znalazł się on na własnym gruncie. To też żadne z ówczesnych dzieł jego tak od razu nie trafiło do powszechnego czytających smaku, jak *Jan Bielecki.* Przedmiot poematu wzięty jest w części z kronik, w części z ustnéj tradycyi, przywiązanéj do głównych miejsc zdarzenia, a mianowicie do Brzeżan (w Galicyi wschodniéj). Współczesny zdarzeniu temu Bielski w Kronice Polskiéj tyle o Bieleckim zapisał: «Był ten Bielecki Polak Lublinianin herbu Janina, jedno się poturczył i przyjechał z Turek do Polski za króla Stefana, i tu chciał mieszkać; jedno że przecie swéj wiary złéj odstąpić nie chciał. Król Stefan chcąc go najwięcéj do poselstwa zatrzymać, że to umiał język tatarski, naznaczył mu był opatrzenie pewne na Podolu; ale król dał, a panowie wzięli. O co rozgniewawszy się Bielecki, zbiegł do Tatar i Tatary na ojczyznę swą nawiódł». Lakoniczne wyrażenie Bielskiego: «król dał, a panowie wzięli», uzupełnia cokolwiek podanie brzeżańskie. Przechowała się w niém pamięć, że jeden z rodu, którego własnością niegdyś były Brzeżany, z rodu Sieniawskich, wioskę Bieleckiego gdzieś położoną w sąsiedztwie najechał, dworek szlachcica wraz z chatami włościan puścił w perzynę, a na ostatek całe to miejsce pługiem kazał zaorać i w puste pole zamienić. Taki więc był surowy materyał poematu. Słowacki nie pomyślał ani o zagadkowéj postaci Polaka poturczonego na tle zygmuntowskiéj epoki, ani o stosunku możnowładców dawnéj Polski do braci młodszéj, umożliwiającym krzywdę ubogiego szlachcica; — dla niego historyzm był rzeczą obojętną w całém oném wydarzeniu dziejowém. Wierny stanowisku, jakie zajął w poezyi, szukający wszędzie ideału wedle swego punktu widzenia, pochwycił on rzecz z innéj zupełnie strony. Jego fantazya zajęła się tu tylko widokiem walki jednego ze wszystkimi, widokiem krzywdy, jakiéj doznaje od świata szlachetny, niewinny, słabszy. Z całego szeregu zdarzeń; jakie sobie wysnuć można z podania o Brzeżanach i o Bieleckim, poecie naszemu najpoetyczniejszym się zdawał — nie tyle jeszcze ów pęd namiętny, stromą drogą prowadzący człowieka do zbrodni, byleby tylko się zemścić: ile ów nadmiar cierpienia, dojmującego po zemście już dokonanéj. Owoż to położenie tragiczne człowieka, który nawet po spłaceniu swéj krzywdy widzi się pod stopami swojego wroga; ten żal do świata, który go zmusił do czynów zbrodniczych; to osamotnienie na świecie istoty, dla któréj ani za życia nie ma nigdzie miejsca pomiędzy ludźmi, ani nawet po

śmierci nie będzie kawałka ziemi na mogiłę — to były motywa, dla których zwrócił Słowacki na przedmiot ten uwagę. Wszystkie poprzedzające zemstę zdarzenia — zamiar najazdu — ślub bohatera powieści z ukochaną kobietą — obraz spustoszenia dworu i wioski — wszystko to autor zbywa jak najkrócéj. Bielecki nawet zupełnie znika ze sceny po swojém nieszczęściu i zjawia się dopiero dla zemsty, dla któréj

«Czoło złocistym przysłonił turbanem
I wiarę złotym księżycem naznaczył».

Tu dopiero odsłania się w nim typ tego demonizmu, téj dzielności pchniętéj na przepaściste szlaki zaguby, o któréj wizerunek jedynie chodziło autorowi. Jakich walk duszy trzeba było, ażeby z normalnego człowieka przedzierzgnąć się w podobnego demona, tego poemat nie odsłania. I oto na balu maskowym w Brzeżanach, na którym, z tajemniczego zlecenia, znajduje się także Anna, żona Bieleckiego, znienacka tłumy najezdców zalewają wszystkie komnaty zamkowe. Bielecki

«Leci na czele i służbę pomija,
Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,
Miecz jego w pochwach — on wzrokiem zabija!
Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady
Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe,
Światła zadrżały, zgasły, tylko blady
Świecił się promień lamp w alabastrowe
Ukrytych głazy... Wpadł jak śmierci mara
I wyjście mnogą wartą zabezpiecza...
Pan Brzeżan z mieczem stał w obec Tatara...
Błysnęły szabli obrazy święcone,
I padł starosta na twarde granity. —
Zaśmiał się Tatar... śmiechem obudzone
Zabrzmiało echo — był to jęk kobiéty»...

Jęk ten przyzywa Bieleckiego do świadomości czynu, którego się dopuścił. Ten jęk najdroższéj mu w świecie istoty staje się dla niego hasłem cierpień stokroć dotkliwszych, aniżeli krzywdy, które aż dotąd od drugich znosił. Własne sumienie, mówi mu, że taka zemsta — to sromota, to dopiero ze wszystkich upokorzeń — największe! Teraz dopiero ów wróg jego

nibyto zwyciężony, rzucił go pod stopy swoje — na wieki! Dotąd miał on do czynienia z nim jednym tylko: od téj chwili obraca się przeciwko niemu cała ojczyzna, kościół, rodzina własna. Komu tylko miła cześć prawa, komu tylko święte, co jest świętością, gardzi nim i odtrąca od siebie. — Cała ostatnia część poematu, zawierająca w sobie ten obraz cierpień człowieka odepchniętego bezlitośnie przez całe społeczeństwo, wykonana jest z taką siłą uczucia, z taką głęboką prawdą poezyi, że śmiało ją stawić można na równi z celniejszemi pięknościami literatury polskiéj. Szczególniéj idealna postać Anny jaśnieje tu przedziwnym urokiem. W osobie jéj wcielił poeta całe współczucie i niejako solidarność swoję z tym postępnym ideałem, jaki sobie w postaci Bieleckiego wymarzył. Anna bynajmniéj nie tai tego przed sobą, że czyny jéj męża są w obec ludzi i Boga występne i grzeszne. Z jękiem rozpaczy, mdlejąca, ujrzała go idącego po téj drodze zbrodniczéj. Ale ta kobieta ma serce! Lituje się więc nad nim i w jego upadku, jako go miłowała za dni szczęśliwych. To też porzuca bez wahania i dom rodzicielski i kraj ojczysty, i towarzyszy mu wiernie przez całą jego wędrówkę aż do saméj godziny zgonu. A kiedy mu świat na ostatek i grobu nawet w nielitości swojéj odmawia, ona to słabemi dłońmi swojemi grzebie dla niego mogiłę. I czując wśród téj ostatniéj posługi, siły coraz bardziéj mdlejące, nadaremnie do drzwi cerkiewnych powtarzając stukanie, ażeby się Bóg zmiłował, kiedy ludzie nie mają dla niéj litości, «Dziewica blada, na kamiennym progu, usnęła — może usnęła na wieki». Najpiękniejszy ten ustęp na samym końcu powieści — miała to być ze strony poezyi rehabilitacya człowieka, którego twardy porządek ziemski potępił, a nad którym aniół boży w postaci kobiety owéj zapłakał. — Widzimy przeto że i w «Bieleckim» podobnie jak w «Maryi Stuart» wielką odgrywa rolę owa urywkowość i epizodyczność, pozwalająca autorowi znaczną część swego zadania co krok pozostawiać własnemu domysłowi czytającego.

Poemata «*Mnich*» i «*Arab*» są tylko odbiciem wrażeń wzbudzonych obcém natchnieniem. Rozczytywanie się w dziełach angielskich, a mianowicie Moora i Byrona, których fantazya lubiła się zasilać zasobami wschodniego świata, podało Słowackiemu myśl przeniesienia i swoich także ideałów na tło stosunków oryentalnych, chociaż ich wtedy nie znał jeszcze inaczéj, jak tylko z książek. «*Mnich*, pomimo nieprawdopodobieństwa w szczegółach, ma wiele piękności. Poeta stawia przed

nami zakonnika jakiegoś w klasztorze na górze Synaï, zdającego spowiedź z całego życia. Syn zwierzchnika jednego z najdzielniejszych pokoleń arabskich, przywodził i sam za młodu nieraz w napadach na karawany. Szukał niebezpieczeństw, bo gardził spokojem życia.

«Niegdyś na czele pokolenia ludu
Ścigałem w piaskach z płócien miasta błędne;
Niegdyś szczęśliwy, wśród nędzy i trudu,
Pogardy okiem patrzałem na nędzę»...

Gdy więc tak często zapędzał się ten Arab młody w stepy bezludne, zdało mu się jednego razu, jakby słyszał jakieś dzikie, melodyjne pienie, które mu z daleka wiatr zachodni przynosił.

«Wypuszczam konia i gonię za śpiewem.
Śpiew ten brzmiał w niebie, na ziemi do koła—
Coraz doganiam wyraźniejsze tony;
Wkrótce ujrzałem złoty krzyż kościoła:
Tym smutnym śpiewem brzmiały wasze dzwony.

Prześliczny jest opis pierwszego wrażenia, jakiego doznał ten syn pustyni za wnijściem do chrześcijańskiéj świątyni.

«Wchodzę — stanąłem przy ciemnym filarze
Już nie pamiętam wrażenia téj chwili—
W oczach się lśniły złociste ołtarze,
Wyście śpiewali i światła palili,
Ściana jak niebo gwiazdami okryta;
Każda kolumna jak palma stepowa,
A na jéj czole złoty liść rozkwita,
A pod jéj stopą skała marmurowa,
Promień z barwionych bijąc szyb kościoła,
Niósł z sobą obraz na szkle malowany,
A potém w dymie kadzideł zbłąkany,
W mglistych błękitach utworzył anioła.
Nie znałem wówczas sztuki malowidła,
Widziałem tylko, że anioł nademną
Roztaczał złotem malowane skrzydła,
Spływał i patrzał w duszę moję ciemną—
Wtenczas rzuciłem ojców moich wiarę...,

Lecz skutki tego nawrócenia były fatalne dla młodego Araba.

«Ty mówisz, mnichu, że to dzieło cnoty?
Ale Bóg ciężką zesłał na mnie karę!
Dni moje gorzkie zatruły zgryzoty,
Wszyscy odbiegli, bracia się zaparli,
Sam ojciec przeklął: — «Idź wyrodne dziecię!
Idź w świat i zostań sam jeden na świecie!»—
Przeklął — i wszyscy przede mną pomarli!»

Ta klątwa ojca spełniła się dosłownie. Wkrótce młody renegat, znieważony przez brata, zabił go, nie wiedząc, komu śmiertelną ranę zadaje. Następnie przywdziawszy habit zakonny, zakopał się w owym samotnym klasztorze. Lecz i tam dosięgła go fatalna siła przekleństwa. Przy odpieraniu napadu tłuszczy Arabów, którzy uderzyli na klasztor, żeby go złupić, jego to oręż powalił trupem wodza zbójców. Klasztor został ocalony, ale się okazało, że tym wodzem — był jego ojciec... I oto serce Mnicha znowu zaczyna się domagać praw swoich, których zaspokoić nic nie zdoła na ziemi. Świat nowy, w który przeszedł, murem opasany klasztornym, nie odpowiada jego pragnieniom. Pod kapturem zakonnym

«Myśl moja wyschła jak źródło stepowe,
Ja sam jak palma usycham i więdnę...»

Kona więc samotny, opuszczony przez wszystkich, czując się w klasztorze jakby wygnańcem z innego świata.

«Napróżno oczy podnoszę ku niebu,
Ciężka śmierć moja — z podwoi kościoła
Dochodzi do mnie smutny śpiew pogrzebu;
I orszak mnichów — niosą kir, kobierce —
I światła w rękach — i zakryte czoła —
Modlą się za mnie — lecz nawet pozoru
Nie ma boleści!.. zimne mnicha serce
I modły zimne, jak mury klasztoru!»

Ostatnia jego wola:

«Nieście mnie w stepy tam szukać grobowca;
Miło umierać wśród kwietnéj oazy,
Widziałem drzewa, co proszą wędrowca
Zachwianym liściem, by spoczął pod cieniem;
A gdy się zbliży drżą radości drżeniem: —
Tam drzewa czują — tu ludzie jak głazy.»

Poemat «*Arab*» jest płodem już nie fantazyi, lecz jakiejś mizantropii szalonéj. Poeta przesuwa przed oczyma naszemi

burzliwego jak huragan stepowy, nie człowieka, ale demona jakiegoś, którego przeszłość zgoła niewiadoma, a tém samém i powody całéj jego wściekłości przeciwko ludziom.

O poemacie «*Żmija*» powtórzymy dosłównie zdanie Małeckiego, że «ten oryentalno-ukraińsko-historyczno-fantastyczny poemat nie tylko z wyższego, to jest etycznego punktu widzenia, ale nawet i pod względem artystycznym, uważać trzeba za pracę, która się zupełnie nie udała autorowi». Poeta sądził o tém inaczéj. W jednym z listów do matki (1832) pisze: «*Żmija* zdaniem mojém i wszystkich (?) jest najdoskonalszym z moich poematów. Jeden z najsławniejszych naszych krytyków (?) powiedział o mnie przeczytawszy Żmiję, że cały naród ożył w pieśni; że tam, gdzie inni z murów cegiełki dobywali, ja całe mury wzniosłem. Cieszy mnie, że Żmiję wszyscy znajdują najlepszym, bo to jest ostatni mój poemat; widać więc, że postępuję i kształcę się». Snać go łudziła albo ta okoliczność, że było to najmłodsze dziecię jego ducha, albo mu też może to pochlebiało, że cała osnowa tego poematu była jego własnéj inwencyi. W objaśnieniu dodaném na końcu poematu autor mówi: «Romans tu umieszczony (autor nazwał *Żmiję* «Romansem poetycznym z podań ukraińskich») jest prawie zupełnie utworem wyobraźni. — Na Ukrainie lud dotąd pokazuje wał ogromny, Wałem Żmii nazwany. Niektórzy sądzą, że Żmija był jednym z piérwszych i najdawniejszych wodzów Zaporoża; inne podanie niesie, że szatan pod postacią Żmii, niósł wielki kamień chcąc nim kościół przywalić, i przerażony kura zapianiem, głaz na stepie upuścił. Idąc za piérwszą z tych powieści, utworzyłem osobę bajeczną, będącą bohatérem mojego romansu, i z nią powiązałem różne przez historyę wspominane wypadki. I tak prawdziwą jest rzeczą, że Kozacy z czajkami wybiegali na Czarne morze, spalili wiele miast Natolii i Cylicyi, a zapędziwszy się aż pod Carogród, ogień w przedmieście Pera zanieśli. — Sułtan przerażony, widząc płonące wieże Bosforu, złotem okupić się musiał. W papierach znalezionych w kuli na kościele ś. Jana w Warszawie, a które Niemcewicz w Pamiętnikach o dawnéj Polsce umieścił, znajduje się wzmianka o Kozakach. Ztamtąd powziąłem wiadomość, iż któryś z Baszów w niewolę przez Kozaków ujęty, na pośmiewisko w klatce, jak drugi Bajazet, był uwięziony. Opisy miejsc po części z Grądzkiego, po części z Beauplana wyjęte. Za czasów tego ostatniego, widziano na najwyższéj z wysp Czartomeliku ruiny zamku tak postawione, aby je woda, wiosną inne wyspy

zatapiająca, dosięgnąć nie mogła.—W tymże autorze wyczytałem, jak galery tureckie zapędziwszy się za czajkami, zginęły w labiryncie wysp czartomelickich zbłąkane. Tenże pisarz opisuje sposób, jakim Kozacy i Tatarowie na sumaki polowali, a obraz téj obławy starałem się wiernie w pieśni piérwszéj romansu wystawić, równie jak sposób zdobywania czajkami okrętów tureckich, w czwartéj pieśni opisany. Niekiedy idąc za duchem poezyi ludu ukraińskiego, chcąc obraz żywiéj wystawić; porzucam sposób opisowy, i opowiadanie wkładam w usta sternika kozackiego»... I oto już wszystko, z czego samemu dopiero wypadło autorowi dosnuć sobie reszty osnowy dla zapełnienia poematu. Nie znając zresztą ani okolic naddnieprzańskich, ani krajów tureckich, które to światy obydwa służą tu na przemian za scenę zdarzeń, zmuszony był puścić wodze fantazyi i ledwie się gdzieniegdzie wiadomościami z drugiéj ręki zasilał, jakich mu dostarczali Beauplan, Grądzki, Zaleski, Goszczyński, a głównie poeci angielscy, malujący oryentalne stosunki. Z téj to głównie przyczyny koloryt Żmii zanadto jest mglisty, wątpliwy. Sfera tego poematu zanadto jest fantastyczna, jak na poemat podaniowy; a zanadto ma znowu barwy historyczno-miejscowéj, jak na utwór czystéj fantazyi. Jest to ni to, ni owo. Drugą kardynalną wadą poematu (pomijając już nieprawdopodobieństwo w szczegółach) jest posunięte po za wszelkie granice miary rozstrzelenie pojedyńczych ustępów. Niepodobieństwem jest dla czytelnika, aż do środka pieśni przedostatniéj, ogarnąć okiem wiązania łączące poszczególne zdarzenia i epizody w całość. W piérwszéj pieśni poeta maluje łowy na sumaka. W drugiéj wprowadza nową zupełnie postać Ksenię, a w sam środek tego epizodu wkłada długą powieść kozacką o Rusałce w sposobie dumek Zaleskiego. W trzeciéj pieśni zastępuje nam drogę znowu inny obraz, obraz zbrojnéj wyprawy czajek kozackich na morze Czarne, lecz jednocześnie wychyla się zagadkowa postać Zulemy. W pieśni czwartéj przychodzi na pełném morzu do boju między czajkami Żmii a jakimś okrętem tureckim. Selim, syn baszy i dowódcy tego okrętu, ginie w téj walce, sam basza pierzcha. Lecz kto ten Selim? kto ten basza? jakie znaczenie téj potyczki na morzu? Czy było to tylko zajście przypadkowe, czy też ma bliższy związek z główną osnową?— to wszystko — jeszcze zagadka. I w piątéj pieśni cała piérwsza połowa ma pozory ustępu nie należącego do rzeczy. Chodzi tu o wzięcie w niewolę jakiegoś baszy natolskiego, które też i przychodzi z wielkim trudem do

skutku. Dopiero od środka téj części Żmii naraz zaczyna się wyjaśniać, że te wszystkie pasma rozpierzchłe, które w pojedyńczych pieśniach nużyły i niecierpliwiły uwagę, tworzą całość jednolitą i dopełniają się wzajem. Ale to spóźnione odkrycie nie zdoła już zmienić sądu czytelnika o dziele, które w ciągu czytania nie bardzo zajmowało.

Po rozpatrzeniu tych piérwszych prac Słowackiego, łatwo pojmiemy słowa Mickiewicza, że poezya tego młodego wieszcza — to gmach, stawiany piękną architekturą, jak wzniosły kościół, tylko że w kościele tym Boga nie ma. Nie zarzucał mu Adam braku religii, ale brak rzeczy, która tém samém jest w poezyi, czém jest obecność bóstwa w kościele; zarzucał brak tego, co stanowi cel wszelkiéj sztuki, a tém jest: wiara w lepszą cząstkę człowieka i w możność doskonalenia się jego tak jako jednostki, jako i w zbiorowości. Sceptycyzm społeczny zabija wszelkie popędy działania, a tém samém znosi i podstawę samejże poezyi, téj najpotężniejszéj dźwigni z materyalizmu ku ideałom. W kilkanaście lat potém i samemu autorowi Żmii otworzyły się oczy na ten brak w początkowych jego kreacyach. «Wstyd mi — mówił pod koniec życia — wielu melancholij byrońskich. Strach, aby one nie zaraziły innych». W saméj rzeczy, była to tylko jakaś naleciałość zkąd inąd, któréj się w młodszych latach wielki ten talent poddawał. Byronizm przyjął Słowacki nie tylko za regulatora w pracach swoich autorskich, ale poniekąd nawet i w życiu. I w życiu swojém, zwłaszcza za młodu, był on w wyobrażeniach i sądach, w nałogach i imaginacyjnych cierpieniach swoich, co się nazywa *bajronistą*.

W wydanym w r. 1833 tomie trzecim Poezyj Słowackiego zajmuje główne miejsce «powieść poetyczna» w dwóch pieśniach nazwana *Lambro*. Rzecz wzięta jest z historyi nowogreckiéj, z drugiéj połowy zeszłego wieku. W przedmowie autor powiada: «Lambro jest to człowiek będący obrazem naszego wieku i bezskutecznych jego usiłowań; jest to wcielone szyderstwo losu, a życie jego jest podobne do życia wielu teraz mrących ludzi, o których przyjaciele piszą czém być mogli, o których nieznajomi mówią, że nie byli niczém»... Bohatérem poematu jest młody wódz w jedném z tych licznych powstań, jakie poprzedziły wydobycie się ostateczne Greków z pod tureckiego jarzma. Zawiedziony w swoich nadziejach, zostaje korsarzem. Widzimy w nim rodzonego brata Mindowy, Botwela, Żmii i t. d. Melancholia i sceptycyzm — oto znamiona choroby duszy tego

człowieka. Na twarzy jego «jakiś szatan męsza» rozpacz i śmiech szyderczy, i cierpienie; a na dobitek, kochanka wyczytuje na niéj «ostatni stopień wszystkich nieszczęść... nudę». To też szerzy on śmierć z obojętnością około siebie, i z uśmiechem dziwnéj radości patrzy nawet na konanie własnych majtków, którzy wiernie dzielą z nim wszystkie koleje losu. Dodajmy do tego, że człowiek ten

...«co dnia bledszy o północy
Szaleje trucizn namiętném piciem
I życie mieni na sen gorączkowy» —

t. j. po prostu mówiąc, zapija się, a wstrętem nas przejmie ów bohater «będący obrazem naszego wieku i bezskutecznych jego usiłowań». Zdawałoby się, że Słowacki chciał napisać parodyę, celem wyszydzenia podobnych ludzi, narzucających się społeczeństwu za przewodników, a którzy są prawdziwą plagą naszego wieku. Lecz nie! Poeta, tworząc karykaturę, rozumiał, że stawia ideał! W przekonaniu, że roztacza obraz poetycznéj wielkości, starał się on bohatera swego uposażyć we wszelkie warunki, zapewniające dla postępków jego współczucie i podziw czytelnika: gdy tymczasem odsłania się z pod tych sztucznych osłon wyobraźni autorskiéj sama tylko nędza i zgnilizna moralna, tém przykrzejsza dla oka, że występuje z olbrzymiemi uroszczeniami i z dumą, któréj nic zgoła nie usprawiedliwia. — Jedynym ustępem, który każdego zachwycić musi w tym poemacie (pomijając prześliczne obrazy wyidealizowanéj natury, kreślone z namiętném upodobaniem), jest opis wykonania wyroku na skazanym na śmierć poecie *Ryga'sie*.

Wstąpił na pokład Ryga wśród Janczarów,
Kiedy chciał mówić, słowa mu nie dali;
Więc tylko okiem raz rzucił po fali,
Spojrzał na mgłami osrebrzone góry,
A wtenczas ucichł dźwięk niesfornych gwarów,
W szmer się zamienił gasnący — ponury —
I była cisza. — Z ciszy wybłąkana
Pieśń, między Turków urodzona tłumem,
Na kilka cichych głosów rozłamana,
Rośnie i z fali kołysze się szumem:
Rzuciła w tłumie grzmiące Rygi hasła,
Powstańcie Grecy! ale Grek nie słyszy,
Powstańcie Grecy! brzmiało — ale ciszéj —
Do broni — cicho — pieśń znikła — zagasła.

Pieśń serce Rygi przy skonaniu kruszy,
Lecz radość widna z twarzy i z postawy:
Jak gdyby przeczuł nieśmiertelność duszy —
Może czuł tylko nieśmiertelność sławy?

Widziałem, ja sam widziałem, o Greki!
Jako na wielkie wstąpił rusztowanie,
Widziałem wszystko — i tłumiłem łkanie —
On był tak młody — nie zmrużył powieki,
Choć śmierć tak blizka! choć śmierć tak straszliwa!
Jeszcze go widzę, jak zasłonę zrywa;
Jeszcze go widzę — jak pod nieba stropy
Na rusztowaniu stanął — i smutnemi
Oczyma dawał pożegnanie ziemi,
Siłom młodości — marzeniom młodości,
Wtém szczeble pękły wymknięte z pod stopy —
Nie mam wyrazów. — Któż mu nie zazdrości
Śmierci, teutońską sprowadzonéj zdradą?
Lecz któż się zemści? któż w całym narodzie?

I właśnie słońce wstawało na wschodzie,
I promień z rannéj otrząśniony rosy,
Pozłocił Rygi twarz martwą i bladą,
I na ramiona spływające włosy.
Na twarzy siłę ukazał niezmienną,
Uratowaną z męczarni rozbicia;
Na twarzy walczy senna boleść życia
Z długą boleścią wieczności — bezsenną.

Kordyan, jest jakby słupem granicznym pomiędzy bajrońskim okresem w zawodzie Słowackiego a dobą naturalniejszych natchnień i więcéj samodzielnych kierunków. Jest to tylko ułamek większéj całości, do utworzenia któréj nie przyszło. Autor zapowiadał trzy takie dzieła, związane pomiędzy sobą węzłem trylogii. «Kordyan» stanowi tylko część pierwszą trylogii. Dalszych części nie ma. Dzieło to jest nieregularnym, niescenicznie ułożonym, lecz za to wielkiéj lirycznéj siły dramatem. Blizkie pokrewieństwo łączy je z «Dziadami» Mickiewicza i «Dziejami Wacława» Stefana Garczyńskiego. Szczególniéj ten ostatni poemat wpłynąć musiał na wyobraźnię poety w chwili, kiedy obmyślał układ Kordyana. Wartość Kordyana artystyczna wprawdzie nieskończenie jest wyższa; ale

założenie, główny pomysł i zamiar poetyczny w obydwóch tych utworach jest niewątpliwie — jeden tylko. Charaktery wprawdzie głównych figur znacznie się różnią. Wacław — to filozof, myśliciel; wrodzoném usposobieniem swojém więcéj na Fausta, albo na Hamleta zakrawa. Kordyan przeciwnie jest marzycielem namiętnym i entuzyastą, — w pierwszéj wiośnie życia podobny do Wertera, w dalszéj młodości przypomina Manfreda; w głównéj zaś akcyi, w sile wieku (w III akcie), jest typem samoistnym, tém czém go chciał mieć poeta.

Pierwszy i drugi akt — są to tylko przystawki, niezawodnie szczątki dawniejszych planów, późniéj rzuconych. Powleka je jeszcze ów koloryt źle pojętego bajronizmu, jaki znamionuje młodzieńcze Słowackiego roboty. W akcie pierwszym spotykamy się z Kordyanem w jego 15 roku życia. Widzimy go — przynajmniéj powiada on to o sobie — cierpiącego bardzo! Cierpienia jego jednak nie wzbudzają najmniejszego współczucia. Jest to dziecko w karykaturze, przeżyte, strawione czczością życia jak starzec, paniątko jakieś, zepsute widać próżnowaniem i otoczeniem. Leży sobie oto wygodnie pod wielką lipą na dziedzińcu swojego dworu i marzy... o czém? — o świata tego marnościach! Już patrzy na rodzaj ludzki z piętra, jak genijusz; gardzi tłumem i żali się, że nie widzi celu życia przed sobą.

«Oto ja sam, jak drzewo zwarzone od kiści!
Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiędłych liści!
Celem uczuć — zwiędnienie; głosem uczuć — szumy!
Bez harmonii wyrazów. — Niech grom we mnie wali!
Niech w tłumie myśli jaką myśl wielką zapali»... i t. d.

Ale młodzieniaszek już zbyt jest mądry, żeby w co dodatniego wierzyć.

«Gdzie ludzie oddychają, ja oddech utracam.
Z wyniosłych myśli ludzkich niedowiarka okiem
Wsteczną drogą do zródła mętnego powracam».

Główną zaś przyczyną téj całéj biedy jest, że się małoletnie paniątko kocha.

«Jam się w miłość nieszczęsną całem sercem wsączył».

Przedmiotem téj miłości, dla tego nieszczęsnéj bo niewzajemnéj, jest Laura, osoba starsza nieco aniżeli kochanek, która

go też za dziecko — zresztą wiele obiecujące — uważa i jako takie traktuje. Ta Laura, jest to znana nam już panna Ludwika Ś., a Kordyanem w tym akcie jest nie kto inny, jak Julek Słowacki z czasów wileńskich. Poeta chciał tu dać wizerunek młodości spędzonéj nienaturalnie i tak niefortunnie, że z niéj jak z fałszywego punktu wyjścia snuć się już musiał i dalszy wątek życia bezładnie. Więc podłożył bohaterowi swemu żywcem historyę własnéj swojéj młodości, nad którą nie przypuszczał, żeby mógło być coś jeszcze jaskrawszego.

W akcie drugim Kordyan już jest dorosłym. Jak się zdaje, przebolał on już zawody, jakich w pierwszéj wiośnie wieku doznał w skutek owych melancholij miłośnych. Wyleczony zupełnie on jednak z tego wszystkiego nie jest. Szuka tedy zdrowia duszy pod różnemi niebami. Spotykamy go wędrowcem to w Londynie, to gdzieś na skalistém wybrzeżu morza, to na Watykanie, to na szczytach gór szwajcarskich. Raz go widzimy rzucającego się w sam wir zbytku i zmysłowéj rozkoszy — to znowu błądzącego samotnie z Szekspirem w ręku, albo oddającego korny pokłon głowie kościoła. Kordyan szuka wszędzie leków na swoję słabość, szuka trwałości i prawdy w uczuciach, szuka ducha w pozornych formach, imponujących jeszcze ludzkości. Pragnie znaleźć choć w jednym świata zakątku ten kwiat piękności i prawdy, któryby odpowiedział jego złotym marzeniom, a zakrył smutną rzeczywistość z przed oczu. Nadaremnie! To co go miało uleczyć, staje się dla niego nową trucizną. Przekonywa się, że wszystko jest na ziemi przedajne, zewnątrz pozornym szychem pokryte, a wewnątrz puste i martwe....

«Próżno myśl genijusza świat cały pozłaca,
Na każdym szczeblu życia rzeczywistość czeka.
Prawdziwie, jam podobny do tego człowieka,
Co zbiera chwast po skałach życia — Ciężka praca!»

Owoż więc straciwszy siłę ducha do reszty w tych wędrówkach pomiędzy ludźmi, rzuca się wreszcie w objęcia natury, natury dziewiczéj, niepokalanéj, dzisiaj jeszcze takiéj saméj, jaką kiedyś wyszła z rąk Twórcy. To jeszcze piękność — jedyna, ostatnia dzisiaj piękność w stworzeniu. Wspina się na sam wierzch najwyższéj góry alpejskiéj, ze szczytu jéj ogarnia okiem cały widnokrąg. I w téj to czystéj atmosferze, owianéj wonią lepszych wieków, zapala się w nim

pragnienie zużytkowania ostatnich szczątków życia na pożytek czegoś dodatniego na świecie.

«Uczucia po światowych opadały drogach...
Gorzkie pocałowania kobiety — kupiłem!
Wiara dziecinna padła na papiezkich progach —
Nic — nic — nic — aż w powietrza błękicie
Skąpałem się i ożyłem
I czuję życie!»
.....
«O! gdyby tak się wedrzeć na umysłów górę,
Gdyby stanąć na ludzkich myśli piramidzie
I przebić czołem przesądów chmurę,
I być najwyższą myślą wcieloną!
Pomyśleć tak — i nie chcieć? o hańbo! o wstydzie!
Pomyśleć tak — i nie módz? w szmaty podrę łono!
Nie módz? to piekło!
Mogę — więc pójdę!»...

W takiém usposobieniu — natchniony, porwany — ale tylko uczuciem i zapałem — nie wolą ani też konsekwencyą dawniejszego żywota, rzuca się Kordyan w wir czynów. Z winy własnéj i z winy okoliczności, wśród zawodu — upada.

Działania jego, od téj chwili począwszy, zamyka w sobie akt trzeci. Streszczamy tu pokrótce sąd Małeckiego o Kordyanie, jako bohaterze tego najlepszego ze wszystkich aktu.

Na tle wieku, z góry potępionego za karłowatość i niejako skazanego na to, żeby w dziejach minął bez wieści, stworzył poeta postać, która przerasta małość duchową ludzi tych generacyj, i czuje nędzę takiego życia, i pragnie je czém wznioślejszym zapełnić, i rzuca się z jednego kierunku w drugi... ale klątwa wieku położyła znamie swoje i na tym duchu. Jest to natura głębsza, ale chora na duszy; jest to entuzyasta, ale bez charakteru; jest to bohatér, ale o słabych nerwach. Reszta tłumu nie żąda i nie chce od niego poświęceń; ani rozumie, ani popiera wysileń podobnych ludzi. Tym — braknie znowu siły przelania swego zapału w ogół. Gore tedy cały ogień w ich własném wnętrzu, gore płomieniem jaskrawym, ale racowym: to też cała moc ducha i ciała u natur takich przedwcześnie zwęgla się w popiół. Kordyan Słowackiego łączy w sobie prawie wszystkie znamiona wielkości. Wzgarda życia, gotowość do ofiar, żądza sławy, dzielność i duma szlachetna —

są to niezawodnie warunki niezbędne człowiekowi mającemu pchnąć społeczeństwo nowemi tory. Pomimo tego wszystkiego, odsłonił w nim poeta także i własności ujemne, niedostatki, dla których one zarody wyższości nie dorastają do rozmiarów prawdziwéj wielkości charakteru, na jaki się niby zanosi. W ogóle jest coś spaczonego, jest i coś z sobą sprzecznego w tym duchu. Szuka on pola szerokich działań i nie wzdraga się przed żadnemi trudnościami; a w każdéj jednakże sprawie hamują go jakieś pęta, staje mu na przeszkodzie jakaś siła, któréj nie zwalczyć. Te pęta, ta siła jemu na przeszkodzie stojąca — one wynikają głównie z niego samego. I w tém też właśnie tragiczność jego zawodu. Jedną z głównych takich ujemnych własności w charakterze Kordyana jest melancholia. Komu się smutek wpije aż w samą rdzeń serca i zamieni w drugą naturę, takiego człowieka dzielność duchowa jest jakby znurtowana. Każde istotniejsze wstrząśnienie wystarczy, aby odsłonić niemoc na zewnątrz takiéj wiecznie w sobie tylko pracującéj natury.

— «Wierzcie mi, wierzcie ludzie! jam jest wielki, mocny» — woła Kordyan w uniesieniu uczucia, lecz natychmiast dodaje słowa, które to zapewnienie potężnie ograniczają:

«Jedyną słabość zamknę w sercu tajemniczem —
Robak smutku mnie gryzie... tak że mówiąc z wami,
Chciałbym przestać — i usiąść i zalać się łzami!...»

W ogóle zdaje się, że było zamiarem Słowackiego okazać jakąś sentymentalną miękkość w naturze swojego bohatera. W innem miejscu wkłada w usta jego następujące słowa:

«To nic, starcze! To włos mi siwieje i boli —
Włos każdy cierpi — czuję zgon każdego włosa;
To nic. — Na grobie wsadzisz dwie różdżki topoli
I różę. — Potém spadnie łez rzęsistych rosa,
To mi włosy ożyją. — Masz pióro przy sobie?
Chciałem spisać imiona płaczących nademną.
Ojciec w grobie — i matka w grobie — krewni w grobie —
Ona — jak w grobie. — Więc nikt po mnie! wszyscy ze mną!» i t. d.

Kto tak fantazyuje przed czasem, kto tak ze łzami rozbiera uczucia swoje, ten nie zdolny do czynu. — Lecz są i inne jeszcze strony w charakterze Kordyana, których niepodobna

nazwać inaczéj, jak chorobami wieku. Zważywszy na brak miłości ludzkiéj, zdradzający się mimowolnie w wyznaniu Kordyana, «że nie ma nikogo na świecie, któremuby miał coś do przekazania... że nikt z ludzi nie był dla niego przyjacielem»; zważywszy na dalsze jego słowa, iż słyszy «jakiś głos tęsknoty w głębi ducha swego», który

«Pamiątek woła i śladu na świecie:»

niepodobna nie widzieć, że wiele w téj naturze jest niekonsekwencyi i jak na bohatera, za jakiego on sam chciałby siebie uważać — nader drobniuchnych, acz zresztą wcale ludzkich i poetycznych nawet podnietek. Jeżeli bowiem tacy mu obojętni ludzie, że nie obdarzył ani jednéj duszy na świecie imieniem przyjaciela, to na cóż mu w takim razie ów «ślad na świecie», którego pragnie koniecznie? i dla kogoż te «pamiątki», któreby rad pozostawił po sobie? A nadto: czy to świat jedynie temu winien, że Kordyan na nim nic miłego dla siebie nie pozostawił? Czy Kordyan żył w świecie? czy w nim żył w taki sposób, że zasłużył na miłość ludzką? — Wszakże słyszymy w téjże saméj scenie i następujące z ust jego wyznanie:

«Gdybym był wiedział, że tak bez powrotu
Ziemię żegnałem: przed chwilą odlotu
Patrzałbym na świat innemi oczyma —
Dłużéj, ciekawiéj, a może ze łzami; —
Bo tam pomiędzy ogrodu kwiatami
Jest pewnie piękny kwiat — a ja go nie znam!
Może dźwięk jaki nowy struna daje,
A jam nie słyszał! — Czegoś mi nie staje!» i t. d.

Jeżeli gdzie, to właśnie w akcie trzecim Kordyana, okazał Słowacki tyle świetności i potęgi prawdziwego talentu dramatycznego, że tylko dziwić się można, że nie zajął w późniejszych swoich pracach odpowiedniego takim początkom miejsca w tym rodzaju poezyi. Dramatyczne jego pisma późniéj wydane ani siłą ani przedmiotowością, ani wreszcie samą artystyczną dzielnością nie dorównywają już tym kilku mistrzowskim scenom, tworzącym akt pomieniony. W ogóle jest to część utworu, którą pod względem artyzmu zaliczyć należy do najpiękniejszych rzeczy, jakie literatura zawdzięcza Słowackiemu.

Anhelli należy do symbolicznego rodzaju poezyi. Lecz uwzględniając nawet pewien charakter tajemniczości właściwy

temu rodzajowi, niepodobna nie dopatrzyć w Anhellim czegoś artystycznie niewłaściwego, czegoś naciągniętego. Użyty symbol słabo odpowiada podłożonemu sobie znaczeniu. Przytém wiele ustępów całkiem usuwa się z pod możności wykładu, okazując, że autor nieraz zbyt się daleko dawał porywać fantastyczności i przesadzał niekiedy w dobrych chęciach otoczenia symboliczności poezyą i cudownością. W tém całe źródło mglistości i wszystkich w ogóle wad Anhellego. Wątpić się godzi, czy był kto dotąd tyle szczęśliwy, żeby się mógł pochwalić, że w utworze tym na wskróś przeniknął cały zamiar autora. Pomimo tego— rzecz dziwna! — nieprzystępność i niejasność w całym Anhellego układzie doznaje w wyjątkowy sposób szczególnéj pobłażliwości u wszystkich. Cudny język, dziwnéj czystości formy, kilka postaci wymarzonych z niezrównaną poezyą i te prześliczne ustępy, tu i owdzie po całém dziele rozsiane, które już same przez się zostawiają jakiś smętny obraz w myśli czytającego — wszystko to zjednało Anhellemu sławę jednéj z najlepszych kreacyj Słowackiego. Zygmunt Krasiński, kiedy się dowiedział o śmierci Juliusza, pisał do przyjaciół jego w Paryżu zajętych właśnie pogrzebem:— »Połóżcie mu napis na grobie: *Autorowi Anhellego*, a ten jeden wystarczy dla zapewnienia mu sławy na pokolenia przyszłe«. Ze słów tych widać, że autor Irydiona najwyżéj stawiał Anhellego między wszystkiemi utworami zgasłego przyjaciela. A skoro tak wysoko dzieło to cenił, zdawałoby się, że je musiał i doskonale rozumieć. Czy je rzeczywiście rozumiał? niewiadomo. »Był snać w owém pokoleniu poetów— mówi Małecki — jakiś dziwny pociąg do tajemniczości w artyzmie, tak iż mglista zagadkowość dzieł poetyckich nie była poczytywana za ułomność, lecz raczéj przydawać miała uroku częściom obrazu więcéj wydobytym na światło. Co tonęło w pomroku, choć nie przemawiało do oka, mówiło do wyobraźni. A ta po swojemu— u każdego czytelnika inaczéj — dopełniała tego, co w obrazie było zakrytém. Nie chodziło o to, co poeta zamierzał, ale co się dawało marzyć nad książką w duszy własnéj. Było to, jak z utworami muzyki, które także wzbudzają myśli w słuchaczach, ale zazwyczaj w każdym inne i aż do pewnéj granicy zupełnie dowolne«. To tylko nie ulega wątpliwości, że scena powieści jest tylko pozorną, a osoby odgrywające na niéj swe role, przedstawiają symbolicznie całą społeczność. Sam Anhelli, jest to poeta w społeczeństwie. Zamieszkał w nim anioł poezyi i zamienił go całego na swoje

tylko narzędzie— czyli jak to po kilka razy wypowiada w dziele swojém Słowacki: »Anhelli opętany jest przez Anioła«. Będąc »czysty jak lilia biorąca z wody liście i kolory niewinne«, czuje miłość serdeczną dla ludzi i litość; lecz ta jego wyższość duchowa nie staje się nikomu do niczego przydatną. Drogi jego takie, że po nich idzie samotny, smutny... Najwznioślejsze uczucia jego zużywają się w sobie, nie przetwarzają się w czyny. Całe życie jego upływa mu więc bezczynnie, w odosobnieniu, w niewysłowionym smutku. Nie widać, żeby z tego wynikał jaki owoc — czy to dla niego samego, czy dla pokolenia, pośród którego żyje. A jednak jest konieczność i cel takiego życia, tylko że Anhelli tego nie wie o sobie i nie powinien, nie może o tém wiedzieć. Inaczéj bowiem cierpienia i smutek ten nie miałyby ani tego stopnia ani tego znaczenia.

—»Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzą na mnie— mówi Anhelli o sobie. Sąż to gwiazdy te same, które mię widziały młodym i szczęśliwym? Dla czegoż nie powstanie wicher, co mię z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą? Dla czego ja żyję?

»Oto już jednego włosa nie ma na głowie mojéj z tych, które były dawniéj; oto się nawet kości we mnie odnowiły: a ja zawsze pamiętam.... A nie ma jednéj kawki w powietrzu, którąby nie spała przez jednę noc życia w spokojném gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał.

»Chciałbym umrzeć. Bo zdaje mi się, że gdy będę umarłym, to sam Bóg pożałuje tego, co ze mną uczynił.«

Ta smutna egzystencya bez pociech i bez świadomości celu, któremu służy, stanowi »ofiarę spokojną«, na którą wybrany jest Anhelli. — »On był przeznaczony na ofiarę, nawet na ofiarę serca« — mówi Anioł Eloe, — i w téj to właśnie myśli zawiera się założenie dzieła.

Rola Szamana w poemacie jest jedną z podrzędnych. Chodziło o to, ażeby pośród pokolenia, przywalonego fatalizmem szału i grzechu, dać się czasem odezwać głosowi siły i prawdy.— Ellenai jest tylko akcessoryum do Anhellego. Wyobraża jedyną ze znikomych osłód, która mogła zastąpić temu zbolałemu sercu jakiś cień ludzkiego szczęścia. Chodziło widocznie poecie o to, ażeby ukazując, jak u stóp jego przedwczesną śmiercią umiera jedyna istota, która go rozumiała, tém posępniejszym jeszcze uczynić obraz smutku pierwszorzędnéj w poemacie osoby. — Najfantastyczniejszą postacią w Anhellim jest

Eloe. To łzawa, cicha, rzewna pamięć po zmarłych, przywiązana do mogił, gdzie leżą ich kości, i zarazem obecna w sercach, dla których te mogiły są drogie i swoje. Takiéj to pamięci, takiéj sławy pragnął dla siebie poeta nasz, i taka tylko jéj postać zdawała mu się godną zająć miejsce w jego obrazie. Stworzywszy sobie symbolicznie wcielenie tego pomysłu, widząc go w kształcie niewieściego anioła »z białemi skrzydłami i ze smutną gwiazdą na włosach, który chowa umarłe i strzeże ich grobów«, zadumał się autor nad tą cudną postacią. I fantazya jego twórcza pochwyciła tę allegoryę w swój zakres. Myśli poety popłynęły daleko: znalazły się całe dzieje, cały rodowód dla téj istoty anielskiéj.

»Oto się zowie Eloe, a urodziła się ze łzy Chrystusowéj na Golgocie...

»Gdzieindziéj napisano jest o Anielicy téj, jako zgrzeszyła ulitowawszy się nad męką ciemnych Cherubinów i umiłowała jednego z nich, i poleciała za nim w ciemność...

»A teraz jest wygnaną... i ukochała mogiły i piastunką jest grobowców, mówiąc kościom: nie skarżcie się, lecz śpijcie!

»Przywyknij do niéj za życia, albowiem będzie na mogile twojéj stąpać przy blasku księżyca; przywyknij do głosu jéj, abyś się nie obudził, gdy mówić będzie.«

Powstał w taki sposób ideał dziwnéj czystości — eteryczny i niebiański; ale symboliczne znaczenie ulotniło się z tego obrazu.

I wiele pozostaje szczegółów, wiele ustępów w Anhellim, które analizy nie dopuszczają. Jest to ta treści jego połowa, która i wynikła z saméj tylko fantazyi, i nie przemawia, jak do fantazyi. Ubolewać trzeba, że nie ma wydatniejszéj granicy pomiędzy miejscami tego właśnie rodzaju a szczegółami, które coś znaczą. Przez zręczniejsze rozdzielanie świateł i cieni, jako też przez baczniejsze przestrzeganie miary wszędzie właściwéj, mógł był poeta ten dział fantastyczny i tylko akcessoryalny widoczniéj odznaczyć od symbolicznych poematu ustępów. Tego zupełnie zaniedbał. Drugi zarzut możnaby Anhellemu uczynić ze strony wniosków, które zeń wynikają. »Doktryna ostatecznie przeprowadzona w Anhellim — mówi Małecki — jest mętna i fantastyczna. Gubi się ona w nieznurtowanych głębinach mistycyzmu. Mistycyzm ten w pojęciu o prze-

znaczeniu swojém na świecie, jako poety, daje się wprawdzie poniekąd zrozumieć u Słowackiego. Położenie jego było w owych latach, kiedy utwór ten pisał, tak smutne pod każdym względem, że wcale się dziwić nie można, iż go znajdujemy przywalonego takiém brzemieniem moralnego znękania. Bezwzględnie i przedmiotowo jednak rzecz biorąc, trudno to inaczéj nazwać, jak zbłąkaniem — szukaniem wyjścia z trudności na drodze, która do celu nie wiedzie«.

Poemat Piasta Dantyszka o Piekle nie należy do celniejszych utworów Słowackiego. Była to praca okolicznościowa, wywołana samą miejscowością jego ówczesnego pobytu. Natchnienie prawdziwe nie dawało tu poecie tych skrzydeł, na których w innych czasach wznosił się nieraz w najwyższe sfery twórczości. Był to więcéj płód woli i rozmysłu, niż bezpośredniego rzutu fantazyi.

»Trzy Poemata«— »Balladyna«— »Mazepa«— »Lilla Weneda«— do których dołączyć można i »Beatryx Cenci«, jako sztukę napisaną w tym samym czasie, co i poprzednie (1835—1837), są to stosunkowo najlepsze i zarazem najniezawiśléj od obcych wpływów wykonane utwory Słowackiego. Odrębność sposobu Juliuszowego najwidomiéj w nich się odsłania. Tym to rzeczom przedewszystkiém zawdzięcza poeta nasz to świetne w literaturze stanowisko, jakie ostatecznie zająć potrafił.

W tomiku zatytułowanym »Trzy Poemata« były objęte trzy odrębne powieści: Ojciec Zadżumionych, W Szwajcaryi i Wacław. Najwcześniéj (1835) powstał wiersz *W Szwajcaryi*, niezrównanego wdzięku sielanka. Budowa jéj i przeprowadzenie nie pozostawia nic do życzenia. Owiewa ją wprawdzie pewna zagadkowość, nie dozwalająca czytelnikowi wnijść w sam środek dramatu uczuć, które się w dalekiéj odległości przed oczyma jego malują: ale ten odstęp pomiędzy opowiadaniem i tymi, co opowiadania słuchają, leżał w zamiarach poety, i wszystko na to jest obliczone.

Treść wiersza tego jest nieskończenie prosta. Spotykamy się z parą, którą łączy miłość, następnie i przysięga: oba te węzły rozrywa los jakiś — nienazwany nawet z imienia, niweczący to szczęście w samym zawiązku... I oto cała już treść sielanki — mimo prostoty i najzupełniejszéj zużytości przedmiotu, przeprowadzonéj jednak z taką świeżością barw, w sposób tak zgoła nowy i z tak dokładną a mistrzowską genezą tych wszystkich przejść, z jakich się sprawy tego rodzaju między ludźmi kojarzą, że opowieść dziejów tak krótkich

urasta na poemat, a zajmuje jak dramat. Przyczyniło się może do podniesienia przedmiotu i tło, na którem rzecz osadzona, uwite z najpiękniejszych rysów przyrody, jakich tylko dostarczyć mogły góry, łąki, jeziora i wodospady Szwajcaryi. Najwięcéj jednak ułatwiła osiągnienie takiego skutku ta okoliczność, że poeta podobnie jak Goethe w Werterze, Mickiewicz w Dziadach i t. d. odtwarzał tu po części zdarzenia rzeczywiste, uczucia serca własnego. Prawda zatém i zmyślenie, rzeczywistość i poezya, miłość człowieka i genijusz artysty podały tu sobie ręce, ażeby złożyć utwór, w którym nie wiedzieć, co wprzód i co więcéj podziwiać: czy idealność całéj inwencyi, czy realizm i swobodę naiwną, z jaką najmniejszy szczegół jest opisany. Każdy rys zdaje się być wzięty z natury, całość obrazu jednak ma w sobie coś nadziemskiego. Żadna literatura nie posiada dzieła, w którémby przedmiot miłosny był traktowany z takim platonizmem, a przecież tak plastycznie.

Zygmunt Krasiński o wierszu »W Szwajcaryi« następujące wyraził zdanie: — »Jest to tak prześlicznie idylliczne a zarazem tragiczne, tak oderwane a zarazem prawdziwe, że nic podobnego o miłości marzonéj nie znam w żadnym języku. Są tam takie szklistości, takie przezrocza, takie bańki tęczane, takie wieńce świeżych wisien nad główkami śnieżnych gołębi, takie przymilania się natury szwajcarskiéj, nachylania się gór i słupów z lodu ku sercu, które kocha i szczęsném jest, że czytając, zdarzało mi się wykrzykiwać po sto razy w duszy: »Niech go djabli porwą! Kto po nim potrafi wiersze pisać? Trzeba bezczelnym być, by się brać do pisania wierszy po przeczytaniu wierszy Juliusza!...«

Daleko niżéj stoi poemat *Wacław*, jakoby dalszy ciąg dziejów bohatera »Maryi« Malczewskiego. »Jeżelibyśmy mieli go cenić — powiada Małecki — według saméj tylko zewnętrznéj i artystycznéj wartości, zasadzając takową na wdziękach stylu, na sile kolorytu, na zdolnéj zaciekawić osnowie, na umiejętném wprowadzeniu kontrastów, na mistrzowskiém rzeźbieniu szczegółów i t. p., to sąd nasz o Wacławie wypadłby świetnie. Pod tym względem nie ustępuje on najlepszym utworom w tymże rodzaju Byrona. Pomimo tego jest coś jednak w téj całéj rzeczy, co wrażenie jéj osłabia i przy czytaniu sprawia uczucie niesmaku.« Powód tego kryje się w nieszczęśliwym

wyborze tematu. Słowacki daje tu przedmiot bliski, świeży, oznaczony, każdemu z nas dobrze zkąd inąd znany. Jest coś przeciwnego uczuciu wciskać się w czyjeś sprawy domowe, roztrząsać winy czyjeś, jeżeli one (jak tu po większéj części) tylko własnéj jego osoby tyczą, a nie oddziaływały na sprawy szersze, niż obręb murów jego pałacu, niż zakres stosunków jego familii. »Marya« Malczewskiego niezmiernie na tém zyskała, że zdarzenia zaszłe w wiadomym czasie i miejscu, przeniesione zostały przez poetę w odległą przeszłość, kiedy to jeszcze zdarzały się napady tatarskie, i w miejsca równie nieoznaczone, szeroko dla wyobraźni otwarte— na Ukrainę. Zajmuje tam więc czytelnika jedynie sam wypadek, tylko charaktery osób, wmieszanych w sprawę, i osób tych namiętności. Ale kto te osoby? gdzie ich szukać? kiedy żyły? o tém u Malczewskiego ani słowa. Inaczéj to wszystko u Słowackiego. Podejmując przedmiot, właśnie w skutek sławy »Maryi« obłożony wszystkiemi przyborami osobistości i historyzmu, miał on tu do pokonania już zupełnie inne trudności. Z jednéj strony miał do liczenia się z ustalonemi faktami; z drugiéj wkraczał w zakres kroniki rodzinnéj, w sprawy domu zanadto znanego w kraju, żeby to był dość swobodny i dość właściwy zakres dla twórczości prawdziwie poetyckiéj. Nawet gdyby się był najstaranniéj trzymał rzeczywistych wydarzeń, a w niczém nie popuszczał wodzów fantazyi: nawet wtedy poemat jego miałby pozór jakiegoś pamfletu *). Tém gorzéj zaś dla Słowackiego, że zamiast obliczać się z historyą, aż zanadto się rozmijał z faktami rzeczywistości! W przedmowie autor wprawdzie zapewnia, że »od prawdziwych nie odstępując podań, starał się tylko ile możności zidealizować rzecz pełną czarnych mętów i okropności«. Ale ani podania nawet nie usprawiedliwiają niejednego rysu, znajdującego się w poemacie, a sprzecznego z tém wszystkiém, co jest zkąd inąd wiadomém.

Ojciec Zadżumionych w El-Arish był prawdopodobnie owocem samotnych dumań poety w pustelniczym owym klasztorze na szczycie góry Libanu (1837). »Trudne jest (powiada Małecki) zadanie krytyki w obec rzeczy, mającéj pod każdym względem prawo nazywać się arcydziełem w swoim rodzaju.

*) W tym też sensie wspomniał o »Wacławie» Krasiński w liście do Gaszyńskiego.— «To znakomity poeta, powiada o Słowackim. Jednak w Wacławie potknął się— Malczewskiemu nie dotrzymał kroku. Nie jest to poemat— raczéj paszkwil; nie jest to poezya— raczéj anegdota...«

O pochwały trywijalne i o wykazywanie zalet, dla każdego widocznych, w razach takich chodzić nie może. Do zarzutów nie ma żadnego pola. Nie pozostaje tedy i przed »Ojcem Zadżumionych«, jak tylko schylić czoło i odkładając pióro na bok powiedzieć, że ani między Słowackiego tworami ani w całéj naszéj literaturze nie ma rzeczy, którąby wykończeniem, zwięzłością, siłą, prawdą, wreszcie mistrzowstwem niezrównaném w urozmaiceniu szczegółów przewyższała ten strasznéj grozy poemat. Czém posąg Laokoona, czém grupa Nioby w rzeźbie, tém to w poezyi. Jeżeli chodziło o przedstawienie ciosów nieszczęścia, walącego się na głowę upatrzonéj istoty, dopóki ta nie wyda z siebie ostatniéj łzy, ostatniego jęku, i przestając już prawie czuć po ludzku, nie zamieni się w marmur, z suchą powieką zdolny rozpamiętywać swoje boleści: to tego zamiaru zupełnie tu dopiął poeta«.

Główną osobą poematu jest Arab, odbywający z rodziną swoją kwarantanę na pustyni między Egiptem a Palestyną, blizko miasteczka El-Arish. Wszystkie dzieci, jedno po drugiem, zabiera mu anioł pomoru — a za każdym wypadkiem przedłuża się środek ostróżności — kwarantana... Opowiadanie o tym ogromie nieszczęścia poeta włożył w usta samego ojca.

Ojciec Zadżumionych w El-Arish.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty;
Maleńkie dziecko karmiła mi żona —
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina, dzisiaj pogrzebiona,
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów
Chodziło co dnia na piasku pagórki
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;
A wieczór — wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona z synaczkiem przy piersiach warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam — gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiecha —
Wszystko tam leży pod kopułką Szecha.
A ja samotny wracam! — O! boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści;

Odkąd do mego płóciennego dworu
W téj kwarantanie wszedł anioł pomoru.

O! niewiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się w mojém sercu dziś zamyka!
Wracam na Liban, do mojego domu —
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: starcze! gdzie są twoje dziatki? —
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: starcze! gdzie są twoje córki?
Najprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje — wszystkie pogrzebione
Tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha —
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem
Pytać się będą.— Cóż ja im odpowiem?!

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku,
Wielbłądy moje cicho się pokładły;
Dziecko, jak mały aniołek w obrazku
Karmiło wróble, a ptaszęta jadły,
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie —
Widzisz tę małą rzeczułkę w dolinie?
Od niéj wracała najmłodsza dziewczyna,
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
Przyszła do ognia i wodą z potoku,
Śmiejąc się, lekko trysnęła na braci —
Najstarszy— z ogniem zapalonym w oku
Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie
I rzekł: sam Bóg ci za wodę zapłaci,
Bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie.
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
Powalił się tu jak palma złamana,
Przybiegłem— nie czas już było ratować.—
Siostry go chciały martwego całować —
Krzyknąłem wściekły: niech się nikt nie waży!
Porwałem trupa i rzuciłem straży;
Aby go wzięła na żelazne zgrzebła,
I tam gdzie grzebią zarażonych, grzebła.
A od téj nocy tak pełnéj boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Téj saméj nocy Hafne i Amina
Umarły, leżąc na łożu przy sobie.
A patrz! — tak cicho umierały obie!
Że choć po śmierci najstarszego syna
Oczy się moje do snu nie zawarły —
Ja nie słyszałem jak obie umarły!
I nawet matka własna nie słyszała,
Choć wiem, że także téj nocy nie spała.
Rankiem, obiedwie sine jak żelazo,
Dwie moje córki, zabite zarazą,
Wywlec kazałem strażnikom z namiotu:
I porzuciły nas! — i bez powrotu! —
A jak dorosłym przystoi dziewicom,
Włosami ziemię zamiotły rodzicom.

Widzisz to słońce w niebie lazurowém?
Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,
Zawsze zachodzi za tą piasku górą;
Zawsze to niebo niesplamione chmurą:
A mnie się zdało wtenczas, nie wiem czemu,
Że słońce, słońcu nierówne złotemu;
I już nie takie jakie było wczora,
Ale podobne do słońca upiora.
A niebo, które patrzało na zgubę
Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci,
Tak mi się mgliste zdawało i grube
Ziemi wyziewem i słońca purpurą —
Że nie wiedziałem, czy pacierz doleci
Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.

I tak dni dziesięć przeszło, choć nie skoro.
Reszta mych dzieci żyła— wszystko czworo.
Małżonka moja serce miała lżejsze,
I nawet moje dzieciątko najmniejsze
Żyło, i kwiatkiem nie chciało usychać—
Ja sam nareszcie zacząłem oddychać —
Bo nie wierzyłem żeby wziąwszy troje,
Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje!—

O! była to więc piekielna godzina!
Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna,

Śmierć zobaczyłem.— Ach! ja go tak strzegłem!—
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny—
Niktby nie dostrzegł — ja, ojciec, spostrzegłem.
On do tamtego stawał się podobny;
Stawał się jak mój trup pierworodzony:
Z jasnego blady, z bladego czerwony.
Patrzę!— na twarzy plam żelaznych krocie,
Więc zawołałem głośno: śmierć w namiocie!
I pochwyciwszy go z takiemi trądy,
Wyniosłem na step, pomiędzy wielbłądy;
Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka;
I żeby na to nie patrzała— matka.

Przy konającym czuwaliśmy blizcy
Ja z wielbłądami— na kolanach wszyscy.
Łamałem ręce i wołałem głośno:
Oby nie umarł! lub się był nie rodził!—
A tam nad palmy, z twarzą nielitośną,
Gdy konał mój syn, blady miesiąc wschodził
I patrzał:— tego z pamięci nie zatrzeć!
I nie wiem, jak ten sam miesiąc mógł patrzeć?
Gdy skonał w moim ojcowskim uścisku,
Chciałem go spalić na popiół w ognisku:
Lecz ledwie ogień zaczął biedz po szacie,
Wyrwałem trupa i rzuciłem straży—
Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy—
I lepiéj mu tam przy siostrach i bracie.
Od tego zgonu i od téj boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Pod kręgiem słońca jako krew czerwonym,
I pod namiotem tym zapowietrzonym,
Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,
I śmierć przed samą śmiercią udawali:
Myśląc, że Boga oszukamy w niebie—
Że się ten bałwan zarazy przewali. —
Powrócił!— Anioł powrócił morderca!
Ale mnie znalazł bez łez i bez serca,
Już omdlałego na boleści świeże,
Już mówiącego: niech Bóg wszystko bierze!
Miałem na syna trzeciego cierpienia,
Powieki bez łez i serce z kamienia.

Boleść już była jako chleb powszedni.
I pod oczyma mi konał mój średni,
Najmniéj kochany w mém rodzinném gronie,
I najmniéj z dzieci płakany po zgonie.
To też Bóg jemu wynagrodził za to,
Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,
Bez żadnych bolów, bez żadnych omamień.
Skonał i skościał, i stał się jak kamień.
A tak okropnie, po śmierci wyglądał,
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał,
Ale chciał tylko lice swoje wrazić
W serca nieczułe, oczy nam przerazić,
I wiecznie zostać w rodziców pamięci,
Z twarzą co woła: — jesteście przeklęci! —

Skonał. Myślałem wtenczas — o rozpaczy!—
Że jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
Jeśli Anioła śmierci przyszle po nie:
Dziecko mi weźmie— żonę— a po żonie
Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę —
Córka!— Ja myśleć nie śmiałem o córce!
I trwoga o nią nie gryzła mię żadna.
Ach ona była młoda! taka ładna!
Taka wesoła, kiedy moją głowę
Do lilijowych brała chłodzić rączek;
Kiedy zrobiwszy z jedwabiu osnowę,
Około cedru biegała po trawie,
Jak pracowity snując się pajączek!
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie
Ona robiła — i te smutne oczy
Ona rąbkami złocistych warkoczy
Tak przesłaniała, że patrzałem na nią
Jako na różę, przez me łzy i słońce;
Ach, ona była domu mego panią!
Ona jak jaśni anieli obrońce,
Najmniejsze dziecko w kołyseczce strzegła—
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła;
I wszystkie nasze opłakała ciosy,
I wszystkie nasze łzy wzięła na włosy.
Dziesięć dni przeszło, i nocy tak długich,
Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć.
Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich

Przeszło— nadzieja zaczynała świecić—
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści,
I naliczyliśmy ranków już trzydzieści.
Nareszcie, zbywszy pamięci i mocy,
Położyłem się i zasnąłem w nocy.
I we śnie, w lekkie owinięte chmury
Ujrzałem moje dwie umarłe córy.
Przyszły, za ręce trzymając się obie;
I pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,
Poszły oczyma cichemi błyszczące
Nawiedzać inne, po namiocie śpiące.
Szły cicho, zwolna, schylały się nizko,
Nad matki łożem, nad dziecka kolyską:
Potém na moją najmłodszą dziewczynę,
Obiedwie, ręce położyły sine!
Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
Klnąc, wołam dziko: Hatfe! moja Hatfe!
Przyszła jak ptaszek, cicho, po kobiercu,
Rzuciła mi się rączkami na szyję;
I przekonałem się że Hatfe żyje,
Słysząc jéj serce bijące na sercu.
Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć —
Córka!!!— Lecz na co z boleścią się szerzyć?
I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!
A była jedna najstraszniejsza chwila:
Kiedy ją bole targały zabójcze,
Wołała: ratuj mię! ratuj mój ojcze!
I miała wtenczas czerwone usteczka,
Jak młoda róża kiedy się rozchyla.
I tak umarła ta moja dzieweczka,
Że mi się serce rozdarło na ćwierci—
A piękna była jak anioł— po śmierci.

Przyszli nademną płakać nieborakiem
Strażnicy, przyszli mi wydrzeć to ciało.
I, nieostrożni! zaczepili hakiem—
Hak padł na pierś jéj twardą, krągłą, białą —
I tu— bogdajby jak ja nie umarli! —
Tu ją przed memi oczami rozdarli.—
Ty im to Boże niebieski spamiętasz!
Wziąłem ją— i sam zaniosłem na cmentarz.

Z założonemi na piersiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma,
W kącie namiotu, żółta jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna,
Bo mleko matki zaczęło wysychać,
I co dnia było płacz w kołysce słychać.
A ta pustynia— nie masz dzieci, w grobie!—
Ona inaczéj wydaje się tobie,
Może złocista, jasna i weselna?
Lecz dla mnie jest to równina piekielna!
Przez tę równinę, przez te piasku kupy,
Ciągnięto śniade moich dzieci trupy.
A tam na wzgórzu, kędy morze bije—
Dla ciebie szumi morze— dla mnie wyje;
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
Dla ciebie szemrze tylko— dla mnie płacze.
Co dnia gdy przyszła wieczorna godzina,
Śpiewającegom słyszał muezina:
Jakby się nad mym ulitował losem,
Zaczął smutniejszym obwoływać głosem,
Krzycząc ze swego piaskowego stoga
Nieszczęśliwemu ojcu— wielkość Boga.
O! bądźże mi ty pochwalony Alla!
Szumem pożaru, co miasta zapala;
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca;
Zarazą, która dzieci me wytraca,
I bierze syny z łona rodzicielki.
O! Allah! Akbar Allah! jesteś wielki!

Wszystko, co miało tylko twarz człowieka,
Zaczęło stronić odemnie zdaleka.
Namiotu mego— córki go uprzędły —
Płótna na rosie poczerniały, zwiędły,
I podarły się, i lekko napięte
Były jak próchna z ludzkich trumien zdjęte.
Zarazę było znać na tym namiocie—
I wiesz? że nawet tych wróbelków krocie,
Co zlatywały się tutaj o brzasku,
Jeść okruszyny i kąpać się w piasku:
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
Po żer przestały się wszystkie zlatywać.
Czy odstraszyło je podarte płótno

Namiotu mego? czy twarz moja biedna?—
Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna,
I spostrzegłem to — i było mi smutno.

Po córce w pięć dni — o! Boże mój! Boże!
Z wieczora huczeć już zaczęło morze,
I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury.
Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję i widzę i słyszę,
Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze;
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
Jak się nademną w ciemności kołysze
I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się za burzy łoskotem,
Żem słyszał martwe dzieci, za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie — głucho!—
Więc natężałem słuch, serce i ucho;
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie,
Jak moim dzieciom takiéj nocy w grobie?

I nagle — czemuż ta śmierć tak zdradziecko,
Tak cicho weszła pod namiotu żagle?!
Grom spadał hucząc po gromie — i nagle
W kołysce z cicha zapłakało dziecko —
A płacz ten musiał być strasznym wyrazem—
Bo zaraz — matka — ja — oboje razem —
Rzuciliśmy się, gdzie robaczek lichy.
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy:
To tak wydawał się obojgu głośny,
I tak rozdarty, i taki żałośny,
I tak z głębokich wnętrzności wyjęty!
I tak rozumny! i taki przeklęty!!!
Żeśmy oboje biegli gromem tknięci,
I bez nadziei już i bez pamięci!

I nie zawiodło przeczucie żałoby!
Umarło — z takiéj jak tamte choroby.
I poszło leżeć między trupy bratnie,
Moje najmilsze! — i moje ostatnie!!!

Śmierć mi go czarna wzięła nielitośnie.
I już nie wróci! ani mi urośnie!
Ani go kiedy mój dom już obaczy!—
I już nie wróci nigdy! — o! rozpaczy!!!

Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami.
Byliśmy z matką w namiocie— przed nami
Leżało dziecko na stole nieżywe,
Nieruchomością śmierci przeraźliwe.
Uczułem wtenczas patrząc na tę postać,
Że gdyby mogło choć tak z nami zostać,
Przez wszystkie lata— choć tak, nie inaczéj—
Ubyłoby mi z serca pół rozpaczy.
A to już — ani zarazy strażnicy,
Ani ja, niosłem do Szecha kaplicy,
Gdzie się nam trupia otwierała brama:
Ale je matka tam zaniosła sama.

W namiocie pustym ja zostałem z żoną.
Ale czy pojmiesz?— zamiast nas połączyć
Boleść, obojgu nam rozdarłszy łono,
Zaczęła jakieś jady w serca sączyć,—
I teraz je chyba sam Bóg oczyści.
Smutek podobny był do nienawiści,
I stanął czarny, wielki, między nami.
Więc rozłączeni byliśmy i sami.
I nie mówiliśmy do siebie słowa—
Bo powiedz, jakaż być mogła rozmowa
W pustym namiocie między mną i żoną?
Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci?—
Słońce wschodziło w upały czerwono,
Co dnia tonęło tam gdzie teraz świeci,
Jak jaka skrawa pożaru pochodnia.—
Więc tak bezdzietnym było— i tak co dnia.
Cisza ogromna namiot nasz zaległa.
Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
Zgoła innego jęku ni szelestu.
Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu.
I kwarantany przybyli lekarze,
Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
Widziałem, jak się każdy z nich zadziwiał,
Bo nachyliłem się był i posiwiał.

A żona moja od niespań i troski,
Była jak bursztyn, albo żółte woski;
Na głowie miała z włosów siwych wieniec,
Jakiś okropny ceglany rumieniec,
A oczy pełne takiéj błyskawicy,
Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć,
Tam gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy—
Zdrów byłem.— Ludzie! czy będziecie wierzyć?
Ja, co me wszystkie całowałem trupy,
Z téj kwarantany wychodziłem zdrowy!
Żona, co nawet nie tknęła połowy,
Nad piersiami się uderzywszy, zbladła,
I zachwiała się z jękiem— i upadła.
A ja na ręce wziąłem trup niewieści,
Zaniosłem w namiot i rzuciwszy brzemię,
Upadłem przy niéj, jak martwy na ziemię,
I obudziłem się— na dni czterdzieści.—

Przed samą śmiercią wyznała mi matka,
Że chciała z grobu swojego dzieciątka
Jakiéj pamiątki, kamienia, lub kwiatka,
Włoska w złocistych na głowie obrączkach;
I ta po dziecku umarłém pamiątka —
Patrzaj! obrazek ten co trzymał w rączkach,
Te włoski złote i tak dzisiaj święte,
W mogiłce z główki maleńkiemu zdjęte —
Bo biedna matka miała tyle mocy,
Że odkopała dziecko o północy —
Znalazła jeszcze niezepsutém wcale,
Pocałowała w usteczek korale
I znów włożyła do trupich obsłónek.—
Te upominki i ten pocałunek,
Zazdrośnéj ziemi Szecha ukradzione,
Zabiły matkę i wzięły mi żonę.

I znów się łono piaskowe otwarło,
Gdzie pochowałem matkę martwych zmarłą.
Potém wróciłem do płociennéj nory,
Schować się w cieniu jak nocne potwory.
Ani ja słońca na niebieskim sklepie,
Ani mię ludzie widzieli na stepie.

Stałem się jako zdziecinniali, starzy—
W pamięci mojéj, żadnéj żywéj twarzy,
Tylko te sine i okropne lica,
Które mi wzięła zarazy martwica!
I w dzień błękitny i w noc każdą ciemną,
Oni tu byli w tym namiocie ze mną.
Gadałem z niemi, zmyślałem rozmowy,
W których rozmawiał ze mną tłum grobowy.
I często dziwnym natrafiałem losem
Na głos, co moich był dzieciątek głosem.
Z obłąkanego budziły mię śnicia
Po nocy hyen przeraźliwe wycia,
Tam nad trumnami— i słuchałem blady
Jak nad trupami płaczą trupo-jady.
Stałem się wreszcie jak wąż gdy ochłodnie.—
I przechodziły mi dnie i tygodnie,
Bez żadnych bolów, pamiątek, omamień.
Stałem się twardy i zimny jak kamień.
I raz— ach boska nademną opieka!
Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda—
I ach!— nie była to już twarz człowieka,
Lecz głowa mego starego wielbląda.
Spojrzał— i spojrzał z twarzą tak litośną,
Że rozpłakałem się jak dziecko głośno.

I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieści;
Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.
O! gorzka wolność i chwila odlotu!
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;
Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy,
Będę wyrywał koły i powrozy,
Które — o, Boże wiekuisty świeć mi! —
Do tego piasku zatykałem z dziećmi.
Ach, pomóż ty mi je zerwać— sam jestem!
A może tobie posępnym szelestem
Te płótna więcéj boleści powiedzą?
One widziały wszystko! wszystko wiedzą!
Czyż nie są teraz jak męki obrazy?
Patrz na nie, dotknij! nie bój się zarazy,
Nie bój się śmierci, co dotknięciem siném...
Wszak ty nie jesteś synu— moim synem.
Lecz nie— uciekaj! ja wiem że te płótna

Straszne się muszą obcym ludziom zdawać.
Śmierć od zarazy! ach! to śmierć okrutna!
Zaczynasz własnych braci nie poznawać,
Potem cię ogień pali, piersi gorą...
Ach! ja tak moich widziałem ośmioro!
I co dnia patrząc na tak konające,
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.
Dziś— oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
A na nich, patrzaj, osiem juków próżnych.
I nie zostało mi nic — oprócz Boga;
I tam mój cmentarz — a tamtędy droga!—

Tragedya *Mazepa* powstała w różnych czasach. Mówiliśmy już o tém w życiorysie poety. Nad robotami tego rodzaju ciąży zwykle jakiś fatalizm. Dawny zamiar autora nie daje się zupełnie pogodzić z nowym. Dawne niedostatki kompozycyi ustępują zwykle miejsce nowym usterkom. Rzecz się naprawia i psuje równocześnie. Podobnemu losowi uległa i praca Słowackiego. Szczegóły dramatu zyskały może na wykończeniu: jednolitość ucierpiała z powodu takowego przelewu.

«Mazepa», prócz nazwisk historycznych Jana Kazimierza i jego pazia, nie ma nic więcéj z historyi. Rzecz całą dramatu, położenie jego czynników, walkę uczuć, stworzył poeta w swojéj fantazyi. Treść stanowią zabiegi o piękną wojewodzinę Ameliję. Główną wadą téj pracy jest niejasność co do zamiaru, dla którego była pisana. Niedostatek ten ma ścisły związek ze sposobem, w jaki powstał dramat obecny. Znajdują się w nim niewątpliwie ustępy z redakcyi jego z r. 1834, całkowicie zatrzymane w składzie jego późniejszym. Zdaje się, że w pierwotnym kształcie Mazepy najznaczniejszą rolę w całym przebiegu intrygi dzierżył w rękach paź królewski, którego też imieniem tragedya została nazwana. Z téj redakcyi najwięcéj pozostało w obrębie dwóch pierwszych aktów. Ztąd też na początek właśnie utworu, na expozycyę, przypadło najwięcéj takich ustępów, które psują przejrzystość akcyi. Są tu szczegóły, nie tylko nie należące do rzeczy, ale nawet rzucające na nią światło fałszywe i zwodnicze. Tak np. zapytać można, co znaczy wprowadzenie na samym wstępie figury kasztelanowéj Robronckiéj, téj paskudnicy wielkiego świata, którą autor wziął żywcem z epoki Poniatowskiego i umieścił na tle czasów o całe sto lat rychlejszych? Albo do czego służy owa przydłuższa scena opowiadana, w któréj dowiaduje-

my się od pana Chrząstki o śmiesznem zajściu zakulisowém pomiędzy jakiemiś marszałkami dwóch stronnictw sobie przeciwnych, wjeżdżającymi równocześnie w bramę zamku Wojewody? I rola Robronckiéj, która się zupełnie gdzieś zapodziewa w dalszych aktach, jest zupełnie zbyteczną w dramacie, i owych dwóch marszałków wcale nie spotykamy na scenie. Najbardziéj jednak niefortunném następstwem téj dwukrotnie podejmowanéj pracy nad sztuką obecną, jest szczególna niejasność jéj założenia. Czytelnik widzi się przez cały ciąg Mazepy w niepewności, o co tu głównie chodzi? Niepodobna znaleźć tu sobie ów punkt konieczny widzenia, z któregoby cała budowa dzieła we wszystkich zakątkach swoich dała się przejrzeć na wylot. Niemałą trudnością okazuje się co do Mazepy nawet wyrozumienie, któréj z osób w nim działających przydzielono rolę bohatera lub bohaterki dramatu?... Pod tym właśnie względem chwiejność jest szczególnie uderzająca. W pierwszym akcie tak sobie postępuje Słowacki, jak gdyby mu chodziło raczéj o zamaskowanie rzeczywistéj intencyi. Najruchliwszą rolę odgrywa tu Mazepa. Równie prawie ważnym czynnikiem akcyi jest on i w akcie drugim. Tak więc czytelnik czy widz uważa rolę pazia za pierwszorzędną. Rozpoczyna się akt trzeci. Mazepę zamurowują w alkowie Wojewodziny. Mniemany bohater na długo znika ze sceny. Pod koniec czwartego aktu zjawia się wprawdzie na nowo, lecz tylko w roli sprawozdawcy i pomocnika w sprawie, która nie z niego idzie i nie od niego zależy. Natomiast rośnie przed oczyma naszemi postać Wojewody, jako demona bezlitości i grozy, który cały ruch akcyi porywa w swoje ręce, ażeby tego władztwa nie oddać już nikomu drugiemu aż do samego końca dramatu. Ale i ta postać nie odpowiada warunkom bohatera tragedyi. Jeśliby o to tylko chodziło, kto w Mazepie ma najczynniejszą rolę, kto najjaśniéj wybucha namiętnościami, kto najwięcéj ze wszystkich huczy i tyranizuje, wreszcie czyja rola dla aktora jest najwdzięczniejszą do odegrania — to nie ma wątpliwości, że na te wszystkie zapytania odpowiedziećby tylko można wyrazem: Wojewoda! Atoli na definicyę tego, co to jest być bohaterem utworu scenicznego, nie wystarczają te zewnętrzne kryterya. Prawdziwa onéj istota na czém innem polega. Bohaterem dramatu jest ta jedynie postać, która idealnie zajmuje sam jego środek: tak iż wszystko, co tylko do treści dzieła należy, okazuje się być promieniem wynikającym z téjto roli centralnéj. Rola Wojewody żadną

miarą nie ma tego stosunku ani do innych figur, ani do całości sztuki. Brak jéj dostatecznych motywów tragicznych. W dziele Słowackiego nic się zgoła na to nie składa, żeby obudzić w głowie Wojewody podejrzenie i nienawiść przeciw Amelii. Ani jéj przeszłość, ani teraźniejsze jéj zachowanie nie dają do tego wcale powodu. Całém źródłem zazdrości w Wojewodzie jest jego własna zapalczywość, jego zaślepienie, upór, duma — i trochę fatalizmu w zbiegu przypadkowych okoliczności. Te momenta żadną miarą nie wystarczają na to, żeby z tego charakteru utworzyć postać, którejby cierpienia i postępki były dostatecznym materyałem do stworzenia tragedyi. — Jest jednak i druga przyczyna, dla któréj Mazepa nie czyni zadość koniecznym wymaganiom krytyki. Za przyczynę tę poczytujemy brak znamion rzeczywiście tragicznych w roli, która w tragedyi stanowić miała właśnie sam środek jeśli nie działania, to przynajmniéj cierpienia tragicznego. Taką jest rola Amelii. Widzimy ją od pierwszéj chwili postawioną w położeniu nader trudném. Jest żoną człowieka, do którego nie zbliża jéj ani wiek ani serce; znosi jednak swą dolę ulegle i poczciwie, ani jedném słowem nie uskarżając się na nią. W takich to stosunkach postawioną kobietę wprowadza Słowacki w zawikłania, które jako wyjątkowe, nieprzewidziane i nie od jéj woli zawisłe, trudność jéj położenia przemieniają w zawód pełen okropności i męki. Widzimy w Amelii przedmiot pokuszeń i ubliżeń, posądzeń i oskarżeń, nakoniec ofiarę brutalnéj bezlitości — i to ze strony osób, których rzeczą właśnie było bronić czci i pokoju takiéj istoty — jeżeli już nie na mocy praw i wynikających z nich obowiązków w sferze rodziny, to z mocy najwyższéj politycznéj władzy nad społeczeństwem. Król, wystawiony tu w całéj szkaradzie cynizmu — dworzanin jego, lekkomyślny, niesumienny, zepsuty światem, choć nie bez szlachetnych usposobień, które niekiedy dają się z ust jego słyszeć — pasierb, rozmiłowany i niby idealny, gotów życie dla Amelii poświęcić i nawet poświęcający je w końcu, ale bez najmniejszego pożytku, gdyż miłość jego jest występną, a z takich źródeł wynikają same tylko zgubne następstwa, choćby były zamierzane w najlepszéj myśli... nareszcie sam Wojewoda, w zaślepieniu dochodzący zadanéj sobie obrazy — nie tam, zkąd ta obraza wyszła, ale na osobie najboleśniéj właśnie oną obrazą dotkniętéj; — oto najgłówniejsze typy w dramacie, których działanie samowiednie i bezwiednie składa się na to, żeby intrygę rozpoczętą tak zgmatwać, tak splątać,

tak zwikłać w jeden labirynt nierozdzierzgnionych nieporozumień, iż życie na takim świecie staje się dla téj bezbronnéj, niewinnie potępionéj kobiéty niepodobieństwem i zmusza ją do przecięcia tego pasma zawikłań samobójstwem. — Nie mówiąc już o przeważnie biernem znaczeniu téj roli, która nie zdaje się być w należytym stopniu dramatyczną w ogóle, stanowcze uchybienie poety co do charakteru Amelii upatrujemy w innéj okoliczności. Bohaterka Słowackiego niczém się sama nie przyczyniła do tego, że z jednéj strony przewrótność i namiętności otaczających ją osób, z drugiéj sam nawet zbieg przypadkowych okoliczności przeciwko niéj się obraca. Bez zaciągnienia samochcąc winy, żadna rola nie sprawia prawdziwie tragicznego wrażenia. Kara i cierpienia mogą być nierównie sroższe niż przewinienie: owszem im nierówniejszy jest ten stosunek, tém więcéj na tém zyskuje dotycząca osobistość tragiczna. Ale jakiś powód do tego wszystkiego, co jéj znosić przychodzi, koniecznie musi być przez nią dany. Podobnego przyczynienia się do własnéj doli ze strony Amelii żadną miarą dopatrzyć nie można w całém jéj postępowaniu. Rola jéj od początku do końca tak jest przeprowadzona, że jéj nigdzie nic zarzucić nie można, sądząc ją ze stanowiska moralnego. Lecz właśnie ta jéj wyższość nad wszelkie z tego względu zarzuty nie odpowiada koniecznym żądaniom sztuki. Im doskonalszą w ogólności jest Amelia kobietą, tém jest słabszą heroiną dramatu. Bo wśród wszystkich tych cierpień, które jéj przychodzi znosić w dalszéj osnowie tragedyi aż do ostatniéj sceny, widzimy w niéj tylko niewinną ofiarę, pokutującą za zdrożności, których nie było. A tragedyi celem nie jest bynajmniéj wystawiać ofiary i męczenniki, lecz namiętności ludzkie, na których tle nawet wiekuiste ideje przybierają kierunek doczesny i do ziemi ciężący.— Nie tylko jednak ze strony wymagań sztuki, ale i z etycznego punktu widzenia, rzecz ta nie może być nazwaną inaczéj, jak zbłądzeniem poety. Cierpienia ani zasłużone ani wynagrodzone — to najwyższy fałsz w świecie ducha. Wprawdzie w doczesnéj rzeczywistości wypadków takich, niestety, aż nadto. Lecz poezya nie jest na to, żeby powtarzała ułomności nędznéj naszéj exystencyi na ziemi. Poezya jest odbiciem nieskończoności.

Ze wszystkich dramatycznych utworów Juliusza «Mazepa» był pierwszym, który sobie zdobył miejsce i uznanie na scenie. Pierwszą reprezentacyę krakowską (1851) wyprzedziła

o lat kilka niemiecka *). Tragedyą ta jest głównym filarem sławy Słowackiego jako scenicznego poety, i zapewne nim pozostanie i nadal; w żadnym bowiem drugim jego utworze nie ma już tyle zawikłanéj i bogatéj w niespodziane zwroty intrygi, tyle ruchu i prądu dramatycznego, tyle scen wstrząsających najwyższą tragicznością; co większa w żadnéj drugiéj scenicznéj swojéj pracy nie potrafił się Słowacki tak utrzymać w karbach utartéj i zwykłéj rutyny teatralnéj, z wyłączeniem wszystkich owych odrębnych swych właściwości, do których publiczność powszednia chyba dopiero przyzwyczaić się będzie musiała.

Balladyna jest może najgłębszą kreacyą Słowackiego, a w każdym razie utworem godnym jego genijuszu. Dwa są poglądy krytyków na tę tragedyę, na pozór sprzeczne, w istocie zaś dopełniające siebie wzajemnie. Obydwa, dla wszechstronnego ocenienia dzieła, uwzględnić należy. Najprzód spojrzmy na Balladynę ze stanowiska psychiczno-artystycznego, które obrał sobie Małecki, służący nam za przewodnika w całym ustępie o Słowackim.

Z. Krasiński, który obok Anhellego stawił Balladynę najwyżéj między wszystkiemi dziełami przyjaciela swojego, wyraził się w jednéj ze swoich korrespondencyi, że jest to dzieło, które «w głowie Słowackiego duch Szekspira porodził». Chętniéj jednak przychylilibyśmy się do zdania Małeckiego, że przewodnikiem poecie na téj drodze był Jan z Czarnolesia, autor «Sobótek» i «Odprawy Posłów», a za jego pośrednictwem starożytna tragedya grecka. Pierwsze artystyczne spożytkowanie świętojańskiéj pieśni ludowéj, i pierwszy odlew w słowie polskiem form greckich, były dziełem téj saméj ręki... W Balladynie są obydwa żywioły. Próba Kochanowskiego przeniosła myśl Juliusza w owe wieki sofoklesowe, których «Odprawa Posłów» była słabym tylko jeszcze odbłyskiem. Wiadomo, że dramat grecki mieści się cały w obrębie stosunków heroicznych, więc przedhistorycznych, bajecznych. Z téj tylko kopalni, przez ojca wszystkich poetów, przez Homera jeszcze otwartéj, wynosili Grecy materyał do przelania go na arcydzieła sceniczne. Świat rzeczywisty i codzienny, nawet i świat dziejowy, o ile go dosięgała pamięć opatrzona w daty i dokumenta — była to kraina, któréj wyobrażenia tragików starożytnych nie nawie-

*) Przekład niemiecki dokonany był przez Augusta Dracke i jest drukowany w Bühnen-Repertoir des Auslandes, Berlin 1842—1846. t. XIV.

działa wcale. Czyżby i nasze narodowe podania, po za widokresem pewnych dziejów leżące, miały być dla poety mniéj wdzięczną niwą? Miałyżby zamglone naszych herosów postacie, żyjące do téj pory w poetycznéj ludu pamięci, być zdolne tylko wspomnień w piosence gminnéj? Nie jestże to kruszec surowy, który i dzisiaj jeszcze dałby się odlać na dzieło szczerozłotéj, artystycznéj poezyi? — Skutkiem takich to rozmyślań nad znaczeniem niezużytkowanych dotąd podań naszych mytycznych, powziął poeta nasz zamiar, stworzyć na tle podań rzeczonych cały cykl dramatycznych utworów. Miał on się składać z sześciu odrębnych tragedyi. Pierwszą pracą na téj drodze była właśnie Balladyna, dzieło rzeczywiście tego rodzaju, że mógł się autor o niém w liście do matki wyrazić, że otwiera ono nowy kraj poetyczny, nietknięty ludzką stopą; że jest całe podobne do staréj ballady — ułożone tak jak gdyby gmin je układał, — przeciwne zupełnie prawdzie historycznéj — czasem (słowa autora) przeciwne podobieństwu do prawdy; ludzie jednak w niém są prawdziwi i mają w sercu nasze serca... To właśnie ludowość widnieje w całym sposobie przeprowadzenia Balladyny.

«Natura pieśni gminnéj — powiada Małecki — ma w sobie zawsze coś ożywczego. Sposób, w jaki nieuczona, tradycyjnym tylko instynktem powodująca się wyobraźnia warstw sielskich wystawia sobie rzeczy, może być dla artysty przydatnym już dla tego samego, że się różni od sposobu pojmowania takowych przez wyższe klassy. Jest w tym sposobie ludowym zawsze jakaś cząstka rodzimych, samorodnych pierwiastków. Aczkolwiek w obec bezwzględnéj prawdy nie można go poczytywać za autentyczny i nieomylny wizerunek pierwotności słowiańskiéj, to konwencyjnie wszelako on za takowy dość powszechnie uchodzi i ma prawo zastępować go w sztuce. Historya z dokumentami w ręku wykaże w wyobrażeniach gminu późniejsze albo obcego pochodzenia naleciałości. Ogół narodu, biorący rzeczy mniéj ściśle, uczuje w nich woń wieków będących dla uczonego zagadką, i efekt poetyczny będzie więc osiągnięty. — Takim to więc instynktem świadomie czy mimowiednie, lecz w każdym razie trafnie wiedziony Słowacki, zamierzył w obecnym dramacie swoim zawrzeć obraz świata i tego «co się na nim tak dziwnie plecie» w duchu fantazyi gminnéj. Postawił się myślą jakby w położeniu naiwnego prostaczka, co snuje swoje skazkę na tle popielowych stuleci nie znając wcale kronikarskich o tychże czasach powieści. Za punkt zarodny

wziął sobie myśl kilku ballad, a raczéj kilka piosnek ludowych, których surowy materyał w części już był wtedy przerobiony artystycznie przez współczesnych poetów. Głównie dostarczyła mu treści znana owa, bo na całéj przestrzeni kraju przez lud śpiewana powiastka o dwóch córkach prostéj wieśniaczki, w równym stopniu pokochanych przez jakiegoś wielkiego pana, które wysłano na maliny, ażeby samo szczęście rozstrzygło, która ma zostać żoną rycerza. («*Obie kocha pan, obie wzięły dzban; Która więcéj malin zbierze, Tę za żonę pan wybierze*» i t. d.) Powiastka ta, słabiuchno przelana w kształty ballady przez Al. Chodźkę, była wcielona już wtedy do zasobów piśmiennéj literatury. Drugiem źródłem, z którego mógł zaczerpnąć autor Balladyny niejedno, były «Lilie» Mickiewicza. W «Malinach» Chodźki mowa tylko o zewnętrznych zdarzeniach. W «Liliach» odsłania się wewnętrzny stan duszy owéj zbrodniarki, «któréj nie żal było rozboju, ale tylko strach kary».

«Ach, pojdę aż do piekła,
Zniosę bicze, pochodnie:
Byleby moje zbrodnie
Wieczysta noc powlekła!»

Na tém tle zewnętrznych zdarzeń i wnętrznych usposobień, wikłających się w jeden ciąg zbrodniczo przebytego żywota, stawił poeta i inne jeszcze figury. Ten pustelnik siwy, co zna siłę każdego ziela i leczy wszystkie słabości, a za młodu władał berłem jako dziedziczny król ludu — ten dobry rycerz od stóp do głowy w zbroję zakuty, po całym świecie jeżdżący, żeby karcić występek, a podawać rękę pokrzywdzonemu — ta matka uboga, któréj się własna córka zostawszy wielką panią wyparła — ten kusiciel w postaci niemieckiego przybłędy — ten król dzwonkowy, czarodziejskim sposobem przemieniony z prostego chłopa — ten piorun z nieba, uderzający w winowajcę, którego przymusiły okoliczności do wydania na samego siebie wyroku... wreszcie te nadzmysłowe, cudotworcze, fantastyczne istoty, żyjące między ludźmi i nie pomału wpływające na ich postanowienia: — wszystko to są rysy ze wszech miar odpowiednie wyobrażeniom ludu, a nawet i żyjące z osobna w jego powieściach. Poety dziełem — że je natchnął pełniejszém życiem, że otworzył wnętrze ich serc, że je połączył, że z połączenia tego stworzył świat nie tylko nowy, ale zdolny w najwyższym stopniu zająć uwagę człowieka stojącego na

wysokości dzisiejszego usposobienia warstw wykształconych. Podłożył bowiem zawikłaniu, na pozór wymarzonemu przez dziecięcą fantazyę, ideje wiekuiście prawdziwe». — Niegdyś Kochanowski postanowił niepojętą dla rozumów naszych zagadkę w słowach:

«Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie!
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić».

Ten problemat nierozwikłany, to godło powtórzone i przez Malczewskiego na czele Maryi, pokusił się Słowacki w Balladynie poddać pod analizę. Przekonanie poety w tym względzie da się wypowiedzieć w następujących kilku słowach: Ostatecznie składa się wszystko na świecie podług woli Opatrzności. Ona jedna ostatecznie kieruje wszystkiemi i wszystkiém. Ale Opatrzność bezpośrednio nie działa. Są siły, czy raczéj prądy, z osobna i najróżniejszemi drogami i w najrozmaitszych kierunkach działające na to wszystko, co zowiemy przędzą życia czyjego. Biorąc prądy te poszczególnie, okazuje się, że nigdy to się nie iści, ku czemu nawodzi i prze i popycha moment taki osobny. Rezultat dopiero i summa zawikłania tych wszystkich sprężyn razem — to jest co ostatecznie kieruje światem. W tém też właśnie połączeniu ich wszystkich objawia się Opatrzność. — I jakież to są siły, którym podlegają uczynki nasze? — Nąsamprzód nasze własne zamiary, rachuby, słowem postanowienia ludzkie. Następnie nader często ślepy przypadek. Nie mniéj znaczy tu i demonizm, ta potęga wyższa nieraz nad wolę i nad rozum człowieka — już to we własném sercu brojąca, już kusząca nas z otoczenia. Daléj: logika zdarzeń, nieodzowny fatalizm czynów, któreśmy spełnili sami. Nakoniec — wprawdzie bardzo rzadko i wyjątkowo: Palec boży, ta bezpośrednia interwencya niebios, działająca, kiedy wszystkie stopniowania, pośrednictw ludzkich zawiodły. Pospolicie w życiu kładziemy przycisk wedle usposobienia naszego to na téj, to na owéj, ale zwykle na jednéj tylko z pięciorga potęg, w połączeniu tu wyrażonych. Autor Balladyny przyjął wszystkie pięć wyobrażeń za prawdziwe, a raczéj uczynił je dopiero prawdziwemi właśnie przez to, że żadnego z nich nie wyłączył. Pomysł tak przeprowadzony został po mistrzowsku w całym utworze. — Przejdźmy do szczegółów.

Świat, jaki nam okazuje poeta w Balladynie, jest to świat przedhistoryczny dawnéj Polski, pełen patryarchalnéj prostoty wieśniaczéj i cudowności, w objęciach życia blizkiego natury; pełen bohaterstwa, cnót i występków barbarzyńskich, niby jakaś chwila z epoki bajecznych Popielów, nad Gopłem się rozgrywająca. Czasy to powszechnego zamętu. Ostatni z Popielów (IV) obala z tronu swego brata (III-go) i morduje jego dziatwę. Strącony książę, już zapomniany przez wszystkich, pędzi życie w głębokich lasach jako pustelnik. Nikomu nie wiadomo, kto się ukrywa w osobie tego pustelnika, ale chatka jego często bywa nawiedzana przez ludzi potrzebujących dobréj rady, czy to w chorobie, czy w innéj jakiéj przygodzie. Od czasu objęcia rządów przez nowego monarchę, zlewają się na Polskę wszelkie nieszczęścia. Popiel IV panuje po tyrańsku. Co gorsza, dawniejszy książę usuwając się na wygnanie, potrafił unieść z sobą koronę królewską. Była to korona cudowna, od czasów Lecha z błogosławieństwem noszona przez wszystkie pokolenia dziedziczących rządy nad Polską. Do jéj dziejów przywiązał poeta myt, zaczerpnięty z własnéj fantazyi, niepospolitéj piękności poetycznéj, myt sięgający jeszcze oddaleńszéj przeszłości, bo aż kołyski Chrystusa.

«Zbawiciel niegdyś wyciągając rączki,
Szedł do niéj z matki zadumanéj łona;
I ku rubinom podawał się cały,
Jako różyczka z liści wychylona,
I wołał: «caca!»... i na brylant biały
Różowych ustek perełkami świecił»...

Skutkiem kolei nadzwyczajnych, jakie klejnot rzeczony kiedyś przechodził, miał on władzę cudowną. Korona fałszywa i podrobiona, któréj przywłaszczyciel używał, nie miała żadnéj mocy, a przekleństwo nań rzucone przez ojca dzieciąt zamordowanych działało. Nie tylko pomory, głód, szarańcza i nieznane nigdy dawniéj okrucieństwo panującego nękały naród, ale zepsucie dostało się i do serc ludzkich. Ludzie w całém królestwie stawali się coraz gorsi. — Na tém tle poczyna się akcya dramatu.

W przedmowie powiada autor, że jego Balladyna «wychodzi na świat z aryostycznym uśmiechem na twarzy, urągając się z porządku i z ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie». Wyrażenie to ściąga się głównie do aktu piérwszego, w którym zamiary ludzkie i ironija ślepego przypadku dziwnie się z sobą

krzyżują. Poeta wprowadza nas do lasu głębokiego, w pobliżu jeziora Gopła, w ustronie chaty pustelniczéj. Na scenę wchodzi Kirkor, młody, dzielny rycerz o orlich skrzydłach i karaceńskiéj zbroi, pan warownego zamku i licznych do koła włości. Przychodzi on po radę do mądrego pustelnika w stanowczéj chwili wyboru towarzyszki życia. Pragnąłby znaleźć dziewicę

«Białą, jak w ręku anielskiego stróża
Kwiat lilijowy. Niech jéj słowik śpiewny
Zazdrości głosu, a synogarlica
Wiernością zrówna. Gdzie taka dziewica?»

W pobożnym starcu poznaje strąconego prawowitego władcę Popiela III, i w uniesieniu szlachetném zamyśla go pomścić. Co do wyboru, postanawia iść za radą pustelnika, który zaleca mu nie szukać kochanki ani pod złocistemi dachami królów, ani w pańskich pałacach. Niech go złocista kareta wiezie raczéj do jakiéj nizkiéj lepianki. Niech szuka prostoty, a resztę zostawi losowi.

«Niechaj ci piérwsza jaskółka pokaże,
Pod jaką belką gniazdo ulepiła.
Gdzie okienkami błysną dziewic twarze,
A dach słomiany —

tam czeka na cię żona karna, miła, niewinna».

Jak widzimy, rozum ludzki uczynił w téj sprawie wszystko, co tylko zrobić mógł, ażeby się nie pomylić. Postanowienie Kirkora zapadło z zachowaniem wszelkich ostróżności — odwołał się do doświadczenia — kierują nim chęci najlepsze: — i do czegoż go to doprowadziło? — Oto przypadkiem wywraca się i łamie powóz jego na jakimś mostku. Niedaleko tego mostku jest sioło, a w niém oczywiście różne ubogich ludzi chatki pod strzechą; ale przypadek chciał, żeby Kirkor szukający noclegu zajechał do téj właśnie między niemi, w któréj mieszkała matka Balladyny i Aliny. Trzeba było znowu szczególnego przypadku, żeby się naszemu rycerzowi obie dziewczęta spodobały zarówno. Przypadkiem, ni ztąd ni zowąd, przyszło staréj wdowie do głowy, żeby wybór, która z jéj córek ma zostać jego małżonką, zrobić zależnym znowu od przypadku, t. j. od zbierania owych malin, na które wysłano dziewczęta... Postanowienie więc Kirkora i pustelnika w to godziło, żeby się wyrzec wszelkich świetności i mieć za to poczciwą choć

biedną żonę. A ślepy, bezmyślny, psotny przypadek podsunął mu... Balladynę!— Ale poecie nie wystarczało okazać ironiję tego niewinnego psotnika w samych tylko tejże ironii objawach. Chciał on go okazać i w widomych jego kształtach. W tym celu wprowadził on tu w sam środek rzeczywistych działań ludzkich świat fantastyczny. Współdziałanie świata czarodziejskiego pierwotna wyobraźnia ludowa wszędzie przypuszcza. Moment ten zatém wziął autor Balladyny, jak wszystko w tym dramacie, od ludu. Podłożył mu jednak, wprawdzie w sposób fantastyczny, znaczenie, które może być zrozumiałém i dla dzisiejszéj reflexyi. Goplana i posłuszne jéj sylfy Chochlik i Skierko—cały ten świat lekki, jak bańka mydlana, powiewny jak liść ajeru, znikomy jak barwy tęczy, krzyżujący czasem szkodliwie zamiary ludzkie, a w gruncie dobroduszny i nigdy że złemi chęciami—to tylko poetyczne uosobienie przypadku. Prześlicznie odmalowana jest postać królowéj fal, Goplany.

«Ach patrz! na słońca promyku
Wytryska z wody Goplana;
Jak powiewny liść ajeru,
Lekko wiatrem kołysany,
Jak łabędź, kiedy rozwinie
Uśnieżony żagiel steru,
Kołysze się — waha — płynie...
I patrz! patrz! lekka i gibka
Skoczyła z wody jak rybka—
Na niezabudek warkoczu
Wiesza się za białe rączki,
A stopą po fal przeźroczu
Brylantowe iskry skrzesza.
Ach czarowna! któż odgadnie,
Czy się trzyma fal obrączki?
Czy się na powietrzu kładnie?
Czy dłonią na kwiatach się wiesza?
— Ona ma wianek na głowie—
Czy to kwiaty? czy sitowie?
O! nie—to na włosach wróżki
Uśpione leżą jaskółki;
Tak powiązane za nóżki,
Kiedyś w jesienny poranek
Upadły na dno rzeczułki,—
Rzeczułka rzuciła wianek,

Wianek czarny, jak hebany,
Na złote włosy Goplany.
— — — — — —
Promienie słońca przenikły
Jaskółeczek mokre piórka,—
Ożyły — pierzchły — i znikły,
Jak spłoszonych wróbli chmurka.
Królowa nasza bez ducha
Zadziwiona stoi — słucha —
Nie śmie wiązać i zaplatać
Kos rozwianych, nie wie, czemu
Wianeczkowi uwiędłemu
Przyszło ożyć?— zkąd mu latać?»...

Istota ta napowietrzna, uwiana z zorzy i woni, lekka jak chmurka płynąca niebem — poetyczna do przesady, poczciwa od stóp do głowy, cały świat duchów i duszków mająca na rozkazy, słowiki ucząca piosnek, jaskółki z wiosną budząca z topieli, zaścielająca niwy tęczami kwiatów... taka istota rozmiłowuje się w prozaicznym pijaku, w rumianym, głupkowatym i sprosnym Grabcu! Nie jest-że to prawdziwa ironija losu? Kochankiem jéj ma zostać piérwszy człowiek, którego ujrzy po przebudzeniu się ze swego zimowego letargu. I oto przyszedł był na to miejsce młody pasterz, sentymentalny, westchnieniami tylko żyjący Filon. Ale niestety przyszedł za wcześnie— i przeszedł. Zaledwie odszedł, wynikła z wód fantastyczna królowa Gopła. I spotyka na swojéj drodze gburowatego parobka, który jéj miłość odpycha ze wstrętem. Ona mu szepce o czystości dziewiczéj, o malinach i poziomkach, które będzie dla niego rwała, o rozłogach łąk i gajów, które przy księżycu wspólnie nawiedzać mają. A Grabiec ani rozumie tego wszystkiego! Nazywa Goplanę rybą, galaretą, szklaną zmorą, koczkodanem... a jéj poetyczne zachwyty odpłaca, chwaląc sobie karczmę i gorzałkę, dziewuchy wiejskie przy sianożęciu i t. p. Nawet ów nieodłączny od wyobrażenia przypadku przymiot, ślepotę, widocznie chciał poeta przedmiotowo wystawić w roli Goplany, kiedy jéj każe do osmolonego, «w czerwonéj umazganego rudzie», same sprosności gadającego pijaka, mówić takie słowa, jak «piękny młodzieńcze!» — «słowo jego wonne przynosi wiatr wiosenny do mojego ucha»,—

«Niech zorza różana
Piérwsze mu blaski na oblicze rzuci;
Lecz niech się zorza na poły zasmuci

I płaczem rosy słońca tak przysłoni,
Aby łagodne, powiek nie raziło» i t. d.

Grabiec nie chce wieczorem przychodzić do Goplany, gdyż właśnie wieczorami czeka na niego za borem Balladyna, z którą on ma znajomość. Ażeby go skłonić ku sobie, widzi się Goplana w konieczności usunąć ztąd ową dziewczynę. Oto właśnie Kirkor szuka dziewic po świecie, co mieszkają w ubogich chatkach. Na rozkaz królowéj swojéj sprawia to Skierka, że się załamuje ów mostek pod powozem Kirkora. Następnie wiedzie go echem napowietrznéj muzyki do mieszkania dwóch dziewcząt, które mu pani jego wskazała. Skutkiem niezrozumienia danego sobie rozkazu, zlewa on czary miłosne zamiast na jednę, na obie siostry. Tak więc jego to sprawa, że rycerz pokochał i Balladynę i Alinę porówno. Z tego wynika nowa zawiłość. Z obiema niepodobna się żenić, trzeba koniecznie wybrać sobie jednę tylko... Myśl wysłania dziewcząt na malinowe wyścigi wychodzi znowu od Skierki. Uosobienie przypadku szepnęło staréj wdowie do ucha, żeby rzecz zdać na przypadek: i tak cały ruch akcyi w zakresie piérwszego aktu, kierowany jest, jak widzimy, przeważnie tą właśnie sprężyną przypadkowości, przyodzianéj w kształty fantastycznego świata. Wzorem dla Słowackiego w tym względzie był «Sen Nocy Letniéj» Szekspira, a jeżeli nie wzorem, to przynajmniéj wskazówką i materyałem przydatnych dla poety spostrzeżeń. Ale Szekspir nie zamierzał w tym razie nic innego, jak napisać fraszkę lekką jak puch, bez uroszczeń do znaczenia sztuki z głębszą intencyą. Zamiar Słowackiego okazuje się nieskończenie więcéj poważnym. Rezultat ostateczny współdziałania jego Goplany przyczynia się do tragicznego obrotu zdarzeń, a postać i jéj saméj i otaczających ją istot bez porównania rzucona jest poetyczniéj, powiewniéj i idealniéj, niż szekspirowska Tytania albo Oberon i służebne ich elfy.

Dalsze części Balladyny bez porównania są prostsze. Akt II znów się odbywa w lesie, nad jeziorem. O wschodzie słońca, na scenie Grabiec, w czerwone błoto trzęsawisk uwalany i dobrze podpiły. Zmęczony całonocném wodzeniem go po błotach przez chochlika, spokojnie usypia. Na to nadchodzi Goplana ze Skierką i dowiaduje się o poprzedniém widzeniu się swego kochanka z Balladyną. Zrozpaczona, a nie mająca siły srożyć się nad ulubionym, zamienia go jednak za karę w płaczącą wierzbę. Następnie widzimy dwie siostry zbierające maliny. Alina

nazbierała już pełen dzbanek; Balladyna, jakby opętana demoniczną potęgą, nie widzi nawet jagód. Dla osiągnięcia dzbanka Aliny, a z nim i ręki Kirkora, ugadza ją nożem śmiertelnie. Jedynym świadkiem morderstwa jest wierzba, w którą zaklęty Grabiec. Balladyna ucieka w las, z krwawą plamą na czole, której zmyć w żaden sposób nie można. Po téj ucieczce nadchodzi nad ciało zamordowanéj Goplana ze Skierką i sprowadzają na ratunek Filona i pustelnika. Filon, nieszczęsny marzyciel, co dotąd szukał wszędy napróżno idealnéj miłości, ujrzawszy martwą Alinę, na nią odtąd zlewa całe swoje uczucie. Tymczasem Balladyna wraca do domu z dzbankiem siostry — i zostaje żoną Kirkora.

Jeżeli w piérwszym akcie tragedyi główne pole działania przydzielił autor przypadkowości krzyżującéj zamysły ludzkie, to w drugim staje na piérwszym planie demonizm. Zamiarem poety było (podług Małeckiego) przeprowadzić genezę zbrodni. Jéj zaród, jéj piérwszy objaw, jéj rozwielmożenie się w zakresie całéj woli człowieka, jéj następstwo nieuniknione, jéj wygórowanie nad całém otoczeniem stosunków przy niepodobieństwie zatrzymania nad niemi władzy, jéj wreszcie obrócenie się w nicość, zniesienie siebie przez siebie samę: — oto w krótkich słowach streszczenie całéj osnowy tragedyi, którą mamy przed sobą. Przedstawicielką téj akcyi ujemnéj jest przedewszystkiém Balladyna — charakter czarny, demoniczny, ale włożony w naturę wyższą, niż zwyczajny poziom ludzi w jéj położeniu. Stara jéj matka, która instynktowo czując tę wyższość, przenosi ją we wszystkiém nad młodszą córkę, wręcz wypowiada:

„Wszak ona pierwsza w kościele, i wszędzie
Pierwsza — z organem piosenkę zaczyna“...

A i Balladyna sama, przy końcu swego zawodu, rzuca podobne o sobie zdanie:

„Ja o sławę
Nie dbam, a wyższa teraz nad sąd ludu
Będę, czém dawno byłabym, zrodzona
Pod inną gwiazdą“...

Pod złą więc gwiazdą urodziła się Balladyna! Poeta chciał przez to wyrazić, że oprócz zewnętrznych okoliczności, coś jeszcze w niéj saméj, na spodzie własnego serca, zwichnęło i rozstroiło tę zkądinąd kolosalną naturę. Zasady demonizmu

w niéj saméj przyszły jéj od pierwszéj chwili istnienia — może w skutek ciężącéj nad wszystkiemi w narodzie naówczas klątwy — i rosły bujnie razem z ciałem urodziwém, razem z siłami jéj niepospolitego zkądinąd ducha. Goplana słysząc od Grabca, że on tą dziewczyną zajęty, wręcz wypowiada, że Balladyna „złe ma serce.“ Grabiec tego nie przyznaje. Nie przenika tego i matka ślepo rozmiłowana w swéj starszéj córce. Czują to niższe twory. Kiedy Alina wyjdzie z chatki, to jaskółki domowe okrążają ją jak wiankiem, i świegotaniem radosném już z oddalenia zapowiadają jéj powrót: a przed Balladyną lsniąca jaskółka „kryje się pod słomą i cicho siedzi.“ Przypadkowa sposobność stawia ją znienacka na rozdrożu strasznéj pokusy. Przed jej oczyma maluje się widok wielkiego szczęścia. Osięgnie je, osięgnie je natychmiast, jeżeli zostawi wolne ręce demonizmowi, który nurtuje w jéj sercu. Zachowa ręce czyste od zbrodni, jeżeli zniesie, że się to szczęście dostanie siostrze... W téj chwili strasznego boju ze samą sobą, nie odgrywa u Balladyny żadnéj roli ani miłość, ani nawet chęć wyjścia na wielką panią. Balladyna nie czuje tego, co młodsza siostra. Balladyna nie mogłaby się modlić jak Alina:

„Boże! ptaszęta u twojéj potęgi
Mogą uprosić o wisienkę czarną,
Jaskółkom w dziobek dajesz muszkę marną.
Jeśli Ty zechcesz Boże mój jedyny—
Gdzie stąpię — wszędzie czerwone maliny“...

Nie mogłaby powtórzyć za Aliną:

„Bo widzisz siostro, że ten malin dzbanek
To moje szczęście, mój mąż, mój kochanek,
Moje sny złote i mój ślubny wianek
I wszystko moje. — Ja kocham Kirkora!
Ach! nie dla tego, że Kirkor bogaty,
Że wielki rycerz, pan możnego dwora,
Że ma karetę złotą, złote szaty“...

Balladyna jeszcze wczoraj kochała Grabca, a teraz gotowa jest porzucić go dla drugiego. Nie powoduje nią jednak wyłącznie i chęć wydobycia sie z barłogu: bo i wtedy wyjdzie z téj sfery poziomej, w któréj się urodziła, kiedy Kirkor nie ją samę, ale Alinę poślubi. Na pochyłość występku wiedzie ją najdemoniczniejsze ze wszystkich namiętności — zawiść i du-

ma. To jest sprężyna, która wyrzuca z jéj ust owe słowa pełne gniewu i szału, wymówione do Aliny już z nożem zabójczym w ręku:

„Ty będziesz panią? ty? ty?“...

Ale prócz zawistnéj dumy była tu i inna jeszcze sprężyna w ruchu. Ze stanowiska ludowéj wyobraźni, potęga demoniczna wywiera działanie swoje nie tylko we własném wnętrzu człowieka, lecz także i bezpośrednio, przez niewidome, właściwe swoje narzędzia. Puszcze, które były sceną katastrofy, nawiedzali, według słów pustelnika, szatani. Balladyna, sama z zarodem demonizmu w sercu, z konieczności ulega ich wpływowi. Szukając malin po lesie, okazuje się jak gdyby w obłąkaniu. Widzi, czego drugie oczy nie widzą; a nie widzi tego co jest. Nie ma w owéj chwili w niéj jeszcze myśli zabicia siostry. Ta myśl rodzi się w niéj dopiero późniéj w ciągu rozmowy z Aliną. („Gdybym cię siostro zabiła?“...) Jest ona tam jeszcze sama, bez żadnego złego zamiaru, a jednak już rozumieć siebie nie może...

„Jak mało malin, a jakie czerwone!
By krew... Jak mało! — W którą pójdę stronę?
Nie wiem... A niebo jakie zapalone—
Jak krew!—Czemu ty słońce wschodzisz krwawo?
Noc wolę ciemną, niż taki poranek;
Gdzie moja siostra? Musiała na prawo
Pójść i napełnić malinami dzbanek;
A ja wśród jagód chodzę obłąkana
Jakąś rozpaczą i łzy gubię w rosie“ i t. d.

Po dokonaniu już zbrodni, pierwsze słowa Balladyny są jakby człowieka, który się budzi ze snu:

„Co moje ręce zrobiły? — O! —“
— — — — — —
„Któż zabija za malin dzbanek siostrę?!“ i t. d.

Zbrodnia zostaje więc dokonana — Balladyna zabiła siostrę. Ten czyn daje jéj w ręce wszystko, czego pragnęła. Postanawia sobie zapomieć o wszystkiém co się stało i nie dbać o nic. — „Na niebie jest Bóg. Zapomnę, że jest. Będę żyła, jakby nie było Boga“... To są znowu — postanowienia ludzkie. A cóż na to potęgi kierujące życiem człowieka? — Powstaje właśnie z pomiędzy nich najstraszniejsza, najwięcej nieuchron-

na: Fatalizm. Nie ten ślepy i nierozumny fatalizm, jak go sobie w postaci Przeznaczenia wyobrażali poganie, lecz owa wewnętrzna logika czynów z naszéj własnéj woli wynikłych, któréj rozkazom wolność nasza odtąd — mimo żalu, mimo wstrętu, mimo oporu przeciw téj sile coraz wyżéj nam po nad głowę rosnącéj — z konieczności poddać się musi. Tak więc począwszy od aktu trzeciego, najważniejszą sprężyną akcyi staje się właśnie ta fatalność zbrodni, płodzącéj z siebie coraz nowe występki. Nie przestają być czynnemi i tamte dźwignie — postanowienia ludzkie, przypadkowość, demonizm — ale działają odtąd już tylko pomocniczo. Niewidzialna ręka zbrodni prowadzi Balladynę daléj, mówiąc do niéj jéj własnym głosem, głosem sumienia...

—„Wiatr goni za mną i o siostrę pyta,
Krzyczy: zabita — zabita — zabita!
Drzewa wołają: gdzie jest siostra twoja?
Chciałam krew obmyć: — z błękitnego zdroja
Patrzała twarz jéj blada i milcząca“...

Akt III poczyna się od fantastycznéj sceny u pogorzeliska dopalającéj się chaty wdowy. Do gwarzącéj gromadki wieśniaczego ludu zbliża się Grabiec wytrzeźwiony i dowiaduje się o tem, co zaszło. Daléj widzimy Balladynę, już panią na zamku Kirkora. Lecz i tam nie przestaje ją ścigać sumienie.

...„Rankiem głos sumienia nudzi—
Nad wieczorami dręczy i przeraża,
A nocą ze snu okropnego budzi...
O! gdyby nie to!“...

Rycerz przed zamierzoną tajemniczą wyprawą żegna żonę zaraz po ślubie, prosząc ją o zdjęcie za jego powrotém przepaski czarnéj, pokrywającéj plamę krwawą na jéj czole. Balladyna podejrzewa, że mąż jedzie szukać Aliny, któréj ciało zostało w lesie. Ze swojéj strony i matka, przy córce mieszkająca w Kirkorowym pałacu, dręczy Balladynę ciągłemi pytaniami, co to za plama czerwona?... Ten wyjazd tajemniczy męża, te zagadywania matki, to natarczywe żądanie, żeby zrzucić z czoła przepaskę — wszystko to niepokoi zbrodniarkę. Trzeba koniecznie coś wymyślić, żeby się pozbyć spojrzeń matki; żeby przed mężem, w razie potrzeby, znaleźć jakąś obronę... w trzeciéj osobie. Nastręcza się kusiciel, pochlebca, kłamca, szatan wcielony — w postaci niemieckiego przybysza.

Przed *Kostrynem* nie ma Balladyna potrzeby taić ani swego pochodzenia, którego z dumnéj próżności nie chciałaby się dawać domyślać ludziom, co ją otaczają, ani występku, którego krwawe świadectwo nosi wypisane na czole. Następuje tedy, co w daném położeniu i ze strony takiéj natury prawie musiało nastąpić: zdrada i wiarołomstwo przeciw mężowi — nielitość i niepoczciwość przeciwko matce, któréj się jako matki wypiera i na samotnéj ją wieży osadza, ażeby nie mieć jéj ciągle na oczach. Ale to są wszystko półśrodki. Trzeba koniecznie znaleźć skuteczny sposób na zmycie owéj krwawéj skazy na skroni! Może pustelnik, znający siłę roślin i rozdający leki na wszelką słabość, potrafi nastręczyć jaką radę i na to. Biegnie tedy do pustelnika. Nie zastanawia się, co czyni, — na oślep, jakby ją pędziła jaka siła tajemna, bieży na miejsce, w pobliżu którego popełniła morderstwo. Jesteśmy znów w lesie u chaty pustelnika. Przychodzą do mądrego starca z kolei Kirkor, Filon i Balladyna. Pustelnik dodaje otuchy prawemu rycerzowi w zamierzonéj walce o przywrócenie prawowitéj korony i władzy; marzyciela Filona zagrzewa do czynu; Balladynę zaś zmusza do mimowolnego wyznania zbrodni. Potém przesuwa się przed nami pełen fantasmogoryi obraz przetworzenia Grabca, czarodziejską mocą Goplany, na króla uwieńczonego prawdziwą, wykradzioną pustelnikowi koroną Lecha; kończy zaś ten akt nowy mord, dokonany na gońcu Kirkorowym, na przysłanym z darami do Balladyny Gralonie. To już czyn tylko głowy Kostryna, choć go spełniła ręka Balladyny, owładniętéj przez jego wolę. Teraz wszystkie już węzły z mężem zerwane! Nie ma nawrotu! Zamordowanie Gralona stawia żonę względem męża w tém położeniu, że albo on albo ona — zginąć musi.

Akt IV zaczyna się wielką ucztą na zamku Kirkora. Grabiec ubrany po królewsku siedzi na pierwszém miejscu — pełno gości — przez okna widać błyskawice. Wśród biesady wesołéj, do sali wdziera się w łachmanach zapomniana przez córkę wdowa. Balladyna wypiera się publicznie swéj matki i każe ją wygnać sromotnie. Następnie goniec Kirkora zwiastuje rychłe przybycie pana swego, tłómaczy opóźnienie, donosi o odniesioném przezeń zwycięztwie nad przywłaszczycielem tronu i zapowiada, że odtąd prawowitym władcą ten jedynie, kto będzie koronę Lecha mieć na głowie. Wszyscy więc przebranego Grabca witają królem. Nowy król dla rozrywki gości każe grać Chochlikowi na swém berle wierzbowem. Cho-

chlik gra, a duchy niewidome przywtórzają pieśń ludową o zabójstwie siostry przez siostrę. Balladyna w najwyższem przerażeniu. Następnie Grabiec każe przynieść malin na wety. Lecz tu, o zgrozo! pokazuje się cień biały Aliny z dzbankiem malin na głowie. Balladyna omdlewa — uczta przerwana. — Tymczasem u chatki pustelnika Kirkor przyrzeka starcowi odzyskać skradzioną mu koronę i mimo burzy odjeżdża do Gniezna. Niebawem zjawia się wdowa wygnana, zrozpaczona, narzekając na okrucieństwo córki. A na zamku następuje nowy mord: Balladyna zgładza Grabca i z Kostrynem zdobywa jego koronę. Lecz powiernik ten, kusiciel zbrodniarki, poczyna godzić już i na jéj życie. Przedewszystkiém jednak postanowiono jeszcze wspólnie zadać śmierć pustelnikowi posiadającemu tajemnicę Balladyny, oraz stoczyć walkę na zabój z Kirkorem.

W ostatnim akcie tragedyi poeta wprowadza fantastyczną królowę Gopła, żegnającą te strony i zabierającą się do odpływu w zamierzchłą, w snach przedświtu pogrążoną jeszcze krainę — na północ...

„Chodźcie mnie uścisnąć aniołki,
Bo Goplana na wieki wam znika.
O zapłakane fijołki,
Róże moje, bądźcie zdrowe!...

„Polecę w okropnę krainę,
Gdzie sosny i sniegi sine,
Gdzie słońce jak gasnący żar“...

Rozwiewa się więc w błękit daleki — podobna do chmurki za żórawi kluczem płynącéj coraz wyżéj i coraz daléj po niebie — do chmurki blednącéj „jak miesiąc od słońca“, coraz mniejszéj i mniejszéj dla oka — wreszcie ginącéj w oddaleniu... Dalszy ciąg aktu V, jest to szereg samych już zgonów. Pustelnik ginie z rozkazu Balladyny, gdyż jest w posiadaniu tajemnic, które musiałyby ją zgubić, gdyby zostały wyjawione. Kirkor ginie w walce z hufcami Kostryna, gdyż jest to bój, który po tém wszystkim, co zaszło, nie może się kończyć inaczéj, jak tylko zagładą jednéj lub drugiéj ze stron walczących. Kostryn, po odniesioném zwycięztwie, zostaje trucizną zgładzony ze świata, gdyż jest on już teraz niepotrzebném, a bardzo niedogodném dla Balladyny narzędziem. Nie pozostał tedy przy życiu żaden wspólnik, żaden świadek, żaden nawet mo-

żliwy oskarżyciel win ciężących na Balladyny sumieniu. Wszystkich, co przeszłość jéj znali, zamknęła w sobie mogiła. Matka stara, ociemniała, poszła gdzieś sobie w strony dalekie. Nie trafi ona do pałaców książęcych, których podwoje otwierają się właśnie dla jéj córki przez lud okrzykniętéj królową. Nieznana nikomu i nikogo nie widząca nad sobą, doczekała się tedy Balladyna godziny, w któréj powiedzieć może:

...„Już przeszłość zamknięta
W grobach.—Ja sama panią tajemnicy!“
...„Życie pełne trudu
Na dwie połowy przecięła korona:
Przeszłość odpadła jak od płytkiéj stali.“

Druga połowa życia, przyszłość ma nie mieć żadnéj wspólności z krwawą drogą, która tę dziewczynę wiejską aż na wysokość tronu przywiodła. Przyrzeka sobie tedy łagodne, dobroczynne, łaskawe dla wszystkich rządy, słuszny wymiar sprawiedliwości, słowem powetowanie uczynków złych i występnych stanowczém wejściem na inną drogę. I jakąż na te znowu „postanowienia ludzkie“ dają odpowiedź one władze niewidome, potężniejsze niżeli wola człowieka? — Pęd popełnionéj zbrodni nie przestaje płynąć i daléj. Działanie fatalizmu idzie olbrzymiemi krokami naprzód. Oto królowa na początek panowania zasiada na sądy. Najprzód lekarz wnosi skargę o otrucie Kostryna, i królowa zmuszona wydać wyrok śmierci na nieznanego zbrodniarza. Filon potém wprowadza sprawę zamordowania Aliny; i tu królowa wyrok śmierci wydaje. Nareszcie ślepa wdowa, matka Balladyny, wchodzi ze skargą na wyrodną córkę; lecz gdy się dowiaduje od kanclerza, że kara śmierci czeka niegodziwą, cofa zaskarżenie i ginie na torturach— ginie za to, że córkę, która jéj się zaparła i teraz jeszcze kocha; że ją i teraz jeszcze śmiercią swoją zasłonić pragnie od kary. — Po tém wszystkiém wkracza ostatnia i najwyższa ze wszystkich potęg rządzących biegiem spraw ludzkich. Ponieważ wszystkie już ziemskie środki zostały zużyte, a demonizm cofnąć się na drodze swojéj nie myśli: więc czas, ażeby się niebo bezpośrednio wmieszało w to zwichnienie moralne natury ludzkiéj. Spada piorun z nieba i zabija zbrodniarkę. Palec boży widnym się staje w bezpośredniém swojém działaniu, i rzeczy świata tego wracają w karby należne,

Epilog nie należy do właściwéj osnowy sztuki. Jest to tylko odpowiedź autora na przewidywany zarzut, że jego powieść

nie zgadza się z historyą. Zapytuje więc poeta: co jest historya? Czy historya, jak bywa, a raczéj bywała w dawnych czasach najczęściéj traktowana, wnika w skrytości serc ludzkich? czy dochodzi rzeczywistych pobudek zdarzeń? czy wie wszystko?... Z wątkiem dziejowym, nawiniętym przez płytkich lub małodusznych kronikarzy, godzi się czasem rozminąć intuicyjnym jasnowidzeniom poety. O szczegóły tu nie chodzi — chodzi jedynie o ogólne w zmyśleniach takich dziejowe i psychiczne ideje. Z téj strony wolno poecie iść o lepszą z urzędową historyografiją.

Pod względem historycznym, Małecki widzi w Balladynie «wymarzony w poetyckiéj wyobraźni, epizod, wsunięty w dzieje nasze mityczne, jako ogniwo łączące zamierzchłe czasy Popielów z pewniejszą i prawie już historycznem słońcem oblaną epoką Piastów. Jako ostatnia chwila przeddziejowego istnienia, zaludniony on jest przez poetę, krom ludzkich i fantastycznemi istotami. Fantastyczna ta cudowność jednakże rozwiewa się w mgły nicości wraz ze świtem historycznego poranku». Dla tego to, zdaniem Małeckiego, razem z upadkiem Balladyny, razem z końcem balladowego przedbytu Polski, rozwiewa się w błękit daleki i fantastyczną Goplana.

Inaczéj zapatruje się na utwor Słowackiego L. J., *) który widzi w Balladynie słowo wewnętrznych dziejów Polski — cały piętrzący się wspaniale przybytek historyi narodu, wzniesiony podług raz zakreślonego planu, podług jednéj myśli, gdzie każdy prawie szczegół stanowi organiczną, konieczną część całości. Wiadomo, że Juliusz postawił był sobie za zadanie wskrzesić do życia w świecie poezyi całą naszę historyczną przeszłość, objąć i oddać w pół-posągowych, pół-fantastycznych rysach cały wezbrany prąd dziejów narodowego życia. Wspaniały ten obraz miał tworzyć pewną całość, jeden wielki poemat niejako, którego każda część z osóbna miała być odrębnym dramatem, tragedyą, kroniką dramatyczną, jak ją sam autor nazywa. Rozpoczęła całe wiązanie tego poematu, jako wstępny niby epizod jego — «Balladyna». Stanowi ona szeroką podstawę owéj niewykończonéj budowy; lecz będąc zarazem jakoby ześrodkowaniem i uwieńczeniem akcyi całego poematu, przedstawia ona zarazem ostatnie niejako mistyczne sklepienie, co symbolicznie kryje w sobie całą zagadkę przeszłości, tajemni-

*) „Balladyna. Uwagi nad istotą wewnętrznéj treści utworu przez L-wa J-go". Gaz. Tor. 1874, NN. 274—286.

cze jéj słowo. Epizodem oderwanym z dziejów pszeszłości być ona nie może; epizod bowiem byłby nieskończenie wydatniejszym, bardziéj dotykalnym, mniéj anachronistycznem. W treści więc téj może się wypowiadać albo pewna strona, pewien promień narodowego życia w ogóle, lub też samo to życie w całości, w pewien samoistny sposób ujęty. Głębsze zastanowienie zniewala nas przyjąć ostatnie widzenie rzeczy.

Podług L. J. czarująca postać nimfy Goplany przedstawia już to uroczą siłę przyrody kraju, biorącéj udział w bycie społeczeństwa — siłę życia samego, już co ważniejsza, ideę, genijusz opiekuńczy narodu. — Uboga Wdowa, matka dwóch córek, to najprzód narod w swym pierwotnym, prostaczym, patryarchalnym bycie; a w ostatecznym razie tenże naród w powszechném dziejowém znaczeniu. Z dwóch córek wdowy starsza Balladyna uosabia wydzielający się wcześnie z patryarchalnego łona narodu pierwiastek bardziéj rzutki, możniejszy; młodsza zaś Alina wyobraża lud, massy narodu. — Zawiązek dziejowy z historyozoficzną ścisłością faktycznego prawdopodobieństwa podany. Ślicznie, historycznie wiernie, a z całém złudzeniem legendarności mistycznéj naiwnego ludowego opowiadania, kreśli nam poeta pochodzenie korony polskiéj, wskazuje podaniowe, prawowite źródło saméj królewskości pod tchnieniem chrześcijaństwa i cesarstwa; a pod koniec w cudnie pięknym obrazku przyzywa na pamięć i mistycznie upostaciowuje znany stosunek szczególniéj przychylności Kościoła-Rzymu ku polskiéj koronie i moc idei Zbawiciela w jéj dziejach. Oto powieść Pustelnika:

...«Ku ojczystéj stronie
Wracali niegdyś od Betleem [1]) żłobu
Święci królowie — dwóch Magów i Scyta.
Ów król Północy [2]) zaszedł w nasze żyta,
Zabłądził w zbożu jak w lesie — bo zboże
Rosło wysoko jak las w kraju Lecha. [3])
Więc zabłądziwszy, rzekł: «wyprowadź Boże!»
Aż oto przed nim odkrywa się strzecha
Królewskiéj chaty — bo Lech mieszkał w chacie —
Wszedł do niéj Scyta i rzekł: «Królu! bracie!
Idę z Betleem, a gwiazda błękitna
Twoich bławatków ciągle szła przedemną,
Aż tu zawiodła». — Lech rzekł: «zostań ze mną.

1) Z Rzymu. 2) Cesarz Otto. 3) Bol. Chrobry.

Kraina moja szczęśliwa i bitna,
Jeśli chcesz, to się tą ziemicą z tobą
Dzielę na poły». — Scyta rzekł: «zostanę,
Lecz kraju nie chcę, bo ziemie złamane
Rozgraniczają się krwią i żałobą
Dzieci i matek». — Więc razem zostali.
Ale to długa powieść...
Więc jako dawniéj czynili mocarze,
Z Lechem się mienił Scyta na obrączki,
A pokochawszy mocniéj sercem, w darze
Dał mu koronę — ztąd nasza korona»...

Pustelnik wyobraża ideę królewskości, prawowitéj władzy, przeciwstawioną idei absolutyzmu, nienawistnego społeczności ówczesnéj (np. idei Mieczysława III). Władzę u kolebki dziejów otacza rycerstwo. Uosabia je tu Kirkor. Jest to rycerstwo pierwszego zwrotu i typu, Bolesławowskie jakoby, przesiąknięte uczuciami barbarzyńskiéj, zachodnio-europejskiéj szewaleryi, może nawet obce z pochodzenia, co widoczniéj autor przyjmuje w *Lilli Wędzie*. Charakter jego widać w następującym zwrocie Kirkora do Chrystusa:

«O biedny kwiatku! na toż ty się kwiecił,
By cię na krzyżu ćwiekami przybito?
Czemuż nie było mnie tam na Golgocie,
Na czarnym koniu, z uzbrojoną świtą?!
Zbawiłbym Zbawcę, lub wyrąbał krocie
Zbójców na zemstę umarłemu».

To coś zupełnie w rodzaju znanego przy chrzcie uniesienia wodza Franków — Klodowika! — Lecz to nie jest jeszcze całkowite określenie Kirkora. Przedstawia on nie tylko najszczytniejszą rycerskość w ogóle, z jéj wzniosłemi ideałami, podług hasła: «Niechaj wie człowiek, że mu Bóg pożyczył życia na krótko; niechaj odda w czynach, co winien Bogu» — ale i pewną siłę, pewną moc narodu nieskazitelną, zachowawczą a twórczą, upostaciowanie najbardziéj poetyczne czynnego pierwiastku w narodzie, ideę społeczną arystokracyi w nieskalanym jéj ideale — czemu odwrótną stroną służy Balladyna. Walka dynastyczna w rodzie panującym wywołuje i podnosi do pierwszorzędnego znaczenia rycerstwo. Staje ono po stronie prawowitości. Kirkor postanawia przywrócić wygnanego Popiela na

tron; lecz dla tém pewniejszego zwycięztwa rycerstwo zmuszone jest zwrócić się do ludu, do patryarchalnych gmin słowiańskich. Wśród ich łona jednakże wybór nie łatwy. W dziejach waży się niemały czas pytanie: co będzie powołaném przeważniéj do żywszéj politycznéj działalności — czy massy ludu w ogóle, w swym gromadowładnym ustroju, czy pierwiastek możniejszy, samoistnie już wydzielający się z pośród gminu? Kirkor długo się waha pomiędzy równie pięknemi siostrami. Wybor ten zostaje dopiero umożliwiony przez przewrót wewnętrzny, jaki pod wpływem prądu dziejowego wypadków, w patryarchalnéj gmin posadzie zachodzi. Oto Balladyna zadaje cios śmiertelny Alinie. Gmina pierwotna, a daléj i lud cały, zdeptany społecznie, zabity politycznie w nieodzownym dziejowym pochodzie! Kirkor żeni się z Balladyną i wynosi ją na panią zamku: — rzutniejszy pierwiastek opolny podnosi się polityczną zbrodnią rozbratu ku rycerstwu i poczyna odtąd stanowić możnowładztwo, arystokracyę, szlachtę w wyższém znaczeniu. Dotychczasowa Balladyny z Grabcem zażyłość zostaje zerwana. Pierwotnie, we mgle patryarchalnego bytu, zażyłość ta, solidarność jedność nawet była rzeczywistą. Nim Balladyna oddała rękę Kirkorowi, nim wstąpiła na zamek, wyróżnienie, jakie z czasem nastąpiło pomiędzy dwoma odłamami jednego i tegoż samego w osnowie szlacheckiego stanu, nie istniało zupełnie. W biegu czasu dopiero odłam arystokratyczny wyosobnił się od demokratycznego, który tu właśnie wyobraża Grabiec, pierwowzór niby szaraczkowéj szlachty. Zasłużenie czy niezasłużenie genijusz narodu robi szlachtę ową swoim wybrańcem. Goplana Grabca wyłącznie otacza swą idealną miłością i przyczynia się do odsunięcia odeń Balladyny. Wyraz powszedniéj strony młodszéj braci szlachty oddany tu został zgodnie z prawdą względną w całéj swéj cynicznéj nagości. — Najbardziéj stanowczym, najdonioślejszym co do znaczenia społecznego, najobfitszym w następstwa wypadkiem historycznym, było to zabójstwo Aliny, — zabójstwo społeczne ludu wieśniaczego, ujarzmienie gminy swobodnéj. Odbyło się ono w oczach samego Grabca; lecz stał on teraz biernie, nieruchomie, jako zaklęty przez Goplanę w płaczącą bezmyślną wierzbę. — Przy śmiertelném więc ugodzeniu Aliny, zdobył się zaledwie na jeden wykrzyk: «Jezus Marya!» Następnie na zapytanie, gdzie był w czasie dokonywania się przeważnych wypadków, najspokojniéj odparł: — «rosłem» — na co mu też słusznie zewsząd odbrzmiało: «Grabiec był osłem!» — Zabójstwo społeczne ludu istó-

tnie dokonane zostało za niemém przyzwoleniem drobnéj szlachty. Przemoc wywarta zaledwie uczuć jéj religijnych dotknęła, a bierność podobna, jeśli nie świadczyła o niedojrzałości politycznéj, była wielkiego błędu szlachty dowodem. Mimo to trudno się powstrzymać od uczucia pewnéj przykrości na widok, jaki nam przedstawia fantastycznie samowolny, choć co do artyzmu potężny w sobie obraz, roztaczający się w początku II-go aktu: — norma to niby bytu szlachty, od Boruty po błotach łęczyckich wodzonéj, po pijanemu możnowładne «dęby» wspierającéj. — Żywiéj daleko dotknął los Aliny Pustelnika, lecz władza królewska nie miała w swych rękach środków do ratowania ludu, choć straszyła panów czasem wskrzeszeniem Aliny. — I jakże uczciła rozrzewniającą a pełną grozy śmierć Aliny narodowa poezya? Filon, który ją tu właśnie wyobraża, oddany dotąd zdobnym w szaty greckiego mytu a czczym dla życia rzeczywistego ideałom klassycyzmu, wprawdzie na widok cudnéj postaci zamordowanéj dziewczyny, zapala się ku niéj platoniczném uczuciem; ale uczucie to bezsilne, rozpraszające się w uwielbienie cienia, w marzące, smętne rozrzewnienie, a niezdolne nawet obudzić myśli, cóż dopiero żywych pragnień wskrzeszenia ukochanéj! Przykra to a niezaprzeczona w ogóle prawda, iż poezya polska przez długie wieki strzęgnąc w klassycznéj rutynie, chociaż po zwróceniu się na tór romantyzmu i bliżéj dotknęła ludu, traktowała go długo jedynie jako oryginalny, idyliczny, historyczno-oderwany, lub sentymentalno-senny temat estetyczny, nie zaś jako żywiół wołający o prawa do życia. Nie kto inny jednak jak Filon ułamał z Grabcowéj wierzby gałąź, z któréj zrobione berło, użyte przez psotnego Chochlika miasto dudki, pieśnią o siostrze tak przeraziło Balladynę. Goplana, aczkolwiek zajęta wyjątkowiéj Grabcem, jednakże jako cień zabitéj siostry, jako wyrzut sumienia przemawia do Balladyny o zbrodni — i ciska jéj przekleństwem.

W dziejowym pochodzie społecznego rozwoju Polski, wyniesiony z łona ludu pierwiastek pański, możnowładczy, nie długo przebywa w jedni z zastępem monarchizmu. Wzmocniony jego niegdyś opieką, poczuwszy się nieco na siłach, zwraca się następnie przeciwko niemu i osłanianéj przezeń królewskości; w śmiertelnéj zaś obawie, by w potrzebie nie zachciano podnieść zdeptanych gmin, przybiera zwrót republikański. Balladyna drży na myśl, że Kirkor Alinę odszuka: wcześnie tedy wyrzekając się własnéj matki, ogląda się za obcą przyjaźnią,

jaką znajduje w Kostrynie. Kostryn wyobraża tu nie tylko żywioł niemiecki w ogóle, obcy, samolubny, złowrogi Polsce — cywilizacyę obcą, grozę krzyżactwa, ale zarazem i pierwiastek miejski w kraju, wśród którego germanizm ważną grał rolę.— Tymczasem wśród zapasów o prawowitość, korona Popiela, ów symbol zwierzchniczego przewodnictwa narodowi, skutkiem szczególniejszego wyboru Goplany, spada na skronie jéj ulubieńca Grabca. Młodsza bracia, rycerstwo, staje na czele Rzeczypospolitéj. W innéj stronie, mocą konieczności historycznéj, zbliża się stanowcza walka Balladyny z mężem. Znikome, przemijające było panowanie stanu rycerskiego, a nadto panowanie nie o wiele mniéj dotkliwe, jak każde inne: miało ono przecię charakter narodowy i przedstawiać mogło jakieś widoki dla ludu. Grabiec na uczcie choć na chwilę sadza przy sobie Wdowę, któréj się Balladyna haniebnie zapiera jako matki i wypędza z zamku. To już groźne dla Balladyny. Chciała ona swe własne czoło widzieć uwieńczone koroną Lecha. Nie było innego środka, jak dokonać nowéj zbrodni — i Grabiec ginie z jéj ręki. Stan rycerski, młodsza bracia, został unicestwiony przez arystokracyę, przez panów. Stér wszechwładzy politycznéj dostał się w ręce tych ostatnich. Była jednakże chwila w dziejach, w któréj arystokracya z całym krajem niemal że nie stała się łupem podstępnie ją wspierającego germanizmu; — była chwila, że Balladyna zadrżała przed ukrytą myślą Kostryna. Wygnana z zamku Wdowa próżno szuka poparcia u Pustelnika. Wkrótce po zamordowaniu Grabca ginie w otwartéj z Balladyną walce Kirkor, a jednocześnie i Popiel haniebnie zawisa. Monarchizm napróżno przemyśliwa nad niedolą kraju. Po obaleniu znaczenia stanu rycerskiego ginie on i sam ostatecznie w zapasach z arystokracyą. Otrucie Kostryna przez Balladynę rzeczywiście należałoby odnieść do głębszéj przeszłości — pierwéj bowiem i groza germanizmu zewnątrz znikła, i pierwiastek miejski obezwładnionym został. — Tak więc Balladyna, popychana przez fatalizm drogą tylu zbrodni, zostaje przed naszemi oczyma królową. Ale wkrótce następuje dzień sądu dziejowego! Arystokracya wzmogła się na rumowiskach ujarzmionego ludu, a stawszy się sama wszechwładczynią narodu, za powodem dziejów wołających o sprawiedliwość i pomstę w imię prawdy, musi sama sobie podpisywać fatalnie wyrok potępienia. Balladyna królowa zasiada na trybunale najwyższym i rozstrzyga surowo sprawy. Występują oskarżyciele w sprawie Kostryna i Aliny — zdeptanych miast

i unicestwionych gmin wiejskich. Wyrok królowéj nieuniknio-ny, złowrogo sprawiedliwy. W końcu zjawia się Wdowa, by krwawo obwinić wyrodną córkę. Ale gdy przychodzi jéj wy-dać imię zbrodniarki, sama chętniéj umiera. A Balladyna?— W chwili wyrzeczenia sobie ostatniego wyroku: «winna śmier-ci!» — z wiszącéj nad zamkiem czarnéj chmury uderzył piorun i obalił nieszczęsną.

Tak więc «Balladyna», zdaniem L-wa I-go, jest tragicznym obrazem dziejów wewnętrznych Polski— obrazem fatalnéj walki społecznych jéj żywiołów. Z gminowładnego łona słowiańskie-go opola, pod tchnieniem potrzeb dziejowych, wykwitają sto-pniowo rozliczne pierwiastki społeczne. Gdzieindziéj, pod ja-śniejszą czy powszedniejszą gwiazdą, układają się one w pe-wną harmonijną działalność umiarkowanego dramatu:— w Pol-sce grą ich życiowa charakter tragiczny przybiera. Szlachta, arystokracya—pierwiastek, co na wyżynie dziejów wieńczy się koroną wszechwładztwa, kroczy przez nie z podniesioną gło-wą, depcąc i niwecząc jeden po drugim wszystkie inne pier-wiastki społecznego i politycznego bytu narodu. Co krok — to cios, co krok — to krzywda, co krok — to zbrodnia! Pochód taki złowrogi, przy zewnętrznym majestacie i potędze, wypeł-nia cały zakres ubiegłych dziejów Polski — i dzieje te stają się jedną wielką, groźną, ponuro-poważną a wspaniałą tragedyą. Główną jéj postacią jest Balladyna!

I rzeczywiście — «Balladyna», jako poetyczny utwór dopiero wtedy okazuje się nam w całym blasku swego uroku i mocy, jeśli ją obejmujemy jednocześnie zarówno z artystycznéj jak i ściśle historycznéj strony. Sztuka zyskuje w takim razie na szczytności i głębi, historya przyodziewa się urokiem piękna, a utwór wywiera nieopisanie potężne wrażenie. Tylko wszech-stronne pojęcie Balladyny jest pojęciem istotném, a nawet je-dynie artystycznem. Dla tego też rozumienie Balladyny jako epizodu jedynie dziejów, poniechanie symbolicznego tłómaczenia ustępów, wyzywająco napiętnowanych cechą allegoryi, musiały wywołać u Małeckiego cały szereg niesłusznych zarzutów, któ-re znakomity ów krytyk czyni poecie, oraz błędów w pojmo-waniu ogółu i szczegółów rozważanego przezeń utworu. Ztąd między innemi ów zarzut nie tyle niedostatku, ile raczéj nad-miaru treści i obfitości fantastycznych kreacyj. Ztąd też upa-trywanie allegoryi jedynie w fantastycznym świecie, przyczém Goplana jest niby zmysłowém uwidomieniem przypadku tylko;— zdanie, że i tu symbolizm nie przenika materyału do rdzeni,

lecz stanowi fantasmagoryę jedynie. Ztąd zarzut, że w IV akcie urywa się ciąg organiczny tragicznego działania; nierozumienie konieczności zamordowania Grabca — i owych «mniéj jasnych i szczęśliwych okoliczności, połączonych z głównym pomysłem»; niepojmowanie znaczenia Grabca w koronie i całego ustępu uczty; zarzut nadmiaru zawikłania, przepełnienia sztuki przy końcu okropnościami, pomięszania mitologii pogańskiéj z chrześcijaństwem; sprzeczności wystawionego obrazu z powszechném o téj rzeczy wyobrażeniem; zarzut niedostatecznego przeprowadzenia charakteru Balladyny, jako głównéj bohatérki tragedyi, o przesadnie wstrętnéj, a więc mniéj interesującéj widza naturze — i wiele innych. Wszystkie te zarzuty upadają w obec głębszego na tragedyę Słowackiegó poglądu. W dwóch tylko punktach Małecki ma słuszność bezwarunkową. Najprzód uderzająca jest zawisłość Balladyny od Makbeta szekspirowskiego, zawisłość posunięta daleko po za granice właściwe. (Uczta, ukazanie się cienia Aliny i t. d. Reminiscencyą również Szekspira, nawet co do wyrazów, jest ów wiersz, w usta Balladyny włożony:

«Świecy!— mój cały zamek za błysk świecy!»

W Ryszardzie III Szekspira czytamy:

«Konia! konia! całe królestwo moje za konia!»)

Ważniejszą daleko niestosowność w tém dziele Małecki upatruje w niewłaściwości użytéj formy, t. j. w tém, że ręka poety wyrzeźbiła Balladynę w plastycznych kształtach tragedyi. Gdyby utwór ten był zwyczajnym poematem, romantyczne pomysły, które w nim przybrały ciało, fantastyczność, bezpośrednie demonizmu działanie, cudowność, słowem, wszelkie nadzwyczajne sprężyny, grające tak przeważną rolę w tém dziele, byłyby nie tylko na swojém miejscu, lecz nawet jako nowe i nieraz głęboko pojęte rzeczy przydawałyby utworowi niepowszedniéj piękności. W dramacie — gdzie wszystko dzieje się przed żywemi oczyma widzów, gdzie złudzenie i prawdopodobieństwo stanowi tak konieczny wszystkich wrażeń warunek, gdzieśmy przywykli już wymagać od poety, ażeby wszelkie przejścia i zwroty działań odbywały się w imię pojęć, które my dzisiejsi i wszystko rozumem a nie fantazyą biorący ludzie uważamy za istotne i rzeczywiste: w dramacie, powtarzamy, dźwignie takie jak w Balladynie, nie są odpowiednie celowi. Przemiany Grabca to w wierzbę, to w starca — owa cudowna plama krwawa na

czole, owe Skierki i Chochliki — wszystko to są przybory, dobre dla poematu, znośne w jakim pospolitym czarodziejskim melodramacie albo wreszcie balecie; lecz w utworze, w którym bierze się rzeczy na seryo, w dziele mającém za zadanie poruszyć najgłębsze uczucia w widzach, rzeczy takie nie sprawiają wrażenia.

Lilla Weneda wyszła z druku wprawdzie po Balladynie, lecz z treści swojéj piérwsze zajmuje miejsce w szeregu sześciu owych zamierzonych dramatów, z których się miał złożyć cały cykl legend fantastycznych o najdawniejszéj Polsce. Daje w niéj poeta właśnie sam zawiązek, sam zaród społeczeństwa polskiego. Główny pomysł Słowackiego co do owéj chwili dziejowéj i zgadza się i nie zgadza z historyą. Wszyscy niemal dziejopisarze zgadzają się na to, że nastąpiło jakieś przybytkowe wszczepienie latorośli nieco odrębnéj w pień miejscowéj ludności polskiéj, a tradycya odwieczna o przyjściu Lecha w te strony, także to przypuszczenie potwierdza. Jednakże historya to przybycie nowych żywiołów na ziemię polską pojmuje w formie napływu. Przypuszcza napływ idei wyższéj, organizacyi odrębnéj, może też wreszcie nawet i rasy obcéj, lecz w taki sposób, że takowa bez wielkiego oporu potrafiła tu dokonać swego domieszania się do miejscowych żywiołów i choć nad niemi wzięła przewagę, a następnie i panowanie, to raczéj sama się rozpłynęła w ludności, którą napotkała w okolicach nadgoplańskich, niż żeby ją miała w sposób gwałtowny wyprzeć albo wytępić. Słowacki w tym punkcie zupełnie odstąpił od wyobrażeń utartych. Przedstawia on tę przemianę stosunków jako podbój, jako krwawe zetknięcie się dwóch przeciwnych sobie pierwiastków, jako bój dwóch różnych plemion o śmierć prowadzony lub życie. Przedstawią przyjście Lechitów jako zagładę zupełną Wenedów — dawniejszéj tych okolic ludności — na korzyść przybyłéj rasy. I wziął sobie właśnie to konanie ustępującego z historyi i pokonanego plemienia za główny przedmiot swojéj tragedyi. Jest to zatém przeważnie tragedya idei, tragedya narodu i społeczeństwa całego — nie osób pojedyńczych.

Sztuka się poczyna samym początkiem najazdu. Widzimy tu od razu króla Wenedów z obydwoma jego synami w niewoli u Lecha, który już prawie władnie tym krajem. Wielki ten przewrót sprawiła jedna bitwa, piérwsze już starcie. W poprzedzającym akt ten prologu, którego czas przypada na chwilę owéj bitwy stanowczéj, daje autor kilka zarysów charaktery-

zujących położenie dziejowe. Dowiadujemy się, że Wenedzi skazani są na zagładę, że cięży nad nimi jakaś klątwa, z przyczyny której upaść i zaginąć muszą. Myśl ta odzywa się ciągle przez cały tok dramatu, jak echo jakie złowieszcze. Uczucie zbliżającego się końca cięży ołowiem na wszystkich osobach biorących udział w téj ostatniéj walce z najezdnikami. Poeta nie tłómaczy ani powodów ani bliższych okoliczności owego przekleństwa, rzuconego na cały szczep Wenedów. Możnaby go tu prawie posądzać o wprowadzenie jakiegoś ślepego fatalizmu — tém bardziéj, że w Lechitach, którzy wszędzie zwyciężają Wenedów, nie widzimy żadnéj nad nimi wyższości. Przeciwnie, jest to rasa jakaś i fizycznie karłowata, i duchowo napiętnowana cechami małości, skłonna do nikczemnych okrucieństw, daleka od wszystkiego, coby znamionowało wyższą naturę, niekiedy nawet prawdziwe popełniająca obrzydliwości. Sam *Lech*, oprócz zręczności w boju, żadnych wyższych przymiotów nie posiada. Żona jego, *Gwinona*, Skandynawka z rodu, zarzuca Lechitom lenistwo, prywatę i lekkomyślność, a sąd swój o całym ich rodzie zamyka wyrzeczeniem niekoniecznie dla nich pochlebném, że to «lud głupi, z rąk rycerskich ale z głów niemyślących» złożony. Na to samo wychodzi, co w swój znowu sposób o téj rasie wypowiada głupkowaty *Ślaz*, kiedy go ktoś w przytomności Wenedów za Lechitę ogłosił:

— «Cóż to? Czy mi z oczu
Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,
Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów?
Zwyczaj przysięgać «in verba magistri» —
Owczarstwo — czy to wszystko mi do twarzy?» i t. d.

Widocznie Słowacki przydzielił tu Lechitom te wszystkie właściwości, które się późniéj okazały przywarami polskiego społeczeństwa, mianowicie w czasach upadku. — Lech sam jest prototypem rzeczonych skłonności. Przy bohaterskich nieraz zapędach, słaby to duch, podległy lada wrażeniu, słowem pospolita natura. Jest to prawdziwie nieodrodny, jak się sam autor w przedmowie do dramatu wyraził: «praszczur Sobieskiego» — przy silnéj ręce, a molierowskiéj w domu słabości. — Otoż zdawaćby się mogło, że skoro z takim wrogiem mieli do czynienia Wenedzi, to chyba ślepy jakiś fatalizm winićby o to potrzeba, gdyby zagłada ich plemienia miała rzeczywiście być nieuchronną. Przecież słuszność nie jest po stronie najezdców.

Przewagą liczebną także przewyższają Wenedzi nieskończenie Lechitów. Przymioty szczepowego ich charakteru zmuszają w dramacie często nie tylko do uznania, ale i do współczucia. Sam Gwalbert święty, człowiek obcego pochodzenia, zatém bezstronny, wprowadzony przez autora na scenę jako typ zbliżającego się i do tych już stron chrześcijaństwa, oddaje im świadectwo, «że to był dobry lud, choć nie chrześcijański». Dla czegoż tedy szczęście łaskawszém byćby miało dla Lecha i jego szyków, równie jak Wenedzi nie będących jeszcze chrześcijanami, aniżeli dla téj ludności spokojnéj, mieszkającéj u siebie?— Na zapytanie to odpowiada całe przeprowadzenie i ostateczna katastrofa tragedyi. Przekleństwo Wenedów wynika z nich samych. Jest to tylko symboliczny wyraz, malujący wewnętrzny stan ducha tego narodu. Wenedom zabrakło zupełnie na duchowéj sile żywotnéj, tak niezbędnéj do istnienia ciałom zbiorowym. Stracili wiarę w siebie, stracili serce. Trzymają jeszcze w rękach harfy, których cudotwórcza muzyka grała ich ojcom niegdyś tryumfalne hasła do zwycięztw, ale z tych dźwięków uleciał duch dający siłę zwycięztwa, a pozostały tylko głuche i puste brzęki. Tych brzęków oni już sami nie rozumieją! Pozostały im wróżby, na których budują wszystko, a którym jednak sami nie dowierzają. Poczucie tego duchowego upadku udzieliło się całemu ich pokoleniu. Nikt z nich w przyszłość dalszą nie wierzy — i to jest owo przekleństwo, dla którego muszą ustąpić z widowni. Wyższość Lechitów na tém właśnie polega, że lubo oni podlegają rozlicznym ułomnościom, lubo garstką tylko wydają się w porównaniu z tysiącami Wenedów, lubo ciałem od nich mniejsi i słabsi, ufają w siły swoje i gwiazdę swoję i mają serce do boju.

Gdzie tak się rzeczy mają, tam i katastrofa gotowa. Gdzie tacy zapaśnicy, tam i wypadek walki z góry wiadomy. Jednakże są jeszcze przynajmniéj pojedyńcze pomiędzy Wenedami osobistości, które grozę położenia pojmują, nie zapomniały godności narodowéj, zachowały choć iskrę wiary w skuteczność swoich poświęceń; które czują ciężar obowiązku i mają siłę go dźwigać. Są jeszcze ludzie, którzy jeśli nie więcéj, to pragną się bronić, żeby — jeżeli trzeba już poledz, poledz przynajmniéj bez hańby, i oddać życie — nie bez drogiego okupu i odwetu. Oto najprzód *Derwid*, sędziwy król Wenedów. Znękany to starzec, ruina, niemoc uosobiona... Ale ruina to zdolna wzniecić i we wrogu cześć dla tego, czém była niegdyś. Mąż królewskiego ducha, który się śmierci ani okrucieństw żadnych

nie lęka. Walczy— wprawdzie tylko słowami, ale słowami, które we wroga uderzają jak razy. Ożywia się i zapala — wprawdzie na chwilę tylko, żeby po wysileniu takowém opaść z sił w tém bezbronniejszą bierność — ale wiary w harfę swoję, ten symbol narodowego zbawienia, nie traci nigdy i wyniośle zapowiada wrogowi:

«Że po narodach już wymordowanych
Jeszcze zostaje jakaś moc, przed którą
Ty musisz blednąć, i ciągle twe lica
Strupiałe nową krwią farbować musisz».

Są daléj dwa synowie jego. Młodszy *Lelum*—to poeta, marzyciel, serce narodu. Starszy *Polelum* — to tego narodu, oręż, grom, jego jedyna siła. Poeta skuł dwóch tych braci jednym łańcuchem, zaczepionym jednym końcem do prawéj ręki młodszego, drugim do lewéj starszego brata. Stawia ich obu jako jednego wodza o dwóch głowach, a jednym mieczu i jednéj olbrzymiéj tarczy. Tak oni walczą i tak giną na stosie. Dwa imiona mitologiczne, dotąd bezmyślne, nabrały więc w dziele obecném znaczenia. Znaczenie to nie jest bez ubocznego związku i z charakterem narodowym dziejów następnych. Dwie głowy — a jedna ręka! Dwa rozumy — a jedno tylko działanie!— Mamy nakoniec w dramacie dwie córki króla Derwida, *Różę*, *i Lillę Wenedę*. Starsza jest wróżką, kapłanką i ofiarnicą swego narodu. Nie tylko powołaniem ale i usposobieniem wyższa nad płeć swoję niewieścią — może sama jedna w pokoleniu owém całem obdarzona jasnowidzeniem tego; co się dzieje w duchu narodu i na co się w nim zanosi — wystaje Róża Weneda w dramacie, w kolosalnych, twardych, ostrych zarysach, po nad wszystkie inne w nim działające osoby, i tą surową wielkością duszy zniewala do podziwienia. Na pozór poczyna ona sobie niekiedy jakby istota nieczuła, zdolna tylko krwawych porywów, bez łez i serca dla siostry, dla braci, dla ojca pojmanego w niewolę i powracającego z niéj potém z wydartemi oczyma. Kapłanka nie miesza się bynajmniéj gorzkiemi wymówkami rodzica. Czyni co do niéj należy z tym samym spokojem duszy, z jakim to czyniła przed przybyciem Derwida, a na jego wyrzekania i skargi patrzy w milczeniu pełném boleści, jak na poczynanie sobie człowieka przeżytego i zdziecinniałego, który nie wie co czyni... Ma jednak ona serce, ale serce do czynów, do walk, do zemsty nareszcie, a nie do łez, które gaszą ogień serdeczny. Czuje za naród cały i tyl-

ko to jedno uczucie serce jéj zapełnia. Jéj słowa wyrzeczone do siostry:

„Nie czas żałować róż gdy płoną lasy!“

określają dostatecznie cały charakter jéj roli. — Podczas kiedy starsza siostra działa w dramacie jak Eschylowska Eumenida, która «jednym strasznym czynem zajęta, stąpa po sercach ludzkich i kruszy je pod swemi nogami», przydzielił poeta naturze młodszéj Lilli właściwości całkiem przeciwne. Zamknął w jéj piersi uczucia wdzięczne, miękkie, tkliwe, prawdziwie niewieście. Żeby wydobyć na jaw cały urok téj melodyjnéj duszy, przeciwstawił niewieścią jéj potulność — spiżowéj grozie starszéj córy Derwida. Róża jest kapłanką bogów rodzinnych, 'a Lilla — to już chrześcijanka — to pierwsza nawrócona w Słowiaństwie! Tamta już z natury surowa, ponura, w sobie saméj zamknięta, bez zmysłu dla cierpienia jednostek: a ta, jak bluszczu zielonego gałązka, przeznaczenia swojego szuka jedynie około siebie; z uśmiechem na twarzy, ze łzą miłości w oczach, zawisa białemi ramionami u szyi ojca, braci, siostry co jéj w dzieciństwie zastępowała matkę, i tylko na to żyje, żeby dni drugich umilić, rozjaśnić, szczęściem umaić, dopóki można; żeby je okupić śmiercią swoją, gdy tego trzeba. O losy narodu, jako ogółu, nie pyta. Przyszłości — nie zna. Przeznaczeń — nie bada. Żyje w obecności — i to jéj wystarcza; pragnie szczęścia — dla każdego z osobna. Świat się do niéj uśmiecha — poznała miłość, jest narzeczoną: ale ta nadzieja szczęścia na ziemi nie więzi jéj jednak do ziemi. Pragnie żyć, lęka się śmierci — a jednak bez wahania niesie życie swoje w ofierze, byleby ocalić tych, których kocha, od zguby. Jest to najwdzięczniejsza, najrzewniejsza i najbardziéj ujmująca współczucie widza rola w dramacie. To też jeżeli która z tych pojedyńczych postaci, to Lilla Weneda właśnie mogłaby być nazwaną bohatérką tragedyi. Rzeczywiście jednakże bohatérem sztuki jest cały lud Wenedów, o losy którego ostatecznie tu chodzi. W kreacyi téj poeta zamierzał dać wizerunek tragiczny konania narodu — konania, na którego przyczyny złożyły się wprawdzie momenta z własnéj jego winy wynikłe, ale nie będące taką skazą na obliczu jego duchowém, żeby sumienie widzów, na ten straszny dramat patrzących, nie miało im mówić, że to katastrofa dla ludzkości bezpożyteczna, że to tryumf, ale potęg doczesnych, korzystających chytrze i zmyślnie z szczęśliwéj dla nich sposobności. Na nie-

szczęście obraz ten nie jest zupełny w tragedyi Słowackiego. Autor zaniedbał wykończyć go z tą plastyką artysty i z tą historyozoficzną mądrością myśliciela, jakiéjby tu koniecznie było potrzeba. Odsłonił wszystko, co świadczy o upadku ducha i o rozkładzie siły żywotnéj Wenedów, a zapomniał skreślić dodatnie strony charakteru. Przynajmniéj nie wyrzeźbił ich z tą wymową zkądinąd właściwą jego utworom, iżbyśmy czuć mogli nie tylko całą wagę i całą prawdę, ale i całą ironiję skargi, włożonéj w usta ostatniego z rodu Wenedów na końcu sztuki. Jest nim Polelum, stojący już na stosie, ażeby umrzeć na grobie swojéj ojczyzny. Śpieszą ku niemu dwaj spadkobiercy puścizny pozbawionéj swego dziedzica, jak gdyby nieśli ocalenie dla plemienia, które właśnie skonało. Lech woła: stójcie, bo ja przynoszę wam życie! Gwalbert głosi: stójcie, bo ja wam wiarę przynoszę! Wtedy to wypowiada Polelum te słowa, tłómaczące całą dążność tragedyi, i zarazem stawiające jakoby na piedestalu pomnikowéj w dziejach wielkości pokolenie owo, w dramacie pokonane:

—„Boże! patrzaj z nieba,
Na tych dwóch ludzi przed stosem Weneda
Konającego! Patrzaj na tych ludzi
I pomyśl, jakim ty dajesz stworzeniom
Chwilę tryumfu i urągowiska!“

Widzimy więc, że cała ta sztuka odsłania prawo Wenedów do bytu, jedynie porównawczo, względnie, pośrednio. t. j. o tyle tylko, że w porównaniu z nimi Lechici duchowo i fizycznie wyglądają jak karłowate jakieś i pełne ułomności postacie. Ale własne, dodatnie zalety społeczności Wenedów pozostały po za ramami obrazu, co w każdym razie doniosłość tragedyi osłabia i bynajmniéj nie przyczynia się do wydobycia na jaśnię istotnego w niéj założenia.

Głównemi osobami dramatu są obie córki Derwida. Starsza działa, mając przedewszystkiém na oku cały ogół narodu. O losy jednostek, chociażby sercu najbliższych, nie pyta. Rozsyła harfiarzy swoich na wszystkie pokolenia i zwołuje cały naród do walki. Jeśli ocalenie nie przechodzi zakresu możności, to ona siły do niego w Wenedach rozbudzi i zmusi ich do odniesienia zwycięztwa. Jeżeli zaś jest już rzeczą konieczną, żeby plemię to we własnéj swojéj dziedzinie przyjęło na się jarzmo obcego służebnictwa i zakończyło dzieje swoje sromotą, to niechże raczéj ginie i skona, byle całe, byle na polu chwa-

ły, z orężem w ręku, biorąc do grobu z sobą świadectwo, że uczyniło w obronie swojéj, co mogło. Tragiczność roli téj polega na tém, że chodzi o przeprowadzenie czynu, do którego braknie żywiołów w społeczeństwie. Jest to walka z fatalizmem, przebój żywotności w jednostkach z ociężałością i bezduchem ogółu. Na takich sztandarach imię idei nieśmiertelnéj jest wypisane. To ich prawo. Ale nie ma komu nieść tych sztandarów. To ich niemoc. — W zupełnie innym kierunku idzie działanie drugiéj córy Derwida, Lilla wyobraża żywotność idei słowiańskiéj w rodzinie. Jéj ideałem — szczęście osób najbliższych sercu. Gdyby można było żyć dla ideału tego, nie pytając o to, co się tam daléj dzieje w narodzie: nie wchodziłaby pewnie i Lilla w żadne zawikłania z zewnętrznym nieprzyjacielem. Ale związek między rodziną a społeczeństwem jest nadto ścisły! To też i w obecnéj tragedyi miłość rodzinna prowadzi do podjęcia boju na zewnątrz. Jest to bój dziewicy, bój prowadzony o wybawienie tylko trojga osób z niewoli, bój nie na oręż, ale raczéj na rozum i na przebiegłe serce, ale zawsze bój straszny i kończący się równie tragicznie jak cała walka Wenedów. — Lilla podejmuje się wyprosić z jeństwa ojca i braci, których wzięto w niewolę już w pierwszéj z Lechitami potyczce.

„Ja braci moich, ojca mego zbawię,
O pobłogosław ty mi siostro moja—
I wy mi starzy ludzie błogosławcie!
Ale nie proście Boga o nic dla mnie,
Tylko o rozum i przebiegłe serce,
Abym zbawiła tych, co są w kajdanach!
O bądźcie zdrowi! Nie troszczcie się o mnie—
Za mną jest każdy kwiat i każdy gołąb,
Co biały jak ja, swą mię siostrą mniema.
I ten jest za mną, co nad gołębiami
W nieba błękicie jeszcze wyżéj lata:
A gdy mię nazbyt przyciśnie nieszczęście,
Gotów odebrać gołębiowi skrzydła
I mnie dać skrzydła, bym od ludzi poszła.
Jeśli nie zbawię ojca, umrę młodą—
A wtenczas płaczcie wy biednéj dziewczyny!“

W tych kilku wierszach zawiera się cały przebieg téj roli. Jest to rzeczywiście walka słabéj gołąbki z sępami, które tylko uznają racyę szponów swoich drapieżnych. Smutna, choć

wzniosła walka miłości i poświęcenia — z egoizmem i nienawiścią. Pomysł téj właśnie części dramatu należy niezawodnie do najcelniéjszych jego piękności. Tém bardziéj też żałować należy, iż wcielenie pomysłu tego w szczegóły, że przeprowadzenie rzeczy w pojedynczych ustępach, dalekiem jest od tego, żeby miało zaspakajać pod każdym względem.

Lilla przybywa do Gwinony z zamiarem ujęcia jéj sobie pokorą. Przy pomocy Matki Bożéj, któréj za radą Gwalberta ślubuje czystość dziewiczą, spodziewa się Lilla skłonić nieprzyjaciół do prośby, z jaką przychodzi. Przybywa na nieszczęście za późno. Ukazują jéj ojca już z wyłupionemi oczyma! To ją wprawia w oburzenie najwyższe. Ufna w opiekę Bogarodzicy, daje nieoględnie wyraz uczuciu, jakie w niéj wre, i zapowiada żonie Lechowéj, że ta cała wściekłość przeciwko bezbronnemu jéj ojcu okaże się bezsilną, gdyż potrafi go ona wydrzeć z ręki oprawców choćby i trzy razy wymyśliła Gwinona dla niego śmierć najokropniejszą... Gwinona złośliwie bierze dziewczynę za słowo. Przyrzeka puścić Derwida na wolność, jeżeli Lilla rzeczywiście tego dokaże, co tak chełpliwie wyrzekła, i potrafi na przekór wszystkiemu co nastąpi, wybawić trzy razy ojca od śmierci. Z tego wywiązuje się dla Lechitki pochop do wymyślania po trzy kroć najwyrafinowańszych okrucieństw na zagładę oślepionego więźnia, a dla Lilli konieczność trzykrotnego udaremnienia tych usiłowań. Otoż w szczegółowém przeprowadzeniu tego założenia, zapełniającém większą połowę sztuki, upatrywać można jakby sprawdzenie własnych słów autora w przedmowie mimochodem rzuconych o sobie samym, że „ile tylko razy przyjdzie mu zetknąć się z rzeczywistemi rzeczami, to opadają mu skrzydła. Ocalenie zawieszonego za włosy Derwida rzutem o sto kroków ostrego topora przez Polelum, za namową Lilli (reminiscencya Wilhelma Tella); następnie wybawienie starca od wężów, za pomocą harfy cudownéj; nakoniec nakarmienie morzonego głodem rodzica lilijami: — wszystko to razi nieprawdopodobieństwem. A dramat cudów, zwłaszcza takich, nie znosi. Tym czasem zaszło zdarzenie, które okrutną Gwinanę nastraja trochę łagodniéj dla tych jéj ofiar. Syn jéj Lechon został przez Wenedów schwytany i jest trzymany w niewoli. Ażeby go wybawić od śmierci Gwinona uwalnia Derwida, lecz stawia przytém nowy warunek: albo Lilla, albo harfa Derwida pozostanie jeszcze w jéj rękach — dopóki Lechon żywy i cały nie powróci do domu... Wielkiéj piękności jest ustęp drama-

tu, kiedy Derwid waha się, kogo zostawić Gwinonie, córkę, czy harfę? Od téj harfy zawisło ocalenie jego królestwa! Prześliczne jest miejsce gdzie się i w sercu Lilli odbywa walka— między życzeniem, ażeby ojciec wybrał harfę, a obawą, że usłyszy, iż jest przecież coś na ziemi, co mu droższe nad Lillę. Na żądanie saméj Lilli, rzecz się kończy na tém, że ona to pozostaje w ręku Gwinony! Odprowadzi tylko ojca do domu, a potém dobrowolnie odda się sama w jéj ręce — za harfę. Jeżeli wróci z Lechonem, to i harfa i córka zostanie zwrócona Derwidowi. Jeżeli wróci bez Lechona, natenczas harfa wróci wprawdzie do rąk króla Wenedów, ale córka jego podlegnie losowi, jaki jéj zemsta matki zabitego syna naznaczy. Derwid wraca do swoich. Wypuszczają na wolność i św. Gwalberta, który (nie wiedzieć właściwie na co) razem z Derwidem był trzymany w więzieniu. — Tymczasem przypadek, uosobiony tu w postaci Ślaza, jednéj z „mniejszych mrówek ludzkości, pełnych kłamstwa, wybiegów, tchórzostwa“ — przypadek, powtarzamy, bezczelne zmyślenie tegoto Ślaza powoduje, przed powrotem jeszcze Derwida, zamordowanie Lechona. Tak więc ostatnie nadzieje Lilli w niwecz obrócone zostały. Widzi się zmuszoną wrócić w moc rozjuszonéj Gwinony — po harfę i żeby dotrzymać danego słowa. Następuje, co musiało w danych okolicznościach nastąpić. Następuje i więcéj jeszcze. Gdzie bój między plemionami o śmierć lub życie, tam wszelkie układy z wrogiem tragicznie się kończyć zwykły dla téj strony, która w nie wierzy. Za taką to wiarę szlachetną Lilla ukarana zostaje nie tylko śmiercią, ale i wiarołomstwem. Gwinona odsyła Derwidowi w cedrowéj skrzyni od harfy — za córkę jego, którą w napadzie mściwości bezlitośnie zamordowała—nie harfę, ale... ciało zamordowanéj!...

Wśród najzaciętszego boju, do którego tymczasem w skutek starań Róży Wenedy przyszło, i który się między Wenedami i Lechem odbywa, jak było przepowiedziano, w nocy, przy bijących piorunach... w chwili, gdy szale zwycięztwa wprawdzie chwieją się jeszcze na obie strony, lecz już zaczynają się chylić coraz widoczniéj na stronę Lechitów — w chwili spotęgowanych zatém pragnień Wenedów, żeby usłyszeć cudowne przepowiedziane głosy złotéj harfy królewskiéj, przychodzi do owéj kolosalnéj sceny, w któréj Derwidowi zamiast harfy — ciało jego Lilli podają. Nic okropniejszego, nic poetycznie prawdziwszego nad ową scenę! Jest to rzeczywiście pieśń, zdolna i kamienie do życia i do zemsty poruszyć, którą tu gra roz-

pacz konającego ojca, kładącego ręce swoje na martwém ciele, na złotych włoskach, na zgasłych różach ust tak niewinnie zamordowanego swego dziecięcia! Taką to pieśń przepowiedziały więc wróżby, jako ostatnie tony, które wydobędzie z cedrowéj skrzyni ręka starca ociemniałego. Jeżeli czém, to właśnie tą pieśnią mogliby najdzielniéj wskrzesić ducha swego Wenedzi do zwycięstwa, gdyby w ich sercach były jeszcze jakie iskry życia i ducha. — Ale życie duchowe plemienia tego należy już do przeszłości, która niepowrotnie minęła. To też widok ów, zamiast zgalwanizować nawet trupi organizm, zabija w Wenedach otuchę do reszty. Ustami zaprzysięgają zemstę, ale schylają karki swoje pod miecze, „które ich rąbią jak trzodę“. Widzenie Róży Wenedy, oglądane dniem wprzódy, iści się całkowicie. Cała ludność wytępiona. Jutrzejsze słońce wzejdzie już nad mogiłą narodu. Młody wódz, ostatni z plemienia, staje na stosie i znajduje dobrowolnie koniec w płomieniach. Pozostaje przy życiu tylko Róża, wróżka — jakby uosobienie dziejowéj Nemezydy, cierpliwie oczekującéj odwetu od czasów, co przyjdą kiedyś.

Niewątpliwie należy «Lilla Weneda» do tych utworów Słowackiego, których założenie, idea, dążność, słowem cała idealna czyli wewnętrzna strona kreacyi sprawia w myślącym czytelniku niepospolite wrażenie i wytrzymuje porównanie z każdém dziełem pierwszego rzędu. Pomimo tego nie można zaliczać tragedyi téj do skończonych arcydzieł: pomysłowi bowiem nie odpowiada jego wcielenie. Słowacki pomysły swoje pojmował tylko uczuciem, wyobraźnią. Jego logika — nie była to rozumowa, reflexyjna a więc prawdziwa logika. Ztądto u niego zawsze między ideałem, a wyrażeniem tego ideału — przestrzeń ogromna. Pozostaje we wszystkiém coś niedomówionego. Domysłowi czytelnika otwarte wszędzie pole bez granic. Ztąd to w płodach jego zawsze jakaś irracyonalność, dla któréj trudno je przekładać, że tak powiemy, z języka poezyi na język rozumu, na język zwyczajnéj w ścisłym sensie logiki. Tak np. żadną miarą nazwać nie można dość plastycznie przeprowadzonym pomysłu owych harf w rękach Wenedów, które im daje poeta jako ich tradycyjną, plemienną własność, na zasadzie wzmianek o tém w bizantyńskich kronikach. Przywiązuje on do nich to znaczenie poezyi jako najwyższéj potęgi w narodzie, to znowu myśl, że to broń mdła i bezsilna przeciw ostrzu i wadze żelaza! I tu i tam jest prawda: — ale jakże te dwie prawdy związać z sobą? Związaćby je można, ale te-

go nie uczynił poeta. – Przykład jednostronnego i wyłącznego, a zatém ostatecznie fałszywego wcielenia myśli, w sobie może prawdziwéj, mamy w całéj roli owego typu chrześcijańskiéj idei, jaką w téj sztuce jest Gwalbert święty. Rola to dziwnie niejasna! W przedmowie czytamy: — Oto jest stary i święty człowiek, który przyszedł łzawe Chrystusa oliwy zaszczepiać na płonkach sosnowych... Lecz o biada! o losy! — Słowo świętego starca miecz Rolandowy wyprzedził, i jeszcze jeden lud kona z wiarą okropną rozpaczy w przyszłość i zemstę». Gdyby to założenie przeprowadzone było przez dramat w taki sposób, iżby każdy krok działania Gwalbertowego takie właśnie w widzach wywoływał wyobrażenia: byłaby to jedna więcéj z niepospolitych zalet utworu. Ale czy istotnie jest tak oddana Gwalberta rola w Lilli Wenedzie? Zdaje się raczéj, jakby tu autorowi chodziło o odsłonienie wszędzie niemocy religii w obec prądu rzeczy dziejowych. To też św. Gwalbert, mimo jasnéj aureoli, która głowę jego otacza, odgrywa w dziele tém rolę niemal komiczną. Czy zaś ta poziomość osobistości Gwalberta spada tylko na niego, czy na samą ideę, którą on wyobraża? — z tego się autor bynajmniéj nie spowiada.

Beatryx Cenci, bez wątpienia swą olbrzymią budową, siłą i zdumiewającą grą fantazyi wyrównywa najcelniejszym kreacyom Słowackiego; ale mnóstwem scen i obrazów, raczéj szarpiących uczucie, niżeli tragicznych, niemiłe sprawia wrażenie. Jest to jeden z pośmiertnych utworów Słowackiego, odtworzony z bezładnego bruljonu przez Małeckiego. Dla tego razi w nim brak należytéj formy i wykończenia.

«*Beniowski*» osnuty jest na tle historycznem, ale treść poematu z wypadkami historyi rzeczywistemi nie ma nic wspólnego. Charakter tego utworu wskazaliśmy pobieżnie w życiorysie poety. W żadnym utworze Słowackiego nie odsłaniają się tak nago najlepsze i najmniéj korzystne strony charakteru poety — miłość z jednéj, a szyderstwo i duma z drugiéj strony — jak w «Beniowskim». Melancholija, wzgarda, szyderstwo, fantazya malownicza, płyną tu równoległemi prądami, prześcigając się wzajemnie co chwila. Kilka wyjątków da wyobrażenie o téj różnobarwności utworu i potędze wyobraźni poety. Oto jest scena pożegnania Anieli z Beniowskim:

—«Ty wyjeżdżałeś! tyś mi nie powiedział,
Ale me serce jest miłośnym szpiegiem!
Nie mów mi, że jest między nami przedział
Fortuny. — Jestem nad przepaści brzegiem,

Usiądź— opowiem— wszystko będziesz wiedział!
Nie strasz się tylko trudności szeregiem —
Nie strasz się! jesteś ludziom w poniewierce—
Lecz ja cię kocham jedna —ja mam serce.

«Straciłeś cały majątek? — i cóż mi
Majątek? ludzi sąd?— ja kocham ciebie!
Ja twego serca chcę— a nie twych dusz mi
Potrzeba!— pójdę o żebranym chlebie.
Nie odpowiadaj mi na to, nie krusz mi
Serca— mój los już zapisany w Niebie.
Ja kocham ciebie! w twojém sercu żyję.—
Kto nas rozdzielić chce — ten mię zabije!

«Dzisiaj przyjechał Dzieduszycki z drogi,
Znów się oświadczył i o moję rękę
Prosił. — Mój ojciec stał się dla mnie srogi,
I guwernantka, jak na moję mękę,
Za ojcem trzyma. I ludzie i bogi
Przeciwko nam są — i wuja Sosenkę
Przekabacili już na swoję stronę.
Płakałam— patrzaj— oczy mam czerwone.

«A tu, jak na złość, dla Dzieduszyckiego
Był bal.— Czy widzisz jak jestem ubrana?
Musiałam ubrać się dla ojca mego
W ten księżyc— lecz ja dla mojego pana,
Dla ciebie tylko! dla ciebie samego
Ubrałam się tak w kwiaty — po kolana.
Prawda, że dobrze mi tak bez zawoja?
Ja nie ubrałam się dla nich— ja twoja!

«Lecz ty wyjeżdżał? gdzie?— O! ty niewierny!
Gdyby nie Diwa, byłbyś już daleko.
Gdzieżeś ty jechał?— Gdy mię ból niezmierny
Dręczy, kiedy mię przed ołtarze wleką;
Gdy nie zostaje nic, jak się w cysterny
Rzucić, lub twoją się zakryć opieką —
Ty mię opuszczał w chwilę tak okrutną!
Ja przebaczyłam już— ale mi smutno.

«Czy ty nie ufasz, że ja zdołam jedna
Oprzeć się— zostać twoją?— Ja nie płocha!
Ty nie wiesz, co to jest kobiéta biedna,
Kiedy ją dręczą, kiedy mocno kocha.

Zgubi się— potém u wszystkich wyjedna
Łzy nad swém sercem zgubioném i trocha—
Kwiatów, i więcéj też żadnéj nie trzeba...
Cóż to?— Nie mówisz nic do mnie?— O nieba!

«Myślałam, że ty mi dodasz nadziei»—
Tu wypuściła z rąk rękę kochanka —
«Myślałam, że ty w téj smutnéj kolei»—
Tu blizko, szczęściem, stała z wodą szklanka,—
Wzięła ją— drżące w szkło usteczka klei;
Ząbki o kryształ dzwonią, jak kraszanka,
Kiedy się z drugą spotka w dziecka dłoni.
Rzekłbyś, że perła o dyament dzwoni.

«Myślałam» — Głos jéj o jednę oktawę
Zniżył się i pękł, jak pęknięcie struny.—
Boleść złamała jéj giętką postawę;
Myślałbyś, że się chyliła do truny!
Tak nawet małe usteczka jaskrawe
Zbladły, uczuwszy gorzkich łez piołuny.
Padła na krzesło i przez łzawe deszcze
Błysnął ostatni jęk: «Kochasz mię jeszcze?»

Beniowski już był na kolanach— w dłonie
Wziął drżącą rączkę Anieli.— Tu proszę
Włożyć mi wieniec Petrarki na skronie;
Bo na tém pieśń zakończę i ogłoszę,
Po dawnych wieszczów umarłych koronie,
Czas bezkrólewia; pobuntuję Kosze,
Krytyków kupię z Grabowskim prymasem—
Reszta owczarzy moja»...

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

«O! tam poezya! — Gdyby tylko na to,
Aby się żegnać, warto brać amanty.—
Czuliście kiedy tę łzę lodowatą
Przy pożegnaniu, ciężką jak brylanty?
Te słowa: »pójdę i skonam za kratą!»
Czyście słyszeli te słodkie kuranty,
Grane przez wszystkie pozytywki żywe,
A jednak— przysiągłbym, że nie fałszywe.

Czyście żegnali? klęczeli? włos rwali?
Tracili ducha? wymowę? kolory?
Z paszportem pugilares? i tak daléj— —
Czy przysięgaliście jako upiory
Wrócić po śmierci, przy księżycu biali?
Łopotać w okno czarném skrzydłem zmory?
Kochankę swoję w noc poślubną napaść;
Unieść na koniu i w ziemię się zapaść?

Czy wam pozwolił potém los nie wrócić?
Zachować smutku wrażenie niestarte,
I całe życie się przeszłością smucić?
Odwiedzać morza, lądy, Egipt, Spartę,
A zawsze:— «Ona teraz musi nucić!
Teraz na księżyc oczy ma otwarte!—»
Ach! takem ja śnił, lecz na piramidzie,
Tfu!— odebrałem list— że za mąż idzie!

To mię cokolwiek zmięszało — nie bardzo—
Ale cokolwiek zmięszało, Bóg świadkiem!—
Są ludzie, którzy wtenczas klną i gardzą,
Lecz ja to smutnym nazywam wypadkiem.
Takich dwa — a me serce tak zatwardzą,
Że niezabudką już, ani bławatkiem
Nie da się nigdy wyprowadzić w pole —
Chyba mi posag położą na stole.

Ha! takem zgorzkniał, że nawet nie trącę
W téj pieśni — smutnéj lutni pożegnania.
Szeptali długo jak wierzby płaczące:
Gołębie słychać tam było gruchania;
Łzy zimne, usta zmywają gorące;
Słychać serc bicia, płacze, słowa, łkania.
Już się rozeszli— rzecz skończona!— Horror!
Miłość przechodzi już w pamiątek kolor —

W kameleona— w serdeczną jaszczurkę —
W rzecz poetycznie piękną— w sen niebieski—
W Muzę, Olimpu zamglonego córkę,
W poemat smutny od deski do deski;
W mgłę podnoszącą się z łez— w białą chmurkę
Na tle przeszłości— w gwiazdę— w arabeski
Tęczowe, chmurą obwiedzione złotą...
W dole: *Raphael pinxit*, albo *Giotto*.

W galeryi siedzi dusza.— O, tęczowa
Kopuło myśli! tyś moim kościołem!—
Wymalowana, jasna, księżycowa,
Nad srebrnym duszy wisząca aniołem!—
Modlitwą w tobie są rozpaczy słowa.
Serce wygląda jak urna z popiołem,
W najtajemniejszéj kaplicy stojąca—
Tak jesteś, gdy cię żaden wiatr nie trąca.

Lecz kiedy burza zawieje i wzruszy
Z filarów ciebie, kopuło tęczowa,
Pękasz jak niebo nad aniołem duszy;
Próżno się broni w błyskawicach głowa!
Cały gmach na nią upada i kruszy
I ją, i serce, które biedna chowa
Jak smętny łabędź, pod skrzydły białemi!
Pękło— popioły rozwiał wiatr po ziemi.

Skończona wielka tragedya powagi
I ciszy greckiéj; reszta— wiatru wyciem...
Myśl zabłysnęła nagle jak miecz nagi,
Marzenia stają się czynem i życiem;
Czyny się stają piorunem odwagi —
Rozbity kościół!— Pod jego rozbiciem
I serce pękło i burza przewyła —
Z wszystkiego, patrzcie, co?— krzyż i mogiła!...»

Przytaczamy jeszcze początek pieśni II-giéj.

«O, nie lękajcie się mojéj goryczy!
Dalibóg, nie wiem sam, zkąd mi się wzięła,
Długo po świecie pielgrzym tajemniczy
Chodziłem, farby zbierając do dzieła,
A teraz moja Muza strof nie liczy,
Lecz złe i dobre gwiazdy siać zaczęła.
Komu za kołnierz spadnie przez przypadek,
Syrjus rzucony przez nią, lub Niedźwiadek—

Spali się— lecz ja nie winien.— Per Bacco!
Różnemi drogi mój poemat wiodę;
Jak Chochlik często częstuję tabaką,
A gdy kichają, ja zaczynam odę —
Na przykład drugą piękną Odę taką,
Jak do młodości. Może serca młode

Pokochają mię za to żem jest śmiały,
Jak Roland, który w pół rozcinał skały.

I teraz chciałbym rozciąć— co? — dom jeden,
Podolski jeden dom rozciąć na dwoje
I pokazać wam, jaki szczery Eden!
Jak nieraz pełne aniołów pokoje!
Jak złoty, piękny domów jest syredeń! —
Ukraińskie to słóweczko, nie moje,
Wywołał je tu rym przez dźwięki bliźnie —
Nie miłość, którą mam ku Kozaczyznie.

Chciałbym więc rozciąć jeden z dawnych dworów,
Które na górach stoją nad stawami.
Stawy— to tarcze z tęczowych kolorów —
Gdzie się łabędzie białe za gwiazdami
Gonią, podobne do srebrnych upiorów,
A na nie księżyc jasnemi oczami
Patrzy— na niebie jeden, przez topole,
A drugi taki złoty księżyc— w dole.

Atoli wnętrze tych domów dopiero
Poetyczném jest— zwłaszcza jeśli miłość
Oświeci, wonną je napełni mirrą,
I ścian drewnianych sprostuje pochyłość.
Podolanek są usta srebrną lirą
Serca— ta strofa ma pewną zawiłość,
Któréj nie lubię, lecz ją skończyć muszę:
Serca są takie— jak aniołów dusze.

Sam znałem jednę— lecz nie wspomnę o niéj,
Bo się nadzwyczaj mój rym rozserdeczni.
Od serca mi jéj wiało tyle woni
I tyle światła, że mi dziś słoneczniéj —
Chociaż mi teraz zegar północ dzwoni —
Niż gdybym w Boga się patrzał najwieczniéj,
Niech was bluźnierstwa nie rozpędza trwoga—
Ona umarła już— jest częścią Boga —

Duszą, światłością, wonią, jedną chwilą
Wieczności, wiedzą wszystkiego.— — O! dosyć!
Niech resztę grobu cyprysy ochylą. —
Różom najbielszym jéj żałobę nosić.
Jéj słońca drogi mlecznéj nie omylą —
Zdziwiona blaskiem, będzie się podnosić

Jako harmonii lekkiéj głos, bez końca,
Ze słońc na większe słońca, i nad słońca.

A gdy się w drogi zatrzyma połowie,
Jak gołąb puszczę za nią skrzydła chyże—
A tu mi ręce zawiążcie na głowie,
I twarzą bladą położcie na lirze,
Jakbym w alpejskim upadłszy parowie,
Spoczywał.— Miałem ja troski i krzyże—
Więcéj niż śniło się wam filozofom.
Lecz dajmy pokój tym myślom i strofom.

Dosyć o sercach strzaskanych, o świecie
Tu, ziemskim i tam, nadsłonecznym; oba
Smętne są.— Światy wam utworzę trzecie.
Jeżeli mój się poemat podoba,—
Znów drugi, wielki tam napiszę w lecie:
A te zostaną pieśni jako próba,
Wcale nie według mego serca— ale
Ponieważ moje są, otwarcie chwalę...»

Co do pośmiertnych utworów Słowackiego, dochowanych jedynie w kształcie fragmentów, oraz dzieł utworzonych pod wpływem towianizmu, poprzestajemy na tém, cośmy już powiedzieli w życiorysie poety.—

«Jest to — mówi Mecherzyński — najpłodniejszy ze wszystkich poetów polskich. Genijusz twórczy i niepodległy, wszechstronny, fantastyczny — przerzucający się proteicznie z kształtu do kształtu, z uczucia do uczucia. Melancholijny, niespokojny, dziwaczny. Głównym jego żywiołem fantazya. Takiéj potęgi fantazyi nie miał żaden z polskich poetów.— Poezye jego w ogóle przedstawiają walkę dwóch potęg przeciwnych sobie w rozwoju ludzkości. Ta dyalektyka filozoficzna, obierająca dla siebie pole zarówno w historyi jak w wyobraźni, jest właściwém stanowiskiem Słowackiego. Objawia on swoję myśl jako poeta w postaciach żywotnych dramatycznie, ukazując ją w działaniu, w rzeczywistości. Rzeczywistość tę i samę akcyę tworzy z bogatéj na podziw fantazyi — wymyśla poetycznie ideały swych bohaterów, lub bierze i przekształca stosowne typy z historyi. Zadaniem jego jest bić w oczy i najgrawać się światu szyderską twarzą ironii — podkopywać, wywracać ten pozorny ład i porządek, jakim się zwykle toczą rzeczy na świecie— a to za pomocą krytyki rozumowéj, przeniesionéj w kształty dramatyczne, które duch jego twórczy ma zawsze

na zawołanie. Jest to forma najwłaściwsza do przedstawienia przeciwnych sobie sił i ich walki, jakoż dramat stanowi główny zawód Słowackiego. W tym zawodzie stanął on niemal u szczytu. Tworząc dowolne w myśli ideały i fantastycznie obrane dla nich sytuacye, nie zawsze jednak utrzymuje się w właściwéj mierze. Grzeszy często przeciw prawdzie, właśnie kiedy ją najmocniéj chce przedstawić. Skutek, jaki sprawia na czytelniku jego poezya, jest z jednéj strony uczucie wstrętu albo grozy, a z drugiéj ułuda wielka i ponęta— dziwne połączenie tonów różnobrzmiących, które cechują tę poezyę. W utworach swoich Słowacki mało jest organiczny i harmonijny. Kompozycya jego zwykle pośpieszna i nie dość pomyślna. Pod względem stylu Słowacki prawdziwym jest mistrzem. Styl sam zdaje się służyć mu za wątek, z którego snuje złotą przędzę swoich piękności. Kocha się w opisach i obrazowaniu przedmiotów— a to namiętne upodobanie nadwereża znacznie charakter dramatyczny poety. W dramatach oddalając się od akcyi, a przywiązując więcéj do malowania uczuć i zewnętrznych piękności, czyny i wypadki stanowiące rzecz główną, zdaje się częstokroć uważać jakby za podrzędne. Tę wadę powiększa jeszcze żywioł liryczny, który w utworach dramatycznych Słowackiego osobliwie pierwotnych przeważa».

Według trafnego spostrzeżenia Krasińskiego, Słowacki jest przeciwstawieniem Mickiewicza. Adam jest mistrzem, który wszystko do środka skupia, który z rozstrzelonych na ziemi piękności i rozproszonych w sercach ludzkich uczuć tworzy poetyczne postacie zrozumiałe, prawie dotykalne: — dla tego poezya jego jest objektywna, przedmiotowa. Słowackiego duch przeciwnie, jak promienie ze środkowego ogniska rozstrzeliwa się po wszechświecie i tysiącem barw pięknych połyska. Poezye jego więcéj podobne są do muzyki, gdy poezye Mickiewicza do rzeźby mają podobieństwo.

...«Znam takie trzy duchy (pisze Krasiński w liście do Juliusza z r. 1840), każdego wielkim w swoim okręgu... Jeden przeszedł— minął— zostawił za sobą obelisk granitowy wśród pustyni — obelisk stoi — ten co go postawił, uczy Szwajcarów, jak nie mają nigdy umieć po łacinie (?)... Drugi posiadł wszystko, na czém zbywało pierwszemu — posiadł język polski, tak jak się posiada kochankę, gotową na każde skinienie... na śmierć, gdy każesz, na życie, gdy spojrzysz — posiadł i objął ten język magnetyzera cudną potęgą, tak że nie on za języ-

kiem, ale język za nim goni i prosi się jego i mówi mu: «Ot! cały twój jestem — każ, a posłucham — zawołasz, przybiegnę — mrugniesz w niebo, polecę tam — wskażesz piekło palcem, zstąpię do piekła — chcesz bym stwardniał w bryłę? patrz, marmur ze mnie — bym w gaz się ulotnił? patrz, jakem błękitny, i znów śniady, a przezroczysty, płynny, prawie już nie będący — jednak zawsze twój.» — Ten drugi duch zagarnął pod siebie wszystkie widnokręgi wyobraźni. To, co w pierwszym było jednością — twardą, granitową, w siebie garnącą świat, w pewne ciaśniejsze kluby niż sam wszechświat chwytającą — tu się stało rozpłynieniem, powrotem do szerzy, do płynności światła — do gry tęcz — do fal muzyki — do woni kwiatów — do wszystkiego, co tylko chce się rozprysnąć i rozwiać na wszystkie strony, by znaleźć nieznalezionego Boga. Jest forma panteistyczna niezawodnie w tym drugim duchu. On stoi jak szyba mórz wśród wszechświata, i odbija wszystkie słońca — księżyce — anioły — bogi — szatany, co się przesuwają nad nim. W nim właśnie jest jedność ich wszystkich. Ztąd pochodzi, że czasem ludzie jego własności nie umieją odkryć, bo im zawsze chodzi o to, co mają najbliżéj pod nosem, nie o to, co nad głowami ich się dzieje — a to jednak dzieje się w niebie... Ten drugi duch... ty wiesz, że to Ty! — Trzeci... to August Cieszkowski, ale ten należy do filozofii...» W końcu dodaje: «Gdybym miał i ja nareszcie jednę Ci uwagę uczynić, to jedyną tylko bym uczynił: Granit rzuć pod twoje tęcze. Tęcza gdy łukiem się zakala po niebie, winna stopy śliczne oprzeć na podstawie granitowéj, to jeszcze ją lepiéj tęczą robi...»

I rzeczywiście — najwydatniejszą zaletą poezyj Słowackiego jest przedziwna piękność języka, dla którego nic zdaje się nie być trudném, który umie się nagiąć do wyrażenia każdego obrazu zewnętrznego świata i każdego uczucia. Wiersze jego są ciągłą melodyą. Kochał się w przepychu barw wschodnich, obrazy swoje cieniował z niesłychaną biegłością, w każdą cząstkę swych myśli wlewał woń, barwę i melodyę. Sam porwany tym przepychem myśli, odrywał się zbytecznie od rzeczywistości. Najpiękniejszą pochwałę języka Słowackiego wypowiedział Krasiński w tych jeszcze słowach: — «Styl, którym włada Juliusz, jest tak giętki, tak wierny jemu, tak niewol-

niczo słuchający go, że przypomina «heroizm niewoli» w chłopie słowiańskim. Nie sposób z językiem i z wierszem trudniejszych dokazywać cudów. Chyba tak Liszt gra, jak on wiersze pisze. Gdyby słowa języka polskiego mogły stać się indywiduami, powinnyby się zebrać i złożyć się na posąg dla Juliusza z napisem: *Patri Patriae.* Do tych to słów poeta robi alluzyę w «Beniowskim», w ustępie, który najlepiéj odmaluje czarodziejską potęgę jego słowa:

«Ktoś to powiedział, że gdyby się słowa
Mogły stać nagle indywiduami;
Gdyby Ojczyzną był język i mowa:
Posąg by mój stał, stworzony głoskami,
Z napisem P a t r i P a t r i a e.— Jest to nowa
Krytyka.— Stój!— ten posąg błyska skrami,
Spogląda z góry na wszystkie języki,
Lśni jak mozajka, śpiewa jak słowiki!

Otocz go lasem cyprysów, modrzewi:
On się rozjęczy jak harfa Eola,
W róże się same jak Dryada wdrzewi,
Głosem wyleci za lasy na pola,
I rozłabędzi wszystko, roześpiewi —
Jak smukła, pełna słowików topola —
Co kiedy w nocy zacznie pieśń skrzydlatą,
Myślisz, że w niebo ulatujesz z chatą,—

Że porwał cię głos, jasność księżycowa,
Serce rozkwitłe, rozlatane pieniem.
O! gdyby mogły się na posąg słowa
Złożyć i stanąć pod cyprysów cieniem,
Jak marmur, który duszę w sobie chowa,
I zwolna złotym wylewa strumieniem!
A tak powoli leje i łagodnie,
Że po tysiącach lat, jak słońce wschodnie

Stoi w nim cała, ogromna — O, gdyby!..
Zachcenia moje są jak Klefta żądze,
Który chciał w trumnie mieć dla słońca szyby
I dla jaskółek— na co?— Znowu błądzę,
Jak Telimena, gdy wyszła na grzyby,
A zbiera mrówki — mrówkami są żądze —
Na wiatr to mówię tylko, lecz w nadziei,
Żem dostrzegł— jako Poznańczyk— idei...»

Zamykając ustęp niniejszy, możemy stawić przed sobą pytanie: czy Słowacki może być uważany za poetę narodowego w pełném znaczeniu tego wyrazu?— Jeżeli chodzi o pewną fazę zbiorowego żywota, odpowiedź na zapytanie powyższe będzie twierdząca. Żywioły poezyi Juliuszowéj są żywiołami pewnéj historycznéj chwili w życiu narodu. Lecz jeśli poezyi naznaczymy zadanie takie, jakie miał przed oczyma Adam i wszyscy znakomitsi poeci polscy przed nim i po nim, zadanie odlewu w kształtach posągowych, pierwiastków dodatnich, dogmatycznych, stanowiących posady i niezbędny warunek życia, to w takim razie zmuszeni będziemy zaprzeczyć Juliuszowi charakteru narodowego. W poezyach jego duch narodowy objawia się w stanie pośmiertnego rozkładu swojego. W podobnych doń procesach chemicznych mogą się wytwarzać nowe produkta — częstokroć cudnéj piękności kryształy; — lecz produkta one nie są już tą samą materyą organiczną, z któréj powstały:— są one już czemś inném. W poezyi Mickiewicza, narodowość jest ciałem drgającém tętnami zdrowia i życia:— nie poznajemy jéj w utworach Słowackiego — w kształtach ulotnionego, skrystalizowanego sublimatu.

Pojedyńcze tomiki poezyj Słowackiego wychodziły w różnych czasach osobno. Ogólne ich wydanie wyszło w Lipsku w Bibliotece Pisarzy Polskich Brockhausa we trzech tomach (1861). Pośmiertne utwory Słowackiego wydał Ant. Małecki we Lwowie (tomów 3. 1866).

O Korzeniowskim i Fredrze, którzy w zakresie dramatu stanęli na czele ruchu poetyckiego pomiędzy 1820 a 1830 rokiem, pomówimy niżéj.

Każdy z poetów ostatniego okresu, o których mówiliśmy dotąd, ma na około siebie jakby orszak drugorzędnych wieszczów, przypominających duchem i formą dzieł swoich znamiona genijalnego pierwowzoru. Niektórzy z nich sami są znakomitymi poetami i bynajmniéj nie podlegają zarzutowi naśladownictwa. Pokrewieństwo ich z Adamem, z Kazimierzem z Królówki, z Zygmuntem, Juliuszem, Stefanem Garczyńskim, Goszczyńskim, Bohdanem Zaleskim — dowodzi tylko, że czerpali natchnienia swoje ze wspólnych z mistrzami owymi źródeł. Należy im przeto zaszczytne miejsce w literaturze, jako młodszéj, ale rodzonéj braci olbrzymów, których utwory służyły im za karm duchową.

Około Mickiewicza gromadzą się: Zan, Odyniec, Chodźko Aleksander, Korsak... Nieco opodal stoi skłaniający się więc-

céj ku Brodzińskiemu Witwicki, — a jeszcze daléj Franciszek Morawski, Gosławski i t. d. i t. d.

Tomasz Zan urodził się z ojca ubogiego szlachcica w powiecie nowogródzkim 1791. Nauki początkowe pobierał w Mołodecznie, wyższe zaś na uniwersytecie wileńskim w oddziele fizyczno-matematycznym, po ukończeniu których został tamże, aby dłużéj uczęszczać na wykłady professorów. Poważnie rozumiejąc naukę i wyłącznie jéj poświęciwszy się, zyskał wielką wziętość pomiędzy współtowarzyszami. Wśród wolnych chwil zaczął pisać ballady i wiersze ulotne, które miały natchnąć ścisłego jego przyjaciela, Adama Mickiewicza, i dały początek tak zwanéj szkole romantycznéj. Korzystając zaś ze swego pomiędzy młodzieżą uniwersytecką wpływu, założył w r. 1819 towarzystwo naukowo-moralne pod nazwą Promienistych, z których wybrańsi nazywali się Filaretami. Po rozwiązaniu tegoż z polecenia rządu, Zan wyjechał do Orenburga, gdzie założył muzeum z rozkazu gubernatora Perowskiego, a w 1830 został bibliotekarzem górniczego korpusu w Petersburgu. Powróciwszy na Litwę, umarł r. 1855. — Oprócz drobnych poezyj drukowanych po czasopismach wileńskich, znaczniejszym jego utworem jest «Koteczka», powieść w 2-ch częściach.

Antoni Edward Odyniec urodził się r. 1804 we wsi Giejstunach w powiecie oszmiańskim. Nauki szkolne od r. 1814 do 1820 odbywał u księży Bazylianów w Borunach, gdzie z prozy polskiéj przekładał na wiersz poemat Floryana »Gonzalw z Korduby» i tłómaczył Ifigenię Rasyna. Od r. 1821 do 1823 kształcił się w uniwersytecie wileńskim, gdzie uczęszczał na wydział literatury i nauk wyzwolonych. Tutaj poznał się z Mickiewiczem i wkrótce zawiązały się pomiędzy nimi bliższe stosunki. Mając dar poetyczny i łatwość wierszowania, pierwszy raz wystąpił w r. 1822 z rymowaną powieścią «Strachy», znaną wszystkim z wypisów szkolnych. Potem tłómaczył z niemieckiego ballady Bürgera, był przez krótki czas redaktorem jednego z wybornych czasopismów p. n. «Dzieje dobroczynności», wreszcie wydał pierwszy zbiór swoich *Poezyj* we 2 tomach (Wilno, 1825—1826), zawierających głównie ballady i legendy, nacechowane wybitnie piętnem romantyzmu. Poczém usunął się do rodzinnéj zagrody wiejskiéj, gdzie samotny poeta obok gospodarstwa pisał wiersze pełne tęsknoty po oddalonych przyjaciołach. Niedługo wszakże tam przesiedział, przeniosłszy się w r. 1826 do Warszawy, gdzie mieszkał do 1829. Tu zajmował się przygotowaniem artykułów do czasopisma naukowego, które

ordynat Stanisław Zamojski miał wydawać własnym kosztem przy szkole szczebrzeszyńskiéj dla młodzieży nie mającéj możności odbywania nauk uniwersyteckich, a w któréj to pracy poprzednikiem Odyńca był Józef Korzeniowski, nim katedrę professora w liceum krzemienieckiém otrzymał. Gdy rzeczone pismo nie przyszło do skutku, Odyniec powziął myśl nader trafną wydawania noworocznika. Jakoż pierwszy zbiór taki, mieszczący utwory najznakomitszych przedstawicieli szkoły romantycznéj (Mickiewicza, Słowackiego, Zaleskiego i innych) wyszedł pod nazwą *Melitele* (3 tomy, dwa pierwsze wydane w Warszawie 1829 i 1830, a ostatni, po przerwie kilkoletniéj, w Lipsku, 1836). Prócz tego ogłosił jeszcze trzechaktowy dramat wierszem p. t. *Izora* (Warszawa, 1829). W tym samym czasie ułożył z Waleryanem Krasińskim pierwszy plan wydawania Encyklopedyi powszechnéj, którą w 10 lat późniéj w Wilnie z wielką skrzętnością ogłaszać zaczął.

W maju 1829 udał się do Petersburga dla widzenia się z Mickiewiczem. Tam ułożono plan wspólnéj podróży zagranicznéj, która dla Odyńca zbiegiem okoliczności przedłużyła się do lat ośmiu, a dla autora Grażyny aż do zgonu. Spędziwszy parę tygodni w stolicy Cesarstwa, na Warszawę pojechał do Drezna i Karlsbadu, połączył się z Mickiewiczem w sierpniu 1829 r. i odtąd we dwóch, a następnie we trzech z Krasińskim, zwiedzili Niemcy, Szwajcaryę i Włochy. Z Genewy, gdzie się rozstali, udał się Odyniec do Paryża i Londynu, a od początku 1831 znowu z Mickiewiczem przemieszkiwał w Dreznie. Podczas pobytu za granicą zabrał się do jednego z najszczęśliwszych swoich przedsięwzięć — do przekładu większych utworów najznakomitszych nowożytnych poetów angielskich: Byrona, Moora i Walter-Scotta. Wychodziły te tłómaczenia w Lipsku, a następnie w Wilnie w latach od 1838 do 1843, i w sześciu tomach zawarte zostały przekłady pierwszego: «*Narzeczona z Abydos*». «*Korsarz*», «*Niebo i ziemia*», «*Mazepa*»; Walter-Scotta «*Dziewica z Jeziora*» i «*Pieśń ostatniego minstrela*»: Moora «*Czciciele ognia*», «*Raj i Peri*» a nadto «*Dziewica Orleańska*» Szyllera i ballady różnych autorów, oraz przekłady drobniejsze, częścią nowe, częścią zaś poprzednio drukowane.

Działalność poetycka Odyńca ciągle szła obok lub naprzemian z działalnością redaktorską. Kiedy mieszkał w Dreznie i Lipsku, pomagał Bobrowiczowi w wydawnictwie Biblioteki kieszonkowéj klassyków polskich, robił ich wybor i pisał nie-

które życiorysy (Zimorowicza, Szymonowicza, Drużbackiéj i innych). Z jego także pomysłu i planu powstało w Lesznie jedno z najlepszych w owym czasie pism obrazkowych, p. n. »Przyjaciel Ludu», którego był gorliwym współpracownikiem. W r. 1837, za powrotem do Litwy, był przez dwa lata redaktorem głównym «Encyklopedyi powszechnéj», wydawanéj przez Glücksberga w Wilnie i Warszawie; gdy zaś to przedsięwzięcie upadło, został w r. 1840 redaktorem rządowym «Kuryera Wileńskiego», którego prowadził przez lat 20, pisząc sam część polityczną. Obok tego nie czynił rozbratu z poezyą. Drobne jego utwory umieszczały: «Przyjaciel Ludu», «Rocznik» i «Pamiętnik» Podbereskiego, rozmaite pisma zbiorowe warszawskie, nareszcie «Teka Wileńska», co wszystko razem zebrane, dołączone do wydania 1825 i 1826 i uzupełnione rzeczami nieznanemi w druku wyszło w Wilnie 1859 r. p. t. *Poezye Ant. Edw. Odyńca*, a po trzeci raz pomnożone, w Warszawie r. 1874. W przeciągu tego czasu ogłosił także kilka prac dramatycznych, a mianowicie: *Felicytę*, która miała dwa wydania, w Wilnie 1849 i w Poznaniu 1858, *Barbarę Radziwiłłównę* (Wilno, 1858) i część pierwszą Jerzego Lubomirskiego (tamże, 1861. Część druga, ukończona, pozostała w tece autora).

Od r. 1865 osiadł Odyniec w Warszawie, był jakiś czas redaktorem «Kuryera Warszawskiego», obecnie zaś jest głównym współpracownikiem «Kroniki Rodzinnéj», w któréj od lat kilku umieszcza mistrzowską ręką skreślone «Listy z podróży», pisane do Ignacego Chodźki i Juliana Korsaka, pod świeżem wrażeniem miejsc, ludzi i wypadków, tu i ówdzie tylko objaśnione późniejszemi przypiskami; kreślone z nieporównanym humorem i wdziękiem, stanowią one obraz, jakiego dotąd nie posiadała nasza literatura pamiątkowa. Ich osnowa chwytana na gorącym uczynku, o tyle wyraźniéj i czyściéj się przedstawia, o ile nie przyćmiewają jéj wewnętrzne przeobrażenia ducha i nieuchronne omyłki pamięci piszącego pamiętniki w czasie późniéjszym. Nieprzebrana liczba szczegółów na pozór drobnych, a rzeczywiście nieoszacowanych, do charakterystyki Mickiewicza i jego otoczenia, byłaby na zawsze zaginęła, gdyby jéj nie ocalono w tych listach. Część ich pisaną z Wejmaru, poświęconą Goethemu i jego rodzinie, przetłómaczono natychmiast na język niemiecki.

Oprócz pierwszych dwóch tomów wydanych w Wilnie w latach 1825 i 1826, nie wiele Odyniec pisał oryginalnych poezyj w duchu romantycznym. Późniéjsze jego utwory mają owszem

cechę klassyczności, odznaczając się wydatnością obrazów, spokojem rozwijającéj się myśli i nadzwyczajną ogładą języka i wiersza. O pierwszych utworach może dać wyobrażenie ballada p. n.

Branka Litwina.

«No, no, Laszko, dość jęku!
Nie płacz, nie mdléj w mych ręku.
Wszyscy na koń już wsiedli,
Wszyscy brańców powiedli;
Jaż mam z tobą czas trwonić,
Bym ich nie mógł dogonić?
Czy cię zabić, bym z bitwy
Z niczém wrócił do Litwy?

«Nie, nie! prosisz daremno,
Żywa musisz iść ze mną.
Daléj! śmiało!' siądź wpodle
Na słomianém mém siodle!
Bystry koń mój ze Żmudzi
Swym cię biegiem nie strudzi:
A przed wiatrem na łonie
Wilczą burką osłonię.

«Daléj sercem ochoczém!
Nie masz płakać tu poczém.
Patrz, twój piękny dwór biały
W ogniach stoi już cały.
A ów Laszek twój młody,
Co na koniu w zawody
Chciał cię unieść przede mną,
Chciał obronić daremno,
Wierz mi, w zimnym swym grobie,
Nie zatęskni po tobie.

«Patrz-no, patrz-no, jak zbladła!
Jak nieżywa upadła.
Żal jéj brać mię zaczyna,
Taka piękna dziewczyna!

«No! przyjdź tylko do siebie
Sam dbać będę o ciebie.
Po nad brzegiem Żejmiany
Mam ja zamek drewniany,
Pełne gumna i pełny
Śpichrz kądzieli i wełny.
Tam nie będzie ci smutno:
Przez dzień będziesz tkać płótno,
W wieczór w gronie mych dziewek
Przędąc słuchać ich śpiewek.
A jak syn mój jedyny
Wróci z Pruskiéj krainy,
Któż wie, gdy cię polubi,
Może nawet zaślubi.

«Mało równych mu w Litwie
I na ucztach i w bitwie.
Nie dziewczyna, nie gaszek,
Jak ów piękny twój Laszek.
Wzrost jak dębu wyniosły,
Cały czarno zarosły,
Wzrok jak gdyby Perkuna,
Błyska ogniem pioruna,
A niech zginę, gdy kłamię!
W ręku sztabę rozłamie.

«Ho! już płakać przestała,
Ogniem płonie twarz cała.
Czy dziękujesz, czy prosisz,
Że tak w niebo wzrok wznosisz?
Zkąd z tak nagłym pośpiechem
Siadasz na koń z uśmiechem?

«No, no, przytul się do mnie,
Zarzuć ręce koło mnie,
Tak, tak, — teraz już mogę
Ptakiem puścić się w drogę.

«Zkądże znowu to drżenie?
Co tak patrzysz w płomienie?
Cóż że jedziem koło nich?
Wszak nie wepchnę cię do nich.

«Ha, ha! stój, stój, zuchwała!
Z konia mi się zerwała;
Lecz nie ujdziesz pogoni,
Lub cię strzała dogoni!

«Ale gdzie ją strach żenie?
Czekaj, nie leć w płomienie!
Przez Perkuna! nic tobie
Za to złego nie zrobię!

«Ani słucha, szalona!
Leci wzniosłszy ramiona,
Prędzéj koniu, już blizko,
Śpiesz nim wskoczy w ognisko!
Śpiesz, — lecz gdzież się podziała?—
Ha! to suknia jéj biała
Wpośród gruzów zwalonych
Miga w ogniach czerwonych!—

«Jakem Litwin, dziewczyna
Warta była Litwina.
Spaliła się, a szkoda!
Była piękna i młoda!

Z pomiędzy ballad celują pięknością obrazów i wysłowienia «Ofiara przerwana», «Wesele», «Bolesław Śmiały» i «Matylda». Powieść «Strachy» odznacza się naturalnością stylu i humorem. Między legendami odznaczają się pięknością myśli i wyrażeń «Świat duchów» i «Pacierze». Poemat opisowy «Góra» ma już nastrój klassyczny. Z późniejszych utworów Odyńca przytaczamy tu jeszcze prześliczny pod względem myśli i formy wiersz p. n.

Westalka.

U stóp ołtarza, w śnieżystéj bieli,
W blasku świętego ogniska,
Jakże niém sama, w oczach czcicieli,
Kapłanka jego odbłyska!

Wieszcz w jéj spojrzeniu myśl swą zapali,
Natchnienie z ust jéj nań wionie;
Od niéj w rycerzu, jak odblask w stali,
Duch poświęcenia zapłonie,

Przed nią z pokłonem, z miejsc swych, na Forum,
Ojce Ojczyzny powstaną;
Znak jéj wytrąci topór liktorom,
Nad głową na śmierć skazaną.

Bo tak chce światem władnąca Roma,
By dać tém wiedzieć po świecie,
Jak czci niewinność, ani się sroma
Świętość uwielbić w kobiecie.

A hołd czci takiéj, bez prac i trudu,
A taki tryumf bez walki,
Wiek w wiek ma w sercach Bożego ludu
Niewiasta z duszą Westalki.

Jążby więc mogły czy szał zapału,
Czy tak zwieść myśli pokusa,
By z swéj wysokiéj czci piedestału
Skoczyła w orszak Bachusa?

Jéjżby to, zamiast brać hołd w świątyni,
Na rynku przed gminem pląsać,
I zamiast władać berłem bogini
Tyrsą bachantki potrząsać?

Onażby mogła nad chórów modły,
Nad kornych westchnień hymn cichy,
Sprosnych Satyrów przenieść śmiech podły,
Lub brzask przy brzęku w kielichy?

Onażby miecąc na wiatr jak włosy
Tak i zasłonę dziewiczą,
Wzięła za tryumf, że pjane głosy
«*Evoe!*» dla niéj zakrzyczą?

Nie, nie! świętego ognia kapłanko!
Nie dla cię pląs bachusowy!
Tak jak nie tobie, duszo-chrześćjanko!
Dzielić szał pychy wiekowéj.

Co i niewiastę, prądem zakrętu,
Z cienia domowéj zagrody,
Porwał jak wicher, i w wir zamętu
Niesie pod hasłem swobody.

Ty wiesz, że wolność nie jest w swéj woli;
Wiesz z Kim tę wolę zespolić,
By serce naprzód z złych żądz niewoli,
Myśl z próżnych marzeń wyzwolić.

Ty wiesz, nad światem moc władnie czyja;
Znasz dział niewiasty i męża:
Że co on tylko siłą podbija,
Ona miłością zwycięża.

Że przez nią tylko, co on dokona,
Na święty idzie pożytek;
I co on tylko buduje — ona
W boży ma zmienić przybytek.

I ty wiesz jeszcze — że jak w naturze,
Tak w ludzkich losów kolei,
Słońce i Wiara tylko na chmurze
Malują tęcze nadziei.

Wierz więc i błagaj Matkę-Dziewicę
Za błędną siostrą i bratem,
By z serc i z myśli burz błyskawice
W grom się nie zlały nad światem,

Tym duchem miłości i prawdy chrześcijańskiéj tchną wszystkie poezye Odyńca, tworzone w dojrzalszym wieku. Łatwo więc zrozumiemy sąd o nich Siemieńskiego, wytrawnego krytyka a zarazem znakomitego poety: «Odyniec, przyjaciel Mickiewicza, wspólnik prac niektórych, lubo nie ubiegający się o współzawodnictwo z wieszczem, umie w utworach swoich utrzymać cząstkę tego wielkiego ducha, jaki ożywiał wieszcza i jego epokę. Co tylko wyszło z pod jego pióra, nosi to niestarte piętno, dające się wyśledzić nawet tam, gdzie świetność pisarskiego talentu, siły ducha i czucia, nie dosięgają wysokości, wymaganéj po arcydziełach. Głęboką prawdą chrześcijańską przepojony duch i serce Odyńca, wyciska na jego utworach piętno nadające im wartość wewnętrzną i odróżniające od tylu innych pisarzy, co hołdując samemu bożyszczu sztuki, poprzestają najczęściéj na powierzchownych przymiotach, znachodzących chwilowe tylko powodzenie i uznanie. Słowem jest to pisarz z treścią, mąż wyrobiony wewnętrznie; dla tego myśli jego mają siłę zapładniającą, zostają w czytelniku i zmuszają niejako łamać się z niemi, roztrząsać w sumieniu, i jeśli nie przyznawać im zupełnego zwycięztwa, przynajmniéj wyciskać dla nich szacunek, jak dla wszystkiego, co dobre i piękne. Nie jest to pisarz wstrząsający światem wyobrażeń, z rzędu tych, co wszystko ciągną pod pręgierz opinii, co serce biorą na próby, przysłuchując się, kiedy ma pęknąć, co uniewinniają każdą namiętność, a zwycięztwo nad namiętnością poczytują za brak temperamentu, czyli raczéj nie wierzą, aby zwycięztwo zdało się na cokolwiek; — przeciwnie u niego panuje cisza i spokój siły wewnętrznéj, a w blasku świętéj prawdy

dającéj mu natchnienie, nawet szpetności natury zepsutéj nie rażą swoją potwornością. W tym tu punkcie spotyka się u niego klassycyzm grecki z klassycyzmem poezyi chrześcijańskiéj— tamten przez harmonijne uczucie proporcyi i zarysów upiększał nawet cielesne brzydoty, ten przez uczucie wielkiéj miłości Chrystusowéj upięknia moralne».

Mniéj szczęśliwym okazał się Odyniec na polu dramatycznem, chociaż i tu jaśnieje częstokroć pierwszorzędnemi zaletami, szczególniéj pod względem piękności wiersza, dosadności wyrażeń i swobody niemal potocznéj mowy, przy całéj uroczystości nastroju. W *Felicycie* poeta wszedł na drogę zupełnie oryginalną. Przedstawia w niéj dzieje pierwotnych wieków chrześcijaństwa i obraz męczenników świata — nie tylko męki ciała, ale i męki ducha. Jakkolwiek utwór ten nie posiada warunków scenicznych, ma jednak niepowszednie piękności, celuje czystością i wdziękiem postaci, wspaniałością obrazów, i do znakomitszych płodów literatury liczyć się może. *Barbara Radziwiłłówna* jest zbyt uczoném malowidłem swojego czasu. Pomimo jednak wszelkich zabiegów o koloryt historyczny, o prawdę, poeta nieszczęśliwie powiązał różne fakta i osoby historyczne w całość, która utrzymać się nie może jako utwór sztuki, we właściwém odtwarzaniu przeszłości. Za wiele tu reflexyi osobistéj autora: to bowiem, co częstokroć historycznym postaciom, żyjącym za panowania Zygmunta Augusta, Odyniec wkłada w usta, dopiero dziś można byłoby powiedzieć po trzech wiekach, uwzględniając przeszłość; ale tak myśleć, tak mówić, tak widzieć rzeczy nie mogli ludzie owego wieku. Autor nazwał swój utwór «poematem dramatycznym», gdyż scenicznego układu i wątku dramatycznego w nim nie ma; ztąd też dla sceny teatru wileńskiego musiał być przerabiany. W każdym jednakże razie piękność języka i życie pełne ruchu, rozlane w tym poemacie, zapewniają mu niepospolite miejsce w literaturze polskiéj. Nierównie słabszym co do układu i wykonania jest dramat historyczny p. n. *Jerzy Lubomirski*. Dramat rycerski *Izora* już nawet treścią swoją nie jest polski, a zakrój ma romantyczny.

Najwięcéj talentu rozwinął Odyniec w tłómaczeniach angielskich i niemieckich poetów, których wyliczyliśmy wyżéj: tłómaczenia te bowiem tak są artystyczne i tak świetnym językiem dokonane, że wedle zgodnego głosu krytyków, w formie, duchu i barwie zastępują zupełnie oryginalne utwory. Każdy z tych poetów występuje w przekładzie z właściwém mu obli-

czem i żaden podrobioném nie odzywa się słowem. Cały ogień Byrona, jego łzy palące, jego nieprzeparta tęsknota do ideałów piękna i dobra, zjawiają się przed duszą czytelnika z właściwą im siłą i charakterem. Serdeczny i obrazowy Walter-Scott przymiotów swoich ani na chwilę nie traci, a Moor płomienny jak noc wschodnia, roztacza cały przepych swych namiętnych opisów, z których tłómacz ani jednego nie uronił klejnotu. Zasługa Odyńca jest wielka. Tłómaczeniami swojemi on zawiązywał duchowy sojusz pomiędzy różnych ludów wieszczami i rozszerzał horyzonty naszych własnych poetów, ukazując im rozliczne drogi, któremi chodzi duch piękna nieśmiertelnego.

Oto jest przegrywka do «Dziewicy z Jeziora», w któréj i autor i tłómacz stoją na wysokości prawdziwéj poezyi:

Arfo północna, długo w mroku zapomniana,
Nad źródłem San Fillanu zwieszona z gałęzi!
Wiatr chyba z gór rodzinnych zbudzi twoje brzmienia,
Nim bluszcz zawistny pnąc się po strun twych nawięzi,
Ujmie każdą i w pętach milczenia uwięzi.
Arfo bardów! czyż głos twój nie zasłynie szerzéj,
Jak cichy szelest liści albo szmer strumienia?
Nigdyż mistrz biegłą dłonią strun twych nie uderzy,
Budząc westchnienia dziewic i uśmiech rycerzy?

Nie tak było za dawnych czasów Kaledonu,
Gdy minstrel z tobą w ręku na ucztach przewodził,
Gdy nucąc bój lub miłość rycerskiemu gronu,
Ośmielał bojaźliwych, lub dumnych łagodził.
Za każdą przerwą pieśni grzmotem się rozchodził,
Zmięszany z strun twych brzmieniem głośny poklask gości,
Wszystkie ich czucia tchnęły echem twego tonu:
Bo treścią każdéj pieśni był tryumf miłości,
Wielkie dzieła rycerzy lub chwała piękności.

A oto jest wyjątek z «Peri i Raj» powieści wschodniéj Tomasza Moora.

...I gdy tak duma, a skrzydła jéj płyną,
Po nad Indyjską ulata krainą.
Gdzie cała ziemia jest kwiat i zieloność,
Całe powietrze jest jasność i wonność;
Gdzie morze razem jak szkło kryształowe,
Odbija błękit i dno koralowe;

Gdzie nakształt dziewic ubranych na gody,
Rzeki lśnią złotem przez rąbek swéj wody;
Gdzie w górach ogniem słonecznym dojęty,
Głaz się w gwiazdziste topi dyamenty,
A wonne lasy wiecznym tchnące majem,
Sameby mogły być Perii rajem:
Tam ona w myślach posępnych ulata.
Żądza ku niebu i niedola świata,
Tęskność i litość budzą w niéj zarazem;
Bo kraj ten dzisiaj nie raju obrazem!
Wojna go niszczy: krwi ludzkiéj rozcieki,
Zafarbowały strumienie i rzeki,
Dym pogorzelisk zaćmił blask pogody.
O kraju słońca! jakiż wróg zawzięty,
Kruszy twe bóstwa, obala pagody,
Pomiata twemi ludy i książęty?
To on, wódz z Gazny! niesyt krwi rozlewu,
Gdzie szedł, w jéj morzu pływa kraj zniszczony:
Gdzie cisnął okiem, w ogniach jego gniewu
Stopniały złote mocarzów korony...

Tłómaczenia Odyńca wyszły w powtórném czterotomowém wydaniu w Warszawie 1874.

Julian Korsak urodził się r. 1807. Po odbyciu nauk szkolnych w Szczuczynie, a uniwersyteckich w Wilnie (równocześnie z Mickiewiczem) bawił przez kilka lat następnych (1826—1830) częścią w Warszawie, częścią w Petersburgu. Po śmierci ojca osiadł na wsi w powiecie słonimskim, gdzie poświęcał się gospodarstwu i pracom literackim. Umarł w Nowogródku r. 1855.

Korsak ma wiele podobieństwa do Odyńca, z którym te same ukochał wzory, lecz talentem mu nie dorównywa. Pierwszy zbiór *Poezyj* Korsaka wyszedł w Petersburgu w r. 1830 (2 wydanie w Poznaniu 1833). Widoczne w nich naśladownictwo Mickiewicza i angielskich poetów. Są tu liryki, które kiedyś uważano za szczyt poezyi, np. oda do muzyki, są też wschodnie piękności, ale twórczego natchnienia mało. Powieść turecka *Bejram* niewielu miała zwolenników. Po pierwszym zbiorze wyszedł drugi, *Nowe Poezye* (Wilno, 2 t., 1840) w tym samym kierunku i nie większéj wartości. Jest tam poemat dramatyczny «Twardowski», bez wyższych poetyckich zalet; jest daléj poemat «Kamoens w szpitalu» utwor zbyt teatralny,

i wymuszony, w którym poeta wprowadził autora Luzyady opowiadającego własne przygody: jest wreszcie dość mierny przekład tragedyi Szekspira „Romeo i Julia.“ Tyszyński zanadto łaskawie ocenił te „Nowe poezye“. Z recenzyi jego przytaczamy tu ustęp zawierający dość trafną charakterystykę poetów szkoły litewskiéj: „Nieprzesadny, słodki a poetyczny skład wiersza, duch wdzięczny a duch łagodny, miłość rodzinna i platońskich marzeń, cechy te przed lat ubiegłych dziesiątkiem stworzonéj nad Niemnem poezyi, nie przestają się coraz wybitniéj objawiać pod piórem poetów téj strony... jest to jedna, ta wiecznie świeża i wiecznie wdzięczna nuta miłości, miłości w wyższéj jéj sferze, na różne zwroty śpiewana. W tych *nadniemeńskich* poezyach nie znajdujemy ani czarnych szat naddnieprowych, ani wesołéj, malownéj wyobraźni krakowskich śpiewów. Nie słońce tu, ani mroki nocne; nie burza, ani też szmer tryumfów; jest to jakowyś widok ciszy, pokoju serca, siłą urojeń szczęśliwego, jest to owa doba wpółwidna, z gwiazdą na niebie, lub ogniskiem w domu, o któréj (jak sam mówi autor w jednéj ze swych elegij) serca czulsze najmiléj wspominać lubią“.

Największa może zasługa literacka Korsaka jest w przekładzie „Boskiéj komedyi“ Dantego, objaśnionym cennemi przypisami, a dokonanym nader szczęśliwie (Warsz. 1860). W ogóle Korsak nie posiadał wielkiego talentu poetyckiego, ale wykształcony na wzorach klassycznych, władał po mistrzowsku językiem i celował niepospolitą zdolnością w budowie wierszów.

Aleksander Chodźko, przyjaciel Mickiewicza, syn Jana Chodźki (znanego w literaturze pod imieniem „Jana ze Świsłoczy“) a stryjeczny brat Ignacego Chodźki, autora „Obrazów Litewskich,“ urodził się w Krzywiczach w gub. mińskiéj r. 1804. Uczeń uniwersytetu wileńskiego i szkoły wschodnich języków w Petersburgu, następnie konsul rossyjski w Persyi, a od 1857 professor literatur słowiańskich w Paryżu, rozpoczął zawód poetycki od mniejszych utworów w duchu nowéj szkoły romantycznéj i wydał w Petersburgu r. 1829 zbiór poezyj, zawierający ballady, przekłady pieśni nowogreckich według Fauriela i inne ulotne wiersze. Zwrócił się potém stanowczo do poezyi wschodniéj, i na tém polu już pozostał. Do większych utworów jego należy poemat p. n. *Derar* pełen barw żywych i obrazów silnych namiętności. Jako biegły oryentalista, oznajomił nas Chodźko z literaturą perską. Jego przekład powieści perskich drukował «Dodatek do Czasu» r. 1859 p. t. *„Pady-*

szach i czterech derwiszów.“ Jest on jednym z najwybitniejszych zwolenników poezyi oryentalnéj w literaturze polskiéj.

Kiedyś Mickiewicz roił wielką przyszłość dla Chodźki. Dowodem tego sławna improwizacya, którą odpowiedział przyjacielowi w gronie poufném, kiedy ten w śpiewie swoim lot wieszcza porównywał z lotem orła. Mickiewicz uznając w sobie orła, odpowiada raz, że Chodźko jest sokołem i dodaje o nim:

„Tyś pojął tajnie orlego lotu,
Sam orzeł tobie zazdrości...“

drugi raz porównywa go do kolibra. Kiedy się orzeł zmordował w polocie ku przestworzom niebios, kolibryk, który pod skrzydła jego się schował, poleciał wyżéj jeszcze w nadpowietrzne szlaki;

„Orzeł upada, ty latać będziesz:
Adam gdy ginie, ty żyjesz;—
Na jego tronie ty kiedyś siędziesz,
Jego się blaskiem okryjesz...“

Nie zgadł Adam. Chodźko pozostał naśladowcą przez całe życie. Miał jednakże młody poeta swoje szczęśliwe pomysły. Kilka ballad i pieśni, np. „Maliny“ osnuł na tle tematów ludowych, mają też wdzięk i świeżość czysto-ludowych pieśni. O „Malinach“ wspominaliśmy w rozbiorze „Balladyny“. Oto jest ta ballada:

M a l i n y.

Przez litewski łan
Jedzie, jedzie pan,
Przed nim, za nim jego cugi,
W złocie, w srebrze jego sługi;
Jedzie w gościnę. *Bis.*

Przyjechał na dwór,
Do matki dwóch cór:
Matko, matko, masz dwie róże,
Obie krasne, obie hoże,
Daj mi jednę z nich.

Matka prosi wnijść,
Każe córkom przyjść;
Lecz pan obie równie kocha,
I tę trocha i tę trocha:
Którąż tu wybrać?

Dwa im dzbanki daj,
Niechaj idą w gaj:
Która więcéj malin zbierze,
Tę za żonę pan wybierze.
Ta będzie panią.

Słońce się z za drzew
Rumieni jak krew;
Krwawą łuną gaj ozłaca,
Z gaju starsza córka wraca,
A młodszéj nie ma.

Na jéj czarnéj brwi
Niby kropla krwi;
Któż wie, z jakiéj to przyczyny,
Od maliny lub kaliny,
Może to nie krew?

„Oto malin dzban;
Gdzie mój mąż? gdzie pan?
Siostra już nie wróci z gaju,
Może wpadła do ruczaju,
Może pożarł wilk?“

Pan rozesłał sług
Do gaju, nad strug;
Całą noc w gaju wołali,
Cały dzień w strugu szukali:
Nie ma i nie ma.

Pan miał złota wór
Murowany dwór,
Szczęśliwy z żoną szczęśliwą,
Z krasawicą urodziwą,
Z tą córką starszą.

A gdy przyszedł maj,
Pobiegł panicz w gaj,
Kręcił dudki, zrywał kwiatki,
Z klaskiem, z wrzaskiem biegł do matki;
„Ach, mamo, mamo!

„Otoż dudkę mam,
Otoż pięknie gram;
Dudka moja osobliwa,
Jak siostrzyczka moja śpiéwa,
Słuchaj piosenki:

„Graj Michasiu, graj;
Jak dziś kwitnie maj,
Tak nad róże, nad bławatki,
Dwie nas kwitło w domu matki,
O moja wiosno!

„Ach! lecz siostry nóż
Skosił różę róż;
Pod kurhanem me mieszkanie,
Dzika wierzba na kurhanie,
O moja wiosno!

„Dziko synu grasz;
Zkąd tę dudkę masz?“
—„Dudkę skręciłem w gaju,
Z dzikiéj wierzby przy ruczaju,
Przy krzaku malin.“

Pani pobladła,
Jak stała, padła;
Ileż straty, ile szkody,
Wieś tak wielka, mąż tak młody,
Dziatki nieletnie!

Przez litewski łan
Jedzie, jedzie pan;
Lecz w całunach jego cugi,
Lecz w żałobie jego sługi
Przy trumnie pani.

Chodźko bardzo prędko jednakże przestał śpiewać. Wysłany jako konsul rossyjski do miasta Resztu, nad morze Kaspijskie w Persyi, całe swoje zdolności poświęcił badaniom Wschodu, i na téj drodze obecnie ogłasza owoce, które mogą mu kiedyś znakomite zjednać stanowisko w szeregu oryentalistów europejskich. *)

Do naśladowców Mickiewicza w kierunku oryentalnym należą trzéj następujący poeci.

*) Z ogłoszonych drukiem prac Chodźki na tém polu ważniejsze są: 1) „*Specimens of the popular poetry of Persia*“ (Lond. 1848); 2) „*Le Ghilan ou le marais Caspien*“ (1851); 3) „*Legendes slaves*“ (Paryż, 1859); 4) „*Grammaire Persanne*“ (Paryż, 1852), i 10 jeszcze dzieł innych, między któremi ważną jest „*Grammaire Paleoslave*“ (Paryż. 1869).

Gustaw Zieliński, syn sławnego pułkownika artyleryi z czasów Stanisława Augusta, urodził się r. 1809 w powiecie inowrocławskim; pobierał nauki w szkole księży pijarów w Warszawie, kończył je w uniwersytecie warszawskim. Lat dziesięć przepędził na Syberyi. Wydał poemat *Kirgiz* (Wilno, 1842), który miał w swoim czasie wielką wziętość z powodu nowości przedmiotu i pełnego siły męzkiéj języka. Powieść wzięta z życia Kirgizów; poemat kończy się pożarem stepu, w którym giną oboje kochankowie. *Stepy* (1856) można tylko uważać za nieudany dodatek do „Kirgiza," a inne poezye ledwie na wzmiankę zasługują.

Karol Brzozowski, poeta niepospolitych zdolności, ale goniący za nadzwyczajnemi żywiołami w poezyi; ztąd żaden z dość licznych jego utworów nie stanął jeszcze na wysokości prawdziwéj sztuki.

Józef Dunin Borkowski, którego zwyczajnie zaliczają do tak nazwanéj szkoły czerwonoruskiéj, *) urodził się w Dzieduszycach Wielkich na Pokuciu r. 1809. Był on synowcem Stanisława hr. Borkowskiego, który wydał „Psałterz Małgorzaty." Nauki gimnazyalne odbywał we Lwowie, gdzie z zapałem rozczytywał się w dopiero co wyszłych 2 tomikach Mickiewicza (1822) i w dziełach Brodzińskiego. W r. 1827 udał się z bratem Leszkiem do Czerniowiec, gdzie słuchał filozofii lat parę. Tu zapoznał się z wielu Grekami, którzy dla zawichrzeń wojny greckiéj szukali wtedy przytułku na Pokuciu, i przejąwszy się ich sprawą, opiewał ją w hymnach wielkiéj piękności. Przez nich także naprowadzony na pieśni nowogreckie, zbierał je i tłómaczył. Następnie przeszedł do tłómaczenia Homera, Hezyoda i innych starogreckich pisarzy. Atoli nie w tych usiłowaniach jest największa zasługa Borkowskiego. Przyczynił się on więcéj od innych do rozbudzenia ruchu umysłowego w Galicyi, należał do wszelkich literackich przedsięwzięć, od r. 1830 ukazujące się czasopisma zbiorowe zasilał pracami swojemi (Haliczanina, Ziewoniję) w r. 1838 wydał sam w Wie-

*) Do téj szkoły liczą braci Chłędowskich Adama i Walentego, którzy pierwsi w Galicyi, podobnie jak Mochnacki w Warszawie, dali rozumowe poparcie romantyzmowi. Pismo czasowe przez nich założone p. n. *Haliczanin* (r. 1830) a następnie *Ziewonia* było ogniskiem tego nowego ruchu. Do tego grona liczą daléj Ludwika Nabielaka, dwóch braci Borkowskich, z których młodszy Aleksander (Leszek) stał się głośnym z powodu swego dowcipnego dzieła „Parafijanszczyzna" i Augustyna Bielowskiego. Wszelako grono tych poetów nie utworzyło w poezyi polskiéj żadnego osobnego kierunku.

dniu tom jeden *Prac literackich*. Na korzyść pogorzelców galicyjskich przedsięwziął wydanie *Albumu*, którą to pracę przerwała śmierć w r. 1843.

Prace Borkowskiego rozrzucone są w wymienionych powyżéj czasopismach zbiorowych. Wiele z nich pozostaje w rękopismach. Nieodżałowana szkoda, że pomimo zdolności jakiemi się odznacza, główną cechą jego talentu było naśladownictwo. Żywot Borkowskiego oraz wizerunek współczesnéj mu literatury w Galicyi, skreślił Augustyn Bielowski w „Albumie na korzyść pogorzelców“ (Lwów, 1844). W r. 1856 wyszły pisma jego we Lwowie w jednym tomie zamierzonego wydawnictwa p. t. „Dzieła znakomitych pisarzów krajowych.“ Jest on także autorem ślicznéj rozprawy „O języku polskim łowieckim;“ jemu też zawdzięczamy ocalenie od zatraty „Wojny Chocimskiéj“ Wacława Potockiego.

Stefan Witwicki urodził się w Janowie na Podolu r. 1801, nauki kończył w liceum krzemienieckiém, gdzie ojciec jego był professorem. Po ukończeniu nauk udał się do Warszawy i wszedł do komissyi Oświecenia; w końcu był sekretarzem komitetu reformy starozakonnych i ich szkół. Jeden z najpierwszych zwolenników kierunku romantycznego, Witwicki przedstawia obraz najróżniejszych dążności nowéj szkoły. Począł śladem Mickiewicza od *Ballad i romansów* (Warszawa, tomów 2, 1824), nader słabych; napisał potem *Edmunda*, owoc chorobliwéj fantazyi, naśladowanie Manfreda Byrona (1829). W r. 1830 wydał zbiór nierównie wdzięczniejszych utworów p. n. *Piosnek sielskich i Poezyj biblijnych*, pełnych uczucia i prostoty. Do wielu z nich dorobił piękne melodye Szopen, przyjaciel poety. Tłómaczył udatnie pieśni Ossyana, przypadającego do jego usposobienia. W r. 1832 wyjechał za granicę i osiadł w Paryżu. Ścisła przyjaźń łączyła go z Mickiewiczem i B. Zaleskim. Tu napisał znakomite swe dzieło p. n. *Wieczory Pielgrzyma* (prozą), w którém powstawał z wielką żarliwością przeciw używaniu francuzczyzny i ujmował się za polskim językiem. Dzieło to miało w swoim czasie skutek wielce zbawienny. Ułożył i wydał szacowną książkę do nabożeństwa p. t. *Ołtarzyk* i drugą również wyborną *Podarek Ślubny*. Napisał broszurę przeciw Towiańszczyznie, oraz Listy z zagranicy zalecające się mistrzowską charakterystyką Paryża i jego obyczajów. Zbiór prześlicznych powiastek i gawęd jego wyszedł w Petersburgu r. 1850 p. t. *Gądu—gadu*. Pomagał podobno w pracy Mickiewiczowi i napisał kilka ustępów opisowych do

„Pana Tadeusza“ o lasach litewskich. Ostatnie lata swego życia przepędził na pasowaniu się z dotkliwą chorobą, zamyślając wstąpić do stanu duchownego. Umarł w Rzymie r. 1847.

Talent Witwickiego z razu nie zbyt szczęśliwy, dojrzał i rozwinął się pod ciężarem smutku i boleści. «Spokojny i łagodny, miły i fantastyczny, tęskniący i kochający, serdeczny jest wszędzie Witwicki (słowa Bartoszewicza). I wywierał wpływ wielki, bo osobistość jego była zbyt znaczącą i wybitną, żeby się tak bez wpływu żadnego na epokę została. Ulegał Witwickiemu sam nawet Mickiewicz...» Niektórych pism jego wpływ się wyczerpnął obecnie. Zato poezye sielskie i nieporównane gawędy utrzymają na zawsze sławę Witwickiego. Dla przykładu przytaczamy gawędę p. n.

Rachunek życia obywatela wiejskiego.

Chcesz wiedzieć Waćpan Dobrodziéj,
Jak też nam tu życie schodzi,
Waćpanowie w wielkim świecie
Modnie i różnie żyjecie;
U nas, w cichym kącie wioski,
Mniéj odmiany, mniéj też troski
Zwyczajne sobie prostaki;
Nasz rachunek życia taki:
Rano nasamprzód pacierze,
Potém piję co ciepłego,
Potém zaraz człek się bierze
Do pracy, bo nic bez tego.
A więc, co tam bądź na dworze,
W lecie, czy w zimowéj porze,
Muszę z obowiązku pana
Dojrzeć sobie co dzień z rana,
Czy wszystko jak być powinno,
Czy każdy już zaczął swoje:
Raz koleją tą, raz inną,
Tędy przejdę, tam postoję,
Tam się spytam, tam coś każę,
Wszędzie jest mię pełno; łażę
I do owiec, i do koni,
Słowem, wszystko jak na dłoni.
Temu trzeba jak zaradzić,
Tu potrzeba przysposobić,

To ogrodzić, to przesadzić,
Dość że zawsze jest co zrobić.
Czasem także, choć na krótko,
Wybiegniesz z strzelbą raniutko
Po zająca albo ptaka;
Czasem też fabryka jaka.
Jeszcze się gdzieś powie słowo,
Wyjrzy w okno, czy na ganek,
Jedno z drugiém, to i owo,
I ot jakoś przejdzie ranek.
Potém obiad. Po obiedzie,
Czy z sąsiedztwa kto przyjedzie,
Czy też się na wózek siada
I jedzie się do sąsiada;
A nie, to dzieci biegają;
Latem w sad, po izbach w zimie;
Lub też córki co zagrają,
A ja sobie trochę zdrzymię.
Czasem co od sług usłyszę,
Albo list się gdzie napisze,
Albo się do książki bierze,
Czy to nabożnéj, o wierze,
Czy to jakiéj narodowéj,
Autora szczero-polskiego,
Bądź z nowszych, więc tom jakowy
Edycyi Mostowskiego.
Bywa że kupiec zawita,
O to, o owo się spyta;
Prawda, czasem dosyć nie da,
Lecz często się coś i przeda.
Pójdziesz na wieś, zajrzysz wszędzie,
Zrobisz co choremu, wdowie;
Czasem kwestarz zkąd przybędzie,
I nowinkę jaką powie.
Czasem też ku wieczorowi,
Czy w pole, czy ku młynowi,
Sam, albo ochota czyja...
I ot jakoś dzień przemija.
Na wieczór, rachunek dzienny:
Przy tém ja najmocniéj stoję.
Więc ekonom i gumienny,
I drudzy przynoszą swoje.

Pytam się, o wszystkiém słyszę,
Ślicznie, pięknie zliczę, spiszę,
Jedno po drugiém, rozumnie,
Już to jak zegarek u mnie.
Dopiero gdy się załatwię,
Wtedy sobie z wolną głową
Albo zacznę prawić dziatwie
Jaką powieść narodową;
Albo zkąd przyjedzie siwy
Jaki wojak lub myśliwy:
To słucham, a on mi gwarzy,
Jak zwyczajnie lubią starzy.
Czasem z gościem przy szklenicy,
Czy w karty, jeśli ochota,
Czy siadłszy u warcabnicy,
Proboszczowi wytnę *kota*.
Albo jak zimową porą
Na kominie głownie gorą,
Trochę i podumać miło,
Jak to tam gdzie w życiu było...
Żądza szczęścia coraz cichnie,
Tyle, tyle już w pamięci,
Czasem człowiek się uśmiéchnie,
Czasem się i łza zakręci...
Ha! cóż robić! szkoda jęku;
Bóg sam to wie, w Boskiém ręku!
Ot widzisz Waćpan Dobrodziéj,
I wieczór jakoś przechodzi.
Taki nasz dzień. A dzień do dnia,
Tygodnie, miesiące, lata!
Byle odbyć czas przechodnia,
Skończyć głupią służbę świata.
Już dziedzice podrastają,
Co twych prac używać mają;
Ociężeją głowa, nogi:
Daléj, stary! umknij z drogi.
Więc gdym kresu już dogonił,
W cichéj, miłéj méj ustroni,
To dzwon, co na chrzest mój dzwonił,
I na pogrzeb mój zadzwoni.
Dobrzy zjadą się sąsiedzi,
W wiosce już pan nowy siedzi.

Ten i ów jeszcze się spyta,
Z czego umarł?.. jak?.. i kwita.
Tu dobrze, tam źle cię wspomną,
Ktoś się i ucieszy skrycie;
Pogadają i zapomną...
I ot jakoś przeszło życie.

Maurycy Gosławski urodził się z ubogich rodziców na Podolu w r. 1805. Nauki szkolne odbywał w Winnicy, wyższe w Krzemieńcu. Przez pewien czas był domowym nauczycielem, lecz uniesiony miłością do córki domu, w którym przebywał, wstąpił do wojska, aby przez zasługę nabyć prawa do ręki osoby, którą ukochał. W wojsku odznaczył się zdolnościami i jako oficer sztabowy odbył kampaniję turecką w armii Dybicza. Po odbytéj wojnie przeniósł się do Warszawy, i tutaj pod wpływem rozbudzonego ruchu literackiego napisał poemat opisowy *Podole* w czterech częściach. W 1830 odbył oblężenie Zamościa, a po kapitulacyi twierdzy dostawszy się do niewoli, z Żytomierza uszedł do Galicyi i wkrótce potém wyjechał do Francyi. Wziąwszy udział w wyprawie Zaliwskiego 1833, ukrywał się czas niejaki w Galicyi po jéj rozproszeniu, pojmany wreszcie, odsiadywał więzienie w Stanisławowie, gdzie umarł na gorączkę nerwową r. 1839. W Galicyi napisał poemat fantastyczny p. n. *Tęsknota*, w Paryżu zaś wydał r. 1833 *Poezye Ułana polskiego*, w których najwięcéj siły i prawdziwego uczucia.

Gosławski ulegał rozmaitym wpływom, już to Zaleskiego, już Malczewskiego i Mickiewicza, lecz nie przywiązał się do żadnego. Chciał on być założycielem osobnéj szkoły, podolskiéj, lecz to mu się nie udało. Wszelako utwory jego nacechowane są potężnym poetyckim talentem. Niektóre z nich, np. pieśń «Gdyby orłem być!» długo krążyły pomiędzy śpiewakami.

Poezye Gosławskiego, zebrane z wielkim trudem przez Leona Zienkiewicza, wyszły w Paryżu r. 1859 wraz z życiorysem autora. Pomiędzy niemi *Renegat* odznacza się egzaltacyą wygórowaną. Zresztą przyznać mu trzeba, podług jednogłośnego uznania, zapał serdeczny, myśli świeże, wdzięk poetycznego słowa i wiersz mistrzowski.

Tymon Zaborowski urodził się we wsi dziedzicznéj Liszkowcach, w obwodzie Czartkowskim w Galicyi r. 1799. Nauki odbywał w Krzemieńcu razem z Karolem Sienkiewiczem,

Józefem Korzeniowskim i Ordyńcem, późniejszym redaktorem «Dziennika Warszawskiego». W r. 1817 przybywszy do Warszawy, dwa lata pracował w biurze Rady Stanu i należał do wydawania z Franciszkiem Skomorowskim przygotowywanych przez Krzemieńczanów «Ćwiczeń naukowych» i «Pamiętnika naukowego» (1818 i 1819). Resztę życia przepędził w domu rodzicielskim. Śmierć dobrowolną znalazł w rzece Zbruczy u podnóża gór Miodoborskich r. 1828.

Zaborowski stoi na zrębie poezyi klassycznéj i romantycznéj. Wielce był niegdyś ceniony przez młode pokolenie i rzewny żal wzbudził zbyt wczesnym zgonem. Stanisław Doliwa Starzyński, przyjaciel poety, czcząc wierszem pamięć jego, między innemi mówi:

«Dziś głos jego już niemy— ramię odrętwiałe,
Oko martwe na piękność, a serce na chwałę,
Nie żyje!— właśnie anioł z promienistém czołem,
Chwilowy gość na ziemi, odleciał aniołem;
Właśnie gwiazda śmiertelnych ukazana oku,
Nagłym błysła przelotem w krainie pomroku;
Właśnie dźwięk melodyjny złotéj niebian lutni,
Zachwycił nas i zniknął...»

Napisał poemat bohaterski w 20 pieśniach p. n. *Bolesław Chrobry* czyli *Zdobycie Kijowa*, którego wyjątki drukowane są w «Ćwiczeniach Naukowych», a następnie w «Polihymnii», jeden znaczny ustęp wyszedł osobno. Po śmierci autora Karol Sienkiewicz wydał w Puławach najpiękniejszy z jego utworów p. n. *Dumy Podolskie*, opiewające rozpacz Podola pod jarzmem tureckiém za Sobieskiego. W rękopismach pozostały tragedye: «Bohdan Chmielnicki», «Tajemnica czyli Borys i Milwiana», poema dramatyczne «Umwid» i wiele utworów ulotnych, zalecających się głęboką rzewnością i piękną formą *).

Przytaczamy tu dwa wyjątki z «Dum Podolskich».

I.

...«Wieczór na ziemię pomrok wonny roni,
Strumyk swawolną połyskuje falą,
I głośny, szemrze na spokojność błoni;
Wdzięcznym pogodę gwarem ptaki chwalą;

*) Dokładniejszą o nich wiadomość znajdzie czytelnik w czasopiśmie «Wieniec» w artykule L. Sowińskiego p. t. «Tymon Zaborowski».

Tylko rolnika w górach śpiew żałosny
Wymawia niebu dar bezczynnéj wiosny.
My sławy ojców nieśmiertelnéj wieszcze,
Zgadzajmy pieśni z głosem przyrodzenia,
Dopokąd w naszych piersiach, żywych jeszcze,
Rodzinnéj mowy nie ustały brzmienia,
Łagodném tchnieniem, we łzach czystéj rosy,
Płyńcie do grobu ojców nasze głosy.»

II.

...«Słońce! ty ziemi donosisz z wysoka
Połysk bystrego Opatrzności oka!
Powszechna cisza poważnego lata,
Które podobnie nam, w milczeniu pała,
Jak wielkiéj duszy spokojność wspaniała,
Jak ta mądrości boskiéj myśl głęboka,
Która piastuje cały ogrom świata!

Ty! który mogłeś od naszéj posady
Odwrócić burze i szkodliwe grady,
Oręż bezbożnych twoją wstrzymaj mocą!
Czyż dla nich mnożą się te roje czynne?
Czyż im te pola kwitną miodopłynne?
Imże te bujne kwitną winogrady?
Imże się zbożem plenne kłosy złocą?

Odwieczny Boże! ty, którego cienie
I moje wdzięczne uwielbiało pienie:
Czyliż podobnie my do twoich liści,
Mamy igrzyskiem być wojennéj spieki?
Czyliż te zgasłe ojców naszych wieki,
Naszych serc darmo obudziły drżenie?
A sen ich piękny dla nas się nie ziści?

Konstanty Gaszyński urodził się we wsi Jeziorach w Czerskiém na Starém Mazowszu r. 1809, rowiennik i współuczeń Krasińskiego, z którym razem chodził na kursa uniwersyteckie w Warszawie, i za którym ujął się przeciw niesprawiedliwéj popędliwości kolegów. Już będąc studentem, wydawał wraz z Leonem Zienkowiczem «Pamiętnik dla płci pięknéj» (1828—1830), którego połowę niemal zapełnił własnemi pracami prozą i wierszem. W 1830 ogłosił powieść historyczną we 3 tomach p. n. *Dwaj Śreniawici*, słabe naśladowanie Walter-Scotta. Po r. 1831 osiadł stale we Francyi południowéj w Aix

koło Marsylii, gdzie długie lata spędził, opuszczając to miasto na krótko, dla spotkania się z Z. Krasińskim, z którym go ścisła łączyła przyjaźń, albo zwiedzenia Włoch, zkąd pisywane listy w r. 1852 do jednego z przyjaciół w Krakowie, utworzyły później osobny tomik, wydany w Lipsku r. 1853. Władając mową francuzką tak dobrze jak ojczystą, prędko po zamieszkaniu w Aix zaczął prace swe umieszczać w wychodzących tam dziennikach: «Gazette du Midi» i «Mémorial d'Aix», a po kilku latach został nawet głównym ostatniego z nich redaktorem. Otoczony wysokim szacunkiem znajdujących się w Aix ziomków i mieszkańców tamecznych, umarł tamże r. 1866.

Zrazu zwolennik dawnéj szkoły klassycznéj, następnie zwrócił pióro swoje do naśladowania pieśni ludowych, lub własnemu powierzał się natchnieniu. Pisał wiele prozą i wierszem. Od r. 1832 wydał: *Pieśni Pielgrzyma*, *Poezye*, dedykowane Krasińskiemu, *Dzień 8 Września*, obraz fantastyczny wierszem, *Wyścigi konne*, komedyę, satyrę *Gra i Karciarze*, uwieńczoną przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk poznańskie, *Sielankę Młodości*, *Pro publico bono*, nowe poezye. Wszystkie pieśni, sielanki i elegije Gaszyńskiego celują wielkiém uczuciem, szczerotą i ślicznym językiem. Z drobniejszych pieśni najwięcéj się podobały w swoim czasie «Śmierć żołnierza», «Czarna sukienka», «*Usque ad finem*» i kilka innych. Wojciech Sowiński i Chopin dorabiali do nich muzykę. Z większych utworów najwięcéj ma zalet «Sielanka Młodości», powieść o pierwszéj miłości młodzieńca, która poszła w poniewierkę i złamała mu życie. Dla przykładu przytaczamy tu jeden z mniejszych utworów p. n.

Pieśń żniwiarska.

Jak las wysokie żyto się udało;
Oj będzie za to pieniędzy nie mało!
A pszenica na zagonie
Złocistemi kłosy płonie.
Jęczmień i owies błyska barwą świetną:
Wszystko to, wszystko sierpy nasze zetną;
A pracowne nasze woły
Wszystko zwiozą do stodoły;
Potém wymłócim, a czeladka pańska
W galerach z szyprem powiezie do Gdańska.
Pięknie zboże się udało,
Będzie pieniędzy nie mało.

Więc chłopcy, dziewki, żywo z sierpem, żywo!
Skończmy co prędzéj rozpoczęte żniwo;
Gdy skończymy raźni, żwawi,
Pan dożynki nam wyprawi.
Dziewoja, która przodowała w żniwa,
Wesołą piosnkę przed dworem zaśpiéwa,
I wianek z kłosów pleciony,
Wstążeczkami ukraszony,
Strojny kaliną i polnemi głogi,
Złoży z podarkiem przed pańskiemi progi.
Pan wystawi wódkę, piwo,
Grajek zagra piosnkę żywą.
Będziemy hulać do samego rana,
Wielbiąc szczodrotę łaskawego pana,
Panien, paniczów i pani,
Jako wierni ich poddani.

Z tego przykładu widzimy, że Gaszyński ma wielkie powinowactwo z Brodzińskim. Z utworów poetyckich Gaszyńskiego zasługują także na chlubną wzmiankę prześliczne przekłady z Beranżera i Hejnego.

Prozą ogłosił: «*Notatki oficera*», *Reszty pamiętników Macieja Rogowskiego, rotmistrza konfederacyi barskiéj*», «*Pan Dezydery Boczko i sługa jego Pąfnucy*», «*Kontuszowe pogadanki*», «*Listy z podróży po Włoszech*» i «*Podróż po Korsyce*». O «Dezyderym Boczko» Krasiński powiedział: «jest to dopiero pierwszy zarys, rzucony węglem. Nałóż go kolorami, wykończ, wycieniuj, a stworzysz Don-Kiszota polskiego». W «Kontuszowych pogadankach» autor wybornie oddał znikłe już postacie typów, które w młodych latach znał osobiście. Żałować należy, iż inne zajęcia nie dozwoliły mu nic więcéj na tém polu dokonać, bo słusznie pisał do niego Krasiński, że do tego właśnie rodzaju ma najwięcéj talentu.

Napisał też Gaszyński wiele dzieł po francuzku, pomiędzy któremi zasługuje na uwagę kilkadziesiąt sonetów ogłoszonych w «*Mémorial d'Aix*» oraz pismo p. t. «*Les cabinets de tableaux artistiques de la ville d'Aix*». W rękopiśmie zostawił obszerny pamiętnik p. t. «Zygmunt Krasiński i moje z nim stosunki»; ale ten według ostatniéj woli zmarłego, zaledwie po upływie pewnego czasu drukowanym być może.

Drobniejsze poetyckie utwory Gaszyńskiego wydał B. M. Wolf w «Skarbczyku poezyi polskiéj.»

Franciszek Morawski urodził się w Bożęcinie w Poznańskiém r. 1785; uczył się w Lesznie; potém słuchał prawa we Frankfurcie nad Odrą i pracował tam przy sądzie, następnie w Kaliszu za czasów panowania pruskiego. Przez pewien czas oddawał się gospodarstwu, ale wkroczenie Napoleona do Poznania oderwało go od tego spokojnego zajęcia, i odtąd długie lata przepędzał w obozie, brał udział w wielkich wyprawach Napoleona i dosłużył się rangi szefa sztabu. Kiedy armija Napoleońska już się rozchodziła, miał w Sédan we Francyi sławną mowę żałobną na śmierć X. Józefa Poniatowskiego (1813). Za czasów Królestwa Kongresowego pozostawał Morawski w b. wojsku polskiém w randze podszefa a w r. 1819 mianowany został generałem brygady. W czasie pobytu swego w Warszawie bywał u generała Wincentego Krasińskiego, u którego zbierało się liczne grono literatów i staczały się żwawe utarczki o klassycyzm i romantyzm. Morawski w téj walce nie brał stanowczego udziału, i nie oświadczając się ani za klassykami ani za romantykami, chciał poróżnionych pojednać. W tym też czasie poczyna się jego zawód poetycki. Przetłómaczył «Andromachę» Rasyna, która była bardzo chwaloną; pisał bajki i ody— i można powiedzieć, że po Niemcewiczu stał się ulubieńcem i wyrocznią Warszawy. Dopomagały mu do tego ujmujące się obejście i dowcip. W roku 1829 napisał dwa wiersze: jeden do klassyków, drugi do romantyków, w obydwu wytykając błędy każdéj szkoły. Łatwo odgadnąć, że usiłowania te pogodzenia dwóch sprzecznych kierunków pozostały bezskuteczne.— W 1831 r., po niedługim pobycie w Wołogdzie, powrócił generał Morawski do Luboni w W. X. Poznańskiém, gdzie oddał się zupełnie gospodarstwu, wolne chwile poświęcając poezyi. Zaczęło wtedy (1834) wychodzić w Lesznie pismo illustrowane, nader pożyteczne p. t. «Przyjaciel Ludu» pod redakcyą prof. Poplińskiego. Jakkolwiek Morawski nie lubił ogłaszać poezyj swoich, wszelako zniewolony przez przyjaciół nie mało przyczynił się do podniesienia tego pisma. Tutaj drukowane były po raz pierwszy najpiękniejsze jego opowiadania wierszem: *Wizyta w sąsiedztwo*, *Giermek* i inne. Zbiór tych poezyj wyszedł we Wrocławiu r. 1841. Już poprzednio wyszły w Lesznie r. 1835 tłómaczenia pięciu poematów Byrona (*Manfred*, *Oblężenie Koryntu*, *Paryzyna*, *Mazepa* i *Więzień Czylonu*), w których chwalą piękność ję-

zyka i wierność przekładu, choć miejscami, jak w Mazepie, pozwalał sobie tłómacz przemieniać pierwotwór *).

W r. 1851 wyszedł w Lesznie Morawskiego «*Dworzec mojego dziadka*», powieść osnuta na tle ostatnich lat przeszłego wieku, w któréj autor z zamiłowaniem opisuje obyczaje ówczesne i miejscowość. Poeta wziął sobie, jak sam powiada, za wzór «Pana Tadeusza» Mickiewicza. Utwór to pod każdym względem znakomity, pełen prawdy, celujący prostotą języka i wiernym rysunkiem postaci historycznych. Dla tego też pozwalamy sobie przytoczyć tu z niego przydłuższy nieco wyjątek **).

Szczęśliwy, kto pamięta, jak w dziecinnych latach
Igrał jeszcze po cichych dziadunia komnatach;
Kto pomni, jak tam skakał, nad książeczką ślęczał,
Gonił się z starym sługą, przy paciorku klęczał;
Jak przysmaczki babuni wyjadał ukradkiem,
Łacińskie lokucye wertował przed dziadkiem;
Dziwił się owoczesnym mężom, ucztom, strojom,
Wąsatych się wojaków przysłuchiwał bojom;
I sam pewien, że z wrogiem stacza bitwę wielką,
Z drewnianego konika wywijał szabelką.
Nieżkroć on dumając nad sobą, nad braćmi,
Gdy mu łza tak bolesna świat i przyszłość zaćmi,
Zwraca się rzewną myślą w ową lat swych zorzę,
Całą duszą, pamięcią w starym błąka dworze;
I tak dziecinne serca powtarzając bicia,
Słońcem ranku rozjaśnia chmurny wieczór życia.

Niepoczesnym był z kształtu dworzec mego dziadka,
W którym niegdyś się zrodził, dożył dni ostatka;
A który, jak to z jego słyszałem rozmowy,
Stawiał jego pradziadek, sędzia kapturowy.
Dworzec ten stał na wzgórku, skromny i drewniany;
Dach wielki, okna wązkie, zaszłe w ziemię ściany;
Dzielił się na dwie części, ciągiem sieni długiéj,
Z jednéj strony mieszkanie, czeladnica z drugiéj.

*) O poetach mało u nas znanych, musimy z konieczności zapożyczać wiadomości u poznańskich lub galicyjskich autorów. Co do Morawskiego, pożyczamy je u Nehringa.

**) Przepisujemy go z H. L. Pol. K. Wł. Wojcickiego, tom IV, str. 598—607. Warszawa. 1861.

Nigdy tam ni przed domem, ni w skromnych komnatach
Rojna służba w barwistych nie snuła się szatach;
Jeden sługa na wszystko, Stach zwinny, przezorny,
Hajduk, strzelec, ogrodnik i kucharz nadworny.

Na przodzie przed wystawką stał kasztan stuletni,
Gdzie się stary jegomość chronił w upał letni,
Gdzie mawiał swój różaniec, dawne czasy marzył,
I dusząc buteleczkę, z swym proboszczem gwarzył.
Z wszystkich on miejsc najbardziéj lubił to ustronie;
Ztamtąd widział swe łany, lasy, łąki, błonie;
Tam go zawsze z południa sen ujmował słodki,
Wieczorem mu dzwoniące przeciągały trzodki;
Tam się z wieńca lip bielił ów kościół daleki,
Gdzie po znojach doczesnych miał spocząć na wieki;
Tam ledwie jadącego gościa dojrzeć zdołał,
Jużci krzyczał na Stacha i o węgra wołał,
Tam wreszcie widział zdala liczne chłopców roje,
Jak na środku wsi barskie udawały boje.
Patrząc on na te żwawe młodych lat wyskoki,
I śmiał się do rozpuku i trzymał za boki,
A dzielnego do siebie przyzwawszy wojaka,
Klepał go po ramieniu i wścibiał groszaka.

Lecz niemniéj i wnątrz domu był dla niego drogi,
Pobożność zacne jego otaczała progi;
Stały na drzwiach skreślone *Trzech Królów* imiona,
Przy wejściu w drobnéj czarce woda poświęcona,
W któréj zawsze dziadunio swój paluszek maczał
I jak dobry katolik krzyżem się oznaczał.
Miała przecież i ziemskość tam ozdoby swoje:
Zwykłe sień staropolskich zaszczyty i stroje,
Ciągnęły się ordynkiem po ścianach wiszące
Cietrzewie, kuropatwy, dubelty, zające
I te lisy licznemi powalone łowy,
Przyszłe kurty, bekiesze i kaptur zimowy.
Najwyżéj jednak wisiał ów wieniec żniwiarzy,
Którym dziarski parobczak znojne strojąc skronie,
Jak gdyby w staréj Piasta pyszni się koronie,
A lud z siebie wybranym dumny przodownikiem,
Szerokim wybór jego rozgłasza okrzykiem.

Z wszystkich ich tam najdłuższa i razem najszersza
Była izba jadalna z rzędu komnat pierwsza,

Sarmackiéj gościnności państwo niezmierzone,
Nieprzełomnym z węgrami sojuszem złączone.
Stał na jego granicy kredens, gmach drewniany,
W czasach pono pradziadka już antykiem zwany.
Lśniły się za szkłem jego dwa srebrne puhary,
Staremi mnogich królów obite talary;
A jak gdy po nad miejskie niezliczone dachy
Wznoszą się wież gotyckich niebotyczne gmachy,
Tak nad drobnych szkieł tłumem w różne rznięte wzory,
Odęte starą pychą sterczały potwory:
Syndyk się tam z *Naparstkiem* o miarę certował,
A *Corda fidelium* nad wszystkie górował.
Pysznił się, że sam Cześnik przed nim z strachu zmykał,
A zwalił Chorążego, choć jak beczka łykał.
Przy ścianie, gdzie stał z wieków ów kredens niezmierny,
Jako ciągły przybocznik, stróż i służba wierny,
Odwieczny wszędzie jeniec jadalnéj komnaty,
Klęczał pod prassą serwet muzułman wąsaty.
Zdał on się na swéj głowie haracz nam przynosić,
I za Chocim i Wiedeń przebaczenia prosić.
Zeszły wiek w nim podziwiał rzadki utwór sztuki,
A dziaduś nim hałaśne zwykle straszył wnuki.

Piec wielki, piec ogromny stał z przeciwnéj strony,
Kaflaném Sobieskiego popiersiem zwieńczony,
Istny olbrzym Babelu, co na podpał mały
Paszczą swoją połykał drzewa sążeń cały,
I w którym, jak to dawne powiadały dzieje,
Potrzykroć się przed laty zakradli złodzieje.
Stykał się z nim rozległéj równie jak on miary,
Komin, krewniak, towarzysz i przyjaciel stary;
Gorząc wzajem tak w dziennéj jak i w nocnéj dobie,
Ciągłym żarem affektu dogrzewali sobie.
Jak ów potwór, co całą zalega jaskinię,
Tak potężny pień dębu jeżył się w kominie;
Stróż nań ciągle szczep smolnych całe kopy walił,
Huczał ogień, i dziaduś przy nim turka palił;
A gdy czasem przez istne dopuszczenie Boże
Ciężka go jaka niemoc rzuciła o łoże,
Stach przy ogniu z różańcem noce przesiadywał,
Modlił się, ziewał, drzémał i drzémając, kiwał.

Całą izbę zajmował stół wielki dębowy,
Pięć się kloców do jego składało budowy.
Ileż on uczt podźwigał, ile straw, gąsiorów,
Ile związał przyjaźni, ile zgodził sporów!..
Trzeźwo się tam i w sposób zmawiano uprzejmy,
O sądy, o wybory, projekta na sejmy;
Północna czasem w sporze wybiła godzina,
A nikt ust swych nie zwilżył nawet kroplą wina;
Lecz gdy wszystko na zgodnym skończyło się spisie,
A gospodarz wniósł owo sławne «Kochajmy się!»
Nikt się tam od kielicha wyśliznąć nie zdołał,
Próżno wzniósł go do góry i o litość wołał;
Niczém ni pan, ni sługa zbłagać się nie dali —
Przez głowę mu, przez ramię strugi węgra lali,
A gdy widząc, że próżno dąsał się i bronił,
I nagle go usunął, i aż pod stół schronił,
Już tam zdradny kozaczek, osadzony z cicha,
Czekał go z nową flachą i dolał kielicha,
Tak iż wzięty w dwa ognie i ten szturm pijaczy,
Wzmógł się, kielich przeżegnał i— wypił z rozpaczy.

Patrzyły na te uczty i huczne wiwaty
Z ram niegdyś wyzłacanych dziarskie antenaty:
Jeden w lśniącym kirysie i z podpartym bokiem,
Wygolony rudowąs groźnym ciskał wzrokiem;
Drugi z brodą kępiastą i czubem na głowie,
Zdał się stare ojczyzny wyobrażać zdrowie,
I być jeszcze z tych dębów, o których rdzeń twardy
Szwedzkiego się Gustawa łamał oręż hardy;
A gdy nagle w Tyszowskim zaszumiały borze,
Cały gad się rozproszył i uciekł za morze.
Wisiały tuż przy przodkach i zacne matrony,
Pozgonną nawet wiarą nieodstępne żony:
Tamta w lśniących bławatach jak Juno dostojna,
Ta zaś czepcem i drogim naszyjnikiem strojna;
Każda tkliwą do męża zwrócona twarzyczką,
Jedna z wonną balsamką, a druga z różyczką.

Ileżkroć mój dziadunio, wzrok wodząc po ścianie,
Patrzył się na te przodki, wzdychał patrząc na nie!
Czasem łza mu wytrysła, i znów w krótkiéj dobie
Śmiał się, pana Rafała przypomniawszy sobie,

Co gdy pierwszy raz swoje przodki porozwieszał,
Wszystkie nazwy, urzędy i herby pomieszał,
I pożenił jakimsiś pogrobowym ślubem,
Piotra z żoną Jakóba, a tamtę z Jakóbem...
Nie mógł on tak grubego darować mu grzechu,
I zawsze mówiąc o tém, spłakał się od śmiechu.

Lecz wszystkie te pomniki i warowne sprzęty
Gasił potwór, przez cały pułap przeciągnięty:
Odwiecznych może borów pierwsza rodzicielka,
Niezmierzonego dębu jednorodna belka,
Potężna córa puszczy, król Piastowych lasów,
Łom arki, co przepłynął cały potop czasów.
Zdało się, że nie ludzkie go tam ręce wzbiły,
Że trza było téj strasznéj, téj wszechmocnéj siły,
Która światy przerzuca i hamuje burze,
Aby wznieść taki ogrom i utwierdzić w górze.
Belka te liczne włości przeżywszy dziedzice,
Miała jednę z kart ważnych w domowéj kronice;
Na jéj boku wyryty rok stawiania dworu...
Z strasznym hukła łoskotem i pękła na dwoje.
Pod nią chłystki szlacheckie na kobiercach bito,
Pod nią duch się pokazał i Szweda zabito.
Nigdy też dobry dziaduś, znany z ostrożności,
Ni sam pod nią siadywał, ni umieszczał gości;
O szeląg on się nawet pod nią nie założył,
Na niczém nie podpisał, listu nie otworzył;
Zważał nawet, że gdy kto klął się na szatana,
Zachłysnął przy kielichu, ograł w *Kasztelana*,
Lub się wyrwał niebacznie i głupstwo powiedział,
Zawsze się pokazało, że pod belką siedział.

W takiéj to izbie dawni grzmieli biesiadnicy,
Jakby w giełdzie sąsiedztwa forum okolicy:
Nieraz się do niéj wtłaczał szlachty powiat cały,
A głośne stypy, gaudy, dnie i noce wrzały.
Gdy wtém nagle, cud rzadki! jakby wymiótł gości,
Dziaduś udał potrzebę spocznienia starości,
I przez wielką estymę dla staruszka chęci,
Nikt do niego od dawnéj nie zajrzał pamięci.
Głuchość więc, jakby w skutku morowéj zagłady,
Jakby wszystkie *ad patres* już poszły sąsiady.

Dziaduś zbierał grosiwo i samotnie siedział,
Coś on niby zamyślał, lecz co, nikt nie wiedział...
Ta oszczędność jednakże— nie skąpca, nie sknery—
Zdawała się Stachowi nie być bez kozery.
Jak ów dąb, co na zimę w głąb swe ściąga soki,
By większém z wiosną życiem wystrzelić w obłoki,
Tak i dziaduś przed czemsiś wielkiém wypoczywa,
Aż wreszcie wyszła prawda, jak na wierzch oliwa.
Z dziewką się Chorążego zacny młodzian żeni;
Prawa krew, dobre *mores* i grosik w kieszeni.
Najlepszą wioskę z działu wziął on bez ochyby,
Bo to mąka i łąka, i ryby i grzyby;
Nie jest i bez sperandy, bo ma księdza w rodzie;
Sam stryj tysiąc czerwieńców zapisał mu w grodzie.
Wreszcie prawnik nie lada i chwat na pałasze,
A więc nie da nikomu sobie dmuchać w kaszę.

Lecz ona, ona zwłaszcza, poczciwa Ewunia,
Drugie serce wyjęte z pod serca dziadunia;—
Nie mógłby czuléj kochać swéj własnéj dzieciny—
Córa bliskiéj krewniaczki, córa Chorążyny,
Bogdanki jego serca w czasach jéj panieństwa,
Któréj musiał się wyrzec, musiał z posłuszeństwa
Świętym prawom kościoła!.. Próżno na gwałt dzwonił,
Do Rzymu nawet stukał,— Rzym ślubu zabronił.
Kamieńby się był wzruszył nad jego rozpaczą:
Matki tylko takiemi łzami dzieci płaczą,
Jak on po swéj bogdance. Dnie i noce szlochał,
Bo raz ją pokochawszy, *in eternum* kochał.
Nie wiedział, co ma począć z téj tak ciężkiéj rany,
Chciał umrzeć kawalerem, chciał pójść na pogany,
Chciał zostać bernardynem. Próżno Chorążyna
Prosi, błaga, przekłada, na niebo zaklina,
Radzi co dzień odmawiać «Pod twoję obronę»,
A zwolna mu Sędziankę podsuwa na żonę:—
Skoczył dziaduś, jak gdyby sparzony ukropem,
I całym skarg, wyrzutów oblał ją potopem.
Lecz czegoż dobry anioł swym słodkim wyrazem
Nie zgoi, nie złagodzi, z nami płacząc razem?..
Ożenił się dziadunio: lecz choć się ożenił,
Ani z myśli jéj wydarł, ani z serca zmienił:
Żył on jak Bóg przykazał z Sędzianką uczciwie,

Nieraz nawet myślała, że ją kochał tkliwie;
Szanował ją jak żonę, krew zacnéj rodziny,
Ale zwłaszcza jak wybór i dar Chorążyny.
Zmarła mu, zmarła wkrótce, i z łzami ją chował,
Nie wiedząc, że mu sroższy piorun los gotował:
Zgasła po niéj i druga!.. Właśnie kończył żniwa,
Gdy go z czarną pieczęcią doszła wieść straszliwa...
Trzykroć omdlał, a choć się na chwilę pokrzepił,
Na trzy dni zaniemówił, nie spał, nie jadł, nie pił,
Błąkał się i rozpaczał i morze łez wylał;
Przecież zwolna, stopniowo, Bogiem się zasilał.
Chcąc pozgonném jéj nawét szczęściem być szczęśliwy,
Krocie mszy pozamawiał i cztéry wotywy;
Całą noc przed pogrzebem przy jéj klęczał marach,
Dzwonić kazał po wszystkich klasztorach i farach;
Śpiewając litanije lub psalm Dawidowy,
Po dwakroć za jéj duszę szedł do Częstochowy;
Modlił się, darzył nędzę, i jak martwym głazem
Leżał krzyżem przed świętym Maryi obrazem;
Zawiesił na nim wotum— serce złotolite,
Z cierniem w koło i siedmiu mieczami przebite;
I tak długo jéj płakał i wzdychał boleśnie,
Aż mu się jednéj nocy objawiła we śnie:
Jasność ją otaczała, a choć twardo śpiący,
Słyszał, jakby na jawie, głos jéj dziękujący.
Odtąd dopiero czoło rozjaśnił ponure,
Wszelki affekt dla matki na jéj przeniósł córę,
I ztąd teraz nie tylko chce jéj błogosławić,
Ale takie jéj nawet wesele wyprawić,
By je *fama* po świecie rozniosła daleka,
I jedynie ptasiego na niém brakło mleka.

Rada więc, walna rada wśród dziadka komnaty:
Woła podstarościego, przyzywa Agaty.
Wchodzi zwinna gosposia, raczéj jak wiatr wleci,
Hoża, tłusta, fertyczna i nakształt waszeci;
Najlepsze ona w świecie wymyśla przekąski,
Nikt, jak ona, nie tuczy ni świnki, ni gąski,
Po całéj okolicy z swych gomółek głośna,
Ależ za to mruk ciągły i zrzęda nieznośna;
Lata, łaje i gdéra po każdéj ustroni,
Jak domowy grzechotnik pękiem kluczów dzwoni;

Miła przecież dziadkowi, bo sprawna i skrzętna,
A nad wszystko o jego czeladce pamiętna:
Leczy mu chorych po wsi, nie cierpi sromoty,
Jak gdyby oka w głowie, strzeże dziewcząt cnoty;
Stacha nawet, gdy do niéj koperczaki zwróci,
Wypchnie za drzwi i jeszcze za drzwiami wymłóci.
Z nią więc pierwsza rozmowa, z nią najwyższa rada,
Co jeszcze ma w spiżarni, co kupić wypada;
Przyrzeka nową szatę, lecz za dar łaskawy
Najbardziéj jéj poleca śmietankę do kawy,
Mnóstwo przysmak, konfektów, placki niezakalne,
A zwłaszcza owe baby, baby kapitalne,
Które pewno ksiądz kustosz aż dotąd pamięta,
Bo odjeść ich się nie mógł w wielkanocne święta.

Miał jeszcze mówić dziaduś i polecić wiele,
Ta już trzepie i trzepie i jak wiatrak miele.
Szczęściem że podstarości przerwał jéj gadanie:
Wchodzi w ręku z batogiem, kurtą na żupanie,
Pas z klamrą, wąs sumiasty, już siwy w połowie,
I czerep na golonéj bielący się głowie.
Sześćdziesiąta już wieku przyciska go zima,
Lecz służył w rajtaryi i prosto się trzyma;
Ztąd to przy gęstéj minie i wojackiéj dumie,
I słuchać i wypełniać i rozkazać umie.
Z każdém słowem się kornie do nóg pańskich chyli,
A choć wciąż się w rachunkach i omłotach myli,
Wiecznie się po sąsiedztwie chwali i wysławia,
I choć pustki w stodole, w polu brogi stawia.
Drwi z książki, drwi z niemczyzny, na nowość się jeży,
A jak w duszne zbawienie, tak w kalendarz wierzy.
Nabożny, zna kantyczki, wie, co wąż i Ewa,
Suszy piątki, na summach z organistą śpiewa;
A gdy ksiądz na spowiedzi burę mu wypali,
Słychać w całym kościele, jak łbem w ziemię wali.
Ma on swoje słabości, znają je we dworze:
Zapachom przepalanki oprzeć się nie może,
Lubi zwłaszcza jarmarczki, lecz któż bez przywary?
A dziaduś na grzech cudzy patrzy się przez szpary.
Teraz nawet, gdy nieźle podciętym się stawia,
Z łagodnością mu swoje rozkazy objawia:
Jak ma wszystko urządzić, jak wino sprowadzić,

Z Stachem ściągnąć w gąsiorki, o stajniach zaradzić,
Rozmieścić wszystkich podług godności, starszeństwa,
Młodzianków po stodołach, po chatach małżeństwa,
Dwóch księży u proboszcza, a co zjedzie potém,
Niech na słomie i sianie wyśpi się pokotem;
Wszystko zwłaszcza od serca dawać bez odwłoki,
Wszystkim jadła po uszy i wszystkim obroki;
Aby gwoli polskiemu działo się przyjęciu,
I dobrze było panu, słudze i bydlęciu...

W rękopismach wiele pozostało wierszy Morawskiego wymierzonych przeciwko romantykom, które miały w swoim czasie wielką wziętość. Pisał Morawski takie bajki, pomiędzy któremi przedewszystkiem zasługuje na uwagę «Wisła». Niektóre pomniejsze utwory Morawskiego wyszły w Petersburgu r. 1855.

Torem Mickiewiczowskiéj gawędy, jaśniejącéj najwyższą doskonałością w «Panu Tadeuszu», poszło wielu innych poetów, z których najwięcéj sławy zjednali sobie Pol i Kondratowicz. Rodzaj ten poezyi zbliżony najwięcéj do życia, co jest jego zaletą, z drugiéj strony ma liczne wady: nieład w rozporządzeniu przedmiotu poetycznego, lóżność toku i w ogóle zaniedbanie tak pod względem wewnętrznem, jak i pod względem formy.

Wincenty Pol urodził się pod Lublinem r. 1807. Ojciec jego pochodził z niemieckiéj rodziny i był austryackim urzędnikiem sądowym; matką była Fraucuzka Eleonora Longchamp († 1857 r.). Kształcił się Pol początkowo w domu, a potém w Lublinie, zkąd po ukończeniu szkół udał się na nauki do uniwersytetu wileńskiego, i tam w zawiązujących się kółkach literackiéj młodzieży, od któréj wyszło pierwsze hasło, pierwsze zadatki literatury nowéj epoki, czynny miał udział. Rok 1830 stanowi epokę w jego życiu. Po wydaleniu się za granicę, przebywał Pol czas jakiś nad Renem, mianowicie w Strasburgu, i wtedy to zasłynął jako autor *Pieśni Janusza*, pełnych życia, siły i niezrównanéj piękności. Słynął wtedy we Francyi znakomity poeta ludowy Béranger, który za rządów burbońskich opisywał czyny Napoleona i wspomnieniami wielkiéj postaci i wielkich bitew rozpłomieniał massy ludowe. Berangera nazywano pospolicie piosenkarzem, bo też nócił same piosenki bez pretensyi, ale patryotyczne. Zdaje się, że Pol chciał urosnąć na polskiego piosenkarza; nie tworzył więc na wielką skalę, ale śpiewał same piosenki obozowe, same wspomnienia

wojenne. Od «Pieśni Janusza» poczyna się poetycki zawód Wincentego Pola (1833). Następowały teraz: *Szejne-Katarynka*, szereg obrazów narodowych w duchu ludowym i *Historya Szewca Kilińskiego* z tymże samym charakterem. Chociaż pojawiły się dopiero później w druku (dopiero r. 1841 najprzód w *Orędowniku* poznańskim), lecz pisane były już pomiędzy rokiem 1833 a 1835.

Po r. 1832 powrócił Pol do miejsc rodzinnych, zwiedzał Karpaty i badał z wielką ciekawością obyczaje górali, cuda i bogactwa otaczającéj ich przyrody. Niezawodnie już z tego czasu są prześliczne *Obrazy z życia i podróży*, chociaż dopiero r. 1846 wyszły z druku bezimiennie. W r. 1843 pojawiła się *Pieśń o ziemi naszéj*, najpopularniejszy z utworów poety. Pamiętny w Galicyi r. 1846 wywarł szkodliwy wpływ nie tylko na zdrowie, lecz i na usposobienie poety, który odtąd zmienił widocznie swój kierunek i przeniósł myśl swoję w inną sferę. Odkąd we wspomnianym roku od obałamuconych tłumów ludu galicyjskiego doznał napaści, odtąd przygasła w sercu jego sympatya dla ludu, a w poezyach występuje dążność, z któréj się wyrodziła gawęda szlachecka. Przez pewien czas Pol zaniechał nawet zupełnie poezyi (1846 — 1854), niekiedy tylko przerywając milczenie swoje jako poeta, ale pomniejszemi jedynie wierszami [1]). W r. 1847 pracował około czasopisma *Biblioteki Ossolińskich*, a w następnym wezwany na professora uniwersytetu krakowskiego, wykładał w nim geografiję. Był to oddawna ulubiony przedmiot Pola. Obszerna jego *Geografija* miała zgorzeć w płomieniach r. 1846, a po tym roku oddał się zupełnie ziemioznawstwu, zwłaszcza własnego kraju, i naukę tę badania i pióro jego posunęły u nas na stopień wyższéj umiejętności [2]). Niezadługo jednak, ze zwinięciem téj katedry, usunął się do Lwowa i tam lat kilka mieszkał Tam też wykładał w r. 1864 prelekcye o piśmiennictwie polskiém, które wyszły potém z druku p. t. *Pamiętnik do literatury polskiéj XIX wieku w dwudziestu prelekcyach mianych w radnéj sali miasta Lwowa* (Lwów, 1866).

Początek drugiéj epoki poetyckiego zawodu Pola zawiązuje się już w r. 1839, kiedy po pierwszy raz wyszły *Przygody*

1) W tym czasie napisał *Siedm psalmów pokutnych*, *Widzenie Janusza* i piękny wiersz *Słowo a Sława*.

2) Z tego okresu uczonego zawodu pochodzą dość liczne dzieła i rozprawy treści geograficznéj np. *Północny wschód Europy* 2 tomy; — *Listy z naukowéj podróży*; *Słownik geograficzny*; *O północnym stoku Karpat* i t. d.

IMci Pana Benedykta Winnickiego. Do tego samego zakresu poematów należą daléj: *Senatorska zgoda* (1854) i *Sejmik w Sądowéj Wiszni* (1855). Do cyklu powieści poetycznych szerszego od poprzednich gawęd zakroju należą: *Wit Stwosz* (pisany na schyłku r. 1853, wyszedł dopiero r. 1858). *Mohort*, rapsod rycerski, najpiękniejszy z utworów Pola tego rodzaju (1855), *Stryjenka*, tradycya szlachecka (1861) i *Pachole Hetmańskie*, poemat historyczny w 5 księgach (1862). Nadto wydał Pol *Drobne poezye*, ostatniemi zaś jego utworami są: *Pieśń o domu naszym* (1866), *Powódź*, dramat (1868) i *Rok myśliwca* (1869).

Smutne kalectwo, ślepota, która nawiedziła poetę pod koniec życia, nie znękała ani osłabiła jego ducha — nie przestał być umysłowo czynnym, ani krajowi użytecznym. W ostatnich latach mieszkał w Krakowie i był członkiem Akademii Umiejętności. Otoczony czcią powszechną, umarł r. 1873.

Przechodzimy do ocenienia znakomitszych utworów Pola.

Pierwszy i zasłużony rozgłos pozyskał poeta swojemi *Pieśniami Janusza*. Jest to — jak słusznie uważa Mecherzyński — poezya rzeczywistego życia, schwytana i przeniesiona w dzieło sztuki. W treści jest prawda — w formie doskonała plastyka. Poezya ta miała swoję epokę, do niéj też wyłącznie należy. Poeta zbierał różne wypadki, rozmaite objawy życia zbiorowego téj chwili, splatał je ze wspomnieniami przeszłości i wypowiadał rodzące się z nich uczucia i myśli. Żadne zdarzenie nie było dla niego małém, żadna scena, choć na pozór drobna, obojętną. Tworzył obrazki, ale tak artystyczne, że w nich znajdują się typy i charaktery, z których dzieł mistrze mogą posągowe tworzyć postaci. Jest w tych drobnych obrazkach całość poglądu, jaki zaledwo mógłby się objawić w epopei — jest dziwna farb rozmaitość — humorystyka prawdziwie narodowa — koloryt narodowy, czysto-polski. Gdyby szczególném zrządzeniem (mówi Ujejski) zniknęły nagle wszystkie księgi tyczące się historyi polskiéj, gdyby zatarły się nagle w pamięci ludzkiéj wszystkie ślady życia narodowego, a ocalała z tego potopu tylko jedna ta złota, niewielka książeczka — natchniony historyk, czerpiąc z tego zródła, odgadłby charakter dziejów Polski. Lirykę nastrojoną do panujących czasowo usposobień ujął poeta w formę popularną. Była to forma najwłaściwsza, wykształcona na pieśniach ludowych. Większa część śpiewek zawartych w «Pieśniach Janusza» stały się bardzo ulubionemi

(np. *Mazur*, *Pieśń ułanów* i inne). I w tym już zbiorze znajdują się gawędy, które, stanowią zawiązek przyszłych poematów Pola w tym rodzaju. Pomiędzy innemi *Gawęda Dorosza* odznacza się nieporównanym humorem, rzewnością i wysłowieniem mistrzowskiém. Stary wachmistrz b. wojska polskiego opowiada w niéj o swych przygodach, gdy raz był wysłany z depeszami do sztabu.

«Kontent ruszam, wiatry wieją,
Czasem spojrzę, są depesze,
A mój deresz sobie czesze,
Aż się wszysby djabli śmieją»...

Wyborna jest charakterystyka zniewieściałości i francuzczyzny panującéj podówczas w wyższych sferach wojskowych. Po trzech godzinach oczekiwania

«Wreszcie dano znak — śniadanie —
W jednéj chwili, szastu, prastu,
I wypada do mnie, panie,
W okularach siedemnastu. —

Wyszedł orszak okazały,
Wszyscy smacznie zajadali,
Po francuzku rozmawiali,
I perfumy zapachniały.
.....

Ej — chybiłem wioskę pono
Dla starego to rzecz nowa —
Tu po polsku ni pół słowa
A o sztabie mi mówiono. —

Wreszciem poznał tych ichmości:
To Francuzi niezawodnie,
Których wódz chce uczcić godnie,
By znał Francuz że tu gości.

Gdy tak myślę z miną tęgą,
Jeden na wiarusa wpada:
«A hultaju, a ciemięgo!
Przydymiona czekolada», —

Bracia, szlachta, niech nam żyją!
Wszak to nasi, nie Francuzi?
Ale warto im dać buzi» — i t. d.

Zręcznie pochwycony jest rys przywiązania starego żołnierza do swego konia, nad którym opowiadający więcéj ubolewa niż nad samym sobą.

Szejne-katarynka stanowi szereg obrazów w duchu ludowym, pełnych ruchu, silnych barw, z wielką energią traktowanych. Zarysy tu ostre, z pozoru niewykończone; wiersz nieco zaniedbany, ale zdaje się naumyślnie, żeby był bliższym ludowego.

Historya szewca Kilińskiego duchem i formą najbliżéj przystępuje do «Pieśni Janusza», choć nie dorównywa im wykończeniem i pięknością języka. Jest to wizerunek przeniesiony z całą wiernością i plastycznością z życia społecznego przeszłego wieku.

Ten sam kierunek ludowy postrzega się równie w *Obrazach z życia i podróży*, o których jeden ze znakomitszych pisarzy powiedział, że pod względem formy nie ma nad nie nic piękniejszego w poezyi polskiéj. Poeta zbliżył się tu najwięcéj do życia i obyczajów górali tatrzańskich, i otaczający ich majestat przyrody cudnym językiem odmalował. Do tego to utworu najwłaściwiéj zastosować się dają uwagi jednego z krytyków naszych, że cisza była najmilszą muzą Pola, ona go prowadziła w cienie odwiecznych lasów, aby mu opowiadały swoje odwieczne dzieje, ona do klasztoru wabiła. Dumającemu w ciszy poecie najlepiéj przypadał ton elegijny, w jakim opiewał wrażenia zebrane na łanach zbożowych, łąkach, górach, nad wielkiemi naszemi rzekami, w głuszy niepołomickiéj puszczy, wśród zabaw i zatrudnień wieśniaczych. Nie są to puste jeremjady, lecz wyraz głębokiego wrażenia, rzeczywisty, niezmyślony; dla tego też działa w tym samym stopniu na czytelnika tak urokiem prawdy, jak urokiem poetycznego czaru, któremu się obronić niepodobna. Pol umie niezliczonemi czarami ozdabiać ziemię rodzinną; duch poety udziela się wszystkiemu — od świętojańskiego robaczka do kilkowiekowego dębu, od remizowego gniazda do zielonego Beskidu; myśl też jego, raz uczepiona do skrzydeł ptaszka (jak się wyraża poeta), raz zamieszana z szumem boru, zlana z echem fujarki, zatknięta jak sztandar na szczycie gór, pozostanie nierozdzielna od miejsc, którym drugi raz życie dała. Nigdzie poeta nie chce zadziwiać bogactwem kolorytu, rzeźby, harmonii muzycznéj słów: bo poeta opowiada co czuł; w miarę też siły lub poetyczności uczucia i najprostszy wiersz bywa u niego grzmiącéj mocy, a najniewyszukańszy obrazek tak artystycznie oddany, że im się

dłużéj weń wpatrujemy, tém tajemnica tworzenia w natchnieniu staje się coraz większą zagadką dla tych, coby przez analizę chcieli dociec wszystkich tajemnic tworzenia. Do najpiękniejszych ustępów dzieła należą: przywitanie poety w górach, powieść o Bolesławie Chrobrym i wierszyk: «Czy ty mię kochasz, moja dziewczyno? [1]).

Jednym z najcenniejszych klejnotów poezyi polskiéj jest *Pieśń o ziemi naszéj*, która sławę poety do najwyższych szczytów podniosła. Zawiera ona w zwięzłych, prawdziwych i nader plastycznych rysach charakterystykę rozmaitych ziem kraju i jego mieszkańców. Jest to, jak mówi Mecherzyński, uścisk bratniéj dłoni, poczucie się plemienne w duchu miłości i zgody. Sztuką prawdziwą nazwać się może dydaktyzm utworu, podniesiony do tak wysokiego nastroju lirycznego, pełen pogody i szczerości uczucia. Słowem, jest to arcydzieło pomysłu, języka i poezyi. Już sama przygrywka chwyta za serce. Przytaczamy tu jéj zakończenie [2]).

....Długom błąkał się bez celu,
I milczałem, troską blady,
Jak grobowy głaz Wawelu,
Bo nie było z wami rady.

W waśni bracia się rozdarła —
I jak wróg mi życie zbrzydło;
Jak w więzieniu pieśń zamarła
I sokole zwisło skrzydło...

Dziś — gdy znowu słyszeć chcecie
Pieśń za młodu wyśpiewaną:
To i u mnie w duszy rano,
Choć listopad śronem miecie.

A czy znasz ty, bracie młody,
Tę pokrewne twoje rody?
Tych Górali i Litwinów,
I Żmudź świętą i Rusinów?

---

1) W wydaniu *Pieśni Janusza* z r. 1863 mieszczą się takie *Obrazy* jako część trzecia.

2) Z wydania warszawskiego r. 1859 p. n. *Pieśń o Ziemi*, w którém autor wiele zmian porobił.

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i Dunaju?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojéj ziemi bujne płody?
Pola bitew — ojców groby —
I pomniki staréj doby?

A czy wiesz ty, co tam stoi
Po téj ziemi popisano?
Co miłości twe ukoi?
Co puścizną tobie dano?

Trzeba będzie się nałamać
Z sobą, z ludźmi, z życiem, z losem, —
I nie wolno Bogu kłamać
I pod lada upaść ciosem.

....Poznaj, pókiś jeszcze młody,
Co kochane było wprzódy,
Nim twe serce krwią dziedziczną
Kochać mogło ziemię śliczną.

Poznaj ziemskie i podniebne,
Bo te skarby ci potrzebne;
Poznaj wiernych serc puściznę,
Dobréj sławy ojcowiznę.

Bo to ona cię najczuléj
I ukocha i upieści,
I uświęci i umieści,
I do serca przymatuli.

Otoż wyleć z twego gniazda,
Miłać będzie taka jazda,
Spójrzeć z góry na twe ziemie
I rodzinne twoje plemie...

A oto opis Litwy i Żmudzi. Przytaczamy go tu w całości, aby dać poznać całą prawdę i plastykę mistrzowskich obrazów Pola.

Tam na północ! hen daleko!
Szumią puszcze po nad rzeką;

Tam świat inny, lud odmienny,
Kraj zapadły, równy, senny,
Często mszysty i piaszczysty;
Puszcze czarne, zboże marne,
Niebo bledsze, trawy rzedsze,
Rojsty grząskie, groble wązkie,
Ryby, grzyby i wędliny;
Lny dorodne, huk zwierzyny
I kęs chleba w czoła pocie. —
A na pański stół łakocie:
Lipce stare, łosie chrapy
I niedźwiedzie łapy.
Puszcz i żubrów to kraina,
A dziedzictwo Giedymina!

Ćmią się puszcze, mgła się zbiera,
Po pasiekach kraj przeziera,
Wół za rogi orze zgliszcze,
W ostrym zwierze socha świszcze,
A za drogą, gdzieś w postronne
Ciągną wózki jednokonne.
Koń obłączny w wózkach małych,
Lud w chodakach z łyka szytych,
W chatach dymem ogorzałych,
Dranicami płasko krytych.

Gdy na lud ten człek spoziera,
To aż serce żal opłynie,
I zapytać chęć go zbiera:
Co ci to Litwinie?
Ale Litwin nie wygada!
Bo w téj duszy hart nielada!
Lud to cichy, rzewny, skryty,
Jak to mówią: kuty, bity,
Kiedy szczery, jak wosk topnie;
Ale gdy go kto zahaczy,
To i w grobie nie przebaczy,
I na końcu swego dopnie!

Choć kraj jego nie bogaty:
Radzi sobie, bo oszczędny;
Nie marnuje grosz na szaty,
Bo rozsądny i oględny.

Nie zwykł on się kochać w krasie
Ale myśli o zapasie, —
I dobytek w dom gromadzi,
I o «*jutrze*» wiecznie radzi.

To też znajdziesz w każdéj porze
W bród wszystkiego, jak w komorze:
Czy w krajance, czy w gomółce,
Jest w serniku ser na półce;
Wiszą kumpie i wędliny,
I półgęski i świniny;
Obok w długich żerdziach ryby,
Z siatki pachną leśne grzyby,
A kwas czysty miasto wody
W lochu stoją białe miody,
Wódki stare i nalewki,
I rok cały lód przeleży:
A już w świrnie wiszą wianki
I rozliczne przyodziewki;
Płótna cienkie, jasne tkanki
I przybory do odzieży.
W kuble stoi ów miód święty,
A do koła włok rozpięty...

Nucąc pieśni o Birucie,
O Perkunie i Kiejstucie,
Przy łuczywie u komina
Przędzie miękki len drużyna;
A w pobliżu dziatwy zdrowéj
Toczy kołem wąż domowy.
Krośna stoją w małém oknie,
I czółenko pływa w włóknie;
Pieśni płyną jak uroda,
A wiek schodzi niby woda...
Niby w ciężkiém zadumaniu
O przeszłości, czy kochaniu,
Stoją niemo czarne puszcze;
I rozlały się jeziora...
A po toniach ryba pluszcze,
A na niebie stoi gora: —
Puszcze płoną gdzieś zdaleka...
I w zaścianku pies gdzieś szczeka,

A za głosem z tokowiska,
Czesze gęstwią leśnik śmiały,
Przez jelniki i zawały
Do rodziny i ogniska.

Stanął — słucha — tam dzik ryje,
Uroczyskiem łoś pomyka;
Padło wietrząc, wilk gdzieś wyje,
A puszczami żubr poryka...

«Da! niech ryje, niechaj wyje,
Niech pomyka, niech poryka!
Na strzał padnie mi przed psami,
Com dziś jeszcze nie zastrzelił;
Byle tylko się barciami
Niedźwiedź ze mną nie podzielił...»

Jak lud żyje po bożemu,
Tak i szlachta z sobą wzajem
Dawnym żyje obyczajem
Na zaściankach, po staremu.
Czas jéj duszy nie wykrzywił,
Nikt cię państwem nie oparzy,
A gdy w Litwię pan się zdarzy,
To pan sobie jak Radziwiłł!

Bracia szlachta powietnicy,
Leśnych włości współdziedzicy
W niebielonych siedzą dworach:
Tam — to koléj do sąsiada,
I z wielebnym ojcem rada:
O sejmikach, o wyborach,
Jaka komu padnie gałka,
Kogo wybrać na marszałka?

Wówczas zcicha to wybije,
Co się w głębi serca kryje;
A gdy w puszczy pociemnieje
I miód stary pierś rozgrzeje:
To przybędzie i czułości;
Wówczas żywiéj i myśl płonie,
A więc radzą o Koronie,
O statucie i przyszłości;

Lub pocieszne drwią z Pińczuka
I z Żmudzina, jak z nieuka.

Lud tam jeszcze nie zmięszany,
Wszystko jeszcze jest gniazdowe,
Jak te drogi powiatowe,
Każdy swój i każdy znany.

Więc też każdy wie co niesie.
A choć drugim nie pomiecie,
Hardy strzelec w swoim lesie,
A brat szlachcic w swym powiecie.
I choć poznać nie da skoro,
Że o sobie wiele sądzi,
Choć w cichości i z pokorą,
Ufa twardo, że nie zbłądzi:
Bo dokoła się ogląda
I wie dobrze, czego żąda;
A ztąd bywa hart w narodzie: —
«Litwin mądry nie po szkodzie» —
I w tém głównie, głównie pono,
Góra Litwy nad Koroną...
Lud nie darmo to myśliwy
I skąpany w jezior łonie!
Bo głęboki jak wód tonie,
A jak łono puszcz, stróżliwy!
W puszczy go też widzieć warto,
Z strzelbą w ręku, lub na łodzi —
Jak mu lekko i otwarto,
Jak strzał trafia, wiosło chodzi,
Jak zna dobrze wagę zwierza,
Wszystkie knieje i ostępy;
Kędy jaka rzeka zmierza,
Gdzie mielizny, rapy, kępy!
To też wodą, czy na ledzie,
Całą Litwą cię przewiedzie.

Póki taje, jechać zdrádno, —
Lecz gdy w puszczach przyschną brody,
Gdy rzekami kry opadną,
I powtórne ruskie wody:
Lądem, wodą, jadą, płyną,
Telegami i wiciną,

Do Mitawy, do Libawy
A Wiliją, Niemnem, Dźwiną.
I do Tylży i do Rygi
Z kupią swoją na wyścigi.

Ztamtąd Niemce i najemce
Za dalekie pławią morza:
Maszty, klepki, runo owiec,
I niejednę beczkę zboża,
I niejeden lnu berkowiec;
Litewskiemi sycąc płody
Zamorskiego ludu głody...
Jak za morzem Litwa spławna,
Z puszcz odwiecznych w świecie sławna;
Tak o miedzę ziemia chlebna
Głodnym ludom jest potrzebna.
Żmudź to święta! Ziemia boża!
Na pół leśne jéj obszary,
A na poły strojne w zboża;
Wolny oddech ma do morza,
I wszystkiego ma do pary;
Bo lud wierny w ziemi żyznéj,
I nie skąpo téj ojczyzny. —

Od tych prądów świętéj rzeki
Aż po morze brzeg daleki
I Łotyszów płonne ziemie,
Siadło twarde żmudzkie plemie.

Tam nie błyszczą pyszne gmachy,
Ale za to duże chaty
I wysokie, dobre dachy,
Lud dorodny i bogaty.
Po nad drogą krzyżów pełno
I kapliczek tuż przy domu:
Lud odziany szarą wełną,
Pełen serca, pełen sromu
I zażywny i niemarny,
Pracowity, gospodarny,
I poważny i nabożny;
Jednéj krwi z tym swoim panem,
Jednéj wiary z tym kapłanem.

Pan nie bywa tam wielmożny,
Nie rozrzutny, ani butny;
A ksiądz biskup Boga sławi,
Do dobrego wiedzie ludzi,
I jak ojciec błogosławi
Na odpuście *«świętéj Żmudzi!»*

Lud tam żyje po zakonie,
A więc zda się zimny z razu;
Lecz gdy serce zawre w łonie,
Nie usłyszysz z ust wyrazu,
Lecz łza tryśnie na wpół rzewna,
Na wpół krwawa, na wpół gniewna;
Piersi jękną z tajnéj głębi,
Zamiar wpadnie niby w studnię;
Lecz czas krwi téj nie wyziębi,
Dusza jego nie wychłódnie,
I wypłynie na jaw w czynie!

Przytaczamy jeszcze prześliczny opis gościnnego domu polskiego.

Wielkie domy za granicą,
A w nich ciasno, choć nieludno.
U nas mury się nie świécą,
A o kącik nie tak trudno.
Ledwo człek by czasem wierzył:
Dom nie wielki — w tém gość wchodzi —
Ot i domek się rozszerzył
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.
Przybył drugi i dziesiąty.
I nie ciasno jest nikomu:
Wyprzątnięto wszystke kąty,
Coraz szerzéj w małym domu.
Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
A on tylko w domu tobie
Drzwi i serce swe otworzył,
I ta strzecha choć uboga,
Chociaż nizka, przecież blizka
Dla obcego i dla swego,
I od Boga aż do wroga,
Jest tu miejsce dla każdego.

A dopieroż to przyjęcie
Jakie bywa w polskim domu!
Jak tam każdy poczczon święcie!
Jak nie braknie nic nikomu!
W dzień wesoło, w noc rzęsisto,
Biało, gładko, potoczysto;
Czeladź syta i okryta,
Wszystko w czasie urządzone,
Przymaszczone, osłodzone;
Indyk kruchy, kapłon tłusty.
A do tego dzban niepusty.
Jest czém serce rozweselić,
Jest się wszystkim czém obdzielić.
Choć przyjęcie najłaskawsze
Jest mis parę, parę dzbanów,
Zostawionych jeszcze zawsze
Dla *«Zagórskich panów»*.

Lecz gdy rzucisz stoły hojne
I pominiesz dworską bramę,
Ściany, jakby nie te same,
Znowu ciche i spokojne...
Przed świętemi lampa płonie,
Na kominku ogień strzela,
A tém światłem czasem płonie
Po nad łożem karabela...

Gdy zawcześnie do spoczynku,
A Bóg nie dał w dom sąsiada,
Osiwiała para siada
Do marjasza przy kominku —
I jegomość kartę łaje,
A z czterdziestu jejmość zdaje...

Wszystko cicho nic nie szaśnie,
Czasem tylko warta wrzaśnie,
Albo kotki załopocą,
Lub panienki zachichocą.

Bo i cóż to tam za żywość
Młodych Polek i uroda!
Tam wstyd szczery, tam poczciwość.
Tam po Bogu dusza młoda!

Boć to w cnocie i w szczerocie,
W wiejskim domku uchowane,
Wypieszczone, umuskane;
Niby dumne i dostojne,
A potulne jak trusiątka!
Niby dworne, a pokorne,
Jakieś takie bogobojne,
Jakby jakieś niebożątka!

Myśl ich cicho w życiu świeci;
Pełne życia, jak nadzieje,
Lubią pieśni, tańce, dzieci,
Wiosnę, kwiaty, stare dzieje...

Gdy wesołe, istne trzpiotki,
I wiewiórki i szczebiotki!
Lecz gdy w smutku myśl zagrzebie,
Wówczas Polka taka rzewna,
Iż uwierzysz, że jéj krewna
Najsmutniejsza z gwiazd na niebie!
Choć człek duszy jéj nie zbadał,
Wkoło serca tak tam prawo,
Tak rozkosznie i tak łzawo,
Jakbyś grzechy wyspowiadał.
A gdy uśmiech łzę pokryje,
I dla ciebie serce bije:
To cię dojmie tak do żywa,
Iż to cudne, cudne dziwa,
Że się serce nie rozpłynie,
Że od szczęścia człek nie zginie!
Zda się, że to żyjesz społem
Z rajskiém dzieckiem, czy z aniołem,
Lecz to szczęście nie tak tanie,
Przeboleje dusza młoda;
Jednak lat i łez nie szkoda;
Boć raz w życiu to kochanie.
A jak ci się która poda,
Z całéj duszy i statecznie,
To już twoją będzie wiecznie.
I w ład pójdzie ci z nią życie,
Bo twéj duszy nie wyziębi:
Ona sercem pojmie skrycie,
Co myśl wieku dźwiga w głębi;

Co się w czasie zrywa, waży,
To w rumieńcu na jéj twarzy,
Jak w zwierciadle się odbije:
Bo w tém łonie przyszłość żyje!

A czy chcecie wiedzieć jaka?

Świetna, świetna, jak myśl ona,
Którą natchnie Bóg i bitwa!
Czysta, święta jak modlitwa
Przed skonaniem odmówiona,
A potężna jak lud kmiecy,
Co ją dźwignie swemi plecy!

Zakończenie powyższego ustępu najlepiéj charakteryzuje poglądy Pola w pierwszéj epoce jego poetyckiego zawodu.

W *Pieśni o domu naszym* Pol naśladował samego siebie. Jest to jakby uzupełnienie pieśni poprzedniéj, lecz nie dorównywa jéj wewnętrzną wartością.

Drugim rodzajem poezyi, uprawianym niepoślednio piórem Pola, są poetyczne opowiadania czyli gawędy, już to krótsze, przeważnie humorystycznéj treści, już dłuższe i poważniejsze. Do pierwszych należą: *Przygody IMPana Benedykta Winnickiego*, *Senatorska zgoda i Sejmik w Sądowéj Wiszni*; do drugich: *Mohort*, *Stryjanka*, *Pacholę Hetmańskie i Wit Stwosz*.

Przygody Winnickiego, spisane z domowych opowiadań i tradycyi, których się poeta nasłuchał w domu Krasickich i z ust samegoż Winnickiego, mają kształt potocznéj gawędy. Do tego samego rodzaju należą i dwa inne utwory: *Senatorska zgoda i Sejmik w Sądowéj Wiszni*. I te obydwie gawędy są tylko wierszowaném powtorzeniem opowiadań Benedykta Winnickiego, z którego synem żył Pol w przyjaźni. Wszystkie te trzy utwory rażą ubóstwem treści. W «Przygodach Winnickiego» podziwiamy przynajmniéj koloryt i układ kompozycyi, duch staropolski, żywe obrazowanie szlachetczyzny, przedziwną wreszcie humorystykę i tę nienaśladowaną prostotę opowiadania, w którym samo zaniedbanie zdaje się być wdziękiem; «Senatorska zgoda» nie ma tych zalet. Jest to anegdota domowa, co do treści uboga, a rozprowadzona szeroko w epizodycznych obrazach, nie zlewających się dość harmonijnie w jednę całość. Autor wprowadza tu Krasickiego, biskupa warmińskiego, jak w «Przygodach» wystawił księcia *Panie*

Kochanku — a obu w świetle niewłaściwém, wcale nie historycznem. Również miernéj wartości jest «Sejmik w Sądowéj Wiszni». Nadto autorowi można zarzucić stronniczą apologiję życia i zepsutych obyczajów szlachty w najsmutniejszéj dobie historyi polskiéj. Bartoszewicz robi w téj mierze następującą uwagę, godną tém bardziéj uwzględnienia, że wypowiada ją historyk, który sam nazbyt łaskawie zapatrywał się na dzieje przeszłości. «Pol (słowa Bartoszewicza) chce w nas wmówić, jak Rzewuski, że w téj przeszłości saskiéj i Stanisławowskiéj były same tylko wzory poświęcenia się, poczciwości i cnoty, i że w nich żadnych błędów i prawie wad nie było, jak nie było nierządu w głowach, sobkostwa, prywaty i pychy. Nie można więc pojąć, jak upadł ten świat szlachecki polski z takiemi serdecznemi cnotami, taki poczciwy, taki zacny! Pol przesadza; wiersz jego podoba się, jest w nim dusza, język, koloryt, ale nie ma prawdy, i do tego malowidło powtórzone tylekroć razy, razi swoją jednostajnością. Pol talentem swoim wywołał cały tłum gawędziarzy, którzy go przedrzeźniają i być może zniesławią w narodzie do szczętu rodzaj mistrza».

Najcelniejszą z powieści poetyckich Pola, a razem jedném z arcydzieł jego jest *Mohort*. Poeta wziął postać tę ze sfery tradycyi. Winien ją Ksaweremu Krasickiemu, oraz kilku innym weteranom, którzy osobiście znali Mohorta. «Tradycye te — mówi autor w «Objaśnieniach» — zebrałem i podaję je w téj formie w jakiéj na mnie przeszły, bo to wydało mi się najwłaściwszą rzeczą; jakkolwiek ten rodzaj odstępuje od wszelkich aż po te czasy sformułowanych rodzajów poezyi. — Mohort jest jedną z takich istot, który przeżywszy kilka pokoleń, był niejako nicią narodowych tradycyi i żywym pomnikiem przeszłości; tak przynajmniéj pojąłem go z podania starszych i w tym duchu usiłowałem skreślić postaci jego. — Zaledwo uwierzyć można było temu, co o nim starsi mówili. Za szwedzkiéj ostatniéj wojny r. 1709 był już Namiestnikiem, a w bitwie na Boryszkowskiéj grobli r. 1792 poległ, licząc wtedy 80 lat służby wojskowéj, bywszy za panowania Stanisława Augusta najstarszym w całym kompucie oficerów i chorągwi stojących na ukraińskich kresach. — Życie w chorągwi miało oddzielną cechę; na tém pograniczu stepowéj Ukrainy wyrabiały się odrębne charaktery, i wiernie starałem się z tradycyi pochwycić te odrębne rysy i tony, które w historycznym żywocie starożytnéj Polski jeden strojny składają akord, dopełniając obyczajowo-publiczne i prywatne życie narodu».

Tak więc postać Mohorta jest historyczna, nie ujmuje to jednak zasługi geniuszowi poety, który umiał ją podnieść do wysokości artystycznego, posągowego typu. Autor zbyt skromnie nazwał swe dzieło rapsodem. Jest to pieśń skończona, podnosząca się do wyżyn bohaterskiego poematu. *Mohort* — to wielkie słowo o wielkim bohatérze. Żelazna ta postać kresowego żołnierza, sypiającego na siodle, z szablą przyrośniętą do téj ręki, którą odgarnął był od siebie godności ofiarowane przez króla, ma w sobie coś lwiego, a zarazem głęboko ludzkiego. Człowiek ten miał wiarę prostaczą, miał rzewne uczucia w piersi.

«Ha! był to rycerz polskiego przymierza,
Bo pamięć dziejów łączył do pacierza».

Artyzm wysoki w kompozycyi, plastyczność i doskonałość formy, ustępy to pełne siły, to najrzewniejszém tchnące uczuciem, obrazy przecudnych barw, nareszcie język dziwnie uroczy i odpowiedni treści, stawiają poemat ten na równi z najznakomitszemi utworami Pola z piérwszéj epoki jego zawodu [1]). Do najpiękniejszych ustępów należą: posłuchanie Mohorta u króla, obiad pożegnalny wydany dlań na zamku, przegląd koni na stepie, historya miłości Mohorta, nareszcie zgon jego i zakończenie. Ostatnie dwa przytaczamy.

Jest w Boryszkowcach staw i grobla długa, [2])
Grobla szeroka i niby bezpieczna;
Poniżéj grobli płynie w bagnach struga,
A na niéj stoi mogiła odwieczna.

Tam do piérwszego przyszło więc spotkania,
Bo nieprzyjaciel szedł krok w krok za nami,
A parł na korpus trzema kolumnami.
Z rzadka już strzały padały od rania,
I pan Kościuszko przednią straż prowadził,
I był się znacznie przodem już odsadził.
Głównym korpusem sam Książę dowodził,
A w tylnéj straży komendę jenerał
Wielhorski miał — i z lekka odpierał
Nieprzyjaciela, który na nią godził.

---

1) Celniejsze ustępy Mohorta pisane były jeszcze za życia Ksawerego Krasickiego i pod świeżém wrażeniem jego opowiadań, w piérwszych latach po r. 1840,— całość zaś dopiero późniéj dorobioną była.

2) Miejscowość i bitwa jest ściśle historycznie opisana.

Marsz trwał dzień cały — pod wieczór się miało
I Boryszkowską groblę wypadało
Przebyć przed nocą — most za sobą spalić
I przez marsz nocny znacznie się oddalić
Od nieprzyjaciół — jakoż po dwa razy
Przysyłał Książę z takiemi rozkazy.

Rzecz była dobrze z góry obmyślana,
Bo staw z błotami i z tą groblą długą
Oddzielał korpus nieprzebytą smugą,
A nim most stanie aż nazajutrz z rana
I nieprzyjaciel przez most się przeprawi,
Nim się po takiéj przeprawie znów zładzi,
To i niemały czas w miejscu zabawi,
A nasz się korpus tymczasem odsadzi:—
Bitwy nie chciano jak nad Bugiem stoczyć.

Gdyśmy na groblę weszli Boryszkowską,
Już się zdawało, że z pomocą Boską
Ujdziem szczęśliwie — poczęło się mroczyć,
Śpieszno nam było, więc trochę w nieładzie
Zbite szeregi jęły w bród się tłoczyć.
Jenerał przeszedł po moście na czele,
A Mohort jechał ostatni na zadzie
I wołał — «Stępo!!!» tak silnie i karno,
Że każdy słyszał, chociaż było gwarno.

Wtém straszny łomot i tysiączne głosy
Wojennéj trwogi wzbiły się w niebiosy.
Co tam?!

Na przedzie most się nagle zwalił,
A nieprzyjaciel tejże saméj chwili,
Gdyśmy się z trwogą na groblę wtłoczyli
Z tyłu w kolumnę ze trzech dział wypalił —
I na trzech linijach czysto jak po miotle,
A koło mostu zawrzało jak w kotle,—
Z ludzi i koni niby kra się sparła.
Gdy się most zwalił, sam upust już wody
Nie mógł dotrzymać — i groblę wydarło,
I woda buchła nagle rzeką całą,
I wszystko w strony od strzałów pierzchało,
I w pław do stawu, i z grobli na błota,
A i ranionych było już bez liku.

Po trupie Mohort przedarł się na siłę,
I do Rotmistrza, który jeszcze w szyku
Swych ludzi trzymał — rzekł: «a to sromota!
Héj! Ostaszewski za mną na mogiłę!»
I jak duch bitwy stanął na mogile,
I powiódł w koło oczyma przez chwilę,
I krzyknął: «Baczność! równaj się szóstkami!»
W połowie grobli ta mogiła stała,
I gdy komenda z jéj wierzchu zagrzmiała,
Każdy rozumiał, że pójdziem na działa
I już przerzadło na grobli przed nami.

«Ja pójdę naprzód i piérwszy się rzucę,
Ty stój w odwodzie! jeżeli nie wrócę,
Zaraz w też pędy idź z drugim oddziałem» —
Rzekł do Rotmistrza, i z kopyta cwałem
Ruszył, krzyknąwszy jeszcze dla zachęty:
«I jedna wiara, mówi Paweł święty!

Z dział uderzono — i w szarym obłoku
I wódz i oddział zginął nagle oku.
Czekamy chwilę — koń Mohorta wraca,
A Ostaszewski: — «Teraz na nas praca!
Marsz!» i już cały drugi zastęp w locie.
Wpadamy — patrzym, a działa w odwrocie,
I kanoniery leżą już pod koniem;
Więc za działami jeszcze chwilkę gonim,
A potém stajem kędy stały działa,
I noc zapadła — i skończona sprawa.
Równo z działami cichła zwolna wrzawa,
A z błot i z wody wiara się ściągała.

Koło północy stanął już most nowy,
I kto na grobli nie położył głowy,
Szedł za drugimi.

Wtém rozruch na przedzie,
I głos podają — «Książę! Książę jedzie!»
Książę z raportu już o wszystkiém wiedział,
Że Mohort zginął, a na placu bitwy
Jest Ostaszewski, i pagórka strzeże,
Gdzie działa stały — rzekł: «Szkoda méj Litwy!
I jakże zginął?»

— «Jak giną rycerze!»
Rzekł Ostaszewski — «jak dąb się powalił,
Ale nas wszystkich swym zgonem ocalił!»
A Książę na to: «Ha, nie czas żałować,
Lecz jak rycerza trzeba go pochować».
I kazał szukać pomiędzy trupami
Pana Mohorta — gdy go znaleziono,
Nieśli go groblą towarzysze sami,
I na mogile ogień nałożono;
Książę na ziemię rzucił płaszcz ze siebie,
I kazał na nim złożyć towarzysza,
I była długa i poważna cisza;
Nikt nie rzekł słowa przy całym pogrzebie:
Aż gdy grób cały w końcu był zasuty,
Rzekł Książę tylko do obecnych tyle:
«Zył z szablą w ręku, niech leży w mogile!»
A towarzysze przyklękli na grobie,
I pieśń żałośną zanucili sobie,
Którą po uczcie zwykle Mohort śpiéwał,
Dziękując z serca gdy podjętym bywał:
«Czas do domu, czas,
Zabawili nas!»

A potém na koń! i samo ognisko
Gorzało tylko, bo już stanowisko
Rzuciła w końcu nawet straż ostatnia,
I ze wszystkiego pozostało tyle:
Rycerz w mogile, w sercu żałość bratnia.
I ten samotny ogień na mogile
I długo jeszcze w żałości tajemnéj,
Kiedy już cały korpus się oddalił,
Patrzyłem w marszu, jak z mogiły ciemnéj
Stos pogrzebowy śród nocy się palił.

Cóż na to mówić?— ledwo do pojęcia,
Jak się to dziwnie nieraz w życiu wiąże:
Jeden był koniec Mohorta i Księcia,
I sen podobny miał przed śmiercią Książę. [1])

1) Mohortowi śnił się Hetmàn przed śmiercią; a «Hetman — śmierć pewna rycerskiemu człeku».

Trzy dni przed Lipską bitwą mu się śniło,
Że sobie łoże pod dębem wyścielił,
I spał spokojnie choć słońce świeciło;
A wtém — z jasnego nieba piorun strzelił
I dąb roztrzaskał — po chwili już dębu
Nie było więcéj, ni słońca, ni błonia.
Ale się ujrzał jeden pośród zrębu
Pustego w koło, bez szabli i konia,
I pot śmiertelny wybił mu na czoło;
A kiedy wołał — «A na miłość Boga!
Konia i szabli!» i rzucał się w koło,
Nadjeżdża Mohort na swoim rumaku,
Spokojny, zbrojny, jak niegdyś od szlaku,
I zesiadł z konia, i dał Księciu strzemie.

Duch wstąpił w Księcia, gdy Mohorta zoczył,
Lekko mu było gdy na siodło wskoczył;
Lecz koń już więcéj nie dotykał ziemi,
Ale się wyniósł lekko w jednym skoku,
I niby orzeł popłynął w obłoku...

Kiedy nazajutrz w oficerów kole,
Książę wesoły przy śniadaniu siedział,
I niby na żart swój sen opowiedział,
To zgasła nagle wesołość przy stole;
Choć jeden tylko był jeszcze w orszaku,
Co znał Mohorta i służbę na szlaku.

Spostrzegł to Książę, i sam zgasł na chwilę,
A potém mówił o Mohorcie tyle,
Że serca wszystkich zajął i rozrzewnił,
I w złém przeczuciu tém więcéj upewnił.

«Był to ostatni rycerz z pod szyszaku»,
Tak kończył Książę — «ostatni od szlaku,
Dusza hartowna, wielka i pobożna;
Po nim — żołnierzem być już tylko można.

«Przed śmiercią Hetman śnił się Mohortowi,
A mnie dziś Mohort po latach tak wielu;
I któż to zgadnie? kto zgadnie i kto wié,
Czy mi nie podasz strzemię przyjacielu?
Héj ptaku, ptaku pancernego znaku!
A czy od szlaku droga, czy z Budziaku?

Ty strzegłeś Polski i hetmańskich szlaków:
Bóg mi powierzył dziś honor Polaków,
Bogu go oddam!»

I westchnął głęboko,
I tak daleko puścił myśl i oko,
Jakby zatęsknił za swym młodym wiekiem,
Jak gdyby śledził coś w stepie dalekim,
Jak gdyby dziejów przeszłych o coś pytał,
Albo na przyszłość w losach Polski czytał,
A potém rzucił i ręką i głową,
I z cicha nucił piosnkę Mohortową:

«Czas do domu, czas,
Zabawili nas!..

Stryjenka, tradycya szlachecka w rodzaju «Senatorskiéj zgody», jest nader nieudatną robotą. Zastanawiać się nad nią nie widzimy potrzeby.

Pod względem wewnętrznéj wartości najwięcéj zbliża się do Mohorta *Pacholę Hetmańskie*, powieść historyczna, zawierająca w sobie opowiadania giermka Jana Tarnowskiego hetmana o jego dworze i znakomitych czynach. Postać samego Hetmana narysowana jest znakomicie. Przedziwnie piękne są tu ustępy np. wyjazd sędziwego wodza z zamku po zgonie króla Zygmunta.

Hetman Królowi przymknął miłościwie
Strudzone oczy na wieczne pokoje,
I bram zamkowych kazał strzedz stróżliwie,
I sam królewskie opatrzył podwoje;
Po czém na zamku przywdział szaty czarne,
A gdy je wdziewał, znał, że wszystko marne,
I czarnéj delii nakrył się kapturem,
I siadł na konia, i okiem ponurém
Spuszczał się z zamku powoli do miasta.
Więc tłum narodu z każdą chwilą wzrasta,
I na Podzamczu zaroił się rynek,
I musiał stanąć i podniósł buławę,
I choć tłok wielki, uciszono wrzawę;
A Hetman z konia:
«Wieczny odpoczynek!»

I upadł naród wszystek na kolana
Koło kościołka świętego Idziego,
I piérwszy pacierz żałobny za pana
Odmówił z cicha klęcząc pod buławą,
Bardzo żałosny po stracie onego...
.....
Tłum wszelkich stanów Hetmana otoczył
W onym pochodzie, i koń w miejscu kroczy,
I pełno zewsząd pytań żałobliwych:
«Jakże król skończył?»
— «Śmiercią sprawiedliwych» —
Hetman każdemu mówi miłościwie.
„A jakże długo w ojczyznie panował?“
—„Przez lat czterdzieści i dwa nam królował“—
Powtarza Hetman co chwila cierpliwie.

Inni wołali: „A wiele żywota?“
—„Siedemdziesiąty i drugi rok skończył.“
I znowu żale: „A miłość! a cnota!...“
„I na Wielkanoc z nami się rozłączył?!...“

Całą godzinę, a może i więcéj,
Z zamku do rynku, gdzie jest dom hetmański,
Jechał pan wolno przez ciżbę tysięcy
I o téj śmierci opowiadał pańskiéj,
I o żywocie nieboszczyka króla,—
I płakał naród na te odpowiedzi,
Ale sam Hetman nic się nie rozczula,
Lecz jak okuty na tym koniu siedzi.

W bramie hetmańskiéj onéj kamienicy
Czekała pani bardzo żałobliwa
I wielu panów ze łzą na źrenicy—
I jest spłakana u rumaka grzywa,
Gdym z siodła skoczył i ujął za strzemię,
I gdy pan w końcu spuścił się na ziemię,
Bo aż na konia kładł się lud płaczący,
Po wielkiéj stracie bardzo bolejący.

Równéj piękności jest obraz powrotu z jassyru dwóch jeńców, z których młodszy, jęty jeszcze w dzieciństwie, nie umiał nawet ojczystego języka. I oto w Kamieńcu, na hasło: „Z jassyru do *myru*.“ *)

*) *Myr* w ukraińskiem narzeczu oznacza gminę rodzinną.

„...We wszystkie dzwony uderzono!...
„Z jassyru
Do myru!
Do myru
Z jassyru!“

Takie po mieście nastało wołanie
I w krótce brama na oścież nam stanie
I wszystek naród z kościołów się wali.
A że to Świątek Zielonych Niedziela,
Więc naród majem drogę nam wyściela
I łaskę Bożą w cudach jego chwali
I do kościoła wybawionych wiedzie...
.....
I ogarnęło miłosierdzie serca,
I ktoś kobierzec posłał przed młodzianem—
I lud się cisnął z dary do kobierca,
Jakby sierotę chciał wianować wianem.
I co na sobie miał każdy z drogości,
Łańcuch czy sygnet, spinkę czy pieniądze,
Na tym kobiercu pokładał w miłości,
By żal ukoić i jassyru nędze.
I białogłowy zebrały w przepaski
Dary z kobierca i klaskały w ręce,
I wiły z maju i rzucały wieńce,
I wiodły jeńca do biskupiéj łaski,
I w całém mieście na nowo wołanie:
„Z jassyru
Do myru!
Do myru
Z jassyru!“
I dwóch biskupów wyszło na spotkanie,
I naprzód wodę podali święconą
Potem chleb z solą, zapraszając w progi!! i t. d.

Piękne są także ustępy o sokole Albadonie i panu jego dawniejszym, o klaczy hetmańskiéj Drużbinie i wiele innych, lubo zbytnia ich mnogość szkodzi jedności przedmiotu, przerywając, a niekiedy odprowadzając zbyt daleko uwagę.

W Wicie Stwoszu poeta przedstawił dzieje sędziwego, ociemniałego rzeźbiarza, który zdala od rodzinnego kraju, w obcém mieście Norymberdze opowiada wnuczce dzieje swego świetnego, w końcu zhańbionego żywota. Chciał tu poeta

przeprowadzić myśl, jak największe nawet talenta upadają i giną skutkiem zarozumiałości i pychy. Nie wszędzie tu jednak dopisywało Polowi natchnienie. W charakterze głównéj postaci jest wiele zagadkowości i niekonsekwencyi, co nie dozwala o nim dokładnego utworzyć sobie wyobrażenia. Obok ustępów nader świetnych wyglądają co chwila blahe i pospolite. Zaniedbanie formy wyraża się nawet w wersyfikacyi dość słabéj. Powiadają, że Pol nie pisał „Stwosza“, tylko go dyktował, co poniekąd tłómaczyć może nierówność natchnienia, właściwą wszelkiéj przydłuższéj improwizacyi, a która przebija w rzeczonym poemacie.

Drobne Poezye są najsłabszym utworem Pola. Szczególniéj *Cierpienia bez ceny i Ze dworu* całkiem niegodne są jego talentu. Ogłosił je poeta dla spekulacyi, gdy każdy wiersz jego opłacony bywał bajeczną ceną. Najcelniejsze z tych poezyj mieszczą się pod napisem *Z klasztoru i z boru.* Chociaż i tu miejscami daje się czuć pewne wyczerpanie, w wielu jednakże miejscach ujmuje szczerość uczucia, oraz rzewna a pełna wdzięku prostota.

Siedm psalmów pokutnych świadczą o chwilowym upadku ducha dotkniętego ciosami życia.

Dramat *Powódź* nie zaleca się ani pomysłem, ani wykonaniem.

Rok myśliwca ma wiele piękności opisowych.

Język Pola, w ogóle piękny, grzeszy nazbyt widocznem ubieganiem się za kunsztownością, która jako rozmyślna i wypracowana, nie zaś naturalna i samorzutna (jak w Słowackim), razi cokolwiek czytelnika. Potrzeba przyzwyczaić się do niéj i niejako przebaczyć ją poecie, a nie zachwycać się nią i podziwiać. Wielką w tym względzie rolę grają u Pola wyrażenia przestarzałe, prowincyonalne, przysłowiowe i t. p. Ma też upodobanie w niektórych pojedyńczych wyrazach, powtarzających się u niego zbyt często i bez potrzeby (np. w wyrazie *miłościwie*). Atoli od przywar tych uwalnia się poeta pod wpływem prawdziwego natchnienia; właściwe są one przeważnie słabszym jego utworom.

Podajemy w końcu ogólną charakterystykę Pola jako poety, skreśloną przez Mecherzyńskiego w następujących słowach: „Jest to poeta w całém znaczeniu narodowy. Pienia jego odbiły się wszędy z wielkiém upodobaniem — naród je za swoje uznał i w nich serdecznie się rozmiłował. Żaden też z poetów nie wniknął tak głęboko do jego duszy, żaden tak znajo-

mym do niego nie przemówił językiem. Ma on to poczucie narodowego ducha, ten właściwy narodowi humor, tę fantazyę i to zacięcie prawdziwie polskie, które sam tylko Polak rozumieć i ocenić może. Charakter jego religijny, męzki, pogodny, malujący się tak wybitnie w jego pismach rozlewa koło siebie urok jakiejś błogości i pokoju. Z poezyj Pola przeziera wszędy rozum zdrowy, zdrowe czucie, myśl świeża, czerstwa i krzepiąca. Umie on wrażać dzisiejszemu pokoleniu, co mu poniekąd stało się obce: wiarę, miłość, nadzieję — są to jakby trzy struny jego liry, odbrzmiewające zarówno w domowéj gawędzie, jak obozowym biwaku, przy ochocie myśliwskiéj i na roli. Przeważną stroną w moralnym charakterze poety jest przywiązanie namiętne do swego kraju i rodu. Śpiewa ziemię rodzinną, jéj przyrodę, jéj wdzięki, i rad rozmawia z przeszłością, któréj duch zdaje mu się zawsze przytomnym. Wszędzie twórczy, świeży, nowy, nie usiłując zadziwiać nadzwyczajną wielkością, jest przecież przy swéj prostocie niezwyczajnym i wielkim. Panującym w jego pieniach ton elegijny przebiega całkowitą niemal skalę uczuć. Jest tu rzewna i jakby ze łzami zmieszana radość; jest żal i boleść, lecz niegnębiąca ani namiętna; uczucie rezygnacyi zgodnéj z charakterem poety, pogodnéj, męzkiéj, religijnéj.“ *)

W tém co mówi się tu o narodowém znaczeniu poezyj Pola jest wiele przesady. Zdawałoby się że autor „Historyi literatury polskiéj dla młodzieży“ zapomniał zupełnie o Mickiewiczu, który nieskończenie przewyższał autora „Mohorta“ tak genijuszem jak i popularnością. Rzeczywiście bezpośrednio po Adamie przez czas niejaki żaden poeta nie był tak wysoko cenionym, jak autor „Pieśni Janusza“, sławę tę jednak sam Pol nadwerężył, odkąd został wyłącznie *poetą szlacheckim*. Nadto łatwość wielka poetycznego tworzenia przechodzi u niego w improwizatorstwo, i ztąd, jako też z wygodnéj formy gawędziarskiéj, jaką poeta sobie wyrobił płyną nader rażące wady jego poezyi: nieład w układzie, monotonija opowiadania, rozwlekłość, ubóstwo treści i zbyt częste powtarzanie się.

Pola, równie jak Mickiewicza, nie można zaliczać do uczonych historyków literatury. O jego więc „Pamiętniku do literatury polskiéj XIX wieku“ powiemy słów kilka tutaj, nie odkładając go do działu dziejowego. Ograniczamy się jednak przy-

*) Hist, Lit. Pol. str. 342—343.

toczeniem słów Henryka Schmitta o tych prelekcyach Pola, tém chętniéj, że rozjaśniają one pogląd Pola na rzeczy społeczne. „Nie są to właściwie wykłady naukowe", mówi Schmitt, ale gawędy o piśmiennictwie polskiém dość ułomne, a nawet po największéj części stronne. Pol bowiem przesiąkły mnogiemi uprzedzeniami do pewnych stronnictw i dążeń, niezdolen jest wzbić się do owego spokoju i wysokości na któréj każdy stanąć musi, kto chce sumiennie oceniać owych mnogich pracowników w różnych zawodach i gałęziach piśmiennictwa ojczystego i wskazać każdego z nich wpływ i zasługi w téj pracy zbiorowéj. Gdy przytém brak mu studyów wszechstronnych, aby mógł o wszystkiém objawić zdanie uzasadnione, staje się stronnym i niedokładnym, a co więcéj zbywa rzecz każdą ogólnikami, któremi rzeczywiście bardzo zręcznie szermierzy. Nie brak mu też teoryek i systematików, z któremi rad występuje, a które nieobeznanych wcale z piśmiennictwem narodowém nie tylko olśnić ale nawet obałamucić i do krzywego sądzenia i zapatrywania się na to piśmiennictwo spowodowywać mogą. Jako o niektórych działach piśmiennictwa, tak mówi Pol i o wielu pisarzach wpływowych, którzy dziełami lub pismami swemi bardzo korzystnie na ogół oddziaływali, nie tylko nader płytko, ale oraz bardzo stronnie, a często ujmuje im zasług. Innych znów wynosi nad wszelkie zasługi i przypisuje im wpływ nierównie większy niż go w istocie wywierali. Rozszerzając się częstokroć nad drobiazgami, o których wiele a wodnisto można gawędzić, przemilcza natomiast wiele dzieł i ludzi, o których należało koniecznie chociażby jak najkróciéj wzmiankować, skoro przedmiotem wykładów czy też gawędek jest piśmiennictwo narodowe XIX wieku. Pomijać ich bowiem milczeniem niewolno, gdyż inaczéj dopuściłby się wykładający grzechu ciężkiego i zasłużyłby na nazwę albo nieuka, albo rozmyślnego szerzyciela fałszywych wyobrażeń o piśmiennictwie narodowem i pracownikach jego. — Zwracamy szczególną uwagę na tendencyjność Pola, mówi daléj Schmitt, która mimo częstego wzmiankowania o postępie, odznacza się wyraźną niechęcią przeciw wszystkim dążnościom prawdziwie postępowym i chciałaby naród zasklepić w nader ciasném kółku pojęć społecznych, a przytém wszczepiać w ogół wyobrażenia przeciwne prawdziwemu postępowi. Z téj przyczyny nie wspomina o wielu pisarzach, których dążenia mu się nie podobają, a wychwala znów takich, których potępić należało. Dowodem najlepszym słuszności tego twier-

dzenia jest jego wykład trzynasty, poświęcony wyłącznie dziejopisarstwu narodowemu. Jakie Pol ma wyobrażenie o dziejopisarstwie i dziejopisach, świadczy w części wstęp i przypisy do Mohorta. Dodać przytém można, że prace i poszukiwania na polu dziejowém nie zjednały sobie względów jego, ponieważ jest przekonany, że tradycya rodowa i narodowa, a oraz i sama ziemia więcéj dostarczy pewników i szczegółów, niż owe pergaminy, z których badacze myśl i znaczenie przeszłości radziby odgadnąć... Badania dziejowe przyrównał do kuchni, gdzie się potrawy przyrządzają, a jak zdaniem jego możnaby nabyć wstrętu do jedzenia, gdyby należało być ciągłym świadkiem kuchennych czynności, a przytém rozmaitych i często zdarzających się tam nieczystości, takiego samego uczucia ma się doznawać, wedle twierdzeń Pola, gdy trzeba miasto wyników badań odczytywać cały operat badania dziejowego, co jest rzeczą najnudniejszą w świecie... Że bez prac badawczych i ogłaszania tychże nie można skreślić dziejów, wiedzą dziś wszyscy. Badania bowiem sumienne tworzą podstawę, na któréj krytyka w ocenianiu wszelkich dzieł w przedmiocie dziejów opierać się może. Spuszczając się zaś na samą tradycyę, brnie się zwykle w bajki, jakiemi nas też istotnie dawniejsi dziejopisowie nasi hojnie darzyli»...

Dzieła poetyczne Wincentego Pola wyszły r. 1858 w Wiedniu we 4 tomach, ale wydanie to nie jest zupełne. Obecnie osierociała rodzina poety przygotowuje nową, całkowitą edycyę pism ojca.

Ludwik Kondratowicz [1]), który zrazu przybrał sobie od herbu swego pseudonym *Syrokomli*, z obawy surowszéj krytyki pierwszych prac swoich, a późniéj utrzymał się przy nim, gdy współczucie czytelników już go sławą w początkach samych okryło, urodził się z niemajętnéj rodziny szlacheckiéj w Mińskiém, w powiecie Słuckim w majątku Jaskowiczach r. 1823 [2]). Ojca miał Aleksandra, człowieka światłego, wychowanego w szkołach pijarskich i więcéj wykształconego, aniżeli zwykle bywa drobna uboga szlachta. Był on komornikiem prywatnym (geometrą), a następnie dzierżawcą przyległego Nieświeżowi folwarku z ordynacyi Radziwiłłowskiéj, Marcha-

1) W ustępie o Syrokomli korzystaliśmy głównie z pięknego studyum I. I. Kraszewskiego p. t. „Władysław Syrokomla“ (Warszawa, 1863.)

2) Skimborowicz pisze w Smolkowie na Polesiu litewskiém; Kraszewski wymienia miejsce urodzenia poety podług wiadomości podanéj przez rodzinę.

czewszczyzny [3]). Młody Ludwik zaledwie pięć klass tylko przeszedł w Nieświeżu i Nowogródku [4]); przykre okoliczności domowe stanęły na przeszkodzie dalszéj nauce. Uniwersytet już podówczas nie istniał w Wilnie, daleko posyłać nie było o

---

3) W *Kęsie Chleba*, téj ślicznéj sielance rozłzawionéj, natchnionéj nieszczęściem domowém, w postaci Łagody Syrokomla odmalował swojego ojca, zacnego starca, szlachcica gospodarza na cudzéj ziemi, jednego z tych poczciwych pracowników, których pasmo trudów i znoju na ciężki chleba kawałek, zostaje tajemnicą ukrytą w zaciszu odległych pól i lasów.

Stary Łagoda, co przez całe życie
Mógł się napatrzeć, nadziwować wiośnie,
Każdą pozdrawia i wita radośnie,
Z każdą się pieści w dziecinnym zachwycie.
Patrząc z uśmiechem ku domowéj strzesie,
Najpierwszy dziatwie przylaszczek przyniesie;
Wszystkim zwiastuje, najwierniéj, najwcześniéj,
Powrót bociana i skowronka pieśni.
I nikt od niego lepiéj nie pamięta
Wszystkie wesela i doroczne święta:
Kiedy się święci chleb, ogień czy woda,
Nikt lepiéj nie znał jak stary Łagoda.
. . . . . .
I radość była: bo ją w sercu nosił —
Złym sercom obca, zepsutym nieznana,
Radość niewinna, spokojna i cicha,
Co się do trawki, do kwiatka uśmiecha,
Co na twarz starą wraca uśmiech młody,
Co rzeźwi duszę widokiem przyrody.
Taki skarb w sercu nie każdemu nosić,
Kto nie pracował usilnie i długo:
Tego modlitwą nie można uprosić,
Lecz tylko nabyć cnotliwą zasługą:
Jak długie lata żywota się liczą,
Przechować serca niewinność dziewiczą.
Bo czyje oko choć raz się zapruszy,
Kto raz sumienie w poniewierkę poda,
Już nie osięgnie tego szczęścia w duszy,
Jakie miał biedny, zgrzybiały Łagoda.

W obrazku starego Łagody stoi dla nas uprzytomniony ojciec Syrokomli, milczący, pracowity, dla ludzi trochę powolny, ufny w Opatrzność, miłujący mocno przeszłość, serdecznie przywiązany do kraju, a myślą nie wybiegający po za tradycye narodowe i tę formę, jaką życie szlacheckie nadało pojęciom drobniejszéj dziatwy wielkiego grona, poczynającego się od infuł i buław, kończącego pługiem i zardzewiałą szablą. (*Wład. Syr.* str. 8—9).

4) W pierwszéj gawędzie o Janie Dęborogu, Syrokomla wspomniał krótko owe szkolne czasy swoje, żywo wyryte w pamięci, i nakreślił obrazek udatny szkoły XX. Dominikanów nieświeżskich, z jéj księdzem Łaciną, księdzem

czém, cudem więc po tak ograniczoném wykształceniu, Syrokomla wyszedł na pisarza.

Od r. 1836 do 1842, czyli od trzynastego do dziewiętnastego roku życia, w nudnym folwarczku Marchaczewszczyźnie, uzupełniał wychowanie swe Syrokomla różnemi środkami, na jakie miernym rodzicielskim zasobom stało, najwięcéj zaś sam nad sobą pracował. Dzieląc czas między przymusowe pilnowanie robotnika, zaprawiał się na Krasickim i Euzebiuszu Słowackim do przyszłego wystąpienia na widownię publiczną. Namiętnie

---

Matematykiem, i księdzem Fizykiem. Później ujął on ten obfity temat na nowo (w *Szkolnych czasach*), i nieporównanie odwzorował nam starą szkołę duchowną, jakich u nas było mnóstwo, jéj ojcowskie wychowanie młodzieży, zabawne typy poczciwych nauczycieli i przewyborne rysy charakterystyczne jéj bytu. Wszyscy professorowie są tu malowani z natury, i jeden tylko ksiądz *Historyk*, z księdzem *Katolikiem* wyidealizowani umyślnie, jak autor mówił, „dla potrzebnego w sztuce kontrastu". Nie potrzeba pełniejszego, wdzięczniejszego obrazu szkolnych lat samego autora, nad ten miluchny prawdą i uczuciem poemat.

Oto z pierwszego planu spogląda surowo
Stary ksiądz *Matematyk* z rozczochraną głową;
Na jego białéj szacie jest plama dwojaka,
Bo bielsza jeszcze kreda i czarna tabaka:
Lecz za to jego serca nie skaziła plamka,
Na dziesiętny, na setny ułamek ułamka.
. . . . . .
Czułą i czystą duszę krył w pozór nieczuły,
W liczbach zakładał mądrość i wagę i miarę,
Ale nie liczył pulsów jak gra serce stare, —
A gdy niósł chętną pomoc dla biednych współbraci,
Co się w liczbach pomylił, to mu Bóg dopłaci.

Po nim idzie ksiądz *Rusak*. —

Był to kleryk młody
Lubił czytywać pieśni, sielanki i ody...

Daléj idzie ksiądz *Fizyk*. —

Czoło nachmurzone,
Czarny, suchy i wiecznie chory na śledzionę;
Mówił przez nos, przeciągle — ale z nim nie żarty:
Z historyi naturalnéj zada cztery karty,
I naucz się ktoś mądry taką długą chryję,
Co tam jada skowronek? co tam jeleń pije?
I to za nic bywało, że ja mu dowiodę:
Skowronek jada muszki, jeleń pije wodę;
Lecz on z książki nie spuści oka ni na chwilę —
Gadaj mu słowo w słowo jak w księdzu Jundziłłe!...

także rozczytywał się w Walter-Skocie [5]). Od r. 1842 parę lat przepędził w Nieświeżu, jako biuralista w zarządzie dóbr Radziwiłłowskich, i tu już zasłynął w gronie kolegów dowcipem i pełnego żartobliwości, lekkiego pióra wierszykami. Pierwszy ocenił go poważniéj Adolf Dobrowolski, pełnomocnik książąt, a niegdyś współpracownik w Puławach Karola Sienkiewicza; uwolniwszy przeto Kondratowicza od mechanicznego kopiowania, dał mu do zrejestrowania akta zamku Kopylskiego, których wartowanie nie mało mu dostarczyło materyałów do pierwszych tomów «Gawędy», jako to: *Podkowa*, *Kradziony wór*, i t. d. Najwięcéj wszakże zwróciło Kondratowicza do głębszéj pracy historycznéj wezwanie Michała Balińskiego, który przygotowując do druku Starożytną Polskę, prosił Dobrowolskiego o udzielenie mu historycznych szczegółów o Nieświeżu. Zlecono to Kondratowiczowi i w tym celu upoważniono go do przetrząśnienia archiwum Radziwiłłowskiego. Raz trafiwszy na pracę, która odpowiadała wewnętrznemu jego usposobieniu, do żmudnéj biurowéj roboty nabrał ostatecznego wstrętu. Zetknięcie się ze szczątkami przeszłości uwydatniło dlań jéj oblicze. Dzięki młodości spędzonéj wśród jéj zabytków, Syrokomla nabył poczucia jéj wielkiego. Nie ma w jego obrazach drobnostkowości, szczegółów wymarzonych, ani dowodów, żeby ją zbytnie miał czas studyować; ale jest to szczęśliwa miara, która dowodzi, że na nieznane porywać się nie chciał. Jego posta-

---

I ksiądz *Francuz* nie lepszy: ospowaty, łysy,
Niesie pod jedną pachą francuzkie wypisy,
Pod drugą sarnią nóżkę, a w niéj z pod kopyta
Czworo konopnych sznurków jak kwiatków wykwita....
Ksiądz *Niemiec*, człowiek drobny, szczupły, czarnowłosy,
Co na nas drobną trzodę uczniów i słuchaczy,
Nim się namyśli gniewać — to naprzód przebaczy;
A kiedy chce którego upomnieć surowie,
Najeży się... namarszczy — potem nic nie powie...

Całe to opowiadanie jest dziś dla nas tém cenniejszą pamiątką, że to obrazek z młodości wieszcza litewskiego.

5) Bliżsi znajomi Kondratowicza opowiadają anegdotkę o pierwszych oznakach literackiego popędu jego i jak posłany przez ojca dla dozierania czeladzi w polu, siadł w kopiec siana i tak się zaczytał w Walter-Skocie, że go rodzic na gorącym uczynku pochwycił. Miało to nawet wywołać ojcowską rękę na sianie wymierzoną ostrą karę, która powołania nie zwichnęła. Tak więc Walter-Scott pierwszy miał w nim smak do ksiąg zaszczepić. To bardzo być mogło, gdyż pierwsze próby Syrokomli były drobnemi powiastkami historycznemi (*X. Aleksander Turski*, *Stanisław Leszczyński* i kilka innych).

cie starych mężów (np. Skargi w *Starych Wrotach*) są pełne instynktowo odgadniętéj prawdy... Sercem umiał dopełniać, czego wiedza mu nie dostarczała.

W tych czasach młodo jeszcze ożenił się Syrokomla z panną Mitraszewską, krewną Adolfa Dobrowolskiego [6]). Młode małżeństwo zamieszkało niedaleko od Mira we wsi Załuczu, przy rodzicach Kondratowicza; i tu on, pozbawiony ksiąg, pomocy naukowych, towarzystwa współpracowników, o drobnych siłach własnych, oddał się literaturze. «Zasklepiony na wsi, narażony na tysiączne gorycze powszedniego żywota, nie znam— pisał — skuteczniejszego lekarstwa na nudy i zmartwienia nad te chwile, kiedy człek, jak mówili starzy, może się zamknąć *cum angelo in libello*, i tam się zaczytać, zamarzyć, umrzeć dla materyalnego świata». W szczupłéj stancyjce, gdzie z jednéj strony dolatywał go krzyk i płacz dzieci przez dzień cały, z drugiéj zrana i wieczorem zgiełk gospodarskiéj czeladzi, nie zważając na troski i kłopoty bezpieniężnego zasobu, Kondratowicz tworzył najwdzięczniejsze swe pieśni. Najszczęśliwsza to może epoka w jego życiu, i nigdy nie można dosyć odżałować, że los nie pozwolił mu dłużéj pozostać w ustroniu wiejskiém. «Tu mógł on długo i głęboko zapuszczać wzrok w najbliższe swoje otoczenie, mógł bacznie śledzić każdy ruch na obliczu natury i człowieka, każdy dźwięk śpiewu ptaszęcia i dziewoi, każde słowo cegiełki walącéj się ze starego zamczyska w Mirze, każdą skargę ubogiego sąsiada, równie jak on pracującego na cudzym żagonie. Kiedy powiada w *Kęsie Chleba*, że łąki nadniemeńskie mógłby rozpoznać po aromacie, a ptaszyny tameczne po śpiewie, nie należy tego wcale do poetyckiéj zaliczać przesady. Z tak ścisłego zespolenia ze skromnym światem otaczającym, powstał niewyczerpany przez ciąg

6) Gdy mu Adolf Dobrowolski ofiarował przy téj sposobności na pamiątkę Historyę literatury Wiszniewskiego, Syrokomla nie posiadał się z radości, ceniąc ten dar wyżéj nad wszelkie posagi. Wspomniał późniéj jeszcze tę radość prawie dziecinną, ze wzruszeniem. Widział naówczas w księdze obfite źródło do własnéj pracy nad literaturą.

Mówią, że rozmiłowany gorąco w innéj kobiecie, po odebranéj od niéj odmowie, Syrokomla chcąc się pomścić, zapomnieć, szukał nowego przywiązania; serce żądne kochania, oddał pierwszéj miléj dzieweczce, którą spotkał, i poprzysiągł jéj być towarzyszem do zgonu. Ożenienie to było, niestety, zawczesnem, a z wielu względów, przy jego okolicznościach majątkowych, ubóstwie, małych nadziejach aby praca pióra wyżywić mogła, charakterze Syrokomli żywym, niecierpliwym, rokowało to zawikłanie, kłopoty i obezsilniające zawody, których biedny poeta stał się pastwą (*Wład. Syr.* str. 16).

całego życia poety zasób uczuć i myśli, które przemożniéj nawet niżeli nadobna forma poetyczna, zaraz po pierwszém niemal wystąpieniu zjednały mu sławę i zwolenników. Był to na pozór świat pospolity, każdemu dobrze znajomy, szary światek «w kapocie i siermiędze», ale dla tego samego, że przez poetę w najsubtelniejszych szczegółach poznany, zdumiewać musiał po odtworzeniu niesłychaną prawdą rysunku i ciepłem serdecznem... Wszystkie jego postaci, pomimo rozlanego na nich uroku sztuki, wydają się nam najlepszymi znajomymi; «swojskość» na wszystkich jego dziełach pieczęć niezatartą wyciska» [7]).

Z postępem czasu rozszerzał się widnokrąg umysłu i pracy Kondratowicza. Zgłębienie zabytków twórczości ze złotéj epoki zygmuntowskiéj, nastręczyło poecie myśl nieoszacowaną przełożenia na język macierzysty *Poetów polsko-łacińskich*. Skromny, nieufny we własne siły, wystąpił w Tygodniku Petersburgskim z wezwaniem ku pomocy i z myślą wydawania zeszytami na wsparcie erekcyi kościoła w Mirze. Z tego także powodu pisał do Kraszewskiego: «Zgodzisz się pan ze mną, że pisarze polsko-łacińscy, z epoki przynajmniéj zwanéj Zygmuntowską, warci są aby ich prace były poznane na równi z pracami polskich pisarzów tejże epoki; że nie godzi się, aby

---

7) Przedmowa W. Korotyńskiego do Poezyi Lud. Kond. str. II — III.

Jeden z przyjaciół poety pisze: „W okolicach Załucza są dwory zamożne, ale te nie znały sąsiada i Kondratowicz ich nie znał“... Zato „kto z dawnych kolegów ciągnął gościńcem mirskim, nie mógł nie nałożyć parę mil drogi, aby uczcić ukochanego lirnika. Kondratowicz nigdy nie zważał na stopień wykształcenia; umiał naginać się do największéj prostoty, dla tego wielu z okolicznéj szlachty lgnęło do Załucza: ci to właśnie byli opiewani przez niego „bracia w kapocie i bracia w siermiędze“.

„Będziem wzajemnie radzi, tak mi właśnie!
Niechże kto teraz drzwi na klucz zatrzaśnie,
Aby snać jaki panek, czy półpanek,
Nie przyszedł wyśmiać naszych pogadanek“.

W takim to kółku, z serca „nadstawującém ucha wiejskiemu gadule“ Kondratowicz wylewał się ze swemi pracami i planami nowych robót. Tym to „braciom w kapocie i siermiędze“ należy wdzięczność ocalenia Dęboroga. Śród sporu bowiem o tym utworze, Kondratowicz przypisując mu wiele wad, wrzucił był rękopis w płomienie kominka, zkąd jeden z obecnych wielbicieli talentu jego (Symonowicz) pochwycił go, a potém kółko całe znaglilo autora do zachowania tego arcydzieła. (Przypisy do *Wład. Syr.* I. I. Kraszewskiego, str. 222).

ich piękne myśli wiekowały w skorupie łacińskiéj, która obecnie z dnia na dzień staje się niezrozumialszą dla ogółu: słowem, że wytłómaczenie ich jest to obowiązek leżący na naszém piśmiennictwie. Czemuż, pytam, dopełnić mamy ten obowiązek jutro, a nie dzisiaj? Czemu od razu nie jąć się roboty?... Prozaiści polsko-łacińscy, jak mówcy, kronikarze, historycy, są znajomi przynajmniéj literatom z powołania, a przyjdzie czas, że w miarę użyteczności, każdego z nich poznamy w przekładzie. Nie tak się ma z poetami, z tą chlubą niegdyś przed obcemi. Jeden niemal Brodziński jął się pracy, która mu się wcale nie okazała niewdzięczną. I zaiste, ileż to miejsc w Sarbiewskim, Szymonowiczu, Janickim, Benedykcie Zawadzkim i t. d. jest prawdziwie pięknych? a liczba ich u nas, ba, już wielka!... Mamy w liczbie obecnie piszących talenta zdolne do téj pracy, wprawne do nadobnego lania rymu, gruntownie obeznane z łaciną, a nadewszystko ochocze, np. ks. Hołowiński, Moszyński, szan. Alfons Walicki. Cóż, gdyby ci mężowie rzucili każdy po słówku, tłómacząc poetów polsko-łacińskich? Cóż, gdyby wydawać te prace na przykład zeszytami, pod ogólnym tytułem: *Przekłady poetów polsko-łacińskich?*“ Jednocześnie umieścił próbę przekładu z Janickiego w *Athenaeum*, gdzie pierwéj już, równie jak i w *Pamiętniku* Podbereskiego, pojawiać się zaczęły pierwsze oryginalne utwory Syrokomli (*Błogosławiony Sadoch* ukazał się *w Gwiaździe* Zenona Fisza r. 1846): *Pocztylion, Trzy gwiazdki, Chodyka, Dyfferencya, Kradzione* i inne, w latach 1844—1849. Pomimo pochwalnego artykułu Michała Grabowskiego i dla myśli przedsięwzięcia, i dla prób tłómaczeń (w *Tyg. Pet.* r. 1847), daremnie poeta wyglądał skuteczniéjszego współczucia [8]). Żeby się wywiązać

8) Szczerze mu tylko pomagał historyk wileński Mikołaj Malinowski, który zaopatrzył przekład Janickiego w objaśnienia.

Stosunek ówczesny «poety» do publiczności i krytyki odmalował Kondratowicz w następującym wierszu, przesłanym Kraszewskiemu dla projektowanego pisma zbiorowego 1849).

Mistrzu! każesz mi śpiewać, chcesz na moję głowę
Gwałtem wcisnąć promienie i wianki laurowe;
Mówisz o mych *gawędach*, że te w swoim czasie
Dadzą mi znakomite miejsce na Parnasie;
Że trzeba tylko śpiewać wolą czy niewolą,
Choć tam gardło zachrypło, choć tam piersi bolą,
Choć słuchacze posnęli — radzi czy nieradzi,
Dadzą sławę, co wieszcza na gwiazdach posadzi.

z zapowiedzi, swoim nakładem wydał zeszyt tłómaczeń z Janickiego (1849), a następnie skutkiem porozumienia się z księgarzem Zawadzkim ogłosił pięć nowych tomików, w których zawarł Kochanowskiego, Ziemie Czerwonéj Rusi Klonowicza,

---

Winienem ci zaiste za balsam różanny
Dać ukłon debiutanta i rumieniec panny;
Winienem wyrzec głosem skromnego zachwytu:
«*Domine! non sum dignus* takiego zaszczytu!

Lecz dzisiaj w Mirze jarmark, dziś święty Mikoła
Trochę miodkiem szlacheckim stuknął mi do czoła;
A więc ci śmieléj powiem, powiem i powtórzę:
Choć byście dali patent i na ośléj skórze
Na wielkiego śpiewaka, wielkiego poetę,
Jako Tasso lub Byron, Mickiewicz lub Gete,
Ja i wtenczas, mój mistrzu, rozmyślałbym jeszcze,
Czy warto być poetą i co to są wieszcze?

Poeta rodzi wiersze — ej! boleść zbojecka
Rozdzierać własne piersi dla porodu dziecka!
Zakrwawiać biedne serce, wstrząsać nerw po nerwie,
Rozogniać mózg, co ledwie głowy nie rozerwie;
Oplókać łzami oczy, znosić trud czartowski,
Mierzyć długość wyrazów i dobierać zgłoski,
A tak z rozbitą głową i z rozdartém łonem
Rzucać się jak szaleniec nad brzydkim brulonem!

Oto już wiersz skończony, coć dał się we znaki:
Jest końcówka, średniówka, jest sens siaki taki;
Lecz idą dalsze trudy, znasz je szczegółowie,
A po czemu dziś wiersze? niech ci Gl..... powie.
On ci jasno wyłuszczy; że to marna praca,
Że dzisiaj rymowany towar nie popłaca,
Że teraz pisać wiersze zupełnie nie pora,
Że się tylko drukują *Nakładem Autora*;
Że zatém... No autorze, dopełnij już miarki,
Trząś z ojcowskiéj szkatuły zakwitłe talarki,
Będziesz wielki i sławny!..
O, już dzięki Bogu,
W porządku alfabetu stoisz w katalogu!
Świat cię porwał i czyta, a krytyk dla cześci
W kronice literackiéj twe imię zamieści.
Tocz na parnas twą chwałę jak kamień Syzyfa:
Tu spotkasz się z Grabowskim, tam trafisz na Gryfa,
Tu anonym z Warszawy, tu Leszek ze Lwowa,
Pociągnieć na torturę, pochwyci za słowa;
Przeklnie cię, że poszedłeś w liberalnéj drodze,
Albo mruknie: „Postępu tutaj nie znachodzę!“

liryki Sarbiewskiego, trochę Smoguleckiego i t. d. Nie bez słuszności powtarzał często Syrokomla, że mu ta praca policzona będzie za zasługę; lecz i dla samego poety przyniosła ona wielkie korzyści, bo odrazu zaprawił swój smak na poetach złotego wieku. Studya nad nimi zaprowadziły z kolei do badania rozwoju historycznego epoki nie tylko pod względem objawów życia literackiego, lecz i całéj działalności umysłowéj narodu; a ponieważ łańcuch przyczyn i skutków wymagał sięgnięcia głębiéj w przeszłość i posunięcia się daléj za skutkami, więc z nienagła gromadził się materyał do *Dziejów Literatury.*

Dobrze ci tak, poeto! na co było, na co
Stroić lube twe dziecko jak gminne pajaco?
Uczucia, to skarb serca — pielęgnuj go w ciszy,
Myśl twoję miéj dla siebie, niech jéj nikt nie słyszy.
Musisz śpiewać — więc śpiewaj, ale z pieśnią z dala!
Niechaj jéj niewinności motłoch nie pokala.

Za cóż wierszyk, igraszka, dzieciństwo i kwita,
Ma nam żółcią i octem przegryzać jelita?
Jam dotąd tych łakoci nie kosztował prawie,
Lecz z góry nie gustuję w téj cudnéj potrawie.
Gdybym zresztą był wieszczem, gdyby mi Jehowa
Włożył w usta prorocze, uroczyste słowa
I kazał głosić światu — tém słowem przejęty,
Dałbym się kamienować jako Szczepan święty;
Ale dziś, w pospolitych wierszokletów kole,
Za co mam nosić guzy daremnie na czole?
Na co mam się zapędzać na pieśni olbrzymie?—
Świat i bez naszych pieśni doskonale drzymie.
Na co mam go utrudzać i kłopotać głowę?—
Szczęść mu Bóg w preferansie na asy kierowe!
One mu potrzebniejsze niźli serce nasze—
Niechaj lirę waletom pikowym przypasze,
Niechaj treflowym damom swe uczucia niesie.

Piosnko! królowo serca! rządź w twoim zakresie!
Tu... tu... w kryjówkach serca, my z tobą cichaczem
Pośmiejem się, pomyślim, pomarzym, popłaczem!

A ty Wiaro! Nadziejo! ty Miłości Boża!
Czasem przyjdę do stopni waszego podnoża:
Błogosławcie me pieśni jako wdowie grosze,
Czy je w ciszy zanócę, czy światu wygłoszę.
Błogosławcie, gdy wielbiąc co wielkie i piękne,
Czasem sobie po prostu na lutence brzęknę;
Niech w brzęku uroczystym tony jak modlitwy,
Idą na chwałę Bożą i pożytek Litwy.

(Wład. Syr. przez I. I. Kraszewskiego. Str. (34—36)

Wiele mozołu, na który się nieustannie uskarżał, kosztowały mu te dwa tomy „Dziejów literatury w Polsce“ (Wilno, 1851—52), które z razu objąć miały cały przeciąg aż do naszych czasów, a nie doszły tylko do XVII wieku. Szkoda, że wymagania księgarskie zmuszając do przyśpieszenia téj pracy, czyniły ją wielce uciążliwą, i jak sam autor wyznawał, jego samego nie zaspakajającą. Czuł to bardzo dobrze, iż do takiego dzieła trzeba było niezmiernych przygotowań i studyów; musiał się posługiwać cudzemi, które nigdy nie starczą, i odgadywać trafnym instynktem, czego dopracować nie mógł. W dodatku co chwila brakło mu ksiąg; mieszkał na wsi, a uczynność Malinowskiego i grzeczność wydawcy, nie wszystko mogły dlań przysposobić. Umysł wszakże świeży, nie opętany żadnym systemem, żadną z góry powziętą ideą (słowa Kraszewskiego), czysty i miłujący prawdę, miał w sobie wielki przymiot: był bezstronnym. Syrokomla czytał, uczył się i wrażenia swe, nie zastosowując ich wcale do wymagań ludzi, doktryn i systemów, zapisywał jak mu przyszły. Ztąd urok świeżości jaki ma ta książka, mimo niedostatków swych, piękna i w pewien sposób nauczająca. Brak głębszego zaciekania nad źródłami, zastępuje w niéj cudownie czasem siła twórcza dziewiczego umysłu, który ma poglądy niespodziane i sądy uderzające szczerotą; gdy inni uczeńsi od niego z wyschłéj głowy, nad daty i imiona lub kwaśne krytyki, zastosowane do swego systemu, nic dobyć nie mogą. [9])

Następnie, zamiast kończyć „Dzieje literatury“ Kondratowicz zmuszony był dla chleba uskutecznić mierny przekład lichego dzieła Poujoulata: *Historya rewolucyi francuzkiéj* (Wilno, 1851, tomów 2) i do drugiego, nie większéj wartości naukowéj, Coyera *Historyi Jana Sobieskiego* (przekład bezimienny, Wilno, 1852) własne dodawać uwagi i objaśnienia. Większą znowu zasługę zjednały mu tłómaczenia kilku polsko-łacińskich prac historycznych i pamiętników, które przygotował dla wydawanych przez Wolffa w Petersburgu *Dziejopisów krajowych*, a mianowicie: Jana Łasickiego *Historyi wtargnienia Polaków na Wołoszczyznę r. 1523*, Leonarda Goreckiego *Opisania wojny Iwona*, Jakóba Sobieskiego Pamiętnika wojny Chocimskiéj, Jana Dymitra Solikowskiego *Krótkiego Pamiętnika rzeczy polskich od zgonu Zygmunta Augu-*

9) Nowa edycya «Dziejów literatury,» uzupełniona przez F. M. Sobieszczańskiego, wyszła w Warszawie r. 1874.

sta do r. 1590, i Andrzeja Maksymiliana Fredry *Dziejów narodu polskiego*. Osobno przełożył dzieło Kromera: *Polska*, czyli o położeniu, obyczajach i urzędach Rzeczypospolitéj (Wilno, 1856).

W r. 1852 dotknięty stratą ulubionéj córki, Kondratowicz opuścił Załucze i na losy niepewne wraz z rodziną przeniósł się do Wilna. Krok ten był w końcu nieuchronny, bo życie wiejskie starczyć mu nie mogło, ale najnieszczęśliwiéj wpłynął na dalsze losy poety. Ulubieniec ludzi, rozpragniony świata, z piersią bijącą dla wszystkich, z głową ideałami w ciszy wykarmioną, wchodził w ten gęsty tłum, wśród którego naturalnie więcej znalazł obłudy i pozorów omamiających na chwilę a gorzko późniéj opłakiwanych. Narażał się na tém większe zawody, że do końca życia musiał być czém go Bóg stworzył: dzieckiem śpiewającém, marzącém i nie domyślającém się fałszu na świecie. Na Załucze przypada epoka największéj potęgi poetyckiéj Kondratowicza: tu oprócz „Przekładów"; „Dęboroga" wyrosły owe „Gawędy i rymy ulotne", które pierwszą seryę złożyły; ztąd wyszły i owe dwa tomy „Dziejów literatury", których już autor w gwarze miejskim dokończyć nie zdołał. Wilno, kochające na pozór poetę i ceniące zdolności jego, było wszakże, bezwiednie może, grobem dla jego talentu. Już w pierwszym liście do Kraszewskiego (1853) pisał: „Nie umiem żyć w mieście, uczę się téj trudnéj sztuki. Egoistyczne zamknięcie się w sobie nie jest w mojéj naturze, a wyrobić je sztuką tém trudniéj w Wilnie, w pośród serdecznych Litwinów którzy ci bratnią swą uprzejmością dadzą zapomnieć *unde venis, quo tendis*. Nad moje zasługi otacza mnie tu przyjaźń i współczucie; wszystkie znakomitości tutejsze, jak w literaturze: Odyniec, Malinowski, Tyszkiewicz; w malarstwie: Dmochowski, Moraczyński, w muzyce: Moniuszko, Kossowski, nie licząc dobréj młodzieży, która mnie otacza, łaskawie do mnie przylgnęli. Podołać tym stosunkom, nie dać się uwikłać w kółko stronnictw, których tu co niemiara, i co najgłówniejsza, nie zwrócić wszystko widzącego oka, nie narazić się jak najniewinniéj na pomówiska... to jest sztuka trudna, w któréj się ćwiczę... Gdyby nie noc, nie miałbym ani chwili czasu na pracę intuicyjną... Czuwam wciąż nad sobą i staram się usuwać od gwaru, a małych mych wpływów i czasu, który tracę, staram się używać na wyniszczenie koteryj, na zaszczepienie harmonii pomiędzy tymi, którzy stojąc na wznioślejszém stanowisku, dobry przykład *orbi et urbi*

stawić powinni"... „Co za dziewicza prostota w tém zaufaniu — dodaje Kraszewski — że on potrafi połączyć, przejednać, skupić i zbliżyć wszystkich! Jakie to cudownie piękne i cudownie dziecinne! Każdy inny byłby od razu wyrzekł o niemożliwości tego zadania, on szczerze się brał do zdobycia księżyca... Biedny i zacny poeta! jak go to dobrze maluje!..." To co pisze o swych pracach, o niemożliwości korzystania z chwil natchnienia, prawdzi się na jego tegorocznych dziełach, wkrótce potém wyszłych w Wilnie. Są to po większéj części dawniéjsze prace lub roboty czysto tylko umysłu, w których fantazya nie miała wielkiego udziału. Wydane wkrótce potém *Gawędy* pochodziły z różnych epok i są zbieraną natchnionych godzin drużyną. Obok nich idą przekłady dla Wolffa i opracowane w tym czasie *Wędrówki po moich niegdyś okolicach*, w których autor opisał swoje niegdyś Załucze, pożyczany kątek i strony, do których przyrósł sercem; potém Mir, Nieśwież, Świerzeń, Stołpce i Kojdanów.

Nie długo wytrwał Syrokomla w Wilnie. Już w lipcu 1853 pisze do Kraszewskiego: „Opuściłem miasto, gdzie, jakem się pompatycznie przechwalał, miałem grać rolę pojednawczą, gdzie chlubiłem się, że mnie nikt w żadne stronnicze kółko wciągnąć nie potrafi. Skończyło się bardzo prozaicznie: upadłem pod komarowemi żądłami plotek, obmowy ludzi, co mnie zrozumieć nie chcieli, czy nie mogli. Wyjechałem o mil dwie od miasta, wziąłem dzierżawę, pomimo że gospodarzyć nie umiem i *nie lubię*... Nie mogę i nie chcę zrywać z ludźmi, ale znajduję, że chcąc kochać ludzkość, potrzeba na nią patrzeć z pewnéj oddali..." Najbliższe stosunki łączyły go podówczas z Adamem Kirkorem (Janem ze Śliwina). W innym liście z tegoż roku widać już znaczny upadek ducha poety. — „Do lasu, do przyrody, do przyrody wołasz mnie — pisze do Kraszewskiego — wśród boleści mojéj duszy. Wiem z doświadczenia, że tam można znaleźć spokój, znajdowałem go za dni mojego *życia*. Dziś nie śmiem, dziś nie umiem dostroić się do harmonii przyrody, ani kołatać w niebo w chwili odczarowania i zwątpienia: w niebo, któremu nie dosyć gorąco się modliłem za szczęśliwszych czasów. Praca, artystyczna praca także jak wiesz, nie jest téj natury, aby miała łagodzić roznerwowane serce, duszę w konwulsyach; do pracy bardziéj mechanicznéj za mało mam zimnéj krwi w téj chwili. Pracuję niby, ale (proh pudor!) nie czuję tego słodkiego rozmiłowania w pracy, jakie mię dawniéj zbawiało. Przyjaciele tu mi krzyczą,

że próżnuję, żem przeżył siebie, a cóż mówić o niechętnych. Wiary dajcie mi, wiary w ludzkość, wiary w najświętsze uczucia, a czuję czém jeszcze być mogę, a spełnię co spełnić powinienem...“ W tym czasie brał się dorywczo do *Literatury*, przerabiał *Spowiedź Korsaka*, napisał przedmowę do Księdza Baki i rozmaite wiersze ulotne. [10])

W r. 1854 wydał kilka rzeczy Syrokomla, ale to były owoce 1853 r., i prawie wszystkie noszą na sobie ślady życia miejskiego. Oprócz 2-go tomu *Wędrówek*, w którym opisał Mińsk, przerobił z francuzkiego libretto do opery dla Moniuszki *Sen wieszcza* (w 3 aktach). Syrokomla tłómaczy się sam

---

10) W listopadzie 1853 pisze do Kraszewskiego: «Odwiédzam czasem miasto, ale najczęściéj siedzę *doma*; a iż mi się nawija rym, *z założonemi rękoma*, więc kończę wierszem sprawozdanie mojego żywota:

I tylko czasem w Gazecie
Czytam, co się dzieje w świecie:
Czy *Dziennik* z powodzeń dumny
Uzbraja swoich szermierzy;
Czy z Lesznowskiego kolumny
Pocisk na kogo uderzy.
Czuję, że łeb mój za nizki,
By miał sprowadzać pociski,
I zresztą twardszy od skały,
By mnie pociski bolały.
A kiedy pomrok nad głową
I oczom wypłakać chce się:
To wspomnę na Czarnolesie
I czytam pieśnię Janową;
A potém coś się gryzmoli
Dobrym towarzyszom gwoli.
Więc gdy chcę wypić *przez zdrowie*,
A w *taszce* nie masz mamony,
Czynię jak nasi hrabiowie:
Na pniu przedaję me plony.
Myśl młodą, świętą, dziewiczą,
Co mi się do głowy garnie,
Niosę na targ do księgarnie,
To mi i grosze wyliczą.
Księgarska mądrość coś warta,
Oni wyliczą za chwilę:
«Funt mózgu albo łez kwarta
«Płaci się tyle a tyle!»
A kiedy mózg się wysuszy
I łza przed czasem wypłynie,
Toć wezmą należność z duszy
Na Józafata dolinie...

Czujesz, że jeszcze mi w piersiach trochę zostało goryczy»—i t. d.

w przedmowie z roboty, którą uznał za niestosowną dla siebie, i była nią w istocie. Równie małéj wagi są wydane przezeń z rękopismów *Dwie koronacye Sasów, Augusta II i Augusta III*, — i otoż cały owoc tego roku tak niespokojnie przebytego i odznaczonego tylu bolami, które dopiero późniéj miały się przelać na papier. *Gawędy i rymy ulotne* (poczet nowy z portretem autora) zawierają wiele ślicznych rzeczy, ale nieco dawniéj już wyśpiewanych i zebranych teraz dopiero w malutką wiązankę. Na czele ich stoi *Lirnik wioskowy*, jedna z najudatniejszych pieśni Syrokomli, w któréj odbiła się cała boleść losu poety i w któréj wyprorokował sobie zgon wczesny i dolę pozgonną. Dla tego przytaczamy ją tu w całości.

Lirnik wioskowy.

Sielanka

I.

Liro ty moja śpiewna! z czarodziejskiego drewna
Snadź ciebie wyrobiono!
Skoro wezmę cię w ręce, gdy twą rączkę zakręcę,
Zaraz mi kipi łono.
Czuję radość nieznaną, jakby na sercu grano,
I smutno i wesoło;
Jam szczęśliwy, bogaty, gdy od chaty do chaty
Przechodzę całe sioło!
Z tobą się nie napieszczę: i dzień, i noc i jeszcze...
Jeszcze grałbym bez końca;
Aż mi się w piersiach warzy, aż mi do bladéj twarzy
Uderza krew gorąca.
Niech sobie boli ręka, niech sobie serce pęka,
Przecię tonów nie zniżę;
Nie żałuję méj głowy, wszak ja lirnik wioskowy
Skonam grając na lirze!

II.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
Niebezpieczne narzędzie!
Jakby w piekle, jak w niebie, kto się dotknął do ciebie,
Wiecznie pamiętać będzie!
Wnet go dumka uniesie, wnet sercu kochać chce się,
I tęsknota ogarnie.
Tyś pokaraniém bożém, z tobą jak z ostrym nożem
Nie zartować bezkarnie.

Bo noże ciało bodą, a piosnka duszę młodą
Jakby ostrzem przenika;
A gorsza jeszcze bieda, że świat i wiary nie da:
Co tam w duszy lirnika?
Co oni wiedzieć mogą, że mi tak w piersiach błogo,
Że mnie tak chętka bodzie:
Grać od serca, grać wiele, Panu Bogu w kościele,
Dobrym ludziom w gospodzie;
Grać przed moją jedyną, niech ją piosnki obwiną,
Niech ją dźwiękiem otoczą,
Czy pracuje we żniwa, czy po pracy spoczywa,
Czy się bawi ochoczo.
Patrzcie na dziewę moją! przy niéj chłopcy się roją,
Śmieszne, śmieszne ludziska!
Jeden wąsem się chwali, drugi mieczem ze stali,
Trzeci srebrem połyska;
Mnie Bóg więcéj przeznaczà: znaj, co hardość śpiewacza,
Ja przed nikim nie zniżę
Ani pieśni, ni głowy, —hardy lirnik wioskowy
Skonam grając na lirze!

III.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
Wątłe z tobą nadzieje!
Snadź twe piosnki nie piękne: czy przed Bogiem uklęknę,
Czy dla ludzi zapieję,
Tylko rozgwar twój znudzi Pana Boga i ludzi,
Serc braterskich nie zjedna;
Bo każdy z towarzyszy słyszy, jakby nie słyszy,
O dolo moja biedna!
Kiedy czasem się zdarza, że u stopni ołtarza
Ku Bogu głos wytężę,
Ksiądz na mnie patrzy gniewno, że muzykę cerkiewną
Smutnym tonem mitrężę.
Kiedy pójdę we święta, gdzie się bawią dziewczęta,
Młodzież i starcy w domu,
Klnę, że w piersi mi wrosło pieśnio — twórcze rzemiosło,
Lub zapłaczę kryjomu.
Dziewczę słucha lirnika, ale duszę zamyka,
Mnie się serce rozpada—
Ja pieśnią serca proszę, ona rzuci trzy grosze
I z innym pląsa rada.

Starzec westchnie i powie: „Za mych czasów grajkowie
Toć to grali dla duszy!
„Dzisiaj idzie w zawody jakiś młodzik bezbrody;
„Trąbić mu w róg pastuszy!“
I tak wszyscy zebrani, jeden chwali, ten gani,—
Kłaniam, kłaniam uprzejmie.
Otoż wielka mi łaska, że ktoś w dłonie zaklaska,
Ale serce odejmie!
Liro! próżnaś przynęty, strzaskaćby cię na szczęty,
Z ciebie ciernie i krzyże!
Lecz tyś promień méj głowy, wszak ja lirnik wioskowy
Skonam grając na lirze!

IV.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
Ludzie łzami mię poją!
Tyś dla mnie ulgą bożą, a gdy mnie w grób położą,
Ty będziesz chlubą moją,
Ej rozgłośnie, rozgłośnie twoje echo urośnie!
Zolbrzymieją me słowa:
Pójdą z kraju do kraju, do samego Dunaju,
Do samego Kijowa.
Kiedyś w okno sąsiada cudzych ludzi gromada
Ciekawie zakołata:
„Przyszliśmy patrzeć dziwa, gdzie wasz lirnik spoczywa,
„Lirnik głośny u świata.“
Wtedy z całego sioła ciekawość lud wywoła,
I będą czynić wnioski,
Szeptać ściskając plecy: „Zkąd ci ludzie dalecy
„Znają pieśni téj wioski?“
Wiosce chluba urasta; młodzian, dziewczę, niewiasta,
Przed ludźmi cudzéj ziemi
Westchnieniem i gawędą sławić lirnika będą,
Co śpiewał i żył z niemi.
I powiodą przybyszy do cmentarnéj zaciszy,
Gdzie przy sośnie trzy krzyże.
I rzekną wznosząc głowy: „Tu nasz lirnik wioskowy
„Skonał grając na lirze“.

Razem idą: *Żywot poczciwego człowieka, Hetman Polny* (urywek), Gawęda o *Zabłockim* przekład z Lermontowa, ułomek z poematu *Kanonik Przemyski*, wyjąt. i z Kantaty i sporo drobnostek. Są tu niezaprzeczenie rzeczy piękne, zarysy

jakby do większych obrazów, ale znać brak jakiś siły, wytrwania, tchu do ich wykończenia. Myśli cisną się tłumnie i goreją jak owe płomyki nocne w obłęd ciągnące podróżnych (słowa Kraszewskiego), ale gdy przyjdzie ująć je, oblekać myśl ciałem, trwać w natchnieniu natężeniem wszystkich władz duszy, by je utrzymać nie staje energii; świat, boleść, tęsknota, zniechęcenie odciągają. — W ogóle lata 1853 i 1854, o ile z listów wnosić można, były przełomem niebezpiecznym dla Syrokomli. Ratując się rozpaczy, opuścił on Wilno, ale niewiara poszła za nim i ścigała go jak widmo, co go już nigdy opuścić nie miało. W poezyi, w listach, w życiu odbija się to straszliwe odczarowanie. Naprożno pisze, że postanowił ludzi brać takimi jak są: zawsze jeszcze chce z nich mieć swe ideały i rozbija się o rozpacz niezwalczoną, gdy anioły zmieniają się w kościotrupy. Z odstręczeniem od życia poszło zniechęcenie do poezyi i pracy; świat nie miał uroku, poezya była cudownem kłamstwem, po co śpiewać i komu? — „Rzeczy dawniéj napisane, dzisiaj z pod pras sypią się jak z rękawa — pisał do Kraszewskiego — ktośby sądził, że pracuję. W téj chwili wyszły aż trzy tomiki moich rymów: Nowe *Gawędy* u Orgelbranda, dwie gawędy u Assa i *Dęboróg* u bezinteresownego Wolffa... Mam pod prasą kilka innych rzeczy, ale to wszystko bezładne, niesystematyczne, wierny mój obraz"... W innym liście smutne robi wyznanie: „Zrzędzisz, że się wdaję w drukowanie materyałów historycznych: *panem careo*, muszę ciągle coś drukować, a nie co dzień można zdobyć się na Dęboroga". Straszne to *panem careo*, może za pośpiesznie było wyrzeczone, ale moralnie i materyalnie istotnie brakło mu chleba dla duszy i ciała; musiał pracować ciężko aby zapomnieć o pierwszéj potrzebie, a drugą zaspokoić.

Gawędami swojemi a nadewszystko Dęborogiem Kondratowicz zjednał sobie ogromny rozgłos i stał się przedmiotem zabiegów nie tylko najznakomitszych przedstawicieli piśmiennictwa o życzliwość i przyjaźń jego, ale księgarzy i wydawców a coraz to nowe utwory, które w kilku lub kilkunastu kartkach stanowiących jakoby oddzielne tomy, po bezwstydnie wysokich cenach puszczali między chciwą jego poezyj publiczność. Współubiegali się również o urok jego imienia właściciele warszawskich pism peryodycznych. Kondratowicz przyjął współpracownictwo w *Gazecie Warszawskiéj*, nie sprzeciwiające się dalszemu jego pobytowi w Wilnie. Owoce tego współpracownictwa były nieliczne, bo oprócz kilku pomniejszych gawęd

drukowanych od czasu do czasu w odcinku rzeczonéj gazety (*Spowiedź Pana Korsaka, Garść pszenna* i t. d.), ze sprawozdawczych w niéj korrespondencyj poety zaledwie jedna czy dwie dadzą się zapamiętać.

W r. 1855 ukazała się śliczna gawęda p. n. *Kęs Chleba*, jedno z arcydzieł poety i obszerniejszy poemat *Margier*, który sam Syrokomla nazywał najlepszém z dzieci swego ducha, lubo bezstronna krytyka sądu tego nie zatwierdziła. Do tegoż roku oprócz wielu ulotnych wierszy należy obrazek dramatyczny p. n. *Chatka w lesie*, oraz poemacik historyczny *Córa Piastów*.

W r. 1856 Syrokomla pociągnięty nadziejami jakiemiś odwiedził Warszawę. Przyjęcie było huczne, gościnne i przyjacielskie. Po rozpatrzeniu się jednakże w ludziach, poeta przekonał się, że lepiéj i bezpieczniéj zostać w Borejkowszczyznie i zaniechał projektu osiedlenia stałego w pośród ludzi, których więcéj się obawiał niż pragnął. Za radą więc Lesznowskiego, nie przyjął ofiarowanego sobie na korzystnych warunkach redaktorstwa Gazety Codziennéj i powrócił na Litwę [11]). Do tego roku owoców należą: *Janko cmentarnik*, *Wielki Czwartek*, *Zgon Acerna* i komedya *Hrabia na Wątorach*. Pierwszy po-

11) Za powrotem do domu pisał do Kraszewskiego: «Co do moich wrażeń warszawskich, w krótkich słowach je określę. Jeżeli kiedy będę miał wiele czasu i pieniędzy, będę jeździł *bawić się* do Warszawy, ale *żyć* zawsze wrócę do Wilna. Ludzi, rzecz niezaprzeczona, życie towarzyskie, literackie, przemysłowe, silniéj tam kipi, ale głębi tego co stanowi życie prawdziwe, nie ma, przynajmniéj ja, moim przelotnym wzrokiem odkryć nie umiałem. Byłbym niewdzięcznym, gdybym nie ocenił rzewnego, jakie mnie tam spotkało przyjęcia. Dano dla mnie obiad w Kupieckiéj Resursie, przedstawiono Hrabiego na Wątorach w teatrze Rozmaitości, gdzie byłem wywoływany; wszyscy literaci, pseudo-literaci i mecenasowie literatury otoczyli mnie serdeczną życzliwością, ale wyznaję, żyćbym tam nie umiał. Od ranka do późnéj nocy we fraku, rozstrzelony, znużony, pracowałem cały dzień nic nie robiąc, a pomimo gorliwości, z jaką oddawałem i przyjmowałem rozliczne wizyty, codziennie czułem, żem zaciągnął jakiś remanent, żem się przed dobrymi ludźmi naraził na zarzut ich lekceważenia. To mi było nad wszelki wyraz bolesnie. Późno wracając do domu, chwytałem pióro lub książkę, ale to trudna rada: całodzienne znużenie nie dozwalało skupiać się myślom, a z ulicy łoskot powozów, pisk pozytywek, krzyk mazurów, o rozpacz przyprawiał — mnie, który do wrzawy ulicznéj w Wilnie dosyć jestem przyzwyczajony. Dałem więc za wygraną moim redaktorskim marzeniom. Nie dla mnie, dziecka spokoju, ten gwar i te roztargnienia: wróciłem na cichą Litwę, aby zostać znowu ofiarą roztargnień innego rodzaju, mniéj gwarnych, ale nie mniéj zabijających czas i myśl dobrą.»

czet «Gawęd i rymów ulotnych» doczekał się drugiego wydania; wyszedł ich poczet czwarty, w którym zawarty jest *Kęs chleba* i wiele rymów okolicznościowych, w końcu mieści się fragment z ksiąg Hioba, piękna parafraza tego nieśmiertelnéj prawdy i nieskończonéj rzewności poematu wschodniego. Są tu także tłómaczenia z Goethego, ale nadewszystko mnogość ulotnych improwizacyj, o które tak Syrokomli było łatwo. Wyszły także powtórnie (u Assa) *Spowiedź pana Korsaka, Garść pszenna* i *Cieśla*, dwie gawędy ludowe, i *Marek w Piekle*, drukowane już w Gazecie Warszawskiéj. Powziął był jeszcze Syrokomla myśl napisania komedyi na wspólkę z Janem Chęcińskim, czuł bowiem, iż dramatu sam zbudować porządnie nie mógł. Tytuł wspólnéj roboty miał być «Wielcy i Mali». Późniéj jednakże sam uznał niemożliwość takiéj pracy zszywanéj, a Chęciński bez cudzéj pomocy napisał z umówionego tematu piękną komedyę, z wielkiém współczuciem przyjętą na scenie, *Szlachectwo duszy*.

Tymczasem smutek, zwątpienie i jakieś obojętne podążanie daléj a daléj, bez dawnego zapału, który się tylko czasami, w chwilach szczęśliwszych odzywał, coraz bardziéj zaciemniało życie poety. Pracował,— był to warunek jego życia, było to lekarstwo wszechmocne na utrapienia: szukał w pracy ulgi i zapomnienia, ale coraz mniéj wierzył, żeby ten trud mu moralnie do uspokojenia, materyalnie nawet na chleb powszedni wystarczył. Nadzieję szczęścia stracił na zawsze— została mu potrzeba wylania się z sercem znękaném, którą pieśniami koił. Te pieśni stały się późniéj jakąś gorączkową potrzebą, nałogiem, warunkiem życia; pisał o wszystkiém dla wszystkich, wyrzucał z siebie tysiące drobnostek okolicznościowych, w które się wyczerpywał, upajał się tym trudém nieustannym, trochę też nie umiejąc odmawiać nikomu, ktokolwiek go poprosił. Czy to księgarz, czy piękna pani do albumu, czy dwudniowy przyjaciel, czy natręt, wszyscy go odzierali z tego jedynego skarbu, jaki posiadał; wszyscy szli doń po wiersze i nieraz może wyczerpywali zeń natchnienie na większe rzeczy. Ileż to zmarnowanego dowcipu, siły i pracy w tych wierszykach okolicznościowych, łatwych, miłych zręcznych, zawsze poczciwém uczuciem natchnionych, często przesiąkłych ironią gorzką!.. Stan ducha poety maluje się wyraźnie w ówczesnych utworach jego: w «Janku cmentarniku», w «Wielkim Czwartku» i w «Zgonie Acerna». W tym ostatnim utworze — mówi Kraszewski — «z boleścią jakąś szukamy podobieństwa do innego

obrazu świeżego zgonu (samego poety)... straszniéj tragicznego jeszcze, przedwczesnego, łamiącego siły młode, samobójstwem zwątpienia i chłodem otaczającego świata... Wiele złożyć tu potrzeba na barki wszystkich — maluczko na jego własne. Nikt nie podał dłoni silnéj i woli potężnéj tam, gdzie jéj brakło; nikt nie otworzył serca dlań, i przez poszanowanie dla genijuszu może, dano mu zginąć jak owemu królowi, którego żaden z poddanych ratować nie chciał z wody, bo go się tknąć nie śmiał... Patrzano na to pasowanie się z sobą z założonemi rękami — i stali ci co mogli, a biegli ci, co nic poradzić nie potrafili... W pośród cierpień i walki przychodziły chwile wesela niespodziewane, wesela, w którém przebijała się przykra, bolesna ironija, nie oszczędzająca nikogo, szydząca gorzko ze świata i życia, rzucająca w oczy cierpieniu jakby upartą negacyę, śmiechem dzikim i strasznym. Naówczas Syrokomla łzami może oblane rzucał na papier te wiersze pełne naïgrawania się z losu i ludzi, nawet tych, których najmocniéj kochał. W tym rodzaju jest z roku właśnie, o którym mowa, jego *Testament.* [12])

Rok 1857 mniéj był obfity od poprzedzającego; wszakże samych oryginalnych prac większego rozmiaru, mamy z téj epoki kilka. Jak wszystkim poetom rzeczywistym, odznaczającym się bujną wyobraźnią i formą bogatą, Syrokomli nie wiele było potrzeba na wątek do poezyi: jedno słowo, obrazek, charakter, starczyły mu na cały utwór; rozwijała go fantazya, rozpieszczało słowo dźwięczne, rozrabiała myśl na złociste pajęczyny... i z niczego tworzyła się pieśń bogata w cudne szczegóły. Tak *Królewscy Lutniści* powstali z darowanego przez W. Gersona autorowi obrazka, który z zajęciem oglądał w jego pracowni; tak *Stare Wrota,* jeszcze z mniejszego się urodziły, z drobnego szkicu ołówkiem, przesłanego mu na pamiątkę przez Kraszewskiego. Naostatek *Nocleg Hetmański,* obszerniejszy poemacik na tle historycznem, winien był może Syrokomla spędzonéj na świeżém sianie nocy w chacie jakiego gajowego na Litwie. Z tego roku są jeszcze: *Dni doroczne na Litwie, Staropolskie roraty, Dni pokuty i zmartwychwstania,* cudna «sielanka bojowa» *Uła,* Fragmenta o Filipie z Konopi (w V t. *Gawęd*), *Trędzlowe* (tamże), *Procedencye szklanicy miodu* (w *Tece Wileńskiéj*) i t. d. Prozą napisał: *Przyczynki do historyi domowéj w Polsce* (Sam. Korecki—

12) Zob. J. I. Krasz. *Wład. Syr.* str. 129.

Adam Tarło — Bogusław Radziwiłł) i *Wycieczki po Litwie w promieniach od Wilna*. Dwie ostatnie prace Syrokomla przedsiębrał dla chleba. Są to historyczne kompilacye, starannie wykonane, ożywione stylem i myślą poczciwą, ale autor jest w nich zwyczajnym robotnikiem nie zaś artystą. W «Wycieczkach po Litwie» jest wiele rzeczy zajmujących, dużo trudu, ale niewiele życia.— Nakoniec do prac 1857 r. odnieść należy najgłówniejszą z nich i niewątpliwie najpiękniejszy z utworów dramatycznych Syrokomli, dramat *Kasper Karliński*, wystawiony po raz piérwszy na scenie wileńskiéj w styczniu 1858. [13])

W lipcu 1857 Syrokomla odwiedził powtórnie Warszawę — nie dla własnych spraw, ale przez poświęcenie dla osób, w których przywiązanie dla siebie wierzył zanadto, w których serce wierzyć potrzebował, mimo tysiąca dowodów, że na niém oprzeć się nie było podobna. Namiętnością czy słabością nazwiemy te smutne dzieje, to pewna, że kochająca dusza poety najokropniejszych doznawała boleści... W jednym liście z rozpaczą wyrzekł sam o sobie: «Czuję, że powinienem napisać jedno słowo: *pogardzam*, a ja kocham, ja kocham, nad świat, nad siebie, nad wszystko!»

W maju 1858, Syrokomla czując potrzebę odświeżenia się moralnego, czyli, jak je sam zwał, zmartwychwstania, wybrał się do Wielkopolski i Krakowa. Wiele sobie roił poeta o téj wędrówce, wiele w niéj doznał wrażeń rzewnych: przekonał się

---

13) Ze wspomnieniem dnia tego łączy się, niestety, charakterystyczna okoliczność, najlepiéj malująca położenie Kondratowicza... Teatr był przepełniony, entuzyazm wzbudzony przez poetę dochodził do najnieprawdopodobniejszych rozmiarów; było to uwielbienie, była to namiętność, gorączka; wywoływano autora po kilkakrotnie, obsypywano go kwiatami, rzucano mu wieńce... Syrokomla czuł, że doszedł najwyższego szczebla, jaki poeta osiągnąć może... Niektóre z tych kwiatów styczniowych płacono po kilkadziesiąt złotych i znoszono mu je do mieszkania... Wśród téj owacyi, wśród tych uwielbień, w domu Syrokomli była największa nędza!.. Ass księgarz odmówił mu pożyczenia kilku rubli na strawę powszednią potrzebnych... biedna żona poety musiała wziąć u stróża domu, w którym mieszkali, kilka złotych na zgotowanie obiadu dla wieszcza, obsypanego kwiatami, których cena starczyłaby na tydzień ubogiego życia. Dyrektor teatru ówczesny p. Herkulan Abramowicz nie wiedział o położeniu Syrokomli, nie domyślali się go bliżsi przyjaciele; dopiero w dni kilka przysłano mu z teatru 30 rubli, co jeszcze się powtórzyło po trzeciém i czwartém przedstawieniu. Otoż obrazek jeden z tysiąca zapewne zagubionych i znikłych na wieki — straszny całą prawdą rzeczywistości!... (*Wład. Syr.* str. 150—151).

z pociechą, że wszędzie za tę miłość poczciwą, jaką miał dla współbraci, równą mu odpłacano miłością, garnęli się doń ludzie znajomi i nieznani, przyjmowano go z zapałem, ugaszczano serdecznie, chciano pochwycić, otoczyć. Dziki nieco poeta, zawsze wśród obcych trochę bojaźliwy, zbytecznie unikający świata i tego, co się tém imieniem pospolicie nazywa— krył się, uciekał, milczący stronił od ludzi, dopóki ich gorące współczucie nie wywołało zeń tych cudnych pieśni, których kilka pozostało jako wspomnienie jego pielgrzymki [14]). — Powracającemu z zagranicy dano serdeczny obiad w Piotrkowie, i tu on znowu zaimprowizował śliczny ów wiersz swój, którego tu urywki dajemy [15]).

Nie mnie ten zaszczyt, co dzisiaj spotyka,
Nie mnie należy, ale wspólnéj sprawie.
We mnie, ziomkowie, chcieliście łaskawie
Uczcić piśmiennéj niwy pracownika.
Czy źle, czy dobrze moję niwę żąłem,
Wy mnie dla tego witacie życzliwie,
Żem szczerém sercem, z zapoconém czołem,
Jak Bóg nauczył, pracował na niwie.
Choć moje żniwo zaledwie w połowie,
Choć się dopiero południe rozżarza:
Wam się podoba, serdeczni ziomkowie,
Pod snopem żyta dać ucztę żniwiarza.

---

14) Im bardziéj uganiano się, aby go poznać, aby mu dowieść współczucia, tém tchórzliwiéj unikał owacyj Syrokomla. W Poznaniu kilka dni przebył zupełnie ukryty, tak, że go trafem ktoś wydobył z jakiegoś kąta na Garbarach podobno, aby przyjaciele jego talentu uczcić go mogli. Całe dnie w téj przejażdżce bywał przybity i chmurny, dopóki widok miejsc uświęconych wspomnieniami, i zapał otaczających nie dobyły zeń łez i słowa... Niezwykły do tłumnych zebrań, jak mógł unikał ich poeta, ale całkiem nie potrafił uniknąć: porywano go i ciągniono z taką serdecznością, że się jéj oprzeć było trudno. Zawsze w blasku i występie upatrując coś arystokratycznego, zmuszony do fraka i miny frakowéj, Ludwik cierpiał, obawiał się tego państwa co go otaczało, i uciekał nieraz między szewców i rzemieślników, żeby się już tam niczego nie obawiać. Często zaproszony chybił; Bóg wie co z tego za plotki kuto, a to po prostu obawa świata w białych rękawiczkach, ciągnęła go do ciemnego kątka, gdzie mógł dumać swobodniéj. Nieraz doznał w podróży roskoszy wielkiéj, bo współczucie ludzi obcych nie może przejść bez wrażenia silnego, ale też i wycierpiał wiele (J. I. Krasz. *Wład. Syr.* str. 158).

15) Zob. *Wład. Syr.* str. 159—160 i *Poezye Lud. Kondr.* Warsz. 1872. T. VII. 130.

Piękna to uczta, co serce napawa,
Co do prac dalszych dodaje zachęty!
A choć do uczty nie mam jeszcze prawa,
Bo łan mój stoi na pół niedożęty;
Przecież serdeczne przynoszę wam dzięki,
Za pokarm dłonią podany życzliwą!
Z nowemi siły wezmę sierp do ręki,
I do wieczora może skończę żniwo.
.....
Żniwo pieśniarza, to żniwo nie lada,
Bo serca ludzkie jak kłosy podrzyna;
Słucha go chętnych współziomków drużyna,
A on ich łzami i sercami włada.
.....
Słuchacze moi! ziomkowie współcześni!
Czułem te prawdy w mym zawodzie całym,
Z obawą szedłem do ołtarza pieśni,
Z obawą struny waszych serc trącałem,
Choć nieudolne, ile siły zmogą,
Lecz czyste chciałem wydobywać tony.
Śpiewałem najprzód moję Litwę drogą,
Jéj pola, wioski, jéj lud uznojony...
Jéj ciche dworki, kościółki, cmentarze,
Jéj uroczyste i żałobne chwile;
Chciałem się wpatrzeć w jéj praojców twarze,
Wsłuchać się w serca co już śpią w mogile,
Co oko zajrzy, co ucho podsłucha,
Brałem do serca widoki i dźwięki;
Potém z krwią serca, z ogniem mego ducha,
Rzucałem na świat w postaci piosenki.
I słaba piosnka przyjęta została,
I wszędzie w Litwie miała dach ochrończy.
Ale ziomkowie! zasługa to mała,
.....
Wziąłem kij w rękę i suknię pielgrzymią,
I jak ów żebrak od wioski do wioski
Idzie o kiju za chleba kawałem:
Tak ja zwiedzając nasz kraj pradziadowski,
Święty chleb ducha do méj piersi brałem.

Podróż znużyła Syrokomlę, a na progu chaty powitały go troski, których liczba nie zmniejszyła się, lecz urosła. Okryty czcią i współczuciem, powracał, równie a może więcéj czując

swój niedostatek, fałszywe położenie i niemożność obronienia się od pracy, która go wycieńczała. «Boleść, żal do drugich (pisze do Chęcińskiego w październiku po powrocie), wyrodziły we mnie zasklepienie się w sobie; po całych dniach marzący, bezczynny, siedziałem na wsi, nie mając nawet tyle siły, aby dopomódz biednéj matce w jéj kłopotach. Ocknąłem się z letargu i tu spadł na moje ramiona rój drobiazgów, małych każdy wzięty pojedyńczo, ale nieznośnych w ogóle».

W takim to stanie ducha, wcale nie sprzyjającym tworzeniu, nadszedł dlań rok 1859. Poeta był złamany i walczył resztą potęgi młodości przeciwko rozczarowaniu i zwątpieniu. Życie obarczało go tysiącem frasunków, nie śmiało mu się żadnym urokiem, żadną wyższą mogącą go nakarmić nadzieją. Trzeba je było dźwigać, po kolei tracąc co je podtrzymywało. W samém tworzeniu i pracy znać to rzucanie się, pośpiech, obezsilnienie, niepewność, w końcu brak myśli jędrniejszéj, któréj ani uczucie, ani głowa podołać nie były w stanie. Najwięcéj ciągnął go teatr łatwém towarzystwem artystów i pozorem choć chwilowym ideału, którego on tak pragnął a znaleźć nie mógł. Co brakło życiu, tego szukał na scenie — złudzeń, marzeń, poezyi. Stosunki z aktorami wiązały go przyjaźnią, któréj zawsze słaby a dobry ulegał. Imię Syrokomli było przynętą; proszono go o nowe dramata — oprzeć się temu nie umiał. Pracował też dla sceny, choć sam czuł, jak to wyraził dawniéj, że do niéj stworzonym nie był. Napisał więc znowu w tym roku *Wiejskich polityków*, komedyę graną w Wilnie w październiku 1859 r. i *Zofiję Księżniczkę Słucką*, przedstawioną w lutym t. r. W piérwszym z tych utworów przebija się cel przygotowania lepszego umysłów do reformy stosunków włościańskich, którą gorąco brał Syrokomla do serca. Poeta sądził, że możliwém jest oddanie wszystkiego dla okupienia ryczałtem błędów przeszłości, nie widząc niemożliwości, gdzie wedle niego była powinność. Pogląd jego na tę sprawę poetyczny, piękny, ale niedojrzały, cały daje się widzieć w wierszu gwałtownym, rozpaczliwym, napisanym po zjeździe obywateli w Wilnie.

Duch Syrokomli coraz bardziéj upadał i drętwiał. Przesyłając Chęcińskiemu rękopism «Księżniczki Słuckiéj», stan swój odmalował w następujących słowach: «Otworzę ci teraz bracie wnętrze zbolałéj méj duszy. Wróciwszy z Warszawy, nie mając co robić w mieście, zamieszkałem na wsi, mając nadzieję część zimy przepędzić w Warszawie, drugą w Krakowie. Chma-

rę pomysłów miałem w głowie, sądziłem, że je wypiszę. Tymczasem niepokój domowy ciągle mi pióro z rąk wytrącał. Na złość... postanowiłem nic nie pisać, i byłbym w téj śmierci moralnej upadł na prawdę, gdybyś mi nie napisał, że tam potrzebują sztuki na benefis. Zerwałem się ze śmiertelnego letargu i *w dni dziesięć* napisałem «Księżniczkę Słucką», dramat, którego bruljon ci posyłam. Po napisaniu znowu zapadłem w letarg, ale ten stan, pół życia, pół śmierci, wydał mi się tak ohydnym, że postanowiłem bądź co bądź z niego się wyrwać i przeniosłem się do miasta, gdzie gdyby nie teatr i nie towarzystwo naszego reżysera Surewiczą, który mnie kocha i pieści jak dziecko, w łeb-bym sobie palnął z braku elementów życia. Nasze Wilno, to w obecnéj chwili trup moralny, książki głupie, ludzie nudni, natura martwa, w duszy ból, a ta dusza umieszczona w ciele chorém, wątłém, znerwowaném do ostatka,—jakże chcesz bym żył?»...

Do téj epoki usiłowań odrodzenia i odzyskania pokoju i mocy nad sobą należą: *Szkolne czasy;* kantata *Ś. Franciszek z Assyżu; Stella Fornarina; Marcin Studzieński; Starosta Kopanicki*; dramat p. n. *Wyrok Jana Kazimierza* i pierwsza część niedokończonego poemaciku p. t. *Wrażenia pielgrzyma po swojéj ziemi* (Ostatnie dwa dziełka wyszły w r. 1860). Ogłosił także wspólnie z W. Korotyńskim przekład niektórych piosenek Beranżera. W r. 1860 wydał zbiorek p. t. «*Natura wilka wyciąga z lasu*« i prozą: *Wycieczki po Litwie w promieniach od Wilna* (T. II-gi) do Oszmiany, Kiernowa i Kowna.

Stan poety był coraz smutniejszym. W czerwcu 1859 pisał do Chęcińskiego: «Na zdrowiu okropnie upadam, ledwie widzę co piszę, tak mi wzrok osłabnął, *solum mihi superest sepulchrum.* Przynajmniéj po śmierci niech błotem nie obrzucają mojego grobu. I krajowi i przyjaciołom służyłem jak mogłem; winy (jeśli nazwać je winami) leżą na mnie; karę aż nadto srogą sam w sobie odnoszę, ale grzechów społecznych nie mam i nie zasługuję na to, aby mnie krajano jak trupa... Waryuję!..» W miesiąc potém pisze znowu do tegoż: «Powiem ci prawdę, że dzisiaj już nie cierpię, ale wpadłem w stan apatyi, gorszy od cierpienia. Chwaliłem ci się, że mnie pożerał symptomat ruchu i pracy, ale pisma warszawskie i księgarze wileńscy tak mi dali uczuć niesmak atramentu, że gdyby nie dziewiętnaście gąb z mojéj ręki czekających chleba, rzuciłbym niedołężne pióro. Niedołężne mówię, bo mi to już nie tylko

Gazeta i *Biblioteka Warszawska*, lecz nawet *Wolne Żarty* dowiodły. Czy wiesz, drogi Janku, że ja, który zwykle nie czytałem nawet pisanych na mnie pochwał i nagan, dziś choruję na próżność... Lekceważące a zawsze stronne zdania krytyków waszych o pracach, które kosztowały kilka miesięcy czasu i kilka funtów krwi z pod serca, przyprawiają mnie o rozpacz, bo pytam: wszakże zadaniem pisarza jest wpływ,— a jakiż wpływ wywierać może ten, którego lekceważą w każdym niemal numerze pism peryodycznych warszawskich. Biorę się za głowę, za serce i przekonywam się że pomimo cierpień przebytych, jeszcze jestem ten sam co dawniéj. Czego chcą ode mnie, nie pojmuję...»

Bawiąc latem tego roku w Druskienikach, Syrokomla próbował «Ułasa» przerobić na libretto do opery, ale zamiaru tego nie dokonał. Wody druskienickie polepszyły cokolwiek zdrowie jego; doznał też pewnéj ulgi moralnéj. «Cierpieć zupełnie już przestałem— pisze do Chęcińskiego— czuję, że wstępuję w nową fazę życia; mam nawet dosyć siły, ale idę jeszcze omackiem, nie mogę się oswoić ze *stanem wyrozumowanéj niewiary*, która ma mi moję przeszłą wiarę zastąpić.»— W poematach *Marcin Studzieński* i *Starosta Kopanicki*, pisanych w owym czasie widać już nieco ukojony ból, czuć siłę, któréj gdyby kto balsam wlał w usta, wskrzesiłby ją jeszcze— i spotężniałoby doświadczeniem i niedolą przecierpianą mocniejszą niż była. Ale dokoła niego było pustkowie, lub ludzie co się na lekarzy nie zdali, co smutnie nad raną stękając i nie wiedząc co na nią przyłożyć, rozrywali go śmiechem i rozbudzali pustą igraszką lub szałem. Sam poeta odurzał się teatrem, wesołém towarzystwem, które on swym duchem żywił, a od którego nic nie brał, wycieńczał się, aby możliwą uczynić egzystencyę złamaną. Choroba, która go obalić miała, trawiła powoli. Czuł się źle... Chwilami porywał się z tego odrętwienia ze śmiechem ironicznym, z energią gorączkową, ale wkrótce potém opadał na siłach... W tém wszystkiém — mówi Kraszewski— czuć dogorywającą lampę wieczora, przypominającą tę, którą poeta postawił u łoża konającego Acerna... Mrok snu wiecznego osuwa się na wypłakane powieki... Budzi się niekiedy, oburza przeciw nicości i śmierci, ale już nic uratować go nie może. Poeta widocznie chylił się do grobu. W jednym z ostatnich listów do Chęcińskiego pisze: «Rozwinął mi się ból piersi, kaszel, odjęło zupełnie władzę w nogach; nie są to suchoty, ale coś bardzo do nich podobnego. Cierpie-

nie odbiera swobodę myśli i, co za tém idzie, możność umysłowéj pracy, stagnacya staje się mimowolnie, *roboty* zalegają, kawał chleba szczupleje, a wydatki się mnożą. Cóż począć? może da Bóg, że nie upadnę pod ciosem... Nie chciałbym prędko umierać, bo wiele, bardzo wiele mam obowiązków.» W ostatnim liście do tegoż (z r. 1860) obszerniéj jeszcze opisuje swój stan opłakany: «...Gorzéj mnie, bo artrytyzmem do łóżka przykuty, nie mogę wygodnie wziąć do rąk pióra, którego każda myśl w gnuśném leżeniu zamieniła się w marzenie, potém w drzymkę; gorzéj mnie, bo mieszkając w środku miasta, w gwarnéj, brudnéj ulicy, przy zbiegu czterech ulic, czułem od świtu do północy, jak mi mózg kipi od gwaru dorożek i napędza do głowy ból niewypowiedziany... A wybrnąć z tamtéj jaskini nie mogłem, bom kwaterował u lichwiarza, któremu winien byłem i komorne, i summę rękodajną. Zważ, że to nie są wcale warunki do myślenia, do tworzenia, do pisania choćby zwyczajnego listu; zważ, że z powodu choroby będąc zawsze w domu, nie mogę powiedzieć, że mnie w domu nie ma; nieraz więc od rana do zmroku muszę przyjmować odwiedziny figur, które nic mi nie dając, pozbawiają tego co najdroższe, czasu i myśli, i co najniezbędniejsze w samotności a szalenie drogie w Wilnie — cygar. O finansów okropnym stanie nie ma już co i mówić, o mnóstwie potrzeb także. Cóż mi zostało więcéj? — życie ducha, powiesz. Lada jako wcieliwszy najdroższe ideały duszy i zawiodłszy się tak fatalnie, mój Boże, ileż przecierpiałem pókim przekonał sam siebie, że pokpiłem sprawę — nie zaś jak bluźnierczo począłem był wierzyć, że ideału nie ma na świecie... Ostatnią deską ocalenia był dla mnie zawód literacki, ale z Wilnem... dzieli mię cała przepaść przekonania; zresztą nie cierpię tego bezmyślnego rozlewu atramentu i farby drukarskiéj, téj paplaniny na arkuszach jak obrusy, do których czujesz że się nie przyłożyły ani głębsze pomyślenie, ani serce autora! A Warszawa! przebież naprzykład zeszłoroczne zeszyty... Czy suche i gryzące jak pieprz tłuczony rozbiór waszych K. Z. N. zdolne są podsycić w kim ducha i naelektryzować go do postępu? Ręka mi zdrętwiała, pióro z rąk wypadło; powiedziałem sobie: niech raczéj dzieci głód cierpią, niż mam być codzień chłostanym od ulicznego pismaka, który mój mozół kilkomiesięczny zbędzie słówkiem lekceważenia, i to najczęściéj od rzeczy. Wszakże to czyta świat wprzód nim książkę. Więc rzekłem sobie, może i miałem kiedy talent, alem czy przez moję winę, czy przez

niedolę go stracił; niewart jestem stać u ołtarza sztuki i śpiewać mojemu krajowi *Hosanna!* Umilkłem. Jak zobaczysz którego z waszych krytyków, to mu powiedz, że dopięli celu, że mnie z niwy spędzili... Lato przepędziłem u wód w Birsztanach, niemal bez skutku. Choroba zewsząd, choroba! czuję ją w nogach, w piersiach, w mózgu, w sercu... Źle mówię *czuję*, bo *czułem:* św. Michał ze zmianą mieszkania znacznie mnie polepszył. Mieszkam także w środku miasta, ale w ciszy jakby wiejskiéj; gwar mnie nie dolatuje, cherchot uliczny uszów nie drażni, brzydka woń w mdłość nie wprawia. Mam przed oczami naszę wspaniałą katedrę, zamek Jagielloński i ogród botaniczny; mam dwa jasne saloniki, w których marzę, czytam i piszę *najczęściéj przy łojówce i bez opału.* Do ludzi nie mam żalu; owszem, czuję prawdziwą miłość, ale gwaru ich nie chcę i unikam. Ten pustelniczy od miesiąca sposób życia restauruje mnie, daj Bóg na długo, ale dotykalnie. *Poczynam żałować kilku lat styranego życia; czuję, że kres się zbliża i żałuję, bo użyłbym go inaczéj.* Zresztą, stało się, nie żal mi i nie przeklinam przeszłości; ale wypłaciwszy dług szałom młodości, wypłacić go należy męzkiéj rozwadze, i powiedzieć sobie, że się już seryo weszło w drugi okres życia, i że wrócić ku przeszłemu, czy on był zły, czy dobry, niepodobna.» — Ostatnie słowa tego listu są pełne znaczenia; malują one stan serca i duszy człowieka, czującego blizki swój koniec.

W grudniu 1860 jeden ze znajomych poety pisał o nim do Kraszewskiego: «Nie mogę przepuścić płazem obrazu dotkliwego stanu tego poety. Zjarzmione bolem i słabością ciało; napróżno dusza sili się jeszcze pracować dla teatralnéj nagrody od publiki; ziębnie prawie przy piecu, ciężar w nogach, bezsenność, a przeklętych cygar nie rzuca, lubo doktor ujął napój gorętszy wszelki... Synek biedny z miną Sobieskiego, chory na koklusz; żona czuwaniem znękana; niedostatek w potrzebach życia, gdyż praca i talent żywiły go z rodzeństwem, tak dalece, że jeszcze pomagał wciąż siostrze z dziećmi. Pobyt w mieście bez żadnéj siedziby na wsi, przy obecnéj tutaj drożyznie, toć cząstka wyobrażenia stanu tego pisarza...» W lutym 1861 sam Syrokomla pisze do Kraszewskiego: «Ostatnie trzy lata były dla mnie dniami okropnemi: nie ma moralnego cierpienia, któregobym nie przeniósł, a które na wrażliwém sercu mojém wypaliły każde, po jednym niezgładzonym krzyżu. Skutkiem przejść gwałtownych zdrowie krze-

pkie zachwiało się, artrytyzm odebrał mi władzę nóg (napróżno próbowałem dzielności wód Birsztańskich i Druskienickich), teraz mam zdeklarowane rozszerzenie wątroby i śledziony, z sił opadłem do ostatka. Zacni lekarze: Zdanowicz, St. Wikszemski, Jan Pilecki, to pojedyńczo, to najczęściéj *viritim* mnie leczą, a dzięki im, czuję się poprawionym do tyla, iż wierzę, że jeśli dożyję do wiosny, wstanę z łóżka zupełnie odrodzonym. Wśród tego zamętu boleści ducha i ciała, głowa ani mogła zdobyć się na jakąkolwiek kreacyę; umysł przywykły do opracowywania myśli, łamał się z cierpieniami; mam aż siedem rzeczy rozpoczętych, ale żadnéj z nich nie mam siły wykończyć. Korzystam z chwil swobodniejszych od bolu i pracuję w łóżku, zaledwie mogąc utrzymać pióro. Dźwignąwszy się nieco z choroby, Boże, jaki straszliwy zamęt znalazłem nie tylko w głowie, ale w książkach, w papierach, w interesach. Łaskawi odwiedzający, kiedym był w łóżku, trzęśli biurko szukając *co napisałem nowego*, brali z szaf książki bez liku (tak straciłem kilkanaście dzieł wielkiéj wagi). Nie pracując a mając do utrzymania aż dwa domy, wpadłem w spore długi, załamałem ręce i znowu obezsilony padłem na łóżko, a Wikszemski i Pilecki pojąć nazajutrz nie mogli, że zostawiwszy mnie wczora prawie uzdrowionego, znaleźli wszystkie symptomata choroby w powiększonym stopniu. Jeden rzut oka na otaczający mnie chaos, zepsuł więcéj krwi, niż ich wezykatorye, bańki i pijawki wysączyć mogły.» Z wielką rzewnością dziękował daléj za honorarya, które mu posłano wcześnie na to, co miał napisać: «Trafiły w chwilę, kiedy— dodaje— nie tylko nie było czego gotować na obiad, ale nawet czém naniecić ogniska.....» Do listu tego dołączył pierwszy rozdział *Kosacza* [17]), który nigdy nie miał być skończony, sił brakło. Choroba go zjadała.

W roku tym zapragnął widzieć Warszawę i mimo pogorszającego się zdrowia wyruszył w podróż z gorączkowym pośpiechem. Zaledwie się tu znalazł, w parę dni zażądał gwałtownie powracać do domu. Przybywszy do Wilna, musiał ztąd wyjechać na przydłuższy pobyt w Borejkowszczyznie. W czerwcu z téj pustelni pisał do jednego ze swoich znajomych: «Bawię się teraz w pasterza sielankowego na wsi i wypędzam cielęta z ogrodu, wpajam zasady liberalne w starego konserwatystę indyka, z kogutem śpiewam *kukuryku!*

17) Tak się nazywał stary koń Kondratowicza.

A gdy się serce naprawdę rozboli,
Marząc o swoim i ojczyzny losie:
Kładnę się w cieniu szerokiéj topoli
I biję muchy na nosie.

To życie niezbyt wesołe natchnęło mu pełną ironii, prześliczną elegiję na wzór Owidyuszowych od Pontu. Napisana z ogromną siłą dowodzi, że Syrokomla zachował ją do ostatka, i że potrzeba ją tylko było dobyć i obudzić, aby na wierzch wyszła. Przytaczamy ten utwor z lukami, jak go wydrukował Kraszewski w książce *Wład. Syrokomla* (str. 195—197).

August Cezar, co niegdyś dla pańskiego tonu
Posprowadzał do Rzymu muzy z Helikonu,
Nie szczędząc hojnych darów i sutych przyrzeczeń,
Wirgilich i Horacych zapraszał na pieczeń:
Dostrzegł, że z etykiety straszliwą obrazą,
Bałamuci mu córkę Owidyusz Nazo.
Był to poeta, dworak przy wielkim Auguście,
A pannie były jego pentametra w guście...
Julka to panie była hoża czarnobrewka,
Rzymianka, krew nie woda, spirytus nie dziewka...
Djabeł nie śpi w tych rzeczach, może być nieładnie...
.....
Tak myślał Cezar August...
.....
Więc się radzi przyjaciół, nie zwlekając chwili.
Agryppa i Mecenas tak mu poradzili:
«Trzeba zaraz ostudzić te zapały wieszcze.
Szkoda, że nikt Kayenny nie wymyślił jeszcze.
Lecz jak można w tych czasach zaradzając biedzie,
Niech nad morze Euxyńskie poeta pojedzie,
A tam jeśli się gadać nie nauczy prozą,
Niech go na szuhalei do Pińska zawiozą.»
Jak się rzekło tak stało; znękany i chory,
Już Nazon w pińskich lasach zbiera muchomory,
Łowi wiuny i raki Cezarów dworaczek
I z łuku sarmackiego pudłuje do kaczek.
A co poczta przyjaciół swemi listy nudzi:
«Jak mi tęskno do Rzymu, do tamecznych ludzi!
«Proście, niechaj mnie Cezar uwolni od kary,
«Bo tutaj mnie poleskie zagryzą komary.»

Przyjaciele, zwyczajnym torem przyjacieli,
Przyrzekli uroczyście, potém zapomnieli.
Julia! — puchu marny! istoto kobieca!—
Do junkra pretoryańskiéj straży się zaleca...
.....
A poeta, wygnaniec z głodu i ze smutku
W dobrach Radziwiłłowskich umarł w Dawidgródku.
Dotąd jego imieniem góra się nazywa...
Otoż czułych poetów dola nieszczęśliwa!

Ja, co żadnéj Julii nie zaszedłem w drogę,
Ja, co z Owidyuszem równać się nie mogę,
Skazany wyższą wolą, w niemałym kłopocie,
Siedzę w Borejkowszczyznie, jak on w pińskiém błocie.
Kazano mi naturą napawać się wiosną:
Patrzę na wiotkie brzozy, a tam rózgi rosną;
Na łąkach nie masz trawy, a kłosów na niwie;
Wśród kwiatów bujny oset wyrasta szczęśliwie.
A ja biedny wygnaniec z krainy dalekiéj,
Nawet raków nie łowię, bo tu niéma rzeki.
A Litwinki nadobne, a królowe żniwa?
Każda się z nich do roku dwa razy umywa;
Każda, snadź dla większego sielskiego uroku,
Czesze złocisty warkocz tylko raz do roku,
A swą śnieżystą szatę z góry aż do dołu
Ozdabia w długie pasma sadzy i popiołu.
Bohaterki litewskie, Aldony, Pojaty!
Musiałyście myć częściéj oblicza i szaty,
Albo wasi rycerze w kudłatéj niedzwiedni,
W zapalczywéj miłości nie byli wybredni,
A dzięki wajdelotom i harfie pieśniarzy,
Litwinki wyszły piękne, choć nie myły twarzy.

Wychodzę do ogrodu, a tu Żyd się kłania,
Polak mojżeszowego, chcę mówić, wyznania.
Za czterdzieści srebrników, co mi dał do dłoni,
Arenduje owoce gruszy i jabłoni,
I jako mąż przezorny, przygląda się bacznie;
Czy właściciel ogrodu gruszek kraść nie zacznie.
Więc krok w krok postępując od drzewa do drzewa,
Jerozolimskie hymny pod nosem mi śpiewa.
Jakże tutaj potrafisz, o synu człowieczy,
Zgłębiać filozoficzne lub dziejowe rzeczy,

Lub siadłszy pod gałęźmi cienistéj topoli,
Grać na wiejskiéj fujarce twemu sercu gwoli?
Choćbyś został Newtonem, domyślać się snadno,
Że tutaj żadne myśli z jabłkiem ci nie spadną.
Powracam do komnaty, do cichéj komnaty,
Kędy człowiek pracował i marzył przed laty,
Gdzie były stosy książek, mój pokarm młodzieńczy:
Dzisiaj echo samotne pod stopami jęczy.

Kiedy nadmiar udręczeń życia za brzegi wylewał, niekiedy się wyrywało z ust poety ledwo dostrzeżone szyderstwo lub otwarta skarga bolesna, a nawet wołanie o pokój mogiły. Takim jest wiersz p. n. *Cupio dissolvi!*

Na co mi, Panie, ta suknia z ciała,
Co mi swobodną duszę skowała?
Skowała w pancerz, ciśnie i gniecie,
I zatrzymuje na ziemskim świecie.
Ja jestem duchem... duchem, nic więcéj...
Po co mam chodzić w szacie zwierzęcéj?
Moje radości, moje katusze,
Na dzwonku serca wydzwaniać muszę,
A nieśmiertelnych myśli osnowa
Musi się ścieśniać bełkotem słowa.

Kiedyś mię stworzył wolną istotą
Między występkiem a między cnotą,
Czyż grzech i cnotę przed okiem nieba
Koniecznie ciałem wyrażać trzeba?
Jeśliś przeznaczył ludziom za brata,
Czyż tylko ciało braterstwo splata?
Czyż tortur ducha nie masz w Twych ręku?
Czyż nie rozumiesz bolów bez jęku?

Dałeś mi mowę, cóż ona znaczy?
Czyż choć cień myśli méj wytłómaczy?
Dałeś mi zmysły, cóż ich powaby?
Każdy ułomny, każdy z nich słaby.
Każdy kłamliwy w swojéj osnowie,
Żaden mi ścisłéj prawdy nie powie.
W uchu i w oku, w smaku i woni,
Tylko się samo złudzenie chroni,
Tylko przeszkoda duszy człowieczéj,
By doskonaléj pojęła rzeczy.

W ziemskich warunkach ciała i kości
Spada korona niezależności;
Duch musi stawać na ziemskiéj mierze,
Ziemska namiętność swe prawa bierze;
Wysokie żądze giną bezpłodne;
W zamian rozkoszy, co mnie niegodne,
Głód i pragnienie, zimno i spieka,
Dają poczucie nędzy człowieka.
Łakomstwo duszę przy ziemi trzyma,
Próżność piersiową klatkę wydyma,
Nienawiść ręce uzbraja w noże,
Miłość zbydlęca co było boże.
Tak... nawet miłość— uczuć królowa,
Tutaj świętości swéj nie dochowa.

A zawsze bolem serce się kraje,
Ale ta boleść chluby nie daje;
Ja moje ziemskie spłacając długi,
Cierpię męczeństwo, lecz bez zasługi!
Kiedy mię ziemskie cierpienie zmoże,
Z więzów cielesnych wyrwiesz mię, Boże,
Ale już dusza nie będzie młoda,
Już jéj przeminie dawna swoboda,
Bo ją bolesna pamięć przygniata
Grzechu i cierpień ziemskiego świata.

Poczet VI-ty «Gawęd i rymów ulotnych» z tegoż roku zawiera kilka pieśni bardzo pięknych, np. *Co jest poeta? Księgarz uliczny*, dawniéj napisane *Procedencye szklanicy miodu* i t. d.; ale obok tego wiele tłómaczeń i naśladowań, powtórzeń i przypomnień. W tém co piękne, poeta na dawny temat się nastraja, nowego dźwięku trudno mu dobyć z piersi. W tymże roku ogłosił Syrokomla *Życie i pisma Ig. Chodźki*, przyjaciela i starszego towarzysza wielu dni ubiegłych, napisane z wielkiém uczuciem. Materyału do nich dostarczyły wspomnienia, notaty, same utwory autora i jego korrespondencye. Syrokomla dużo i obszernie mówi o pismach Chodźki, które przestudyowywa, wskazując i przywodząc celniejsze ustępy, nie mogąc się rozszerzyć o samém życiu autora dosyć cichém i świeżo jeszcze przerwaném. Widocznie wyjmuje z całego zawodu człowieka to, co go w obec przyszłości najjaśniéj postawić może. — Zresztą cały ten rok 1861 zbiegł na pracy urywkowéj, bo już dłuższéj nawet nie przedsiębrał, na wyzy-

skiwaniu biednego kawałka chleba, w towarzystwie coraz szczuplejszém ludzi obojętnych, żałujących nawet biedaka, ale zimnych i bezsilnych. Z za chmur kiedy niekiedy zaświtało słońce, błysło, i znów posępna wracała słota. Nic ważniejszego nie projektował nawet pisać Syrokomla: czuł, że się wyczerpał zdrój, z którego coś popłynąć mogło; pracował dla *Kuryera Wileńskiego*, obmyślał roboty prozą, rzucał wierszykami drobnemi jak piaskiem, bo na te zawsze był szczodry i rodziły się mu na zawołanie, a zostawił ich po sobie moc niezliczoną. Są to najczęściéj figlarne i dowcipne lub ironiczne wybryki dobrego humoru, w których, jak u niego zawsze, śmiech przez łzy patrzy, a łza suchy śmiech odwilża. Najlepsi przyjaciele Syrokomli pochwalić mu nie mogli rozpraszania się takiego, téj szczodrobliwości nad miarę. Zużywał się on na nie bezkorzystnie, ale odmówić nie mógł najprzód ludziom, potém już nałogowi. W lepszém nieco towarzystwie Syrokomla nie byłby tak nieustannie wyzywany; szanowanoby więcéj święty dar poezyi; ludzie prościejsi bawili się tém jak dziecko cackiem igrające, które kręci póki nie zepsuje [18]).

---

18) Takich epigrammatów, ucinków, strofek do artystów, przeciw niektórym, do przyjaciół, w albumach, została nieskończona ilość. Nie dodadzą one listka do wieńca poety, ale należą do charakterystyki człowieka. Przytaczamy z nich parę.

Do lepszych należy *Nagrobek obywatelowi.*

D. O. M.

Bił chłopów pałką,
Poił gorzałką,
Miał sto chat z górą,
Jadł barszczyk z rurą,
Popijał piwo,
Zbierał grosiwo,
Czasem od święta
Ciął się w karcięta,
Miał arendarza,
Z którym rozważa:
Czy będą wojny?
Czy czas spokojny?
Zjadł na śniadanie
Udo baranie
I witych w cieście
Kołdunów dwieście.
Tak z niestrawności
Doszedł wieczności,

Zawód ten, pod tak świetnemi wróżby rozpoczęty, zbliżał się nareszcie do końca. W ostatnich chwilach świeciły mu jeszcze myśli jaśniejsze; w 1862 zamierzał wydawać pismo zbiorowe, dla poczynających przeznaczone pisarzy p. t. *Czeladź literacka*, ale czas nie był po temu, aby przedsiębrać stalszéj pracy wymagające wydawnictwo. Zdrowie było coraz gorsze, pisać jednakże nie przestawał. Zbiorek poezyj wyśpiewanych w téj chorobie, z dołączeniem kilku dawniejszych, wyszedł już po śmierci autora p. t. *Poezye ostatniéj godziny* (u Sennewalda). Są tam ustępy tak cudne, tak szczęśliwie natchnione, że i równych nawet u Syrokomli trudno znaleźć. Kilka pieśni *Dziewiczego wieczora* i przedziwnéj fantazyi i humoru *Melodye z domu obłąkanych*, stanowią główną tego zbioru ozdobę.

Już nie swoją ręką, w połowie sierpnia nakreślił kilka słów do Kraszewskiego, dziękując za układ z Sennewaldem. «Z ukontentowaniem największém przyjąłem, pisał, wiadomość o zawartéj przez ciebie umowię z G. Sennewaldem, którego firma słynie ze szlachetnéj uczciwości nie tylko w kraju, ale nawet między księgarzami... Nie sądź Józefie, abym porzucał

I w ciemnym grobie
Spoczywa sobie.
Nim wieki zbiegą,
Tnie Chrapickiego,
Aż głos anioła:
—«Wstawaj!— zawoła —
«Bo już gotowa...
«Pieczeń wołowa!»

P. M. Neumark, kierujący naówczas w Wilnie księgarnią Rubena Rafałowicza, któréj nakładem sporo dzieł Kondratowicza wydano, ofiarował poecie kufel do piwa. Na pokrywie tego kufla wyryty był następujący wiersz Syrokomli.

Niemcy nam chcieli ukraść Kopernika:
Ze złodziejskiego odarto ich blasku!
Chcieli nam dowieść, że piwo wynika
Z ich wynalazku.
Ale w Dytmara pismach zostawiona
Pamiątka stara, kronikarska, żywa:
Bolesław Wielki przyjmował Ottona
Kufelkiem piwa.

Krytyka, która go więcéj dojmowała, niż była powinna, wywołała wierszyków troje, niezbyt udatnych: *Na co jest krytyk? Na co jest strzelec? Na co jest pudlarz?*

był choć na chwilę poezyę. Kiedy przed pięciu coś laty arystarchowie polscy w Warszawie, jakby zmównie i prawie jednocześnie z włóczniami, z gąbkami, żółcią i octem napełnionemi, poczęli mię kłuć i goryczą napawać; naturalnie, że mi się ręce załamały, głowa na piersi powisła; ale, po długim wprawdzie letargu, gdy stan ten przeminął, pierś po staremu zapragnęła huczyć a pióro skrzypieć; natura wilka pociągnęła znowu do lasu i począłem pisać nieustannie, tyle tylko drukując, ile koniecznie było potrzeba na chleb licznéj rodziny. Przyszły potém fatalne czasy, naprzód dla mnie osobiście, potém powszechne. Gdy pod ich wstrząśnieniem już się pióro w ręku utrzymać nie zdołało, część tych prac sam *zniszczyłem*, drugą poszarpały dzieci; została jednak spora garstka fragmentów, które jeszcze w znośną całość dałyby się obrobić. Choroba mi przeszkadza do zajęcia się.»

Umierający już prawie, napisał Syrokomla wstęp do tych poezyj; ale mimo poczciwego uczucia, które go natchnęło, zabrakło całkiem siły na wyrobienie jego: myśl pod koniec splątała się; ręka, którą usiłował na papierze nakreślić słów kilka, napół ostygła już była tchnieniem grobowém.

Poeta skończył swój zawód pełen boleści d. 15 września 1862 r. [19]).— Pogrzeb był wspaniały, z tysiącem ludu w orsza-

---

19) *Na godzinę przed śmiercią* podyktował Syrokomla list do Kraszewskiego, list przerażający wysiłkiem umysłu, pragnącego jeszcze być panem siebie mimo odrętwienia, które nim owładało. «List otrzymałem— dyktował— za wszystkie oznaki twojéj przyjaźni wdzięczen jestem. Urodzaje u nas liche, to piszą z rozmaitego rodzaju *burg* i *garden* z Niemiec. Ja jeżeli chwilowo otrzymuję wzmocnienie od wina, to po dwóch godzinach już jestem pokutujący za moję zbytnią energiję. Drogi Józefie, com obiecał, to ściśle dotrzymuję. Słodka nadzieja, że w pełném zdrowiu sztandar pracy rozwinę... Pozwalałem sobie na niektóre niezbędne, chociaż nie zawsze już dozwolone rzeczy. Kapitalik się rozszedł, z głodu nie zginę, ale co widzę przed sobą? czarną przyszłość. Co robić?...» Daléj niezrozumiałe następują dyspozycye, a list dyktowany wieczorem o ósméj, kończy się: «Pisano o siódméj z rana, autor kładzie się spać. Jeden z najpiękniejszych utworów Calam'a rytowany, dzieło na tem traci i publiczność. Ściskam.»

Przed samém skonaniem podyktował malarzowi M. wiersz, który tu przytaczamy z rękopismu, jako pamiątkę ostatnich chwil poety.

Wyszukałem wśród tych borów,
Gdzie człowiek za człekiem biega,
Sztuk dramatycznych aktorów,
Sztuki małżeńskiéj autorów,
Scenicznych rekwizytorów,
A wszyscy pełni humorów

ku, z bijącemi sercami młodzieży, z laurem na złotkiéj skromi, z mogiłą usypaną dłoni gorących natłokiem... Koleją odezwały się dzwony i modlitwy po wszystkich niemal kościołach; goręţsi rzucili grosz wdowi składki dla rodziny, a zacna szlachta kowieńska na zebraniu w Nowo-Aleksandrowsku (Jeziorossach) wniosła projekt narodowego daru, kawałka ziemi, którą tak kochał, dla osieroconych dzieci.

Przejdźmy do ważniejszych utworów Syrokomli.

Najistotniejszą cechą i powołaniem prawdziwém Syrokomli był liryzm; lirycznym jest on w gawędzie i w próbach epopei, w dramacie, w prozie, w listach, zawsze i wszędzie. Największym też jest poetą wtedy, gdy śpiewa swe na pół łzawe, pół uśmiechnięte piosenki lirnicze, swoję tęsknotę i dobroduszny żarcik, napróżno probujący być złym. Z ustępów przytoczonych w życiorysie poety łatwo jest dostrzedz, na czém polega zasadniczy charakter a zarazem największy urok jego utworów. «Przy nieprzebranéj rozmaitości pomysłów i wdzięku formy artystycznéj, przy coraz większéj pewności pióra i głębokości refleksyi, duch w jego dziełach zawsze jeden pozostawał:— duch cichéj, rzewnéj, niezgłębionéj miłości. Nigdy

---

Krzyczą: «Kolega! Kolega!»
Potém nastają uściski,
Szepty i miłość...
Lecz zachód słońca już bliski—
Febus wziął dwa papierosy,
Kapelusz, chustkę do nosa,
I poszedł w miasto na zwiady,
Gdzie jęczą boleśnie chorzy,
Gdzie dają *franco* obiady,
Co grają lepiéj, co gorzéj,
I którą sztukę wybraną
Posłuchać pacyentom można...
Inna... na oko ostrożna,
Grozi nerwów rozerwaniem—
Trafił, zapisał, rozgłasza—
O! co za sława jest nasza!
A całe miasto powtarza
Myśl genijalną lekarza.
Reżysser nic nie wie jeszcze;
Zahmurniała Wilja i Wisła,
Lunęły trzydniowe deszcze,
Harmonja w bloku zawisła;
A całéj sprawy téj treści
Widziałeś domek niewieści.

Kondratowicz nie splamił pióra występném bluźnierstwem, nigdy nie miotał pogardą na społeczeństwo, nigdy nie zwątpił o zacności natury ludzkiéj i ostatecznym tryumfie dobra, nigdy nie poszedł w ślady samolubów o spopielałém sercu, którym się zdaje, iż tém wyżéj się wzniosą, im bardziéj wszystko poniżą. Skargom jego nieodstępnie towarzyszyło przebaczenie, a udręczeniom modlitwa o «mądrość boleści» [20]). Ta wiara, ta miłość i ta nadzieja w przyszłość szczęśliwą, towarzyszyła mu do grobu i z za grobu przyświeca społeczeństwu...» (słowa W. Korotyńskiego w przedmowie do pośmiertnego wydania poezyj Kondratowicza).

Z największém upodobaniem Syrokomla przyodziewał poetyckie pomysły swoje w liryczno-opowiadającą formę *gawędy*. Nie stworzył on jéj pierwszy, ale odtworzył ją po swojemu, oryginalnie, tak że się stało jego własnością, że może się nazwać jego formą najwłaściwszą. Gawęda Pola a jego (mówi Kraszewski), są to dwie siostry, ale nic do siebie niepodobne; charakter ich cale inny, familijne rysy pozornie je tylko zbliżają. Syrokomla nie zapożyczył się u Pola, wziął swą gawędę z potrzeby ducha czasu, uchwycił ją w powietrzu, odgadł że była dla poezyi koniecznością momentu tego. Gawęda jest poślubieniem rzeczywistości z ideałem, które stanowi w literaturze epoki nieustannie zaprzątający ją cel. Oddziaływanie przeciwko mglistym ideałom literatury klassycznéj, która żyła w urojonym świecie konwencyonalnym, zrodzić musiało w istocie, najprzód zbytnie zakochanie się w realizmie, potém tę je-

20) Cudne to wyrażenie znajdujemy w rzewnym wierszyku p. n. *Borejkowszczyzna*. Przytaczamy go tu jako jednę z najpiękniejszych perełek poezyi Syrokomli.

Nie mój to domek, nie moja gleba,
Choć chleb mi rodzi przez lato;
Moim jest tylko ten błękit nieba,
Co się unosi nad chatą.

Pod skrzydłem chmury, pod cieniem strzechy,
Miałem i ciernie i róże;
Prędkoż me bole, moje pociechy,
Ojcu ziemskiemu wynurzę?

W poblizkiéj wiosce, w cmentarnéj głuszy
Zacny się starca (a) proch mieści:
Boże daj spokój zmarłego duszy,
A żywym — mądrość boleści!

(a) Ojca poety.

go mięszaninę z ideałem, którą jest właśnie gawęda, próba upoetyzowania życia, bez odjęcia mu barw właściwych. W gawędzie mieści się wszystko, co stanowi wątek żywota, jego barwy prawdziwe i światło niebieskie. Stosunek do siebie tych pierwiastków, przewaga ideału lub rzeczywistości, pogląd ulubiony na jaśniejszą lub ciemniejszą stronę, czynią gawędę poematem lub powieścią, pieśnią lub opowiadaniem. Jest to przytém forma nadzwyczaj giętka, szeroka i dozwalająca mieścić w sobie wszystko, czém serce uderzy, co myśl przyniesie, co oko nastręcza. Dziewiętnasty wiek takiéj właśnie potrzebował po zbytku i przesadzie niewoli klassycznych prawideł. Mickiewicz w «Panu Tadeuszu» dał wzór niedościgniony w takim właśnie rodzaju, jak na mniejszą skalę są gawędy. Jest on w nim daleko potężniejszy i od Pola i Syrokomli. «Pan Tadeusz» otworzył wrota poematom współczesnéj treści, w których rzeczywistość otrzymuje prawo obywatelstwa. Aczkolwiek gawęda Pola jest inną i wielce różną od Syrokomli, obaj oni wszakże odetchnęli atmosferą «Pana Tadeusza», patrzali na ten wizerunek cudny jako na pierwowzór poezyi nowéj epoki. Tylko Pol cofnął się nieco jeszcze w przeszłość, bo w teraźniejszości nic dla serca nie znalazł: Syrokomla powołał lud na scenę, bo z nim najmocniéj sympatyzował. Niekłamane współczucie dla nieuposażonych od losu, których dolę i niedolę nosił w sercu braterskiém, nad których podźwignieniem, nie mogąc czynem, przynajmniéj myślą w skromném zaciszu pracował, zjednoczenie miłości dla czcigodnego obyczaju i dobroczynnego postępu, dla tego co przeszłość jako drogą puściznę pozostawiła i co upragnionego dla ludzkości przyszłość z po za tajemniczéj zasłony ukazuje, miało w Kondratowiczu wierne i niestrudzone echo, które w duszach szlachetnych głośne znalazło odbicie. Nikomu też, nie wyjmując nawet najbardziéj w serce ludu zapatrzonego autora *Wiesława*, nie udało się tak go wiernie odmalować, jak widzimy w najpierwszych już drukowanych utworach Kondratowicza, w *Pocztylionie i Chodyce*, jak daléj w *Pogrzebie rolnika* i *Lirniku wioskowym*, w *Garści pszennéj* i *Niepiśmiennym*. Lenartowicz, który w pieśni z wątku żywota ludu wysnutéj niezaprzeczone w literaturze polskiéj wywalczył pierwszeństwo, późniéj dopiero ukazał się na widowni. W obrazowaniu szlachty zaściankowéj miał Kondratowicz poprzednika w autorze «Pana Tadeusza», gdzie magiczném skinieniem wyprowadzono cały rój niezrównanych postaci szaraczkowych, oraz w autorze pierwszego opowiadania Przygód Win-

nickiego, gdzie jednę chwilę służebnego życia szlachty na strawie magnackiéj pochwycono. Wszakże pierwszy z tych poprzedników Kondratowicza spoglądał na zaścianek jedynie w chwili niezwykłéj; drugi okiem artysty patrzał na formy życia szlacheckiego zewnętrzne. Co się działo w głowie i sercu ubogiego szlachcica, gdy w pośród nocnéj ciszy tkliwie wpatrywał się w *Trzy gwiazdki* swoich synów, gdy z panem bratem dziarsko szedł na szabelki w *Dyfferencyi*, gdy rzewnie dumał nad sierocém rumowiskiem swojego *Zaścianku Podkowa*, gdy rubasznym przykładem oduczał syna od szukania pożytku w *Kradzioném*, lub służalcowi kasztelańskiemu hardo rzucał *Trendzłowe*, to dopiero Kondratowicz mistrzowskim pędzlem odwzorował. Ten żywot niepozorny, a rzeczywiście wysoce pożądany dla artysty, znalazł późniéj malarzy w literaturze powieściowéj; ale w poezyi nikt pod tym względem nie dorównał Kondratowiczowi. Pol w swojéj gawędzie jest zamaszysty, szlachecki, zachowawca, na chłopa pogląda z wysoka i przyjmuje go tylko jako ideał wiernego służki: Syrokomla przedewszystkiém kocha lud, szlachcica lubi, ale ubogiego i jak najbardziéj zbliżonego do ludu, woli jednak wieśniaka, i czuć że wierzy w przetworzenie się społeczności, w zespolenie się wszystkich jéj pierwiastków. Pol jednemu uczuciu społeczności szlacheckiéj, zakochanéj w swym świecie już w gruzy rozpadającym się, poświęca człowieka i to wszystko, co leży po za krańcami jéj widnokręgu: Syrokomla czuje ze wszystkimi, jest uniwersalny sercem; nic mu obcego w życiu, a przedewszystkiém zna boleści różne, zna łzy wszelkie, czuje cokolwiek kto czuł kiedy, a wszystkie cierpienia świata wywołują mu łzę na źrenicę. Pol nie umie być ironicznym bez gniewu, pierś mu się unosi oburzeniem, gdy szydzi: Syrokomla, jak naprzykład w tym wierszu do szlachty tak gwałtownym, chociaż wzruszony, potępićby nie miał odwagi ni siły .. Lada słówko — jak mówi Kraszewski — rzuciłby się na szyję. Słowem, Pola gawęda jest nadewszystko szlachecką; Syrokomli — ludową i ludzką. Tam gdzie maluje dzień dzisiejszy (jak w obrazie nabożeństwa w «Wielkim Czwartku»), Syrokomla jest bardziéj uczniem Mickiewicza, niżeli nim był kiedykolwiek Pol, i mniéj się obawia śmielszych rysów, które Pol ogólnikami zaciera, lub na swój sposób idealizuje. Forma Pola w gawędzie niekiedy jest piękną i artystyczną, zawsze opracowaną dosyć wykwintnie; u Syrokomli pracy jest mniéj, ale forma daleko wdzięczniejsza i rzutniejsza, a serce przez nią mówi szcze-

rzéj... czujesz, jak kołace. W jego gawędzie mieszanina ironii lekkiéj i wielkiéj czułości jest jego własnością wyłączną, jego charakterem osobistym. Ciągle się w niéj splata ten półuśmiech gorzki, który ciągnie za sobą płacz, i łza nie mogąca spaść z powieki, któréj towarzyszy osładzający ją uśmiech. Pol często, prawie zawsze, pamięta dobrze co czyni: pozuje, myśli o tém, jak się wyda, co powiedzą; Syrokomla jest sobie jak go Bóg stworzył, gotów popełnić wiersz nieszczególny, lecz fałszu nie powie dla effektu. W formie jest on aż do zbytku swobodnym, nie umie się skrępować niczém, jest instynktowo artystą; ale nie szuka w prawidłach sztucznych recepty na estetyczne utwory. Ledwie się domyśla jakichś określeń, zaledwie je przypuszcza, wie że okupi przestępstwo wszelkie cudnym śpiewem swoim. Dla tego w budowie jego poematów nigdzie obmyślenia żadnego, nigdzie rusztowań szukać nie należy. Jeden charakter, kilka epizodycznych postaci, pejzaż służący za tło, starczą mu na obraz, który wykończa fantazyjnie w jedném miejscu aż do drobnostkowości, w drugiém zaniedbując go, bo mu tchu lub czucia nie stało. Prawo kontrastów, rozmaitości, a nadewszystko prawo surowe kunsztu, które każe ograniczać się, obcinać, aby w jak najpotężniejszéj formie stanąć przed słuchaczem, nie obchodzi go wiele: śpiewa z poczuciem, że pieśń jego bez obmysłu będzie piękną, bo ją, jak naczynie alabastrowe, wewnątrz płonący ogień, zmieni w urocze zjawisko. To czucie gorące jest jego tajemnicą, jest treścią wszystkiego, co pisał, jest rdzeniem każdego jego utworu. Poeta należący do rodziny tych, co śpiewali przed tysiącami lat arcydziełami, Syrokomla może nadto jeszcze wie o sztuce, i to go krępuje, gdy naturą jego było kwitnąć, i jak Lafontaine był bajkopisarzem bez pojęcia co jest bajką, być poetą nie myśląc co poezyę stanowi. — Nie znaczy to bynajmniéj, że Syrokomla nie zaprzątał się teoryą i sztuką, lub je lekceważył; ale natura przemagała w nim zawsze, opanowywała go i wiodła zamykając mu oczy na te światła dla drugich konieczne, zbytnie dla jego talentu. Ilekroć, jak w *Margierze*, chciał pójść przeciwko powołaniu, drogą obmyślaną, sztuczną, określoną, przestawał być sobą, zniżał się niemal do pospolitości.

Przejdźmy do ocenienia celniejszych pieśni Syrokomli każdéj z osobna.

Jednym z największych i najlepszych utworów Syrokomli jest «*Urodzony Jan Dęboróg. Dzieje jego rodu, głowy i ser-*

ca, przez niego samego opowiadane» [21]). Jest to prawdziwa gawęda szlachecka, w któréj mieści się opowiadanie o latach młodości szlachcica Dęboroga, i zakończeniu długiéj zwady rodzinnéj między Dęborogami a Brochwiczami. «Przedśpiewek do Litewskiego czytelnika» przypomina wezwanie do Litwy w pierwszéj księdze Pana Tadeusza.

Ziemio moja rodzona, Litwo moja święta,
Żółtym piaskiem i drobną trawą przytrząśnięta!...

Lecz daléj na temat ten poeta śpiewa po swojemu:

...Litwo rodowita!
Twoja ziemia posępna, twe niebo bez blasku,
Ciebie do Włoch na pokaz nie powieść w obrazku;
Nie spada w katarakty twoja woda sina,
Na twych wzgórkach jałowiec, po lasach sośnina, —
Z nieociosanych bierwion klecone twe domy,
Kwitnie mech zielonawy na strzechach ze słomy,
A pod strzechą lud pełen prostoty i dziczy,
Rzekłbyś patrząc na niego, że do trzech nie zliczy.
A jednak do twéj treści zajrzawszy głęboko,
Litwo! tyś więcéj warta, niż zda się na oko:
Pieszczoto oceanu, dziwowisko świata,
Z twych sosen wyciosana brytańska fregata
Siermiężny syn twych wiosek po to ziemię kopie,
Aby głodno nie było pięknéj Europie;
Nie zląkł się prosty szlachcic, karmiony twém żytem,
Ani Turków pod Wiedniem, ni skał pod Madrytem.
Cicho Niemen przebiega rodzinne siedziby,
Nie straszny dla żeglarza i spokojny niby,
Pozwala siebie łodziom deptać całe lato,
Zimą da się w ciemnicę zakuć lodowatą;
Nie stawi groźno czoła — nie rwie się, nie ryczy,
Taki zda się pokorny, taki niewolniczy!
O! nie wierz téj pokorze — i patrz kiedy łaska,
Gdy się na wiosnę wzburzy i lód poroztrzaska, —
Biada! ocknął się olbrzym — wie, kto go znieważa:
Gruchoce dom rybaka i statek żeglarza,

21) Pojedyncze ustępy tego poematu były już napisane w r. 1846 lub 1847, ostateczne zaś wykończenie otrzymał dopiero w r. 1851. Drukował go po raz pierwszy M. Wolff w Petersburgu w r. 1853.

Falą zalewa błonie, echem grzmi po borze,
A gdyby jeszcze chwila — świat zniszczyłby może.
Lecz gniew jego przekipiał, już krzywd zapomina...
Ot tak samo jak Niemen i serce Litwina;
Tu gdzie niebo posępne, gdzie chłodnawe klima,
Zda się żadna namiętność wrząca nie wytrzyma,
Zda się ludzie drzémali, a całe ich życie
Upływało powoli i nierozmaicie,
Tak Litwin niepoczesny, tak zwiesił coś głowę, —
Ho! ho! zapytaj dziejów, zbierz wieści domowe,
I co mędrzec zapisał, i co prządka gwarzy,
A poznasz, jak na zimnéj i spokojnéj twarzy
Odkryć gorącéj myśli tajemnicze piętno.
O! i powabna Litwa umie być namiętną:
Tutaj chrobrym zapałem pierś męża oddycha —
Tutaj miłość dziewicza gorąca choć cicha,
Tutaj znać burze życia na obliczu starém...
Kolejno z pługiem, z krzyżem, z mieczem lub z puharem,
To rąbiąc się wzajemnie, jak rozkażą starszy,
To wiodąc w gronie dziatwy żywot patryarszy,
To w modlitwie, to doma, to między cudzemi,
Ruchawe pędził chwile mieszkaniec téj ziemi.
A ile doznał przygód! — i sam nie spamięta;
Czasem bywa ich powieść serdeczna i święta,
Czasem wypadek krwawy lub tchnący swawolą,
Niekiedy taki śmieszny, że aż boki bolą.
A pamiątkę tych przygód — co krok to znachodzę!
Każdy kopiec na gruncie, każdy krzyż przy drodze,
Stos łomów na gościńcu, kaplica, gospoda,
Wszystko tu jest pamiątką — i wszystko ci poda
Jakąś ciekawą powieść o życiu Litwina.
A ileż się tych podań codzień zapomina,
Ale widząc, nie widzi, a słysząc nie słucha,
Kto rodzimém powietrzem nie napoił ducha!...

Nie jest to cudny, uidealizowany tęsknotą obraz Adamą, lecz skromny, powszedni wizerunek rodzinnego zakąta, oświecony promykiem cichéj, rzewnéj, serdecznéj miłości.

Nie ma w tym poemacie ani charakterów, ani zajmujących wypadków. Autor poprzestał na upostaciowaniu własnych uczuć i popędów poczciwych w kilku urojonych osobach, a tryumf sumienia nad słabostkami wrodzonemi każdemu człowiekowi sta-

nowi rozwiązanie powieści. Tryumfu tego nie poprzedza nawet walka poważna. Poeta wykroił, że tak powiemy, trzy główne postacie «Dęboroga» z serca własnego. Dziarski Jan — to młodość, z sercem bijącém dla natury i ładnéj dziewoi. Ojciec bohatera, na pozór surowy a w rzeczywistości miękki jak wosk — to również nie człowiek, lecz tylko marzenie przelotne o człowieku, jakim chciałby go widzieć poeta w powszednich stosunkach życia. Wprawdzie

...Dęboróg stary
Miał swoje uprzedżenia, miał dawne przywary;
Naprzykład wierzył mocno w katechizm jedyny:
Że szlachcic stworzon z inszéj, a chłop z inszéj gliny,

Ale — dodaje poeta —

Przebaczmy staréj głowie — przebaczmy tém szczerzéj,
Że dziś po jego śmierci nikt temu nie wierzy.

Syrokomla, w malowaniu swoich postaci, uciekał się zwykle do środka bardzo prostego: zmuszał je prawić jak najwięcéj. Podobnież w *Dęborogu*, osoby poematu działają bardzo mało, lub wcale nie działają, lecz za to gawędzą nieustannie. Stary Dęboróg, naprzykład, cały odmalowany jest w dykteryjce swojéj o Wojewodzie.

«...Pracować to pracować, lecz herbowne dziecko
«Winno zawsze zachować powagę szlachecką
«W obec gminnych plebejów, co z wioski ród wiodą.
«Ot powiem jegomości — z trockim wojewodą
«Raz taki był przypadek: — Jak jegomość wiecie,
«Na poleskich jeziorach, w bujnym oczerecie,
«Lęgną się stada kaczek. Panu Wojewodzie
«Zamarzyło się z wioski sprowadzić dwie łodzie
«I ruszyć na jezioro — w jednéj szuhalei
«Byłem ja, pan Balina i dojeżdżacz z kniei;
«A w drugiém czółnie starem i popsutém wielce
«Jechał sam Wojewoda, wyżeł i dwa strzelce.
«Wpływamy na głębinę, — wtém... zawietszył w stronę
«Wyżeł, psisko niekarne a wielce pieszczone,
«Obaczył stado kaczek — więc bestyja skora
«Machnął tylko kosmykiem... i buch do jeziora!...
«Stara łodź się pochysta, już żłopnęła wody,
«Tonie... gwałtu! ratujcie! nie masz Wojewody!

«Jeno kędyś pluchocą w rozhulanéj fali
«I on sam i myśliwcy, którzy z nim jechali, —
«Jeno, proszę aspana, z falami się miesza
«Jego suta, zielona ze srebrem bekiesza. —
«Pan nie pływał, bo tusza była na przeszkodzie;
«Lecz poleszuk, jak ryba, nie zatonie w wodzie:
«Strzelcy się wydobyli za wspólną pomocą,
«Nogami depcą fale, pięściami je grzmocą,
«Płyną, proszę aspana, że aż widok miły.
«Jeden z nich, jak dziś pomnę, Hryćko syn Kiryły,
«Wynurzył się... odetchnął... dał nurka na nowo...
«I jako zgryźć orzecha, jak powiedzieć słowo,
«Wybrnął z głębi i za czub wojewodę wlecze,
«Na którym ledwie piętno rozpoznać człowiecze.
«My wpław i topielca siłami wszystkiemi
«Dawaj na brzeg wynosić i taczać po ziemi,
«Aż struga z wojewody leje się jak z kadzi..
«Pan bez zmysłów, bez pulsu — więc w całéj czeladzi
«Przerażenie i popłoch; aż po długiéj męce,
«Wojewoda odetchnął, wzniósł do góry ręce,
«I choć zaledwie żyje, zaledwie oddycha,
«*Te Deum laudamus* zabełkotał z cicha.
«Zaraz go nieść do zamku na barkiśmy wzięli.
«Nazajutrz wojewoda był zdrów po kąpieli,
»I wydał dla nas ucztę.

«Kiedyśmy przy miodzie,
«Wszystko opowiedzieli panu Wojewodzie:
«Jak się czółen wywrócił, jak on wpadł do toni,
«Jak go fala unosi, jak go Hryćko goni,
«Jak nakoniec (niech będą wielbione Niebiosy!)
«Strzelec go z topieliska wyciągnął za włosy,—
— «Jak to! (krzyknął gniewliwie, nasrożywszy minę)
«Śmiała mię chamska ręka dzierżeć za czuprynę!
«Trockiego wojewodę! pana! dygnitarza!
«Gdzie ów śmiałek? — Sto batów! niech się nie odważa
«Na podobne zuchwalstwa — bo krew szlachty święta.
«Sto batów myśliwcowi! — niechaj zapamięta,
«Że szlachcic chociaż w ogniu, albo w wodzie ginie,
«Wara przedsię chłopowi ku jego czuprynie!» —
«W końcu nieco ochłonął — musnął się po głowie:
— «Ale że ja niewdzięczen, niechaj nikt nie powie.

«Panie rządco! ja Hryćkę kwituję z pańszczyzną —
«Dać mu na całe życie włokę gruntu żyzną,
«Niechaj wiedzą włościanie, że jeden w ich rodzie,
«Trockiego wojewodę salwował w przygodzie!
«Lecz że za czub mnie dzierżał swoją chamską dłonią,
«Sto batów niech wyliczą, a liczby nie ronią.» —
«Więc Hryćko syn Kiryły wziął sute nahaje,
«A nam szlachcie na wieki nauka zostaje,
«Co rozumieć o naszym herbowym splendorze...»

Ksiądz Definitor jest także postacią paradoksalną i abstrakcyjną — wcieleniem łagodnego chrześcijańskiego morału. Poeta wkłada mu nawet w usta własne pojęcia społeczne:

...Kiedy tłómaczył ze świętéj księgi:
«Jak to pokorny Zbawiciel świata
«Składa majestat bożéj potęgi
«I w ciele ludzkiém z człekiem się brata,
«Bóg z nędzarzami żyje pospołu,
«Między grzesźniki siada do stołu,
«I daje siebie przybić do krzyża,
«I składa ciało w człowieczym grobie.
«Bóg się do ludzkiéj postaci zniża,
«By nas uzacnił, podniósł ku sobie
«A u nas szlachcic — jasne wielmoże,
«Rad, że mu herby dała ojczyzna,
«Bóg został człekiem, a on nie może,
«Kmiotków za bliźnich swoich nie przyzna;
«Wstyd mu z wieśniaki bawić pospołu,
«Hańba z rolnikiem siadać do stołu.
«Gdy hardy panek w zbytkach swawoli,
«Za jeden puhar starego wina
«Głodna i chłodna chłopska rodzina
«Na rokby miała chleba i soli.
«Za jedne słówko w najmniejszéj rzeczy,
«Pany się waśnią, idą na noże;
«Wieśniak pod chłostą jęknąć nie może,
«Bo nie dla niego honor człowieczy!»

Całą zaletę tego utworu stanowią uczucia i myśli zacne, oraz piękność pojedyńczych ustępów. Najudatniejszym z nich jest pobyt młodego Dęboroga na nauce u ks. Definitora i w szkołach. Przytaczamy tu opis noclegu w polu, podług waryantu

ogłoszonego w wydaniu zupełném *Poezyj* Kondratowicza (Warszawa, 1872. T. I. str. 346 — 348)[22]).

Dziw mi tym panom! — majskie wieczory...
Oni wychodzą z kamienną twarzą
Użyć przechadzki i pięknéj pory,
Wleką się z wolna ziewają, gwarzą.
Nie ma jak u nas! — Gdy maj się pocznie,
Słowik wieczorkiem piosnkę zadzwoni,
My tłumem ludzi, tabunem koni,
Lecim przez wioskę śpiewając skocznie; —
Aż nad łąką, aż nad rzeką,
A tam konie precz z uwięzi!
Hurmem ognia i gałęzi,
Płomień strzeli! — ej daleko
Widać ogień nasz!
A przy ogniu gwaru tyle,
U każdego humor złoty,
Że posłyszysz aż o milę
Nasze krzyki i chychoty!
Aż o milę w nocnéj głuszy
Brzmi donośny róg pastuszy.
Ognia suciéj, dymu gęściéj!
I ziemniaki pieczem w żarze,
Każdy jakieś duby plecie,
Płomienieją nasze twarze,
A choć komu się nieszczęści,
Jak zwyczajnie na tym świecie, —
Gdy gromadnie, huczno, gwarnie,
Smutek duszy nie ogarnie, —
Człowiek ani dbasz!
Księżyc wypłynie do połowy nieba,
Zjemy ziemniaki i chleba po kęsie,
Potém jak hukniem: «*Dobranoc o Jezu!*»
Tak aż się echo w olszniaku zatrzęsie! —
I daleko po równinie,
Świętéj pieśni echo płynie.
Czasem słowik wtór nam poda; —
W sercu rzewność tak głęboka,

22) Umyślnie przytaczamy ten ustęp z waryantu, gdyż w tekscie, chociaż wygląda poprawniéj, nie tyle ma barw i życia.

Ani ujrzysz, gdy ci z oka
Łzy poleją się jak woda.
Człowiek rzeźwiejszy po świętéj pieśni
Do nowych śmiechów, do pogadanek;
We wsi już kury pieją poranek,
A o spoczynku żaden z nas nie śni.
Bo jakże usnąć w majowe noce!
Tu konie zarżą, tu ogień błyśnie,
A tutaj ptastwo, jak naumyślnie,
Na tysiąc tonów piosnkę szwargoce.
Chróst na stosie, ogień bucha,
Księżyc świeci, a gromada
Pieśni, skazki opowiada —
Skazek, pieśni bacznie słucha.
Miłoż w kółko siąść na ziemię,
Gwarzyć w ptastwa słodkiéj wrzawie!
Jeden, drugi niby drzemie,
Miłoż drzemać na murawie!
Ptastwo milknie po kolei,
Ogień z wolna gasnąć zacznie,
A nam sen powieki klei,
Ale czujnie, ale bacznie!...
Każdy słyszy jako żywo,
Czy koń parsknie, czy podskoczy,
Brzęknie trzęzlą, wstrząśnie grzywą,
Albo zarży na uboczy.
Pó chwilce drzémki oko się przetrze,
Blizko poranek, znać już po wietrze,
Znać już po gwiazdach, po szumie rzeczki,
Po głosie drozda i przepióreczki,
I koń już częściéj stuka w kopyta,
Zroszoną trawę pośpieszniéj chwyta,
Cyt!... już i słowik strzela piosenką,
Już i skowronek wita się z dzionkiem,
My za słowikiem i za skowronkiem
Nócimy: «*Zawitaj ranna jutrzeńko*!
Ot i szaro, ot i dnieje,
Ot i gaśnie blask księżyca,
Ot i zorza jak dziewica
Miłą barwą promienieje!
Ot i we wsi ruch już pewny,
Kogut pieje czas świtania,

Ranny ptaszek dziad cerkiewny,
Na pacierze już wydzwania.
Jakże pięknie głos daleki
W mgłach porannych się rozpływa!
Rzeźwy chłodek wieje z rzeki,
Z oczu resztę snu obmywa.
Słońce ognistym trysło promieniem,
Oblało ziemię światłem i cieniem.
I niebo w złocie, w różach, w błękicie,
Ziemia w zieloność strojna wesołą,
A człowiek wtedy patrzy w około,
Stałby jak wryty przez całe życie.
Z pacierzem w duszy, łzami zalany,
Aniby sobie przypomniał kiedy,
Że gdzieś jest ziemia i ziemskie biedy,
Że on-nic więcéj — zlepek gliniany!
Hej, do domu! czas już pewnie!
Konie syte nocną paszą,
My weseli, hukniem śpiewnie,
I porzucim łąkę naszą;
I wtorując trąbką z rogu,
Na wyścigi! hej przez rowy!
Ot i nocleg, dzięki Bogu!
Ot i spacer nasz majowy!

Zasługuje również na przytoczenie ustęp o czasach i towarzyszach szkolnych.

Gdzie wy jasne dni moje, moje szkolne czasy,
Kiedy serce dziecinne z wiarą i otuchą
Do grona towarzyszów i do murów klassy
Przylgnęło, przyrosło na głucho?!
Gdzie wy drobne a wzniosłe mojéj pychy cele,
By zrównać i prześcignąć najpierwszych w nauce?
Gdzie owo wśród igraszek serdeczne wesele,
Kiedy piłkę wysoko... wysoko wyrzucę?
Kiedy w gronie swawolném po równinach lecę,
By schwytać wyrzuconą albo odbić w górze?
Gdzie pobożność i wiara w najwyższéj opiece,
Gdy się modlę w kaplicy albo do mszy służę?
Czy dzisiaj świat postarzał, czy w oczach ściemniało,
Bóg to wie — krew po sercu ślizga się powoli,

Serce wiele wymaga a wrażeń tak mało,
Dobre niebardzo cieszy, złe niebardzo boli.
Gdy się dusza zbłąkana w niepewnościach miota,
A książka ich objaśnić, zwalczyć nic pomoże,
Zapłaczesz: gdzie jest owa dziecinna prostota?
Gdzie wiara w twoję mądrość, księże professorze?
Wiara, z jaką słuchałem na szkolnéj ławicy,
Kiedy ksiądz Matematyk zadanie rozbiera,
Lub kiedy ksiądz Łasina, mistrz na kazalnicy
W błoto strąca Buffona, Russa i Woltera?
Lub kiedy najdziwniejszą zagadkę przyrody
Ksiądz Fizyk wnet objaśni przez płyny i gazy?
Przysiągłbyś, że to prawda, wychowańcze młody!
Że Pan Bóg księdzowskiemi przemawia wyrazy.
Dziś gdy człowiek sam nie wie, choć usilnie bada,
Co jest biało? co czarno? co prosto? co krzywo?
Jako chmiel bez podpory na ziemię upada,
Aż zginie przygłuszony ostem i pokrzywą.
Gdy ludzkość bolejąca zgodzić się nie może
Co jest fałsz, a co prawda? co szpetne, co piękne?
Człek załamuje ręce: o Boże mój, Boże!
Co mi trzeba podeptać, a przed czém uklęknę?
Bogdaj to szkolna wiara i nadzieja szkolna,
Kiedy wierzyłeś w przyszłość płomienistą duszą,
Że choć nauka trudna, choć praca mozolna,
Lecz cele nasze wielkie, i spełnić się muszą!
A tu młodzież ochocza bada, czyta, pisze,
Złote bryły nauki wydobywa w trudzie;
Jeno spojrzysz na siebie i na towarzysze,
I pomyślisz: «Doprawdy będziem wielcy ludzie!»
Jeden-dziecię pobożne, z zapałem na twarzy,
Będzie doktor kościelny — tak Pismo przenika;
Drugi biegły w rachunku, o przyrodzie marzy,
Przejdzie z czasem Newtona, dojdzie Kopernika;
To będzie Archimedes, cześć tutejszéj ziemi,
On kwadratowe koło zgłębi i rozwiąże;
Inszy słynie na ławach wierszyki zręcznemi,
Będzie nowy Krasicki, rymotworców książe.
Gdzie wy teraz jesteście, towarzysze moi?
Cicho o was na świecie! bo świat ciężka próba!
Żal się Boże, bywało, co ksiądz prefekt roi,
Że przybędzie krajowi światło i ozdoba,

Spotkasz czasem którego — spojrzysz na oblicze —
Nie on, nie on, szlachetne spodziewania ziści!
Porwany w namiętności koło tajemnicze,
Oddał przyszłość za marne obecne korzyści!
Zszargały mu oblicze nałogi lub nędza, —
Ów co miał drogę słońca odmienić na niebie,
Ów co miał zostać wieszczem — w śnie życie przepędza,
Chodzi mrówczemi drogi — i kontent sam z siebie.
A toż bywało o nim ksiądz Retoryk szepce,
Że ów chłopiec rozwija olbrzymie talenta,
Że Pan Bóg wielkich ludzi naznacza w kolebce,
Że Cezar dzieckiem jaśniał nad rzymskie chłopięta.
A ów teraz bohater poluje na zwierze,
Miłość go rozbydlęca, kielich z nóg obala,
Pan wioski — srogie chłosty wieśniakom wymierza,
Albo drzemie po uczcie, Heliogabala...

Wszystkich usterek *Dęboroga* pod względem artystycznym, wyliczać nie widzimy potrzeby. Możnaby naprzykład zarzucić młodziutkiéj Zosi nieco manierowaną naiwność, we wprowadzeniu cudowności upatrywać sprzeczność z nastrojem utworu i t. p.: lecz wszystkie te wady zaciera ujmująca serdeczność poety i dążność zacna, która najwyraźniéj przebija w zakończeniu epilogu do drugiego wydania.

Grób po grobie pochłania czyjeś stare kości;
Zapadaj, dawny wieku, na łono przeszłości;
Ty zasię, strojna w barwę różową, tęczową,
Młoda jutrznio postępu, świtaj nam nad głową!
A gdy już twoje słońce u południa stanie
I oświeci grobowéj ciemności otchłanie,
Gdy promienni twém światłém zajrzym do podziemi, —
Niechaj się nie zawstydzim przed ojcy naszemi.
Bo biada naszéj głowie i twym blaskom biada,
Jeśli stanie przed nami postać prapradziada,
I głosem uroczystym zagrobowéj mary
Rzecze: «*Redde quod debes*, płaćcie dług wasz stary!...
«Spuściliśmy prostacy naszę piękną stronę
«Na wasze ręce silne, na głowy uczone, —
«Od zgonu waszych przodków, do dzisiejszéj chwili,
«Obliczcie, coście wzięli, coście przymnożyli?
»Musi być w wasze czasy, które postęp budzi.
«I więcéj kwiatów w polu i cnót w sercach ludzi;

«Lubiliśmy procesa i pieniacze matnie,
«U was pewnie zakwitło miłowanie bratnie:
«Równych synów ludzkości odkupionych z krzyża
«U was pycha herbowna pewno nie poniża,
«Porzuciliście puhar, co ku złemu kusi,
«Z trzeźwych piersi modlitwa gorętsza być musi;
«A jako Bóg nagradza cnotę zasłużoną,
«Toć i wasze niebiosa błękitniejsze pono...»
Och! boleśno posłyszeć taki głos z mogiły...
Jeszcze nasze zasiewy kłosów nie puściły,
A choć zda się dokoła zielone przestworze,
Po trawce nie rozeznać kąkolu od zboża.
A pieśniarz, co gotuje piosenkę do żniwa,
Przebaczcie, że niepewnym tonem pobrząkiwa:
Bo nie zgadnie do jakiéj nastroić się nóty,
Czy tworzyć pieśń wesela, czy żalu wyrzuty.

W *Szkolnych czasach* autor dosnowywa wątek opowiadania przerwanego w «Urodzonym Janie Dęborogu», kiedy «chciał opowiadać swoje szkolne dzieje, lecz siły nie starczyło i żal nie pozwolił. Jest to opis własnych «szkolnych czasów» Kondratowicza w Nieświeżu u księży dominikanów pomiędzy 1833 a 1835 rokiem. Postacie professorów, starego żyda Arona, obraz miasta, narysowane są z natury. Piękna to i pełna świeżości reminiscencya, nie ustępująca poprzedniéj gawędzie. Ten obraz szkoły, nauczycieli życia studenckiego, tak zapamiętany serdecznie, tak pochwycony gorąco, tak odmalowany barwnie, starczyłby sam na imię dla poety. Są ustępy i miejsca niezrównanie piękne. Snadź dusza artysty potrzebowała uciec się do wspomnień młodości, aby w nich odetchnąć swobodniéj, i tam lepiéj było, pod tém niezamgloném niebem dziecinnych lat... Dopiero w zakończeniu gorzka teraźniejszość odbiła się boleśnie [23]).

Nie wrócić lat — dziś inszy świat,
Już marzyć dość jak dziecię!...
O! mgliste sny minionych dni!
Po co nalatujecie?...

23) *Szkolne czasy* napisał Syrokomla po powrocie na Litwę z Wielkopolski w r. 1858. Poświęcił ją poznańskim znajomym hr. Sew. Mielżyńskiemu, Józefowi Przyborowskiemu, Wład. Niegolewskiemu i t d.

Czegoż ci żal? ubiegłych fal,
Chmur przeszłorocznych z nieba?...
Rzuć stare sny, oszczędzaj łzy,
Bo ich na jutro trzeba!

Pomiędzy gawędami Syrokomli wielką rzewnością odznacza się Zaścianek *Podkowa*. Pochop do napisania tego utworu dał poecie rzeczywisty wypadek ryczałtowego wygnania szlachty zaściankowéj z pewnych wielkich dóbr hrabiowskich na drodze z Załucza do Wilna. Kondratowicz w jednéj z wycieczek do Wilna był świadkiem wypadku, który tak silne wywarł na nim wrażenie, iż postanowił go opisać. Szczegóły utworu dorobiła, rozumie się, fantazya artystyczna. Syrokomla starał się tu oddać szlachtę zaściankową litewską, z jéj sposobem myślenia, z jéj dykcyą, z jéj przestarzałemi wyobrażeniami, a zarazem zwrócić uwagę téj licznéj klassy ludności na tyle obszernych zawodów otwartych każdemu, kto chce w świecie pożytecznie pracować, zawodów, o których przykutá do szczupłego kawałka pola, drobna szlachta ani chce mieć wyobrażenia.

Stary żebrak, na zgliszczach rodzinnéj zagrody, opowiada podróżnemu dzieje swego zaścianka i ostatnią katastrofę, kiedy nieszczęśliwi mieszkańcy w ostatniéj chwili własnemi rękami zapalili gniazdo swych przodków. Prześliczny jest obraz wędrówki Podkowian po opuszczeniu wydartéj im siedziby.

A mieszkańcy Podkowy za lasem daleko,
Pan Bóg wie dokąd się wleką —
Dym rodzinnego zgliszcza rozciąga się torem
Za ich sierocym taborem,
I głowę ściska bolem i przegryza oczy,
Aż łzę z pod serca wytłoczy.
Trzody ryczą, a wozy obarczone srodze,
Skrzypią po gleistéj drodze.
Mąż smutnie zwiesił głowę, a niewiasta kwili,
Żeśmy złéj pory dożyli.
Gdzie się biedni przytulim? oto noc się zbliża,
Chyba pod ramiona krzyża,
Który stoi w równinie i trochę wesela
Biednemu sercu udziela. —
Zatrzymaliśmy wozy, i przed krzyżem z drewna
Klękła gromadka niepewna,
I piosnkę *Alleluja* w cześć wielkiéj niedzieli
Wszyscyśmy sercem huknęli.

Och! tę samą piosenkę jeszcze dzisiaj rano
W naszéj kaplicy śpiewano
Któżby wtedy powiedział, że w wieczór zapłaczem
Nad naszém życiem tułaczém?
Że domy i kaplica i wspomnień tak wiele
Zginą w pożarnym popiele?...
Lunął deszczyk wiosenny — jego święta władza
Zbolałe serce ochładza,
I słońce się przedarło z za obłocznéj ściany,
Świat jakby złotem oblany, —
Krzyż zabłysnął, i świętém miłosierdziem płonie
Chrystus w cierniowéj koronie!
A nadzieja na każdéj zjawiła się twarzy,
Że Pan Bóg wesprze nędzarzy.
Zmówiliśmy pacierze, i siadłszy w oddali,
Chleb wielkanocny łamali
I spożyli baranka na ucztę ostatnią,
I pożegnali się bratnio.
Cztery drogi rozstajne schodzą się przy krzyżu —
Jeden miał krewnych w pobliżu,
Drugi miał nieco groszy, więc ruszył na wzwiady
Gdzieindziéj szukać posady —
Trzeci strzelał bez pudła, więc przy jakim dworze
Myśliwcem zrobią go może...
Inny z nabożną książką kędyś przy plebanie
Może dzwonnikiem zostanie —
I będzie uczył dzieci, — tak radząc się w tłumie,
Każdy przypomniał co umie.
I poszli w cztery strony Podkowianie biedni
Pracować na chleb powszedni.
Tylko starzec bezdzietny, co w ciężkiéj chorobie
Oślepnął na oczy obie,
I młodzian w bitwie lipskiéj porąbany srodze,
Siedzieli pod krzyżem przy drodze,
Czekając dobrych ludzi, którzy idąc drogą
Żebraków chlebem wspomogą.

Starzec kończy opowiadanie swoje gorzkim wyrzutem:

Póki szlachta z zaścianków, święte przodki moje,
Byli panom potrzebni na sejmy i boje;
Głaskali nas, poili w uprzejméj postaci,
I nosiliśmy imię «miłościwych braci».

Minęły stare czasy, a wśród różnéj zmiany
I braterstwo i miłość zapomniały pany!
Czytasz z pańskich postępków i na pańskiéj twarzy
Pogardę i szyderstwo z herbownych nędzarzy,
Staroświeckiego szczęścia nieznaczno ni śladu.
Oj panisko złe lata...

Autor, w osobie podróżnego, zamyka rzecz nauką zbawienną:

Daj pokój, mój dziadu!
Wy będziecie na świecie potrzebni na nowo,
Nie na sejmik z pałaszem, lecz z piórem, lecz z głową.
Świat — to szerokie pole, pełno na nim chleba —
Tylko uczyć się trzeba i pracować trzeba,
Wydobywać hart duszy, co śpi w poniewierce,
A herbem szlachetności wypiętnować serce...
Bywało nasza szlachta, czy w wojennéj chwili,
Czy rozprawia na sejmie, czy puhar wychyli,
Znał ją świat i podziwiał potęgę olbrzyma.
Dzisiaj, gdy wojen, sejmów i puharów niéma,
Niech nasz umysł — u świata na podziw zasłuży.

Do najpiękniejszych utworów Syrokomli należy *Spowiedź pana Korsaka* — legenda niepospolicie podniosłego nastroju o młodym magnacie, który pokutując za zabicie kmiecia, zastąpił osierociałym rodzicom utraconego syna, i aż do zgonu służył im, odziany w chłopską siermięgę. Oprócz samego bohatera, jaśnieje tu postać szczytna księdza Podolca, któremu umierający pokutnik wyznaje swą tajemnicę:

«Wdziałem wełnianną odzież, jaką noszą chłopi,
«Przepasałem me biodra powrozem z konopi.
«We własnéj mojéj wiosce, ja dziedzic bogaty.
«Szedłem za wyrobnika do sierocéj chaty,
«I rodzicom ich syna zastępując szczerze,
«Poświeciłem się cały sosze i siekierze.
«Oto po siedmiu leciech, po mozolnéj pracy,
«Przyznali mię za syna zgrzybiali wiesniacy,
«Oto ci całe życie wyznaję swobodnie,
«Księże! w imię Chrystusa odpuszczaj mi zbrodnię.

Autor niepotrzebnie wprowadził miłość do téj legendy, przez co zmieniła ona charakter i może spospolicíała. [24])

Pan Marek w piekle należy do bardzo szczęśliwych pomysłów poety. Syrokomla daje nam w Marku typ pochlebcy i pieczeniarza, który omijając dworki szlacheckie, całe życie kłaniał się panom. Za to na tamtym świecie stronią od niego wszyscy, zarówno panowie jak bracia szlachta i kmiecie. Biedny cień pieczeniarza napróżno przesuwa się od grona do grona; nikt go znać nie chce, i od wszystkich witany jest szmerem pośmiewiska. Pewna pobożna niewiasta miała widzenie o losach Marka, które opowiedziała innym. Ztąd powstało przysłowie:

Że kto się snuje od kąta do kąta,
Mówią: «*jak Marek po piekle się pląta*».

Margier jest największym z poematów Syrokomli, a przez samego poetę uważany był za najlepszy. Treść jego stanowi wypadek historyczny. Litewscy i pruscy kronikarze zapisali pod r. 1336 napad krzyżacki na zamek Pullen, bohaterską jego obronę przez wodza Margiera i zgon Litwinów, którzy nie chcąc się żywo oddać w ręce nieprzyjaciół, sami się na stosie na ofiarę swym bogom pozabijali.

Pieśń piérwszą poeta zaczyna od prześlicznego wezwania do przeszłości. Przytaczamy tu jego początek.

Gdzie ty święta przeszłości macierzyńskiéj ziemi,
Z twojemi bohatéry, z bogami twojemi,
Z pieśnią dzielnych lirników synów twego łona?
Przeminęłaś na świecie jakby snem prześniona.

---

24) Autor, jak sam wspomina w przedmowie, osnuł ten utwór na tradycyi zapisanéj u Niesieckiego. Z powodu odgadywania przez poetę przyczyny pokuty Korsaka, poemat ten wywołał zarzuty krytyki, albo raczéj adwokatury stanu szlacheckiego. Syrokomla z tego powodu przy drugiém wydaniu dołączył do przedmowy następne wyrazy: «Czytaliśmy gdzieś zarzut uczyniony obecnéj gawędzie, że wziąwszy wypadek z Niesieckiego, przenaturzyliśmy go dodaniem zabójstwa wieśniaka. Dziwny to zarzut! jak gdyby sztuka nie miała prawa ze skutków dochodzić przyczyn. Cień zacnego Korsaka nie gniewa się na nas za to, jesteśmy pewni. Podanie, jak je zapisał Niesiecki, czyni postępek chorążego połockiego jakimś niekonsekwentnym wybrykiem fantazyi,— tu ów postępek ma swój powód, i rzeczywiście powód mieć musiał. Nie zmieniliśmy w drugiém wydaniu tego stanowczego miejsca, boć to nie kronika, lecz dzieło sztuki».

Któż cię potrafi dzisiaj wyczytywać biegle
Na staroświeckiéj książce lub na staréj cegle?
Kiedy twoję pamiątkę znajdzie w polu chłopię,
Albo ciekawy rydel w kurhanie odkopie,
Ze szkieletu, z okruchów żelaza lub gliny,
Któż zdoła wypowiedzieć los całéj krainy?
Kto wyssać, świętą prawdę z podaniowych baśni?
Kto w literze zamknięte życie nam objaśni?
Kto mrok zapadłych czasów odświetli choć trocha?
Chyba serce pobożne, co praojców kocha,
Chyba dusza pieśniarska odgadnie, wyśpiewa
Przy harfie wyciosanéj z litewskiego drzewa,
Na czas wywoła z grobu cmentarzowe rzesze
I z gruzów rumowiska skrę życia wykrzesze.—
O! w jakim cię kurhanie zagrzebali starzy,
Stara a święta harfo litewskich pieśniarzy?
Poważnym, głuchym szmerem zabrzęknij z mogiły,
Aby się nasze piersi w twój takt dostroiły.—i t. d.

Daléj, wstępujemy na krwawe pobojowisko pod Pullen, a w niém widzimy młodego krzyżaka Ransdorfa, którego Litwini przebiegający pole i odzierający trupy, chcą zachwyciwszy żywcem jeszcze, bogom na ofiarę poświęcić; gdy Margier, dowódzca zamku Pullen, na uroczystą chowając go chwilę w niewolę zabiera. Oddany pod straż Lutasowi, Ransdorf powoli przychodzi do zdrowia i ściga okiem niespokojném piękną Egle, córkę Margiera.

Cudny jest w téj pieśni obraz pobojowiska krzyżackiego.

Straszny był widok pola: na zdeptanéj ścierni
Leżą martwe Litwiny i Niemcy pancerni,
Na jednych lniana odzież i osłony rysie,
Na drugich jasna blacha promieniami lśni się.
Ówdzie silne ramiona zakute żelazem,
Dławiąc wroga — w uścisku zastygły z nim razem;
Na jednéj twarzy boleść — na drugiéj z poblizka
Szatan swój śmiech szyderczy na wieki wyciska.
Na inszéj taka srogość, że zda się widocznie,
Bój przerwany za życia po śmierci rozpocznie.
A wszystko krwią zbryzgane— a przy każdéj twarzy,
Zaglądając w źrenice już kruk gospodarzy,
Szary wilk nadniemeński z za jodeł się skrada,
Tam się brytan z brytanem o zdobycz ujada,

A tam z piersi rozbitéj ciosami berdyszy
Jeszcze się jęk boleści lub zgonu posłyszy.
Albo ostatkiem siły przyczajonéj w łonie
Ktoś modlitwę wyszepce, ktoś przekleństwem zionie.

Litwin zemstą kipiący, a na jęki głuchy,
Odziera z szyj rycerskich złociste łańcuchy,
Odrywa miecz od boku, szarpie hełm bogaty
I płaszcze z krzyżem Pańskim rozdziera na szmaty;
Albo żylaste ręce, jako sępie szpony,
Zapuszcza w trupią brodę, we włos utrefiony.
I targa i znieważa ostatki człowieka,
Gdzie słyszy bicie serca, pierś na pół rozsieka.

Lecz oto wzniosła postać Margiera:

Odgadniesz mu z twarzy
Bohaterską latorośl litewskich mocarzy.
Krzepkie dęby w Romnowe, gdzie Litwa czci bogi,
Grom w prawicy Perkuna straszny i złowrogi;
Lecz silniejsze od dębu ramiona Margiera,
Straszniejsza od piorunu bojowa siekiera,
Gdy błyśnie w jego rękach. Z wileńskich ołtarzy
Znicz podsycon oliwą ogniście się żarzy;
Lecz ogniściéj wybucha i goręcéj płonie
Serce wodza miłością ku rodzinnéj stronie.
On tu nad zamkiem Pullen jako książę włada,
Pana i bohatéra wielbi w nim gromada:
Bo też kołpak soboli na książęcéj głowie
I hełm z pierzastą kitą, co noszą wodzowie,
Co je Margier wysłużył rycerskiemi dzieły,
Nigdy na dostojniejszém czole nie spoczęły.
Piękne niebo gdy jutrznia ozłoci je młoda,
Ale w duszy książęcéj piękniejsza pogoda.
Jedna tylko — dla Niemców nienawiść w nim żyje,
Ale to taka straszna, jakby wszystkie żmije,
Jakby wszystkie potwory i piekielne siły
W ogniste jego serce swój jad wysączyły.
Dziś, widząc krwią zbryzgane nadniemnowe pole,
Cierpiał za całą Litwę wszystkiemi jéj bole,
Jak gdyby w jedno serce, ile tylko zmieści,
Wszystkie miecze krzyżackie wbił po rękojeści;
Cierpiał za bogów Litwy, za ujmę ich chwały.
Nie dziw, że mściwe żądze w jego piersiach grały.

W pieśni drugiéj występuje nowa postać, wróżbiarka, kapłanka, czarownica Marti. Żąda ona w imieniu bogów krwawéj ofiary z Krzyżaka, którego Egle już kocha, który już Litwinkę pokochał. Lutas stary i Egle, zagrożeni śmiercią więźnia, uprowadzają go podziemiem z zamku, wskazują drogę, ułatwiają ucieczkę, wymogłszy przyrzeczenie, że tajemnicy wnijścia tego nie odkryje nikomu. I tu są cudnie piękne ustępy, jak scena w podziemiu u ołtarza, wspaniała i straszna; potém Egle wśród wężów świętych, jéj spotkanie z Krzyżakiem i uwolnienie tegoż.

W pieśni trzeciéj przenosimy się do Malborga, wśród Krzyżaków, których tu życie się maluje, narady, zabawy, przyjęcie posłów polskich Tu się uchwala napad na Pullen, i Ransdorf zmuszony jest przewodniczyć wyprawie przeciw niewiernym. Najpiękniejszym w téj pieśni jest obraz poselstwa polskiego w Malborgu, tém bardziéj, że nacechowany prawdą poetyczną. Przytaczamy ten ustęp w całości.

Ukończono modlitwę — poczęta obrada,
Wielki mistrz na swym tronie książęcym zasiada;
Siedli panowie radni na dębowéj ławie,
A szlachetne rycerstwo stanęło ciekawie,
Otoczone giermkami i orszakiem pazi,
Czekając, co król polski przez posły wyrazi,
Czy z pokojem, czy z wojną do mistrza przybywa
Sławny rycerz z Melsztyna, Jan herbu Leliwa.

U wchodowych podwojów zaciągnięto straże;
Mistrz rycerstwu w półkole szykować się każe.
Słychać tętent rumaków przed bramą na moście,
Słychać łoskot w dziedzińcu — przybywają goście.
Wrzasła trąba heroldów, aż zadrgały ściany,
I mężny Leliwita jak na bój przybrany,
Otoczon gronem giermków i sarmackiéj młodzi,
Ze spuszczoną przyłbicą na pokoje wchodzi, —
I przeciąga przez salę pochód uroczysty,
Poseł idzie k'mistrzowi, podaje swe listy,
I odkrywa przyłbicę i dumnie się kłania.
Znać rycerską swobodę z tego powitania;
Z mężnéj twarzy i z oka, co na wskroś przenika,
Wyczytać wielkie serce w piersiach posłannika:
Że król jego potężny, że kraj jego kwitnie,
Że nie przychodzi o nic błagać czołobitnie.

Spojrzał po całéj sali, po całéj gromadzie,
I na rękojeść miecza dłoń rycerską kładzie,
I w takowéj postawie stanąwszy z daleka,
Muskając sute wąsy, na odpowiedź czeka.

Mistrz pisanie królewskie przeczytał i chowa,
A poseł w te ku niemu odzywa się słowa:
— «Dostojny wielki mistrzu i wszyscy rycerze!
«Pan i król mój przezemnie pozdrawia was szczerze,
«I prosi Pana Boga chrześcijańską modlą,
«Aby wam w łasce Jego fortunnie się wiodło.
«Przyczém wam przypomina o świeżym traktacie,
«Że Dobrzyń a Kujawy nieprawnie trzymacie,
«Że za starego króla zbici pod Płowcami,
«Gdy warunki przymierza podaliście sami,
«Gdy Zakon pokonany miłosierdzia żebrze,
«Mieliście tysiąc grzywien opłacić we srebrze.
«Gdzie skutki tych przyrzeczeń, opisów, umowy?
«Gdzie wiara utwierdzona rycerskiemi słowy?
«Gdzie kapłańska uległość wyrokom kościoła?
«Kiedy spełnicie rozkaz, co nuncyusz woła,
»I co papież potwierdził w apostolskim liście?
«Król i pan mój rozkazał spytać uroczyście.
«Oto wasi żołdacy, jako horda dziczy,
«Zakłócają spokojność naszych pograniczy;
«Po miastach i po wioskach trwoga się rozniosła,
«Rolnik odbieżał pługa, mieszczanin rzemiosła,
«Pozabierane trzody, spustoszone zboże,
«Czyż król na tyle klęski nieczułym być może?
«Niedarmo jego barki purpura osłania,
«Niedarmo jego czoło gwoli królowania
«Namaścił arcybiskup oliwą chryzmatu,
«I przypasał do boku miecz wiadomy światu,
«Miecz Chrobrych, Krzywoustych nie darmo zadzwoni,
«Świeżo jeszcze w Łokietka zahartowan dłoni.
«Krzyżacy! ostrze jego oświetlone chwałą,
«Od płowieckiéj potrzeby jeszcze nie stępiało!
«Ale pan mój szanując powołanie wasze,
«Nie pierwéj wdzieje pancerz i miecz swój przypasze,
«Chyba że wasza pycha otwarta widocznie
«Wyroki apostolskie lekceważyć pocznie.

«Oto świeżo obleczon w poselstwa zaszczyty
«Jan ze Słupca, krakowski biskup znakomity,
«Jeździł w imieniu króla w apostolskie progi,
«I przekładał uciski, morderstwa, pożogi,
«Wszystko, czémeście Polskę krzywdzili zdradziecko,
«Odkrył Głowie kościoła, jako ojcu dziecko.
«A ojciec chrześcijaństwa wysłuchał wołania,
«I ku naszym uciskom swoje ucho skłania,
«I odprawę posłowi miłościwą daje,
«I szle swoich legatów na północne kraje.
«Posłanniki papieża, jak sędziowie czuli,
«Piotr prałat aniceński i Gerard z Tituli,
«Umocnieni powagą i zupełną władzą,
«Żałoby wysłuchają i wyrok wydadzą,
«Dopomną się krzywd Polski na waszym zakonie
«I powrócą zabory uciśnionéj stronie.
«Już tedy ci legaci do Polski przybyli,
«I z ramienia papieża wydają w téj chwili
«Rozkaz, byście stanęli dla słuchania sprawy,
«Do stolicy Mazowsza, do miasta Warszawy,
«Gdzie na dniu piérwszym sierpnia zasiądą w urzędzie
«I sąd nuncyatury przywołany będzie.
«A Kazimierz, król polski, z uprzejmemi słowy
«Przysyła wam zapozew na termin sądowy,
«Abyś sam, wielki mistrzu, lub przez towarzysze,
«Stanął na czas i miejsce, jak w tych liściech pisze.
«Tam niechaj nas rozsądza sprawiedliwość boża,
«A mistrz w prawie uczony, Bartold z Raciborza,
«Wyłuszczy naszę sprawę dokładnie i szczerze,
«I obrony wysłucha, i wyrok odbierze:
«Bo przyjmujemy chętnie z uchyleniem czoła
«Wszelki wyrok od Głowy widoméj kościoła».

Rycerz skończył poselstwo — a wielki mistrz mówi:
— «Szlachetny Leliwito! odpowiedz królowi,
«Że się sądy rycerskie odbywają krwawo,
«Że trąba bywa woźnym, a bardysz rozprawą,
«I żeśmy nie przywykli staroświeckim torem
«Trudzić Ojca świętego marnym rozhoworem.
«Lecz jeśli taka wola, niech zadość się stanie,
«I dwa bitne narody, jakby dwaj mieszczanie,

«O kawał spornéj miedzy, o niedobre słowo,
«Pójdziem do pana wójta na sprawę sądową,
«My wypełnimy wszystko, co papież rozkaże:
«Niech zatargi rycerskie sądzą bakałarze,
«Nasz zakon, jak posłuszne kościołowi dziecię,
«Przyjdzie na czas i miejsce, jako wskazujecie.
«I w cesarskiém i w boskiem prawie wyćwiczony
«Ojciec Jakób z Arnoldu stanie z naszéj strony,
«Będzie przekładał prawa, na których my stoim,
«A które obelżywie nazwałeś rozbojem.

«Lecz nie myślcie, Polacy, że sąd jaki zdoła
«Uszczuplić posiadłości Pańskiego kościoła;
«Co dzierżym w imię Boże, albo prawem miecza,
«To nam kościoł zapewnia, cesarz zabezpiecza:
«Bo wszystkiemi krajami chrześcijańskiéj ziemi
«Włada cesarz niemiecki z prawami swojemi,
«I ja mnich w méj pokorze, i twój król w swéj chwale
«Jesteśmy tylko jego pokorni wassale.
«A Dobrzyń i Kujawy, Prusy i Pomorze,
«Co się wzięło na Litwie walcząc w imię boże,
«Kraje nadane dawniéj lub zdobyte świeżo,
«Nie do nas, lecz do władzy cesarskiéj należą.
«A gdy cesarz do siebie należące kraje
«Kościołowi bożemu wieczyście nadaje,
«My pokorni szafarze, służebnicy prości,
«Nie mamy praw uszczuplać kościelnéj własności.
«A ktoby coś zamierzył lub działał w tym w zględzie,
«Wedle świętych kanonów niech wyklęty będzie;
«A na kogo włożono takie anathema,
«Nawet w mocy Piotrowéj rozgrzeszenia nie ma.
«Dochować wam przyjaźni trwam w ciągłym zamiarze;
«Ale moje sumienie jeszcze więcéj ważę.
«Nie chcę, aby mi klątwa ciążyła nad głową,
«Rycerzu Leliwito! masz ostatnie słowo.»

Umilknął — twarz rycerza szlachetna i śmiała
Z oburzenia pobladła i znowu skraśniała;
Na rękojeść szablicy oparta dłoń posła
Scisnęła się gwałtownie, jak gdyby przyrosła
Do srebrnéj rękojeści — jakby jednym razem
Miała błysnąć przed oczy hartowném żelazem!
Ale Jaśko z Melsztyna, posiwiały w radzie,
Pamięta, że poselstwo obowiązki kładzie,

Że temu nie przystoi okazać gniew żywy,
Kto przychodzi z pokojem i różczką oliwy;
Więc chociaż oburzony aż do głębi ducha,
Choć mu gniew pała w oczach i z twarzy wybucha,
Odpowie cichym głosem, z łagodną postawą;
—„Szlachetny wielki mistrzu! czy oręż, czy prawo
„Ma dochodzić słuszności — ja się tém nie trudnię;
„Lecz po co imię boże wspominać obłudnie?
„Czy kościoł Chrystusowy wspomagać należy
„Owocem wiarołomstwa lub chciwéj łupieży?
„Król polski, panujący w potędze i chwale
„Nie liczy się pomiędzy cesarskie wassale;
„A jeśli, jak mu każe Chrystusa nauka
„Przez pobożność w podwoje apostolskie puka,
„Wy się przeto nie karmcie daremną otuchą,
„Że miecz jego do pochew przyrósnął na głucho.
„Dziś przybyłem na sprawę wezwać zobopólną,
„Dziś rękawicy boju ciskać mi nie wolno;
„Lecz gdy króla mojego wywołacie zgrozę,
„Insze może poselstwo w te mury przywiozę."

—„Przyjmiemy was, przyjmiemy, rycerzu z Melsztyna!
„Spełnim, czego się po nas wasz król dopomina,
„W świętéj kościelnéj sprawie za pierwszém wołaniem
„Czy orężem, czy piórem do rozprawy staniem:
„Kto jest bożym rycerzem, tego w żadnéj chwili
„Ni prawo nie pokona, ni miecz nie omyli"—
Rzekł Rudolf książe saski, z komturów najstarszy,
Zalecony orężem i ze krwi monarszéj,
Co mu w piersiach płynęła — Krzyżacy go zową
Starego Altenburga ramieniem i głową,
A raczéj zwaćby duchem nienawistnym w radzie,
Co złe myśli do głowy i do serca kładzie.
—„Bóg — odrzekł Leliwita — Bóg słuszność wymierzy,
„Bóg, wskaże kogo uznał ze swoich rycerzy,
„Kto cześć Jego imienia pielęgnuje lepiéj,
„Kto świętą Jego wiarę obszerniéj zaszczepi.
„Tymczasem, wielki mistrzu, starszyzno i wodze,
„Spełniłem rzecz poselstwa w polubownéj drodze;
„Czyńcie jak wasza wola jak wasza uwaga.
„Król mój pragnie pokoju, ale go nie błaga.

„Chcecie wojny, toć na was upadnie jéj wina.
„Bóg was żegnaj, Krzyżacy!“
I Jaśko z Melsztyna,
Otoczon gronem giermków i sarmackiéj młodzi
Ze spuszczoną przyłbicą z komnaty wychodzi.—

W pieśni czwartéj rozpoczyna się pochód bojowy na Litwę. Pullen przygotowuje się do obrony. Marti żąda krwi, za zbiegłego Krzyżaka domagając się od Margiera w imieniu bogów, własnéj jego córki. W tém, gdy Egle paść miała ofiarą, rozpoczyna się oblężenie i szturm do Pullen.

Pieśń piąta zawiera opis walki i rozpaczliwéj obrony. Wzięty w niewolę Lutas oddany jest Ransdorfowi na wybadanie i z przekleństwem na ustach umiera. Napaść się wzmaga, niepodobieństwo oporu co chwila widoczniejsze. Margier przygotowuje stos pogrzebowy. Ransdorf wkrada się do zamku i znajduje w nim Egle zapomnianą w więzieniu, ale dziewica odpycha ze zgrozą zdrajcę. Chwytają ją gwałtem łucznicy i wprowadzają do łodzi na Niemnie. Ransdorf ucieka z kochanką, która napróżno wyrywa mu się, chcąc zginąć z ojcem i swoimi. Na zamku boju ostatki i rzeź dobrowolna. Margier sam jeszcze pozostał, wchodzi na wieżę, postrzega łódź, poznaje córkę i Krzyżaka, przeszywą ich dwoma strzałami i sam się zabija.

Autor powiada w przedmowie, że obrał sobie formę Wirgiliuszowską, któréj okrągłe kontury, przyzwoite poważnemu epos, uwalniają od drobiazgowych studyów; że nie mając nadziei trafnego skreślenia Litwy i Litwinów, na tle danych historycznych kreślił ludzi w ogólności, starając się wszakże zgłębiać warunki miejsca i czasu; że wreszcie już po napisaniu swéj wierszowanéj powieści postrzegł, że ta odpowiada, co do swéj powierzchowności, wszystkim warunkom, wymaganym przez dawną krytykę od poematów bohaterskich: jest tu wezwanie (*invocatio*), jedność akcyi, dostateczna odległość czasu, z któréj uważane wypadki olbrzymieją, jest nawet tak zwane machina, czyli wypływ siły nadprzyrodzonéj (*deus ex machina*). Tak, wszystkie może warunki epopei znajdujemy w téj pieśni, a przecież to nie epopeja jeszcze. Epos nie zależy od pewnych danych prawideł, ale pochodzi z ducha; stanowi ją nie wielkość treści, ale jéj żywotność, a tu właśnie, zkądinąd szczytny Margier wzięty jest ze świata konwencyonalnego, nie rzeczywistego, i żyje tylko sztucznym żywotem potężnego ta-

lentu autora. Oprócz Wirgilego, którego oderwana od prawdy życiowéj forma wydaje się jeszcze ułomniejszą w naśladowcach jego, mogło i przypomnienie Grażyny nieco obłąkać autora. Ale jest-li to świat litewski? Zarównobyśmy go greckim, rzymskim lub jakimkolwiek nazwać mogli; ludzie ci są to jacyś idealni ludzie epiczni, nie żywe postacie. Nadto, przedmiot pieśni litewsko-krzyżacki (słowa Kraszewskiego) sam przez się był zużyty; śpiewano go nam wielokrotnie z różnych tonów, przedstawiając zawsze takim, jak i tu widzimy; potrzeba było koniecznie szukać w nim strony nietkniętéj, świeżéj, nowéj, i tchnąć weń życie nowe. Forma na to nie pozwalała, zmusiła pójść w ogólniki i nieokreślone, mgliste strefy. Ci Krzyżacy, Margier, Egle, wszyscy, może wyjąwszy Marti, są postaciami dobrze nam znajomemi, a na ich twarzach próżno piętna właściwego szukamy: są to waryanty bohaterów ze znanych poematów. Nareszcie sama treść epopei, przy swéj wspaniałéj prostocie, nazbyt już jednostajna, zanadto uboga, nie dozwoliła poecie rozwinąć skarbów wyobraźni, uwięziła go w kole ciasném, na którego tle nie wiele zmieścić się mogło. Żaden charakter i obraz nie jest całkiém nowy, a rozmaitości w nich zamało. Zawsze ci sami Krzyżacy i Litwa, Litwa i Krzyżacy... Margier zanadto litościwy na poganina, zbyt heroiczny na barbarzyńca. Egle przypomina Aldonę, choć naturalniejsza od niéj, Lutas niemal nieprawdopodobny, tak dziwna w nim uczuć mieszanina. Marti jedna jest szczęśliwą i nową postacią, utworem własnym poety i odcechowywa się od otaczających; ona właściwie jest téj pieśni bohaterem. Ale jednéj Marti i całéj téj treści tak maluczkiéj na poemat w pięciu pieśniach było za mało; ztąd sceny przydługie, ztąd powtarzania nieuchronne, ztąd niekiedy brak ruchu i życia; wreszcie sam śpiewak znużony ku końcowi, gdy tchu mu zabrakło w piersi na scenę ostateczną wielką, heroiczną, wspaniałą, ledwie ją kilku zmieszanemi rysy nakreślił. Przychodzi ona nie jak piorun niespodzianie, ale powolnie, tak, żeśmy do niéj wcześnie przygotowani, i nie robi już takiego wrażenia, jakieby uczynić powinna; obraz ten prawie zaniedbany w porównaniu do scen pierwszych poematu, a tu właśnie cały koloryt, całą siłę na ten wybuch zachować było potrzeba.

Przejdźmy do piękności poematu, które są liczne i wielkie. Główną (słowa Kraszewskiego) — nieporównanego wdzięku wiersz, harmonijny, łatwy, dźwięczny, opracowany ze smakiem nadzwyczajnym, mnóstwo szczegółów pomyślanych cudnie, praw-

dziwie rzec można natchnionych. Począwszy od wstępu, który jak tęskne marzenie, rozpoczyna pieśń poświęceń i żałoby, idą po sobie ustępy pojedynczo wzięte prześliczne... Każde tu słowo znamienuje prawdziwego poetę; każda drobnostka cudnie wykończona i nic nie kazi tego czystego potoku, płynącego szerokiém i jasném korytem. W téj formie, jak ją autor nazwał Wirgiliuszowskiéj, raz danéj i przyjętéj, nic doskonalszego stworzyć nie można, było; przeszedłszy przez serce Syrokomli, jak woda przez liście różane, cała wonią jego przesiąkła. Dobrowolnie obrawszy sobie za bohaterów postacie tak chłodne, ożywił je, uczłowieczył cudem prawie i zharmonizował wszystko z sztuką wielką. Cóżby to było gdyby szczerszych ludzi, prawdziwych był chciał Litwinów malować?... Ton cały poematu nastrojony wysoko, wzniosły, a jak dla dzisiejszych naszych uszu, do gawędy przywykłych, *) za jednostajnie może poetyczny. To daje mu barwę jakąś starożytną, przypomina istotnie Encidę, przenosi nas na ziemię klassyczną, ale zarazem odbiera ułudę potrzebną, żeśmy między swoimi, na Litwie... Wiersz prześliczny, forma i wykonanie nieporównane, wdzięk w nim właściwy Syrokomli, który tu jednak zyskał na wzniosłości i potędze: słowem z téj strony krytyka byłaby najniesłuszniéj złośliwą, gdyby mu co zarzucać chciała. Płynie to ze źródła, nigdzie wysiłku, wstawki niepotrzebnéj, nigdzie nawet uniesień lirycznych, któreby zmąciły spokój tego wypogodzonego morza; śpiewak znika zupełnie z oczów i kryje się za postaciami, które utworzył, w które doskonale wcielić się umie. Jedynym zarzutem, że te postacie, zbyt konwencyonalne i zamało odcechowane, skrępowały talent jego i nie dały mu się wylać z całą jego potęgą.

W r. 1855 ukazał się śliczny poemacik *Kęs chleba*, malujący całą tęsknotę poety za wsią dawną, za życiem zostawioném za sobą. Jest to jedno z jego arcydzieł. Nic rzewniejszego, nic śliczniejszego a prostszego być nie może. Zdaniem Kraszewskiego jest to najpiękniejsza ze wszystkich pieśni Syrokomli, *Margier* to przepyszny kwiat zrobiony ręką doskonałego artysty z jedwabiów, aksamitów, papierów i drutów; kunszt w nim wielki; rzekłbyś, że świeżo wykwitł w szklarni, ale przy żywym polnym kwiatku maluczkim, jakim jest *Kęs chleba*, wydaje się zimny i suchy. Kwiat to naszéj niwy, z główką

*) Słowa te pisane były w r. 1862.

smutnie zwieszoną na przywiędłéj łodydze... kona, wonią cudną napełniając powietrze.

W *Kęsie chleba* poeta jest na swoim zagonie, pod swém niebem, u brzegów niemnowych. Jest to obrazek sielankowy, potrosze historya własna to też poczuta głęboko, a wylana w śpiewie z całą siłą żalu, tęsknoty i miłości. *)

Rzecz gawędy niezmiernie prosta. Historya to poczciwego szlachcica dzierżawcy, jakim był ojciec poety, którego zabiegliwszy dziedzic z wioski trzymanéj przezeń ruguje bez litości i pozbawia kęsa chleba. Wizerunek Łagody zdjęty z rysów zacnego ojca, przywiedliśmy w życiorysie poety, ale są w téj sielance miejsca większéj jeszcze piękności. Takim jest cały ów ustęp o kawałku chleba i marzeniach na nim osnutych.

...Patrzę na kawał chleba z méj wieczerzy:
W tym drobnym zlepku wszak może się chowa
Cała treść pieśni żywotna i czuła.
Drobna okrucho! o gdyby ci mowa
Jakżebyś rzewne dzieje nam wysnuła:
O twojéj dòli, a rodzinnéj roli,
O twojéj siejbie, kwitnieniu i wzroście,
Jako się rolnik na żniwie mozoli?
Jakie tam ptactwo przylatało w goście?
Jak na twój kiełek czerwonawo—blady
Działało słońce i rosa i cienie?
Czy ciężkie grady, czy chciwe owady
Spadały z niebios na twe spustoszenie?
Czy sute były dożynki po żniwie?
Czy pan był wesół, żeć zebrał szczęśliwie?
Za ile ziarnek ile dostał groszy,
Gdy przybył kupiec w wioskowe zacisze?
Czy grosz wydano dla serca rozkoszy?
Czyli na ołtarz zbytkowi i pysze?

*) Po napisaniu *Margiera* Kondratowicz zapadł był w ciężką kilkumiesięczną chorobę nerwową, która zmusiła go do czasowego zamieszkania w Wilnie dla kuracyi. Tymczasem na domiar udręczeń cielesnych przyszły moralne: wygnanie sędziwych jego rodziców z folwarku Tulonki, który do owéj pory dzierżawili przez lat dziesięć o milę od Załucza. Rodzice, dwie siostry i ciotka poety, przekołatawszy całe życie na dzierżawach, dzięki rozmaitym pretensyom wytoczonym przez administracyę dziedzica folwarku, zostali wypuszczeni z Tulonki w całém znaczeniu bez grosza i chleba. Te dwie okoliczności: choroba i niedola rodziny, któréj ze skuteczną pomocą przyjść nie mógł poeta, złożyły się na *Kęs chleba*.

I jak wyrobnik zakupione ziarna
Kruszy w kamieniach, na chleby wypieka?—
O zlepku żytni! okruszyno marna!
Jakże twe dzieje ciekawe dla człeka!
Z twojemi losy jak ściśle się splata
I jasny pałac i chróściana chata!

Chleb — święte słowo w niebie i na ziemi,
W nim Bóg sam siebie między ludzi dzieli,
Przed Chlebem Życia truchleją anieli,
Człek go przyjmuje usty pobożnemi,
W chlebie Sakrament odkupienia bierze,
W chlebie jest Boga z ludzkością przymierze.
A gdzie Bóg zsyła swojego anioła
I dzikich ludzi ku światłu powoła,
Tam zaraz zbożem zasiewa się niwa,
Srogi syn lasu zaraz chleb pożywa.
A skoro spożył, wnet się uszlachetni,
Wnet się w ogniwa społeczne kojarzy;
Chleb jego przyszłość dziejową uświetni
I piętno boże wyciśnie na twarzy.
W marnéj okrusze, barbarzyńcy prości
Przyjęli święty sakrament Ludzkości...

Chlebie! po twoim smaku i zapachu
Czuję z nad Niemna polankę borową,
Widzę kaplicę o słomianym dachu,
Słyszę jéj dzwonek, jak brzęczy nad głową.
To brzęk znajomy: bywało po lesie
Z sosny na sosnę jak wiewiórka pnie się,
Z góry na górę błyskawicą biega,
Lub się po łące jak powódź rozlega.
Och! pomnę, pomnę jego brzęk poranny,
Kiedy bywało przy końcu już żniwa
W dzień Przemienienia, lub Najświętszéj Panny,
Z poblizkich wiosek lud boży zwoływa.
Spieszy w kaplicę ciżba pracowita
Święcić owoce, albo kłosy żyta.
Tam gdy swe snopki na ołtarzu złożą,
A ksiądz modlitwę poświęcalną pocznie,
Poklękły naród widzi rękę bożą,

Jak błogosławi ich plonom widocznie,
Już wie, że polna nie przepadnie praca.

Święcone snopki na siejbę wymłaca,
Święcone ziarno po zoranéj roli
Sypnie garściami na każdéj rozorze,
I mówi w duchu: «Kiedy Bóg pozwoli,
«Jak gaj wyrośnie, zaszumi jak morze;
«Daj Bóg doczekać do przyszłego lata,
«Tożto się wianki kłosiane posplata!»
Święcone ziarno mieszając z umłotem,
Na dwornym morgu siał kmiotek sędziwy,
Przywykł za własne uważać te niwy,
Bo z dawna własnym użyźniał je potem;
Więc szczerém sercem odmawiał pacierze:
«Niech urunieje, niech bujny wzrost bierze!»
Na skrzydłach wiatru jesiennego ranka
Poszła modlitwa wysoko... wysoko...
Bóg rzucił k'niwom miłosierne oko,
I zaruniała usiana polanka
Krzewistą runią,— a całe pól łono
Jakby kto's szatą przyodział zieloną.

Śliczny jest opis pól litewskich i lasów, dojrzewającego zboża, obchód pól na ś. Jerzy, rozmowa w gospodzie; przecudny ów zwrót do własnych wspomnień:

W dni moje młode, w dni moje szczęśliwe,
I jam uprawiał nadniemeńską niwę.
Wiem, jak tam żyją w gospodzie i chacie,
Jak się zbierają na żniwa gromadne,
Tameczne łąki znam po aromacie,
Wodę tameczną po smaku odgadnę.
Inszego ptactwa śpiew mię nie omami,
Znam jak skowronek, jak tam słowik śpiewa;
Poznam po szumie nadniemeńskie drzewa,
I wiatr tameczny rozpoznam płucami— i t. d.

Potém dożynki, wygnanie Łagody z dzierżawy, ustęp o chlebie, co się sporzy i o chlebie, co się nie sporzy— wszystko to cudne. Razem wzięta— mówi Kraszewski — jest to, prawda, rzecz maluczka, z pajęczyn utkana, niewymyślna osnuciem; mało w niéj postaci, mało treści a więcéj epizodów; ale to wszystko łączy się, zlewa, i stanowi cudowną całość.

Zresztą wiersz sam jest natchniony i niezrównanie piękny: płynie spokojnie, naturalnie, jakby nic nie kosztował poecie; nigdzie przymusu, wszędzie życie przełzawione, ogromne.

Fragmenta o Filipie z Konopi są satyrą w formie gawędy. Zasadniczą jéj myślą: *że czasem pod karą szyderstwa nie godzi się być wyższym od współczesnych* *). Myśl tę poeta wyjaśnił we fragmencie II-gim:

Bogdajby to na świecie być takim jak drudzy!
Stateczni obyczaju i zwyczaju słudzy,
Których myśli nie idą jakąś dziwną drogą,
Lecz na ubitych ścieżkach utrzymać się mogą,—
Tacy nie będą nigdy samotnymi w tłumie,
Oni świat zrozumieją— a świat ich zrozumie.
Zdarza się inszy człowiek, istny pieszczoch boży,
Któremu gdy myśl nową Pan do serca włoży,
Najprzód w czasie i miejscu trafnie go ośmieli,
I ludzi usposobi, by go zrozumieli;
A wtedy słowa jego umysły ogarną,
I pięknego zasiewu posypie się ziarno.
Lecz znowu się zdarzają pomiędzy tysiącem
Ludzie z szaloną głową a sercem gorącém,
Co nie bacząc, gdzie mówią lub mówią do kogo,
Przekonań swego serca powstrzymać nie mogą.
Nie dość silny, by zwalić starą postać rzeczy,
Taki człek wszystko zbija, wszystkiemu zaprzeczy:
W namiętności społeczne, burzą rozpędzone,
Dmucha jak przeciw wiatru, by w inszą wiał stronę;
Napróżno z całéj siły zbiera w sobie ducha,
Biedne piersi mu pękną, a nic nie wydmucha!
A śmiechuż będzie, śmiechu z biednego szaleńca!
Gawiedź palcem wskazuje, przechodzień się znęca:
«Słyszycie, co on roi? patrzcie, kędy tropi!
«Filip z Konopi!...»

---

*) W jednym z listów do Kraszewskiego Syrokomla pisze: «Szanowny Filip okrzyczany, że się z czemś wyrwał *nietrafnie*; ja go chcę inaczéj widzieć. Był to według mnie człowiek nie niższy od swoich współczesnych, ale wyższy. Powiedział coś arcymądrego, ale iż społeczność ówczesna nie była jeszcze usposobioną do przyjęcia prawd podobnych, więc poczciwca ośmieli i podali w przysłowie».

Syrokomla, jak i wszyscy paremiografowie nasi, nie wiedział, że *Filip* w znaném przysłowiu jest russycyzmem i oznacza... zająca.

Z wielkim humorem przeprowadza poeta swojego bohatera przez życie szkolne, wojskowe, dworskie, domowe i publiczne— i wszędzie robi go ofiarą prawdomówności i serca zacnego. Kończy radą pełną ironii bolesnéj:

Choć się uczucie w piersi, myśl do głowy cieśni,
Choćbyś jaśniéj przeglądał niż twoi współcześni,
Nie śpiesz się (moja rada) mówić do słuchaczy,
Co twe serce przeczuwa, co twe oko baczy.
Nie idź za gorącemi twéj duszy popędy;
Co ci korzyść przynosi, dopatruj się wszędy;
A serce miéj zamknięte, chociaż twarz otwartą;
Nim się na coś poświęcisz— rozważaj, czy warto?
Chowaj zimną ostrożność i w czynie i w słowie:
Bo Filipem z Konopi każdy cię nazowie.
Ognistych bohaterów minęły już lata:
Krew, łzy i pośmiewisko— taka ich zapłata.

Gawęda żołnierska *Kapral Terefera i Kapitan Szerpentyna* przypomina z formy «Gawędę Dorosza». Poeta z wielką zręcznością wprowadził tu w kollizyę dwie cnoty: poświęcenie się i karność żołnierską, nadając i téj ostatniéj cechę zaparcia się własnéj osobistości. Drobnostka to, ale niezmiernie udatna. Oto jest mały wyjątek:

Z pod Smoleńska nasza wiara
Żwawym marszem w odwrót kroczy;
Rzadko który miał suchara,
A gorzałki— ani w oczy!
Pod jakowymś tam folwarkiem
Dano spocząć nam nareszcie,
A kozacy tuż nad karkiem,
A mróz stopni ze trzydzieście!—
Zapalono krzyż z mogiły,
Nuż się tłoczyć przy ogieńku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Ostąpiły z każdéj strony
Tłumy ludu jakby fale:
I Żmudziny, i Gaskony,
I Krakusy i Westfale.

Ot i spłonął stosek drzewa;
Więc chrósniaki zbiera tłuszcza,
I przeklina, piosnki śpiewa,
I z fajeczki dym wypuszcza.
Kto chciał zasnąć, legł bez siły
Na tornistrze albo łęku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Legł i nie wstał— chyba wstanie
Na dolinę Jozafata!
Na kamrackie pożegnanie
Zmówim pacierz za kamrata,
Śnieg rozkopiem choć pałaszem
I zasypiem oczy śmiałka!
Boć to, widzisz, w pułku naszym
Pacierz krzepił— jak gorzałka.
Inszę pułki nie wierzyły,
Że jest przyszłość w bożych ręku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Myśmy mieli kapitana,
Co nas jeszcze trzymał w wierze,
I bywało co dzień z rana
Każe mówić trzy pacierze.
Co do postów: gdy golizna,
Nolens, *volens*, człowiek pości—
Kapitana czci starszyzna,
A kochają strzelcy prości,
Był to sobie dziad pochyły,
Mówił z cicha, pomaleńku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Choć potulna zda się mina,
Licho groźne i uparte;
Miał przezwisko Szerpentyna,
Bo się panie rąbał *arte!*
Dla żołnierza pierś otworzy,

Grosz ostatni wydobędzie,
Po za frontem— człowiek boży,
Ale szatan na komendzie!
Głos mu bucha jak z baryły,
Wali płazem mimo jęku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Z pod Smoleńska, uważałem,
Że coś stary idzie chromo;
Czy raniony może strzałem,
Czy się znużył, nie wiadomo.
Bo to szatan w nim się mieści!
Tak był twardy w swojéj roli,
Choćby skonał od boleści,
Nie dopytasz co go boli!
Przeskakuje śnieżne bryły,
Brnie przez śniegi z bronią w ręku,
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Gdy ruszano z stanowiska,
Stary krzyknął:— «Broń na ramię!»
Patrzę, tylko brwi naciska,
Chce grać zucha,— ale kłamie.
Sprawił wiarę do szeregu,
I sam naprzód w marsz ochoczy;
Ale widzę ślad na śniegu,
Że jegomość krwią się broczy;
Coś się chwieje jak napiły,
Coś się kurczy jakby w sęku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Dobył chustki, siadł na drodze
I obwiązał chorą nogę;
Ja to widzę, więc podchodzę,
Myśląc, że coś dopomogę.
Lecz jak krzyknie stary gdera:
—«Co się troszczyć cudzą raną!

«Do szeregu, Terefera!»
(Tak mię w pułku nazywano).
Aż się oczy zaiskrzyły,
Aż mu pałasz skrzypnął w ręku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!— i t. d. *)

---

*) Utwór ten nader pięknie na język rossyjski przełożył i ogłosił L. Mej. Syrokomla wzruszony tém współczuciem nieznanego, obcego człowieka, odpowiedział mu następującym wierszem:

Łzę radosną, miły bracie,
Dziś wylałem z twéj przyczyny,
Żeś tak cudnie w ruskiéj szacie
Oddał postać Szerpentyny.
Na domysły muza skora
Poszepnęła mi do ucha:
«Kto tak pojął myśl autora
«Ten jest bratem jego ducha».
Co za przekład pełen siły,
Pełen dźwięku, pełen wdzięku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Nasz karabin, miły bracie,
Jest po prostu— pióro gęsie;
Wy mistrzowsko go trzymacie,
W waszych rękach się nie trzęsie.
Nasz kapitan Szerpentyna
To idea nam natchniona;
Kiedy chromieć już poczyna,
To ją weźmiem na ramiona,
Niechaj krzyczy jako może,
Niechaj z rąk się nam wydziera:
Ach Ty Gospodi moj Boże!
Ach ty starcze Terefera!

My ją nieśmy gdzie potrzeba,
Nie zważając na narowy...
.....
Szerpentyna może w złości
Coś z pod wąsa mruknie wreszcie
O wojskowéj niekarności,
I posadzi nas w areszcie;—
Lecz pójdziemy do mogiły
Pełni chluby, z palmą w ręku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Córa Piastów, powieść z dziejów litewskich, osnuta jest na podaniu zapisaném u Narbutta o napadzie Litwy na zamek Konrada Mazowieckiego za czasów Trójdena (1282) i pojednaniu nieprzyjaciół przez ślub z córą Piastów, która męztwem i wdziękiem rozbroiła Litwina. Poemacik napisany z wielką łatwością, ale i z wielkim pośpiechem. Są i tu wprawdzie ustępy piękne, jak wizerunek Trojdena, wyprawa Litwinów, ale forma mniéj udatna, wiersz trochę zaniedbany, a ogólna fizyognomija poemaciku pospolita i blada... gdzie niegdzie tylko świeci piękny, dyamentowy wiersz, który przypomina serdeczne pieśni i miłe gawędy lirnika. Jest to jedna z tych robót, które wywołała materyalna potrzeba, które księgarz wyprosił, na którego tytuł rachował wydawca. Dla ozdoby dodano do pieśni Litwinów muzykę Moniuszki.

Zgon Acerna należy do tych prób historycznych pieśni, w których Syrokomla nie tracąc swojego talentu, nie był już tak sobą, tak wielkim i szczerym poetą, jak w mniejszych swych sielskich gawędach i obrazach. W świecie przeszłości jakoś nieraźno było poecie. On z zapałem prawdziwym mógł tylko to śpiewać, co w sercu jego kołatało... Litwę, jéj pola, wsie i lasy, lud i jego dolę. Gdy z niemi i wśród nich jest, mieni się zaraz, wzrasta, potężniejszym się staje. W obec historyi poważnéj, nieśmiały jak wśród liczniejszego towarzystwa nieznanych osób, poeta przybiera ton chłodniejszy i powstrzymuje się z jakąś obawą, chwyta tylko rysy ogólne, boi się, by ideał nie uciekł, gdy go jaskrawszą szatą odzieje. Ztąd barwy nieco bledsze, ztąd zarysy nieśmiałe i cały zakrój tych poematów bojaźliwy.

W *Zgonie Acerna* rzecz jest wystudyowana dobrze i z pism poety i z podań o jego życiu i zgonie; lecz sam ów poeta-reformator nie dość wybitny, nie dość silny, deklamuje, moralizuje, radzi, ale wielki głos jego, którym się odzywał w *Victorii* umilkł. Nieszczęśliwy był pomysł posztukowania poematu wyjątkami z pieśni Klonowicza, i to, zdaje się, spętało Syrokomlę. *Acernus*, gdyby go poeta był wysnuł z serca, wyidealizował, byłby daleko większe robił wrażenia. Są jednak miejsca wielkiéj piękności, choć całość uboga i dosyć sucha, a tra-

Mej, który leżał już wtedy na łożu śmierci w Petersburgu, odpowiedział, czterostrofowym wierszem, w którym zachęcał naszego poetę do otrząśnienia się z odrętwienia, do zapomnienia udręczeń, — «a wtedy zacna mowa Słowiańska silniéj od gromu rozlegnie się po świecie». Niestety był to już rok 1862, rok śmierci obu poetów.

giczność tego Hiobowego łoża nie dosyć uwydatniona. Prześliczny jest obraz konającego:

Ściemniało... noc zapada— u głowy łazarza
Lampa długim płomieniem krwawo się rozżarza,
Knot napojony tłuszczem i skwarczy i czadzi:
Ogień pała nierówno— jaskrawiéj, to bladziéj;
A po wilgotnéj celi, na zczerniałéj ścianie,
Mżą się ruchome cienie, jak duchów latanie.
Piękna była w tém świetle blada twarz Acerna:
Wąs przyprószon siwizną, a broda pomierna,
W uściech nieco uśmiechu, z jakim sypia dziecię,
Na czole zmarszczki cierpień— ślad życia na świecie,
Jedna ręka na piersiach, jakby boleść dławił,
Druga w górę wzniesiona, jakby błogosławił.
Bo może dusza wieszcza błogi kraj oblata,
Żegna swoję ziemicę odchodząc ze świata.
Może gromadę ziomków przeprasza najczuléj,
Co kielich jego życia goryczą zatruli,
A on, gdy cierpliwości braterskiéj nie stało,
Ciskał nieraz w ich czoła satyryczną strzałą.
Już mu Pan Bóg odpuścił— przeznał dobre chęci:
Odpuśćcie jego winę i ludzie zawzięci!
Bo jego cała wina: że czuł nadto żwawo,
Że jęcząc opatrywał swoję ranę krwawą!!

Acernus śpi, jak gdyby w zachwyceniu bożém;
A stara jego harfa wisząca nad łożem,
Nietknięta od nikogo, zda się pieśnią dycha,
Niedosłyszaném drganiem pobrząkiwa z cicha.
O! wierna towarzyszka marnego rzemiosła,
Tak się z duszą pieśniarza zbratała i zrosła,
Że stęskniona po panu zagrała boleśnie,
Że przeczuła pieśń duszy, co on śpiewa we śnie,
I poczęła mu wtórzyć— znane jéj zadanie,
Drganiem strun odbić serca śpiewaczego drganie.
Och! po tylu westchnieniach, tylu pieśniach burzy,
Czyż nakoniec cherubów muzyce zawtórzy
Na wieczny odpoczynek nad znużoną głową?..

A w celi tak coś straszno i tak coś grobowo,
Że czuć obecność śmierci jeszcze nim zapuka;
Wojciech smutny, że leków nie pomoże sztuka,

Głowę oparł na ręku, wzrok wlepił w Acerna,
A łza staréj przyjaźni, rzewna, miłosierna,
Zastygła w jego oczach. Lampa ledwie błyska,
Migają płachty cieniów, jak czarne zjawiska,
Wiatr uderza do okien, wzdycha Jezuita,
A dziad chrapliwym głosem *Miserere* czyta.

Daléj śliczny jest ustęp po widzeniu niebiańskiém poety:

...«Teraz czuję, co mogłem... ale już niewcześnie...
«O! gdyby jeszcze wskrzesnąć, gdyby pożyć więcéj!
«Dziśbym kochał goręcéj i śpiewał goręcéj!
«Nie doznawałbym wstydu, co mię dzisiaj miota,
«Żem zmarnował niebacznie cel mego żywota...
«Wiele mi było dano— wiele się dopomną...
«Biada mi!..»

«Mój Boże — mówi Kraszewski — w chwili śmierci Syrokomli, czy te wieszcze wyrazy nie przyszły mu do skołatanéj myśli, gdy pragnął na kilka dni przed zgonem pokazać, że ma siłę, że potrafi jeszcze pracować, że duch w nim nie wygasł!

W *Zgonie Acerna*, mimo dramatyczności zadania, brak dramatu. Poeta sądził, że ta idea wielkości na barłogu nędzarza, genijusza w szpitalu, starczy na utkanie wielkiéj pieśni, rzucił ją na pierwszéj karcie całą i musiał poczuć później, że z niéj wysnuć coś było niepodobieństwem. Wszystko wypowiedziano od razu. Słowa Acerna, jego mowy są dodatkiem, który raczéj osłabia, niż zwiększa pierwotne wrażenie. I tu nie ma stopniowania, odcieni, sztuki — a poematu jak «Zgon Acerna» bez nich wyśpiewać było niepodobna. Jest to więc tylko udatny obrazek rodzajowy— nic więcéj.

Gawęda *Trędzlowe* zaleca się żartką osnową oraz energiczną, oryginalną a odpowiednią osnowie formą: napisana jest bowiem rymami prawie wyłącznie męzkiemi. Treścią jéj, starcie się dumy pańskiéj z hardością zaściankowego szlachcica.

Wielki Czwartek ma ustępy godne największego mistrza, choć całość tego «obrazka wiejskiego» wadliwa. Niewłaściwém jest mianowicie włożone w usta wiejskiego dziewczęcia opowiadanie o własnéj płochości, która zgubiła młodego lirnika. Za to pierwsza część utworu, obraz nabożeństwa w wiejskim kościołku, tyle ma uroku, wdzięku i poetycznéj prawdy, że nawet u Syrokomli nic równie pięknego pod względem świeżo-

ści barw i staranności wykonania wskazać nie można. Przytaczamy tu kilka wyjątków.

Kościoł ubogi,— w ołtarzu po prostu
W ciemnych lichtarzach cztéry żółte świeczki,
I stały obraz wiejskiego pokostu,
Na którym Chrystus pasie swe owieczki.
We dwóch ołtarzach na prawo i lewo,
Jest Matka Bozka i święty Antoni;
Anioł uklęka przed Najświętszą Dziewą,
A patron święty ma liliję w dłoni.
Twarz jego jasna, ale wzrok poddańczy,
Na szorstkich rękach małe dziecię niańczy.
Tuż przy ambonie dwa konfessyonały,
Przy nich się mary śmiertelne stanowi,
I w czarnych ramach obraz wypłowiały,
Na którym Zbawca wręcza klucz Piotrowi.
Cztery chorągwie, a każda podarta,
U skromnych ławek utkwione na boku:
Tam święty Michał pokonywa czarta,
Tam święty Jerzy pastwi się na smoku,
Wojciech odbiera palmę z rąk anioła,
I Śmierć do tańca wszystkie stany woła.

Skrzypły drzwi boczne,— wioskowa gromada
Serdecznym wzrokiem patrzy za balaski: *)
Wszedł stary pleban i na klęczki pada
Prosić u niebios przed spowiedzią łaski;
Przypadł do świętych ołtarza podnóży,
Aż głuche echo odhuknęło w sklepie.
Wtedy pachołę, co mu do mszy służy,
Dziecięcym głosem *Miseratur* trzepie,
I *Confiteor* z ust dziecinnych płynie
Z uśmiechem w oczach, z błędami w łacinie.

Powstał ksiądz pleban i poszedł pomału
W nawę kościoła do konfessyonału.

*) Balaski— prowincyonalizm: przegroda ze słupków oddzielająca nawę kościoła od sanctuarium.

Błysła promieniem jego twarz jak święta,
Skreślił znak krzyża— cofnęły się świadki,
I najpierwszego z rzędu penitenta
Przyzwał skinieniem przed pokutne kratki;
Złocistą stułę skrzyżował na łono,
Ukrył się w chustkę kraciastą, czerwoną,
I począł badać aż do głębi ducha...
Co tam gadali, Bóg chyba podsłucha.

Tak jeden, drugi, i trzeci, i czwarty
Zalani łzami odeszli od kratek.
W bocznych ołtarzach snadź z piersi rozdartéj
Jeszcze spowiedzi leje się ostatek.
Już ksiądz nie słyszy, ale Pan Bóg słyszy,
Jak z serca ciężka odpada im żmija,
Pacierz pokutny kiedy szepcą w ciszy,
Siedem *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Marya.*
A gdy serdecznie, jak Chrystus w Ogrojcu,
Wyspowiadana modli się gromada,
Kiedy ostatnie mówi *Chwała Ojcu,*
Z kościelnych okien słońce na nich pada.

Bije godzina dziewiąta, dziesiąta,
A pleban ciągle za kratkami siedzi.
Lud to się przyszłą spowiedzią zaprząta,
Albo rozgrzeszon idzie od spowiedzi,
I klęka jeden, potém drugi po nim
Przed Matką Boską i świętym Antonim.
Bo jakież grzechy na wiosce być mogą?
Jeden do pana odezwał się śmieléj,
Drugi swe żyto może przedał drogo,
Trzeci w gospodzie hulał co niedzieli,
Albo na bratnią gospodarkę siada,
Albo przekosił granicę sąsiada,—
Lub kiedy latem dokuczały deszcze,
On zbyt troskliwy o kopy w stodole,
Po sześciodniowym a krwawym mozole
Złamał niedzielę— i pracował jeszcze,—
Lub się ze skargą na Opatrzność miota:
Oto są grzechy kmiecego żywota.

Pleban, co z ludem przepędził swe życie,
Być jego ojcem wziął za powołanie,
Błędów ich serca świadom należycie,
Najskuteczniejsze lekarstwo ma na nie.
Słówko porady, a słówko pociechy,
Szczere zaklęcie na Chrystusa rany,—
A już wytryska łza żalu za grzechy,
Już grzesznik został z Bogiem pojednany;
Lekki na duchu od brzemion sumienia,
Odszedł rozgrzeszon— godzien rozgrzeszenia!—

Lecz oto rozpoczyna się nabożeństwo.

Ksiądz ujął palmę i czyta we mszale,
Co o téj męce święty Łukasz pisze;
A organista fałszując klawisze,
Chrapliwym głosem śpiewa Gorzkie Żale.
Naród się modli— komu głosu stało,
Ten śpiewa pieśni, wspiera organistę;
Żaki kościelne dobitnie a śmiało
Odpowiadają: *Laus Tibi Christe!*
Stare klekotki w ich swawolnéj dłoni
Grzmotnęły razem, skrzypiąc na swéj osi,
Gdy dziewięć razy na *Sanctus* się dzwoni,
Gdy się hostya lub kielich podnosi.
Ale najgłośniéj grzmotnęła klekotka,
Że aż się zatrząsł drewniany dom boży,
Gdy kapłan puszkę złocistą otworzy,
Gdy się odwróci do narodu środka,
Dzierżąc Chleb Ducha nad usty głodnemi,
Spowiedź powszechną odprawuje z niemi.
Słudzy kościelni tejże saméj chwili
Białą oponą balaski przykryli.
Lud rzędem klęka ze skruchą na twarzy,
Ręce na piersiach jak do trumny składa;
Mężowie, dzieci, niewiasty i starzy,
Każdy się w duchu raz jeszcze spowiada!
Ksiądz przeżegnawszy ten orszak tak liczny,
Z ołtarnych stopni idzie ku gromadzie,
I powtarzając tekst ewangeliczny,
Hostyę świętą w każde usta kładzie.
Każdy pożywa, płonąc od radości,
Że dziś sam Chrystus w jego piersiach gości,

A odchodzący od kratek balaski
Weseli wszyscy i młodzi i starzy,
Znać w każdych oczach namaszczenie Łaski,
A spokój Pański zamieszkał na twarzy.
Czy to na długo?...

Straszny jest obraz młodego lirnika wioskowego, który zapija się dla zapomnienia, dla ulżenia bolom serdecznym.

Na rok przed śmiercią zamilknął jak ściana,
Jak nawiedzony, dotknięty niemową;
Potém do ludzi zbliżył się na nowo,
I pijał z ludźmi od nocy do rana;
A gdy w gospodzie nie było nikogo,
Pijał sam jeden, bez końca, bez miary;
Snuł się po polach niedeptaną drogą,
Szedł w dzikie lasy, w niedostępne mszary,
I śpiewał pieśni usiadłszy przy sośnie
Rad, że mu echo odhuka donośnie.
Tak przez półrocze, czy coś więcéj pono,
Pijąc i piejąc o swojéj niedoli,
Głowę przez trunek i pieśń odurzoną
Cisnął rękami— wołał: że go boli,
Że serce drze się, że puls coraz prędszy,
Że z piersi oddech wybucha gorętszy.
Chciano go leczyć — uciekł od lekarzy,
Mówiąc: że żaden ulgi nie przyniesie,
Że mu najlepiéj, gdy błąka się w lesie,
Kiedy się w dumkach i pieśniach rozmarzy
O lepszym świecie, gdzie kmiotkowie sami,
Gdzie ani dworu, ni gospody niéma,
Gdzie młode dziewczę nie igra z sercami,
Przysięgnie miłość— i pewnie dotrzyma.
—«Tam mi pozwólcie, abym pędził życie!
«Puśćcie mię!»— wołał w szalonym obłędzie —
«Tam złożę piosnkę— otoż obaczycie,
«Że jeszcze takiéj nie było... nie będzie!»
I znowu bredząc widział dzikie mary,
I znowu światu złorzeczył boleśnie;
Przeklinał trunek, pijąc go bez miary,
Przeklinał pieśnie, układając pieśnie.
W końcu w obłędach i sam tak się mami,
Że i przeklinał i gadał pieśniami.

Niektóre z piesień chwyciły dziewczęta
I dzisiaj pieją w sianokos lub żniwo;
Insze tak mądre, że czart nie spamięta,
Głosiły dolę w przyszłości szczęśliwą:
O złotych pługach, pod któremi trawa
Zaraz w wysokie przeradza się zboże;
O wielkich sercach, z których kropla krwawa
Całe stulecia uszczęśliwiać może;
O wielkich pieśniach — i znów mu się kręci
Taniec w gospodzie i uśmiech dziewczęci.
.....
Nareszcie żadnych przełożeń nie słucha,
Nic nie pił — nie jadł — i pobledniał srodze,
I tu na piasku przy ustronnéj drodze,
Oddał nieszczęsny Panu Bogu ducha.

Czuć w tym lirniku poetę, który potrzebował takiéj miłości całéj, wielkiéj, jakiéj ani w świecie, ani w kobiecie, niestety, znaleźć nigdy nie mógł.

W Słówku do czytelnika poeta mówi o sobie i o swych pracach dramatycznych w sposób, który przekonywa, że formę gawędy i piosenki sam uznawał swemu talentowi za najwłaściwszą.

...Jedna gazeta w tym samym czasie
Pisała o mnie.....
Żem czyniąc drobne próbki dramatu,
Na inszą drogę wszedł nowocześnie;
Żem zdradził wiarę sielskiemu światu,
Że chcę porzucić ludową pieśnię.
.....
Ale liriczą gardząc ozdobą,
Jabym popełnił niewdzięczność srogą.
Pieśni wioskowa! wszakże mnie z tobą
Tak było dobrze, tak było błogo!
Bo czyż mi mało starczy przedmiotów:
Wioska, przyroda, ludu drużyna?
Czyż mało echa w sercu Litwina,
Co każdą nótę oddźwięknąć gotów?
Czyż ja przez skromność zataić mogę,
Co trzeba pisać łzami wdzięcznemi,
Że piosnki moje znalazły drogę
Do wszystkich kątów rodzonéj ziemi?

Wy, którym duszy mojéj głąb znany!
I wy wrogowie! — powiedzcie sami,
Gdym był spotwarzan i zapoznany,
Czém się broniłem?— memi pieśniami.
A jażbym teraz, mocny mój Boże!
Miał złamać flet mój niewdzięczną ręką?
O! jak miłości z serca nie złożę,
Tak cię nie rzucę, moja piosenko.

Wysokiéj artystycznéj wartości jest gawęda *Janko Cmentarnik*, chociaż treść jéj niesłychanie prosta i szczupła. Janko, syn ludu, całe swe życie spędza po za domem, to w barwach strzelca dworskiego, to w mundurze starego napoleońskiego gwardzisty; ale pomimo doznawanych stale powodzeń, ani na chwilę nie przestaje tęsknić za wioską rodzinną, którą w przeciągu czterdziestu lat wystawia sobie w myśli taką jaką ją porzucił. Nareszcie zestarzały powraca... na grobowce, bo między żywymi nie ma ani jednego ze starych druhów z pamiętnych mu dni młodości. I jak w «Wielkim Czwartku» ów lirnik z rozpaczy, Janko ze smutku się zapija, chodząc od mogiły do mogiły dawnych przyjaciół z kuflem w ręku.

Na tém życiu żołnierza utkał Syrokomla mnóstwo prześlicznych obrazków, obwiesił je — jak mówi Kraszewski — klejnotami. Jak inne, z małym wyjątkiem, gawędy jego, *Janko* nie daje się rozbierać, pochwycić. Składa się z jednego typu tęsknoty za ziemią rodzinną. Myśl ta tkwi w całéj pieśni, stanowi ją raczéj. Cóż to za śliczna ta druga strofa poematu, skupiająca jakby w ziarnie całkowitą jego osnowę:

Święta jutrzenko mojego rana!
Tyś była chmurna i opłakana,
Ot taka sama i w każdym względzie
Jak dzień dzisiejszy, jak jutro będzie.
A jednak, nie wiem i zkąd? i po co?
Nad twém wspomnieniem światła migocą;
A przy tych światłach gdy się rozmarzę,
Lubię oglądać dawniejsze twarze,
Miejsca, gdzie moje zbiegło zaranie,
Gdzie dzisiaj noga już nie postanie.
I patrzę czasem i gonię rzewno
Za ową barwą mglistą, niepewną,
Za temi dachy gdzie życie biegło,
Za tamtych świątyń znajomą cegłą,

Za tamtym wiatrem, łąki przekosem,
Za tamtych ludzi wzrokiem i głosem,
Z którymi niegdyś żyło się ściśléj,
Łamiąc chleb bratni, mieniając myśli...

Gdy spracowane ramię zaboli,
Gdy pulsa życia tętnią powoli,
Człek ciężko westchnie: Boże mój, Boże!
Tam świeżość dawną zyskałbym może,
Widok stron tamtych i tamtych twarzy
Zastygłe serce pewnie rozżarzy...
Śmieszne rojenia! puste gawędy!
Wszak czas i życie szły i tamtędy;
A tamte miłe dachy ze słomy
Pokrył mech siwy, mnie nieznajomy.
Drzewka, com niegdyś kochał jak braci,
Musiały wzrosnąć w nowéj postaci—
A cóż mi po nich? myśl ma pochmurna
Chciała w nich widzieć dawne konturna,
A one wzrosły jak wszystkie drzewa,
A wiatr tam dzisiaj inny powiewa,
Inaczéj huczą kościelne dzwony,
Jeden rozbity, drugi zmieniony..
A twarze ludzkie?? jak karta biała:
Tam każda chwila coś zapisała.
Nowe kolebki ściele niewiasta,
Co było dzieckiem— w męża urasta,
Co było mężem— dzisiaj skroń siwa,
Co było starcem— w grobie spoczywa.
To jacyś obcy... nie chcę tych ludzi:
Ich widok tylko boleść mi wzbudzi!
Coś znajomego, coś mi się roi;
Lecz to nie tamci, lecz to nie moi!
Na twarzach zmarszczek głębokie żłoby,
Ślad wieku, smutków albo choroby;
Już głos dziewiczy, co ucho pieści,
Ostro dziś płynie z piersi niewieściéj;
Głos męża silny, pełny słodyczy,
Dziś w starczych ustach szepleni, syczy.
Człek przypomina, wsłucha się, wsłucha:
To obce dźwięki dla mego ucha!..
A sercaż ludzkie! jaka tam zmiana!

Widziałeś piękny zapał młodziana —
Dzisiaj tę duszę czyż poznać można?
Tak samolubna, taka ostrożna!
Widziałeś w niebo wzniesione oko,
Czytałeś w sercu wiarę głęboką,
A jakąż miłość kryło to łono,
Niewyczerpaną, niewyziębioną!
Lecz czego lodem zakuć nie w stanie
Grzech, doświadczenie, odczarowanie?
I już w tych piersiach, i już w téj głowie,
Chłodna niewiara, straszne pustkowie!
Posłuchaj tylko: szydzi bluźnierca
Z dawniejszéj wiary, z własnego serca...
Precz mi z tym człekiem! ja go nie znałem!
A jam chciał wskrzesnąć jego zapałem!
A jego postać, ileż to razy,
Gdym w myślach kreślił przeszłe obrazy,
Tak promieniście i tak różowo
Przelatywała nad moją głową!...
Szatan nie człowiek!.. za jakież winy
Skalał mój obraz, obraz jedyny
Młodéj przeszłości, szczęśliwszéj chwili,
Zródła, com sądził, że mię posili,
Że zwątpiałemu wróci nadzieje,
Że mię dawniejszym ogniem zagrzeje?!...

Och! jak boleśnie, och! jak boleśnie,
Że dzień wczorajszy nigdy nie wskrześnie!
Wczorajsi ludzie już dziś umarli,
A wiek się zmienia, przyszłość się karli...
Chcesz zdłużyć chwilę, która ucieka?
Rozważaj przeszłość— ale z daleka.

W *Królewskich Lutnistach* widzimy owdowiałego Zygmunta Augusta w gościnie u brata zmarłéj małżonki, Radziwiłła, w Kojdanowie. Pognębionemu tęsknotą królowi śpiewają na pociechę lutniści nadworni Bekwark i Klabon: pierwszy wojny i zwycięztwa, drugi miłość płochą. Obu król odpycha, aż chłopię ukraińne przychodzi z teorbanem i śpiewa domową piosnkę o orle smutnym na mogile.

Pieśni Bekwarka i Klabona może dla kontrastu Syrokomlą utworzył dosyć blado; za to śliczna jest owego pacholęcia:

Co ty orle jasnopióry
Siedzisz na kurhanie?
Zasępiłeś wzrok ponury,
Jak słonko w tumanie

Twoje piersi, twoje silne,
Jakbyś skuł niewolą.
Jakieś dumki zamogilne
W twojéj głowie bolą.

Hej młodzieńcze, hej ochoczy!
Czego tęsknisz z cicha?
Zasępiłeś jasne oczy,
Ze łza nie wysycha:

Twoje dumki, twe sieroce
Dumasz w każdą chwilę,
Na mogile spędzasz noce
I dni na mogile! —

Orzeł mówi: — «Bym się cieszył,
«Czyż wy tego chcecie?
«Mnie orlicę strzelec przeszył,
«A ja sam na świecie!» —

Młodzian mówi: — «Co ja roję,
«Anim wyznać w sile;
«Moja luba, dziewczę moje,
«W ciemnéj śpi mogile!» —

Och, nie dumaj tak głęboko,
Orle jasnopióry!
Och, młodzieńcze, otrzéj oko,
Spędź z nad czoła chmury!

Kto wywyższon nad drugiemi,
Kto ma orlą postać,
Choć mu tęskno na téj ziemi,
Musi orłem zostać.

Bo któż wzleci tak wysoko
Dla powietrznych straży?
Któż ze słońcem oko w oko
Spotkać się odważy?

Kto skrzydłami mgłę rozwieje?
Kto się w chmurę wgłębi?
Kto obroni ptactwo z knieje
Od szponów jastrzębi?

Héj młodzianie! nie płacz dłużéj,
Choć ci żyć mozolno!
Póki młodość święta służy,
Marnieć ci nie wolno!

Bo od kogoż matka stara
Weźmie dług synowski?
Kto obroni od Tatara
Chaty naszéj wioski?

.....

Orle, sprawiaj ptasze stada!
Wiosce służ, młodzianie!
Na tęsknotę jedna rada,
Trud i bojowanie! —

Orzeł z piórek-kurz otrzepie,
Młodzian pancerz bierze: —
Orzeł w chmurach, młodzian w stepie,
Bojowali szczerze.

Trud niemały, plon niemały,
Odżyli nanowo;
Teraz świeci słońce chwały
Nad obudwóch głową.

Zawsze to jednak nie dorównywa wdziękiem, uczuciem, nawet formą temu, co z serca płynęło.

Stare Wrota należą do lepszych utworów Syrokomli. Prawdziwym bohatérem tego poematu, choć epizodycznie i w piérwszéj części tylko występującym, jest ks. Piotr Skarga. Wizerunek tego świętego kapłana odmalowany jest z niezmiernem przejęciem się. Takim go sobie wyobrażał Syrokomla i uczynił zeń ideał polskiego księdza, pełnego nauki a zarazem prostoty, pokory i dobroci, nie zepsutego dworem, nie zdumniałego nauką i cnotą, żyjącego sercem jak Bóg przykazał i kochającego zarówno w Chrystusie króla Zygmunta i starego woźnicę Szeligę... Ta piérwsza część poematu jest cudnie piękna. Obrazek starego kapłana w skromnym skarbniczku jadącego do

klasztoru, żywy i prawdziwy. Daléj mimo wielkich piękności, już poemat nie dorównywa początkowi. Powieść snuje się w ten sposób, że Skarga staremu woźnicy wyrabia u króla maleńką wakancyę w żupach; ów szlachcic przenosi się na Litwę, buduje sobie dworek, gdzie mu Skarga przejeżdżając poświęca zabudowanie i wrota. Pobyt księdza na wsi w dworku szlachcica znowu bardzo szczęśliwie wyobrazowany. Syn Szeligi idzie służyć na dworze Radziwiłłów birżańskich, traci uczucie obywatelskich swych obowiązków, zdradza kraj, i gdy syt zyskanych bogactw wjeżdża na starą ojców siedzibę, wrota pobłogosławione przez Skargę słowami:

«Kto tędy przejdzie z jaką myślą zdradną,
«Niechaj te wrota na niego upadną!»

padają i zabijają zdrajcę.

Losy syna Szeligi opowiadaniem za mało obrazowaném i nieco mdłém nie dosyć zajmują. Plan i budowa poematu słabe, ale wiersz i szczegóły prześliczne. W drugiéj części *Starych Wrót* początkowe wiersze natchnione są pojęciem dowodzącém wielkiéj dojrzałości i dobrego zrozumienia przeszłości dziejowéj:

Przeszłości święta! pokój ci niech będzie
W twym wiekuistym, w twoim sennym grobie!
Coś nagrzeszyła w niebacznym obłędzie,
Niech Bóg udzieli przebaczenia tobie,
A twoim cnotom swą łaską przyczyni
Plennego wzrostu, co ma ziarno w roli,
W naszych im sercach krzewić się dozwoli!..
Przeszłości święta! tyś nasza mistrzyni:
Nie dla zgorszenia, ale dla poprawy,
Pozwól w twój obraz przypatrzyć się mgławy,—
I nie poczytaj nas za świętokradce,
Nie miéj za winnych synowskiéj obrazy,
Jeśli się zdala przypatrując matce,
Na jéj obliczu odkryjemy skazy.
My dobrze serce naszéj matki znamy:
Ona tam w niebie jednę żądzę żywi,
By jéj synowie byli od niéj saméj
Bardziéj cnotliwi i bardziéj szczęśliwi.
Nam dla przestrogi ona sama powie,
Co nabroiła, kiedy była młoda,
Niewiele grzechów liczy na swéj głowie—

Grzech jéj najcięższy miał imię — Swoboda.
Nie ta swoboda, którą ma od Boga
I myśl człowiecza i niebieski ptaszek,
Co nie dla marnych stworzona igraszek,
Co wie, zkąd idzie i dokąd jéj droga,
Pilnując kręgu jak słońce na niebie,
Ciepło i światło sieje w koło siebie,—
I zna to dobrze, że gdyby w zakresie
Śmiała przekroczyć choć na jeden atom,
To zamiast szczęścia, które daje światom,
Straszliwe światu skończenie przyniesie.
Córka zniszczenia jest inna swoboda,
Czynem i słowem w karby nieujęta,
Do któréj hasło najpiérwszy ten poda,
Kto chce narzucić niewolnicze pęta,
Co aby snadniéj zhołdować lud boży,
Sam się poniży, sam się upokorzy.
Na nim się wesprzesz jakby na opoce,
A on się śmieje w głębi swego ducha,
On weźmie piérwsze swawoli owoce,
A karę błędu — ten, kto go usłucha.
Tak niegdyś w Polsce miłościwe pany
Mówiły szlachcie: — «Co te nasze prawa?
«Ten król choć przez nas swobodnie obrany,
«Na naszę wolność nieżyczliw się zdawa.
«Nasze statuta, choć własne pisanie,
«Niedobrze płużą braterskiéj swobodzie:
«Wszakeśmy szlachta — a szlachcic, mospanie,
«Choć na zagrodzie, równien wojewodzie.
«Héj! kogo losy krajowe obchodzą,
«Do mnie niech śpieszy! co żywiéj a sporzéj!
«Stanę na czele, a pod moją wodzą,
«Król się poniży, prawo upokorzy!
«Nic nie zważajcie, żem ja wojewoda,
«A baczcie we mnie szlachcica i brata:
«Mam chleb i wino, co to ust nie szkoda,
«Przyjmę was chętnie, czém chata bogata!»
A ślepa szlachta, krzycząc w niebogłosy
Na ucisk tronu i niesłuszność prawa,
Pod sztandarami wojewody stawa,
I z jego gwiazdą połącza swe losy,
Z jego zachceniem łączy swoje modły,

Z jego orężem swe szable ochocze,—
Już się za kruszec zaprzedaje podły,
Za stągiew miodu, za gruntu półwłocze.
A do pańskiego rydwanu przykuta,
Już zapomniawszy, co wolność prawdziwa,
Śni jeszcze szlachta, że swobód używa,
Obiera króla i pisze statuta.
Senne rojenia! niedorzeczne chęci!
Pomiędzy kilku władza się rozdziela;
Potężnych domów mnodzy są klienci,
Lecz trudno w kraju o obywatela.

Stare Wrota pełne są takich poglądów na przeszłość.

Nocleg Hetmański prawie na téj saméj myśli osnuty co «Stare Wrota» — a w obu poematach daje się dostrzedz wpływ W. Pola i to mimowolne naśladownictwo, które wszakże nie idzie daléj nad ideę samą i główne zarysy, nie tamując wykonania, ale mu siły odbiera. Jak w «Starych Wrotach» syn woźnicy, tak w «Noclegu Hetmańskim» syn gajowego wzięty przez Tarnowskiego, z żołnierza staje się żołdakiem, zdradza kraj przez słabość i ginie marnie. Tożsamość idei sprowadza jednostajne sytuacye, myśli i ostudza nawet poetę. W «Noclegu Hetmańskim» jak w «Starych Wrotach» początek, opis noclegu w chacie, młode chłopię raźne i ochocze... wstęp cały jest najśliczniejszą częścią całości; daléj poeta wyczerpuje się i słabnie. Główny bohater obudza z razu współczucie, późniéj odstręcza, i nie pojmujemy kobiéty, któréj serce nie przeniknęło, nie domyśliło się w téj piersi zimnéj braku miłości. W zakończeniu autor pokazuje nam zdrajcę ginącego na Zaporożu: jest to pomysł niezmiernie trafny. Właśnie z takich wygnańców dobrowolnych składał się ów zakon rycerzy kresowych, którzy szli na stracone.

Część historyczna obu tych poematów (mówi Kraszewski) dowodzi troskliwego studyowania przeszłości, wczytania się w historyków. Tłómaczenie Sobieskiego, Fredry i Solikowskiego posłużyło wielce poecie do pochwycenia ogólnych rysów przeszłości. Lecz badając ją tylko z nich, z tych poważnych narratorów, z których żaden nie ważył się tknąć głębiéj żywota i każdy odwzorowywał tylko dzieje publiczne, malując postacie abstrakcyjne osób działających *publice non privatim*, Syrokomla nabrał szkodliwych dla pieśniarza pojęć ogólnikowego opowiadania dziejowego, gdy mu tę przeszłość w scenach cha-

rakterystycznych, żywszych, barwnych, malować było potrzeba. Zamiast całego szeregu walk wspomnianych po imieniu, jeden bój zacięty starczyłby, zamiast dziejów powolnie w pieśni odśpiewywanych, jakby je Sobieski opowiadał, dość było jednéj sceny dramatycznéj. Gdzieniegdzie wyrywa się z tego mimowolnego naśladownictwa poeta, ale poszanowanie przeszłości znowu mu lutnię nastraja na ten ton pełen powagi a chłodny.

Do najcelniejszych utworów Syrokomli należy «*Ułas*, sielanka bojowa z błót poleskich», przypisana J. Chęcińskiemu. Cudnie to piękny obrazek, pełny życia i barwy, przypominający Pana Tadeusza. Widać, że poeta na nowo studyował to arcydzieło Adama, że się niém przejął, że poznał, jak ta forma wstrzemięźliwa, prosta, nasza, wybornie do takiego rodzaju przedmiotów przystaje. Mniéj tu liryzmu niż w innych utworach Syrokomli; przeważnie panuje żywioł malowniczy, epiosowość, a każdy obrazek wykonany mistrzowsko.

Rzecz dzieje się w czasie wojny francuzkiéj 1812 r. w błotach poleskich. Krajobraz poleski na początku dziwnie prawdziwy:

Smutny kraju Polesia! znajomyś mi nieco;
Mglisto twoje wspomnienia z dzieciństwa mi świecą:
Snują mi się niekiedy, jakby senne mary,
Nieprzemierzone okiem trzęsawisk obszary.
Lasy ciemne i gęste jak gdyby jaskinie,
Rzeka, co między łozą a sitowiem płynie,
Uprzykrzonych owadów drużyna skrzydlata,
I zielony motylek, co nad wodą lata,
I ta cisza powietrzna, rzadko przerywana
Ostrym krzykiem żurawia, klekotem bociana,
Albo pluchaniem czółna po spokojnéj fali,
Kiedy rybak z więcierzem przemknie się w oddali.
Tajemny jakiś urok w mych oczach owiewa
Żółte Polesia piaski i ponure drzewa,
Czarne podarte chatki na piasku lub mszarze,
Słomą kryte cerkiewki i wiejskie cmentarze,
Ozdobione jedliną lub sosną pochyłą,
Gdzie sterczy mała chatka nad każdą mogiłą,
Gdzie w spokojnéj mogile pomieszał się społem
Stary popiół pradziada z prawnuka popiołem.
Tu zasłonieni lasem i oblani wodą,
Z pokoleń w pokolenia ludzie wiek swój wiodą;

Żaden nowy obyczaj, żaden wymysł świeży,
Nie przemienił ich mowy, ni kształtów odzieży;
Żaden nowy duch wieku nie położył ręki,
By zmienić bicie serca albo takt piosenki.
Jak przed wieki nosiły słowiańskie narody,
Takie noszą sukmany, takie same brody;
Takie same siekiery, któremi dąb walą,
Takie same cerkiewki, w których Boga chwalą,
Tak samo ich posila miód, jagła i ryba,
Nic tutaj nie przybyło — trochę nędzy chyba — i t. d.

Tło czasu oddane znakomicie. Po puszczy poleskiéj snuje się oddział partyzantów; rodziny ich również chronią się w lesie.

Gdzie się ta banda kryje, w błocie czy na drzewie?
Oni wiedzą o wszystkiém, a nikt o nich nie wie.
Kędy ciągną bagaże, czy huf słabszy który,
Oni na kark spadają piorunami z chmury,—
I nie ustąpią z placu, nie popuszczą dłonią,
Póki łupów nie zgarną, sotni nie rozgonią.
Dzisiaj tu, jutro owdzie: — drużyna kozacza.
Próżno za nimi pędzi, próżno las otacza
Bo obława na szlachtę wraca bez połowu;
Kędyś się przyczaili, by wybuchnąć znowu.

Kto im dostarcza jadła i staréj gorzały?
Zkąd mają proch i kule na tak gęste strzały?
Zkąd o wojska obrotach wiedzą tak dokładnie?
Ktoś do nich, ani wątpić, przemyka się zdradnie.
Ale kto? zkąd i kiedy? rozmaite wnioski!
Wybadywano żydów, przetrząsano wioski,
Zawsze stracona praca — pisano do miasta,
Że ta szalona szlachta jak z ziemi wyrasta.

Gdzie ich żony, ich dzieci, ich trzody z obory?
Spustoszały zaścianki, spustoszały dwory,
Czego ogień nie spali, żołdak nie wyniesie,
Zakopano do ziemi, zachowano w lesie;
Ale jak? gdzie? i kiedy? pytać próżna rada!
Las tutejszy tajemnic swoich nie wygada.
Dumni ze swéj nad rodem szlacheckim opieki,
Osocznicy z ostępów, rybacy z nad rzeki,

Choćbyś ich poił, złocił, albo straszył władzą:
Tajemnicy swych lasów pewno nie wydadzą.

Na przepaścistych bagnach, w tajemniczym borze,
Gdzie tylko człek świadomy znaleść ścieżkę może,
Stoi gdzieniegdzie chata okopcona czarno.
Tam się pańskie rodziny po przytułek garną;
Ztamtąd trwożliwa żona i dziecie w kolebce
Za męża i za ojca ciche modły szepce,
Tam uboga szlachcianka, śpiąc na twardém sianie,
Marzy sny niespokojne o swoim bogdanie.
Tam to ręka wieśniacza gruba ale szczera,
Łzy pańskiemu dziecięciu z pod oczek ociera,
Na chwilę zaniechawszy siekiery lub pługa,
Kołysze niemowlęta lub cacka im struga,
Pociesza biedną panię, że Pan Bóg jest wszędzie:
—„Wróci, wróci jegomość, wszystko dobrze będzie,
„Czarne dni utrapienia jak przyszły tak miną,
„Tylko ciągle nie płaczcie, bo oczy wypłyną!“
Nieraz prosta wieśniaczka jak matka łaskawa,
Wypieszczonym paniętom czarny chleb rozkrawa,
Pieści ich plastrem miodu lub leśną jagodką,
A jeszcze ich przeprasza, że może niesłodko:
—„Bo to państwo, wiadomo, chowane w pieszczocie;
„Gdzie u nas takie jadło? gdzie takie łakocie?
„Zamrze głodem niebożę w naszéj prostéj nędzy...
„Jedz paniczu, sokole a wyrastaj prędzéj!
„Kiedy wyrośniesz duży, a ja będę stara,
„Rozmoczysz w pańskiém winie pszennego suchara,
„I przypomnisz o swojéj teraźniejszéj biédzie,
„I poczęstujesz babkę, gdy do dworu przyjdzie!“

Tak ów naród odarty siermiężny, wieśniaczy,
Tulił na swojém łonie rodziny tułaczy.
Dni przepędzano w chatach;—gdy się wieczór szarzy,
Niebezpieczny pod dachem nocleg dla nędzarzy:
Bo tu może się napad trafić niespodzianie,
Może wydać blask ognia albo psów szczekanie:
Więc się chronią do lasu, albo w kruchéj łodzi
Przewożą się za rzekę, kędy nikt nie chodzi.
Tam na omszonéj kępie, albo w stogu siana,
Wypoczywa rodzina znękana, spłakana;

A wieśniak czuwa przy niéj nie zmrużywszy powiek.
By nie napadł zwierz jaki lub niedobry człowiek.

Czasem któryś ze szlachty, gdy nie grożą hufce,
Przyjdzie nocą odwiedzić rodzinę w kryjówce,
Pobłogosławi dziatwę, małżonkę pocieszy,
Łzę ukradkiem wyleje i do swoich spieszy;
A czasem od wieśniaka spotkanego w lesie
Weźmie jaką wiadomość, do swoich zaniesie.
Tak mimo bacznéj straży, co czuwa nad drogą.
Serca się kochające porozumieć mogą;
Tak wzajemném wylaniem orzeźwia się łono
Pod strażą piersi chłopskiéj i lasów osłoną.

Wszystkie obrazy i postacie poematu — chata gajowego, Ułas, jego córka, szlachta — wybornie harmonizują się na całość żywą i piękną, na dramat, w którym zdrada tylko pod koniec brzmi nótą zgrzytliwą. Nikt serdeczniéj nie odmalował tajemniczych głębin poleskich i tego poczciwego, łagodnego ludu, który je zamieszkuje. Postać Ułasa panuje nad wszystkiemi innemi, a dzieweczka leśna jest cudnie idealną; miłość i śmierć jéj pełne niezrównanéj poezyi.

Nic wyborniejszego nad wizerunek obozowiska na Czartowym Ostrowie, charakterów szlachty, zajęć jéj, narzekań, przygód i poświęcenia.

Stary cześnik Belina, do ziemi przypadłszy,
Długiém, smutném spojrzeniem na ognisko patrzy;
Ze źrenic nieruchomych po zoranéj twarzy,
Dwie łzy spadły na wąsy — Snadź boleśnie marzy.
I nie dziw; — stary Ułas wczorajszego rana
Przyniósł smutną wiadomość: że pani kochana
Po niedługiéj lecz ciężkiéj umarła chorobie,
Nawet miejsca w święconym nie znalazłszy grobie;
Że gdzieś w dzikim ostępie wędrówki tułaczéj,
Krzyżyk z jodłowych bierwion jéj mogiłę znaczy;
Że się w trumnie zdawała aniołem z postaci,
Że umarła z modlitwą za męża i braci.
Nożem ta wieść przebodła biedne serce męża;
Ale Litwin — Spartańczyk boleść przezwycięża.
By widokiem swych cierpień i łez, co uroni,
Nie osłabił na duchu towarzyszów broni:
Bo każdy z towarzyszów w rycerstwie ochoczém

Miał czego pożałować, miał zapłakać po czém:
Temu dom zrabowano, temu dziatwa chora,
Temu w chłodzie jesiennym wypadła obora;
Lecz każdy krzepiąc ducha w braterskiéj gromadzie,
Na ołtarz wspólnéj sprawy swe boleści kładzie,
Myśl zasługi obraca ku domowéj strzesie,
Hardy z ofiar, co ponłósł lub jeszcze poniesie.

Senną głowę złożywszy na torbie borsuczéj,
Pan mostowniczy Kurdesz jakąś piosnkę mruczy;
A opodal, na mokréj trawie rozciągnięty,
Śpi suchy i sążnisty szlachcic pan Walenty;
Pan Wrzosek piecze w ogniu sarninę na rożnie,
Drobny podsędek Prościa modli się pobożnie;
A insza szlachta z boku gwarzy i broń czyści,
A wszyscy jeszcze rzeźwi, a wszyscy ogniści.

Pan Baltazar Kapota wstał, pokiwał głową,
Dobył kapciuch skórzany i lulkę piankową,
Naładował potężnie, wziął z ogniska głownię:
I na pana Kurdesza spojrzawszy wymownie,
Rzekł:—„Czy wyjdziem na sucho, czy zginiem w téj dziczy,
„Na dwoje babka wróży, panie mostowniczy:
„A z mojéj *karkulacyi* najwłaściwsza rada,
„Że wziąwszy się za strzelbę, rzucić nie wypada!“
—«A jabym z téj kryjówki drapnął po kryjomu,
«I powrócił do domu; ale nie mam domu.
«Słyszę, jacyś złodzieje podkradli się cicho,
«I spalili dwór cały — a bierzże go licho!
«Jeszcze sobie potrafię poradzić na świecie:
«Żona z dziećmi przy siostrze w Owruckim powiecie,
«Mam w trzosie kilka groszy i mam silne ręce,
«Poprobuję dalszego szczęścia na wojence».
Tak powiadał pan Kurdesz: «Widno jak na dłoni,
«Albo my ich splażymy, lub nas splażą oni:
«W pierwszym razie, uważasz, mospanie Kapota,
«Poleją się honory, posypie się złoto,
«A kiedy się fortuny i sławy dorobię,
«To nie taki folwarczek odbuduję sobie;
«A jeżeli zabiją — no... to się umiera,
«W ziemi i w czterech deskach najlepsza kwatera,
«Już ja dobrze w méj głowie obliczyłem skutki,
«Wiesz co, panie Kapoto? napijmy się wódki!»

—«*Bene dictum!*» — rzekł Prościa, pan podsędek piński,
Który lubił i trochę znał język łaciński:—
«I ja waściom pomogę; a czemu? a czemu?
«Mówią: *Kto się w opiekę poda Panu swemu,*
«Nigdy na tém nie straci, a znowu... od śmierci
«Żaden *mortalis homo* wszak się nie wywierci,
«Czyż nie lepiéj umierać na polu i z bronią,
«Niż w domowéj komorze, gdzie łzy baby ronią!
«Co na to aspanowie? *qui volet, qui nolet,*
«Bierzmy strzelby na plecy, a za pas pistolet,
«Tak radzą wszyscy mądrzy — ot *exempli gratia,*
«Choćby i nasz pan cześnik!!...»
—„Czysta *Karkulacya!*“—
Odpowie pan Kapota, chyląc kielich do dna—
«Tylko widzisz jegomość, sprawa niedogodna:
«Odcięli nas od wojska, nic nie masz z folwarku,
«Tu nas mogą ogłodzić a zima na karku,
«Będziemy tu siedzieli podkurczywszy szyję—
«Nim słońce dla nas wzejdzie, rosa oczy wyje,
«W lesie jak rude myszy poginiemy marnie.»
—«A czy tobie nie dosyć, że masz mięso sarnie?
Krzyknie chorąży Wrzosek nasrożywszy minę,
Odskakując od ognia kędy piekł sarninę;—
«A czy to my niewiasty, czy broń Boże szewce,
«Aby mając grankulki i proch na panewce,
«W lesie pełnym zwierzyny z głodu umrzeć żywo,
«Albo zginąć od chłodu, kiedy jest krzesiwo?
«Wstydź się, panie Kapoto!»
—„Tak moi panowie!“—
Zawołał pan Jan, dziedzic na Oczeretowie—
«Bać się głodu i chłodu my nie mamy prawa,
«Z takimi sprzymierzeńcy, jakich Bóg nam dawa.
«Patrzcie, jak wszystko dla nas poświęcić gotowi
«Nasi rybace, strzelcy i chłopi wioskowi!
«Kiedy szczęście chybnęło na szlacheckiéj szali,
«Twardą pierś, bratnią rękę patrzcie jak podali,
«Przytulili rodziny i dobytki nasze,
«Wzięli grunta w opiekę, a trzody na paszę;
«Oni idą do miasta narażając siebie,
«Kupują proch i kule ku naszéj potrzebie.
«Panie Wrzosek, wszak smaczna twoja pieczeń sarnia?
«Panie Walenty, słodki sen, co cię ogarnia?

«Panie Prościa, dziś w boju usłużyłać kulka?
«Panie Kapota, pysznie dymi twoja lulka?
«Panie Kurdesz, aż miło po szklance gorzały?
«Ucałuj chłopską rękę, bo to chłop zuchwały
«Przekradł się przez kozackie pikiety i czaty,
«Nie lękał się niewoli lub życia utraty,
«Kupił ci twoje zbytki, przeniósł po zdradziecku,
«I rozkazał swéj córce, bezsilnemu dziecku,
«Nieść przez błoto, przez lasy ciężar nad jéj siły,
«Byś miał nabój do strzelby, by twe usta piły,
«A gdy ty z jego łaski chylisz czarkę do dna,
«Może w téj saméj chwili twoja żona głodna
«Z czarnéj ręki wieśniaczéj czarny chleb zajada,
«Ani głod, ani zimno, ani żadna zdrada
«Nie zagraża ni tobie, ni twojéj rodzinie,
«Zobaczymy, szlachcicu, kiedy groza minie,
«Czy potrafisz chłopowi wywdzięczyć się szczerze!»
—«Wedle swéj *karkulacyi* każdy rzeczy bierze,
«I często rozumuje jak kulą do płota!»—
Rzekł ekonom z Brzozówki Baltazar Kapota:—
«Jaśnie wielmożny panicz biedną szlachtę hasa,
«Bo sam polubił córkę starego Ułasa.
«Któż się broni wpisywać do takiego cechu?
«Cha, cha, cha zprzeproszeniem, ja sam nie bez grzechu...
«Ale choćby krzyczała cała Europa,
«Nigdy nie karkuluję na uczucie chłopa!»

Prześliczną jest także scena śmierci Ułasa i obraz uriadnika kozackiego klęczącego u łoża umierającego. W ogóle rzadko Syrokomla tak umiał ustosunkować wszystkie części utworu jak tu; nie ma przeciągłych epizodów, nic zbytecznego, liryzm go nie unosi za daleko; maluje sceny, w których jest całą duszą; mało też poematów jego, prócz *Kęsa chleba*, tak spójną całość stanowią. *Ułas*, wcale na odwrót innych poematów Syrokomli, mógł był łatwo szerszych być rozmiarów; gdy przeciwnie „Nocleg Hetmański“ na przykład, zyskałby na skróceniu.

Trzy drobniuchne poemata: *Dni doroczne na Litwie*, *Staropolskie Roraty*, *Dni pokuty i zmartwychwstania*, stanowią jakby fragmenta jednéj całości niedoszłéj; wszystkie one malują roczne uroczystości kościoła, połączone z obrzędowemi tradycyjnemi obchodami świąt, które przeszły w narodowe pa-

miątki. Są to urywki, jakby elukubracye na wyznaczone tomata, widocznie z przymusem odśpiewane. W „Dniach dorocznych“ przebija się w ironii to uczucie smutku, które rodzi niewola trudu. Gorycz wylewa się mimowolnie z serca nawet tam, gdzie przedmiot barw innych wymagał. *Staropolskie Roraty* śliczną myśl mają w sobie; *Dni pokuty i zmartwychwstania* kończą niby co zaczęły *Dni doroczne*: ale porównywając np. znajdujący się tu wielkoczwartkowy obrzęd z tym, który skreślił poeta w *Wielkim Czwartku*, łatwo się przekonać jak mu przymusowa praca odejmowała siły. Trzeba było pisać, śpiewać — mówi Kraszewski — a wówczas lada wątek sympatyczniejszy chwytał: zdawało mu się, że rzecz sama go natchnie, a duch wołany nie przychodził! Naglony przez wydawców, związany słowem daném, często zmuszony biedą domową, pisał, sam czując, że nie takby mógł tworzyć w innych szczęśliwszych, swobodniejszych warunkach. *)

Stella Fornarina jako poemat jest słabą, jako temat — fałszywą. Początek tylko jest wcale piękny:

Rzym, to potężny, to słaby z kolei,
Zostawał panem świata po dwa razy:
Jeden raz w imię człowieczych idei, —
Drugi raz w imię Baranka bez zmazy — i t. d.

To co poeta mówi o malarstwie, o sztuce, jest często przeczute szczęśliwie, ale siła natchnienia, która nieodstępnie towarzyszyła w szczęśliwszych latach, tu już znacznie jest wyczerpaną. Często gładki wiersz jest rozwierszowaną prozą, parafrazą komunałów aż do zbytku zużytych i znajomych. Nawet w obrazie Fornariny nie ma tego wdzięku, jaki jest naprzykład w dzikiéj leśnéj dziewczynie, córce Ułasa. Im bliżéj ku końcowi, tém bardziéj pióro drętwieje w ręku. Poeta, jakby uciekał od swego przedmiotu, widocznie śpieszy, leci do ostatniego słowa swego:

Ona natchnieniem była Rafaela!...

Poczucie ogółu potępiło «Stellę», widząc w niéj alluzyę do życia autora i jakby usprawiedliwienie sztuką szałów namię-

*) W jednym z listów do Chęcińskiego pisze: «W stanie obecnym mojéj duszy nie mogę być pewnym, czy zdołam napisać coś sumiennie dobrego; księgarz licząc na moje imię, da pieniądze i za lichotę, ale uczciwość nie pozwala wydzić z czytelników, duma nie pozwala szlachetne powołanie uzdać do rzemiosła.

tnych. Usunąwszy tę ideę alluzyi a sądząc rzecz samę, nie ma tam nic tak dalece ani porywającego, ani odstręczającego. Słuszniejszy może byłby zarzut, iż poeta przesadził w idealizowaniu, przypisując kobiecie w życiu duchowém artysty nierównie więcéj znaczenia, aniżeli kiedykolwiek mieć mogła i może. Ani Fornarina, ani żadna z osobna wzięta kobieta nie mogła być «natchnieniem» Rafaela, nawet co do pojedyńczych postaci jego obrazów. Duch, który z tych postaci, rysami przypominających Fornarinę, przegląda wiekuistą młodością nadziemskiego żywota, nie jéj był duchem, bo samaby się stać musiała drugim Rafaelem: było to widzenie własnéj duszy artysty.

Ze wszystkich poematów Syrokomli, na tle historycznem osnutych, *Marcin Studzieński* może jest najudatniejszy. Dzieje (mówi Kraszewski) dały gotowy i przecudny obraz, który cały jest w kronice Bielskiego, tak, że go tylko ztamtąd przeniosłszy, ustroić przyszło w wieńce slicznych wierszy *). Pomysł główny prosty jak zawsze. Marcin Studzieński, szlachcic herbu Gryf, kocha Maryę córkę rajcy wileńskiego, ale go z pewną dumą odpycha ojciec. Idzie więc walczyć z Tatary. Ranny pod Kleckiem, uratowany z pola walki, przychodzi odarty do bram Wilna o kiju, kaleką; ale tu go chwytają straże i wiodą na ratusz, aby mu oddać wedle rozkazu biskupa Tabora dla pierwszego przychodnia zostawione 500 kop. groszy... Modląc się u ciała świętego biskupa, Marcin zostaje uzdrowiony, rajca oddaje mu córkę, a pan pisarz, co do niéj zalecał się, dostaje odprawę.

Wieczór u pana rajcy cudownie, świeżo, raźnie i z nieporównaném mistrzowstwem nakreślony, rozpoczyna poemat. Studzieński, mieszczanie, taniec, rozmowa, odprawa, tworzą całość prześliczną, żywą i w dobrą chwilę napisaną. Wiersz płynie

*) Syrokomla jednakże folgował tu nieco swobodzie poetyckiéj, albo też oparł się może na mętném źródle historyczném, kiedy śmierć biskupa Tabora opisuje jako zaszłą w Wilnie. Mąż ten znany z nieustraszoności i cnotliwéj zasługi, umarł r. 1507 w Krakowie, dokąd był zjechał na koronacyę Zygmunta I-go. Podobnież zboczył autor od ścisłości historycznéj, mówiąc o znajdowaniu się Tatarów w Lidzie w r. 1506; zagon ich bowiem o milę na południe od Lidy był wstrzymany przez podjazdy polskie, pogrom zaś pod Kleckiem zmusił wszystkie rozproszone po Litwie siły tatarskie do jak najszybszéj ucieczki ku południowi. Zresztą poeta nie tylko pod względem barwy wielkich wypadków, lecz i pod względem ich przebiegu, był wiernem echem historyi (przyp. do str. 81 t. IV *Poezyj Lud. Kondr.*)

przezroczysty, kryształowy, a dźwięczny gdyby muzyka. W części drugiéj poematu znajdujemy prześliczny obrazek Wilna, zdjęty widocznie w jednéj z samotnych przechadzek poety za miastem.

Stara stolica Gedyminowa,
Wilno, pieszczota pięknéj natury,
Pomiędzy gaje, pomiędzy góry,
To kwiat, co w dzikiém zielsku się chowa...
Gdy się na strome wdzierasz urwisko,
Albo brniesz piaskiem drogą pochyłą,
Nigdybyś nie zgadł, że Wilno blizko,
Gdyby twe serce silniéj nie biło.
Gdy przed twojemi mignie oczyma
Szczyt pierwszéj wieży, pierwszego krzyża,
Czujesz dreszcz święty, ów dreszcz pielgrzyma,
Co się ku miejscu świętemu zbliża.
Korne kolano samo się zgina,
Serce uderza tętnem żałoby:
Bo tu Litwina Mekka, Medyna,
Tu jéj proroków kolebki, groby!
Tu przed wiekami Litwini starzy
Palili bogom ofiarne Znicze;
Tu przenajświętszéj Panny oblicze
U bramy miejskiéj stoi na straży;
Tu Jagiellończyk, lilija dziewic,
Syn uświęcony litewskiéj matki,
Patron — przyczyńca, książę, królewic,
Złożył w świątyni ziemskie ostatki;
Tu się męczeństwa pamiątka budzi,
Trzy krzyże wieńczą górę pochyłą,
Bo gdzież jest naród, gdzie miasto ludzi,
Coby proroków swych nie zabiło?
Niejednokrotnie nad miastem starém
Pan różczkę pomsty wyciągnąć raczy:
Trapi je głodem, morem, pożarem,
Trapi przez krwawy najazd krzyżaczy;
To znów miłościw ku dzieciom swoim
Daje po klęskach wytchnąć szczęśliwie,
Ludzi nawiedza zdrowiem, spokojem,
A urodzaje pleni na niwie,
Baszty ukrzepia, mury rozszerza,

Duchem mądrości nawiedza starsze,
Wlewa odwagę w piersi rycerza,
I zbawcze myśli w serce monarsze.

Przydługie jest opowiadanie o dawniejszych dziejach Wilna, ale po nim historya obmurowania miasta, opis processyi uroczystéj, z błogosławieństwem obchodzącéj stolicę, niezmiernéj powagi, barwności i wdzięku, a szeroką i śmiałą skreślone ręką. Z powodu powziętego przez mieszkańców Wilna zamiaru opasania murem swojéj stolicy, poeta mówi:

U nas wiadomo z ojców przykładu,
Że gdzie potrzebny środek ochrończy,
Tam gadu, gadu, a nie masz ładu,
Do dnia sądnego rzecz się nie skończy,
Aż myśl ognista, jak promień słońca,
Ku celom bożym powoła rzesze,
Aż dłoń potężna, wzruszeniem drżąca,
Z zimnego głazu iskrę wykrzesze,
Aż gorejące natchnieniem słowo
Wybuchnie ogniem, zapłoni twarze,
Wstrząśnie zmartwiałą deskę piersiową
I sercu czynem zakipieć każe.
Wtedy na Litwie żyć już nie szkoda,
Nowych w jéj dziatwie dojrzysz przymiotów,
I ład się znajdzie, i święta zgoda,
I duch do ofiar gorących gotów.
Litwin zapomni uraz uprzejmie,
Pójdzie choć w ogień w najlepszéj chęci,
Kęs chleba sobie od ust odejmie
I krwi ostatnią kroplę poświęci.

Taką ognistość w myśli i słowie,
Taki we wzroku zapał zwycięzki,
Taką potęgę, co k'czynom zowie,
Miał Wojciech Tabor, biskup wileński.

Postać biskupa prawdziwie szczytna. Są to główne ozdoby poematu; potém bitwa pod Kleckiem, śmierć Tabora, opromienionego świętością chrześcijańskiego pokoju i ostatnia scena u bramy, kończą szczęśliwie tę, jak ją autor nazwał, «kartkę z kroniki Wilna». Syrokomla sam czuł, że tworząc «Marcina Studzieńskiego» był szczęśliwie natchniony i miał słuszność, i jaśniejsza to była chwila, gdy go pisał. Przedmiot nieco odmien-

ny, epoka nowa i poetyczna, opowiadanie Bielskiego, miłość dla grodu Gedymina, złożyły się na tę powieść uroczą.

«*Starosta Kopanicki* więzień w Sonnenburgu, ustęp z pierwszych lat panowania Augusta III», należy także do udatniejszych utworów Syrokomli. Wątek całego poematu jest ściśle historyczny; bohaterem jego Franciszek Poniński, starosta kopanicki, więziony w Sonnenburgu. Wstęp natchniony jest i wielki, jak ci bohaterowie przeszłości, po których tęskni poeta.

Stara i święta mych ojców ziemico!
Kwitniesz jak dawniéj żytem i pszenicą,
W lasach, na łąkach znaczna łaska Pańska,
I statki twoje pływają do Gdańska,
I miasta twoje wspanialéj się bielą,
I wioski twoje nawet się weselą,
I dwór szlachecki już nie z bierwion drzewa,
Lecz z pięknéj cegły wspaniale piętrzony;
Już nie na jednym chorągiew powiewa,
Jak w stare czasy miewały barony;
I stan twój dzisiaj kwitnący, bogaty,
Że nawet zazdrość u sąsiadów budzi;
Nic nie straciłaś od dawniéjszéj daty,
Nic nie straciłaś — tylko wielkich ludzi.

Na nasze czasy może ich nie trzeba:
Dziś wiek jest wielkim, a nie jeden człowiek.
A jednak czasem łza płynie do powiek,
I z głębi piersi modlitwa do Nieba:
«Przywróć nam Panie staroświeckich ludzi,
«Z krzemienną piersią i z duszą stalową!
«Niechaj ich z trumny Twój rozkaz obudzi,
«Niech w oczy spojrzą, niech przemówią słowo, —
«Abyśmy mogli choć raz, choć z daleka,
«Zobaczyć w życiu wielkiego człowieka!»

Na każdéj karcie starych dziejów księgi
Spotkasz olbrzyma duchowéj potęgi;
Pod każdą strzechą były wielkie głowy,
Jakiś bohater, jakiś bóg domowy.
O nim w wieczornych gawędach gadano,
Jego był obraz w kościele, w klasztorze,
Jego imieniem dzieci nazywano
W piątém, dziesiątém pokoleniu może.

Bo w każdym czynie było ziarno ducha,
Ducha Bożego miłości i wiary,
I każdy wiedział, że potomność słucha,
Że dzieje patrzą na jego zamiary.

Mnich siwobrody, w pocie swego czoła
Słowa świadectwa na pergamin leje;
W mowie łacińskiéj, w języku kościoła,
Kreśli poważne rodowite dzieje,
Aby pod świętych wyrazów osłoną
Pamięć praojców tém święciéj uczczono.
Słowo na kartę wpisane w ten sposób
Nieodwołalnym wyrokiem się stało:
Był to i posąg uwieńczony chwałą,
I pręgierz hańby dla czasów i osób.
Takiém wspomnieniem jak dziejopis wspomni,
Człowiek na zawsze stawał na widoku, —
I rzadko kiedy od tego wyroku
Sąd odwołania wyrzekli potomni.

Lecz historyczna karta choć szeroka,
Nie wszystkie zacne objęła imiona:
Część ich w domowéj ciszy utajona,
A reszta całkiem ukryta dla oka.
Lecz dziejopisów urodzajna niwa
Wciąż nowe imię, nowy czyn odkrywa.
W wirze wypadków, sejmu albo wojny,
Z jakich się przędła nić ojców żywota,
Wypływa na wierzch jakiś mąż dostojny,
Wybłyska jakaś bohaterska cnota.
Pytamy, musząc czołem im uderzyć:
Przecz wielkich ludzi niéma w naszéj chwili?
Ach! bo nam trudno w cokolwiek uwierzyć,
A oni święcie w swą sprawę wierzyli;
Trudno cokolwiek pokochać nam szczerze,
Gdy dawne serca wciąż miłość podsyca.
W czystéj miłości i w gorącéj wierze
Potężnych czynów była tajemnica,
Ci wielcy ludzie, nie tak jak my mali,
W Boga wierzyli i swój kraj kochali;
Z wiarą, z miłością szli w ogień bojowy,
Głos podnosili na sejmowéj ławie,

Chętnie schylali do męczeństwa głowy,
Gdy było trzeba męczenników sprawie;
Gorąco czując czém ich kraj obdarza,
Krew i grosz nieśli jako wypłat marny;
Był świętokradcą kto sięgnął ołtarza,
Aby pożywać z niego chleb ofiarny....

Nurtów przeszłości rozważając zamęt
I prochy ojców rozgrzebując w trumnie,
Miło nam znaleźć kosztowny dyament
I młodym wiekom pokazać go dumnie:
«Oto jest wielki zabytek z przed wieka,
«Znalezion w sercu dawnego człowieka!»

Opis elekcyi ma miejsca piękne, ale rozpływa się w ogólnikach; nie dość skupione światła na jednę gruppę i uwaga czytelnika rozprasza się po tém zbyt szerokiém tle, jak na starych obrazach wojen i sejmów, upstrzonych tysiącem szczegółów. Najpiękniejszą częścią jest opis więzienia w Sonnenburgu. W kilku miejscach smutek wewnętrzny poety, spuścizna po dotkliwéj boleści jeszcze nie zasklepionych ran, dziwnie poważnie się przebija:

Gdyby choć papier!... o znikoma karto!
Ty jesteś wszystkiém po szczęścia utrácie...
Kiedy nam serce boleśnie wydarto,
Miła krwi kropla, co wytryska na cię...

Lub nieco daléj:

Tysiąc jest w świecie moralnych niewoli,
Tysiącem bolów serce na raz boli;
Lecz kiedy cierpim, miłosierny Boże
Daj nam żyć myślą swoją a nie cudzą!
Przyjaciel, żona, domownik, pies może,
Złamią nam wiarę i miłość ostudzą;
Wtedyby, Panie, my ludzie zuchwali
I w Twoję miłość wierzyć zaprzestali.
Na co nam w życiu towarzysz powszedni?
Gdy mamy cierpieć, cierpmy sami jedni.

Gawęda historyczna *Kanonik Przemyski*, nieukończona i nieogłoszona za życia autora, należy do młodzieńczych utworów Syrokomli i oprócz kilku malowniczych ustępów, jak opis dworu

liścińskiego, burzy, Krakowa, niewiele ma zalet. Charakterystyka osób historycznych nietrafna. Przewodnikiem przy pisaniu tego poematu był dla autora J. M. Ossoliński; lecz z tego zródła zaczerpnął tylko szczegóły biograficzne; rysy duchowe oddał po swojemu, z widocznem współczuciem dla znakomitego «warchoła», chociaż we wstępie do pieśni czwartéj mówi:

Pobożny czytelniku, jeśli ci się zdało;
Że kanonik przemyski targa się za śmiało
Na kościelną powagę,...
Przepuść mu, bośmy ludzie ułomni, niestety!
I nie rzucaj kamieńmi na głowę poety,
Co przytacza wyrazy, lecz ich sam nie chwali.
Nie mierzmy starych czasów wedle nowéj skali,

Co do innych utworów epickich Syrokomli, ograniczamy się wymienieniem ich nazw: „*Błogosławiony Sadoch*, legenda krajowa (1260 r.)“ — „*Pocztylion*, gawęda gminna“ — *Trzy gwiazdki*, gawęda“ — *O chwale Bożéj i chwale królewskiéj*, gawęda z żebrackiego żywota“ — „*Dyfferencya*, gawęda zaściankowa“ — *Chodyka*, gawęda z tradycyi poleskiéj“ — „*Kradzione*, przypowieść szlachecka“ — „*Zalotnicy*, gawęda“ — *Grabarz*, gawęda„ — *Żebrak fundator*, gawęda klasztorna“ — „*O skarbcu zaklętym*, gawęda gminna“ — „*Lalka*, gawęda dziecinna“ — *Hetman polny*, gawęda staro-żołnierska“ — „*Czartowy Bród*“ (ułamek pierwotnego zarysu *Ułasa*) — „*Wieś Lubraniec*“ (fragment) — „*Żywot poczciwego człowieka*, gawęda“ — *O Zabłockim i mydle*, przypowieść szlachecka“ — „*Kojec z kurczęty*“ „*Żebrak z rzemiosła*, gawęda“ — *Matysek*, gawęda“ — „*Garść pszenna*, gawęda ludowa“ — „*Cieśla*, gawęda ludowa „*Rycerz na czatach czyli pieśń rycerska o herbie Łżawa*, z podania heraldycznego“ — „*Najmłodszy z Toporczyków*“ (urywek poematu) — „*Sejm Lubelski*“ (początek poematu) — „*Folwark Stara Niwa*“ (ułamek) *Czarno i biało*, obrazek“ — „*Illuminacya, wspomnienie z deszczu*, gawęda ludowa“ — „*Widzenie pustelnika* legenda“ — „*Trzy córki Litwina*, opowieść“ — „*Dzieje karty papieru*“ — *Księgarz uliczny*, gawęda“ — „*Dziewiczy wieczór*“, cudna mozajka z piosnek i baśni ludowych — „*Dokumenta*, gawęda baby Lulki“ — „*Szkoła wiejska*“ — „*Tandeciarz*“ — „*Błogosławiony szewc Świętosław*“ — „*Dwa obrazy, opowiadanie o promiennéj chwili w niebie i na ziemi.*“

Dwa obrazy, to ostatnia praca epicka Kondratowicza. Dy-

ktował ją na łożu śmiertelném. Na ostatnim niemal wierszu niedokończonego wspomnienia Polesia, okolicy w któréj się urodził, na zawsze zamknął powieki. Myśl tu ciągle wypowiada już posłuszeństwo woli; ale poeta spełnił co był poprzysiągł przez usta Henryka w *Chatce w lesie*, że «te miejsca wyszepce konającemi usty.» Ile jednakże natchnienia opromieniała jeszcze tę myśl dogorywającą, dowodzą następujące wiersze. Sztuka przemawia do młodego malarza polskiego w Rzymie.

«Oto Chrystusa i Maryi twarze;
«U stóp rodziców krąży grono dzieci,
«Z krzyżami, z palmy, bez stanów różnicy,
«Święci wyznawcy i anachoreci,
«I najliczniejsi Pańscy męczennicy.
«Zadrży ci ręka, to bardzo być może:
«Chcąc oddać niebo, zbyt świętych rąk trzeba.
«To rozściel oczy po ziemskim przestworze,
«Nie maluj ziemi inaczéj jak z nieba;
«A ten świat ziemski podsłoneczny, boży,
«Swe tajemnice zaraz ci otworzy.
«Gdy myśl zrozumiesz, co z tych wód wytrysła,
«One na płótnie tak życia nabiorą,
«Że każdy powie: — to Wilia, to Wisła,
«To Nadkruszwickie, to Trockie jezioro.
«Wsłuchaj się co tam biją na pacierze
«Żelazném sercem twojéj ziemi dzwony:
«Z ram ci wyrosną Maryackie wieże,
«Baszty Kiejstutow i Wawel zgarbiony.
«Przyjdą oglądać widzowie nieśmieli:
—«Jeszcześmy takich cudów nie widzieli!»—
«Z dymami wiosek, z aromatem lasu,
«Zrośniéj się w jedno, pobrataj swe płuca:
«A mądrość wyższa od czasu do czasu
«Twe płótno swemi barwy poobrzuca.
«Zrozumiesz dziecko gdy ołówek bierze,
«Czemu wprzód kreśli domki i kościoły,
«I nieopodal wąsate rycerze,
«Na górze bitwy, tu nakryte stoły,
«Myśl zda się prosta a niekażdy powie...
«Przyczyna prosta nawija się snadnie,
«Lecz mędrzec ziemski niekażdy ją zgadnie.

W niebo kunsztmistrzu, w niebo coraz bystrzéj!
Tędy szły drogi wiekuistych mistrzy!»

Do utworów liryczno-opisowych należą *Wrażenia Pielgrzyma*. Z zamierzonych trzech części poeta napisał tylko pierwszą: *Z Litwy do Wielkopolski i Gniezno*. Poeta żegna Wilno, zatrzymuje się w Kowieńskiéj dolinie, mówi o Kownie i Mickiewiczu, przebywa część Królestwa, dostaje się do Warszawy, wyjeżdża z niéj do Piotrkowa i Częstochowy, a ztamtąd udaje się do Poznania. Osobny urywek poświęcony jest Gnieznu a raczéj katedrze gnieźnieńskiéj. Wszędzie autor zbiera wspomnienia i wiąże je w wieniec jeden. Plan takiego poematu— podróży dobrze przystawał rodzajowi jego talentu, ale w téj pieśni czuć, że serce bić przestało z dawną siłą. Niekiedy dobywa się szyderstwo z ust, gorycz; ale wysokiego natchnienia nie ma prawie; żadna z tych pamiątek; które ogląda, nie dobywa z piersi tego potoku poezyi, jakiby przed laty z niéj popłynął. Przytaczamy ustęp o Warszawie.

...Po nad Wisłą płową
Wypięknioną Warszawę witamy na nowo;
I zamęt nas ogarnia po wioskowéj ciszy:
Pielgrzym patrząc nie widzi, słuchając nie słyszy.
Wśród tego blasku ulic, wśród wrzasków gromady,
Nie wie, oko czy ucho wypuścić na zwiady.
I wzdłuż i wszerz przebiega nieskończone bruki,
Podziwia wzniosłe gmachy, arcydzieła sztuki,
Gospody okazalsze od naszych pałacy,
Widzi cuda przemysłu albo ludzkiéj pracy.
Zewsząd muzyka skoczna do niego dochodzi,
Podziwia piękność niewiast i wesołość młodzi,
Podziwia ruch umysłów nakształt Wisły fali,
Podziwia dzieła mędrców, co tu napisali!
I stolicę, co taka bogata, szczęśliwa,
Ze swojém skromném miastem znowu porównywa.
Więc pyta sam u siebie nachmurzywszy czoło:
Czemu u nas tak tęskno? u nich tak wesoło?
Czemu oni weselem zająć nas nie mogą?
Czemu w naszéj tęsknocie dla serca tak błogo?

Baw się, wesołe miasto, bez końca, bez miary!
Ja nie po to przyszedłem, by dzielić twe gwary.

Kocham twój lud, co pilno krząta się i śpieszy,
Zazdroszczę dziennéj sławie twéj piśmiennéj rzeszy;
Chciałbym widzieć na całym litewskim przestworze
Gmachy takie wspaniałe, dziewice tak hoże,
Ale ja tu przyszedłem z celami inszemi:
Idę szukać dziejowych pamiątek méj ziemi,
A w twych murach cóż spotkam z dawniejszych stuleci?
Stanisław Poniatowski!! albo Zygmunt trzeci!!
Jako dwa straszne widma, jako zmory we śnie,
Zbolałą pierś pielgrzyma zaległy boleśnie,
Jeden z krzyżem i mieczem z wysokiéj kolumny
Swemi dzieły bezładu uśmiecha się dumny,
I zdaje się powiadać: Narodzie, narodzie!
Ja ten miecz wyostrzyłem, który cię przebodzie;
A ten krzyż — wyciosany ręką Jezuity...
Na nim za moje grzechy zostaniesz przybity.

Drugi... — zamilczmy o nim — to ślad jego ręki
Ten przepych w murach zamku, te strojne Łazienki,
Te cudne malowania — i ta ustaw karta,
Najprzód sponiewierana, a potém rozdarta,
Wiara wyrwana z serca, znieważone prawa,—
Oto wszystkie pomniki króla Stanisława.

Ale z takich pomników miastu nie masz chwały,
Jeżeli w niém pamiątki świętsze nie zostały,
Poszukajmy ich daléj — oto wzrok spotyka
Wykowaną ze spiżu postać Kopernika.
Ze sferą niebios w ręku, z podniesioną głową,
Obrotowi niebiosów daje postać nową,
Sprawdza prorocze słowa ścisłemi rachuby,—
O! nie wydrą nam obcy, nie wydrą téj chluby!

Pomnik wielkiego męża swą ziemię zaszczyca.
Tam w bielańskiéj pustelni święty grób Staszyca;
Tam w katedralnych sklepach, wśród starego grodu,
Stanisław Małachowski — przyjaciel narodu;
Tam w rozkosznych Łazienkach z kamienia wykuci
Sobieski Turków gromi — Karpiński pieśń nóci,—
Wszyscy rodzinną ziemię oblekają chwałą...
O! takichby pomników mieć więcéj przystało.

Orzeźwiony wspomnieniem i na duchu żwawszy,
Pielgrzym rzuca Warszawę cicho zapłakawszy;

Unużony jéj gwarem, chce odetchnąć ciszą,
Żegna jéj wielkich ludzi, którzy książki piszą,
Żegna tumult uliczny, co kipi i gwarzy,
Wspaniałe gmachy możnych i sklepy handlarzy;
Za chleb, za dobre słówko serdecznością płaci,
I jedzie w dalszy zachód, poznać więcéj braci.

Poemat czyta się z przyjemnością, ale głębszego wrażenia nie sprawia. Nawet Jasna Góra Częstochowska, o któréj więcéj jest nieco, nie zdołała poety wydźwignąć z tego odrętwienia, widocznego w całym utworze. Rachował na rodzinną ziemię (mówi Kraszewski), że z piersi zastygłéj dobędzie ogień młodzieńczy; ale świat cicho i łzawo mówił doń, i te myśli, które mu, przynosił, nie były do powtórzenia. Słowa się ulotniały na spalonych ustach, jak krople wody na rozgrzaném żelazie. Doświadczył Syrokomla, że są chwile, w których śpiewak stworzony do śpiewu jąk ptaszę niebieskie, śpiewu z siebie wydobyć nie potrafi.

Uśmiech bolesny wykrzywia mu usta na granicy, gdy

Człowiek obcéj postaci i stroju obcego
Pyta cię obcą mową — a Pan Bóg wie czego?
Zrozumiałeś nareszcie, że mu prawo służy
Przejrzeć tłomok pielgrzymi i kartę podróży.
I zdrów Niemiec popatrzał oczami bystremi:
W tłomoku nic nie było — prócz cegieł i ziemi,
Którem zebrał u swoich — a nie stało w karcie,
Że Niemca syn słowiański nie cierpi otwarcie,
Więc mój tłomok i kartę znalazłszy najczyściéj,
Przepuścił kontrabandę mojéj nienawiści.

Trudno oznaczyć rodzaj, do którego należą *Melodye z domu obłąkanych*, przedziwnéj fantazyi i humoru obrazki, wystawiające stosunek poety do świata. Migają w nich co chwila łzy i uśmiechy, prześwieca szyderstwo lub rzewność. Przypominają ci się—mówi Kraszewski dni w górach, które razem słońce ozłaca i deszcz skrapia, na niebie chmurki ze złota i szafirów i promienie brylantowe, natura płacze i drzy z radości... Przytaczamy tu dwa ostatnie obrazki.

V.

Kot się w pląsach wywija
Snadź niegłodna bestya!

Kocie, moje kochanie,
Jakie miałeś śniadanie?

Możeś chodził na łany—
I pod kamień schowany,
Wyszpiegował ptaszynę,
Co nam dobrą nowinę
Co wiosnę przepowiada!
Sama z jutrzenki spada,
A pełne jéj promieni,
Gdy je w pieśnie zamieni,
To tak tryska, szczebiota,
Że aż płakać ochota,
Że aż serce sieroce
Obertasa zagrzmoce!

Najprzód, ptaszek z ukosa,
Potém leci w niebiosa,
I w błękitne sklepiska
Ostrze pieśni swéj ciska,
I znać daje do nieba:
Że tu ludzie bez chleba,
Że nam łaski potrzeba,
A gdy niebo rozczuli,
Spada na dół w lot kuli.
I nad głową oracza
Rzeźwe kręgi roztacza.
Na «dzień dobry» mu rzecze:
—«Uśmiechniéj się, człowiecze!
«Bóg rozjaśnił swe lica,
«Siej! a będzie pszenica!»
O! to anioł nie ptaszę!
O! to szczęście on nasze!
O! to kapłan téj niwy!
To poeta prawdziwy!
W jego słówku i treści
Dobrodziejstwo się mieści.

A ty kocie, twę szpony
Może w piersi natchnionéj,
Może w sercu śpiewaczém
Zatopiłeś cichaczem??
Mów! czy żyje skowronek?
Czy wydzwoni nam dzionek?
Czy da siewcy nadzieję,
Czy ten potem się zleje?

Kot tak spojrzał zuchwało,
Że odgadłem rzecz całą:
Legł rozszarpan na szmaty
Bogomodlca skrzydlaty!

Kot się drapie po ścianie.
Kocie! dziki tyranie!
Powiedz: krwawe twe gardło
Co na obiad dziś żarło?
Możeś chodził na łowy
W młody gaik liściowy,
Gdzie leszczyna cienista,
Kędy wierzba się chysta;
I gdzieś w ciemnéj leszczynie
Śmierć zadałeś ptaszynie,
Co swą pieśnią wieczorną
Spędza troskę uporną,
A w jéj miejsce—nadzieje
Zdrowia, życia naleje?
Pieśni jego ciekawa
I leszczyna i trawa;
Księżyc przy jego śpiewie
Własnéj drogi już nie wie;
Zatrzyma się i słucha,
I westchnieniem wybucha!
I łza, co leje z duszy,
Na ziemię rosą prószy.
Mów, potworo! mów dzika!
Czy zabiłeś słowika?

Zbrodniarz siadł przy ognisku,
Krew wymywał na pysku;
To krew była, niestety!
Gajów naszych poety!

Kot się bawi jak dziecko,
Wzrok mu patrzy zbójecko:
Powiedz, straszne ty zwierzę,
Jaką miałeś wieczerzę?
Może za swą zdobyczą
Wpadłeś w strzechę rolniczą,
Gniazdo jaskółcze zdarłeś
I pisklęta pożarłeś?

Przyleciała z daleka,
Zdała w ręce człowieka
Swoje gniazdo z pisklęty—
Skarb swój drogi i święty!
Onaż nasza gosposi,
Ona lato przynosi,
Ona w ciepłe już lato
Nad stodołą, nad chatą
Pływa długiém skrzydełkiem
I szczebioce ze zgiełkiem;
Pędza czeladź leniwą:
—«Do roboty co żywo!
«Jedno lato jest w roku,
«Zwoźcie zboże do toku!»
A gdy obłok się brudzi,
Lata nizko wśród ludzi
I przestrogę swą kwili:
—«Deszcz! deszcz będzie w téj chwili!»

Słyszysz?.. jęczy tak głucho!..
Po nad gniazdka okruchą;
W pośród gruzów się świeci
Krew i piórka jéj dzieci!
Nieszczęśliwa ptaszyna
Nas i siebie przeklina;
Bije piersmi o ścianę,
Woła dzieci kochane.

Gdy tak mówię do zwierza,
Kot się na mnie najeża
Ze strasznemi oczyma...
Wątpliwości już niéma!
Zgubił w całym jéj losie
Strzech litewskich gosposię!

Kot z mruczeniem zdradzieckiém
Usnął w cieple za pieckiem;
A ja myśląc niedługo,
Jak go skropię maczugą!..
Aż się zerwie, zapieni
I wyskoczy do sieni,
Na dziedziniec, do sadu,
I już kota ni śladu...
Ha!.. na drzewie!.. ja za nim
«My go prędko dostaniem!»

Pan dozorca szpitala,
Wyszpiegował to z dala,
Kazał ściągnąć mię z drzewa,
Zimną wodą oblewa,
Sadzi w ciasną zagrodę:
— «Trzy dni na chleb, na wodę!»
Za co? żem mścił się czynnie
Krwi przelanéj niewinnie,
Krwi ptaszęcéj, śpiewaczéj?
Czyż być mogło inaczéj?

Pan dozorca!.. ej biada!..
Pewno ptaszki zajada,
Więc pogląda przez szpary
Na pobite ofiary!
A toż mamy już przecię
Dziewiętnaste stulecie!
Nadaremnie się trudzi:
Nie poprawi już ludzi!
Cóż ja poczne, mój Boże?...
Chyba spać się położę.

VI.

Śmieszne snuły się postacie
W téj komnacie:
Coś się miasto, coś wioszczyna
Przypomina.
Tam na kurzéj nóżce chata
Wichrowata;

Tam przymila się gospoda
Siwobroda;
Pałac zerka na uboczu
We sto oczu;
A kościołek skrzypi w stronie,
Gdy wiatr wionie,

Na drewnianych szczudłach wsparty
Dach podarty;
Ktoś założył tam kwieciarnię,
Mchy i darnie!
Ludzie chodzą, gwarzą, siedzą
I nie wiedzą:
Gdzie skierować senną postać?
Iść? czy zostać?
Tak śmiesznego nic na świecie
Nie znajdziecie.

Dzwon szczerbaty kaszla z wieży:
«Do pacierzy!»
Cztérech dziadów w szmatach, boso,
Trumnę niosą;
Cztéry babki szpitalnice
Niosą świéce;
A na czele organista
Aż się chysta.
Musiał zażyć dla zapału
Kordyału,
Bo z zapałem bierze tony
Antyfony.
A gdy huknie: *Dies illa!*
I *Sybilla!*
Requiescat! kiedy palnie
Kapitalnie,
To aż czując radość błogą,
Tupnie nogą.

Trumna prosta — a za trumną
Niezbyt tłumno:
Idą sobie ludzie prości
Z ciekawości,
Potém bieży tłum pacholi
Dla swawoli;
Dwóch przyjaciół nieboszczyka
Z drogi zmyka.
Mówią sobie: — «Szkoda, szkoda!
«Dusza młoda!
«Serce wulkan — co z ogniska
«Lawą tryska!
«Aż się samo własną siłą
«Przepaliło.
«I cóż teraz? — niech kto spyta:
«Trup i kwita!»

— «Po kim beczysz tak nieczysto,
«Organisto?!
«Trup, jak znaczno, i po zgonie
«W dobrym tonie.
Musiał cierpieć — w ustach znaczny
«Jęk rozpaczny.
«Są na czole myśli znaki,
«Kto to taki?»
Tak zapytał pan z natłoku
Z szkiełkiem w oku.
Organista tak mu rzecze:
— «Ja nie beczę,
«Po łacinie śpiewam z nóty
«Psalm pokuty.
«A nieboszczyk, co widzicie,
«Sterał życie —
«Po obłokach się kołysał,
«Wiersze pisał,
«Czytał w książkach w noc i we dnie
«Jakieś brednie,
«Dał każdemu wieść się w pole
«Jak pacholę,
«A jeżeli rzec nawiasem,
«Płakał czasem.
«Krasawica sercu miła
«Go zdradziła;
«Przyjaciołom nic nie wierzy —
«Bo nieszczerzy;
«Wiersze zgryźli z dobréj chęci
«Recenzenci;
«A pokrewni gdzieś tam z dali
«Wieś zabrali!

«I tak szło mu nieciekawie
«W każdéj sprawie,
«Wziął na rozum za głęboko,
«Spuścił oko,
«A jak w drodze spotkał człeka,
«Precz ucieka.
«I poczęto mówić w mieście:
«Że nareszcie
«W jego głowie — złe nadzieje,
«Kogut pieje!
«Zachorował, była zima,
«Jeść nic niéma!
«Na kominku dogorywa
«Kłódka drzewa,
«A on nie wie nic o świecie,
«Wiersze plecie.
«Albo jęczał jak w malignie,
«Gdy już stygnie:
—«Kiedyż w piasku głowę złożę?
«Mocny Boże!
«Jam tak kochał!.. za co? za co
«Tak mi płacą?!» —

«Głodną śmiercią literata
«Zszedł ze świata;
«My go musim grześć co prędzéj
«Bez pieniędzy!!
«A na świece do karbony?
«A za dzwony
«Kto zapłaci?.. czy bogaci
«Literaci!??.
«A, doprawdy boli gardło
«Śpiewać darmo!..

«Ha!.. cóż począć?.. Dziady! baby!
«Głos nasz słaby;
«Ej! hukniemy u mogiły
«Z całéj siły
«Requiescat!— daj mu, Panie,
«Spoczywanie!
«Wieczna światłość — krzyczcie dzieci —
«Niech mu świeci!»

W zawodzie dramatycznym Syrokomla mniéj był szczęśliwy. Liryzm był jego cechą, jego powołaniem. Dramatyczny pisarz — mówi Kraszewski — chłodniejszym nadeń być musi i z innego na świat patrzeć stanowiska, wszystko pojąć aż do uczucia, ale nie czuć zbytnio i pozostać chłodnym sędzią. Dla niego człowiek musi być aktorem dramatu, nie wolno mu nad nim płakać, boby przez łzy nie widział dobrze, bo bicie serca odejmuje zimną przytomność, któréj pisarz dramatyczny potrzebuje. Domyśleć się łatwo, że akcyą dla naszego poety musiało być uczucie, że w jego rozmowach odzywać się musiała pieśń serdeczna. Syrokomla, który cały dramat zawsze budował na charakterach, na postaciach, a nie na czynie, i nie potrafił do końca przekonać się, że gra namiętności, ich starcie, słowem życie i ruch stanowią główne zadania sceniczne, którego narzędziem są charaktery i typy, skutkiem tego rozumiał, że rozwijając same charaktery bez sytuacyi prawie, da się żywy dramat utworzyć. Takim on zawsze jest u niego. Czynność mało go zaprząta, patrzy w człowieka, od razu go stawi jakim jest, niedopuszczając jak być powinno, by się powolnie objawiał w czynie, by coraz jaśniéj się obnażał, nie tyle

słowy co sprawami. Brał na siebie zaraz kreślenie postaci, a nie myślał wcale w jakiém one mogły być położeniu i o ile ono na samę ich cechę wpływać musiało. To też mimo prześlicznego wiersza i mniéj więcéj udatnéj budowy, któréj potrzebę później scena w nim rozwinęła, dramata Syrokomli są raczéj obrazami, szeregiem scen, niż właściwą sztuką pełną w sobie, konieczną we wszystkich częściach, związaną silnie i całą. Często całe ustępy, całe sceny wyrzucićby można nie psując dramatu, a to jest właśnie cechą doskonałego utworu dla sceny, że w nim każda cząstka jest konieczną i nic nad konieczne znajdować się nie powinno. Szereg ślicznych epizodów, związanych jak Bóg dał, oto utwory jego dla sceny. Pozostaną one jako poematą, nie wytrzymają krytyki jako dzieła sztuki, pisane dla teatru. Sam poeta czuł to bardzo dobrze.

Piérwsza próba Syrokomli na polu dramatyczném, *Chatka w lesie*, jest ładnym obrazkiem, któremu podobało się poecie nadać dyalogową formę. Sam autor nie uważał tego «dziwactwa dramatycznego», jak go nazywa, za utwór odpowiadający warunkom scenicznym. W przedmowie oświadcza, że «jest to po prostu kilka dyalogowanych kartek, na traf wydartych z księgi ludzkiego życia, całość sklejona bez planu, części nie dosyć pospajane, ustępy bez przechodów, charaktery bez dostatecznego rozwoju — słowem fantazya». — Cztéry osoby wchodzą do dramatu, w istocie dwie tylko stoją na piérwszym planie, a ściśléj biorąc, jedna— *Henryk*, poeta, człowiek, co wierzy głęboko, co daje się omamić łatwo, bo nie ma serca zawstydzić szalbierzy, co ufa kobiecie, co na świecie widzi raj sielankowy z ukochaną... Piérwsza długa, wyborna scena z księgarzem, na całość za rozciągła, ale prześliczna: wyraziły się w niéj żale autora do tych, co pracą jego kupczyli. Rzecz trochę oklepana, ale podniesiona wielkim talentem i wiecznie nowa, bo prawdziwa. W drugiéj Henryka z *Maryą* jest chwila marzenia, którą poeta bierze za rzeczywistość. Marya żąda z nim żyć choćby pod ubogą strzechą w biednéj chatce. Henryk zaprzeda się, aby mieć chatkę dla niéj. Sędzia *Płodozmian*, słodziutki człowieczek z miłą twarzą wytrawnego oszusta, przedaje mu lichy kawałeczek ziemi; ale po roku, gdy raj już gotów, Marya się rozmyśliła i wziąwszy rysunek do albumu, żegna naiwnego kochanka. Rzecz malutka, stara jak świat, lecz odświeżona bardzo. Umiejętności w prowadzeniu nie ma; intrygi żadnéj, ale w rozmowach są ustępy prześliczne, i całość zostawia wrażenie miłe.

W drugiéj części «Chatki», napisanéj w kilka miesięcy po piérwszéj, autor rehabilituje kobietę. Dziwnym wypadkiem sprowadza Maryę do samotnéj chatki w lesie, w któréj życie poety wprzód odmalował szczęśliwém, Maryę stęsknioną, żałującą za grzech, gotową podzielić los samotnika. Też same postacie otaczają poetę, ale tu się one uwydatniają, a raczéj karykaturują zbytnio. Poeta okazuje się bardzo praktycznym i zarazem wielce idealnym dobroczyńcą okolicy... Chatka jest prześliczna, piérwsza miłość odzywa się w sercu panny, i cała rzecz zamyka się hymenem. Sędzia pocieszny, poczciwy sługa, marszałek gastronom, otoż i całe rusztowanie drugiego obrazka. Głównie zarzucić mu można (słowa Kraszewskiego) jaskrawość barw i charakterów zbyteczną, która się zarówno czuć daje i w innych jego dramatycznych próbach. Czuł to Syrokomla, że dramat, to życie ściśnięte, skupione, skrócone, musi się posługiwać figurami mocno oświeconemi, wybitnemi, trochę kolorowanemi jasno, tak jak dekoracye się malują; ale miary znaleźć mu się nie udało. Malował jeszcze nadto żywo, nadto przesadnie; charaktery jego przechodzą w excentrycyzm, nawet na scenie nie zupełnie usprawiedliwiający się. Szczegółowo wzięte niektóre sceny są bardzo piękne, całość niezręczna, coś nakształt pełnego talentu szkicu, jeszcze niewdrożoną ręką malowanego. Jest w nich potęga, nie ma téj lichéj techniki, któréj drudzy mają do zbytku, a któréj on nigdy dosyć nabyć nie potrafił. — *Chatkę* grano piérwszy raz w Wilnie w r. 1858. *)

«*Hrabia na Wątorach*, krotochwila wierszem z XVI wieku» ma być komedyą historyczną. Za temat jéj autor wziął przy-

*) Z powodu téj *Chatki w lesie*, w któréj Nowińska grała na scenie wileńskiéj rolę Maryi, Syrokomla napisał do niéj następujący wierszyk:

Kwiatek wyrosły w skromnéj chatce w lesie,
Autor swéj Maryi z dziękczynieniem niesie:
Bo grą mistrzowską, co działa na serce,
Nadała urok jego bohaterce.
Przyjm pani szczere wdzięczności wyrazy!
Uwiłbym wieniec bogatszy sto razy
Z nieśmiertelników, lilii i róży,
Cóż kiedy wczora spektakl był nieduży!
Z winy autora kassa w złéj postaci,
Więc mu Dyrekcya procentów nie płaci.
Dziś-tylko serca wynurzam rozkosze...
A jutro... jutro... na kolduny proszę.

słowie zapisane u Rysińskiego: Comes de Wątory, jeden kmieć a trzy dwory, wybrawszy do niéj chwilę historyczną, kiedy Stefan Batory trupiejące lub blizkie przerodzenia się w olbrzymi potwór możnowładztwo polskie chciał zastąpić świeżą krwią i świeżą zasługą. Wyobrazicielem pasożytnéj, dogorywającéj w swém nicestwie kasty narodu jest *Wątorski* hrabia na Wątorach; Stanisław zaś *Pochołowiecki*, postać historyczna, przedstawia nowy, świeży element ludzi osobistéj zasługi, którymi król Stefan pragnął tron swój otoczyć. Z wyjątkiem Pochołowieckiego, wszystkie postacie wyprowadzone w téj krotochwili są płodem fantazyi autora.

O «Hrabi na Wątorach» można prawie powiedzieć toż samo, co o «Chatce w lesie»: są w niéj śliczne szczegóły, nie ma kształtnéj całości, nie ma planu i umiejętności w budowie. Fantazya włada poetą, który się sili na rusztowanie dramatu i podołać mu nie może. To co do formy, w któréj wszakże prześliczny wiersz okupuje mnogie usterki. Ważniejszy i słuszny poniekąd zarzut robi Kraszewski głównéj myśli utworu. Pycha rodowa u nas — mówi on — nigdy może tak rażących barw nie miała, a jeśli wyjątkowo przeszła do dziś dnia na niemnogich spadkobierców klejnotu szlacheckiego zgnuśniałych i zdziecinnionych, kto wié, czy za naszych czasów nie wyrodziła się potwornie... Mieliśmy mnóstwo szlachty dostojnych imion, która tak dobrze chodziła za pługiem chowając pergaminy za belką, jak najmniéj znajoma dziejom szlachta. Nikt się nie dął z klejnotów, bo w Rzeczypospolitéj schodzili jedni a wstępowali drudzy po téj Jakóbowéj drabinie, wiedząc, że jako jedno tak i drugie wszystkich równo spotkać mogło, a wreszcie szlachcic na zagrodzie równy był wojewodzie. Ale mniejsza już o prawdę historyczną postaci, — nie wymaga się ona od dramaturga. Poeta stawi Wątorskiego w położeniu, które go pozbawia współczucia, a nawet politowania godnym czyni, i gwałtem go śmiesznym robi. Ta fałszywa pozycya bohatera zmusza autora do wysiłków nienaturalnego komizmu, do przesady w postaciach, do ulatywania w jakiś kraj konwencyonalny, w świat oklepanek dramatycznych. Wątorski nie ma życia, jest papierowy, i wszystko co go otacza, wygląda na fantastyczny utwór, któremu historyczne znamię i ów Pochołowiecki, wojak, dziwnie przyczepiony, jakoś nie pasują. Jak w «Chatce» tak i tu, poczucie prawidła, które każe na scenie uwybitniać charaktery, zaprowadziło za daleko. Postacie są od siekiery ciosane, i brak we wszystkiém delikatniejszych odcieni. Pra-

wda, że dla ogółu tak pojęty dramat jest łatwo zrozumiałym, że może a raczéj musi być popularnym; ale na tym nieforemnym szkielecie co za szkoda ślicznéj poezyi, cudnych wierszy, wyszafowanych na niemożliwe obrazy. Wątorski powinien był wzbudzać litość a obudza śmiech; powinien był być wielkim mimo téj dumy, poważnym, a komizm rodzić się był powinien z zewnętrznych otaczających go okoliczności, nie z tak drapieżnie objawiającego się charakteru, który jest fantazyą, a nie może być życiem, choćbyśmy życia fenomena do ostatnich granic posunęli.

Najgłówniejszym i niezaprzeczenie najpiękniejszym z utworów dramatycznych Syrokomli jest *Kasper Karliński*, dramat historyczny osnuty na epizodzie ze znakomitéj obrony Olsztyna *). Karliński broniąc zamku powierzonego mu przeciw partyzantom Maksymiliana, zabija własnego syna, którego wiedziono przodem, zasłaniając się nim od pocisków ojca. Ten heroiczny czyn służy za wątek dramatowi, i w istocie na tragedyę narodową nic wspanialszego obrać nie było podobna. Położénie ojca między obowiązkiem obywatela a uczuciem rodzica, walka serca, ideał wierności ojczyznie podniesiony do najwyższéj potęgi, stworzyły same tén dramat piękny, prosty i pełen scen i miejsc natchnionych. Autor do faktu dołożył kilka postaci dosyć szczęśliwie wymyślonych: matkę, dziecię

*) Znany jest powszechnie wypadek historyczny, który posłużył autorowi do osnucia obecnego dramatu. Wykonanie przez kanclerza Jana Zamojskiego wyroku śmierci na bannicie Samuelu Zborowskim, zasiało straszliwą nienawiść między potężnemi domami Zamojskich i Zborowskich. Po śmierci Stefana Batorego nienawiść ta do najwyższego spotęgowana stopnia, wystąpiła na sejmie elekcyjnym 1587 i doprowadziła do jednoczesnego wyboru dwóch królów: Zygmunta królewicza szwedzkiego przez większość przychylną Zamojskiemu, i Maksymiliana arcyksięcia austryackiego przez mniejszość trzymającą za Zborowskimi. Maksymilian wszedł zbrojno do Polski, i popierając orężem swój wybór, posunął się aż pod Kraków, którego jednak nie zdobył; aż w końcu klęska pod Byczyną w styczniu 1588 i wzięcie samego Maksymiliana do niewoli położyło koniec jego roszczeniom; a Zygmunt III utrzymał się na tronie. Jednym z ustępów téj walki z Maksymilianem była bohaterska obrona Olsztyna przez Kaspra Karlińskiego herbu Ostaja. Przebieg jéj wiernie opowiedziano w samym dramacie, z tą jedynie różnicą, że syn Karlińskiego był niemowlęciem, tutaj zaś z powodu wymagań scenicznych wystawiony jest jako pacholę. Przed Kondratowiczem brali natchnienie z tego wypadku Stefan Witwicki i Aleksander hr. Fredro. Piérwszy napisał balladę: *Kasper Karliński czyli oblężenie Holsztyna* (tak), drukowaną w *Rozm. Warsz.* 1824, drugi w *Haliczaninie* 1830 ogłosił ustęp dramatyczny: *Obrona Olsztyna*, który podobno jest ułamkiem dramatu znajdującego się w rękopiśmie.

opromienione już za młodu rycerskiém uczuciem, poczciwego starego Bieniasza, mniéj szczęśliwe i potrzebne wprowadzenie Stadnickiego Djabła z jego miłością dla Karlińskiéj; wszelkie inne uczucie zemsty byłoby tu lepiéj na miejscu, niż ta dzika namiętność, jakoś dziwnie wyglądająca w atmosferze wojny i obowiązku. W ogóle jednak dramat jest lepiéj osnuty i poprowadzony, praktyczniejszy dla sceny i wypracowany bardzo starannie. Karliński jest wielki, poważny, naturalny, bohater bez przesady. Dorota pełna wdzięku i życia, szczególniéj w pierwszym akcie, którego początek jest arcydziełem — takim wieje spokojem, uroczystością, majestatem macierzyństwa i urokiem niewinności dziecięcéj, która już w pączku żywi rycerskie męztwo Polaka i gotowość na męczeństwo chrześcijanina. Przy tych postaciach gasną inne, których zaletą jest, że są w półcieniu umiejętnym trzymane; Bieniasz tylko zanadto wychodzi naprzód. Autor niepotrzebnie mu dał ten odcień lekkiéj śmieszności, który tu razi i zdaje się niewłaściwym.

Piérwszy akt rozpoczyna się prześliczną sceną matki z synaczkiem, jakby widzeniem przyszłości; wszystko to cudnie pojęte i wykonane, a słuchacz od razu nastraja się na wysoki ton tego dramatu męczeństwa. Przeczucie dziecka i matki są jakby wykładem tego, co ich czeka. Druga scena z Martą, potém z Bieniaszem, rozwijają coraz akcyę, nieco już przydługo. Napad Stadnickiego jak piorun uderza: — jest to scena pełna effektu a ma miejsca cudnie prawdziwemi odzywające się głosami. Karlińska, patrząc na porywanego syna, mówi z boleścią:

Na co mu ręce tak mocno związali?
To takie słabe i wątłe niebożę!
Zamrze wam w drodze!.. Tygrysie! tyranie!
Krwi tobie trzeba?.. wysączę ją rada!
Pij!.. żłopaj!.. ciesz się!..
(klęka).
Ulituj się panie!
Przebacz, co matka bezprzytomna gada!
Oddaj mi syna!.. Już jego powlekli!...

Akt drugi w obozie równie szczęśliwie jest nakreślony. Wprawdzie charakterystyka szlachty obozowéj mogła być żywszą, gorętszą, więcéj obrazową: ale słusznie autor poświęcił ją jedności dramatu. Lichtenstern wprowadzony tu wyraźnie, aby ohydę czynu takiego zwalić na Niemca; właściwszym i lo-

giczniejszym byłby Stadnicki. Akt trzeci wieńczy dzieło kilku heroicznemi scenami istotnie godnemi téj wielkiéj tradycyi narodowéj. Cała rola Karlińskiéj i ojca skreślona znakomicie; są miejsca nadzwyczaj szczęśliwe. W scenie trzeciéj z mężem znajdujemy ustępy niezrównanego wyrazu i wzniosłości. Tak gdy Karlińska błagając męża o życie syna, mówi:

Nie sądź mój mężu, abym zapomniała,
Żem córka kraju, który dał mi życie,
Nie zapomniałam, żem winna do zgonu
Mieć dla ojczyzny miłość niezachwianą,
Miłość dla kraju i wierność dla tronu
Śmiercią zaświadczyć, jeśliby kazano.
Umrę dla kraju, jeśli Bóg przeznaczy,
Pójdę ochoczo na stos i na miecze...
Lecz syna oddać na pastwę siepaczy —
Ofiara wyższa nad siły człowiecze!
Bóg i ojczyzna nie mogą zbyt srodze
Chcieć takich ofiar od duszy niewieściéj.

Karliński wzruszony odpowiada:

Patrz na Maryę na krzyżowéj drodze,
Kiedy ją przeszył miecz siedmiu boleści,
Gdy syn jéj konał wśród urągowiska,
Z przebitém sercem, z cierniami na głowie,
Przeżyła jednak...

Lub ta odpowiedź matki:

Naszym orężem — bolesne łzy nasze.

Zawahanie się ojca wybornie pomyślane; chwycenie za chorągiew, walka uczuć, modlitwa, wszystko to na scenie wielkie i uroczyste. Może jedenby zarzut całości uczynić można: że jeszcze dla tak wielkiéj treści za mało jest opracowaną, że w niéj znać pośpiech, mimo talentu, mimo potęgi uczuciá; że niekiedy autor zbyt wiele mówić dozwala swym bohatérom i osłabia sceny ich przedłużeniem. Wszakże «Karliński», jako dramat, jest najlepszym utworem Syrokomli i długo może się utrzymać na scenie. Wiele on winien samemu przedmiotowi służącemu za osnowę; ale poeta, który w «Margierze» osłabił piękną legendę ubrawszy ją w kwiaty, tu stanął na wyżynie dziejowéj i godnie odpowiedział zadaniu.

Dramat ten dawano po raz piérwszy na scenie wileńskiéj w styczniu 1858.

Komedya w trzech aktach wierszem p. n. *Wiejscy politycy*, z wyjątkiem kilku scen nie ma żywiołów prawdziwéj komedyi. Utwor ten wykonał Syrokomla śpiesząc się, niechętnie, w warunkach ducha i usposobienia najmniéj tworzeniu przyjaznych; czuć to w przedmiocie całym. Mimo to jednak myśl poczciwa, serdeczna i tu świeci — lecz przedstawiona niekunsztownie, wyglądająca niezmiernie ubogo na tle obmyślaném niestarannie, wśród intrygi nieforemnéj, słabéj, rwącéj się i nielogicznéj w ogóle. Kilka zaledwie ustępów, charakter Stefana szlachetny, zaciekawienie polityczne sędziego, na chwilę zajmują i przebijający się cel przygotowania lepszego umysłów do wielkiéj reformy stosunków społecznych, które właśnie na Litwie miały się układać. Treść komedyi zaledwie da się opowiedzieć. Wchodzą do niéj: pan Sędzia, politykujący wielce a zapominający o gospodarstwie ojciec pana Stefana, młodzieńca przedstawiającego sobą pragnienia i ideje naszego wieku; pan Podkomorzy nieco nadeń rozsądniejszy obywatel, prawiący ciągle o kapitałach i procentowaniu ojciec Anny, którą Stefan kocha; arendarz, wójt, gromada wiejska i t. d. Przeszkody do połączenia kochanków, bardzo słabiutkie, zwalcza poświęcenie włościan dla sędziego. O budowie dramatu nie ma co mówić: jest mniéj niż ułomną, jest niezgrabną, ale wierszy pięknych i myśli poczciwych dosyć. Charaktery trochę zarywają na karykaturę. W piérwszym akcie autor jeszcze się jakoś utrzymał lepiéj; pod koniec sztuka słabnie widocznie. Plan był osnuty i gotowy, zdawał się starczyć na wątek, ale i on i siły zawiodły w ostatku.

Gorzką, niestety, dosyć usprawiedliwioną w owych czasach satyrą, jest to, co mówi sędzia do Szlomy (Akt I. sc. II).

Szloma.

Cóż daléj z tego będzie?

Sędzia.

Daléj nic nie będzie.
Jam o mego Stefana spokojny w tym względzie.
Nadąsa się jak inni, zmiany naprzyrzeka,
I pójdzie starym torem jak chodzili z wieka;
Zmęczy go postępowa nad chłopstwem mozoła,
Pocznie chłostać jak drudzy i Żyda przywoła;
Pocznie do wiejskich dzieweżąt zalecać się dzielnie,
I zamiast szkoły wiejskiéj — zbuduje gorzelnię.

W ogóle «Wiejscy politycy» zdradzają pracę na nakaz, przymusową, ciężką i wyczerpującą.— Komedyę tę grano po kilkakroć w Warszawie i Wilnie.

Możnowładcy i Sierota czyli *Zofija księżniczka Słucka*, dramat historyczny z XVII wieku, jest jeszcze słabszym utworem, jeszcze w nim widoczniejszy jeśli nie upadek, to pośpiech, przygniecenie i wysilenie nad siły. Przedmiot znany jest dobrze z dziejów i kilku powieści, a choć historya nie wzmiankuje nic o przywiązaniu żadném księżniczki, o któréj rękę ubiegał się x. Janusz Radziwiłł dla Słucka i Kopyla, łatwo przyszło poecie wytłómaczyć tę krwawą niemal historyę, grożącą już wojną domową, miłością Zofii dla jednego z Chodkiewiczów. Heroina widząc, że może być powodem do wojny domowéj i ruiny grodu, w którym nie na żarty do walki się zbierało, poświęca się i oddaje rękę Radziwiłłowi *). To zakoń-

*) Historyczna osnowa obecnego dramatu roztacza się na współzawodnictwie dwóch możnych domów na Litwie, Radziwiłłów i Chodkiewiczów, nie o rękę, lecz o niezmiernie bogaty posag sieroty, a przynajmniéj o osobiste interesa pieniężne. Kondratowicz wprowadzając tu pierwiastek romansowy, wystawiając jednę stronę w jasném, drugą w ponurém świetle, używał prawa służącego poetom i stosował się do wymagań dramatycznych. W rzeczywistości jednak grający w dramacie rolę zakochanego Jan Karol Chodkiewicz, podczas wydarzeń zaszłych w Wilnie r. 1600 miał już lat czterdzieści i był żonaty; krom tego historya zarzuca mu bodaj największe przyczynienie się do zatargu. Autor w widokach artystycznych powkładał też role niektórych osób działających na inne znane w historyi; tak np. rolę mało zkądinąd znanego Hieronima Chodkiewicza włożył na Hrehora, który żył i wsławił się wcześniéj, bo umarł około r. 1570. Rzecz odarta z uroku poetyckiego, rzuconego na tę sprawę przez Kraszewskiego i Kondratowicza, da się opowiedzieć w niewielu wyrazach. Zofija Olelkowiczówna księżniczka słucka, jedyna dziedziczka wygasłego po mieczu potężnego domu władającego niegdyś Kijowem, miała w posagu dwa księztwa, Słuckie i Kopylskie, z siedmiu miastami i zamkami obronném, oraz trzydziestu dwiema włościami. To piękne mienie skłoniło Krzysztofa Radziwiłła wojew. wil. do układu ze stryjem i opiekunem księżniczki a szwagrem swoim Jerzym Chodkiewiczem starostą żmujdzkim o rękę dzieweczki liczącéj zaledwo lat ośm, dla swego syna Janusza, wsławionego późniéj rokoszem przeciwko Zygmuntowi III. Tymczasem Jerzy Chodkiewicz umarł, opieka nad Olelkowiczówną spadła na brata jego Hieronima, a Radziwiłłowie poczęli dochodzić na Chodkiewiczach praw do wielkich dóbr Kopysia pod Orszą. Ztąd nieukojone swary, które doprowadziły Chodkiewiczów do szukania sposobów zerwania układu, aż wreszcie, że się wyrazimy słowami dziejopisa, «ujrzało Wilno, jak niegdyś Troja o Helenę, broń i wojska na pogotowiu». Rozjemstwo króla i senatorów nie dopuściło rozlewu krwi bratniéj, zatargi jednak trwały od lutego do czerwca 1600, kiedy nareszcie stanęła ugoda w trybunale, a zakończyły się ostatecznie w październiku tegoż roku zaślubieniem niewinnéj ofiary swego majątku Januszowi Radziwiłłowi w Brześciu

czenie historyczne nie byłoby złém, gdyby sam dramat umiejętniéj był poprowadzony. Na nieszczęście, tak życia jak talentu bardzo tu mało. Przedmiot krępuje pisarza widocznie, sceny upływają na deklamacyach chłodnych; kilka wierszy zaledwie wybitniejszych przerywa ich monotoniję nużącą.

Wyrok Jana Kazimierza, dramat historyczny w 4 aktach, jest rzeczywiście obrazem dramatycznym, ale nie dramatem. Wiele tu siły dramatycznéj, trochę chłodu i miary więcéj, a poezyi istne zdroje. Też same wady budowy niewprawnéj, ale nie bez pewnego wdzięku i tu się spotykają. — Utwor ten nie był wystawiany na scenie w całości; tylko wyjątki z niego grano w Wilnie.

Natura wilka wyciąga z lasu, mały monodram grany w Wilnie, widocznie był pisany dla jednego z artystów na popis. Rzecz dzieje się w lesie przy chacie strzeleckiéj, do któréj, wyrzekając się sztuki, pragnie się schronić stary aktor Rościsław. Oblegają go wspomnienia i pokusy, ciężkie życie artysty odstręcza go i pociąga nałogiem ku sobie, aż nareszcie natura z lasu wilka wyciąga.

Kantata *Święty Franciszek z Assisu* osnuta na podaniu, które autor wyczytał u Ozanama (w studyum służącém do wyjaśnienia «Boskiéj Komedyi» Dantego) o śpiewie św. Franciszka, wyścigającego się ze słowikiem w pieniach na chwałę Bożą. Było to libretto do Oratorium dla Moniuszki. Jest to gładkim wierszem, bardzo mile wyśpiewana kantata, która niczém wszakże nie odznacza się wybitném.

Co do innych utworów dramatycznych Kondratowicza, poprzestajemy na wzmiankach pobieżnych.

Cygani. Jest to przeróbka początkowych scen opery. Kniaźnina «Cygani», dokonana na żądanie Stanisława Moniuszki, który zamierzał napisać do niéj muzykę.

Margier, ułamek libretta. Była to piérwsza praca Kondratowicza po przeniesieniu się z Załucza do Wilna, przerwana gwarem życia miejskiego, z którym się jeszcze nie był

Litewskim. Opis całego tego zajścia mamy od naocznego świadka, pośrednika zwaśnionych, Krzysztofa Zenowicza wojewody brzeskiego, p. t. *Tragedya albo początek upadku znacznego w Księstwie Litewskiém*. Z opisu tego drukowanego w *Athenaeum* korzystał autor dramatu.

Naglenie o pośpiech ze strony osoby interesowanéj, pragnącéj mieć ten utwór na benefis, przyłożyło się do jego niedostatecznego wypracowania. Sam autor w liście do J. Chęcińskiego powiada, iż napisał go w dni dziesięć. Grano go w Krakowie w 1858 i w Wilnie w lutym 1859.

oswoił poeta i nigdy w zupełności oswoić nie mógł, wykołysany marzeniami na łonie cichéj wioski i nieskalanéj przyrody.

Kalejdoskop jarmarkowy, studyum fantastyczne z chorami.

Bohdan, ułamek libretta do opery. Muzykę do tego libretta miał pisać Faustyn Łopatyński z tematów ludowych ukraińskich. Okoliczności rozdzieliwszy autora z kompozytorem, położyły koniec zamiarowi. Warunki muzyczne widocznie krępowały Kondratowicza w pisaniu tego utworu. Pierwiastkowo był zamiar ułożenia libretta w języku białoruskim, lecz zamysł ten następnie poniechano.

Marko, ułamek. Jest to początek następnie zaniechanéj przeróbki własnego poematu Kondratowicza *Ułas* na dramat. Akcyę przeniósł autor z czasów wojny 1812 w czasy konfederacyi barskiéj, wprowadził Karola Radziwiłła «Panie kochanku», zmienił imiona osób występujących w poemacie, ale zresztą główna osnowa miała pozostać ta sama.

Ośm ułamków dramatycznych. Można z nich widzieć — mówi wydawca tych pośmiertnych okruchów W. Korotyński — jak pomimo skołatania ciała, umysł Kondratowicza coraz szybcéj dojrzewał i potężniał do władania formą dramatyczną. Postacie grającego w demokracyę Hrabiego, Cukermachera, Magdaleny, Oberżysty, Batożkiewicza, Teodory, zaledwie zarysowane, już w pełni charakteru z kart wyskakują. Sceny takiéj jak z testamentem w ułamku piérwszym, nie powstydziłby się Fredro lub Molier. Na nieszczęście siły fizyczne już nie mogły sprostać porywom ducha; uwidoczniały się tylko okruchy pomysłów.

Jedną z najznakomitszych zasług Kondratowicza są piękne, z wielkim talentem dokonane przekłady poetów polsko-łacińskich XVI i XVII wieku: *Janickiego*, *Krzyckiego*, *Jana Kochanowskiego*, *Klonowicza*, *Szymonowicza*, *Mikołaja Smogoleckiego*, *Joachima Bielskiego*, *Sarbiewskiego* i innych. Do pracy téj przystąpił poeta jeszcze w 1846 r. Skwapliwe zamieszczenie przez Kraszewskiego w *Athenaeum* «Obrazów na sali w Zamościu» Szymonowicza i «Epigramatów» Janickiego, zachęciło Syrokomlę do wytrwania w powziętym zamiarze. Najprzód wydał na widok publiczny przekład elegij łacińskich Klemensa Janickiego, zaopatrzony w cenne przypisy Mikołaja Malinowskiego. Zachęcające przyjęcie, jakiego doznała ta praca od ogółu czytelników, a które tłómacz w swojéj skromności przypisywał raczéj zaletom pierwotworu, głównie zaś zamiłowaniu

publiczności do wszystkiego co swojskie, było mu bodźcem do gorliwego dokonania przedsięwzięcia. Nie odstręczyły go tej pojawiające się tu i owdzie a z widzeniem jego niezgodne sądy krytyczne. Głosy te żądały od niego przekładu wiernego, ile możności w mierze oryginałów, odwzorowującego ducha epoki, w której żyli autorowie-poeci; Kondratowicz chciał dać przekład żywy, chciał, jak się wyrażał, «ogniem własnéj piersi ogrzać to, co kiedyś było ciepłém, ale przez długie wieki ochłodło dla nas dzieci nowego okresu», chciał «wyrazom naszych przodków pożyczyć własnéj piersi organu, aby przemówili do prawnuków», a tu, dodawał z goryczą: «łowią mnie za słówka, wstrząsają prochy Naruszewiczów, Zaborowskich, Bohomolców, i pytają, dla czego nie tłómaczyłem tak wiernie jak tamci». Właściwie poeta przejmował się duchem pierwowzorów, czuł dobrze ich piękności, ale zwykły mu pośpiech, pochodzący z nadzwyczajnéj łatwości pisania, nie dozwalał wszędy należytego wykończenia. Często odstępuje od ścisłéj wierności, naciąga wiersze dla rymu, albo chwyta rym ladajaki, z myślą i rzeczą niezgodny. — O tłómaczeniach tych wspominaliśmy nieraz z przytaczaniem wyjątków w I-wszym tomie niniejszego dzieła.

Zostawił jeszcze w przekładzie: fragmenta z ksiąg Hioba (z łacińskiego), kilkanaście piosenek Beranżera, kilka pieśni Goethego, dwa dramaciki tegoż: *Ziemski padół artysty* i *Ubóstwienie artysty*, kilkoro rzeczy z angielskiego, szwedzkiego i hiszpańskiego, «*Kobzarza*» Szewczenki (z wyjątkiem «Hajdamaków»), Śmierć agi *Izmaela-Czengisa* (z czeskiego) i niektóre utwory Puszkina, Lermontowa, Niekrasowa, Kukolnika i t. d.

Próbował także pisać wiersze w języku białoruskim, zapewne w myśli przeznaczenia ich dla ludu tak przez siebie ukochanego. Jeden z utworów lirycznych, pisany w r. 1848 tak się poczynał:

Zachodzić sonce z pahodnoho nieba,
Oj! wiejeć wiecier z pahodnych niebios,
Zdarou byu więcier! z dalekoho świeta
Czy dobryja wieści ty do nas prynios— i t. d.

Od 1844 roku do 1862—mówi Kraszewski—przez lat osiemnaście życia okowanego w kłopoty i cierpienia, Syrokomla więcéj może zostawił, niż słusznie po nim wymagać było można; więcéj, niż był powinien. Położenie jego, nędzny ten ka-

wałek chleba tak potrzebny, tak dla wielu przychodzący łatwo, tak dla tych co myślą i sercem pracują trudny do zapewnienia, nieustannie podżegał do roboty i wyczerpywał. Ilość dzieł u niego, jak u wielu innych, wpłynęło niewątpliwie na zmniejszenie ich wartości, ale to co pozostawił świadczy o talencie świeżym, rodzimym, pełnym serca, o charakterze szlachetnym acz nieco słabym, o człowieku, który wśród tak zbudowanego świata jakim on jest, bez szwanku przejść nie mógł... Jako poeta, Syrokomla miał dar niepospolity, miał swój język, swą formę, miał nadewszystko swój głos ołzawiony, rzewny, dziecinnie prosty i szczery, którego urok działał na najzimniejszych. Powiedział on dobrze, nie wiedząc że powtarza słowa Musset'a, w ostatnich poezyach:

Po obłokach się kołysał,
Wiersze pisał,
Czytał w książkach w noc i we dnie
Jakieś brednie.
Dał każdemu wieść się w pole
Jak pacholę,
A jeżeli rzec nawiasem,
Płakał czasem.

Te to łzy są wonią czarodziejską jego poezyj, są ich brylantową rosy kropelką. Krytyka może dotknąć wszystkich niemal jego utworów, wykazując w nich strony ułomne, dowodząc uczenie czego im braknie, przekonywając, że mogłyby stokroć być udatniejszemi; ale wielkiéj tajemnicy ich uroku, którą serce pochwycić tylko może, nie wytłómaczy, ani jéj odejmie pieśniom lirnika. Odrzuciwszy wiele, zostanie po Syrokomli tyle, ile potrzeba aby poszedł z wybranymi w pamięć przyszłości z tą sympatyą, którą ogół daje cierpieniu i łzie wylanéj. Dziecię Litwy, lirnik wioskowy, będzie w poezyi tych dni typem swojego kraju, jego obyczaju, poczciwości... Wiersz Syrokomli jest prześliczny, łatwy, płynący ze źródła, nie robiony, ale tworzony. Gdy ma natchnienie, złoto z ust jego płynie... Jest on z Bożego natchnienia poetą, nie udawanym, nie wyrobionym sztucznie w jakiejś szkole, nie sztukmistrzem, który się bieli, różuje, fryzuje i zalotnie postawić się może, ale kwiatem, co się otworzył do słońca na litewskim piasku u Niemnowego brzegu, pijąc z powietrza rosę i skwary; z wonią naturalną, swoją własną. Jego barwa, jego zwiędnienie, przychodzą mu opatrznościowo; nie wiele robi z sie-

bie, ale nie przetwarza się przeciwko naturze i pozostaje sobą do końca. Przytém człowiek przebija się przez poetę, człowiek, którego nie można nie ukochać, nad którym nie można nie zapłakać... *)

Język Syrokomli malowniczy, prosty, zaściankowy, razi niekiedy russycyzmami.

Zamykamy ten ustęp prześlicznym wierszem Teofila Lenartowicza, napisanym na śmierć litewskiego lirnika.

Od chaty do chaty, do grobowéj deski
Z swą lirą wędrował nasz lirnik litewski.
Witały go dwory, witała go strzecha,
Wtórzyły mu wdzięcznie zabłąkane echa:
Bo z jego lirenki leciały piosenki,
Jak szare skowronki wzlatały z pod ręki.
Pod sercem się lęgły, pod sercem prostaczem,
Wyniańczone smutkiem, wykarmione płaczem.
I tak mu śpiewały gdzie jeno się ruszył,
Że próżno je głuszył— śpiewania nie zgłuszył.
Udaném weselem nie zabił żałości,
Ból rzewny, głęboki, jak wilgoć wszedł w kości,
I przegryzł mu serce, żałością przepoił,
I oną udaną swobodę rozbroił.
Daremnie wśród świata próbował wytchnienia;
Za małe pociechy, za wielkie cierpienia.
Mocniejsze przemogło: gdy targnęło stróny,
Od ust mu odleciał kielich niespełniony.
Wygrałaś piosenko, kochanko z za świata,
Zabiłaś śpiewaka, zabiłaś nam brata.
Odleciał w te strony, gdzie leci twa nuta:
Zwłok tylko pozostał jak lira popsutą.
Odleciał w powietrze burzami spłukane,
W to czyste powietrze, jak balsam na ranę,
W te strony błękitne, gdzie błogo, serdecznie,
Gdzie cicho, swobodnie, gdzie jedno bezpiecznie.
A bracia mu piszą na kamień grobowy:
«Spoczywaj lirniku — nasz bracie wioskowy,
Spoczywaj lirniku, a zioła nadgrobne
Niech szemrzą nad tobą jak struny żałobne,
Wzruszone powiewem ojczystéj dąbrowy.
Spoczywaj lirniku — nasz bracie wioskowy!»

*) *Wład. Syrokomla* przez J. I. Kraszewskiego. Warsz. 1863. str. 210—213.

Prace poetyckie Kondratowicza wychodziły za życia autora w wydaniach osobnych i w rozmaitych czasopismach. Po zgonie poety księgarz poznański Maks Jagielski, wbrew woli rodziny wieszcza i jéj opiekunów, rzucił w świat wydanie niby zupełne, a rzeczywiście o ile na krzywdzie sierocéj zbudowane, o tyleż pamięci Kondratowicza ubliżające. Dopiero w r. 1872 dzięki J. Ungrowi, który własną drukarnię i fundusze na wydawnictwo ofiarował, wyszło na rzecz wdowy i sierot autora wydanie zupełne p. n. *Poezye Ludwika Kondratowicza*, z przedmową, szczegółami bibliograficznemi, waryantami i objaśnieniami, dodanemi przez Wincentego Korotyńskiego (Warszawa, tomów 10).

Około Kondratowicza garnie się gromadka pokrewnych mu dążnością i formą poetów, po większéj części osobistych jego przyjaciół. Podobieństwo ich do Syrokomli nie ma cech zwyczajnego naśladownictwa; przyczyną jego jest wspólne źródło natchnienia i braterstwo duchowe, które łączyło tych ludzi. Do nich należą:

Antoni Pietkiewicz, piszący pod imieniem *Adama Pługa*. Obdarzony niepospolitym talentem i serdeczną, dziecięcą nieomal tkliwością, wsławił się przeważnie na polu powieściopisarstwa, gdzie w szeregu uroczych obrazów roztoczył skarby pięknéj, prawdziwie chrześcijańskiéj swéj duszy. We właściwym dziale pomówimy o nim obszerniéj. Jako poetę, znamionują go również wymienione powyżéj cechy. Panującym żywiołem jego poezyj jest głęboka miłość przyrody, ukochanie wszystkiego co rodzinne i swojskie, oraz czułość i zacność nieskazitelna. Z poetyckich prac jego wymienimy: *Pamiętniki Pana Jakóba, Dziwak* (w III tomie *Zagonu rodzinnego*)— *Kłosy z rodzinnéj niwy* (gawędy) — *Pamiątki domowe*— *Gawędy starego Macieja* (w *Czytelni Niedzielnéj* 1857) — *Sroczka*— *Przyjaciele* (bajka Krasickiego dyalogowana) i wiersze rozmaite w *Kłosach*, w *Tygodniku Mód*, w *Opiekunie Domowym*, w kalendarzach Jaworskiego i Ungra i t. d. Oprócz tego przełożył pięknym wierszem *Króla Lira*, *Makbeta* i *Burzę* Szekspira, *Matkę* Andersona, i wspólnie z Apollonem Korzeniowskim tłómaczył *Legendę Wieków* Wiktora Hugo.

Feliks Pietkiewicz, brat Antoniego, wydał tomik poezyj (Kijów, 1848), pomiędzy któremi odznacza się wcale udatna humorystyczna gawęda z zaściankowego życia na Litwie.

Wincenty Korotyński urodził się w Nowogródzkiém r. 1831. Wzięty na opiekę przez Kondratowicza, pod jego okiem kształcił się, a następnie wszedł na pole literackie. W r. 1857 należał do redakcyi *Teki Wileńskiéj*, wydawanéj przez Kirkora, brał czynny udział w wydawnictwie *Słownika języka polskiego* M. Orgelbranda; od r. 1860 był członkiem redakcyi *Kuryera Wileńskiego*, a w r. 1866 przeniósł się do Warszawy na stałego współpracownika *Gazety Warszawskiéj*. Od tego czasu pisywał różne artykuły do wielkiéj *Encyklopedyi powszechnéj* S. Orgelbranda, w *Tygodniku Illustrowanym*, w *Wieńcu*, w *Kronice Rodzinnéj*, a od kilku lat jest redaktorem *Kalendarza Illustrowanego* J. Jaworskiego. Z prac poetyckich wydał: «*Czém chata bogata tém rada*» (Wilno, 1857) — «*Tomiło*, obrazek z życia ludu» — «*Kwestarz starozakonny*» — «*Wypił Kuba do Jakóba*», wystąpienie wierszowane do ludu przeciw gorzałce. W pierwszym z tych utworów znać jeszcze naśladowanie Syrokomli. Oryginalniejszym jest «Tomiło», powiastka napisana w wielkiém skupieniu ducha, w gorzkiém uczuciu żalu na widok niedoli kmiecéj, pełna jaskrawych barw i energicznych wybuchów. Odznacza się nadto Korotyński wzorową polszczyzną, w czém przewyższył mistrza swojego. O jego przekładach z Beranżéra, którego piosenki tłómaczył wspólnie z Syrokomlą, wspominaliśmy wyżéj.

Pisali także gawędy *Jan Chęciński*, *Wacław Szymanowski* i wielu innych.

Stanisław Jachowicz urodził się w Dzikowie, w obwodzie rzeszowskim w Galicyi r. 1796. Po ukończeniu gimnazyum w Stanisławowie, uczęszczał na wydział filozoficzny w uniwersytecie lwowskim. W r. 1818 przyjechał do Warszawy i poświęcił się zawodowi nauczyciela prywatnego. Na tém stanowisku położył znakomite zasługi, nauczając, pisząc dla dzieci i rozciągając nad niemi swoję opiekę. Jako filantrop, nie tylko sam wychowywał u siebie sieroty, ale krzątał się gorliwie około powiększenia szkółki Towarzystwa Dobroczynności dla sierot i zebrał fundusz 80,000 na wystawienie dla nich domu. W roku 1856 złożono mu w ofierze jako wyraz wdzięczności narodowéj dzieło zbiorowe p. t. *Wieniec* w 3 tomach, na które złożyli się różni pisarze w myśli uczczenia człowieka, obok którego tylko księża Falkowski i Baudouin stanąć mogą. Umarł w Warszawie r. 1857. Corocznie uczenice zakładu jego imienia odwiedzają grób swego dobroczyńcy, odczytując wiersze wyryte na pomniku jego cmentarnym:

Czysty życiem, co go wiodło,
Wśród burz świata i zamieci,
Chrystusowe przyjął godło,
Ojca wszystkich biednych dzieci.

Jachowicz pisał głównie dla dzieci, pod rozmaitemi tytułami wydając *bajki, powiastki, śpiewy* i t. d. Mniéj jest prac Jachowicza dla rzemieślników i osób dojrzalszych. W bajkach swych, albo raczéj powiastkach obyczajowych, wierszem, tak szczęśliwie umiał zastosować się do pojęcia dziecinnego wieku, tak uroczo trafić do serca, że nauka jego, nie dając prawie dostrzedz w sobie moralnego celu, stała się dla młodych czytelników najprzyjemniejszą zabawką. W powiastkach tych znajdujemy, rzec można, cały świat dziecinny udramatyzowany. Przedmiot ich nie dotyka bynajmniéj przygód z lat dojrzałych, stosunków zawilszych, lecz ogranicza się stosunkami domowemi, szkolnemi i t. p. Autor wpaja w swych czytelników zasady poczciwe i cnoty chrześcijańskie w odcieniach swych do codziennych położeń dziecinnych odniesione. Powiastki i bajeczki Jachowicza w tém mają wyższość nad bajkami Krasickiego, że nie już przenośnia ani alegorya, ale przykład nauczający stanowi ich istotę. Działaczami w nich nie są zwierzęta i rzeczy nieżywotne, ale dzieci i osoby z niemi obcujące. Styl Jachowicza, pełen naturalnéj, dziecinnéj prawie prostoty, a przytém świeży i barwny, najwłaściwiéj odpowiada przedmiotowi — język wszędzie czysty i poprawny. Bajki jego stały się popularnemi; całe pokolenia uczyły się ich na pamięć.

Nadto redagował Jachowicz *Dziennik dla dzieci* i *Leszka Białego*, oraz *Kalendarzyki* na r. 1848—49. Jako pedagog na polu języka rodzinnego napisał *Pomysły do poznania zasad języka polskiego* (1858) w których zaczął naukę onego od stosunków i form myśli, czyli logiką i składnią poprzedził właściwą morfologiję. Szczęśliwy ten pomysł mało dotąd znalazł naśladowców (między innymi Kudasiewicza).

Józef Ignacy Kraszewski, najznakomitszy z powieściopisarzy polskich, w pierwszéj połowie swego pisarskiego zawodu poświęcał się także poezyi. Pierwszy zbiór jego poetyckich utworów, przeważnie elegijnego nastroju, wyszedł r. 1838 w dwóch tomikach. Są to drobne wiersze dosyć udatne, lecz bez wyższéj wartości. Nie lepszą jest fantazya p. t. *Szatan i Kobieta*. Nierównie wyżéj wzniósł się poeta w trylogii epi-

cznéj *Anafielas* (po litewsku znaczy **góra wieczności**, niebo pogan litewskich), składającéj z trzech poetycznych rapsodyj: *Witolorauda* (1840), *Mindows* (1843) i *Witoldowe boje* (1845), w których wyśpiewał trzy wielkie chwile w dziejach bohaterskiéj Litwy. Pierwsza opiewa dzieje bajecznego Witola, zebrane z podań przedchrześcijańskich u saméj kolebki narodu, druga pierwszy brzask dziejowy epoki Mindowsa, trzecia najwyższy szczyt potęgi Litwy za czasów znakomitego Witolda. Pomysł poematu olbrzymi — ale rzecz objęta z trzech tak rozległych punktów nie łatwo złożyć się mogła w jednę artystyczną całość. Zresztą pomimo przejęcia się tradycyą, pomimo tego że z całéj osnowy wieje duch wielkiéj historycznéj przeszłości, a obrazy starolitewskich obrzędów i obyczajów, tudzież wielkie postaci dziejowe, kreślone są z niepospolitą sztuką i znajomością rzeczy — fantazya jednak grała tu główną rolę, bo autorowi za wiele odgadywać przyszło w mroku pierwotnéj Litwy. Nadto poematowi brakuje prostoty niezbędnie potrzebnéj w epopei. Język jest raczéj wymówną prozą, aniżeli natchnioną poezyą. Wszystkich rodzajów wiersza użył tu autor w rozmaitych ustępach, pomiędzy któremi znajdujemy wiele nakreślonych z prawdziwém natchnieniem.

Dla przykładu przytaczamy tu kilka wyjątków z «Witoldowych bojów».

Pieśń wstępna.

Dla czego duchem po rodzinnéj ziemi
Błądzę ja zawsze rozkopując groby,
I szukam życia zgasłego pod niemi,
Życia wśród prochów, śmierci, wśród żałoby?
Dla czego idę ze świata upiorem
Na Anafielas, gdzie naddziadów cienie,
Z łukiem na plecach, a w rękach z toporem,
Z siwemi brody, siadłszy na kamienie,
Płaczą i patrzą ku rodzinnéj stronie
Szklannemi oczy, bez łzy i uśmiechu,
Sparłszy na oręż spracowane dłonie,
Sparłszy na ręce piersi bez oddechu?
Dla czego duch mój nie pójdzie z żywemi
Życiem dzisiejszém serca rozweselać,
I bujać z niemi i rozśmiać się z niemi,
I ich rozkosze i radość podzielać?

Dla czego w górę zwracam tęskne oczy,
I szukam duchów, co w nieba wzleciały,
W kraj nieśmiertelny, smutny a uroczy?
Dla czego z niemi i w nim żyję cały?
Dla czego w pieśni umarłych, co ludzi
Piersi nie grzeje, serca nie porywa,
Wiecznie się głos mój wysila i trudzi,
I ledwie ustał, znowu się odzywa?
Czemu sam jeden na Anafiel lecę,
Napróżno ciągnąc zimny lud do siebie;
Wskazując przeszłość, stary ogień niecę,
Sam tylko, Litwo, mając łzy dla ciebie?
Czemu?— nie powiem i wy nie powiécie,
Bo nikt z was nie wie słowa téj zagadki:
Z piastunki ręku czemu drobne dziécię,
Płacząc się ciągnie do grobu swéj matki?
Matką mi przeszłość a piastunką życie.

Młody Witold.

Płyną lata jak fale, wiatr losu je wzdyma,
Płyną fale do brzegu, o brzeg się rozbija
I rozprysnął się bałwan, a po nim nic niéma?
Trochę piany, którą się suche piaski myją,
Trochę muszli i rybek i bursztynu bryła,
Co się wstydząc przed słońcem do ziemi zaryła.
Czasem fala, o brzegi kiedy się rozbije,
Piany nie pozostawi, nie rzuci bursztynu:
Rozpryśnie się o skały, zimny kamień zmyje
I topielca wyniesie, na postrach dla gminu.
Nikt fali nie policzy, fali nie wywróży,
Pogody nie przepowie, nie przepowie burzy.
Płyną lata falami na trockiém zamczysku,
I Biruta nie płacze po żmudzkiéj rodzinie,
Wieczór tylko w zachodu jaskrawym odbłysku,
Gdy, jak morze, jeziora świecą fale sinie,
Kiedy wody zaszumią, ptak jaki zakwili,
Ona myślą ucieka do ubiegłych chwili,
I wspomina na ojca, wspomina na brata,
Na świątynię Praurymy, na ojczyste kraje,
Na pamiątkę z innego, z młodzieńczego świata,
Których do szczęścia sercu Biruty nie staje;

Ale nie pójdzie ona za rodziną swoją,
Bo przy łożu Biruty dwie kolebki stoją.
W jednéj kolebce córka śpi z złotemi włosy,
Księżycowe ma jasne oblicze, wejrzenie,
I pogląda, jak księżyc, gdy wejdzie w niebiosy,
Siejąc po białym świecie srebrzyste spojrzenie;
Jako gwiazda przyświeca nad dolą matczyną;
Przy niéj mroki przyszłości jaśnieją i giną.
W drugiéj kolebce, matki i ojca nadzieje,
Młody Witold usypia. To słońce u wschodu;
Jeszcze wielkiemi blaski po świecie nie sieje,
Lecz słońce i olbrzyma rozpoznasz za młodu.
Inaczéj gwiazdy świecą, srebrny księżyc świeci,
Inszym wzrokiem patrzają drobne ludu dzieci.
On w kolebce sokolém patrzy już wejrzeniem,
I dziecinnych zabawek, jak siostra, nie żąda,
Do zbroi się wyciąga bezsilném ramieniem,
Na miecz ojcowski okiem gorącém pogląda;
A gdy biją w lietaury, gdy w rogi zadzwonią,
Serce mu skacze małe, drobną klaszcze dłonią.
A gdy Kiejstut na wojnę szłyk niedźwiedzi wdzieje,
Kiedy burkę narzuci i *wiżos* obuje,
Mały Witold do ojca wesoło się śmieje,
Za szyję obejmuje, sukni uwiązuje,
Jak gdyby już chciał dzieckiem dzielić niespokojny
Zwycięztwa nad Krzyżaki i z Lachami wojny.
— Nie czas jeszcze Witoldzie!— ojciec mu powiada—
— Nie czas— mówi mu matka— śpij jeszcze spokojny.
Przyjdą i tobie lata, a Litwa ci rada
Da lud zbrojny do ręki i miecze do wojny.
Śpij w kolebce. Zawcześnie obudza sąsiady
Wrzawa boju, pożogi i Rusi napady.
Śpij, Witoldzie! Po ojcu miecz wziąwszy skrwawiony,
Nie dasz mu w pochwach drzemać i rdzą się okrywać.
Trzech strasznych wrogów stoi z każdéj Litwy strony,
Nie będziesz mógł spać wówczas, nie będziesz spoczywać,
Usiąść nie będzie kiedy na ojczystych progach,
Z sokoły, psami hulać po Litwy rozłogach.
Śpij Witoldzie, śpij, dziecię, snem na całe życie!
Spadnie ci potém Litwa na piersi brzemieniem,
Wrzawa wojen obudzi o młodzieńczym świcie,
I do grobu wojenném wieść cię będzie pieniem.

Sen twój na życie całe; po nim nie spać tobie,
Aż z przodkami twojemi w Świntorohy grobie.
A dziecię, zda się, słucha, i słowa nie słyszy.
Wciąż za tarczę błyszczącą, to za łuk porywa,
I za ojcem, gdy jedzie, niespokojnie dyszy;
A matka go w objęciach ściska nieszczęśliwa,
Pieśnią wojny usypia najmilszego syna,
W zbroję twardą go kładzie, gdy kwilić zaczyna.
Rośnie olbrzym w żelazie karmiony od młodu
Mlekiem żmudzkiéj dziewicy, żmudzką pieśnią boju,
I po żyłach już płynie krew starego rodu
Dziadów, którzy nie znali spoczynku, pokoju,
Co dziecinną już ręką gdy wzięli miecz biały,
Szli z nim w boju niezbytym przez długi wiek cały.

Pogrzeb Olgierda.

...Tak skonał Olgierd. Stu płaczek się głosy
Ozwały nagle z jękiem i krzykami.
Ciało starego myli, ubierali,
Białe mu szaty, złote *wiżos* kładli,
Białym go mieczem na śmierć przepasali,
Rąbkiem mu białym przewiązano szyję,
W nim złoty pieniądz na wieczności drogę;
U pasa proca rzemienna wisiała,
A szłyk na głowie, giętki łuk u boku.

I siedział starzec, jak gdyby żył jeszcze,
Tylko nie patrzał zamkniętemi oczy,
Tylko nie dyszał piersiami wyschłemi,
Zda się, odpoczął po życiu, po boju.
Naprzeciw niego bracia, towarzysze,
Synowie, słudzy stali i kapłani;
Wszyscy do niego róg *alusu* pili,
Wszyscy żegnali Olgierda ze łzami,
I na dobranoc pieśni mu nócili;
A płaczki, w koło usiadłszy na ziemi,
Łzy spadające do naczyń zbierały;
I w czarnéj sukni, we wdowiéj zasłonie,
Księżna Juljanna u nóg męża swego
Płakała, szaty rozdarłszy na poły.

Już czas pogrzebu— na Świętéj dolinie
Od Żnicza iskrę przynieśli kapłani,

Raudę zanócą, na kniazia czekając,
Miękkie mu łoże ścielą z wonnych kwiatów.
Porwali słudzy zimne starca ciało.
Żegnaj, zamczysko! żegnajcie, komnaty!
Olgierd w was więcéj nie będzie ucztował,
Nie złoży łupu, powróciwszy z wojny,
Nie złoży głowy utrudzonéj bojem.
Olgierd na wieczne śpieszy już posłanie,
Przez stos gorący do zimnéj mogiły.
Przed ciałem jego odpędzają duchy;
Idą bòjary, mieczami machają;
Juljanna idzie do stóp tylko góry:
Tu z płaczki swemi na ziemię upadła,
Chciała iść daléj, nie puszczą kapłani.
Tam krzyk i wrzawa dokoła doliny;
Słupy rozstawne — do słupów młodź goni,
Zdobywa pieniądz i zbroję, i leci,
Na duchy wrzeszcząc, aby je odegnać,
Olgierda ciała by skrzydłem nie tknęły.
Na stosie starzec z mieczem w skrzepłych ręku.
Z siwą mu brodą wschodni wiatr powiewa.
Dokoła bracia, synowie, kapłani,
I słudzy na stos dla Księcia wybrani.
Oni nie płaczą, bo idą za panem
Na lepsze życie, kędy ich niewolę
Sto nowych zmysłów, rozkoszy osłodzi;
Oni nie płaczą — wszystkim oschły oczy;
Pieśń tylko wielka przez usta kapłanów
W niebo za duchem Olgierda się toczy.

Idź, duchu, do ojców ziemi,
Ziemi rozkoszy, pokoju;
Leć skrzydłami sokolemi,
Siwą skroń otrzeć po znoju.
Tam czekają cię dziadowie,
Tam cię lepsze czeka życie,
Tam z gwiazdą jasną na głowie
Po Dungusu [1]) leć błękicie.
Coś zostawił na téj ziemi?
Troski tylko, bój i trwogi!
Leć skrzydłami sokolemi,
Gdzie twe ojce, gdzie twe Bogi.
Gród w żałobie, ród w żałobie;
Ty szczęśliwy w kraju słońca:
Tam zachodu nie ma tobie,
Twemu życiu nie ma końca.
Tu łzy płyną, krew tu płynie,
Nieprzyjaciel czyha z boku:
We wschodniéj ojców krainie
Wieczna jasność świeci oku.

1) Dungus, niebo.

Leć, o wielki duchu Litwy,
Leć do dziadów na biesiadę,
Na waleczne z Jodsy [1]) bitwy,
Na rozumną ojców radę.

Leć, o duchu! rękę swoję
Zostaw synom, by z twą głową
Siedli w radzie, poszli w boje,
Cne potomstwo Olgierdowo.

W r. 1857 wydał Kraszewski *Hymny boleści*, utwór liryczny, poświęcony apoteozie cierpienia, co «łamie słabych tylko, dźwiga nieugiętych». Znajdujemy tu ustępy niepospolicie piękne. Przytaczamy z nich jeden.

Boleści! witam ciebie, zstępująca z nieba,
Matko czynu, surowa dla ludów mistrzyni,
Posłanko Boża— dłoń twa z powszedniego chleba
Pokarm duszny wyciska, chleb niebieski czyni.
Sercom wielkim tyś matką,— mleka twego trzeba,
By wyrósł niém pojony wielki mąż wśród gminu,
Wieszcz do chwały, bohatér do wieńców wawrzynu.

Idziesz królową— siedem koron na twéj skroni,
W jednéj rózgę, a palmę w drugiéj niosąc dłoni.
Na tobie szaty z ognia, czerni i purpury,
Za tobą idzie orszak służebnic ponury;
Z pod nóg, kędy się stopy dotkniesz kamiennemi,
Strumień krwi i łez strumień wytryska na ziemi;
Wichry cię poprzedzają, śmierć dogania blada,
Nad głową chmury sępów, kruków czarnych stada,
A gdzie płaszcz twój przesunie po kwiecistym łanie,
Smętarz, pustkowie tylko, jęk i narzekanie.

Z tobą wojsko sług twoich, tłumy nieprzebrane,
Obelgi i potwarze z sakwy kłamstw pełnemi,
Smutek czarny, trud czoło potem niesie zlane,
Rozpacz się i zwątpienie tarzają po ziemi,
Ucisk, co sznury dźwiga na ramionach twarde,
Pośmiewisko za rękę wiodące pogardę.

Jak przed burzą ucieka zlękła ptaków rzesza,
Wszystko przed tobą pierzcha, rozbija się, miesza;
Chór jęków cię poprzedza, hymn żałoby goni,
Nic przed tobą nie skryje i nikt nie zasłoni,
Nie rozbroi pokora, pycha nie zwycięży
Od Boga danéj siły i Boskich oręży.

1) Jodsa, zły duch.

Tłumy pierzchają trwożne, lecz zapaśnik stoi,
Pierś nastawił bezbronną, choć ją płomień pali;
Co męczeństwo rozedrze, to wytrwanie goi,
Bo ciało ma żelazne i duszę ze stali;
Wzniósł czoło, które potem krwawym się oblało,
Upadł— męztwa starczyło, lecz już mąk nie stało.

Taką światy nawiedza w zesłania godzinie,
Taką w spokoju nagle na człowieka spada,
Wśród ciszy nocnéj ojca porywa rodzinie,
Dotknie— i w stypę gwarna zmienia się biesiada.
A nikt nie wie gdy przyjdzie, nie wie kiedy minie,
Jak Damoklesa oręż zwieszona nad głową,
Truje wiosny poranek, spoczynek starości,
Błogo sercom— nim szatę przywdziały godową,
Już zimny całun okrył garstkę białych kości,
I wieniec róż przekwitnął w koronę cierniową.

W powietrzu nią oddychasz; nią cię poją wody,
Rośniesz w niéj, radość każda z jéj kroplą się miesza,
Obok ciebie zasiada na żywota gody,
W ślad cię goniąc do grobu za tobą pośpiesza,
Nie ma dla niéj spoczynku, przeciw niéj zagrody.

Biada temu kto w szczęściu usypia spokojny,
Kto zaufał swéj gwieździe i nie czuwa z trwogą:
Puhar wesela wyschły, kielich cierpień hojny,
Długie są dnie pokuty, a krótko gdy błogo;
Szermierzu! na strażnicy trwaj w odwagę zbrojny.

Sielanka p. n. *Wioska* (Warszawa, 1859) składa się z dwudziestu kilku obrazków odmalowanych z wysokim artyzmem i nieporównaną rzewnością. Natchnęła je autorowi tęsknota po życiu wiejskiém. Oto jest np. obraz cmentarza sielskiego:

Ze starych zgliszcz na cmentarz pójdź ze mną za sioło:
Na wzgórzu wierzb się kilka rozbiegło w około,
Wał nizki, furtka z krzyżem, żółte i zielone,
Krzyżami, krzyżykami, kamieniem znaczone
Ściskają się mogiły. A! inny świat nowy!
Nie bujać wam, grobowce, po górach i stepie,
Żal ziemi dla umarłych, głowa koło głowy
Spać wam wszyscy przy sobie, czerep przy czerepie.

Wkrótce miejsca zabraknie, tak umarłym ciasno!
Dobrze to mieć mogiłę osobną i własną,
Ale pola tak mało, a ludu tak wiele!...
Szczędzi go dłoń grabarza, co to łoże ściele.

Witajcie mi mogiły braci pracowitéj!
Raz w rok do was gromada z łzą przychodzi w gości;
Każdy szuka rodziny pod ziemią ukrytéj,
I duchom niesie z jadłem pieśń swojéj żałości.

Siedli, płaczą, jak gdyby pracą wysuszone;
Łez znowu pogrzebowych wytrysnęło źródło;
Jęki matek, żon płaczè lecą w duchów stronę,
Wszystko im mówią: jak się im wiedzie i wiodło,
Która im zdechła krówka, ile kop w stodole,
Spowiadają nadzieje swe, straty i bole,
Goście mogił z niememi prowadzą rozmowę
I gorącą do ziemi przykładając głowę,
Niejedną łzą poleli trawę co je kryje.
Lecz są biedne mogiły sierot za żywota,
Do których z wieścią usta nie przyjdą niczyje
I potraw im nie trawi serdeczna tęsknota.

W kącie cmentarza wklęsłe, chwastami obrosły,
Ani krzyża poprawić, ni ich opleć komu,
Drzewa tylko z litości gałąź nad nie wzniosły
I strzegą je od wichrów, ciesząc pokryjomu.

Czasem bydełko z pola zbłąka się nad groby,
Na co je spędzać? Któż wie? może panu miło,
Kiedy krówka zaryczy na znak swéj żałoby,
Kiedy wolika kroki tętnią nad mogiłą.

Czasem na długo drogi zarosną cmentarne,
To znów w żółte mogiły pstrzy się rola święta,
Wiozą trumnę odkrytą zwolna woły czarne,
A w trumience dziecina mała śpi zamknięta *).
Rodzice jéj sprawiają pogrzeb i wesele!
Są drużki, są ręczniki, korowaj i wianek.
Tylko muzyki nie ma, duszy nie ma w ciele,
Narzeczony jéj cmentarz, a grób jéj kochanek,

*) Zapawne przez roztargnienie autor zamiast dziewczyna młoda, napisał „dziecina mała".

Probował Kraszewski sił swoich także w zawodzie dramatycznym, ale nie zbyt szczęśliwie. Najdawniejszy z dramatów jego, *Halszka z Ostroga*, umieszczony w 2 tomie *Poezyj* z r. 1838 jest patetyczną deklamacyą bez życia. Historyczny dramat Tenczyńscy (1844) odstręcza treścią. Komedya *Stare Dzieje*, przedstawiająca upadek wielkiéj rodziny a spanoszenie się niegodziwca, ma wyborne ustępy, lecz treść jéj stosowniejszą byłaby dla powieści, niż dla utworu dramatycznego. Najwięcéj dowcipu i zalet scenicznych posiadają komedye: *Miód kasztelański* (1860), *Równy wojewodzie* (1868), *Panie Kochanku* (1869) i przysłowie dramatyczne w 1 akcie p. t. *Kosa i Kamień*, po raz pierwszy z wielkiém powodzeniem grane w Warszawie w r. 1875.

Obszerniéj o Kraszewskim mówić będziemy w dziale powieściopisarstwa.

Seweryna z Żochowskich Pruszakowa, jedna z najzdolniejszych autorek polskich, urodziła się na Mazowszu we wsi Koszajcu, w pobliżu Sochaczewa. Nauki pobierała w słynnéj pensyi pani Wilczyńskiéj w Warszawie. W 16 roku życia została żoną właściciela ziemskiego Tomasza Pruszaka. Owdowiawszy, poślubiła w Paryżu w r. 1864 Franciszka Duchińskiego, znanego badacza dziejów słowiańskich, i odtąd stale tam zamieszkała.

Zawód pisarski rozpoczęła od drobnych powiastek najprzód prozą pisanych, które od r. 1848 zaczęła ogłaszać w *Albumie Literackiém*, lub które osobno wydawała. Oddzielnie wyszły: *Powieści naszych czasów* (Warsz. 1853, t. 4); *Gawędy i Powieści* (1854, t. 2). Utwory te dość słabe i z treści i z układu. Więcéj talentu okazała autorka w poezyi. W r. 1855 wydała 4 tomiki *Powieści poetycznych* (*Dwa dwory — Zgoda wiejska — Powiśle — Córka wdowy*) i obszerniejszy poemat p. t. *Elżbieta Drużbacka*; w 1857. *Obrazki dramatyczne*. Oprócz tego, powieści poetyczne: *Dwie gwiazdy* i *Sebastyan Klonowicz* ogłosiła w *Bibliotece Warszawskiéj*. Wszystkie te utwory zaleca wysoka moralność, rzewność serdeczna i wielka poprawność formy, aczkolwiek zbyt jednotonnéj. W «Powieściach poetycznych» obrała sobie rodzaj, któremu Pol i Syrokomla wyznaczyli pierwsze koleje, t. j. gawędę. Odznaczają się te powieści umiejętném kreśleniem charakterów kobiecych, które autorka maluje z wielkiém zamiłowaniem i prawdziwą intuicyą serca. Niepospolitą łatwością opowiadania i obrazowania poetycznego zaleca się poemat «Elżbieta Drużbacka», któ-

ry jest raczéj obrazem dziejów narodowych w epoce Drużbackiéj, aniżeli jéj osobistą historyą. Było podobno zamiarem autorki, w podobnym sposobie, jak Klonowicza i Drużbackiéj, napisać także obrazowany żywot poety Miaskowskiego.

Zakres pracy Pruszakowéj jest nader rozległy. Najpiękniejszą jéj zasługą było wydawanie *Rozrywek dla młodocianego wieku*, których wyszło 15 tomów (3 serye po 5 tomów: 1-sza 1856 — 1857, 2-ga 1858, 3-cia 1860). Jest to jakby dalszy ciąg *Rozrywek* Klementyny Hofmanowéj, godnie odpowiadający nie tylko pierwotnéj myśli, ale potrzebom i stanowisku dzisiejszéj społeczności naszéj. Pismo to odznaczało się doborem artykułów i pięknym językiem. Prawdziwą w niém wartość ma wykład literatury polskiéj, wraz z historyą, na czytania podzielony, a pisany treściwie i zajmująco, tudzież wyborne powiastki i śliczne poezye, po większéj części pióra saméj Pruszakowéj. Oprócz tego przysłużyła się literaturze polskiéj przekładem dzieła Eichhoffa: *Obraz literatury średniowiecznych ludów, a mianowicie Słowian i Niemców* (Warsz. 1856, t. 2), wydała *Dzieje Węgier* podług Boldyi'ego, znacznie pomnożone przez siebie, tłómaczyła Ventury dzieło o literaturze włoskiéj, pisma Ozanama i t. d. Osiadłszy stale w Paryżu, oddała się studyom nad literaturą węgierską, rumuńską i francuzką, których owoce pomieszcza w *Bibliotece Warszawskiéj;* tu drukowane są wzorowe przekłady jéj z Ozanama, Obrazy literatury współczesnéj francuzkiéj i kilka poematów pełnych wdzięku i głębszéj myśli, tudzież dwa obszerne średniowieczne poemata o *Cydzie* i *Rolandzie*, Pieśni ludu francuzkiego i t. d. W témże piśmie od śmierci utalentowanéj Z. Węgierskiéj pisuje zwykle «Kronikę Paryzką». Jest także stałą współpracowniczką *Tygodnika Mód* Gregorowicza. W r. 1874 przedstawiono na scenie teatru warszawskiego w jéj przekładzie dramat Manuela p. t. *Nieobecny.*

Inni poeci poruszali żywioł ludowy i słowiański, do czego pomocą im były zbierane zewsząd i ogłaszane pieśni ludu i podania, nie tylko krajowe, ale ruskie, czeskie, serbskie, ujmujące swoim charakterem rodzimym i nutą swojską. W tym kierunku wyprzedziła innych tak zwana *Szkoła Ukraińska*, o któréj koryfeuszach, *Malczeskim, Zaleskim i Goszczyńskim*, mówiliśmy wyżéj. Wspominaliśmy także o «Melodyach ukraińskich» *Michała Grabowskiego*, pełnych świeżości i wdzięku, tudzież o pięknéj legendzie jego p. t. «Wawrzeniec z Powodu». O tym znakomitym pisarzu obszerniéj mówić będziemy w innych

działach. Z pomiędzy mnóstwa pisarzy, którzy zamiłowanie ukraińszczyzny posunęli do ostatecznych granic, zasługują na oznaczenie Groza i Olizarowski.

Aleksander Groza urodził się we wsi Zahranicze gub. Kijowskiéj, pow. taraszczańskiego, r. 1807. Początkowe nauki odbywał u bazylianów humańskich, a następnie w gimnazyum winnickiém na Podolu, które ukończył r. 1826. Potém udał się do uniwersytetu wileńskiego, gdzie zapisał się na wydział literacki. W r. 1829 otrzymał stopień naukowy. Przebywszy jeszcze jeden rok jako wolny słuchacz w uniwersytecie dorpackim, osiadł w r. 1831 na Ukrainie w dziedzicznéj wiosce Sołohubówce. W swoim czasie przyczyniał się niemało do obudzenia ruchu literackiego w tamtych stronach przez wydawnictwo pisma zbiorowego «Rusałka» (1837 — 1842). Wydał też inne pismo także zbiorowe p. n. «Grosz wdowi» (1849), które już ani wpływu ani wartości pierwszego nie miało. Umarł w r. 1875.

Z licznych poezyj Grozy, ogłaszanych od r. 1835 to w zbiorkach to pojedyńczo, nie wszystkie są jednakowéj wartości. Niegdyś nad miarę zachwalano poemat p. t. *Starosta Kaniowski* osnuty na podaniach o znanym powszechnie dzikim magnacie, który wśród przygód hulaszczego życia każe porwać piękną i niewinną Hannę, ale zaufany jego powiernik sam ją dla siebie porywa. Michał Grabowski, przyjaciel autora, bezstronniéj ocenił ten utwór, wykazawszy w nim główniejsze zalety i wady. Do pierwszych należy poetyczność budowana z żywiołów poezyi gminnéj. Są miejsca (i te żywo odbijają od reszty), gdzie nie tylko są naśladowane tony pieśni ukraińskiéj, ale nawet w usta mówiących osób włożone są prawdziwe słowa i toki ludu, a te są poetyczne, bo niewątpliwa, że każdy lud a szczególniéj ukraiński, mówi *poezyą* a nie *prozą*. Że Groza, jak i inni pisarze téj szkoły umiał czasami rozwikływać poetyczność ukraińską i z jéj żywiołów tworzyć, dowodzi to np. następujący pięciowiersz:

Hanno! gdy twoja matka urodziła ciebie,
Jedna tylko błyszczała gwiazdka w całém niebie
I ta na twój dom spadła, potém jak noc cała
Z piorunami i burzą ulewa się lała.
Gwiazda krasę, ulewa te łzy tobie dała.

Jedném także z najlepszych miejsc powieści jest obraz życia i zasług *nadwornego kozaka*, jednowiercy i plemieńca

hajdamaki, ale jego wroga: bo pierwszy jest obrońcą polskiego dziedzica, drugi rozbójnikiem nocnym, czyhającym na ten dom z lasu albo głuchego jaru. Oto jak życie swoje rozpamiętywa *Szulak*.

Jeszczem nie umiał krzyża na piersiach położyć,
A już umiałem moję szablę na krzyż złożyć.
Nudno mi było doma, na stepie wesoło,
Na stepie orły grają i wichry tańcują,
Orły, wichry o staréj sławie wyśpiewują;
I koń na stepie raźniéj w górę niesie czoło,
I skacze przez mogiły, kędy rosną kwiaty,
Niby dusze tych, co tam spoczęli przed laty.
Nigdy się hajdamaka w jarze nie wysiedział,
Wicher mi o nim doniósł a i wilk powiedział;
I kiedy wsi i grody we śnie głuchym spały,
W koło mnie grzmiała szabla i kule świstały.
Niechaj śpią, pomyślałem, nastaną te czasy,
Gdy mi nie będzie wolno z wrogiem iść w zapasy,
Gdy zima włos pobieli i poradli skronie,
Jak ja dziś, drudzy w mojéj wyskoczą obronie...

Gdzie się Tabor zaczajał, tam pierwszy goniłem;
Nim przetarł wązkie oczy, swoje wyrzekł słowa,
Koń jego dzwonił trzęzlą, w trokach jego głowa.
Od kniei Łebedyńskiéj do Tasminy wody,
Dwanaście wielkich szajek snuło się tam wprzódy.
Swych zebrawszy mołodców stanąłem przed niemi,
Trzy dni szable dzwoniły, a o czwartym świcie
Wilki ich białe ciała włóczyli po ziemi,
Kruki się zlatywały; my we krwi sowicie
Szable obmywszy, szliśmy wykrzykując *ura!*
A od nas wilk uciekał, kruk nastrzępiał pióra.
O czemużem w tych kniejach głowy nie położył?
Spokojne moje oczy w mogileby spały,
Dni nad niemi jak białe chorągwie leciały,
A noce, jak te kruki gdy je strzał potrwożył;
W głowach rosła kalina, ptaszki do kaliny
Zlatując się, nosiłyb wieści do rodziny!

Najlepszym z ustępów jest bez wątpienia owa noc dzika i rozmowa wilków, upiora i djabła — jest w tém barwa, jest fantazya, jest upostaciowanie w duchu gminnym. W ogóle po-

wieści téj, co do pomysłu, nie brakuje wątku do zajmującego i świeżego obrazu; lecz autor nie rozwinął treści nastręczającéj mu zewsząd rozległe i zajmujące obrazy, a nawet węzeł dobréj intrygi; nie skorzystał z dramatycznych szczegółów swego przedmiotu i własnego pomysłu, aby zatrzymać się na nich dłużéj i wywieść je bardziéj na jaśnię, zamiast opierania się głównie na kilku pospolitszych i znajomszych już obrazach. Najczęściéj także te pospolite obrazy maluje najpospolitszemi barwami, jak np. haniebną i wcale nie epiczną figurę żyda faktora i samego pana Starosty. A jednak krwawy cień tego magnata mógłby zaprawdę ukazać się poetycznie. Polowanie i pijactwo Starosty, pożegnanie ciotki z siostrzeńcami, szabas Arona, opis świecznika szabasowego, wszystko to oddane z materyalną dokładnością — ale poezyi tu nie ma, jest powszedniość i proza. Do miejsc powszednich należy i opis dwóch faworytów pańskich, od czego zaczyna się powieść, i pobyt i smutki Hanny na futurze, i grabarza, i teatralne nawrócenie Kaniowskiego, i nawet sen Hanny, zkądinąd piękny, jeżeli go uważać będziemy ze stanowiska klassycznego.

Najlepszym z utworów poetyckich Grozy jest duma historyczna p. n. *Jassyr batowski*. Jest to małe arcydzieło. Obraz jeńców, przyjazd Chmielnickiego do Hordy, głosy Polaków do hana, mord, powrót Tatarów na miejsce rzezi, wszystko to pełne prawdy i poezyi, a razem obleczone w te barwy, w które wyobraźnie ludu i śpiewaka powinna je była ubrać, jak np. łzawa, dżdżysta pogoda w czasie mordu, powieść wiatru stepowego o niesłychaném okrucieństwie i t. d. Przytém znajdujemy tu drobne rysy obyczajówe, które stawiają przed oczyma czas, miejsce, ludzi, jak np.

Dnia trzeciego, z ranną rosą,
W step Tatarzy się poniosą,
Pasą konie, *klacze doją* — i t. d.

Śliczny jest zwrót, którym się kończy opis dokonanéj na jeńcach rzezi:

A nad krwawéj rzeki brzegiem
Porąbane leżą głowy
I cichemi szepcą słowy:
— «Płyń krwi nasza bystrym biegiem
«Powiedz braciom...» i t. d.

W *Pierwszéj pokucie Żeleźniaka* równie jak w poemacie *Soroka*, wiele jest pięknych obrazów, lecz nie ma ciągu i szyku odpowiedniego. Nadto, w pierwszym z pomienionych utworów, autor skrzywił prawdę historyczną, któréj zresztą nigdzie nie trzyma się wiernie, tworząc ze szczętów poezyi gminnéj jakiś świat fantastyczny, w którym migają postacie kozackie, brzmią tony ukraińskie, ale nie jest to rzeczywistość, nie jest Ukraina ani przeszłości, ani chwili obecnéj.

Poemat *Mogiły* jest nader słabém opowiadaniem. Inne, późniejsze utwory podobnież świadczą o upadku talentu. Do ich liczby należą: *Trzy palmy*, powieść wschodnia (1857) — *Marek Jakimowski*, duma — *Hryć*, dramat w 5 aktach (1858) — *Śmieciński*, powieść wierszowana (Żytomierz 1860) i obszerne misteryum *Pan Twardowski* (Brody, 1873). Zastanawiać się nad niemi nie widzimy potrzeby.

Pisał także i prozą. Bardzo dobre są jego powieści obyczajowe i szkice humorystyczne: *Pan Władysław, Mozaika kontraktowa* i t. d.

Nierównie wyższy od Grozy talentem *Tomasz August Olizarowski*, urodził się na Wołyniu r. 1814. Nauki pobierał w liceum krzemienickiém, gdzie zachęcony przez Józefa Korzeniowskiego, z zapałem poświęcał się poezyi. Od r. 1832 przebywa za granicą.

W r. 1836 wyszły w Krakowie dwa poemata Olizarowskiego: *Zawerucha i Bruno*, które zwróciły na siebie powszechną uwagę, Michał Grabowski wysoko podniósł ich wartość, stawiając poetę zaraz po Woroniczu, Malczewskim, Zaleskim i Goszczyńskim, i zamykając sąd swój o nim następującemi słowy: «W rzędzie innych naszych poetów pan Olizarowski ma fizyognomiję osobną; cechy jego poetyckiego genijuszu są: śmiałość, świetność, nadewszystko życie. Jak ten posiadacz czarodziejskiéj piszczałki, który zmuszał wszystko ruszać się, tańczyć, p. Olizarowski wszystkiemu około siebie każe żyć, każe mieć duszę. Przymiot niepospolity i niedrobny!»

Podajemy tu obszerniejszy rozbiór *Zaweruchy:* w powieści téj bowiem najwybitniéj uwidomiły się wszystkie cechy *szkoły ukraińskiéj* *).

Powieść otwiera się na stepie przy wiosce, gdzie *Zawerucha*, niegdyś kozak Wacława Rzewuskiego, harcuje na koniu

*) Porów. M. Gr. „O szkole ukraińskiéj poezyi“ w dziele *Literatura i Krytyka*. Wilno, 1840. T. I str. 61—87.

przed zgromadzoném wieśniactwem wioski i oczyma swojéj kochanki *Ruciany*. Nadchodzą chmury gromadzącéj się nawałnicy; jeden obłok przepływa nad siołem, nad krzyżami cerkwi, prawie tuż nad ziemią, rwie się, zdaje się że spadnie w stepie albo w lesie, i Ruciana, stosownie do obyczajów miejscowych, wymaga od swego kochanka, ażeby jéj przyniósł szmatę téj spadającéj chmury, na dowód że ją kocha. Kozak puszcza się w trop za obłokiem, goni po stepie śród nastąpionéj burzy, piorunów, grzmotów, i pędzi póki koń wysilony nie pada pod nim i z unużenia nie zdycha. Następnie poeta pięknie maluje noc, która po uspokojeniu się burzy, zastaje jeszcze kozaka smucącego się nad stratą konia.

Potém miesiąc wstał rumianny,
Jak w kalinie wykąpany;
Wylazł z stepu w lazurową
Kąpiel niebios, tonął głową,
Mył się blaskiem zórz.

Bielusieńki, smutny, cichy,
Swą łabędzią pierś osuszał,
Z złotym chórem gwiazd się ruszał,
I w pachnące ziół kielichy
Strząsał krople ros,

Obraz ten zaleca się tém, że pojęty oczyma gminu: kąpiel bowiem świateł niebieskich jest dla niego wyobrażeniem zwyczajném, może zabytkiem wierzeń mitologicznych z czasów pogańskich. Daléj widok nocnego nieba, gwiazd skreślony jest dziwacznie, ale poetycko.

W drugiéj części znajdujemy Zaweruchę smutnego po stracie konia, w karczmie, i naprzeciw niego za stołem siedzi także smutny człowiek, przechodzień, czumak. Milczące ich z początku posiedzenie (*milczkiem, milczkiem we dwóch siedzą, jak dwa wilki gdy psa zjedzą*), ich poznanie się kiedy po długiém zasępieniu spójrzeli sobie w oczy, powitanie, wszystko to są wyborne rysy małomówności i powierzchownéj posępności ukraińskiego ludu. Czumak jest człowiekiem, któremu się nie wiedzie. Kiedy po pijanemu zaczynają śpiewać w karczmie i grać na torbanie, śpiewy czumaka są dobre, bo prawdziwie chłopskie, ukraińskie; powiastka o sobie i rodzinie jeszcze lepsza, bo gruba i dzika: chwali się, że ojca jego powieszono, bo hulał z Żeliźniakiem, matkę utopiono, bo była czarownicą; brat

jego psy bije w Bohusławiu, siostra żyje z pohańcami. Jest to samochwalstwo w duchu szczéro-kozackim. Posłuchajmy.

Śpiewka.

Oj! ja czumak nieszczęśliwy,
Z *żurby* *) chodzę ledwie żywy;
Albo w wodzie się utopię,
Albo w ogniu się roztopię,
Albo żywcem połknę żmiję,
Lub o kamień się rozbiję!
Może bieda się odczepi,
Może w ziemi będzie lepiéj.

Powiastka.

Ojca mego powiesili.
Hulałże-bo z Żeliźniakiem;
Matkę moję utopili,
Uganiałaż-bo z przetakiem!
W dzień po łące za rosami
W noc po lesie za biesami:
W piątek jeszcze czarownica,
A w sobotę topielica.
W Bohusławiu brat psy bije,
A pohańcom siostra żyje.
Ja się jeszcze jakoś chował;
Lecz i mnie bies dopilnował:
Konie moje pozdychały,
Jarzmo woły połamały;
Step wziął woły, oddał kości.
Człek bieduje choć z rozumem;
Powiadają: człowiek pości,
Wiater syczy, wilk je z krumem,

Śpiewka.

Od niedzieli do niedzieli,
Jam jadł z postem, tuczył woły.
Oj, na toż ja tuczył woły,
Żeby wilcy jeść co mieli?

*) z troski.

Oj, na toż ja kupił konie,
Żebym kości pytał o nie?
Konie leżą nadedrogą,
Do czumaka wstać nie mogą!
Psa odpędzisz, to kruk kracze,
Kruka spędzisz, to gad lezie,
I do reszty ścierwo gryzie;
A ja chodzę, a ja płaczę!

Rozmowy Zaweruchy nie są tak właściwe; język nie wszędzie naturalny, nie wszędzie prosty: mówi o *zamkach, o bajkach ukraińskich*, o ludziach co *koszule śmierci z ognia, na Stambule rozwieszali Sułtanowi* (to jest o wyprawach Niżowców w XV wieku) — nie są to mowy prostego kozaka. Wzmianka także o *Padurze* w ustach Zaweruchy jest niewłaściwą.

W czasie téj smutnéj biesiady dwóch nowych przyjaciół wchodzi do karczmy ojciec Ruciany, bogaty chłop ukraiński. Opis zamożnego gospodarstwa Znachora bardzo piękny. Sad, pasieka, trzody, basztan, stanowią ładne obrazy, obfitujące w wyrażenia malownicze, w śmiałe uosobienie przedmiotów nieożywionych, co się być zdaje znamieniem stylu Olizarowskiego, a które udają mu się wszędzie w tém miéjscu.

U Znachora jabłek w sadzie,
Aż się jabłoń matka kładzie
Pod ciężarem swego płodu. —
Wysmuklejsza macierz grusza
Z swym drobiazgiem w górę rusza,
I zagląda w oczy wschodu;
Słońca złotem się uśmiecha
I w swój owoc wciąga złoto; —
Bez krzaczysty wonnie wzdycha,
A powoje wianki plotą;
Gęste płoty obrzucają
I przed okiem zasłaniają
Wnątrz ogrodu. —

Znachorowe
Różne trzody i chudoba,
Tłuste, gładkie, rosłe, zdrowe;
Cztéry źrebce rżą u żłoba,

W stepie ryczą cztery woły; —
Jednym rykiem wszystkie doły
Ukraińskie zaludnione; —
Drugim rykiem wszystkie góry
Ukraińskie, — trzecim chmury, —
Czwartym dobrze zatrudnione
Różne wody: — A zrobiony
Chór z tych ryków, chór szalony,
Całym stepem, całą ziemią,
Całym światem, wzdłuż, wszerz gadą;
Ludzie na to słowo drzemią,
Echo za nich odpowiada.
Na basztanach śpią pokotem,
To kawony, to melony,
Niby żółwie zmyte złotem
I szmaragdem: — z różnéj strony
Kukuruze, jako żony,
Którym weźmie zły wróg progi,
Wyszły w pola, — i skarb drogi,
Skarb jedyny, niemowlęta
Wziąwszy z sobą, przyciskają
Je do piersi, — odsłaniają
Na wiatr włoski i oczęta,
Coraz wyżéj je podnoszą
I u nieba łaski proszą. —
Tam-to wietrzyk południowy,
Niemy, szuka czasem mowy;
Szmer znajduje, zkąd w niebiosy,
Lub uchodzi w pszenne kłosy...

Takich posiadacz skarbów, szczęśliwy ojciec Ruciany, dowiedziawszy się o przyczynie smutku kozaka, że konia stracił i woli ukochanéj nie spełnił, pociesza go, każe iść z sobą do chaty, dokąd zaprasza także nowo poznanego czumaka.

Trzecia część zaczyna się od opisu tęsknego oczekiwania dziewczyny, opisu żywo przypominającego tok pieśni gminnéj:

Milczą wrota leszczynowe,
Za wrotami milczy droga; —
Czekam, czekam ja nieboga
I o okno spieram głowę.

I po szybach lazę okiem,
I za szyby idę wzrokiem;

Mózg mnie boli nad oczyma; —
Kozaczeńka niéma — niéma!

Następuje rozmowa matki z córką, mająca w wielu miejscach koloryt prawdziwy, lubo nie wszędzie utrzymany. Rzi szczególniéj: że gdzieniegdzie matka mówi do córki w trzeciéj osobie, co się nigdy nie zdarza. — Przychodzi ojciec ze swymi gośćmi; Ruciana z początku dąsa się na kozaka, że z niczém powrócił; lecz dowiedziawszy się o stracie, którą pędząc za chmurą poniósł, jedna się z nim, nie ukrywa swojéj miłości, a w téjże chwili błogosławią ją rodzice. Czumak oświadcza ochotę zostać przy szczęśliwym przyjacielu, i uradowany kozak zatrzymuje go przy sobie. Ruciana zostaje żoną swego kochanka.

Podczas kiedy kozak używa pierwszych rozkoszy małżeńskiego związku, w zbrodniczéj duszy włóczęgi, którego z nędzy podniósł, za przyjaciela i brata przybrał, rodzi się zazdrość oglądanego szczęścia, dzika namiętność ku Rucianie. Ułożywszy w sobie zbrodniczy zamysł, namawia kozaka pójść pogrzebać kości ulubionego mu rumaka. — Odtąd się zaczyna tok powieści z coraz większą prostotą, z coraz większą siłą wewnętrzną, z wydatniejszą barwą poezyi gminnéj.

Pod noc Czumak do Kozaka:
— «Do kurhanu trza pójść w gości,
Trza pogrzebać konia kości».—
Pod noc kozak do Czumaka:
— «Do kurhanu pójdźmy w gości
I pogrzebmy konia kości».—
— «Chodźmy, chodźmy»! — Poszli społem
Z różném sercem, z różném czołem.

Kiedy się tak katastrofa przybliża, poeta chciałby do niéj przygotować umysł czytelnika ciemném przeczuciem, przepowiednią, smutnym pozorem miejsc, nad któremi wisi nieszczęście. To przygotowanie do mającego nastąpić wypadku odbywa się za pomocą wymyślonéj rozmowy sprzętów domowych pomiędzy sobą — myśl wielce poetyczna, oparta na wrodzonéj człowiekowi skłonności przywiązywania się do otaczających go nieożywionych przedmiotów. Zwyczajem Olizarowskiego jest ożywiać materyalne przedmioty; nigdy nie mógł tego użyć właściwiéj i z poetyczniejszym skutkiem, jak tutaj. Oto jest ta szczególna scena.

Szara cisza po świetlicy
Rozeszła się w strony różne;
Wszystkie miejsca stoją próżne.
Znachorowa do krynicy,
Znachor poszedł na gościnę,
A Ruciana po kalinę. —
Po świetlicy szła rozmowa:
Ławka rzekła tak dębowa:
— «Będziemyż to teraz gadać,
Bo nie będzie komu siadać».

Szafka.

A cóż zrobi Znachorowa?

Łóżko.

Przez dziś będzie jęczeć u mnie,
Jutro milczeć i spać w trumnie.

Głos z komory.

Ale ja to dzisiaj białe.
Jutro we krwi będę całe.

Skrzynia.

We krwi! we krwi! a ja może
Już się więcéj nie otworzę, —

Głos z komory.

Oh! nie będzie słać mnie komu,
Bo nie będzie tu i domu. —

Chór.

Gdzie się biedne my podziejem?...
(Tu milczenie:)
Ach! spróchniejem!...

Stół.

Ja dotychmiast domu serce,
Będę próchniał w poniewierce. —
Już obrusem nie zaściele
Mego łona dłoń Ruciana;
Nie zasiądą przyjaciele
Do biesiady, — runie ściana.

Ściana.

Ciało moje, moja skóra
Z białéj gliny, tak odstanie
Od mych boków, jako kora;
Dyle pójdą na posłanie
Dla róbactwa, dla upiora.

Belka.

Ja na gruzach się położę.

Dach.

Ja nakryję wszystko łoże,
Wiatr trząść będzie mną jak febra,
Sierć słomianą zgnoi słota,
A pokruszy ją spiekota;
I sosnowe moje żebra
Będą nagie. —

Krokwie.

Rychle potém
Pokładziemy się pokotem;
A jak kości wilk po lesie,
Tak po siole człek poniesie
Porąbane; w piec zawlecze,
Gęsty ogień z nas pociecze,
I dym w górę pójdzie kwawy;
I pokąsa ogień krwawy,
I pokryje w węgiel czarny,
I rozsypie w popiół marny.

Bohomazy jeszcze chciały
Wejść w rozmowę, lecz nie miały
Swego czasu...

Następujący potém obraz jest téj saméj natury i prawie równéj wartości wykonania. Ruciana wszedłszy pierwsza do pustéj chaty, postrzega, że zapomniała tego dnia ustroić obrazy domowe w kwiaty, wychodzi więc aby ich narwać, a w jéj nieobecności wizerunki święte rozmawiają znowu o mającém nastąpić nieszczęściu. W rzędzie drugich osobień występuje nawet *Cud* jako osoba; róża niezwinięta, zdobiąca obraz,

rozwija się niespodzianie, i z początku biała, rumieni się jakby krwią nakropiona. Wszystko to pełne tajemniczéj, fantastycznéj, ale wielkiéj poezyi.

Rodzice powracają do domu; z nimi sąsiadki w odwiedziny przychodzą: — i tu koloryt miejscowy, sceny z obyczajów ludu. — Doba się spóźnia, a za niepowrotem kozaka, niespokojność ogarnia najprzód Rucianę, potém innych domowych; pies smutno wyje, przeczucia złowrogie budzą się w sercach; dręcząca, dziwna obawa wzmaga się z każdą chwilą próżnego oczekiwania.

W następnéj części p. n. *Noc* dobiega straszliwe rozwiązanie powieści. Poeta oddaje to w niewielu słowach, ale dziwnie dosadnych i poetycznych.

Noc.

Chwile idą wciąż czarniejsze,
Bez powrotu, bez uśmiechu.
Noc: — powietrze coraz lżejsze,
Nic nie cięży na oddechu.

Puklerz złoty krwią oblany,
Miesiąc w stepie wykąpany,
Zawieszony na niebiosach,
Rósł po złotych w górę włosach.

I niósł w górę krwawe farby,
I niósł w górę wielkie skarby
Z pozaświecia: — i w purpurę
Ubrał chmurę, — i wszedł w chmurę.

Brylantowe blasku morze
Z po za chmurwisk się wylewa,
I zielone stepu łoże
Wonném światłem się nakrywa.

Jak z trupiego szpiku świéce,
Gwiazdy płoną, ziemię głuszą,
Krągłe rosy z chmur się kruszą
I ściekają na ziół lice.

Krzyż cerkiewny żegna chmury;
Ciągnie orszak chmur ponury
Po nad stepem, po nad siołem,
Osypany skróś popiołem.

A na końcu chmura biała,
Na step wbiegła, podumała,

Nad kurhanem jęła pływać,
Znów Kozaka w przegon wzywać.

Ale Kozak już nieskory
Do przegonu — i nie może.
A dla czego? Héj! héj, Boże!
Żal się! żal się! — Cyt! — Upiory

Od kurhanu ciągną tłumnie,
Na ostatku upior nowy; —
Ej! kozacki? Czy już w trumnie
Zawerucha? — tu — brak mowy.

Na step biegną psy gromádnie,
Warczą, skomlą, ujadają,
W ziemię wyją, — uciekają.
A dla czego?... może zgadnie
Ten co przyszłość odgadywa?
Wyszedł Znachor na podwórze,
Patrzy w zorze i wsłuchiwa
Się w psów wycie: — a w komorze
Jakby ze snu głos się zrywa:
— «Miły! miły! przemów słowo!» —
I głos przycichł.—

Znachor wraca
Do świetlicy, — słuchem maca,
Czy jest Kozak; — kiwnął głową,
Zatrzymał się w izby progu
I rzekł z cicha: «Dzięki Bogu;
«Śpią szczęśliwie! Oj Ruciano,
«Gdyby twego przykowano
«Na dzień w piekle, albo w niebie,
«Do księżyca lub do słońca,
«Lub do któréj ziemi końca, —
«Onby na noc był u ciebie:
«Uroczeż-bo twoje mocy,
«O dziewczyno! — Dobréj nocy!»

Odszedł — słychać znów w komorze:
— «Przemów słowo! — Nóż! nóż! — Boże!»

Głos 2-gi.

Milcz! milcz!

Głos 1-szy.

Ach! ja nieszczęśliwa.

Głos 2-gi.

Milcz-że teraz! Niech ci spływa
W ziemię słowo ze krwią twoją!

Głos 1-szy.

Czumak! czumak!—

Ze świecami
Ojciec, matka, w progu stoją,
Do komory wejść się boją.

Znachorowa.

Doniu! Doniu! Pan Bóg z wami!

Z pościeli się Czumak zrywa!
— «Donia we krwi teraz pływa!»

Znachorowa.

Ach! ratunku! ach, umiera!

Czumak we krwi nóż obciera,
Pcha go w pierś swą — i całuje
Twarz Ruciany. — Doumiera, —
Krew i pianę z ust zgartuje,
Po połowie trupiém słowem
Do obecnych się odzywa:

«Na kurhanie, na stepowym,
Znajomy wasz we krwi leży,
Niech kto pojdzie i pochowa,—
Ten nóż także tam należy».—

I skonały dalsze słowa.

Rzecz godna uwagi, że tak mało słów wystarczyło na te wszystkie dzikie obrazy. Należy także zauważyć kilka wysłowień nowych i malowniczych. Miesiąc przynosi skarby światła z *pozaświecia; doumiera;* ostatnie także słowa Czumaka są szczero-gminne: «na kurhanie, na stepowym, *znajomy wasz*» i t. d. W obrazie nocy wart jest szczególnéj uwagi widok ciągnących o północy upiorów, do których nowy dziś przybył, i chmury co do nowego przegonu wzywa kozaka, jak w począ-

tku poematu. Jest to ślad rozmysłu sztukmistrza, który wszystko przewiduje i urządza w świecie, który sam stworzył.

Ostatnia część jest zakończeniem poprzedzających zdarzeń, pogrzebem nagłą śmiercią zgładzonych, śmiercią z zatęsknienia pozostałych na krótką chwilę rodziców, ruiną miejsc, zkąd ustąpili żyjący ludzie. Jest tam znowu niejeden ślad, że dla Olizarowskiego, jak dla każdego prawdziwego poety, kształty zewnętrzne są tylko symbolami wewnętrznego znaczenia, np.

Na kozackiéj krzyż mogile
Wyrósł krwawo malowany.
Na cmentarzu krzyż Ruciany
I dwa inne krzyże rosną,
Zielenieją zimą, wiosną.

Zresztą wielką zaletą ostatnich części tego poematu jest oszczędność rysów i słów, tudzież nieodstąpienie w najmniejszéj mierze od prawdy i miejscowego kolorytu.

Wszystkie obrazy poematu nie są różnorodnym zlepkiem, ale mają fizyonomiję harmonijnéj całości. Widać przytém, że obrazowanie nie kosztuje autorowi żadnych wysileń; myśli naturalnie oblekają się w ciało, kształty zewsząd się tłoczą i obstępują poetę; każde jego słowo żyje. Język i wiersz wszędzie świetny, poetyczny i muzykalny.

Michał Grabowski mówiąc o Olizarowskim jako o poecie szkoły ukraińskiéj, tak go ocenia: «Różni się tém Olizarowski od drugich, że nie udaje się za szukaniem poetyczności ukraińskiéj w lata ubiegłe, w epoki historyczne mniéj więcéj oddalone, ale szuka jéj u dzisiejszego ludu, w jego obyczajach i charakterach narodowych. Tę poetyczność umie dostrzedz Olizarowski i oddaje ją często wiernie i barwnie. Za sprawą więc tego poety zajrzeliśmy w przyrodę powszedniego bytu ukraińskiego ludu, kiedy dotąd znaliśmy tylko poetyczność miejscowości ukraińskiéj lub poetyczność jéj historycznych wspomnień; ujrzeliśmy jego obyczaje, fizyonomije różnego wieku i stanu, grę moralnych skłonności; dotąd zaś w obrazach wyższego rzędu chyba o jednéj kiedy nienawiści do panującego nad sobą plemienia mowa była. Zgoła Olizarowski wniknął głębiéj jak inni w gminną narodowość ukraińską, i dla tego przyznajemy, że o krok daléj prace swojéj szkoły posunął.

Drugi poemat Olizarowskiego, *Bruno*, z Ukrainą nic nie ma wspólnego. Jest to utwór romantyczny w rodzaju *Dziadów*

Mickiewicza. «*Bruno* — powiada Grabowski — w tym jest stopniu pochodzenia od *Gustawa*, w którym *Gustaw* od *Wertera* Goethego, każda jednak z tych posępnych figur ma dosyć samoistności, żeby w nich można było poznawać nie cień marny jedna drugiéj, ale osobne twórczego ducha okształcenia. Że późniejszy poeta stoi na prądzie magnetycznym ducha wielkiego poety, który go poprzedził, ducha, który wszystko obok niego opanowuje, ogarnia, wszystkim mistrzuje i włada, że ten poeta późniejszy nie odpiera całkowicie tego ducha, ale owszem jako jednorodnego przyjmuje, nabiera mniéj więcéj w siebie, — nie dziwi mnie to, mam to za rzecz naturalną; a kiedy widzę, że to nawet nasiąknienie samoistności jego nie zatarło, i utworowi jego przy pokrewieństwie ogólném oblicze indywidualne mieć dozwoliło, mam to samo za dowód prawdziwego powołania tego poety i nie mieszam go z nietreściwym tłumem naśladowców.— Taki stosunek upatruję pomiędzy Mickiewiczem autorem *Dziadów* a Goethym autorem *Wertera*, taki między Olizarowskim a Mickiewiczem». Grabowski jednak zanadto pochlebnie zapatruje się na «Brunona». Przecudne są w nim tylko obrazy natury nieporównanéj świeżości, kreślone pędzlem wyłącznie właściwym Olizarowskiemu, a nikomu innemu w naszéj literaturze. Czy może być np. co piękniejszego nad opis poranku:

Poranek — Bruno opuścił ciężące
Czoło na ręce — i usnął. — Na śpiące
W nieładzie włosy, słońce przezroczystą
Garścią sypało złoto przerobione
W światło poranne. Z razu było czysto
W powietrzu. — Niebo nowo-narodzone
Liliowemi świeżemi oczyma
Patrzyło na świat. Ziemia odetchnęła,
Skoro promieni słońca w usta wzięła; —
Zdało się, że już dłużéj nie wytrzyma,
Wstanie i pójdzie ku słońcu lubemu,
I wydało się ono śmiertelnemu,
Że ziemia wstawać zaczynała mgłami;
Lecz mgły wzleciały szaremi skrzydłami
Pod niebo, — ziemia została na ziemi.

Mgłą zadymione słońce spłakanemi
Patrzy oczyma. Gdzieniegdzie pomiędzy
Mgły, szpary rzadki promyczek przecina

W kształt złotych żyłek, które trud człowieka
Odkrywa w ziemi, lub w kształt złotéj przędzy,
Którą pomięsza tkacz z szarym jedwabiem.
Mgły naśladują w górze nizkie morze,
A słońce, jakby było ich korabiem,
Powolne wały coraz słabiéj porze,
Nakoniec całkiem na siłach opada
I tonie we mgłach. — Zwycięzka mgła siada
Na horyzoncie, odwdzięczając ziemi
Za pożyczoną wilgoć, rzęsistemi
Perłami deszczu skrapia jéj klejnoty,
Poukładane w mozaiki różne.

..... w chwili
Gdy aniołowie ranku opuścili
Zewnętrzne straże, idąc wewnątrz nieba,
Deszcz ustał.

Podobnież pogoda nocy, którą zamienia nagle powstała nawalnica, opisane są, pierwsze z wdziękiem, druga z okropnością, obiedwie z prawdą i jako widoki wykradzione naturze.

Doświadczał Olizarowski zdolności swoich w rozmaitych kierunkach i kształtach poetycznych: pisał liryki, powieści i dramata, ulegał różnym wpływom, zawsze usiłując zachować właściwą odrębność. Pomiędzy bardzo licznemi utworami jego są najprzód drobniejsze wiersze (*Dumki*, *Humoreski*, *Śnielki* t. j. sonety), większe i uroczystsze psalmy (*Chwały i Żale*), powieści poetyczne, pomiędzy któremi, oprócz *Zaweruchy*, najlepsze: *Tapir Góra* (przerobiona z powieści *Krzyż w Peredyle*) i powieść hebrajska, z wyższém natchnieniem skreślona; wreszcie dramata: *Wincenty z Szamotuł* (Poznań, 1850), *Dziewice Erinu* (Paryż, 1857), dramat, którego bohaterem jest Zawisza, *Rada w Chęcinach* (Paryż, 1861), obraz dramatyczny z czasów Łokietka. Obok świetnych zdolności, bujnéj wyobraźni i niepospolitéj łatwości wiersza, grzeszy Olizarowski brakiem stałego charakteru i wykończenia.

Poezye Olizarowskiego wyszły w Krakowie 1836, *Exercycye poetyckie* w Londynie 1839; *Woskresenki* w Paryżu 1846, *Dzieła* we Wrocławiu 1852 we 3 tomach (nie wszystkie tu pomieszczono; wiele było drukowanych po pismach czasowych). —

Wszyscy niemal historycy literatury zaliczają do szkoły ukraińskiéj *Tomasza Padurę*, Polaka, który pisał po

ukraińsku dumy historyczne. Wszyscy poszli w tym względzie za Wójcickim, który w swojéj Historyi Literatury odezwał się o Padurze w następujących słowach: «Padura pieśniami swemi rozkrzewiał wielką myśl w Ukrainie, aby zbudzić w niéj pamięć świetnéj przeszłości. Wiele z nich przeszło na wieczną pamięć w usta narodu i *ludu:* w dalekiéj przyszłości powtarzać będą późniejszych pokoleń usta pieśni tego wieszcza, choć nie będą wiedzieć o ich twórcy. Padura w tych śpiewnych dumach, które tak chciwie chwyta każde ucho, co lgną do serca, skreślił cały żywot kozaczy, zamknął w nich sławę bitnego pokolenia i schwytał zarazem charakterystykę rodową. Najpiękniejsze pieśni skreślił w narzeczu ukraińskiém, zrozumiałém dla Ukraińców i tak łatwém dla nas. *Prócz ludu, który je śpiewa*, w Galicyi niemal całéj po dworach szlachty nucą te pieśni Padury; wiele z nich brzmiało nie tylko w cichych ścianach dworów. Nasz wieszcz i twórca dumek *Hetmana Kosińskiego*, *Mazepy* i *Rusałek*, wysoko cenił pieśni Padury: z jakąś rozkoszą każdą chwytał, z jakim zapałem rozczytywał! Bo przyznać trzeba, że tylko różnica języka, dwóch tych śpiewaków rozdziela: ale taż sama zwięzłość, choć nie taż śpiewność: toż schwytanie wielkich obrazów, a tak treściwie w szczupły wiersz ujętych; cała historyczność niemal kozaczego rodu w każdéj dumie skreślona (!), czyni obu braćmi jednego natchnienia». — Po Wójcickim Bartoszewicz nie zawahał się twierdzić, że Padura «talentem nie ustępuje żadnemu z wieszczów ukraińskich». Nehring, który niewątpliwie nie czytał Padury, mówi, że «pieśni jego ukraińskie przypominają serdeczność i rzewność Zaleskiego, a stały się tak ulubione i tak przyjęły się pomiędzy ludem ukraińskim, że jak powiada Olizarowski w jednéj pieśni: «cała Ukraina dziś dumkami brzmi Padury». Mecherzyński dodaje, że dumki Padury «są niemal wiernem powtórzeniem śpiewów ludu ukraińskiego, i że za Padurą dopiero poszli w ślady inni poeci ukraińscy, a zwłaszcza Zaleski (!!!)». — Zgoła zrobiono Padurę *ludowym poetą polsko-ukraińskim.*

Wszystkie sądy powyższe oparte są na uprzedzeniu albo niewiadomości. Dumki Padury są mierném naśladowaniem «Śpiewów historycznych» Niemcewicza, a język ich mieszaniną ukraińskiego, polskiego i cerkiewno-sło-

wiańskiego. Ani z treści swéj, ani z toku, tonu i nóty, nie mają one nic wspólnego z duchem ukraińskiego ludu. Śpiewała je tylko z zamiłowaniem szlachta ukraińska i czerwonoruska (szczególniéj okolicznościowe), a jeżeli śpiewali torbaniści albo kozacy dworscy, to czynili to jedynie z *rozkazu*. Prawdziwy lud ukraiński nie zna Padury. *Ani jedna dumka jego nie przeszła do ludu.* Olizarowski mówiąc w «Śpiewie kozaka»

«Ta to cała Ukraina
«Dziś dumkami brzmi Padury»—

niezawodnie rozumiał także sfery jedynie szlacheckie. Zresztą posłuchajmy, co jednocześnie prawie z Olizarowskim mówi o Padurze Michał Grabowski, najznakomitszy pod ów czas znawca ukraińszczyzny, a któremu nie można zarzucić *anti-szlacheckich* poglądów na Kozaczyznę: *) «Nie mogę powiedzieć ażebym w poezyach Padury widział coś nadzwyczajnego. Nie są bez wartości ale te które znam, nie usprawiedliwiają pochwał, które im widzę dawanemi... przesada, kto mówi, że dumki Padury stały się popularnemi w Ukrainie. *Właściwy lud ukraiński o nich nie wie.* Są one popularne jak niektóre piosnki Karpińskiego u pewnéj i to już wyższéj nad *lud* klassy. Dumki Padury są znajome w szlacheckich domach Ukrainy i Podola a nawet może i dalszych prowincyj; jakoż można uważać, że nasza znamienita szkoła ukraińska, stworzyła w publiczności pewną massę osób, które w niéj wyłącznie sobie podobają i zachwycają się stepami i Kozakami. Powiadam, że to ukraińska szkoła stworzyła tę publiczność, bo istotnie nigdy jéj przed rozpowszechnieniem dzieł *Zaleskiego*, *Malczeskiego*, *Goszczyńskiego* nie było.» — Tak więc nie «za Padurą dopiero poszli w ślady inni poeci ukraińscy, a zwłaszcza Zaleski» — jak mówi wbrew wszelkiéj oczywistości Mecherzyński — ale Padura zawdzięcza rozgłos swych dumek sławie pomienionych poetów.

Urodził się *Tomasz Padura* w r. 1801 w Ilińcach na Ukrainie, z ojca Jana cześnika bracławskiego i matki Anieli z Paszkowskich. Uczył się początkowo w szkółce parafijalnéj w Ilińcach razem z Sewerynem Goszczyńskim,

*) *Lit.* i *Kr.* „O szk. ukr. poezyi.“ Wilno 1839, str. 86.

następnie u bazylianów w Winnicy (do 1820) i w Krzemieńcu (do 1825), gdzie zapoznał się z Byronem i Ossyanem. Bliska zażyłość łączyła go z Tymonem Zaborowskim i Zoryanem Chodakowskim. W tym także czasie wszedł w stosunki z Wacławem Rzewuskim, lecz nie podróżował z nim po Wschodzie (jak twierdzi Wójcicki a za nim inni. Po tajemniczém zniknięciu Rzewuskiego osiadł w Machnówce, zajmując się przekładami z Mickiewicza (Konrada Wallenroda) na narzecze małoruskie. Napisał także parę obszerniejszych poematów oryginalnych; prace te zginęły podczas bytności autora za granicą (1848). Przybywszy do Warszawy, ogłosił zbiór swych pieśni p. t. *Ukrainki z nutoju Tymka Padury* (1844). Muzykę do nich dorabiał W. Rzewuski a poprawiał Karol Lipiński. W czasie zjazdu słowiańskiego w r. 1848 był w Pradze i napisał wiersz do Szafarzyka. Wróciwszy do kraju, bawił najczęściéj u swego przyjaciela Maryana Wasiutyńskiego w Koziatynie na Podolu, gdzie umarł r. 1871.

Księgarz Jabłoński wydał w 1842 we Lwowie *Pienia Tomasza Padury*, do których jednak jako pofałszowanych nie chciał się przyznać poeta. W języku polskim prócz drobnych poezyi, skreślił rozprawę *O Mazepie* (w Czasopiśmie Bibl. Ossoliń. z r. 1861). Zostawił w rękopiśmie poemat *Kudak*, tudzież mięszany w dwóch językach obszerniejszy poemat: «Podróż Czajld-Harolda po Słowiańszczyźnie» (*Put' Czajld-Harolda po Słowiańszczyni*). To co z ostatniego utworu ogłosił Wójcicki w IV tomie swojéj Literatury, jest wielką lichotą.

W innych prowincyach do poetów z wybitniejszym kierunkiem ludowym zaliczyć należy Wasilewskiego i Lenartowicza.

Edmund Wasilewski urodził się we wsi Rogoźnie w Lubelskiém r. 1814. W dziecinnym wieku przybył z rodzicami do Krakowa i tu się wychował. Po skończeniu szkół przyjął obowiązki bibliotekarza u hr. Wielopolskiego w Królestwie, lecz po roku przybył do Krakowa, gdzie go aż do śmierci nie przestał ścigać los nieprzyjazny. Chcąc utrzymać siebie i swoję rodzinę, musiał pracować w biurze loteryi krajowéj. Wielką jego zasługę stanowi to, że razem z Anną Krakowianką (Liberą) po długiéj ciszy rozbudził życie umysłowe w Krakowie i wielki wpływ na młodzież wywierał. W r. 1844 ożenił się z ukochaną i w swych «Krakowiakach» opiewaną Halką, lecz nie długo z nią pożył. Po stracie jedynego syna ciężko zapadł.

szy na zdrowiu, umarł r. 1846. Trentowski wyraził swój żal po śmierci Wasilewskiego, mówiąc: «Szkoda go, wielka szkoda! Byłby on zaiste prawdziwie narodowym wieszczem mógł zostać».

Wasilewski nie był we właściwym znaczeniu poetą-artystą, ale miłym i do serca mówiącym śpiewakiem. W jego poezyach, nawet weselszéj treści, powiewa jakiś duch smętny i niespokojny, a niekiedy przebija nawet gorzka ironija. Działalność jego poetycka przedstawia trzy zwroty: egotyczny, ludowy i społeczny z pewnym historycznym odcieniem. Pałająca jego dusza najbardziéj lubiła się wylewać w krótkich lirycznych strofach, w sonetach i dytyrambach; wszystkie zaś jego marzenia i szały odbiły się najwyraźniéj w obszernéj fantazyi p. n. *Dziecię szału*, która jest jakby jego spowiedzią przed światem. Czysta a nieszczęśliwa miłość jest tu tematem panującym, który się wiąże to z obserwacyą nad światem i ludźmi, to z narzekaniami werterowskiemi. Taka egotyczność, wyrażająca się zwłaszcza tonem erotycznego uczucia, potrzebuje wysoko twórczéj indywidualności, ażeby zwyczajnym, powszednim oddźwiękom rozkochanego serca nadać doniosłość poezyi. Do takiego tonu nie zawsze wznosi się Wasilewski. Egotyczny żywioł w rzeczach romansowych objawia się u niego rzeczywiście szałem raczéj, niż poetyckim zapałem. Szczęśliwiéj rozwija się on w rzeczach obserwacyi i ironii, któréj wyrazem jest np. wiersz: «Drzym sobie duszo». Innym jest poeta, kiedy zapomina o swych cierpieniach i pogodniejszém okiem spogląda około siebie, szukając przedmiotu, do któregoby mógł sercem przyrosnąć. Takim przedmiotem dla niego jest lud krakowski. Wasilewski wpatrzył się w jego życie i obyczaje, w charakter moralny, wsłuchał się w jego pieśni, przeniknął go na skróś, pokochał całem sercem i uwił dlań na pamiątkę prześliczny wieniec niezapominajek w zbiorze «Krakowiaków». Daleki od wszelkiéj osobistéj fantazyi, którą inni poeci kładą na karb pomysłów ludowych, jest on tylko wiernym, ale zarazem idealnym tłómaczem uczuć samego ludu w ich najrozmaitszych i najdrobniejszych odcieniach. Krakowiaki jego są tak czyste i rodzinne, jak te, które się snują po wiejskich chatach, a tylko wzbogacone potęgą sztuki. Przytaczamy jeden z nich dla przykładu.

Zapomniane skrzypki moje, zagrajcie od ucha!
Lasy, wzgórza i doliny, zapalcie w nich ducha,
Ducha w nich zapalcie, niechaj brzmią na okół,
A ty myśli moja podlatuj jak sokół!

Już skowronek i jaskółka witają nas wiosną,
Rzućmy ziarno na tę glebę, a kłosy wyrosną!

Trzeba orać ziemię żyzną z wiarą i nadzieją,
Nie dbać na to, chociaż kwiecień zaszumi zawieją;
Zaszumi zawieją, lecz jak świeży ranek,
Rozpogodzi niebo maj,— wiosny kochanek.
Daléj razem jak te wołki idźmy krok za krokiem,
Bo gdy zagon uprawiony, miło rzucić okiem.

Ty fujarko brzmij po drzewach, niech pękają liście,
Wtedy wtórem i las chórem zagra uroczyście;
Uroczyście zagra jakby przy niedzieli,
Jak piosnka kochanki serca rozweseli.
A więc skrzypki i fujarko na ojczystéj grzędzie,
Razem grajcie, zgodnie, żwawo, a muzyka będzie!

Żyzna niwa kłosem pływa, kwiateczkami woni,
Tu się bławat patrzy w niebo, polny mak się płoni;
Polny mak się płoni, juści go wstyd ima,
Że błyszczy purpurą, lecz zapachu niéma.
O! boć darmo, samym blaskiem nic się nie przymili,
Stokroć milsza jest pszenica, gdy kłos ciężki schyli.

Daléj, skrzypki! grajcie hucznie, Wisła dźwięk poniesie,
Na jéj brzegach rosną lasy, słowiki są w lesie;
Słowiki są w lesie, na dzióbkach zanucą,
I całą naturę zbudzą, rozesmucą!
A gdy żniwo już skończymy, wtedy na dożynek,
Wszyscy Bogu piosnkę świętą złożym w upominek.

Wiele z tych «Krakowiaków» przyjęło się pomiędzy ludem. Poemat *Katedra na Wawelu* zaleca się wyższym pomysłem, ale w wykonaniu ledwie zarysowany; nie widać tu sztuki, ale jest zapał i prawda uczucia. Przytaczamy tu ustęp «Dzwon Wawelski».

Słyszeliście! w Zygmunta dzwonią,
Powietrze wstrząsły rozdźwięki,
I ciężkie, poważne jęki
Falami Wisły się gonią,
W miedziane dachy uderzą,
Walą się w ulice miasta,
Aż się po rynku rozszerzą.
A huk się wzmaga, podrasta,

Drżący wzlatuje nad wieżą,
I w czarnéj chmury uścisku
Pochwalne pieśni brzmi niebu,
Czy smutne psalmy pogrzebu,
Czy straszne krzyki ucisku.
Słuchałem długo wieczorem:
Duch mój tak wsłuchał się cały,
Że dźwięków tych rozhoworem
Dziwne w nim pieśni zagrały.
To się w przeszłości zagłębił,
To w blasku słońca zapalał,
Szumami wichrów rozszalał,
I w chłodach grobów zaziębił.

A dzwon mi mówił powieści,
Jak wiele razy w przeszłości
Brzmiał rozgłosami wielkości,
Tryumfu, wesela, chwały!
I takim jękiem boleści,
Że go dwa morza słyszały!
On mówił: «Mam pierś spiżową,
Jak piersi mego narodu;
Serce żelazne, jam głową
Wszystkich dzwonów tego grodu.
Serce żelazne, gdy go burza czeka,
Serce żelazne, gdy się dąsa piekło,
A jednak serce wielkiego człowieka!
Bo choć tak wiele uczuć z niego ciekło,
Tak wiele uczuć tajemnie w pierś biło,
I wiekuista pleśń na niéj osiadła;
Jednak uczucie łona nie stopiło,
I rdza mi serca nie zjadła!
Ja czuję za wszystkie dzwony,
Pamiętam za wszystkie księgi;
Gdy brzmiące wyrzucę tony
I roztoczę wspomnień wstęgi!»

Słuchałem dzwonu i naprzemiany
To się płoniłem, to bladłem;
Potok przeszłości płynął wezbrany
Przed mojéj duszy zwierciadłem.
Jak w zachwyceniu, jak w śnie proroka,

Jasne obrazy, miłe rozgłosy
Tak się cisnęły do ucha, oka,
Spadały w duszę kroplami rosy,
Że odświeżona z tęsknoty pleśni,
Z przeszłości, jakby z pajęczych tkanek,
Snuła nić dźwięków, wiązała w pieśni,
Jak kwiaty w wonny błyszczący wianek!

Rok 1520.

Onego czasu król dzwon kazał ulać,
I wybudował mu wieżę wysoką:
A król potężny, miał sławę szeroką,
Chciał by swobodnie i dzwon mógł pohulać.
Wieżę naprzeciw ściany Tatrów stawił,
By większe echo aż do morza grało,
Żeby potęgę narodu rozsławił,
I w twarz północy plunął jego chwałą!
I dzwon ulany, na karkach stu wołów
Wybiegł na wieżę i zawisł u szczytu;
I wylał z siebie w przepaście błękitu,
Pierwszy hymn Bogu, jak chóry aniołów.
Głos leciał w górę w pełnych brzmiących kołach
I wstęgę dźwięków jak piorun rozwinął,
Rozbudził echa po gór chmurnych czołach
I do stóp Boga zapłynął!
A od imienia króla mu nadano
Na tym chrzcie «Zygmunta» miano.

Rok 1532.

Z pod Obertyna wracał Jan z Tarnowa,
A nad nim sztandar tryumfu wiał,
W gałązkach dębu jego siwa głowa,
A w oczach ogień zapału tlał.
A przed nim szło pięćdziesiąt dział,
I u stóp króla usiadły,
A za działami zdobyte sztandary
Pod stopy króla się kładły;
I z gołą głową wołoskie bojary
Na twarz przed królem upadły.

I zstąpił z tronu on król sędziwy,
Jana do serca przycisnął;
Sławą narodu dumny, szczęśliwy,
Łzą rozczulenia zabłysnął.

I kiedy starzec ściskał starca dłonie męzkie,
Dzwon rozwiał po powietrzu swe hymny zwycięzkie.
A naród uchem w duszę wciągał tę pieśń wzniosłą,
I wzrok mu się rozogniał i serce mu rosło.

Zbiór poezyj Wasilewskiego wyszedł za życia autora w Krakowie r. 1839 i w Poznaniu r. 1840, po śmierci zaś jego w Krakowie r. 1849 i w Warszawie r. 1859. Pomiędzy niemi znajduje się kilka pieśni bardzo pięknych, które stały się ulubionemi śpiewkami młodzieży («Wesoło żeglujmy, wesoło!»— «Na Wawel, na Wawel, Krakowiaku młody!» — «Hej bracia orły do lotu!»). — «Katedra na Wawelu» wyszła osobno w Poznaniu r. 1840.

Teofil Lenartowicz urodził się w Warszawie r. 1822. Syn niezamożnych rodziców, poprzestać musiał na ukończeniu szkoły powiatowéj, a po krótkim pobycie u zamieszkałéj na wsi rodziny, wszedł w 14 roku życia jako dependent do kancelaryi adwokata, zkąd w 1837 przeszedł jako aplikant do b. sądu najwyższéj instancyi, gdzie po trzech latach otrzymał etatową posadę kancelisty. Szczupły zasób wiadomości w szkole nabytych starał się uzupełnić przez ten czas pracą własną. Równie więc z poważnego studyowania literatury polskiéj, jak z przestawania z pełnymi talentu kolegami i niektórymi mężami dojrzalszéj nauki, czerpał potrzebne dla siebie zasoby wiedzy, tudzież poczucie formy i miary, bo idea piękna już samodzielnie rozwinęła się była w jego duszy. Były to czasy, kiedy w Warszawie zaczęła się zawiązywać nowa, młoda literatura, która nic wspólnego nie miała ze starszém pokoleniem pisarzy. «Podrosło nowe pokolenie— powiada Bartoszewicz — i wyuczywszy się cokolwiek, probowało sił własnych. Byli to wszystko ludzie zdolni, zdolność też jedynie wielu z nich ocaliła w przyszłości, bo nic innego. Nauki głębszéj, poglądu spokojniejszego i dojrzałego na życie, tam nie było. Powstawali niby odrodzeni w duchu, niby nowi ludzie, bo nawet nie mieli nic wspólnego z pojęciami socyalnemi staréj Rzptéj. Wszyscy wrzeli życiem, na przesąd żadnego nie mieli względu, gotowi będąc zawsze do wszelkiéj manifestacyi i czynu i pióra. Chodzili umyślnie brudno i ubogo, zgiełk

wielki robili nawet po ulicach. Ich organem był z początku *Przegląd Warszawski*, a potém *Nadwiślanin*. Zdobyli się na *Jaskółkę*, noworocznik własny. Poezya tam główny rój wodziła, a była to już prawdziwa poezya zapalna, ognista... Patryarchą téj młodzieży był Julian Filleborn, zdolność poetycka niezaprzeczona, ale umyślnie się zmarnował. Z gronka tego wyszli jednak Roman Zmorski, Antoni Czajkowski, Włodzimierz Wolski, Bohdan Dziekoński, Norwidowie i Teofil Lenartowicz». Dla tego to pierwsze swe próby poetyckie ogłaszał poeta nasz w *Nadwiślanie*. Ale duch młodzieńczéj energii, wyrażającéj się w tysiącznych wybrykach owych kolegów nie przypadał do rzewnego a serdecznego usposobienia Lenartowicza, który najszczęśliwiéj wyrażać umiał tylko uczucia miłości Boga i bliźnich. Drogi też ich wprędce całkiem się rozeszły.

W r. 1848 Lenartowicz opuścił kraj i przez kilka lat przebywał kolejno w Krakowie, Wrocławiu i Poznaniu. Następnie udał się do Paryża i mieszkał czas jakiś w Fontainebleau, zkąd przeniósł się do Włoch (1854), najprzód do Florencyi a potem do Rzymu, gdzie osiadł na czas dłuższy. W r. 1861 ożenił się z Zofiją Szymanowską, siostrą przyrodnią żony Mickiewicza, słynną z malarskiego talentu, którą po 10 latach najszczęśliwszego pożycia stracił. Z powodu niezdrowego klimatu rzymskiego w ciężką zapadłszy chorobę, prawie bez nadziei ratunku, przeniósł się na powrót do Florencyi, gdzie i obecnie przemieszkuje, poświęcając się jednocześnie poezyi i rzeźbiarstwu, w którém doszedł już do pewnego stopnia doskonałości, tak że utwory dłuta jego zyskały rozgłos nawet pomiędzy Włochami.

Rzewny i tkliwy z przyrodzenia a obdarzony dziwnie wrażliwém uczuciem piękna, Lenartowicz jak gdyby z powietrzem razem pochłaniał w każdéj chwili najpiękniejsze barwy i dźwięki świata, a następnie tworzył z nich pieśni swoje. Namiętny miłośnik muzyki, lubił szczególniéj wsłuchiwać się w urocze harmonije Szopena, i może temu upodobaniu przypisać w większéj części należy melodyę i rytmiczność jego wierszy. Taż sama skłonność poetyczna wiodła go do nadsłuchiwania pieśni gminnych, których świeże zbiory dostarczyły poecie tém więcéj natchnień i motywów. Ulubioną jego książką był zbiór pieśni ludowych Żegoty Pauli. We Włoszech otoczony arcydziełami pędzla i dłuta, całemi garściami zbierał barwy i kształty, które przenosił w krainę słowa. Szczegól-

niéj zachwycały go natchnione dzieła starych mistrzów florenckich: Giovanni da Fiesole czyli Beato Angelico, Masaccio i Ghirlandajo. Pierwszego z nich wielbił najgoręcéj za jego wiarę głęboką, naiwne zachwyty i prostotę dziecięcą. Kto uważniéj wczyta się w utwory Lenartowicza, temu niewątpliwie przyjdzie na myśl, że czém Beato Angelico był w malarstwie, tém Lenartowicz jest w poezyi. Sami Włosi musieli uczuć to powinowactwo wieszcza polskiego z duchem swojego mistrza, gdy przetłómaczyli poezye Lenartowicza, i przekład ten powitali uznaniem bratniém.

Z wyjątkiem kilku drobnych utworów ogłoszonych w *Nadwiślaninie* i *Bibliotece Warszawskiéj*, Lenartowicz do 1849 r. nie drukował nic ważniejszego. Za granicą dopiero wydał najprzód *Szopkę* (Wrocław, 1849) a potém *Lirenkę* (Poznań, 1851), do któréj dodał następnie *Nową lirenkę* (Poznań, 1857; Warszawa, 1859), znacznie słabszą od pierwszéj. W «Lirence», równie jak w dwóch cudnych poemacikach: «*Zachwycenie*» i «*Błogosławiona*» odkrył on niezrównane przymioty swoje jako poety, skupiające się w miłości rodzinnéj ziemi i w uczuciu religijności głębokiéj.

Jest to śpiewak w całém znaczeniu ludowy. Pieśniami i powieściami ludu wykarmił swoję poetyczną muzę — wykołysał ją w szumie sadów i łanów zbożowych, przy dźwięku sierpów, modlitwie ciszy wieczornéj i niedzielnych wczasach drużyn wieśniaczych. Wprowadził do literatury nowy świat sielski — do poezyi nieznaną wprzódy słodycz i wdzięki. Piosnki jego, to niezapominajki ludu, miłe, rzewne, proste i serdeczne. Jest to osobliwsza poezya, która zdaje się być obcą wszelkiéj sztuce, a przecież czaruje wszystkiemi urokami sztuki — pieśni jakby prosto wzięte z ust ludu, a tak cudne wykończeniem i formą — obrazy mieszczące w sobie tyle życia i prawdy, oddychające tak powabną prostotą, tak rzewném uczuciem, taką świeżością i wonią, że trudno oderwać się od wrażeń sprawionych przegrywkami téj złotéj lirenki. Prosta ich nuta i powszednia piękność, ale płynie z serca i wlewa pokój do duszy. Sam poeta porównywa w «Przygrywce» poezye swoje do śpiewów skowronka:

«Powszednie piosnki, to jak chleb powszedni,
Co to o niego Pan Bóg każe prosić,
By człek posilon mógł swój krzyżyk nosić.
A jak nie wadzi głosik skowrończany,
A jak nie wadzi oliwa na rany,

Jak Boże słonko zdrowiu nie zaszkodzi,
Tak i piosenka, co nam biedę słodzi.
Że słowik śpiewa, to niech śpiewa sobie,
On swoje robi— a ja swoje robię.»

Największa część poezyj Lenartowicza ułożona jest na wzór i na nutę pieśni ludowych; niektóre nawet jakby wprost dla ludu pisane były. Weźmy np. dwie następujące.

Mazur.

Mazur ci ja, Mazur,
Z pod Warszawy rodzic,
Nie żaden pan baran,
Ani wojewodzic.
Najpsód mnie ucono
Grabić w łące siano,
Na stodole młócić
Czterma końmi włócyć;
A kiéj mie już byli
Wyhejdukowali,
To mnie ozenili,
Za zone wydali.
Siano— jako siano,
Cielok— jako cielok;
Ale z miłą zoną
Człowiek smutny wselok.
Bodaj to parobkiem
Chodzić sobie sobkiem,
Copka z fantazyją,
Sukman granatowy,
A w tanecku biją
Iskrami podkowy,
Stalowy obcasik
I cerwony pasik;
Juścić mieli racyą
Dawać hejdukacyą;
Lec ze zonkę dali,
To się pomylali.
Ciekby miał ochoty
Podobać się komu;
A tu ksycy z hoty
«A pójdzies do domu!»
Bóg się nie zmiłuje,
Toć mnie gnębią wsyscy,
Zona mnie pomstuje,
Dziecko w łózku piscy,
A dymem z komina
Dymi chałupina.
Niech je tam wciornoscy,
W tym ostatnim dzionku!
Zostanę ja w wiosce
Chyba na postronku.
Jak jeno zaświta,
Z moją zonką kwita.
Zostawiam stodoły,
Dwa konie, dwa woły,
I pscół ctery pienki,
W sksynce dwa dukaty:
Ma nowe sukienki
I cycowe smaty.
Nie pierwséj młodości
Nie będzie w załości.
Pojdę do starsego,
Zamelduje mu się,
Powiem zem z Dębego,
Ze mieskałem w lesie.
Mam z sobą fuzyę,
Co niezgorzéj bije:
Lepiéj w wojsku strzelcem,
Niż w chacie wisielcem;
Bo psysięgam Bogu,
Jakem Maciek Dzwoniec,
Zeby mi w chałupie
Psysło na ten koniec.

Nasza Dziewczyna.

Nasza dziewczyna
Kieby malina,
Usta różane
Z lilją mięszane,
Włosy złociste,
Oczy ogniste,
W tańcu sarenka;
Nasza panienka
Szczera w ochocie,
Pilna w robocie;
Czy zagon piele,
Czy zbiera ziele,
Czy z kołowrota
Złotą nić mota,
Zawdy ma w głowie
Tyle piosneczek,
Ile kwiateczek
Kwitnie w dąbrowie.
W Zielone świątki
Lipowe prątki,
Wierzby gałązki
Nazbiera w wiązki,
Chatę umai
W zieloność gai,
W okienku chaty
Ustawia kwiaty;
Tatarakami
Uściele sionkę,
Przed obrazami
Wiesza koronkę,
I białe chusty
Na siebie wdzieje,
Wdzięcznemi usty
Wszystkim się śmieje.
U niéj ze dzbana
Woda źródlana
I chleb ubogim
I cień przed progiem.
Jak ludzie prości
Mile ugości;
Gdy w sianokosy
Słyszysz piosneczki,
To pewnie głosy
Naszéj dzieweczki.
Fura się toczy
I skrzypią koła,
A przy niéj kroczy
Dziewka wesoła.
Nasza dziewczyna
Kieby malina,
Tego wybierze
Młoda osoba,
Który się szczerze
Onéj spodoba.
Najbardziéj dziéwce
W serduszko wnika,
Kto w rogatywce
Dosiadł konika,
I umie gracko
Wywijać chwacko,
Szabelką machać,
Nic się nie strachać,
W boju bojować,
W chacie całować.

Z jego drobnych wierszy powszechnie znane są «Włochna» — «Do mojego grajka» (Grajże grajku, będziesz w niebie) — «O pieśniach gminnych» i «Kalina», do któréj prześliczną nutę dorobił zawcześnie zmarły muzyk Ignacy Komorowski (ur. 1825 † 1857). Tę ostatnią pieśń przytaczamy.

Kalina.

Czego ty kalino smutna? —
Bo młodego Jasia nie ma.
Powiastka ruska.

Rosła kalina z liściem szerokiem,
Nad modrym w gaju rosła potokiem,
Drobny deszcz piła, rosę zbierała,
W majowém słońcu liście kąpała.

W lipcu korale miała czerwone,
W cienkie z gałązek włosy wplecione;
Tak się stroiła jak dziewczę młode,
I jak w lusterko patrzała w wodę.
Wiatr co dnia czesał jéj długie włosy
A oczy myła kroplami rosy.

U téj krynicy, u téj kaliny,
Jasio fujarki kręcił z wierzbiny—
I grywał sobie długo, żałośnie,
Gdzie nad krynicą kalina rośnie.
I śpiewał sobie: dana! oj dana!
A głos po rosie leciał co rana;
Kalina liście zielone miała,
I jak dziewczyna w gaju czekała.

A gdy jesienią w skrzynkę zieloną
Pod czarny krzyżyk Jasia złożono,
Biedna kalina znać go kochała,
Bo wszystkie liście swoje rozwiała,
Żywe korale rzuciła w wodę,
Z żalu straciła swoję urodę.

Do najpiękniejszych utworów Lenartowicza należą dwa niewielkie poemaciki: *Zachwycenie* i *Błogosławiona*, które do arcydzieł polskiéj poezyi policzyć można. «Trzeba te utwory usłyszeć z ust małéj dzieciny — powiada Nehring— aby uczuć ich urok i poznać rzetelną ich wartość; w tym rodzaju nikt Lenartowiczowi wyrównać nie jest zdolny». Poeta wprowadza do swéj sielanki mieszkańców drugiego świata, według tradycyi religijnéj i wyobrażeń ludowych artystycznie i nader szczęśliwie pojętego. Niebo jego wygląda całkiem po ziemsku, po polsku, jak z drugiéj strony, ziemia jest u niego tylko żywym wizerunkiem, istném przedsieniem nieba. Rzewność i miła prostota tak w treści jak w niewymuszonym, dziwnie

łatwym wierszu, są tutaj nieporównane. Przytaczamy tu początek «Zachwycenia» [1]).

Matulu moja, powiedzcie przecie,
Coście widzieli na tamtym świecie?

— O! moje dziecko, byłam ja w raju,
Gdzie drzewa rosną jak w naszym gaju,
Same jabłonie i wielkie grusze;
Na nich najczystsze umarłych dusze
Za dobry żywot, za świętą cnotę,
Poprzemieniane w owoce złote,
Na cienkich prątkach pod liśćmi wiszą,
W ciepłém się słońcu pięknie kołyszą;
Ale ich z drzewa zrywać nie trzeba,
Bo zaraz lecą w górę do nieba.
Potém widziałam jasne niebiosy,
Ową pszenicę z złotemi kłosy,
Co się pochyla pod boże nóżki,
Oj! nie pszenica, lecz święte duszki.
Potém widziałam przeróżne kwiatki.
Te w bożych łąkach prześliczne bratki,
Co się na ziemi bardzo kochali,
A potém w niebie powyrastali.

— Mateńko moja, proszęż ja ciebie,
Co też tam robi Pan Jezus w niebie?..
Co robi w niebie gwiazda zaranna,
Królowa nasza Najświętsza Panna?..

— O! moje dziecko, o! kochające,
Jezus owieczki pasie na łące,
Jak śnieg bieluchne, co skubią trawę,
I nie boją się, takie łaskawe
A to są dusze błogosławione,
Które cierniową zniosły koronę.
Matka Najświętsza dla ludzkiéj nędzy,
Wyrabia płótno ze srebrnéj przędzy;
I jużby wszystkie dzieci sieroty
Miały koszulki z owéj roboty,

1) Letarg nazywają u nas «zachwyceniem», w ciągu którego dusza człowieka ma sobie odkrytą przyszłość, ogląda niebo i piekło, ale jéj o tém mówić po ocknięciu się nie wolno, chyba przed istotami niewinnemi, jakiemi są małe dzieci.

Gdyby w jesieni pochmurniéj, słotnéj,
Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,
Tych srebrnych nitek babiego lata,
Co się na naszych płotach oplata.

— Matulu moja, czyście widzieli,
Co też tam robią święci anieli?

— Anieli z nieba świecą nad nami
Bardzo wysoko temi gwiazdami,
A słysząc ludzi proszących głosy,
Z litości płaczą kroplami rosy;
Rosa upada na obszar ziemi,
I przez tę litość zboże się plemi.

— Jest też jak u nas, matulu droga,
Taka wesołość u Pana Boga?

— O! moje dziecko, jak ci się zdaje?
Musi mieć Pan Bóg, kiedy nam daje.

— A czy tam grają tak aniołowie,
Jak nasi wiejscy chłopcy w dąbrowie?

— O! jeszcze piękniéj, jeszcze weseléj,
Na złotych skrzypkach grają anieli.

— A gdzie się uczą przeróżnych pieśni?

— Tam gdzie się uczą ptaszkowie leśni
I nasi ludzie — w rumianéj zorzy,
We łzach radości, w miłości bożéj...

— Matulu moja, powiedzcie ino,
Widać tam naszę wioskę jedyną,
Naszę chałupę, bydło na smugu,
Siostrę w zagonie, ojca przy pługu?
Widać tam dziewczę co zbiera ziele,
I tego dziada co przy kościele
Siedzi i w górę wyciąga ręce,
Na małym wzgórku, przy bożéj męce?

— O! widać wszystko gdzie się kto ruszy,
Wiedzą tam dobrze o każdéj duszy;
Jeżeli ludzie w grzechy popadną,
To zaraz z żalu anioły bladną,

A ile razy dobrzy, cnotliwi,
To się i niebo całe ożywi.—

— Powiedzcież teraz, mateńko droga,
Co tam jest więcéj u Pana Boga?

— Potém widziałam strasznéj wielkości
Dwóch archaniołów stało w jasności,
Trzymając wielką księgę otwartą,
A Piotr apostoł kartę za kartą
Przewracał zwolna z smutkiem głębokim,
I patrzał na świat żałosnym wzrokiem.
Bo w owéj księdze wszystko tam stoi:
Co tylko człowiek na świecie zbroi,
I co się stało i co się stanie,
Jest o tém w niebie jasne pisanie;
Kiedy śmierć czeka nędznego blisko,
To zaraz anioł czyta nazwisko.—

— Słuchajcie ino, matulu droga,
Czyście widzieli i Stwórcę Boga?

— Nie, moje dziecko, przed Stwórcą świata,
Tyle aniołów na skrzydłach lata,
Że jest okryty jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką przed okiem;
Tylko z promieni co ztamtąd lecą
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie boże.—

— A jak daleko, matko, do nieba?
To pewnie z miesiąc iść tam potrzeba?

— Bogać tam miesiąc, o moje dziécię!
Iść tam potrzeba przez całe życie,
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,
Kochając ludzi jak braci własnych,
To w końcu dojdzie do niebios jasnych.
I Piotr mu święty, apostoł boży,
Złocistym kluczem niebo otworzy.

— Toście wy dużo matko widzieli,
I pewniebyście wrócić tam chcieli;

Więc jak pójdziecie, mateńko droga,
To i mnie z sobą weźcie do Boga.

— O! ty zostaniesz małe pachole,
Bo któżby gąski wypędzał w pole,
Ktoby po lesie zbierał jagody,
Graniastą krówkę pędził do wody?
Ktoby niósł ojcu w pole dwojaki,
Ktoby na ogień przynosił krzaki?
Tak moje dziecko, moje kochane,
Ty się zostaniesz, ja nie zostanę.

W podobny sposób poeta opowiada o czyśćcu i piekle.

Pokrewny treścią «Zachwyceniu» jest poemat *Błogosławiona*, pełen myśli wzniosłych w przecudnéj formie. Opiewa on wejście duszy wybranéj do nieba i promienne onéj widzenia. Tak np.

....Oparty o pszenny snopek
Spoczywa w niebie ubogi chłopek;
Żywił on biednych przez głodne lato,
Więc mu też Pan Bóg nagrodził za to.
Owa uboga wieśniacza świta
Teraz się świeci jak srebrem szyta;
Ona pszenica kłosista biała,
Jakoś dziwnego blasku dostała.

Przy nim pomarli synkowie mali
Trzymają w rączkach snopki konwalii,
I podawają wdzięcznie śmiejący
Swoje kwiateczki duszy idącéj.
.....
.....

Na wyrabianéj srebrzystéj tacy
Leży kłos złoty rolnika pracy;
Jak brylantowa gwiazda niebieska,
Nawróconego grzesznika łezka.—
Na boku puklerz jak miesiąc leży,
Który zasłaniał biednych pasterzy,
I dla miłości żywego Boga
Bronił samego wroga od wroga.
Daléj jak młyński kamień ze złota
Grosz, który dała biedna sierota;

A nad tém wszystkiém — i któż wypowie,
Co podnaszają dwaj aniołowie:
Jak oni święci stoją schyleni
Nad tą koroną z strasznych promieni,
Przenikających bardziéj niż słońce
Najdalsze świata bożego końce,
Tak że nie można patrzeć się blizko
Na to miłości bożéj ognisko,
A gdy się wpatrzysz, to ci się czerni
Korona boża z okrutnych cierni;
A nad nią wyżéj w powietrza fali,
Krzyż pański niosą przeczyści biali,
Krzyż, co ramiony ogarnia wieki,
Taki ogromny, a taki lekki,
Że i najmniejszę dziecko w pokorze
Na swoich barkach unieść go może.

Szczęśliwa dusza na krzyż wejrzała:
— A cóż ja Panie dla ciebie dała?..
A święty klucznik wskazał jéj zdala
Maleńkie serce jakby z korala;
A z tego serca szły trzy promienie:
Miłość dla ludzi, ciche cierpienie,
I ta, co ziemskie życie ozłaca,
Nieustająca, spokojna praca...

Ze Lenartowicz jest niepospolitym poetą nie tylko, pozostając na stanowisku pieśni sielskiéj, za dowód może posłużyć jego prześliczny *Wiersz do poezyi* [1]).

Kochanko ducha, dziewico słońca,
Z mieczem i w zbroi hartownéj!
Nikt się nie oprze, gdyś jest walczącą,
Nikt się nie oprze, dziewico słońca,
Twojéj piękności czarownéj!

Gdy miecz ukażesz, gdy hełm przywdziejesz,
Białoramienna dziewico!
Gdy na wiatr sztandar śnieżny rozwiejesz,
Zapał szalony w serca rozsiejesz,
Rycerze bronie podwycą.

1) Poezye T. Len. Warszawa, 1858. Cz. II. str. 3.

Uchwycą tarcze, miecze ostrzone
Wstrząsną w żylastych prawicach;
Z krzykiem rozpaczy rzucą się w stronę,
Gdzie im ukażesz grody zniszczone, —
Na który widok, zapłomienione
Piekło wystąpi na licach.

A gdy bohater padnie w obronie,
Ty znijdziesz w szacie anioła,
I wieniec chwały włożysz na skronie, —
Zwycięztwo będziesz śpiewać przy zgonie,
I śmierć mu przejdzie wesoła.

Ty zimne duchy ogniem zapalasz;
W wary przemieniasz chłód lodów;
Ty jedna cudem ludy obalasz,
Niezwyciężone tłumy ocalasz,
Poezyo, matko narodów!

Ty męczennikom, pod ręką kata
Rozpiętym w bolach śmiertelnych,
Stawiasz obrazy lepszego świata,
Gdzie myśl ostatnia z krzyża ulata
Do boskich krain weselnych!

Ty im, czarowna dziewico słońca,
Nim śmierci doświadczą chłodów,
Za życie męczarń, światłość bez końca
Ukażesz zdala w promieniach słońca
Poezyo! wiaro narodów!

Na czarodziejskie twoje skinienie
Stanie się niebo na ziemi,
Dzikiéj niezgody zgasną płomienie;
Na twéj czarownéj palmy skinienie
Ludzie się staną świętemi.

Na kogo twoje wejrzenie padnie,
Ten ziemi święci na wieki;
W imieniu twojém serca owładnie,
Ludziom ich przyszłe losy odgadnie,
A czas je spełni daleki.

Ty będziesz wiązać dłonie szermierzy
W czas ślubnych świata obchodów;

W ołtarzach stawisz duchy rycerzy.
Przez ciebie ludzkość w siebie uwierzy,
Poezyo! — prawdo narodów!

Najsłabszym z utworów Lenartowicza jest poemat «*Gladyatorowie*», którego osnowa wzięta ze starożytnego świata. Wszystko tu przemyka się przed nami w gorączkowych rzutach, dorywczych rysach i zawiłych ustępach. Całym swoim mrocznym układem i kształty mglistemi utwór ten staje w najzupełniejszéj sprzeczności z tym dawnym światem, którego bóg sztuki był zarazem i bogiem słońca.

Inne poezye są: *Polska ziemia w obrazach* — *Święta Zofija* — *Fragment o Apostołach*— *Branka*— *Bitwa Racławicka*, która jest ustępem z większego poematu treści historycznéj p. n. *Kościuszko*, wyśpiewanego na nutę ludową krakowiaka, lecz dotąd nie wydanego w całości. W ostatnich czasach twórczość jego przybrała inny charakter: porzucił sielankowe postacie ludowe, a bierze osobistości i wydarzenia dziejowe, albo też kreśli swe osobiste wrażenia. Prócz innych rozrzuconych po rozmaitych pismach utworów, w *Bibliotece Warszawskiéj* pomieścił ustępy z poematu «Niemcy i Chrobaty», wykończył wielki filozoficzno-społecznego charakteru utwór dramatyczny p. t. «Cielec Złoty», pracuje również nad przekładem «Boskiéj Komedyi». Oprócz wielu prac wydanych osobno, Poezye Lenartowicza wyszły w Warszawie r. 1858 i w Poznaniu r. 1863. Niektóre z nich zostały przełożone na język włoski i wydane p. t. *Poesie Polacche di Lenartowicz recate in versi italiani da Ettore Marcucci* (Florencya, 1871).

Do poetów z charakterem ludowym poniekąd zaliczyć można autorów *legend*, t. j. powieści poetycznych, których osnowa wzięta jest ze świata religijnego, przeważnie z podań miejscowych. (nie należą tu bowiem legendy oparte na Piśmie ś. albo na żywotach świętych). W tym rodzaju odznaczyli się *Franciszek Morawski*, *Adam Gorczyński*, *Lucyan Siemieński*, a szczególniéj *X. Ignacy Hołowiński*, arcybiskup mohilewski. O tym pisarzu mówić będziemy obszerniéj w innym dziale; tutaj wymieniamy go tylko jako autora *Legend*, pomiędzy któremi jest wiele nader udatnych i czysto ludowych, jak np. *Krówka Jaremy*, *Buława Madeja* i t. d. Podajemy tu pierwszą z nich dla wzoru.

Krówka Jaremy.

Wieczór się przybrał w szkarłatu rumieniec,
Kiedy szedł z targu Jarema młodzieniec;
A był wesoły, wzięła go swawola
Podpędzać krówkę wracającą z pola;
I tak się długo z biedną krówką bawił,
Zagnał do lasu i tam ją zostawił.
Nazajutrz rankiem powraca do miasta,
Widzi że płacze na drodze niewiasta;
Tknięty litością pyta o przyczynę.—
Ach, zwierz mi, rzekła, zjadł krówkę jedynę,
Gdy się zbłąkała w lesie nocną porą,
I mnie i dzieci żywiła pięcioro.
A teraz głodem biedna z dziećmi zginę.
— Jakiéjże maści była twoja krowa? —
— Z łysiną białą sama całkiem płowa. —
Poznał Jarema, że to on oddalił
Wczoraj na drodze napotkaną krowę:
Kamień zgryzoty na serce się zwalił,
Zamilkł westchnąwszy i opuścił wdowę.
Przeszedł czas długi, z czasem troska mija,
Bo nowa bieda dawniejszą zabija.

W cudnowskiéj puszczy zbłąkał się Jarema,
Szedł dniem, wieczorem, szedł i nocną dobą,
Nie spotkał człeka i gospody nie ma,
A las i niebo tylko ma przed sobą.
Czasami smutno drzewa zaszumiały,
Albo ptak nocny pojęczał przez chwilę,
Czasem się straszne pokusy ozwały,
Czasami było głucho jak w mogile.
Gdy tak strudzony szuka przytuliska,
Patrzy, aż zdala światło jakieś błyska;
Zbliżył się, widzi ludzi dzikiéj twarzy
Ponachylanych w około ogniska,
Na którém w kotle jedzenie się warzy,
A na ramionach strzelba im połyska.
Chociaż pomyślał, że zbójcy być mogą,
I w sercu uczuł trochę niepokoju,
Lecz się nie lęka ubogi rozboju,
Przeto zmęczony i głodem, i drogą,

Przystąpił do nich w pokornéj postawie,
Prosząc by nocleg mógł przepędzić z niemi:
Chętnie przyjęli, on usiadł na ziemi,
I zaproszony wziął udział w ich strawie,
A potém z trudu usnął na murawie.
Ale go nagle wrzawa ze snu budzi:
Widzi rozpierzchłą swą drużynę nocną,
A siebie w pośród obcych zbrojnych ludzi,
Którzy sznurami krępują go mocno.
Bo właśnie wtedy rząd uwiadomiony,
Gdzie była banda Pawluka wataźki,
Wyprawił poczet żołnierzy w te strony,
Ale umknęły te ostrożne ptaszki;
Tylko Jarema był przyprowadzony.
Choć rzecz wyjaśnia, ale nie przekona,
Bo podejrzenie potępia go z góry;
Bito, męczono, brano na tortury,
Jego niewinność uporem ochrzczona.
Tak mu upłynął rok cały w niewoli,
Wielkie ponosił nędze i katusze.
— Boże! mój Boże! — wołał w swéj niedoli,
Za cóż niewinnie biedny cierpieć muszę? —
Gdy tak w cierpieniach i skargach czas trawił,
Jakiś mu starzec we śnie się pojawił,
I łagodnemi tak przemówił słowy:
— Za co obwiniasz o niesłuszność nieba?
Czy zapomniałeś krówkę biednéj wdowy?
Wiedz, że łzy cudze krwią odkupić trzeba;
Bóg choć nie skory, lecz w sądzie surowy.
Jużeś dość cierpiał za krzywdę zdziałaną,
Wrócisz swobodny do dzieci i żony.—
Jakoż w tym czasie zbójców pochwytano,
A ich zeznaniem został uwolniony.

I my w nieszczęściach choć bez naszéj winy,
Nim się uskarżać na Boga poczniemy,
Przepatrzmy przeszłe żywota godziny,
A znajdziem pewno tam krówkę Jaremy.

Niektórzy z poetów nie ograniczyli się żywiołem ludowo-polskim, lecz poruszyli nadto słowiański. Szczególniéj odznaczyła się w tym względzie poezya czerwoneruska, która oparła się na żywiołach rodzinnych, na podstawie słowiańszczyzny,

pieśni gminnéj i historyi. Brodziński już tłómaczył ludowe pieśni czeskie i serbskie. Prozaiczny *Krystyn Lach Szyrma*, professor filozofii w uniwersytecie warszawskim, piérwszy na język polski wytłómaczył dumkę ukraińską i dał tém hasło do popularyzowania w literaturze pieśni ludu. Mogło to być natchnienie krzemienieckie, jak trafnie uważa Bartoszewicz, bo wydawane przy szkole Czackiego «Ćwiczenia naukowe» zajmowały się wiele słowiańszczyzną, wiały duchem rodzinnym. Zoryan Chodakowski rzucał pomysły, kniaź Certelew piérwszy zbierał pieśni ruskie i wydawał je drukiem. Goszczyński i Zaleski uderzeni temi cudami, zwracali baczną na pieśni uwagę. Jednakże dopiéro Galicya miała odznaczyć się w dziejach spółczesnéj cywilizacyi polskiéj miłością do pieśni ludu. *Haliczanin*, pismo zbiorowe, kierowane przez dwóch braci *Chłędowskich*, *Adama* i *Walentego*, nadzieje romantyzmu i poezyi polskiéj opierał na Słowiańszczyznie: ztąd poświęcał wiele kart literaturom pobratymczym, a pieśni serbskie i czeskie w tłómaczeniu stawały w nim obok poematów ze wspomnień kozackich. Z tłómaczy odznaczył się wtedy *Ludwik Nabielak*, który piérwszy wykładał ziomkom rapsody «Rękopismu Królodworskiego», tłómacząc je wierszem białym, choć niezbyt w nim było do twarzy starosłowiańskim zabytkom.

Ludwik Nabielak, spółczesny pisarz polski, urodził się w Rzeszowskiém w Galicyi r. 1805. Po ukończeniu w r. 1825 uniwersytetu lwowskiego, zajmował się filologiją słowiańską i ogłosił drukiem: «Rozprawę o języku halicko-ruskim» tłómaczoną z ruskiego, i zamieszczoną w czasopiśmie zakładu Ossolińskich; przekład wierszem białym «Królodworskiego Rękopisu» z czeskiego, «Pieśni o wyprawie Igora na Połowców» i niektórych poematów Wuka Karadzicza. W r. 1830 pracował przy redakcyi *Dziennika Powszechnego* w Warszawie; następnie osiadł we Francyi. Od czasu opuszczenia kraju wydał przekład niektórych poezyj Mickiewicza na język niemiecki (Stuttgard, 1834) i po polsku «Konfederacya Barska» (Paryż, 1835). Prócz innych prac swych drukowanych w Bibliotece Ossolińskich, zamieścił tam ciekawe rozprawy «O poetach polskich w XVII wieku» i «Życiorys Branickiego».

Gdy pod wpływem dwóch braci *Duninów Borkowskich*, *Józefa* i *Aleksandra* (Leszka), jeszcze potężniéj rozniecilo się życie umysłowe w Galicyi, a zaczęły się zjawiać zbiory pieśni

ludowych, tak czysto polskich jak ruskich (Wacława z Oleska, Żegoty Pauli, Józefa Łozińskiego), odtąd wszyscy początkujący poeci w Galicyi biorą się do tłómaczeń pieśni ludów słowiańskich, a noworoczniki i pisma zbiorowe, jak *Ziewonija* Bielowskiego, *Słowianin* Jaszowskiego, *Haliczanka*, *Dniestrzanka* i t. d. pełne są prób tego rodzaju. Dążność ta stworzyła tak zwaną *szkołę czerwonoruską*, przedmiotem zaś i podstawą jéj uniesień była historya i słowiańszczyzna. Chodziło tu głównie o stworzenie poematu historycznego, epopei. Z tego samego poczucia poszło późniéj zamiłowanie przez poetów téj szkoły badań historycznych, które oderwało ich od poezyi i literaturę naszę pozbawiło najwonniejszych i najśliczniejszych kwiatów natchnienia. Na czele tego ruchu stoją dwaj znakomici poeci August Bielowski i Lucyan Siemieński.

August Bielowski urodził się w Krechowcu na Pokuciu r. 1806. Piérwsze nauki pobierał w Stanisławowie, następne w Buczaczu i Lwowie. W ostatniém mieście zamieszkał stale i należał do grona tych literatów, którzy po długiém uśpieniu rozbudzili życie umysłowe w Galicyi. Bielowski był pomiędzy nimi jednym z najpracowitszych, bo nie tylko zbogacał literaturę polską przyswajaniem pięknych słowiańskich poezyj, ale i pracami historycznemi. Życie Bielowskiego można podzielić na dwie epoki: w piérwszéj był poetą, opierając swe płody poetyczne na badaniach naukowych. Zaczął swój zawód autorski od tłómaczenia pieśni serbskich, które wraz ze swojemi oryginalnemi ogłaszał w *Haliczaninie* (r. 1830). W utworze swoim *Klecha na gruzach świątyni dawnéj* tak odmalował własne powołanie i stanowisko duchowe:

«Świątynio! u twoich progów
Zatarte wznawiając ślady
Gdzie były dziadów mych dziady,
Składam hołd winny, i wzywam mych bogów!
Głos mój na gruzie wieków powleczonych pleśnią
Rozbudza późnym echom nieznajome echa...»

«Bielowski (słowa Wojcickiego) chciał być poetą przeszłości, na tych *olbrzymich*, jak sam wyraża, *szczętach* dumać i śpiewać: lecz zrozumiał zarazem, iż aby wziąć poświęcenie na piewcę przeszłości, trzeba ją zbadać, zrozumieć i poznać. Pracował więc nad odczytaniem dawnych historycznych pomników, kronik, dziejów, badał je krytycznie, poznawał ducha i charakter przeszłości. Posłużyła mu do tego dzielnie znajomość

wszystkich dyalektów różnych pokoleń słowiańskich, głęboka znajomość pieśni ludu, zwyczajów i języka. Owocem jego badań historycznych były rozprawy wyjaśniające dzieję pierwotne Polski, a badania poetycznego ducha przeszłości — śliczny przekład starożytnego poematu: *Wyprawa Igora na Połowców* [1]). Jeżeli piérwszemi próbami zwrócił uwagę znawców na

1) Poemat ruski «*Słowo o półku Igora*» opiewa wojnę kniazia na Nowogrodzie siewierskim Igora Światosławowicza przeciw Połowcom r. 1185. Wiszniewski liczy poemat ten na pół do ruskiéj, na pół do polskiéj literatury z powodu, że pieśń jest ułożona w narzeczu polsko-ruskiém w ciągu wieku XII—XIII, kiedy wpływ polski na Ruś kijowską coraz mocniéj działał. W saméj rzeczy krytycy rossyjscy, dostrzegając w pieśni wiele połonizmów, sądzili z początku, że to jest utwór z późniejszych czasów jakiego spolszczonego Rusina. Tymczasem w saméj pieśni są ślady, że spółczesna prawie opisywanym wypadkom. Poemat, podług Bielowskiego był napisany mową wiązaną, rytmem właściwym wiekowi, podobnie jak pieśni Rękopismu Królodworskiego, z któremi tak pod względem ducha, jako też i języka wiele ma wspólnego, na co po szczególnie zwrócił uwagę L. Siemieński w tłómaczeniu zabytku czeskiego. Podział na pieśni i wiersze, dla dogodności czytających, przez wydawców dopiero był zrobiony. Pisał go wieszcz genijalny; nie ma też w pieśni ani śladu klassycyzmu, ani żadnego naśladowania greckich lub łacińskich poetów, o których autor pewno nigdy nie słyszał. Jak w pieśniach ludu, tak i w téj pieśni spotykamy poezyę rodzimą, czystą jak samorodne drzewa i kwiaty. Żyją jeszcze w pamięci poety starożytne bogi słowiańskie: ztąd domysł trafny, że to jest dzieło świeckiego człowieka, gdyż duchowny nie opiewałby wyobrażeń pogańskiéj religii i obyczajów. Bojan, inny wieszcz, do którego poeta się odzywa, jest wnukiem Welesa, boga pasterstwa; wiatry są wnukami Stryboga; Wszesław wyprzedza w biegu Chorsa, boga prędkości; Diw (duch nieszczęścia) nawiedza ziemię albo jęczy na wierzchołku drzewa. Ruś jest krainą Dadźboga, a nad nią białym łabędziem unosi się dziewica złéj doli. Chrześcijanina po tém jedynie znać, że wspomniał Bogarodzicę Pirogoszczę, groby książąt w cerkwi św. Zofii w Kijowie, dzwony i jutrznię u św. Zofii w Połocku. Zresztą wieszcz poganinem jest mową i uczuciami. Maciejowski rzuca domysł, że niewiadomy wyprawy Igora śpiewak pozbierał w jedno dawne o wojnach z poganami nucone narodowe pieśni, domięszał do nich wspomnienia ludu o ulubionych mu starożytnych piewcach (z których jednego tu wspomina Bojana) i zanucił rapsodyczną pieśń, dziwną mięszaninę wzniosłych myśli i płaskich konceptów, dzikich i łagodnych uczuć, w starodawnym i nowszym oddanych języku, stosownie do tego jak się mu coś dawnego lub świeższego nawinęło.

W całéj pieśni widzi się lud wojenny, rolniczy i myśliwski, lud zamożny w złoto i srebro, spokrewniony z naturą, pełen serca i miłości ojczyzny. Ciągłych bojów pasmo stanowi wyłączny charakter pieśni; słychać w niéj raz w raz chrzęst zbroi rycerskiéj; w najdrobniejszych nawet ustępach koloryt ten zachowany. Wieszcz wyjął pieśń swoję z serca ludu prostego, ale wielce poetycznego. U niego nawet sama natura ma życie: drzewa albowiem kołyszą się myślą Bojana, trawy więdną od żalu, drzewa schylają głowę od smutku, Igor rozmawia z rzeką Dońcem, a żona jego Jarosławna, po stracie męża z wieży Putywla tak płacze zaraniem:

siebie; to przekładem Igora obudził podziw. Znać tu rękę mistrza, który wielki skarbiec starego języka ma na zawołaniu, a ten sam język pokrywa cudnym blaskiem poemat cały.

«O wietrze! wietrze! czemu silném wianiem
Chanowi w pomoc idą skrzydła twoje?... i t. d.—

w czém Maciejowski upatruje formułę zaklinania wiatru obyczajem skandynawskich niewiast.

«Co do języka téj pieśni (mówi Bielowski), jest on odmienny nieco od tego, jaki w zabytkach piśmiennych rusko-słowiańskich z X, XI i XIII wieku, a mianowicie w traktatach książąt Olega i Igora z cesarzami greckimi, w *Prawdzie* Ruskiéj, w traktacie Mścisława księcia Smoleńskiego, wreszcie w kronikach owego wieku, napotykamy. Okoliczność ta zwróciła w samymże początku uwagę badaczów starożytności słowiańskich. Uczony Szlecer wahał się długo uznać autentyczność téj pieśni: uznał ją nareszcie i dziś o tém nikt nie wątpi. Główna przyczyna różnicy języka téj pieśni z innemi zabytkami z tamtych czasów jest w samymże przedmiocie: nie mamy żadnych zabytków poetyckich z owych czasów, z któremibyśmy pieśń tę porównać mogli. Śpiewak ludu, a takimi byli podówczas wszyscy śpiewacy, złączony ściśle ze wszystkiém cokolwiek składało jego narodowość, z wyobrażeniami i przesądami ludu, jak w malowidłach i twierdzeniach swoich różnił się od chrześcijańskiego prawodawcy i klasztornego mnicha, tak też i pod względem języka, obszerniejsze miał pole wyjawić nieznane zwroty, a razem jędrność i dosadność jego w całéj świetności. Pieśń o wyprawie Igora, w ostatnich latach XII wieku napisana, jest prawie całkiem pogańska, jakkolwiek Ruś za Włodzimierza Wielkiego ochrzczona, blizko od półtrzecia wieku zostawała już w chrześcijaństwie. Przydać należy i to, że Ruś ówczesna, składająca się po większéj części z różnych słowiańskich ludów, musiała mieć już podówczas w języku swoim rozmaite narzecza. Dla tego to różni tłómacze posądzają twórcę téj pieśni o spolszczanie wielu wyrazów, a Jakób Pożarski, tłómacz jéj na język rossyjski, trafnie uważa, że klucza do zrozumienia języka téj pieśni szukać potrzeba w dawnéj Polsce, w narzeczu ludu około Kijowa, w którém-to miejscu, według wszelkiego podobieństwa, pieśń ta tworzona była».

Historya odkrycia tego poematu była następująca. W Moskwie, w starym rękopiśmie pergaminowym w r. 1795, odszukał go przypadkiem hr. Musin-Puszkin i wydał po raz piérwszy w r. 1800, wraz z przekładem rossyjskim. Oryginał zaginął w r. 1812 w czasie pożaru Moskwy, i odtąd go wszyscy znamy jedynie z drugiéj ręki. Wydań i przekładów zaczęło się zaraz pokazywać mnóstwo; wielu też uczonych objaśniało tekst oryginału. Dzisiaj «Słowo o pułku Igora» znajduje się nawet w języku francuzkim i niemieckim. U nas piérwszy Cypryan Godebski dał poznać ten poemat starosłowiański w początkach naszego stulecia, ale nie udało mu się zwrócić na Słowo to żadnéj uwagi, ile że nie był czas po temu. Godebski przekładu swego dokonał z przekładu francuzkiego, nareszcie pobłądził w tém, że poemat wziął za utwor samego Musina-Puszkina. Później Rakowiecki w «Prawdzie Ruskiéj» i Linde w historyi literatury rossyjskiéj Grecza, dali poemat poznać w wyjątkach. Następnie August Bielowski przełożył go prześlicznym wierszem i wydał we Lwowie w r. 1833. Nakoniec *Adam Stanisław Krasiński*, biskup wileński, dokonał wybornego przekładu p. t. «Wyprawa Igora na Połowców» (Petersburg, 1856).

Bielowski w końcu przedmowy swojéj do tłómaczenia tak mówi: «Przejęty pięknościami téj pieśni, starałem się przełożyć ją na język ojczysty w przekonaniu, iż myśl śpiewaka naszéj ziemi wynurzona przed sześciuset laty, w dzisiejszéj naszéj mowie tęgość i dosadność znajdzie, nie troszcząc się o to, czyli użyta przezemnie śmiałość zwrotów i przenośni urojonym prawidłom smaku odpowie.

Bartoszewicz zestawiając Bielowskiego z Siemieńskim, mówi: «Bielowski prześlicznie z ruskiego wytłómaczył «Wyprawę Igora na Połowców», Siemieński «Rękopism Królodworski». Obadwaj obdarzeni wysokim duchem poetyckim, odgadli łatwo tajemnicę jak tłómaczyć te arcy-dawne pieśni ludu. Język dzisiejszy, wyrobiony i salonowy, nie zdał się do tego, bo zbyt daleko odszedł od prostoty; więc pożyczyli tłómacze wyrażeń z języka staropolskiego i szukali ich u plemion pobratymczych, brali żywcem nie tylko pojedyńcze wyrazy, ale zwroty całe czeskie i ruskie: ztąd ślicznie powiedziano o nich, że obmyli język polski w żywém rodzimém źródle słowiańszczyzny».

Przytaczamy tu kilka celniejszych ustępów. Śpiewak rozpoczyna wspomnieniem Bojana.

Bracia! nie pięknież piać staremi słowy
Trudne o półku Igora powieści?
A więc pocznijmy pieśń, wedle osnowy
Zdarzeń, nie zmyśleń, bojańskiemi tony.
Bo wieszczy Bojan, jeśli k'czyjéj cześci
Pieśń tworzył, myślą uganiał przez bory,
Wilk ziemią, w wiatrach orzeł chyżopióry;
Jeśli bój wspomniał, w lot dziesięć sokołów
Puszczał na stado łabędzi — a wtedy
Poczesną pieśnią piérwszy zabrzmiał połów. [1])
Lecz nie sokołów na stado łabędzie
Bojan, o bracia! wypuszczał ku walce,
Jeno na struny kładł swe wieszcze palce,
A sławą książąt żywo brzmiały struny.

— — —

Takie to niegdy ścierały się mocy!
Lecz takiéj wojny nie słyszano jeszcze:

1) Miało być zwyczajem dawnych rycerzy puszczać sokołów na ptaki, a czyj sokół piérwszą pochwycił zdobycz, ten piérwszą pieśń rozpoczynał.

Od rannych świtów do nocy, od nocy
Do świtu, gęste strzał się leją deszcze;
Słychać grzmot szabel, śród trzasku oszczepów,
W dalekiéj ziemi połowieckich stepów.
A czarny obszar końskiemi kopyty
Zorany, kośćmi zasiany, krwią zmyty,
Wydał dla Rusi plon bujny — *niedolę!*
Co za szum rano? co za dźwięk przez pole?
Igor zawraca pułki, żal go bodzie
Za tobą miły bracie Wsewołodzie!
I dzień i drugi trwa pobój zajadły,
W trzecim sztandary wojsk Igora padły.
Tu się brat z bratem nad bystrą Kajałą
Żegna, krwawego wina im nie stało!
Skończyło ucztę chrobre ruskie plemię:
Poczciwszy wroga, padło na swą ziemię!..
Żałosna trawa ziemią liść rozściela,
I drzewo tęskno przekłania konary,
Bo wstały czasy, nie czasy wesela:
Pustynia całe zaległa obszary!
W dziedzinie wnuków Dadźboga nieznana,
Wzeszła dziewica na ziemię Trojana,
Niedola, w skrzydła plasnęła łabędzie,
A po kraj morza i u Donu rzeki
Ze snu mordercze zbudziły się wieki...
Ustał bój z wrogiem, a brat bratu w zrzędzie
Rzekł: i to moje i to moje będzie.
I wszczęto wielką waśń dla rzeczy małéj,
Swoi na swoich nieszczęście kowały;
A tu poganin otwartemi drogi
Szedł w ruską ziemię siać mord i pożogi.
Rój ptaków sokół popędził na morze,
Lecz pułku twego nie wskrzesi Igorze!
A ruskie żony płaczą: «W myśli tłumie
Ani was zmyślić, ani zdumać w dumie,
Ani żywemi oglądać oczyma,
Niéma was, męże! srebra, złota niéma!»

Żal Jarosławny, żony Igora.

Głos Jarosławny słychać (rankiem w maju
Kukułka takiém kukaniem się żali):
«Polecę (mówi) kukułką k'Dunaju,

Bobrowy rękaw umoczę w Kajali,
Otrę krew księciu i rany niedawne
Na skrzepłém ciele».

Słychać Jarosławnę —
Z wieżyc Putywla tak płacze zaraniem:
«O wietrze! wietrze! czemu silném wianiem
Chanowi w pomoc idą skrzydła twoje?
Czém miotasz strzały na lube mi woje?
Małoż ci jeszcze po gór bujać szczycie
I chwiać korable po morza błękicie?
Czemuż wesele rozwiałeś mi dawne?»

Z wieżyc Putywla słychać Jarosławnę:
«O Dnieprze, sławą ciekący po ziemi!
Skały'ś Połowców przedarł prądy twemi;
Tyś Światosława korablów gromadę
Niósł na *Kobiaka*, wróć mi mego *ładę* [1])
Niech łza ku morzu nie płynie ustawna».

Z Putywla wieżyc płacze Jarosławna:
«O słońce trzykroć promienne i ciepłe!
Ożywiasz żywe, budzisz twory skrzepłe:
Za cóż z twych szlaków po podniebnym sklepie
Na lube woje ciskasz żar nieczuły?
Łuki w bezwodnym spaczyły im stepie
Żary, tęsknota zadławiła tuły!» [2])

W następnym (1834) roku ogłosił Bielowski w *Ziewonii* przekłady pieśni ludu ruskiego w Galicyi, tak wierne i przypadające do pierwowzorów, że zdają się być jakby przez Rusina po polsku wyśpiewane. «Do jego czasów mówi Wójcicki, przekłady pieśni z fałszywego stanowiska, bo główną myśl pstrzono dodatkami swojemi i podobne dziwolągi za wierny przekład pieśni ludu podawano. Inaczéj pojął Bielowski stanowisko poety, który chce i umie być wiernym tłómaczem pieśni ludu. Zrozumiał on, że nie dosyć myśl główną schwytać, ale potrzeba zrozumieć ducha pieśni i język jak najwięcéj zbliżyć do języka pieśni. — Znając gruntownie pieśni ludu, zrozumiał, jak wielkiemu rozerwaniu, przerobieniu w ustach nie zawsze wier-

1) *Lado*, słowiańskie bóstwo miłości, harmonii i porządku, wspominane dotychczas w pieśniach ludu. Jarosławna nazywa tém mianem męża, co oznacza razem ładnego i miłego.

2) *Tuły*, sajdaki na strzały.

nych uległy. Stare pieśni obszerniejsze treści historycznéj często lud śpiewa teraz w kilku fragmentach oddzielnych; tożsamość ich (raczéj łączność) Bielowski poznał, złączył rozerwane cząstki w jednę całość, dopełnił co brakło bez zepsucia treści. Posłuchajmy takiego przekładu p. n. *Pobojowisko.*

Żniwo było: przez zagony
Bujnie się pokładły plony;
Weszło słońce, w rannéj rosie,
Trup przy trupie, stos przy stosie,
Morze pereł i korali
Blaskiem sieje, krwią się pali.

A u nocnéj stojąc czaty,
Kozak śpiące strzeże braty,
Z czoła zimne strząsa rosy
I z suchemi gada wrzosy.
Na stos drzewa się użalił:
«Czemuś stosie się nie palił?
Czy cię w szarv świt z mozołem
Podpalałem?» —

— «Nie płonąłem,
Bom okipiał krwią junacką,
Wpół lechicką, wpół kozacką:
Tutaj wróg się sparł zajadło,
Trzysta strzał zatrutych padło,
Trzy strumienie krwi pociekło,
Trzysta dusz się z ciał wywlekło;
Ale dotrwał huf niezlękły,
I Tatarów chmury pękły».

Pod borami świeci łuno,
Z boru tłumnie wojska suną,
Rosną wrzawy, wstają kurze,
W prawo, w lewo, sznur po sznurze
Płonie w słońcu: to kozaki
W cztéry się rozbiegli szlaki,
W trzy hussarze i pancerni,
Środkiem ćma tatarskiéj czerni.
Skrzypią łyka i powrozy,
A za nimi ciągną wozy,
Wiozą połów znamienity,
Plon wydarty, łup odbity.

Otoczony raźném kołem,
Z smagłém licem, z jasném czołem,
Przebąkując ku czeredzie,
Przodem syn kozacki jedzie;
Na nim zbroja krwią spluskana,
Pod nim dzielny rumak Chana:
Buńczuk, szabla, łuk, kindżały,
I zatrute w tule strzały,
Toć przypadły dział zdobyczy.
Zaporoskiéj wodzu Siczy!
Do twarzy ci strój hetmański.
A tatarski rumak chański
Rży i pląsa jak pod Chanem:
Dzielnieś skończył z jego panem,
Boś go w polu miał otwartém;
Ledwo zwarł się — alić z czartem
Łeb o ziemię zaparł łysy,
Czarną duszę wzięły bisy...

I gwar żywszy się rozczyna,
Wesół hetman, brzmi drużyna,
Wrzask przyległe bory zgłusza,
Za drużyną Tatar rusza.

* * *

Tam kukułka w boru kuka,
Płacze matka, syna szuka,
Łamie ręce, spiekłe wargi
Wiatrom rzewne zdają skargi,
Chodzi z sercem krwią zabiegłém
Od poległych ku poległym:
Niwa wielka, trup nierzadko!..
Aleć trudno poznać, matko!
Swego syna, bo nieczuli
Goście młodą twarz popsuli,
Ze łba oczy mu wydarli,
Czoło zgryźli, mózg wyżarli.

Po nad skałą, tam u góry,
Krzywodzioby, czarnopióry
Kruk, wydarty braci kruczéj
Kęs mięsiwa w szponach włóczy,
Smaczno strawę żre godową,
Słyszy żale, kiwa głową.

«Stara matko! wróć do chaty,
Weź garść piasku, między kwiaty
Zasiéj piaskiem grzędę czystą,
Skrapiaj co dzień łzą rzęsistą,
Jeślić zejdzie, z miękkiéj skiby
Przyjdzie syn twój bez ochyby».

Jak w tym mocnym, wyrazistym zarysie pobojowiska językiem męzkim, jędrnym, nagromadził tyle świeżych obrazów nacechowanych duchem właściwym pieśniom ludu, tak umie ten sam język i do miłosnych piosnek gminu naginać. Oto jest jedna — najwierniejsze tłómaczenie dumki śpiewanéj w Rusi galicyjskiéj:

Już noc późna, mgły się wleką,
Stańmy koniu! dom daleko,
Pod kaliną spocznij chwilę,
A ja usnę na mogile.

Wyszła młoda tam Kalina,
Kalinową gałąź zgina
Uderzyła go po twarzy,
Bo już we wsi są Tatarzy.

«Wstań Kozacze! wstań mój drogi!
Oto z wojny ciągną wrogi:
Wezmąć konia, wezmą zbroję,
I twą cześć i życie twoje».—

«Niechby przyszli, niechby brali,
Lżejsza ginąć mi od stali,
Ale budzić się boleśnie.,
Bom cię luba ściskał we śnie».

Jako wzór poezyj oryginalnych Bielowskiego, przytaczamy tu prześliczny *Wstęp do dumek.*

Wstańcie odgłosy z rodzinnéj ziemi,
Otrząście grubą pleśń!
Czy pod mogiły śpicie dawnemi,
Czy błoń i wiejska cisza was niemi,
Czy w cieniach chowa
Gaj i dąbrowa;
W jednę się wiążcie pieśń!

Wstają: tu wrotka wiekiem skażona,
Owdzie zmącona wieść;
Jak zdrój z czystego wytrysła łona,
Poiła wdziękiem długie plemiona;
Cicha i miła
Do cnót budziła,
Wpajała ojców cześć.

Tam tęskne córy z mokrą powieką,
W piersi znamiona burz;

Owioń ich myśli błogo i lekko,
Szanuj ten smutek i łzy, co cieką
Cichym i czystym
Żalom ojczystym
Ojczystą nutą wtórz.

Oto skrzydlaty rój przez zagony
Długi zaściela kir;
Szumią i gwarzą kawki i wrony:
To naszém ciałem tłum wypasiony
W radośnym chórze
Zwiastuje burze
I nowy wietrzy żyr.

Tam ruch i wrzawa kona w uboczy,
Ściany pokrywa mech:
Ciężko i dziko czas się tam toczy,
Wieczystym mrokiem przygasły oczy,
W łonie znędznioném
Przewlokłym skonem
Leniwy ślęczy dech.

Już, już znękany żywot rozplotę
Wieczny powitam dzień:
Pieśni! zaludniaj więźnia samotę,
Roztaczaj przed nim skrzydła swe złote;
Niech w barwach tęczy
Świat mu się wdzięczy,
Nim wiecznie wzleci zeń.

Tak gdy w dziedziny zawitał nasze
Stary Jagiełłów krzew,
Medyckich [1]) gajów swobodne ptasze
Szle powitanie w gościa poddasze,
I w noc samotną
Piersią szczebiotną
Znany mu nuci śpiew.

Wiekiem stępione budzą się zmysły,
W dźwiękach utonął słuch;
Kwietny smug Niemna i wzgórza Wisły
Z wdziękiem Jadwigi w duszy zabłysły;

1) Śmierć Władysława Jagiełły spowodowana była słuchaniem słowika w noc późną we wsi Medyce, niedaleko Przemyśla, jak świadczy Długosz.

Na łono spływa
Głowa sędziwa,
W niebo uleciał duch.

Wstańcie odgłosy z rodzinnéj ziemi,
Otrząście grubą pleśń!
Czy pod mogiły śpicie dawnemi,
Czy błoń i wiejska cisza was niemi,
Czy w cieniach chowa
Gaj i dąbrowa;
W jednę się wiążcie pieśń!

Od twórczego przekładu «Słowa o pułku Igora» oraz dum ruskich, krok już był tylko do pomysłu o dumie historycznéj polskiéj, ale już nie śladem Niemcewicza, który tylko rymował historyę, wykręcał dowolnie zdarzenia i charakterystykę osób. Wyśpiewał tedy Bielowski *«Pieśń o Henryku Pobożnym»*, który przeciw Tatarom zginął pod Lignicą. Poeta wziął proste zdarzenie z kroniki, ale ułożył je w rapsod arcy-stary duchem i treścią. Jest to niby zabytek dumy staropolskiéj, jak «Słowo o pułku Igora» jest zabytkiem ruskim, a pieśni królodworskie czeskim. Mistrzowstwo to najwyższe umieć tak przejąć się duchem pieśni rodzinnéj. Sam Siemieński pisze o «Henryku Pobożnym», że jest to najcudniejszy utwór tego rodzaju i że Bielowski jednym krokiem rzucił tu daleko po za sobą tych wszystkich, co na téj drodze razem gonili. «Pieśń ta jest osobliwszém zjawiskiem w literaturze naszéj przez swój tok, ducha, język i ten powiew właściwego wieku, iż zdaje się, że ją wyśpiewał pieśniarz patrzący na zdarzenie samo». Z jakiego stanowiska sam poeta zapatrywał się na swój przedmiot, własne jego słowa okażą:

«W dziejach każdego narodu znajdują się miejsca, które mimo to, że niepospolitością swoją podnoszą wartość tego wielkiego dramatu, jaki się na widowni świata odgrywa, mają jeszcze tę osobliwość, iż w pewnych punktach ujęte, zaokrąglają się w dziwnie piękną, a niekiedy wszelkie wyobrażenie przechodzącą całość. Zdaje się, że Opatrzność chciała w nich wdzięki owéj wielkiéj osnowy dziejów ludzkich, dla słabéj źrenicy człowieka, jak światy w kroplach wody powtórzyć. Czytelnik nadszedłszy takowe miejsca, nie postrzega się, że mu stronnice nagle z przed oka ulatują, natężona uwaga nuży pierś ustawném tchu przytłumieniem i nie spocznie, aż zawadzi o

kres, którym jakby trącona, zapada w pewien rodzaj otrętwienia i nieczynności, pokąd dźwięki w zapełnionéj piersi nie przebrzmią. Niejeden może dziwił się nieraz takiéj umysłu bezwładności, któréj przyczyn nie zawsze pojmował. Ustępy takowe, bądź w dziejach pisanych, bądź w żyjącéj przyrodzie upatrywać, a ku powszechnemu wzniesieniu i nauce wystawiać, jest powołaniem tych, których ludzie, dla rzadkich wyszczególnień, niekiedy twórcami i jakby tworzycielami nazywają, a których całą zasługą jest to, że rozlane w przyrodzie dźwięki od młodu z takiém zamiłowaniem podsłuchiwali, iż mimo gwar i troski codziennego życia, nie tylko je łatwiéj dosłyszeć i pojąć dokładniéj, ale i w téj saméj lub podobnéj treści, z mniejszą lub większą zręcznością powtórzyć umieją. Do takowych ustępów należy w dziejach Polski poświęcenie się Henryka Piasta, które stanowi przedmiot téj pieśni. Czytając je w dawnych kronikach, zdawało mi się że ludzie, którzy je spisywali, bezpośrednio głos Boga słyszeli, a z ich słów i z wyrazu całych ówczesnych pokoleń, przebija w wysokim stopniu natchnienie. Wyjąłem je z tych kronik, zachowując całkowicie ich treść i układ, stosownie do słów dawnego, a tym wypadkom niemal spółczesnego piewcy; w opowiadaniu naśladowałem szanowną ich prostotę, zatrzymując tu i owdzie ich wyrażenia».

Na tłómaczeniu mistrzowskiém Schillera (Lwów, 1841) i *Fausta* Goethego (w wyjątkach ogłaszanych po czasopismach) kończy się zawód poetycki Bielowskiego. Opuścił go poświęciwszy się wyłącznie badaniom historycznym, do których mu posada kustosza biblioteki zakładu Ossolińskich we Lwowie wielce dopomagała. Obecnie jest członkiem Akademii Umiejętności w Krakowie. — O pracach tego znakomitego męża na polu dziejopisarstwa mówić będziemy gdzieindziéj.

Poezye Augustyna Bielowskiego wyszły w *Skarbczyku Poezyi polskiéj*, wydawanym przez Wolffa w Petersburgu r. 1855.

Lucyan Siemieński urodził się r. 1809 w Kamiennéj Górze w Galicyi, dokąd zbiegiem wojennych wydarzeń i dziad jego generał, i ojciec chorąży (Antoni) schronili się po wojnach Kościuszkowskich. Z namowy Niemcewicza przeznaczał go ojciec do stanu wojskowego, ale że był słabego zdrowia, zaniechano tego zamiaru i oddano do szkół w Lublinie. Po ukończeniu gimnazyum w r. 1828, wezwany przez wuja swego, generała

wojsk rossyjskich Dłuskiego, wyjechał do Odessy, gdzie uczęszczał na wyższe kursa w liceum Richelieu'go, poświęcając się przytém nauce języków wschodnich. Rok 1830 przerwał te studya. Przyjąwszy udział w wypadkach ówczesnych, dostał się do niewoli, a wypuszczony z niéj w skutek usilnych starań i przesiedziawszy rok więzienia w Galicyi, zaczął we Lwowie pracować w redakcyach rozmaitych gazet, wkrótce atoli, z rozkazu rządu, zmuszony był wyjechać za granicę. Udał się do Francyi i w Strassburgu uczęszczał na uniwersytet, gdzie słuchał historyi i literatury pod professorami Cuvierem (bratem sławnego naturalisty) i Bergmanem, z którymi przyjazne zawiązał stosunki; tam także zbliżył się z Mickiewiczem. Następnie przez trzy lata (1843—1846) bawił w Poznańskiém, najczęściéj w Miłosławiu pod Poznaniem u przyjaciela swojego hr. Seweryna Mielżyńskiego, gdzie w przeciągu 4 tygodni napisał «Wieczory pod lipą». Z Poznańskiego odwiedzał często Berlin. W r. 1846 wyjechał do Brukselli, gdzie przebywał dwa lata, a po ogłoszeniu ogólnéj amnestyi wrócił do kraju i zamieszkał w Krakowie. Tutaj oddał się zupełnie pracy umysłowéj i założył pismo polityczne *Czas*, którego część literacką i krytyczną pod swoim wyłącznie miał kierunkiem. Senat uniwersytetu jagiellońskiego ofiarował mu katedrę literatury polskiéj; lecz po pół roku wykładu, z rozkazu rządowego, zmuszony był Siemieński opuścić to stanowisko. Obecnie jest członkiem Akademii Umiejętności w Krakowie, pracując nieustannie w najrozmaitszych kierunkach.

Jest to jeden z obecnie żyjących najpłodniejszych pisarzy polskich: nie ma żadnéj prawie gałęzi literatury, któréjby on nie uprawiał. Jako zbieracz pieśni gminnych, podań i legend, jako poeta, tłómacz, powieściopisarz, krytyk, publicysta, dydaktyk i t. d., położył znakomite zasługi na polu piśmiennictwa polskiego. Ma on zdolności tak wielkie, iż mógłby w każdym niemal dziale literatury osięgnąć najwyższe stanowisko, gdyby nie rozrywał swych zajęć jednocześnie na rozmaite przedmioty i nie wdawał się w drobiazgi, w rzeczy pobieżne, chwytane z dnia na dzień, bez większego znaczenia w dziejach literatury. Przytém (jak słusznie uważa Bartoszewicz) «Siemieński dobrowolnie zstąpił z wysokości, na któréj stał kiedyś w obec narodu. Zbyt wiele ma dzisiaj poszanowania do tego, co się nazywa stanowiskiem na świecie, i ztąd to nawet sąd jego literacki zawsze jest stronniejszy względem ludzi z historycznem nazwiskiem: wiele tu zmiany od dawniejszych wyobrażeń».

Jako poeta, już w początkach autorskiego zawodu swojego (1836) zdobył Siemieński niezmierną sławę znakomitym przekładem «Królodworskiego Rękopismu» (Kraków, 1836; Praga, 1852) *). O zaletach tego przekładu wspominaliśmy, mówiąc o «Wyprawie Igora na Połowców». Wszelkie pochwały zastąpi przytoczenie kilku wyjątków.

Zabój — Sławoj — Ludjek.

Z Czarnego lasu wygląda skała:
Zabój na skały wystąpił czoło,
Po wszech krainach pojrzał w około:
Cała kraina smutkiem powiała:
I on gołębim zawodzi płaczem.
Siedzi tak długo, w długiéj tęsknicy,
Aż się jak jeleń schwyci na nogi,
Na dół, przez bory, przez puste drogi,
Pędzi po mężach: był u każdego,
Z włości do włości w całéj ziemicy;
Każdemu w ucho rzekł coś skrytego,
Bogom się skłonił,
Daléj pogonił.
I minął dzień,
Minął wtóry dzień,
Gdy w trzecim księżyc spędził nocny cień,

*) Rękopism ten znaleziony został przez bibliotekarza Narodowego Czeskiego Muzeum Wacława Hankę r. 1817 w mieście Królowym-Dworze, od czego i przybrał nazwę ten najdawniejszy pomnik poezyi czeskiéj. Zachował się on w środkowém wieży kościelnéj sklepieniu pod chórem, pomiędzy pękiem strzał starych. Jest to zbiór rapsodów, które malują czyny bojowe dawnych bohatérów narodowych jeszcze za czasów pogańskich. Rapsody te mają podobieństwo do pieśni Homera i Ossyana. Wprawdzie w dniach dzisiejszych powstała ostra przeciw rękopismowi temu krytyka uczonych czeskich Niemców. Büdinger dowodził, że rękopism podrobiony w naszym wieku i że autor korzystał niekiedy dosłownie z kroniki Hajeka, pisarza XVI wieku; daléj że zawiera w sobie rzeczy takie, jakie dopiero po XVI wieku znanemi być zaczęły, a nawet że znajduje się w nim fakt o najeździe Mongołów na Szląsk, wyjęty ze źródła wydanego piérwszy raz w r. 1781. Uczony Czech Palacky ostatni raz z powodu tych zarzutów podnosił głos w obronie rękopismu w r. 1858 w piśmie *Bohemia*. Hanka zaś wygrał proces, oskarżywszy Niemców przed sądem za oszczerstwo że rękopism sfałszował (w maju 1859). Bądź co bądź, Rękopism Królodworski dzisiaj na wszystkie języki europejskie tłómaczony, stanowi istotne bogactwo Czechów. U nas przed Siemieńskim przekładali go częściami Brodziński, Kucharski, Bohdan Zaleski, Witwicki, Rakowiecki i inni w pismach czasowych. A. Bielowski wybornie przełożył «Sąd Libuszy».

W Las Czarny wszyscy przyszli mężowie,
Z nimi Zabój współ.
Poszli w dół
W najgłębszy parów,
Wśród leśnych czaharów;
I Zabój jeszcze
W głębszym stanie parowie,
I bierze w ręce *Warito* [1]) wieszcze:
«Męże bratnich serc!
Męże ognistych wzroków!
Wam pieję pieśń
Z padołu najgłębszych mroków!
Od serca płynie pieśń,
Od serca głębi k'wam,
A w sercu smutek sam!
Poszedł ojciec za ojcami,
Zostawił dziedzice,
Młode dziatki sierotami
I swoje *lubice!* [2])
Nie zostawił żadnéj głowy,
Nie rzekł komu: «bracie, przemów
«Ojcowskiemi do nich słowy».
I cudzy do naszéj ziemi
Na siłę wdarł się,
I słowami obcemi
Szeroko rozparł się.
Jaki zwyczaj w obcéj stronie
Od zmroku do świtu,
Taki zwyczaj dziecku, żonie
Narzucił i tu!
Kazał jednę towarzyszkę
Mieć na całą ścieżkę
Od Wiosny do Morany, [3])
Krogulce wszystkie wypłoszył z gajów, [4])
Przyniósł nam bogi gdzieś z cudzych krajów;
Przed tymi bogi czołem bić każe,
Obiety [5]) znosić na ich ołtarze.

1) *Warito* — stare narzędzie muzyczne. Siemieński w przypisach mówi, że przypomina greckie *barbiton* i oznacza cytrę lub lutnię.
2) *Lubice* — żony, zabytek wielożeństwa.
3) *Wiosna* i *Morana* — bóstwa młodości i śmierci.
4) Mowa tu o gajach poświęconych bogom.
5) *Obiety* — ofiary.

Któż starym bogom wyrządzi cześć,
Kto im w przymroku poniesie jeść!
Kędy chadzali z karmią ojczyce,
Kędy na modłach spędzali dzień,
Tam w prochu leżą nasze bożnice,
I święte drzewa wycięte w pień».

—«Aj ty Zaboju!
«Serce ku sercu zaśpiewałeś pieniem
«Z środka goryczy! Ty jak Lumir ów,
«Co potęgą pieni słów
«Wstrząsał Wyszehrad i włości wzruszeniem,
«Ty wstrząsasz braćmi, wstrząsasz moją duszą;
«Dobrego piewcę bogi kochać muszą.
«Śpiewaj ty, śpiewaj, ty masz dar od bogów,
«Pieśnią zagrzewać serca przeciw wrogów.»

Oko Sławoja ogniem się pali;
Widzi to Zabój i śpiewa daléj.

«Dwa syny, których pierś
Już mężom brzmiała wtór,
Skrycie wychodzili w bór;
Tam do kopii, miecza, młota,
Przyuczali ręce młode
W oczach grała im ochota,
Gdy wracali w swą zagrodę.
Lecz gdy w siłę wzrosły barki,
Gdy na wrogów wzrosły duchy.
Z mniejszéj braci staną zuchy:
Nuż na wroga, nuż na karki
Wpadną wściekli,
Jako burza gromem siekli;
I wrócili w swe zagrody,
Wrócił błogi czas swobody!»
I do Zaboja skoczą ku dołu,
Cisną go w silne swoje ramiona,
Dłoń jego kładą z łona do łona,
Z słowa do słowa radzą pospołu.

Noc już przechodzi, już zorze bliskie,
Każdy porożnie wybiegł z doliny,
Pomiędzy drzewa, między chrościny,
Chyłkiem, ukradkiem na strony wszystkie.

Minął dzień jeden,
Minął dzień wtóry,
Po trzecim wieczór nastał ponury,
Szedł Zabój w las,
Za Zabojem zbory;
Szedł Sławoj w las,
Za Sławojem zbory.
Idą w cichym pochodzie,
Wierni swemu wojewodzie;
Wszyscy gniewem wrą na króla,
Wszystkich miecze przeciw króla. *)

—«Daléj Sławoju! gdzie ten szczyt siny
Wyżéj nad wszystkie patrzy krainy,
Tam się udamy z drużyną naszą,
Od góry na wschód rannego słońca;
Gdzie się bór czarny ciągnie bez końca,
Wzajem się bratnie ręce opaszą.
Daléjże, bierz się lisiemi kroki,
I mnie tam zamiar czeka wysoki!»
—«Zaboju bracie! na cóż od wzgórza
Uderzać na nich orężem grozy?
Ztąd lepiéj prosto runiem jak burza
Na te królewskie obozy.»
—«Bracie Sławoju! złe rady.
Jeżeli zetrzeć chcesz gady,
Na łeb im nastąp i złam,
A ich łeb—tam!»—
W las się rozskoczą w lewo i prawo,
Tym dzielny Zabój stanął na przedzie,
Tamtych Sławoja skinienie wiedzie;
Przez gąszcz ku wierzchu darli się żwawo.
Kiedy na niebie już pięć słońc lśniło,
Podali sobie przesilne ręce;
Oko ich lisa wzrokiem patrzyło
Na wojowniki książęce.
«Ludjeku! padnie wojsko niewiary,
Od jednéj rany zalegnie pola.
Ej! ty Ludjeku, parobie stary
Nad parobami twojego króla!

*) Cały ten rapsod opiewa wojnę bałwochwalczych Czechów przeciw napastniczym Frankom.

Powiedz twojemu panu wbrew twarzy,
Że wola jego z dymem nie waży.»

Rozje się Ludjek, głosem pioruna
Zgromadza wojsko. Na niebie łuna
I słońce w pełnym blasku odstrzela
Od zbroi nieprzyjaciela.
Wszyscy gotowi nogą do kroku,
Za broń chwycili ręką u boku.

«Spiesz lisim krokiem, spiesz tu Sławoju,
A ja im czoło nadstawię w boju.»

Zabój na czoło
Chlusnął jak grad,
A Sławoj z boku
Jak gradem spadł.

«Patrz, patrz, bracie! za ich sprawą
Padły bogi, drzewą ścięte
I krogulce rozpierzchnięte,—
Bogi dają zemstę krwawą.»

Owoż Ludjeka porwał gniewu szał,
Z wrogów poczetu k'Zabojowi gnał;
I Zabój miótł się, z ócz iskry kłębem
Ział na Ludjeka. Dąb mierzy z dębem.
Przez puszczę drze się: tak Zabój przodem
Wydarł się jeden nad swym narodem.
Ludjek uderzył ostrém żelazem
W tarcz, trzy skóry przeciął razem!
Zabój z toporem ramię wytęża,
Puścił; Ludjek się ciosu uchował,
Topor ciął w drzewo, padło na pował,
Ku ojcom poszło trzydzieści męża!
Rozje się Ludjek: «Ty zwierzę!
«Gadów potworo — ty!
«Stań! mieczém z tobą się zmierzę.»
Zabój ciął mieczem,
Miecz po skórzanéj zwinął się zbroi.
Palą się oba, cios mnie, cios tobie,
Od stóp do głowy sieką po sobie,
Krwią zostawują szerokie ślady,
Krwią oplynęły mężów gromady,
Bo rzezią wrzały już strony obie.

Słońce z południa na dół się chyli
Ku wieczornéj krawędzi,
I ztąd i zowąd jeszcze walili,
Nikt nie ustąpił ziemi i piędzi;
Tu walono od Zaboja,
Tam walono od Sławoja.
—«Ej, ty wrogu! giń do bisa!
«Giń kto naszę krew wysysa.»
Zabój się znowu toporu ima,
Ludjek w bok zmyka;
Zabój wywinął i w górze trzyma,
I puszcza na przeciwnika.
Wyciął topor, na połowę
Szczyt pod ciosem się rozskoczy,
A pod szczytem Ludjekowe
Łono we krwi broczy!
Zlękła się dusza ciosu obucha,
Obuch ze sobą porwał i ducha,
I na pięć sążni wojska powalił.
Przestrachem wrogów gardziele ryczą.
Wojsko Zaboja szumi zdobyczą,
Iskrą radości ich wzrok się pali.
—«Bracie, patrz! za sprawą bogów
Zwyciężamy naszych wrogów!
W prawo huf jeden niech się poniesie,
A jeden hufiec na lewo w szlaki,
Ze wszystkich dolin spędzić rumaki,
Niech rżą rumaki po całym lesie.»
—„Ty Zaboju! wdały *) lwie,
Nie pożałuj wrażej krwie!“
Zabój tarczę rzucił precz,
W ręku obuch, w drugim miecz;
Poprzek drogę sobie ściele,
Poprzek przez nieprzyjaciele.
Byłoż wycie najezdnikom
I ucieczka napastnikom!
Trzas **) ich goni z bojowiska,
Strach z gardzieli krzyk wyciska.
Rżą rumaki lasu brzegiem:

*) *Wdały* — dzielny.
**) *Trzas* — bojek trwogi.

«Daléj na koń! pędem, cwałem,
Za najezdcą, zbiegiem!
Polecimy krajem całym.
Nieście konie w trop na pięty,
Wróg poczuje gniew zawzięty!»
I skoczą hufce na rącze konie,
Trop w trop za wrogiem puszczą pogonie,
Cios w cios, już zemstę wywarli krwawą.

Znikają im równiny
I lasy i wyżyny;

Wszystko precz znika w lewo i prawo.
Huczy strumień wezbrany,
Sadzą w górę bałwany;
Huczą wojacy, i skok za skokiem,
Walą najezdcy wzdętym potokiem.
Dużo ich woda topi w swém łonie.
A ziomków niesie ku drugiéj stronie.
Długo, szeroko, jak starczy pole,
Drapieżny jastrząb rozwija
W górze szerokie skrzydeł półkole,
Ptaków gromady rozbija.
Wojsko Zaboja puszcza zagony
Długo, szeroko na wszystkie strony;
Kupa najezdców spędzona, zbita,
Resztę zdeptały kopyta.
W pogoni nocą pod luny okiem,
W pogoni we dnie, gdy jasne słońce,
I znowu nocą ścigają gońce,
I znowu rannym ścigają mrokiem.
Huczy strumień wezbrany,
Sadzą w górę bałwany;
Huczą wojacy, i skok za skokiem,
Walą najezdcy wzdętym potokiem,
Dużo ich woda topi w swém łonie
A ziomków niesie ku drugiéj stronie.
—«Tam po te śniade wzgórza
Niech pomsta nasza doburza.»
—«Zaboju bracie! już niedaleka
Droga, ot góra przed nami,
A garstka mała wrogów ucieka,
I ta się kaje ze łzami.»

—«Wracać nazad, moja rada,
Ty tam a ja tędy.
Co królewskie, niech przepada!»

Wichry po kraju szumią,
Wojska po kraju szumią;
W długich szeregach, w lewo i prawo,
Ciągną się męże z radosną wrzawą.

«Bracie! czy widzisz owdzie wierzch szary?
Tam z woli bogów my zwyciężyli!
Tam dusz tysiące lata téj chwili
Z drzewa na drzewo między konary;
Zwierz się ich boi, boi ród ptaszy,
Jedna się sowa tylko nie straszy.

«Teraz na górę pójdziem w mogiły
Umarłych grzebać, i bogom miły
Pokarm zaniesiem, bogom zbawienia
Mnogie obiety i dziękczynienia;
Dla nich w pochwalny zagrzmimy głos,
Dla nich orężów zdobytych stos.»

Oldrzych i Jarmir *)

(Ułamek)

.....Szedł w Czarny las,
Kędy się wszyscy zebrali władycy;
Siedmiu ich, każdy szedł zborom na czele,
Z nim idzie Wyhoń—Dąb w nocnéj ciemnicy,
Gorliwy, mężów prowadzi coś wiele,
Hufiec ten liczył sto chłopów dobranych,
Sto mieczów w pochwach chowali skurzanych,

*) Fragment téj pieśni bohaterskiéj, dochowany w Rękopisie królodworskim, odnosi się do czasów Bolesława Chrobrego. Król ten, opanowawszy Miśniję, Luzacyę i Czechy, zajął Pragę r. 1002. Henryk II, cesarz niemiecki, nie mógł na te zabory patrzeć obojętném okiem: co rychléj przeto wysłał swoje zastępy do Czech. «Niespodziane było dla Bolesława tak rychłe Niemców wtargnienie (mówi Naruszewicz), o którém gdy mu przy wieczerzy kapelan biskupa Reinberna oznajmił, król mu ze wzgardą odpowiedział; iż te żaby tak rychło przyczołgać się nie mogą.»—Ale Niemcy byli już na granicach czeskich; do nich się przyłączyli książęta czescy Odalrych i Jaromir. Ci mając porozumienie z mieszkańcami Pragi, łatwo Polaków zmusili do ustąpienia z miasta. Bolesław Chrobry cofnął się z zamku Wyszehradu na czele swego oddziału. Szczegóły tego wypadku przytoczona pieśń opowiada.

Sto rąk do mieczów, a ręce ich silne,
Sto serc, a wszystkie ku wodzu przychylne,
Po środku lasu zebrały się zbory,
Podadzą ręce i splotą się wiankiem,
I rozpoczęli ciche rozgowory.

Już noc z północnéj chyliła się pory,
Rzedniały cienie nad szarawym rankiem:
—„Cyt!“—mówił Wyhoń do księcia Oldrzyka—
„O sławny książę! posłuchaj coć powiem!
Bóg cię obdarzył jarotą i zdrowiem;
Bóg ci mądrości skarbnicę odmyka;
Wiedź nas, wiedź książę na Polan niedobrych.
Słowem twém pójdziem i w lewo i prawo,
Bądź wprzód, bądź nazad, w bójkę choć jak krwawą.
Nuże! tchnij książę zapał w serca chrobrych.“

I kniaź z proporcem prawicę wytęża:
„Za mną kto chrobry! za mną do oręża!
„Na wrogów Polan, kraju najezdników!“

Wnet za nim osiem wyskoczy władyków;
Pół sta i trzysta za nimi wyskoczy
Zuchów, co lecą tam kędy sen mroczy
Pułki Polanów kosztujące wczasu.

Wyszli na górę, stanęli kraj lasu.
Tam milczy Praga w zaranném marzeniu;
Wełtawa mglistą kurzyła się parą:
Za Pragą góry w błękitnawym cieniu,
Świt za górami wdziewał barwę szarą.

Z góry w dół zbiegli w taką ciszę!
Skryją się w Pradze, chytrzy towarzysze,
I pod płaszczami broń śmierci ukryta.

Szedł pastuch, ranek na niebiosach świta,
Zawołał: bramę otwórzcie u wieży!»
Na głos pastucha pospieszyła warta,
I przez Wełtawę brama już otwarta.
Na most wyskoczył pastuch, wróg uderzy;
Na most kniaź skoczył i siedmiu władyków,
Za każdym skacze poczet wojowników.

Huknęły bębny pod grzmotnemi ciosy,
Trąby zadzwonią wojenne odgłosy;

Wiatr na moście powiewa sztandarem,
A most się trzęsie pod zbrojnych ciężarem.

Strach padł okropny na polską załogę,
Wszystko oręże chwyciło na trwogę,
A władykowie siekli, strasznie siekli.
Polanie skaczą, pierzchają na strony,
Tłumem się cisną przez okop do brony (*bramy*),
Od rzezi głowę unoszą — uciekli.

Zwycięztwo sprawił Bóg wielki obrońca,
Na całe niebo jedna gwiazda słońca.
I powstał Jarmir, jeden pan na czele;
Po całéj Pradze zabrzmiało wesele,
Weselem brzmiały Pragi okolice,
Poszło wesele po świata granice,
Po całéj ziemi od Pragi wesele.

W ogóle Siemieński przewyższa Bielowskiego darem odtwarzania barwy słowiańskiéj i gminnéj. Na téj drodze posuwał się także wytrwaléj i dłużéj od Bielowskiego, zamierzał nawet wydać wybór piosnek gminnych wszystkich ludów europejskich w przekładzie polskim, podobnie jak w niemieckiéj literaturze uczynił to Herder. W wydaniu poezyj Siemieńskiego (Petersburg, 1856 w *Skarbczyku Poezyi polskiéj*) jest kilkadziesiąt piosnek tłómaczonych z serbskiego, ruskiego, włoskiego i t. d. We wszystkich jest wiele prostoty i uroku poetycznego; zwłaszcza ruskie celują pięknością przed innemi, a pomiędzy niemi duma *O książu Dymitrze Wiśniowieckim* może być policzona do prawdziwych klejnotów poezyi polskiéj. Przytaczamy ją tutaj w całości.

Kniaź Dymitr Wiśniowiecki.

Kniaź z Wiśniowca w Jedykule
Za kratami, na barłogu,
Znosi ciężar mąk nieczule,
Poprzysiega mścić na wrogu...
Jakby jeszcze na niewierne
Stepem hufce mógł pancerne,
Przy surm wrzawie i dum pieniu
Jakby poga czuł w strzemieniu...
A tu stepem — cztery mury,
A dumami — jęk ponury,
A drużyna — małe chłopię.

Hej pacholę! oj ty tużysz,
Już nic u mnie nie wysłużysz,
I ja tobą nie wytropię
Wroga w stepie, ni zatopię
Bisurmańskie w Dniepr galary...
Dość mi dałeś, dość twéj wiary,
Dość dzieliłeś lichą dolę,
Wróć pacholę na Podole.

— Kiedy łowiec w wilczéj jamie
Gdy cięciwa pryśnie w kuszy;

Siada sokół wiern na ramię,
Wierna strzała się nie ruszy.
Ja ci strzałą, ja sokołem,
Nie powrócę, cierpmy społem.—

Przyszedł Sułtan z pychą pawia,
I tak kniazia sam podmawia:
— Dam ci córę jak dzień jasną,
Dam ci skarbów co niemiarę,
Tylko porzuć wiarę własną,
Muzułmańską przyjmij wiarę.—
— Piękna córa, skarb bogaty;
Ale wiara twa za katy!
— Ha! psa Giaura weźcie, weźcie
I za żebro go powieście! —
Już to trzecia wschodzi zorza,
Na Gałacie, gdzie kraj morza,
Kniaź na haku się kołysze,
W oczach zemstę Turkom pisze;
Patrzy w morze, to na szlaki:
Nie pancerneż ciągną znaki?
Czy nie czajki, ciężko wzdycha,
Usta krzepną, mówi z cicha:
Oj pacholę wierne, młode,
Wracaj, wracaj na swobodę!—
— Ja ci strzałą, ja sokołem,
Nie powrócę, gińmy społem.
A kniaź oczy wiódł ponure:
— Widzę w sadzie, winogradzie,
Trzy sokoły przyleciały,
Trzy rarogi jasnopióre —
Hej pacholę! daj trzy strzały;
Czy zostało mi sił wiele?
Czy w co zmierzę, to ustrzelę?

I Sułtana zmierzył w ciemię,
A Sułtankę w samo brzemię,
A dziewicę — w same lice.

Trwoga bije w Carogrodzie:
Co dokazał Lach na haku,
Cóż dokaże na swobodzie!
Sto strzał w niego wystrzelili,
Z piersi serce wydobyli,
Zjedli serce po junaku. —

Równéj nieomal piękności są dumy o *Wyprawie Chmielnickiego na Multany*, *Sen*, *Zaprzedana* i kilka innych.

Przekładów Siemieńskiego (któremi większą, niż oryginalnemi poezyami, zjednał sobie sławę) jest bardzo wiele. Tłómaczył sonety Michała Anioła i Petrarki, ody Horacyusza, ustęp z poematu Firdusego «Szach Name» p. n. *Biszen i Menisze* i t. d. Tłómaczenie z perskiego «Biszen i Menisze» jest arcydziełem, które znawcy stawiają wyżéj nad inne tłómaczenia europejskie, chociaż było dokonane nie z oryginału. Wiekopomną wreszcie zasługą Siemieńskiego jest całkowity przekład *Odyssei* Homera (Kraków, 1873), praca olbrzymia, a opromieniona takiém natchnieniem, wykonana z taką sztuką mistrzowską, z takiém przejęciem się duchem pierwowzoru, że nic doskonalszego wyobrazić sobie nie można. Jeszcze przed laty trzydziestu namawiał do niéj Siemieńskiego Michał Grabowski, twierdząc, że tok poematów Homera dziwnie przypo-

mina tok dum starosłowiańskich *). Tłómacz Królodworskiego rękopismu podniósł tę myśl znakomitego krytyka i wykonał ją genijalnie. Jeżeli w tém arcydziele koniecznie szukać zechcemy skaz, to chyba zbytnią ilość archaizmów i russycyzmów tłómaczowi zarzucić będziemy mogli, jakkolwiek nie czynił on tego bezwiednie, lecz z rozmysłem wypływającym z idei zasadniczéj przekładu. Dla wzoru przytaczamy tu ustęp z pieśni XXIV, zawierający opis nędz i tęsknic starego króla Laertesa oraz téj niezrównanéj radości, kiedy ujrzał po dwudziestoletniém rozłączeniu się, syna ukochanego Odyssejsa, którego miał już za straconego na zawsze.

... Tamci wyszedłszy z miasta, mieli drogę krótką
Do zagrody Laerta; ustroń tę milutką
Ongi nabył on dla się; sprawiał z potem czoła.
W środku dziedzińca dwór stał; budynki dokoła
Gospodarskie, mieszczące czeladkę roboczą,
Gdzie jadła i sypiała, pracując ochoczo. —
Była tam i Sykulka, stara gospodyni,
Pielęgnująca pana swego, w téj pustyni.

W tém Odys rzekł do syna i pastuchów trzody:
«Wejdźcie do wrót téj pięknéj przed nami zagrody
I sprawcie najtłustszego wieprzka na biesiadę —
Ja tymczasem do ojca poskoczę na wzwiadę:
Czy mię pozna, gdy stanę przed jego oczyma,
Czy, długo mię nie widząc w pamięci już niéma?...»
To rzekłszy, swéj czeladzi oddał broń i zbroję,
A ci weszli we wrota; on zaś kroki swoje

*) W liście do Bielowskiego z r. 1841 pisze Grabowski: „muszę ci powiedzieć, że w pobożnych moich życzeniach dobra literaturze krajowéj, nieraz przychodziło mi na myśl, jak wyborną byłoby rzeczą, gdybyś Pan z Siemieńskim, albo też jeden lub drugi osobno, wzięliście się za tłómaczenie Homera Iliady, a pierwéj jeszcze Odyssei. Pomimo licznych tłómaczeń, nie mamy pojęcia o duchu tych poematów. Według wszystkich znawców greczyzny, tok tych poematów przypomina dziwnie tok dum staro-słowiańskich. Ja nie umiem po grecku, ale czuję z tłómaczeń Homera prozą, że tak być musi. Możnaż się czegoś podobnego domyślić z przekładów Dmochowskiego, Przybylskiego, Staszica?... Ty i Siemieński, wyrobiwszy sobie tak osobny, a tak cudowny język źródłowo poetycki, powołani jesteście dać nam rzetelnego Homera. Co za niewyrachowane korzyści przyniosłoby nam poznanie téj najbogatszéj skarbnicy poezyi gminnéj, jaką jest poezya homeryczna! Nie potrzebuję się przed Panem w téj mierze rozwodzić. Zmiłujcie się rozłajcie to moje napomknienie, a jeżeli być może, nie puszczajcie go mimo uszu."

Skierował wprost do sadu by znaleźć tam ojca;
Lecz nigdzie śród długiego nie spotkał ogrojca
Ni Doliosa, ni synów, ni sług doliosowych;
Gdyż w pole poszli chrustów na płoty tarniowych
Naciąć — a stary Dolios sam im towarzyszy.
Więc li samego ojca znalazł w sadów ciszy,
Jak drzewko okopywał. Kubrak on na sobie
Miał brudny, połatany; skurą nogi obie
Obwinięte, od kolców i cierni obrona;
Na rękach rękawice, głowa otulona
W kaptur kozi; tak starzec w żałobie swéj chadzał.
Widząc tedy Odysseja — a wzrok go nie zdradzał —
Że ojciec wiekiem złaman, zjedzon bolem duszy,
Rozpłakał się stanąwszy za pniem wielkiéj gruszy.
I rozmyślał co daléj ma począć, niepewny:
Czy się rzucić w objęcia, złożyć uścisk rzewny
I wyznać, że już wrócił w progi ojców lube —
Czyli też wprzód wybadać i wziąć go na próbę?
Ostatnie wątpiącemu najlepsze się zdało,
By przymówką wybadać tę duszę zbolałą —
I tak zrobił, i zaraz wprost do ojca kroczył,
Który zgięty, dokoła szczepu ziemię tłoczył —
Więc podszedłszy ku ojcu, rzekł syn znamienity:
«Starcze! z ciebie ogrodnik widzę wyśmienity.
Wszędzie znać pilną rękę w uprawie tych sadów,
Tak koło fig, oliwek, grusz, jak winogradów.
Każdy szczep, każda grządka, uprawna jak rzadko,
Jedno tylko zarzucę — przebaczy mi tatko!
Że sam nie dbasz o siebie, starzec wiekiem zgięty
Chodzi taki obdarty i nieogarnięty.
Pewnie nie za lenistwo pan o cię nie stoi —
Niewidać niewolnika przecież z twarzy twojéj,
Owszem, coś królewskiego masz w całéj postawie;
Ni to pan co po łaźni i wytwornéj strawie
Zażywa lekkiéj drzemki, jak u starych zwyczaj.
Przeto mów mi kto jesteś, z prawdą się nie sprzeczaj —
Kto cię trzyma parobkiem do pracy w ogrodzie?
Opowiedz to dokładnie, niech wiem w méj przygodzie,
Czy na wyspie Itace na prawdę stanąłem,
Jak przed chwilą z ust człeka jakiegoś powziąłem,
Który zresztą niebardzo chętnie odpowiadał,
Chociem zagabł go grzecznie i dosyć nabadał

O mego tutaj druha, czy żyje, czy zdrowy,
Czy go skrył już na zawsze pomrok hadesowy?—
Więc ci powiem, wyrazy moje zważaj ninie:
Miałem raz podróżnego u siebie w gościnie,
A nigdy przyjemniejszy gość z dalekiéj strony
Jako on, w domu moim nie bywał goszczony;
Chełpił się że w Itackim ostrowie się rodził;
Że od syna Arkejzia, Laerta, pochodził —
Jam go w dom mój wprowadził, nie szczędził niczego
W przyjęciu dostatkami domu bogatego.
Na odjezdném jam równą okazał szczodrotę;
Dałem mu siedm talentów warte sztuki złote,
Toż szczero-srebrny krater kwiatami wzorzony;
Chlenów dwanaście, przytém kobierce chitony,
W takiejż liczbie; więc płaszczów dwanaście przecudnych!
Cztery zaś białogłowy biegłe w pracach trudnych,
A urodzone, sam wybrał, o com go też prosił».
Na to rzekł ojciec — który z płaczu się zanosił:
«Przychodniu! na Itace jesteś w rzeczy saméj,
Gdzie pod władzą zuchwałych mężów tu stękamy.
Napróżno go szczodremi dary obsypałeś.
O czemuż go w Itace żywym nie zastałeś!
Byłby cię obdarował, podjął z gościnnością,
Odesłał — słuszność każe płacić wzajemnością.
Wszakże powiedz mi prawdę, pocóżbyś ukrywał?
Dawnoż temu jak gość ten w domu twym przebywał;
Ten syn mój nieszczęśliwy? Czemuż go niestało!
Pewnie podal od ziemi ojców jego ciało
W morzu ryby już zjadły, lub w polu zwierz srogi,
Albo ptastwo pożarło; — ciebie synu drogi
Rodzice ni pochować mogli, ni łzą zrosić;
Ani cna Penelopa żalów swoich głosić
Nad mężem konającym, ni zawrzeć mu powiek,
Jak każe święty zwyczaj, gdy umiera człowiek.
Teraz racz mi powiedzieć, niech się w tém oświecę:
Zkądeś jest i gdzie twoi mieszkają rodzice?
Gdzie twój okręt, na którym tyś do nas zawinął?
Gdzie wioślarze? — Na cudzym statku możeś płynął,
Że cię tu wysadziwszy, pognał w dalszą drogę? —»
Odyssejs odrzekł na to: «Jeśli chcesz, więc mogę
O wszystkiém zdać ci sprawę dokładnie i jasno:
Z Alibantu ja rodem; mam dom, ziemię własną,

Ojcem moim Afejdas syn Polipomona;
Eperitem mię zowią. Wręcz przeciwna strona
Była celem méj drogi — lecz demon mi szlaki
Zmięszał, i od Sikulii zagnał do Itaki.
Łodź zaś moja od miasta podal, w polu stoi —
Odys, pomnę, z ojczyzny oddalił się mojéj
Lat pięć temu; z Alibu odpłynął stolicy.
Biedak! choć na odjezdném po jego prawicy
Przelatywały ptaki z pomyślną dlań wróżbą;
Jam też z sercem wesołém żegnał się z swym drużbą;
On również wesoł; oba z najlepszą otuchą,
Że nieraz się spotkamy z sobą nie na sucho. — »
Rzekł — a starca owionął smutku dym zgryźliwy;
Wziął z ziemi garść brudnego pyłu i włos siwy
Posypał nim i łzami zalał się rzewnemi. —
Odys wstrząsł się, nozdrzami parskał rozdętemi,
Wyrzucając ból z serca na widok rodzica —
Skoczył doń, wziął w ramiona i całował lica:
«Ojcze! jam to jest syn twój — mówił — syn zgubiony,
Który wraca po latach dwudziestu w te strony;
A więc łzom twym pofolguj, nie wzdychaj już więcéj.
Krótko powiem — gdyż działać trzeba nam co prędzéj —
Żem wszystkie zalotniki w pień wyciął w mym domu —
Nie uszli ci zuchwalce mściwego pogromu».
Odpowiedział mu na to ojciec Laert stary:
«Żeby mój Odys wrócił, rzecz trudna do wiary;
Pokaż znamię, a wtedy zaufam twéj mowie».
Na to mu bystro-myślny Odyssejs odpowie:
«Ojcze mój! na tę bliznę najsamprzód zwróć oko,
Którą odyniec kłami rozorał głęboko
Tam w Parnasie, gdym z woli twojéj i méj matki
Do Autolika jeździł, odebrać te datki,
Które mi był obiecał na me urodziny.
Teraz wskażę ci wszystkie drzewa i krzewiny,
Darowane mi niegdyś, gdym jeszcze dziecięciem
Za tobą biegł w te sady, i słuchał z zajęciem
Jak każde drzewo mianem nazywałeś inném;
Naparłem się był o nie z uporem dziecinnym,
A tyś mi grusz trzynaście, jabłoni dziesiątek,
Fig czterdzieści darował — tyle na początek, —
Nadto pięćdziesiąt rzędów wina dostać miałem
Rozpiętego na tykach pod słońca upałem,

Które się gronmi jagód okrywa w swéj porze,
Gdy Zews błogosławieństwo z nieba zeszle boże».
Starcowi biło serce, nogi pod nim drżały,
Skoro powziął z ust syna ten znak doskonały —
Rzucił mu się w objęcia i upadł w zemdleniu
Na pierś syna, i w syna zawisnął ramieniu.

Z oryginalnych poezyj Siemieńskiego najcelniejszą jest duma historyczna p. t. *Trąby w Dnieprze.* Jest to podobnie jak «Pieśń o Henryku Pobożnym» Bielowskiego, wyjątek z kroniki przybrany w poetyczną szatę. Bohaterem téj dumy Bolesław Chrobry. Wypisujemy tu ją z Historyi literatury polskiéj K. Wł. Wojcickiego *).

Trąby w Dnieprze.

Stał obóz polski, stała Ruś w taborze,
A między niemi Bugu święte łoże.
Rusin jedwabne rozpinał namioty,
Pawołoczemi opończmi czerwienił;
Srebrne tam szable i złocone groty,
Obóz Rusinów jak połoz się mienił.

Pod gołém niebem w kożuchu baranim,
Lach obok konia, szczyt i zbroja na nim;
Twardy ich żywot, jak żywot pokuty,
Chłop, koń i puklerz z jednego ukuty,
W dzień pierwszy głazy miotali kamienne,
W dzień wtóry strzały miotali kalenne;
W dzień trzeci z brzegu Błud obelgi miota
Na króla Lachów:

«Ej ty tuczny wieprze!
Azać Bug przebrnąć nie bierze ochota,
Kiedy się kusisz wody napić w Dnieprze?
Azać żal sadła na ruskie pazury?»
— Na tu na wieprzu! ryknie Ruś jak tury.

A Błud, czarownik, stroił strachy lepsze:
Zaklął Peruna i wszystkie Kumiry;
Bug w mgłach rozkropił, wiatry podniósł cztery
Rzucił zwierciadło, — i woda po pasy;
Igłę na rolę, — wstały w okrąg lasy;

*) Hist. Lit. pol. t. IV. str. 494.

Kamień na stepy, — i góry na stepie!
Trafiajże Lachu, choćbyś miał sto ślepie!

— Źle z nami, wiara! czart nas wziął dokoła,
I kopijniku król: Hejno! zawoła,
Włóczń Maurycego i szabla Anioła!
Krzyż Pański, imie Chryste i Maryja!
Ciął szablą w zmory, kopją mgłę przebija.
Jak sen o świcie pierzchły precz tumany;
Znów świeci słońce i Bug płynie szklany
— Bogarodzico! wiara wpław, koń łodzią!
Pierwszy król skoczył, a za nim czereda.
Aż rzeka na brzeg bryznęła powodzią,
Tylu w bród poszło. Ruscy popłoch trąbią,
Strach im do szyków i oręży nie da;
Lachy na karku siedzą, kolą, rąbią,
Z martwych do Bugu krew wali się rzeką;
Chorągwie w piasku, z ciał wstała mogiła;
Pycha butnego w piasek się wtłoczyła,
Pycha Błudowa. A gdzie Błud? daleko
Wyprzedza wiatry...

Kniaziu Jarosławie!
Klasnąłeś w ręce po krwawéj wyprawie,
Samoczwór szlakiem pędzisz do Kijowa.
Brańce, namioty, skot, sobole, kuny,
Padły zdobyczą; z grodów biją łuny;
Ba Kijowowi on pożar dogrzewa,
I sam Nowogród: *Gorze mnie!* zaśpiewa.

Tam, czy to zorza na dachy upadła?
Czy góra złota siedzi śród zwierciadła?
Pytają Lachy. To Kijów, gór trójca
Czterysta cerkiew dźwiga; pasem z głazu
Biodra mil siedmiu okręca; do razu
Wytrąbi ze sto tysięcy mołojca.
A Lachy na to: Na głazy i bramy
Mamy buksztele i tarany mamy;
Na sto tysięcy tuły pełne grotu,
Szable toczone, rumaki do lotu.

Stadami kawek czernieją dzwonice;
Wilk zadnieprzański wyje korowodem;

Dadzibog datkiem nie darzy, a głodem
Wybija wnuków. Sokół zozulice
Porzucił młode... Synu Włodzimiérza!
W mur Nowogrodu niesie cię łódź chyża
Od sióstr i żony! a czéj dzwon wiecowy?
Za gockie brzegi tyś pociec gotowy!
Uniż się, grodzie! pas się twój rozkował,
Pożar złociste stropy pozdejmował;
Zgasłeś!... Bolesław konia w skok wypuszcza,
Oburącz mieczem w bramę ciął ze złota;
Miecz się wyszczerbił, padły na wznak wrota;
Na twarz bojary, na twarz czarna tłuszcza.

— Chrobryś pan, chrobry! mir, mir ruskiéj ziemi!
Chleb, sól i kości świętych! Pawołoką
Szlak ci wymościm; dzwony sofijskiemi
Odzwonim sławę. Ośm dziewic jak oko,
Sióstr Włodzimierza z oprawą, twym plonem.
Stolec Ruryka podeprzem wysoko,
Szeroko stopnie wybijem pokłonem.
Cześć tobie ninie, Chrobry po wsze czasy!
I szedł król, za nim oszczepów szły lasy
W chram świętéj Zofii, pieśń *Bogarodzica*
Wstrzęsła sklep cerkwi; ostrzele i lica
Pokorą pyłu przed ołtarz się miotły;
A wszystkie dzwony dzwonią, huczą kotły.

Żer, żer, sokoły! Król dzieli zdobyczą;
Jezdny czy drabant, brał proporce, tuły,
Opończe; resztę grzywnami doliczą.
Skarbiec cerkiewny słał do kapituły
Gnieźnieńskiéj, kędy święty Wojciech w grobie...
Sam król nic nie brał, tylko dziewkę młodą
Z branek książęcych rad podobał sobie
I wiódł do łoża. Brańcom rozciął łyka,
Syny bojarów puszcza na swobodę,
A sobie wybrał Błuda czarownika.

«Nie byłoć Błudzie bojować językiem!
Snać go pan w łaźni ochwoszcze wiennikiem
I da mu ścierkę. Bies wie, czy nie gorzéj,
Może rozerwą końmi na rozdroży?»
Tak przebąkali dwaj, ciura z łucznikiem,

Tak po Kijowie. Krzywym tropią torem;
Król wyżéj buja, niż dziw z białozorem.

Co mi za tuman? czy to turów stado
Hasa na błoniu, czy to hufce jadą?
Co mi tam ciemno na Dniepru błękicie;
Czy wodni goście?... Wstałże Igor stary
Zbierać posady na latyńskie cary?
Czy po raz wtóry Ruś pogańską chrzcicie?
— Ni Ruś to chrzcimy, ni z Igorem płyną;
Jeno król Lachów ze zbrojną drużyną
Wjechał na zalew dnieprowy w półkręże.
— Tu kres! grzmiał piersią; tu kres! rykną męże.
Tu słup żelazny! Gdzie koń wrył kopyty,
Koń Bolesława, słup żelazny wbity.

Na środek rzeki łódź wygnały wiosła;
Błud płynął w łodzi; cisza się podniosła,
Dziw będzie! Z łodzi wielkie trąby cztery
Dźwignięto, jako słupy chramu w Retrze,
I zatopiono razem w Dniepru wiry.
Podwodną pieśnią zagrało powietrze;
Taką czcił Bojan pieśnią bohatyry,
Gdy wieszczym palcem bił o struny żywe.
Rusałki pieśń tę po szuwarach wtórzą,
A białą pianę chwyciwszy za grzywę,
Na Czarne morze pławią się, a z burzą
I wendska Odra i morze Waregów,
Pieśnią tą grały g'woli lackich brzegów.
Sam Lach, a nie kto, tę gędźbę rozumie.
Lud się podziwiał, ą król rzekł: «Hej kumie
Błudzie! rzeka grą darmo, żyru głodna».
I wnet z kamieniem Błud pornął aż do dna.
Błuda bies porwął; stoi słup, a rzeką
Chrobrego sławą grą z wieka do wieka.

Mniéj udatne są dumy: ***Potrzeba Warneńska***, ***Duma o Samuelu Zborowskim***, ***Śmierć Zygmunta Augusta***, grzeszące nadmiarem archaizmów i wyrazów nowoutworzonych. Natomiast wiele jest pięknych myśli w lirykach, elegiach i fraszkach. Z późniejszych poezyj Siemieńskiego zasługują na wzmiankę ***Trzy wieszczby***, gdzie w wezwaniu do wieszczów polskich, wieje prawdziwe natchnienie. Wieszczowie wszystko

wiedzą, wszystko odgadli, opiewali już wiele, ale mają zaśpiewać jeszcze pieśń ostatnią, a wtedy, jak mówi inny poeta, «sprawiedliwość wstanie».

Przedhomerowy znacie wiek bajeczny,
Gdy młodą ziemię trapiły sny dziwne,
Gdy na Olimpie drżał Jowisz odwieczny,
A w Tebach gaje milczały oliwne...
A dziś-że mówcie, co lutnią trzymacie
Dusz naszych rządy — i t. d.

Wydał Siemieński *«Legendy polskie, ruskie i litewskie»* (Poznań, 1845). Jest to zbiór podań i legend krążących w ustach ludu, lub wypisanych z książek, które wybornie posłużyćby mogły za treść poetycką do niejednego rapsodu. Dramacik *Świtezianka* także napisany w duchu fantazyi ludowéj. Poemacik humorystyczno-sentymentalny *Mimoza* (Wilno, 1858) zaleca się jedynie gładkością wiersza.

Oryginalne *Poezye Lucyana Siemieńskiego* wyszły w Krakowie r. 1844, w «Skarbczyku Poezyi Polskiéj» w Petersburgu r. 1856 i w Bibliotece pisarzy polskich» w Lipsku r. 1866.

Jako o powieściopisarzu, historyku i krytyku mówić jeszcze będziemy o Siemieńskim w innych działach.

Roman Zmorski urodził się w Warszawie r. 1824 i tutaj odbywał nauki. Następnie przemieszkiwał we Lwowie, Wrocławiu, Poznaniu; późniéj w Belgii, w Hejdelbergu, wreszcie na dłuższy czas osiedlił się pomiędzy Łużycanami w Budyszynie. Umarł w Dreźnie r. 1867. W r. 1841 wydawał razem z Fillebornem «Nadwiślanina». a w 1843, wspólnie z Bohdanem Dziekońskim wydał zbiorowe pismo p. t. «Jaskółka».

Szalony, namiętny lecz pełen zdolności poeta, w bardzo młodym wieku napisał poemat fantastyczny p. t. *Lesław*, który równie jak oda jegoż do Liszta entuzyazmował młodzież ówczesną. Zmorski marzył wtedy o utworzeniu szkoły mazowieckiéj w poezyi polskiéj i probował poematu z dziejów Mazowsza, do czego miał nawet wielkie zasoby, jako namiętny zbieracz podań ludowych *). Gdy zapał unoszący go do fantasty-

*) Jeden z najstarszych zbieraczy pieśni i podań ludowych, Wójcicki, był najprzód pojęty w tém gronie; młodzież uważała go za swego patryarchę. Zmorski napisał recenzyę „Starych gawęd i obrazów", a czuć było w jego wyrazach to religijne poszanowanie dla zasługi, które tak dobrze świadczyło

cznych marzeń uśmierzył się w poecie, obrał on sobie drogę, na której rzeczywiste położył zasługi i chlubną pozyskał sławę. Od r. 1850 poświęcił się prawie wyłącznie zbieraniu i tłómaczeniu pieśni ludowych serbskich. Z początku tłómaczył drobniejsze rzeczy i owocem tych usiłowań jest wielkiéj wartości zbiór w 2 tomach p. t. *Narodowe pieśni serbskie*, wybrane i przełożone (pod imieniem *Romana Zamarskiego*. Warszawa, 1852). W późniejszych latach tłómaczył całe epopeje bohaterskie z serbskiego, i wydał w 1859 *Królewicza Marko*, narodowe pieśni serbskie, a w następnym 1860 r. *Lazaricę*, ustęp z narodowych pieśni serbskich. Tłómaczył wierszem miarowym, bez rymu, dla lepszego oddania kolorytu oryginalnego pieśni. Wszystkie te przekłady są znakomite i wiernie odbijają swe wzory dla uroczéj prostoty i harmonii, jaka w nich jest rozlana.

Pisał też Zmorski oryginalne poezye w duchu ludowym, nacechowane niepospolitym talentem. Jego *Wieża siedmiu wodzów, pieśń z podania* (Warszawa, 1860) śmiało może być postawiona obok «Henryka Pobożnego» i «Trąb w Dnieprze».

Wydał także *Podania i baśnie ludu w Mazowszu* (Wrocław, 1852), *Domowe wspomnienia i Powiastki* (Warszawa, 1854), a w rękopiśmie zostawił obraz liryczny z Bolesławowskich czasów p. t. *Święto Majowe* i powieść rycerską wierszem p. n. *Potrzeba Grunwaldzka*.

Dla okazania, jak po mistrzowsku władał językiem poetyckim, przytaczamy tu jego utwór liryczny p. n.

Cicha noc w Łużyckich górach.

Boże słonko do gospody
Zaszło do snu złożyć skroń,
Mgły wilgotne wstają z wody,
Z łąk wieczorna wieje woń.
W wieńcu gwiazd,
W płaszczu chmur
Cicha noc
Schodzi z gór.

Zadumany, cichy, senny,
Otulony w srebrnéj mgle
Księżyc, uścisk swój promienny
Rozmarzonéj ziemi śle.
W błogich snów
Rajski kwiat
Cicha noc
Stroi świat.

---

o usposobieniu zacném téj młodzi. W pojęciu sprawy dotyczącéj się gawęd i pieśni ludu, Zmorski mógł robić uwagi Wójcickiemu i robił je ze czcią, przez wdzięczność za naukę, którą starsi młodszych obdzielali (świadectwo Bartoszewicza).

I wzburzone moje łono
Błogo tchnie jéj cichy czar:
Ciche wiatry chłodem wioną
Na rozdartéj piersi żar.
Z trosk i dum,
Czarnych tucz (*chmur*)
Zdroje łez
Płyną z ócz.

Ach! kiedyż mi będzie dano
Ujrzeć cichy nocy wschód
I księżyca twarz rumianą
W przezroczy ojczystych wód?
Serca żal
W Wiśle zmyć,
I z jéj fal
Spokój pić?!

Najwłaściwiéj będzie w tém miejscu wymienić mężów, którzy zbierając gorliwie pieśni, podania, klechdy, przypowiastki, przysłowia gminne, usiłowaniami swojemi najskuteczniéj przyczynili się do nadania poezyi polskiéj kierunku ludowo-narodowego.

O pracach na tém polu Zoryana Dołęgi Chodakowskiego, Łukasza Gołębiowskiego i Brodzińskiego mówiliśmy wyżéj.

Wacław Zaleski urodził się w r. 1800, uniwersytet kończył we Lwowie, w r. 1848 był gubernatorem Galicyi, umarł w Wiedniu r. 1849. Wspólnie z Bielowskim rozniecał uśpione życie literackie w swojéj prowincyi. Od r. 1826 umieszczał liczne rozbiory i przekłady w „Rozmaitościach Lwowskich"; następnie zajmował się zbieraniem pieśni ludowych i ogłosił w r. 1833 dzieło p. t. *„Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego*, z muzyką instrumentowaną przez Karola Lipińskiego, zebrał i wydał *Wacław z Oleska*" (Lwów). Jest to zbiór wielce szacowny, choć ułożony nieumiejętnie: obejmuje albowiem nie tylko śpiewy ludowe, ale w ogóle wszystkie pieśni, które znalazły rozgłos w narodzie; dla tego są tu i Karpińskiego i innych poetów piosenki, jak w oddziale ruskich są znowu utwory djaków cerkiewnych i szlachty, a mało ludowych. Wacław z Oleska, podobnie jak Łukasz Gołębiowski, nie zbierał sam pieśni pomiędzy ludem, i dla tego nie oddzielił śpiewek *szlacheckich i miejskich* od gminnych, wielce różniących się od tamtych barwą swoją.

Józef Łoziński wydał w Przemyślu r. 1835 zbiór weselnych pieśni (wraz z opisem obrzędów) Rusi galicyjskiéj p. t. *Ruśkoje wesile*, szczupłe ale dokładne dziełko. Autor jest spółczesnym gramatykiem i pisarzem rusińskim. Po polsku ogłosił: „Abecadło i uwagi nad

rozprawą abecadła polskiego do piśmiennictwa ruskiego“ (Lwów, 1834) i „Gramatykę języka małoruskiego“ (Przemyśl, 1846).

Kazimierz Władysław Wójcicki, jeden z najzasłużeńszych pisarzów polskich, urodził się w Warszawie r. 1807. Ojciec jego był lekarzem Stanisława Augusta. Nauki pobierał u X. X. pijarów, potém w szkole politechnicznéj, nareszcie w uniwersytecie warszawskim, gdzie słuchał wykładów Bentkowskiego, Brodzińskiego i Osińskiego. Od młodu okazywał najwięcéj zamiłowania do historyi i języka polskiego, lubił rozczytywać się w starych książkach i zbliżać się do ludzi słynnych z nauki. Liczne po kraju czynił wycieczki: w Podlaskie, po Mazowszu, do Wielkopolski, na Szląsk; wszędzie żywo go zajmowały historyczne pamiątki i rzeczy ludowe. Główną pobudką do tych podróży, oprócz własne go upodobania, był konkurs ogłoszony przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk (w r. 1828) na rozprawę *O zwyczajach, obyczajach, podaniach, pieśniach i przysłowiach ludowych.* Wójcickiego praca konkursowa bardzo dobrze została przyjętą i dla tego tylko nie uzyskała nagrody, że *nie było drugiéj* do porównania. W 23 roku życia wydał Wójcicki *„Przysłowia narodowe* z wyjaśnieniem zródła, początku oraz sposobu ich użycia, okazujące charakter, zwyczaje i obyczaje, przesądy, starożytności i wspomnienia ojczyste“ (Warszawa, 1830, tomów 3). Dzieło to, obejmujące przysłowia historyczne i niektóre ludowe, jakkolwiek nie odpowiada wymaganiom nauki, świadczy jednakże chlubnie o kierunku i pracowitości młodego autora. Po r. 1830 podróżował znowu Wójcicki częścią po kraju, częścią po Węgrzech i Prusiech. Tu w okolicach Elbląga zapoznał się z Dominikiem Magnuszewskim poetą, i z nim razem przeniósł się do Galicyi, gdzie przez kilka lat wśród przyjemnych stosunków z Siemieńskim, Bielowskim i Dzierzkowskim oddawał się literaturze, i gdzie z siostrą Magnuszewskiego śluby dozgonne zawarł. *) W r. 1835 powróciwszy do Królestwa osiadł na Podlasiu i do r. 1842 zajmował się gospodarstwem. W tym czasie wydał; *Pieśni ludu Biało-Chrobatów: Mazurów i Rusi z nad*

*) Stosunek ten spowodował, że Wójcicki uczynił imię Magnuszewskiego głośném, i zasługi jego po wiele razy wynosił.

Buga, z dołączeniem odpowiednich pieśni ruskich, serbskich, czeskich i słowiańskich (Warszawa, 1836, tomów 2) — *Starożytne przypowieści z XV, XVI i XVII wieku* (tamże, 1836) — jest to dalszy ciąg „Przysłów"; nakoniec: *Klechdy, starożytne podania i powieści ludowe* (tamże, 1837; tomów 2; 2-gie wyd. 1851). Wierny tego dzieła przekład przez Lewestama wyszedł w Berlinie r. 1839 p. t. «Polnische Volkssagen und Märchen». W r. 1845 stale zamieszkał w Warszawie, mianowany głównym archiwistą i bibliotekarzem senatu, tudzież dyrektorem drukarni rządowéj przy Komissyi Sprawiedliwości, na któréj to posadzie do 1860 r. pozostawał, poczém obrany został prezesem Komitetu właścicieli listów zastawnych przy dyrekcyi głównéj Towarzystwa Kredytowego. Od r. 1840 Wójcicki coraz poważniejszy wpływ wywiera na literaturę, pracami swemi w różnych kierunkach torując drogę dla innych, budząc zamiłowanie i wywołując ruch literacki, a wywołanym kierując przez liczne recenzye i krytyki. Od tego też roku do 1847 przypada największy plon prac jego przeważnie w kierunku historycznym. Zbierał starannie zabytki starożytności polskich pod względem języka, literatury i obyczajów, i objaśniał je z niepoślednim talentem. Odznaczył się również jako powieściopisarz w utworzonym przez się rodzaju staro — szlacheckiéj *gawędy*. W r. 1840 należał do pierwszych założycieli *Biblioteki Warszawskiéj*, któréj od r. 1850 jest głównym redaktorem, od roku zaś 1866 został redaktorem *Kłosów*. Dotychczas ani sędziwe lata ani zajęcia obywatelskie nie wytrąciły mu pióra z ręki.

Nie wielu z najznakomitszych nawet pisarzy naszych pochlubić się może tak wielkim wpływem na dwa pokolenia ludzi, już to wyłącznie już derywczo poświęcających się badaniom przeszłości; nie wielu umiało początkującym w tym zawodzie wpoić tak wielkie zamiłowanie do swego przedmiotu, jak Wójcicki. Śmiało powiedzieć można, że w epoce pomiędzy r. 1840 a 1847 każdy z młodszych, zabierając się do studyów nad historyą lub literaturą polską, rozpoczynał je od dzieł Wójcickiego. Ten tylko, który je poznał, przechodził następnie do pism Lelewela, Maciejowskiego i innych olbrzymów nauki: albowiem zdobył już był zamiłowanie w przedmiocie — niezbędny

warunek dobrowolnéj pracy. Zasługi Wójcickiego w tym względzie nigdy dostatecznie podnieść nie można.

O innych pracach tego autora mówić będziemy gdzieindziéj.

Żegota Pauli, historyk, starożytnik i bibliograf zamieszkały w Krakowie, kustosz biblioteki Jagiellońskiéj. Podróżował dużo po kraju, zbierał pieśni ludowe, badał zwyczaje i obyczaje, oraz starożytności, zwłaszcza galicyjskie. Najprzód ogłosił: *Pieśni ludu polskiego w Galicyi* (Lwów, 1838) — zbiór ważny i ciekawy, a dodają mu niemało wartości pracowite przypisy i objaśnienia przy pieśniach obrzędowych i historycznych. Następnie wydał: *Pieśni ludu ruskiego w Galicyi* (tamże, 1839) — rzecz mniéjszéj wartości, gdyż oprócz wielu powtórzeń z poprzednich zbiorów, zawierających ruskie pieśni, znaczną ich część wypisał wydawca ze zbioru M. Maksymowicza (Moskwa, 1827), który także najpiękniejsze pieśni wydrukował z rękopismów pozostałych po Czarnockim, czyli Zoryanie Dołędze Chodakowskim. Do 2-go tomu swojego zbioru Pauli dołączył słowniczek mniéj zrozumiałych słów ruskich.

O pracach historycznych tego pisarza wspomnimy w inném miejscu.

Jako uzupełnienie zbiorów Wacława z Oleska i Żegoty Pauli, wspomnieć wypada zbiorek *Kazimierza Józefa Turowskiego* p. n. *Dodatek do zbiorów pieśni ludu polskiego i ruskiego* (Lwów, 1846). Jest tu ciekawy opis wesela ruskiego i kilka bajek ludowych.

Pieśni ludu krakowskiego zebrał *I. K.* (*Konopka*).

I. I. Lipiński wydał Piosnki ludu wielkopolskiego (Poznań, 1842. Część I-sza z rycinami i nutami). Zbiór ten obejmuje tak zwane przez wydawcę „pieśni powieściowe, to jest opiewające albo jakie zdarzenie życia potocznego, albo też wyrażające uczucia po największéj części miłośne, nieco obszerniéj.“ Druga część (mająca obejmować pieśni obrzędowe, z opisem obrzędów, pieśni weselne z opisem porządku weselnego, nieco dziejowych, wojackich, drwinkowych, kolebkowych i dwieście z górą wielkopolanek) dotąd nie wyszła.

Ludwik Zejszner, znakomity geolog, urodził się w Warszawie r. 1807. Nauki odbywał w liceum warszawskiém, następnie przez lat dwa uczęszczał na wydział filozoficzny

w uniwersytecie warszawskim; w Berlinie i Getyndze poświęcał się przez półtrzecia roku naukom przyrodniczym i filozofii. Zwiedził Alpy tyrolskie, różne okolice Karpat i Tatrów, Węgry i wschodnią Galicyę. Następnie był professorem w uniwersytecie jagiellońskim (1829—1833), a potém dyrektorem górnictwa Krakowa. W r. 1857 powołany do akademii medycznéj warszawskiéj, wykładał w niéj mineralogiję do połowy 1858. Zakończył życie w krakowie, zamordowany przez własnego służącego w r. 1872.

Wydał niezmiernie szacowny zbiór *Pieśni ludu Podhalan czyli górali tatrowych polskich* (Warszawa, 1845), zalecający się przed innemi sumiennością i dokładnością. Dołączona do niego wiadomość o Podhalanach rozjaśnia charakter, zwyczaje, język i ducha górali naszych, dotychczas mało znanych. *)

Jan Czeczot urodził się we wsi Rzepichowie w powiecie nowogródzkim. Początkowe nauki odbywał w Nowogródku, jednocześnie z Adamem Mickiewiczem; następnie z nim razem był w uniwersytecie wileńskim, gdzie wspólnie z Tomaszem Zanem doznawał wysokiéj czci i miłości kolegów. W r. 1823 wyjechał do Orenburga, gdzie lat kilkanaście przebywał. Za powrotem do Nowogródka był u Adama Chreptowicza w Szczorsach bibliotekarzem, po jego zaś śmierci osiadł u obywatela Rafała Śliźnia we wsi Wolnéj, zkąd zachorowawszy, udał się na kuracyę do Druskienik, i tu umarł r. 1847. Na cmentarzu w Rotnicy, niedaleko Druskienik spoczywają zwłoki tego zacnego męża. Adam Mickiewicz przypisał jemu pospołu z kilku innymi swoje poezye.

Czeczot ogłosił drukiem: «*Piosnki wieśniacze z nad Niemna*» (Wilno 1837) — „*Piosnki wieśniacze z nad Niemna i Dźwiny*, z dołączeniem pierwotwornych w mowie sławiano — krewickiéj“ (Wilno, 1844) — „*Piosnki wieśniacze z nad Niemna i Dźwiny*“ (Wilno, 1839) — „*Piosnki wieśniacze z nad Dźwiny*“ (Wilno, 1840) —

*) Uzupełnienie pięknéj pracy Zejsznera mamy w dziełku p. n. «Górale bieskidowi zachodniego pasma Karpat. Rys etnograficzny zwyczajów i obyczajów włościan okolic Żywca. Skreślił L. D.» (Kraków, 1851). Autor nie zbierał pieśni góralskich, ale uważnie badał zwyczaje i obyczaje okolic Żywca i przywiódł wiele ciekawych podań miejscowych.

„Piosnki wieśniacze z nad Niemna, Dniepru i Dniestru“ (Wilno, 1845) — *„Piosnki z nad Niemna i Dźwiny, niektóre przysłowia i idiotyzmy w mowie słowiano-krewickiéj*, z postrzeżeniami nad nią uczynionemi“ (Wilno, 1846). — Sławiano-krewickim wydawca nazywał język białoruski. — Przekłady jego dokonane są wierszem miarowym. Z oryginalnych poezyj ogłosił, *„Pieśni ziemianina“* (Wilno, 1846).

Oskar Kolberg, spółczesny etnograf i kompozytor muzyczny, urodził się w miasteczku Przysusze, w pow. opoczyńskim r. 1815. Po ukończeniu nauk w liceum warszawskiém (1824—1831) pracował lat kilka w kantorze bankierskim; w r. 1835 udał się do Berlina, gdzie 2 lata uczył się harmonii; w latach 1845—1858 urzędował w biurze drogi żelaznéj warszawsko-wiedeńskiéj, obecnie przebywa w Krakowskiém. Od r. 1840 uderzony oryginalnością i rozmaitością melodyi pieśni ludowych, oraz poznawszy ważność jéj i wpływ na muzykę narodową, poświęcił się zbieraniu pieśni w corocznych prawie wycieczkach po rozmaitych okolicach kraju. Początkowo badania swe ograniczał przeważnie do melodyi, zbierając np. rozmaite waryanty jednéj pieśni lub melodyi tanecznéj; w późniejszym czasie rozszerzył zakres swych badań i do innych objawów fantazyi i życia ludu, tak że szczególniéj ostatnie jego prace są prawdziwym skarbcem wiadomości etnograficznych o rozmaitych okolicach Polski. Zbiory swe począł wydawać początkowo w formie nut muzycznych. Tu należą: *Pieśni ludu polskiego* (Poznań, 1842) i *Pieśni* pomieszczone w «Przyjacielu Ludu». Tutaj także po części odnoszą się *Pieśni ludu polskiego* wydane w Warszawie r. 1857, bo choć niewydane w formie nut, przeważnie jednak mają na celu wykazanie rozmaitości melodyi. Następne prace mają znaczenie ogólnie etnograficzne. Tu należy zbiór wychodzący pod tytułem: *Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa* i t. d., którego I serya (a właściwie II-ga, gdyż za pierwszą uważać należy *Pieśni* wydane r. 1857) nosi tytuł *„Sandomierskie“* (Warszawa, 1865), serye III i IV *„Kujawy“* (tamże, 1867—1869); serya V—VIII *„Krakowskie“* (Kraków, 1871—75); serya IX «Poznańskie» (Krak. 1875). zapowiedziany jest ciąg dalszy. Zbiór Kolberga pozostanie na zawsze dziełem pomnikowém na polu literatury ludo-

wéj. Przechodzi on wszystkie, jakie mamy dotychczas. Kolberg i sam zebrał wiele pieśni i korzystał z prac swoich poprzedników. Pomiędzy innemi miał on w ręku pieśni Mazurów pruskich. Zostawił je w rękopiśmie zmarły *Gustaw Gizewiusz*, kaznodzieja w Osterodzie *),

*) *Herman Marcin Gustaw Gizewiusz*, zasłużony pracownik w sprawie odrodzenia mowy polskiéj w Prusiech, urodził się r. 1810 w Janowie (Johannisberg) w Prusiech Wschodnich. Ojciec jego był tam rektorem szkoły miejskiéj. Gimnazyum skończył w Ełku (Lyck), teologii słuchał w Królewcu. W r. 1835 został kaznodzieją gminy ewangelicko-polskiéj w Osterodzie i zajął się gorliwie rozszerzaniem polszczyzny pomiędzy tamecznym ludem. Przyjaciel Mrongowiusza, wspólnie z nim pracował usilnie na téj drodze żywém słowem i piórem, zamieszczając liczne artykuły w rozmaitych czasopismach i nauczając w kościele i szkole. Jednocześnie był głównym współredaktorem *Roczników Słowiańskich*, wydawanych w Lipsku, a w Ełku wydawał przez lat kilka pismo p. t. *Przyjaciel ludu lecki*. Zajmując się serdecznie oświatą ludu, nie żałował też swego mienia na wszelkie inne jego potrzeby. Z całą energiją, zapałem i poświęceniem, niestrudzenie do końca życia walczył Gizewiusz przeciw germanizacyi Mazurów, dokazał tyle nawet, że nakazano niektóre przedmioty wykładać w języku polskim. Zasługi jego jako apostoła oświaty i polszczyzny między Mazurami pruskimi są niepożyte. Ogłosił: «*Die polnische Sprachfrage in Preussen*» (zesz. 1—3, Lipsk, 1845—46); ułożył *Śpiewnik szkolny i domowy* (Lipsk. 1846); tłómaczył na niemiecki Czajkowskiego «Czerwoną sukienkę», Skarbka «Dodosińskiego» i Albr. Radziwiłła «Pamiętniki». Wraz z Nesselmanem pracował nad ułożeniem *Słownika litewsko-niemieckiego*.

Julian Bartoszewicz w Hist. Lit. Polskiéj poświęcił Gizewiuszowi piękny ustęp, który tu przytaczamy w całości.

«Gustaw Gizewiusz nie urodził się nawet Polakiem, to jest nie wiedział i nie chciał wiedzieć, że kiedyś przed laty przodkowie jego byli Polakami i że może do nich należał sławny Tydeman Giże biskup warmiński, ów przyjaciel Kopernika... Dziecko od lat młodych zapragnęło zostać kaznodzieją, żeby lud uczyć, i nie chciało pracować w sklepie korzennym. W Królewcu pracując nad teologiją, poznał 14-sto letnią panienkę, sierotę po obojgu rodzicach; była troskliwie wychowaną i bogatą. Panienka ta mazurka, czytała pilnie wszelkie opisy Polski i książki o dawnych dziejach rodzinnéj ziemi, obeznawała się też z ochotą ze spółczesnemi kolejami narodu. Rozkochała się tak mocno w narodzie polskim, że postanowiła pójść za mąż koniecznie tylko za Polaka. Gizewiusz umiał się jéj przypodobać, potém ożenił się z nią, otrzymał kaznodziejstwo parafii polskiéj w Osterodzie i odtąd cały się poświęcił ludowi swojemu. Gizewiusz pokochał wkrótce całą miłością lud, język, piśmiennictwo i historyę polską. Do Gdańska umyślnie jeździł żeby poznać tam Mrongowiusza; do Warszawy, żeby poznać uczonych stolicy. W Warszawie wykazała się naocznie różnica dwóch stanowisk religijnych, katolickiego i dyssydenckiego; w album pewnego literata Gizewiusz nazwał matką, ojczyznę a ksiądz Mętlewicz kościół. Zawiązał zacny ten człowiek korrespondencye z Poznaniem, Wrocławiem, Lipskiem, Pragą i t. d. Zaczął potém pisać. Najprzód tłómaczył na niemieckie powieści Czajkowskiego; było to w celu przekonywania

z dodatkiem melodyj i ofiarował Wójcickiemu. — Przy zbiorze Wacława z Oleska, znakomity skrzypek Karol Lipiński zebrane melodye do pieśni ludu ujął w nuty, w celu rozpowszechnienia; ale wygładą salonową wiele cech ludowych zatracił, a serdeczne „przygrywki“ całkiem

---

Niemców, że Polacy mają swoję literaturę: cel zaiste zabawny. Daléj w różnych pismach niemieckich bronił Polaków, gromił nadużycia szlachty niemieckiéj w postępowaniu z chłopami polskimi. Serce jego obejmowało wtedy całą ziemię pruską. Obok Polaków i Mazurów znalazł swobodne chwile, wśród których poświęcał się pracy dla kraju około podniesienia narodowości litewskiéj w Prusiech. Najważniejszą może pracą Giżewiusza było wydawanie przez lat kilka w Ełku «przyjaciela ludu leckiego». Było to pierwsze peryodyczne pismo polskie w tych stronach. Nie bogaciło wprawdzie literatury, ale piśmiennictwo, bo nie o wielkie głośne sprawy w niém chodziło. Wywoływało działalność literacką wśród swojego ludu, i z radością prawdziwą znajdował Giżewiusz pomocników na swojéj drodze. Było tam w tych próbach zacnych choć nieudatnych dużo życia i myśli swojskiéj, obok cudownéj nieraz prostoty wyrażenia. Oto jak np. Skubich Mazur, kandydat kaznodziejstwa ewangelickiego wita pożytecznemi radami «leckiego przyjaciela ludu», niby zorzę duchowego odrodzenia się Mazurów pomorskich;

Niech mędrsze więc będą innych pisma inne,
Lecz twoje te słowa niech będą niewinne,
Dla starców, dla dzieci jasne i zrozumne,
Niechaj brzmią zbawiennie od chaty do chaty.
Niech może są droższe obce wianki dumne,
Lecz twoje to liście przecież są rodzinne,
Swojskie; tém milsze twoje dla nas kwiaty,
Choć te kwiaty twoje gdzieś na piaskach rosną,
I rosa ich karmi pod posępną sosną.
O mój «Przyjacielu mazurskiego ludu!»
Gdy woń ich poczuje Mazur, wieśniak bosy,
Nie będzie dbał wtenczas o swe biedne losy,
Z Ciebie mając radość, już zapomni trudu.
Może są śliczniejsze gdzie weselne wianki,
Zaplecione w lubéj dziewczyny włos złoty,
Ale cóż? wnet zwiędną przy burzliwéj dobie;
O! tyś trwalszy Lecki od wianków kochanki:
Bo ciebie uplotły nabożne sieroty,
I płacząc składają na swych ojców grobie.
Tych łez jaśniejsze kropelki
Nad wszystkie świata perełki.
Przyćmią złość i chytrość wroga,
Tak ci zabłysną do Boga!
Kiedy te wianki zwiędną, łzy wiatry osuszą,
Lecz jak łzy Chrystusa ukrzyżowanego,
Kiedy nie ludzi, to Boga poruszą!
Więc witam Cię, Ludu przyjaciela cnego.

pominął. Tym sposobem zostawił prawie tylko szkielet prawdziwéj ludowéj melodyi. Lepiéj pojął powołanie artysty w tym względzie Oskar Kolberg: w surowéj, rodzimej prostocie zebrał on i wydał znaczną liczbę melodyj pieśni ludowych, które zostaną nieoszacowanym skarbem dla muzyków polskich. Oprócz nut mamy tu także po raz pierwszy najwierniéj przedstawione postacie typowe i ubiory kmieci polskich, z natury zdejmowane.

Jako kompozytor pisał Kolberg kujawiaki, mazurki, krakowiaki i t. d., oraz operetkę *„Król pasterzy* (Warszawa, 1860), przedstawioną na scenie warszawskiéj w r. 1859.

Kornel Kozłowski, syn Felicyana, tłómacza dzieł Platona, oraz autora, „Dziejów Mazowsza," do których Kornel dodał własną historyczną monografiję Czerska, drukował najprzód w „Bibliotece Warszawskiéj" (1863) w wyjątkach: *Pieśni, podania, baśnie, zwyczaje i przesądy ludu z Mazowsza Czerskiego*, a potém osobno w zeszytach p. t. *Lud* i t. d. (5 części. Warszawa 1868—73). Zbiór ten zaleca się sumiennością i dobrym układem.

W tymże samym przedmiocie pracuje *Zygmunt Gloger* (ur. około 1846 w Jeżewie pod Tykocinem). Zajmuje się głównie badaniem zwyczajów i obyczajów ludowych. Oprócz rozpraw po czasopismach umieszczanych, wydał pod imieniem *Pruskiego «Obchody weselne»* (cz. I, Kraków, 1869).

Zbieraniem i tłómaczeniem pieśni ludowych ruskich, oprócz Bielowskiego i Siemieńskiego trudnili się:

Adam Słowikowski. Ogłosił w Athenaeum (1842) zbiór i przekład *Dum wołyńskich.*

Romuald Zieńkiewicz wydał *Piosenki gminne ludu pińskiego* (Kowno, 1851). Jest tu tekst oryginalny obok

---

Jak Giżewiusz lud kochał, tak i lud kochał i ubóstwiał Giżewiusza. Nie rzucił pasterz gminy swojéj polskiéj Osterody, chociaż się to nieraz zdarzało że mógł zrobić sobie świetniejsze stanowisko. I Gizewiusz nie myślał tego zrobić i lud go na klęczkach nie puszczał z Osterody. Jedyną posadą, dla któréj gminę swoję gotów był rzucić, było miejsce w seminaryum polskiém nauczycieli w Królewcu, ale nie doczekał się wakansu. W 1848 r. obrany był posłem na sejm do Berlina; miał zasiadać wśród najpoważniejszego grona w kraju, kiedy śmierć nagle prawie przyszła 7 maja 1848 r. Lud go najserdeczniéj opłakiwał. W istocie mąż to wielkopomnéj zasługi. Żył zaledwie lat 38.

przekładu wierszem, przez wydawcę dokonanego. Jak piękne są piosenki Pińczuków, niesłusznie upośledzonych w mniemaniu powszechném, okaże następująca pieśń weselna w dzień ślubu, *dla sieroty*.

Sieroto biedna!
Tyś sama jedna,
A dzisiaj twoje wesele;
Wśród dużéj chatki,
Ojca ni matki,
Zbór mały, krewnych niewiele.
Na Ukrainę
Po mą rodzinę
Poszlę kukułkę żałosną,
Poszlę do nieba,
Że ojca trzeba,
Słowik wyśpiewa to głośno.
Lecz z Ukrainy
Nie ma rodziny,
I kukułka nie przybywa;
Słowik nie wrócił,
Co w niebo nucił,
A ojciec tak się odzywa:
«Wstać cię pocieszyć,
«Z radą pośpieszyć,
«Chciałbym, o miła córeczko!
«Lecz mi mogiła
«Drzwi przywaliła,
«Zakryła i okieneczko.»

Bogaty zbiór dum i pieśni ludu ukraińskiego ogłosił *Erazm Izopolski* w Athenaeum Kraszewskiego. Następnie wydał *Dumę z dum ukraińskich*, jakby jeden utwor, ulany z historycznych pieśni ludowych.

Wiele ruskich pieśni ludowych mamy w szacownem dziele p. n. „*Opisanie powiatu Borysowskiego*“ (Wilno, 1847).

Pieśni ludu litewskiego, nie ustępujących co do piękności polskim i ruskim, mamy dwa zbiory godne uwagi: *Rhezy i Szymona Staniewiczą*. Z pomiędzy tłómaczy największe położyli zasługi Jucewicz i Brzozowski.

Ludwik Adam Jucewicz, znany pod imieniem *Ludwika z Pokiewia*, urodził się w Pokiewiu na Żmudzi r. 1810. Wyświęcony na kapłana, późniéj dla zawarcia związków małżeńskich, przyjął wyznanie prawosławne i był nauczycielem geografii w szkole powiatowéj w Leplu, gdzie umarł r. 1846. Pracami swemi wiele przyczynił się do dokładniejszego poznania Litwy i jéj mieszkańców. W tym względzie ważne są jego: *Rysy Żmudzi* (Warsz. 1840)— *Przysłowia ludu litewskiego* (Wilno, 1840) — *Pieśni litewskie*, przełożone na język polski (tamże, 1844) — *Wspomnienia Żmudzi* (tamże 1842) — *Litwa pod względem starożytnych zabytków, obyczajów i zwyczajów* (tamże, 1846). *Napisał także Historyę litewską dla dzieci* (Wilno, 1840) *i Wiadomości biograficzne i lite-*

rackie o uczonych Żmudzinach i t. d. Wyjątki z tego dzieła, pozostałego w rękopisie drukował Hip. Sbimborowicz w „Piśmiennictwie krajowém“ (1841). Rozprawy swe i artykuły umieszczał takie w Tygodniku Petersburskim.

W pieśniach litewskich, mówi Jucewicz, pamięć dawnych znakomitych bohaterów Litwy obecnie już zaginęła. Kiejstut tylko, Biruta i Krzyżacy, pomimo odległéj starożytności żyją jeszcze. Znajdujemy w nich także wiele zabytków dawnego pogaństwa.

O wysokiéj wartości poetyckiéj pieśni litewskich, tudzież o zaletach przekładu, mogą dać wyobrażenie następujące cztery piosenki.

Dumka.

Moja siostro, bywaj zdrowa
Niech cię w szczęściu Bóg zachowa,
Ja tu dłużéj być nie mogę.
Żegnam ciebie, ruszam w drogę.
Pędź koniku siwy,
Mój ty czarnogrzywy!
Już w piszczałki *szaukle* świszczą,
Nad Niewiażą ognie błyszczą:
Tam są naszéj ziemi syny,
Żmudź z Kiejstutem i Litwiny.
A za nimi z po za krzaków
Lśnią się oręże Krzyżaków.
Pędź koniku siwy,
Pędź mój czarnogrzywy!

Dobrze! w porę my przybyli.
No, nie traćmy drogiéj chwili,
Napadnijmy tylko śmiało,
A wrócimy pewno z chwałą:
Bo rycerze z knechtów zgrają,
Nie tak straszni jak się zdają.
Z za Niemna zioną pogróżki,
Krzyczą, łają, postrach sieją,
A w Litwie niziuchne służki,
W oczy nam spojrzeć nie śmieją.
Gdy do nas na bój pospieszą,
Rycerz, knecht czy inne wrogi,
Myślisz że serce pocieszą,
Ledwo spojrzysz, oni w nogi;
Jak nas tu tylko ujrzeli,
Lotem ptaka ulecieli.

Tęsknota.

Po nad Wisłą piękny kraj,
Kwitnie wiosna, szumi gaj;
Kędy spojrzysz naokoło,
Wszystko zda ci się wesoło,
Czysty, czysty ziemski raj!
A mnie tęskno tutaj żyć,
Tęskno pośród obcych być.
Choć tu uciech krążą roje,
Dla nich obce serce moje:
Lepiéj w chłodnéj ziemi gnić.

Więc choć myślą spieszę, gonię,
By odwiedzić lubą chatkę
I uścisnąć drogą matkę,
Zabyć troski na jéj łonie.
Czas upłynął, rok za rokiem,
Przepędzam w obcéj krainie,
A ona w każdéj godzinie
Stęsknioném czeka mię okiem.
W Litwie jaśniéj słońce świeci,
Kwiaty milsze dają wonie,

Ozdobniéj stroją się błonie,
I weselsze twarze kmieci.
Pomnę, w rozkosznéj dolinie
Modrolica Węta płynie;
Tam na lewo bujne łany,
Na nich płynie zboża fala:
A na prawo, w lasku zdala,
Jeżą się dawne kurhany.
Na kwiecistym łąk kobiercu,
Pełne wesela, swobody,
Miłe oku, miłe sercu,
Skaczą raźne korowody.
Litwy dziewa jak królówna,
Jéj w piękności nikt nie zrówna.
Bo kiedy zorza przyświéca,
Wtenczas ona czarownica,
Od zorzy promienie kradnie
I do oczu swoich kładnie.

Kukułki.

Przez most jechałem,
Z konia upadłem,
W rzece leżałem.
Ja tam leżałem
Przez trzy tygodnie,
A nikt nie tęsknił.
I przyleciały
Trzy pstre kukułki
Śród ciemnéj nocy.
Jedna kukała
W końcu nóg moich,
Druga przy głowie;
A zaś ta trzecia
Pstra kukułeczka,
Przy samém sercu.
Żona przy nogach,
Siostra przy głowie,
Matka przy sercu.
Żona płakała
Przez trzy tygodnie,
Siostra trzy lata,
A zaś mateczka,
Droga piastunka,
Przez całe życie.
Żona szła za mną
Przez równe pole,
Siostra stroskana
Do drzwi kościoła,
A matka biedna
Aż do mogiły.

Następująca piosnka jest prawie dosłownem tłómaczeniem śpiewu gminnego, używanego przez płaczki (*raudictojas*) przy zwłokach zmarłego młodziana.

Giltiniu—Rauda.

Czas rycerzu, czas!
Ty porzucasz nas!
Cośmy złego ci zrobili,
Czém przed tobą zawinili,
Że stroskanych, że nas biednych,
Już porzucasz samych jednych?
Czyż ci tu nie dobrze było,
Z żoną piękną, z żoną miłą?
Czas rycerzu, czas!
Ty porzucasz nas!
Za niedźwiedziem któż pogoni,
Kto od wrogów nas zasłoni?
Twój dobytek zginie marnie,
Dzieci twoje któż przygarnie?
Któż twą żonę czarnobrewą,
Cieszyć będzie nieszczęśliwą?
Czas rycerzu, czas!
Ty porzucasz nas!
O wojaku dzielnéj Litwy!
Gdzie ty będziesz staczał bitwy?

Rdza pokryje ostre bronie,
Z żalu zdechną psy i konie.
Z kim ty będziesz tam polował,
Spijał miodek, w noc ucztował?
Czas rycerzu, czas!
Ty porzucasz nas!

Przyjmij nasze to płakanie,
W drogę wieczną pożegnanie,
I pamiętaj, że zostali
Będziem ciebie wspominali,
Sława twoja nie zaginie,
W późne wieki ci zasłynie!

Karol Brzozowski wydał *«Pieśni ludu nadniemeńskiego z okolic Aleksoty»* w polskim przekładzie, z dołączeniem do niektórych melodyj (1844). Nie wszystkie tu wydane pieśni są czysto ludowe; jakkolwiek dosyć upowszechnione między wieśniakami, nie są ich układu, co łatwo z toku i ducha odgadnąć można. «Mają one być układu księdza Drozdowskiego (mówi Brzozowski), który był poetą w narodowéj litewskiéj mowie piszącym. Oprócz ks. Drozdowskiego, dosyć było podobnie pracujących, czego dowodem są przełożone niektóre ballady autora Grażyny. Słyszałem przetłómaczoną bajkę Krasickiego *Dzieci i żaby*, krążącą pomiędzy ludem».

Przytaczamy z tego pięknego zbioru urywek, który nosi na sobie widocznie cechę historyczną i musi być odłamkiem obszerniejszego rycerskiego rapsodu: ale do jakich czasów i osób się ściąga, trudno odgadnąć.

Tam sta mężów setne głosy
Grzmią po górach, grzmią po lesie;
Z wyżyn słuchają niebiosy,
Co tak huczy, co tak grzmi?
Wicher wyje, jeźdźców płacze,
Pędzą bez jeźdźców rumaki,
W skrzepłéj broczą krwi kulbaki
Jako dęby mężów młodych.
— Z nieba szczytu powiedz słońce:
Ztamtąd widzisz świata krańce,
Czy mój gromi mąż pohańce,
Jego rozkazy słyszysz tam grzmiące?
Z nieba szczytu powiedz słońce,
Czy mego syna śmierć nie skosiła?
Czy brodzi mieczem we krwi pohańców
I zdziera łupy i pędzi brańców?

— Powróć dziedziczko Litwy!
Miłości łzami płakać ci!

Wdowąś księżno ty!
Zwycięzca rąbiąc orężem,
Nie miał litości nad twoim mężem:
Wydarł mu język, wyłupił oczy,
Niebo się mroczy,
Patrząc na mękę męża twojego!

Powróć dziedziczko Litwy!
Młodości łzami płakać ci!
Syna twego tracisz ty!
W zażartéj polu bitwy,
Zwycięzca pojmał syna twojego:
Stawia mu szubienicę
I drwi i szydzi.
Pojrzał syn w koło: swoich nie widzi,
Wszyscy runęli trupami!
Oj! ciężko wam, krwawo było z pohańcami!

Do pieśni ludowych należą także pieśni pobożne i religijne, znane pod nazwą *kantyczek*. Ksiądz *Michał Marcin Mioduszewski*, missyonarz (ur. w Warszawie r. 1787, od r. 1820 professor teologii i prawa kanonicznego w seminaryum krakowskiém), autor *Śpiewnika kościelnego* (Kraków, 1842; Lipsk, 1854), ogłosił zbiór pieśni tego rodzaju jako dodatek do «Śpiewnika» p. n. «*Pastorałki i kolędy* z melodyami, czyli piosnki wesołe ludu w czasie świąt Bożego Narodzenia po domach śpiewane, a przez X. M. M. zebrane» (Kraków, 1843). Zbiór ten wyłącznie obejmuje same piosnki ludu, i dla tego wydawca pod tytułem położył uwagę, że «piosnki te w kościele śpiewane być nie powinny.»

«Nie są to pieśni do użycia kościelnego (mówi w przedmowie X. M. M.), i owszem baczność XX. plebanów powinna im tam wstępu zabraniać; ale są to piosnki wesołe i niewinne ludu w czasie świąt Bożego Narodzenia po domach śpiewane. Życie domowe ojców naszych podobne było do życia patryarchalnego. Nie znano wówczas teatrów, balów, redut i innych zabaw dziś tak upowszechnionych: lecz familijne i sąsiedzkie odwiedziny, zwłaszcza około świąt Bożego Narodzenia, bywały dla nich najswobodniejszą zabawą. Wtenczas to przy długich wieczorach i prócz innych rozrywek, pastuszkowie betleemscy stawali im się powodem do tworzenia różnych

pastorałek, w których dość trafnie opisywali rozmaite przygody, ubóstwo, dary i radość z narodzenia Chrystusa, nie już betleemskich, lecz naszych pastuszków. Nie trzeba było więcéj, tylko aby im się myśl nawinęła o pasterzach, a zaraz są na pogotowiu trzody, wilcy, dudy, liry, piszczałki, a przytém i pląsy pastuszków. Piosnki te, jako cechują ducha narodu rolniczego i pasterskiego, tak mało gdzie są znane u innych narodów: a pobożność przodków naszych w samych nawet zabawach jawnie się przebija. Śpiewy te z czasem tak się upowszechniły, że nie było prawie stanu, domu i chatki, gdzieby się niemi nie rozweselano».

Inny od pastorałek jest rodzaj piosnek zwanych *kolędami*— są to powinszowania na Boże Narodzenie. Kolędy śpiewał pleban, klecha i organista; inne lud śpiewa, lub czasem organiście dopomaga. Zbiór znaczny kolęd nabożnych dzieło powyższe obejmuje.

Inni pisarze zbierali przeważnie podania i powieści ludowe.

O «Klechdach» Wójcickiego wspominaliśmy wyżéj.

Ryszard Berwiński, jeden ze znakomitszych poetów pomickiewiczowskich, jak wszyscy romantycy, za główną kopalnię poezyi uważał podania i pojęcia ludowe, i z zapałem zabrał się do pracy w tym kierunku. Owocem jéj były *Powieści Wielkopolskie* (Wrocław, 1840, tylko tom I), książka nader szacowna. Właściwie jest tu jedna tylko powieść ludowa «O dwunastu rozbójnikach» i ważne przypisy tyczące się téj gałęzi literatury. Nie pozostał jednak Berwiński w tym kierunku na punkcie dogmatyzmu, na jakim się zatrzymali jego współpracownicy, ale owszem, w wydaném w 1854 w Poznaniu dziele p. t. «*Studya o literaturze ludowéj ze stanowiska historycznéj i naukowéj krytyki*» (t. 2), dowodzi, że obrzędy, podania i wierzenia ludu naszego nie są rodzime, lecz napływowe, przyniesione z Zachodu i pomiędzy ludem rozpowszechnione dopiero po przyjęciu chrześcijaństwa, oraz że lud, jako całość pozbawiona oświaty, nie może się zdobyć na samodzielność, jaką mu przypisywano powszechnie.— Toż samo dzieło wydał w Poznaniu Merzbach w r. 1862 p. n. *Studya o gusłach, czarach, zabobonach i przesądach ludowych.*

«*Powieści ludu spisane z podań*» przez *Karola Balińskiego* wydał K. W. Wójcicki (Warszawa, 1842). Są tu niektóre dziwnéj piękności powiastki.— (Jest inny Karol Baliński, znakomity poeta, o którym zob. niżéj).

Jan Barszczewski urodził się w Morachach na wschodniéj granicy Białorusi r. 1794; uczył się w akademii połockiéj. Pomiędzy 1840 a 1844 r. wydawał w Petersburgu pismo zbiorowe p. t. «*Niezabudka*». Umarł na Wołyniu r. 1851. Pochowany w Cudnowie. — Troskliwy zbieracz podań i pieśni ludowych, ogłosił bogaty i nadzwyczaj ciekawy zbiór powieści białoruskiego ludu p. t. «*Szlachcic Zawalnia*, czyli Białoruś w fantastycznych opowiadaniach przez Jana Barszczewskiego, poprzedzona krytycznym rzutem oka na literaturę białoruską» (Petersburg, 1844, t. 4). — Z oryginalnych utworów Barszczewskiego wyszedł w Kijowie zbiorek p. n. *Proza i wiersze* (1849, tylko część I).

A. J. Gliński ogłosił w Wilnie r. 1853 we 4 tomikach zbiór baśni, powieści i gawęd ludowych p. n. *Bajarz Polski*. Jest tu wiele i nowych powiastek gminnych, i znanych już z poprzednich zbiorów, ale z pewnemi zmianami co do układu i treści powtórzonych. Sam wydawca w przedmowie wyznaje, że ich nie zbierał, ale jak w dzieciństwie namiętnie nasłuchiwał, późniéj z pamięci napisał. «Pochodzą one, mówi Gliński, głównie z powiatu nowogródzkiego, mianowicie ze Szczors i Niechniewicz dóbr zmarłego 1844 r. Adama hr. Chreptowicza, który był szczególniejszym dobroczyńcą i opiekunem swych włościan. Utrzymując dobry ich byt, zwłaszcza przy szkole włościańskiéj wzajemnego uczenia, dla stu przeszło uczniów, do r. 1831 istniejącéj, spowodował, że nigdzie takich i tyle, co tam baśni nie napotkaliśmy. Jest to bodaj czy nie jedyny na Litwie zakątek, gdzie się liczniéj i lepiéj przechowały dotychczas pamiątki ludowe w ogólności, a mianowicie baśni, ku którym szczególniejsze zamiłowanie lud tameczny czuje, tak, iż podczas długich wieczorów jesieni i zimy, ulubieni bajarze, jak niegdyś minstrele i trubadurowie, chodząc od chaty do chaty gościnnych i pracowitych kmiotków, mile ich bawią swém opowiadaniem».— Zbiór Glińskiego napisany po większéj części wierszem, jeżeli formą sztuczną zaciera poniekąd

charakter gminnych baśni, przynajmniéj w treści zachowuje myśl i wyobraźnię ludu.

Podaniami ludowemi i mitologiją zajmował się także znany uczony i powieściopisarz *Antoni Jaxa Marcinkowski*, pisujący pod imieniem *Antoniego Nowosielskiego*, a dawniéj *Alberta Gryfa*. Płodny i różnostronny ten pisarz urodził się we wsi Mostyszczach, w powiecie kijowskim r. 1823. Do lat 15-tu pobierał wychowanie domowe; w r. 1838 był przez półroku w pensyonie Józefa Korzeniowskiego w Kijowie, z którego w tymże roku wstąpił do gimnazyum, a w 1841 zapisany został na wydział literacki w uniwersytecie kijowskim. Na trzecim kursie przerwał studya uniwersyteckie z powodu choroby piersiowéj. Znajomość z Benedyktem Dołęgą (pseudonym Jurkiewicza), który pisywał do Tygodnika Petersburgskiego, zachęciła Marcinkowskiego do pióra, i w r. 1843 wydrukował w tém piśmie pierwszy swój artykuł. Następnie z Jurkiewiczem redagował *Gwiazdę* kijowską, któréj tom I Zenon Fisz wydał w Petersburgu r. 1847. W czwartym tomie Gwiazdy (1849) już nie brał udziału, a wydał pismo zbiorowe *Lewiatan*, które, jak sam się wyraził, «było wielkie ladaco» [1]). Jednocześnie ogłosił powiastkę p. n. *«Ideały i karykatury*, czyli *Mara»*. Wiele tam młodzieńczego uczucia, wiele marzeń. Powieść *Dwie Siostry* więcéj ma w sobie dickensowskiego humoru, więcéj werwy, rysunek charakterów pewniejszy, ale zawsze wiele tu jest liryzmu i tęsknoty do czegoś wyższego i piękniejszego. *Pamiętniki kuratora magazynów* stanowią galeryę obrazków z życia wziętych. Oba te dzieła bardzo były czytane w swoim czasie; pociągał do nich humor w nich rozlany. Wydał także wspomnienia z podróży po Krymie p. n. *Stepy, morze i góry* (Wilno, 1854, tomów 2), powiastkę *Stary biuralista* (Kijów, 1860) i z artykułów pisywanych do gazet ułożył dwa tomiki Pism krytyczno-filozoficznych. Był Marcinkowski z początku zapalonym heglistą, ale doświadczenie, zawody życia, wpływ «Konferencyj» Lakordera i obcowanie ze światłą a piękną duszą chrześcijańską pani Dyonizy Poniatowskiéj skierowały go na drogę religii objawionéj. Pod tym wpływem przełożył 3 tomy Konferencyj Lakor-

1) W liście prywatnym z 1874 r.

dera *O społeczności katolickiéj* (Warszawa, 1860; dwa tomy drukowane, a jeden pozostał w rękopiśmie) i dzieło X. Dubois »O pełnieniu powinności chrześcijańskich». Przełożył także z angielskiego dzieło Luisa (Lewes) «Żywot Goethego» i skompilował gruby tom «Dziejów kościoła», zachęcony do téj pracy przez X. biskupa Borowskiego wówczas, kiedy jeszcze po szkołach uczono dziejów kościelnych po polsku. Dzieło to spoczywa w rękopiśmie. Mnóstwo jest artykułów tego pisarza po czasopismach, jako to: w *Roczniku Literackim* Podbereskiego, w *Groszu Wdowim* Grozy, w *Wiązance* Wilkońskiéj, w *Bibliotece Warszawskiéj*, *Dzienniku Warszawskim*, *Gazecie Warszawskiéj*, *Gazecie Codziennéj*, w *Piśmie zbiorowém* Petersburgskiém, w *Opiekunie Domowym*, a nawet w *Przeglądzie Tygodniowym*. Pisał też i w Pamiętniku Naukowo-literackim Podbereskiego (dowcipnie nazwanym przez Kraszewskiego «pamiętnikiem nieukowo-literackim»); w ostatnich zaś czasach ogłosił kilka rzeczy w zbiorowych pismach kijowskich: *Kwiaty i owoce* i *Co Bóg dał*.

Dzieło Marcinkowskiego «*Pogranicze naddnieprzańskie*» (Kijów, 1863, tomów 2), jest niby opowieścią historyczną z podań miejscowych. Oprócz tego zajmował się gorliwie mitologiją i podaniami ludowemi. Zastanawiało go szczególniéj podobieństwo wzajemne do siebie podań aryjskich. Dla zrozumienia tego faktu począł porównywać jedne z drugiemi, i ztąd powstało wyborne, jakkolwiek naprędce napisane dzieło p. t. *Lud Ukraiński* (Wilno, 1857, tomów 2), mieszczące w sobie etnografiję słowiańską, bajki ukraińskie, bajki słowiańskie u Herodota i Lucyana, stare podania, klechdy o djabłach, duchach, upiorach i t. d. Obecnie autor posiada materyały do drugiéj edycyi, które zbierał przez lat dwadzieścia. Oprócz tego naszkicował «Mitologiję porównawczą słowiańską» i «Historyę bajek ludowych, z któréj wyjątek umieścił w *Kwiatach i Owocach*. W pismach tych, obok niepospolitéj erudycyi, wiele jest naciągań, pochodzących z przejęcia się teoryami pisarzy niemieckich.—

Niemało także podań i powieści ludowych obejmują *Zarysy domowe* Wójcickiego i czasopisma: Przyjaciel Ludu, Athenaeum, Biblioteka Warszawska, Tygodnik Ilustrowany, Kłosy, Wiek i t. d. Tutaj należą: «Studya

nad podaniami ludu naszego» p. *Józefa Grajnerta*, Badania etnograficzne nad zwyczajami i obyczajami ludu *Mścisława Kamińskiego*, «Obrzędy, zwyczaje i gusła ludowe nad Niemnem» przez *Edwarda Chłopickiego* i t. d.

Zbieraniem przysłów i przypowieści, oprócz Wójcickiego, trudnili się:

Tymoteusz Lipiński, znakomity historyk i starożytnik. Pozostawił w rękopiśmie cenny zbiór przysłów i przypowieści polskich, z którego wyjątki umieszczał już to w *Bibliotece Warszawskiéj*, już w kalendarzach. Zbłądził tém, że z właściwemi przysłowiami pomięszał wiele wyrażeń piękniejszych czyli sposobów mówienia poetów i prozaików polskich, które nigdy przysłowiami właściwie nie były, przez co zamącił prawdziwe znaczenie i wartość tych skarbów ojczystego języka.

Józef Lompa, zasłużony nauczyciel ludowy w Górnym Szląsku, urodził się w mieście Oleśno (Rosenberg) r. 1797. Początkowe nauki pobierał u reformatów w Wieluniu, dalsze w seminaryum katolickiém we Wrocławiu. W r. 1817 został nauczycielem i pisarzem gminy Łomnicy w powiecie oleskim, potém w Lublińcu i Lubszy. W końcu był tłómaczem sądowym w mieście Woźnikach. Umarł w Lubszy r. 1863. — Lompa jako pisarz położył znakomite zasługi dla oświaty ludności polskiéj na Szląsku i niemało przyczynił się do odżywienia tam języka polskiego. W uznaniu tych zasług zaszczycony był tytułem członka korrespondenta wszystkich prawie towarzystw polskich naukowych i rolniczych, a od zacnego obywatela Michała Konarskiego otrzymał 10,000 złp. Wydał i napisał dziełek ludowych 53, z których celniejsze są: «*Krótkie wyobrażenie historyi Szląska dla szkół elementarnych*» (Opole, 1821); «*Zbiór pieśni*» po większéj części treści religijnéj (Opole, 1840); «*Książka do czytania dla klassy średniéj w szkołach katolickich miejskich i wiejskich*» (Wrocław, 1843); «*Pielgrzym z Lubopola*»; «*Krótki rys geografii Szląska dla nauki początkowéj*» (Głogówek, 1847); «*Nowe udoskonalone pszczolnictwo*» (Leszno, 1859) i t. d.

Pomiędzy innemi książeczkami Lompa wydał także «*Przysłowia i mowy potoczne ludu polskiego w Szląsku*», z godłem Jachowicza; «*Cudze chwalicie, Swego nie znacie: Sami nie wiecie, Co posiadacie*». (Bochnia, 1858),

Wydawca zbierał je z ust ludu szląskiego. Są to szczeropolskie przysłowia i wyrażenia, dochowane w Szląsku austryackim.

Oprócz tego o przysłowiach i przypowieściach polskich wiele mamy rozjaśniających szczegółów: w *Kwartalniku Naukowym* Helcla (Kraków, 1835; tom drugi, w rozprawie: «Filozofija i przysłowia ludu w Polsce»), w *Starych gawędach i obrazach* K. Wł. W. (w tomie 2-gim: «O przysłowiach historycznych i rolniczych ludu w Polsce i na Rusi»), w *Michała Wiszniewskiego* «Historyi Literatury Polskiéj» (t. I, Kraków, 1840), w *Zarysach Domowych* K. Wł. W. (w t. 2-gim: «Zwierzęta, ptaki, drzewa i rośliny, uważane ze stanowiska ludu), i w *Obrazach starodawnych* (w t. I: «Przysłowia zmarłe»).

Zbiory ludu ruskiego przysłów mamy w *Athenaeum* Kraszewskiego i w *Opisaniu powiatu Borysowskiego* Ważny jest także małoruski zbiór *Nomisa* (Simonowa).—

W ogóle jednak paremiografia polska pozostaje dotąd w kolebce. Przy zbieraniu przysłów nie zapatrywano się na nie ze stanowiską naukowego, nie układano onych systematycznie, a témbardziéj nie myślano z nich zrobić należytego użytku, to jest nie starano się z myśli zawartych w przysłowiach polskich wystawić obraz filozofii narodu. Nie koniec na tém. Wypleniliśmy niejako te kwiaty mądrości rodzimej z gleby umysłowego żywota; ztąd literatura nasza dzisiejsza przestała być *przysłowiową*, przez co straciła wiele na barwności i charakterze odrębnym. Nie tak było w XVI i XVII wieku, kiedy, jak mówi Maciejowski, «pisarze sądząc gminnym, ale już wykształceńszym dowcipem, piśmiennictwo ówczesne umiejętnie połączyli z przeszłością, z kwiatu przysłów miód wyssawszy i nim dzieła swe okrasiwszy». Pojmowali to i w naszym wieku wzorowi pisarze—i dla tego to w dziełach Mickiewicza, Pola, Chodźki i innych ulubionych autorów, napotykamy jeszcze gdzieniegdzie te samorodne kwiatki—i podobają się nam one, jak maczki polne pośród kłosów pszenicy. Wielką zatém i chlubną przysługę robią literaturze skrzętni zbieracze przysłów, przechowanych w pomnikach przeszłości, lub wytwarzających się i dzisiaj jeszcze po za obrębem piśmiennictwa. Chodzi jedynie o to, ażeby umiejętném onych ugrupowa-

niem i wyjaśnieniem wprowadzić je drogą świadomości powszechnéj napowrót do życia.

Potrzebę tę zrozumiał *Aleksander Weryha Darowski*, (zmarły w Berl. r. 1874), znakomity excentryk, humorysta, cynik po trosze, w istocie zaś człowiek i pisarz wielkiéj zacności, głębokiéj nauki i niepospolitych zdolności krytycznych. Ogromne oczytanie, ostry dowcip i niesłychana pamięć, zastępowały mu inne przymioty znamionujące uczonych— umiejętność stawiania rusztowań, cierpliwość w robieniu wyciągów, zastanawianie się nużące nad cząstkowemi wypadkami badań i żelazną wytrwałość w pracy. Do poszukiwań swych naukowych niewielką przywiązywał wagę. «Jest to jeden z najznakomitszych znawców dziejów narodowych — powiada o nim Bartoszewicz — przy zdolności ogromnéj, znajomość rzeczy, naczytanie się w nim wielkie. To jedynie szkoda, że nauką zajmuje się Darowski jak zabawką *); gdyby się jéj wyłącznie poświęcił, zostałby znakomitością wielką. Dzisiaj go kraj nie zna prawie pod tym względem, gdy wiele ważnych artykułów swoich drukował bezimiennie dawniéj w *Dzienniku*, a potém w *Kronice Warszawskiéj*. Jest to zdolność wszechstronna, bo i poetycka. Darowski pisze powieści, wojuje ironiją i dowcipem, poezyą swoją budzi uczucia poważne i wzniosłe, lub za serce żywo nas porusza (Trzéj królowie, Opowiadanie teorbanisty i t. d.)». Sam zaś o sobie mówi: «Historycy, tak jak kupcy, jedni są hurtownicy, a dru-

*) Niekiedy zabawka ta przybierała postać niezbyt chwalebnéj mistyfikacyi. W r. 1863 Darowski wydał we Lwowie «Pieśń Krzysztofa Arciszewskiego». We wstępie autor pisze: «Pieśń Krz. Arciszewskiego ogłosiłem przed piętnastu laty w «Bibliotece zakładu narod. imienia Ossolińskich» w r. 1848. Znalazłem ją w starym foliancie z rodzaju tych, które pospolicie «Silvae rerum» zowiemy. Rękopis ten jest dzisiaj własnością archiwum p. Konst. Podwysockiego w Rychtach Humieckich pod Kamieńcem Podolskim». — Wójcicki uwierzył temu i umieścił pieśń pomienioną w Bibliotece Warszawskiéj (sierp. 1864), jako autentyczną. Autorem tego «zabytku» jest sam Darowski, który z dziwną zręcznością umiał naśladować język do pewnéj epoki dziejowéj, do tego stopnia, że z wszelką łatwością używał w listach, albo utworach ulotnych, mowy polskiéj właściwéj czy to czasom zygmuntowskim, czy okresowi panowania Sasów.— Takaż sama historya powtórzyła się z pisemkiem p. t. „Dyaryusz podróży do Warszawy, stara satyra polska“ (Lwów, 1872 roku).

Już to przyszły bibliograf będzie miał wiele troski, nim mu się uda rozwikłać wszystkie psoty literackie Darowskiego. Nie było to właściwie fałszerstwo, nowych bowiem faktów nie tworzył, ale naśladownictwo zręczne, dowodzące zdolności niemałych.

dzy drobiazgowi; ja należę do pierwszych, ale nie przeczę, że i drudzy z wypadków przeszłości mogą ciągnąć daleko większe korzyści. Już samo umiejętne rozgatunkowanie towaru, znacznie podwyższa jego wartość; ale po temu nie wszyscy mają czas i cierpliwość; téj ostatniéj bardzo mi braknie». A jednak wybrane do opracowania przedmioty traktował z całą drobiazgowością erudyta.

Darowski pisał dużo, drukował mało w stosunku do tego, co pisał. Miał zwyczaj ogłaszać swoje prace w kilkudziesięciu zaledwie egzemplarzach; nie podpisywał ich własném nazwiskiem, lecz używał ku temu najrozmaitszych pseudonymów (*Arteniusz*, *Mizantrop*, *Czomber*, *Duda*, *Solecki*); zmyślał miejsca wydania: odbijał je bowiem tylko w Kijowie, Lwowie, Lipsku, Brukselli i Paryżu, nigdy w Mohylewie, Wenecyi lub w Dreźnie. Wybierał najchętniéj rzeczy, których nikt przed nim nie tknął. Na traktowanę przez innych zapatrywał się ze stanowiska całkiem oryginalnego. Pomiędzy innemi zajmował się z zamiłowaniem przysłowiami polskiemi i wielkie na tém polu położył zasługi. Opracował i przygotował do druku «Przypowieści Salomona Rysińskiego», *) tudzież *Przysłowia polskie odnoszące się do nazwisk szlacheckich i miejscowości*. Ostatnie to dzieło, ogłaszane pierwéj jedynie w wyjątkach (drukowanych w Kijowie pomiędzy 1867 a 1870 r.), ukazało się w całości już po zgonie autora w Poznaniu r. 1874.

Podziału systematycznego treści w książce Darowskiego nie ma; autor trzyma się porządku alfabetycznego, tak, że przysłowia szlacheckie i gminne, historyczne i potoczno-domowe, przygodne i anegdotyczne, jakoteż epigramata i bezmyślne igraszki wyrazów — wszystko to stoi w jednym szeregu. Jest to ujemna strona dzieła. Pomiędzy przysłowiami odnoszącemi się do nazwisk szlacheckich, bardzo mało jest gminnych — a i te, które tu przytoczono, z wyjątkiem jednego, wszystkie są w ukraińskim języku: autor albowiem nie ograniczał się wyłącznie przysłowiami polskiemi; owszem, przytacza kilkadziesiąt ukraińskich, białoruskich, litewskich i rossyjskich, mających jakąkolwiek styczność z publicznemi lub domowemi spra-

*) Rękopis ten stanowi własność Zakładu nar. im. Ossolińskich.

wami szlachty polskiéj. Więcéj już przysłów i przypowiastek ludowych znajdujemy w oddziale, odnoszących się do nazwisk miejscowości. W ogóle, jednak, wszystkie te przypowiastki, mizerne dają wyobrażenie o polocie wyobraźni ludowéj i sprawdzają twierdzenie Berwińskiego, że «lud nie ma samodzielnéj twórczości ducha, — a jeśli ją ma, to w takiéj tylko mierze jak dziecko. Siła jego ducha, a raczéj wyobraźni, jest tylko reprodukcyjną. Co w nią wniosą lub wrzucą zewnętrzne stosunki miejsca i czasu, w których żyje, to wedle rozwinięcia władz swoich umysłowych przetwarza czasami, ale i to nie zawsze».

Pod względem zupełności, zbiór Darowskiego niewiele pozostawia do życzenia. Autor zgromadził w swém dziele wszystko, co tylko dawne lub nowsze książki, rękopisma, tradycye i tym podobne źródła zawierały przydatnego do jego przedmiotu. Około stu pisarzy, tak dawniejszych jak nowych, posługiwało mu w téj pracy. Niemało też wiadomości czerpał ze starych rękopismów, z aktów urzędowych i listów osób prywatnych. Wykład każdego przysłowia przez Darowskiego nie można inaczéj nazwać, jak znakomitym. Żaden z poprzedników jego nie dorówna mu pod tym względem. Objaśnienia Lindego częstokroć są bałamutne; u Lipińskiego erudycya ćmi krytykę; — Darowski posiadał dwa warunki niezbędne dla paremiografa: ogrom wiadomości, które zawsze miał na rozkazy, dzięki olbrzymiéj pamięci, i ostry, jasnowidzący dowcip, który mu posługiwał nierównie lepiéj, niż innym namysł najgłębszy. To też większa część jego objaśnień uderza swą trafnością tak mocno i stanowczo, że nie pozostawia po sobie najmniejszéj wątpliwości w umyśle czytelnika. Nie ogląda się on na żadną powagę, lecz poszukuje dróg nowych i często kilku słowami kruszy mniemania uświęcone dziesiątkami lat i uznaniem powszechném *). Język jędrny, dosadny, pełen oryginalnych zwrotów i humorystycznego kolorytu, nadaje dziełu powab, nie dozwalający czytelnikowi oderwać się od niego aż do końca.

*) Weźmy np. wykład przysłowia: „*Wyrwać się jak Filip z konopi*“ (Benedykt Chmielowski). „To iest, gdy kto co nie á *propos* mówi. — Filip ze wsi własnéj Konopie, będąc za Augusta I posłem na sejmie piotrkowskim, w swoim odezwał się interesie; krzykniono: «Panie Filipie z Konopi, wyrwałeś się», jako pisze *Cnapius in Adagiis*“ (Nowe Ateny, albo Akademia wszelkiéj

Niektórzy z historyków literatury, zastanawiając się nad poezyą pomickiewiczowską, upatrują w czasach dzisiejszych (mniéj więcéj od r. 1840) okres *przesilenia*, czyli przejściowy. Podzielając ten pogląd Nehring, w «Kursie Lit. Pol»., mówi: Kierunek romantyczny i niektóre poezye Mickiewicza (np. *Faryś*, *Oda do młodości*, *Improwizacya*) popchnęły poezyę na niebezpieczne drogi wygórowanych uniesień. Przyczyniły się także do tego wypadki polityczne, a więcéj jeszcze egzaltowane dążności i teorye. Wszystko, co odznaczało się siłą, było przedewszystkiém w cenie; wszelkie prawidła i formy sztuki odrzucano jako krępujące poetycznego ducha; sam genijusz miał sobie prawa stanowić; — hymn Garczyńskiego *Do Genijusza* i

---

sciencyi pełna i t. d. Lwów, 1745 r., Cz. I str. 67). — Późniejszy kompilator krótkich przypowieści dawnych Polaków (Kraków, 1819) zlekka upiększył zmyśloną bajeczkę; każe jéj bohaterowi 40 lat gromić pogan na pograniczu i oznacza w Sandomierskiém miejscowość Konopie, a za nim powtórzył ją Wójcicki w «Przysłowiach Narodowych». — Chmielowski nie tylko zmyślił bajkę, ale skłamał powagę; Knapski w „Adagiach" nie ma tego przysłowia, a ów „Filip z Konopi", podług innéj bajki, miał kiedyś płoszyć szczury i żaby, ale nigdy Turki i Tatary (Ossoliński. „Wieczory Badeńskie"). — Powszechnie kota zowią *Maćkiem*, *Maciusiem*, i tak samo u Rusi południowéj zając został *Pilipem*, to jest *Filipem* zawołany. Zwierz ten od silnego zapachu, jaki wydzielają konopie, wpada w odurzenie i senność, w których nierzadko, przy mykaniu płoskoni, daje się podejść tak blizko, że go łowią rękoma; ztąd to u S. Rysińskiego przysłowie zapisano foremniéj i poprawniéj: nie „wyrwał się", ale „*wymknął go, jak Filipa z konopi*". Ilkiewicz nie będąc pewnym, czy *Filip* będzie zrozumiałym i czy ta nazwa zająca nie jest wyłączną u Rusi Halickiéj, zmienił ją i zapisał przysłowie: „*Wyrwawsia, jak zajać z konopel*". Powtórzyli je za nim Zakrzewski i Nomis, ale ten ostatni ma jeszcze trzy inne z *Filipem*: małorossyjskie od Piriatyna „*Wyrwawsia, jak Pilip z konopel*", ukraińskie od Kijowa „*Wyskoczyw jak Pilip z konopel*" i podolskie od Jampola „*Hulk, jak Pilip z kukuruziw*" a przy nich znalazła się bajeczka Chmielowskiego, wyjęta z „Przysłów Narodowych". Zwracam uwagę na te kukurudzy postawione przy konopiach, gdyż jakiś domyślny paremiograf może nowy uczynić wniosek, że pan Filip, oprócz Konopi w Sandomierskiém, posiadał jeszcze inną wioskę Kukurudzę na Podolu". — I kogoż nie zaspokoi to objaśnienie?...

A oto drugi przykład:

„*Jeden do Sasa, drugi do lasa.* Powszechnie w tém przysłowiu tłómaczą *Sasa* przez Augusta II, a pod *lasem* rozumieją Leszczynę to jest Stanisława Leszczyńskiego; jednak nie urosło ono z wypadków pierwszych lat XVIII wieku, a tylko tych czasów mogło przyrość drugim przyimkiem *do*, gdyż bez niego: „*Jeden sa, sa, a drugi do lasa*", należy do najdawniejszych przysłów książkowych. Zapisane przez Rysińskiego, znajduje się w starszym jeszcze od niego pisarzu: „Trudno ma wóz dobrze iść (pisze ks. Gilowski), kiedy jeden stary wół ciągnie dobrze *sa, sa*, a drugi młody *do lasa* — potrzeba sworności". (Postylla, czyli kazania, r. 1859)".

Mickiewicza najognistsze poezye stały się hasłem i przewodnim wzorem dla wielu młodych egzaltowanych poetów; cierpienia bohatera *Dziadów* znalazły oddźwięk w nieskończonych skargach tych poetów; Karola Balińskiego *Farys* i Ujejskiego *Syn bolu*, jako też wiele innych tym podobnych wierszy, są wyrazem tego niezadowolnienia, jakie w poezyi panować zaczęło: Podobnie jak kilkadziesiąt lat wprzódy w Niemczech *), tak w Polsce kilkanaście lat po wystąpieniu Mickiewicza okazało się w poezyi i w młodych poetach przesilenie, którego znamieniem było odstąpienie od prawideł i gonienie za nadzwyczajném natchnieniem; obok tego sentymentalność, niezadowolnienie, niesmak lub rychły przesyt, skargi i satyra na społeczeństwo, niedowiarstwo lub bałwochwalstwo siły ducha. Niektórzy poeci i w tém są podobni do niemieckich poetów z czasów przesilenia, że przedewszystkiém wielbią zalety ludu... W następstwie myśli wypowiedzianych w *Odzie do młodości* (zwłaszcza wiersza; «Daléj z posad bryło światał») uważają ci poeci świat i stosunki świata jako pełne złego i w uniesieniu ducha nowy świat stworzyć pragną; ztąd jedni porównywają się do «orłów, proroków» i t. p., inni w uczuciu niemocy melancholiczne mają udręczenia i skarżą się na «ciągłych pragnień żar nieugaszony». (Baliński). Do poetów tego kierunku należą ze zdolniejszych: Sowiński Leonard, Jabłoński Henryk, Żeligowski Antoni, Żygliński Franciszek, Berwiński Ryszard i Ujejski Kornel. Po większéj części znać w ich poezyach pokrewieństwo z duchem Mickiewicza, lecz do jego szkoły policzonemi być nie mogą dla odmiennéj barwy poetycznéj. Niektórzy z nich, jak Baliński i Ujejski, przeszedłszy przez gorączkowe wysilenia, wyrobili się, i w późniejszych utworach jaśnieją blaskiem klassycznéj sztuki; inni tak w życiu jak w poezyi goniąc za nadzwyczajnemi wrażeniami, nie dokonali żadnego dzieła wyższéj, wykończonéj wartości. Dodajemy wyraźnie tę uwagę (zastrzega w przypisku Nehring), że opuszczamy bardzo wielu poetów, którzy w tym duchu pisali, i to tych którzy z przesady popadli nawet w chorobliwy manieryzm i nie okazali wyższych zdolności. Opuszczamy cały szereg naśladowców *Konrada* w *Dziadach*, którzy purpurowy płaszcz wielkiego poety na szmaty dla siebie podarli. Kto chce mieć wyobrażenie, do jakiego stopnia szału niektórzy poeci w zaufałém

*) Epokę tego przesilenia w poezyi niemieckiéj nazywają powszechnie „*Sturm* — und *Drang-Periode*“, a poetów tego okresu genijuszami.

przekonaniu o genijalności się posunęli, niech weźmie do ręki *Poezye* przez F. L. w Poznaniu r. 1845».

Na zapatrywanie się takie w żaden sposób zgodzić się nie możemy. Naszém zdaniem poezya polska jest podziśdzień dalszym ciągiem mickiewiczowskiéj. Genijusz ten poruszył wszystkie struny ducha twórczego, a spokrewniwszy się z największemi genijuszami wszystkich wieków i całéj ludzkości, uniepodobnił, że tak powiemy, absolutnie odrębną i samodzielną arystokracyę duchową po za sferą swojego świata. Czy zostałby Mickiewicz twórcą *Konrada Wallenroda*, *Dziadów*, *Pana Tadeusza*, gdyby nie znał Homera, Goethego, Schillera, Byrona, Kochanowskiego? — Nie, bez wątpienia Podobnież Julijusz i Zygmunt nigdyby nie zajaśnieli jako gwiazdy pierwszego rzędu, gdyby nie Adam; toż samo stosuje się do Pola, Syrokomli, Lenartowicza, Ujejskiego i innych. Autor Irydiona pod wrażeniem wiadomości o śmierci Mickiewicza tak pisze do przyjaciela swego Adama Soltana: «Pan Adam już odszedł od nas; na tę wiadomość pękło mi serce. *On był dla ludzi mego pokolenia miodem i mlekiem, żółcią i krwią duchową; my z niego wszyscy.* On nas był porwał na wzdętéj fali natchnienia swego i rzucił w świat. Był to jeden z filarów podtrzymujących sklepienie, złożone nie z głazów, ale z serc; filar to był olbrzymi, choć rozpękły sam. A teraz gdy dołamał się i runął w przepaść, całe sklepienie ono zadrzeć musi, i kroplami krwi z ran serc z których złożone, płakać nad jego grobem! Największy wieszcz nie tylko narodu, ale wszystkich plemion słowiańskich już nie żyje!»

Nie runął jednak ten filar w dziedzinie poezyi: bo gdyby tak było w istocie, nie mielibyśmy żadnego poety po Mickiewiczu, wróciliby śmy do czasów Stanisława Augusta i księstwa Warszawskiego, do wieku Szymanowskich, Osińskich, Felińskich i t. d. Na szczęście poeci nowi (mówimy o poetach prawdziwych, z powołania), otrzymawszy ostatnie święcenie kapłańskie od ducha wielkiego wieszcza, promieniejącego w dziełach jego, nie myślą już o Arkadyi i jéj pasterzach, nie opiewają «świątyni Wenery w Knidzie», ale od razu kierują swój polot ku ideałom prawdy, piękna i dobra, towarzysząc natchnioną pieśnią uroczystemu pochodowi ludzkości do jéj świętych przeznaczeń. Takim sposobem Mickiewicz dopomógł pokoleniom przyszłym do znalezienia straconéj od wielu lat drogi, po któréj niegdyś niezachwianie kroczyli wielcy narodowo-obywatel-

skim duchem pisarze XVI i XVII wieku. W tym względzie dokonał on raczéj *zwrotu* nie zaś *przełomu* w poezyi polskiéj. Jest to olbrzym i drogoskaz na rozstajnych drogach prawdy i błędu — i każdy kto chce uniknąć manowców, powinien przedewszystkiém zwrócić nań badawcze spójrzenie. Jakoż po Mickiewiczu nikt już nie zdoła przemówić potężniéj do serc, nie potrącając uczuć zbiorowych, wyższych nad egotyczne popędy i uniesienia. Wyglądają wprawdzie niekiedy, jak upiory z pod ziemi, widma bajronizmu, do których przyłącza się poronione potomstwo Heinego i Musseta; lecz śpiewacy tego rodzaju nie mają żadnéj przyszłości przed sobą. Nie mają jéj również, pomimo chwilowego, często olbrzymiego rozgłosu, i tacy poeci, którzy nadewszystko cenią wytworną i piękną formę, których poezya przypomina już to połyskujące a zimne kryształy dyamentów, już subtelną i wiotką, a nie trwałą jak pajęczyna tkań koronkową.

Poeci zaliczani do mniemanego «okresu przesilenia» wyrażają właśnie w utworach swoich myśl rozbudzoną przez Mickiewicza z letargu, w jaki wprawiło ją niewolnicze naśladowanie francuzczyzny. Rozczytując się w ich pismach, znajdujemy w nich te same żywioły, jakie stanowiły duszę i treść ziemiańskiéj poezyi okresu Zygmuntowskiego: to samo górujące nadewszystko poczucie dążeń powszechnych, ten sam niepohamowany popęd do społecznéj satyry, którym tchną poezye Klonowicza, Zbylitowskich, Opalińskiego, a w późniejszym czasie wielkiego Naruszewicza. Oczywiście uwzględnić należy odmienność formy, wynikającą już to z różnic indywidualnych, już ze zbliżenia się z tak zwaną literaturą romantyczną, z rozszerzenia zakresu pojęć estetycznych i poglądów społecznych, nareszcie z entuzyazmu właściwego młodym poetom, usiłującym «dźwignąć świat nowemi tory». Upojenie i zapał tego rodzaju stanowią rys charakterystyczny każdéj epoki w jéj młodzieńczém zaraniu, a przecież czasy Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego dziś nawet jeszcze nie można uważać za zbyt odległe. Nie widzimy przeto najmniejszéj potrzeby tworzyć jakiéjś nowéj, nieokreślonéj «epoki przesilenia», i mówić zawsze będziemy o poetach okresu Mickiewiczowskiego, zwracając przedewszystkiém uwagę na tych, którzy bądź w lirycznym, bądź w opisowym lub dramatycznym rodzaju podejmowali godne poezyi narodowéj zadania. U wszystkich tych poetów przemagającym żywiołem jest liryzm. Nawet dramatyczne utwory, szczególniéj te, których treść brano

ze stosunków społecznych, są właściwie poematami i dzisiejszym warunkom scenicznym nie odpowiadają.

Jan Nepomucen Jaśkowski, poeta współczesny wielkich zdolności, urodził się w Wąchocku r. 1812. Początkowe nauki pobierał w sławnéj szkole wydziałowéj wąchockiéj, przez Cystersów utrzymywanéj, a następnie w wojewódzkiéj pijarskiéj w Radomiu, zkąd w r. 1831 przeszedł do uniwersytetu warszawskiego. Po zwinięciu tego zakładu był prywatnym nauczycielem, a poświęcając się jednocześnie poezyi, umieszczał wiele pięknych ulotnych wierszy po czasopismach poznańskich, a mianowicie w *Przyjacielu Ludu* (1836—1838) i w *Tygodniku Literackim* (1840), oraz w *Bibliotece Warszawskiéj* (1841—42). W r. 1841 bawiąc we Wrocławiu, zajmował się przekładem *Piekła* Dantego, które w całości ukończył i ma w rękopisie. Po powrocie z Wrocławia osiadł w majętności swojéj Biesiekierach w powiecie łęczyckim i oddał się gospodarstwu, w którém wysoko stanął. Potém przeniósł się do Chocimia w Rawskie, a poświęciwszy się rolnictwu, zaniechał poezyi, w któréj prawdziwy talent okazał.

Do celniejszych wierszy Jaśkowskiego należą: *Grosz wdowi— Na kwiat powoju— Ballada jakich wiele— Ballada jakich mało— Cześć autorowi Maryi — Pieśń w połowie drogi— Improwizacya— Elegia— Zima— Błogosławieństwo polom* i t. d. Jest on przeważnie poetą elegijnym; wiersz ma piękny i energiczny, uczucia najzacniejsze. W Elegii wyrzucając Polkom lekceważenie mowy ojczystéj, tak przemawia:

...Każda gwiazda na niebie swoim blaskiem płonie
Każde ptaszę— kwiat każdy pod niebios budową
Ma swój język— swe pienia— swój kolor— swe wonie;
Polki! a wy rodzinną wzgardziłyście mową.

Powiedzcie nam, dziewice wysokiego rodu!
Których umysł górować winien nad innemi:
Czemu wy nad woń róży własnego ogrodu
Przenosicie mdły zapach kwiatów obcéj ziemi!

Wszak narzecze słowiańskie pozorem nie kłamie;
W każdym dźwięku myśl cała i ognista drzemie,
Jak gościnność w ich sercu— jak w boju ich ramie;
A tak rzewna i tęskna, jak całe to plemie.

Powiedzcie— lub uwierzcie! a wdzięki waszemi
Obudzicie proroki z piorunnemi słowy;
A hymny ich usłyszą ludy wszystkiéj ziemi,
I powiedzą: zaiste uczmy się téj mowy!

O matki! gdy jedyne śmierć wam wydrze dziecię,
A boleść szponą ściśnie, a łzy w oczach staną,
Powiedzcie, co wy wtenczas nieszczęsne robicie,
Aby z serca wypłakać stratę ukochaną?

Przecież, między znanemi mało wam księgami
Jest jedna, co i rozpacz najdzikszą utuli,
Księga rodzicielskiemi napisana łzami...
Matki! znacie wy żale ojca po Urszuli?.. i t. d.

Przytaczamy tu jeszcze jego «Początek zimy» i «Błogosławieństwo polom».

Początek zimy.

Kwiaty!
Dąbrowo!
Żegnajcie nam!
Anioł zatraty
Z północnych wyjrzał bram,
I rzekł zniszczenia słowo.
A na to słowo do koła
Więdną i trawki i zioła;
Twarz się przyrody mieni,
Jéj skroń obleka pleśń.
I nieskończona
Skowronka pieśń
W przestrzeni
Kona.
Hola!
Słyszycie,
Widzicie— tam,
Przez nagie pola
Zbliża się tuman k'nam;
A za nim burzy wycie;
A wśród burzy, w majestacie,
W rozpuszczonéj śnieżnéj szacie
Idzie władczyni nowa:
I przez tumanu mgłę
Znaczy oczyma
Dziedzictwo swe
Królowa
Zima.
Biada
Wam kwiatki
Majowych błoń!
Już mrok zapada,
Blednieje słońca skroń;
Biada wam światła dziatki!
W pośród nocy i chaosu
Ostatek pulsu i głosu
U matki ziemi znika;
Grobowy bije dzwon,
A z nim gromada
Kruków i wron
Wykrzyka:
«Biada!»
A my
Synowie
Wichrów i burz!
Zkądże uszczkniemy
Na wieniec dla was róż,

Wielcy w grobach ojcowie?
Niech świszczą wichry, grom błyska!
My siądziem blizko ogniska,
Pójdzie czasza do koła;
Z nią ku czci przeszłych lat
Piosnka radosna;
Nim świeży kwiat
Wywoła
Wiosna.

Błogosławieństwo polom.

«Anioł wiosny skroń słodką wychylił nad śniegi,
«I wdzięcznie się rozśmiały nadwiślańskie brzegi;
«Pierwiosnek ubrał łąki— jabłoń kwiat rumiany:
«O śliczny§, nad dziewicę, kraju mój kochany!»
Takąć piosnkę jaskółka, witając cię śpiewa,
Tak ci bocian klekoce— tak ci szumią drzewa;
Takąć pochwałę wietrzyk rozgłasza po lesie:
Cóż stęskniony za tobą syn twój ci przyniesie!..
Że nucąc znalazł czasem pociechę w téj nucie;
Że płacząc nie nad sobą, wzrósł w silne uczucie;
Że pragnie snem spokojnym zasnąć na twéj grzędzie:
Pozwól, że polom twoim błogosławić będzie.
I w cytrynowych gajach, wśród nieznanych kwiatów,
Śniąc o jodłowych puszczach i woni bławatów,
Zanuci polskim niwom pieśń w dalekiéj ziemi,
Bo je kocha— bo dumny— bo się szczyci niemi.
Nie kwitnie na nich wawrzyn, ni oliwne drzewa,
Ni pod jesiennem słońcem winogron dojrzewa;
Zkądże nad skarb Ofiru— nad cedry Libanu,
Jest z czego zwić koronę dla skromnego łanu?..
Bo kiedy anioł śmierci z rozkoszy ogrodu
Wypędził pierwszych ludzi na ten padół głodu,
Rodzinne pola moje! was łaskawsze nieba
Uczciły przed wszystkiemi arcydarem— chleba.
Jak fale kołysane od morza do morza,
Łany złotéj pszenicy— i żelazne wzgórza;
Ciemne jodłowe lasy— i zielone błonie,
Po którém dzwonią trzody i hasają konie;
Roje ciągnące słodkie soki dzięcieliny:
Otoż święta puścizna— skarb naszéj dziedziny;
Polsko! pierwiastki pól twych, jak Abla, niewinne;
A więc wam błogosławię, pola me rodzinne!
Błogosławiona wiosna, co was stroi w kwiaty;
I lato, które kłosom daje plon bogaty;

Jesień, która purpurą odziewa ogrody
I zima, która wasze otula zarody!

Błogosławię po trzykroć tobie, światło dzienne;
Tobie, księżycu blady—i wam, mgły jesienne;
Wam, słodkie dżdże majowe z ranną rosą społy,
Wam, wszystkie farby życia i woni żywioły.

O! i ty też poczęta z śnieżnych Karpat łona,
Wisło! matko rzek naszych, bądź błogosławiona.
Ożywiaj zwiędłe trawki, a wdzięczni młodzieńce
Co rok rzucać ci będą świętojańskie wieńce.

Gdybym mógł orlém skrzydłem wzbić się pod obłokiem,
Gdybym mógł zbadać przyszłość otoczoną mrokiem,
Najprzód wam, nizkie sioła z słomianemi strzechy,
Głosiłbym jak skowronek rzewną pieśń pociechy.

Błogosławieni bowiem na wieki śpiewacy,
Których głos łzy osusza boleści i pracy,
Chwała słynnych niw naszych powiała na groby:
Więc i wam błogosławię, o piewcy żałoby!

Błogosławię... lecz zkądże taka zmiana w nucie?..
Rwie słowa— mąci myśli rozgorzałe czucie;
Dźwięk ostatni, dźwięk tęskny zdobędę na strónach:
Błogosławię tym, którzy śpią na tych zagonach!

A ty, drobna ptaszyno! co się w górę wznosisz,
I jakąś smętną piosnkę nad mogiły głosisz,
Zamilknij, zbierz twe siły i pod niebios progiem,
Błogosławieństwo moje dośpiewaj przed Bogiem!

Antoni Czajkowski, syn *Pawła*, professora literatury polskiéj w gimnazyum toruńskiém, autora tragedyi «Zygmunt August» i tłómacza «Jerozolimy Wyzwolonéj» Tassa († 1838), urodził się r. 1816, naukì ukończył w uniwersytecie Jagiellońskim jako doktor obojga praw i administracyi; następnie był professorem prawa w uniwersytecie petersburgskim. Wydał *Niektóre poezye* (Warszawa, 1841), i *Poezye* (tamże, 1845). Umieszczał także wiele utworów w Bibliotece Warszawskiéj, pomiędzy innemi wyborny przekład «Hermana i Doroty» Goethego.

Czajkowski, jako poeta, zajmuje nader zaszczytne stanowisko. Poezye jego znamionuje myśl wzniosła i prawdziwe natchnienie. Następujące przykłady najlepiéj wskażą jego zalety.

Smierć Stefana Czarnieckiego.

W Sokołówce przed chatą u proga,
Pachołkowie i ludu czerń mnoga;
Stoi stępak u żłobu powolny,
A w świetlicy leży Hetman polny.
Hetman głowę pochylił na łoże,
Krzepkiém ciałem już władnąć nie może,
Złożył ręce jakby do modlitwy;
Ale wojak ciągle marzył bitwy.
To o Szwedach odmawia pacierze,
To Stawiszczan rozhukanych bierze.
A przy świetle gromnicy, ksiądz cichy
Świętém kryzmem maże ziemskie grzéchy;
Prosi Boga w pokorze i skrusze,
By do raju przyjął starca duszę;
A lud słowa powtarza kapłana:
«Sługę twego zbaw, Panie, Stefana!»
Zarżał stępak u żłobu powolny,
Wzniósł na łożu głowę Hetman polny,
Bielmem zaszłe roztworzył źrenice
I popatrzył na smutną gromnicę;
Witał księdza jak ze snu powstały,
I znów słuchał jak rży jego biały.
«Wprowadźcie go!» skinął na hussarzy;
I wnet biały po izbie się waży,
Na pierś starca kładzie łeb swój suchy,
(A obadwaj biali jak dwa duchy);
Śmiał się Hetman jak dzieciak szczęśliwy,
Tuląc ręce między śniegie grzywy:
«O mój biały!» — a biały spokojnie
Zda się z panem rozprawiał o wojnie;
Raz po razu to czerepem ruszy,
Aż starcowi jakoś tęskno w duszy;
Wzniósł buławę, spojrzał w koło groźno,
I rzekł: «Królu, dałeś ją za późno!»
Potém opadł na łoże bez siły;
Znowu rzesze pacierze mówiły,
Znowu stępak u żłobu powolny,
A w świetlicy leży Hetman polny.
Pan Kijowski nie daje rozkazów,
Twardych z ust swych nie ciska wyrazów,

Ani rżeniem rozbudzi go siwy,
Bo wódz wielki już leży nieżywy.
A twarz jego szlachecka, uczciwa,
Jeszcze jakimś postrachem przeszywa,
Jeszcze z śmiercią nawet walczy samą
I szeroką odzywa się szramą:
«Jam nie z soli, ani z roli,
Ale z tego, co mnie boli!»

Do Wisły.

Nasza się Wisła ukochana toczy,
Przez kraj pszeniczny, polisty, uroczy;
Z źródeł karpackich coraz szersza bieży,
Unosząc obraz rozkosznych wybrzeży.
A nad nią owdzie wioska się uśmiecha,
Chatka się bieli, pochyla się strzecha,
I ryczy bydło, pomrukują trzody,
Gdy je dziewczęta prowadzą do wody.
A nasza Wisła tak spokojna, cicha,
Że jéj nie słychać, tak lekko oddycha
I jakąś ciszą spokojną okola
Nadbrzeżne wioski, pastwiska i pola.
Stare się wierzby nad nią zadumały,
O swéj starości, o spruchniałéj korze,
Ściętych konarach i minionéj porze;
Bo one młodość z Wisłą przeigrały,
I do niéj jeszcze krzywe, karłowate,
Stroją swe czoło w zieloności szatę.
Rzadko już buki i piękne dąbrowy
Pławią w jéj nurtach przewrócone głowy,
Lecz częściéj nad nią sosna wznosi kolce,
Lub płacze brzoza przy młodéj topolce,
A nadwiślańska topola wspaniała
Nad nurtem wielkie konary rozwiała;
To nie *włoch* smukły, co liść swój podkasa,
Ale brat szlachcic do korda, do pasa;
Pień swój szeroki podnosi zuchwale,
Macha rękami, z kiściastego wąsa
I z swojéj czapki powiewnéj wytrząsa
Garście zieleni na wiślane fale.

Ty płyniesz, Wisło! a jak kapłan stary,
Zamek krakowski chrzci cię swym obrazem;
Kapłan to siwy, ale młodéj wiary,
Pełen zniszczenia i wielkości razem!
On cię, nim w morskie popłyniesz przepaści,
Świętym kryzmatem pamiątek namaści.
Ty pod Warszawą rozprzestrzeniasz łona,
Płyniesz spokojnie, płyniesz niespłoszona,
I coraz szersza, coraz więcéj pańska,
Spieszysz do niegdyś lennego ci Gdańska.
A pod Krakowem, na długim galarze
Gwarzą i kurzą fajczyska węglarze.
Po bokach węgiel w ośmiu kupkach leży,
We środku budka, u rudla flis czuwa,
Włos mu się gruby z pod czapki kędzierzy,
On ją z fantazyą na bakier nasuwa,
Zwija koszuli rękawy bufiaste,
I szarawary poprawia pasiaste;
Ma kaftan długi z czerwoném podbiciem,
A twarż z wąsikiem, rumieńcem i życiem.
W Wiśle się kocha, z Wisłą się nie swarzy,
Na niéj, jak w własnéj chacie, gospodarzy,
I wiezie śmiało dzielny flis krakowski
Węgiel brzęczkowski, albo laryszowski.
Wisło! ty niesiesz na twoim przestworze,
Nasze ziarniste, pozłociste zboże,
I cynk srebrzysty, i sól, i gips biały,
Wapno i jaja i świeże nabiały.
Niesiesz gdy zechcesz; a gdy nie masz woli,
Próżno berlinka żaglami swawoli,
Lub galar wiosłem twoje fale liźnie;
Ty nie chcesz, muszą stanąć na mieliźnie,
Ty zechcesz, płyną, a widnokrąg cały
Zda się ucieka i chowa i znika,
I tylko czasem plusną twoje wały
Pletwą szczupaka, wód twych rozbojnika,
Lub wir je zmąci, a na dnach łożyska
Igrają chmury i słońce rozbłyska.
Ptaszki świegocą w nadbrzeżnéj wiklinie,
U góry bocian wyciągnięty płynie,
A lekki wietrzyk marszczy twoje wody.
A gdy cię, Wisło, ścisną zimne lody,

Tyś jak zwierciadło, jak srebrna tablica,
Na któréj słońce maluje swe lica,
Aż lód przepali; wtedy z strasznym grzmotem
Łamiesz kry, toczysz rozłożyste fale,
Pienisz się, płyniesz szeroko, wspaniale,
I pierś twą wzdymasz za wiosny powrotem.
A kiedy w górach potopnieją śniegi,
Ty nagle groźna wychodzisz nad brzegi,
Zalewasz pola i unosisz z sobą
Wieśniacze chaty z całą ich chudobą;
Powalasz domy i na twojéj fali
Nieraz niemowlę w kołysce się żali;
A potém znowu wracasz w twe ukrycie,
I cicho płyniesz w odwiecznem korycie.
W starém korycie, o rodzinna rzeko!
Niechaj spokojnie twoje nurty cieką;
Niech na twych błoniach tak pełnych tęsknoty,
Bóg litościwy da urodzaj złoty;
Wtedy twe fale pokrają na pręgi
Niosące zboże ładowne komięgi,
A flis krakowski, twój przyjaciel stary
Kupi ci suknię za gdańskie talary.

Kiedy sławny myśliciel i ekonomista August Cieszkowski rozpoczął znakomity swój zawód pisarski od dzieł ogłaszanych w językach obcych, Czajkowski napisał doń prześliczny wiersz:

«Błogosławieni pomazańcy Pana,
Boć błogo naród ich sławi...»

Poeta rozwija w nim myśl, że każdy człowiek i naród ma na ziemi swe posłannictwo, które spełnić powinien:

A komu Pan Bóg serce dał
I jasne myśli w serce tchnął,
Niech zwielokroci to co wziął,
By kiedyś liczbę Panu zdał...
Pomny na złego sługi los,
Co bez użytku chował skarb,
Niechaj do karbu dotnie karb,
Niech pracą ziarnko zmieni w kłos...
I nie naprożno Stwórca sam,
Dał mu się rodzić tu lub tam...

Daléj następują wyrzuty;

A ty Auguście, gdy twe skronie
Światłem wybrańców pańskich płonie
Gdy ci twój naród niesie cześć...
Pragniesz babelską wieżę wznieść,
I jakby obcy między swemi,
Błądzisz po dziejach obcéj ziemi,
W obcym rynsztunku, w obcéj zbroi,
A swoim nic! Przecież to swoi!..
A dzieje nasze, Boże daj,
Żeby miał takie każdy kraj!..
Może się straszysz słowy temi:
«Nie jest-ci prorok między swemi»,—
A przecież nawet Zbawca sam,
Gdzie się urodził, umarł tam...
A choć o męce wiedział wprzód,
Kochał swój język i swój lud...

Cypryan Norwid, współczesny poeta, rytownik i rzeźbiarz. W r. 1840 należał do owego młodego pokolenia literatów warszawskich, którzy odznaczali się egzaltacyą umysłową i dążnością do zerwania z tradycyą wszelką. Pisywał wtedy rozbiory dzieł i drobne poezye, umieszczane po czasopismach miejscowych. Późniéj udał się do Francyi i zamieszkał w Paryżu, gdzie dotąd bawi, pisując rozmaite poezye, pełne zagadkowych myśli i niezrozumiałych uniesień. Nie można mu zaprzeczyć talentu, lecz zaćmiewa go dziwaczny mistycyzm, przypominający mgły «Króla-Ducha». Poezye Norwida wyszły w Lipsku r. 1863, osobno zaś drukowane są: *Pieśni społeczne cztery* (Poznań, 1849); *O sztuce dla Polaków* (Paryż, 1858); *Promethidion, rzecz o dwu dyalogach z epilogami* (tamże, 1851), *Autodafe*, komedya i *Szczęsna*, powieść (Petersburg, 1859); *Zwolon, monologia* (Paryż, 1851); *Wigilia*, legenda; *O Juliuszu Słowackim* (tamże, 1861) i wiele innych. Przy wydaniach Żupańskiego illustrowanych są ryciny jego rylca.— Brat jego młodszy *Ludwik Norwid*, podobnież poeta, drukował prace swoje w rozmaitych czasopismach warszawskich.

Franciszek Żygliński, malarz i poeta niepospolitych zdolności, urodził się w Krakowie r. 1816 i uczęszczał do miejscowych szkół licealnych, po których ukończeniu słuchał od r. 1831 przez lat 5 nauk filozoficznych i prawnych w uniwersytecie Jagiellońskim. Zawiedziona miłość młodzieńcza od-

strychnęła go od świata, i odtąd wylewał swą boleść w poezyach pełnych melancholii głębokiéj. Uczęszczał także do szkoły malarstwa, zostającéj pod kierunkiem Wojciecha Statlera. W r. 1846 udał się do Rzymu, ale brak środków zniewolił go do zatrzymania się w Wiedniu, zkąd dopiero w r. 1848 powrócił do Krakowa. Upadły na zdrowiu i odwadze, więcéj niż dawniéj melancholijny, schorzały, głodny, gasł prawie w tym ostatnim roku swego pobytu w rodzinném mieście, a usposobieniem swojém zasłużył sobie nawet na nazwę waryata. Umarł r. 1849 w szpitalu kliniki. Został po nim tomik poezyj p. t. *Dumki i fantazye,* wydany w Poznaniu r. 1844. Pełno w nich rzewności i ducha chrześcijańskiego, a zalecają się melodyjnością i pięknym językiem. Walery Wielogłowski wydał je powtórnie w Krakowie, poprzedziwszy wzmianką o życiu poety, a dochód ze sprzedaży przeznaczył na wystawienie mu grobowego pomnika.

Wszystkie poezye Żyglińskiego pełne są skarg i smętne jak sam poeta. Wypisujemy tu z Hist. «Lit. Pol.» Wójcickiego jego *Witanie wiosny.*

Na okólnych pogórzach tatrzańskiéj rodziny,
Szaro-zielone mszyste przebłyskują smugi,
Babia-Góra, prababa, wiekowe łysiny
Obwija czepcem śnieżnym, jéj sędziwe syny
Błękitnieją w oddali schylonemi garby,
Dźwigając na nich dziejów i pamiątek tyle,
Że ich dotąd przemyślne nie zorały pługi,
I nie zmyły nawalne nieszczęścia szarugi,
Co brudnym deszczem ściekły po Kraka mogile,
Bo w jéj łonie zaległy dla przyszłości skarby!

Wiosna, na niebie wiosna, dziewicza i jasna,
Słoneczną gra źrenicą, z piersi tchnie woniami,
Za każdem tchnieniem strzela z ziemi gwiazdka krasna
Stokroci i żywemi drga w niebo rzęsami;
A stara Wisła szumi i otrząsa lody,
Co ją mroźnemi pęty okuwały zimą,
I błękitem rozbarwia swoje białe wody,
A szelestem fal wszczęła gawędę rodzimą
Z ziemicą okoliczną; pod Wawelu grodem
Nadęła pierś matczyną, białą, dumy pianą,
Bo w niéj zamkowe baszty błyszczą słońca wschodem
I tulą do jéj piersi swoję skroń rumianą,

I szepcą jéj przeszłości wielkie, świetne dzieje,
A obecną odmianę; to z żalu fal jękiem,
Rozpacznie wraz zaszumi, powodzią wyleje
Na błonia Zwierzynieckie, wnet ściszonym dźwiękiem
Spływa w stare koryto, a płynie w nadzieje!
I błoń się wnet odziała plon wróżącym majem,
Wieszczek skrzydlaty w błękit poleciał po wieści,
Skowronek, pytać niebios, poleciał za krajem
I wnet je oraczowi piosenką obwieści.

O ziemio! jakżeś śliczna w majowéj sukience;
Słońcem się cała złocisz, tchniesz Wisły falami,
Skowronek pacierz ranny zmówił ci w piosence,
A gród Krakowa w chórze zamodlił dzwonami.

Ziemio moja! od dziecka grasz w mą duszę pieśni
Jak ty stare, a świetne jak słońca oblicze;
One pod sercem płyną, a z piersiowéj cieśni
Wypierają się w błękit. Święto tajemnicze,
Ja się modlę do ciebie pieśniami takiemi,
Ziemio—Matko! bom pierśmi karmiony twojemi.
Ziemio—Matko! mą duszę wciągnij w twoje łono,
Synowską, nad twą dolą we łzy roztopioną;
Bo w wiośnianéj sukience takeś straszno miła,
Jak dziewica, co wiankiem martwą skroń obwiła,
Gdyby letargiem zaraz po ślubie usnęła.

Tyś usnęła letargiem, bo twe ciało święte,
Jeszcze toczącym śmierci robakiem nie tknięte,
O! ciebie słońce maja ogrzeje, tchniesz życiem
I syny twe powitasz głośném serca biciem;
Wstaniesz i spojrzysz w słońce; dziś my twoje dzieci,
Na twéj chwały koronę wciąż zbierajmy kwieci!

Karol Baliński urodził się w miasteczku Uchaniach, w powiecie hrubieszowskim r. 1817. W piątym roku życia stracił rodziców. Do szkół chodził w Warszawie. Następnie sześcioletni pobyt w północnym klimacie (1838—1844) zepsuł mu zdrowie i piękną postać, i tym sposobem przyprawił o utratę ukochanéj osoby. W r. 1846 wyjechał do Galicyi, później do księztwa Poznańskiego, wreszcie do Francyi, gdzie poświęcał się pracom poetycznym i literackim. W r. 1849 wydał w Poznaniu tomik poezyj, które nazwał *Pismami*. Jest to niewielki zbiór pomniejszych wierszy, przeważnie politycznéj i hi-

storycznéj treści, w których zawarł i wspomnienie życia swojego. Pomiędzy temi, które są treści odmiennéj, przedewszystkiém zalecają się pięknością myśli i wykończeniem: *Farys i Prośba o krzyżyk*. Wyborny przekład tragedyi Kalderona *Kochankowie Nieba*, ma oprócz piękności wiersza, jeszcze znaczenie osobne, gdyż zdaje się, że z tego samego natchnienia przedsięwziętym został, co tłómaczenie *Księcia Niezłomnego* przez Juliusza Słowackiego. Przedmowa do książki prozą pisanéj o podaniach ludu p. t. *Głos ludu polskiego*, zdaje się to potwierdzać, gdyż napisana jest w duchu towianizmu. Wiersz p. t. *Śpiewakowi Mohorta* jest wysokiéj wartości pod względem wysłowienia i mechaniki wiersza, który miejscami wiersz Pola pięknie naśladuje. Również wysoko stoją ustępy: *Droga krzyżowa i Zaprzaniec*. Na rok przed śmiercią nadesłał Baliński do «Biblioteki Ossolińskich» znaczną część poematu swego «Męczeństwo Zbawiciela». Jest to fragment, niedosnuta epopeja, treści przeważnie lirycznéj, utwór wykonany po mistrzowsku w tonie poważnym i uroczystym. W r. 1863 poeta wrócił do Galicyi, aby czuwać nad ciężko chorym bratem, leżącym w Krakowie. Ztąd udał się do Lwowa, gdzie znalazłszy pomoc do prac literackich i otwarte dla siebie kolumny roczników «Biblioteki Ossolińskich», zajął się dalszemi ustępami poematu opiewającego życie i śmierć Zbawiciela, lecz śmierć mu w tém przeszkodziła. Umarł w styczniu r. 1864. — W rękopiśmie miał zostawić *Rys literatury polskiéj*.

Baliński, jak mówi jeden z krytyków, «patrzał w przyszłość i snuł ją z bolów i zawodów, pragnień i wierzeń swego żywota, podobien w tém do niektórych liści, co zmięte i starte wydają woń, jakiéjby bez tego zniszczenia może nie wydały». Pierwsze jego utwory, odznaczają się egzaltacyą i głębokiém melancholijném uczuciem, późniejsze jaśnieją już zaletami klassycznéj sztuki, a pod względem nastroju tchną religijném ukojeniem. Jest to jeden z najznakomitszych poetów pomickiewiczowskich. przytaczamy wiersz jego p. t.

Farys wieszcz.

O! i ja kiedyś byłem Farysem.
Lecz czy wy wiecie, co Farys znaczy?
Ha! niech step mówi swoim opisem!
Olbrzyma olbrzym niech wytłómaczy!
On tylko jeden prawdę nam powié,
Jemu więc wierzcie jak koranowi:

«Farys», step mówi, «to dziecię moje,
To duch tęsknotą nieba trawiony!
Zesłany tutaj na ciągłe boje,
Na ciągłych pragnień żar niezgaszony!
A tak mu trzeba nieba i słońca,
Że tylko za niém pędzi bez końca. —
I nic go w pędzie wstrzymać nie zdoła,
Ani uroczéj cienie oazy,
Ni beduinka głosem anioła
I blaskiem oczu milszym sto razy:
Próżne pokusy! bo tacy gońce
Kochają tylko niebo i słońce. —
Więc jam był gońcem i gońców bardem;
Cudneż to było to nasze grono!
Z tą myślą wiecznie w słońce zwróconą,
I z tém ramieniem młodzieńczém, hardém,
Co krawędź nieba z krawędzią świata
Sili się spoić, wierząc że zbrata!
Patrzcie! tam w koło piaszczyste wzgórza,
Niby umyślnie słane mogiły;
Czasem się z głębi szkielet wynurza:
Spytaj tych kości, czém one były!
Ha! te mogiły Arabistanu
To tylko ślady stóp uraganu. —
On to Farysów pochłonął w sobie,
Pochłonął żywcem braci kochanych;
Jam tylko jeden został na grobie,
Na grobie gońców już zapomnianych!
Czy to jest łaska, czy kara nieba:
Ałłach żyć kazał więc żyć potrzeba,
Jak młode orlę z złamaném skrzydłem,
Co się już nigdy w niebo nie wzniesie,
Żyć życiem gadu, gnuśném, przebrzydłém
W tych smutnych murów ciasnym zakresie.
Ha! próżne żale, śpiewaj pajaco,
Tylko zabawnie, bo nie zapłacą.
O! wieczna hańbo! wieczna sromoto!
Ja Farys, piewca z nieba natchniony,
Pieśń mą na ziemskie przestrajać tony,
Pieśń mą przedawać muszę za złoto,
By czém okupić cień cudzéj strzechy,
Lub zgłuszyć z nędzy szydzące śmiechy!

Oni nie wiedzą, że wieszcza pienie
Jest jako słońce na niebios sklepie,
Co na wszechwładne Boga skinienie
Świeci wędrowcom błądzącym w stepie;
A przecież słońcu nie płacisz za to,
Że cię zbawienną poi oświatą!
Oni nie wiedzą, że piewcy śpiewy,
Jak ów dziewiczéj ogień miłości,
Co za niebieskie swoje wylewy
Nic — nic nie pragnie, prócz wzajemności!
Sprzedawać miłość — hańba kobiecie!
Sprzedawać śpiewy — hańba poecie!
Przecież tą hańbą wlokę dziś życie.
Ałłachu! jakże dręczysz mię srogo!
I jeszcze nieraz ktoś niby skrycie,
Niby po cichu powie: «za drogo».
Za drogo, mówisz? powiedzże bracie,
W jakiejż wy cenie życie sprzedacie?
Bo słuchaj: pieśń moja, to cząstka życia:
Tam jest krew moja, tam są łzy moje!
I mego serca pospieszne bicia,
I uczuć moich i myśli roje!
A każdą żeby dostać, wyjawić,
Muszę wprzód serce mocno rozkrwawić.
Więc cóż? za drogo?... O! bądźcie szczersi!
Gdyby wam przyszło życiem frymarczyć,
I jak pelikan, rozrywać piersi,
By krwi za cenę złota dostarczyć;
W jakiejżby cenie była kropelka
Łzy lub krwi waszéj, choćby niewielka?...
Męczarnia wieszcza w chwili tworzenia,
To boleść matki w chwili porodu;
Ile wlał życia do swego płodu,
Tyle wziął życia z swego istnienia;
Ile on pieśni dla was utworzył;
O tyle kroków grób swój przysporzył.
Czasem w dodatku słyszę oklaski,
Szczere czy zwodne, wszystko mi jedno:
Znam tych błyskawic przelotne blaski!
Znam ich gruntowność i trwałość biedną!
Wasze pochwały!... toć to szyderstwo!
Wasze pochwały!... toć to bluźnierstwo!

Gdy syn rozpaczną pięścią kołacze
W grób, co mu drogą matkę ukrywa,
Możecież mówić, że pięknie płacze?
Możecież mówić, że ślicznie śpiewa?
Jak ta łza syna na matki grobie,
Tęż samę szczerość śpiew mój ma w sobie.
A więc schowajcie marne pochwały!
Gdy pieśń ma święta jako łzy syna;
Nie takie wieńce wieszczom przystały!
Wieszcz takie wieńce depce, przeklina;
Duch jego wielki i wiecznie młody
Innéj — o! innéj żąda nagrody!
Nagroda piewcy — to cisza owa,
Niema, urocza, z któréj odgadnie,
Że w duszach wielki zamiar się, knowa,
Co kiedyś światu zagrzmi wszechwładnie;
Cisza co mówi, że ziarno wschodzi,
I myśl-kwiat wkrótce owoc-czyn zrodzi.
Nagroda piewcy — to te spojrzenia,
Co świecą całym duszy wulkanem,
Krótkie, milczące dłoni ściśnienia,
Z westchnieniem długo w piersi tłumioném,
I owa chmura ciemiąca czoła,
W któréj połyska miecz archanioła.
To mi nagroda! jam ją odbierał!
W koło mię stali bracia Farysy,
Każdy pieśń moję sercem pożerał,
Pieśń ma wnikała w ich twarzy rysy,
W krew tych serc wielkich, w ich myśli gniazdo,
Lśniła im w drodze przewodnią gwiazdą.
Farysy znikli! głucho na stepach,
A w stepie życia — ach, smutniéj jeszcze!
Czasami tylko wiatr zaszeleszcze,
Dmąc po wywianych czaszek czerepach:
On wszystko wywiał! wszystko przewiało!
Co było cnotą, prawdziwą chwałą!
O! i mnie pora spocząć w mogile,
Zasnąć snem braci błogosławionych;
Aż kiedyś, kiedyś, za męczarń tyle,
Gdy głos Ałłacha, budząc uśpionych,
Na swoje rajskie zwoła ogrody,
I ja niebiańskiéj doznam nagrody. —

W tym boskim raju, w tém siódmém niebie,
W waszéj ojczyźnie, o prawowierni!
Ałłach mnie wielki wezwie do siebie,
Zdejmie mi z głowy ten wieniec z cierni
I żmiję tylą krwi przesiąkniętą,
Wyrwie mi z serca pamięć przeklętą!
I najcudniejsze wezwie dziewice,
I rzecze: służcie jak Padyszachu!
Ja i nie spojrzę nawet w ich lice,
Ale z pokorą powiem: «Ałłachu!
Jam tylko prawdy szukał na świecie,
A takąż miłość znajdęż w kobiecie!
Nie chcę hurysy choćby piękniejszéj
Od téj, com niegdyś kochał na ziemi;
Lecz ja nie gardzę dary twojemi;
Ja tylko łaski błagam pełniejszéj:
Za wszystkie, wszystke twoje hurysy,
Niech wstaną moi bracia Farysy!
O pozwól! pozwól choćby na chwilę
Zstąpić nam jeszcze w nasz kraj cyprysów,
I w dawnéj naszéj młodzieńczéj sile
Pobujać orlim lotem Farysów,
I piersi dawném orzeźwić biciem,
I dawném naszém zabłysnąć życiem!»
Ałłach wysłucha — wnet grzmiące głosy
Wystraszą w głębi śpiących tygrysów,
I okrzyk szczęścia buchnie w niebiosy!
Wiedźcież raz w życiu polot Farysów!
Może wam wówczas, biedne robaki,
Przyjdzie ochota do jazdy takiéj! —

Oprócz prac wyżéj pomienionych, wydał wraz z *Marcinem Ossoryją* (Cieplińskim) *Snopek Nadwiślański* (Warszawa, 1843 — 1845, t. 2); *Kilka prac literackich* (tamże, 1846), a nadto wiele poezyj większych i mniejszych drukował w rozmaitych pismach czasowych (w *Bibl. Warsz.*, w *Album Literackiém* K. Wł. Wojcickiego, w *Nowinach Literackich i Dzienniku Literackim* lwowskim).

Ryszard Berwiński urodził się około r. 1818 w Polwicy pod Zaniemyślem w Wielkiém Księstwie Poznańskiém; nauki gimnazyalne pobierał w Lesznie, uniwersyteckich słuchał najprzód we Wrocławiu, a potém w Berlinie. W r. 1845 w po-

dróży po Galicyi, aresztowany od władz austryackich, zostawał rok przeszło w więzieniu najprzód w Wiśniczu, a następnie oddany do Prus, w Moabicie pod Berlinem. W r. 1847 puszczony na wolność, był członkiem Komitetu Narodowego w Poznaniu r. 1848. Wybrany w r. 1852 posłem gnieznieńskim na sejm do Berlina, piastował tę godność przez dwa lata; poczém złożywszy swój mandat, udał się na Wschód i przyjął służbę w jeździe tureckiéj. W r. 1865 powrócił znowu do kraju i zabrał się do uporządkowania zebranych przez siebie wśród Słowiańszczyny południowéj licznych materyałów dziejowych i językowych. W młodym wieku rozpoczął zawód pisarski ogłaszając w *Przyjacielu ludu* powiastki i klechdy ludowe wielkopolskie. Odbywszy wędrówkę po kraju w celu zbadania literatury gminnéj, ogłosił r. 1839 w témże piśmie *Listy z pielgrzymki po kraju*, w następnym zaś roku wydał we Wrocławiu tom 1-szy *Powieści Wielkopolskich* (zob. wyżéj). Należał także przez kilka lat do redakcyi *Dziennika Polskiego*, wydawanego przez Karola Libelta. Z poezyj jego wielki miał rozgłos w swoim czasie *Don Juan Poznański* w duchu bajronowskim, osnuty najwięcéj z osobistych wrażeń poety. Pełno tam swawolnego szyderstwa, lecz wiersz, pomimo rozmyślnego zaniedbania, dziwnie potoczysty i piękny. *Poezyj* jego część I wyszła w Poznaniu r. 1844, II-ga tegoż roku w Brukselli, a oprócz zawartych tutaj, wiele drobnych drukował w *Tygodniku Poznańskim*. W zbiorze nazwanym przez autora *Księgą światła i złudzeń* zawierają się wiersze erotycznéj treści, odznaczające się namiętnością i siłą. W *Księdze życia i śmierci* poeta filozofuje o dążeniach społecznych i w ogóle ludzkich. *Ostatnia spowiedź w starym kościele* wyraża cały charakter poety. W drugiéj części odznaczają się pomiędzy innemi *Mysza wieża*, *Wawel* i *Kraków*. *Wielkanoc* i inne niewielkiéj są wartości.

W ogóle zarzucić można Berwińskiemu przesadę i nienaturalność uniesień. Wpływ Byrona i Słowackiego aż nadto widoczny w poezyach jego, zalecających się zresztą wysoką artystycznością języka, oraz pięknem obrazowaniem.

W rodzaju poezyi Krasińskiego odznaczającéj się przedewszystkiém wzniesieniem myśli do sfer idealnych, tudzież uroczystością języka, zasługuje na chlubną wzmiankę *Stanisław Koźmian*, urodzony około 1813, obecnie (po śmierci Libelta) prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, znakomity krytyk i tłómacz Szekspira. Był on przyjacielem i szkolnym kolegą

Zygmunta, i w nielicznych poezyach, które dotychczas wydał, tak pod względem myśli, jak pod względem formy, przypomina mistrza swego, tak iż może za najcelniejszego ucznia jego być poczytanym. Pomiędzy poetyckiemi utworami jego odznaczają się szczególniéj dwa piękne wiersze: *Do mistrzów słowa* i *Mowa polska* *). Oprócz tego pisał wiele recenzyj i rozpraw krytycznych, zalecających się nauką, pięknym stylem i poważnym sposobem wykładu, oraz rozprawy i dzieła o literaturze i rzeczach angielskich (*Anglia i Polska*, Poznań 1862); dokonał znakomitego przekładu 5 utworów Szekspira (Pozn. 1866—69, t. 2) nareszcie wydał Pisma wierszem i prozą (tamże, 1870—72, t. 2).

Kornel Ujejski, jeden z najznakomitszych poetów pomickiewiczowskich, urodził się we wsi Boremnianach w powiecie czortkowskim w Galicyi r. 1823. W 16 roku życia wystąpił z pierwszemi utworami poetycznemi w rozmaitych pismach lwowskich. W r. 1847 bawiąc w Paryżu, zawiązał ściśle stosunki przyjaźni z Juliuszem Słowackim, który oceniając wielki talent i namaszczenie prawdziwie poetyczne w Ujejskim, uczcił go wierszem. Za powrotem do kraju oddał się gospodarstwu rolnemu i w okolicy Lwowa po ożenieniu stale zamieszkał. Pierwsze poezye swoje umieszczał w *Dzienniku Mód Paryzkich* wydawanym we Lwowie, gdzie jest serya najpiękniejszych *Melodyj hebrajskich*, oraz w Czasopiśmie Biblioteki Ossolińskich z r. 1846 i 1847 (poemat *Maraton*). R. 1846 napisał *Skargi Jeremiego* i wydał w Londynie r. 1847 bezimiennie, roku zaś 1848 powtórnie wydał w Paryżu. Mała ta książeczka, zawierająca nie więcéj jak kilkanaście hymnów i pieśni, od razu zapewniła Ujejskiemu sławę niepospolitego poety i u najsurowszych nawet krytyków wywołała prawdziwę uznanie i podziw. Oprócz tego oddzielnie wyszły: *Pieśni Salomona* (Poznań, 1846); *Kwiaty bez woni* (Lwów, 1848); *Zwiędłe liście* (tamże, 1849); *Melodye biblijne* (tamże, 1852); *Rozbitki*, prolog napisany dla sceny polskiéj we Lwowie (tamże, 1857); *Poezye* (Petersburg, 1857). Z tych wszystkich utworów poeta sam zrobił wybór, który wyszedł w «Bibliotece pisarzy polskich»

*) Ponieważ dwa poemata Krasińskiego (*Ostatni i Dzień dzisiejszy*) wyszły pod imieniem „autora wiersza *Do mistrzów słowa*," przeto publiczność w błąd wprowadzoną była co do autorstwa tych trzech poematów tém bardziéj, że wszystkie trzy wyszły razem w Poznaniu r. 1850. *Mowa polska* drukowaną była najprzód w *Przeglądzie Poznańskim* (r. 1849), potém osobno w Poznaniu r. 1861 z początkowemi literami autora S. K.

w Lipsku u Brockhausa r. 1866 p. n. *Poezye Kornela Ujejskiego*, nowe wydanie z wyboru autora» (tomów 2). Pierwszy tom obejmuje «Skargi Jeremiego», «Drobne poemata i urywki» i «Melodye biblijne»; tom drugi ma na czele «Tłómaczenia Szopena», daléj zaś idą «Wiersze różne», a między temi *«Prolog* wygłoszony przy nowém otwarciu sceny polskiéj we Lwowie w r. 1857». Nadto prozą ogłosił «Artykuły dziennikarskie o scenie polskiéj we Lwowie», (Lwów, 1858), oraz «Listy z pod Lwowa, trzy głosy Kornela Ujejskiego» (przedruk z Dziennika Literackiego, Lipsk, 1861), w których namiętnie wystąpił przeciwko autorowi Mohorta i obrzucił go rozmaitemi zarzutami w ustępie p. n. «O Januszu i o panu Wincentym Polu». Od roku 1858 Ujejski zamieszkuje we wsi Żubrzy pod Lwowem, którą dzierżawi od magistratu lwowskiego, oddając się pracy gospodarskiéj i literackiéj.

Ujejski szedł zawsze za popędem natchnienia: ztąd ów urok niewysłowiony i rzewność obok piorunującéj potęgi myśli w poezyach jego, przyodzianych nadto w szatę cudnego języka. Silna, namiętna liryka, potęga wewnętrzna i mocny, nieco jaskrawy koloryt są głównemi cechami utworów jego. Niemi to on porywał serca i wielką w narodzie, a szczególniéj pomiędzy młodzieżą zdobywał wziętość. Poemat *Maraton*, należący do najpierwszych, młodocianych prób pióra, zapowiedział już orli lot pojawiającego się poety. *Skargi Jeremiego* mogą się liczyć do najpiękniejszych w naszéj literaturze utworów lirycznych. *Melodye biblijne*, tchnące powagą i wzniosłością, zalecają się przytém zachowaniem ducha biblijnego i jasnością obrazów, choć zanadto może widać tu przepychu w kolorycie, a zbyt wielkie bogactwo rytmów odejmuje im charakter naturalności i prostoty, właściwy poważnéj poezyi hebrajskiéj. Najpiękniejsze z tych 16 melodyj są: *Hagar na puszczy*, *Jeremiasz*, *Rebeka i Mojżesz przed śmiercią*. Przytaczamy tu dwie ostatnie.

Rebeka.

Ogłuszał wieczor ciszą nakryty.
Mury Aramu bielały,
Zachodnie góry na sine szczyty,
Słońce z błękitu ściągały.

A przed Aramem na staj niewiele,
Cysternę palmy obsiadły,
A pod palmami skubając ziele,
Wielbłądy w rząd się pokładły.

Wracała z pastwisk gromada owiec,
Strzępując rosy na łące;
Stał przy cysternie jakiś wędrowiec
I wieszał oczy na słońce.

A jego słudzy od karawany
Gwarzyli wsparci na siodłach;
On tylko jeden stał zadumany
I tak rozmyślał w swych modłach:

«Obce tu niebo — obca tu rzesza,
Jakoś markotno i nudno;
I z powitaniem nikt nie pospiesza,
Choć niby ludno — odludno.

Jam mu położył rękę pod biodro,
Przysiągłem przywieść synowę,
Lecz nie poradzę — gdy łaską szczodrą
Bóg nie uświęci mą głowę.

Jemu ta sprawa niech będzie dana,
Niech Jego w niéj będą rządy;
Oto ta wejdzie w dom mego pana,
Co me napoi wielbłądy.»—

I ledwie takie słowa wypowie,
To mrokiem od strony miasta,
W bieluchnéj szacie, z dzbankiem na głowie,
Szła zwolna jakaś niewiasta.

I szła powiewna jak gałąź wina,
Jak mgły nad łąką, co wiszą;
Nie tak się palma zgrabnie przegina,
Kiedy ją wiatry kołyszą.

A tak srebrzała na tle murawy,
Jak biała lilja w dolinie;
A taką lekkość miała z postawy,
Że się zdawało — że płynie.

Czarne jéj włosy rozwiane iściem
Spadały na białe lica.
A tak pod ciemnym cyprysu liściem
Ognieżdża się gołębica.

A kiedy dzbanek i twarz w rumieńcu
Ku modréj wodzie schyliła,
To na dnie studni w wonnym ziół wieńcu
Para się gwiazdek odbiła.

A gdy podniosła się z koneweczką,
Podróżny co stał przy zdroju,
Rzekł jéj łagodnie: Piękna dzieweczko,
Udziel mi trochę napoju.

I wnet z ramienia naczynie zdjęła,
Na miękkiéj złożyła dłoni,
I na paluszkach drobnych się wspięła,
I dzban ku niemu nakłoni.

Podróżny niby zanurzył głowę,
Leniwo pociągał wodę,
Pił przez połowę, a przez połowę
Poglądał na jéj urodę.

A ona rzekła: Wyście z daleka,
Wam kurzem szata okryta,
I wielbląd smutny na wodę czeka,
Patrząc w próżne koryta.

A słudzy cisną głowy w zawoje
Znużeni męką podróżną —
To ja wielbłądy wasze napoję,
Pozwólcie być wam usłużną.

I poszła wodę czerpać dla stada.
A obcy człowiek na boku
Pokornie ręce na piersi składa,
Z wilgotną modlitwą w oku.

I patrzał w niebo długo i długo,
I wyrzekł słowy cichemi:
«Wielki Bóg litość miał z swoim sługą» —
I skłonił czoło ku ziemi.

Mojżesz przed śmiercią.

1.

Gwar między ludem.

— Gdzie nasz wódz?
— Stary lew!
— A któż nas powiedzie?
— Mojżesz znikł!
— On, co zwykł stawać nam na przedzie.
— Czy się skrył?
— Wszak tu był!
— Snać rozmawia z Panem.
— Bóg wysoko, kraj nieznany, a wróg nad Iordanem!
— A cóż poczniem my nieszczęsne z małemi dziatkami—?
— Uciekajmy!
— Panie, Panie, zmiłuj się nad nami!

— Gdzie nasz Bóg?
— Bogi są.
— Kto o Bogi pyta?
— Pójdźże precz!
— Ja mam miecz!
— Jam Pański Lewita!
— I cóż ztąd?
— Hej na sąd! utłuc go kamieniem!
— Swar na uściech, strach na sercu — klątwa nad plemieniem!
— A cóż poczniem my nieszczęsne....
— Płacz niewiast, zaporą!
— W Egipt, w Egipt!
— Zwiń namioty, ruszajmy, a skoro!

— W Egipt nam?
— Milsza śmierć niż wtóra niewola!

— Co za wieść?
— Cześć mu, cześć!
— Za mną czyja wola!
Silna dłoń, ostra broń, ja was tam zawiodę.
— Silną dłonią z twardéj skały czy wyciśniesz wodę?
— Hej Mojżeszu! nie zostawiaj nas w takiéj ohydzie,
— Jam Mojżeszem, siła Bogiem!
— Cicho! Mojżesz idzie!

(Mojżesz wychodzi z przybytku prowadząc Jozuego.)

Mojżesz.

I znowu swar? I znowu krzyk? Bo zdeptam cię, jak miły Bóg!
zmilknij bluźniercza głowo, bo zdeptam jak wężową.
Skinę! — a przepaść przed wami otworzę,
Skinę! — a zagrzmi tu Czerwone morze —
Zagrzebię, zatopię was!

Ojcowie raz uporem swym To błądząc szli przez cały świat,
z Jehową gdy się starli, dopokąd nie wymarli.
I rzekł Pan srogi, co swe słowa iści:
«Do mojéj ziemi wejdą tylko czyści,
Wam zatracenie i śmierć!»

Patrzałem dziś na piękny kraj A Pan mi rzekł: «Toż dzieci ich,
płynący mlekiem, miodem — motłochem nie narodem!
Przecz ja mam wpuszczać te niesforne trzody
W moje winnice i w moje ogrody—?
Mojżeszu, nie żałuj ich».

Więc ludu ty, sporny a zły, Bo dotkniesz się zdroju i gór,
pokorę przyjm do łona, i wonnych winnic grona,
Do Chananejskich przystąpisz krawędzi,
Ale Bóg nazad od wrót cię odpędzi,
W puszczę na hańbę i głód.

A kiedy tam zmorzony snem To będziesz śnić o ziemi téj,
na martwych legniesz piaskach, o jéj czarownych blaskach,
I wyschniesz duszą od długiéj tęsknoty,
I zwisłe głowy w grobu piasek złoty,
Z radością sam będziesz kładł.

A mówię ci, że jeszcze czas, — Przed tobą lśni, — ja tylko sam!
ta ziemia obiecana ja wrócę sam do Pana;
Na mojém miejscu Jozue, syn Nunów,
On, co ma władzę cudowną piorunów,
On będzie przed wami stać.

Lękajcież go, bo straszny on, Jak z ognia słup;—włożeniem rąk
Jehowa go postawił jam go pobłogosławił —
Błogosławieństwo i wam rzucam z dłoni,
Błogosławieństwo wodom, ziemi, broni,
I błogosławieństwo wszem.

(Mojżesz zakryty obłokiem wstępuje na górę.)

Głos ludu.

Odszedł nas smutny, płaszczem kryjąc twarz,
Poruszył go żal głęboki;
Milszym tyś dla nas, o! Mojżeszu nasz,
Niż Jozue chmurnooki.
Zawyjmyż płaczem, by aż ziemia brzmiała:
Chwała mu, chwała i chwała!

2.

Mojżesz.

(Na górze — sam.)

Owoż ostatnia gospoda już bliska!
Na górze Nebo, tu na Fasgu szczycie,
Jak pielgrzym składa kij swój u ogniska,
U nóg Twych Panie, złożę moje życie.
Jestem zmęczony, smutek mnie uciska,
Słaniam krokami trwożliwy jak dziecie,
Albowiem jestem wracającym sługą,
Co z twoim skarbem błądził w świecie długo.

I nie wiem, jakiém sercem mnie powitasz,
Twojemu słudze czy dasz dobre słowo,
Czy go odepchniesz i z gniewem zapytasz:
«Cożeś uczynił? przecz to, a nie owo?»
A wszak Ty Panie w mojéj duszy czytasz,
Wiesz, jak Izrael miotał się przodkowo,

I ztąd nabawiał mnie boleścią wielką,
Jakobym jego miał być rodzicielką.

Twardego karku był Twój lud o Panie!
Przed Twoiém okiem hardo się prostował,
A ku mnie zwracał swą złość i szemranie,
Maluczko raz mnie nie ukamienował.
Jako cień ze mną chodziło stroskanie,
I długom, długo z tym ludem biedował;
Nie miałem ulgi widząc jego zakał,
Jeno gdym sobie w zakątku popłakał.

Miałem ja serce pokorne i ciche,
Kiedyś rozkazał bym przed Tobą stawał;
I mnie wybrałeś sobie, koźlę liche,
Bym lwa srogiego przed ludem udawał;
Więc w smętne oko kładłem blask i pychę,
I z tém udaniem zbiegłem świata kawał,
Spokojny, głowy nie nakryłem dachem,
A miłujący, wiodłem braci — strachem.

Bo też buntowny on lud wciąż się srożył,
Wiecznie pragnący, pełen win i brudów,
I ledwie syty do snu się położył,
Otwierał oczy i znów wołał: Cudów!
Takiegoż króla onby nie zubożył!
Ale nie Ciebie Panie, Króla ludów!
Boś Ty mu wszystko dawał co potrzeba,
W rodzajną niwę zamieniwszy nieba.

Wiem po coś wodził nas morzem i lądem,
Jam myśl Twą odgadł w błyskawicy gromu:
«Pamięć doznanéj niewoli jest trądem!
W kraj obiecany, do mojego domu
Nikt z nią nie wejdzie!» — Pod strasznym tym sądem,
Nie przepuściłeś, Ty Panie, nikomu,
Bo zmarli moi rowieśni i bratni
Wszyscy, — a ja tu umieram ostatni!

Ale te dzieci to już się zrodziły
W puszczy, niepomne egipskiego jęku,
I nie łzy hańby, lecz Twą rosę piły,

A jam je wszystkie wynosił na ręku.
Niechże się staną ramieniem Twéj siły,
I głoszą imie Twe w orężnym szczęku,
A groby ojców mając za podstawę,
Niech patrzą w niebo i niech rosną w sławę.

Twojéj ten naród poruczam opiece,
Sam już niezdatny na ziemię się kładę;
Wzdy łzę ostatnią czuję na powiece,
A w sercu czuję niepokój i zwadę;
Wyciągam ręce, pogląd am ku rzece,
Piękna ta ziemia nasza! — przez mgły blade
Widzę świecącą Jozuego dzidę...
Lecz Ty mnie wołasz Panie — to już idę.

Nakryłem głowę starą — jak mi smutno!
Raz jeden jeszcze zrobię sobie szparę
Dla słońca, — próżno odchyliłem płótno...
Szumy, a wiatry, a obłoki szare...
Chanaan! Chanaan!.....

Pomiędzy „Melodyami“ jest także początek większego poematu dramatycznego p. t. *Samson*. Oprócz téj próby poeta nie wykończył żadnego utworu większych rozmiarów: bo *Prolog* napisany na otwarcie sceny polskiéj we Lwowie jest zanadto drobnym utworem, chociaż znajdują się w nim bardzo piękne ustępy.

Nie zawsze jednak utrzymywał się Ujejski na tak szczytnych wyżynach natchnienia, jak w „Skargach Jeremiego“ i „Melodyach biblijnych.“ *Kwiaty bez woni*, *Zwiędłe liście* i inne poezye, których treścią utyskiwania na własne losy, rażą sentymentalnością i przesadą; znaczna też ich część należy do wcześniejszéj epoki w życiu poety, niektóre nawet w 16 roku pisane były. Szczególniéj rażą w tym względzie: *Urywki z niedokończonéj spowiedzi*, *Ironija czasu* (*w Kwiatach bez woni*) *i Perły boleści* (*w Zwiędłych liściach*).

Wyższéj wartości są *Tłómaczenia Szopena*. Jest to wyborny przekład na słowa boskiéj muzyki mistrza. Znajdujemy tu: *Z Sonaty* (op. 35) *Marsz pogrzebowy i Finale*, trzy *Preludye* i sześć Mazurków. Dla przykładu przytaczamy kilka ustępów z „Marsza pogrzebowego“.

Tyle dzwonów! Gdzie te dzwony? Czy w méj głowie huczą?
Kędy idą roje księży z taką pieśnią kruczą?
Tu przedemną o dwa kroki czarny wóz się toczy—
Jak mi ciemno! — ten wóz czarny zciemnił moje oczy.

Gdzieś w powietrzu krzyż jaśnieje, migają pochodnie,
A prowadzą mnie pod ręce — idę tak wygodnie—
Same prawie się podnoszą zatrętwiałe nogi—
Dobrze, dobrze, że mnie wiodą — nie znam żadnéj drogi.

Idę, płynę niby śniący, bez myśli, bez woli,
Tylko w głowie, tylko w sercu coś mnie strasznie boli,
Coś zatapia w nich swe szpony — krzywe, ostre szpony—
A tu ciągle biją dzwony, a tu kraczą wrony...

Ha! muzykę jakąś słyszę — pięknie grają, pięknie...
Żar mam w oczach a po twarzy coś zimnego cieknie—
Patrzą na mnie, ale zbliżyć nikt się nie odważa—
Musi coś być w mojéj twarzy, co ludzi przeraża.

A wóz ciągną cztery konie okryte żałobą,
A mnie ciągnie jakaś siła, wlecze mnie za sobą...
Wielki Boże! toż ta trumna wysuwa się ku mnie!
Tam zagadka mego bytu — w téj trumnie! w téj trumnie!

....

Na atłasie piękna, cicha.
Ręce trzyma w krzyż,
Przez sen do mnie się uśmiecha—
Oh! ty już nie śnisz!

Oh! nie czujesz ty już woni
Z wieńca białych róż—
Całowaniem twojéj skroni
Nie zbudzę cię już!

Nie wiesz nawet, że za tobą,
Idę blady trup,
Że prowadzą cię z żałobą,
Że prowadzą w grób!

Była słodka i anielska
I kochała mnie,
Jak piosenka jaka sielska
Płynęły nam dnie.

I jam przy niéj był bez grzechu
I anielskość miał,
Bo z jéj oczu, z jéj uśmiechu
Jam sakrament brał.

Była dla mnie jak natchnienie
Genjuszu i cnót,
Wiodło mnie jéj szat jaśnienie
Do niebieskich wrót.

Na toż ciebie biedna matka
Wydała na świat,
I jam kochał do ostatka,

Bym cię w trumnę kładł!

Takież moje ślubne łoże?
I ja w takim dniu
Żyję jeszcze?—Boże! Boże!
Co ja poczną tu?!

Gdzież zawiodło mnie na końcu,
Po przebyciu prób?
W czarną otchłań szedłem
w słońcu!
Przez nadzieję—w grób!

Takież moje ślubne łoże?
I ja w takim dniu
Żyję jeszcze?—Boże! Boże!
Co ja poczną tu?!

Wzięli trumnę na ramiona, ponieśli ją spiesznie,
Mnie zatrzymać chcą przemocą—ha, ha! to pociesznie!
Precz mi z drogi, głupi tłumie, bo będzie nieszczęście—
Młody jestem, wściekły jestem i mam silne pięście!

Ja mam jeden do niéj prawo—precz z drogi ciekawi!
Czarne mrowie! tylko równy niech mi opór stawi—
Mego bolu żadna z waszych piersi nie pomieści;
I pierzchnęli—a ja idę, wielki król boleści!

Pośród gwaru podziwienia, śród hałasu dzwonu,
Oto zbliżam się do trumny—do mojego tronu!
Ty grabarzu, na tym kopcu wsparty na łopacie,
By takiego pogrześć króla, ile chcesz mój bracie?

A zakop mnie a głęboko—tak mi źle na świecie!
Ciężéj niźli twoja ziemia, powietrze mnie gniecie...
Precz z kropidłem! i święcona woda ją poplami—
Ja tu jeden mam kapłaństwo—pokropię ją łzami!

Z pod habitu zakonnego wysuwa się ręka,
Jakaś jasna, jakaś mocna! duch mój przed nią klęka—
Dotknęła mnie! a ja padam podcięty jak kosą...
I wzięli mnie i ponieśli—gdzie oni mnie niosą?

.....

Włodzimierz Wolski, jeden ze zdolniejszych poetów i powieściopisarz, urodził się w Pułtusku, r. 1825. Nauki pobierał w Warszawie. Od kilkunastu lat przebywa za granicą. Pierwsze wystąpienie Wolskiego w *Przeglądzie Naukowym*

(r. 1843) zapowiadało znakomity talent poetycki i zjednało mu wielką wziętość pomiędzy młodymi literatami w Warszawie, tak, że jeden z utworów jego p. n. *Ojciec Hilary* uchodził pospołu z „Lesławem“ Zmorskiego, za rodzaj hasła dla „szkoły mazowieckiéj“; następnie jednak talent ten nie rozwinął się w wyższym kierunku. Łączy on charakter ludowy z bajronizmem. Poezye Wolskiego wyszły w Wilnie w 2 tomach (1859). Pomiędzy utworami większych rozmiarów *Ojciec Hilary i Połośka* mają wielkie do siebie podobieństwo: obie osnute są na tle ludowém i główne osoby z ludu wzięte, ale nienawiść do wyższych stanów i nienaturalna przesada wydarzeń odbiera téj wdzięcznéj treści wiele uroku. Osnową np. «Ojca Hilarego» jest miłość stajennego chłopca do wojewodzianki; w Połośce jeszcze dziwaczniejsze sytuacye i nienaturalne zabójstwa. Poemat *Wielki pan* ma piękne założenie (nawrócenie rozpasanego na rozpustę magnata przez miłość ku ubogiéj szlachciance) i wiersz wytworny, ale wykończenie całości jest bez ładu. Napisał także Wolski dwa libretta do oper Stanisława Moniuszki: *Halkę* (w 4 aktach) i *Hrabinę* (3 ak.). Pierwsza znacznie przewyższa drugą pod względem piękności; treść jéj wzięta ze «Starych gawęd i obrazów» Wójcickiego. Z innych wierszy Wolskiego zasługują na chlubną wzmiankę: fantazya *Wioska*, *Krakowiaki* i wspaniała fantazya *Fryderyk Szopen*. Z téj ostatniéj przytaczamy tu piękniejsze ustępy.

...Lecz cóż śpiewać wyrazami,
Gdy muzyka na pamięci
Tak wonnemi myśl wieńcami
Opasuje i tak smęci?

Od mazurków wieńca zacznę,
Co to wrzkomo bałamutne,
Swietne, lekkie i dziwaczne,
A tak smutne, a tak smutne...
Jak to dziewczę, co to brata
Wciąż z wojenki się spodziewa,
I ze łzami warkocz splata,
I ze łzami piosnki śpiewa.
W taniec proszą rowiennice,
Choć do tańca jest ochota,
Dziewczę smutno skłania lice,
Bo gdzież tańczyć ma sierota?
Na bułanym wtém ktoś jedzie...
Dziewczę biegnie, klaszcze w ręce,
Obcy człowiek konia wiedzie,
A brat zginął na wojence.

Smutne, smutne to mazurki!
Jak ta matka, co dla córki
Na wesele przystrajała
Białą suknię—lecz martwica
Wnet poczuła—i zatruła
Tchem śmiertelnym córki lica.
Matka białą suknię szyła,
To też w białą przystroiła
Córki zwłoki—pochowała—
Śpij, śpij cicho, liljo biała!

Teraz brzmi ów tańca dzwięk,
Co i w czapkach go tańczono;
Co na zwrocie w szablę szczęk,
Pas podjęto, wąs kręcono!

Już się snują pary tłumne,
Wygolone głowy dumne,
Wąs sumiasty, lub ze szwedzka,
Ale mina tak szlachecka,
Że kto nawet i z kielicha
Jéj nie pozna, to zje licha.
A tu przy nich tanecznice,
Tak urodne,
Tak rzewnością tchnące lice,
Choć w robronach, tak swobodne!

Polonezów jednak tony
Czasem tworzy dziwczniejsze!
Mazur smutny rozżalony,
Te bolesne, posępniejsze.
Jakby dworek modrzewiowy,
Nizki, stary, pochylony;
A na ganku od ogrodu
Siedzi starzec pogarbiony,
Z szramą podłuż łysej głowy,
Patrzy w krwawy blask zachodu.

A tam—tam, ku zachodowi,
Wiejski kościoł słomą kryty
Daléj cmentarz i krzyż wbity
Tu i owdzie. A starcowi
Czoło marszczy się powoli,
Gdy zachodu barwy chyże
Zrumieniły czarne krzyże.
Jakby mówił: Jam sierota!
Krzywda losu człeka boli.
W te-m cmentarza proste wrota
Zawiózł syna mego zwłoki,
Drugi gdzieś tam w świat szeroki
Pierzchł i zniknął, zginął trzeci.
Starzec! krzywdę mam bez dzieci.

Jeszcze jakby z ust sędziwych
Wyszło kilka skarg za żywych,
Ale w niebo spojrzał stary,
I zapłakał pełen wiary.
Wtém chłopczyna z jasnym włosem
I oczyma niebieskiemi
Wbiegł i zaczął srebrnym głosem
Nucić piosnkę.—Starzec z ziemi
Znowu podniósł wzrok ku niebu,
I tak słuchał piosnki wnuka,
Jak rozrywki to się szuka,
Kiedy wróci się z pogrzebu.

.....

Lecz ziemi już dosyć!
Teraz trzeba lot wznosić!
Trza i na Tatrów szczytach
Słuchać dźwięków potoku,
Gdy po siwych granitach
Pędzi fale o mroku.—
Trzeba słuchać jak w borze
Jodły szepcą tak z cicha;
Trzeba słuchać, jak morze
Rozburzone oddycha
Harmoniją letniéj nocy,
Melodyą dziwną mroku,
Tęskną groźbą północy;
I po za-świat uroku
Trzeba słuchem muzyka
Pojąć, ująć i stworzyć;
Trzeba drzwi te otworzyć,
Które genjusz odmyka.
Tęczowych marzeń trzeba
Odblaski pojąć lśniące,
Kiedy płyną do nieba
Fantazyami tęskniące.
Albo dusza gdy chmurna
Pół boleje, pół śpiewa,
I w ustępy nokturna
Żalu boleść wylewa:

Trzeba pojąć śpiewaka,
Gdy dla siebie śpiewa,
I lotem króla ptaka
Nad te góry i drzewa,
Nad ludzi skrzydła wzbił!
A świat pierzcha daleko
Jak mgła ranna nad rzeką,
Jak pył!

I czasem się zatrzyma
Gdzieś nad wioską płonącą;
Dym kłębami się wzdyma,
Matki z twarzą cierpiącą
Do piersi tulą dzieci.
Płomień bucha czerwony...
On w niebieskie swe strony
Leci.

Trzeba wpoić się w żale,
W młodéj duszy rozczary,
I zrozumieć że w chwale
Najpiękniejsza korona,
Ta, co łzami zroszona
Ofiary.

Bo nie wszystkim jest dane
Umieć siebie wynucić,
I marzenia rozwiane
Wstęgą chwały obrzucić.
I nie wszystkim też dane
Pojąć chwały téj blaski,
I najdroższe klejnoty
Z téj kosztownéj przepaski
Spoić w jeden strój złoty.
.....
....

Ból, sieroctwo i wiary promieniące koło
Przędzę pieśni w żałobnych kwiatów wieńczą zwoje...
Tworząc postać z tych pieśni, ubrałbym jéj czoło
W gwiazdy wiary, a w oczy wlałbym smutku zdroje.
Jednakże, by w nich świecił ten blask przenikliwy,
Ta moc cierpień, uniesień, co uświęca wzrok,
Usta ubrałbym w uśmiech tęskny i cierpliwy,
Dzień za nią, przed nią świecił—a w koło niéj mrok.

Bo to mroku był śpiewak tak cichy i łzawy,
Jak od listka akacyi drżący cień na ścianie,
A czasem tak posępny—lecz mało jaskrawy,
Jak zachodu nad rzeką powolne konanie.
On swemi marzeniami, on swemi pieśniami
Wszak o szaréj godzinie najmiléj nas pieści;
On tęsknoty dźwiękami i tęsknoty łzami
Wyśpiewał chwile żalu, męztwa i boleści.
O! to mroku był śpiewak! Dzień za nim daleki,
Przypominał mu słońca swojego odbłyski,
I łudził go i nęcił, że świtania blizki
Lecz mrok wieszcza swojego omroczył na wieki.

I losy skrzywdziły słowiańską ziemicę,
Że smutku śpiewaka tak nagle zabrały;
I dzieciom jéj licznym zsępiło się lice,
Że o jednego znów osierociały!
Ale ty blady, uroczy cieniu!
Już wynuciłeś, co nucić miałeś;
Ty na melodyi srebrnym promieniu
Leć, leć w te strony, którym śpiewałeś!
Pieśni twych tęskne, świetne przędziwo
Już się wieczystym snuć będzie ciągiem;
Ty w sercach naszych, co biją żywo,
Choć bez posągu— będziesz posągiem.
Leć, leć śpiewaku! To dzień twój świta!
Leć bracie do braci swojéj!
Tam cię z nich każdy pieśnią powita
I czoło blaskiem ustroi.

Liryki Wolskiego są niewielkiej wartości. Brak uczucia i prawdziwego natchnienia zastępuje w nich forma artystyczna.

Napisał także Wolski kilka powieści prozą, nacechowanych talentem i dobrze obmyślanych; zarzucić mu tylko można, że zanadto kochał się w brudnych obrazach. Tu należą dwie serye opowiadań i powieści: *Czarna wstążka—La Kaczucza—Korrepetytor — Ranne odwiedziny* (Wilno, 1850 — 1852)— *Bakałarz* (Warsz., 1857) — *Uśmiech losu* (tamże, 1855, tomów 3) — *Domek przy ulicy Gołębiéj* (tamże, 1858).

Edward Żeligowski (*Antoni Sowa*) urodził się w gubernii wileńskiéj w powiecie wilejskim r. 1820. Po odbyciu nauk uniwersyteckich w Dorpacie osiadł na wsi i gospodarował. W r. 1846 wydał fantazyę dramatyczną p. n. *Jordan* (2 wydanie, podobnie jak i 1-wsze, w Wilnie, r. 1847). Następnie 10 lat przepędził najprzód w Petrozawodsku a potém w Orenburgu. Od r. 1857 osiadł w Petersburgu, gdzie wydał *Poezye Antoniego Sowy* (1858), oraz *Dziś i wczoraj*. W r. 1861 wyjechał za granicę i umarł w Genewie r. 1864.

Poezya Zeligowskiego rozwinęła się przeważnie w sferze zadań społecznych, i tam tylko jest rzeczywiście potężną; po za granicami téj sfery polot poety traci większą połowę swéj siły. Jego *Jordan* miał niegdyś ogromny rozgłos, Jest to udramatyzowana satyra karcąca ostro i śmiało przesądy i wady społeczeństwa polskiego. Krytyka zarzucała temu utworowi formę dowolną i brak akcyi dramatycznéj. Lecz zwykle

ramy dramatu bywają często za ciasne, ażeby mogły zamknąć w sobie całą myśl poety; autor to czuł i rozmyślnie użył formy najswobodniejszéj. Co do akcyi, można powiedzieć, że sam poemat Żeligowskiego był *czynem*. Zresztą *Jordan* patrzy, myśli, cierpi, mówi, nie jest więc zupełnie bezczynnym — snadź gotuje się do czynu. Czyn zaś jego widomy jest ten, że wśród pognębiających go cierpień i brudów społeczności rodzimej, wychodzi cało, unosząc niepokalaną czystość ducha swojego. Druga część «Jordana» p. n. «*Zorski*, dramat społeczno-obyczajowy», pozostaje dotąd w rękopiśmie. Jest to dalszy rozwój *Jordana*. Tam był on w stanie przejścia z życia kontemplacyjnego do życia czynnego— tu występuje jako mąż czynu na tle owczesnych stosunków społecznych.

Z wierszy zawartych w *Poezyach Antoniego Sowy* (Petersburg, 1858) te tylko prawdziwie są piękne, które natchnęła poecie jego myśl zasadnicza, innemi słowy, założenie jakieś zbiorowe. Takiemi są trzy następujące:

1.

Nie tam — nie tam do chwały droga,
Gdzie samolubstwo złoci bramę wchodu,
Gdzie serce pali złéj dumy pożoga—
I gdzie myśl pjana blaskami zawodu.

Pierwsza zawada tam zapał rozproszy;
Tam pierwsze pjanéj myśli wytrzeźwienie
Z krainy światła strąci w nocy cienie,
W głąb żądz zmysłowych, lub pańskich rozkoszy.

O! inna gwiazda kolebkę ozłaca
Ludzi, co mają być chwałą narodu,
Gwiazdą przewodnią ich — skromność i praca—
I dar niebieski zaparcia się z młodu.
.....

Bo i najwięksi w jedności zbiorowéj
Znajdują tylko echo swego bytu,
I ten dosięgnął tylko chwały szczytu,
Kto był ozdobą chwały narodowéj.

Kto pielęgnując święty dobra zaród,
Jedynie żyje dla dobra współbraci,
Temu duch chwałą największą wypłaci,
Gdy się ulepszy, uszlachetni naród.

2.

Do przyjacioł Słowian

Онъ говорилъ о временахъ грядущихъ,
Когда народы, распри позабывъ,
Въ единую семью соединятся.
А. Пушкинъ.

Plemienni bracia, bracia moi z ducha,
Choć w różnéj wierze i choć w różnéj mowie
Nas wychowali i chrzcili ojcowie,
Lecz my ogniwa jednego łańcucha—
Dzieci jednego niebieskiego ducha,
Plemienni sobie i rodem i w słowie!

Czemuż na przekor niebieskiemu Ojcu
I męczenniczéj śmierci Jego Syna—
Narodom płakać kazano w ogrojcu,
Kazano dzieje powtarzać Kaina?

I brat okrópnie srożył się na brata—
Krwawe ofiary, wysiłki ostatnie,
Niósł nie dla prawdy, nie na dobro bratnie,
Ale na ołtarz gwałtu i bułata!

Srebrnikiem Judy, Kaifasza sądem,
Kupczono często krew i serca ludów,
I walcząc gwałtem i walcząc przesądem—
Możnaż chcieć szczęścia, albo czekać cudów?

Słowiańskie plemię, tak wielkie, potężne—
Dość naszę kartę otworzyć dziejową;
Na każdéj znajdziesz wielki czyn lub słowo,
Na każdéj—serce szlachetne i mężne.

A jeśli jaka splamiła się karta,
Toć tak jak ludzie, grzeszą i narody;
To gwałt, to przemoc, to wybryk swobody,
To tradycyjna zła wola uparta.

To wszystko ludzkie, lecz co strasznie boli
To to, że skoro pomroczą się dzieje,
Zły duch swym mrokiem wnet naród okoli,
I wtenczas serce narodu zciemnieje.

Wnet zatém piekło wypowiada walki,—
I sztandar fałszu nazwą narodowym;
Wtenczas bezsilne kalają westalki,
Frymarczą cześcią i handlują słowem.

Wtenczas złych duchów sromotne żołdactwo,
Okrada braci w świętém chrztu znamieniu;
Lecz my poznali już to świętokradztwo,
I okupili w łez i krwi strumieniu.

Dziś wiemy wszyscy, czego nam potrzeba,
Ani ziem obcych, ani obcych grodów;
Ale nam trzeba powszedniego chleba—
Chlebem powszednim—jest szczęście narodów.

Chlebem powszednim jest święte pojęcie,
Że każdy światu winien prawdę, trudy,
Że jedno w Bogu wszechludów poczęcie,
Że bratnią miłość winny sobie ludy!

Plemienni bracia, których pierś zatlona
Pochodnią prawdy, miłości pochodnią;
Święćmy dzień wspólnie Wielkiego Tygodnia,
A miłość cudów pośród nas dokona.

Powtórzmy wszystkim, co nas pojąć zdolni,
Co dobro bratnie nad wszystko przełożą,—
Bądźmy przesądów i niechęci wolni,
A wydrzem piekłu skradzioną myśl Bożą.

I niebu bluźnić przestaną szatani,—
I ludzi zasług—pogrzebane kości,
I duch zwaśniony z grobowéj otchłani,
Wstaną na obrzęd słowiańskiéj miłości.

3.

Do poety ludu.

(z bułgarskiego.)

Wieszczu ludu—ludu synu.
Tyś tém dumny, boś szlachetny,
Bo u skroń twych liść wawrzynu,
Jak ton pień twych smutny, świetny.

Dwa masz wieńce, mój lirniku,
Oba piękne, chociaż krwawe—
Boś pracował nie na sławę,
Lecz serc braci słuchał krzyku.

Im zamknięto w ustach jęki—
Ach! i jęk im liczon grzechem!
Tyś powtórzył głośnem echem
Zakazanych jęków dźwięki.

I nad każdym tyś przebolał
I przepłakał nim urodził,
Lecz duch z wyżyn cię okolał,
I duch pierś twą oswobodził.

Smutny wieszczu! patrz cud słowo!
Jako słońca nikt nie schowa,
Gdy dzień wzejdzie tak nie może
Schować słowa nikt z Sułtanów,
Bo i słowo też jest Boże
I ma wieszczów za kapłanów.

Liryki Żeligowskiego nierównie są słabsze i wieją naśladownictwem Byrona i Hejnego. Tego też ostatniego kilka poezyj znajdujemy pomiędzy wierszami Żeligowskiego w dosyć udatnym przekładzie.

Żeligowski, jako poeta, niegdyś zanadto przeceniany, dziś znowu niesłusznie zapomniany został. W swoim czasie spełnił on chlubnie zadanie poety.

Adam Pajgert urodził się we wsi Skomorochach, w obwodzie tarnopolskim w Galicyi r. 1829. Wykształcenie odbierał przeważnie domowe pod kierunkiem światłego ojca i z pomocą bogatéj domowéj biblioteki. W r. 1856 zaczął umieszczać poetyckie swoje utwory w *Nowinach* wydawanych we Lwowie, tudzież w *Dzienniku Literackim*. Ożeniwszy się, objął po ojcu gospodarstwo, poświęcając wolne chwile studyom filozoficznym i poezyi. W skutek wielkiéj skromności, mimo talentu wrodzonego, poświęcał się głównie przekładom obcych arcydzieł poetycznych, z których wyszły już to we Lwowie, już w Warszawie: Szekspira *Juljusz Cezar* i *Henryk IV*, Byrona *Kain*, Moora *Raj i Pery*, Musseta *Czara i Usta*, Tennysona *Ginewra*. Przy wielkiéj wierności w tłómaczeniu umiał odtwarzać ducha pierwowzorów i całą ich piękność. Przekłady te drukowane były po różnych czasopismach, gdzie też pomieszczał wiele rozpraw treści estetycznéj. Oryginalne poezye wydał w małym zbiorku we Lwowie r. 1857. Najznakomitszym oryginalnym utworem Pajgerta jest *Kadmea*, ustęp z dziejów Grecyi, pełen plastyki i prawdziwie klassycznéj piękności. Późniejsze wypadki wywołały z pod pióra poety cały szereg utworów lirycznéj i satyrycznéj treści p. n. Zelazne struny (w rękopiśmie). Umarł w r. 1872, zleciwszy testamentem Kornelowi Ujejskiemu wydanie zbioru swych pism, które mają obejmować 6 tomów przekładów i oryginalnych, głównie pośmiertnych utworów.

Henryk Jabłoński, jeden z najzdolniejszych poetów ostat-

nich czasów, urodził się w okolicach Baru na Podolu około r. 1829. Do tych to stron, nad Boh, Rów i Ładawę, unosiły poetę dumki tęskne przez całe niespokojne, rzucane po rozmaitych krajach życie. Swoję to kolebkę uroczą opiewa on w II-gim ustępie *Gwidona*.

Nad sinym Bohem leży wieś w dolinie,
Na wzgórzu domek—szlachecki dom stary,
Z gankiem, ogródkiem i bramą gościnnie
Otwartą zawsze. Nad nim dąb konary
Zwiesił szeroko,— dalej na jedlinie
Bocianie gniazdo, — a daléj czahary,
Gdzie nieraz trąbki rozmawiają z echem,
Grają ogary, piorunują strzały,
Gdzie wiatr północny szumi dzikim śmiechem.
I nieraz uszy wieśniaków słyszały,
Jak biedne dusze okowane grzechem,
Jęczały w łozach, aż kury zapiały.

A tam Boh świeci — Boh nasz rusałczany,
Co ranną falą zaklina w uroki,
Z wieczornéj fali jak ze śnieżnéj piany,
Śnieżne boginie migają przez mroki;
Po rosie kwiatów wędrują przez łany,
A rankiem nikną, by mgliste obłoki.

Dokoła pola—te podolskie pola,
Szemrzące kłosem, pełne miodu, woni,
Wzdłuż jako zajrzy źrenica sokola:
Tu wiater do snu łan pszenicy kłoni,
Tam czarném morzem płynie czarna rola
A wszędzie tęskna, rzewna nuta dzwoni
Dum ukraińskich—

Zda się że przykuta
Do pól, co wszystkie rajskie wdzięki mają —
Tęskna za rajem biednych ludzi nuta!
Albo pomyślisz, że pola śpiewają,
Że z fal bohowych srebrna pieśń wysnuta, —
Albo niebiosa do snu stepom grają.

W tym białym dworze młodociane lata
Zbiegły jak chwila, niby sen bez bolu — i t. d.

Początkowe nauki pobierał Jabłoński w szkole powiatowéj międzybożskiéj (1840 — 42), gdzie łączyła go serdeczna przyjaźń dziecinna z Leonardem Sowińskim, młodszym od niego o dwa lata. Wtedy już wiele obiecywał cudowną wymową, niezmiernie bujną wyobraźnią i namiętném upodobaniem w czytaniu książek, szczególniéj treści fantastycznéj *). Po ukończeniu szkoły powiatowéj uczył się kilka lat w gimnazyum kamienieckiém, lecz w 17 roku życia opuścił Kamieniec i udał się do Lwowa, gdzie nie pobierał już nauk systematycznie, korzystając jedynie z rad i wskazówek życzliwych mu literatów miejscowych. Bawiąc we Lwowie, wystąpił z kilku poezyami (*Podolak*, *Tęsknota* i t. d.), które drukował jednocześnie w polskim i ruskim języku. Pod imieniem *Wacława Kmity*, zasilał wierszami swojemi ruski *Dnewnyk*, *Dziennik Mód Paryskich* (1848) i *Tygodnik Polski* z r. 1849. Później zaczął pisywać do *Nowin i Dziennika Literackiego*. Od r. 1850 przebywał kilka lat już to w Warszawie już w Kijowie; następnie był na Wschodzie, we Francyi, a wreszcie objął posadę kanclerza konsulatu, ostatecznie zaś konsula francuzkiego w Zanzibarze na wschodniém wybrzeżu Afryki południowéj, zkąd prześliczne poezye i listy nadsyłał *Nowinom Lwowskim* i *Dziennikowi Literackiemu*. Myśl i serce poety nie przestawały zwracać się z tęsknotą ku stronom rodzinnym, i jak dawniéj *Legionista* Brodzińskiego, użalał się smętnie:

«Cóż, że tu wieczna wiosna, że najsłodsze wonie,
Gdy kwitną pomarańcze, gwoździki, mahonie,
W powietrzu balsamiczném zewsząd morzem płyną!
Co, że tu wzgórza, wieczną odziane zielenią,
Bieli dziewiczy jaśmin, granaty czerwienią?
Kraj ten może być rajem, nie jest Ukrainą!»

Wracając do Europy w celu poratowania zdrowia nadwątlonego zabójczym klimatem, umarł w drodze r. 1868.

Oprócz wielu drobnych poezyj, napisał Jabłoński wierszem dramat p. t. *Ostatnie Święto Światowida* i powieść *Dżuryło*. Poezye jego drukowane w «Nowinach» wyszły w oddruku p. t. *Gwido i Dumki* (Lwów, 1855; Wilno 1857).

---

*) Całemi godzinami opowiadał przyjacielowi swemu bajki z *Tysiąca nocy i jednéj*, które zdaje się umiał wszystkie na pamięć; czasami dyktował mu je, domagając się w zamian opowiadań o bohaterach Iliady, lub o przygodach syna Ulissowego.

Treścią poematu *Gwido* jest żywot artysty ścigającego przez całe życie ideał harmonii wśród nierozumiejących go ludzi. Prześlicznie poeta określa zadanie artysty-muzyka w następujących wierszach:

Precz sąd puszczyków! — ciebie niech osądzą
Bijące serca, promienne źrenice, —
Błogosław ciszę od zachwytów drżącą,
Błogosław drżącą spojrzeń błyskawicę, —
Oczy nie zwodzą — a serca nie błądzą.

Zapal młodzieńca, zarumień dziewicę,
A starcom z piersi serdeczne wstchnienie
I łzę wyciśnij — taką łzę młodzieńczą!
Po której zapał i prawicy drżenie,
I echa silne jak żelaza brzęczą —
I na wtór pieśni gra już czynów pienie...
O, taka sława, to już bożą tęczą! —

Błogosławiony, kto jak ptak na drzewie,
Rodzinną pieśnią wyspowiadał duszę,
Kto zna poezyę, a o sztuce nie wie;
Nie błądząc w ciemnéj pojęć zawierusze,
Ducha melodyj duchem przeczuł w śpiewie;
Komu muzyka jak Rusałka śpiewna,
Powiała czarem w cichą noc majową,
I rozpłakana na mogiłach, rzewna,
Jak senny anioł latała nad głową;
A w noc burzliwą, jak nocnica gniewna;
Huczała w chmurach trąbą piorunową,
A po parowach wyciem wilków głuchém!
Błogosławiony kto melodji słucha
W naturze całéj ducha wieszczym słuchem,
Kto w szacie dźwięków poznał dźwięków ducha,
I czuciem piękna stał się równie duchem
Promiennym, jasnym.

Gołąb, co tam grucha
Na starym dąbie lasu, szum ponury
I ryki trzody, co idzie górami,
I ranne echo, którém mówią góry
Krzyk orłów, wicher co leci stepami,
Wszystko to bożéj harfy jest strunami,
Wszystko jest bożą pieśnią wiekuistą.

Kto duchem w pienie nie wcielał się boże,
Za czysty akord nie stał duszą czystą,
Nie padł kropelką w to bezbrzeżne morze,
Ten nie jest duchem poetą, artystą,
I berła ducha posiadać nie może.

Muzyko! jasny, święty cherubinie!
Błogosławionaś, niebios posłannico!
Ty nad kolebką śpiewasz już dziecinie,
Na łąkę kwietną płyniesz za dziewicą,
Rolnika łany przemieniasz w świątynie,
Na polu bitwy męztwa błyskawicą
Zapalasz duchy. —

Ty nawet na grobie
Grasz cichém, smętném, łzawém narzekaniem,
Ty jako płaczka, gdy naród w żałobie,
Serdeczną dumą lamentujesz za nim...
Serca cnotliwe za kościoły tobie!
Jak mową duszy, każdy naród graniem,
Serdeczną nutą dzieje opowiada. —

Nasz duch melodji jeszcze rozsypany,
Świeci jak gwiazda stupromienna blada,
Huka po górach i wyje przez łany,
Z stepowym wiatrem w dumie stepów gada,
I nad mogiłą jęczy rozpłakany...

A dotąd niemasz mistrza silnéj ręki,
Z natchnioną duszą, myślą promienistą,
Coby te dumy, te sieroce jęki
Zebrał i przelał w jednę pieśń ojczystą,
Rodzoną, naszą, — i sieroce dźwięki
Wyśpiewał z piersi jak melodję czystą,
Natchnioną, wielką, jak ta nasza ziemia.

Nasz duch melodji wieje pośród ludu,
Artystów serca jakiś czar zaniemia,
Zaślepia oczy. Mogliby bez trudu
Kwiat co na własnéj grzędzie się rozplemia,
Podnieść, rozjaśnić w błyskawicach cudu.

Po drodze téj gorączkowéj pogoni za ideałem, zapaleniec zostawia groby rodziców, sióstr, żony, dziecięcia... Na gruzach szczęścia własnego, którém okupił rozkosze natchnień, za-

chwytów i dźwięków nadziemskich, wyradza się w sercu jego myśl o oklaskach i sławie. Rzuca się przeto w świat; lecz w najuroczystszéj chwili spotyka go zawód bolesny.

Grałem raz — sala była przepełniona,
Śród światła drżały kamelje i róże,
I wiały pióra, — czoła i ramiona
Dziewic świeciły jako śnieg na górze,
Daléj kolumna młodzieży ściśniona,
Jak czarna chmura przy aniołów chórze.

Grałem, a duchem, śmiało i serdecznie,
Całą mą duszę przelałem w' to granie,
Całe uczucie.

Nie zapomnę wiecznie!
Struny mówiły, by duch wstąpił na nie;
Anioł melodji zajaśniał słonecznie
I grę mą mienił na niebios wołanie.

Sierocym płaczem zajęczały struny,
Dźwięki płynęły, jako łzawe fale...
Ciszéj i ciszéj — niby jęki z truny,
Nad którą dzieciom wzbronne nawet żale.
Nagle zagrzmiałem — cisnąłem pioruny!...
I łzawém okiem spojrzałem na salę.

Na sali — śmiechy, rozmowy, aż gwarno...
Sypnęli oklask — jakbym prosił o to!
Pierwszy raz na świat popatrzyłem czarno; —
Grałem kamieniom, perły'm rzucał w błoto!
Sprzedamże duszę za ich płacę marną?
Wstałem...
I w oczy cisnąłem im złoto.

Ostatnie to rozczarowanie zabija artystę. Następuje sąd pozagrobowy. Śmierć ojca, matki, żony — wszystko mu się przebacza, lecz nie przebacza się zdeptanie szczytnego powołania mistrza dla samolubnych widoków sławy. Duchy niebios wołają:

Wzywamy sąd na ciebie,
Wyższe miałeś powołanie,
Wziąłeś talenta od Pana
I zakopałeś...

A kto zagrzebie
Talent i z lichwą nie stanie,
Już kara przypisana
Przed wiekiem.

Walczyłeś długo
Wyszedłeś smutny i krwawy;
Ta walka nie jest zasługą:
Walczyłeś dla sławy,
Byłeś człowiekiem.

Cożeś uczynił dla ducha?
Rzuciłżeś cegłę choć drobną
Na gmach postępu wiekowy?
Pokaż nam czyny twéj głowy
Lub serca...

Podobno
To była rola sucha!
Kwiat wonny, lecz niemocny!
Po trzykroć potępiony
Kwiat bezowocny!

Rzuciłeś lube strony,
Wyrwałeś serce skrwawione
I szedłeś między tłumy
Na głód i cierpienia
Dla ducha wcielenia,
I oto trudy skończone,
I myśli natchnione
Duch opromienia, —
Zaparłeś go dla dumy!
Nie miałeś miłości!

Czy po to schodzą od Boga
Jego posłannicy,
By świat uchylał im czoła?
Wszakże i pychy anioła,
W oklasków błyskawicy
Do piekieł idzie droga.

Z pokorą, miłością i wiarą
Stań przed narodem wybranym,
Nie z imieniem, z sercem swojém...
Płyń miłości czystym zdrojem,
Zapłoń ogniem nieskalanym,
Częstuj rzeszę serca czarą...
Choć o pierś twą lody trącą,
Choć odpłacą ci pogardą,
I szyderstwem i obelgą, —
Stój przed nimi z myślą wielką;
Pierś na ciosy ma być twardą,
Poświęceniem pałającą.

Każdy utwor piękny wzniosły
O krok jeden ziemię zbliża
Do królestwa wszechjasności.
Drogą waszą, niebios posły,
Droga trudu, droga krzyża
I droga miłości!

A tyś co uczynił?
Przeciw Świętemu Duchowi,
Człowieczeństwu i wiekowi
Ciężkoś zawinił!

Za brak miłości,
Za dumy błąd,
Ducha jasności
Wzywamy sąd!

Chór!

Biada! biada! biada!
Duch się w ciemności zapada,
A wyrok boży grzmi:

«Zostań na wiele dni
Na dzikiéj Bohu skale,
Jako odgłos dum ludowych.
Nieś je z wiatrem po nad fale
W step — do stromych skał dnieprowych;
Bądź odgłosem dum pokutnym,
Trącaj serca jękiem smutnym,
Aż się znowu Mistrz urodzi,
Co pracując dla mnie szczerzéj,
Wszystkie dumy w sercu zbierze,
Z serca wygrzmi pieśń swobodną,
Godną ziemi, nieba godną,
Ten cię oswobodzi.

Myśl poematu niezaprzeczenie piękna, język, pomimo kilku russycyzmów, prześliczny: utwor to jednak zanadto młodzieńczy; wyobraźnia się pieni zbyt mętną powodzią form rozmaitych, często dziwacznych i zaciemniających myśl samę; przesady i deklamacyi — co nie miara. Ustępy opisowe są najpiękniejsze.

W *Dumkach* Jabłońskiego uderza podobieństwo do takichże utworów Zaleskiego. Niesłusznie byłoby zarzucać poecie naśladownictwo rozmyślne: dalekim on był od tego. Podobieństwo, o którém mówimy, spowodowane zostało tożsamością przedmiotu i pokrewieństwem uczuć obu poetów. Weźmy np. następującą *Dumkę*:

W głos serdeczna dumka płynie,
Tam moja jedyna,
A na téj tam Ukrainie
Matka i rodzina.

Matka tęskna patrzy w pole
Łzawemi oczyma,
Pusta droga na Podole...
Ani wieści niéma!

Ach! upłynie wody wiele,
Miną lata, latka,
Zazieleni drogę ziele,
Nim go ujrzy matka.

W głos serdeczna dumka płynie,
Tam moja jedyna,
A na téj tam Ukrainie
Matka i rodzina.

Miła tęskno patrzy w pole.
Czarnemi oczyma,
Pusta droga na Podole,
Ani wieści niema;

Ach! upłynie wody wiele,
Minie czasu siła,
Zazieleni drogę ziele,
Nim go ujrzy miła.

Czarnobrewko, żal urody!
Taka wola Boża!...
Nie on jeden w świecie młody,
Tyś jak wiosna hoża!

Czarne oczy, kraśne lica,
Zaklną nie jednego;
Tobie szczęście — a tęsknica
Dla niego — dla niego!

W głos serdeczna dumka płynie,
Tam moja jedyna,
A na téj tam Ukrainie
Matka i rodzina.

Próżno czeka stara matka,
Próżno czeka miła,
W obcéj ziemi miną latka,
Uściska mogiła.

Najpiękniejsze utwory Jabłońskiego rozrzucone są po czasopismach lwowskich i dotychczas oczekują zbioru, na który ze wszech względów zasługują więcéj niż te, którym poświęciliśmy ustęp niniejszy.

Leonard Sowiński urodził się na Podolu w powiecie lityńskim we wsi Berezówce r. 1831. Początkowe nauki odbywał

w szkole międzybożskiéj jednocześnie z Jabłońskim, gimnazyum ukończył w Żytomierzu. W r. 1847 wstąpił na wydział filozoficzny w uniwersytecie kijowskim, gdzie po czteroletnich studyach otrzymał stopień kandydata. W r. 1852 na nowo wstąpił do uniwersytetu na wydział lekarski, lecz po czterech latach opuścił ten zawod i wrócił do zajęć literackich. W r. 1857 zwiedził Austryę, Włochy, Francyę, Belgiję, Saksonię i W. Ks. Poznańskie. Włochy arcydziełami swojemi wywarły przeważny wpływ na charakter poetycznéj twórczości jego. Od r. 1858 do 1862 mieszkał bądź na Podolu, bądź téż w Kijowie. W r. 1859 zachęcony przez Kraszewskiego, wydał kilka ustępów z *Satyry w Piśmie Zbiorowém Wileńskiém.* W tymże roku wyszło w Kijowie 12 sonetów jego p. t. *Widziadła.* W r. 1860 wydał w Wilnie *Studya nad literaturą ukraińską*, które należy uważać za wstęp do dzieła p. n. «*Taras Szewczenko*, z dołączeniem przekładu *Hajdamaków*» (Wilno, 1861). Pod koniec 1860 r. wyszedł w Warszawie poemat «*Z życia*», który w ciągu kilku miesięcy miał dwa wydania (2 wyd. z r. 1861). Nadto był współpracownikiem *Kuryera Wileńskiego* (1860 — 1862), gdzie prowadził stałą korrespondencyę z Kijowa i umieszczał drobniejsze poezye i rozprawy. Od r. 1862 do 1868 przebywał w gub. kurskiéj, najprzód w Kursku a potém w m. Szczygrach. W r. 1868 przesiedliwszy się do Warszawy, został współpracownikiem *Gazety Warszawskiéj*, następnie *Wieńca*, nareszcie *Gazety Polskiéj*, gdzie umieszczał recenzye literackie. W tym czasie wydał poemacik p. t. *Fragment powieści* (Lwów, 1869), *Najemnicę*, przekład z Szewczenki (tamże, 1870), poemat p. n. *Satyra* (Kraków, 1870) i rodzaj katechizmu filozoficznego p. n. *Słowo Bytu* (Lwów, 1870). Obecnie wychodzą w Poznaniu *Poezye S.* (dotąd wyszły 2 tomy, 1875). Jemu też powszechnie przypisywaną jest tragedya w 5 aktach z prologiem i epilogiem, bezimiennie wydana w Poznaniu r. 1873 p. n. *Na Ukrainie.* Nareszcie w przeciągu ostatnich trzech lat Sowiński opracował wielkie czterotomowe dzieło p. t. «Rys dziejów literatury polskiéj podług notat Aleksandra Zdanowicza, oraz innych źródeł» etc.

Sowiński należy także do liczby tych poetów, na których najpotężniéj działają założenia zbiorowe. Podźwignienie ideałów społecznych i wcielenie ich w czyn — to godło poetyckiéj twórczości jego. Odzywa się już ono w *Widziadłach*, które są jakby idealnym życiorysem ducha poety. Po ideałach wiary i

poezyi, po widmach zwątpienia i szałów zmysłowych, następuje poczucie powinności.

Szczytna, święta, surowa, jak marmur *Anioła*,
Porywająca umysł wielkością bez miary,
Zawitała powinność w sumienia obszary,
I światło celów zacnych rozlała dokoła.

I na powiew jéj szaty — świat omamień stary
Runął nagle o płyty bożego kościoła...
Kilka cierni wypadłych z krwawego jéj czoła,
Zostało w sercu chorém na zasiew ofiary.

I nieznaną mu dotąd żywot jęknął mową,
A przed okiem dziwnemi zaświecił cudami:
Łzy braci zaiskrzyły rosą brylantową;
Trud wieków wyszlachetniał wielkiemi celami;

Krwawa praca pod krzyżem snuła przyszłość nową,
Promieniejącą wiarą, potężną czynami.

Duch przejrzał, a wytknąwszy nowe drogi swoje
W purpurę ideału trud przyodział święty,
I jak prorok dni przyszłych, zachwyceniem zdjęty,
Wołał: zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje!

Podobnie jak u Jabłońskiego, na drodze obowiązku staje żądza samolubnéj sławy.

W tém rozwarły się z trzaskiem świątyni podwoje;
Na ołtarz chęci czystych zstąpił duch przeklęty —
Czoło z bronzu sępiły pychy niepokoje,
W ręku powiewał sławy sztandar rozwinięty.

I ze wzgardą w spojrzeniu zmierzył obszar trudu,
Gdzie dłonie milionów nieustannie garną
Proch zasług na odłogi kamieniste ludu;

Gdzie wiek cały na garstkę zdobywa się marną,
A żaden laur nie szumi nad ciężbą tą czarną...
Żadne czoło nie wyjrzy z niepamięci brudu.

Zbłąkana myśl, jak dymy płonącego grodu,
Uniosła się nad ziemię w mar ognistych kole,
Zdobyła wyobraźnią milionów wolę
I pognała, jak burza po fali narodu.

W tém powiewna i blada, z wieńcem róż na czole,
Z berłem w palcach ostygłych wyciosaném z lodu,
W płaszczu białym, jak zimą posrebrzone pole,
Śmierć wionęła na duszę kolumnami chłodu.

I zlekka włosem kruczym wieszczą skroń musnęła,
Dłonie śnieżne na serce położyła wrzące,
Ustami kamiennemi oczy przycisnęła...

I zgasło życie młode, jak światełko drżące...
W proch ziemi poświęconéj wsiękły łzy gorące...
Pierś pod krzyżem po walce płonnéj odpoczęła.

Tak więc w *Widziadłach*, podobnie jak w *Gwidonie* Jabłońskiego na drodze wcielenia ideału po «walce płonnéj» następuje śmierć.

W poemacie p. n. *Satyra* celem autora było natchnąć starożytną satyrę ideałem chrześcijańsko-społecznym. Ideał ten ma postać gminowości już to w sferze robót ciżbowych, już na szlakach promiennych genijuszów, zarówno na polu religii i sztuki, jak na obszarach pracy społecznéj. Autor wciela swe ideały w rozmaite postacie dziejowe. Występują tu: Chrystus i Hoene Wroński, Michał Anioł i Beato Angelico, Napoleon i t. d.; występuje także chrześcijaństwo katakómbowe, Sztuka grecka, gminowładztwo szlacheckie. Jednostka wszędzie tu poświęcona powszechni. Dla wyjaśnienia myśli autora przytaczamy tu kilka wyjątków

.....
Wielkie to w życiu narodu chwile,
Gdy miliony zbratane w duchu
Ku jednym celom o własnéj sile
Pędzą gromadnie w powszechnym ruchu.
I moc tam wszelka odrębna ginie,
Bo wszyscy razem, siebie niepomni,
W jednym zbiorowym łączą się czynie —
I w oczach dziejów wszyscy ogromni...
Z téj wyłącznego bytu pokory,
Z téj niepamięci na własne imie,
Powstają zasług gmachy olbrzymie
I narodowéj wielkości wzory.
.....
Gdy w powszechnego bytu głębinie,
Obezwładniałéj po burzach próby,

Kropelka błaha, dla marnéj chluby,
Jedna po drugiéj na wierzch wypłynie:
Zapłacz, o ludu! życie twe mija,
W około piersi gad się obwija
I siły twoje przejrzałe mdleją,
I natchnień prądy nieruchomieją...

Odtąd w samotnych rzutów odmęcie,
Ustaje praca braterska gminu,
Gaśnie ogólnych potrzeb pojęcie
I podobieństwo wielkiego czynu.

Niezdolna zasług a żądna sławy,
Myśl próżna widząc życie dokoła,
Chciałaby w szale niecnéj obawy
Wszystkie prócz swego postrącać czoła...
Na zgliszczach świątyń, w pożarów dymie,
Na zakrwawionym ojczyzny grobie —
Szalona — pragnąc znak dać o sobie,
Herostratowe wypala imię.

.....

Gdy myśl zmaleje i skrzepnie wiara,
A w każdym drobnym powszechni pyłku
Zamrze jedności wielkiéj ofiara,
Społeczność taka — bezsilna, stara,
I narodowy żywot na schyłku.

Czasem na dziejów bezwładnéj fali
Długo spróchniały korab nie tonie...
Lecz niech po żaglach wicher powionie, —
Rozkołysany wnet się rozwali —
I pracę wieków chwila pochłonie.

O! te zgrzybiałe społeczeństw lata!
Myśl się na samo wspomnienie chmurzy...
Kiedyż duch Pański nadleci w burzy,
Co ma odnowić oblicze świata?!...
Spojrzmy na Zachód! Węzły tych ludów
Dawno im w piersiach ostygłych pękły,
Skarłowaciały dźwignie ich trudów
I samolubstwem dusze nabrzękły.

Pośród kamieni, żelaza, pary,
W blasku znikomym gazu i złota,
Gdzież ich naddziadów rycerska cnota?
Gdzie chrześcijański charakter stary?

Próżno świat młody, skazą nietknięty,
Łudząc się, czeka ze łzami w oku,
Czy też tam płomień nie buchnie święty
Wszystko w odwiecznym tonie pomroku...
Żywot ich, światło, potęga cała,
Przyszłość i wiara, sny i natchnienie —
To nieprzerwana orgija ciała,
Igrzysko szumne, uczt upojenie,
Półmędrków szermy, głupców zdumienie,
Lub dym pożogi i błyski działa.
Tak samo niegdyś potwór w purpurze,
Śród zakrwawionéj pożarem Romy,
Z biczem i lutnią, w kurzawy chmurze,
Przebiegał cyrki i hippodromy...
.....
O genijuszu! któż objąć zdoła
Wszystkie rozrostu twego konary,
Wszystkie słoneczne myśli twéj koła,
Wieszczego lotu wszystkie obszary!...
Lecz któż nie widzi, żeś najszczytniejszy,
Porywający, najpromienniejszy,
Kiedy w rozkwicie swym ostatecznym
Wystrzelisz wielkim czynem społecznym.
Jak w ziarnie drzemią puszcze wiekowe,
Tak w duchu ludzkim boża społeczność...
Gruntem jéj wzrostu — ciżby ludowe,
Okresem — wieczność.
We krwi, w boleści, prawdy żywota
Kiełkują zwolna dziejów kształtami;
Niejedna zamrze — czasu sierota...
Tysiące giną od gwałtów młota,
I stratowane schną pod nogami.
Nieraz też stanie pochód dziejowy
I ten ludzkości rozwój wiekowy
Jakaś potęga złowroga wstrzyma...
Natenczas pierś jéj wrzodem się wzdyma
I pęka z bolem, i krwią się zleje —
I daléj kroczą społeczne dzieje.
A gdy po drodze przepaść się ściele —
Wszędy noc głucha — pochodni żadnéj —
A ludzkość pędzi w ciżbie bezładnéj, —
Ty, genijuszu, stajesz na czele

I czy to siłą czerpniętą w sobie
Zastęp zbłąkany gdzieindziéj zwrócisz,
Czy własny żywot w otchłań tę rzucisz, —
I pokolenia przejdą — po tobie!
Ale nie jeden widząc moc swoję
I zrozpaczone na klęczkach tłumy,
Pierś wielką skala uczuciem dumy,
Serce zakuje w pogardy zbroję
I dłonią własną lud swój obali,
I ciałem bratniém przepaść zawali,
I nad otchłanią jęków i zgrzytu,
Jak tryumfator, stanie u szczytu.
Straszną tam pustką zaległy dzieje,
Gdzie zamiast ciżby mnogiéj i gwarnéj,
Po same piersi we krwi ofiarnéj
Jedyna postać dziko czernieje.
Z czasem nadlecí pomsta męczeństwa...
Po nad samotném upiora czołem
Furye dziejów zbiorą się kołem
I potomności zagrzmią przekleństwa.

Następuje dziejowe upostaciowanie typu, o jakim mowa:

Po wzdętéj wichrem narodów fali
W purpurze z ognia, z berłem ze stali,
Przemknęło widmo krwawe Cezara...
I jak na sądną anioła trąbę,
Sto hufców poszło na hekatombę
I znikła w morzu olbrzymia mara.
W płomieniach grodów i w armat ryku,
I w powitalnym armij okrzyku,
I w kainowych natchnień zachwycie,
I przed ginącą strażą na czele,
I na kolumny działowéj szczycie
Ogromny jesteś bitew aniele!
W dymie twéj sławy ludu oblicze,
Milczące, smutne i niewolnicze,
Jak punkt zaledwie oku czernieje;
Do twojéj jednéj olbrzymiéj głowy
Cały się żywot przeniósł zbiorowy,
I szał jednego — to wszystkich dzieje!
Dziś w wyobraźni zaklętém kole
Jak bożek świecisz z gwiazdą na czole!

Lecz innym staniesz przed światem całym,
Gdy cię pod rylcem ujrzy dziejowym:
Dla oka wielkim i posągowym,
W obec sumienia — nędznym i małym.

W poemacie *Z życia* autor upostaciował potęgi pewnéj chwili dziejowéj. Bohaterowie téj fantazyi dramatycznéj wyobrażają rozmaite siły duchowe składające się na czyn zbiorowy, a mianowicie wiedzę (*Ugo*), ducha poezyi (*Henryk*) i wolę (*Ludmir*). Postać przedstawiająca zniewieściałe samolubne uczucie (*Adam*) kończy obłąkaniem. Kobieta, namiętna i zmienna (*Ewa*), pod koniec poematu daje się porwać podniośiejszym popędom. Rzecz dzieje się niby we Włoszech, właściwie zaś w świecie fantastycznym i kończy się tryumfem woli, któréj przedstawiciela poeta wzywa we wstępie poematu w tych słowach:

Gdzież ty, olbrzymie ciżb, społecznych potęg mężu,
Owiany huraganem narodowych dum?
Ach! ukaż we krwi skroń i połysk na orężu
I wzrok w milionowy zatopiony tłum!
Patrzajcie: otoż On! posępne cienie czoła
Rozdziera jasna myśl, jak piorun kłęby chmur;
Ofiarą zbrojna pierś ogromném hasłem woła,
A chór — przerażający odgrzmiewa mu wtór.
Z tysiąca woli drgnień odlałem postać twoję,
Boleścią bratnich serc uolbrzymiłem duch...
O panie! zejdź w otwarte pieśni méj podwoje —
I senny świat ten mój w żywota porwij ruch!

Prawie też same postacie występują w tragedyi, o któréj wspominaliśmy wyżéj, lecz już nie jako osoby idealne, ale jako działacze ściśle historyczni.

Humorystyczny poemat p. n. *Fragment powieści* rzuca światło na jednę z kart życia autora. Pełno tam uniesień namiętnych i myśli poważniejszych. Zdaje się że cel poety wyraża następująca zwrotka, która dać może pojęcie i o formie poematu.

Chciałbym ogniem i krwią odmalować ducha tortury,
Gdy żądzą runie w proch, a natchnieniem rwie się do góry,
Gdy męzką, dumną myśl, najszczytniejszych pełną obrazów,
Ustek wiśniowych jad zamieni w legowisko płazów.

Chciałbym z dantejskich barw i palących jak grom wyrazów
Utworzyć pieśń... Jak Jozue rozwalający mury,
Pragnąłbym skruszyć gmach zniewieściałéj naszéj natury,
By w gruzach jego wznieść potężniejszy— z cyklopich głazów.

Zarzucają Sowińskiemu krańcowość w dwóch wbrew przeciwnych kierunkach: w abstrakcyjno-idealnym (*Satyra*, *Z życia*) i w plastyczno-zmysłowym (*Fragment*, *Graf Jarosz* i t. d.) Nehring nazwał go »jednym z najbardziéj egzaltowanych poetów.«

Narcyza Żmichowska, znana z wysokiego wykształcenia i znakomitego talentu autorka, urodziła się około r. 1825. Wiele zajmowała się wyższém kształceniem panien, w których umysłach, obok głębszéj nad pospolitą wiedzy, zaszczepiała najszlachetniejsze uczucia. Podróżowała często za granicą. Obecnie mieszka w Warszawie, otoczona szacunkiem powszechnym.

Jeszcze w r. 1845 wydała Żmichowska w Poznaniu pod imieniem *Gabryeli* zbiór drobniejszych utworów wierszem i prozą p. n. *Wolne chwile*. Większe jéj prace ogłaszał w r. 1847 *Przegląd Naukowy*. Zbiór wszystkich pism wyszedł w Warszawie w r. 1861 w 4 tomach p. t. *Pisma Gabryeli*. Obejmuje on utwory tak wierszem jak prozą. Wydała także «Wykład nauk przeznaczony do pomocy w domowém wychowaniu panien» i «Geografiję» w dwóch obszernych tomach (1857—1858).

Poezye Żmichowskiéj odznaczają się prześliczną formą i niepospolitém bogactwem uczuć i myśli. Pomimo nastroju ich nieco fantastycznego, wszystkie je znamionuje głęboka rzewność. «Są tam strofy (powiedział jeden z krytyków) tak rzewne i smętne, jak postać zapłakanego anioła nad grobem najdroższych nadziei.» Obszerna powieść z pogańskich czasów Słowiańszczyzny p. n. *Maina i Kościej* zawiera wiele pięknych i dobrze pomyślanych obrazów. Śliczna elegia p. t. *Czemu mi smutno?* godna jest przytoczenia.

Czemu mi smutno? Czy że wiatr jesieni
Lasy i pola już odarł z zieleni
I tam, wysoko, po niebie nademną
Dachem ołowiu rozbił chmurę ciemną,
I w uszach skargą jękliwą przewiewa,
I pędzi tuman liści spadłych z drzewa,

Jakby liść każdy był duszą człowieka,
Co wirem szału i losu porwana,
Po szlakach drogi nieznanéj, nieznana
Leci, aż padnie smutna i daleka,
Gdy wiatr ucichnie, lub jéj zbraknie siły,
Nad brzegiem jakiejś tam obcéj mogiły?..

Czemu mi smutno? Czy że tu w około
Żadne przyjaźnią nie promieni czoło,
Żadna dłoń bratnia z podróży nie wita,
Żaden głos chętny: co słychać? nie pyta;
I że tak wszyscy w różne chodzą strony,
Każdy ku swojéj gwiaździe obrócony,
Każdy niedbały, co na drodze jego:
Przepaść, czy kamień, czy serce bliźniego,
Czołga się podle, lub zuchwale leci,
Byle tam stanął gdzie ta gwiazda świeci,
Co w oczach jego tak piękna, bo złota,
A w oczach bożych garść łez, krwi i błota?..

Czemu mi smutno? Czy to że widziadło
Mądrości świata na duszę mi padło
I tak głęboko zapuściło szpony,
Że już nie pomnę, że już mi się nie śni
Ani o cichéj modlitwie zmówionéj
Na łonie świętéj dobréj mojéj matki,
Ani o szczęściu naszéj biednéj chatki,
Ani o staréj ojców naszych pieśni,
Pieśni pamiątek — bardzo, bardzo staréj,
Pono na nutę nadziei i wiary?..

Czemu mi smutno? Czy że moi wszyscy
Duszą jednacy, sercu sercem bliscy
Już sobie dawno pod ziemią spoczęli,
Już sobie dawno po trudach wytchnęli;
A ja samotna jak ptaszyna biedna,
Co z swego rodu zostanie się jedna,
Gdy inne w kraje szczęśliwsze ulecą,
Sama zostałam — i gdy gwiazdy świecą,
To ja tam patrzę, czy która nie gaśnie
Blada gwiazdeczka, lecz z którejby właśnie
Duchy mojego życia promień zwiędły,
Jak mi to niańka mówiła, uprzędły?

Oh! bo mi głucho i pusto na ziemi,
Oh! bo mi tęskno, tęskno za mojemi,
Co się w dębowéj trumnie położyli,
Co poszli sobie jakąś ciemną drogą,
Lecz poszli razem, a mnie zostawili
Tak samą, że już nie mam kochać kogo!...

Więc smutna jestem— smutna, bo wiatr wieje,
Bo między złymi ludźmi sama chodzę,
Bo mi nauka zabiła nadzieje,
Bo mi dokoła śmierć pobrała srodze
Wszystkich kochanych!
Oh! tak nie jest przecie!

Mężniejsza na te ciosy dusza młoda.
Wiem, że nie zawsze na niebie pogoda;
Wiem, że nie zawsze cnota jest na świecie.
Zdawnam przywykła w jesienne zawieje
Czekać aż kiedyś słońce zajaśnieje,
A złością ludzką dobrego nie mierzyć:
Boć cnota ludzki wyraz, więc w nią wierzyć,
Wierzyć bezwzględnie, bez warunków, szczerze,
Jak w przyszłość, w mądrość, w litość Bożą wierzę.
Oh! nie! mnie nigdy ksiąg uczonych karty
Świętego słowa w sercu nie zaćmiły.
A Bóg, to wyraz niczém nie zatarty,
Co jak go wieki w naturze skreśliły,
Tak znowu wieki z wieków się wyprzędą
I zawsze w końcu: Bóg— Bóg!— czytać będą.
Po wszystkie strony był lot myśli mojéj,
Wszystkich ustami zaczerpnęłam zdroi
I próbowałam pomysłu każdego,
A tłem wszech rzeczy było— imię Jego.—

Więc też spokojna na Boga się zdałam
I nie tak gorzko umarłych płakałam,
Ja, co mam umrzeć— oh! ja nie na groby
Tyle wylałam cierpienia, żałoby,
Ale mi smutno, bo dziś jako cnotę
W serca brać trzeba boleść i tęsknotę,
I Bóg sam duszę dał mi do nich zdolną—
A chyba w sądu godzinę okrutną
Ja powiem Bogu, czemu byłam smutną,
Bo ludziom mówić nie wolno!

Pełen jest także pięknych myśli wiersz p. n. *Szczęście poety*. Oto jest jego początek.

Ach! być poetą! Czy wiesz dziewczyno,
Co to poetą być znaczy?
To jest, mieć wszystkie skarby bogaczy,
Rządzić cudowną, boską krainą,
Jakiéj król żaden nie ma na ziemi,
Którą ze szczęścia, z czystéj mądrości,
Z wielkiego czucia, z nieskończoności
Stwarza się siły własnemi.

Ach! być poetą, to jest być razem
Wszystkiém co żyje pod niebem, w niebie,
Kropelką rosy, iskierką, głazem,
Świat wielki przedzierzgnąć w siebie;
Światu wielkiemu dumnie panować
I gwiazdy nocy, poranku zorze,
Ciche strumienie, wzburzone morze,
Według swéj woli kierować.

Ach! być poetą, to ducha cudem;
Czas niedościgły ująć w swe szpony,
Powieścią wieków zedrzeć zasłony,
Hymnem przyszłości nucić przed ludem;
W jednéj godzinie przywłaszczyć sobie
Długiego życia innych wrażenia,
Pierwsze o szczęściu młodych marzenia
I myśl ostatnią starców o grobie!—
Być męczennikiem za świętą wiarę,
Aniołem stróżem małéj kołyski,
Rycerską dłonią rzucać pociski,
Albo kapłańską spełniać ofiarę;
Nie być mężczyzną, nie być kobietą,
Prawem, co ludzie mylnie nakréślą,
Lecz być pojęciem, uczuciem, myślą,
Dziewczyno— to być poetą.

Głębokość i rzewność nie wyłączają u Gabryeli miłego, prawdziwie niewieściego dowcipu. Dla przykładu weźmy wiersz p. n.

Circulus vitiosus.

(Krakowiak na dwa głosy).

On.

Wezmę świecę i latarnię i głownię z komina,
Pójdę szukać, czy jest w świecie poczciwa dziewczyna.

Ona.

Wezmę księżyc, wezmę gwiazdy, wezmę jasne słońce,
Może znajdę w którym chłopcu serce kochające.

On.

Toć szukałem i patrzyłem, i wiem teraz o tém,
Że nie znajdzie najpoczciwszéj, kto nie brzęknie złotem.

Ona.

Toć patrzyłam i świeciłam, i dojrzałam tego,
Że z nich każdy bardzo kocha, lecz.... siebie samego.

On.

Już znalazłem najpoczciwszą, znalazłem kochaną,
Piękną, cichą, ale w sklepie... lalkę malowaną.

Ona.

Już znalazłam choć jednego, już znalazłam przecię:
Piękny, dzielny, wojak młody... na starym portrecie.

On.

Niechaj lalka malowana tkliwsze zwróci oczy,
To może wojak z portretu na konika skoczy.

Ona.

Niechaj wojak malowany dosiędzie bachmata,
Może w lalce malowanéj serce zakołata.

Proza Gabryeli jest tylko odmienną formą poezyi: tyle tam wdzięku, wyobraźni, myśli i uczuć wzniosłych, tak delikatne cieniowanie czynności ducha ludzkiego, tak wspaniałe obrazowanie, taki nareszcie język i styl uroczy i poetyczny. Nadto wszystkie opowiadania jéj znamionuje cel najzacniejszy — rozbudzenie w sercach czytelników uczuć podniosłych, rodzinnych, obywatelskich i chrześcijańskich. Pomiędzy inne-

mi odznaczają się powieści: *Prządki* (zbiór opowiadań o strachach), *Poganka*, *Dańko z Jawuru* (powieść z czasów Władysława Łokietka) i *Biała Róża*.

Anna Libera, znana pod imieniem *Anny Krakowianki*, córka powszechnie szanowanego nauczyciela z Morawicy (pod Krakowem). Wykształcona przez ojca, pracowała igłą na utrzymanie swoje i sędziwéj matki w Krakowie. Oprócz wielu drobnych poezyek, zamieszczanych głównie w *Gwiazdce Cieszyńskiéj*, wydała oddzielnie dwa tomy *Poezyj* (Kraków, 1842—1846). Ona to pierwsza utworami swojemi rozbudziła w Krakowie życie umysłowe z długiego uśpienia, i poprzédziła Wasilewskiego, na którego nawet wielki wpływ wywierała. W r. 1859 wyszła piękna jéj sielanka p. t. *Wiejska rodzina*. Próbowała także talentu w dramacie historycznym i napisała dramat *Małgorzata Żęboczyńska*, pełen rażących archaizmów językowych, których umyślnie użyła, aby nadać wypadkom koloryt czasów Bolesława Śmiałego.

Marya Ilnicka (z Majkowskich) urodziła się w Warszawie około r. 1830. Z talentu poetyckiego pierwszy raz dała się poznać wybornym przekładem z angielskiego poematu Walter-Skotta p. t. *Pan dwóchset wysp*, nieustępującym najlepszym przekładom Odyńca (w *Bibliot. Warsz.*). Z oryginalnych utworów jéj zasługują na wzmiankę: dramatyczny obraz p. n. *Alchemik;* komedya wierszem p. t. *Kto winien?* (w *Tygod. Illustr.* 1861), *Illustrowany Skarbczyk Polski* (Warsz. 1861, 2 wyd. 1863), obejmujący dzieje Polski, wierszem opowiedziane. Przygotowała nadto przekład z oryginału *Pieśni Ossyana* i ogłosiła tłómaczenie romansu Goethego «*Powinowactwo z wyboru*». Oprócz tego wiele poezyj i artykułów literackich umieszczała w rozmaitych pismach czasowych. Od r. 1865 jest redaktorką pisma tygodniowego «*Bluszcz*» wydawanego dla kobiet, w którém umieszcza wiele prac swoich tak wierszem jak prozą. Pomiędzy innemi są tam jéj pióra i większe powieści: *Pan Professor*, *Beata* i t. d.

Poetycki talent Ilnickiéj należy do znakomitszych. Jest on przeważnie liryczny. Natchnienie jéj, jakkolwiek nie ma ani orlego polotu, ani głębokości nadmiernéj, odznacza się za to szczerotą, wielką rzewnością i nieporównanym wdziękiem. Dodać do tego należy mistrzowskie władanie językiem i formą poetycką, tudzież najzacniejszą myśl, przeświecającą we wszystkich jéj utworach. Przytaczamy tu ich kilka dla wzoru.

Dzwonek.

W chłodnym cieniu dąbrowy,
Gdy wiatr wionie majowy,
Leśne zioła rozniosą swe wonie;
Ja na wzgórzu zakwitnę,
I w dzwoneczki błękitne
Dzwonię sobie nieboże, a dzwonię.
Bo w téj puszczy zielonéj,
Gdzie drzew wonne zasłony
Tajemniczym rozlały się cieniem,
Starych grobów jest tyle,
A na żadnéj mogile
Nikt z pobożném nie klęka westchnieniem.
Nim więc przyjdą kapłany,
Zapomniane kurhany
Łzami wreszcie poświęcić srebrnemi,
Kwiat mój wierny je strzeże,
Ciche swoje pacierze
Dzwoneczkami wydzwania wonnemi.
A ty Ojcze przyrody,
Coś w powszechny chór zgody
Wszystkie dźwięki wszechświata zespolił,
Usłysz głos mój, co woła:
Ześlij grobom anioła,
By je wieńcem świeżości okolił.

Strącona.

Gwiazdo! gwiazdo spadająca!
Przez lazury
Jaka siła tak cię strąca
Na dół z góry?
Czy ty pójdziesz jak komety
Światłość drżąca
W niewstrzymany bieg bez mety,
Lot bez końca?
Czy zapadniesz w cieniów morze,
Ty, promienna!
I zapomnisz, spoczniesz może,
Cicha, senna?
I gdzie ujdą twoje blaski
Z nocy cienia?

Czy nie było dla cię łaski,
Przebaczenia?
Gdy zawołał głos anioła:
Nie ma ciebie!
Jaki tobie strzelił z czoła
Błysk po niebie?
Coś ty czuła nieśmiertelna
A skazana?
Czyś ty gasła, jak weselna
Lampa z rana?
I kiedy cię moc tajemna
W otchłań parła,
Czyś już była bryła ciemna
I zamarła?

Czyś ty drżała tą straszliwą
Trwogą w sobie,
Jak ten, kogo z piersią żywą
Kładą w grobie?
Powiedz, powiedz, o strącona
Gwiazdo blada!
Jak to światłość, która kona,
W noc zapada?

Czy tak ćmi się jak **kobieta,**
Co ślub łamie;
Tak się trawi jak **poeta,**
Gdy pieśń kłamie,
Aż stli w męce niepojętéj
Sił ostatki,
Jak odstępca, co się świętéj
Zaparł matki?..

Skowronek.

Wiosna! wiosna! wieść radosna
Z ciepłém wiatrów tchnieniem płynie,
I sasanki już na wianki
Rozwinęły się dziewczynie.
Wstaj skowronku, w złotém słonku
Wykąp piórka twoje szare,
I skrzydlaty nad te chaty,
Nad te ziemie wyleć stare.
Wyleć z pieśnią, ludzie prześnią
Świtu chwilę uroczystą:
Więc do Pana choć ty z rana
Głos za niwą wznieś ojczystą.
Dobra niwa, jak poczciwa
Pierś rolnika, co ją orze,
Tylko trzeba, by im z nieba
Przyświecało światło Boże.
Niém ogrzane ziarnko wsiane
Zdrowym kiełkiem w górę strzeli,
I wnet potém żniwem złotem
Starą ziemię uweseli.
Leć więc ptaszę, prośby nasze
Niech piosenka wzniesie drżąca:
Słońca Boże! na niw zboże
I dla myśli ludu słońca!..

Anioł Pański 1870 r. *)

Zadzwoniły gdzieś dzwony na wieży,
Klęknij cicho i módl się dziewczyno!
Gdy dźwięk taki w powietrzu uderzy,
To czas modłów za tych, którzy giną,

*) Z *Kalendarza* J. Jaworskiego na r. 1872.

Za tych, którzy padają w krwi zdroju,
A nikt krzyża im nie da do dłoni,
Nie pożegna całunkiem pokoju,
Nie namaści sakramentem skroni.
Kiedy hufce krzyżowych rycerzy
Gdzieś w dalekiéj walczyły krainie,
Trzykroć dziennie bito w dzwon na wieży,
By lud pomniał o tém, że krew płynie.
I pozostał się obyczaj stary,
Bo bój dawny wre po wszystkie czasy,
Powiewają krzyżowe sztandary,
Bohaterskie toczą się zapasy.
A więc Zdrowaś Matko Chrystusowa!
Bądź ty z tymi, którzy trwają w boju;
Gdy skrwawiona pochyli się głowa,
Unieś ducha wiernego w pokoju.
Niechaj cicho spłynie Anioł Pański
Na skrwawione bojowiska pole;
Niechaj każdy rycerz chrześcijański
Znamię dobréj śmierci ma na czole.
Sen wieczności niech go ukołysze
W smętną piękność spokojnéj ofiary,
Grobu jego poświęconą ciszę
Żadne ziemskie nie mieszają mary,
Niech go widmo nie targa rozpaczy,
Że padł, chociaż świętéj bronił sprawy;
Niech w wspaniałéj dobroci przebaczy
Tym, co z piersi mu wzięli zdrój krwawy.
Bo śpiącego pod lekką mogiłą
Nieśmiertelność w całun swój oprzędzie,
Choćby krzyża na grobie nie było,
Lud przychodzić i klękać tu będzie.
A w legendy szaty idealne
Duch narodu zwolna go ubierze,
Kadzielnice kwiatów niewidzialne
Wciąż balsamy lać będą mu świeże.
I na zawsze już piękny i młody,
Nieśmiertelnym oblany promieniem,
Pozostanie wiecznym węzłem zgody
Między czynem a czynu natchnieniem.

W powieściach swoich Ilnicka po największéj części korzysta z pomysłów obcych, najczęściéj pisarzy angielskich,

lecz rozwija one w duchu rodzinnym z niezrównaną świeżością, wdziękiem i prawdą porywającą czytelnika. Ulubionym jéj przedmiotem są dzieje serca niewieściego. W ogólności utwory jéj powieściowe najbardziéj przypominają utwory wzorowych autorek angielskich, których przejęła się duchem i sposobem pisania, z wielkim pożytkiem swych czytelniczek.

Do liryków podnioślejszego nastroju ducha należą jeszcze: *Stanisław Rzętkowski*, pisujący niekiedy pod imieniem *Floryana*, *Władysław Ordon*, *Tomasz Zawadyński*, niedawno zmarli *Tadeusz Komar* i *Maryan Kochanowski* i kilku innych.

Inni poeci cenią w sztuce przedewszystkiém wytworność formy i przy odpowiedniém wykształceniu rzeczywiście dochodzą w utworach swoich do wysokiego stopnia artyzmu. Poezye takich pisarzy połyskują światłem zimném, gdyż po największéj części nie płyną z ożywionego natchnieniem uczucia, lecz z nabytéj nauki lub z imaginacyi podnieconéj rozwagą. Chodzi im nie tyle o wzruszenie, ile o podziw ze strony tłumu. Do tego rodzaju *mistrzów* zaliczamy Faleńskiego, Jadwigę Łuszczewską (Deotymę) i Adama Asnyka pisującego pod pseudonymem El..y, lub Stożka.

Felicyan Faleński, syn Józefa (autora *Historyi Polski*), pisujący pod pseudonymami *Medarta* i *Felicyana*, urodził się w Warszawie r. 1825; w témże mieście skończył szkoły i kursa prawne. Przebywa stale w Warszawie. Z utworów jego poetycznych, oprócz drukowanych w pismach czasowych, wymieniamy: *Kwiaty i Kolce* (Warszawa, 1857), *Z po nad mogił* (Drezno, 1870), *Odgłosy z gór* (Warszawa, 1871), *Syn gwiazdy*, dramat (Kraków, 1871), *Althea*. Napisał także kilka powieści i obrazków, pomiędzy innemi powieść *Z daleka i z blizka* i pisywał rozbiory i recenzye krytyczne i t. d. Jako tłómacz, przekładał Juwenalisa, Wirgiliusza, Petrarkę, Wiktora Hugo wiersze i prozę — zgoła czynnym był pracownikiem na literackiéj niwie.

Z poezyj Faleńskiego najlepsze są *Kwiaty i Kolce*, jakkolwiek i te nie są wolne od pretensyonalności. Inne rażą zbytnią jaskrawością barw, nagromadzeniem effektów i silením się autora na niezwyczajność tak co do pomysłu jak i formy. *Termopile* i *Pod Kannami* mają przynajmniéj wielkie opisowe zalety, lecz zaćmiewa je nadmierna kunsztowność, posunięta nieraz do zupełnéj niezrozumiałości. Weźmy np. ustęp malujący monarchę Persów, spoglądającego na Termopile:

Król, dłoń ku czołu mając od promieni,
Dalekowidnie patrzy w przestrzeń zbladłą,
I w oczach jemu dziwnie bo się mieni!
Dal zda się bliską, bliskość zaś odległą.
W sinéj mgle kędyś kilka wzgórz osiadło,
Z sinéj mgły daléj kilka brył wybiegło,
Aż garb się z garby, głaz ku głazom zbliży,
I coraz wyżéj — i wyżéj — i wyżéj,
Gdzie lądy, borów gniecione odzieżą,
Dźwignięte z otchłań, dumnie w grzbiet się jeżą,
Tam nagłym ciosem pękło w samém ścięgnie;
Ztąd w strony obie rozskoczą się szczyty,
A każdy z wierzchów, zda się, w niebo wbity,
A jar w pośrodku, zda się, w piekło sięgnie.
Bo każdy z wierzchów, okiem niedościgły,
Gdzieś — w chmurach — ugrzęzł skręconemi igły.
Bo jar skrajany wężem przez wierzchoły,
By gardło piekieł, połknął dzień wesoły.
Toć wrota Grecyi....

Albo inny ustęp, wyobrażający pochód Persów:

A mrowie prnie się, wydając zgrzytnienia
Niby paznogcie, kiedy po szkle skrobną —
Od czego dreszcz ci, aż do duszy rdzenia.
I z bladawego coraz się rozblyska,
Iż zda się, niby olbrzymia kołyska
Tęczowych prądów, różnie się chwiejąca,
Od czego człeku dzień się w oczach zmąca.

Albo to znowu co znaczy?

Zaczém pierwszego, nie sięgając daléj,
Utnie od ucha — więc mu łeb rozwali.
Ztąd dzielny wyłom, aż się chmura mglista
Kopnęła w niebo.

Tam gdzie poeta przemawia naturalniéj, rzecz zyskuje na piękności i sile. Oto przykład:

Jeżli masz w piersi duszę nielękliwą,
Pójdź, spojrz na krwawe Kartagińskie żniwo,
Nigdzie tam ziemi. Nagie matki łono
By ją przed niebem nie mieć zawstydzoną,

Brzemiony własnych ciał synowie skryli,
W góry się piętrząc. Mniemasz w owéj chwili
Widzieć, i srogi ból twą pierś uciska,
Przedwczesne rzymskiéj chwały rumowiska.
Lecz nie— patrz raczéj, z jak niezłomną butą
Ku niebu każdy wznosi pierś rozprutą—
Jak w śmierci nawet groźny jest i srogi—
Toż istnie śpiące wilczych cnót półbogi!
Dusze tych gromkich ciał, nim w otchłań zbłądzą,
Poszły, w Rzym wieczny dmuchnąć pomsty żądzą.

W zbiorku zatytułowanym *Z po nad mogił* najnieszczęśliwszemi pod względem pomysłu są ustępy nazwane *Psie Pole; Jako król Henricus jeszcze chyżéj bieżał precz z Polski, niżli do niéj był jachał* i wreszcie *Jako król Sobek, przegrawszy doma, wygrał pod Wiedniem.* Są to humorystyczne wierszowane pamflety niegodne ani poezyi, ani dziejów krajowych. Inaczéj zapatrywali się na zadanie wieszczów Bielowski i Siemieński, tworząc swe dumy historyczne, jeden «Henryka Pobożnego», drugi «Trąby w Dnieprze».

W *Odgłosach z gór* powtarzają się te same zalety i wady, co i w innych poetyckich utworach Faleńskiego: mistrzowskie władanie językiem, z którym autor igra jak z dzieckiem, czochrając go i fryzując z kolei, przesada w opisach, nienaturalność opiewanych wrażeń i kunsztowność, właściwsza sztuczkom niż sztuce.

Za to prawdziwym Faleński jest mistrzem w przekładach swoich, szczególniéj kiedy ma do czynienia z pisarzami rzymskimi. Tu już krępowała poetę zarówno treść jak i surowa prostota pierwowzorów. Przytaczamy tu przekład sławnéj ekloga Wirgiliusza, w któréj niektórzy chcą upatrywać proroctwo ściągające się do przyjścia Zbawiciela.

Rzeczy wznioślejsze niż świat zwykle słyszy,
Sykulskie muzy, wieszcz wasz dziś wypowie!
Cóż ztąd, że skrytéj w chłodny cień dąbrowie
Nie każdy rad jest?— owszem— w lesnéj ciszy,
Gdzie głusza mieszka jak najuroczystsza,
Mój śpiew niech będzie godnym swego mistrza!

Bo oto kres jest wieszczéj przepowiedni,
I całkiem nowy, nader niepowszedni

Wieków porządek wprędce nam nastanie.
Już i Dziewica błogich dni nadzieje,
I swe nam Saturn wraca królowanie;
I zbawcze z niebios odrodzenie dnieje.

Ty więc dziecięciu, które się poczyna,
By nam żelazny wiek zmieniło w złoty,
Gdy na świat przyjdzie w stare zdobne cnoty,
Sprzyjaj, przeczysta siostro Apollina!
Tak zaś wyrokom niebios się podoba,
By za twéj władzy, mój dostojny panie,
Ta stwarzająca nowy ład ozdoba
Miała, Polljonie, swoje zwiastowanie.
Za twym przewodem, jeśli gdzie istnieje
Ślad, jak człek niegdyś broić śmiał szalenie,
Zmazane będą win tych wstrętne dzieje,
Z niemi zaś wieczne pójdzie precz zgorszenie.

Ten, który przyjść ma, bogów on żyć będzie
Żywotem, z Bogi bohatery zbrata,
I sam, w ojczystych zdobny cnót narzędzie,
Ukojonego ujmie rządy świata.

Cudowne dziecię! Jemu wielce rączo
Popędem własnym, bujne matki— ziemi
Przyroda złoży dary, nad któremi
Bluszcze się w akant uśmiechnięty wplączą.
Wymiona wzdęte z łąk mu stad macierze
Same przynosić będą, ni się strwożą
Lwów strasznych w polu,— nad kolebką Bożą;
Same też z siebie kwiaty zwisną świeże...
Własnym się jadem wąż i złością swoją
Struje chwast chytry; za to pospolicie
Balsamy kwitnąć poczną, które goją
Ciało i duszę. Gdy zaś znów ujrzycie
Wskrzeszone w czynach bohaterów życie,
Którym najczystsza przodowała cnota—
W faliste wtedy kłosy niwa złota
Nie tylko płowieć będzie, lecz i głogi,
Cierń dziś rodzące, rozweselą knieje
Szkarłatnych gron widokiem, dąb zaś srogi
Miodem najsłodszym w głębi puszcz spotnieje.

Czas jakiś jednak, wbrew zbawiennéj zmianie,
Ślad złości dawnych ten i ów zostanie:
Te, co za zyskiem w morskie belty gnają,
Lub grody dzierżą najemników zgrają,
Lub twardém ostrzem prują ziemi łono,
Wtedy i Argo nowa, w wód odmęty
Z wyborem śmiałków, i znów w niezwalczoną
Troję Achilles wielki będzie pchnięty.

Lecz sile w pomoc ducha gdy przyzowiem,
Precz wtedy chciwość z ziem i z mórz zazdrosna!
Żeglowna wtedy już kupiectwu sosna
Służyć nie będzie— sama ziemia bowiem
Wszystkiemu starczy— ani więcéj niwy
Radłem udręczysz, ni zapuścisz krzywy
Nóż w winoroslę, co się wdzięcznie wije—
Twarde też jarzmo wołom zdejmiesz z szyje,—
Ni skłamie dłużéj barwy podrobionéj
Wełna, lecz owszem, już na owiec grzbiecie,
Niezatartemi polnych ziół znamiony
Szkarłat lub szafran w runach spostrzeżecie;
Skaczących nawet jagniąt rój uroczy
Żywym fioletem bawić będzie oczy.

Takie— to wieki pocznij snuć z wrzeciona
Parko, z niezłomnych losów czcią zgodzona!
Bo czas już tobie wielkie wziąć zaszczyty,
Które ci niebo na wyłączność chowa,
O ty, potomku Bogów znamienity!
O ty, ozdobo świetna Jowiszowa!
Spojrz, kędy waży kuli swéj ciążenie
Ziemia, a lądów z nią i mórz przestrzenie,—
Spojrz w głębie niebios, ku gwiazd górnéj rzeszy,—
Spojrz, jak się wszystko twojém przyjściem cieszy!

O! niech w méj piersi jak najdłużéj gości
Tchnienie, i razem niech mię jak najdłużéj
Mój kres omija— aż już do sytości
Śpiew mój po świecie sprawie twéj usłuży!
Ni mię w tém Orfej, z Kalliopy matki
Pomocą, ani Linus, choćby społem
Z nim był Apollo, jego rodzic gładki,
Ubiedz nie zdoła— nawet z swém wesołém

Graniem, niech Pan mię przed pasterze swoje
W Arkadyi wyzwie— nic się ja nie boję:
Arkadya, własna jego mię ojczyzna
Nad nim zwycięzcą, w tém co śpiewam, wyzna.

Nuże niemowlę! poprzez uśmiech błogi
Swą matkę poznaj, która tyle trwogi
Dziesięć miesięcy miała! C yją zorzę
Dreszcz słodki wita— wiedz to, mały panie,
Tego bogini nie dość godne łoże,
Ni dość jest godne bogów ucztowanie!—

Udatne są także przekłady Juwenalisa, sonetów Petrarki i «Maryi Tudor» Wiktora Hugo. Nadto przełożył Faleński piękną i jędrną prozą ostatniego autora «Pracowników morza» i jegoż potworny romans p. t. «Człowiek śmiechu».

W powieści *Z daleka i z blizka* autor usiłował połączyć angielski humor z rossyjskim realizmem. Było to nowością w ówczesnéj literaturze polskiéj i bardzo się podobało.

Druga powieść p. t. *Sama jedna*, ogłoszona w *Gazecie Polskiéj* (1875), nie zasługiwałaby na wzmiankę, gdyby nie uwydatniała wszystkich wad tego pisarza, podniesionych do najwyższéj potęgi. Silenie się na oryginalność i dowcip dochodzi tu do rozmiarów istnie potwornych. Żadne słowo nie jest powiedziane tak, jakby je powiedział zwyczajny człowiek. Przywary te dziwią tém bardziéj, że recenzye i rozbiory autora «Saméj jednéj», umieszczane przezeń uprzednio w *Bibliotece Warszawskiéj*, *Tygodniku Illustrowanym* i w *Kłosach* są nader cenne. Szczególniéj piękne jest studyum p. t. «*Treny Jana Kochanowskiego*» (Warszawa, 1867).

O dramatach Faleńskiego wspomnimy gdzieindziéj.

Jadwiga Łuszczewska, znana powszechnie pod pseudonymem *Deotymy*, urodziła się z ojca Wacława *) około r. 1836 w Warszawie. Kształciła się pod kierunkiem kilku celniejszych nauczycieli, jak Dominika Szulca i Antoniego Wagi,

*) *Wacław Łuszczewski*, syn Jana Pawła sekretarza sejmu Wielkiego a następnie ministra spraw wewnętrznych i religijnych, urodził się r. 1806. Od r. 1859 do 1863 był radcą stanu i dyrektorem przemysłu i handlu w komissyi rz. spraw wewnętrznych; następnie przemieszkiwał w Czembarze (w Rossyi wschodniéj), gdzie umarł r. 1867. Był członkiem redakcyi *Biblioteki Warszawskiéj* i zasilał to pismo pracami swojemi, głównie z dziedziny ekonomii politycznéj.

głównie zaś pod przewodnictwem matki, Niny z Zółtowskich, osoby wykształconéj wysoce, któréj salon przez lat blizko dwadzieścia był jedném z najważniejszych ognisk życia literackiego i artystycznego w Warszawie. Objawiający się w młodéj Jadwidze od pierwszego niemal dzieciństwa dar poetycki był umiejętnie powstrzymanym przez poważny kierunek wychowania, z którego nawet nauki ścisłe wyłączone nie były. Wspierał tę dążność rzadki zapał do wiedzy, która jednakże bogacąc się niepospolitym zasobem pożytecznych wiadomości, mimowiednie obracała go na pożytek wyobraźni i fantastyczną intuicyą z elementarnych danych dosnuwała sobie reszty całego systemu naukowego. Szczególne zamiłowanie ciągnęło ją do dziejów krajowych, do nauk przyrodniczych i filozoficznych, nad wszystkiém zaś unosiło się głębokie uczucie religijne, które też późniejszym jéj utworom stanowczo charakterystyczną nadało barwę. W godzinach swobodnych tylko od poważniejszéj pracy czytywała chciwie wielkich poetów starożytnych i nowych, studyowała pisarzy obcych w przekładach polskich i francuzkich, przytém zaś z szczególném zajęciem zgłębiała potężne wzory poezyi i wymowy ojczystéj. Takim nadewszystko studyom zawdzięcza Deotyma mistrzowskie władanie językiem i formą poetyczną; ztąd łatwość w wierszowaniu, która pospołu z bujną fantazją, uposażoną znakomitym zapasem wiadomości naukowych, naprowadziła ją na pomysł improwizowania w mowie wiązanéj, w czém istotnie wkrótce doszła do wprawy zdumiewającéj. Improwizacye te odbywały się w kółku znajomych na temata zadawane przez gości, najczęściéj obce poezyi, martwe i zimne, a pospolicie przyczepiane bywały do osobistości, nieodznaczonych żadną inną zasługą, prócz téj jednéj, iż uczęszczały do domu rodziców poetki;— nadawało to uczuciu jéj pozór naprężenia i nieszczerości. Pomimo licznych wszakże krzyków, wywoływanych tą arystokratyczną muzą młodziutkiéj wieszczki, ulegającéj widocznie zgubnym wpływom stosunków towarzyskich, wszyscy z niecierpliwością wyglądali pojawienia się w druku jéj utworów dłuższego ciągu i dojrzalszego zastanowienia, pod względem bowiem formy zewnętrznéj niepodobna było wymagać od poezyj pisanych Deotymy artystyczniejszego wykończenia, niż od improwizowanych. Dopiero jednak w r. 1854, kiedy od dwóch lat już prawie poetka zadziwiała wszystkich nadzwyczajnym swym darem, wyszedł pierwszy tom jéj *Improwizacyj i Poezyj* (tom drugi ukazał się w r. 1858), które nader głębokie

choć nie jednakowe na publiczności sprawiły wrażenie. Były to wszystko utwory liryczne, z wyraźnym jednakże popędem do epiki, który uwydatnił się jeszcze bardziéj w legendzie udramatyzowanéj p. t. *Tomira* (Warszawa. 1855); stanowczy atoli zwrót do epopei objawia się dopiero w dwóch wydanych dotąd tomach *Polski w pieśni*, z których pierwszy, ogłoszony w r. 1859, obejmuje wielki poemat *Lech*, drugi zaś (1860) mieści w sobie dwa utwory pomniejsze: *Wojnę olbrzymów* i *Dwunastu Wojewodów*, oraz jeden większy *Wyszymir*. W tym czasie poetka odbywała rozmaite podróże po kraju i za granicą, i opisy ich, kreślone poetyczną prozą, ogłaszała w *Gazecie Warszawskiéj* i *Tygodniku Illustrowanym* pomiędzy 1856 a 1860 r. (Wycieczka do Gdańska, na wyspę Rugiję, na górę Święto—Krzyzką, w Karpaty i do Ojcowa). Przez kilka lat (od r. 1863) towarzyszyła swemu ojcu w czasie jego pobytu w Rossyi. Powróciwszy, starała się na nowo wskrzesić przerwane zebrania literackie i odnowić tradycyę słynnego salonu rodziców. Kilka poezyj drobniejszego rozmiaru drukowała po różnych czasopismach, kalendarzach i książkach zbiorowych; pomiędzy innemi: *Miłość Bogów* w *Bibliotece Warszawskiéj*, *Duchy na Rugii* w *Kronice*, *Światowid* oraz obszerniejszy utwór p. n. *Gonitwy* w *dolinie Prądnika* w *Tygodniku Illustrowanym* i t. d. Z ostatnich czasów pochodzi nie ogłoszony dotąd drukiem, a znany tylko z odczytów na sobotnich wieczorach autorki rapsod *Bolesław Chrobry* tragedya *Wanda*.—Znakomita poetka stale mieszka w Warszawie, darzona częstemi owacyami od swych wielbicieli, z pomiędzy których najzapaleńszym jest sędziwy Odyniec. Powiadają, że z równą łatwością może improwizować po francuzku, jak po polsku.

Od pierwszego wystąpienia Deotymy podzieliły się zdania co do jéj talentu poetyckiego: jedni byli jéj bezwzględnymi wielbicielami (Tyszyński), inni zaś odmawiali jéj całkiem zdolności poetyckich. «Słysząc ją» pisze Kremer w *Listach z Krakowa*—«trudno wstrzymać podziwienie swoje; taka urocza świeżość tchnie z tych jéj improwizacyj, zwroty tak uderzające, bo niespodziewane; obrazy świecące kolorytem tak pełnym przepychu, taka tu oryginalność w przenośniach! Wszak nawet wyrazy pojedyncze, użycie języka, władanie mową, wyraźnie świadczy, że tu tchnienie idzie z góry, że tutaj duch poezyi tylko ocienił duszę improwizatorki naszéj». Inny krytyk powiada: «Improwizacye Jadwigi tę mają zaletę przed podobnemi utworami nawet najcelniejszych włoskich improwiza-

torów, że nie jaskrawość jedynie kolorytu, lecz myśl poważna, najczęściéj smętna, głównie w nich zwraca na siebie uwagę; czém duch jéj pełen, to wylewa się w szybkiém słowie... Panujący w jéj liryzmie dydaktyzm wielu i nawet dość gwałtownych znalazł przeciwników. Jednakże ludzie głębiéj rzecz pojmujący, w tym właśnie liryzmie dopatrywali się jednéj z najszczęśliwszych oryginalności poetki; nie jest to bowiem u niéj egotyczny wylew ckliwych sentymentów, nie namiętność podrobionym jakimś zapałem podżegiwana, ale raczéj spokojne ujęcie poetycznego przedmiotu, spojenie go z własną wyobraźnią, górowanie nad nim do tyla, że sam przedmiot niknie częstokroć w téj jakby ptasiéj perspektywie, nakoniec uogólnienie oznak szczegółowych i usamowolnienie ich z pod wpływów otoczenia. Taką jest jedna strona liryki Jadwigi Łuszczewskiéj; druga jest jéj na pozór niemal wręcz przeciwną, zasadza się bowiem na chwytaniu pojedynczych cząstek przedmiotu, bez ujmowania ich w całości, oraz na drobiazgowém i zamiłowaném odmalowywaniu każdéj z nich, jako rzeczy i myśli odrębnéj. We wszystkich tych swoich utworach, zwłaszcza zbliżonych do epiki, dowiodła jednak Deotyma, że świadomie pojmuje wymagania wieku, że nawet w części jest sama ich współtwórczynią».

Inni znowu twierdzili, że poezya Deotymy jest zimna, filozoficzna, niedostępna dla wszystkich, że wiele ma w sobie dydaktyzmu starego; że w improwizacyach jéj, do których żywiołu poetycznego dostarczały temata z nauk ścisłych, jak np. mineralogii, astronomii i t. p. widać wysilenie wyobraźni siejącéj farby poetyczne na przedmioty zupełnie poezyi obce; podobnie i w innych utworach Deotymy połyskuje sama tylko poezya zewnętrzna, wydająca zdolności niepospolite, ale źle skierowane. Nareszcie robiono uwagę, że skutkiem niewyczerpanéj płodności autorki, talent jéj rozproszony na różne drobne rzeczy nie skupił się w żadnym utworze w większéj sile żywotnéj i w doskonałém wykończeniu. Zygmunt Krasiński również z niedowierzaniem odezwał się w jednym z listów swoich o poetyckim talencie Deotymy. Nie uznawał go także i Syrokomla.

Odrzuciwszy to co jest przesadzonego w powyższych pochwałach i naganach, przyznać należy, że obie strony mają poniekąd słuszność. To co Kremer mówi o zewnętrznych zaletach improwizacyj Deotymy jest prawdą. Swobodna w polotach jéj wyobraźnia zatrzymuje się dłużéj przy pojedynczych częściach swojego utworu i przyozdabia je przecudną płasko-

rzeźbą najwyszukańszych allegoryj. Takiemi są poezye: *Tajemnice owoców*, *Pielgrzym*, *Widzenie majowe*, *Burza w pustyni*, *Wieńce*, *Sen*, *Potęga pieśni*, *Natchnienie* i inne. Artystyczne wyrobienie formy przechodzi w jéj utworach często doniosłość saméj idei, i to jest właśnie, co w pierwszéj chwili unosi zdumionych słuchaczy, a nawet i czytelników. Wzór tego mistrzowskiego zaokrąglenia formy widzimy w *Modlitwie*.

Lecz z drugiéj strony fantazya improwizatorki czerpała swój pokarm i materyały w zdobyczach wiedzy tylko, nie zwracając uwagi na życie rzeczywiste, na skarby poezyi w sercu ludzkiém i przyrodzie istniejące. Wychowana w sztucznéj atmosferze salonów, nie doznała ani rozkoszy, ani cierpień żywota, iż tak powiemy, gminnego, łamiącego się codziennie z potęgami wrogiemi; jedném słowem, *Deotyma nie znała i nie zna życia*. Ztąd poezye jéj uderzają nie siłą uczucia, lecz bogactwem erudycyi, głębokością myśli i niesłychaną bujnością wyobraźni. W improwizacyach swoich wygłaszała Deotyma najczęściéj rezultaty swych studyów nad dziejami ludzkości lub życiem przyrody. Była to filozofija i że tak powiemy poezya nauki, ale nigdy poezya serca i przyrody. Zaklęci jéj czarem, widzimy się jakby w jaskini zalanéj bengalskiemi ogniami, któréj ściany połyskują tysiącami najcudniejszych kryształów, lecz w jaskini téj, wieje chłód przejmujący. Jest to piękna świątynia, nie bez Boga, jak się wyraził Mickiewicz o poezyach Juliusza, lecz bez człowieka. Jedyném uczuciem głębokiém i szczerém, znajomém sercu Deotymy, było uczucie religijne; ztąd najpiękniejsze pomiędzy jéj poezyami są te, w których promienieje myśl religijna, przeczucie odrodzenia społeczności przez wiarę i powrót do Boga. Na nieszczęście i tutaj zbyt często wkradają się poglądy filozoficzne i nieprzebite chmury mistycyzmu. Dla przytoczenia wybieramy jednę z najprostszych a przeto najpiękniejszych w tym rodzaju poezyj p. t.

Krucyaty.

Od Jerozolimskiéj bramy
W pośród łąk skropionych rosą
Spłakane niewiasty niosą
Wonne zioła i balsamy.
Przy odblasku zorzy białéj
Widząc grobowiec w oddali,
Niespokojnie zapytały:
«Któż nam kamień ten odwali?»

Lecz o dziwy! cóż się stało?
Grób otwarty... znikło ciało...
Tylko w świetle dwaj anieli,
Z błyskiem w oku, z szatą w bieli,
Przed niewiastami stanęli;
Kamień zwalony na ziemi...

A niebianie, co go strzegą,
Rzekną: «czemuż *żyjącego*
Szukacie między *zmarłemi*?»
Tam od wschodu, czy widzicie
Rubinowy blask o świcie?
Czy widzicie śród ogrodów,
Co mirtami wonnie kwitną,
Ten minaret, co z nad grodów
Strzela w niebios toń błękitną?
—Lecz cóż to za brzask zamglony
W ciemnościach zachodniéj strony,
Jakby z drugich zorz ogniska
Krwawą łuną się rozbłyska?..
Iskrzą się mieczów tysiące,
Tarcze w złocie gorejące,
Błyszczą jeźdźce i rumaki,
A czerwone na nich znaki,
Każden swoją
Miga zbroją;
Białą chorągiew ma w dłoni,
Twarz pod osłoną ze stali;
A na piersiach krzyż się płoni,
A w sercu wiara się pali!
—Gdzież wśród téj światła powodzi
Chcą biedz ci rycerze młodzi?
Czy chcą zatknąć te sztandary,
Uwieńczone godłem wiary,
Gdzie złoty półksiężyc wschodzi?
Gdzież pędzicie? — «Gdzie pędzimy?
«Na wschód, do Jerozolimy!..»
Któż święte męztwo oceni,
Jakiém pałali rycerze,
Co w zamorza przeniesieni,
Dla wiary żyli w oficrze,
Żyli w czynie, lecz jeżeli
Zbawiciela znaleźć chcieli,
Aby ludy jego siłą
Oświecić w prawdy zaraniu,
Czyliż Go *po zmartwychwstaniu*
W *grobie* znaleźć można było?
W wszystkich erach chrześcian świata
W cyrku, wśród ofiar tysiąca,
Wpośród wypraw w Palestynie,
W każdéj myśli, w każdym czynie,
Co ratuje życie brata,
Gdzie tylko cnota walcząca
Dla miłości krzyża ginie,
Wieczna w duchu trwa krucyata...
Każden wiek swoję ofiarę
Składa u stóp Zbawiciela;
W bohaterski czyn się wciela,
Ma swą poezyę i wiarę.
— Czy widzicie przyszłe lata,
A w nich przyszłych krzyżowników?
Kiedyś powstanie krucyata,
Lecz bez wodza ani szyków,
Każden nowym apostołem
Bez broni, z spokojném czołem,
Bezpośredniém zlaniem ducha,
Mistrza z Nazaretu słucha;
Wiara i przykład ich mową,
Ich orężem prawdy słowo,
A łańcuchem z żywéj fali,
W który więźniów swych spętali,
Miłość braterska dla świata,
Co go w łańcuch serc oplata!
Myślą, co ich wiarę święci,
Celem pałających chęci,
Już nie jeden gród, kraina,
Ale każden błąd lub zbrodnia,
Co mękę Bożego Syna
Krwawo odnawiają co dnia!...
— Dziś cały świat w swym ogromie

Stoi jak grobowca ściany
Gdzie Chrystus ukzyżowany
Wciąż spoczywa niewidomie...
—Lecz hufiec przyszłych rycerzy
Jak biały Anioł przybieży,
I kamień strąci na grobie,
Aby w trzeciéj wieków dobie,
Jako trzecie prawdy zorze,
Zmartwychwstało słowo boże!
W kim tkwi myśl krucyaty święta,
Niech, nim wstępny bój odnowi,
Na obecny wiek pamięta;
Dziś w czynie pokorną duszą
Serca podbite być muszą,
I oddane Chrystusowi.

Nużącą jest w poezyach Deotymy nieustanna allegoryczność. Sama poetka, w wierszu *Zmiłuj się nad nami*, mówi o drogach swojego natchnienia:

...I poszłam w pokorze
Przez pałac allegoryj mgłą narysowany,
Pomiędzy niezliczone obeliski mitów,
Przez burzliwe, bezdenne marzeń oceany,
Przez widzenia splecione z kiru i z błękitów...

Takiemi są najwięcéj chwalone improwizacye: *Wiosna*, *Snycerstwo*, *Kamienie*, *Ptaki*, *Malarstwo*, *Kwiaty* i t. d. Charakterystyczny pod tym względem wiersz p. t. *Barwa różowa* przytaczamy, jako mniéj znany.

Gdy odrzuciwszy nocny płaszcz żałoby,
Dzień chce zmartwychwstać na nowo,
Jutrzenka, ta młodość doby,
Wychodzi z szatą różową.

Tak młodość, jutrzenka życia,
Szląc w przyszłość skrzydlate gońce,
Różowe zrywa spowicia,
Z niéj prawda wzejdzie jak słońce.

Śpiewał słowik na drzewie, w trawach kwitła róża.
I pytał słowik róży: «Czemu jest różową?»
A róża rzekła to słowo:
«*Bo gołąb' mi jest ojcem, a matką mi burza.*» (?)

Wiek niewinny, wiek dziecinny,
Nosi rąbek biały.
Wiek dojrzały, wiek wspaniały,

Wiek orkanów, w którym płoną
Szały, gromy i zapały,
Lśni suknią czerwoną.
Aż te dwie barwy, stopione,
Stworzą różową wszystkich barw koronę.

Kto zdoła w jedno stopić ich zawiłość,
Ten tajemnice zgadnie najzawilsze.
Weź to co najstraszniejsze, i to co najmilsze,
Z nich błyśnie różowa miłość. (?)

A jeśli kwiaty zwiędną z wichrami w rozterce
I dusza już po szczęściu pozostanie wdową,
Jeśliś zachował nieskalane serce,
Ach! jeszcze w życiu będzie ci różowo!

«Deotyma, powiada jeden z krytyków, najsilniejszą jest w fantazyi. Jest to zarazem najsłabsza jéj strona. Czuje, myśli, uczy się i oddaje naukę — fantazyą. — Zdaje się, że rzucone w jéj umysł światło nauki i umiejętności, nie przebiło się do głębi ducha, tylko zawisło na szybach rozognionéj fantazyi i dziwnie poetyczne nakreśliło obrazy. Dla tego nauka i umiejętność odtwarza się na tym gorącym krysztale w dziwnie piękne i idealne arabeski, jakby wyjęte z przecudnéj panoramy... Najściślejsza nauka ma u niéj szatę fantastyczną; pogląd na społeczność, na historyę, na rozwój ducha ludzkiego w czynach i kształtach, jest zawsze różowy, niewinny i naiwny, jak uśmiech dziecięcia, nieodpowiedni pojęciom wyrobionym w życiu rzeczywistém».

W ostatnich jednakże czasach fantazya Deotymy zaczęła się zwracać ku właściwszym przedmiotom; serce jéj uderzyło prawdziwie ludzkiém uczuciem, erudycya znikła, a oktawowa zwrotka zastąpiła ulubioną dawniéj formę starożytnéj ody. Z tego to peryodu pochodzą: *Gonitwy w dolinie Prądnika*, *Bolesław Chrobry*, *Wanda* i liczne drobniejsze wielkiéj nieraz wartości poezye, po pismach peryodycznych zamieszczane.

Talent improwizatorski Deotymy bywał przedmiotem wielu rozpraw i studyów. Oprócz Zygmunta Kaczkowskiego (*Deotyma w Krakowie*), pisał o niéj Tyszyński, A. Marcinkowski, Estreicher i wielu innych.

Adam Asnyk, pisujący pod pseudonymem El...y, a dawniéj *Stożka*, urodził się w Kaliszu r. 1838; tam też ukończył gi-

mnazyum realne (1853). Od 1857 do 1861 studyował medycynę w Warszawie i Wrocławiu; w 1861 wstąpił na wydział filozoficzny w Heidelbergu, gdzie zajmując się głównie naukami ekonomicznemi, napisał kilka w tym przedmiocie rozpraw i w r. 1866 otrzymał dyplom doktorski. W ciągu studyów zwiedził Szwajcaryę, Francyę, Hollandyę, Anglię i Włochy. W 1867 przybył do Lwowa, a od 1870 mieszka w Krakowie. Jeszcze w 1864 wydrukował kilka drobnych utworów w lwowskim *Dzienniku Literackim*. Po przybyciu do Lwowa napisał ładniutką, pełną humoru powiastkę p. t. *Panna Leokadya* (w Dzien. Lit. 1868). Ogłaszane odtąd utwory liryczne zwróciły powszechną uwagę na młodego poetę. Zbiór tych poezyj wydał autor we Lwowie r. 1869 p. t. *Poezyé przez El...y*. Drugie wydanie z dodatkiem nowych utworów wyszło w r. 1871 w dwóch niewielkich tomikach. Napisał także kilka utworów dramatycznych, a mianowicie: *Gałązkę Heliotropu*, wierszowaną komedyę w 1 akcie (Lwów, 1869), drugą komedyę prozą p. t. *Walka stronnictw* (Kraków, 1870), dramat *Rienzi* (Krak. 1874) i dramat *Żyd*.

Nadzwyczajna wytworność formy, przypominająca koronki brabanckie — smak artystyczny, wykształcony na najcelniejszych wzorach, rodzinnych i obcych — dowcip subtelny — uroczy odcień melancholii, połączony z uśmiechem ironii leciuchnéj — nareszcie zdolność wpadania w poetyczną zadumę i nieporównana łatwość oddawania téj rozmiłowanéj w saméj sobie zadumy w wierszu prześlicznym — to są główne znamiona talentu poetyckiego Asnyka. Brakuje mu tylko potęgi, gorącego uczucia i indywidualności. Jest to poeta salonów, pozujący z nieporównanym, wyższym nad samę naturalność, wdziękiem. Potrafi dorównać Słowackiemu pięknością wiersza, Lenartowiczowi tkliwością, Heinemu ironiją i humorem; lecz gdy w utworach jego dopatrzyć zechcemy samego poety, indywidualność ducha i charakteru jego, zawsze ukaże się przed nami Słowacki, Lenartowicz, Zaleski, Heine, Musset — nigdy sam Asnyk. Weźmy np. wiersz p. t.

Nadgrobek.

Chwilę nad krwawym zbłąkany zagonem,
Wracam z pola, znużony drogą nadpowietrzną,
Z próżnemi dłońmi, z sercem rozżaloném
Kończąc wędrówkę marną choć konieczną,

I w tył się zimną twarzą nie odwrócę,
Bo obojętném jest mi to — co rzucę.

Nigdym się z ciemnych krain nie wychylił,
Ani rzeczywistości nie dotknąłem ręką,
Próżnom się stworzyć sferę życia silił,
Sen mi był życiem, przebudzenie męką,
I z za obłoków chyląc się niechętnie,
Patrzałem na świat łzawo choć namiętnie:

I nigdym w nikim nie znalazł oparcia,
Coby podzielił ze mną gorycz próżnych chęci;
Więc sam zostałem zawsze podczas starcia,
Bezsilność nosząc w cielesnéj pieczęci,
I choć bojowych uniknąłem skażeń,
Zostałem za to bez plonu i wrażeń;

I nigdym usty nie dotknął drżącemi
Ust drugich, coby w serce miłość ziemską lały,
Senne mnie tylko widma kołysały,
I dziś me serce złożą do podziemi,
Gdzie rozsypane w proch śnić jeszcze będzie,
Że nad niém płaczą dziewicze łabędzie.

Ta czystość, grobu nimfom poślubiona,
Dała méj mglistéj duszy świąteczną pogodę,
I melancholii łagodnéj zasłona
Spadła na dziwną narcyzów urodę,
Co nie znalazłszy nic dla siebie w życiu,
We własném musi utonąć odbiciu.

W wiązance wspomnień, zbieranych starannie,
Nic nie przeżyje chwilą jutra méj mogiły;
Błyszczałem rosą uczuć nieustannie,
Lecz i tę ptaki niebieskie wypiły,
I tyle tylko pozostanie śladu,
Co po tych perłach, startych piersią gadu.

Ani opróżnię miejsca wśród gromady,
Choć zniknie cienia mego przezroczysta białość,
Nie pójdę błądzić po księżycu blady,
I od zbudzenia zbawi mnie ospałość,

I głuche nawet echa nie powtórzą,
Żem się już ukrył przed boleści burzą.

Zapytujemy siebie: kto to pisał! Słowacki czy Asnyk? Szczególniéj charakterystyczne są w przytoczonym wierszu zwrotki druga i piąta. A teraz weźmy humoreskę w rodzaju Heinego.

Karmelkowy wierszyk.

Bywało dawniéj, przed laty,
Sypałem wiersze i kwiaty
Wszystkim dziewczątkom,
Bom myślał, o piękne panie,
Że kwiat lub słowo zostanie
Dla was pamiątką.

Wierzyłem — zwyczajnie młody —
Że jeszcze nie wyszło z mody
Myśleć i czuć,
Że trochę serca kobiecie
Świetnéj karjery na świecie
Nie może psuć.

Aniołków brałem na serjo,
I z śmieszną Don-Kiszoterją
Wielbiłem lalki,
I gotów byłem, o zgrozo,
Za Dulcyneę z Tobozo
Stanąć do walki!

Lecz dziś komedję salonu,
Jak człowiek dobrego tonu
Na wylot znam.
Z serca pożytek nie wielki,
Więc mam w zapasie — karmelki
Dla dam.

Komedye Asnyka, pomijając piękności liryczne, niczém nie górują nad pospolitość. Nierównie wyższéj wartości jest dramat *Rienzi*, jakkolwiek grzeszy zbytkiem liryzmu i niekonsekwencyą w charakterach.

Z licznych naśladowców Słowackiego, Heinego i Musseta wymieniamy tylko dwóch zdolniejszych: *Aleksandra Michaux*, pisującego pod pseudonymem *Mirona* i Wiktora *Gomulickiego*. Pierwszy ma wiele artystycznego smaku, drugi celuje formą piękną. Treścią ich utworów bywają już to uniesienia sztucznéj rozpaczy i zwątpienia, już erotyczne wybryki.

Koniec tomu trzeciego.

This book should be returned to the Library on or before the last date stamped below.

A fine is incurred by retaining it beyond the specified time.

Please return promptly.

WIDENER
BOOK DUE
NOV 14 1984
1245975